

AUTOR «KOTŁA» I «CZERWONEGO FENIKSA»

# Bond Larry

# BOND



# WIR

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

# Larry Bond



# Larry Bond

**TŁUMACZYŁ ADAM KRZYSZTOFIAK**

# Wwir

**WYDAWNICTWO ADAMSKI BIELIŃSKI  
W A R S Z A W A 1993  
OPRACOWANIE E-BOOKA I OKŁADKI  
TRUX 2006**

*Dotychczas ukazały się:*

***Tom Clancy***

**Bez skrupułów**

**Patrioci**

**Czerwony Sztorm**

**Kardynał z Kremla**

**Polowanie na  
«Czerwony Październik»**

**Stan zagrożenia**

**Suma wszystkich strachów**

***Larry Bond***

**Kociół**

**Wir**

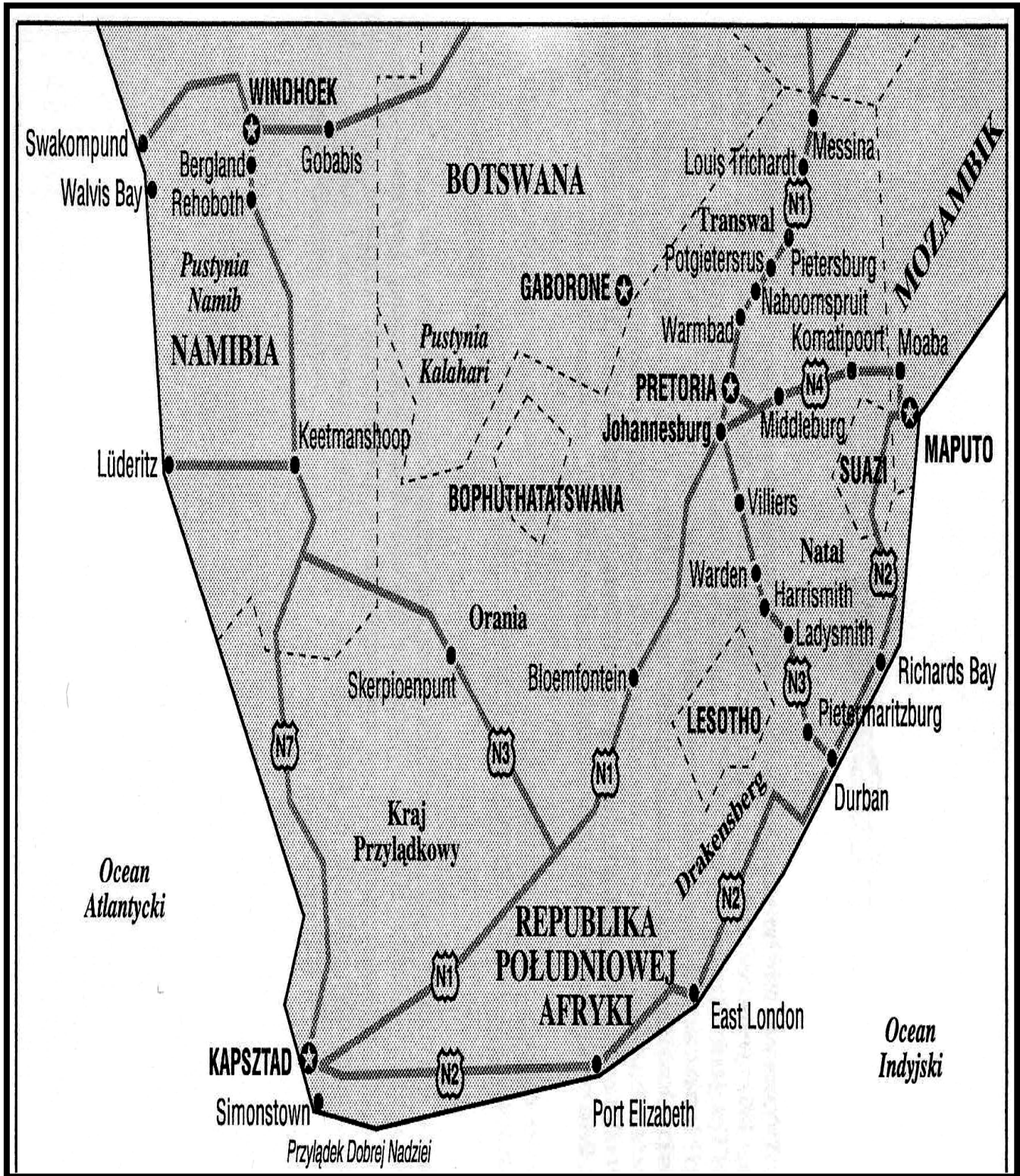
**Czerwony Feniks**

***Stephen Coonts***

**Lot intrudera**

**Ostatnia misja**

**Czerwony jeździec**



*Powieść tę dedykujemy naszym  
braciom i siostram, Mary Adams i  
Jimowi Rondowi, Erin Larkin-Foster,  
Colinowi, Janowi oraz Christopherowi  
Larkinowi.*

*Autor*

## **Podziękowania**

Oto lista osób, którym się należą: Jim Baker, Jeff Bowen, Greg Browne, Jerry Cain, Jeff Cavin, John Chrzas, płk. Terry Crews i Grace Crews, Dan i Carmel. Fisk, Bill Ford, John Goetke, Bill Grijalba, Peter Hildenrath, Jason Hunter, Dick Kane, Don i Marilyn Larkin, John Moser, Deb Mullaney, Bill Paley, Bridget Rivoli, Tim Peckinpough i Pam MCKinney-Peckinpough, Jeff i Deena Pluhar, Jeff Richelson, Dick Ristaine, Michael j. Solon, Bruce Spaulding, Steve Sto Clair, Thomas T. Thomas, Chris Williams oraz Joy Schumack z Solano County Bookmobile Service.

Osobne podziękowania należą się Steve'owi Cole za jego okólnik "Tylko dla twoich oczu" i Steve'owi Petrickowi za pomoc w korekcie maszynopisu.

I wreszcie pragniemy podziękować ludziom, bez których stałej i niezłomnej pomocy ta książka nigdy nie opuściłaby poziomu edytora tekstu: naszemu redaktorowi w Warner Books, Melowi Parkerowi i naszemu agentowi z agencji Williama Morrisa, Robertowi Gottliebowi.

## **Od autora**

Wprawdzie nazwisko Patricka Larkina nie pojawia się na okładce, *Wir* jest w takim samym stopniu jego książką jak i moją.

To już druga powieść którą napisaliśmy razem, od początku do końca. W ciągu osiemnastu miesięcy pracy nad powieścią wspieraliśmy się nawzajem, spieraliśmy się o zagadnienia polityczne, taktyczne oraz strategiczne, i popędzaliśmy się wzajemnie kiedy zbliżał się termin oddania dyskiety do wydawnictwa. Mamy nadzieję, że spodoba się wam nasza książka.

# Dramatis personae

- **Amerykanie:**

**Kapitan Mike Carrerra**, Armia Stanów Zjednoczonych - oficer dowodzący Kompanią Alfa, 2. Batalion Rangersów.

**Generał porucznik Jerry Craig**, Dowództwo Armii Stanów Zjednoczonych - oficer dowodzący Drugim Korpusem Ekspedycyjnym Piechoty Morskiej, a następnie Południowoafrykańskim Sprzymierzonym Korpusem Ekspedycyjnym.

**Porucznik Nick Dworski**, Siły Specjalne Armii Stanów Zjednoczonych - oficer operacyjny Zespołu A Jeffa Hawkinsa.

**James Malcolm Forrester** - wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, przewodniczący Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

**Sierżant sztabowy Mike Griffith**, Siły Specjalne Armii Stanów Zjednoczonych - specjalista od ciężkiej broni przy Zespole A Jeffa Hawkinsa.

**Kapitan Jeff Hawkins**, Siły Specjalne Armii Stanów Zjednoczonych - dowódca Zespołu A Zielonych Beretów.

**Generał Walter Hickman**, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych - przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabu.

**Edward Hurley**, asystent sekretarza stanu do spraw afrykańskich, Departament Stanu USA

**Porucznik Jack „Sopel” Isaacs**, Marynarka Stanów Zjednoczonych - pilot *F/A-IB*.

**Kapitan Peter Klocek**, Armia Stanów Zjednoczonych - pełniący obowiązki oficera operacyjnego I. Batalionu Rangersów.

**Sam Knowles** - kamerzysta Iana Sherfielda.

**Kapitan Thomas Malloy**, Marynarka Stanów Zjednoczonych - oficer dowodzący pancernikiem USS „Wisconsin” klasy *Iowa*.

**Generał Wesley Masters**, Piechota Morska Stanów Zjednoczonych - dowódca Piechoty Morskiej.

**Christopher Nicholson** - dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej.

**Major Robert O’Connell**, Armia Stanów Zjednoczonych - pełniący obowiązki dowódcy I. Batalionu Rangersów.

**Hamilton Reid** - sekretarz handlu.

**Ian Sherfield** - amerykański dziennikarz w RPA.

**Generał porucznik George Skiles**, Armia Stanów Zjednoczonych - szef Sztabu Południowoafrykańskiego Sprzymierzonego Korpusu Ekspedycyjnego.

**Kontradmiral Andrew Douglas Stewart**, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych ~ dowódca lotniskowcowej grupy uderzeniowej, później dowódca Sprzymierzonych Sił Morskich działających u wybrzeży południowej Afryki.

**Generał major Samuel Weber**, Armia Stanów Zjednoczonych - oficer dowodzący 24. Dywizją Piechoty Zmechanizowanej.

- **Południowoafrykańczycy:**

**Kapitan Rolf Bekker**, Siły Obronne Południowej Afryki (SADF)- dowódca kompanii 2. Batalionu, 44. Brygady Spadochronowej.

**Brigadier Deneys Coetzee**, SADF - bliski przyjaciel Henryka Krugera, oddelegowany do Sztabu Głównego Armii w Pretorii.

**Brigadier Franz Diederichs**, Oddział Służb Bezpieczeństwa, Policja Południowoafrykańska - specjalny komisarz wojskowy na prowincję Natal.

**Major Richard Forbes**, SADF - oficer wykonawczy 20. Pułku Strzelców Przylądkowych.

**Frederick Haymans** - prezydent Republiki Południowej Afryki.

**Pułkownik Magnus Heerden**, SADF - szef Oddziału Wywiadu Wojskowego w Centrali Wywiadu Wojskowego.

**Constand Heitman** - minister obrony w gabinecie Vorstera.

**David Kotane** - przywódca partyzantów Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), kierujący jednostką uderzeniową ZERWANEGO PRZYMIERZA.

**Kommandant Henrik Kruger**, SADF - dowódca 20. Pułku Strzelców Przylądkowych.

**Pułkownik Sese Luthuli** - starszy oficer *Umkhonto we Sizwe*, zbrojnych oddziałów Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

**Helmoed Malherbe** - minister przemysłu i handlu w gabinecie Vorstera.

**Gideon Mantizima** - przywódca Inkathy, ruchu politycznego Zulusów i szef administracji KwaZulu, homelandy plemienia Zulusów na obszarze prowincji Natal.

**Major Wilem Metie**, SADF - pracownik Oddziału Wywiadu Wojskowego w Centrali Wywiadu Wojskowego.

**Erik Muller** - dyrektor Centrali Wywiadu Wojskowego.

**Riaan Oost** - rolnik, zakonspirowany współpracownik ANC.

**Pułkownik Frans Peiper**, SADF - oficer dowodzący 61. Batalionem Pułku Strzelców Transwalskich, strzegącym Południowoafrykańskiego Kompleksu Badań Nuklearnych Pelindaba.

**Frederik Pienaar** - minister informacji w rządzie Vorstera. Sierżant Gerrit Roost, SADF - sierżant sztabowy w oddziale kapitana Rolfa Bekkera.

**Andrew Sebe** - partyzant ANC i członek grupy uderzeniowej ZERWANE PRZYMIERZE.

**Matthew Sibena** - mieszkaniec Johannesburga z plemienia

**Xhosa**, pracujący jako kierowca lana Sherfielda i Sama Knowiesa.

**Jaime Steers** - czternastoletni chłopiec walczący w Transwalu w komando „Goetke”.

**Major Chris Thylor**, SADF - zastępca dowódcy batalionu piechoty Gwardii Narodowej w Kapsztadzie.

**Emily van der Heijden** - córka Mariusa van der Heijdena.

**Marius van der Heijden** - minister prawa i porządku w gabinecie Vorstera.

**Pułkownik George von Brandis**, SADF - oficer dowodzący 5. Batalionem Piechoty Zmechanizowanej.

**Karl Vorster** - minister prawa i porządku, później prezydent Republiki Południowej Afryki.

**Kapral de Vries**, SADF - radiowiec kapitana Rolfa Bekkera.

**Generał Adriaan de Wet**, SADF - szef Sił Obronnych Południowej Afryki.

- **Kubańscy:**

**Kapitan Victor Mares**, Armia Kubańska - oficer wykonawczy 8. Zmotoryzowanego Batalionu Strzelców w Namibii, później dowódca batalionu zwiadowczego Grupy Taktycznej Pierwszej Brygady.

**Pułkownik Jose Soares**, Armia Kubańska - szef sztabu generała Vegi.

**Pułkownik Jaime Vasquez**, Armia Kubańska - szef wywiadu generała Vegi.

**Generał Antonio Vega**, Armia Kubańska - oficer dowodzący kubańskimi wojskami w Angoli, Namibii i później w RPA.

- **Mozambijscy:**

**Kapitan Jorge de Sousa**, Armia Mozambicka - oficer łącznikowy przy sztabie wojsk kubańskich.

- **Brytyjscy:**

**Major John Farwell**, Armia Brytyjska - oficer dowodzący Kompanią A 3. Batalionu Pułku Spadochroniarzy.

**Kapitan David Pryce**, Armia Brytyjska - dowódca 22. Specjalnego Pułku Wsparcia Powietrznego, przydzielony do jednostki uderzeniowej „Quantum”.

- **Izraelczycy:**

**Profesor Esher Levi** – fizyk jądrowy.



## • 22 Maja - dolina rzeki Thuli, Zimbabwe

Demony pojawiły się przed świtem. Joshua Mksoi zaspanym wzrokiem omiół horyzont, nie zwracając uwagi na ledwo majaczące na tle rozgwieżdżonego nieba punkty. Musiał się spieszyć, żeby jeszcze przed świtem doprowadzić bydło należące do jego rodziny na pastwisko, przy wyschniętym teraz korycie rzeki. Prawie każdą chwilę swego krótkiego życia poświęcał temu nudnemu zajęciu. Był najmłodszy z czterech żyjących do tej pory braci. Ani on, ani pozostali nigdy się uczyli. Nie opuszczali też nigdy rodzinnej wioski. Chłopiec szedł powoli wydeptanym szlakiem, popędzając długorogie zwierzęta kijem i częstymi okrzykami. W nocnej ciszy słychać było ciężkie stapanie, ciche muczenie i pobrzękiwanie dzwonek, zawieszonych na krowich szyjach. Nadchodził dzień niczym nie różniący się od innych. Wtedy nadleciały. Pędziły nisko nad jego głową z niesamowitym rykiem. Ogarnięty przerażeniem chłopiec zdrętwiał, przekonany, że to moce ciemności przybyły po jego duszę. Z gardła wydobył mu się nie artykułowany krzyk, gdy koszula uniosła się gwałtownie pod wpływem ich gorącego, wirującego kurzem i piaskiem oddechu. Po chwili minęły go, widoczne teraz jako ścigające się po ziemi, w tańcu piekielnym, cienie, aż całkiem zniknęły. Zszokowany Joshua stał nieruchomo przez długie sekundy, które wydawały się wiecznością, próbując uwierzyć, że naprawdę odleciały. Jego serce prawie wyskakiwało z piersi, a całe ciało, pokryte lepkiem potem, dygotało. Kiedy wreszcie zrozumiał, że nic mu już w tej chwili nie grozi, powoli rozejrzał się i zobaczył gdzieś w oddali, ledwo widoczne w mroku zwierzęta. Z wszystkich stron dochodziło gwałtowne, zanikające momentami dzwonenie. Nie było teraz czasu i miejsca na strach, zwyciężyły obowiązki i codzienne nawyki. Młody Murzyn poprawił koszulę i ruszył pędem, kierując się w stronę coraz cichszych dzwonek. W jednej chwili zapomniał o śmiertelnym przerażeniu. Wziąwszy pod uwagę wiedzę Joshuy, jego lęk był uzasadniony. Śmigłowce *Puma*, które teraz leciały gdzieś daleko, obojętne na dziecięce przerażenie, pasowały do zakorzenionych przesądów i wyobrażeń o siłach nadprzyrodzonych. Tego dnia Zimbabwe miały spotkać o wiele poważniejsze kłopoty.

## • Jednostka uderzeniowa - śmigłowiec dowódcy

Złapany przez nagły podmuch prądu wstępującego śmigłowiec prowadzący zatrzęsł się gwałtownie, a następnie wyrównał lot, podążając wzdłuż wijącej się, wiodącej na północ doliny rzeki Thuli. Trzy pozostałe, również pokryte plamami kamuflażu, helikoptery tworzyły regularną formację, lecąc z szybkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, tak nisko nad ziemią, iż niemal wydawały się jej dotykać. Siedzący w pierwszej maszynie Rolf Bekker czuł, jak przy każdym podskoku przytrzymujące go pasy wrzynają mu się w ramiona. Pochylił się do przodu i wyjrzał znad ramienia siedzącego w otwartych drzwiach strzelca, by rozejrzeć się po okolicy. Przed jego oczami pojawiały się i znikwały nieduże kępki krzewów i niskich drzew, poszarpanych skał i falujących pagórków. Po chwili odwrócił wzrok od przemykającego krajobrazu i usiadł w poprzedniej pozycji; przez ostatnich kilka lat dosyć się napatrzył na podobne widoki. Bekker był wysokim, szczupłym mężczyzną, o ostrych rysach twarzy, ogorzałej przez lata spędzone pod palącym afrykańskim słońcem. Słońce spowodowało także, że jego krótko ostrzyżone blond włosy były teraz prawie zupełnie białe. Na naramiennikach munduru widniały jedynie trzy gwiazdki kapitana i odznaka oddziału 44. Brygady Spadochronowej RPA na prawym ramieniu. Odpiął przytrzymywane rzepem wieczko zegarka, by sprawdzić czas. Zostało tylko kilka minut do SL - Strefy Lądowania. Kiedy spojrzął przed siebie, jego wzrok napotkał szeroko otwarte, wystraszone oczy informatora Nkume. Skulony w najdalszym kącie helikoptera, wysoki, chudy, czarny mężczyzna z plemienia Xhosa, ubrany w zniszczone, cywilne ubranie, wyraźnie odróżniał się od siedzących obok, w pełnym rynsztunku, pewnych siebie, czternastu spadochroniarzy Armii RPA. Ich błyszczące czystością karabinki szturmowe budziły respekt. Nagle wzrok Murzyna napotkał taksujące spojrzenie oficera dowodzącego. Kapitanem Rolfem Bekkerem miały różne uczucia: wrogości, pogardy, ale teraz głównie niepewności. Nie znał pełnego

imienia i nazwiska czarnego i niewiele go to obchodziło. Zdawał sobie jednak sprawę, że powodzenie misji zależy przede wszystkim od tego tchórzliwego *kaffira*. Nagle palce jego prawej ręki zacisnęły się mocno na kolbie. Jeśli ze strony Nkume, bo tak kazał się nazywać, cokolwiek zagrozi ich przedsięwzięciu lub jego ludziom, nie będzie litości, tylko błaganie o szybką śmierć. Głos pilota w słuchawkach oderwał go od ponurych rozmyślań. - Dwie minuty! Bekker odpiął przytrzymujące go pasy, pokazał palcami czas czujnym już w tej chwili żołnierzom i podszedł do kabiny pilotów. Za nim rozległy się odgłosy ostatniego, szybkiego sprawdzania uzbrojenia i innego sprzętu.

- Tam, na lewo, za wzgórzem znaki świetlne! Podchodzimy do lądowania! - krzyknął raptownie jeden z pilotów, uważnie obserwujący ziemię przez noktowizor. *Puma* ostro weszła w zakręt i powoli zaczęła zniżać lot. Bekker w ostatnim momencie zdążył chwycić ramę uchylonych już drzwi, a następnie ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Pęd powietrza smagał mu twarz, ale nie zwracał na to uwagi. Interesowało go teraz lądowisko. Było świetnie wybrane, bez śladu jakichkolwiek zarośli, a niedalekie krzewy dawały od razu dobre schronienie. Gdy tylko śmigłowiec znieruchomiał tuż nad ziemią, otworzył drzwi na całą szerokość i zwinnie wyskoczył. W jego ślady poszli pozostali spadochroniarze. Skuleni, szybko wycofali się z zasięgu zawirowanego obracającymi się łopatami wirnika powietrza. W krótkim czasie dołączyli do nich żołnierze z dwóch pozostałych maszyn i już wszyscy, z gotową do strzału bronią, ruszyli w stronę ciemniejszego pasa zarośli. Usłyszeli szum odlatujących *Pum*; teraz byli zdani tylko na siebie, sto sześćdziesiąt kilometrów od granicy swojego kraju, wewnątrz nieprzyjaznego Zimbabwe. Jak spod ziemi wyłoniła się nagle tuż przed nimi sylwetka mężczyzny. Sierżant Yan Myghen był równie wysoki jak Bekker, ale szczuplejszy i teraz dużo brudniejszy. On i jego spadochroniarze wylądowali kilka godzin temu, żeby zabezpieczyć teren i obserwować wyznaczony im cel. W pośpiechu wymienili z Bekkerem uścisk dłoni.

- Cieszę się, że wam też się udało, kapitanie - tubalnym głosem odezwał się sierżant.

- Tak, ale to dopiero początek. Zauważyliście coś niepokojącego?

- Nic, jak do tej pory. Zostawiłem jednak Kempiera, żeby obserwował ewentualne posunięcia tych drani.

- Dobrze. - Bekker sprawdził wzrokiem sytuację. Jego ludzie uformowali się już w rozciągniętą kolumnę, na czele której znaleźli się zwiadowcy. Dwóch krzepkich szeregowców stało po obu stronach Nkume, w zasięgu ciosu nożem. W pobliżu trzech poruczników czekało niecierpliwie na rozkazy. Bekker skinął na nich.

- W porządku panowie. Ruszamy. W ciemności zobaczył tylko wyszczerzone w uśmiechu zęby; dowódcy rozbiegli się do swoich pododdziałów. Kolumna ruszyła w milczeniu, przedzierając się przez gęstwinę roślin. Nie słychać było żadnych głosów czy szczerku broni, które mogłyby uprzedzić o ich zbliżaniu. Południowoafrykański oddział uderzeniowy zbliżał się do celu. Punkt dowodzenia jednostki uderzeniowej, okolice Gawamby, Zimbabwe Bekker leżał płasko na grzbiecie niskiego wzgórza koło Gawamby. Jego oficerowie i starsi podoficerowie przycupnęli koło niego. Miasto i jego okolica skąpane były w srebrzystym świetle błędnącego księżyca. Bekker uśmiechał się do siebie. To mu zupełnie odpowiadało. Będą mieli wystarczające światło, żeby celnie strzelać. Uważnie przyjrzał się dolinie przez noktowizor. Wokół miejscowości widoczne były maleńkie poletka dojrzewającego zboża i bawełny. Pomiędzy nimi ogrodzone skrawki ziemi; tu chyba wypasano bydło. Sama Gawamba miała jedną szerszą, biegnącą przez jej środek ulicę, od której odchodziły mniejsze, gęsto zabudowane niskimi domami. W północnej części miasta dominowały dwa większe budynki: piętrowy, pomalowany na ostry żółty kolor posterunek policji i stacja kolejowa. Bekker ponownie sprawdził zegarek. Mieli niecałe trzy godziny do wschodu słońca i w tym czasie musieli przeprowadzić i zakończyć całą operację.

- W porządku. Żadnych zmian w planie. Mamy niezły początek i liczę, że wykorzystacie to możliwie jak najpełniej. Bekker napotkał spojrzenie porucznika dowodzącego jego pierwszą grupą bojową.

- Jak się ma nasz czarny? Nadal się trzyma? Hans Reebeck był lekko podekscytowany, ale jego głos tego nie zdradzał.

- Nkume jest trochę nieszczęśliwy, kapitanie, ale obawiam się, że moi ludzie nie okazują mu współczucia. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Uważaj na tego *kaffira*, Hans! Pamiętaj, że zna dobrze te okolice. Reebeck skinął głową. Bekker zwrócił się do swoich oficerów: - Ruszajcie chłopaki! Załatwcie ich wszystkich! Der Merwe i Heitman niedbale zaszalowali i popędzili długimi susami do swoich ludzi. Bekker i Reebeck zajęli miejsca na czele kolumny, która cicho schodziła ze wzgórza w stronę miasteczka. Bez żadnych dodatkowych rozkazów kolumna podzieliła się na trzy części. Pierwszy oddział spadochroniarzy skierował się na północ, w stronę posterunku policji. Drugi zawrócił na południe, wślizgując się bezszelestnie pomiędzy poletka zbóż. Po kilku minutach oba zniknęły w ciemnościach. Pozostała część jednostki maszerowała prosto przed siebie, rozciągając się na kształt strzały, na czele której znajdował się Bekker ze swoim operatorem radia. Ostrze strzały było skierowane prosto w stronę głównego celu. Celem, któremu nadano nazwę „Kudu” - na wypadek gdyby trzeba było wymieniać informacje przez radio - był jednopiętrowy, ceglany budynek, oddalony o jedną przecznicę od głównej ulicy. Na parterze domu znajdował się mały sklep warzywny, prowadzony przez jedną rodzinę. Piętro mieściło centrum operacyjne partyzantów ANC, Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Jeszcze do niedawna, siły bezpieczeństwa Afryki Południowej nawet nie podejrzewały istnienia centrum operacyjnego w Gawambie. Dowiedziano się o tym dopiero od Nkume, bojownika ANC, który został złapany na próbie przemytu broni przez granicę z Zimbabwe. W zamian za wolność, a prawdopodobnie także za życie, Nkume wyśpiewał wszystko. Bekker zmarszczył czoło. Zimbabwe i inne państwa graniczące z RPA zobowiązały się do niedopuszczenia działalności ANC na ich terytoriach. Teraz nieważne już było czy tutejsze władze wiedziały o usytuowaniu kwatery głównej Kongresu w Gawambie, czy nie. Zresztą czarnuch zawsze zostanie czarnuchem, nigdy nie można mu ufać i trzeba bacznie uważać na każdy jego krok. Dzisiaj czarni dostaną nauczkę. Przeciwdziałanie się Pretorii może drogo kosztować. Grupa Bekkera dotarła do pierwszych domów, zaniedbanych, straszących odrapanym tynkiem i pordzewiałymi, blaszanymi okiennicami. Z odbezpieczoną bronią przemykali brudnymi uliczkami, których gęsta zabudowa była w tej sytuacji niezwykle przydatna. W pewnej chwili gdzieś niedaleko rozległo się ujadanie psa, któremu natychmiast zawtórowały inne. Jak na komendę ciemne sylwetki przywarły do murów w bezruchu, czujne, gotowe do natychmiastowego ataku. Wokół panował jednak spokój. Zwierzęta powoli uspokajały się i znowu zapanowała kompletna cisza. Ruszyli dalej. Jeden za drugim, utrzymując bezpieczną odległość i starając się cały czas kryć w cieniu domów. Bekker posuwał się pierwszy. Nagle stanął. Po drugiej stronie majaczyła biała, gładka ściana piętrowego budynku. Dotarli do celu. Jak do tej pory informacje Nkume były prawdziwe.

- Kapitanie, druga sekcja nadała „Nosorożec” - rozległ się szept kaprała de Vriesa, operatora radia. To była pomyślna wiadomość. Der Merwe i jego ludzie zajęli już swoje pozycje przy stacji kolejowej, posterunku policji i drogach prowadzących do nich. Północna część miasta była ubezpieczona. Jeszcze tylko Heitman. W tym momencie radiowiec podał kolejne hasło. Teraz mogli już spokojnie przystępować do akcji; południe miasteczka było obstawione przez trzeci oddział. Bekker jeszcze raz sprawdził broń, dokładnie zlustrował obie strony ulicy i dał znak. Jak cienie, w krótkich odstępach przebiegali przez jezdnię i zajmowali dogodnie pozycje. Kapitan osłaniany przez de Vriesa jako ostatni znalazł się na miejscu. Tuż przed nimi drogę tę pokonał Nkume ze swoimi opiekunami. Bezszelestnie, mocno pochyleni okrążyli budynek i dotarli do metalowych, masywnie osadzonych drzwi na tyłach domu.

- Trochę za solidne, jak na warzywniak w takiej dziurze, kapitanie - zauważył jeden z żołnierzy.

- Tak, rzeczywiście.

- Był to pierwszy znak, że znajdowało się tu coś więcej niż tylko sklep.

- Założyć materiały! - padła komenda.

- Tak jest, kapitanie! - wyznaczony szeregowiec natychmiast przystąpił do umocowywania paska plastiku wzdłuż krawędzi drzwi. Sierżant Roost, niski, chudy mężczyzna ze złamanym nosem, przypadł do ziemi, przyczajony, jak tygrys do skoku. W pełnym napięciu oczekiwaniu słychać było tylko cichutki chrobot przy wejściu. Wreszcie i to umilkło. Wszystko było gotowe. Nadeszła decydująca chwila. Bekker przysiadł obok Roosta, uważnie rozejrzał się... - Dawaj! Jeszcze nie przebrzmiało echo rozkazu, gdy budynkiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Wyrwane z kawałkami muru i pogiętych framug drzwi runęły do środka.

Zakłębiło się. Gorący podmuch przygiął Bekkera do ziemi. W mgnieniu oka poderwał się jednak i przez chmury dymu próbował ocenić skutki wybuchu. Tak, bez zarzutu; w miejscu metalowej przeszkody widniała teraz ogromna wyrwa. Dopadł jej paroma susami i zanurkował do środka. W pierwszym momencie nic nie widział, ale gdy jego wzrok przyzwyczał się, dostrzegł duże pomieszczenie spustoszone teraz dokładnie; po podłodze wały się szczątki artykułów spożywczych, porozbijane szkło i porozrywane kartony. Ściany oblepione były różnokolorową mazią. Na wprost stało coś, co kiedyś było zapewne ladą sklepową. Obok jakieś drzwi, pewnie zaplecze. Nigdzie śladu człowieka. Intuicja podpowiadała mu jednak, że to pozory. Na dole nie spodziewał się nikogo, ale tylko do tego momentu mógł działać przez pełne zaskoczenie. Teraz każda sekunda była cenna. Jeszcze raz szybko się rozejrzał. W głębi zobaczył drewniane schody.

- Dwóch ludzi przeszuka dokładnie parter i będzie go ubezpieczać. Reszta za mną - zawołał, wspinając się już na górę. Przeskakiwał po dwa stopnie, czując ból w piersiach przy każdym gwałtowniejszym zaczerpnięciu pełnego duszących oparów powietrza.

- Cholera, znowu drzwi - jęknął, gdy dotarł na piętro. Bogu dzięki, że nie metalowe. Bez chwili wahania wystrzelił w zamek kilka serii, a następnie z całej siły uderzył w drzwi barkiem. Osłabiony zamek puścił natychmiast, a Bekker z impetem wylądował na prawym boku i natychmiast przeturlał się pod osłonę stojącego tuż obok mebla, cały czas trzymając palec na spuście. Odczekał chwilę, a następnie ostrożnie uniósł się i rozejrzał. Pokój, w którym się teraz znajdował, musiał służyć za biuro. Świadczyły o tym równo poustawiane biurka i krzesła. Jego wzrok automatycznie zarejestrował kolorowy wizerunek brodatego mężczyzny. To chyba ich duchowy przywódca... Marks, przemknęło mu przez myśl. Widział kiedyś jego podobizny podczas rozpędzania nielegalnych demonstracji czarnych. Vis-a-vis widać było wyjście na długi korytarz, z kilkoma parami drzwi. Uwagę natychmiast przykuły pierwsze - były uchylone. Zdławiając czujność, ruszył w tę stronę, cały czas pod osłoną mebli. W połowie drogi ponownie lekko się uniósł, chcąc ocenić sytuację i... widok przesłoniła mu ogromna sylwetka uzbrojonego Murzyna. Bez chwili namysłu poderwał broń. Padła krótka seria i mężczyzna, jak podcięty, zwałił się z jękiem na podłogę. Za sobą usłyszał pełen aprobaty pomruk. To Roost przykucnął za jednym z biurek i spoglądał na niego pełnym uznania, ale także pytającym wzrokiem. Na dany znak poderwał się, zwinnie przeskoczył przez trupa, w biegu odbezpieczył granat, celnie wrzucił w uchylone drzwi i gwałtownie cofając się, przywarł do ściany. Krzyki, beładny tupot nóg, a zaraz potem wybuch powiedziały im wszystko. Następne pomieszczenie było oczyszczone. Bekker podniósł się. Z dołu i ze schodów dobiegały go odgłosy zwinnych kroków. To moi, z łatwością rozpoznawał charakterystyczny, wyćwiczony chód swoich ludzi. Ruszaj! Nie ociągaj się! podpowiedział mu nagle wojskowy instynkt, który nigdy go do tej pory nie zawiodł. Bezszermerowo, prześlizgując się przy ścianie, osłaniany przez sierżanta, skradał się w stronę drugiego z kolei pokoju. Kątem oka zerkał na pokrwawione szczątki leżące na porozrywanych drzwiach. Do środka nie zaglądał już wcale. Ale to wystarczyło... Prawie odruchowo przypadł do ziemi na widok wyłaniającego się jak spod ziemi nieprzyjaciela. W chwili, gdy padał, usłyszał za sobą strzały i poczuł przelatujące nad nim pociski. Oczy partyzanta rozwarły się szeroko, pełne bólu i jakby zdumienia, gdy siła ognia z karabinu Roosta odrzuciła go do tyłu. Bekker uniósł do góry kciuk, zerwał się na równe nogi i jak burza wtargnął do pokoju. Nagle dotarło do niego, że jest znakomitym celem i poczuł gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny, mokra koszula przylepiła mu się do ciała. *Gott!* W mgnieniu oka przyklęknął i szukając jakiejś osłony, zaczął na oślep strzelać w stronę domniemanego wroga. Strzały przywróciły mu poczucie rzeczywistości, ochłonął. Pod ścianą leżały dwie! skulone postaci. Tylko słabemu refleksowi wroga zawdzięczał życie. Roost znalazł się przy nim i teraz już spokojnie otaksowali wnętrze. Znajdowali się w sypialni, w której stały dwie szafy i sześć starannie zaścielonych łóżek. Propagandowe plakaty dekorowały wszystkie ściany. W kącie stał drewniany stojak na broń, obecnie pusty. Z innych pomieszczeń dochodziły ich krzyki i odgłosy strzałów, odbijające się echem wzdłuż korytarza. Sierżant, wymieniając w biegu magazynki, ruszył w tę stronę. Kapitan spojrzał jeszcze raz na leżące zwłoki i pobiegł za nim. W powietrzu unosił się duszący dym kordytu. Psiakrew, nigdy się do tego nie przyzwyczaję, pomyślał ze złością Bekker, pociągając gwałtownie nosem i ocierając załzawione oczy. I wtedy ręka zawisła mu w powietrzu. W

pierwszym momencie nie uświadomił sobie, co się dzieje. W budynku zapanowała nienaturalna, zdawałoby się, cisza.

- Panie kapitanie, oddział melduje wykonanie zadania. - Sierżant Roost stał przed nim wyprężony jak struna, ale z radosnym błyskiem w oczach. Najwyższy czas. Trzeba teraz czym prędzej sprawdzić pozostałe oddziały.

- Dziękuję - rzucił Bekker, odwracając się już w poszukiwaniu de Vriesa. Znalazł go w pomieszczeniu biurowym, pochylonego nad radiostacją.

- Jakież wiadomości od der Merwe czy Heitmana?

- Drugi oddział donosi o ruchach w budynku policji, ale nic... Usłyszeli dzwonek telefonu i obaj odwrócili się w stronę stojącego na jednym z biurk aparatu. Bekker spojrzał niezdecydowany, ale po chwili podniósł słuchawkę. Mężczyzna po drugiej stronie był wyraźnie zszokowany i nieźle wystraszony: - Cosate? Co się tam dzieje? Co się stało? Usta Bekkera wykrzywił nieprzyjemny grymas, gdy usłyszał szkolny angielski. Trzasnął słuchawką o widełki. Miasto się budzi. Nie można zwlekać.

- Roost! - zawołał. Sierżant trzymający w ręce nie dojeżdżone udko kurczaka i dwaj inni żołnierze weszli do biura.

- W ostatnim pomieszczeniu jest kuchnia, kapitanie. Parter jest czysty. Żadnych strat - zameldował Roost.

- Dobrze. Weź ludzi i przystąpcie do Drugiej Fazy; przeszukajcie pokoje i zbierzcie wszystkie możliwe papiery, wyglądające na dokumenty. I przyprowadźcie tu Nkume. Ruszajcie! Tylko szybko! A ty, de Vries, wyślij „Rooikat”... - Kończył wydawać polecenia, gdy gdzieś w oddali rozległy się strzały. Szybko zlokalizował, skąd pochodzą: oddział der Merwe musiał znaleźć się w opałach. Nie mógł jednak na razie nic zrobić. Tutaj czekała go jeszcze jedna, ważna robota. Najważniejsza. Nkume pojawił się wyraźnie spięty i nieprzyjazny. Bekker zmusił się do uśmiechu.

- Chodź tu, Nkume. Prawie skończyliśmy. Jeszcze tylko skrytka i wynosimy się stąd. Murzyn bez słowa ruszył przodem. Zatrzymał się przed jednym z pokoi i wszedł do środka, po czym, Wyraźnie przerażony, cofnął się, wpadając na Bekkera.

- Co się dzieje, do jasnej cholery? - syknął, gdy but Nkume prawie zmiażdżył mu stopę. Murzyn stał jak sparaliżowany, po policzkach ciekły mu łzy. Bekker dał na razie za wygraną i sam zerknął do środka. Był to skromny pokój mieszkalny. jedynym luksusem wyróżniającym go od innych była mała umywalka w rogu. Po drugiej stronie, na wąskim łóżku, leżał w nienaturalnej pozycji czarny mężczyzna w średnim wieku, o przetykanych siwizną, krótko obciętych włosach. Jego klatka piersiowa była posiekana pociskami.

- Kto to jest? - warknął kapitan. - Gadaj szybko, bohaterze. - Martin Cosate. Dowódca tutejszej komórki. Był jak ojciec dla... - Nkume załamał się. Bekker wzruszył ramionami i wepchnął go do środka kolbą karabinu. - Nie przejmuj się trupami, *kaffir*. To tylko jeszcze jeden martwy komunista. jeśli nie chcesz dołączyć do niego, rób, co ci kazałem. Przez krótką chwilę zdrajca jakby zawahał się. Palec Bekkera ostrzegawczo musnął spust. To wystarczyło. Potulnie podszedł do szatki stojącej obok łóżka i odsunął ją. Następnie ukląkł i palcami zaczął obmacywać klepki podłogi. Zatrzymał się na moment, a potem niektóre zaczął wyjmować. Mężczyźni, stojący za nim, patrzyli jak zahipnotyzowani w powiększający się otwór i powoli ukazujące się w nim drzwiczki z zamkiem szyfrowym.

- Otwórz sejf. I lepiej się pospiesz. - Bekker miał świadomość, że czas szybko mija. Zbyt szybko. Murzyn zaczął powoli i ostrożnie przekręcać tarczę. Z północy nadal dochodziły odgłosy strzelaniny, ale teraz na południu nastąpił potężny wybuch i Bekker odwrócił się do operatora po raport.

- Trzeci oddział donosi, że wóz policyjny starał się wjechać do miasta. Zniszczyli go *Milanem*, ale kilku policjantów przeżyło i teraz ostrzeliwują się. Oznaczało to ofiary po stronie Zimbabwe. Mieli wprawdzie wyraźne polecenie, aby unikać konfrontacji z tubylcami, ale nikt w kwaterze głównej nie mógł oczekiwać cudów. Zresztą, kilku zabitych czarnych powinno być nauczka dla reszty. Przez ten czas Nkume skończył ustawiać kombinację zamka i przekręcił rygiel. Żołnierze odsunęli go bezceremonialnie, za nim zdążył otworzyć drzwiczki.

- Wyprowadźcie go - syknął Bekker. Rozejrzał się za dowódcą dołączonego oddziału wywiadu: - Teraz wasza kolej, Schoeman. Wyposażony w specjalny aparat fotograficzny

człowiek Schoemana kucnął przy skrytce i ostrożnie wyjął okazały plik papierów. Po kolei układał każdy dokument i robił zdjęcie, następnie odkładał go na bok. To była nagroda, prawdziwa zapłata za miesiąc ciężkiego treningu i drobiazgowych przygotowań, a potem trudów samej wyprawy. Informacje przechowywane w sejfie: plany operacyjne ANC, spis wyposażenia, lista nazwisk będą kopalnią wiedzy dla służb wywiadowczych RPA. Przy odrobinie szczęścia ludzie Kongresu nawet się nie domyślą, że coś tu było ruszane. Z zewnątrz dobiegły kolejne strzały, budząc Bekkera z rozmyślań. Der Merwe i Heitman musieli być w nie złych tarapatach, jeżeli walka trwa tak długo. Schoeman nie potrzebował pomocy, więc Bekker szybko zbiegł na dół. Przed budynkiem czekali Reebeck i Roost ze swoimi ludźmi, z niepokojem oraz niecierpliwością wsłuchując się w nieprzerwaną kanonadę. Każdy zdawał sobie sprawę, że czasu jest coraz mniej.

- Poruczniku Reebeck, weźmie pan połowę swoich ludzi i wzmocni Heitmana. Ja poprowadzę pozostałych na północ. Ty, Roost - odwrócił się do sierżanta - zostajesz i osłaniasz ludzi z wywiadu. Prześlij wiadomość, jak tylko skończą. - Mówiąc to, Bekker jednocześnie gestami instruował żołnierzy ruszających na pomoc der Merwe. W tym czasie Reebeck ze swoimi zniknął już w najbliższej uliczce.

### • **Drugi pododdział jednostki uderzeniowej - północny koniec Gawamby, Zimbabwe**

Mały oddziałek pędził środkiem ulicy w stronę komendy policji. Ciężkie buty tonęły w pyłe, wzbijając wokół tumany kurzu i rozgniatając leżące wszędzie odpadki. Nie było czasu na ciche podchodzenie. Musieli ryzykować. Bekker nie spodziewał się jednak ze strony mieszkańców, mimo że wielu z nich było zwolennikami ANC, jakichkolwiek wrogich gestów. Potwierdzało się to na każdym kroku. Na zewnątrz było pusto. Tylko w oknach ukazywały się co chwila wystraszone twarze cofające się w popłochu na widok uzbrojonego wojska. Na rogu jednej z ulic zatrzymali się, przypadając do ściany domu. Byli niedaleko celu. Bekker ostrożnie wysunął głowę zza węgła. Na jezdni leżały zwłoki, a pod ścianami kilku rannych usiłowało zakładać sobie prowizoryczne opatrunki. Reszta, ukryta w różnych miejscach, ostrzeliwała posterunek.

- Zablockować wylot ulicy za komendą. Macie trzy minuty! - krzyknął kapitan do swojej grupy, a sam podczołgał się do najbliższej pozycji oddziału der Merwe.

- Gdzie dowódca? - spytał dwóch ludzi klęczących za niskim murkiem.

- Przed chwilą poszedł tam, kapitanie - odrzekł jeden, wskazując ręką na budynek policji.

- W porządku. Zaczynajcie pomału przenosić rannych w stronę punktu zbornego. I nie zostawiajcie ciał naszych ludzi, po co dawać satysfakcję czarnuchom. Nagle strzelanina się wzmogła. Pociski odbijały się od murku i ściany nad ich, nisko teraz pochylonymi, głowami. Bekker odczekał chwilę i wykorzystując krótką przerwę, odczołgał się spod linii ostrzału. Potem szybko się podniósł i pobiegł we wskazanym przez spadochroniarzy kierunku. W połowie drogi dogonił go de Vries. Okrążyli łukiem posterunek, poruszając się teraz dużo ostrożniej, krótkimi zrywami, od drzwi do drzwi. Znaleźli der Merwe leżącego za prowizoryczną osłoną z jakichś pudeł i strzelającego w kierunku zabarykadowanych okien. Przykucnęli przy nim.

- Jest tam co najmniej dwudziestu ludzi i mają broń automatyczną, kapitanie. Przygwoździliśmy ich w środku i czekamy, odpowiadając tylko na ich strzały. - Porucznik, najmniej doświadczony bojowo oficer oddziału, oddychał ciężko, ale poza tym sprawiał wrażenie spokojnego.

- Teraz nie możemy się już bawić. - Bekker ze złością zerknął w stronę żółtego budynku. - Musimy ich stamtąd wykurzyć i wykończyć, zanim przybędą *Pumy*. Przygotowaliśmy zasadzkę na ulicy, blisko „Kudu”. Poprowadź tam swoich ludzi. Sprawimy *kaffirom* niemiłą niespodziankę... Aha, dwóch żołnierzy mi zostaw. Der Merwe uśmiechnął się pod wąsem, i rozejrzał, usiłując zlokalizować wszystkich swoich. Dał znak najbliższemu spadochroniarzom, wskazując na Bekkera. W tym czasie de Vries zdążył odebrać meldunek.

- Schoeman skończył, kapitanie. Wszystkie ślady zatarte. Dokumenty są z powrotem w sejfie. *Pumy* są już w drodze.

- Świetnie. - Nasłuchiwał chwilę. Na południu było cicho. Myślę, że Heitman dał sobie już radę. Teraz wszystko, co nam zostało do zrobienia, to rozprawić się z tymi cholernymi policjantami, i w drogę, do domu. Pobiegł z de Vriesem i dwoma przydzielonymi żołnierzami w stronę jednego z ważniejszych punktów ostatniej już, na szczęście, akcji. Czekał tam z kilkoma ludźmi Roost. Z tyłu rozległy się gwizdki sygnalizujące wycofywanie się drugiego oddziału.

- Weź dwóch ludzi i zabezpieczcie następną przecznicę, sierżancie. Kapral de Vries zostaje ze mną - krzyknął Bekker, zerkając zza narożnika domu na główną ulicę. Komandosi der Merwe z okrzykami: - Cofać się! Wycofujemy się! - zasypywali ulicę granatami dymnymi. Bekker sprawdził broń, włożył nowy magazynek, następnie wyjął zza pasa granat, przywarł do ściany i czekał. Nadal nic się nie działo. Sekundy wlokły się nieznośnie. Nagle wstrzymał oddech. Usłyszał stukot butów i nawoływania w obcym języku. Bez trudu rozpoznał *shona*, główne narzecze plemienne, używane w Zimbabwe. Z dymu wynurzyli się ludzie, przebiegając koło jego kryjówek. Wszyscy byli czarni. Więcej wojska niż policji, pomyślał Bekker, widząc mundury. Minęli go, nieświadomi, wbiegając w sam środek zasadzki. - Ognia! - ryknął kapitan, wyrываяc zawleczkę granatu i ciskając go w stronę wroga. Rozpoczęła się jatka. Wybuch granatu rozniósł się echem w uliczce. Zawtórowały mu karabinki. Z wszystkich zaułków posypał się grad pocisków, siejąc spustoszenie wśród kompletnie zaskoczonych przeciwników. Bekker nie próżnował. Docierające jęki upewniały go, że każdy strzał był celny. W skłębionych oparach dostrzec można było niewyraźne sylwetki miotających się na wszystkie strony ludzi. Odgłosy przekleństw, jęków i padających ciał mieszały się ze sobą, tworząc przerażający rejwach. Dowódca dał swoim ludziom jeszcze trochę czasu, a potem sięgnął po wiszący na szyi gwizdek. Jego przenikliwy dźwięk przedarł się przez huk broni. Nagle, tak jak się zaczęło, wszystko umilkło. Z poboju nie dochodziły żadne odgłosy, zadanie zostało wykonane dokładnie. W powietrzu rozległ się narastający warkot. To nadlatywały *Pumy*, ich transport do kraju.

### • Punkt zborny jednostki uderzeniowej, okolice Gawamby, Zimbabwe

Na poletku skoszonego zboża pod miasteczkiem przysiadły trzy śmigłowce transportowe, z obracającymi się cały czas łopatami wirników. Nad nimi krążył leniwie helikopter szturmowy. Dowódca czujnie obserwował przygotowania do odlotu. Przeraźliwy łoskot maszyn; unoszące się chmury kurzu, ziemi i żdźbeł traw; nadbiegający ze wszystkich stron żołnierze; nosze z rannymi, leżące niedaleko maszyn - wszystko to sprawiało wrażenie całkowitego chaosu. Bekker wiedział jednak, że to tylko pozory. Załadunek szedł sprawnie, ranni szybko i troskliwie umieszczani byli w helikopterach, a jego pierwszy oddział czuwał w pobliżu. Kapral de Vries, jak cień, stał tuż obok swojego przełożonego. Bekker poczuł właśnie na ramieniu jego rękę i usłyszał nad uchem krzyk:- Śmigłowiec szturmowy zauważył dziesięciu nieprzyjaciół na przedmieściach miasta. To są ich czujki. Za nimi idą inni. Bekker odruchowo spojrzał w górę. Maszyna właśnie przestała nad nimi krążyć i skierowała się w stronę miasta. Czas się zwijać. Ruszył zdecydowanym krokiem w stronę najbliższej *Pumy*. Zatrzymał się przy burcie i zwrócił do operatora:- Rozkaż pierwszej drużynie odwrót - jego polecenie zostało częściowo zagłuszone przez huk wystrzałów, dochodzący gdzieś z góry. Spojrzał w tym kierunku i dostrzegł błyski wydobywające się z trzydziestomilimetrowego działka helikoptera szturmowego.

- Nieprzyjaciel się zbliża - usłyszał głos de Vriesa. Zanim zdążył zareagować, padła komenda Reebecka: - Zasłona dymna! W chwilę później lądowisko zaczęło znikać za białą kurtyną powstałą po rzuceniu granatów dymnych. Gdy widzialność zmaląa do zaledwie paru metrów, część ludzi Reebecka pognęła w stronę otwartych drzwi maszyn. Działka śmigłowca szturmowego odezwały się ponownie, tym razem bliżej, zmuszając do maksymalnego pośpiechu. Minutę później Reebeck z pozostałymi dołączył do swoich. Bekker, stojący jeszcze na zewnątrz, poprzez jęk silników i gwizd powietrza, mielonego przyspieszającymi ostro łopatami wirnika, usłyszał pierwsze wystrzały. Karabiny. Uświadomił sobie nagle, że to strzelają w ich kierunku żołnierze Zimbabwe, mając duże szanse trafienia w tak duże cele, jakimi były helikoptery. Zmusił się jednak do spokoju. Reebeck, eskortujący spadochroniarzy, sprawdzał w pamięci nazwiska wsiadających i tych, którzy już byli w

środku. Kiedy ostatni żołnierz znalazł się na pokładzie, uderzył pięścią w otwartą dłoń i porozumiał się wzrokiem z Bekkerem. Obaj wskoczyli jednocześnie w momencie, gdy *Puma* gwałtownie podrywała się do góry. Za nią ruszyły pozostałe śmigłowce. Bekker stał przy otwartych jeszcze drzwiach, jedną ręką trzymając się ramy. Podniósł do oczu lornetkę i obserwował ziemię. Prawie pod sobą widział niezbyt dużą grupkę nieprzyjaciół, ale daleko, na drodze prowadzącej do miasta, zauważył sznur małych punktów. To nadchodziła odsiecz Zimbabwe. Spóźniliście się, dranie, rzekł do siebie z satysfakcją. Ale nawet gdybyście dotarli na czas, to i tak by wam nie pomogło. Jakby dla podkreślenia jego słów tuż obok mignęła srebrzysta strzała. Kapitan, w pierwszej chwili zaskoczony, odetchnął z ulgą, rozpoznając myśliwce *Mirage* Sił Powietrznych RPA, wysłane dla ich ewentualnego wsparcia. Wysoko nad nimi przelatywały inne maszyny. Wszystkie miały za zadanie zapewnić im ochronę przed lotnictwem Zimbabwe. *Pumy* nadal się wznosiły, aż osiągnęły pułap dwóch tysięcy metrów. Ta wysokość, dająca większy komfort lotu, zupełnie wystarczała, by uczynić ich niewidzialnymi. Bekker uspokoiony wycofał się do środka, usiadł i wreszcie zapalił papierosa. Zaciągając się głęboko dymem, analizował każdy element akcji. Zawsze tak robił. Pomagało mu to odreagować, a przede wszystkim umożliwiało uniknięcia błędów w przyszłości. Spadochroniarze, również rozluźnieni, rozładowywali i sprawdzali broń, opatrywali sobie nawzajem rany i już zaczęli fantazjować na temat własnych zasług w tym zwycięskim rajdzie. Jednak osobą najbardziej rozluźnioną był Nkume. Z przymkniętymi oczami rozmyślał o swoim położeniu. Teraz już sięgnie bał. Przeżył akcję, wykonał zadanie w stu procentach, a południowoafrykański wywiad wiele mu za to obiecał. Nie tylko zostanie mu zaoszczędzone więzienie czy nawet śmierć, ale ma dostać bilet na samolot do Anglii, nowy paszport i dużą sumę pieniędzy. Uśmiechnął się do siebie. otworzył oczy i zobaczył uważne spojrzenie Bekkera i jego zapraszający gest na miejsce obok. Nisko schylony Murzyn chwycił metalową wręgę, starając się utrzymać równowagę i pomału zaczął podchodzić do oficera. Nachylił się nad nim, mówiąc coś niewyraźnie. Bekker nie dosłyszał słów, a zresztą było to teraz nieważne. Skinął jednak głową i wyciągnął rękę, jakby w geście powitania. jednocześnie drugą sięgnął po nóż i jednym ruchem wbił go w pierś Nkume po samą rękonoż. Twarz czarnego wykrzywiła się w strasznym grymasie. Puścił ramę i chwycił rękę napastnika cały czas trzymającą nóż. Powoli zaczął się osuwać na pokład, bełkocząc coś poprzez bąbelki krwawej piany wydobywające się z ust. Bekker nie pozwolił mu upaść. Wolną ręką podtrzymał go, drugą wyszarpnął nóż z rany i mocno popchnął rannego w stronę otwartych drzwi. Nkume zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale nie miał już dość siły na jakąkolwiek obronę. Gdy poczuł pod sobą próżnię, instynktownie usiłował przytrzymać się czegoś, ale było za późno. Złapał tylko powietrze. Bekker z całkowitym spokojem wyczyścił nóż, schował go do pochwy i rozejrzał się po kabinie. Nikt nie zareagował. W pierwszej chwili niektórzy tylko obrzucili go pytającym spojrzeniem, ale zaraz wracali do przerwanych na chwilę czynności; dowódca musiał mieć powody, żeby tak postąpić. A powody były. Jeśli ktoś umiał zdradzić raz, będzie umiał to zrobić ponownie. Ich operacja była zbyt delikatna, by podejmować jakiegokolwiek ryzyko. Siły bezpieczeństwa chętnie wykorzystywały podobnych ludzi, ale potem, gdy stawali się niewygodni, a nawet niebezpieczni, jeszcze chętniej się ich pozbywały. Wykonawszy ostatnią część zadania, Rolf Bekker spokojnie usiadł, westchnął i zamknął oczy. Już po chwili spał.



## Przebłąski

- **23 maja - centrum operacyjne ANC, Gawamba, Zimbabwe**

Lekki powiew wiatru podrażnił nozdrza pułkownika Sese Luthuli zapachem śmierci. Ostrożnie wciągnął powietrze i zatrzymał je na chwilę w płucach, starając się zignorować straszliwy zapach rozkładających się ciał. W czasie dwudziestu pięciu lat służby w Afrykańskim Kongresie Narodowym, Luthuli widział zbyt wiele zwłok, żeby odór kilku następnych ciał mógł rozstroić jego żołądek. Odgłos zduszonego kaszlu za plecami uprzytomnił pułkownikowi, że większość mężczyzn z ochrony nie była tak doświadczona. Zachnął się. To musi ulec zmianie. Żeby oswobodzić Afrykę Południową, *Umkhonto we Sizwe*, zbrojne ramię ANC potrzebowało ludzi zaprawionych w walkach, a nie takich dzieciaków. Czy głupców, jak ci, którzy pozwolili się zaszlachtować w Gawambie. Luthuli spojrzął gniewnie na leżący przed nim rząd trupów. Dwanaście poszarpanych kulami ciał przykrytych poplamionym krwią płótnem. Dwanaście symboli zwycięstwa Afrykanerów, którym będą się długo szczyścić.

- Pułkowniku? Luthuli odwrócił się do swojego szefa wywiadu, młodego mężczyzny, którego zimne jak lód oczy były znacznie powiększone przez grube okulary w drucianych oprawkach.

- Właśnie skończyliśmy przegląd po napadzie.

- I? - Luthuli panował nad głosem, starając się ukryć swój niepokój i zniecierpliwienie.

- Skrytka na dokumenty jest nietknięta. Znalazłem wszystko, nad czym Cosate i jego ludzie pracowali. Wliczając w to plany przygotowawcze ZERWANEGO PRZYMIERZA. Pułkownik poczuł wyraźną ulgę. Bał się, że ZERWANE PRZYMIERZE, plan najambitniejszej operacji w dziejach ANC, został odkryty przez wroga. Nie pozwolił sobie jednak na pełne odprężenie.

- Jakież ślady manipulowania przy zamku?

- Żadnych. - Szef wywiadu zdjął okulary i zaczął mankietem przecierać szkła. - Wszystko inne na górze zostało dokładnie przeszukane: opróżnione biurka, rozwalone szafy i stoły. Wszędzie ślady tych drani Afrykanerów. jednak nie znaleźli sejfów.

- Jesteście pewni? - spytał Luthuli. Młodszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nigdy nie można być pewnym w takich sprawach, pułkowniku. Rozmawiałem jednak z żołnierzami z garnizonu, którzy przeżyli napad. W czasie strzelaniny było tu dosyć gorąco. Wątpię, żeby Afrykanerzy mieli czas na dokładniejsze poszukiwania, nim się wycofali. A tak w ogóle, to tylko banda zwykłych tępaków. Przetrasnęli trochę mebli i już pewnie puszą się z odniesionego sukcesu. - Uśmiechnął się znacząco. Luthuli odwrócił się i wskazał palcem na rząd trupów. W jego głosie słychać było nie skrywaną furię: - Bo to był sukces, majorze. Te tępaki, jak ich pan nazywa, zrobiły poważną wyrwę w naszym Południowym Centrum. Czyż nie tak... proszę... pana? - ostatnie słowa wymawiał wolno, cedząc przez zęby. Z twarzy mężczyzny zniknął cwany uśmiech. Szybko, posłusznie wybąkał: - Tak, pułkowniku. Ma pan rację. Wcale nie chciałem powiedzieć, że... Luthuli przerwał mu zniecierpliwiony.

- Nieważne. To już i tak nie ma znaczenia. Patrzył nieruchomo na południe, w stronę skrytej za horyzontem odległej granicy z RPA Słabość Gawamby ukazała się w całej pełni. Tym razem mieli szczęście, ale jeśli Afrykanerzy wrócą ponownie, może już im nie dopisać. Przygnębiony tą myślą potrząsnął głową. Dalsza obecność ANC w mieście była niebezpieczna. Najwyższy czas wynieść się stąd. Zwrócił się do szefa wywiadu: - W tej chwili ważne jest, żebyśmy zabrali wszystkie dokumenty ze schowka i zawieźli do Lusaki, gdzie będą bezpieczne. Oczekuję, że będziecie gotowi do wyjazdu w ciągu godziny. Czy wyrażam się jasno, majorze? Młodszy mężczyzna skinął głową, zsalutował w pośpiechu i pobiegł do wypalonego budynku policji, żeby rozpocząć pracę. Luthuli odprowadzał go przez chwilę

wzrokiem, a następnie spojrzął ponownie na zakrwawione płachty. Gdzieś pod nimi leżał Martin Cosate. Pułkownik zacisnął bezwiednie pięści. Cosate był jego przyjacielem i towarzyszem od niepamiętnych czasów.

- Martin, zostaniesz pomszczony - wyszeptał. Przypomniawszy sobie powiedzenie ze szkoły misyjnej lub z czasów studiów w Moskwie: „Ci, których zabijesz po śmierci, więcej będą znaczyć, niż ci, których zabijesz za życia”. Luthuli uśmiechnął się gorzko. Nie była to żadna przenośnia. Stworzony przez Cosate plan ZERWANEGO PRZYMIERZA był bezbłędny. Jeśli operacja się powiedzie, to śmierć przyjaciela zostanie pomszczona tysiącokrotnie. Pułkownik pomaszerował do pomalowanego na kolory maskujące Land Rovera, obok którego stała gotowa do opuszczenia Gawamby jego ochrona osobista. Czekala ich długa jazda do Lusaki i... zemsta.

## • 25 maja - przed budynkami parlamentu. Kapsztad

Ian Sherfield stał w pełnym słońcu na tle budynków parlamentu z wysokimi, zgrabnymi kolumnami, metalowym ogrodzeniem i rzędami starych dębów rosnących wzdłuż Alei Rządowej. Lekki wiatr rozwiewał jego jasne włosy; niebieskoszare oczy były skoncentrowane na obiektywie kamery. Niektórzy szefowie sieci telewizyjnej, którzy zatrudnili go jako korespondenta, uważali, że właśnie twarz i oczy były jego największym atutem. Według nich, mocno zarysowana szczęka, przyjacielski uśmiech i szczere, wyraziste oczy czyniły go fotogenicznym i jednocześnie nieprzesadnie przystojnym. Fakt, że jego dobry wygląd był poparty analitycznym umysłem i pierwszorzędnym talentem pisarskim, nie miał dla nich większego znaczenia. Ostatni atak sił południowoafrykańskich na tych, których się tutaj nazywa terrorystami, miał miejsce w szczególnie niekorzystnym dla rządu Haymansa okresie. Przyciśnięci przez pogłębiający się ekonomiczny i polityczny kryzys biali przywódcy kraju oparli swoje nadzieje na bezpośrednich rozmowach z ANC - główną grupą opozycyjną, skupiającą czarnych mieszkańców RPA. Jak dotąd, ponad rok gwałtownych, trudnych i ciągle przerywanych negocjacji przyniósł jedynie zarządzenia dotyczące: powrotu ANC do otwartej działalności politycznej, czasowego zawieszenia wojny partyzanckiej i zgody obu stron na prowadzenie rozmów o poważniejszych reformach. Jednak nawet te nieduże zwycięstwa zostały zagrożone przez zeszytygodniowy napad na siedzibę ANC w Zimbabwie. Biorąc pod uwagę ogólną liczbę zabitych, trudno jest przewidzieć, czy możliwy będzie jakiś postęp w rokowaniach prezydenta Haymansa i jego doradców z Afrykańskim Kongresem Narodowym na temat pokoju i politycznych reform. W rokowaniach, które według umiarkowanych polityków miały zakończyć narastające fale niepokoju w czarnych miastach. Obecnie siły bezpieczeństwa pogrzebały nawet tę nikłą nadzieję; pogrzebały ją obok ludzi zabitych trzy dni temu w Zimbabwie. Z Kapsztadu. mówił dla Państwa Ian Sherfield. Ian skończył mówić i czekał, aż zgaśnie czerwone światełko kamery. Uśmiechnął się z ulgą i ostrożnie zszedł z futerału kamery, zastanawiając się po raz setny, dlaczego za najlepsze ujęcia uznawane są te, na których ma o pół metra więcej od swojego rzeczywistego wzrostu, stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów.

- Dobra robota, Ian. - Sam Knowles, jego operator i dźwiękowiec, a zarazem cała obsługa techniczna skupiona w jednym niewysokim człowieku, spojrzawszy znad wizjera kamery i uśmiechnął się. - Wyglądało zupełnie, jakbyś wiedział, o czym mówisz. Ian odwzajemnił uśmiech.

- Dziękuję, Sam. Taka pochwała od ignoranta, który zna się jedynie na technice, brzmi całkiem nieźle. - Postukał palcem w zegarek. - Ile taśmy zmarnowałem?

- Pięćdziesiąt osiem sekund. Ian odczepił przypięty do koszuli mikrofon i rzucił go Samowi. - Pięćdziesiąt osiem sekund. Policzmy... - Rozluźnił krawat.

- Myślę, że to jest warte zero sekund w dzisiejszych wiadomościach w Nowym Jorku. Knowles wyglądał na urażonego.

- Daj spokój. Może dostaniesz coś więcej. Ian przecząco potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nazywam rzeczy po imieniu. - Zaczął zdejmować marynarkę, ale zawahał się. W Afryce Południowej na początku zimy temperatura zaczynała lekko spadać. - Kłopot polega na tym, że właśnie nagrałeś pięćdziesiąt osiem sekund analiz, a nie konkretnych wiadomości. Zgadnij, kto zdobędzie miejsce przy stole montażowym, gdy chłopcy z sieci

będą mieli do wyboru nasz materiał i bezpośrednie nagranie jakiegoś większego wypadku drogowego z Baton Rouge. Knowles ukląkł, żeby zapakować kamerę.

- W porządku. Lepiej zacznij się modlić o jakąś większą katastrofę gdzieś w pobliżu. Obiecałem mamie, że zdobędę Nagrodę Pulitzera przed czterdziestką. W tym tempie nigdy się jej nie doczekam. an zmusił się do uśmiechu, który zaraz znikł. Ostatnia uwaga kamerzysty, rzucona półzartem, boleśnie uświadomiła mu jego własne nadzieje, ale i obawy. Korespondenci telewizyjni, co prawda, nie otrzymywali Pulitzera, ale istniały inne formy wynagradzania, które udowodniały, że się jest cenionym przez widzów oraz własnych przełożonych. jednak na żadną nie mógł chyba liczyć w najbliższym czasie, a przynajmniej dopóki tkwił beznadziejnie w Afryce Południowej. „Ugrzązł” to słowo najlepiej określało jego obecny status. jeszcze kilka miesięcy temu nikt nie użyłby tego określenia w stosunku do niego. Był, jak to się ładnie określa, młodym, dobrze zapowiadającym się i szybko pnącym do góry dziennikarzem. Wyróżniony absolwent Uniwersytetu Columbia, który tylko rok współpracował z lokalną prasą, zanim podjął pracę w poważnych dziennikach o zasięgu krajowym. Po kilku latach udało mu się przeskoczyć granicę dzielącą prasę od telewizji. Także i tutaj nie opuszczało go szczęście. Zdołał nawiązać współpracę z lokalną stacją w Chicago, bez marnowania czasu na tuzinkowe historie, jak przeboje sezonu ogórkowego, gwiazdy rozrywki czy najnowsze szaleństwa superdiety. Zamiast tego wyrobił sobie nazwisko i uznanie szefów sensacyjnym ciągiem reportaży o przemyśle narkotyków przez Międzynarodowe Lotnisko O’Hare. Kiedy znalazł się w sieci, nieprzerwany strumień celnych relacji zwrócił uwagę szefów w Nowym Jorku. Powierzono mu nawet zastępstwo podczas zbliżających się obrad Kongresu w Waszyngtonie. W ten sposób stał się potencjalną gwiazdą. Od Wzgórza Kapitolu biegła prosta droga do obsługi samego Białego Domu. To z kolei było najpewniejszym sposobem na zajęcie stanowiska dziennikarza prowadzącego własny program. Miał trzydzieści dwa lata i mógł liczyć na pewny sukces. Wtedy właśnie popełnił błąd. W zasadzie nic wielkiego. Nic, co miałoby większe znaczenie w jakimkolwiek innym biznesie, gdzie czyjeś ego nie odgrywało takiej roli. Został zaproszony do udziału w programie pod tytułem „Tendencje w środkach przekazu”. Był tam także jeden z najlepszych dziennikarzy sieci. Ian nadal pamiętał całą scenę z bolesną wręcz wyrazistością. Spytany o przykłady tendencyjnego przedstawiania wiadomości w dzienniku wieczornym, dziennikarz wygłosił długą i nadętą przemowę o własnym obiektywizmie. W tym właśnie miejscu Ian wszystko spieprzył. Podpuszczony przez prowadzącego, praktycznie dobrał się dziennikarzowi do skóry, cytując przykład za przykładem, gdzie dobrze znane poglądy polityczne tamtego wpływały na sposób przedstawiania wiadomości. Występ był naprawdę udany i przyniósł mu potężne owacje ze strony zaproszonej publiczności i pełne nienawiści spojrzenia dziennikarza. Przez następne tygodnie nie myślał o tej sprawie. Dopóki nie znikła jego obiecana promocja na Wzgórze Kapitolu, zastąpiona wyznaczeniem go na korespondenta zagranicznego w Kapsztadzie. Wtedy dopiero zrozumiał, jak strasznie schrząnił sprawę. Afryka Południowa była słusznie uważana za grób dla ambitnych dziennikarzy. Kiedy w kraju było spokojnie, nie było żadnych tematów na sensacyjne reportaże. Gdy sytuacja stawała się gorąca, wkraczały siły bezpieczeństwa RPA, uniemożliwiając wysłanie jakichkolwiek ważniejszych informacji. Co gorsza, obecny rząd prowadził nie spotykaną dotąd politykę powściągliwości. Oznaczało to na przykład brak jakiegokolwiek dokumentacji z brutalnych akcji policji. Rezultatem był praktycznie brak czasu antenowego dla dziennikarzy próbujących pracować w RPA jednak właśnie sekundy czy minuty na ekranach amerykańskich telewizorów były miarą, według której oceniano dziennikarzy. Ian dobrze wiedział, jak bardzo spadł na listach rankingowych reporterów. Od czasu przybycia do Kapsztadu. sześć miesięcy temu. wysłał dziesiątki historii satelitarnymi łączami do Nowego Jorku. W Ameryce pokazano z tego raptem cztery minuty dwadzieścia trzy sekundy. Zupełne zapomnienie. bardzo w stylu telewizji.

- Hej. Sherfield! jesteś tam? Możemy już iść? Ian podniósł wzrok, wyrwany z ponurych rozmyślań przez głos Knowiesa. Z częściami do kamery i sprzętu dźwiękowego zawieszonymi na plecach i zwisającymi z rąk jego operator bardziej przypominał obładowanego muła niż człowieka.

- Gotowy i chętny, choć niezbyt zdolny. - Wyjął kilka stalowych kuferków z rąk Knowlesa. - Wezmę je od ciebie. Mogę cię jeszcze potrzebować, ale bez przepukliny.

Dwaj mężczyźni ruszyli w stronę zaparkowanego nie opodal poobijanego Forda. Kolejny zmarnowany dzień. Ian machinalnie kopnął kamyk, który poleciał ulicą i odbił się od lśniących butów poważnego policjanta w szarym mundurze.

- Cholera! - mruknął Knowles pod nosem. Policjant patrzył zimno na zbliżających się Amerykanów i gdy podeszli, warknął: - Dokumenty! Ian i jego operator postawili ostrożnie sprzęt na ziemi i zaczęli szukać w wypchanych kieszeniach paszportów i zezwoleń na pracę. Następnie patrzyli, jak policjant z nieprzyjemnym uśmiechem przyklepionym do wąskiej twarzy niespiesznie kartkuje dokumenty. Wreszcie spojrzął na nich.

- Jesteście dziennikarzami? Ian usłyszał wyraźną wzgardę w głosie policjanta i poczuł złość. Z jego głosu przebijała irytacja.

- Zgadza się. Amerykańscy dziennikarze. jakiś problem? Policjant przyglądał mu się przez kilka sekund.

- Nie, *meneer* Sherfield, żadnego problemu. jest pan wolny. Na razie. Na przyszłość radziłbym panu jednak okazywać więcej szacunku. W chwili, gdy Ian wyciągnął rękę po paszporty i zezwolenia, niby przypadkowo policjant upuścił je. Miesiące lekceważenia i narastająca wściekłość w jednej sekundzie spowodowały wybuch. Przez ułamek sekundy widział ciało policjanta jako mapę wrażliwych miejsc nadających się do ataku. Najpierw splot. Następnie ten arogancki, doskonale uformowany nos. Ręce Iana zacisnęły się w pięści, gotowe do zadania ciosów. Pokaże, czego się nauczył podczas dwóch lat treningów w szkole. W tym samym momencie zauważył triumfujący uśmiech mężczyzny. Co go tak ucieszyło? Wróciła zdolność racjonalnego myślenia. Sukinsyn chciał sprowokować walkę. Podjęcie wyzwania mogło oznaczać jedynie kłopoty. Poważne kłopoty. Przyklęknął bez słowa i zebrał rozsypane na chodniku papiery. Deportowanie nie było sposobem, w jaki chciałby opuścić ten kraj. Kiedy otworzyli bagażnik samochodu. Knowles zaryzykował spojrzenie przez ramię.

- Ten sukinsyn nadal nas obserwuje. Nie oglądając się za siebie, Ian wśliznął się za kierownicę Fiesty. - Pewnie zazdrości nam jaj. Operator roześmiał się cicho i zamknął drzwi.

- Rozchmurz się trochę, Ian. jeśli rząd kiedyś spuści ze smyczy takich małych nazistów, jak ten tam z tyłu. to będzie dosyć krwi na reportaż. Zjeżdżając z krawężnika, Ian przyglądał się wyprostowanej sylwetce nadal zwróconej w ich stronę. Knowles pewnie miał rację. Ta myśl nie poprawiła mu jednak samopoczucia.

## • 29 maja - Ministerstwo Prawa i Porządku. Pretoria, RPA

Gabinet w Ministerstwie Prawa i Porządku wyjątkowo trafnie odzwierciedlał charakter osoby, która go obecnie zajmowała. Był zimny i odpychający. Minister Vorster, siedzący sztywno za biurkiem na niewygodnym, twardym krześle, zerknął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu do spotkania. Machinalnie omiatał wzrokiem puste wnętrze, porysowaną, drewnianą podłogę i gołe, białe, niezbyt czyste ściany. W pewnym momencie spojrzął na pracujący wentylator stojący na brzegu biurka, jedyne jego ustępstwo na rzecz nowoczesności. Nowoczesność, pomyślał. Nie... to nie jest ważne. Tradycja, tylko ona się liczy. Ich tradycja. Pełna duchów przeszłości, z ich ideałami, bezwzględną walką o nie, wielokrotnie zakończoną heroiczną wręcz śmiercią. Tak, to jest spuścizna, której nie wolno zaprzepaścić. Los dał mu teraz niebывалą szansę. Zamyślił się. Ponad trzysta lat temu jego przodkowie wzorem innych kolonizatorów holenderskich wyruszyli na podbój nowych terenów. Podejmując się rzeczy bardzo ryzykownej w tamtych czasach, dotarli drogą morską, wzdłuż wybrzeży Zachodniej Afryki, na południe, do Przylądka Dobrej Nadziei. Bardzo szybko obszar ten został podbity i zagospodarowany - powstało miasto Kapsztad, przy którym rozrastała się kolonia holenderska - Kraj Przylądkowy. Na początku XIX wieku ziemie te anektowali Brytyjczycy, co spowodowało wyparcie Burów - tak zwano potomków osadników holenderskich - na północ. Ponad 20-letni exodus, tzw. Wielki Trek, wiódł wschodnim wybrzeżem południowej Afryki, przez góry Drakensberg, ziemie Natalu, gdzie po wielu walkach z plemionami Bantu osiedliła się część wędrowców, aż do prowincji Oranii i Transwalu - ziomkowie Vorstera uważali się za duchowych spadkobierców przekazów biblijnych, wybrańców Boga, którzy dotarli do swojej ziemi obiecanej. W 1844 r. założyli republikę Oranii, a zaraz potem Transwalu, uznane na początku przez Brytyjczyków. jednak

odkryte na tych terenach bogactwa naturalne - złoto w Transwalu i diamenty w Oranii, doprowadziły na przełomie wieków XIX i XX do paroletnich zbrojnych konfrontacji między Burami a Brytyjczykami, pod nazwą wojen burskich. W 1901 r. rozpoczęła się decydująca faza wojny, zakończona w maju 1902 r. pokojem, w którym obie republiki uznały zwierzchnictwo Imperium Brytyjskiego. Ogółem w obozach straciło wówczas życie ponad 20.000 kobiet i dzieci. Dziad Vorstera walczył wtedy jako dowódca jednego z lokalnych oddziałów. Podczas jednej z akcji został schwytyany i stracony. Babka, uwięziona w obozie koncentracyjnym, wycieńczona głodem, zmarła na tyfus. Ojciec, pastor Zreformowanego Kościoła Holenderskiego, był kontynuatorem tradycji rodzinnych. Jego poglądy odzwierciedlały uczucia wielu Burów - Afrykanerów. Głęboko zakorzeniona nienawiść do Brytyjczyków i jednoznaczne poglądy na problem rasowy spowodowały podczas II wojny światowej jakby automatyczne poparcie dla Trzeciej Rzeszy. Oficjalnie, jak wszyscy Południowoafrykańczycy, walczyli w szeregach aliantów, ale w rzeczywistości sympatyzowali z hitlerowcami. Po wojnie Vorster został członkiem Partii Narodowej, która doszła do władzy w 1948 r. Od tego momentu polityka ścisłej segregacji rasowej - apartheidu - stała się oficjalną doktryną państwa. Wszystkie poglądy ojca przekazane zostały synowi jako dogmat. To dziedzictwo stało się drogowskazem w życiu Karla Vorstera, obecnego ministra prawa i porządku w rządzie nowej elity. Przeciągnął się i sięgnął po leżące przed nim dokumenty.

- Dobra robota, Muller. Pański mały wypad przywrócił strach przed Bogiem u tych *kaffirów* i nie mógł się zdarzyć w lepszej dla nas chwili - powiedział po jakimś czasie do stojącego przed nim na baczność oficera. Pozwolił sobie nawet na półuśmiech, który miał być miły, ale wywołał tylko grymas na jego twarzy, której rysy jeszcze bardziej się wyostriły.

- Dziękuję, panie ministrze. - Erik Muller, dyrektor Centrali Wywiadu Wojskowego, odetchnął z ulgą, nadal jednak wyprostowany jak struna. Vorster wymagał od swoich podwładnych okazywania mu należytego szacunku i zachowania odpowiedniego dystansu, o czym wszyscy woleli pamiętać. - Obawiałem się, że prezydent może niezbyt cieszyć się z naszej akcji. Vorster aż sapnął z wściekłości.

- To nie ma znaczenia. Haymans nie ma takiego poparcia, żeby się sprzeciwić, a poza tym będzie wolał nie narażać się. W każdym razie na pewno nie przy całym rządzie czy wśród *broeders*. Uczy się jedynie fakt, że ukręciliśmy łeb kretyńskiemu pomysłowi prowadzenia rozmów z bandą kłamliwych czarnuchów. jedynie to jest ważne! - Dla podkreślenia swoich słów walnął pięścią w stół.

- Tak jest, panie ministrze. - Prawa noga Mullera musnęła stojącą obok niego teczkę. Nagłe podniecenie na myśl o jej zawartości zaparło mu oddech. - No i udało nam się zdobyć bezcenne materiały z sejfu w Gawambie. Vorster spojrzał uważniej na szefa wywiadu. Centrala Wywiadu Wojskowego była odpowiedzialna za zbieranie danych o znaczeniu strategicznym - wliczając w to dane o ruchach czarnych partyzantów walczących z Afryką Południową. Przeprowadzone dawno temu zmiany personalne w gabinecie przeniosły operacje wywiadu pod zarząd Vorstera i od tego czasu nauczył się ufać chłodnemu profesjonalizmowi Erika Mullera. Teraz jednak wyraz twarzy podwładnego przypominał mu kota stojącego przed olbrzymią miską z kremem.

- Niech pan mówi dalej.

- Widział pan listę dokumentów skopiowanych przez ludzi Bekkera? Vorster skinął głową. Czytając raport DWW, po prostu przeleciał wzrokiem kartkę zawierającą nazwiska członków ANC, wykaz sprzętu, hasła i tym podobne. Nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi. Muller położył teczkę na biurku i otworzył ją.

- Nie wszystkie znalezione dokumenty zostały uwzględnione na tej liście. Pewną część pozwoliłem sobie odłożyć na bok. - Wręczył Vorsterowi pokaźny plik. - Te odnoszą się do planowanej przez ANC specjalnej operacji o nazwie ZERWANE PRZYMIERZE Stał w milczeniu, gdy Vorster przeglądał papiery, obserwując z lekkim niepokojem ciemniejącą z wściekłości twarz ministra.

- Dobry Boże, Muller! Te cholerne czarnuchy stają się już zbyt bezczelne. - Ręce Vorstera bezwiednie zacisnęły się, mnąc kartki.

- Czy ten ich monstrualny pomysł jest naprawdę wykonalny? Muller wolno skinął głową.

- Jestem przekonany, że niestety tak, panie ministrze. Zwłaszcza przy braku odpowiednich zabezpieczeń z naszej strony. To faktycznie niezły plan. - W jego głosie słychać było nutkę podziwu. Vorster zmarszczył gniewnie brwi.

- I jakie kroki zostały podjęte, żeby zdusić całą tę rzecz w zarodku? - Wskazał na leżące przed nim papiery.

- Żadne... jak na razie, panie ministrze. Wściekłość na twarzy ministra pogłębiła się.

- Proszę się wytłumaczyć, *meneer* Muller. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan zignorował tak poważne dla nas zagrożenie? Bładoniebieskie oczy patrzyły spokojnie na swojego przełożonego.

- Przedstawiłem tę sprawę panu osobiście, ponieważ uważam, że może ona posłużyć rozwiązaniu kilku problemów politycznych. Wydawało mi się, że zechce pan osobiście powiadomić prezydenta o istnieniu tego planu. Nic innego nie może równie dobitnie wykazać bezsensu prowadzenia rozmów z naszymi wrogami. Wolno, niemal niepostrzegalnie wściekłość na twarzy Vorstera zamieniła się w uśmiech.

- Rozumiem. Taak, rozumiem. Młodszy mężczyzna miał absolutną rację. Większość kolegów z gabinetu była zdecydowana uciszyć obecne niepokoje rasowe słowami. Słowami! Co za kretyństwo! Vorster wiedział, że czarni szanowali tylko jedno: siłę. Siłę bata i karabinu. To była jedyna możliwa droga, żeby prawdziwi Afrykanerzy mogli utrzymać swój *baasskap*, swoje panowanie nad kolorowymi rasami zamieszkującymi Afrykę Południową. W jaki inny sposób czteroipółmilionowa społeczność białych mogłaby uniknąć pochłonięcia przez dwadzieścia cztery miliony kolorowych, którymi rządziła? Zbyt wielu ludzi w Pretorii i Kapsztadzie zapomniało o tych liczbach w idiotycznym pędzie ku umiarkowaniu. Jak powiedział Muller, nadszedł czas, żeby im o tym przypomnieć. Vorster przyglądał się swojemu podwładnemu. Ten człowiek miał instynkt, ale jego pewność siebie była wyjątkowo irytująca. Pismo Święte jasno mówiło: „Grzeszna duma otworzyła drzwi dla podszeptów szatana”. Trzeba go trochę poskromić i uzmysłwić mu, kto tu rządzi. Zaczął wygłądać niecierpliwymi, silnymi ruchami leżący na biurku dokument.

- Świetnie pomyślane, Muller. jestem pod wrażeniem, ale też jestem przekonany, że nigdy nie będzie między nami żadnych niedomówień ani nieporozumień. Chodzi mi przecież o pańskie dobro. Muller zamarł.

- Ależ, panie ministrze. ja jestem lojalny... Lojalny wobec pana i wobec naszej sprawy! Uśmiech na twarzy Vorstera rozszerzył się, nie obejmując jednak oczu.

- Oczywiście. Nigdy w to nie wątpiłem. - Złożył plany ZERWANEGO PRZYMIERZA i wsunął je do szuflady biurka. - Haymans zwołał specjalne posiedzenie gabinetu w Kapsztadzie, żeby przedyskutować naszą obecną politykę zagraniczną. Może te rewelacje nadadzą odpowiedni ton jutrzejszemu posiedzeniu. Tymczasem chcę, żeby ta sprawa została między nami. Rozumiemy się, prawda? Muller skinął głową.

- Ma pan jedyną odbitkę materiału, panie ministrze. Negatywy są zamknięte w moim sejfie.

- Czy ktoś to widział?

- Tylko technik, który wywoływał film. Można mu ufać. - Brew Mullera lekko się opuściła. - Nie puści pary z ust, panie ministrze. To jeden z naszych. Vorster dobrze wiedział, co Muller ma na myśli. Chodziło mu o AWB - Afrikaner Weerstandsbeweging, Afrykanerski Ruch Oporu, który został powołany do życia, żeby utrzymać dominację białych. Fanatycy z tej paramilitarnej organizacji uważani byli oficjalnie za niezbyt liczącą się grupę, pogardzaną zarówno przez Partię Narodową, jak i przeciętnych obywateli RPA. Ale tajemnicą poliszynela była ich faktyczna działalność zwrócona przeciwko wszystkim nie Afrykanerom, szczególnie ludności kolorowej i potencjalnym komunistom. Metody zaś stosowane przez ich zbrojne oddziały *Brandwag*, których znakiem rozpoznawczym były brązowe koszule, wzbudzały strach i odrazę w społeczeństwie. W ostatnich czasach, w miarę coraz bardziej liberalnych rządów nowej władzy, rosły szeregi AWB. Nikt z postronnych nie zdawał sobie całkowicie sprawy z faktycznej jego potęgi. Pod oficjalną przykrywką kryła się ogromna organizacja, której macki sięgały wszędzie. Najbardziej fanatyczni i aktywni wyznawcy tej doktryny nie afiszowali się ze swoją przynależnością, często nawet nie byli oficjalnie jej członkami. Było to tym bardziej niebezpieczne. Tak więc Republiką Południowej Afryki rządziła Partia Narodowa, ale faktyczną władzę sprawował AWB z jej duchowym przywódcą, Vorsterem. Kiedy

Muller wyszedł z gabinetu, Vorster siedział w milczeniu, rozważając szansę daną mu przez Boga i kapitana Rolfa Bekkera.

- **30 maja - siedziba rządu, budynek parlamentu, Kapsztad, RPA**

Frederick Haymans, prezydent i premier Republiki Południowej Afryki, zdenerwowany zwrócił się do swojego ministra prawa i porządku. Vorster nie był jego kandydatem na to stanowisko. Został zmuszony do zaakceptowania tego człowieka przez prawicowe skrzydło Partii Narodowej, które chciało mieć pewność, że sprawy bezpieczeństwa znajdą się we właściwych, ich zdaniem, rękach. Okazało się, że Haymans nie mylił się. Minister od chwili objęcia urzędu jawnie przeciwstawiał się kierunkowi polityki nowego rządu, wręcz ją sabotując.

- Ten pański mały wypad do Zimbabwe cholernie drogo nas kosztował, i będzie kosztować jeszcze więcej, Vorster! Trudno mi wręcz uwierzyć, że mógł się pan zachować tak głupio! Członkowie gabinetu pokiwali głowami. Niewielu lubiło Vorstera, czy choćby mu ufało. Vorster spurpurowiał.

- O czym pan. do diabła, mówi! To kompletna bzdura! Sam pan chyba w to nie wierzy! Niczego nie straciliśmy, a zyskaliśmy...

- Niczego nie straciliśmy? Tak pan myśli? Naprawdę? - przerwał mu Haymans. - A miesiące negocjacji, które mogą pójść na marne? Uważa pan, że to nieważne? Czyżby nie zdawał pan sobie sprawy, że dla naszego własnego dobra musimy porozumieć się z „czarnymi” organizacjami, głównie ANC? I nie możemy sobie pozwolić na jeszcze większe zaostrzenie stosunków z państwami ościennymi? Kolejne bzdury! Pięść Vorstera trzasnęła w stół. - Te tak zwane negocjacje, o których pan jakże chętnie wspomina, nie przyniosły niczego. oprócz gadaniny i kłopotów! Terrorysty ANC otwarcie teraz potrzęsają bronią. Powiem panu coś. Nigdy nie powinniśmy byli wypuszczać z więzienia tej bandy gołodupnych, zwariowanych, komunistycznych rzezimieszków. Zaś co do Zimbabwe i pozostałych państw - zrobił pogardliwy ruch ręką - do czego są nam potrzebne? Niczego od nich nie potrzebujemy. A wręcz przeciwnie. jeśli nie będziemy okazywać słabości, to one przyjdą do nas z wyciągniętymi rękami, tak jak robiły to zawsze! Jego tyradę przywitała cisza, którą przerwał w końcu minister spraw zagranicznych.

- To prawda, że negocjacje same w sobie nie przyniosły jak na razie zbyt wiele konkretnych...

- Więc przyznaje pan, że mam rację? - warknął Vorster.

- Nie. - Szef MSZ był wyraźnie zły. - Te rozmowy z ludźmi ANC i innymi czarnymi przywódcami mają jednak ogromne znaczenie zarówno tu, w kraju, dla Murzynów. jak i na zewnątrz. Ukazują naszą gotowość kontynuowania niezbędnych reform. Żeby postawić sprawę jasno - jeśli chcemy, żeby gospodarka funkcjonowała. musimy wykazać się dalszymi postępami w tych reformach. W gabinecie rozległy się głosy poparcia, a zaraz potem rozgorzała ogólna dyskusja, która momentami przeradzała się wręcz w kłótnię. jednak w jednym punkcie zgadzali się wszyscy. Inflacja, bezrobocie i deficyt budżetowy wzrastały w zaskakującym tempie. Każdy, kto miał otwarte oczy, mógł dostrzec oznaki zbliżającego się ekonomicznego kryzysu, a jego przyczyny były oczywiste. Wyczerpani ciągłym wyzyskiem i polityczną dominacją białych, przywódcy murzyńskich organizacji doprowadzili do serii kosztownych strajków. jednocześnie nieustające konflikty z sąsiednimi państwami zmuszały RPA do trzymania w pełnej gotowości dużej liczby rezerwistów z Gwardii Narodowej. Co gorsza, światowe banki i kredytodawcy coraz niechętniej dostarczali niezbędne kapitały, obawiając się współpracy ze słabym partnerem. Dlatego też Haymans i jego sojusznicy, po objęciu władzy, wprowadzili w życie kilka skromnych reform. Udało im się znieść zakaz zawierania mieszanych małżeństw, zrezygnować z ograniczeń nałożonych na ruch związkowy czarnych i zliberalizować, ostro przestrzegane do tej pory przepisy dotyczące podziałów rasowych w miejscach publicznych. Dużym postępem było wypuszczenie na wolność części przywódców ANC i zezwolenie na działalność organizacji, które do niedawna nie miały prawa bytu w kraju. Uczyniono też pierwsze kroki w celu normalizacji stosunków z sąsiednimi krajami. Reformy Haymansa przyniosły właśnie pierwsze wyniki. Niektórzy przywódcy związkowi zasiedli przy „okrągłym stole”. Zniknęło wrogie nastawienie

zagranicznych środków masowego przekazu. Także obcy kapitał zaczął przejawiać większe zainteresowanie inwestowaniem w kraju. W końcu przywódcy innych państw afrykańskich uznali prezydenta i jego rząd. Teraz wszystko, co z takim trudem osiągnięto, zostało zagrożone krótkowzrocznością i bezwzględnością Vorstera i jego popleczników. Haymans wyłączył się z burzliwej wymiany zdań i w skupieniu po raz kolejny analizował palący problem powstały w wyniku bezmyślnego napadu na Gawambę. Nie ma innego wyjścia. Trzeba natychmiast coś przedsięwziąć. Musi zgodzić się na dalsze ustępstwa, które - być może - zmienią wrogi znowu stosunek czarnych przywódców do władzy. Ustępstwa, które wzbudzą szacunek i nadszarpnięte ostatnio zaufanie innych państw i zwrócą uwagę światowych mass mediów. Jego wzrok na moment spotkał się ze wzrokiem ministra spraw zagranicznych. Porozumieli się bez słów. Każdy myślał o tym samym. Już wcześniej, w rozmowie w cztery oczy, uzgodnili, jedyne ich zdaniem, możliwe rozwiązania. Teraz pozostawało tylko przedstawić je innym członkom rządu.

- Panowie - prezydent przerwał hałaśliwą dysputę - te kłótnie do niczego nas nie doprowadzą. Nie mamy na to zresztą czasu. Jedna rzecz jest na pewno jasna, w każdym razie dla mnie, a myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą. - Kątem oka zerknął na Vorstera, którego twarz stała się w jednej chwili nieprzeniknioną maską - Musimy natychmiast podjąć próbę ponownego nawiązania kontaktów z ANC. - Po sali przeszedł szmer. Wystarczyło jedno spojrzenie na zebranych, aby zorientować się w nastrojach: sojusznicy Haymansa wyrażali pełną aprobatę, a poplecznicy Vorstera, którzy na szczęście reprezentowali mniejszość, obrzucali mówcę nieprzyjaznym, zimnym spojrzeniem. Nie zrażony tym Haymans ciągnął dalej: - Możemy to zrobić w jeden tylko sposób. Mianowicie, ogłosić publicznie pełną gotowość spełnienia wcześniejszych żądań Kongresu, dotyczących przede wszystkim możliwości wprowadzenia rządów większościowych, a także ukrócenia bezkarności sił bezpieczeństwa oraz dodatkowo musimy przeprowadzić ponowne śledztwo, tym razem wiarygodne, w sprawie ostatnich brutalnych akcji policji. Zanim umilkł głos prezydenta, w sali wybuchła wrzawa, przez którą przebił się wrzask Vorstera: - Zdrada! To, co pan proponuje, Haymans, to ordynarna zdrada! - ten prawie zwierzęcy ryk otrzeźwił paru ministrów, którzy usiłowali uspokoić rozjuszonego mężczyznę.

- Cisza! - Haymans aż wstał. - Sam potrafię utrzymać porządek! - Usiadł z powrotem. - Tak jest lepiej. Proszę pamiętać, że jesteśmy przywódcami narodu, a nie bandą chłystków.

- Właśnie dlatego powinniśmy rozprawić się z pana szalonymi pomysłami, Haymans. - Dłonie Vorstera zaciskały się kurczowo w pięści. Jego głos był tym razem piskliwy. Nie starał się nawet opanować. - ANC nie jest niczym więcej niż bandą komunistów, terrorystów i morderców. Musimy ich wypenić jak robactwo, a nie pertraktować z nimi. Prezydent zupełnie zignorował pniącego się ministra, zwracając się do pozostałych: - Nie sugeruję, że powinniśmy we wszystkim ustępować. To by było czyste szaleństwo. Vorster usiłował coś powiedzieć, ale donośny i stanowczy głos Haymansa zabrzmiał znowu: - Musimy jednak pokazać, że jesteśmy rozsądni, moi drodzy. Gwałt w Gawambie drogo nas kosztował. Trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby to naprawić. Jest też jeszcze jedna, na pewno trudna, ale ważna sprawa. Musimy tak pokierować rozwojem zdarzeń, żeby przy ewentualnym zerwaniu rozmów opinia publiczna jednoznacznie obwiniła nie nas, tylko ANC za ich nieustępliwość. Ale mam nadzieję, że rozmowy będą kontynuowane, bo to przyniesie nam oczywiste korzyści. - Wymienił je kolejno. - Zmniejszenie napięć wewnątrz kraju; duże prawdopodobieństwo uzyskania zagranicznych kredytów; możliwość wycofania rezerwistów. A może nam się przy okazji uda wynegocjować jak najkorzystniejsze warunki podczas omawiania kwestii rządu większościowego. Duża część obecnych kiwnęła głowami z aprobatą, ale u niektórych wyczuwało się niechęć.

- Nie twierdzą, oczywiście, że te posunięcia rozwiążą od razu wszystkie nasze problemy. - Haymans pokręcił głową. - jednak jestem przekonany, że są absolutnie niezbędne w tym tak trudnym dla naszego kraju momencie. Nie uda nam się przetrwać długo tylko przy pomocy siły. Mamy teraz obowiązek znalezienia kompromisu, który pozwoli ochronić naszą ojczyznę. - Zobaczył, jak wyraz twarzy Vorstera zmienia się w miarę kontynuowania przemowy. Nie kontrolowana wściekłość zaczęła ustępować miejsca chłodnemu, i kalkulującemu spojrzeniu.



- Czy pozwoli nam pan na dokładne przedyskutowanie tej propozycji? - Ton Vorstera był zaskakująco normalny, zupełnie, jak gdyby nie dbał już o to, czy wygra, czy zostanie pokonany.

- jest to zbyt duża strata czasu cennego w tej chwili. - Haymans dostosował się do formalnego tonu Vorstera. - jeśli mamy ocalić negocjacje, musimy działać bardzo szybko, a poza tym wyjaśniliśmy już najważniejsze kwestie.

- Rozumiem. Haymans ledwo mógł ukryć swoje zdumienie. Vorster poddający się, i to niemal zupełnie, bez walki? To było niezgodne z jego charakterem. Prezydent jednak już dawno nauczył się nie tracić szans danych mu przez przeciwników. Pochylił się do przodu.

- Proponuję panowie, żebyśmy poddali sprawę głosowaniu. Oczywiście, oczekuję, że poprzecie moją propozycję. Patrzył w milczeniu na podnoszące się ręce, pewny zwycięstwa. Poza Karlem Vorsterem i dwoma lub trzema innymi ministrami, wszyscy zebrani przy stole zawdzięczali swoją pozycję Haymansowi i jego frakcji w Partii Narodowej. I nikt z nich nie chciał popełniać samobójstwa politycznego. Haymans uśmiechnął się.

- Świetnie, przyjaciele. jutro, po skontaktowaniu się z ANC i innymi ugrupowaniami wydamy oświadczenie. - Starał się unikać nieruchomego spojrzenia Vorstera. - jeśli nie ma żadnych dalszych spraw, proponuję zamknąć posiedzenie.

Nikt się nie odezwał. Dziesięć minut później Karl Vorster opuścił gmach parlamentu i wszedł do czekającej czarnej limuzyny. jego zamknięta teczka nadal zawierała przechwycone plany operacyjne ANC dotyczące ZERWANEGO PRZYMIERZA.

### • 30 maja - góry Hex River, RPA

W dolnej części opadającego tarasami ku dolinie wzgórze mienił się różnymi odcieniami zieleni i fioletu splachetek winnic. U stóp przycupnął trzyizbowy domek Riaana Oosta. Sześćdziesięcioletnia harówka na czterdziestu akrach wydzierzawionego od Afrykanera gruntu zaczynała przynosić pierwsze rezultaty. Wszedł właśnie, zmęczony, do niedużego, ale przytulnego pokoiku i zerknął przez okno. W dali rysowały się szczyty Hex River, widoczne jeszcze na tle zachodzącego słońca. Zapalił lampkę, z westchnieniem ulgi rozsiadł się w fotelu i sięgnął po książkę. Telefon kompletnie go zaskoczył. Odłożył tomik i po trzecim sygnale podniósł słuchawkę.

- Mówi Oost. słucham?

- Jak pan powiedział? Oost? Przepraszam. Próbuje się do dzwonić do Pieta Uysa. To nie numer 053-93-65? Oost poczuł dreszcz emocji. Powtórzył hasło, które już dawno znał na pamięć: - Nie, pomyłka. Tu numer 053-93-68. Usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki i ciągnął sygnał, gdy jego rozmówca przerwał połączenie. Oost także odłożył słuchawkę i odwrócił się do żony. Patrzyła na niego z niepokojem znad swojej robótki.

- Kto to był, Riaan? Co się stało?

- Nic złego. - Przełknął ślinę. Wreszcie! Tak długo czekał. - To byli oni, Marta. Musiało się zacząć. Wolno skinęła głową wiedząc, że chwila, o którą się modliła, ale której się jednocześnie obawiała, nadeszła.

- Mogę ci pomóc? Potrząsnął głową.

- Nie, przyniosę wszystko sam. Tak będzie bezpieczniej. Zostaniesz w domu i jeśli ktoś będzie dzwonił, powiesz, że poszedłem do łóżka... że się trochę źle czuję. Możesz to zrobić dla mnie? - Zakładał już marynarkę.

- Oczywiście, kochanie. - Złożyła ręce. - Ale obiecujesz, że będziesz bardzo ostrożny? Riaan Oost zatrzymał się przy drzwiach z ironicznym uśmiechem na twarzy.

- Nie martw się, Marta. jeśli ktoś mnie zatrzyma, to jestem tylko czarnym chłopcem na posyłki, załatwiającym sprawy dla swojego pana. Nigdy nie przyjdzie im do głowy sprawdzić ładunek. - Posłał jej całusa i wyszedł na dwór, kierując się w stronę szopy z narzędziami. ANC zwerbował Riaana Oosta ponad dziesięć lat temu. Był wówczas studentem wydziału rolnictwa na uniwersytecie. To było niezwykle. Mimo znalezienia się w uprzywilejowanej sytuacji, nawet przez moment nie zapomniał, kim jest. Komuś postronnemu mogło się wydawać, że Riaan jest całkowicie pochłonięty nauką, lecz on bacznie obserwował coraz ostrzejsze restrykcje wobec swoich współplemieńców i pogłębiający się chaos w kraju. Jego nienawiść do sprawców tej sytuacji rosła. Zaczął myśleć, w jaki sposób może włączyć się do

walki. Przypadkowe spotkanie zmieniło wszystko. Przywódca jednej z komórek ANC trafił na podatny grunt. Skuszony obietnicą odegrania w przyszłości ważnej roli w podziemnej walce Oost zgodził się stać na razie na uboczu rozgrywających się wydarzeń. Dla sił bezpieczeństwa miał pozostać "czysty". Skończył z wyróżnieniem studia, ożenił się i zamieszkał na południu Kraju Przylądkowego. Wydzierżawił maleńki folwark od Afrykanera i rozpoczął pracę, jedyną, na jaką mógł liczyć, będąc czarnym. Trwało to sześć ciągnących się w nieskończoność lat. Riaan Oost uśmiechnął się do siebie, otwierając drzwi szopy. Tak, to było długie, trudne oczekiwanie. Ale właśnie się skończyło. Odsunął od tylnej ściany szopy szafkę z narzędziami i pochylił się, żeby sprawdzić już po raz kolejny skrzynie. Wszystkie wydawały się nietknięte. Zupełnie jak wtedy, sześć miesięcy temu, gdy je przywieziono. Podniósł pierwszą z nich ze stłumionym jękiem, wyszedł z szopy i podszedł do niedużej, poobijanej ciężarówki. Granatniki, automatyczne karabiny i materiały wybuchowe ważyły znacznie więcej niż skrzynki z winogronami. Pół godziny później Riaan Oost wyprowadził ostrożnie przeładowany samochód na polną drogę wijącą się wzdłuż doliny. Obejrzał się, pomachał żonie, jakby dodając jej otuchy, i zniknął w ciemnościach. Pierwsza faza ZERWANEGO PRZYMIERZA właśnie się rozpoczęła.

## 2

### Faza przygotowań

- **1 czerwca – budynki parlamentu, Kapsztad, RPA**

Kiedy zgasło światło ostatniej kamery, temperatura w szczelnie wypełnionej sali spotkań z dziennikarzami, osiągając poziom spotykany jedynie w tureckich łaźniach parowych, zaczęła lekko opadać. Reporterzy z całego świata wymieniali plotki, pogłoski i przyjacielskie uwagi, starając się wzajemnie przekrzyczeć. Było to zwyczajne zakończenie bardzo niezwykłej konferencji prasowej rządu. Ian Sherfield uśmiechnął się z satysfakcją, zamknął notatnik i patrzył, jak Knowles pakuje sprzęt. Nareszcie miał prawdziwą bombę, dla której na pewno znajdzie się sporo miejsca w wiadomościach telewizyjnych. Gotowość Haymansa do rozmów i chęć spełnienia tak ważnych żądań ANC, same w sobie były już rewelacją, bez względu na to, w jakim stopniu obietnice zostaną zrealizowane. Ian znając prywatnie mentalność Afrykanerów, miał duże wątpliwości. Nawet najbardziej ugodowi członkowie Partii Narodowej niechętnie zgodzą się na ustępstwa ograniczające ich władzę. A do tego sprowadzały się

postulaty Kongresu. Zresztą nawet gdyby doszło do jakichkolwiek porozumień, to tylko na krótki okres. Był to, według Iana, prawdziwy węzeł gordyjski, którego żadna ludzka siła nie była w stanie rozsupłać. Wzajemny stosunek obu stron, pełen nienawiści, pogardy, ale i strachu, a przede wszystkim zupełna sprzeczność interesów starych i nowych właścicieli tych ziem uniemożliwiały na dłuższą metę utrzymanie względnego spokoju w państwie. Ian westchnął, powtarzając sobie, że cokolwiek się zdarzy, w tej chwili jest to na pewno ważny materiał na reportaż. Stosunkowo wcześniej nauczył się nie angażować w sprawy, które opisywał. Była to podstawowa lekcja, którą musieli opanować wszyscy przyszli dziennikarze. Jedynie nie opowiadając się po żadnej ze stron można było pozostać obiektywnym i rozsądnym. Jednak jeśli własne opinie i emocje zaczynały kierować sposobem przedstawiania faktów, było się na najlepszej drodze do stania się nie opłacanym propagandzistą którejś ze stron. Knowles poklepał go po ramieniu.

- Nie powinieneś już iść? Wydawało mi się, że jesteś dziś umówiony na obiad. O kurczę! Ian spojrzął na zegarek. Gdzieś, w środku konferencji prasowej Haymansa, kompletnie stracił poczucie czasu.

- Już pędzę. Jednak on i Knowles mieli jeszcze bardzo dużo do zrobienia przed ich codziennym czasem nadawania na łączach satelitarnych. Będzie musiał zadzwonić do Emily i odwołać spotkanie. Nie będzie zbyt szczęśliwa z tego powodu. Od tygodnia planowali tę wycieczkę. Ale chyba zrozumie? Była to przecież duża sensacja i jednocześnie ogromna szansa dla niego, największa od czasu przybycia do Kapsztadu. Knowles wprawdzie nie potrzebował go teraz, ale Ianowi wydawało się to nieuczciwe. Z drugiej strony... Cholera! Przecież poznanie Emily było jedyną wspaniałą rzeczą, jaka go na tym "zesłaniu" spotkała. Knowles dostrzegł wyraz jego twarzy. Mrugnął okiem i rzekł poważnym głosem: - Słuchaj chłopie. Jesteś tu teraz całkiem zbędny, a nawet mi będziesz przeszkadzał. Zasuway na ten obiad, a jak wrócisz, taśma już będzie zmontowana. Tylko na nią zerkniesz fachowym okiem.

- Dzięki, Sam. Masz u mnie kredyt. - Zawahał się, rozważając, ile czasu będzie potrzebował. - Słuchaj, "okno" otwiera się o szóstej. Powiniennem wyrobić się do czwartej. Chyba zdążę potem podciągnąć głos, zerknąć na materiał i podpisać? Pasuje ci?

- Och! Więc to taki obiadek? - słodki głos operatora był jednoznaczny. Ian zdumiał się własnym zażenowaniem i lekką irytacją. Jeszcze niedawno, gdy chodziło o inne kobiety, z którymi często się spotykał, zrobiłby pewnie jakiś wymowny gest pozwalający Knowlesowi snuć różne domysły i sam bawiłby się tym świetnie. Ale z Emily było inaczej. Była dla niego kimś ważnym, kimś, o kogo musi dbać. Wyzwalała w nim jakiś, do tej pory nie znany, instynkt opiekuńczy. Kategoriecznie pokręcił głową i rzekł dobitnie: - Nic z tych rzeczy, stary. Po prostu obiad i miła wycieczka na Górę Stołową.

- Brzmi całkiem nieźle. - Knowles wyczuł coś w głosie Iana i szybko zmienił temat. - Nadal chcesz, żebym zostawił ten po wolny najazd na twarze siedzących na sali podczas oświadczenia Haymansa?

- Koniecznie. - Ian przez chwilę przyglądał się technikom, którzy z dużą wprawą i szybkością rozmontowywali sprzęt nagłaśniający na podium. - Chcę tego ujęcia i chcę, żeby wszyscy zauważyli brak pewnej osoby. Kogoś ważnego. Kogoś, kto powinien być zainteresowany utrzymaniem jednolitego frontu w rokowaniach, a najwyraźniej nie jest. Knowles uśmiechnął się szeroko.

- Pozwól mi zgadnąć. Masz na myśli znanego przyjaciela prasy i niezwykłego filantropa, ministra prawa i porządku. Mam rację?

- Trafiłeś w dziesiątkę. - Ian uśmiechnął się równie szeroko. - Mógłbyś znaleźć dla mnie jakiś soczysty materiał ze zdjęciami Vorstera? Wiesz, jego wściekłe spojrzenie zza szyb przejeżdżającej limuzyny, czy jego sylwetka w otoczeniu sił porządkowych. Coś w tym stylu. Poczekaj, aż Sam zapisze kilka słów w notesie i mówić dalej: - Moglibyśmy wykorzystać te ujęcia w naszym materiale... Knowles dokończył za niego.

- Zostawiając widzów w niemiłym przeświadczeniu, że te obiecane rozmowy nie muszą koniecznie doprowadzić do powszechnego pokoju.

- Dokładnie. - Ian poklepał kolegę po ramieniu. - Trzymaj tak dalej, a pomyślę, że chcesz zająć moje miejsce. Knowles wykrzywił się komicznie.

- Nie, dziękuję. Ty jesteś tym wspaniałym talentem. Wolę pozostać szarą myszką i nie mieć

bólów głowy od wojowania z szefami sieci. Chciałbym jedynie mieć szansę nakręcenia bez szczególnych przeszkód jakiegoś niezłego kawałka. Ian wzruszył ramionami i rzucił na odchodnym: - Może twoje marzenie niedługo się spełni. Mam przecucie, że ten kraj w końcu zaczyna wychodzić z uśpienia.

- **"Keppel House", Kapsztad**

Migoczące w półmroku świece, których płomyki delikatnie oświetlały twarze gości, przydawały małej salce "Keppel House" atmosfery romantyzmu i intymności. Między stolikami zwinnie poruszali się czarnoskórzy kelnerzy w białych frakach. Z niesionych przez nich półmisków unosił się intensywny zapach, tak charakterystyczny dla *frutti di mare*, specjalności lokalu. Tajemniczy nastrój przyciągał tu pary, a wyśmienita kuchnia smakoszy. I jednych, i drugich w Kapsztadzie nie brakowało. Dlatego w restauracji było zawsze tłoczno. Ian Sherfield, siedzący przy stoliku w głębi sali, nie sprawiał dziś wrażenia smakosza. Przed nim stał talerz z nie tkniętym jedzeniem. W zamyśleniu obserwował siedzącą naprzeciw niego dziewczynę. Dla niego zawsze była piękna. Ale dzisiaj było w niej coś szczególnego, coś, czego nie umiał jeszcze określić. Może sprawiły to złote refleksy w jej długich, kasztanowych włosach. A może oczy, w tej chwili jakby bardziej niebieskie, spoglądające teraz na niego ciepło, z dziwnym, jakby pytającym, a jednocześnie kokieterijnym wyrazem

- Od dłuższego czasu przyglądasz mi się, Ian - Emily przerwała milczenie z udaną powagą w głosie. - Zastanawiam się, czy przypadkiem moje okropne maniery nie są tego powodem - teraz już roześmiała się serdecznie.

- Twoje maniery? Okropne? - powtórzył bezmyślnie Ian raptownie wyrwany z marzeń. Dopiero po chwili dotarł do niego sens pytania i zawtórował jej śmiechem. - Ależ kochanie, twoje maniery są wręcz nienaganne. Z otwartymi rękami przyjęliby cię w Anglii jako wychowawczynię w elitarnym, żeńskim koledżu.

- Cóż za wspaniały pomysł, Ian - śmiesznie zmarszczyła nos, z udanym obrzydzeniem wzdrygnęła i dodała, ale już z nutką gorzkości. - jak mogłabym wyjechać i zrezygnować z tak świetnie zapowiadającej się kariery tutaj? Ian wyczuł zmianę w jej tonie i przeklął się w duchu za totalną głupotę. Niechcący zahaczył o temat bardzo dla niej drażliwy. Emily była prawdziwą rzadkością wśród Afrykanerek. Urodzona w zamożnej rodzinie mieszkającej od pokoleń w Transwalu, powinna wyrosnąć na posłuszną i obowiązkową żonę. Tak się jednak nie stało. już jako mała dziewczynka Emily zdawała sobie sprawę, że zajmie się raczej pisaniem niż gotowaniem i że woli politykę od szycia. jej ojciec, który wcześniej owdowiał, nie potrafił wyrobić w niej tych, jedynych dla tutejszych kobiet, zainteresowań. Chociaż wymagał tego od niej. Tak więc, zamiast wyjść za mąż zgodnie z życzeniem ojca, Emily została w szkole i skończyła studia dziennikarskie. Cztery lata na wolnomyślicielskim kampusie Uniwersytetu Witwatersrand jeszcze bardziej oddaliły ją od poglądów ojca. Teraz walczyli ze sobą także w sprawach polityki. Z dyplomem w ręku rozpoczęła poszukiwania pracy. jednak znalazłszy się poza bezpiecznymi murami świata akademickiego, szybko nauczyła się przykrej prawdy: większość Afrykanerów nadal uważała, iż kobiety powinny pracować w domu lub przy maszynie do pisania. Nie mogąc znaleźć pracy w żadnej gazecie i nie chcąc przyznać się przed ojcem do porażki, Emily zaangażowała się w końcu jako sekretarka w jednej z firm prawniczych w Kapsztadzie. Praca pozwalała jej na opłacenie skromnego mieszkania i doskonalenie angielskiego, ale nienawidziła jej z całego serca.

Emily odgadła powód ponurego wyrazu twarzy Iana i delikatnie dotknęła jego ręki.

- Nie przejmuj się moimi nastrojami. Wiesz, że to tylko chwilowe. Nigdy się nie poddamę. - Mocniej ścisnęła mu rękę. - Popatrz, już jestem szczęśliwa. Zresztą jak zwykle, kiedy cię widzę.

- Jesteś cudowną dziewczyną, Emily, i to nie tylko dlatego, że jesteś piękna - spojrzał na nią z czułością. Zawsze go rozbijała, gdy z taką naturalnością przyjmowała, w przeciwieństwie do wielu kobiet, jakie znał, jego romantyczne frazesy. I tym razem było podobnie.

- Dziękuję, ale to ty jesteś cudowny i... kochany. - Nagle zupełnie zmieniła temat. - Gdy

usłyszałam o oświadczeniu prezydenta, byłam przekonana, że nie przyjdiesz na spotkanie i już z góry ci wybaczyłam jak mogłeś zostawić tak fantastyczną historię? - mówiła teraz z wyraźnym podnieceniem.

- A jak mógłbym nie zobaczyć ciebie? - odpowiedział pytaniem.

- Jaki jesteś miły, Ian - i znowu jak gdyby nigdy nic wróciła do poprzedniego tematu. - Nie sądzisz, że nowiny są rzeczywiście wspaniałe? Wygląda na to, że Haymans i inni zaczęli w końcu rozsądnie myśleć. Jestem pewna, że nawet *verkramptes* widzą teraz potrzebę reform? - Emily użyła słowa oznaczającego w *afrikaans* "reakcjonistów". Ian wzruszył ramionami.

- Może. Nie uwierzę w żadne oświadczenia, dopóki nie zobaczę takich ludzi, jak Vorster czy ci fanatycy z AWB, szczerze płaczących nad grobem Steva Biko. Na razie to tylko gra polityczna. Emily trzeźwo pokiwała głową.

- Przypuszczam, że masz rację. Słowa muszą być poparte czynami, żeby stały się prawdziwe. - Potrząsnęła niecierpliwie głową. - A tymczasem co my właściwie robimy? Siedzimy tutaj i marnujemy taki wspaniały dzień na rozmowy o polityce... To czyste szaleństwo. Ian entuzjastycznie przytaknął i natychmiast przywołał kelnera. Mieszkanie Emily, mieszczące się na trzecim piętrze białego budynku, niedaleko "Keppel House", było nieduże, ale przytulne i jednocześnie bardzo pogodne. W każdym razie taki był pokój gościnny, odzwierciedlający w całej pełni charakter jego właścicielki. Między jasnymi meblami z gładką tapicerką w kolorze morskim stały duże, białe wazony z artystycznie ułożonymi, stale świeżymi bukietami polnych kwiatów. Na ścianach wisiały kolorowe reprodukcje widoków okolic Transwalu, z ich rozległymi, kwiecistymi łąkami. W rogu pokoju stało, kontrastujące z pozostałymi meblami, okazałe tekowe biurko, z małym komputerem osobistym. Ian, czekający od dłuższego czasu na Emily przebierającą się w sypialni, co chwila z niepokojem zerkał na zegarek. Chryste! Spóźni się do studia. Sam go chyba zabije. Nie ma co marzyć o wycieczce, a niedługo i na krótki spacer będzie za późno. Za długo siedzieli w restauracji, a teraz jeszcze tyle czasu zajmuje jej zwykłe przebranie się. Co ona tam robi, na litość boską! Zerwał się z sofy i niecierpliwie zaczął krążyć po pokoju.

- Ian, proszę, przyjdź na chwilę - dobiegł go nagle głos Emily. Brzmiała w nim jakaś dziwna nuta. Jednym susem znalazł się przy drzwiach.

- Co się stało? - gwałtownie je otworzył, zrobił jeden krok i... zamarł. W sypialni panował półmrok. Zasłony były szczelnie zasunięte. Łagodne światło lampki nocnej padało na stojącą przy łóżku dziewczynę ubraną jedynie w białą, przezroczystą koronkową bieliznę. Odwróciła się w jego stronę i delikatnie, ale prowokująco odrzuciła włosy do tyłu.

- Kochanie, jak ci się podoba strój. Zastanawiam się, czy nie będzie mi za chłodno. - jej głos był cichy, miękki i jakby trochę niepewny. Ian poczuł mrowienie w całym ciele. Usiłował przełknąć ślinę, ale całkowicie zaschło mu w ustach i gardle. Jak zahipnotyzowany powoli ruszył w jej kierunku:

- Nie... Myślę... że i tak masz na sobie zbyt wiele rzeczy - jego głos był nienaturalnie niski. W połowie drogi, nie odwracając wzroku, zatrzymał się na chwilę, zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. - Myślę też... że musimy zrezygnować z dzisiejszej wycieczki - gdy stanął przy niej, nie pamiętał już o studiu, Samie Knowiesie...

- Najdroższy, tak chciałam uwierzyć i miałam nadzieję, że to powiesz - wspięła się na palce i musnęła go wargami. O mój Boże, jak cudownie pachniała. Objął ją z niezmierną czułością. Teraz, gdy już była tak blisko przy nim, pozwolił sobie na żart: - jak na dobrą Afrykanerkę, stajesz się zbyt śmiała. Chyba mam na ciebie zły wpływ - zaczął całować włosy, usta, szyję...

- Jestem teraz taka, jaka zawsze chciałam być. Dzisiaj, tutaj, mogę być sobą - w głosie brzmiała nuta smutku. Przytulił ją mocniej, jakby chciał uchronić przed całym światem. Objęci, osunęli się na łóżko. Wszystkie problemy gdzieś zniknęły. Teraz ważni byli tylko oni, oboje.

- **3 czerwca - Nyanga - miasto czarnych, przedmieście Kapsztadu, RPA**

Andrew Sebe stał cicho w długiej kolejce zdenerwowanych ludzi czekających na chwilę, w której będą musieli przejść przez kontrolę uliczną. Czuł jak nogi zaczynają mu drżeć i starał

się zapanować nad strachem. Za wszelką cenę nie mógł go okazać. Policja potrafiła bezbłędnie wyczuć strach. Ludzie przesuwali się w żółtym tempie w stronę blokujących drogę otwartych, opancerzonych wozów transportowych, z zamontowanymi na dachach armatkami wodnymi. Po obu stronach pojazdów stały grupy policjantów, uzbrojonych w pałki, wyrzutnie granatów z gazem łzawiącym, a nawet broń palną. Nikt z kontrolujących nie przejmował się tym, że właśnie zaczynały się godziny pracy, a większość czekających stanowili młodzi ludzie. Oczywiście, każda godzina spóźnienia powodowała zmniejszenie i tak bardzo niskiej pensji.

- Ty! Chodź tutaj! - Wreszcie jeden z oficerów sprawdzających dokumenty skinął na Sebe. Z głośno bijącym sercem Sebe przesunął się do przodu i podał mężczyźnie swój wytarty dowód i fałszywe pozwolenie na pracę. Policjant powoli, z całą premedytacją wertował dokument.

- Udajesz się do winnic du Plessis? W Hex Riverberge?

- Tak, *baas*. - Sebe miał oczy skromnie spuszczone i starał się mówić tonem, z którego przebijał respekt, a nawet szacunek. Przychodziło mu to z ogromną trudnością.

- Jest już po sezonie. Do czego tam jesteś potrzebny? Mimo chłodu poranka Sebe czuł, jak koszula zaczyna mu przemakać od potu. O Boże! Czy mogli wiedzieć, kim jest naprawdę? Zaryzykował szybkie spojrzenie na przesłuchującego go policjanta i trochę się uspokoił. Mężczyzna nie wyglądał na podejrzliwego, a jedynie na ciekawego.

- Nie wiem na pewno, *baas*. W biurze pośrednictwa powiedziano mi tylko, że potrzebują kopacza, to wszystko. Policjant skinął głową i rzucił papiery czarnemu mężczyźnie.

- W porządku. Ruszaj do pracy. Sebe uważnie złożył dokumenty i odszedł, mamrocząc pod nosem podziękowania. Policjant odczekał, aż Murzyn wsiądzie do stojącego nieopodal podmiejskiego autobusu, wyjął z kieszeni papier, przejechał po nim palcem czytając uważnie, a następnie sięgnął przez okno swojego nie oznakowanego samochodu po plastikową słuchawkę przymocowaną do deski rozdzielczej. Wykręcił numer, który po dano mu wczoraj na odprawie. Telefon został odebrany natychmiast.

- Słucham? Coś w miękim, uprzejmym głosie mężczyzny zdeprymowało policjanta. O ludzie z wywiadu potrafili nadać nawet najprostszym słowom złowieszcze brzmienie. Pospiesznie złożył raport, pragnąc jak najszybciej skończyć rozmowę: - Mówi Kriel z biura w Kapsztadzie. Znaleźliśmy jednego człowieka z waszej listy. Andrew Sebe, numer piętnasty. Właśnie przeszedł przez kontrolę drogową.

- Czy robiliście mu jakieś trudności? Nie, panie dyrektorze. Pańskie instrukcje były zupełnie jasne. - Dobrze. Sprawdzajcie dalej. Sami zajmijmy się tym człowiekiem, jasne?

- Tak jest, sir. W Pretońi, tysiąc pięćset kilometrów na północny wschód od Kapsztadu, Eńk Muller odłożył słuchawkę i usiadł wygodnie w fotelu. Na jego przystojnej twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech. Pierwsi ludzie z ANC wyznaczeni do rozpoczęcia ZERWANEGO PRZYMIERZA byli już w drodze.

## • 8 czerwca - kwatera Główna *Umkhonto we Sizwe*, Lusaka, Zambia

Pułkownik Sese Luthuli stał przy oknie swojego biura, patrząc na zatłoczone ulice Lusaki. Autobusy, taksówki i rowery współzawodniczyły o miejsce z tysiącami tłoczących się pieszych. Wszyscy starali się omijać patrole umundurowanych żołnierzy rozmieszczone wzdłuż całej alei Niepodległości, gdzie skupiały się budynki rządowe i ambasady. Także Kwatera Główna *Umkhonto we Sizwe* zajmowała jeden z budynków przy alei Niepodległości. Silne oddziały żołnierzy oddelegowanych przez rząd Zambii i uzbrojeni partyzanci ANC strzegli wszystkich wejść do budynku, zdecydowani zapobiec powtórce gawambskiej katastrofy. Luthuli był wyraźnie zdenerwowany. Mimo czasowego zawieszenia broni i pozornego akceptowania ANC przez kraje południowej Afryki, oddalona od RPA o 1.000 km Zambia jako jedyna nie wahała się dać schronienia dziesięciu tysiącom partyzantów Kongresu. Inne państwa, szczególnie te graniczące z Afryką Południową, były nadal zastraszane przez Pretorię i bały się otwarcie wystąpić z jakąś znaczącą pomocą. Utrudniało to, a nawet prawie uniemożliwiało wystąpienie ANC przeciwko RPA. Usłyszał za sobą chrząknięcie. Jego gość zaczynał się niecierpliwić.

- Oczywiście wie pan, dlaczego tu się znajduję? Luthuli odwrócił się do przysadzistego,

łysiejącego już mężczyzny, siedzącego po drugiej stronie biurka. Taffy Collins, członek partii i jeden z głównych strategów wojskowych ANC, był od lat jego pośrednikiem w kontaktach z Kongresem. Ktokolwiek go wybrał, dokonał prawdziwie mistrzowskiego posunięcia. Luthuli odsunął krzesło i usiadł.

- Zbyt długo się znamy, Taffy, żeby bawić się w zgadywanki. Powiedz mi, co ci kazano powiedzieć.

- Dobrze. - Collins gwałtownie skinął głową. - Zarząd Wykonawczy zdecydował się przyjąć ofertę Haymansa. Negocjacje będą kontynuowane. Luthuli zazgrzytał zębami.

- Czy nasi przywódcy zupełnie poszaleli? Te ich rozmowy to nic więcej tylko zwykłe oszustwo mające na celu ukrycie zbrodni Pretorii. Collins podniósł pulchną rękę.

- Zgadza się z tobą, Sese. Tak jak wielu członków Zarządu. - Więc dlaczego zgodzili się na to...

- Szaleństwo? - Collins uśmiechnął się lekko. - Ponieważ nie mamy żadnego innego rozsądnego wyjścia. Przynajmniej raz ci tłusci dranie, Burowie, zagrali naprawdę sprytnie. jeśli odrzucimy ich propozycję, świat będzie winił nas za nową falę gwałtów.

- Równie ważne jest, że nasi "niezawodni" gospodarze w Lusace jasno powiedzieli, że życzą sobie tych rozmów. jeśli rozczarujemy ich, oni rozczarują nas, blokując dostawy broni, jedzenia, lekarstw i wszystkich tych rzeczy, których tak bardzo potrzebujemy.

- Rozumiem - powiedział szorstko Luthuli. - Tak więc zmuszono nas za pomocą szantażu do zmarnowania lat krwawej walki. Burowie będą nadal mogli zabijać ludzi, szepcząc słodkie obietnice naszym negocjatorom.

- Na pewno nie. - Collins rozłożył szeroko ręce. - jak myślisz, co naprawdę wyniknie z tych rozmów przy "okrągłym stole"? Roześmiał się nieprzyjemnie i sam odpowiedział na swoje pytanie. - Nic! Zatwardziali Afrykanerzy nigdy dobrowolnie nie przyjmą naszych podstawowych postulatów: wolnych wyborów, redystrybucji dóbr i gwarancji, że nasi ludzie będą właścicielami środków produkcji. - Collins pochylił się i stuknął palcem w blat biurka. - Zapamiętaj moje słowa, Sese. Za trzy miesiące nikt nie będzie nawet pamiętał o tych kretyńskich rozmowach. Wszystkie mięczaki w naszych szeregach zostaną zdyskredytowane i będziemy mogli spokojnie wrócić do naszego zadania: rzucenia Pretorii na kolana. Luthuli siedział sztywno, zastanawiając się nad tym, co Collins mu powiedział. Miał jak zwykle rację, ale...

- Co z ZERWANYM PRZYMIERZEM?

- Wydałeś już rozkaz jego rozpoczęcia, czy tak? Luthuli skinął głową.

- Tydzień temu. Nasi kurierzy systemem łańcuchowym przekazują go właśnie na południe. Collins potrząsnął głową.

- Musisz ich odwołać. Ukryj ponownie ludzi, póki jest to jeszcze możliwe.

- To nie będzie takie proste. Niektórzy opuścili już miejsca kontaktowe.

- słuchaj, nie obchodzi mnie, jak to jest trudne. ZERWANE PRZYMIERZE musi być odwołane. - Strateg ANC mówił teraz rozkazującym głosem. - W chwili, gdy Afrykanerzy okazują rozsądek, przeprowadzenie naszego planu byłoby dyplomatyczną katastrofą, na którą nie możemy sobie pozwolić! Czy wyrażam się dostatecznie jasno? Luthuli przytaknął, wściekły z powodu tonu posłańca.

- Dobrze. - Głos Collinsa ponownie złagodniał. Będziemy te raz siedzieć cicho, a za sześć miesięcy będziesz miał okazję odpłacić tym draniom. W porządku?

- W porządku. - Sięgając po telefon, Luthuli poczuł, jak jego gniew ulatnia się. Pomszczenie Cosate zostało przesunięte, ale nie zaniechane.

## • 10 czerwca - Szkoła Podstawowa Gazankulu, Soweto, RPA

Prawie pięćdziesięcioro dzieci tłoczyło się w małej salce lekcyjnej. Tylko kilkoro z nich siedziało w koślawych ławkach, większość przykucnęła na pokrytej zniszczonym linoleum podłodze lub stała pod ścianami. Nthato Mbeki odwrócił się od tablicy i wytarł ręce w pobrudzoną kredą ścierkę. Dobrze, że udało mu się zdobyć trochę kredy. O każdą pomoc szkolną musiał staczać prawdziwe boje, często nieskuteczne. Wstydził się spojrzeć uczniom w twarz. Cóż mógł im zaoferować w tej nędznej imitacji szkoły? Czego nauczyć? A była to jedyna forma nauczania czarnych mieszkańców RPA, na którą zgadzały się władze. Było to

perfidne, ale przynosiło rezultaty, o jakie im chodziło, łatwiej jest bowiem rządzić kimś nie douczonym, kimś, kto nie umie walczyć o swoje racje i jest przez to całkowicie podporządkowany białym. Dłonie Mbekiego kurczowo zacisnęły się na ścierce. Przełknął gniewnie ślinę starając się, żeby dzieci nie zauważyły jego gniewu. Wystraszyłyby się tylko jeszcze bardziej. Nienawiść do apartheidu i jego twórców narastała w nim z każdym dniem. Jedyne zadania kurierskie w ANC dawały mu pewne zadośćuczynienie. Ostatnio czuł jednak niedosyt. Stwierdził, że musi poprosić dowódcę o przydzielenie mu bardziej odpowiedniego zadania. Elektroniczny zegarek na jego ręce zasygnalizował kres kolejnego dnia nauki.

- Koniec zajęć. Nie zapomnijcie, proszę, przeczytać na jutro tekst ze strony szóstej.
- Zamknął elementarz, usiadł przy stole i z troską spoglądał na opuszczającą klasę dzieci. Nagle zobaczył ponad ich głowami sekretarkę, która machała do niego ręką i krzyczała: - Panie doktorze!
- Tak? - czuł, że coś się stało.
- Telefon do pana. Od pańskiej ciotki. Mbeki poczuł przyływ energii. Miał zadanie do wykonania.

### • **Dyrekcja Wywiadu Wojskowego, Pretoria**

Erik Muller bezmyślnie patrzył na wiszącą przed nim ulubioną akwarelę. Potarł podbródek, marszcząc brwi, gdy palce wyczuły zarost, który zdążył wyrosnąć od czasu porannego golenia.

- Powtórzcie wiadomość, którą otrzymał Mbeki. Przed nim stał agent Paul Reynders, blady, z lekko przymrużonymi, podkrążonymi oczami. Przez ostatnie osiem godzin siedział w dusznej, zamkniętej furgonetce bez okien, zaparkowanej naprzeciwko Szkoły Podstawowej Gazankulu w Soweto. W samochodzie zainstalowana była aparatura podsłuchowa. Zadaniem Reyndersa było przechwycenie wszystkich rozmów telefonicznych prowadzonych na terenie szkoły.
- Do nauczyciela był telefon z wiadomością, że jego ciotka w Ciskei jest chora, ale to tylko niegroźne przeziębienie. - W apatycznym głosie agenta wyraźnie słychać było znużenie. Muller przejechał palcem po zdobytej w Gawambie liście hasel. Aha, jest. Ciężko zaklął pod nosem. Niech to szlag. ANC odwoływał swoją operację! Ale dlaczego? Zaczął rozpatrywać różne możliwe powody, analizując je błyskawicznie. Czyżby partyzanci zorientowali się w końcu, że ich skrytka w Gawambie została odkryta? Mało prawdopodobne. Nigdy nie rozpoczęliby całej operacji, gdyby mieli najmniejsze nawet podejrzenia. Czy mogło się zdarzyć, że zauważono jego ludzi? Znowu mało prawdopodobne. Żaden ze śledzonych nie okazał najmniejszego zaniepokojenia. Muller potrząsnął ze złością głową. Chodzi na pewno o te cholerne rokowania. I dlatego bydlaki okazały się takimi samymi mięczakami, jak Haymans i jego poplecznicy. Ale, swoją drogą, cwany. Gdyby teraz ANC przeprowadził jakąkolwiek operację, rozmowy z władzami by się nie odbyły. A to zepsułoby im opinię na świecie. A niech to szlag! Tak ładnie ich rozpracował. I nagle zatarł z uciechy rękę. Jest chociaż mała rekompensata. Luthuli dostanie chyba apopleksji na wiadomość o odwołaniu ZERWANEGO PRZYMIERZA. Poprawiło mu to trochę humor. Muller podniósł wzrok znad zdobytej listy i spojrzał na białe- czarne zdjęcie zawieszony koło jego ulubionej akwareli. Wykonane z ukrycia przez jednego z jego agentów pokazywało Luthuli krocącego ulicą w Lusace, otoczonego nieodłącznymi goryłami. Jak na czarnego, Luthuli był całkiem przystojnym mężczyzną. Pociągła twarz. Dumny, niemal orli nos. Okrutne oczy drapieznika. To był godny przeciwnik. Muller zmusił się do zmiany obiektu zainteresowań. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Nadal słyszał ciężki oddech Reyndersa czekającego cierpliwie na rozkazy. Co tu można zrobić? Jeśli informacja dotrze do adresata, minie sporo czasu, zanim ANC będzie mógł choćby pomyśleć o wznowieniu operacji. W obecnym klimacie politycznym to może być cała wieczność. Do tego czasu Vorster może już nie być ministrem. Negocjacje z ANC mogą być zakończone pozytywnie albo, co gorsze, mogą pójść jeszcze dalej. Wieści o Gawambie i dokumentach mimo całej ostrożności mogą się wydostać na zewnątrz. Wszystko mogło się zdarzyć w tym czasie. Muller potrząsnął głową. Nie miał żadnego wyboru. Jeśli ZERWANE PRZYMIERZE zostanie odwołane, złota szansa dla AWB,



Vorstera i samego Mullera zostanie na zawsze zaprzepaszczona. Nie mógł na to pozwolić. Odchrząknął.

- Czy ten Mbeki przekazał wiadomość dalej?

- Nie, sir. - Reynders w tym przypadku był pewny siebie.

- Jego kontakt działa dopiero wieczorem. Wątpię, żeby nawet próbował gdziekolwiek zatelefonować przed nocą.

- Świetnie. - Muller nie krył ulgi. Nadal miał czas na przerwa nie łańcucha kontaktowego ANC. - Słuchaj uważnie, Paul. Chcę, żebyś przerwał wszelkie połączenia telefoniczne z domem Mbekiego i jego sąsiadami. O szóstej wieczorem wszystkie telefony w promieniu sześciu ulic mają być zablokowane. Jasne? Reynders odpowiedział natychmiast.

- Tak jest.

- Dobrze. Każ przyjsć do mnie w ciągu godziny swoim dwóm najlepszym "pieszczochom". Mam dla nich zadanie.

### • **Ulica Bila, Soweto**

Nthato Mbeki po raz setny chyba przyłożył słuchawkę do ucha. Głucho. Nie było żadnego sygnału. Wściekły, trzasnął słuchawką w widełki. Otrzymana wiadomość musiała jeszcze dzisiaj być przekazana dalej. Nie mógł już dłużej czekać. Musiał znaleźć inny telefon. Może w szkole albo u któregoś z nauczycieli będzie działający telefon. Mbeki włożył kurtkę i wyszedł z domu. Po zachodzie słońca, Soweto było pogrążone w ciemnościach. Na ulicy paliło się tylko kilka słabo świecących lamp, które w dodatku stały w dużych odległościach od siebie. W powietrzu snuł się dym z kominów, co jeszcze bardziej utrudniało widzialność. Podniósł kołnierz i skierował się pospiesznymi krokami do szkoły, omijając po drodze sterty leżących na ulicy śmieci. Jakies sto metrów przed nim dwóch młodych czarnych mężczyzn siedziało w poobijanym Fiacie. Czekali już od przeszło godziny. Mężczyźni byli "pieszczochami"; służby bezpieczeństwa określały tym mianem wynajętych do mokrej roboty w czarnych gettach miejscowych rzezimieszków. Ludzie ci byli w takich sprawach bardzo użyteczni i praktycznie niewykrywalni, a przestępstwa przez nich popełniane z reguły przypisywano gangom ulicznym. Kierowca zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny: - No? To ten gówniarz? Mężczyzna zniżył lornetkę, przez którą obserwował dom Mbekiego.

- W porządku, to nauczyciel.

- Najwyższy czas. - Kierowca włączył silnik i zjechał z krawężnika. Dodał gazu i po kilku sekundach samochód z wyłączonymi światłami pędził z prędkością niemal stu kilometrów na godzinę. Mbeki usłyszał tylko narastający błyskawicznie warkot i zanim zdążył się odwrócić, poczuł straszliwe uderzenie. Samochód, nie zwalniając, zniknął w ciemnościach. Gdy sąsiedzi, zwabieni krzykiem, wybiegli z domów, Nthato Mbeki, jeden z najbardziej obiecujących nauczycieli w Soweto, już nie żył. Jego zmasakrowane ciało leżało na środku jezdni, w powiększającej się wciąż kałuży krwi. Oczywiście, świadków zdarzenia nie było, więc zapracowana policja odnotowała jego śmierć jako kolejny zamach któregoś z gangów. Wraz z nim zginął sygnał odwołania ZERWANEGO PRZYMIERZA

## Zerwane przymierze

- **14 czerwca - okolice Pretorii, RPA**

Skromny, wiejski dom Karla Vorstera leżał w centrum olbrzymiej posiadłości, na którą składały się pastwiska, zagrody dla bydła i zaorane pola pszenicy. Jego robotnicy rolni i służba mieszkali w barakach ustawionych rzędami na zboczach wzgórza, na którym stał dom. Był to nieduży i prosty budynek z wąskimi oknami i grubymi, białymi ścianami, które zapewniały chłód w lecie i ciepło w zimie. W jego prywatnym biurze znajdowało się teraz dwudziestu mężczyzn. Większość z nich była ubrana w zwykłe, codzienne ubrania, choć kilku, którzy przybyli bezpośrednio z pracy, miało na sobie ciemne garnitury i krawaty. Dwóch mężczyzn nosiło mundury. Parę osób trzymało w rękach kieliszki, ale od razu można było poznać, że pozwolono sobie jedynie na skosztowanie trunków. Wszyscy czekali w skupieniu, ich spokojne twarze zwrócone były w stronę przywódcy. Mimo odgłosów muzyki country z głębi domu i zapachów unoszących się z grilla w ogrodzie spotkanie to nie było zwykłym towarzyskim przyjęciem. W pokoju panowała atmosfera pełna napięcia i niepewności. Jedynie stojący przy kominku wysoki mężczyzna o ostrych rysach epatował pewnością siebie i zdecydowaniem. Vorster przyglądał się uważnie zebranym. W jego spojrzeniu widać było satysfakcję. Każdy z tych mężczyzn należał do jego tajnego stowarzyszenia. Każdy mógł się pochwalić czystym, afrykanerskim pochodzeniem. Każdy podzielał jego zdecydowaną wolę ocalenia kraju od koszmaru dominacji czarnych i nie kończących się walk plemiennych. I co najważniejsze, każdy z nich zajmował ważną pozycję w rządzie republiki. Vorster przedłużył chwilę milczenia, obserwując narastające napięcie. Jego plany wymagały, aby ci ludzie byli naprawdę zdeterminowani. Spojrzał na Mullera czekając na jego znak.

- Zaczynamy. - Vorster spojrział na zebranych i jednocześnie dał znak ręką. Muller w odpowiedzi skinął lekko głową i zamknął drzwi do pokoju.

- Przyjaciele, przejdę od razu do sedna sprawy. - Vorster wymawiał słowa pewnie i ostro, nie ukrywając swojej złości. Nasz ukochany kraj stoi na krawędzi katastrofy. - Zebrani pokiwali zgodnie głowami. - Haymans i jego banda zdrajców pokazali, że są gotowi sprzedać nasz kraj komunistom, czarnym i *uitlanders*. Wszyscy widzieliśmy ich gotowość poddania się. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Nikt nie może mieć wątpliwości, że zaproponowane przez nich rozmowy z ANC są pierwszym krokiem w kierunku zdrady. Znowu głowy pochyliły się w geście potwierdzenia, także i głowa Mullera, który ukrył cyniczny uśmiech, słysząc jak Vorster nagina fakty. Wątpił, żeby Haymans kiedykolwiek poważnie rozważał możliwość całkowitego zrezygnowania z dominacji białych. Jednak przesada mogła przynieść korzyści. Nawet zwykłe wspomnienie o poddaniu się wzniecało burzę gniewu i nienawiści wśród prawicowo nastawionych ugrupowań - burzę, którą Vorster mógł wykorzystać w odpowiednim czasie do oczyszczenia republiki. Już wkrótce. Skoncentrował swoją uwagę na natchnionej przemowie przywódcy.

- Musimy być gotowi, żeby ocalić nasz lud, gdy zawoła o pomoc. Wiemy, że niedługo to nastąpi. Prawdziwi Afrykanerzy nie dadzą się długo oszukiwać fałszywymi obietnicami pokoju, przygotowywanymi przez Haymansa i jego przyjaciół. Wkrótce diabelska natura naszych wrogów zostanie w oczywisty sposób ujawniona. - Vorster zacisnął pięść i podniósł ją do góry. - Bóg nie pozwoli, aby jego wybrany lud wpadł w sidła szatana. On nas ocali. On ukarze wszystkich, którzy zбочyli ze wskazanej nam drogi - Jego drogi! Przez krótką chwilę Muller miał wrażenie, że przypadkiem trafił na kazanie. Złudzenie to wzmocniło kilka wymruczanych „amen”. Następne słowa Vorstera rozwiały tę iluzję.

- Dlatego, panowie, musimy być przygotowani do natychmiastowego działania. Kiedy naród zwróci się do nas po ocalenie, musimy szybko przechwycić władzę w swoje ręce. Będziecie naszą strażą przednią w tym działaniu. Czy rozumiecie mnie? Jeden z mężczyzn w garniturze i krawacie wystąpił naprzód. Muller rozpoznał poważną, pociągłą twarz szefa oddziału służb Bezpieczeństwa Transwalu, Mariusa van der Heijdena.

- Niezupełnie, panie ministrze. Czy mamy zaplanować konkretną akcję przeciw frakcji Haymansa?

- Dobre pytanie, Marius. - Vorster pokręcił głową i podniósł wzrok na zebranych. - Nie planuję *coup d'état*. Nie namawiam was do zdrady. - Spojrzał nie ruchomym wzrokiem na Mariusa. - Nie, to nie jest to, co przewiduję. Mullera przeszedł dreszcz. Czy minister miał zamiar ujawnić informacje o ZERWANYM PRZYMIERZU? Nawet jeden z tych obdarzonych zaufaniem mógł zdradzić tajemnicę niewłaściwym ludziom. Taki przeciek byłby katastrofą. Otworzył już usta, żeby zaproponować. Vorster przemówił pierwszy, tłumiąc jego niepokoje.

- Wierzę, że nasi wrogowie sami dadzą nam okazję, której szu kamy. To oni wybiorą odpowiedni czas i sposób. Właśnie dlatego musimy być gotowi szybko wkroczyć. Kiedy nadejdzie dzień sądu,

tylko d, którzy będą działać bez zwłoki, wyjdą zwycięsko. Tak więc bądźcie Przygotowani. Tylko o to was proszę. Znowu dały się słyszeć zgodne pomruki, choć niewielu starało się ukryć zdziwienie. O co chodzi? - pomyślał Muller. Dostali niezbędne ostrzeżenie i to im powinno wystarczyć. Jeśli tylko

plan ANC powiedzie się, Afryka Południowa przekona się niedługo, że ma nowych panów. Zadowolony z siebie Vorster rozluźnił się, kryjąc zręcznie ambicje pod maską uprzejmości.

- Ale skończmy już na tym, przyjaciele. Żadnych więcej interesów na dzisiaj, dobrze? Wciągnął z uznaniem zapachy napływające z zewnątrz.

- Wygląda na to, że moi nchłopczy" dobrze się dziś sprawili z wołowiną. Całkiem ładny kawałek. Musimy pamiętać, że polityka nie jest łatwą sprawą i że powinniśmy zachowywać siły, co? Jego próba dowcipu została przywitana śmiechem i goście zaczęli opuszczać pokój

- gotowi na *barbeque*, które było przykrywką dla spotkania. Kiedy Muller skierował się ku drzwiom, na jego ramieniu zacisnęła się silna dłoń Vorstera. Minister pociągnął go w stronę kominka.

- No i jak idzie? Czy te czarnuchy trzymają się planu? Były jakieś reakcje na propozycje Haymansa? Muller patrzył na niego spokojnie, rozważając za i przeciw powiedzenia mu o próbie odwołania akcji. Jak dotąd minister pełnił jedynie pasywną funkcję w konspiracji - raczej tylko ukrywał informacje przed rządem, niż działał. Jeśli Vorster zaakceptuje jego wysiłki w popchnięciu ANC do działania, będzie to oznaczało jego pełniejszy udział w przygotowywanej zdradzie. Czy jednak odważy się na to?

- O co chodzi? Czy coś jest nie w porządku? - Uścisk na ramieniu Mullera wzmościł się. Nie starał się z niego uwolnić. Vorster wydawał się raczej zawiedziony niż spanikowany. Świetnie. Muller słusznie go ocenił. Żądza władzy musi przewyższać opory nakładane przez obowiązek lojalności. Musi wierzyć, że tylko on jest w stanie powstrzymać zdradę Haymansa.

- Wszystko idzie zgodnie z planem, panie ministrze. - Muller nachylił się lekko do starszego mężczyzny. - jednak byłem zmuszony przedsięwziąć pewne kroki...

- jakie kroki? - Vorster mówił cicho, ale w jego głosie słychać było ostre nuty. Nie ociągając się dłużej, Muller opowiedział mu wszystko. Vorster zachował całkowite milczenie w czasie relacji, poza chrząknięciem pełnym uznania, gdy dowiedział się o fatalnym "wypadku" doktora Mbeki. Puścił wreszcie ramię Mullera.

- Dobrze się pan spisał. Muller poczuł ulgę. Minister był w pełni zaangażowany. Vorster założył ręce na plecach i patrzył nieruchomo na ogień w kominku.

- Niektóre z rzeczy, do wykonania których nas powołano, byłyby wstrętne, nawet naganne, w normalnych czasach. jednak to nie są zwykłe czasy. Westchnął i położył rękę na ramieniu Mullera.

- Jesteśmy sługami Pana, Eriku. A praca dla Niego jest ciężkim brzemieniem. - Wyprostował się. - jednak z radością przyjmujemy ten ciężar. Tylko niewielu ludzi w historii doznało tego zaszczytu. Mullerowi z trudnością udało się ukryć niesmak. Po co mieszać do tego Boga? Władza była wystarczającym usprawiedliwieniem każdego postępków. Zmusił się do

aprobującego pomruku, który zadowolił uczucia Vorstera. Dwóch mężczyzn odwróciło się od kominka; dwóch zupełnie różnych ludzi, posługujących się tymi samymi środkami, żeby osiągnąć ten sam cel - absolutną władzę w Republice Południowej Afryki.

### • 18 czerwca - góry Hex River

Riaan Oost zdał sobie nagle sprawę z panującej wokół ciszy. Żadnych krzyków zwierząt czy lirycznych, pełnych rytmu ptasich śpiewów. Nawet nieustanne brzęczenie owadów wydawało się przygłuszone, jakby dochodziło gdzieś z oddali. W powietrzu nadal wisiał kurz podniesiony przez jego samochód; złota mgiełka przesuwająca się na północ wzdłuż wyboistej drogi. Wyśliznął się zza kierownicy furgonetki uważając, żeby ręce były cały czas dobrze widoczne. Naokoło znajdowali się ukryci i uzbrojeni obserwatorzy, którzy zdrady bali się bardziej niż czegokolwiek innego. Oost przeszedł powoli w stronę tyłu samochodu. jego życie zależało od własnej ostrożności i ich zaufania. Było tak od chwili, gdy partyzanci wyznaczeni do ZERWANEGO PRZYMIERZA zaczęli odwiedzać jego dom. Pochylił się nad bagażnikiem i dźwignął dużą drewnianą skrzynkę. Poprzekładane domowym chlebem, suszonym mięsem i kręgami sera butelki z piwem i wodą sodową leżały nie- ruchomo na dnie. Zapasy żywności mające dać siłę ludziom, aby mogli zabijać innych ludzi. Pocąc się pod ciężarem ładunku, Oost zaczął niezdarnie wspinać się na pochyłe zbocze, w stronę skał. Oślizłe kamienie i miękka, luźna ziemia utrudniały wspinaczkę, ale nikt nie wyszedł, żeby mu pomóc. Wejście do jaskini zasłonięte gęsto rosnącymi krzewami było niemal niewidoczne w mdłym świetle wieczoru. Oost zatrzymał się jakieś dziesięć metrów od wejścia i czekał, ciężko oddychając. Otrzymane instrukcje były wyraźne. Ludzie w jaskini pierwsi się z nim skontaktują. Krzewy przed nim zaszeleściły i wyszedł z nich wysoki, szczupły mężczyzna z AK-47 w rękach. Oczy Oosta zatrzymały się na otworze lufy karabinka szturmowego, który wolno skierował się w jego stronę.

- Spóźniłeś się, towarzyszu. - Słowa zostały wypowiedziane miękkim, suchym głosem, ale dla Oosta były bardziej złowieszcze niż krzyk. Odpowiedział, zacinając się: - Przepraszam, towarzyszu Kotane. Bur, który jest właścicielem winnicy, złożył mi nieoczekiwaną wizytę dziś rano. Nie mogłem przyjechać wcześniej, nie budząc podejrzeń. Mężczyzna patrzył na niego przez chwilę, która wydawała się wiecznością, a następnie skinął głową. Opuścił *Kałasznikowa*. - jakieś wiadomości? Oost poczuł, jak znowu go ogarnia skrywany entuzjazm.

- Tak! Ogłosili to przez radio. Parlament zakończy sesję dwudziestego siódmego zgodnie z planem! Na twarzy drugiego mężczyzny pojawił się na chwilę uśmiech i zaraz zniknął.

- Więc wracamy do naszych zadań. Dobrze. już zbyt długo czekaliśmy. Są jakieś oznaki zwiększonej aktywności policji czy wojska?

- Nic nadzwyczajnego. Rutynowe patrole. - Oost wyciągnął zwitek papierów z kieszeni. - Wraz z żoną przygotowaliśmy listę ich rozkładu dnia i tras. Nie powinniście mieć żadnych kłopotów z ich ominięciem. Drugi mężczyzna wziął papiery, przewiesił broń przez ramię i schylił się, żeby podnieść skrzynkę. Następnie wyprostował się i spojrzał na Oosta.

- Riaan, jak dotąd dobrze się spisywałeś. Trzymaj tak dalej, a pewnego dnia twoje wnuki będą czciły twoją pamięć jako bohatera wyzwolenia. Oost nic nie odpowiedział, patrząc jak mężczyzna przedziera się przez gęste zarośla. Następnie odwrócił się i zaczął uważnie schodzić do wozu, pragnąc jak najszybciej wrócić do domu, do żony. Bohater wyzwolenia. Na pewno będzie równie zadowolona z tego tytułu, jak on sam. Jeszcze tylko dziesięć dni do ZERWANEGO PRZYMIERZA.

### • 25 czerwca - kwatera główna *Umkhonto we Sizwe*, Lusaka. Zambia

Pułkownik Luthuli wydawał się być mocno przejęty sytuacją. Długie okresy milczenia ze strony jego agentów w RPA nie były niczym nadzwyczajnym. Nawet najpilniejsze rozkazy musiały być przekazywane okrężną drogą - przez poplątaną sieć skrytek i często zmieniających się łączników. Wszystko po to, żeby możliwie jak najbardziej utrudnić robotę

Służbom Bezpieczeństwa. Wielocłonowy łańcuch, którym wędrowały wiadomości, oznaczał mniejszą liczbę podsłuchanych rozmów telefonicznych. Luthuli zawsze uważał, że stracony czas jest niezbędną ceną, którą warto zapłacić. Teraz jednak nie był tego tak pewien.

Przejrzał bez entuzjazmu leżący na jego biurku wycięty z gazety artykuł, domyślając się, że nie będzie w nim potrzebnych mu informacji. Tylko gazeta "Sowetan" uważała, że śmierć dr Mbeki jest warta wzmianki i to też jedynie jako kolejny przykład konieczności zmian w kontroli drogowej i lepszego oświetlenia ulic. Co gorsza, wzmianka ukazała się dopiero cztery dni po śmierci Mbeki. Minęło też kilka dni, zanim gazeta dotarła do Lusaki i kilka kolejnych, zanim Sekcja Wywiadu *Umkhonto* znalazła nazwisko Mbeki na liście swoich agentów. "Tragiczny wypadek przyczyną śmierci nauczyciela". wymamrotał Luthuli, czytając nagłówek. Czy był to jedynie wypadek? Możliwe. Tak utrzymywała gazeta, a jej redaktorzy nigdy nie zapominali wskazać palcem na rząd, gdy podejrzewali go o brudną robotę. Najważniejsze pytanie nie znalazło odpowiedzi we wzmiance. Kiedy dokładnie doktor zginął? Czy zdążył przekazać sygnał? Jak dotąd, wszystkie usiłowania sprawdzenia jego kontaktów okazały się niemożliwe. Wkrótce po śmierci Mbeki szef jego komórki w firmie budowlanej został nieoczekiwanie wysłany do pracy na południe, do Natalu. Nadal tam pozostawał i był równie nieosiągalny, jak gdyby wysłano go na Księżyc.

Luthuli poczuł zimno. Co będzie, jeśli okaże się, że Mbeki nie zdążył przesać sygnału i jeśli ZERWANE PRZYMIERZE nie zostało odwołane? Nacisnął guzik interkomu na swoim biurku.

- Powiedźcie majorowi Xuma, że chcę go natychmiast widzieć u siebie. Xuma, szef wywiadu, wszedł do pokoju pięć minut później. Luthuli wskazał palcem wycinek z gazety.

- Widział pan to? Major skinął głową, jego oczy schowane za grubymi szklami w drucianych oprawkach nie wyrażały żadnych uczuć.

- Zdaje więc pan sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo nam zagraża? Xuma ponownie skinął głową świadom, że puste słowa mogą tylko wywołać wściekłość jego dowódcy. Usta Luthuli zacisnęły się w gniewie.

- No więc, co możemy zrobić w tej sprawie? Szef wywiadu zaklął ciężko w duchu. Zawsze nienawidził sytuacji bez wyjścia. Ta była chyba najgorsza ze wszystkich możliwych. Na pytanie pułkownika nie było po prostu żadnej poprawnej odpowiedzi. Złożył ręce nieświadom, że wygląda to tak, jakby się modlił. - Obawiam się, pułkowniku, że niewiele możemy zrobić – nie w tej fazie operacji. Głos Luthuli był bardzo zimny i wyważony.

- Proszę się wytłumaczyć, majorze. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby moi oficerowie przyznawali się otwarcie do całkowitej bezradności. Xuma gwałtownie zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie to chciałem powiedzieć, jeśli... - położył nacisk na to słowo, podkreślając swoją niepewność - jeśli nasz sygnał nie został przesłany dalej, nie ma już czasu na wysłanie kolejnego. Nie pozwalają na to kontakty ustalone dla ZERWANEGO PRZYMIERZA. Luthuli, mimo iż nie chciał się do tego przyznać, wiedział dobrze, że jego podwładny ma rację. Martin Cosate bardziej zadbał o to, żeby jego genialny plan miał szansę realizacji, niż o możliwość jego odwołania. Cosate był szczególnie zainteresowany potrzebą bezpiecznej komunikacji z jego wybraną grupą. W rezultacie piętnastu partyzantów, ukrytych gdzieś głęboko w górach, będzie odpowiadało jedynie na wiadomości przesłane uprzednio ustalonym sposobem. Każda próba nawiązania bezpośredniego kontaktu musi się skończyć milczeniem z ich strony.

- Pułkowniku. - Zrównoważony głos majora przerwał jego ponure rozmyślenia. Podniósł na niego wzrok. - Osobiście jestem przekonany, że Mbeki raczej przekazał wiadomość przed śmiercią. Nasze dane o nim mówią, że był to człowiek godny zaufania. Nie przypuszczam, żeby wyszedł z domu tej nocy, nie wypełniwszy najpierw swojego zadania. Luthuli wolno pokiwał głową. Interpretacja Xumy była optymistyczna, ale nieprzesadnie. Była duża szansa, że ZERWANE PRZYMIERZE zostało odwołane. Wyprostował się w krześle.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. Proszę jednak to sprawdzić. Chcę mieć odpowiedź przed dwudziestym ósmym. Xuma uważnie przyglądał się swojemu dowódcy. Luthuli musiał wiedzieć, że jego rozkaz jest niewykonalny i zwyczajnie osłaniał swój tyłek na wypadek, gdyby w ciągu najbliższych kilku dni coś poszło nie tak w górach Hex River. Jeśli sygnał nie został przekazany, pułkownik będzie mógł powiedzieć zgodnie z prawdą, że wydał swojemu

szefowi wywiadu rozkaz wysłania kolejnego sygnału. Wina za katastrofę spadnie na Xumę. Niech tak będzie. Major energicznie zsalutował, obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z pokoju. Pułkownik był cwany sukinsynem, ale przekona się, że on też potrafi bawić się w przerzucanie odpowiedzialności. Zresztą Xuma nigdy nie lubił kapitana stojącego na czele służby łącznościowej. Ten człowiek najlepiej się będzie nadawał na kozła ofiarnego. Poza tym nie ma się co specjalnie przejmować - powiedział sobie. Nawet jeśli informacje o odroczeniu nie zostały przekazane, i tak ZERWANE PRZYMIERZE nie ma szansy realizacji. Siły bezpieczeństwa są zbyt sprawne i uniemożliwią jakiegokolwiek, nawet początkowe działanie wyznaczonym ludziom. Bardzo się mylił.

## • 27 czerwca - Dworzec Główny w Kapsztadzie

Siedemnasto wagonowy Błękitny Pociąg stał nieruchomo na specjalnym peronie otoczonym przez kordon uzbrojonych spadochroniarzy i policjantów w cywilu. Pomiędzy nimi przemykali kelnerzy w biało-niebieskich frakach, nienagannie ubrani bagażowi i umazani smarem robotnicy kolejowi - każdy zajęty przygotowaniem pociągu do najważniejszej podróży w roku. Sto metrów dalej Sam Knowles patrzył przez minikamerę, przesuwając ją od lokomotywy w stronę wagonu bagażowego z tyłu pociągu. Zacisnął usta. Ian Sheffield dostrzegł jego zatroskany wzrok.

- Coś nie w porządku? Knowles potrząsnął przecząco głową.

- Nic, czego nie mógłbym poprawić na "potworze". "Potworem" nazwał Knowles ich skomputeryzowaną maszynę do edycji taśmy. Działała ona na zasadzie digitalizacji nagranych obrazów. Kiedy każde źdźbło trawy, twarz czy cegła na ścianie zostały przetworzone w ciąg cyfr zakodowanych w pamięci komputera, zręczny technik mógł dosłownie zmienić wygląd świata przez prostą ich zmianę. Systemy takie były w normalnym użytku dla zwykłych eliminacji zniekształceń i zakłóceń. Jednak mogły być także użyte do fałszowania filmowanych zdarzeń. Ludzie, którzy nie znajdowali się na miejscu kręcenia filmu, mogli zostać wstawieni do niego po fakcie. Tak samo ci, którzy tam byli, mogli zostać łatwo usunięci, wymazani bez żadnych śladów. Budynki, góry i drzewa mogły zostać przetworzone czy dowolnie przesunięte za pomocą kilku klawiszy komputera. Mówiąc po prostu, systemy komputerowego przetwarzania obrazu sprawiały, że stare przysłowie: "zdjęcie jest więcej warte niż tysiąc słów", przestawało być aktualne. W dzisiejszych czasach jedynie od uczciwości kamerzysty, reportera i technika zależało czy to, co ludzie oglądali na ekranie, przypominało w czymkolwiek rzeczywistość. Knowles opuścił kamerę.

- Mam cholerny żółty blisk od okien wagonów sypialnych. Ian poklepał trzymaną w ręce broszurę informacyjną Kolei Południowoafrykańskich.

- Według przewodnika, jest to odblask czystego złota, Sam. Czyste, najwyższej próby złoto.

- Nie nabierasz mnie? Ian potrząsnął głową.

- Ani trochę. Każde z tych okien jest pokryte cienką warstwą złota, które chroni wnętrze przed upałem i blaskiem słońca.

- Jezu Chryste! - Knowles nie starał się ukryć przepelnionej zazdrością pogardy. - Czy jest coś, czego nie umieścili w tym luksusowym pociągu? Ian przesunął palcem po liście udogodnień, które były czymś zwyczajnym w Błękitnym Pociągu. Klimatyzacja w wagonach. Eleganckie łazienki i prysznice. Posiłki godne pięciogwiazdkowych restauracji. Ultranowoczesne resory pneumatyczne i specjalna izolacja zapewniająca wygodną i cichą jazdę. Uśmiechnął się cynicznie. Autorowi tej broszury w widoczny sposób zabrakło pod koniec tekstu inwencji. Złożył ją i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Rozchmurz się, Sam. Mamy niezły początek dla jutrzejszej, raczej nudnej, historii.

- Na przykład? Ian bez chwili namysłu odrzekł.

- W porządku, co powiesz o tym? "Po skończonej sesji parlamentu prezydent i członkowie gabinetu opuścili dziś Kapsztad słynnym Błękitnym Pociągiem - wyruszając wśród niebywałego luksusu w tradycyjną podróż do Pretorii, poprzez kraj zamieszkały przez miliony biednych, pozbawionych jakiegokolwiek praw Murzynów."

Knowles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nieźle. Może zbyt populistyczne, żeby odpowiadało Nowemu Jorkowi, ale wcale nieźle.

- Niestety, nieszczęśliwie zgadza się z faktami, więc nie mogę tego użyć. Muszę przyznać, że Haymans i jego ludzie naprawdę są gotowi zmienić pewne rzeczy w tym kraju.

- Może i tak. - Knowles nie wydawał się być przekonany.

- Pozwolisz, żeby taka drobnostka zepsuła ci dobry wstęp?

- Znam facetów, którzy by się tym nie przejmowali. - Ian uśmiechnął się ponuro. - Wątpię jednak, żebym mógł sobie spojrzeć w twarz, gdybym zaczął robić takie rzeczy.

Ian usłyszał swój świątobliwy ton i zaczął się zastanawiać, jak jego skrupuły będą wyglądały po kilku dalszych miesiącach wygnania w Afryce Południowej. Cholera! Potrzebował naprawdę dużej sensacji, żeby odzyskać wysokie notowania w Stanach. I potrzebował jej naprawdę szybko. Knowles zarzucił torbę z minikamerą na ramię i sprawdził czas na zegarku.

- Lepiej się z tym prześpij i wymyśl coś naprawdę dobrego. Masz tylko jedenaście godzin, żeby znaleźć jakiś naprawdę bombowy wstęp. Niewysoki kamerzysta z łatwością sparował powolny cios Iana i skierował się ku wyjściu z peronu. Stojący za nimi major, dowodzący spadochroniarzami strzegącymi Błękitnego Pociągu, odwrócił twarz z grymasem niesmaku. Amerykanie. Można ich było rozpoznać na kilometr. Ich maniere były naprawdę żałosne. Odwrócił się i krzyknął na stojących najbliżej żołnierzy, którzy znieruchomieli w oczekiwaniu rozkazów. Major traktował swoje zadanie z największą powagą. On i jego ludzie przysięgali bronić przywódców z poświęceniem własnego życia. Niewielu z nich przypuszczało, że będzie to rzeczywiście konieczne.

## • Ministerstwo Prawa i Porządku, Pretoria

Ze swojego miejsca Erik Muller mógł słyszeć odpowiedzi Vorstera.

- Nie, panie prezydencie. Nie mogę jechać z panem jutro. Mam po prostu zbyt wiele pracy tutaj. - Palce Vorstera bębniły o blat biurka, nieświadomie wybijając rytm marsza pogrzebowego.

- Co takiego, panie prezydencie? Wielka szkoda? Ach, tak. Oczywiście. - Gęste, siwiejące brwi Vorstera uniosły się w sardonicznym uśmiechu. - Tak, zawsze bardzo lubiłem dobre jedzenie. I wspaniałe widoki. Szczególnie w górach. Muller z trudem powstrzymał się od śmiechu. Patrzył, jak Vorster podnosi ołówek i zdecydowanym ruchem zakreśla kółko na mapie Kraju Przylądkowego. Kółko otaczało fragment linii kolejowej głęboko w górach Hex River.

- Nie, panie prezydencie. Przykro mi, ale naprawdę nie będę mógł pojechać tym razem. Może w styczniu, gdy parlament zacznie sesję.

- Dziękuję, Frederick. Bardzo miło z twojej strony. I proszę przekazać wyrazy uszanowania dla żony. Tak. Wkrótce się zobaczymy. Tak. Niech Bóg będzie z panem. - Vorster odłożył słuchawkę. Nachmurzony, spojrzał na Mullera.

- Co za cholerny bałwan. Uwierzy pan? Haymans ma jeszcze śmiałość próbować na mnie swoich oszukańczych, miłych słówek. Myśli, że może nabrać mnie na przyjaźń. przy tej całej jego zdradzie! Muller wzruszył ramionami. Już jutro wszystko będzie nieaktualne. Czemu się nimi przejmować? Vorster dźgnął mapę ołówkiem.

- Czy pańscy ludzie są już gotowi?

- Tak, panie ministrze.

- A terroryści? - Ołówek Vorstera zrobił kolejny czarny znak w środku narysowanego przezeń kółka.

- Wygląda na to, że tak. - Muller nachylił się. - Muszę przyznać, że nie ufam kompetencjom czarnych w takich sprawach. Czarni zawsze są niedokładni. Może nasi ludzie mogliby...

- Nie. - Vorster uciszył go ruchem ręki. - To zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby zacząć gadać lub wpaść w panikę.

Muller skinął głową. Minister miał chyba rację. Wyprostował się.

- Teraz możemy jedynie czekać i patrzeć, jak rozwiną się wypadki.

- Racja. Vorster wstał zza biurka i pochylił się nad mapą, jego oczy śledziły po raz setny linię łączącą Kapsztad z Pretorią. Najwyraźniej usatysfakcjonowany

złożył mapę i schował ją do szuflady. Kiedy podniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech.

- Wypełni się wola Boska, Muller. Wypełni się. Muller miał nadzieję, że wyznaczeni przez Boga będą potrafili celnie strzelać.

## • 28 czerwca - okolice Osplaas, góry Hex River

Na niebieskim, bezchmurnym niebie słońce stało wysoko, kąpiąc wąską dolinę w potokach czystego, bezlitosnego światła. Pojedyncze kępy krzewów i ciemnozielonych niskich drzew rozsiane były po całym poszarpanym zboczu. Panowała cisza. Dolina wyglądała na pustą, pozbawioną życia. Jednak byli tu ludzie - czekali w zasadzce. Andrew Sebe przykucnął nisko w gęstwinie krzewów i porzrzucanych, ostrych kamieni. Obliznął spierzchnięte wargi i przez chwilę starał się zapanować nad drżeniem rąk. Drżenie brało się z oczekiwania, powiedział sobie, a nie ze strachu. On i jego towarzysze zbliżali się do punktu kulminacyjnego długich dni planowania, przygotowań i rekonesansów. Sebe mocniej ścisnął granatnik, starając się trzymać pałce z dala od spustu. Bardzo chciał być podobny do wysokiego i chudego jak patyk mężczyzny siedzącego nieruchomo w kucki koło niego. Kotane zawsze imponował im absolutną pewnością siebie. Dowódca partyzantów wydawał się być zdolny stłumić w sobie wszelkie uczucia, poza zacieklą wolą zwycięstwa, bez względu na koszty. Gdyby tylko on mógł być tak odważny. David Kotane rzucił krótkie spojrzenie na młodego mężczyznę obok, zauważając krople potu spływające po jego czole. Następnie rozejrzał się po zboczach, szukając swoich ludzi. Nie dostrzegł nikogo. Dobrze. Jak dotąd wypełniali wszystkie jego rozkazy, pozostając ukryci nieruchomo wśród kęp wysokiej trawy, suchych krzaków i drzewek. Kotane przeniósł wzrok na cel - linię kolejową, oddaloną zaledwie o sto metrów od kryjówki partyzantów. Widziana z wysokości, przypominała długiego, czarnego węża wijącego się wzdłuż doliny. Trakcja zwiślała nieruchomo. Jeszcze pięć minut. Kotane pogładził nieduże, białe pudełko, które trzymał na kolanach. Nad przełącznikami świeciły czerwono dwie diody. Słaby, łomoczący dźwięk zaczął narastać. Śmigłowce. Kotane spojrzał na zachód. Tam! Spostrzegł helikopter *Puma*, lecący nad torami ze stałą prędkością stu kilometrów na godzinę. Gdy helikopter zbliżył się do nich, Kotane skinął na Sebe, żeby się ukrył i sam przylgnął mocno do ziemi. Afrykanerzy dokonywali ostatniej inspekcji z powietrza. Dokładnie według planu. Jasne było, że chcą nie przeoczyć niczego, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo ich najwyższych dostojników. Łopot wirnika dźwięczał głucho. *Puma* była teraz blisko, lecąc tuż nad liniami trakcji kolejowej. Kotane zacisnął powieki, gdy śmigłowiec przeleciał dokładnie nad jego głową, wzbijając w powietrze chmurę piasku i suchej trawy. Po chwili otworzył oczy. Połyskująca w słońcu *Puma* skrywała się już za wzgórzem. Kotane usiadł. Udało się! Właśnie uniknęli ostatniego patrolu Afrykanerów. Nic ich nie mogło już zatrzymać. Poklepał Sebe po ramieniu.

- Przygotuj się, Andrew. I pamiętaj, strzelaj celnie. Tak, jak to ćwiczyliśmy, dobrze?

Młodszy mężczyzna skinął w milczeniu głową i podniósł się na kolana, ściskając oburącz granatnik. Kotane rzucił okiem na zegarek i skierował wzrok na tory. Teraz, już w każdej chwili... Błękitny Pociąg pojawił się w głębi doliny, ślizgając się niemal bezgłośnie po szynach z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nad zderzakami elektrowozu powiewały południowoafrykańskie chorągiewki w pomarańczowo-biało-niebieskie pasy. Reszta pociągu - dwanaście wagonów sypialnych o złotych oknach, salonka, wagon restauracyjny i kuchnia, wagon z prądnicą i bagażowy - rozciągała się w prosty, długi łańcuch. Kotane poczuł, jak jego tętno zaczyna przyspieszać, kiedy przesunął pierwszy przełącznik nadajnika. Jedna z diod zaświeciła na zielono. Urządzenie zostało uruchomione. Jego wzrok skupił się na wyznaczonym punkcie na torach. Dziesięć sekund. Pięć. Cztery. Trzy... Przód lokomotywy znalazł się w zasięgu jego nieruchomego spojrzenia. Teraz! Kotane przesunął drugi przełącznik. Pięćdziesiąt kilogramów ułożonego wzdłuż torów plastiku wybuchło pod lokomotywą - wyrzucając ją wysoko w powietrze, wśród falującej chmury pomarańczowoczerwonych płomieni, czarnego dymu, kawałków porwanych i poszarpanych szyn. Zaszokowany siłą wybuchu Kotane siedział nieruchomo patrząc, jak zmiażdżona lokomotywa wali się na ziemię i toczy w dół po zboczu, łamiąc drzewa i



rozbijając każdą skałę znajdującą się na jej drodze. Reszta Błękitnego Pociągu poleciała za lokomotywą - najpierw wyrzucona do góry, a następnie ściągnięta z torów, w postaci płataniny pogiętego metalu, rozbitego szkła i wirujących wokół szczątków. Podnosząca się kurtyna kurzu zasłoniła resztki pociągu. Dowódca podniósł się i zaczął biec w stronę torów. Sebe ruszył za nim, trzymając w rękach RPG-7. jeszcze trzynastu partyzantów wyszło z ukrycia. Siedmiu z nich było uzbrojonych w AK-47, dwóch dźwigało granatniki, a czterech niosło parę lekkich karabinów maszynowych na podstawach. Kotane zatrzymał ich przed samym pociągiem i przyglądał się widokowi, który mógł być ilustracją filmu o piekle. Wagony Błękitnego Pociągu leżały jeden na drugim - niektóre rozerwane na strzępy, inne zgniecione nie do poznania. Zmasakrowane ciała porzucane były po całym nasypie. Pomiędzy nimi walały się szczątki walizek, zakrwawionych obrusów i pościeli oraz kawałki porcelany. Z kilkunastu niewielkich pożarów wydobywał się tłusty, czarny dym. Niemożliwe, aby ktoś przeżył tę katastrofę. Oczy Kotane zwęziły się. Lepiej się upewnić teraz, kiedy mają jeszcze możliwość to zrobić. Wkrótce siły porządkowe Afrykanerów ruszą na ratunek. Odwrócił się do swoich ludzi zebranych koło niego i krzyknął:- Nie stójcie tak! Ognia! Użyjcie tej cholernej broni! Pierwszy zareagował Sebe. jego pocisk wyrwał nową dziurę w rozbitym wagonie sypialnym, który wybuchł płomieniem. Inni partyzanci otworzyli ogień, wysyłając w stronę pociągu granaty i setki kul. David Kotane patrzył z nienawistną satysfakcją, jak jego ludzie systematycznie puszczają serie wzdłuż rumowiska, które jeszcze niedawno było Błękitnym Pociągiem. Nikt nie mógł ocaleć.

## 4

# Wyliczenie położenia

- **28 czerwca - Centrala Wywiadu Wojskowego, Pretoria**

GRUPA UDERZENIOWA BRAVO DWA

OPCOM 3/87: 1622

*Wiadomość: Do CWW-1. Zwiad powiadamia o rozpoznaniu przeciwnika w sile 10-20 osób poruszających się pieszo w kierunku PIW. Ze względu na specjalny rozkaz, żadnych prób kontaktu. Jednostki pościgowe w pogotowiu. Zasadzka gotowa. Pociąg zniszczony, powtarzam, zniszczony. Usta zidentyfikowanych ofiar poniżej. Koniec wiadomości.*

Erik Muller odłożył wiadomość na bok i szybko przejrzał listę ofiar. Czytając, starał się cały czas zachować na twarzy wyraz przerażenia i niedowierzania. Ważne było, aby nawet jego najbliżsi pracownicy wierzyli, że wiadomość o brutalnym ataku była dla niego szokiem. Tak naprawdę, Muller nie musiał wcale się starać, aby wyglądać na zaskoczonego. ZERWANE PRZYMIERZE przyniosło rezultaty przechodzące jego najśmielsze przypuszczenia. Potwierdzono śmierć prezydenta, ministrów obrony, spraw zagranicznych, transportu, energii i edukacji oraz kilkudziesięciu innych wysokich urzędników. Wszyscy oni padli ofiarą podstępного i zupełnie nie sprowokowanego ataku ANC. Doskonale. Wystarczy teraz uporządkować jeszcze kilka nie załatwionych spraw i droga Vorstera do władzy będzie otwarta. Na jego biurku zadzwonił telefon. Podniósł szybko słuchawkę. - Tak?

- Sekcja łączności, proszę pana. Mam bezpośrednie połączenie radiowe z Bravo Dwa Alfa. Czy przełączyć go na pańską linię?

- Oczywiście. - Palce Mullera zacisnęły się na słuchawce. Czy coś jest nie w porządku? W słuchawce rozległy się trzaski.

- Bravo Dwa Alfa do Delta Mike India jeden. Odbiór. Muller wykrzywił się. Żargon

wojskowy, pozbawiony elegancji, nie robił na nim większego wrażenia.

- Kapitan Beker, proszę przekazać swój raport.

- Przyjąłem, jeden. - Głos Bekera dzięki latom służby i doświadczeniu wojennemu brzmiał sucho i pozbawiony był wszelkich emocji. - Terrorysty schowali się w małej kępcie drzew, jakieś siedem kilometrów na północ od linii kolejowej. Muller szybko spojrzął na mapę. Ukazywała ona płataninę wysokich, poszarpanych grzbietów górskich, jarów, zboczy pokrytych skałami i zaroślami. Wyjątkowo niewygodny teren dla idących pieszo ludzi. Zdumiewające, że partyzanci ANC zdołali tu w ogóle dotrzeć.

- Jakie jest pańskie rozeznanie? Czy wiedzą, że za nimi podążacie?

- Prawdopodobnie. - Beker nawet się nie zawahał. - Na pewno słyszeli i widzieli nasze helikoptery.

- Więc dlaczego się zatrzymali? - Muller nie starał się ukryć irytacji.

- Czekają na zapadnięcie nocy, dyrektorze. - Kapitan wymawiał wyraźnie pojedyncze słowa, jakby tłumaczył coś małemu dziecku. Czuć było, że nie podobał mu się pomysł składania raportów cywilowi - nawet jeśli ten cywil zajmował tak wysoką pozycję w siłach bezpieczeństwa. - Rozproszą się, jak tylko zajdzie słońce. Będą próbować uciec, każdy na własną rękę.

- Może im się udać?

- Jednemu lub dwóm. Teren tutaj jest tak nierówny, że będziemy mieli kłopoty, nawet z naszymi noktowizorami.

Muller zeszywniał. Nie mógł za nic pozwolić, aby choć jeden terrorysta przeżył. Bliższe śledztwo w szeregach ANC mogło sprowokować wiele niebezpiecznych pytań.

- Rozumiem. Ma pan jakieś sugestie, kapitanie? Po raz pierwszy głos Bekera zdradzał lekko skrywane podniecenie.

- Zaatakujmy ich teraz, zanim się ściemni. Moi ludzie mogą być gotowi za pół godziny. Muller pokiwał głową. Ci spadochroniarze mogli być nieokrzesani, ale zazwyczaj byli bardzo skuteczni.

- Macie zezwolenie. Możecie użyć dowolnych środków, które wam odpowiadają. Zniżył trochę głos.

- Mam tylko jeden warunek, kapitanie Beker.

- Tak słucham.

- Chcę, żeby wszyscy zginęli. Nie było to zupełnie zgodne z prawdą. Rozkaz zabicia partyzantów przyszedł bezpośrednio od Vorstera. Muller wolałby zatrzymać kilku z nich na pokazowe śledztwo. Minister jednak był zdecydowany zademonstrować wolę odwetu. Czy żołnierze zgodzą się na to? Muller odchrząknął.

- Czy pan mnie dobrze zrozumiał, kapitanie? Przez kilka sekund w słuchawce słychać było jedynie szumy i trzaski.

- Bardzo dobrze, dyrektorze. Nie chce pan żadnych więźniów. - Zgadza się. - Muller zawahał się, zanim zadał następne pytanie. - Czy jest to dla pana problem?

- Wręcz przeciwnie. - Beker nie wydawał się specjalnie przejęty. - Powinno to ogromnie uprościć sprawę. Świetnie.

- No więc, życzę szczęścia, kapitanie.

- To nie jest kwestia szczęścia, dyrektorze - poprawił go Beker. - To raczej wyszkolenie. Muller odłożył słuchawkę, ukłuty nie skrywanym sarkazmem oficera. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie dać temu człowiekowi lekcji pokory, czegoś, co by go nauczyło szacunku wobec przełożonych. Szybko jednak pozbył się tej myśli. Talent Bekera, tego doskonałego i rozsądnego zabójcy, czynił z niego zbyt wartościowe narzędzie, żeby je zmarnować. Osobiste urazy były luksusem, na który w tej grze nikogo nie stać. Oczy Mullera zwęziły się. Przyjdzie jeszcze czas, żeby załatwić porachunki z tymi, którzy go skrzywdzili. Ze wszystkimi. Z każdym, zapisanym na długiej liście jego pamięci od czasów, gdy był jeszcze chłopcem. Uśmiechnął się, czując dziwną ulgę, kiedy pomyślał o cierpieniach, jakie kiedyś zada.

## • Łańcuch gór Hex River

David Kotane czołgał się, trzymając blisko ziemi, dopóki nie nabrał pewności, że jest już

dobrze schowany pod drzewami. Bezpieczny przed obserwującymi oczyma i teleskopami, podniósł się i strzepnął z siebie ziemię i liście, zanim przykucnął, oparty o pień pogryzionego przez komiki drzewa. Rozejrzał się po małej przecince, przyglądając się uważnie twarzom ludzi zebranych wokół niego w półkolu. Patrzyły na niego znużone, pełne niepokoju oczy.

- Otoczyli nas. - Partyzant starał się mówić zwykłym, rzeczowym tonem, skrywając głęboko własne niepokoje.
- Jesteście pewni, towarzyszu? Kotane rzucił ostre spojrzenie swojemu zastępcy, siwowłosemu weteranowi wielu krwawych operacji i skinał głową.
- Całkowicie. Ci dranie są bardzo ostrożni, ale zauważyłem ich ruchy ze wszystkich stron.
- Co teraz zrobimy? - Andrew Sebe, najmłodszy w grupie. Był śmiertelnie przerażony i nie ukrywał tego.
- Poczekamy, aż się ściemni - powiedział spokojnie Kotane.
- Nie będzie dziś księżycy i mamy szansę przemknąć się przed ich nosami w ciemnościach. Sebe i kilku innych młodszych i mniej doświadczonych żołnierzy wyraźnie się uspokoiło. Starsi partyzanci wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Wiedzieli dobrze, że szanse przetrwania następnych kilku godzin są niewiele większe od zera.
- Tymczasem zajmiemy pozycje tutaj, tutaj i tam. - Kotane wyznaczył na mapie miejsca. - jeśli spróbują nas zaatakować przed zmrokiem, wykończymy ich. Dookoła rozległy się zgodne pomruki. Mieli dosyć siły ogniowej, żeby zadać poważne straty każdemu, kto by próbował przekroczyć pustą przestrzeń otaczającą grupę drzew. Nie mieli szans, żeby pokonać ścigające ich siły rządowe. ale zadbają o to, żeby im porządnie zaleźć za skórę. W jakiś sposób to też będzie zwycięstwo dla małego oddziału partyzantów. Na ich nieszczęście było to zwycięstwo, którego Afrykanerzy nie mieli zamiaru im przyznać.

## • Dowództwo grupy uderzeniowej Bravo Dwa

Kapitan Rolf Beker zogniskował lornetkę na niewielkim zagajniku. czterysta metrów dalej. Nic. Żadnego ruchu. Partyzanci nie okazywali paniki, mimo iż byli otoczeni wzmocnioną kompanią zahartowanych w walkach spadochroniarzy. Pokiwał wolno głową. a na jego ustach pojawił się grymas uśmiechu. Ktoś rzeczywiście dobry dowodził tymi terrorystami. Cholernie dobry. Oczywiście, pokazał to już atak na Błękitny Pociąg. Beker potrzebował tylko jednego spojrzenia na zniszczone tory, zmiażdżoną lokomotywę i pokryte ciałami zbocze, żeby w swoim przeciwniku rozpoznać zawodowca. Uśmiech znikł z jego twarzy. To będzie prawdziwa przyjemność zabić takiego człowieka. Opuścił lornetkę i skinał na swojego radiowca. Kapral de Vries przykucnął koło niego, trzymając w wyciągniętej dłoni słuchawkę. Beker wziął ją i nacisnął guzik nadawania.

- *Bravo Dwa Alfa do Bravo Dwa Foxtrot. jesteś na miejscu?* Odbiór.
- *Alfa, tu Foxtrot* - szybko odpowiedział porucznik dowodzący działaniem czterech moździerzy kaliber 81 mm, dołączonym do jego kompanii. - *Na miejscu i gotowi. Odbiór.* Beker obrócił się i spojrzał w dół rozciągającego się za nim zbocza. Cztery stanowiska moździerzy były wyraźnie widoczne u podstawy wzgórza. Przykucnąwszy przy swojej broni, żołnierze wyglądali, jakby się modlili.
- *Foxtrot, daj mi jeden strzał namiarowy.* - Odwrócił się i podniósł lornetkę.
- *Już się robi.* Głuchy odgłos, przypominający kasznięcie, potwierdził słowa porucznika. Niemal w tej samej chwili Beker ujrzał purpurowy dym, który pojawił się na pokrytej trawą równinie, niedaleko zagajnika. Błyskawicznie skalkulował odległość i kąt.
- *Foxtrot, daj mi następny próbny. Pięćdziesiąt w dół i trzydzieści w prawo.*
- *Przyjąłem, Alfa.* - Minęły dwie sekundy. - *W drodze.* Tym razem dym wydobył się ze środka małej grupy drzew. Z miejsca wybuchu uniosła się jaskrawa mgiełka i poszybowała na północ. Przeżegnajcie się wy, czarne sukinsyny, pomyślał Beker, naciskając guzik radiotelefonu.
- *Foxtrot, prosto w cel! Strzelać do odwołania!* Cztery moździerze zakasłały równocześnie, wyrzucając w powietrze pocisk za pociskiem. Cztery. Osiem. Dwanaście. Obsługa pracowała błyskawicznie, jak dobrze naoliwione maszyny - wysyłając śmierć w cel, którego nawet nie widziała. Beker patrzył zafascynowany. jak salwy moździerzy uderzają w drzewa. jasne,

pomarańczowoczerwone wybuchy przebijały się przez listowie, rozdzierając i zabijając każdą żywą istotę, która się tam znajdowała. Inne pociski wybuchwały jeszcze w powietrzu, rozsiewając śmiertelny deszcz rozpalonych do białości kawałków szrapneli. W ciągu kilku sekund wyrzucony w powietrze dym i kurz zasłoniły cały widok. W czarnoszarobrazowej chmurze widać było jedynie krótkie rozbłyski, gdy kolejne pociski pokrywały cel. Beker pozwolił moździerzom strzelać dłużej, niż to było konieczne. Czterdzieści salw zmieniło zagajnik w płonące pobojuwisko pokryte porwanymi na strzępy ciałami.

## • Chata Oosta, góry Hex River

Wrzucając walizkę do otwartej furgonetki, Riaan Oost słyszał dochodzące z oddali eksplozje. Potwierdzały one jedynie to, co rozsądek wcześniej mu podpowiedział. Kotane i jego ludzie już nie wrócą. Niepotrzebnie opóźnił wyjazd. Kryjówka ANC w Kapsztadzie była oddalona o trzy godziny jazdy. W normalnych warunkach. A warunki nie były normalne. Oost wytarł pot z rąk o spodnie i odwrócił się w stronę domu.

- Marta! Chodź już! Musimy jechać! Jego żona ukazała się na progu, uginając się pod ciężarem pudła wypełnionego zdjęciami i innymi pamiątkami ich wspólnego życia. Oost zaklął cicho. Nie powinna tego zabierać. Rzeczy te mogły jedynie wzbudzić podejrzenia, jeśli zostaną zatrzymani przez posterunek kontrolny na drodze do Kapsztadu. Stał na jej drodze. Spojrzała na niego prosząco, z wyrazem winy na twarzy.

- Wiem, Riaan, wiem. Ale nie mogłam ich tu zostawić. - Pociągnęła nosem, walcząc ze łzami. Oost poczuł, jak jego gniew znika.

- Przykro mi. - Starał się mówić delikatnie. - Musisz to jednak zostawić. To zbyt ryzykowne. Sięgnął po pudełko i wyjął je z nie stawiających oporu rąk. Przyglądała się w milczeniu, jak odnosi jej skarby do domu. Żadne z nich nie mogło patrzeć na ich dawny dom, gdy odjeżdżali z winnicy, w której przepracowali sześć lat. Oost starał się prowadzić wóz powoli i dokładnie wzdłuż wijącej się, pokrytej kurzem drogi, aby nie okazywać paniki. Jeśli będą mieli trochę szczęścia, znajdą się na głównej drodze skryci wśród innych samochodów, zanim siły bezpieczeństwa spostrzegą ich nieobecność. Wyjeżdżając zza zakrętu spojrzał na kierunkowskaz. Tylko dwa kilometry do autostrady i względnego bezpieczeństwa! Zaczął się z wolna rozluźniać.

- Riaan! Wystraszony krzykiem żony Oost spojrzał przed siebie i mocno przydepnął hamulec. Wóz zatrzymał się kilka metrów przed dwoma dobrze zakamuflowanymi samochodami opancerzonymi i rzędem uzbrojonych żołnierzy blokujących drogę. Boże, pomyślał w przerażeniu, Afrykanerzy są już tutaj. Marta jęknęła ze strachu. Jeden z żołnierzy, oficer, skinął, żeby podjechali bliżej. Oost przełknął spazmatycznie ślinę i podjechał do blokady. To musi być rutynowa kontrola. Żeby to był tylko zwykły punkt kontrolny, proszę, modlił się żarliwie. Kiedy znalazł się pięć metrów od blokady, oficer dał mu znak, żeby się zatrzymał. Dwa karabiny maszynowe obróciły się w ich stronę, celując w przednią szybę samochodu. Oost rzucił spojrzenie na boki. Otaczający ich żołnierze trzymali broń gotową do strzału. Poczuł mdłości. Władze już wiedzą, pomyślał. Muszą wiedzieć. Ale jak? Czy któryś z ludzi Kotane zaczął mówić, złamany śledztwem? Nie, przecież to niemożliwe. Wzdrygnął się, słysząc dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu. Dopiero teraz zauważył długą, czarną limuzynę zaparkowaną z tyłu. Takimi właśnie samochodami lubili jeździć wysocy urzędnicy sił bezpieczeństwa. Właściciel limuzyny, jasnowłosy mężczyzna w ciemnym garniturze, arogancko przeszedł przez linię żołnierzy i zatrzymał się metr od furgonetki, z rękami opartymi na biodrach. Oost spojrzał w oczy mężczyźnie i wzdrygnął się. Były nieruchome, pozbawione życia i odczuć.

- Wybiera się pan dokądś, *meneer* Oost? - Wyprany z emocji głos agenta pasował do jego oczu.

- Dosyć dziwny czas na wycieczkę, nieprawdaż? Oost słyszał stłumiony płacz Marty, ale brakowało mu sił, żeby ją objąć. Więzienie, przesłuchanie, tortury, wyrok i egzekucja. Najbliższa przyszłość nie zapowiadała niczego innego.

- Proszę wysiąść z samochodu. Oboje. - Wciąż ten sam sterylny głos. - Szybko. Oost wymienił z żoną jedno zrozpaczone spojrzenie i posłusznie wysiadł. Wciąż płacząc, Marta

poszła za jego przykładem. Mężczyzna o twarzy bez wyrazu poprowadził ich do otwartej limuzyny. Żołnierze rozstąpili się, patrząc w milczeniu, jak Riaan i Marta idą przed jasnowłosym mężczyzną, potykając się co chwila. Urzędnik sił bezpieczeństwa nie odzywał się, dopóki nie znaleźli się koło jego wozu.

- Wielka szkoda, że staracie się uciec. Wasze postępowanie nie pozostawia mi żadnego wyboru. Oost usłyszał szelest za sobą. Zatrzymał się kompletnie zdezorientowany. O co temu człowiekowi chodziło? Żołnierze czekający dalej przy drodze wzdrygnęli się, gdy odgłos dwóch wystrzałów z pistoletu wstrząsnął powietrzem, odbijając się od skalistych zboczy po obu stronach drogi. Wystraszone nagłym hałasem ptaki wzbiły się w powietrze, zataczając wysokie kręgi. Wykonawszy swoją robotę, agent Mullera wśliznął się za kierownicę, zapalił silnik i usatysfakcjonowany odjechał w milczeniu.

## • **Mieszkanie Emily van der Heijden. Kapsztad**

Rządowe stacje telewizyjne w RPA pokazywały jedynie to, czego sobie życzył rząd. Obecnie ukazywały ponurą twarz Vorstera stojącego na podium na tle olbrzymiej, pokrytej niebiesko- biało-pomarańczowymi pasami flagi narodowej.

*Moi drodzy rodacy, stoję przed wami w tym dniu żałoby dla wszystkich mieszkańców naszego kraju.*

Szorstki głos Vorstera podkreślał gardłowy akcent *afrikaans*. Mówiąc, zatrzymywał się z wyraźną niechęcią, aby poczekać na angielski przekład.

*Przynoszę wam przerażające wieści - wieści o krwawym akcie terroryzmu, który nie ma sobie równego w naszej historii. Muszę wam powiedzieć, że pogłoski, które pewnie już dziś słyszeliście, zostały w pełni potwierdzone. Około godziny trzynastej banda czarnych komunistów zaatakowała Błękitny Pociąg przejeżdżający przez dolinę w górach Hex River. Poinformowano mnie, że pociąg został dokładnie zniszczony. Nikt nie przeżył. Prezydent naszej ukochanej republiki nie żyje.*

Ian Sherfield poczuł, jak na jego ramieniu zaciska się ręka Emily. Nie starała się ukryć łez. Nie zdziwiło go to. Emily miała nadzieję, że Haymans będzie pierwszym przywódcą, który pokieruje pokojowym zjednoczeniem zwalczających się w RPA ras. Spojrzał na zacięte oblicze na ekranie. Mała nadzieja, że Vorster będzie kontynuował rozpoczęte przez Haymansa rozmowy. Mała nadzieja? Cholera, pomyślał, żadnej nadziei. Po ataku na Błękitny Pociąg nawet Gandhi nie uwierzyłby teraz w dobre intencje ANC. Ian zastanowił się nad tym. Co ANC zamierzał osiągnąć? jak mogli być tacy głupi?

*Jako jedyny ocalały minister w rządzie przyjąłem urząd i obowiązki prezydenta. Zrobiłem to w zgodzie z konstytucją, zmuszony moją miłością do tego kraju, a nie ze względu na jakiekolwiek osobiste ambicje. Będę rządził jako prezydent tylko tak długo, jak długo będzie tego wymagała obecna wyjątkowa sytuacja.*

Oczywiście. Ian potrząsnął głową, nie wierząc w ani jedno słowo. Za bardzo się zastrzegasz, Vorster, stary draniu.

*Zgodnie z tym, moją pierwszą decyzją jest wprowadzenie nieograniczonego stanu wyjątkowego w całym kraju. Zamierzam wyplenić w naszym kraju całą tę terrorystyczną konspirację raz na zawsze. Odpowiedzialni za śmierć tak wielu niewinnych ludzi nie unikną naszej sprawiedliwej zemsty.*

Samozwańczy prezydent kontynuował swoją przemowę. Ian poczuł, jak Emily drży. Ponure słowa Vorstera oznaczały koniec zmian, ku którym jej kraj dążył przez ostatnich dziesięć lat. Ogłoszony właśnie stan wyjątkowy wprowadzał godzinę policyjną we wszystkich miastach zamieszkałych przez czarną ludność, pozwalał siłom bezpieczeństwa strzelać do każdego, kto naruszy ten zakaz, przywracał znienawidzone przepustki ograniczające możliwości poruszania się czarnych i wznawiał ścisłą kontrolę nad prasą i innymi mediami.

Ian wiedział, że w normalnych okolicznościach ostatnia wiadomość porządnie by go wkurzyła, jednak okoliczności nie były w żadnej mierze normalne. Nie przypuszczał, żeby nowy rząd Vorstera mógł mu bardziej zaszkodzić jako reporterowi, niż zrobiła to już jego sieć. Kiedy rozeszły się pierwsze pogłoski o tragedii, on i Sam Knowles nakręcili niezły kawałek i wysłali go, poprzez satelitę komunikacyjnego, do Nowego Jorku, do wieczornych wiadomości. Podnieceni triumfem powiadomili też sieć o swoim planie przeniesienia się do Pretorii, gdzie mogliby nagrać reakcję rządu na atak ANC. Nie zdążył jednak otworzyć butelki z szampanem, kiedy szefowie sieci zgasili ich nadzieje. Ianowi powiedziano, że on i jego kamerzysta nie są potrzebni w Pretorii. Najlepszy reporter sieci, z własną obsługą, znajdowali się już w drodze do stolicy. Zamiast tego, miał zostać z Samem Knowlesem w Kapsztadzie, dostarczając reportaże z "lokalnym kolorytem", jeśli takie będą potrzebne. Fakt, że od czasu zburzenia muru berlińskiego zakładanie lokalnego studia w miejscach, w którym zmieniała się historia, stało się standardową procedurą każdej sieci, w niczym nie ułatwiał przyjęcia ciosu. Ian aż zazgrzytał zębami. Znajdowali się właśnie w samym centrum najważniejszych wydarzeń w Afryce Południowej, a jego odsunięto na boczne tory, nie mówiąc nawet "przepraszam". Jezu, spadł na samo dno, nawet nie wiedząc o tym.

- O mój Boże... - przerażony szept Emily przywrócił go do rzeczywistości. Vorster wciąż wypełniał ekran, czytając teraz listę tych, którzy zostali powołani do "tymczasowego" Rządu Ocalenia Narodowego. Cronje, de Wet, Hertzog, Klopper, Malherbe, Maritz, Pienaar, Smit i van der Heijden. Ian przebiegł w pamięci całą listę. Część nazwisk nie była mu znana, jednak te, które rozpoznał, należały do prawdziwie zagorzałych rasistów. Wszyscy byli Afrykanerami. Oczywiście, Vorster nie zamierzał wprowadzać do rządu żadnych Południowoafrykańczyków angielskiego pochodzenia czy innych *uitlanders*. Chwileczkę... van der Heijden? Spojrzał na Emily. Wstrząśnięta wiadomością patrzyła nieruchomo na ekran, a następnie odwróciła spojrzenie w jego stronę. Skinęła głową. - Mój ojciec. Ian z trudem powstrzymał się, żeby nie gwizdnąć. Wiedział, że ojciec Emily jest jakimś urzędnikiem rządowym. Zawsze jednak wyobrażał go sobie jako kogoś zajmującego się ubezpieczeniami zboża czy handlem międzynarodowym, ale na pewno nie człowieka, który właśnie zajął drugie miejsce w hierarchii południowoafrykańskich sił bezpieczeństwa. Spostrzegł, że przez krótką chwilę nie myślał o Emily jak o zakochanej w nim pięknej i inteligentnej kobiecie, ale jak o potencjalnym źródle informacji, prowadzącym do centrum nowych władz. Zobaczył w jej oczach smutek i zrozumiał, że właśnie tego się obawiała. Bała się tego, co nowa pozycja jej ojca może wyrządzić ich miłości. Bez słowa Ian objął ją i przycisnął mocno do piersi, głaszcząc delikatnie włosy i kark. Ponad jej głową spojrzał jeszcze raz na wysokiego mężczyznę, który wysyłał w świat obietnice zemsty i wznowionej nienawiści rasowej.

- **30 czerwca - sala posiedzeń Rady Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria, RPA**

Pretoria, administracyjna stolica Afryki Południowej wyglądała niezwykle spokojnie. Mimo iż kilka nowo wybudowanych budynków biurowych przecinało horyzont konstrukcjami ze stali i szkła, Pretoria nadal bardziej przypominała ciche, dziewiętnastowieczne miasteczko uniwersyteckie, niż ruchliwe, rządowe centrum nowoczesnego państwa. Rzędy drzew *jaracanda* ocieniały szerokie ulice, a wypielęgnowane ogrody pełne kwiatów wzmacniały jedynie tę iluzję. Na niskim wzgórzu, w centrum miasta, stały budynki rządowe: dwie szerokie, trzypiętrowe bliźniacze budowle połączone kolumnadą i otoczone ogrodzonymi parkami. Stąd wypływał ciągły strumień zarządzeń, raportów i ankiet, niezbędnych do zarządzania Republiką Południowej Afryki. Patrząc z zewnątrz, niewiele się tu zmieniło od chwili tragicznej śmierci członków rządu i ministerstwa funkcjonowały według dotychczasowych zasad. jednak pracownicy dobrze wiedzieli, że jest to tylko pozorne. Stosowane dotąd metody umarły wraz ze starymi władzami. Afryka Południowa miała teraz bardziej bezwzględnych władców. Aby uniemożliwić elektroniczny podsłuch, członkowie nowej Rady Bezpieczeństwa Stanu spotkali się w małym pokoju pozbawionym okien i położonym głęboko pod kompleksem budynków rządowych. Piętnastu ludzi

odpowiedzialnych za politykę zagraniczną, siły wojskowe i bezpieczeństwo państwa siedziało w milczeniu przy dużym, prostokątnym stole. Wszyscy zawdzięczali swoje stanowiska jednemu człowiekowi, Karlowi Vorsterowi, i wszyscy doskonale rozumieli, że ich przyszłość zależy od absolutnego posłuszeństwa wobec nowego przywódcy. Vorster studiował mapę przedstawioną przez zastępcę ministra prawa i porządku. Czerwone kółka zakreślały osiedla czarnych w RPA, które przysparzały dotąd najwięcej kłopotów. Innymi kolorami oznaczono pozostałe punkty oporu wobec Pretorii. Wokół kółek wypisano symbole, które miały przedstawiać sześćdziesiąt tysięcy policjantów na służbie i rezerwistów. Skinął z zadowoleniem głową.

- *Magtig*, Marius. właśnie takiego planu potrzebowaliśmy. Trzeba od samego początku pokazać *kaffirom*, kto tu jest panem, a zaoszczędzi to później kłopotów. Marius van der Heijden, słysząc tę pochwałę, rozpromienił się.

- Tak, panie prezydencie. Przeprowadzenie dokładnej czystki w tych miastach powinno nam pozwolić pozbyć się najgorszych wichrzycieli i malkontentów. Jak tylko znajdą się w obozach, nie będziemy mieli kłopotów z utrzymaniem porządku. Vorster oderwał wzrok od mapy i spojrzął na pozostałych członków gabinetu.

- Jakież komentarze? Wszyscy pospiesznie wyrazili swoje poparcie. Każdy z członków wybranego przez Vorstera rządu już wcześniej spostrzegł, przed jak poważnymi problemami związanymi z utrzymaniem bezpieczeństwa stoją. Lata pobłażliwości, na jaką pozwolił sobie Haymans i jego liberalni poplecznicy, umożliwiły czarnym rozbudowanie sieci swoich organizacji. właśnie te organizacje i ich przywódcy zorganizują opór wobec wzmocnionego apartheidu. Nie można było tego dłużej tolerować. Czarny ruch skierowany przeciw apartheidowi musi zostać rozbity i to szybko. To, co proponował van der Heijden, było łatwe, ale krwawe. Grupy uzbrojonych policjantów, wspieranych przez samochody pancerne, wejdą *en masse* do czarnych osiedli - przetrząsając dom po domu w poszukiwaniu agitatorów. Każdy, kto będzie się opierał aresztowaniu, zostanie zastrzelony. Każdy, kto będzie uniemożliwiał policji wykonywanie obowiązków, zostanie zastrzelony. Wreszcie każdy, kto będzie próbował uciec, zostanie zastrzelony. Ci, którym uda się uniknąć śmierci, zostaną zamknięci w odizolowanych obozach pracy, pozbawieni możliwości rozpowszechniania swojej ewangelii oporu. Vorster nachylił się i zamasyście podpisał pierwszą stronę grubego pliku nakazów aresztowania.

- Marius, twój plan został zatwierdzony. Oczekuję natychmiastowego działania.

- Tak jest, panie prezydencie. Ze swojego miejsca koło Vorstera Erik Muller patrzył z nieukrywaną pogardą, jak ten potężnie zbudowany mężczyzna, całkowicie usatysfakcjonowany, zbiera dokumenty i mapy i wybiega z pokoju. Van der Heijden był typowym przykładem głupawego prowincjonalnego policjanta. Jego tak zwany plan polegał jedynie na brutalnym użyciu siły i broni do stłumienia jakiegokolwiek oporu. A gdzie miejsce na subtelną grę i zręczne posunięcia? Osobiście wolałby "delikatniejsze podejście": wybiórcze aresztowania, zabójstwa i szantaż. Jednak Operacja Oczyszczająca van der Heijdena odpowiadała skłonnościom Vorstera. Poza tym, ten *Transwaler* był rodzajem *kerela*, rubasznego, dobrego kumpla, a takich lubił Vorster. No i dobrze. Niech pan minister myśli, że wygrał tę pierwszą rundę. Muller postara się, aby wywiad i sekcja specjalnych operacji pozostały całkowicie w jego gestii. Właśnie te punkty zajmowały kolejne miejsce w agendzie Rady. Muller uświadomił sobie, że Vorster mu się przygląda.

- Dyrektor Muller jest z nami, aby wprowadzić w szczegóły operacji mających na celu ukaranie sąsiadujących z nami państw za udzielanie pomocy wrogom. Zgadza się, Eriku?

- Tak, panie mini... prezydencie. - Muller zająknął się w pół słowa. Mimo iż Vorster zajmował urząd od zaledwie dwóch dni, dał się już poznać jako formalista. Skinął na czekającego pomocnika i patrzył przez zmrużone powieki, jak ten rozwija dużą mapę południa Afryki. Następnie wstał i stanął przed nią. Jego palec wskazał granicę Mozambiku.

- Sądzę, że wszyscy tu zebrani są zaznajomieni z naszą utajnioną pomocą dla RENAMO? Zebrani pokiwali głowami. Od ponad dziesięciu lat, zagraniczna polityka Afryki Południowej uwzględniała ograniczoną pomoc dla partyzantów walczących z marksistowskim rządem Mozambiku. Pod wpływem nacisku opinii światowej, rząd Haymansa starał się stopniowo ograniczać to zaangażowanie - z niewielkim jednak skutkiem. Zbyt wielu urzędników i biurokratów, wliczając w to ludzi zasiadających obecnie w Radzie Bezpieczeństwa,

przeciwstawiało się zakończeniu kampanii, która tak efektywnie niszczyła gospodarkę Mozambiku. Mimo rozkazów prezydenta, broń i informacje nadal napływały do partyzantów.

- Z zadowoleniem mogę powiedzieć, że prezydent - skłonił lekko głowę w stronę Vorstera - zaaprobował nasz zwiększony udział w programie RENAMO. Część tego programu obejmuje rozszerzone dostawy ciężkiej broni, nowocześniejszych min i dodatkowych materiałów wybuchowych. Muller zatrzymał się na chwilę patrząc, jak na otaczających go twarzach pojawia się wyraz zainteresowania. - Oczywiście, w zamian za naszą pomoc będziemy oczekiwali od nich zwiększonej liczby ataków, szczególnie na linie kolejowe łączące Zimbabwe z portem w Maputo i rurociągiem naftowym w Beira. Twarze zebranych wyrażały całkowitą aprobatę. Partyzanci RENAMO, niszcząc je, utrudnią lub całkowicie uniemożliwią transport z krajów południowej Afryki do państw reszty świata. Automatycznie wzmocni to kontrolę Pretorii nad sąsiadami, ponieważ jedyne linie komunikacyjne zostaną na terenie RPA. A najważniejsze, że walkę będą prowadzili wyłącznie czarni. Frederik Pienaar, minister informacji, lekko zakasłał, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- A jak wygląda sprawa z amerykańskimi, brytyjskimi i francuskimi doradcami wojskowymi w Mozambiku? Czy mogą przeszkodzić naszym planom? Vorster wykrzywił się ze złości.

- Do diabła z nimi! Nie liczą się!

- Prezydent ma rację, panie ministrze - potwierdził Muller, rzucając ostrożne spojrzenie na Pienaara. Szczupły, niewysoki mężczyzna zawiadywał obecnie olbrzymią machiną propagandy. Poprzez swoją funkcję mógł być potężnym sprzymierzeńcem lub niebezpiecznym wrogiem. Oficjalna "prawda" będzie zależeć w dużym stopniu od zatwierdzanych przez Pienaara artykułów i reportaży. Muller lekko stuknął palcem w mapę.

- Zachodni wojskowi w Mozambiku pełnią tam jedynie rolę doradców szkoleniowych. Ich własne rządy zakazały im angażowania się w jakiegokolwiek walki. Po rozpoczęciu rozszerzonych operacji RENAMO, będą mieli jedynie znikomy wpływ na nasze plany. Zachodnie mocarstwa mogą otwarcie okazywać sympatię czarnym, socjalistycznym krajom ale, tak naprawdę, ich pomoc jest jedynie symboliczna. Tak samo jak my nie chcą ich rozwoju ekonomicznego. - Jego palec zakreślił łuk wzdłuż północnych granic RPA. Muller nie był do końca pewien, czy jego spekulacje są słuszne. Te, tak zwane demokracje, często zachowywały się w zupełnie nieoczekiwany sposób. Pocięty się jednak myślą, że jego pierwsza analiza była prawidłowa. Z pewnością żaden rozsądny europejski czy amerykański polityk nie rozważałby poważnie udzielenia pomocy takiemu krajowi, jak Mozambik.

Usiadł na swoim krześle. Jego rola w tym wyreżyserowanym akcie poparcia dla bezpośredniej akcji została odegrana. Vorster stał, górując nad członkami swojego gabinetu.

- Zostało jeszcze jedno nie zażegnane niebezpieczeństwo dla naszej ukochanej ojczyzny. Jego ręka zawisała nad mapą i spadła na stół z siłą, która mogła wystraszyć co leciwszych uczestników zebrania.

- Tutaj! Komuniści rządzący południowo-zachodnią Afryką. Tym, co oni teraz nazywają "Namibią". - Z wyraźną pogardą wymówił ostatnie słowo. Podwładni zgodnie pokiwali głowami. RPA rządziła dawną niemiecką kolonią w południowo-zachodniej Afryce przez siedemdziesiąt lat. Przez cały ten czas diamenty, uran, miedź i złoto, wydobywane w bogatych kopalniach Namibii, zasilają kasy największych przedsiębiorstw w Afryce Południowej. Równie ważne okazały się olbrzymie, nieurodzajne połacie ziemi, tworzące strefę buforową dla ataków partyzanckich na republikę. Mało znaczący ruch partyzancki, SWAPO, także organizował ataki i powodował zniszczenia, ale nigdy poważnie nie zagroził władzy Pretorii nad tym olbrzymim skarbcem. Wszystko to jednak zostało zaprzepaszczone, gdy rządząca frakcja Partii Narodowej zgodziła się oddać kraj, zdominowanemu przez SWAPO, czarnemu rządowi. Dla Vorstera i jego towarzyszy nadzorowane przez ONZ wycofanie się z Namibii było najlepszym świadectwem, że Haymans planował całkowite oddanie władzy. Każdy uczestnik zebrania Rady Bezpieczeństwa był przekonany, że wynegocjowane poddanie Namibii było plamą na honorze Afryki Południowej. Plamą, która musi zostać kiedyś wymazana. Vorster spostrzegł ich miny i skinął głową.

- Właśnie, panowie. Tak długo, jak komuniści mają wolną rękę w działaniach na naszej zachodniej granicy, nasi ludzie nie będą bezpieczni. Jego grymas wściekłości się powiększył.

- Dobrze wiemy, że ci dranie ze SWAPO zapewniają schronienie naszym wrogom!



- Wiemy, że kopalnie uruchomione naszym wysiłkiem i za nasze pieniądze pozwalają teraz opłacać broń, z której morduje się nasze kobiety i dzieci!

- Wiemy też, że te czarne zwierzęta chwala się otwarciem tym, tak zwanym zwycięstwem nad nami - "zwycięstwem", które zapewniła im zdrada w naszym własnym rządzie! Muller patrzył z rosnącym zainteresowaniem, jak normalnie rumiana twarz Vorstera staje się z gniewu purpurowa. Trudno nie przyznać, że retoryka tego człowieka była wyjątkowo skuteczna. Prezydent potrafił przywieść swoich zwolenników do niepohamowanej nienawiści szybciej, niż walący pięścią w Biblię stary *dominee* w kościele, do którego Muller uczęszczał w młodości. Szef bezpieczeństwa szybko odsunął od siebie te myśli. Przynosiły ze sobą zbyt dużo wstydliwych wspomnień! Nieduża kropla śliny z ust Vorster upadła koło prawej ręki Mullera, który patrzył na nią przez dłuższą chwilę z chorobliwą fascynacją, podczas gdy tyrada jego przywódcy osiągała punkt kulminacyjny.

- Tak dłużej nie będzie! Nie pozwolimy, by nasi śmiertelni wrogowie śmiali się z nas, kpili z nas, swobodnie planowali nasz upadek! Jego pięści spadały mocno na stół w rytm ognistej przemowy. Vorster skończył, pozwalając zebranym na parosekundową owację. Następnie podniósł rękę, prosząc o ciszę. Cała wściekłość wyparowała, zastąpiona przez pełen wyrachowania chłodny wyraz twarzy.

- W związku z tym proszę ministrów obrony i spraw zagranicznych oraz dyrektora Specjalnych Operacji Wydziału Bezpieczeństwa, żeby odbyli ze mną konferencję, której celem będzie pozbycie się tego plugastwa, tej Namibii. - Vorster popatrzył w oczy trzem wymienionym osobom. - Nasze rozważania mają jedynie trzy cele. Rozpatrywane akcje muszą być szybkie, muszą być pewne i muszą być ostateczne. Muller spojrzął na swojego przywódcę i poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie. On i jego wspólnicy otrzymali właśnie wolną rękę w decydowaniu o losie półtora miliona ludzi. Poczuł wzwód i zmieniając pozycję, po raz kolejny zastanawiał się, czemu myśli o władzy i śmierci są dla niego tak podniecające. Potrząsnął nerwowo głową. Jedna rzecz się liczyła. Tajemnica ta będzie drogo kosztować mieszkańców Namibii. Nie była to nieprzyjemna myśl.

## 5

### Sankcje

- **15 lipca - jednostka pościgowa "Lew", granica z Namibią**

Trzysta metrów nad wysuszoną namibijską sawanną krążyła mała, jednosilnikowa *Cessna 185*, zataczając na krystalicznie czystym niebie coraz większe kręgi. Rzucany przez wstające, zimowe słońce cień prześlizgiwał się po obnażonych zboczach gór oraz porośniętych nagimi teraz drzewami i grupami brązowych krzewów ścianach wąwozów. Przytrzymywany przez pasy w siedzeniu obserwatora z tyłu kabiny *kommandant* Henrik Kruger przyglądał się przez lornetkę porannemu krajobrazowi na dole. Jaskrawe oświetlenie podkreślało zmarszczki rozbiegające się wokół jego stalowoszarych oczu, wryte na wciąż chłopięco wyglądającej twarzy. Było to piętno pozostawione przez dwadzieścia lat pełnej poświęcenia służby wojskowej dla kraju. Sięgnął ręką ku zeszytniałemu po zbyt wielu minutach obserwacji karkowi i zaczął go energicznie masować. Przy jego prawie dwumetrowym wzroście przebywanie w jakimkolwiek wojskowym pojeździe czy samolocie nie było komfortem. Osobiście wolał pozostawać na świeżym powietrzu. Nic. Wciąż nic. Zacisnął usta. Poszarpany teren wyjątkowo utrudniał wypatrywanie uciekających ludzi i pojazdów, których szukał, jednak ślady przejazdu przez sawannę nie mogły zostać tak łatwo ukryte. Musiał jedynie szeroko otwierać oczy i cały

czas uważać. Tam! Spozrzegł wąską rysę na zwykłym wzorze żółtawej, wysuszonej przez słońce trawy, brązowej ziemi i szarych, granitowych skałach. właśnie tego rodzaju znaku szukał od chwili, gdy z kabiny *Cessny* można było odróżnić ciemny grunt od czarnego, nocnego nieba. Kruger zmusił się do zachowania spokoju. To, co ujrzał, mogło być jednym ze śladów pozostawionych przez licznych w południowo-wschodniej części Namibii pasterzy bydła. Musiał przyjrzeć się temu z bliska, żeby mieć pewność. Nie zniżając lornetki, poklepał pilota w ramię, pokazując mu, w którą stronę ma zawrócić. Młody porucznik Południowoafrykańskich Sił Powietrznych skinął w odpowiedzi głową i skierował mały samolot w dół i w lewo - jednocześnie redukując prędkość, żeby umożliwić swojemu dowódcy lepsze przyjrzenie się temu, co go zainteresowało na ziemi. Ślady, które Kruger wypatrył, zaczęły się powiększać i stawały się coraz wyraźniejsze, w miarę jak *Cessna* zbliżała się do nich z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wróciło podniecenie. Były to niewątpliwie ślady opon; głębokie koleiny w suchej ziemi dwóch lub trzech porządnie obciążonych Land Roverów jadących z dużą prędkością. Nie czekając na rozkazy, pilot wyrównał lot na wysokości stu trzydziestu metrów i podążył tropem w głąb Namibii. Kruger opuścił lornetkę i jedną ręką rozłożył trzymaną na kolanach mapę, podczas gdy drugą przycisnął guzik nadawania w mikrofonie radiostacji.

- *Papa Foxtrot jeden do Papa Foxtrot Dwa. Odbiór.*

- *Słucham cię, Papa Foxtrot jeden.* - jego zastępca, major

Richard Forbes, był wyraźnie zmęczony. Nic dziwnego. Forbes i jego ludzie przez ponad pół nocy szukali grupy partyzantów ANC, która starała się przekroczyć długi obszar pasa granicznego, strzeżonego przez jednostkę 20. Pułku Strzelców Przyłaskowych Krugera. *Kommandant* skrzywił się. "Strzeżony" było z pewnością zbyt mocnym określeniem. Granica pomiędzy Afryką Południową a nowo utworzoną Namibią ciągnęła się przez ponad sześćset kilometrów pustyni i sawanny. Znaczyło to, że każdy z ośmiu batalionów piechoty, rozmieszczonych wzdłuż granicy, musiał strzec siedemdziesięciopięciokilometrowych lub dłuższych sektorów. Niemal niewykonalne zadanie - nawet przy ciągłym patrolowaniu terenu, dziennej obserwacji powietrznej i elektronicznych czujnikach rozmieszczonych wzdłuż prawdopodobnych nielegalnych przejść. Na twarzy Krugera pojawił się wyraz bezsilnej złości, gdy przypomniał sobie wysiłki ostatnich kilku godzin. Nocne spotkanie z partyzantami szybko przemieniło się w krwawą wymianę ognia, w której stracił jednego człowieka, a dwóch innych zostało rannych. Co gorsza, w chaosie walki partyzanci zerwali kontakt, zabierając swoich rannych i zabitych, po czym zniknęli pomiędzy wzgórzami. Kiedy wstępny zwiad potwierdził, że skierowali się w stronę Namibii, Forbes wziął ze sobą kompanię piechoty zmechanizowanej i ruszył w pościg, starając się trzymać blisko uciekających - do wschodu słońca, gdy już będzie możliwy zwiad powietrzny. Wyglądało na to, że wreszcie się powiodło i Kruger musiał jedynie nakierować swoich ludzi na cel. Ponownie nacisnął guzik nadawania.

- *Dwa, tu jeden. Ślady prowadzą na zachód, jakieś pięć kilometrów na południe od waszej pozycji.* Forbes odpowiedział od razu, tym razem wyraźnie mniej zmęczony niż przed chwilą.

- *Jeden, przyjąłem. Ruszamy. Plan rozwinięcia India Trzy. Przekraczamy linię November Bravo. Koniec.* Kruger potwierdził przyjęcie wiadomości i spojrzał na mapę. Hasło „India Trzy” oznaczało, że prowadzonych przez Forbesa czternaście opancerzonych transporterów *Ratel 20* będzie się poruszało równoległe do śladów zostawionych przez partyzantów - tym samym unikając pułapek czy min zastawionych na nieuważnych ścigających, jadących bezpośrednio za partyzantami. Kiedy Kruger dostrzeże oddział ANC, Forbes zmieni kurs, przyspieszając, żeby wyminąć uciekających i ustawić piechotę, karabiny maszynowe i moździerze przed nimi. Przy odrobinie szczęścia, południowoafrykański oddział złapie partyzantów w pułapkę i błyskawicznie rozbije. Kruger skinął głową. Powinno się udać i to nawet przy minimalnych stratach własnych. jednak mogły się pojawić pewne komplikacje. Międzynarodowe komplikacje. November Bravo było kodowym oznaczeniem namibijskiej granicy. jego ludzie znajdowali się teraz na obcym terenie. jeśli zostaną wypatrzeni przez patrol SWAPO czy sił ONZ, zanim będą mieli szansę porachować się z partyzantami ANC, może to ich cholernie drogo kosztować. Międzynarodowa prasa na pewno nie przepuści okazji poinformowania opinii publicznej o kolejnej "inwazji" Afryki Południowej na sąsiednie

państwo. Zmarszczył brwi. Mimo iż RPA nie mogła sobie pozwolić na istnienie baz wypadowych wroga tak blisko własnej granicy, zaciekle i nie przemyślane postępowanie rządu wyjątkowo utrudniało usprawiedliwienie "pościgów" tego rodzaju. Należało, oczywiście, dać porządną nauczkę tym partyzantom i ich poplecznikom, ale jaki był sens w robieniu koło tego takiej wrzawy? Stare amerykańskie przysłowie mówiące, że należy zachowywać umiarkowanie w mowie, ale nosić przy sobie porządną kij, miało w sobie więcej sensu.

- Kurz na horyzoncie, *kommandant*. Tam, na trzeciej godzinie. słowa pilota przywróciły Krugera do rzeczywistości. Był żołnierzem i czekała go bitwa. Polityka mogła zaczekać. Wysunął głowę, starając się uzyskać lepszy obraz sytuacji. Niewielki samolot lekko podskoczył przy nagłym powiewie i zaraz wyrównał lot, gdy porucznik odzyskał kontrolę nad sterami. Kiedy już wyrównali, Kruger przykładając znowu lornetkę do oczu, ujrzał mglistą, żółtawą chmurę, o której wspomniał porucznik. Horyzont przecinało sześć lub siedem pojedynczych pióropuszy pyłu, wyrzucanych w powietrze przez jadące z dużą prędkością samochody. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Zbyt wiele wozów. Czy oddział ANC był większy, niż sądzili? A może otrzymali wsparcie? Inna, jeszcze gorsza możliwość przyszła mu nagle do głowy. Wychylił się do przodu tak daleko, jak na to pozwalały pasy.

- Zbliżmy się do nich. Porucznik potwierdził rozkaz skinieniem głowy i delikatnie skierował maszynę w prawo. Małe plamki, częściowo zasłonięte przez rozprzestrzeniający się tuman kurzu, zaczęły się stopniowo powiększać, aż zmieniły się w sześć dużych, pokrytych płótnem ciężarówek pędzących na północ - prowadzonych przez białego jeepa, nad którym powiewała olbrzymia biało-niebieska flaga ONZ. Ta sama flaga była umocowana na każdej ciężarówce. Kruger zaklął pod nosem. Cholera! jasna cholera! Odpowiedzialne za ten sektor siły pokojowe ONZ nie były dość uważne, by zapobiec próbie infiltracji partyzantów. Okazały się jednak dostatecznie szybkie, by stanąć na drodze każdego, kto zamierzał ich ścigać. Konwój ciężarówek ONZ znajdzie się dokładnie między kompanią Forbesa a jej ofiarą. Ręce Krugera zacisnęły

się na lornetce. W samolocie odezwało się nagle radio.

- *Tu kapitan Roald Petersen z Grupy Nadzorczej Narodów Zjednoczonych do nie zidentyfikowanego samolotu. Czy odbieracie tę transmisję? Odbiór.* - Angielski oficera nosił wyraźny obcy akcent. Kruger opuścił lornetkę i nacisnął guzik mikrofonu.

- *Słyszę was dobrze, kapitanie.*

- *Proszę się zidentyfikować.* - Grzeczność Petersena nie ukryła napięcia brzmiącego w jego głosie. Przez krótką chwilę Kruger przyglądał się ciężarówkom, rozważając możliwość rozkazania swojemu pilotowi, żeby zawrócił i odleciał. Wzruszył ramionami. Przeciwności nic nie zyska. Obserwatorzy w samochodach musieli już zanotować numery *Cessny*. I tak nikt by nie uwierzył, że to jedynie przypadkowe zbłądzenie. Poza tym, może uda mu się przekonać tego oenzetowca.

- *Tu pułkownik porucznik Henrik Kruger z Południowoafrykańskich Sił Obronnych.* Następne słowa Petersena zgasiły jego nadzieje.

- *Naruszył pan przestrzeń powietrzną Namibii, pułkowniku. Rozkazuję panu natychmiast zawrócić. Rozkazuję? To drań.* Kruger opanował się i odpowiedział spokojnie: - *Proszę, by jeszcze raz zastanowił się pan nad swoją "sugestią", kapitanie. Ścigam grupę terrorystów, która wdarła się na nasze terytorium i zabiła jednego z moich ludzi. Czy mamy jeszcze prawo bronić się?* - Puścił guzik nadawania.

- *Jest mi przykro, pułkowniku.* - Teraz lepiej. Petersen wydawał się być szczerzy w przeprosinach. - *Teren ten jednak nie podlega jurysdykcji waszego rządu. Muszę nalegać, aby natychmiast pan zawrócił, zanim zostanie zmuszony do podjęcia bardziej radykalnych środków.* Kruger chwilę pomyślał. Jakich środków? Żołnierze ONZ raczej nie otwierali pierwszego ognia. Co jednak mógł zrobić, jeśli staną pomiędzy jego oddziałem a uciekającymi partyzantami? Strzelać do nich? Bez sensu. Zwłaszcza jeśli chciał uniknąć poważnego międzynarodowego incydentu i wynikających z niego konsekwencji dla kraju i jego własnej kariery. Spojrzał na mapę leżącą na kolanach. Za kilka minut Forbes i jego transportery opancerzone znajdą się w polu widzenia konwoju ONZ - znacznie zwiększając ryzyko konfrontacji. To, co teraz wyglądało jedynie na pogwałcenie granicy przez pojedynczy

samolot, stanie się nagle wypadem południowoafrykańskiej piechoty i wozów opancerzonych. Znowu zaklął. Nie miał żadnej rozsądnej alternatywy. Nacisnął mocno guzik mikrofonu.

- *Papa Foxtrot jeden do Papa Foxtrot Dwa. Odbiór.* W radiu rozległ się głos Forbesa.

- *Jeden, tu Dwa.*

- *Przerwijcie pościg. Powtarzam. Przerwijcie pościg. Wracamy do bazy.* - Słowa te zostawiły niesmak. Zostać pokonanym przez uzbrojonego nieprzyjaciela było już dostatecznie niemile, jednak zostać zatrzymanym przez "siły pokojowe" było szczególnie irytujące. Nie miał wątpliwości, że siły ONZ dołożą wszelkich starań, żeby złapać partyzantów ANC. jednak brakowało im doświadczenia i sprzętu niezbędnego do wykonania takiego zadania. Terrorysty niewątpliwie umkną, żeby wrócić innego dnia i znowu zabijać. Poczul przygnębienie na myśl o konieczności powrotu do bazy z pustymi rękami.

## • 18 lipca - Nyanga. miasto czarnych pod Kapsztadem

Strzały i krzyki rozlegały się ponad warkotem silników transporterów opancerzonych i komendami z policyjnych szczekaczek.

- Niech to diabli! - Ian Sherfield kopnął z wściekłości kamień, starając się dać upust swojej złości. Niewiele to pomogło. Powinien to być ich najlepszy dzień na zbieranie wiadomości od czasu przyjazdu do tego kraju. Otrzymany od zaprzyjaźnionego oficera cynk i wytrwały podsłuch na nielegalnym policyjnym skanerze przyniosły niezłe rezultaty. On i Sam Knowles znaleźli się na miejscu zaraz po tym, jak paramilitarne oddziały bezpieczeństwa wkroczyły na ulice miasta Nyanga. Jednak cały ich wysiłek pójdzie na marne, jeśli nie uda się sfilmować brutalnej akcji policji, która nastąpiła zaledwie dwieście, trzysta metrów od nich. A właśnie na to im nie zezwolono. Droga wiodąca do Nyanga została zablokowana przez solidny kordon umundurowanych na niebiesko i szaro policjantów, przed którym gromadził się coraz większy tłum rozwścieczonych dziennikarzy. Ian i Knowles mogli słyszeć z tej odległości strzały i oglądać słupy tłustego, czarnego dymu wydobywającego się z płonących domów, ale nie widzieli samej akcji. Siły bezpieczeństwa Vorstera postanowiły za wszelką cenę nie dopuścić do sfilmowania akcji. A brak zdjęć oznaczał brak reportażu - przynajmniej dla stacji telewizyjnych przekazujących wiadomości do Stanów i Europy. Prowadzący studio nie zechcą marnować czasu antenowego na opowieści nie poparte ostrym materiałem filmowym.

- Hmm, hmm. Co byś na to powiedział... Jest jeszcze inna droga do naszego celu. Ian zatrzymał nogę skierowaną w kolejny kamień i odwrócił się do kamerzysty. Knowles opierał się o maskę ich samochodu, sprawdzając poplamioną kawą i podartą mapę okolic Kapsztadu. Ian nachylił się nad nim.

- Masz coś, Sam? Gruby paluch Knowlesa zakreślił wijącą się linię na ledwo czytelnej mapie.  
- Spójrz na to. Ci dranie zablokowali wszystkie główne drogi i pewnie wszystkie boczne. Założę się jednak, że nie mają dosyć ludzi, by zabezpieczyć każde przejście na tym terenie. Ian spojrzął na obszar wskazywany przez Knowles. Kompleks przemysłowy Park Philippi. Istna dżungla opuszczonych aluminiowych magazynów, hal produkcyjnych i składowisk. Z uczuciem żalu potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie ma szans. - Zakreślił palcem granicę oddzielającą miasto od terenów przemysłowych. - Wzdłuż całego tego obszaru jest ustawiona siatka z drutem kolczastym na szczycie. Knowles wyszczerzył w uśmiechu zęby i sięgnął pod siedzenie samochodu. Podniósł zawinięty w ręcznik pakunek i na chwilę odsłonił nożyce do cięcia drutu.

- Siatki, synu, są po to, żeby je przecinać...

Ian pomyślał, że jeszcze nigdy jego przysadzisty kumpel nie przypominał tak bardzo sławnego kota z Cheshire. Odpowiedział takim samym szerokim uśmiechem i otworzył drzwi samochodu. Dwadzieścia minut później, dwaj mężczyźni przykucnęli za kilkoma rdzewiejącymi pojemnikami - niecałe piętnaście metrów od ogrodzenia. Z północy dochodziły ich ściszone krzyki, strzały i jęki, a wiatr niósł ze sobą obłoczki dymu - świadectwo tego, że siły porządkowe były nadal zajęte "tłumieniem niewielkich zaburzeń",

jak je eufemistycznie nazywano. Ian zamierzał nazwać tę krwawą rozprawę zupełnie inaczej. Najpierw jednak musieli się dostać do środka, zrobić kilka ujęć i cicho się wynieść. To jednak może nie być takie proste. Zaryzykował spojrzenie w stronę najbliższego posterunku policji, dwieście metrów dalej. Stojących wśród worków z piaskiem, dziesięciu uzbrojonych w karabiny policjantów uważnie spoglądało w stronę miasta. Ich zadanie polegało na pilnowaniu, żeby nikt nie wydostał się poza ogrodzenie, a nie, żeby zapobiec wejściu tam jakichś dziennikarzy. Ian schował głowę i ostrożnie odwinął nożyce. Knowles przyklęknął obok niego z kamerą i mikrofonami zawieszonymi na plecach.

- Wszystko w porządku? - Niewysokiemu mężczyźnie brakowało tchu. Ian zawyrokował, że to nie strach, lecz podniecenie. Skinął głową.

- Droga wolna.

- No to ruszajmy. Z bijącymi sercami i klekocącym sprzętem dwaj mężczyźni podbiegli do ogrodzenia i rzucili się na ziemię, czekając nieruchomo na wściekłe okrzyki świadczące, że zostali zauważeni. Nie usłyszeli niczego. Ian przewrócił się na bok i uchwycił zardzewiały drut w dole siatki pomiędzy ostre szczęki nożyc. Ześliznęły się przy pierwszej próbie przecięcia drutu. Także i za drugim razem siatka opadała się jego wysiłkowi. Jezu! Czuł, jak palce zwiększyły trzykrotnie swoją objętość. Zupełnie jak gdyby naszprycował je nowokainą. Knowles podsunął się bliżej, ale nic nie powiedział. Ian otarł dłonie o spodnie i spróbował trzeci raz, zwiększając stopniowo nacisk na końce nożyc. No dalej, tnijcie, do cholery! Tym razem fragment drucianej siatki puścił. Wreszcie. Wziął się za następne druty, przecinając siatkę tymi samymi ruchami. Wsunął drut pomiędzy szczęki nożyc. Nie zwracać uwagi na stojących w pobliżu policjantów. Po prostu nacisnąć. Mocno. Przesunąć się do następnego oczka siatki i powtórzyć to wszystko od początku. Skończył pracę, niemal tego nie zauważając.

- Tyle wystarczy - wyszeptał Knowles, wyjmując nożyce z jego ręki. Ian wrócił do rzeczywistości i przyjrzał się wyciętej dziurze. Kamerzysta miał rację. Otwór był wystarczająco duży, żeby mogli się przez niego przecisnąć i jednocześnie dostatecznie mały, by nie zauważyć go z odległości. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na posterunek policji. Nadal patrzyli w innym kierunku. Czas się ruszać, zanim jednemu z policjantów nie znudzi się oglądanie miasta i nie zdecyduje się rozejrzeć trochę na boki.

Ian przewrócił się na plecy i przecisnął przez dziurę. Knowles wśliznął się tuż za nim. Kamera na jego plecach prawie zawadziła o druty. Byli wewnątrz. Ian podniósł się z ziemi i pobiegł w stronę wąskiej alejki pomiędzy dwoma halami o aluminiowych ścianach. Sam pobiegł za nim, zdejmując po drodze kamerę z pleców. Obaj mężczyźni zatrzymali się na chwilę, żeby ustalić położenie i zaraz ruszyli dalej - kierując się w stronę rosnącego hałasu. Kiedy energicznie szukali drogi, przeskakując przez walające się po ulicy śmieci, Ian zaczerpnął łyk powietrza, wciągając je głęboko do umęczonych płuc. To był błąd. Zapach gnijących, od dawna nie zbieranych odpadków, rynsztoków i pasma dymu gazów łzawiących zmieszały się razem, tworząc nieznośny odór. Zacisnął zęby, starając się opanować nudności. Droga, którą właśnie biegli, kierowała się na północ pomiędzy rzędami okaleczonych, pozbawionych okien baraków, równoległe do jednej z głównych ulic Nyangi. Wokół nich było kompletnie pusto, nie licząc kilku spasionych szczurów, które przezornie usuwały im się z drogi. Wydawało się, że nawet spora populacja wybiedzonych miejskich psów gdzieś zniknęła. Po kilku minutach biegu Knowles zatrzymał się przed skrzyżowaniem z główną drogą. Spojrzał na Iana.

- Gdzie teraz, *kimosabe*? Ian wysunął głowę zza rogu, wsłuchując się w odgłosy. Wydawało się, że dochodzą z lewej strony, gdzieś niedaleko przed nimi. Wysunął się z alei i skręcił w tę stronę. Niemal od razu spostrzegli ludzi biegnących na południe, uciekających przed czymś, co teraz bardziej przypominało prawdziwą walkę uliczną niż rutynowe, nawet brutalne przeczesywanie miasta, dom po domu. Większość uciekinierów stanowiły kobiety i dzieci - niektóre ścisnęły zwinięte w pośpiechu pakunki, inne, zalane łzami, biegły z pustymi rękoma. Ian dojrzał kątem oka, jak Knowles podnosi kamerę i zaczyna filmować. Ruszył dalej pewny, że przysadzisty kamerzysta posuwa się za nim. Zdjęcia pełnej paniki ucieczki będą wyglądały dostatecznie dramatycznie, ale musieli zbliżyć się do miejsca akcji i pokazać, przed czym mieszkańcy Nyangi tak uciekali. Dwaj Amerykanie posuwali się w głąb miasta jedną z zatłoczonych ulic, wymijając wystraszonych ludzi. Zmieszane kłęby dymu i

gazu łązającego stawały się coraz gęstsze i Ian dostrzegł czerwone płomienie liżące dachy dalszych domostw. W tłumie widać było coraz więcej mężczyzn ciężko pobitych lub postrzelonych, często niesionych przez innych. Ian miał wrażenie, że znaleźli się w wirze porwanych i poplamionych koszul, przerażonych oczu i wściekłych, trzęsących się w ich kierunku pięści. Nie ukrywana nienawiść zaszokowała go, dopóki nie przypomniał sobie koloru własnej skóry. Dla mieszkańców Nyangi on i Sam Knowles mogli równie dobrze być członkami sił bezpieczeństwa, robiącymi zdjęcia w celu przygotowywania oskarżenia. Ian poczuł, jak po plecach spływa mu pot, a na czole pojawiają się wilgotne krople. Dotarła do niego świadomość, że są równie zagrożeni ze strony mieszkańców miasta, jak ze strony policji. Ta myśl nie dodała mu pewności siebie. Wsunął rękę do kieszeni spodni, dotykając plastikowej legitymacji prasowej, jakby była jakimś talizmanem. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że nie pomogłaby mu, gdyby rozeźlony tłum zwrócił się przeciw ludziom o nieodpowiednim kolorze skóry. Poczuł rękę Knowlesa na swoim ramieniu i wzdrygnął się, zawstydzony swoim zdenerwowaniem. Kamerzysta wskazał wylot ulicy.

- Myślę, że właśnie tam powinniśmy się znaleźć. Te sukinsyny wypędzające ludzi będą musiały przebić się przez to. Ian spojrzął w stronę, którą wskazywał palec Knowlesa; skinął głową. Jak zawsze, Knowles miał rację. Mieszkańcy zbudowali w tym miejscu barykadę z palących się samochodów i opon, starych mebli i skrzynek z puszkowanym jedzeniem, wywleczonych z pobliskiego sklepu. Nad ulicą wisiał tłusty, gryzący dym, buchający z płonących opon, zasłaniając słońce i nadając całej scenerii mroczny i ponury charakter.

Dwaj mężczyźni podbiegli do barykady, szukając dobrego miejsca na kryjówkę. Widzieli teraz wyraźnie obrońców barykady. Młodzi mężczyźni. Wyrostki. Dostrzegli nawet kilku chłopców, którzy nie mogli mieć więcej niż dziesięć, jedenaście lat. Żaden z nich nie uciekał i wszyscy trzymali kurczowo w rękach kawałki bruku, nogi od krzesel czy łańcuchy. Każdy rodzaj broni, który pozwoliłby im odpowiedzieć ciosem na ten nie sprowokowany atak na ich domy i rodziny.

- Tutaj! - Ian ciągnął Knowlesa na skorodowany wrak samochodu pozbawiony kół, drzwi i silnika. Znajdowali się dwadzieścia metrów od barykady. Knowles przyklęknął i wysunął kamerę, opierając ją na wgniezionej masce wraku. Ian przykucnął za nim, czując się bezpieczniejszy w tej kryjówce. Nad ulicą zapanowała dziwna cisza. Coraz gęstszy dym uniemożliwiał spojrzenie poza barykadę, jednak w tłustej mgłę nie widać było żadnych ruszających się cieni i dobiegało ich teraz mniej odgłosów strzałów i krzyków. Przez moment Ian się zastanawiał, czy napad się skończy odwołany lub odparty. Czy napastnikom stawiono na tyle silny opór, żeby zniechęcić do walki? Przeraźliwy, pełen zgrzytu odgłos zderzenia przywrócił go do rzeczywistości. Patrzył z niedowierzaniem, jak olbrzymi transporter opancerzony *Hippo* rozbija barykadę w pełnym pędzie, rozrzucając jej części na wszystkie strony. Od pancerza odbijały się kamienie, nie czyniąc mu żadnej szkody. Wóz zostawił za sobą bezładnie porozrzucaną stertę płonących szczątków. Z dymu wyłonili się nagle uzbrojeni policjanci, podążając za *Hippo*. Maski przeciwgazowe, z dopasowanymi szybkami i pękatymi filtrami, nadawały im niesamowity wygląd. Jeden z atakujących upadł na ziemię trafiony w głowę ciężkim kamieniem. Niewysoki wyrostek, który wykonał celny rzut, krzyknął z radości i schylił się po następny kamień. Jego radość nie trwała długo. Ian zmrużył oczy, gdy seria z karabinu maszynowego rozerwała wręcz młodego obrońcę, zmieniając go w krwawiącą, poszarpaną masę. Poczuł w ustach gorzki smak i z trudem przełknął ślinę. Policja wzięła pierwszy strzał za sygnał i otworzyła bezładny ogień, zasypując ulicę setkami pocisków. W powietrzu rozległy się świsty rykoszetów. Ian poczuł smagnięcie powietrza na twarzy i schylił głowę. Jezu! Nigdy jeszcze do niego nie strzelano. Wysunął ostrożnie głowę zza samochodu dostrzegając, że Knowles nie przestał ani na chwilę filmować. Boże! Nic nie mogło powstrzymać tego faceta. Ulica przypominała teraz jatkę. Naokoło leżały ciała - niektóre nieruchome, inne skręcające się w agonii. Kilku mężczyzn wytrzymało na swoich posterunkach, obrzucając zaciekle kamieniami wbiegających przez wyrwę w barykadzie policjantów. Większość jednak uciekała w popłochu. Policjanci rozpoczęli pogoń, strzelając na oślep lub bez opamiętania waląc biegnących łamiącymi kości pałkami. Ian pociągnął Knowlesa za łokieć i wskazał głową na jedną z bocznych uliczek. Mieli dosyć materiału na cholernie dobry reportaż z tej przerażającej masakry. Nie miało sensu czekanie, aż wypatrzy ich policja. Najwyższy czas

się wynosić. Zaczęli biec co sił w nogach, przedzierając się przez sięgające miejscami do pasa chwasty. Za nimi strzelanina nasiliła się, rozszerzając się na wszystkie strony. Obaj mężczyźni przyspieszyli kroku, starając się uciec z zamykającej się ze wszystkich stron pułapki. Ian poczuł obejmujący całe płuca i przełyk płomień. Jego nogi musiały ważyć ponad tonę. Knowles, nie będąc zresztą w lepszej kondycji i potykając się co chwila, starał się za nim nadążyć. Jednak nie zwalniał, wybierając bez wahania każdą ulicę, która prowadziła na południe - do płotu, ich samochodu i bezpieczeństwa. Szczęście opuściło ich mniej więcej sto metrów przed siatką. Czterech krzepkich mężczyzn, ubranych w brązowe koszule i spodnie organizacji paramilitarnej, zastąpiło im drogę przy końcu alei. W rękach trzymali karabiny i pałki. Na ich bezwzględnych twarzach nie rysowały się żadne uczucia. Czując jak wali mu serce, Ian zatrzymał się kilka kroków przed nimi. Knowles wpadł na niego i szybko się cofnął, oddychając ciężko przez usta. Ian podniósł obie ręce do góry, pokazując puste dłonie i pod szedł bliżej do czekających mężczyzn. Wydało się dziwne, że nie noszą standardowych szarych spodni i niebieskoszarych koszul zwykłej policji. Kim byli ci faceci?

- Jesteśmy dziennikarzami. Proszę, odsuńcie się i pozwólcie nam spokojnie przejść. - Nic. Ian próbował ponownie, tym razem łamanym *afrikaans*. Najwyższy z mężczyzn, nieprzyjemny facet o czerwonej twarzy ze spłaszczonym i złamanym nosem, roześmiał się.

- Cholerni *Rooinek*, dranie. Ian rozpoznał pogardliwe określenie Anglików i poczuł, że ich szanse na wyjście cało z tej sytuacji maleją. Zaprzeczył, energicznie potrząsając głową.

- Nie, jesteśmy Amerykanami. Słuchajcie, wykonujemy tylko naszą pracę. Nie brzmiało to zbyt przekonująco, nawet dla niego. Czterech facetów w brązowych koszulach przysunęło się bliżej. Z tyłu alei dobiegły go odgłosy kroków.

- Nie oglądaj się. Myślę, że jesteśmy otoczeni - wyszeptał Knowles. Największy Afrykaner wyciągnął potężną, stwardniałą dłoń.

- Oddajcie nam wasze *verdomde* kamery, a może pozwolimy wam odejść z całymi zębami. *Blery* rozsądna propozycja, co? Jego kumple zachichotali. Wspaniale. Po prostu wspaniale. Ian patrzył na przywódcę przymrużonymi oczami. Zwykły rozrabiaka barowy. Żadnego problemu. Nie miał wątpliwości, że potrafiłby rozłożyć tego bydlaka. Niestety, nadal zostawało jeszcze trzech z przodu i diabli tylko wiedzą ilu z tyłu. Jednak taśma oznaczała najważniejszy materiał, jaki udało im się zrobić od czasu przybycia do Afryki Południowej. Nie mógł jej tak po prostu oddać, nie próbując zaprotestować, choćby tylko słownie. Potrząsnął głową.

- Słuchajcie, nie sprzeciwiałbym się, ale kamera nie należy do nas. To własność firmy. Poza tym dostaliśmy zezwolenie od waszego rządu na filmowanie wypadków. Jeśli więc staracie się nas powstrzymać, to łamiecie wasze własne prawa. Przerwał, mając nadzieję, że złapią przynętę i zaczną się z nim wykić. Każda upływająca minuta zwiększała szansę, że pojawi się ktoś z normalnej policji - przeganiając tych paramilitarnych drani, bez względu na to, dla kogo pracowali. Nie dali się jednak nabrać. Ian zobaczył, jak przywódca kiwa głową do kogoś za nimi i w chwilę później usłyszał okrzyk bólu i wściekłości Knowlesa. Odwrócił się szybko. Dwóch bandytów w brązowych koszulach stało z tyłu, uśmiechając się bezczelnie. Jeden z nich triumfalnie trzymał kamerę, podczas gdy drugi wykręcał do tyłu ramię Knowlesa. Ian dostrzegł strużkę krwi spływającą z wargi kamerzysty. Tego było za wiele. Zaciskając z wściekłości zęby, zrobił krok w ich kierunku. Knowles wypluł krew i krzyknął: - Nie Ian! Tego właśnie chcą... Ian nie odpowiedział, nie dbając już o nic. Jeden lub dwóch tych kretynów pożałuje, że go zdenerwowało. Cofnął rękę, by zadać cios... Coś mignęło mu z boku głowy. Pałka? Schylił się czując od razu, że się spóźnił. Kolba karabinu potężnego Afrykanera trafiła go w czaszkę, rozlewając falę przejmującego, palącego bólu. Ulica zawirowała w zamglonych oczach i opadł na kolana. Boże, co za ból! Nigdy go jeszcze tak nie bolało. Ponure jeszcze przed chwilą słońce oślepiło go teraz niemilosierdzie. Usłyszał, że Knowles krzyczy coś, ale poprzez narastający szum w głowie nie mógł zrozumieć, co mówi. Spojrzał do góry i zobaczył ciężki skórzany but zbliżający się do jego twarzy.

- **19 lipca - oddział więźniów politycznych, sąd miejski, Kapsztad**

Żadne cienie nie zmiękczały zarysów stalowych drzwi, długich pustych korytarzy i rzędów małych, kwadratowych cel. Nie było cieni, ponieważ ostre światło nigdy nie było wyłączane. Nieustanna jasność odbierała więźniom poczucie przemijania czasu. Leżący na betonowej ławie Ian stwierdził, że popękane, białe płyty sufitu w jego celi przestały w końcu wirować. Także głowa, mimo iż nadal bolała, nie przypominała już nadmuchanego, wypełnionego bólem balonu. Uśmiechnął się na myśl o dziwnie brzmiącym porównaniu. Może dostał więcej razy niż pamiętał. Zdecydował, że sama możliwość rozsądnego myślenia jest dużym osiągnięciem. Przez ostatnich kilka godzin, od chwili gdy odzyskał świadomość, fragmenty racjonalnych myśli były gęsto przeplatane wyrwanymi z kontekstu obrazami, snami i na wpół zatartymi wspomnieniami. Obecnie zaczął ponownie składać wszystkie części razem, tworząc z nich sensowny obraz wydarzeń od czasu, gdy wrzucono go do tej śmierdzącej nory. Przypomniał sobie na przykład, że widział jak upychają Sama Knowlesa do podobnej celi w tym samym korytarzu. Ian uśmiechnął się do siebie, pamiętając nie przerywany potok wyzwisk i wyszukanych przekleństw, wydobywający się z ust kameryzisty. Knowles, mimo iż był cały zakrwawiony, nie załamał się. Wśród całej serii przynębiających wizji, dotyczących jego przyszłości, jedna myśl stanowiła pewne pocieszenie. Reporter, który został pobity i deportowany za nakręcenie bulwersującego materiału, mógł liczyć na gorące przyjęcie ze strony macierzystej stacji telewizyjnej. Jednak reporter, którego wyrzucono i który nie może pokazać nic oprócz kilku blizn, jest na najlepszej drodze na telewizyjny śmietnik. Ian jęknął cicho. Zostać wyrzuconym z tego kraju bez możliwości zobaczenia Emily - ta perspektywa była dostatecznie przynębiająca. Myśl, że może zostać skierowany do czytania prognozy pogody w jakiejś prowincjonalnej dziurze, czyniła ich niemal pewną deportację czymś zupełnie nie do zniesienia.

- Hej, ty! *Amerikaan!* Wstawaj. Nowy *kommandant* chce cię zobaczyć. Odwrócił głowę. Strażnik stał koło drzwi celi. Z jego pulchnej dłoni zwiślał pęk kluczy. Czując przyspieszony łomot w skroniach, Ian wolno usiadł i spróbował stanąć. Szczęknięły otwierane drzwi.

- Ruszaj się, człowieku. *Kommandant* nie będzie na ciebie czekać. I tak już jesteś w *blery* kłopotach. - Strażnik wyprowadził go na korytarz, gdzie czekało już trzech innych strażników z Knowlesem. Piętnaście minut później dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko olbrzymiego, wypolerowanego biurka komendanta więzienia. Po ich obu stronach stali dwaj potężni strażnicy" Ian zastanawiał się, czy rzeczywiście przypuszczali, że razem z Samem zaatakują szefa, czy też chcieli ich po prostu zastraszyć. Podejrzewał, że chodzi raczej o to drugie. Na pierwszy rzut oka nowy szef bardziej przypominał łagodnego urzędnika niż policjanta. Przyjrząwszy mu się uważniej, Ian zmienił zdanie. Bładoniebieskie, niemal gadzie oczy patrzyły na nich nieruchomo zza grubych szkieł w metalowych oprawkach. Komendant miał na sobie skromny mundur pozbawiony wszelkich dystynkcji poza czerwono-biało-czarną odznaką wpiętą w klapę. Przeglądając pojedynczy dokument leżący na biurku, Afrykaner wybijał palcami prosty rytm. Ian zrobił duży wysiłek, żeby skupić wciąż zamglony i osłabiony wzrok na odznace, starając się ją zidentyfikować. Wreszcie udało mu się rozpoznać trzyramienną swastykę, symbol Afrykańskiego Ruchu Oporu, AWB. Jak wyższy urzędnik państwowy mógł ostentacyjnie nosić takie plugastwo, pomyślał Ian, studiując arogancką i pewną siebie twarz komendanta. Kawałki łamigłówek zaczęły mu się nagle układać w logiczną całość. Przecież to faceci w brązowych koszulach ich pobili. Czyżby już nie starali się nawet maskować? Kim był szaleniec, który spuścił te wściekłe psy ze smyczy? Odpowiedź była, niestety, przerażająco prosta. Stał przed przedstawicielem nowych władz. Oderwał wzrok od bluzy komendanta i ujrzał przed sobą ponurą podobiznę Karla Vorstera patrzącego na niego ze ściany. Dobry Boże! Uświadomił sobie, że znaleźli czas, żeby przygotować wyretuszowane portrety samozwańczego prezydenta. Po raz pierwszy zaczął rozważać możliwość, że Vorster jest kimś więcej niż tylko zaślepionym, politycznym reakcjonistą.

- Hmm, hmm, *meneer* Sheffield, co za szokująca lista przestępstw: złamanie zakazu policji wkraczania na otoczony teren, awanturowanie się z wyznaczonymi przez rząd stróżami porządku, złamanie ustawy stanu wyjątkowego o ograniczeniach wobec prasy... Proszę mi powiedzieć, co mam z panem zrobić? - Suchy, drwiący głos komendanta sprowadził Iana na ziemię. Czas podjąć decyzję. Czy powinien dostosować się do warunków i zachowywać



pokornie w nadziei, że pozwolą mu zostać? Czy też raczej pokazać sukinsynom, że nie mogą go zastraszyć i znaleźć się w pierwszym samolocie opuszczającym ten kraj. Podjęcie decyzji przyszło mu wyjątkowo łatwo. Myśl o płaszczeniu się przed tym małym neonazistą wydawała mu się zbyt obrzydliwa, żeby ją nawet poważnie rozważać. Posłał Emily i swojej karierze pożegnalny pocałunek. Ian zbliżył się do biurka.

- Powiem panu, co może pan zrobić, ty... - Zamknął szybko usta, powstrzymując się przed wypowiedzeniem tego słowa. Nawet przy całym zdenerwowaniu nie mógł sobie pozwolić na nazywanie komendanta więzienia skurwysynem. Wyprostował się.

- W porządku. Moja propozycja jest następująca; najpierw wypuści nas pan z tego cholernego więzienia. Następnie zaaresztuje pan drani, którzy na nas napadli. - Wciągnął powietrze, czując, że się zaczyna uspokajać. - Kiedy pan to robi, porozmawiamy, w jaki sposób może nam pan zapłacić za zniszczony sprzęt i za to... - pokazał palcem na opuchliznę za uchem. Skończywszy Ian już zupełnie bez emocji czekał na wybuch i natychmiastowy rozkaz wydalenia. Nic takiego się jednak nie stało. Zamiast tego komendant uśmiechnął się lodowato.

- Nie będę dyskutował z panem, *meneer* Sherfield. Mogę to robić jedynie z równym sobie, a pan najwyraźniej nie jest mi równy. - jego ręce leniwie gładziły powierzchnię biurka. Spojrzał Ianowi prosto w oczy. - jest pan jedynie gościem w tym kraju, *meneer*. Istnieje pan tylko dzięki mojej łaskawości. Proszę to sobie zapamiętać na przyszłość. Ian wstrzymał oddech. Czy zamierzali pozwolić mu zostać? Z ust komendanta znikł cienki, zimny uśmiech.

- Musi się pan jeszcze wiele nauczyć o swoim statusie w naszej republice, *meneer* Sherfield. My, Afrykanerzy, nie jesteśmy rodzajem słabowitych, zdegenerowanych prymitywów, wobec których tak zwani dziennikarze mogą grać rolę Boga. Nie dbamy ani trochę o to, co pan i pańscy głupawi koledzy sądzą o nas i o naszej polityce. - W bladych, nieruchomych oczach pojawił się ogień fanatyzmu. - jedynie prawdziwy Bóg może sądzić nasze występki, zmierzające do uratowania naszego narodu.

- Jeśli tak właśnie przedstawia się sprawa, to czemu nas pan nie deportuje i nie skończy sprawę? - Ian usłyszał ostrzegawcze ciche syknięcie. Afrykaner złożył ręce.

- Zapewniam pana, że gdyby to zależało jedynie ode mnie, to z największą przyjemnością wysłałbym pana do waszego bezbożnego kraju pierwszym samolotem. jednak... - rozłożył ręce i obojętnie wzruszył ramionami - wygląda na to, że pewne wysoko postawione osoby mają do pana jeszcze jakieś sprawy. Tak więc tym razem będę łagodny. Może pan odejść. Natychmiast. - Komendant wskazał głową drzwi biura i wrócił do. lektury dokumentów, starając się zapomnieć jak najszybciej o całej sprawie. Ledwo wierząc w swoje szczęście, Ian był już w połowie drogi do drzwi, gdy przypomniał sobie ich zniszczony sprzęt. Szefowie w Nowym Jorku będą robili kłopoty, jeśli on i Knowles nie uczynią wszystkiego, żeby odzyskać aparaturę lub chociaż uzyskać zwrot pieniędzy za jej naprawę. Pamiętał dobrze konsekwencje podobnych spraw; jeśli szef cię lubił, uchodziła na sucho nawet wycieczka na południe Francji, którą wpisywano w koszty firmy. Biada jednak każdemu innemu, kto przyszedł z rachunkiem za obiad w knajpie o nieco wyższej kategorii niż McDonald's. Zdecydował się wziąć byka za rogi i jeszcze raz wypróbować swoje szczęście. Odwrócił się na pięcie, odsuwając się błyskawicznie na bok, aby nie zderzyć się ze strażnikiem idącym tuż za nim.

- Nie tak szybko, komendancie! A co z naszą kamerą i pozostałym sprzętem? Kto zapłaci za zniszczenia spowodowane przez waszych zbyt skrupulatnych podwładnych? Afrykaner, który właśnie zdążył wsadzić nos w papiery, uniósł głowę. Przypominał przy tym szykującą się do ataku kobrę. Ian zdrętwiał. Chyba przesadziłem, przemknęło mu przez myśl. Dotychczasowa pogarda i niechęć na twarzy komendanta były niczym w porównaniu z tym, co teraz zobaczył.

- Precz z mojego biura! I dziękujcie Bogu, że tylko wasz *verdomde* sprzęt został zniszczony. To można zreperować. Czaszek i kości nie składa się tak łatwo! Wyraz otwartej nienawiści zniknął powoli z twarzy komendanta, zastąpiony o wiele groźniejszym spojrzeniem pełnym spokojnej, lodowatej złośliwości.

- *Meneer* Sherfield, radzę panu nie stawać więcej na mojej drodze. Nie byłby to postępek godny rozsądnego czy choćby zdrowego na umyśle człowieka. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno? Spojrzał na strażników, stojących po obu stronach Iana.

- Zabierzcie sprzed moich oczu tych *uitlanders* zanim zmienię zdanie i znowu ich zamknę. Jadowite spojrzenie Afrykanera odprowadziło ich do samych drzwi. Żaden nie odezwał się, dopóki nie znaleźli się przy głównej bramie sądu. W końcu Sam Knowles przerwał pełną napięcia ciszę.

- Jezu Chryste! Ian! Przypomnij mi, żebym ci pożyczył książkę „Jak zdobyć przyjaciół”, zanim doprowadzisz do tego, że nas pozabijają. Ian roześmiał się nerwowo.

- Przepraszam, Sam. Nauczyłem się nie jeść rękoma w wytwornych restauracjach, ale obawiam się, iż nikt mnie nie uczył, jak siedzieć cicho w obecności podrzędnego gestapowca, takiego jak ten skurwiel na górze.

- Taak. - Knowles poklepał go po ramieniu. - No cóż, gdy następnym razem będziemy patrzyli w lufę pistoletu, to staraj się pamiętać, że skromność jest największą z cnót. Zrobisz to dla mnie? Ian potwierdził skinieniem głowy.

- Dobra. - Mały kamerzysta zmienił gwałtownie temat. - Kto u diabła w Pretorii lubi nas na tyle, żeby nas wyciągać z bagna? Ian nie odpowiedział, dopóki nie minęli dwóch uzbrojonych strażników i nie zatrzymali się koło jezdni. Mrugając oczami, patrzyli na słońce zimowego popołudnia. Przy krawężniku za parkowała taksówka.

- Nie znam nikogo, kto by się cieszył takimi względami Vorstera, ale znam kogoś, kto zna takiego człowieka - odpowiedział Ian. Tylne drzwi taksówki otworzyły się i wysiadła z niej piękna kobieta o kasztanowych włosach. Knowles złożył usta, jakby chciał gwizdnąć z uznaniem.

- Rozumiem. Zdaje się, że wreszcie rozumiem. Krępy kamerzysta przyglądał się przez zmrużone oczy, jak jego partner biegnie na spotkanie Emily van der Heijden.

## • 20 lipca - międzynarodowe lotnisko Malan koło Kapsztadu, hala lotów krajowych

W głośnikach rozległ się komunikat wypowiedziany suchym, zniekształconym głosem, typowym dla lotnisk na całym świecie: "Rozpoczęła się odprawa pasażerów lecących rejsem Południowoafrykańskich Unii Lotniczych numer 148 do Johannesburga. Wszyscy pasażerowie, którzy zakończyli odprawę bagażową, proszeni są o skierowanie się do samolotu". Ian poczuł, jak bije mu serce, kiedy Emily pocałowała go po raz ostatni i wysunęła się z jego objęć. Wyciągnął rękę, żeby ją przytrzymać, ale zrezygnował widząc, jak ze smutkiem potrząsa głową.

- Muszę już iść. - Zamrugała oczami pełnymi łez. - Obawiam się, że nie ma już czasu - dodała, przewieszając sobie przez ramię torbę podróżną. Ian wyszukał w kieszeni chusteczkę i podał jej.

- Słuchaj, jeśli nie chcesz lecieć, to zostań. Zostań ze mną. Znowu pokręciła głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Nie mogę bez względu na to, jak bardzo bym chciała. Mój ojciec jest twardym człowiekiem. Dla niego umowa jest umową bez względu na to, jak została zawarta. Jeśli nie wrócę do domu, jak mu obiecałam, to każe cię zaaresztować i odesłać do Stanów. Nie mogę na to pozwolić. Ian spuścił wzrok, przyglądając się zdartej podłodze. To, co ją spotkało, było głównie jego "zasługą". Emily dowiedziała się o aresztowaniu, kiedy nie przyszedł na umówiony obiad w dniu zamieszek. Oszalała z rozpaczy zrobiła coś, na co w innych okolicznościach nigdy by się nie zdecydowała. Zadzwoiła do ojca z prośbą o pomoc.

Marius van der Heijden, nowy minister prawa i porządku, miał wystarczające dowody, żeby deportować nieposłusznych amerykańskich dziennikarzy. Facet był po prostu zwykłym, cholernym szantażystą, pomyślał Ian ze złością. Ceną za ich uwolnienie była rezygnacja Emily z jej ciężko zdobytej niezależności - niezależności, którą wywalczyła latami zaciekłych kłótni i przeciwstawiania się jego woli. Jak określił to jej ojciec: "miała być posłuszna". Emily dotknęła delikatnie jego ręki.

- Rozumiesz mnie? Zaklął z bezsilności.

- Jezu Chryste, to nie średniowiecze! Czego on od ciebie oczekuje... żebyś tylko gotowała, sprzątała i zajmowała się domem jak przykładowa afrykanerska dziewczynka? Na twarzy Emily pojawił się ślad uśmiechu.

- Nie, zna mnie dostatecznie dobrze, więc nie może oczekiwać czegoś takiego. Chce jedynie, żebym była jak najdalej od ciebie i twojego "niemoralnego" wpływu na mnie. - Uśmiech zniknął. - Chociaż, oczywiście, będzie oczekiwał mojej pomocy w domu. jako pani domu na przyjęciach i *braais*. - Użyła afrykanerskiego słowa dla *barbeque*. Ian wziął jej drugą torbę i skierowali się w stronę kolejki pasażerów. Emily starała się ukryć przygnębienie, podtrzymując rozmowę.

- Widzisz, nowa pozycja ojca zmusza go do prowadzenia bardziej otwartego domu. Przypuszczam, że takiego, który jego koledzy uważają za "normalny".

Ian skinął głową, ale nie zdobył się na to, żeby coś powiedzieć. Wiedział dobrze, jak bardzo Emily ceniła sobie wolność i jak mocno nienawidziła ekstremistycznych przekonań ojca. Teraz dobrowolnie wracała do wszystkiego, od czego z takim trudem udało się jej uciec. Wszystko to dla niego. Wobec jej poświęcenia jego własne kłopoty wydały mu się nagle mało znaczące.

- Poproszę o bilet. - Podniósł wzrok. Stali już przy bramce. Młody pracownik służb naziemnych trzymał wyciągniętą rękę.

- Czy mogę do ciebie napisać albo zadzwonić? - W jego głosie wyraźnie było słychać desperację. Emily zniżyła głos do szeptu i musiał wytężyć słuch, żeby ją zrozumieć.

- Nie... to by było najgorsze, co może mnie spotkać. Ojciec musi być przekonany, że całkowicie z tobą zerwałam.

- Ale... Palec Emily spoczął na jego otwartych ustach, uciszając protest. - Wiem, Ian. To okropne. Ale zaufaj mi. Skontaktuję się z tobą tak szybko, jak tylko będę mogła. Kiedy mój ojciec nie będzie o tym wiedział. Ręka odsunęła się od jego twarzy. Młody mężczyzna w uniformie lekko zakasłał.

- Przepraszam, muszę zobaczyć pani bilet. Emily podała mu bilet i skierowała się w stronę rękawa prowadzącego do samolotu. Obróciła się.

- Ianie Sherfield, pamiętaj, że cię kocham.

Zniknęła w korytarzu, zanim zdołał coś z siebie wykrztusić. Stał nieruchomo, dopóki nie ujrzał samolotu wznoszącego się w powietrze i kierującego na wschód. Od srebrzystych skrzydeł odbijało się słońce, zmuszając go do zmrużenia oczu.

## 6

### **Wczesne ostrzeżenie**

- **22 lipca - lotnisko wojskowe Swartkop, okolice Pretorii**

Lekki, jednosilnikowy samolot *Kudu* zwolnił i zatrzymał się przy końcu poplamionego olejem pasa startowego. Zanim jeszcze śmigła przestały się obracać, obsługa naziemna zbliżyła się do maszyny, żeby zabezpieczyć skrzydła przed nagłym powiewem wiatru. *Kommandant* Henrik Kruger wygramolił się z ciasnej kabiny, przeciągnął się i nachylił, żeby ucisnąć rękę pilota.

- Dziękuję, Pieter. Szybka jazda. Czuję, że mam nawet apetyt na obiad. - Sprawdził zegarek. Do spotkania z szefem sztabu tej operacji pozostała mu jeszcze godzina. - Powinienem wrócić z ministerstwa w ciągu trzech, czterech godzin. Czy będziesz mógł wtedy zabrać mnie z powrotem do Upington? Pilot, kapitan Sił Powietrznych, pokazał zęby

w uśmiechu.

- Nie ma problemu, *kommandant*. Niech się pan nie śpieszy. Mają tu *blery* dobrą mesę dla oficerów. Jak tylko wrzucę coś do żołądka i zatankuję paliwo, jestem gotów lecieć na pierwsze pana słowo.

- *Magtig!* - Kruger wyciągnął znoszoną, skórzaną teczkę zza siedzenia i odwrócił się, dotykając czapki, żeby sprawdzić, czy nadal trzyma się prosto na jego krótko przyszyżonych, ciemnych włosach. Wyraźnie usatysfakcjonowany okrążył samolot. Kilka metrów dalej czekający przy udekorowanym proporczykami samochodzie żołnierz stanął na baczność. Bez wątpienia jego kierowca przysłany z Ministerstwa Obrony.

- Hej, *kommandant!* Spojrzał przez ramię w stronę otwartego okna kabiny. Pilot *Kudu* podniósł do góry wyciągnięty kciuk.

- Niech im pan da popalić! Kruger powstrzymał się od uśmiechu, skinął szybko głową i podszedł do czekającego kierowcy. Podejrzewał, że cała baza musi wiedzieć, dlaczego w tak krótkim czasie został wezwany do Pretorii. W doświadczonej, żytej ze sobą jednostce bojowej, jaką był 20. Pułk Strzelców, sekrety szybko stawały się publiczną tajemnicą. Nie upłynęło zbyt wiele czasu, a już jego ostatni raport sytuacyjny zaczął przynosić rezultaty. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Dowódcy batalionów - nawet wysoko odznaczeni dowódcy batalionów - nieczęsto poddawali tak miażdżącej krytyce politykę Rady Sztabu Obrony, ale Kruger był już zbyt zmęczony żądaniem od swoich ludzi wykonywania niemożliwych zadań. Zbyt wiele najlepszych batalionów zawodowych Sił Obrony było zajętych tłumieniem niepokoju w miastach czarnych, zamiast pełnić służbę na granicy, gdzie byli tak bardzo potrzebni. "Bardzo" nie było zresztą odpowiednim słowem, pomyślał ponuro. W obecnej sytuacji wojskowej i politycznej granica z Namibią nie mogła być należycie broniona. Zbyt mała liczba żołnierzy musiała pilnować zbyt dużych obszarów. Niektórzy oficerowie sztabowi w Ministerstwie Obrony czynili wszystko, co było w ich mocy, żeby mu pomóc. Takie jednostki jak jego miały najwcześniejsze uzupełnienia i dostęp do najnowszej broni i sprzętu. Co ważniejsze, dostawy jedzenia, paliwa i amunicji były uzupełniane z niespotykaną wręcz szybkością i dokładnością, jednak były to tylko półśrodki, które odrobinę zmniejszały ciężar codziennych obowiązków, nie zmieniając w niczym strategicznego dylematu. Pretoria musi zapewnić napływ większej liczby ludzi i sprzętu do strzeżenia granicy lub znaleźć inny sposób, aby skończyć definitywnie z nasilonymi ostatnio działaniami partyzantów ANC. Kruger potrząsnął głową świadom, że nowi ludzie w sztabie mogą podjąć niewłaściwe decyzje. Podobnie jak spora liczba oficerów Południowoafrykańskich Sił Obrony, Kruger prywatnie popierał gotowość rządu Haymansa do rozsądnego ułożenia stosunków z czarną większością. Kluczowym słowem było w tym przypadku "rozsądny". Nikt z jego znajomych nie zgodziłby się popierać absurdalnej propozycji: jeden człowiek, jeden głos. liczne przykłady dyktatur w krajach afrykańskich dobitnie ukazywały potencjalne zagrożenia. jednak tylko niewielu oficerów było świadomych tego, że dalsze wysiłki utrzymania pełni władzy przez białych oznaczały prawdopodobnie nie kończącą się wojnę partyzancką - wojnę, która charakteryzowała się niewielkimi, mało znaczącymi strategicznie zwycięstwami i rosnącą liczbą kalek i zabitych. Kruger zaczął w myślach przeklinać bezsensowną determinację Karla Vorstera zmierzającego do wygrania wojny, której nie można było wygrać, oraz drani z ANC, którzy, zabijając Fredericka Haymansa, dali RPA nowego prezydenta.

- Do ministerstwa, *kommandant?* - Czekający przy samochodzie kapral zsalutował i otworzył tylne drzwi.

- Tak. - Kruger także zsalutował i zajął miejsce. Usadowił się wygodniej, gdy samochód ruszył i skierował się na drogę dojazdową. jeszcze raz przebiegł w myślach argumenty, które chciał przedstawić szefowi sztabu. Uśmiechnął się zgryźliwie. jestem zbyt dużym optymistą, stwierdził. Miał raczej nieduże szanse na wypowiedzenie choćby jednego słowa w pełnej preencji przemowie, którą spodziewał się usłyszeć. Dowództwo sztabu, nawet w tak giętkiej i pozbawionej formalizmu armii jak SADF, zawsze hołdowało regulaminowej drodze służbowej, którą powinny wędrować wnioski. Nagle coś dziwnego w mijającym widoku przykuło jego uwagę. Spojrzał uważniej na obie strony. jechali wzdłuż głównego pasa startowego lotniska Swartkop. Był zupełnie pusty. Dziwne. Bardzo dziwne. Lotnisko zawsze przypominało ul w czasie największej aktywności pszczoł. Z bazującymi tutaj dwoma

dywizjonami samolotów transportowych Swartkop działało jak perpetuum mobile, gdy jednosilnikowe *Kudu* i większe *C-47* lądowały, tankowały paliwo i znowu unosiły się w powietrze - przenosząc ludzi i sprzęt do odległych baz SADF. Dzisiaj jednak panował spokój. *Kudu*, którym właśnie przyleciał, stał samotnie, zaparkowany na olbrzymiej powierzchni betonu. Żaden samolot nie kołował na stanowisko startowe i żaden nie lądował. Kruger podrapał się po świeżo ogolonej brodzie. Gdzie podziały się wszystkie maszyny? Wóz skręcił w szerszą drogę, mijając olbrzymie, aluminiowe hangary. Rząd za rzędem stały tu zakamuflowane samoloty transportowe. Przy maszynach tłoczyły się w bezustannym ruchu figurki mechaników w wytłuszczonych pomarańczowych kombinezonach. Wszyscy pracowali na najwyższych obrotach. Kruger wyglądał przez okno samochodu kompletnie zaskoczony tym widokiem. Nawet w normalnych warunkach działań bojowych nie więcej niż jeden samolot na pięć wymagał rutynowego sprawdzenia. Nic w pospiesznej krzątaniu wokół czterdziestu lub nawet więcej samolotów nie przypominało rutynowych działań. Czyżby zdarzył się zupełnie nieoczekiwany akt sabotażu ze strony ANC? Mało prawdopodobne. Nawet wzmocniona cenzura rządu Vorstera nie potrafiła zapobiec przedostawaniu się pogłosek do publicznej wiadomości. Nagle nasunęły mu się bardziej prawdopodobne i jeszcze mniej przyjemne przypuszczenia. Siły Powietrzne szykowały samoloty do przedłużającej się operacji wojskowej, podczas której normalna obsługa nie wystarczała. Usta Krugera zacisnęły się. W większości były to samoloty transportowe, co automatycznie oznaczało również udział armii. Czyżby mieli w końcu otrzymać posiłki na namibijskiej granicy? Możliwe. Miał taką nadzieję. Zaoszczędziłoby mu to sporo wyrzutów ze strony szefa sztabu. Łatwiej było znieść nagany, gdy wiedział, że "góra" zgodziła się już z jego oceną sytuacji. Samochód zakręcił, zostawiając za sobą samoloty i Kruger znowu spojrzał na drogę przed nimi. Jego oczy bacznie obserwowały mijany teren, automatycznie rejestrując obecność sześciu przeciwlotniczych wyrzutni rakietowych *Cactus* po jednej stronie drogi i grupę oficerów Sił Powietrznych, wybiegających z Centrum Administracyjnego Swartkop, po drugiej. Bił się z myślami. Próbował spokojnie analizować, ale jego pierwsze nadzieje na otrzymanie wsparcia na granicy wydały się nagle mało realne. Nikt nie wysłałby dużej liczby żołnierzy i sprzętu drogą powietrzną, gdy transport ciężarówkami czy pociągami był znacznie tańszy i pewniejszy. Nie, pomyślał ponuro, samoloty były szykowane do jakiegoś ważnego zadania, gdzie szybkość bardziej się liczyła niż koszty. Desant gdzieś za granicą. Ale gdzie? Znowu Zimbabwe? Albo Mozambik? Słyszał o wznowionej pomocy dla partyzantów RENAMO. Czy przygotowywano samoloty dla jednej z ich morderczych operacji? Kruger jeszcze bardziej zmarszczył brwi, a na jego ustach pojawił się wyraz niezadowolenia. Jeśli plany Pretorii nie obejmowały wsparcia dla jego żołnierzy, uszy szefa sztabu SADF zwiędną od przekleństw, jakich nie słyszał od czasu własnego pobytu w buszu. I do diabła z karierą, przysięgł sobie w duchu. Życie jego ludzi było ważniejsze od szans na zdobycie stopnia pułkownika. Pochłonięty ponurymi rozmyślaniami nad przyszłością swoją i swojej jednostki nawet nie zauważył, że samochód minął wartownię lotniska i przyspieszył na drodze do Pretorii.

### • **Sztab Generalny SADF, Ministerstwo Obrony, Pretoria**

Porucznik dowodzący posterunkiem straży przed Ministerstwem Obrony podniósł wzrok znad przepustki Krugera ku jego twarzy i jeszcze raz spojrzał na dokument. Najwyraźniej usatysfakcjonowany młody oficer postawił znaczek na długiej liście oczekiwanych przyjezdnych. Wręczył przepustkę Krugerowi i skinął w stronę potężnie zbudowanego podoficera czekającego cierpliwie przy drzwiach budki strażniczej.

- Dziękuję, *kommandant*. Sierżant Meinart zaprowadzi pana do sali odpraw. Kruger schował przepustkę do kieszeni i skinąwszy lekko głową, podążył za sierżantem głównym holem ministerstwa. Podoficer minął windy i skierował się w stronę masywnych, podwójnych drzwi Głównego Audytorium Sztabu. Kruger nie śpieszył się, machinalnie po drodze salutując starszym stopniem oficerom i myśląc cały czas o własnych sprawach. Miał ważniejsze rzeczy na głowie niż grzeczności wojskowe. Stawało się coraz bardziej jasne, że nie został wezwany do Pretorii na osobistą rozmowę z szefem. Pokręcił z niedowierzaniem głową, zirytowany własną niedomyślnością, która pozwoliła mu na tak egoistyczne przewidywania.

Tylko idiota mógł nie zauważyć widocznych wszędzie oznak wzmożonej aktywności. Najpierw niecodzienny przegląd samolotów na lotnisku, a teraz ta nie zapowiedziana odprawa w sali największego audytorium ministerstwa. W powietrzu wisiało coś poważnego. Coś naprawdę wielkiego. Pierwszy rzut oka na przybyłych tłumnie oficerów potwierdził jego przypuszczenia. W sali odpraw znajdowało się ponad stu oficerów; niektórzy wymieniali najświeższe wiadomości i plotki, inni siedzieli w milczeniu na ustawionych w rzędy składanych krzesłach. Stalowszare mundury Sił Powietrznych i ciemnoniebieskie uniformy Marynarki mieszały się z brązowymi bluzami i krawatami Armii. W pierwszych rzędach widniały czerwono-czarne berety sygnalizujące obecność przedstawicieli trzech batalionów spadochroniarzy. Kruger nie starał się ukryć zdziwienia. Od lat nie widział tylu znajomych dowódców jednostek w jednym miejscu. jeszcze raz rozejrzał się po sali, licząc przy okazji gwiazdki. Dobry Boże, znajdowało się tu co najmniej dwie trzecie dowódców batalionów Armii i Gwardii Narodowej. Patrzył nieruchomo na zebranych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zebrałby ich wszystkich dla czegokolwiek mniejszego, niż potężne przedsięwzięcie z udziałem wszystkich rodzajów wojsk. jego niepokój wzrósł jeszcze bardziej. Co Vorster zamierzał? Manewry? Prawdziwą operację wojskową? Niepokój Krugera co do intencji nowego rządu nie miał nic wspólnego z pacyfizmem. jak każdy oficer w armii miał jedno znaczny pogląd na działalność terrorystyczną ANC. Dwadzieścia lat wojny przygranicznej nauczyło go, że partyzanci są prawdziwym zagrożeniem dla państwa i trzeba ich niszczyć wszelkimi metodami; gdy trzeba, nawet poza krajem. jednak odprawa tego rodzaju oznaczała coś innego niż kolejny wypadek za granicę. Operacje wojskowe były zawsze kosztowne, ich ceną było przede wszystkim ludzkie życie i pieniądze. W obecnej chwili gospodarka kraju znajdowała się w poważnych tarapatach. Stale rosło bezrobocie wśród czarnych, inflacja i stopa procentowa kredytów. W czasie rzadkich wizyt w rodzinnym miasteczku w Transvalu widział oznaki kryzysu: puste półki sklepowe, rosnąca liczba zdolnych do pracy czarnych mężczyzn wałęsających się bez celu poboczami dróg i horrendalnie wysokie ceny benzyny, co w widoczny sposób zmuszało do ograniczania podróży. Kruger zadumał się. Nie był to najlepszy czas na szukanie kosztownej militarnej chwały. Miał jedynie nadzieję, że ktoś w Radzie Sztabu Obrony będzie miał dosyć odwagi, żeby wyjaśnić to nowemu gabinetowi.

- Hej, Helmut Co tu u diabła robisz, ty *blery* piechurze? Myślałem, że to jest spotkanie dla oficerów i dżentelmenów. Kruger obrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mimo iż nie widział Deneysa Coetzee od dwóch lat, nikt, kto choć raz go spotkał, nie mógł zapomnieć szorstkiego, zadziornego głosu i szczerzej twarzy tego niewysokiego mężczyzny. Piętnaście lat temu służyli razem w Namibii, zdobywając szlify oficerskie. Miesiące ciężkiej kampanii w wypalonym słońcem namibijskim buszu nauczyły ich całkowicie ufać sobie wzajemnie i stały się zaczątkiem trwałej przyjaźni. Zagwizdał głośno na widok trzech gwiazdek i pięcioboku na naramiennikach kolegi.

- Ciebie zrobili *brigadierem*? Teraz już wiem, że świat oszalał. Coetzee pogroził żartobliwie palcem.

- *Ag*, stary. Powinieneś okazać więcej *blery* szacunku starszemu stopniem oficerowi. Poza tym, nie jestem zwykłym *brigadierem*. jestem teraz w sztabie ministerstwa. Kruger uśmiechnął się lekko.

- Tak więc w końcu udało ci się uciec z pola, co?

- Zgadza się. - Coetzee teatralnym gestem strzepnął niewidoczny pyłek z nienagannie skrojonego munduru. - Żadnych więcej much, piachu i węży. jestem szczęśliwym bojownikiem biurowym i jestem z tego prawdziwie zadowolony. Kruger przyjrzał się uważniej przyjacielowi. Coetzee nienawidził papierkowej roboty bardziej niż czegokolwiek na świecie. Teraz więc kłamał. jednak praca w sztabie była ceną, jaką należało zapłacić za awans. Nikt, kto chciał zostać generałem, nie mógł jej uniknąć. Kurger, podobnie jak Coetzee, wiedział, że za parę lat będzie musiał oddać dowództwo jednostki i przejść do pracy w sztabie. Nie było to jego marzeniem, ale nie mógł tego w żaden sposób uniknąć.

- Baaaczność! - Wypowiedziany podniesionym głosem rozkaz uciszył wszystkie rozmowy i zerwał zebranych na równe nogi. Wysoki, chudy, siwy już generał Adriaan de Wet, dowódca SADF, wkroczył na podium. Kruger wykrzywił się lekko. służył dwukrotnie pod de Wetem, pierwszy raz jako dowódca kompanii w dowodzonej przez niego brygadzie, drugi

raz jako oficer operacyjny na szczeblu dywizji. W obu przypadkach dowódca nie zyskał sobie jego szacunku. W armii krążyły pogłoski, że generał zawdzięczał swoją pozycję podlizywaniu się każdej nowej rządzącej frakcji i Kruger wierzył tym opiniom. De Wet stanął pośrodku podium, przyglądając się stojącym na baczność oficerom.

- Spocznij! Niech każdy znajdzie sobie krzesło, jeśli jeszcze go nie ma. Mamy dziś sporo do zrobienia. Kruger i Coetzee zajęli miejsca z tyłu. Na niecierpliwy znak de Weta grupa młodszych oficerów ruszyła między rzędami krzesel, rozdając czarne teczki z czerwoną etykietą, których wyjątkowa oprawa wywołała zdziwienie. Kruger wziął jedną teczkę z podanego mu przez poważnego porucznika pliku i przesłał pozostałe sąsiadom. Przeleciał wzrokiem pierwszą stronę i poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

## **OPERACJA NIMROD - ŚCIŚLE TAJNE**

### **SKŁAD SADF W OPERACJI NIMROD**

- 44. Brygada Spadochronowa
- Sztab Brygady
- 2. Batalion Spadochronowy
- 3. Batalion Spadochronowy
- 4. Batalion Spadochronowy
- 8. Dywizja Pancerna
- Sztab Dywizji
- 81 . Brygada Pancerna
- 82. Brygada Zmechanizowana
- 83. Brygada Zmotoryzowana
- 84. Regiment Artylerii Polowej
- 7. Dywizja Piechoty
- Sztab Dywizji
- 71. Brygada Piechoty Zmotoryzowanej
- 72. Brygada Piechoty Zmotoryzowanej Dowództwo Transportowych Sił Powietrznych
- 44. Dywizjon (C-47)
- 28. Dywizjon (C-130i C-160)
- 18. Dywizjon (SA.330 i helikoptery *Super Puma*)
- 30. Dywizjon (SA.330 i helikoptery *Super Puma*)
- Powietrzne Siły Uderzeniowe
- 2. Dywizjon (*Mirage III CZS*)
- 7. Dywizjon (*MB 326 Impale*)
- 4. Dywizjon (*MB 326 Impale*)

### **CELE NIMRODU:**

- 1) Ponowna okupacja obszaru Afryki Południowo-Zachodniej (zwanej też Namibią), aż do linii biegnącej do Grootfontein przez Kamanjab.
- 2) Odnowienie całkowitej wojskowej, politycznej i ekonomicznej kontroli nad odzyskanymi przez RPA terenami.
- 3) Zniszczenie sił zbrojnych i politycznej struktury SWAPO.
- 4) Zniszczenie wszelkich baz i ośrodków dowodzenia ANC na terytorium APZ.

### **OGÓLNY ZARYS OPERACJI:**

NIMROD opiera się na serii szybkich, potężnych uderzeń na Namibię przez zmotoryzowane, pancerne i powietrzne siły SADF. Ataki te zostaną skierowane przeciw centróm komunikacyjnym i innym ośrodkom o kluczowym znaczeniu.

Używając przeważających sił wojskowych przeciw słabo wyszkolonym i nie przygotowanym siłóm SWAPO, jednostki biorące udział w operacji NIMROD będą mogły szybko zdobyć główne cele przy minimalnych stratach własnych. Po ich osiągnięciu siły bojowe przegrupują się do ataku na drugorzędne cele. W czasie całej operacji nasze siły muszą być dokładnie zgrane, mając ograniczone możliwości otrzymywania uzupełnień przy wykorzystaniu słabo rozwiniętych dróg i linii kolejowych w Namibii. Użycie potężnych jednostek powinno zwiększyć szybkość przeprowadzania operacji niezbędnej dla jej sukcesu. W dniu D minus jeden elementy 82. Brygady Zmechanizowanej...

Kruger przestał czytać. Mój Boże, pomyślał, toż to czyste szaleństwo. Nie potrafił jednak ukryć podniecenia, które walczyło w nim z oszołomieniem. Żaden zawodowy żołnierz nie mógł zostać nieporuszony. Trzymany w ręce dokument zapowiadał największą południowoafrykańską operację wojskową od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Dla osiągnięcia celu zostanie zgrupowane więcej wojska, pojazdów i siły ogniowej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Była w tym pewna ironia. Od miesięcy narzekał na bazy ANC w Namibii. jednak nigdy nie przypuszczał, że ktokolwiek zdecyduje się rozwiązać sprawę zagrożenia ze strony partyzantów przy pomocy prawdziwej inwazji. Wyobrażenia tworzyła już wizje długich kolumn czołgów i transporterów opancerzonych, jadących w obłokach kurzu i dymu. Podniósł wzrok znad planu operacyjnego. Twarze siedzących oficerów wyrażały tę samą mieszaninę niedowierzania, podniecenia, ale i dumy. Kruger otrząsnął się z rozmyślań. Prawdziwa wojna miała w sobie niewiele chwały. Surmy rzadko kiedy były słyszalne wśród krzyków rannych czy salw karabinów. A jednak... Poczuł na swoim ramieniu rękę Coetzee.

- No i co, Henrik? Co myślisz o małym planie naszego szefa? Kruger spojrział na przyjaciela.
- Powiedz mi prawdę, Deneys... czy prezydent stracił rozum? Musimy zmobilizować sporą część Gwardii Narodowej, żeby zmontować całą tę operację. Co się stanie z fabrykami i kopalniami, kiedy połowa wykwalifikowanych robotników i zarządców otrzyma karty mobilizacyjne? Co za idiota przekonał prezydenta, że możemy przeprowadzić ten plan bez zapłacenia olbrzymiej ceny?
- Psst! Mów ciszej. - Coetzee wydał mu się nagle znacznie starszy. Rzucił spojrzenie na boki, upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje. - Pamiętasz Duncana Granta, Andriesa van Rensburga czy Jana Kriela? Kruger potwierdził skinieniem głowy, zaskoczony strachem Coetzee. Znał dobrze wszystkich trzech wymienionych. Pamiętał wielkiego, brodatego van Rensburga prowadzącego szaleńczy atak na kubańskie karabiny maszynowe w Angoli. To był prawdziwy żołnierz, z jajami. Dwaj pozostali byli równie odważni i zdolni. Jeszcze raz rozejrzał się po audytorium, przyglądając się uważnie twarzom.
- Dziwne, że nie ma ich dzisiaj. Coetzee skrzywił się.
- Odeszli, Henrik. Zmuszono ich do wystąpienia z armii. Jak i wielu innych.
- Dobry Boże! Kilka głów odwróciło się w ich stronę i Kruger. zniżył głos. - Ale dlaczego? To byli jedni z naszych najlepszych ludzi. A przy tym szalonym planie - potrząsnął teczką, zawierającą opis operacji NIMROD - będziemy potrzebowali każdego doświadczonego dowódcy liniowego.
- Zgadza się. - Głos Coetzee był bezbarwny, pozbawiony wszelkich emocji. Tylko najbliższy przyjaciel potrafił wyczuć pogardę płynącą z każdego słowa. - Wygląda na to, że Grant, van Rensburg i Kriel popełnili błąd, przedstawiając swoje obawy co do sensowności wymyślnego przez prezydenta i generała de Weta planu.
- Dlaczego błąd? - Kruger nie ukrywał zdziwienia. Korpus oficerski SADF był zawsze dumny ze swojego profesjonalizmu i uczciwości. Nigdy nie była to grupa lizusów - mimo przypadkowych głupców jak de Wet. Teraz Coetzee wyglądał na zdziwionego.
- Mój Boże, Henrik. Zbyt długo byłeś w polu, człowieku. Od śmierci Haymansa wiele się zmieniło... i wcale nie na lepsze. Każdy, kto dziś nie wykrzykuje sloganów, otrzymuje etykietkę defetystycznego malkontenta i zostaje zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę. jeśli chcesz zatrzymać batalion. to lepiej spuść z tonu. nabierz wody w usta i miej nadzieję, że społeczeństwo wyrzuci wkrótce tę bandę. Bez względu na wszystko mamy naszą służbę. no nie? Nie mogą ci tego zabrać, jeśli im na to nie pozwolisz. *Klaar?* Kruger potwierdził skinieniem głowy niezbyt pewny, czy zdoła się dostosować do przyjacielskiej rady Coetzee. Trzymanie języka na wodzy nigdy nie było jego mocną stroną. jak długo uczciwy człowiek może służyć rządowi, który traktuje w tak podły sposób odważnych żołnierzy jak van Rensburg czy inni? Czy zgodzi się wypełniać obowiązki dotyczące tak pojętego narodowego bezpieczeństwa. jeśli mają niewiele wspólnego z długofalowymi interesami kraju? Odmierzony. starannie modulowany głos de Weta przebił się przez jego rozmyślania.
- Mam nadzieję, że wszyscy już zdążyli przejrzeć dostarczony wam rozkaz operacyjny. Słuchacze kiwnęli głowami.



- Dobrze. Możemy więc przejść do szczegółów. - De Wet przewrócił leżącą przed nim kartkę i spojrzął na zebranych oficerów. - Nie będę was zanudzał założeniami strategicznymi, leżącymi u podstaw tej decyzji. Jestem pewien, że ogólny zarys NIMRODU jest równie przejrzysty, co śmiały. Mimo wątpliwości, Kruger słuchał uważnie. Jak de Wet wyznacza konkretne zadania, cele i rozkład operacji. Coetzee miał rację. Bez względu na to, co myśli o polityce obranej przez rząd Vorstera. nadal jest żołnierzem. który przysiągł wykonywać rozkazy wydawane przez legalnych przywódców ojczyzny. Będzie jeszcze dosyć czasu na dyskutowanie błędów operacji NIMROD. Przez następnych kilka tygodni on i jego koledzy będą musieli skoncentrować się na sprawdzeniu. czy ich żołnierze są przygotowani do walki. Miał tylko cichą nadzieję. Że krótkowzroczna polityka zemsty na małej Namibii nie będzie kosztowała zbyt wiele ludzkich istnień.

### • 30 lipca - północny Transwal, okolice Pietersburga

Na niebie pojawiły się chyba wszystkie gwiazdy, błyszcząc zimnym światłem w suchym, czystym powietrzu płaskowyżu. Pochodnie w metalowych stojakach, ustawionych naokoło wewnętrznego dziedzińca domu. paliły się jasnym płomieniem, stwarzając dziwny, niemal przeniesiony ze średniowiecza nastrój. Gryzący dym unosił się z kilkunastu papierosów i mieszał z zapachem wolno piekącego się mięsa. Wokół grilla ustawionego pośrodku dziedzińca stało kilka grupek mężczyzn w średnim wieku. Ich niskie, gardłowe głosy. przeplatane okazjonalnym twardym śmiechem, niosły się daleko w cichą, spokojną noc. Emily van der Heijden zmarszczyła brwi. opierając się o kuchenną ladę, gdy napełniała szklanki drinkami i zaprawioną cytryną wodą mineralną. Nawet jako dziecko uważała, że znajomi jej ojca są raczej nudni. prostacy i bezmyślni. Nic w podsłuchanych urywkach rozmów nie zmieniło jej pierwszego wrażenia. Usłyszała już dosyć, żeby poczuć zwykły wstręt. Ci ludzie, z których większość zajmowała obecnie wysokie stanowiska w rządzie, wydawali się niewiarygodnie gruboskórni. Pogardliwe określenia jak *kaffir*, bez najmniejszych oporów przeplatały stwierdzenia o konieczności "zastrzelenia kilku "tysięcy gołodupnych, czarnych podżegaczy, żeby zastraszyć resztę". zyskując ogólny poklask. Ktoś posunął się nawet do stwierdzenia, że "czarnuchy niczego tak bardzo nie szanują, jak silnej ręki i smaku bata". Emily zbladła z gniewu i trzasnęła napełnioną właśnie szklanką o tacę. Płyn rozlał się, plamiąc jej rękaw i długi, biały fartuch.

- Moja droga, *mevrouw*. Lepiej się uspokój i zetrzyj z twarzy ten nieprzyjemny dąs, zanim zawstydzisz swojego ojca. Przecież nie chciałabyś tego zrobić, prawda? - Każde słowo przesycone było złośliwą słodyczą. Jeszcze bardziej rozgniewana Emily odwróciła się do stojącej za nią starej kobiety. Wysoka i chuda jak szczapa, pod bezkształtną czarną sukienką, Beatrix Viljoen była gospodynią jej ojca, odkąd Emily sięgała pamięcią. I od zawsze obie kobiety były wrogami. Emily otwarcie gardziła nieustannymi wysiłkami dominującej Beatrix, starającej się zrobić z niej "porządną afrykanerską kobietę" zajęta jedynie zaspokajaniem pragnień męża, zdrowiem dzieci i niezmiennym słowem Bożym. Gosposia natomiast żywiłowo nienawidziła jej niezależności i nieszanowania obyczajów i tradycji. Przez te wszystkie lata ich spotkania były ciągłymi, chłodno kalkulowanymi, mściwymi konfrontacjami. Jako jedyne dziecko wczesnie owdowiałego mężczyzny Emily najczęściej wychodziła z tych potyczek zwycięsko. Wszystko to się zmieniło od czasu jej rozpaczliwego telefonu do ojca z prośbą o wyciągnięcie ją z więzienia i, w konsekwencji, wymuszonego powrotu do domu. Marius van der Heijden był prawdziwie rozwścieczony „grzesznym” związkiem swojej córki z amerykańskim dziennikarzem, którego nie nazywał inaczej niż "bezbożnym i niemoralnym *uitlanders*. Emily nadal nie wiedziała, co go bardziej złościło: sam fakt związku z Ianem czy też możliwość wykorzystania wiedzy o tym związku przez zawistnych kolegów ojca. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Najgorsze, że jego gniew dał Beatrix Viljoen znaczącą przewagę. Była to okazja, której gospodyni nie mogła przepuścić. - I cóż, *mevrouw*? Czy nie mam racji? Emily zobaczyła wyraz jej oczu i powstrzymała się od wygłoszenia niegrzecznej uwagi. Kłócenie się z Beatrix w niczym nie pomoże jej w wydostaniu się z tej pułapki. Podniosła pełną tacę, odwróciła się i w milczeniu wyszła na dziedziniec. Nadal wzburzona zaczęła krążyć pomiędzy grupkami męż-

czynn, zatrzymując się, żeby mogli sięgnąć po drinki. Jak zawsze, ich zdolność ignorowania jej doprowadzała Emily do wściekłości. Och, oczywiście byli zawsze dla niej grzeczni w ten nadęty, paternalistyczny sposób. Żaden z nich nie starał się nawet ukryć swoich poglądów o niej jako kobiecie, czyli płci, którą Bóg wyznaczył do małżeństwa, rodzenia dzieci, zajmowania się domem i niczym więcej. Przystanęła pod pachnącymi, opadającymi ku ziemi gałęziami drzewa akacjowego, zasadzonego dawno temu przez jej dziadka. Na tacy znajdowało się teraz więcej pustych szklanek, ale powrót do kuchni oznaczał wysłuchanie następnej serii cierpkich uwag Beatrix. Emily wciągnęła głęboko świeże, chłodne nocne powietrze, szukając uspokojenia w widoku rozciągającym się z oświetlonego pochodniami dziedzińca. Tego najbardziej jej brakowało w Kapsztadzie. Dom ojca stał na szczycie niskiego wzgórza, nad płytką, szeroką doliną. Łagodne, pokryte trawą zbocza opadały ku wijącemu się między drzewami strumieniowi - teraz suchemu - ale pełnemu wody w porze letnich deszczów. Chwilowe odosobnienie i nastrój chwili przywiodły wspomnienia beztróskiego dzieciństwa, usuwając część napięcia i frustracji.

- Mówię ci, nasz przywódca jest geniuszem. Można powiedzieć, że to prorok dotknięty Boską ręką.

- Mówisz samą prawdę, Piet. Emily zastygła. Głosy dochodziły zza drzewa. Niech ich diabli! Czy nigdzie nie znajdzie chwili spokoju? Stała nieruchomo, skryta przed ich wzrokiem przez niskie gałęzie akacji i mając nadzieję, że obaj mężczyźni, obojętne kim są, wyniosą się szybko z tego miejsca. Po chwili poczuła dym z papierosów.

- Pamiętasz to *braai* w jego domu w zeszłym miesiącu? Dwa tygodnie wcześniej, zanim te *kaffiry* zabiły Haymansa i całą tę bandę zdrajców? Drugi mężczyzna zaśmiał się.

- Oczywiście, że pamiętam. Powiem ci coś, Piet, na początku myślałem, że przywódca pociągnął sobie parę dymków trawki, jak nam mówił, żeby być gotowym na wielkie zmiany, na dni potęgi i całą tę resztę. Ale teraz widzę, że był natchniony, obdarzony darem przewidywania przyszłości jak Salomon. Emily poczuła, jak wszystko się w niej wywraca. Karl Vorster... prorokiem? Sama myśl wydawała się bluźnierstwem. Ale czy pod tą świętoszkowatą gadką nie kryła się jakaś przerażająca prawda? Do tej chwili patrzyła na dojście Vorstera do władzy jedynie, jak na groteskową konsekwencję ataku na Błękitny Pociąg. Może było to jednak zbyt proste wytłumaczenie? Czy Vorster wiedział wcześniej o zasadzce? Mój Boże, pomyślała Emily, zupełnie oszołomiona. Jeśli to prawda... wypadki ostatnich tygodni nabierały teraz bardziej złowieszczonego wymiaru: ta szybka odpowiedź na atak, błyskawiczne przejęcie władzy przez Vorstera, natychmiastowe ogłoszenie stanu wyjątkowego i różnych zakazów dla czarnych - regulacje, które musiały być przygotowane z góry, zanim wiadomości o zniszczeniu Błękitnego Pociągu dotarły do Pretorii. Wszystko pasowało. Poczuła coś słonego w ustach i nagle spostrzegła, że przegryzła dolną wargę, nawet tego nie czując. Pierwszy mężczyzna znowu się odezwał, zniżając głos. Emily musiała nastawić ucha.

- Hennie, niepokoi mnie tylko jedna sprawa. Nie potrafię zaufać wszystkim ludziom, którymi nasz przywódca się otoczył. Zwłaszcza...

- Ten elegancik Muller? - Skończył za niego drugi mężczyzna.

- Tak. Może nam przysporzyć sporo kłopotów, zapamiętaj moje słowa. Za drzewem rozbłysło światło, gdy jeden z rozmawiających wyciągnął zapalniczkę i przypalił papierosa.

- Masz rację, Piet. Van der Heijden też tak uważa. Ale co możemy zrobić? Jak długo Muller odważa brudną robotę, tak długo cieszy się zaufaniem przywódcy. Wiesz dobrze, że rozsądny człowiek nie wyrzuca ostrej jeszcze siekiery.

- Więc musimy także zaostrzyć nasze własne siekiery, przyjacielu. I znam kark, na który chętnie bym je spuścił... Ich głosy przycichły, gdy mężczyźni oddalili się od drzewa, wracając do większej grupy. Kiedy odeszli, Emily stała nieruchomo przez kilka minut, zagubiona w myślach. Muller... nazwisko nie było jej obce. Słyszała, jak ojciec wymawia je z pogardą. Także Ian. Ale kim był ten Muller? Pewnie jakiś urzędnik Vorstera z Ministerstwa Prawa i Porządku. Urzędnik znienawidzony przez swoich "przełożonych" i zaangażowany w brudną robotę Vorstera. Taki człowiek musiał wiedzieć, czy Vorster miał wcześniejsze informacje o planowanym zamachu na Błękitny Pociąg. Jej ręce zacisnęły się na tacy. Musiała jakoś przekazać swoje podejrzenia Ianowi. On już będzie wiedział, w jaki sposób stworzyć z pozbieranych przez nią fragmentów wiarygodną całość. Jej serce zaczęło mocniej

bić z podniecenia. Ta sprawa mogła stanowić przełom, którego Ian tak bardzo potrzebował. Jeśli da się ją udowodnić, może się stać największym wydarzeniem prasowym w najnowszej historii Afryki Południowej. Jej podniecenie wzrosło, gdy uświadomiła sobie, że ujawnienie tych wiadomości może mieć poważne następstwa. Niewiele rzeczy tak oburzało Afrykanerów, jak zdrada. Jak jej rodacy zareagują na wiadomość, że nowy prezydent jest zwykłym zdrajcą?

# Z

## Główne ruchy

- **3 sierpnia - Rada Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria**

Mapy i plany pokrywały ściany małego, pozbawionego okien pokoju spotkań. Każda z nich ukazywała inny fragment opracowanych przygotowań operacji NIMROD: planowanej okupacji Namibii przez RPA. Wszystkie odgrywały jednakowo ważną rolę w zorganizowanej przez Ministerstwo Obrony odprawie dla Vorstera i członków Rady Bezpieczeństwa Stanu. Przez dwie godziny mężczyźni zebrani wokół długiego stołu byli bombardowani faktami, liczbami i wojskowymi terminami. Wszystko to zostało wplecione w bezbłędny obraz nieuniknionego zwycięstwa. Karl Vorster czekał cierpliwie, aż Constand Heitman, minister obrony, zajmie swoje miejsce. Jego oczy prześliznęły się po twarzach podwładnych. Większość z nich po raz pierwszy poznała szczegóły jego planów wobec Namibii. Ich reakcja mogła być pouczająca. Podziękował Heitmanowi i zwrócił się do Rady: - No i jak, panowie? Są jakieś pytania? Jeden z siedzących przy końcu stołu nachylił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale zatrzymał się w pół słowa.

- No dalej, Helmoed, co pana martwi? Czy widzi pan jakieś niedociągnięcia w naszym planie? - Głos Vorstera był zwodniczo spokojny. Helmoed Malherbe, minister przemysłu i handlu, przełknął ślinę. Nikt nie wrywał się z obiekcjami wobec ukochanych pomysłów prezydenta. Przez miesiąc władzy Vorster okazał wystarczającą niechęć w tolerowaniu tych, którzy się z nim nie zgadzali. Malherbe przełknął ślinę.

- Żadnych niedociągnięć, panie prezydencie. Nic podobnego. Po prostu, niepokoi mnie...

- No dalej z tym, człowieku. - Maską grzeczności zaczęła pękać. Malherbe spuścił głowę.

- Tak, panie prezydencie. Chodzi o skalę mobilizacji Gwardii Narodowej, jakiej wymaga ta operacja. Jeśli NIMROD się prze- . ciągnie, przedłużająca się nieobecność ludzi w naszych fabrykach może mieć poważny wpływ na gospodarkę. Vorster zachnął się.

- To wszystko? Bardzo dobrze, Malherbe. Pańska troska zostanie zapamiętana. Spojrzał na pozostałych uczestników spotkania.

- Tak więc, panowie, słyszeliście pana ministra. jeśli ci *kaffirowie* zdołają powstrzymać karabinami nasze czołgi przez miesiąc czy dwa, to będziemy musieli poprosić społeczeństwo, żeby trochę zacisnęło pasa. Straszne, no nie? Jego ciężki dowcip przywitały chichoty. Malherbe siedział czerwony ze wstydu. Usatysfakcjonowany Vorster zwrócił się do Erika Mullera siedzącego w milczeniu tuż obok.

- Co z innymi czarnymi krajami, Mozambikiem, Zimbabwe i całą tą resztą? Czy mogą przeszkodzić w szybkim wykonaniu operacji NIMROD? Muller zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie, panie prezydencie. Nasze tajne operacje wprowadziły tam nieco zamieszania. Są zbyt zajęci własnymi wewnętrznymi problemami, żeby przysporzyć nam kłopotów.

- Przepraszam, dyrektorze, ale czy jest pan tego pewien? - Marius Van der Heijden wysunął szczękę. - A co z niepowodzeniami, jakich RENAMO doznało ostatnio w Mozambiku? Gdzie się podziały sukcesy naszych najemników?

- Te tak zwane niepowodzenia, to nic poważnego - odparował Muller. - Kilka niewielkich zasadzek ze strony żołnierzy Maputo. Najważniejsze, że kampania sabotażu RENAMO szybko się rozwija. Van der Heijden roześmiał się nieprzyjemnie, ale nic nie odpowiedział. Widocznie wolał zostawić kłótnie na później. Muller zmarszczył brwi. Wrogość i pogarda Van der Heijdena wobec niego stawały się coraz bardziej widoczne. Duża część członków gabinetu zdecydowanie podzielała te uczucia. To, co dotąd było jedynie zwykłą rywalizacją o władzę i pozycję, szybko się zmieniało w walkę o życie. Walkę, której Vorster wcale nie starał się przerywać. Prezydent wydawał się wręcz zadowolony z przyglądania się ich zapasom, jakby to były igrzyska odbywające się dla jego rozrywki. A dlaczego nie? - pomyślał Muller. - Nasze kłótnie nie zagrażają jego władzy, zapobiegają za to zdobyciu zbyt dużej kontroli nad siłami bezpieczeństwa przez jednego z nas. Jego respekt dla przebiegłości Vorstera wzrósł jeszcze bardziej, tak samo, jak dobrze ukrywana niechęć do tego człowieka. Vorster odwrócił się do ministra spraw zagranicznych, chudego, bladego mężczyzny. Chodziły plotki, że walczy z jakąś złośliwą odmianą raka. Patrząc na niego, widać było, że minister szybko przegrywa tę potyczkę.

- Jaap, a co z innymi państwami? Czy jest coś, czym mogliby nam zaszkodzić? Minister zdecydowanie zaprzeczył: - Nic, oprócz słów, panie prezydencie. Państwa zachodnie zrobiły już wszystko, co było w ich mocy, żeby nas zniszczyć. Ich sankcje praktycznie nie mogą być ostrzejsze. Co do Rosjan, to nie mają środków, żeby nam zagrozić. Zresztą są zbyt zajęci rozpadem ich imperium, żeby przejmować się tym, co się dzieje dziesięć tysięcy kilometrów od Moskwy. Vorster pokiwał z aprobatą głową.

- Słusznie. Bardzo słusznie. Ponownie spojrzął na siedzących przy stole.

- No cóż, panowie. Ostatnie uwagi? Przez kilka sekund panowała cisza. W końcu jeden z młodszych ministrów gabinetu powoli podniósł rękę.

- Niepokoi mnie jedna sprawa, panie prezydencie.

- Słucham. - Vorster znowu panował nad swoimi emocjami.

- Zachodnie służby wywiadowcze i satelity szpiegowskie muszą zauważyć oznaki naszej mobilizacji. Ponieważ jest ważne, abyśmy zdobyli taktyczną i strategiczną przewagę, jaką daje zaskoczenie czy nie powinniśmy wymyślić jakiejś historii wyjaśniającej ruchy naszych wojsk? Vorster uśmiechnął się.

- Bardzo trafna uwaga, Ritter. Wzięliśmy to już pod uwagę. Wskazał na Frederika Pienaara, ministra informacji. - Frederik i ja przygotowaliśmy już teren. jutro będę miał przemówienie do naszych ludzi w Transwalu. Kiedy zachodnie demokracje usłyszą, co mam do powiedzenia, będą przekonane, że nasi żołnierze mają być użyci jedynie do rozbijania głów *kaffirów* wewnątrz kraju. Mała Namibia zostanie daleko poza ich podejrzeniami. Członkowie gabinetu pospiesznie wyrazili akceptację dla tego pomysłu.

- Dobrze. W takim razie jesteśmy zgodni. - Vorster zwrócił się do ministra obrony. - Constand, zatwierdź wszelkie rozkazy. Operacja NIMROD przebiega zgodnie z planem. Republika Południowej Afryki znajdowała się w przededniu wojny.

#### • 4 sierpnia - "Nightline" - wieczorne wiadomości sieci ABC

Dziennikarka stała na rogu C i 23. Ulicy w Waszyngtonie. Szary budynek rządowy tworzył neutralne tło dla jej wypięłgnowanych włosów i zielonej letniej sukienki. Co ważniejsze, napis "Departament Stanu" na frontonie mówił widzom, gdzie się znajduje i że powinni oczekiwać ważnych wiadomości. Reflektory ekipy telewizyjnej rozjaśniły niebo.

*Jeśli demokraci w Kongresie mogą się zgodzić dzisiaj w jakiegokolwiek sprawie, to jest nią na pewno przekonanie, że odpowiedź Administracji na ostatnie wydarzenia w Afryce Południowej jest za długo odwlekana, zbyt pogmatwana i zupełnie nieodpowiednia. Wraz z rosnącym gwałtownym atakiem Pretorii na opozycję żądania sankcji ekonomicznych będą coraz silniejsze. Wszystko to w czasie, kiedy urzędnicy Administracji pracują do późna w nocy, starając się opracować odpowiednią politykę wobec RPA.*

Kamera przejechała po oświetlonych oknach na górnych piętrach budynku Departamentu Stanu.

*Jeszcze jedna kwestia jest oczywista. Ostatnie przemówienia prezydenta Republiki Południowej Afryki, Karla Vorstera, nie osłabi w żaden sposób żądań zaostrezenia sankcji.*

Dziennikarka zniknęła z ekranu, zastąpiona przez zdjęcia pokazujące Vorstera stojącego na przybranym flagami podium. Krwawoczerwone sztandary z trzycienną swastyką Afrikaner Weerstandsbeweging mieszały się z niebiesko-biało-pomarańczowymi flagami narodowymi Afryki Południowej. Akcent Vorstera czynił jego słowa jeszcze bardziej szorstkimi.

*Daliśmy czarnym zamieszkującym ten kraj wszelkie możliwości udziału w pokojowej wymianie poglądów, szansę na pracę, udział we władzy i dobrobycie, dla nich i dla wszystkich Południowoafrykańczyków.*

Zrobił dramatyczną przerwę.

*Jednak okazali się niegodni! Ich odpowiedzią na reformy jest morderstwo! Odpowiedzią na rozsądek jest przemoc! Są niezdolni do życia w pokoju, nie mówią już o udziale w rządzie. Mieli już swoją szansę i nie otrzymają następnej. Nigdy więcej! Obiecuję wam to, nigdy więcej!*

Ryk uznania wstrząsnął salą i kamera prześliznęła się po setkach podniesionych rąk. Kiedy aplauz zmniejszył się, na ekranie ponownie pojawiła się dziennikarka stojąca na schodach budynku Departamentu Stanu.

*Wystąpienie Vorstera, jedno z pierwszych po objęciu przez niego urzędu prezydenta, miało miejsce pod koniec całonocnej wizyty w rodzinnym Transwalu, twierdzy białych ultrakonserwatystów. Nikt, kto wysłuchał tego przemówienia, nie może mieć wątpliwości, że Vorster daje im to, czego zawsze pragnęli: twarde słowa i jeszcze bardziej twarde czyny. Dla wieczornych wiadomości "Nightline" mówiła Madeline Sinclair.*

Na ekranie pojawił się prezenter dziennika w studio.

*Dziękuję, Madeline. Po krótkiej przerwie wrócimy do rozmowy z Adrianem Roosem z Południowoafrykańskiego Ministerstwa Prawa i Porządku, Ephriamem Mkwem z nielegalnego obecnie Afrykańskiego Kongresu Narodowego i senatorem Stevenem Traversem, członkiem Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych.*

Poważna twarz prowadzącego dziennik zniknęła z ekranów, zastąpiona trzydziestosekundową reklamą wycieczek na Karaiby.

## • 5 sierpnia - budynek Kancelarii Senatu, Waszyngton

Biuro senatora Stevena Traversa w Kongresie udekorowane było fotografiami i

autografami, flagą stanową Newady i wypchanym rysiem przezywanym „Hubert”. Hubert zniknął zawsze z gabinetu, gdy senatorowi składał wizytę jakiś ważniejszy obrońca praw zwierząt z senackiego lobby. Ryś jednak wracał, żeby upewnić gości z rodzinnych stron Traversa, że senator - bez względu na to, jak liberalne prezentował poglądy w czasie kampanii - jest nadal tym samym prostym, wymachującym rewolwerem kowbojem, jakiego znali z wyborczych plakatów. Wiszące na pokrytych boazerią ścianach zdjęcia przedstawiały senatora z rodziną, z dwoma prezydentami (oba demokraci) i z kilkoma hollywoodzkimi gwiazdami - wszystkimi rozślawionymi popieraniem różnych liberalnych projektów. Uzupełniało je zdjęcie zrobione w rotundzie Senatu podczas wymiany uścisku dłoni z przywódcą ANC, Nelsonem Mandelą. Wszystkie zdjęcia przedstawiały wysokiego, szczupłego mężczyznę z siwiejącymi blond włosami i przystojną twarzą o zdecydowanych rysach. Dobrze się prezentował w garniturze, co nie zaskarbiło mu życzliwości innych, mniej fotogenicznych kolegów, od kiedy telewizja zaczęła transmitować obrady Senatu. Obecnie garnitur wisiał w szafie, a Travers siedział wygodnie za biurkiem w dżinsach i koszulce polo firmy Lacoste. Jego nieduży, zazwyczaj uporządkowany gabinet wydawał się teraz zatłoczony. W pokoju znajdowało się dwóch specjalistów od ustawodawstwa, dwóch prawników i bliski przyjaciel senatora. Filiżanki po kawie i pudełka z orzeszkami zaśmiecały podłogę i blat biurka wskazując, że albo bardzo wcześnie zaczęli, albo naradzali się przez całą noc.

- Słuchajcie, chłopaki, nie ma czasu. Za trzy godziny mam spotkanie w komisji - powiedział Travers, patrząc na zegarek - a wcześniej wywiad dla CBS. Zaczął ziewać, ale w ostatniej chwili powstrzymał się.

- Nie twierdzą, że ten kawałek dla „Nightline” był zły, ale nie mogę powtarzać ciągle tych samych rzeczy. Wszystko rozgrywa się tam zbyt szybko.

Travers sięgnął w stronę pliku dokumentów i wyciągnął papierową teczkę z czerwoną nalepką.

- Spójrzcie na to! - Otworzył teczkę i wskazał na pierwszą stronę. - CIA twierdzi, że ten drań Vorster mobilizuje jeszcze więcej żołnierzy, żeby przejechać się po miastach czarnych. Ludzie oczekują, że przygotuję odpowiedź Senatowi i nie mogę powtarzać w kółko starej śpiewki o sankcjach. Potrzebuję czegoś zupełnie nowego, czegoś, co przyciągnie kilka stacji i chwyci Pretorię za gardło. Travers orędowną sprawę antyapartheidu w Senacie od początku swojej elekcji, dwie prezydentury temu. Było to szczęśliwe połączenie osobistych przekonań ze zdaniem opinii publicznej. Obecnie był jednym z senatorów, których pierwszych pytano o oficjalną reakcję, gdy jakieś wydarzenia w Afryce Południowej dostały się na pierwsze strony gazet.

- Steve ma rację. Mamy szansę objąć prowadzenie w tej kwestii. Reszta tych kukieł na Wzgórzu będzie tylko grzmiała i błyskała, nie mówiąc niczego nowego. Media chcą amerykańskiej zdecydowanej odpowiedzi na południowoafrykański problem. Jeśli ktoś da im poprawną odpowiedź, będzie ich ulubionym chłopcem przez dłuższą chwilę. - George Perlman był doradcą politycznym Traversa i jego kontaktem z rzeczywistością. Spędził większość nocy, przysłuchując się zaciekłymi kłótniom i zabierając głos jedynie wtedy, gdy dyskusja zbaczala z głównego toru lub kiedy potrzebowano świeżego spojrzenia na omawiane sprawy. Był niskim, łysiejącym mężczyzną ubranym w luźne spodnie i golf. Jako stary współpracownik Traversa miał przywilej zasiadania w najwygodniejszym fotelu. Był piętnaście lat starszy od senatora, ale mimo różnicy wieku zostali przyjaciółmi już wiele lat temu. Przyjaźń tę scementował fakt, że Perlman pokierował kampanią wyborczą Traversa. Perlman ciągnął dalej.

- Dodajmy do tego, że Biały Dom nadal się ociąga z jakąkolwiek reakcją. Możemy więc nieźle dołożyć prezydentowi i zdobyć parę punktów w partii. A to jest rzeczywiście odpowiedni czas. Moglibyśmy łatwo skaptować kilku pierwszorzędnymi dziennikarzy i mieć reklamę za friko. Zebrani w pokoju Traversa mężczyźni pokiwali głowami. Jak zawsze instynkt polityczny Perlmana funkcjonował bez zarzutu. Następne wybory prezydenckie odbędą się dopiero za trzy lata, ale trzy lata były tylko krótką chwilą dla kogoś przygotowującego ogólnokrajową kampanię wyborczą. Nawet jeśli Travers nie był jeszcze pewien, czy zdecyduje się wziąć udział w wyborach, zawsze wolał zabezpieczyć sobie tyły.

- Słusznie. - Wzrok Traversa powędrował w stronę kalendarza. Dwadzieścia dziewięć

miesiący do wyborów wstępnych. Ale nadal brak nam nowych pomysłów. Spojrzał na jednego z doradców legislacyjnych.

- Ken, masz coś? Ken Blackman był starszym z dwóch przybocznych Traversa w Komisji Spraw Zagranicznych. Zagorzały liberał od czasów studiów na Uniwersytecie Browna, pomagał stworzyć ustawy, które stawiały nazwisko senatora w odpowiednim świetle. Był ambitny i nikt nie miał wątpliwości, że kurczowo trzyma się wschodzącej gwiazdy Traversa. Niski i chudy, krążył po małej przestrzeni biura w tę i z powrotem.

- Myślę, że powinniśmy trzymać się sensownych żądań głębszych i poważniejszych sankcji. Nie jakaś tam chała w rodzaju zakazu handlu *krugerrandami*, ale wszystko, co może pomóc w zachwianiu gospodarką RPA. Moglibyśmy to wesprzeć naciskiem na inne państwa, żeby jeszcze bardziej ograniczyły swój handel z Pretorią. David Lewin, drugi doradca Traversa i protagonista Blackmana, potrząsnął niechętnie głową.

- Nic nam to nie da. Nie zostało zbyt wiele do obcinania. Nasz handel jest już tak ograniczony, że nic nie stracą, jak zrezygnujemy z reszty. - Wyciągnął listę danych eksportowo-importowych Departamentu Handlu i trzymał ją jak tarczę przed sobą.

- Miałoby to znaczenie symboliczne. Pokazalibyśmy im, że nie podoba nam się to, co tam robią - argumentował Blackman. Jego nerwowe krążenie po pokoju nabrało tempa. Travers podążał za nim wzrokiem.

- Ken, daj spokój. Wiesz dobrze, co Afrykanerzy robią sobie z czyjejś opinii. Nazwij Bura zakutym łbem, a uzna to za komplement. Lewin kiwnął głową.

- Poza tym nie bardzo wiadomo, czy te sankcje odnoszą jakiś skutek: pozytywny, negatywny czy żaden. Słyszałem rozsądne argumenty każdej ze stron. Afrykanerzy nie zabierają w tej sprawie głosu.

- Bardzo szybko przyszli nas prosić o ich zniesienie, gdy wypuścili Mandelę z więzienia! - Twarz Blackmana była już czerwona. Dla przeciwników apartheidu sankcje były odpowiednikiem dziesięciu przykazań. Kwestionowanie ich efektywności było, jak zapytanie papieża, czy wierzy w Boga.

- Tak, jednak nie zapoczątkowali żadnych nowych reform, gdy odmówiliśmy. - Lewin złagodził ton, stając się bardziej ugodowy. Senator wydawał się brać jego stronę i nie miał powodów, żeby więcej wkurzać Blackmana. Musieli przecież dzielić ze sobą to samo biuro. - W Afryce Południowej istnieje zbyt wiele politycznych sił na szczeblu lokalnym, żeby proste sankcje ekonomiczne odniosły pożądany skutek. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, jeśli nawet poprzedni rząd w Pretorii mógł się nimi przejmować, to co z twardogłowymi, jak Vorster? Do diabła, dalibyśmy mu jedynie broń do ręki. Ustawiliby wozy w krąg twierdząc, że atakują ich *uitlanders*. Afrykanerzy od razu chwyciliby przynętę. Mimo poparcia Traversa dla Lewina Blackman spróbował jeszcze raz.

- Słuchajcie, wcale nie twierdzę, że ostrzejsze sankcje rzuciłyby takiego drania jak Vorster na kolana i zmusiły do przyścia do nas po prośbie. jednak właśnie takiego kroku oczekują po nas nasi przyjaciele. jeśli zobaczą, że się wahamy nad uchwaleniem nawet czegoś tak prostego, to zaczną krzyczyć, że sprzedaliśmy się bandzie "nic nie rób" w Białym Domu.

Nagła cisza pokazała, że trafił w dziesiątkę. Grupy politycznego nacisku miały skłonności do przyklejania etykiet. Wykazywały także dziwnie krótką pamięć i tendencje do widzenia zdrady w każdym umiarkowaniu. Przy ewentualnym kandydowaniu na fotel prezydencki Travers nie mógł sobie pozwolić na dostanie się pod ostrzał ze strony własnych sprzymierzeńców. Perlman chwycił spojrzenie senatora i lekko wskazał na róg, w którym Blackman przestępował z nogi na nogę.

- Dobra myśl, Ken - zgodził się Travers. - Przygotujemy kilka ostrzejszych restrykcji importowo-eksportowych. Blackman pokiwał głową, zadowolony nawet z tak nieznacznego zwycięstwa. Zaczął pisać coś w swoim żółtym prawniczym notatniku. Lewin wyglądał na ubawionego. Jeden z prawników włączył się do dyskusji.

- Czy nie moglibyśmy przycisnąć innych krajów, żeby się do nas przyłączyły? Co z Brytyjczykami? Są największym partnerem handlowym RPA. Travers sprzeciwił się.

- Nie ma szans. Angole trochę już popuścili i jakiegokolwiek dalsze sankcje muszą być ich własnym pomysłem. EWG naciska ich od lat i nigdy nie potrafiła zmusić Londynu do ustępstw. Poza tym Zjednoczone Królestwo poparło nas zbyt wiele razy w trudnych sytuacjach. Nie wykręca się ręki najlepszemu przyjacielowi. Komisja rozerwałaby mnie na

strzępy, gdybym chciał przepchnąć coś takiego. Blackman podniósł wzrok znad swojego notatnika, stukając rytmicznie długopisem o zęby.

- A co powiecie o bezpośredniej pomocy dla ANC albo innych czarnych grup opozycyjnych? Drugi prawnik, absolwent Harvardu, o nazwisku Harrison Alvarez, roześmiał się cynicznie.

- Jezu, republikanie pokochaliby nas za to. - Zaczął naśladować zniżony, pospieszny głos, tak popularny w kampaniach wyborczych.

- Czy wiedzieliście, że senator Travers wykorzystuje pieniądze amerykańskiego podatnika do opłacania terrorystycznego komunistycznego ugrupowania? Alvarez machnął ręką w stronę wycinków prasowych na biurku Traversa.

- Ken, zejdź na ziemię. ANC właśnie zabiło połowę rządu! - Nie przyznają się do tego - odparował Blackman.

- Po tym, jak się za nich wzięto, lepiej w to uwierzyć. - Travers wolno pokręcił głową. - Spójrzmy na fakty. ANC jest głównym podejrzanym o atak na pociąg Haymansa. Oczywiście, można podejrzewać Vorstera, że przygotował ciała czarnych partyzantów, ale czemu miałyby to robić? - Wzruszył ramionami przyznając, że na jego pytanie nie ma odpowiedzi. - Poza tym nawet jeśli ANC nie jest odpowiedzialny za ten atak, republikanie i tak by to wykorzystali, żeby nas rozgromić. Musimy utrzymać pozycję w tej sprawie, żądać popularnych akcji, na które Administracja się nie zgadza. Dawanie pieniędzy facetom z AK-47 nie załatwi sprawy. Pozostali zgodzili się z nim. Blackman znowu zaczął krążyć po pokoju.

- Dobra, jeśli nie możemy wpłynąć bezpośrednio na RPA to może zrobimy coś, żeby zmniejszyć ich nacisk na sąsiadów. - Na przykład? - Travers nie odrzucał pomysłu.

- Jakiś duży program kompleksowej pomocy dla państw sąsiadujących z Afryką Południową. Lewin włączył się, chcąc zarobić kilka punktów kosztem przeciwnika.

- Będziemy udzielać pomocy marksistowskim rządóm. Republikanie...

- W dzisiejszych czasach bycie marksistą nie jest już zbrodnią, a tylko głupotą - przerwał Perlman. Wyglądał na zamyślonego. - To nie jest zły pomysł. Wszystkie te kraje są cholernie biedne. Nawet jeśli ich rządy są skorumpowane, komunistyczne czy jedno i drugie, możemy udzielić im prawdziwej pomocy. Uśmiechnął się do Traversa.

- Słuchaj, Steve, już słyszę twoje przemówienia: "Republikanie decydują, które dzieci mają dostać jedzenie, a które nie". Możemy z tym sporo zdziałać. Blackman wyglądał na zdegustowanego. Przyjaciel i doradca senatora zawsze widział wszystko przez zogniskowane na jednym celu soczewki polityczne. Czasami wydawało się, że proste różnice pomiędzy dobrem a złem umykały jego uwadze. Blackman uważał, że zwiększona pomoc dla tych państw była słuszną sprawą. RPA trzymała zbyt długo sąsiednie państwa w nędzy, całkowicie uzależniając je od swojego przemysłu, transportu i dostaw energii. Pomoc USA, która zmniejszyłaby tę zależność, byłaby najlepszym sposobem na uderzenie w rząd Vorstera. Alvarez nie wyglądał na przekonanego.

- A ile pieniędzy, które im pošlemy, przejdzie przez łapy skorumpowanych rządów?

- A kogo to obchodzi? - Travers wzruszył ramionami. - Jak tylko pošlemy im dolary, będą już poza naszym zasięgiem. Możemy wybrać parę wiosek, zrobić wycieczkę i nakręcić parę dramatycznych ujęć, gdy rozładowują tam jedzenie. Powinno wystarczyć na kilka reportaży.

- Mrugnął do Perlmana. Blackman zignorował polityczne implikacje. Były konieczną częścią pracy w Waszyngtonie.

- Sugerowałbym wybranie Mozambiku. Od lat starają się tam zbudować linię kolejową przez Zimbabwę, ale opłacani przez Pretorię partyzanci z RENAMO ciągle ją wysadzają. Jeśli pomogliśmy Mozambikowi ukończyć tę linię... Travers ostrożnie potarł podbródek.

- Podoba mi się ten pomysł. - Usiadł prosto w fotelu i spojrzał w sufit. - Wiesz, im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się to podoba. - Nachylił się do przodu. - Widzę to tak. Przygotujemy porządny pakiet pomocy cywilnej i wojskowej dla państw sąsiadujących z RPA koncentrując się na obszarach najbardziej dotkniętych działaniami RENAMO. Powiedzmy: pięćset, sześćset milionów dolarów. Wystarczy, żeby porządnie uządlić Pretorię. Myślę, że mogę przepchnąć coś takiego w komisji bez większego trudu. Lewin zachmurzył się.

- Komisja Kredytowa będzie robiła kłopoty. Skąd weźmiemy pieniądze? Travers wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Proste. Zabierzemy z planowanego budżetu obronnego. Niech to licho, Administracja



zrobiła to już dla Nikaragui i Panamy. Mamy precedens. Pójdziemy po prostu ich śladem. Na twarzach zebranych pojawiły się szerokie uśmiechy. To było doskonałe. Nikt nie mógł oskarżyć ich o brak odpowiedzialności fiskalnej czy zwiększanie deficytu budżetowego. Poza tym budżet obronny był obecnie niezłym celem. Każdy chciał dostać swoją część "dywidend pokojowych" i prośba o następny kawałek nikogo nie poruszy. Travers zatrzymał się, rozważając coś.

- Jeszcze jedna sprawa. Czym Afryka Południowa może nam się odplacić, jeśli wprowadzimy program pomocy w życie?

- Nam? Niczym. - Blackman nie wahał się ani przez chwilę. Przez kilka minut panowała cisza, gdy inni rozważali jego odpowiedź.

- Ken ma rację - powiedział Perlman. - Przy tak niewielkich obrotach handlowych, nie zranią nas bardzo, robiąc cięcia ze swojej strony.

- A co z surowcami strategicznymi? - zapytał Alvarez. Chrom, tytan i cała reszta? Mogliby zmniejszyć eksport.

- I podciąć gałąź, na której siedzą? Nie ma mowy, Harry. Potrzebują zachodnich kredytów na artykuły, które sami importują, zwłaszcza ropę. To właściwie jedyne bogactwo naturalne, którego RPA nie posiada. - Travers westchnął. - Skarbnica całego świata, rządzona przez politycznych jaskiniowców... Blackman przerwał mu.

- Senator ma rację. Vorster i jego ludzie w żaden istotny sposób nie mogą zareagować na naszą pomoc dla ich sąsiadów. Oczywiście, pewnie zwiększą własne działania partyzanckie w tym rejonie. Więcej ataków i propagandy, wszystko to będzie dużo kosztować i podewie zaufanie społeczeństwa. Jeśli nie zmienią polityki i jeśli ich sąsiedzi skonsolidują kiedykolwiek swoje poczynania, Afryka Południowa wkrótce będzie miała potężnych wrogów pod nosem. Travers zdecydował, że osiągnęli porozumienie.

- Dobra, bierzmy się za to. Chcę, żebyście zaczęli przygotowywać szczegóły. - Wskazał na Blackmana i Lewina i szybko spojrzął na zegarek. - Chcę mieć za godzinę ogólny zarys. W tym czasie zatelefonuję w parę miejsc. George? - Spojrzął na swojego doradcę.

- Mnie się podoba. Bez względu na to, czy projekt przejdzie czy nie, jest to dla nas duży plus. Też nieco podzwonię. Zajmę się mediami i komisją narodową. Myślę, że ten pomysł spodoba się także partii. Postaramy się go mocno forsować. - Perlman zachichotał. - Następny sprawdzian sił w rozgrywce z Administracją. Wszyscy się roześmiali.

## • 6 sierpnia - spotkanie Narodowej Rady Bezpieczeństwa, Biały Dom.

Kiedy wiceprezydent wszedł do pokoju, rozmowy umilkły. Spotkania NRB zaczynały się zawsze punktualnie i ich uczestnicy nie lubili tracić cennego czasu na mało znaczące grzeczności. Te były zarezerwowane dla ulubionych w Waszyngtonie spotkań, bankietów z wysoko postawionymi osobistościami. Godziny pracy były zarezerwowane wyłącznie dla pracy. Wiceprezydent James Malcom Forrester podszedł zdecydowanym krokiem do krzesła u szczytu stołu i usiadł. Przywitały go lekkie skinienia głów. Po nieco burzliwym początku pracy w Administracji Forrester był obecnie uważany za dobrego współpracownika i pierwszej klasy organizatora. Zawsze przejmował się swoimi obowiązkami przewodniczącego NRB, co było zupełnie naturalne, gdyż była to jego najbardziej odpowiedzialna funkcja. Uczestniczenie w zagranicznych pogrzebach czy wygłaszanie przemów na nie kończących się spotkaniach z wyborcami nie mogło się równać z decydowaniem o problemach narodowego bezpieczeństwa. NRB przedstawiała swoje wnioski bezpośrednio prezydentowi, zalecając wybór drogi we wszelkich sprawach dotyczących wojny i pokoju. W skład jej stałych członków wchodził sekretarz stanu i obrony, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i dyrektor CIA. Inne agencje i departamenty były proszone o udział i dostarczanie informacji w nagłych wypadkach. Rada analizowała niemal każdą informację zdobytą przez wywiad, wojsko czy dyplomację, a w czasie kryzysu jej przyspieszone obrady mogły zaowocować wysłaniem samolotów szpiegowskich, okrętów Marynarki czy nawet całych dywizji do każdego punktu na kuli ziemskiej. Jednak obecnie żadne niebezpieczeństwo nie groziło Stanom Zjednoczonym czy ich sojusznikom i atmosfera spotkania była spokojna. Zwykła rutynowa narada. Do tego stopnia rutynowa, że niektórzy stali członkowie NRB, zamiast fatygować się osobiście,

przysłali zastępców, którzy mieli wypełnić miejsca za olbrzymim stołem. Każdy otoczony był grupą asystentów gotowych dostarczyć wszelkich niezbędnych do dyskusji informacji i materiałów. Nie zabrakło także kilku stenografistek. Przed zebranymi leżały przygotowane programy spotkania. Nie zapomniano o kryształowych dzbankach z mrożoną kawą i lemoniadą. Pod koniec spotkania naczynia będą puste, bowiem nawet tak głęboko pod ziemią system wentylacyjny Białego Domu nie był w stanie całkowicie ochłodzić parnego powietrza późnego lata w Waszyngtonie. Usytuowany w podziemiach pokój narad z drewnianą boazerią i wyszukаныmi wzorami na suficie miał dziwny, kolonialny wygląd. Wiszący na jednej ścianie ekran podrażniłby zmysł estetyki każdego architekta, ale był to w końcu pokój roboczy, a nie sala muzealna. Jedyne dekoracje były zajmujące całe ściany mapy świata. Wiceprezydent otworzył leżącą przed nim teczkę i czekał, aż inni zrobią to samo. Forrester był niewysokim, bardzo ruchliwym mężczyzną. Wydawało się, że bez przerwy schodził po schodkach samolotów w czasie oficjalnych wizyt, wkraczał do udekorowanych flagami sal bankietowych czy podążał za piłką na klubowym boisku golfowym Kongresu. Często żartował, że tak naprawdę to ma metr dziewięćdziesiąt, ale dodatkowe centymetry oddał na przechowanie, żeby nie być wyższym niż prezydent. Żart zbyt dobrze odzwierciedlał gorzką prawdę, że urząd wiceprezydenta wiązał się raczej z ceremonią niż odpowiedzialnością. Ale obecnie miał poważną robotę przed sobą. Postukał lekko w stół, przywołując zebranych do porządku.

- Uwaga! Zabierzmy się do roboty. Niestety, pierwszy punkt zebrania dotarł do nas zbyt późno, żeby umieścić go w wysłanych wam dokumentach. Sprawa RPA pojawiła się dopiero dziś rano, w czasie mojego śniadania z prezydentem. Prezydent prosił, żebyśmy przedyskutowali odpowiedź na ostatnie poczynania Pretorii, włączając w to mobilizację wojska. Na twarzach niektórych z zebranych osób pojawił się wyraz niepewności. Afryka Południowa znajdowała się zbyt daleko od ich codziennych problemów. Przez większą część profesjonalnego życia wojskowe i polityczne współzawodnictwo pomiędzy Stanami a Związkiem Radzieckim było jedyną liczącą się kwestią. Niektórzy z nich nadal nie potrafili znaleźć się w świecie, w którym istniały inne konflikty niż Wschód-Zachód. Poza tym dane dotyczące wewnętrznych spraw Afryki Południowej rzadko kiedy pojawiały się w raportach urzędników departamentu czy agencji wywiadowczych. Zbyt często kończyły swój żywot na rzadko używanych dyskach komputerowych czy w zakurzonych teczkach. Forrester powstrzymał się od złośliwego uśmiechu. Ten jeden raz miał przewagę nad zebranymi ekspertami. Działał w Komisji Spraw Zagranicznych i spędził wiele czasu na pojedynkach z fanatykami antyapartheidu na posiedzeniach Senatu. Spojrzał w stronę siedzącego przy końcu stołu niewysokiego eleganckiego mężczyzny o wyglądzie mola książkowego.

- Słuchaj, Ed, może byś nas pobieżnie zapoznał z rozwojem stosunków z nowym rządem RPA - Nie starał się ukryć ironii w swoim głosie.

- Oczywiście, panie wiceprezencie. - Edward Hurley, zastępca sekretarza stanu do spraw afrykańskich, skinął kurtuazyjnie głową. Jego obecność na tym spotkaniu była rezultatem pospiesznego telefonu Forrestera do Departamentu Stanu. Hurley uważnie przyjrzał się twarzom zebranych osób.

- W zasadzie nasze stosunki z nowym rządem, kierowanym przez prezydenta Vorstera, można określić jako chłodne i poprawne. - Zatrzymał się na chwilę, by zdjąć okulary ze szklami przypominającymi denka od butelek i zaczął je przecierać zmiętą chusteczką. - W zeszłym tygodniu mieliśmy okazję przekonać się, co to znaczy, kiedy nasz ambasador, Bill Kirk, złożył wizytę Vorsterowi pierwszy raz od czasu ataku na Błękitny Pociąg. Bill miał instrukcje od sekretarza, żeby dowiedzieć się, do jakiego stopnia Pretoria zamierza trzymać się ścisłego apartheidu. - Hurley uśmiechnął się nieznacznie i założył okulary. - Niestety, ambasador Kirk nie miał okazji zadać tego pytania. Zamiast tego został zmuszony do wysłuchania półgodzinnego wykładu Vorstera na temat klęsk naszej polityki w regionie. Wkrótce potem Pretoria powiadomiła nas o jednostronnej redukcji personelu ich ambasady. Vorster kategorycznie odmawia jakichkolwiek spotkań z nami. Zostaliśmy spuszczeni poniżej poziomu ministerialnego. Wokół stołu rozległy się pomruki niedowierzania. W co, u diabła, grał nowy prezydent RPA? Polityczne nieporozumienia pomiędzy Waszyngtonem a Pretorią były wprawdzie na porządku dziennym, ale skąd ta wyraźnie zamierzona niegrzeczność? Wiceprezydent uważnie przyglądał się swoim kolegom, zastanawiając się,

jak by zareagowali na pełne sprawozdanie ze "spotkania" z Vorsterem? Czytając teleks od Kirka, czuł jak burzy mu się krew. Kirk nie miał nawet okazji powiedzieć "dzień dobry". Vorster od razu wystartował z wściekłą diatribą, pełną pogardy wobec „haniebnego i zdradzieckiego postępowania Ameryki”, jak to nazwał. Posunął się nawet do tego, że oskarżył Stany o mieszanie się w wewnętrzne sprawy Pretorii, podburzanie „niewinnych czarnych”, namawianie ich do nieposłuszeństwa i gwałtu. Forrester przypuszczał, że była to aluzja do ostatnich wypowiedzi Departamentu Stanu, potępiających napady policji na miasta czarnych. Trudno jednak uznać to za usprawiedliwienie takiej reakcji. Spojrzał na zwalistego mężczyznę o siwych włosach, który siedział po jego prawej stronie. Forrester od dawna podejrzewał, że Christopher Nicholson, były sędzia federalny, a obecnie dyrektor CIA, spędzał równie wiele czasu na umieszczaniu swoich ludzi w Białym Domu, co na zdobywaniu wiadomości przez Agencję. Jego obecność na tym, co miało być rutynowym spotkaniem rady, utwierdziła wiceprezydenta w tych podejrzaniach. Forrester zdecydował się sprawdzić stopień przygotowania Nicholsona.

- Chris, masz może coś na temat tego kłowna, Vorstera? Forrester wierzył mocno w sens posiadania wszelkich dostępnych informacji o przywódcach, którymi musiał się zajmować. Mimo stert analiz statystycznych, dokonywanych przez legiony ekonomistów i innych ekspertów, polityka światowa jeszcze zbyt często opierała się na osobowościach przywódców.

- Na szczęście mam, panie wiceprezydencie. Przekopaliśmy nieco nasze archiwa i znaleźliśmy kilka zdjęć tego dżentelmena. Pomocnik Nicholsona wyszukał w grubym pliku papierów kilka pozaznaczanych kartek i wręczył je swojemu szefowi. Dyrektor CIA wziął je od niego i skinął głową w stronę młodego urzędnika stojącego koło drzwi.

- Charlie, możesz zaczynać. Światła przygasły i rozległ się cichy warkot epidiaskopu rzucającego na ekran zdjęcie. Przedstawiało ono znacznie szczuplejszego i młodszego Vorstera.

- Karl Adriaan Vorster. Urodzony w 1928 roku w północnym Transwalu. Dyplom z prawa na Uniwersytecie Witwatersrand w 1950. Stopień z socjologii na Uniwersytecie Stellenbosha w 1956. Na początku lat pięćdziesiątych, chyba w 1953, został członkiem *Broederbond*... Forrester zastanowił się słuchając, jak Nicholson przedstawia uporczywe, choć mało widowiskowe, dochodzenie Vorstera do władzy w rządzącej Partii Narodowej. jako młody prawnik, Południowoafrykańczyk musiał uczestniczyć w pierwszych wysiłkach Pretorii skodyfikowania zasad rasowej segregacji i dominacji białych. Potwierdzała to jego przynależność do *Broederbond*. Projektor pokazał następane zdjęcie, tym razem Vorstera wysiadającego z czarnej limuzyny..

- Zaraz po zrobieniu doktoratu znalazł się w rządzie. Od tego czasu zajmował coraz wyższe stanowiska w Urzędzie Bezpieczeństwa Stanu i w Ministerstwie Prawa i Porządku. - Nkholsen spojrzał na wiceprezydenta. - Mówiąc dokładnie, sir, ten człowiek od trzydziestu lat pracuje nad utrzymaniem w ryzach czarnych obywateli. - Następne zdjęcie. Tym razem pokazujące starszego Vorstera stojącego koło chudego, łysiejącego mężczyzny w prostej sutannie. - jest także bardzo religijny. Należy do zreformowanego Kościoła Holenderskiego; to panujące wyznanie w Afryce Południowej. W każdym przemówieniu czy nawet zwykłej rozmowie używa cytatów z Biblii. Oczywiście, należy w Kościele do grupy zwalczającej reformy rasowe. Oczywiście! Forrester zmarszczył brwi.

- A co z ostatnimi latami? Czym się zajmował? Szef CIA zajrzał do notatek i uniósł brwi.

- Wygląda na to, że był bardzo aktywny. Miał sporo wystąpień przeciwko reformowaniu apartheidu. Podczas gdy Partia Narodowa zwolna się zmieniała, on nie posunął się o krok. - Gruby palec Nicholsona zatrzymał się na końcowym ustępie, a jego usta złożyły się do gwizdu. - Kiedy w 1986 roku zniesiono zakaz mieszanych małżeństw, powiedział, cytując: "Mieszanie się krwi białych z niższymi rasami może spowodować odwrócenie procesu ewolucyjnego". Koniec cytatu. Wśród zebranych dały się słyszeć nerwowe śmiechy. Myśl, że ktokolwiek w dzisiejszych czasach może mieć tak groteskowe przekonania, była trudna do przyjęcia. Czarnoskóry asystent Nicholsona wykrzywił się z niesmakiem. Forrester pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jeśli jest oddalony nawet od własnej partii, to jak mu się udało utrzymać tak długo w rządzie? I z jakich powodów w ogóle chciał tam zostać? Odpowiedział mu Hurley.

- Rząd Haymansa prawdopodobnie trzymał go jako środek uspokajający dla konserwatywnego skrzydła. Byli ostro atakowani przez narodową partię Hersinga i inne odłamy prawicowców. Być może przypuszczali, że obecność Vorstera w rządzie zapobiegnie przejściu ich ludzi do obozu przeciwnika. Forrester zgodził się z taką oceną. Ten typ myślenia nie był mu obcy.
- Dlaczego się ich trzymał? - Hurley wzruszył ramionami. - Pewnie sądził, że zajdzie dalej z Partią Narodową, nawet jeśli bardziej zgadzał się z radykalną prawicą.
- Dokładnie - potwierdził Nicholson. Szef CIA postukał w jedną ze stron notatek. - jednak nasze źródła mówią, że spotkał się z przywódcami AWB, neonazistowskiego Afrykanerskiego Ruchu Oporu i z szefami *Oranjewerkkers*, prawicowego ugrupowania, które dąży do secesji od RPA i stworzenia "czystego" białego społeczeństwa. Chodzą pogłoski, że Vorster sam jest tajnym członkiem jednej z tych grup.
- Nawet na pewno. - Hurley znowu czyścił okulary. - Flagi i odznaki AWB pokazały się w całym rządzie.
- Wspaniale. Po prostu wspaniale. - Kiedy zrobiło się jasno, wokół stołu zobaczył niespokojne twarze zebranych. - Tak więc mamy zwykłego nazistę u władzy i, jeśli ten cytat jest prawdziwy, człowieka, który tylko luźno jest związany z rzeczywistością. A teraz zdecydował się podjąć z nami dyplomatyczną walkę. Nie wiemy nawet o co. Hurley włożył okulary.
- Wdawanie się z nami w słowne potyczki nie jest takie szalone, jakby się wydawało. Jest to woda na młyn jego prawicowych stronników. Ma w ten sposób następnego kozła ofiarnego, którego może publicznie obwiniać o kłopoty ekonomiczne czy polityczne. Nicholson potwierdził skinieniem głowy.
- To u nich normalna praktyka. Zrzucać winę na komunistów. Na czarnych. Obwiniać zdradziecki Waszyngton czy Londyn. Wszystkich, tylko nie siebie.
- No więc, co robimy? - Pytanie Forreстера było tylko częściowo retoryczne. Znał już standardowe odpowiedzi. Mogli zarekomendować odwołanie swojego ambasadora na konsultacje czy zredukować personel dyplomatyczny. Jednak tym razem to nie wystarczało. Człowiek w Gabinetcie Ovalnym chciał czegoś więcej. Potarł brodę.
- Czy mamy może jakieś oficjalne wizyty zaplanowane na następne miesiące? Odwoływanie uzgodnionych już wizyt było jeszcze jednym sposobem na spoliczkowanie obecnego rządu w odpowiedzi na afront. Może nie najbardziej bezpośredni sposób odpłacenia się, ale przynajmniej nie zwiększający deficytu budżetowego. Jeden z pomocników Hurleya pokręcił przecząco głową po przekartkowaniu notatnika.
- Obawiam się, że nie, panie wiceprezydencie. Żadnych oficjalnych kontaktów. Kilka wniosków o zezwolenie na wizyty niższego stopnia. Zgodnie z naszą polityką odmówiliśmy. Hurley nachylił się.
- Może byśmy poparli dalej posunięte sankcje? Kongres zaczyna na to nalegać. Forrester podniósł do góry rękę.
- Ed, Numer jeden powiedział wyraźnie „nie”. Prezydent jest całkowicie zdecydowany. Dalsze sankcje ekonomiczne nie przyniosą rezultatów i skrzywdziłyby jedynie ludzi, którym chcemy pomóc. Jest przekonany, że powinniśmy skoncentrować nasze wysiłki na czymś innym. Musimy znaleźć jakiś mocny środek nacisku na Afrykę Południową. Hurley miał wątpliwości.
- Nie widzę nic takiego. Nie mamy tam żadnych przyjaciół, żadnych związków z jakimkolwiek państwem w tym rejonie. A na pewno z nikim, kogo Afrykanerzy chcieliby słuchać. Nie ma tam dużych skupisk naszych obywateli, a nasze przedsiębiorstwa coraz częściej wycofują się z RPA; bardziej ze względu na obawy przed niestabilnością Pretorii, niż ze względu na jakieś naciski. Niski mężczyzna wzruszył ramionami.
- Jeżeli chodzi o codzienne sprawy, to Afryka Południowa ma niewiele wspólnego z nami, a my z nimi. Nie widzę żadnych punktów oparcia... Doradca sekretarza z Departamentu Handlu przerwał mu: - A co z propozycją senatora Traversa, którą wczoraj lansował w telewizji? Może zorganizować pomoc dla państw sąsiadujących z RPA?
- Zwykły popis polityczny! - wykrzyknął pogardliwie Nicholson. Dyrektor CIA starł się już kilka razy z Traversem. - Widziałem dossier kilku przywódców tych państw. Mój Boże, wątpię, żeby chociaż jeden cent z naszej pomocy finansowej ominął ich szwajcarskie konta.

Forrester powstrzymał się od uwag. Podzielał opinię Nicholsona w sprawie wartości propozycji Traversa. Jednak już dawno nauczył się nie oceniać zbyt nisko umiejętności odczytywania publicznych nastrojów przez senatora z Newady. Wiedział także, że i prezydent zna tę lekcję. Propozycja Traversa została poddana gruntownej analizie. Było to groteskowe, ale, biorąc pod uwagę sposób działania Waszyngtonu, trzysta lub czterysta zmarnowanych milionów dolarów było często niską ceną za osłabienie inicjatywy politycznej rywala. Wiceprezydent wzruszył ramionami. Niech tak będzie. Prezydent powinien wystąpić z taką inicjatywą. Wrócił do debaty. Najwyraźniej znudzony całym tym pustym gadaniem, szczupły mężczyzna w mundurze generała porucznika wyprostował się w krześle.

- Tak, generale? Generał Roland Atkinson, reprezentant szefa Połączonych Sztabów, wysunął kościsty palec, mierząc w Hurleya.

- Słuchaj Ed, czy możesz ocenić, dokąd ten cholerny kraj zmierza? Chodzi mi o to, czy ten cały Vorster utrzyma się dostatecznie długo u władzy, żebyśmy musieli się nim w ogóle przejmować? Forrester zgodził się z nim od razu. Generał miał rację. Hurley nie wyglądał na zadowolonego.

- Obawiam się, że wszystko przybierze zupełnie zły obrót. Zmiana frontu będzie ich drogo kosztować. Pamiętajcie, co się stało, gdy Chiny zmieniły konie? Wokół dały się słyszeć pomruki zrozumienia. Plac Niebiańskiego Spokoju nadal był czymś więcej, niż tylko nieprzyjemnym wspomnieniem.

- Niestety, nie wiemy, co Vorster zamierza. Można powiedzieć, że całkowicie zaskoczył nas zmianą polityki poprzedniego rządu. - Hurley potrząsnął głową. - Trudno teraz, gdy nawet nie znamy przyczyn, przewidywać efekty. Forrester chciał wydobyć z niego coś więcej.

- Dobrze, Ed. Wszyscy już wiemy, jaki jest ten Vorster. Widzieliśmy ataki policji. Teraz wciągają w to armię. Myślę, że jego cele polityczne są dosyć przejrzyste. Wydaje się cholernie zdecydowany powrócić do "starych, dobrych czasów" absolutnego apartheidu. Przyjmijmy, że do tego właśnie dąży... jakie mogą być skutki? Nicholson ponownie zabrał głos. Dyrektor CIA miał na twarzy wyraz obrzydzenia.

- Zupełny rozpad państwa, panie wiceprezencie. Nasze źródła donoszą, że ANC i inne ugrupowania opozycyjne rosną szybko w siłę. Ich organizacje partyzanckie zostały zreorganizowane i przyciągają nowych członków. Vorster popchnął wielu umiarkowanych czarnych w ramiona każdego, kto ma broń i odwagę jej użyć. Skończył i odwrócił się w stronę Hurleya. Zastępca sekretarza stanu milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Dyrektor Nicholson ma rację. Przy eskalacji przemocy możemy oczekiwać zwiększonej liczby wypadków śmiertelnych, zwłaszcza wśród czarnych. - Wziął głęboki oddech. - Później, w odpowiednim momencie, wybuch ogólnej rewolty. Czarni obywatele dojdą do wniosku, że nie mają nic więcej do stracenia i rozpoczną wojnę domową. I nie będzie to wojna typu "władza dla ludu", jak na Filipinach. To może być bardzo krwawe. I nie ma wcale gwarancji, że czarni zwyciężą. Biali mają olbrzymią przewagę - organizacyjną i wojskową. Forrester pokiwał ponuro głową. Widział raporty o stanie Sił Obrony Południowej Afryki. Przy pełnej mobilizacji ich armia mogła wysłać w pole trzysta tysięcy ludzi. doskonale wyszkolonych żołnierzy. uzbrojonych w tysiące opancerzonych wozów, najlepszą artylerię, samoloty i... determinację. Hurley westchnął.

- To nie będzie zorganizowana rewolucja, jak w Rumunii. z jedną potężną siłą opozycyjną. Komuniści z ANC. partia *Inkatha* Zulusów i Kongres Panafrkański będą walczyły ze sobą i z białymi. Skończyłoby się to najpewniej czymś w rodzaju Bejrutu, ale na skalę całego kraju. Reprezentant Departamentu Handlu wyglądał na przerażonego.

- Jezu, jeśli wypadki się tak potoczą, to ceny złota wyskoczą przez dach. To by dokładnie uziemiło wartość dolara. - Spojrzał wzdłuż stołu. - Nasz bilans płatniczy jest dostatecznie kiepski już teraz. Lepiej nie myśleć, jakby wyglądał w tej sytuacji. Wszyscy dobrze wiedzieli, o czym mówi: wzrastające bezrobocie, wyższa inflacja, wyższa stopa kredytowa i ryzyko światowej wojny handlowej mogły rozpocząć nowy Wielki Kryzys. Forrester rzucił spojrzenie na Nicholsona.

- A co ze strategicznymi bogactwami naturalnymi? Dyrektor CIA nie wahał się ani chwili:

- Oczywiście, braki. Może nawet coś gorszego. w zależności od tego, jak zareagują inni dostawcy, na przykład Rosjanie.

- Ostatnie pytanie. Kiedy pokrywka może wylecieć w powietrze? - Forrester spojrzął na Hurleya. Ed Hurley nie wydawał się zbyt pewny siebie.
- Jest tyle niewiadomych, sir. Nawet nie zacząłbym... Wiceprezydent uspokoił go.
- W porządku, Ed, nikt tego nie zapisuje. Możesz przynajmniej określić w przybliżeniu?
- To mogą być całe lata, sir. W RPA czarni obywatele od pokoleń żyją pod apartheidem, nie buntując się. Sytuacja musiałaby się stać naprawdę nieznośna, żeby zmusić ich do działania. Jednak z takim szaleńcem u władzy jak Vorster, to może się stać nawet jutro. Poza tymi ogólnymi przewidywaniami niczego konkretnego nie mogę powiedzieć. Forrester skrzywił się ponuro i rozejrzał wokół stołu.
- W porządku. Zgadza się wszyscy, że otwarta wojna domowa w Afryce Południowej byłaby katastrofą dla Stanów Zjednoczonych i ich sprzymierzeńców. Zwiększyłaby się cena surowców strategicznych. Ceny artykułów, do wyprodukowania których są niezbędne, poszłyby w górę. Poza tym rosnąca cena złota mogłaby spowodować panikę na giełdzie. Wojna domowa w RPA może spowodować poważny kryzys u nas i na całym świecie. Zagrożenie nie jest bezpośrednie, ale z Vorsterem u władzy jest całkiem możliwe. Stoi przed nami pytanie, co zalecimy prezydentowi?
- Zwiększyć nasze zapasy surowców strategicznych. - Generał Atkinson nie miał wątpliwości. - Cholera, nie możemy zrobić prawie nic, żeby zmienić sytuację w tym zwariowanym kraju. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zaczniemy przygotowywać się na najgorsze. Forrester zgodził się z nim.
- Będziemy potrzebowali listy minerałów występujących tylko w RPA. Hurley sprzeciwił się.
- Przepraszam, panie wiceprezydencie, ale będziemy musieli zawrzeć na tej liście wszystko, co ten kraj wydobywa. Jeśli sprawy zaczną tam przybierać zły obrót, ceny wszystkich artykułów pójdą w górę. Brzmiało to sensownie. Zamknięcie kopalń w Afryce Południowej spowoduje paniczne wykupywanie wszystkich surowców. Forrester zapisał coś w notatniku i spojrzął na generała Atkinsona.
- W porządku, generale. Czy mamy jakieś wojskowe scenariusze dla tego rejonu? Jeśli, na przykład, prezydent zdecyduje się wyrazić zgodę na wysłanie sił pokojowych ONZ? Czy możemy to zorganizować? Atkinson był szczerze zdziwiony.
- Sir, nie wydaje mi się, żebyśmy posiadali jakieś plany operacyjne dla tego kraju. To cholernie daleko stąd.
- To daleko skądkolwiek - zgodził się Forrester. - Ale zacznijmy patrzeć na rzeczy poważnie. Ilu żołnierzy moglibyśmy wycofać z którejś z naszych baz w tym rejonie i wysłać tam bez uszczuplania naszych strategicznych zobowiązań? Co będzie, jeśli zostaniemy zmuszeni do ewakuowania naszej ambasady? Albo jeśli trzeba będzie wysłać statek-szpital z eskortą? - Zobaczył zdziwione spojrzenia na twarzach zebranych. - To wszystko jest oczywiście bardzo teoretyczne, ale sugeruję, żebyśmy zaczęli rozważać już teraz nasze opcje, wszystkie nasze opcje. - Podniósł nieco głos. - Jeśli o mnie chodzi, to nie mam ochoty, żeby ciągle nas coś zaskakiwało. Tak więc, w przypadku gdy sprawy przybiorą zły obrót, chcę mieć wszystkie dane niezbędne do podjęcia decyzji. Jasne? Głowy uczestników zebrania pochyliły się niżej. Forrester zwrócił się do generała Atkinsona.
- W porządku, Roland. Niech twoi planiści wysmażą jakieś scenariusze i trzymaj je pod ręką. Możemy ich niedługo potrzebować. Atkinson zapisał uwagę w notatniku.
- Panie i panowie, jeszcze jedna sprawa. - Forrester spojrzął ostro na siedzących wokół stołu ludzi. - Fakt, iż poprosiłem generała o przygotowanie planów na wypadek możliwych zmian - podkreślam "możliwych" - w Afryce Południowej nie znaczy, że wiadomość o tym może opuścić ten pokój. Żadnych przecieków do prasy. Żadnych informacji dla waszych ulubionych kongresmenów czy senatorów. Nic. Nie potrzebujemy publicznej burzy w sprawie, która może się okazać tylko nieprzyjemną wewnętrzną kłótnią. Ostatnia wzmianka Forrestera wyraźnie uspokoiła Hurleya i Nicholsona, ale szef CIA musiał jeszcze uzgodnić kilka szczegółów.
- Jedna sprawa, panie wiceprezydencie. Moi ludzie pracują nad uzupełnianiem danych o rządzie Vorstera: życiorysy, możliwy rozwój wypadków i tak dalej. Coś, co pozwoli naszym analitykom rozpatrywać realne fakty. Jednak w sytuacji, gdy połowa starego rządu została usunięta i następują w szybkim tempie dalsze zmiany, przygotowanie tego typu informacji zajmie sporo czasu. Byłbym wdzięczny za każdą pomoc od pozostałych agencji i

departamentów. Forrester spojrział znacząco na Hurleya.

- Jestem pewien, że każda inna agencja, zbierająca o nich informacje zrobi wszystko, żeby wam pomóc. Mam rację, Ed? Hurley skinął ponuro głową, przyjmując zawieszoną w powietrzu krytykę. Od czasu do czasu Biuro Wywiadu i Badań Departamentu Stanu wykazywało niemiłą tendencję uważania pracowników CIA i innych agencji wywiadowczych za przepłacanych i niezbyt bystrych chłopców na posyłki. W rezultacie prawdziwa współpraca pomiędzy departamentami wydawała się trudniejsza niż podpisanie traktatu pokojowego z Rosjanami. Zadowolony, że jego uwaga została przyjęta, myśląc o czekającym go zaraz następnym spotkaniu, Forrester postukał długopisem w stół.

- W porządku, podsumujmy fakty. Jak rozumiem, w pierwszym rządzie rekomendujemy prezydentowi odpłacenie się pięknym za nadobne na poziomie dyplomatycznym. Czy są jakieś obiekcje? Rozejrzał się wolno po siedzących wokół stołu ludziach. Wszyscy zgadzali się z jego sugestią. Redukcje personelu czy noty dyplomatyczne nie stanowiły wielkich zmian w dyplomatycznej konfrontacji.

- Dobrze. Przekażę to dziś prezydentowi. - Forrester złożył papiery w jeden plik. - Tymczasem zapędzimy fachowców do pracy nad przygotowaniem bardziej znaczących odpowiedzi. Włączając w to zwiększenie zapasów minerałów strategicznych i wysłanie sił pokojowych ONZ do tego regionu. Zalecimy też zwiększoną aktywność w zbieraniu informacji. Więcej zdjęć satelitarnych i pracy SIGINT. Może uda nam się zorientować, co ten Vorster planuje. Jakies komentarze? Nikt nie zabrał głosu. Podsumowanie Forrestera było bardzo celne. Zostało jednak przekonanie, że cała ich praca była w większości tym, z czego słynie Waszyngton: pustosłowiem. Kiedy uczestnicy zebrania zaczęli wstawać, Hurley nachylił się do Forrestera.

- Panie wiceprezydencie, cierpliwość nie jest najmocniejszą stroną Vorstera. Sądzę, że nie będziemy musieli długo czekać, żeby dowiedzieć się, co zamierza.

## • 10 sierpnia - Międzynarodowe Lotnisko Jana Smutsa, Johannesburg, RPA

Budynek przylotów Międzynarodowego Lotniska Jana Smutsa przypominał każdy inny terminal, na którymkolwiek z lotnisk na świecie. Głośniki rozbrzmiewały nie zrozumiałymi komunikatami w języku *afrikaans*. Kawiarnie, bary i małe kioski robiły kokosowe interesy, korzystając z faktu, że głodni, zdenerwowani lub znudzeni pasażerowie starali się zabić jakoś czas. Ustawione na metalowych wysięgnikach telewizory pokazywały startujące i podchodzące do lądowania samoloty.

Jednak były też znaczące różnice. Większość z czekających stanowili mężczyźni w wieku dwudziestu, trzydziestu lat. Młodzi ludzie w wojskowych mundurach - członkowie Gwardii Narodowej, wezwani ze szkół i miejsc pracy ostatnim dekretem stanu wyjątkowego. Niektórzy wyglądali, jakby ich mundury skurczyły się lub ich brzuchy urosły, ale większość była smukła i wysportowana - coroczne miesięczne ćwiczenia wojskowe utrzymywały ich w formie. Wśród morza mundurów koloru khaki dwaj dziennikarze amerykańscy. W cywilnych ubraniach wyglądali nie na miejscu. Ian Sherfield odebrał torbę podróżną i dokumenty od śmiertelnie poważnego urzędnika sił bezpieczeństwa i odwrócił się do Sama Knowlesa. Niewysoki kamerzysta objuczony sprzętem przypominał muła.

- Niech diabli wezmą cuda współczesnej miniaturyzacji. Knowles wyglądał na zde gustowanego. - Zamiast uginać się pod ciężarem jednej dużej kamery, mogę się nabawić przepukliny od małej kamery i całej reszty tego gówna. Ruszyli w stronę wyjścia, pchając przed sobą skrzypiący, wy pchany po brzegi wózek.

- Kto wpadł na ten cholerny pomysł przenosin? - narzekał nadal Knowles, okrążając grupę przyglądających się im ciekawie żołnierzy. Ian uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział. Od miesiąca molestował Nowy Jork o zgodę na zmianę miasta. Po skończonej sesji parlamentu, kiedy Vorster praktycznie sam kierował rządem, Kapsztad ział nudą. Johannesburg, oddalony od Pretorii zaledwie o trzydzieści kilometrów, był tym, czego potrzebowali. Ponieważ sieć miała tam wynajęte studio i satelitarną stację przekaźnikową, księgowi w Nowym Jorku nie mogli narzekać na dodatkowe koszty. Przynajmniej nie za

bardzo. Poza tym pobyt w Johannesburgu zbliżał go do Emily. Wyszli na parking zalany popołudniowym słońcem. Autobusy z rezerwistami zajmowały niemal każdy metr wolnej powierzchni przed wjazdem do budynku przylotów. Powietrze było aż gęste, przesycone mieszaniną spalin samochodowych i paliwa dla odrzutowców. Ian powstrzymał się od kaszlu, przypominając sobie nagle, że położony na wysokości tysiąca siedmiuset metrów nad poziomem morza Johannesburg miał tyle samo problemów z zanieczyszczeniem powietrza co Denver. Knowles trącił go obładowanym kamerą ramieniem, wskazując na młodego, chudego jak szczapa Murzyna w tanim, czarnym garniturze, białej koszuli i wąskim krawacie. W wyciągniętych do góry rękach trzymał tabliczkę z ich nazwiskami. Nazwisko Sherfielda było przekreścone.

- Ja jestem Sherfield, a to Knowles. O co chodzi? Ian musiał podnieść głos, żeby przekrzywić hałas samochodów. Młody człowiek wskazał nerwowo na zaparkowanego Forda Escorta.

- Jestem Matthew Sibena, *meneer*. Mam być waszym kierowcą w Johannesburgu. *Meneer* Thompson przysłał mnie po was na lotnisko. Ian skinął głową, dziwiąc się, skąd ta nagła troskliwość skąpego zazwyczaj Larry'ego Thompsona, szefa miejscowej placówki.

- To bardzo miło z jego strony. Myślę, że damy sobie jednak radę sami. Może po prostu podrzuciłbyś nas do najbliższej wypożyczalni samochodów, po drodze do miasta? Sibena wyglądał na zmartwionego.

- Och, nie, *meneer*. To niemożliwe. Wyszło nowe zarządzenie. Każdy zagraniczny dziennikarz musi mieć miejscowego kierowcę. Właśnie dlatego *meneer* Thompson mnie wynajął. Ian zachnął się. Ludzie Vorstera poczynali sobie coraz bezczelniej. Jak tu pracować, mając anioła stróża na karku? Wspaniale, psiakrew! Wzruszył ramionami i podszedł do samochodu. Od początku wiedzieli, czym to pachnie.

- Dobra, jesteś naszym oficjalnym kierowcą. No, to możemy jechać. Młody Murzyn wyraźnie się uspokoił. Ian zatrzymał się w pół kroku.

- Jedna sprawa, Mat. Mów mi Ian. A ten wielbłąd to Sam. Knowles. Zatrzymaj to gówniane *meneer* dla Afrykanerów. Sibena był zaszokowany niespodziewaną propozycją. Przytaknął pospiesznie i chcąc ukryć zakłopotanie, zaczął ładować sprzęt do samochodu. Kiedy nachylał się, usiłując wcisnąć pakunki do małego bagażnika, Ian i Knowles wymienili znaczące spojrzenia. Matthew Sibena bez wątpienia pracował dla ich sieci telewizyjnej. Pytanie, ilu miał jeszcze dodatkowych pracodawców?

- **13 sierpnia - Autostrada N I, na południe od Johannesburga**

Szeroką, wielopasmową autostradą ciągnął sznur ciężarówek. Jedne wiozły stłoczonych na wąskich ławeczkach żołnierzy, w innych piętrzyły się skrzynie z żywnością. Wiele pojazdów holowało okryte brezentem 155-milimetrowe haubice G-5. Kolumnę zamykały, starające się utrzymać tempo, cysterny z ropą. Konwój, jeden z wielu, które wyruszyły tej nocy, rozciągał się na sześć kilometrów, jadąc z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Kierował się w stronę skrzyżowania, z którego miał skręcić na północny zachód. W kierunku Namibii. W kierunku wojny.



## Wojna błyskawiczna

- **18 sierpnia - rejon ześrodkowania batalionu 20. Pułku Strzelców Przylądkowych, koło granicy z Namibią**

Tylko niewielka ilość światła małej, bateryjnej lampki wydostawała się na zewnątrz przez prawie szczelne klapy namiotu dowódcy. Jednak nawet te wąskie smugi wydawały się wyjątkowo jasne. Na godzinę przed świtem transportery opancerzone batalionu były niemal zupełnie niewidoczne - czarne prostokąty na tle jeszcze ciemniejszych skał i kęp splątanych krzewów, wysokiej trawy i ostów. Ich przysadziste kształty zlewały się z ostrym, kamienistym krajobrazem południowego krańca pustyni Kalahari. Nad rzędami zaparkowanych wozów panowała prawie absolutna cisza: żadnych charakterystycznych dla pracującej radiostacji dźwięków, jedynie ściszone głosy, rozkazy wydawane tylko ostrym szeptem czy przypadkowe skrzywienie butów na luźnych odłamkach skał wskazywało pozycje straży. Żołnierze 20. Pułku Strzelców Przylądkowych zachowywali się jak podczas wojny. Wewnątrz namiotu *kommandant* Henrik Kruger przyglądał się zaciętym twarzom swoich podwładnych objętych kręgiem bladego, nieruchomego światła zwisającej z sufitu lampki. Zdawał sobie sprawę z faktu, że wielu oficerów batalionu podziela jego wątpliwości dotyczące politycznej słuszności tej operacji. Od czasu spotkania miesiąc wcześniej z generałem de Wetem zastrzeżenia te jedynie się zwiększyły. Dobre wojsko rządzi się jednak twardymi zasadami. Rozkazy muszą być wykonywane ślepo. Jakakolwiek niesubordynacja grozi anarchią, a to może prowadzić do tragedii. Najlepszym przykładem były słabe państwa afrykańskie nękane często zamachami stanu. Afryka Południowa była inna. Była cywilizowanym narodem. Była państwem prawa. Przynajmniej taką miał nadzieję. Kruger otrząsnął się z tych rozważań. Skoncentrował uwagę na upstrzonej znaczkami mapie sztabowej. Dowódcy kompanii poszli w jego ślady. Wszystkie głowy zgodnie pochyliły się nad stołem.

- Panowie! - Kruger wskazał na mapie grubą, czarną linię kierunku natarcia. - Szybkość! W tej operacji jest to kluczowe słowo. jeśli ruszymy ostro od początku, to zwyciężymy bez problemów. Ci dranie ze SWAPO nie będą nawet wiedzieli, co ich rąbnęło. jeśli jednak będziemy się guzdrać, to stracimy tempo i w końcu ugrzęźniemy w połowie drogi i później będziemy posuwać się jeszcze wolniej. Na to oczywiście nie możemy sobie pozwolić. Wszyscy zgodzili się z jego oceną. Raporty wywiadu donosiły, że armia Namibii jest niedoświadczona i źle wyposażona. jej oficerowie i żołnierze nadal znajdowali się na etapie przejściowym, między armią partyzancką a regularnym wojskiem. Potężne siły powietrzne i lądowe Afryki Południowej nie powinny mieć specjalnych kłopotów z ich rozbiciem. Podbicie całej Namibii było już zupełnie inną sprawą. Kraj wciśnięty jest klinem między Atlantyk a Botswanę, na północy graniczy z Angolą, a na południu niedużym skrawkiem z RPA. Stąd w prostej linii do najdalszego punktu na północy jest 1500 km - głównie sawanny i pustyni. Mniej więcej w środku leży stolica Windhoek. Miasta są rozsiane rzadko, głównie na północy i na wybrzeżu, gdzie 200 km od granicy z RPA koło miasta Lüderitz znajdują się największe złoża diamentów. Samo dostarczanie żywności, amunicji i wody dla wyznaczonych do inwazji jednostek będzie wymagało użycia całego wojskowego transportu powietrznego i dużej części transportu naziemnego. Każdy dodatkowy dzień wojny zwiększy jedynie obciążenie gospodarki RPA. Błyskawiczna wojna oznaczała mniejszą liczbę zabitych, niższe koszty i mniejsze oburzenie opinii światowej. Błyskawiczna wojna była jedyną możliwością. Kruger odsunął mapę niecierpliwym gestem.

- W rozkazach, zgodnie z naszymi przewidywaniami, podkreślana jest konieczność szybkiej

inwazji. - Zwrócił się do niskiego, ciemnowłosego majora dowodzącego dołączonym do batalionu plutonem zwiadowczym. - Daan, twoi chłopcy będą nas prowadzić. Będziecie się poruszali w odległości sześciu, siedmiu kilometrów od głównej kolumny, oznaczając silne punkty oporu i niszcząc od razu słabsze. Major Daan Visser skinął energicznie głową. jego szybkie, dobrze uzbrojone *Rooikaty* i *Elandy* doskonale nadawały się do tego zadania. Dysponował wystarczającą siłą ogniową, żeby rozbić wszystkie pośpiesznie zbudowane punkty obrony. Kruger pomyślał, że ta misja jest czymś wymarzoną dla Vissera, który uważał się za doskonałego i nieustraszonego żołnierza. jego postawa znajdowała odbicie we wszystkim, co robił, mówił i w co się ubierał - wliczając w to pomarańczową chustkę zawieszoną na szyi i zawadiacko nasunięty na ucho czarny beret.

Kruger podziwiał odwagę tego człowieka. Miał tylko nadzieję, że Visser będzie miał także zapas zdrowego rozsądku.

- Co z resztą batalionu, *kommandant*? - spytał major Forbes, jego zastępca. Kruger zauważył staranny *afrikaans* i z trudem powstrzymał się od westchnienia. Bardzo lubił i cenił swojego zastępcę, ale niestety był w tym wyjątkiem. Mimo że od ponad stu lat rodzina Forbesa mieszkała w Kapsztadzie, w batalionie nadal nazywano go *rooinek* - cudzoziemiec. Przyczyniła się do tego głęboko zakorzeniona nieufność Afrykanerów do ludności pochodzenia angielskiego. Forbes był świetnym żołnierzem i bardzo zdolnym oficerem, a zdając sobie sprawę z uprzedzeń kolegów, nauczył się bezbłędnie posługiwać językiem *afrikaans*. Nic to nie pomogło. W dalszym ciągu odnoszono się do niego z dużą rezerwą.

Kruger przerwał rozmyślenia. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Zresztą, kiedy rozpocznie się walka, pierwszy, kto okaże brak szacunku dla jego zastępcy lub zlekceważy jego rozkaz, pozna na własnej skórze, że Kruger wyżej ceni fachowość niż wspólne pochodzenie.

- Piechota będzie podążała za plutonem majora Vissera, tu są kompanie A, B i C. - Palec Krugera trzy razy trafił w plan na przenośnym stole, wskazując wzajemne położenie jednostek. - Będziecie się poruszać drogą w formacji marszowej, ale chcę, żeby ochrona flank została rozwinięta. Uśmiechnął się.

- Transportery *Ratel* są kosztowne, panowie. jeśli ktoś go straci, będzie to go słono kosztowało. *Ratele* miały niezłe zabezpieczenie przed pociskami z broni strzeleckiej i odłamkami, ale celny strzał z ręcznego granatnika mógł je łatwo zamienić w płonącą pułapkę. Kruger zwrócił się do wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny stojącego po jego prawej stronie.

- Kompania D będzie w odwodzie. Bez obrazy, Hennie, ale mam nadzieję, że nie będziemy mieli zbyt wiele pracy dla twoich chłopaków. Hennie Mulder, kapitan dowodzący kompanią artylerii, skinął poważnie głową. jego 81-milimetrowe moździerz i ciężkie karabiny maszynowe *Vickers* stanowiły większą część siły ogniowej batalionu, ale były raczej nieruchawe i ich ustawienie zajmowało sporo czasu. Batalion będzie potrzebował Kompanii D tylko wtedy, gdy napotka silny opór, a to by znaczyło, że operacja NIMROD nie rozwija się pomyślnie.

- *Kommandant*? Kruger spojrzał w stronę mężczyzny, który niepewnie zabrał głos. Robey Riekert, jego najmłodszy i najmniej doświadczony oficer, trzymał na wpół uniesioną rękę.

- Tak, Robey?

- A co ze wsparciem artyleryjskim, sir? Kruger pokręcił głową.

- Przy odrobinie szczęścia będziemy posuwać się naprzód dosyć szybko. Ale dwie baterie dział samobieżnych dołączono do kolumny za nami. Jeśli spotkamy się z prawdziwym oporem, będziemy mogli poczęstować SWAPO kilkoma pociskami ze stopięćdziesiątek. Tym razem śmiech był znacznie swobodniejszy. Nagły, narastający ryk niespodziewanie ich zagłuszył i po chwili ucichł. Kilku wystraszonych oficerów podniosło wzrok na niski, brezentowy sufit namiotu. Nad batalionem przeleciało właśnie kilka dużych samolotów kierujących się w stronę Namibii. Kruger spojrzał na zegarek. NIMROD przebiegał zgodnie z planem. Wyprostował się.

- Bardzo dobrze, panowie. Znacie rozkazy. Możecie formować kompanie do drogi. Życzę wszystkim powodzenia. Brezent wejścia załopotał, gdy oficerowie jeden po drugim opuszczali namiot.

## • Kompania A, 2. Batalion, 44. Brygada Spadochronowa, nad Namibią

Lot był teraz o wiele mniej spokojny, mimo iż nie lecieli tak nisko, jak w czasie rajdu na Gawambę. Podręczniki Sił Powietrznych wyjaśniały, że służące do przewożenia wojska duże samoloty *C-160 Transall* odznaczają się "słabą odpornością na porywy wiatru", dlatego turbulencje na niskich wysokościach rzucają samolotem jak ciężarówką jadącą po wyboistej drodze. Kapitan Rolf Bekker nie mógł się powstrzymać od ziewnięcia, które o mały włos skończyłoby się odgryzieniem języka, gdy *Transall* raptownie wzniósł się w górę, złapany w kolejny słup powietrza znad poszarpanych namibijskich wzgórz. Zmusił się do zamknięcia ust i zmarszczył brwi. Dwie godziny minęły od chwili, gdy nad ranem wystartowali z lotniska Bloemfontein. Ile czasu, do cholery, jeszcze będą lecieć? Znużony, potrząsnął głową. Zmęczenie odejmowało mu widocznie zdolność myślenia. Wiedział dokładnie, jak długo będą lecieć. Zdał też sobie sprawę, jak długo już nie śpi. Bekker był zbyt dobrym żołnierzem, żeby narzekać na brak snu, jednak tak wczesne lądowanie oznaczało odprawę o północy i wylot o czwartej rano. Ponieważ poprzedni dzień spędził na przygotowywaniu żołnierzy do tego ataku, nie miał chwili czasu na odpoczynek. Nie było też mowy o zaśnięciu w samolocie, na niewygodnym, metalowym siedzeniu. Tak więc, pomyślał Bekker, zaczę najwięcej operację w moim życiu niewyspany. Kiedy był zmęczony, łatwo wpadał w irytację, co nie było takie złe w obecnej sytuacji. Żałował tylko, że nie może przyjrzeć się terenowi, na którym mieli lądować. Bekker wolał latać śmigłowcem, w którym przynajmniej otwarte drzwi pozwalały zorientować się w sytuacji. Teraz miał tylko jedno okno, równie przejrzyste jak dno butelki. Będą musieli skakać ufając, że pilot prawidłowo rozpoznał rejon zrzutu. Bekker wyjrzał przez okno. Nic poza czarnym niebem, lekko błędnym za nimi. Nie mógł nawet dojrzeć reszty batalionu lecącego w pozostałych pięciu samolotach. W powietrzu powinny znajdować się także inne samoloty. Samoloty szturmowe *Impala II*, zapewniające osłonę przed ostrzałem z ziemi i myśliwce *Mirage*, które miały ich bronić przed lotnictwem wroga. Przez zachlapanie okna nie mógł jednak dostrzec żadnego z nich. Bekker oderwał wzrok od okna i spojrzał na rzędy składanych metalowych siedzeń po obu stronach zatłoczonego pomieszczenia dla żołnierzy. W samolocie znajdowało się ponad osiemdziesięciu mężczyzn. Z przodu załadowano jeszcze dodatkowy ładunek. Żołnierze ubrani byli w watowane kombinezony i specjalne hełmy, które przy prędkości dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę amortyzowały częściowo uderzenia o ziemię. Mieli tylko po jednym spadochronie, gdyż na tej wysokości i tak nie byłoby czasu na otwarcie zapasowego, w przypadku gdyby zawiódł pierwszy. Osiemdziesięciu ludzi stanowiło dokładnie połowę stanu jego kompanii. Reszta, dowodzona przez porucznika, znajdowała się w drugim samolocie, gdzieś w pobliżu - taką miał przynajmniej nadzieję; lepiej żeby byli. Będzie potrzebował każdego człowieka, żeby wypełnić misję. Westchnął lekko. Przy desancie z jednego samolotu, na niskim pułapie, wszystkim powinno udać się wylądowanie blisko siebie. Namibijczycy zostaną zupełnie zaskoczeni. Rozległ się przenikliwy dźwięk brzęczyka i nad drzwiami zapaliło się czerwone światło. Siedzący koło drzwi członek załogi odpowiedzialny za zrzut. wyprostował się.

- Pięć minut! Nareszcie! Bekker podniósł się i uwolnił z pasów. - Wszyscy wstać i podczepić linki! Jego ludzie w pośpiechu wypełniali rozkaz, zakładając broń i chowając do wypchanych kieszeni czytane przed chwilą książki. Samolot zaczął nabierać wysokości, wzbijając się z poziomu stu pięćdziesięciu metrów na minimalną bezpieczną dla skoków wysokość trzystu metrów. Silnik pracował teraz na zwiększonych obrotach. Bekker stał z przodu pomieszczenia ładunkowego. Począł, aż spadochroniarze podczepią linki i ruszył wzdłuż rzędu, sprawdzając ekwipunek każdego żołnierza. Pociągając za linki, upewniał się, czy są prawidłowo zahaczone. Następnie jego wzrok prześlizgiwał się po reszcie sprzętu: broni osobistej, granatach, radionadajnikach - całym sprzęcie niezbędnym przy podobnej misji. Od czasu do czasu zatrzymywał się na chwilę, poklepując niektórych w geście otuchy i żartując przy tym, ale na ogół kontrola przebiegała w milczeniu. Jego oddział składał się z doświadczonych, zaprawionych w walkach żołnierzy. Skończył przegląd i stanął na początku szeregu, tuż przed drzwiami. Gdy podczepił swoją linkę, radiowiec sprawdził jego sprzęt i zaczepienie.

- OK! - Niski mężczyzna uniósł kciuk do góry. Ostatnie sekundy wydawały się wiecznością.

Kiedy *Transall* wyrównał lot, dotychczasowy ryk silników przeszedł w równy, niski pomruk. Bekker wiedział, że pilot redukuje prędkość. jednocześnie zaczęły się otwierać olbrzymie wrota z tyłu samolotu. We wnętrzu zawirowało gwałtownie powietrze. a odgłos silników wszystkich ogłuszył. Bekker spojrział w dół. Na południu dojrzał wyschniętą dolinę rzeki. bladezieloną linię karłowatych drzew i krzewów. Dalej. na południowym wschodzie dostrzegł skaliste wzgórze. Równoległe do nich biegła droga prowadząca bezpośrednio do ich celu, Keetmanshoop. W pobliżu miasteczka Keetmanshoop nie było żadnych obiektów przemysłowych i tylko niewielka liczba farm zapewniała utrzymanie piętnastu tysiącom mieszkańców. Kłęby dymu, unoszące się ze spalonych budynków. znaczyły miejsca, gdzie *Impale* Sił Powietrznych zbombardowały zidentyfikowane koszary armii namibijskiej i centrum dowodzenia. Zorientował się natychmiast, dlaczego te okolice były ważnym punktem strategicznym. Zbiegały się tu wszystkie ważniejsze szlaki komunikacyjne Namibii. drogowe i kolejowe. Głównie jednak skoncentrował się na jednym, najważniejszym dla nich w tej chwili obiekcie, lotnisku. Zwykły pas ziemi o długości sześciuset metrów stanowił punkt kluczowy operacji NIMROD. Bez tego niewielkiego pasa startowego RPA nie byłaby w stanie podtrzymywać ofensywy. Kiedy oglądał lotnisko, zniknęła jedna obawa. Pas wydawał się nie uszkodzony i w polu widzenia nie było żadnych samolotów namibijskich. Co ważniejsze. nie dojrzał także ruchu przy kilku obłożonych workami pozycjach artylerii przeciwlotniczej. usytuowanych wokół ceglanego budynku przylotów. Brzęczyk odezwał się ponownie i światło nad drzwiami zmieniło kolor na zielony. Teraz! Bekker wziął rozpęd i bez namysłu skoczył, odbijając się od rampy i podświadomie wyprężył się, gdy powiew zimnego powietrza uderzył go w piersi. Przez ułamek sekundy spadał jak kamień, ale po chwili poczuł gwałtowne szarpnięcie i zaraz potem zawisła nad nim szara kopuła. Bekker spoglądał w dół. Poczuł niesłychane podniecenie. Znowu był w swoim żywiole. Znowu była następna akcja. I znowu on był na czele. Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów... Trzydzieści... Dwaście... Ugiął nogi; lądowanie było poprawne. Mógł dodać następny udany skok do swojej kolekcji. Spojrział w górę. Z tłem szarego nieba zlewały się prawie niewidoczne czasy wielu dziesiątków spadochronów. Wszyscy byli już w powietrzu.

### • **Ambasada kubańska. Luanda, Angola**

Blask wstającego na bezchmurnym niebie słońca zalał gęsto zabudowane ulice Luandy jasnym, bezlitosnym światłem, odślaniając pokłady brudu na chodnikach oraz jezdniach i slogany polityczne na niegdyś białych ścianach. Z każdym rokiem krwawej wojny domowej i centralnego planowania stolica ludowej Republiki Angoli wyglądała coraz gorzej. Urzędy Luandy były pozamykane. Dzień biurokratyzowanej pracy nigdy nie zaczynał się wcześniej. Socjalistyczny sprzymierzeniec i wojskowy opiekun Angoli miał widocznie inne pojęcie o obowiązkach. W otoczonej murem i wartownikami ambasadzie kubańskiej na Rua Karl Marx paliły się prawie wszystkie światła. Generał Antonio Vega jeszcze się ubierał, gdy kapral Gomez zapukał do jego drzwi i nie czekając na odpowiedź, wpadł do pokoju.

- Towarzyszu generale, dzwonią z naszej ambasady w Windhoek. Mówią, że ktoś właśnie zaatakował miasto z powietrza. Oni... Vega, wysoki, szczupły mężczyzna o zdecydowanych rysach twarzy i przetykanych siwizną czarnych włosach, przeglądał się właśnie w małym lusterku stojącym na nocnej szafce. Był tylko w połowie ubrany, na jednym z ramion widoczne były wyraźne blizny po ranach spowodowanych odłamkami szrapnela. Blizna miała już ponad trzydzieści lat, a zdobył ją, prowadząc ludzi Fidela Castro przeciw wojskom Batisty. Rozgniewany wtargnięciem kaprala warknął: - Co takiego? Śmieszne! Ci idioci mają przywidzenia. - Włożył koszulę trochę szybciej niż zazwyczaj. - Doświadczenie wojskowe tych głupców i tak nie pozwoliłoby im rozpoznać nalotu, nawet gdyby się naprawdę zdarzył. Gomez zaczerwienił się. Vega, oprócz nie zwykłej inteligencji, miał język ostry jak brzytwa. Mówiono, że nawet sam Castro czasami musi znosić docinki generała. Kapral nie wierzył w te plotki. Dowódcy, którzy choć raz rozgniewali Fidela Castro, nie żyli tak długo, aby go ponownie zdenerwować. Czekający przy drzwiach Gomez nie sprzeciwiał się generałowi. - Przy telefonie jest ambasador, towarzyszu generale. Vega skończył zapinać koszulę, złapał mundur i wypadł z pokoju, nie trując się zamykaniem drzwi. Kapral

zamknął je i pospieszył za dowódcą do Ośrodka Dowodzenia Ambasady. Ambasador Kuby w Angoli, Carlos Luiz Tejeda stał otoczony grupą gestykujących urzędników i oficerów. Przy uchu trzymał słuchawkę, starając się usłyszeć coś w rosnącym zamieszaniu. Vega zwolnił. Rozmowy ucichły gwałtownie i zebrani rozstąpili się. Niechęć generała do niepotrzebnego gadania była powszechnie znana. Tejeda spostrzegł Vegę i skinął mu głową, ale nie przerwał rozmowy. Koło generała pojawiło się krzesło. Usiadł spokojnie, czekając na koniec rozmowy. Tejeda skończył, prosząc o codzienne raporty i odłożył słuchawkę. Przez chwilę stał w milczeniu. Zdjął okulary w złotych oprawkach i przetarł ręką twarz. Vega zauważył, że Tejeda jest nie ogolony i tylko w bluzie od piżamy i spodniach. Przez wszystkie lata, odkąd razem pracowali, nigdy nie widział go w takim stanie. Ambasador zazwyczaj przypominał dandysa. Sprawa musiała być naprawdę poważna. Potwierdziły to słowa Tejedy.

- Generale, mam smutne wiadomości. Otrzymaliśmy potwierdzenie, że siły południowoafrykańskie napadły na Namibię... Tejeda siedział w milczeniu, podczas gdy ambasador relacjonował dotychczasowe, jeszcze niepełne, raporty. Nalot na Windhoek. Lądowanie w Keetmanshoop. Nie potwierdzone wiadomości o przekraczających granicę namibijską kolumnach wojsk południowoafrykańskich.
- Skoordinowany atak - skomentował Vega. - To nie jest zwykłe naruszenie granicy, towarzyszu ambasadorze. Tejeda założył okulary.
- Macie rację. Poinformowałem już Hawanę. Za jakieś pół godziny oczekuję odpowiedzi ministra spraw zagranicznych. Zdziwiony Vega spojrzął na zegarek. Na Kubie było po północy, nieszczerólna godzina na rozmowy. Rzadko kiedy sprawy dotyczące zagranicy rozpatrywano tak energicznie. Tejeda zrozumiał gest.
- Nie było czasu na czekanie. Hawana jest bardzo zaniepokojona. Będę potrzebował pańskiej oceny sytuacji dla ministra. Musimy także przygotować dla niego jakieś zalecenia.
- Co mamy przygotować? - Vega nie ukrywał niezadowolenia. - Na podstawie wyrwykowych informacji telefonicznych? - W jego głosie słychać było narastający gniew.
- Towarzyszu generale, proszę. - Tejeda starał się go ułagodzić. - Jesteście jedynym starszym oficerem i potrzebujemy waszego doświadczenia. Ja osobiście nie mam żadnej wiedzy w sprawach wojskowych. Ale na pewno jesteście w stanie wysnuć już pewne wnioski i zastosować jakieś wstępne środki zaradcze. Chodzi przecież także o nas. O naszą pozycję tutaj. Vega zdawał sobie sprawę, że biorą go pod włos. Tejeda służył jako oficer w armii kubańskiej i jeśli nawet nigdy nie uczestniczył w walce, to domyślał się, co ten napad oznacza. Pomyślał, że sam minister czy nawet Castro nie mieliby nic przeciwko takim pochlebstwom. Wstał i podszedł do wiszącej na ścianie mapy tego regionu. Jako szef Misji Wojskowej Kuby w Luandzie Vega dowodził jednostkami piechoty, artylerią i lotnictwem, które zostały jeszcze w Angoli. Przez ostatnich kilka lat armia ta stopniowo kurczyła się. Od czasu podpisania porozumienia w Brazzaville, które zobowiązywało RPA do wycofania swoich wojsk z Namibii w zamian za opuszczenie Angoli przez Kubańczyków, jego oddziały skurczyły się z pięćdziesięciu tysięcy do ledwie dziesięciu tysięcy ludzi. Zdawał sobie sprawę, że Hawana już od dawna żałowała redukcji swoich sił w tym rejonie. Vega był w Angoli od czterech lat, walcząc z UNITĄ - antykomunistycznym Narodowym Związkiem na Rzecz Pełnej Niepodległości Angoli - i z jego południowoafrykańskimi poplecznikami. Umiał dobrze przewidywać posunięcia zarówno swoich wrogów, jak i przyjaciół. Obie strony konfliktu uznawały go za wybitnego taktyka i odważnego żołnierza. Przyglądał się przez chwilę mapie świadom skupionych na nim spojrzeń. Uderzył palcem w zakreślone czerwonym kółkiem skrzyżowanie dróg na dole mapy.
- Keetmanshoop jest jedynie pierwszym krokiem w inwazji, na pewno nie ostatnim. Przesunął palcem po drodze na północ i zatrzymał się.
- Tutaj. Właśnie tu muszą się skierować, żeby zwyciężyć. Windhoek. Stolica Namibii i zarazem centrum przemysłowe. Druga ręka Vegi podążyła teraz na zachód, w stronę namibijskiego wybrzeża. - Żaden doświadczony dowódca nie rozpocząłby pojedynczego ataku na tak ważny cel. Musi istnieć druga kolumna poruszająca się w głąb lądu od Walvis Bay... Dwie kolumny. Obie kierujące się w stronę Windhoek, żeby zmiażdżyć Namibijczyków. - Głośne klaśnięcie przestraszyło kilku młodszych oficerów w pokoju. Inni z uwagą rozpatrywali jego słowa. Rozumowanie Vegi było nienaganne. Po zdobyciu Windhoek

i pokonaniu młodej armii namibijskiej RPA mogłaby spokojnie kontrolować trzy czwarte linii kolejowych i kopalni cennych kruszców swojej dawnej kolonii. Tejeda spojrzął znad uwag zapisanych pospiesznie w trzymanym w ręce notatniku.

- Czy mamy jakieś informacje o ruchach wojsk południowoafrykańskich? Były jakiegokolwiek ostrzeżenia? Vega osobiście sprawdzał wszystkie dane zebrane przez DCI, kubańską służbę wywiadowczą.

- Nic, co wskazywałoby na zmasowaną operację. Oczywiście, przejrzymy wszystko ponownie i spróbujemy dopasować dane do obecnej sytuacji. - Skinął głową jednemu z oficerów, który wyprostował się na baczność i opuścił pokój. Tejeda wyglądał na jeszcze bardziej przejętego. - Czy Afrykanerzy mogą zwyciężyć?

- Na pewno, jeśli Pretoria zaangażuje dostateczną liczbę żołnierzy. W tym przypadku jest to sprawą kluczową. Namibia jest słaba, ale siedmiokrotnie większa od Kuby. - Vega urwał, zastanawiając się. - Vorster i jego szaleńcy musieliby wysłać niemal wszystkie regularne oddziały. Spowodowałyby to znaczne osłabienie na pozostałych frontach.

- Co możemy zrobić, żeby przeciwdziałać tej agresji? - spytał Tejeda.

- Teraz? - Vega założył ręce na plecach, przyglądając się na mapie dyslokacji wojsk. - Powstrzymać nasze wycofywanie się z Angoli. Wszystkie jednostki powinny zostać na miejscu, dopóki nie dowiemy się, co zamierza UNITA jestem pewien, że Południowoafrykańczycy użyją swoich. Odwrócił się od mapy, szukając szefa sztabu.

- Pułkownik Oliva, postawcie wszystkie jednostki w stan gotowości. Proszę powiedzieć dowódcom, że spodziewamy się nasilonych ataków ze strony UNITY. Przekażcie także ostrzeżenie Angolijczykom. Oliva odszedł do telefonu. Tejeda zbliżył się do Vegi.

- Jestem pewien, że Hawana zgodzi się na powstrzymanie wycofywania wojsk. Do tej pory udało nam się znacznie zwolnić ten proces. Vega potarł oczy i ciężko usiadł na krześle.

- Jeszcze rok i byłbym w domu. Cholerni Burowie nie mogą nikomu odpuścić. No i Amerykanie. Na pewno stoją za tym. - Wykrzywił się. - Tak długo, jak kapitaliści będą mieli swoje przyczółki w Afryce, nie będzie tu spokoju. Tejeda wyglądał na przejętego. Rzadko się zdarzało, żeby generał pokazywał po sobie zmęczenie czy emocje.

- Macie może jakieś pomysły?

- Nie w tej chwili, towarzyszu ambasadorze. - Vega miał zmęczony głos, jakby myślał o dalszej służbie w tym kraju odebrała mu całą energię. - Może wymyślę coś, gdy zdobędziemy więcej informacji. Do Centrum Dowodzenia wszedł sekretarz Tejedy.

- Dzwoni minister Herro, towarzyszu ambasadorze. Vega wyszedł, a Tejeda podniósł słuchawkę. Musiał przemyśleć kilka spraw.

## • Wiadomości CNN

Głos dziennikarza ze studia CNN w Atlancie wyrażał z troską. Tematem dnia była inwazja RPA na Namibię. W lewym, górnym rogu ekranu, nad wyciągniętym ramieniem dziennikarza pojawiła się mapa Namibii.

Osiem godzin temu. o świcie czasu lokalnego, lotnictwo, desant spadochronowy i czołgi południowoafrykańskie wdarły się głęboko na terytorium od niedawna niepodległego państwa, Namibii. Otrzymaliśmy informacje o ciężkich walkach i nie potwierdzone wiadomości o rozbrojeniu przez oddziały południowoafrykańskie i uwięzieniu w garnizonach sił pokojowych ONZ, stacjonujących wzdłuż granicy.

Dziennikarz zniknął z ekranu, a na jego miejscu ukazał się film z przemawiającym Vorsterem:

*Rozumiem, ale i dziwię się, że nasza interwencja zaskoczyła opinię światową. Przecież Pretoria wielokrotnie dawała do zrozumienia, że jest głęboko zaniepokojona postawą Namibii dającej schronienie czarnym partyzantom stanowiącym bezpośrednie zagrożenie dla naszej ojczyzny. Częste napady z ich strony są tego najlepszym*

przykładem.

Gniewna twarz Vorstera zniknęła z ekranu i na jej miejsce pojawił się zatroskany rzecznik prasowy rządu namibijskiego.

*Ten atak ma na celu ponowną dominację Pretorii nad naszym krajem. Namibia nie podda się. Nie cofniemy się przed walką. Wzywamy Radę Bezpieczeństwa ONZ do udzielenia nam pomocy w walce z agresorem.*

Ponownie na tle Białego Domu pokazał się prowadzący program dziennikarz.

*W Waszyngtonie Departament Stanu wydał krótkie oświadczenie potępiające agresję RPA. Oczekuje się, że Biały Dom wyda jeszcze dzisiaj własne oświadczenie w tej sprawie. A teraz podamy pozostałe wiadomości dnia: W miarę wprowadzania przez rząd Vorstera nowych środków bezpieczeństwa, w Południowej Afryce narasta fala gwałtownego oporu...*

### • **Ambasada kubańska, Luanda, Angola**

Nad Luandą zapadła noc, ale mało kto zwrócił na to uwagę. Pojedyncza lampa rzucała niezbyt dużo światła na stół, przy którym generał Antonio Vega samotnie kończył kolację, przeglądając ostatnie raporty z Windhoek. Nie miał jeszcze pełnego obrazu sytuacji, ale jedna rzecz była pewna. Młoda armia namibijska przegrywała i to bardzo szybko. A wojna trwała dopiero jeden dzień. Spojrzał zirytowany na kaprała Gomeza, który wsadził głowę przez uchylone drzwi z informacją, iż ambasador chce się z nim spotkać. Vega zaklął pod nosem, ułożył raporty w jeden plik i wyszedł z pokoju za Gomezem. Biuro Tejedy znajdowało się po drugiej stronie oświetlonego wewnętrznego dziedzińca - zabezpieczone przed ostrzałem potencjalnego snajpera. Było to konieczne, gdyż nienawiść Angolijczyków do nich rosła. Ambasador był już w garniturze, ale po ciężkim dniu wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego. Spojrzał uważnie na Vegę znad kartki z teleksu.

- Generale, otrzymaliśmy nowe rozkazy - powiedział pompatycznym, wydawało się komicznym, głosem. Ale Vega wiedział, że ambasador jest poważny. Tejeda nigdy nie pozwalał sobie na żarty z przysyłanych z Hawany rozkazów. Nie byłoby to rozsądne. Vega wziął od niego depezę. Nie była długa. Te naprawdę ważne nigdy nie są długie.

*Kuba zobowiązuje się do udzielenia pomocy obywatelom Namibii w ich walce z imperialistyczną agresją ze strony RPA. Podpisane dzisiaj porozumienie ze SWAPO uwzględnia wysłanie jednostek wojskowych Kuby do walki z faszystowskim najeźdźcą.*

Tejeda potwierdził to skinieniem głowy.

- Poda to radio Hawana... - spojrzał na zegarek - za jakieś pół godziny. Mam także dla was bezpośrednio rozkazy. Z Ministerstwa Obrony. Następny teleks. Tym razem dłuższy.

*Obszar działań jednostek dowodzonych przez generała Antonio Vega obejmuje od teraz także Namibię. Proszę użyć wszystkich oddziałów i nadsyłanych posiłków w celu wspomoczenia SWAPO w walce z siłami RPA.*

Pod spodem znajdowała się lista oddziałów i przewidywany czas ich przybycia. Vega poczuł lekki zawrót głowy. Samoloty bojowe, artyleria, oddziały piechoty - Fidel wyraźnie był zdecydowany wysłać najlepsze wojska kubańskie do walki z Afryką Południową. Istniały jednak pewne problemy.

- Towarzyszu ambasadorze, czy Rosjanie zgodzili się nas wesprzeć? - Vega wypowiedział pytanie przez zaciśnięte zęby. Świadczyło ono o trwającej wciąż zależności Kuby od coraz mniej godnego zaufania patrona. Obecność armii kubańskiej w Angoli była możliwa tylko wtedy, gdy radzieckie statki i samoloty utrzymywały ciągłość dostaw zaopatrzenia. Sama Kuba miała niewiele statków i kilka lekkich samolotów transportowych. Na pewno zbyt mało, żeby wysłać pokaźne siły własnych wojsk przez Atlantyk. Tak więc obietnice Castro wobec namibijskiego rządu były niemożliwe do spełnienia bez znaczącego wsparcia ze

strony Rosjan. Vega miał jednak niewiele złudzeń co do pomocy, jaką Moskwa była gotowa udzielić swoim socjalistycznym braciom. Tejeda uśmiechnął się lekko. Podzielał pogardę, jaką generał czuł względem "towarzyszy" z byłego ZSRR.

- Może to pana zdziwi, towarzyszu generale, ale odpowiedź Rosji na naszą prośbę wyjątkowo jest pozytywna. Sam minister obrony Pietrow zadzwonił do Castro, żeby poinformować go o przekazaniu nam czterech statków handlowych i 20 samolotów transportowych typu *Iljuszyn*. Wyślą nam także nowoczesne myśliwce *MiG*. Powinny przybyć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie do wiary. Oferta była wyjątkowo szczodra, szczególnie istotne były samoloty bojowe. Szczodra oferta! To właśnie było zastanawiające. W ostatnich czasach pomoc Rosji wobec polityki afrykańskiej Castro była nikła. Pograżony w morzu wewnętrznych kłopotów politycznych i gospodarczych Kreml zaczął nawet narzekać na wyższe od giełdowych ceny kubańskiego cukru. Utrzymanie tych cen pozwalało Kubie zasilać mocno chwiejącą się gospodarkę. Gdzie był haczyk?

- Czego Moskwa oczekuje w zamian za tę pomoc?

- Niczego, jak na razie. - Tejeda wzruszył ramionami. - Przypuszczalnie widzą jakieś korzyści w udzieleniu nam wsparcia. Jak by to powiedzieli Amerykanie, przeciwstawianie się Afryce Południowej tworzy im korzystny wizerunek w mediach.

- Ale czy stać nas na to? - zastanowił się Vega. Dobrze, że na razie Angola opłacała wojska kubańskie, odciążając tym gospodarkę Kuby. Ale co będzie, gdy wycofają się z tego? Cały ciężar utrzymania spadnie znowu na nich. A Kuba jest biednym krajem. Vega nie był zupełnie przekonany, czy jego ojczyzna udźwignie koszty wojny. Tejeda zmarszczył brwi. Pytanie Vegi było nie tylko defetyzmem, można je było nawet uznać za: krytykę decyzji Hawany. Nie było to w stylu generała.

- Towarzyszu generale, problemy te nie należą do waszych obowiązków. Minister spraw zagranicznych zapewnił mnie, że odpowiednie uzgodnienia są już negocjowane z Windhoek. Pieniądze nie będą przeszkodą w tej sprawie.

- W porządku - powiedział Vega. - Zawrzyjcie umowę na namibijskie diamenty. Proszę mi tylko nie mówić, że skończyły się środki, gdy zaangażuję w to wszystkich moich ludzi.

Tejeda spurpurowiał.

- Generale, proszę. Fidel już zobowiązał się poprzeć walkę Namibii o niezależność. Zobowiązanie to wypełnimy, nawet jeśli będą problemy finansowe. Vega nie wyglądał na przekonanego. Fidel Castro był zaciekłym rewolucjonistą, ale nie szaleńcem. Kuba stała na krawędzi przepaści. Zapal rewolucyjny nie był najlepszym środkiem zastępczym dla stałych dostaw amunicji, żywności i paliwa. Ambasador mówił dalej.

- Poza tym istnieją tu pewne ważne cele geopolityczne, których nie można zlekceważyć. Zawsze staraliśmy się stać na czele krajów Trzeciego Świata. Obecna walka, poświęcenie życia naszych obywateli w walce o wolność jednego z tych krajów poważnie zmieni opinię o nas na świecie. Państwa zachodnie będą zmuszone ujrzeć nas takimi, jakimi jesteśmy. Narzucone przez Waszyngton embargo zostanie złagodzone. Może nawet zniesione. Uśmiechnął się.

- Proszę się nie martwić, towarzyszu. Możemy sporo zyskać, zwyciężając w Namibii. Dostaniecie, generale, do dyspozycji wszelkie środki, jakie tylko będą potrzebne. Vega skinął głową. Dobrze. Więc Hawana jednak myślała realnie. Uzgodnione wycofywanie wojsk z Angoli mogło przecież za kończyć wpływy Castro na kontynencie. Jeszcze jedna klęska komunizmu w okresie lawinowego rozpadu systemu. Opuszczenie Luandy oznaczało także rezygnację ze znaczącego dopływu gotówki dla podupadającej gospodarki Kuby.

Jego własne powody podjęcia walki nie były aż tak skomplikowane. Vega chciał ugodzić Afrykę Południową, a przynajmniej pokrzyżować jej plany. Od czterech lat walczył ze wspieranymi przez Pretorię partyzantami UNITY. Każda potyczka oznaczała rannych i zabitych towarzyszy, a w dodatku żadna z nich nie była decydująca. Wojna w Angoli składała się z serii nie rozstrzygniętych bitew. Znużony latami nie kończącej się wojny Vega był gotów powrócić do domu, gdzie mógłby wypoczywać na plaży w ciepłe kubańskiego słońca. Inwazja na Namibię dawała mu teraz szansę podjęcia równej i zdecydowanej walki. Był do niej w pełni przygotowany. Kuba walczyła w Angoli od 1975 roku i w jego sztabie znajdowało się wielu doświadczonych oficerów, którzy potrafili bić się i znali warunki w południowej Afryce. Vega zdawał sobie także sprawę z ryzyka, jakie



Południowoafrykańczycy podjęli, decydując się na szybką kampanię. Ryzyko, na które dowódcy zgodzili się, gdyż nie oczekiwali poważniejszego oporu ze strony niedoświadczonej armii namibijskiej. Miał zamiar sprawić, że gorzko tego pożałują.

### • **Kwatera główna *Umkhonto we Sizwe* - Lusaka, Zambia**

Pułkownik Sese Luthuli odebrał kolejny telefon. Ktoś krzyczał w panice: - Tu Jonas! Zostało mu choć tyle rozsądku, żeby podać pseudonim, po myślał Luthuli.

- Otrzymałem raporty od moich komórek. Nadciągają Południowoafrykańczycy! Pułkowniku, zajęli obóz nad rzeką Gajab! Luthuli najchętniej zwymyślałby teraz Jonasa, szybko się jednak opanował. Dobrze znał swego rozmówcę. Wszyscy wysoko cenili jego zdolności organizacyjne, powszechnie było jednak wiadomo, że w obliczu bezpośredniego zagrożenia ten trzydziestoletni Murzyn z plemienia Ovimbundu po prostu traci głowę. Informacje tego człowieka od godziny były już nieaktualne. Luthuli musiał przekazać mu złe wiadomości w taki sposób, żeby go do reszty nie przerazić. Nikt nie wiedział, jak szybko wojska wroga posuwają się naprzód.

- Jonas, słuchaj uważnie. Odszukaj, kogo się tylko da z naszych ludzi i wynoście się jak najszybciej z Namibii. Armia RPA jest w natarciu i musimy ewakuować wszystkie nasze obozy...

- Ależ bez nich nasza organizacja się rozpadnie! Nasze zapasy, nasze...

- Będziemy musieli je odbudować - przerwał mu Luthuli. Musimy ratować, co się da i zacząć od nowa. Kwatera główna nie sądzi, żeby Afrykanerzy zaatakowali nasze bazy poza Namibią. Jeśli przedostaniecie się do Angoli czy Botswany, będziecie bezpieczni.

- Ale tak wiele stracimy! Czy nie powinniśmy zaatakować wroga? Luthuli uśmiechnął się lekko i pomyślał, że w tym człowieku zostało jednak trochę zapału.

- Zrobimy tak, ale to nie należy do was. Musicie szybko zorganizować ewakuację. Musimy żyć, żeby dalej walczyć. Powodzenia. Odkładając słuchawkę, słyszał jeszcze protesty i prośby o instrukcje. Wzruszył ramionami. Jakich rozkazów potrzebuje człowiek, żeby uciekać? Miał nadzieję, że w Angoli czy Botswanie przyjmą jego ludzi. Od czasu ZERWANEGO PRZYMIERZA skończyła się zagraniczna pomoc dla ANC. Przestały dopływać pieniądze z Ameryki i Europy, a nawet sprzęt z Chin. Obozy w Namibii przestały służyć jakimkolwiek celom. Można indoktrynować ludzi słowami, ale potrzeba czegoś więcej, żeby mogli walczyć. Luthuli okłamał Jonasa. Nie podjęli żadnej próby walki z armią Burów. *Umkhonto we Sizwe* było jedynie typową organizacją partyzancką. Zwykła komórka składała się z pięciu czy sześciu ludzi uzbrojonych w pistolety i karabiny. Cięższa broń, jak karabiny maszynowe czy granatniki służyła tylko do najpoważniejszych akcji. Kiedy jego ludzie przenosili się z miejsca na miejsce, pożyczali samochody osobowe albo szli pieszo. Rozsypane po całej Afryce Południowej małe grupki spędzały więcej czasu na ukrywaniu się przed siłami bezpieczeństwa Vorstera niż na przygotowywaniu ataków partyzanckich. Akcje, które doszły do skutku, były precyzyjnie planowane przez wiele dni. *Umkhonto* nie było groźniejszym przeciwnikiem dla południowoafrykańskiej maszyny wojennej niż małe dziecko walczące z bokserem wagi ciężkiej. Wszyscy jego partyzanci razem wzięci nie przedstawiali większej siły bojowej niż jeden batalion żołnierzy południowoafrykańskich. Luthuli spojrzął na wiszącą na ścianie mapę. Tylko garstce jego ludzi udało się przetrwać okres od objęcia władzy przez Vorstera. Zdawał sobie dobrze sprawę, że było to wynikiem ZERWANEGO PRZYMIERZA. Reformy Haymansa spowodowały zalegalizowanie ANC. Luthuli sprzeciwiał się tej decyzji, starając się za wszelką cenę utrzymać *Umkhonto* w podziemiu, tajne i potężne. Teraz zostało niemal całkowicie rozbite, a połowa jego przywódców i bojowników marniała w więzieniach. Luthuli nie zrezygnował jednak z walki. Oczywiście, był realistą. Ataki *Umkhonto* miały głównie cel polityczny – wyrzucić wpływ na pozostałych przywódców państw afrykańskich i poruszyć światową opinię publiczną. Ostrzelanie bazy wojskowej, wysadzenie linii kolejowej czy nawet zabójstwo polityczne służyły ukazaniu woli walki Afrykańczyków. To wszystko nie liczyło się jednak w czasie wojny. Kilka osób zabitych przez podłożoną w autobusie bombę nie mogło się równać z długą listą poległych na froncie. Jakikolwiek atak zorganizowany przez jego ludzi spowoduje, że zostaną potraktowani jak

przeciwnicy wojenni. ANC został zaskoczony przez rozwój wypadków. Konieczna była zmiana taktyki. Już dużo wcześniej Luthuli zdawał sobie sprawę z potrzeby reorganizacji ANC. Jednak bez pieniędzy i broni było to zadanie prawie niemożliwe do wykonania. Nie miał politycznego wsparcia, gdyż wiele państw uznało działania ANC za przyczynę obecnych kłopotów. A teraz jeszcze stracili obozy w Namibii. Nadszedł czas, aby zwrócić się o pomoc, poprosić o coś więcej niż pieniądze czy sprzęt. Wiedział, że będzie to ich drogo kosztować, ale jeśli *Umkhonto* nie otrzyma niezbędnego wsparcia, to szybko przestanie istnieć i walka zostanie zakończona. Istniało tylko jedno państwo, do którego mogli się zwrócić o pomoc. Tylko jeden kraj został wiemy marksistowskim ideom, mimo że jego mieszkańcy byli ubożsi nawet od Rosjan w czasie kryzysu. W Hawanie nadal płonął ogień rewolucji. Podniósł słuchawkę.

- **19 sierpnia - 20. Pułk Strzelców Przyłądkowych, na drodze numer 1, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Keetmanshoop**

Dym z płonącej wsi wzbijał się nad drogą, łącząc się z powietrzem wypełnionym spalinami i odorem kordytu. Po obu jej stronach, między zdemolowanymi domami i osmalonymi chatkami widać było bezładnie leżące ciała. Zaledwie na niektórych z nich można było rozpoznać strzępy policyjnych mundurów. Kilku oszołomionych ludzi siedziało koło studni, ich skamieniałe w przerażeniu i żalu twarze przypominały upiorne maski. Bezsensowny opór namibijskich policjantów dał oddziałowi majora Daana Vissera pretekst do rzezi. Pięć minut ostrzału z ciężkich karabinów maszynowych i kilka salw z działa kalibru 76 mm zamieniło małą namibijską wioskę w makabryczne pobojuwisko. Transportery opancerzone Vissera odjechały następnie z hałasem na północ, zostawiając jeńców i cały bałagan głównej kolumnie. *Kommandant* Henrik Kruger pokiwał głową i odwrócił wzrok, starając się skoncentrować na mapie. Kolorowymi ołówkami zaznaczono na niej ostatnie pozycje wszystkich oddziałów południowoafrykańskich i namibijskich. Od momentu przekroczenia granicy jechali bez wytchnienia. Najpierw na zachód, do Grunau, skąd po sforsowaniu stromo wznoszącej się drogi na Górę Karas podążali na północ, w kierunku Keetmanshoop. Tamtejsze lotnisko było już opanowane przez spadochroniarzy.

- **20 sierpnia - klucz panther, nad Windhoek**

Porucznik Andreis Stegman zawsze lubił latać i cenił sobie każdą chwilę w powietrzu. Dlaczego by nie? Był jednym z najlepszych pilotów w SAAF, Siłach Powietrznych Południowej Afryki. Musiał nim być, skoro wybrano go do pilotowania jednego z trzydziestu *Mirage F.1 CZ* - najnowocześniejszych samolotów myśliwskich, jakie posiadała RPA. *Mirage* był pięknym myśliwcem, szybkim i zwrotnym. Wprawdzie produkowane w kraju rakiety typu powietrze-powietrze nie były najnowocześniejsze, ale Stegman uważał, że da sobie radę z każdym przeciwnikiem. Stegman i jego skrzydłowy, porucznik Klaus de Vert, odbywali właśnie lot zwiadowczy nad Windhoek. To, że mogli zataczać kręgi nad stolicą Namibii bez jakichkolwiek oznak oporu potwierdzało przewagę powietrzną Afryki Południowej. Żałosna garstka przestarzałych samolotów namibijskich została niemal całkowicie zniszczona już pierwszego dnia inwazji - rozbita na ziemi lub beznadziejnie łatwo zestrzelona w powietrzu. Dwa *Mirage* krążyły wolno na pułapie jedenastu tysięcy metrów, wznosząc się nad pokrywą lekkich chmur, cztery tysiące metrów niżej. Na tej wysokości nie było żadnych turbulencji. Poza miejscami, gdzie kilka wolno sunących chmur zasłaniało widok, Stegman mógł w każdym kierunku oglądać ponad trzysta kilometrów brązowej powierzchni południowej Afryki. Nie był to szczególnie ekscytujący lot, ale Stegmanowi to nie przeszkadzało. Postarał się skoncentrować na otrzymanym zadaniu. Mieli zaatakować każdy samolot nieprzyjaciela, który zbliżyłby się do nich, ale ich głównym celem była kontrola lotniska stolicy. Wszystkie startujące lub lądujące samoloty transportowe były dla *Mirage* celem tak łatwym jak kaczki. Stegman na zmianę kontrolował niebo, ekran radaru i instrumenty pokładowe samolotu. Ten nawyk już dawno stał się jego drugą naturą. Miał wylatanych pięćset godzin na myśliwcach i jedno zestrzelenie na koncie. Uśmiechnął się

złowieszczo pod maską tlenową, przypominając sobie zaciętą walkę. Miało to miejsce nad Angolą w czasie ostatniej większej ofensywy SADF. W tym czasie wspomagali UNITĘ odpierającą połączoną ofensywę wojsk rządowych i kubańskich. Stegman, wtedy jeszcze podporucznik, leciał jako skrzydłowy kapitana de Kloofa w czasie rutynowego patrolu obszaru operacyjnego. Zostali zaskoczeni przez dwa *MiGi-23*, które zniemacka pojawiły się z wyłączonymi radarami jak w klasycznej zasadzce. Według wszelkich praw wojny on i de Kloof powinni zginąć. Samoloty produkcji radzieckiej były zdecydowanie szybsze i wyposażone w naprowadzane radarem rakiety. Stegman przekonał się tego dnia, co jest ważniejsze - maszyna czy pilot. Po kilkunastu sekundach szalonych ewolucji udało im się wejść na ogon *MiGów*. Dwa celne strzały raketami zapewniły Afrykanerom po jednym zestrzeleniu. Była to pierwszorzędna lekcja i Stegman zawsze z przyjemnością wspominał tamtą walkę. Było mu obojętne, kogo zestrzelili, przeciwnik im nie dorównywał, tylko to się liczyło. Po tym zwycięstwie Stegman awansował na pilota prowadzącego, a major de Kloof został dowódcą jego dywizjonu. Sprawdził poziom paliwa. Znajdowali się osiemset kilometrów od bazy, a *Mirage* szybko zużywa paliwo, szczególnie w walce. Ta sama ilość, która wystarczała na godzinny lot patrolowy, spalała się w ciągu trzech minut walki. W porządku. Zużyli dopiero połowę paliwa przeznaczonego na patrol i mieli jeszcze niezłą rezerwę. Naraz w słuchawkach rozległ się ostry dźwięk ostrzegacza radarowego - oznaczało to, że są namierzani przez radary nieprzyjaciela. Stegman wyłączył sygnał i spojrzął na monitor pokazujący wąski wachlarz linii z północnego zachodu. Każda linia przedstawiała położenie radaru samolotu wroga; impulsy były odbierane przez czujniki umieszczone na końcach skrzydeł *Mirage*.

- Klaus, bandyci na trzeciej godzinie! Porucznik usłyszał, jak de Vert dwukrotnie naciska przycisk mikrofonu dla potwierdzenia przyjęcia ostrzeżenia. Stegman wiedział, że sto metrów niżej jego skrzydłowy ustawia się z nim w jednej linii w odległości kilometra od niego. Wszystko odbywało się bez jakichkolwiek rozkazów. W czasie walki nie było czasu na rozmowy czy nawet dłuższe rozkazy. Każde polecenie przekraczające jedno zdanie było już za długie. Podczas nie kończących się ćwiczeń dowódca klucza i jego skrzydłowy wypracowywali sensowny zbiór zasad i manewrów. Siły Powietrzne zalecały pewne ogólne procedury, ale każde zgranie pary pilotów musiało uwzględniać ich zdolności i indywidualne style walki. W rezultacie technika wspólnej walki uwzględniała każdą ewentualność w kilkudziesięciu możliwych sytuacjach i określała, co każdy pilot ma bez namysłu robić. Dowódca wolałby dać się zestrzelić, niż wykonać nie uzgodniony manewr, ponieważ ryzykowałby w ten sposób życie skrzydłowego. Ekran radaru kontroli obszaru Stegmana był pusty, co oznaczało, że nieprzyjacielskie samoloty znajdowały się co najmniej trzydzieści kilometrów od nich. Francuski radar *Cyrano IV* pozwalał dostrzec większy samolot z odległości pięćdziesięciu kilometrów, ale samoloty transportowe nie posiadały radarów namierzających cel. Bandyci musieli więc być myśliwcami. Sprawdził jeszcze raz monitor ostrzegacza radarowego i zauważył, że wrogie impulsy zniknęły. Ciekawe. Bandyci mogli wyłączyć swoje radary albo wycofać się. Stegman miał nadzieję, że nie zawrócili. Chciał zestrzelić drugi samolot w swojej karierze. Afrykaner nacisnął przycisk mikrofonu, zmieniając jednocześnie częstotliwość.

- Springbok, tu dowódca Panther. Natychmiast zgłosił się kontroler lotów z bazy lotniczej w Upington osiemset kilometrów na południe. Stegman zwięźle przedstawił sytuację i otrzymał obietnicę, że zostaną wysłane jeszcze dwa myśliwce do pomocy. Znajdowali się jednak o pięćdziesiąt minut lotu od Upington. Musieli sami dać sobie radę. Doszedł do wniosku, że zbliżanie przy dużej prędkości nie jest najlepszym wyjściem. Nie mieli aż tyle paliwa, a ich głównym celem było kontrolowanie obszaru nad Windhoek. Mogła to być przecież zasadzka mająca na celu odciążenie ich dostatecznie daleko, żeby wrogie samoloty transportowe mogły wylądować czy wystartować. Są. Na radarze pojawiły się cztery świecące punkty. Patrzył uważnie na ekran, starając się dowiedzieć czegoś więcej o samolotach. Bandyci lecieli znacznie niżej i poruszali się bardzo szybko. Cholernie szybko. Nawet przy jego niewielkim tempie zbliżali się do siebie z prędkością ponad dwóch tysięcy kilometrów na godzinę! Uświadomił sobie, że wróg leci na dopalaczach.

- Zbliżamy się i atakujemy. Odrzuć zbiorniki! - Stegman przesunął manetkę przepustnicy do przodu i nakierował radar na samolot prowadzący. Zazwyczaj zbiorniki pod skrzydłowe

wracały do bazy, gdzie je ponownie napełniano, jednak ich rozmiary i masa pogarszały zwrotność samolotu. Wkraczanie do walki ze zbiornikami przypominałoby wejście na ring ze stalową kulą uwiązaną łańcuchem do nogi. Sprawdził wszystkie kontrolki uzbrojenia i wybrał raketę *Kukri*. Używano ich w walce na małą odległość. *Mirage* miał cztery takie - naprowadzane na podczerwień - rakiety podwieszane na końcówkach skrzydeł oraz działko pokładowe kalibru 30 mm. Ostrzegacz radarowy znowu się odezwał. Bandyci musieli zauważyć ich wcześniej, a teraz włączyli radary, aby naprowadzić na cel odpalone rakiety.

- Wymykamy się! - Ostrzegł de Verta. Stegman wstrzymał oddech i popchnął manetkę przepustnicy do przodu, włączając dopalacz. Usłyszał ryk, gdy po wtłoczeniu paliwa do dysz gwałtownie wzrósł ciąg silników. Siła przyspieszenia wgniotła go w fotel. Prędkość samolotu zwiększyła się dwukrotnie, osiągając tysiąc dwieście kilometrów na godzinę, jednocześnie szybko zaczęła opadać wskazówka poziomu paliwa. Rozejrzał się po niebie, starając się wypatrzeć ślady nieprzyjacielskich rakiet i zastanawiając się nad informacjami przekazanymi im przez wywiad wojskowy. *MiGi-23* lotnictwa Angoli uzbrojone były w radzieckie rakiety *M-1 Apex* naprowadzane radarem, nie najgorsze, ale chłopcy z wywiadu mówili, że można je oszukać za pomocą "wabików" z pasków metalizowanej folii i gwałtownych uników. Było prawdopodobne, że przy tak dużej prędkości zbliżania się samolotu i rakiet może ona nie zdążyć zareagować na zwroty wykonane w ostatniej chwili. Dodatkowy efekt wywołują paski folii, powodujące powstanie fałszywych ech radarowych. Były szanse na "zgubienie" rakiet. Są! Dojrzał białe smugi dymu szybko zbliżające się z dołu. Uruchamiając wyrzutnik folii w półsekundowych odstępach, jednocześnie wprowadził *Mirage* w serię ciasnych skrętów. Spojrzał przez ramię na maszynę de Verta i z ulgą zobaczył, że jego skrzydłowy także wyrzuca paski folii i kręci się jak szalony. Siła odśrodkowa wciskała go przy każdym wirażu w fotel i tylko z najwyższym wysiłkiem był w stanie przez cały czas obserwować nadchodzące rakiety. Widział teraz cztery smugi dymu. Dwie rakiety mierzyły w niego. Stegman wprowadził *Mirage* w jeszcze ostrzejszy zakręt. No, Już! Mińcie mnie! jedna z rakiet straciła trop i przeleciała obok. Jednak smuga pozostawiana przez drugą zakręciła za nim i zbliżała się do samolotu. Cholera! jeszcze tylko sekundy. Wcisnął znowu przycisk wyrzutnika folii i wykonał tak ciasny zakręt, osiągając przeciążenie siedem czy osiem G, że niemal słyszał skrzypienie skrzydeł *Mirage*. Stracił raketę z oczu i w tym momencie pomyślał, że już po nim. Z tyłu usłyszał głośną eksplozję, jednak nie było towarzyszącej jej fali uderzeniowej, ognia czy mrugającego czerwonego światła informującego o uszkodzeniach. Dzięki Bogu! Rakietę musiała stracić trop w ostatniej chwili. Stegman ciężko westchnął, wyrównał lot i zaczął się rozglądać na wszystkie strony za de Vertem. Ujrzał go wreszcie. Pomarańczowo-czerwona kula ognia spadająca bez żadnej kontroli w stronę ziemi. De Vert nie miał szczęścia. Stegman nie miał czasu na żal po stracie kolegi. Będzie mógł to zrobić później. Teraz sam był w opałach. Zaczął szukać nieprzyjaciela, omiatając wzrokiem rozpływające się już w powietrzu smugi rakiet. Bandyci powinni znajdować się w zasięgu wzroku... chociaż przeleciał spory kawałek na dopalaczu.

Znalazł ich. Dostrzegł małe kropki - bladoszare na tle jasnego nieba - to był nieprzyjaciel, przed nim i na lewo. Cztery maszyny rozdzieliły się właśnie parami. Uśmiechnął się złowieszczo. Błąd. Bynajmniej nie zamierzał panikować tylko dlatego, że stosunek sił wynosił cztery do jednego. Wyrówna szanse, koncentrując się na jednym przeciwniku. Pochylił nieco nos *Mirage*, żeby odciążyć skrzydła i zaraz go poderwał ostro do góry. Skręcając w stronę bandytów, zauważył coś dziwnego. To nie były *MiGi-23 Flogger*, zostali zaatakowani przez jakieś inne myśliwce. Wyraźnie widział podwójne usterzenie pionowe i spłaszczony kadłub - *Floggery* zaś miały pojedynczy ster kierunku, owalny kadłub i skrzydła o zmiennej geometrii. Najbliższa para uciekała przed nim, starając się prawdopodobnie wciągnąć go w pościg. Niezła gratka. Trzymał się ich przez kilka sekund, włączając system kierowania ogniem. jeden z bandytów znalazł się w polu działającego na podczerwień urządzenia naprowadzającego pociski *Kukri*. Brzęczyk! Gdy tylko usłyszał ćwierkotliwy sygnał urządzenia namierzającego głowicy rakiety, nacisnął znajdujący się na drążku przycisk i ostro odszedł w prawo. Lekkie szarpnięcie upewniło go, że *Kukri* uwolniła się i zmierzała już do celu. Dwa dalsze odrzutowce szybko kierowały się w jego stronę i nagle ujrzał płomień wystrzelający spod skrzydła samolotu prowadzącego. Jezu! Zawrócił w ich stronę i po wykonaniu początkowej beczki, nie przestając obracać się wokół własnej osi,

starał się uwolnić od nadchodzącej rakiety. Czerwona smuga przemknęła koło kabiny i zniknęła. Trzy samoloty, lecąc ku sobie z łączną prędkością ponad dwóch tysięcy kilometrów na godzinę, minęły się w ułamku sekundy - pozwalając jednak Stegmanowi przyjrzeć się uważniej wrogowi. *MiGi-29 Fulcrum!* jeszcze ciekawsze były ich oznaczenia. Kamuflaż był szary, a na usterzeniu znajdowały się granatowo-czerwone symbole. Samoloty używane przez lotnictwo Angoli latały w malowaniu pustynnym i były oznakowane czarno-czerwonym godłem przypominającym I-Cing. Co się tu, u diabła, dzieje? Skręcił w prawo i jednocześnie zanurkował, mając nadzieję, że przez kilka sekund będzie go trudniej dostrzec na tle ziemi. Powinno mu to dać czas na wybranie następnego celu. Białoszara kula dymu i pomarańczowych płomieni spadała ku ziemi po jego prawej stronie. Jego *Kukri* trafiła! Mógł zaliczyć sobie kolejnego *MiGa*. Za de Verta. Stegman cały czas bacznie obserwował niebo wokół samolotu. W czasie szybkiej walki rzeczą najcenniejszą dla pilota była "świadomość sytuacyjna" - zdolność rejestrowania pozycji własnego samolotu, samolotów towarzyszących i maszyn wroga, ich kursów w trójwymiarowej przestrzeni i użycia tej wiedzy do zestrzelenia nieprzyjaciela. Wiedział, że dwa *MiGi-29* skręcały, podążając za nim i widział trzeci samolot z lewej strony za sobą. Zaklął pod nosem. Podczas walki jeden samolot nieprzyjacielski na ogonie był już poważnym zagrożeniem, trzy oznaczały niezłe kłopoty. Jakby dla potwierdzenia jego obaw ostrzegacz radarowy wydał przejmujący dźwięk, sygnalizując kolejną rakietę *M-1 Apex*.. Stegman przesunął drążek w prawo, obracając samolot i skierował go w dół. Nos *Mirage* wycelował prosto w stronę ziemi. Prędkość zaczęła szybko wzrastać, gdy siła grawitacji pospieszyła z pomocą silnikowi. Stosując się do starego powiedzenia pilotów mówiącego, że "prędkość oznacza życie", zdecydował się zejść z wyższego pułapu w zamian za nabranie prędkości. jednocześnie obrócił *Mirage*, starając się wypatrzeć wroga. Znalazł szybko najpierw pojedynczą kropkę i zaraz potem dwie następne. Naprowadzane radarem rakiety zgubiły ślad zdezorientowane nagłym zanurkowaniem celu w stronę przepełnionej mylącymi echemi ziemi. Wszystkie *MiGi* znajdowały się cztery tysiące metrów nad nim. Stegman poczuł ból w uszach i ziewnął, żeby wyrównać ciśnienie. Stracił sporo na wysokości i musiał się natychmiast zdecydować, co robić dalej. Atakować czy uciekać? Miał ochotę jeszcze wrócić i zestrzelić, jeden po drugim, trzy *MiGi*. Szanse jednak nie były zbyt duże. Nieprzyjaciel popełniał zbyt mało pomyłek. Nie, czas na rozwałkę. Przechylił samolot jeszcze o kilka stopni, kierując jego nos na południowy wschód i zaczął wychodzić z lotu nurkowego. Przeciężenie wcisnęło go w fotel, ale zdołał utrzymać głowę tak, by móc widzieć wysokościomierz. Trzy tysiące metrów. Dwa tysiące. Tysiąc pięćset. Drżąca wskazówka zaczęła zwalniać, gdy wyrównał lot na wysokości tysiąca metrów. kierując się na południowy wschód z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Spojrzał przez ramię do tyłu. starając się wypatrzeć oznaki pościgu. Jeśli *MiGi* chciały go złapać. to musiały zwiększyć prędkość i spalając więcej paliwa. oddalić się od bazy. Stegman zwolnił nieco i spojrzał ze złością na wskaźnik paliwa. *Verdomde MiGi* mają jeszcze szanse na kolejne zestrzelenie. Upington był oddalony o ponad siedemset kilometrów, a on spalił zbyt dużo paliwa w czasie walki. Jeśli będzie miał szczęście. to *Mirage* powinien utrzymać się dostatecznie długo w powietrzu, żeby dotrzeć do lotniska w Keetmanshoop. Klnąc ciężko pod nosem, Stegman sięgnął po mapę i zaczął wytyczać nowy kurs na południe. Nie był to jego najlepszy dzień.

## • Klucz *MiGów-29*. nad Windhoek

Pięćdziesiąt kilometrów z tyłu trzy *MiGi-29 Fulcrum* krążyły na wysokości jedenastu tysięcy metrów, kiwając triumfalnie skrzydłami. Południowoafrykański *Mirage* postąpił zgodnie z nadaną mu nazwą. znikając z pola walki po wstępnej wymianie ognia. Kapitan Miguel Ferentez spróbował przywrócić porządek na falach radiowych.

- Cisza! Poruczniku Rivas, jesteście pilotem, a nie cyrkowcem! Jorge. to jest pasmo operacyjne, a nie mikrofon na stadionie! Zamknijcie się! Nikt nie odpowiedział. Ferentez wiedział, że byli zawstydzeni swoimi radosnymi krzykami i wzajemnymi gratulacjami. Żaden z nich nie widział jeszcze walki. Nawet kapitan, który latał nad Angolą na *MiGu-21*, nigdy jeszcze nie walczył z innym samolotem. Ferentez był przede wszystkim zawodowcem

i potrafił pohamować swoje emocje. Mieli zadanie do wykonania. Sprawdził przyrządy. Zadowolony z ich wskazań zmienił częstotliwość, łącząc się z kontrolerami w bazie lotniczej w Ondjiva, sześćset kilometrów na północ - przy granicy z Angolą.

- Windhoek jest czyste. Mamy paliwa jeszcze na dziesięć minut patrolu. Ferentez żałował, że drugi *Mirage* uciekł z pola walki. Wyeliminowanie całego południowoafrykańskiego patrolu byłoby pierwszym wielkim zwycięstwem. Udało im się jednak wypełnić swoją misję. Lecący z Luandy z własną ochroną myśliwców transport wojsk. broni i żywności znajdował się o trzydzieści minut lotu od Windhoek. Teraz będą mogli wylądować bez przeszkód - dzięki jego *MiGom*. Ferentez uśmiechnął się lekko. Pretoria nie mogła zignorować kubańskiego udziału w tej wojnie. Dzisiejsza zwycięska walka nad namibijską stolicą była dopiero pierwszą z wielu.

## • Departament Stanu USA, Waszyngton

Biuro Eda Hurleya było wypełnione książkami. Większość z nich dotyczyła Afryki, ale było także mnóstwo innych. Starał się, co prawda, utrzymać porządek w pokoju, jednak niemal zawsze miał pięć równoległych projektów do przygotowania. Papiery spadały z dużego stołu i stertami zalegały podłogę. Światło poranka padało prosto na jego biurko, także zawałone dokumentami, ale głównie tymi ważniejszymi. Oświetlało także zgiętą postać Hurleya, który starał się ułożyć wszystkie informacje w jakiś zgodny obraz wydarzeń rozgrywających się w Afryce Południowej. Przetarł oczy. Od czasu wybuchu wojny namibijskiej nikt z jego znajomych nie miał okazji porządnie się wyspać. Sam ostatnie trzy noce spędził na budowaniu obrazu wydarzeń. Czuł się przepracowany i niewyspany, a szef wciąż go ponaglał. Na szczęście mógł już odpowiedzieć na niektóre pytania. Z chaosu wyłaniał się pewien obraz sytuacji, zbudowany na fragmentarycznych informacjach i pogłoskach. Wiedział dobrze, że wyciąganie pospiesznych wniosków zawsze było ryzykowne. Opierając się na zdjęciach satelitarnych, raportach z ambasady i wiadomościach z gazet, mógł powiedzieć, że rząd Vorstera dosyć sprawnie odzyskiwał utraconą nie tak dawno Namibię. Hurley uśmiechnął się smętnie. Spełniły się ich wszystkie obawy. Przypominając sobie swoje niechętnie przepowiednie, zastanawiał się, czy wydarzenia te rozbiją RPA. Jak na razie była to tylko kolejna wojna. Musiał tylko dowiedzieć się jak najwięcej, uporządkować kawałki łamigłówki i sprawdzić, w jakim stopniu dotyczy to Stanów Zjednoczonych. Wykonywał już tę pracę wielokrotnie i był w tym naprawdę dobry. Spojrzał na zegarek. Za dwie godziny miało się odbyć spotkanie Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Miał dosyć czasu, żeby przygotować wszystkie dokumenty, wziąć prysznic i coś zjeść. Zebrał podręczne notatki, porządkując je jednocześnie dla maszynistki. Kończył już, gdy w uchylone drzwi zastukał sekretarz. Bill Rock, chudy chłopak z Wirginii, był jego asystentem. Pracował niemal równie długo jak jego szef i było to po nim widać. Wręczył Hurleyowi plik papierów.

- Ed, lepiej sprawdź to od razu. To ważne. Hurley wziął od niego dokumenty i zaczął się rozglądać za wolnym miejscem na biurku. I tak było za późno, żeby dodawać jeszcze jakieś szczegóły. Rock spostrzegł jego zamiar i sprzeciwił się.

- Szefie, mówię poważnie. Nasi ludzie odbierają mnóstwo transmisji radiowych po hiszpańsku - na południe od granicy Angoli z Namibią. Sprawdziłem sekcję kubańską i jest tam straszna bieżączka. Hurley westchnął i zaczął przeglądać papiery, przerzucając je najpierw wolno, ale przyspieszając, gdy przeczytał już kilka. W końcu czytał już tylko nagłówek na każdej kolejnej stronie. Spojrzał zamyślonym wzrokiem na Rocka.

- Zdobądź więcej - poprosił i sięgnął po słuchawkę. Wystukał czterocyfrowy numer, poczekał na sygnał i odezwał się.

- Mówi zastępca sekretarza stanu Hurley. Muszę natychmiast rozmawiać z sekretarzem.

## Blokada drogowa

- **23 sierpnia - 20. Pułk Strzelców Przylądkowych. koto Bergland. 40 kilometrów na południe od Windhoek**

Droga numer 1 biegła prosto przez małą wioskę Bergland i wznosząc się, wrzynała głęboko w poszarpane Góry Auas. Na północ od Bergland Afrykanerzy zdecydowali się kiedyś poprowadzić drogę przez rozciągający się ze wschodu na zachód stromy grzbiet górski, pokryty skałami i krzewami. Uzbrojeni w dynamit i buldożery zrobili pięćdziesięciometrowy wyłom w skale, wybudowali drogę i przesunęli się dalej, nie zastanawiając się nawet przez chwilę nad kłopotami, które mogą spotkać przyszłych najeźdźców. Nie przyszło im do głowy, że ich synowie znajdą się wśród ludzi, którzy będą musieli torować sobie przejście przez tę pułapkę. Wąskie uliczki Bergland były zapchane opancerzonymi wozami i ciężarówkami z żołnierzami. Masywne sylwetki pojazdów, a zwłaszcza pancerne wieże wyglądały wyjątkowo obco wśród pamiętających jeszcze czasu niemieckiego kolonializmu, staromodnych domków i sklepów o spiczastych dachach. Południowoafrykańska kolumna wojskowa została nieoczekiwanie zmuszona do całkowitego zatrzymania się. *Kommandant* Henrik Kruger wyskoczył z *Ratela*, zanim ten jeszcze się na dobre zatrzymał, i podbiegł do małej grupki pokrytych pyłem oficerów zebranych koło opancerzonego wozu bojowego *Rooikat*. Z jego ramienia zwiślał mapnik i manierka. Młody porucznik podążył za nim. Major Daan Visser spostrzegł nadbiegającego dowódcę i stanął na baczność. Reszta oficerów poszła natychmiast za jego przykładem. Na ich twarzach widać było zmęczenie. Przekrwione oczy Vissera były otoczone ciemnym obwódkami, a plamy potu, oleju i brudu tworzyły nowe wzory maskujące na jego mundurze. Pięć dni nieustającej jazdy, przerywanej jedynie krwawymi potyczkami, zostawiło swoje ślady.

- Daan, co nas tu trzyma? - Kruger nie zamierzał tracić cennego czasu na zbędne grzeczności. Jego batalion miał niemal cały dzień spóźnienia. Plan był nierealny, ale z Pretorii wciąż wysyłano ponaglające rozkazy.

- Moi chłopcy natknęli się na jakichś prawdziwych drani siedzących za tym pasmem. - Major wskazał na północ, ostro wymawiając każde słowo z mieszaniną zmęczenia i podniecenia.

- Złapali nas, gdy wychodziliśmy z tego przejścia. Kruger podniósł lornetkę, żeby obejrzeć wskazane miejsce. Dwupasmowa droga przecinała łańcuch gór, powyżej biegła ścieżka. Wąskie przejście pozwalało na przejazd najwyżej dwóch samochodów. *Kommandant* był pewien, że każda broń przeciwczołgowa, jaką posiadał nieprzyjaciel, była teraz wycelowana w ten punkt. Oglądał pasmo gór, szukając innego przejścia, a major w tym czasie kontynuował raport.

- Ostrzelali nas, jak tylko wyjechaliśmy i nie było czasu na przegrupowanie. Postawiliśmy zasłonę dymną i szybko wycofaliśmy się. Kruger skinął głową, zgadzając się z decyzją Vissera. Przełęcz stanowiła śmiertelną pułapkę dla każdego, kto chciałby się przez nią przedrzeć.

- Jakie straty? Na szczęście, żadnych. Ale niewiele brakowało. - Vissera wskazał ręką na cienki przewód zaplątany wokół wieży *Rooikata*. - O mały włos jakiś *kaffir* posłałby mnie do nieba tym pieprzonym *Saggerem*. Kruger gwizdnął cicho. *Sagger*, kierowana

przewodowo rakietą przeciwczołgowa, musiała minąć o kilka centymetrów wieżę *Rooikata* - zostawiając na niej drut jako świadectwo niemal celnego strzału. Oddziały namibijskie po drugiej stronie przełęczy mogły mieć tylko jeden zamiar: zatrzymać ich batalion tu i teraz. Bardzo dobrze. jeśli Namibijczycy ryzykują podjęcie walki, to będą ją mieli. Im więcej zabijają teraz żołnierzy SWAPO, tym mniej będą mieli roboty później. Kruger spojrzął na strome zbocze wzgórza. Mógłbyś wprowadzić na to swoje wozy? Visser skinął twierdząco głową.

- Nie ma sprawy. Będę tylko potrzebował piechoty i wsparcia artyleryjskiego, żeby rozprawić się z tymi *blery* raketami.

- Dostaniesz je. - Kruger otworzył mapnik i zerknął na przyszłe pole bitwy. Nie było to najlepsze miejsce na jej rozgrywanie. Gęste kępy zarośli i niskich drzew, nagie skały i poszarpane wzgórza zapewniały dobrą ochronę broniącym się oddziałom. Nie podobał mu się pomysł frontального ataku na te pozycje, ale nie miał żadnej rozsądnej propozycji. Nie miał też czasu. Wybranie innej drogi do Windhoek oznaczałoby cofnięcie się o sześćdziesiąt kilometrów i trzysta kilometrów jazdy górkami ścieżkami. Kruger patrzył niechętnie na mapę. Nie została mu żadna bezkrwawa opcja. Batalion będzie musiał pokonać wawóz za Bergland i dotrzeć do doliny opanowanej przez wojska namibijskie, polegając jedynie na swoim wyszkoleniu, wysokim morale i sile ogniowej. Odwrócił się do młodego porucznika o chłopiących rysach twarzy.

- Powiadom wszystkich dowódców kompanii, że za piętnaście minut mają się ze mną tutaj spotkać. Operacja NIMROD rozwijała się.

#### • **Punkt dowodzenia 8. Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej. Kubański Korpus Ekspedycyjny. na północ od Bergland**

Kapitan Victor Mares przykucnął pod brązową siatką maskującą, zarzuconą na jego transporter opancerzony *BTR-60*. Pokręcił ze zdziwieniem głową, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał w słuchawkach.

- Proszę to powtórzyć, towarzyszu pułkowniku. Uprzejmy głos dowódcy batalionu zabrzmiał teraz znacznie ostrzej.

- Dobrze mnie usłyszeliście za pierwszym razem, kapitanie. Macie utrzymać waszą pozycję. Nie otrzymujecie zezwolenia na wycofanie się. Powtarzam, nie zezwalam na wycofanie się. Nasi socjalistyczni bracia polegają na nas. Proszę o tym nie zapominać. Koniec. Rozmowa skończyła się i w słuchawkach rozległy się zakłócenia. Mares ściągnął słuchawki i wręczył je swojemu radiowcowi. Czy pułkownik oszalał? Czy ten idiota rzeczywiście oczekiwał, iż jego dwie kompanie piechoty, kilka drużyn z raketami przeciwczołgowymi i działon 57-milimetrowych dział bezodrzutowych powstrzymają całą zbliżającą się południowoafrykańską kolumnę? To czyste szaleństwo. Zanurzył się pod maskującą siatkę i schylony podszedł do kępy drzew, gdzie czekała grupa dowódców. Siedzący za skałami i drzewami żołnierze spoglądali nerwowo w jego stronę. Większość z nich była uzbrojona w karabiny maszynowe *AKM*, ale niektórzy mieli lekkie, ręczne karabiny maszynowe *RPK* lub granatniki *RPG-7*. Piętnaście pozostałych *BTR-60* i reszta oddziałów piechoty było rozrzucone wzdłuż trzystumetrowej linii znajdującej się naprzeciw trzymanej przez Afrykanerów grani - schowanych, gdzie tylko było to możliwe, za skałami, krzakami i w płytkich dołkach. Żołnierze nie mieli nawet czasu na okopanie się. Beznadziejna sprawa, pomyślał kapitan. Mares i jego ludzie zostali pospiesznie wysłani z ich pozycji na południe od Windhoek, żeby zablokować drogę między stolicą a Bergland. Nie udało im się jednak zdążyć na czas, żeby zająć także przełęcz na północ od wioski. Mares oceniał pozycję jako nie nadającą się do utrzymania. Pasma górskie uniemożliwiało jego kompaniom zajęcie dobrych pozycji strzeleckich - pozwalając za to żołnierzom RPA na bezpieczne przegrupowanie swoich sił. Mogli teraz zaatakować jego rozciągnięte linie bez ostrzeżenia, w dowolnym punkcie. Na dodatek, jego przezorny politycznie, ale niezbyt biegły w sprawach taktyki dowódca zabronił im wycofać się na bardziej nadającą się do obrony pozycję, bliżej Windhoek. Wszystko po to, żeby pokazać Namibijczykom kubańską odwagę i determinację. Wspaniale. Jego żołnierze mieli być poświęceni dla dowiedzenia politycznej



racji. Zupełne szaleństwo.

- Kapitanie! - zawołał młody porucznik. Przytrzymując ręką hełm, Mares szybko podbiegł wzdłuż linii. Porucznik przykucnął za skałą, oglądając przełęcz przez lornetkę.

- Kapitanie, widzę poruszające się postacie. Tam, wśród skał są ludzie. - Wskazał palcem. Mares podniósł własną lornetkę do oczu. W szklach pojawiły się maleńkie figurki w mundurach. Piechota albo zwiadowcy szukający schronienia. Poklepał porucznika po ramieniu.

- Masz dobre oczy, Miguel. Patrz dalej. Młody oficer uśmiechnął się wstydliwie. Mares podniósł się i ciężko dysząc, pognął do swojego wozu. Południowoafrykańczycy mogli mieć w tej walce przewagę, ale on też miał dla nich kilka niespodzianek. Kilka wybuchowych niespodzianek. Kapitan zatrzymał się przy zamaskowanym *IJIR-60* i wziął do ręki mikrofon.

- Kwatera, proszę o wsparcie artyleryjskie! Współrzędne wy noszą: trzy, pięć, cztery, osiem, dziewięć, dziewięć, dwa, pięć!

### • **Kompania B, 20. Pułk Strzelców Przyłękowych**

Wysoko na górującym nad drogą do Windhoek wzniesieniu kapitan Robey Riekert przykucnął za olbrzymim głazem patrząc, jak zwiadowca prowadzący pluton przedziera się przez zasłane kamieniami pole, szukając dobrych punktów obserwacyjnych i ostrzału. Przy nim przykucnęli starszy sierżant i radiowiec. Z tyłu dochodziły ich stłumione odgłosy silników ośmiu opancerzonych wozów majora Vissera, które powoli wspinały się na strome zbocze. *Ratele* wiozące dwa pozostałe plutony piechoty kompanii B miały podążyć za jednostką zwiadowczą. Zadowolony, że jego żołnierze zajęli pozycje, Riekert skierował spojrzenie na poszarpany krajobraz na północy. Wyjątkowo kiepskie miejsce do prowadzenia walki.

- Widzisz coś? Sierżant potrząsnął głową.

- Nic. Riekert skierował lornetkę w stronę najbliższych zarośli, prze suwając ją wolno z prawa na lewo.

- Może sobie poszli, co? Cofnęli się w stronę miasta?

- Drgnął, słysząc ukrytą w swoim głosie nadzieję. Nie miał wielkiej ochoty na tę walkę. Zbyt dobrze znał statystyki. W bliskim kontakcie z wrogiem zawsze ginęło najwięcej młodszych oficerów, a Robey Riekert chciał żyć.

- Wątpię, kapitanie. - Sierżant wskazał kciukiem na północ.

- Żadnych ptaków, widzi pan? Może mi pan zaufać. Ci dranie są gdzieś tutaj.

- Może, ale... - Riekert zamarł. Tam. Na tle suchych, brązowych krzewów i wysokiej żółtej trawy dostrzegł przysadzisty, długi kształt. O Boże! Wróg miał artylerię! Odwrócił się do radiowca.

- Połącz mnie natychmiast z pułkownikiem. Szybko! Wysoki, furkoczący jęk przeciął powietrze. Sto metrów przed pozycją Riekerta wybuch pocisku rozdarł ziemię, podrywając ją wysoko w górę w gejzerze ognia i dymu. Młody oficer siedział przez chwilę oszołomiony. Jeszcze nigdy nie znajdował się pod ostrzałem artyleryjskim. Następna eksplozja, tym razem bliżej. Kawałki skał i grudki ziemi sypnęły w nich niczym grad. Riekert otrząsnął się z chwilowego paraliżu.

- Kryć się! Kryć się!

Wydawało się, że nagle wybuchł cały świat, gdy kolejne pociski spadały na wzgórze - raniąc i zabijając ludzi i pokrywając cały teren chmurami dymu i ognia. Kapitan Robey Riekert nie usłyszał, jak 122- milimetrowy kubański pocisk spadł metr od niego. Kapitana udało się zidentyfikować jedynie po zakrwawionym epolecie.

### • **Wysunięty punkt dowodzenia, 20. Pułk Strzelców Przyłękowych**

- Cholera jasna! - Patrząc, jak ogień zaporowy rozbija wysuniętą pozycję piechoty, Henrik Kruger walnął pięścią w opancerzone drzwi *Ratela*. - Rakiety *Sagger*, transportery opancerzone, a teraz artyleria! Niech diabli porwą tego pieprzonego lizusa de Weta! W co on nas wpakował? jego podwładni spoglądali na boki, nie chcąc komentować ostrej, choć

celnej charakterystyki generała dowodzącego SADF. Kruger zmusił się do zachowania spokoju. Mógł poczekać z okazywaniem swoich uczuć dla skretyniałych dowódców. Teraz musiał zająć się prowadzeniem bitwy. Na nieszczęście nie miał zbyt wielkiego wyboru. Doktryna wojenna mówiła, że powinien zdusić ogień nieprzyjaciela za pomocą własnej artylerii. jednak doktryna nie przewidywała czekania na oddaloną o sześć godzin jazdy artylerię. W dodatku ciężkie moździerze batalionu nie miały zasięgu pozwalającego przykryć ogniem pozycje nieprzyjaciela. Miał dwie możliwości: albo wycofa się za przełęcz, czekając aż nadjadą ich działa, albo zaatakuje, zmuszając ludzi do szybkiego nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem i uniemożliwiając mu w ten sposób użycie artylerii. Czas. Wszystko sprowadziło się ostatecznie do tej jednej kwestii. im dłużej będą czekali, tym więcej czasu przeciwnik będzie miał na ściąganie posiłków i umocnienie własnej pozycji. Kruger nacisnął przycisk nadawania na mikrofonie.

- *Delta Charlie Cztery. Delta Charlie Cztery, tu Tango Oscar Jeden. Odbiór.* Po chwili odezwał się bas Hennie Muldera.

- *Słyszę cię, Jeden.*

- *Jesteś na pozycji?*

- *Jestem na miejscu i gotów do otwarcia ognia.* Kruger pokiwał głową. Dobrze. Moździerze kalibru 81 mm kompanii D były jego jedyną ciężką bronią. Ludzie Muldera mieli właśnie pierwszy raz w tej kampanii zapracować na swój żołd.

## • 8. Batalion Piechoty Zmotoryzowanej, Kubański Korpus Ekspedycyjny

Pierwsze pociski z południowoafrykańskich moździerzy uderzyły pięćdziesiąt metrów od kubańskich pozycji. Po każdym wybuchu w niebo wzbił się białoszary obłok dymu. Następne salwy trafiały coraz bliżej rozrzuconych po dolinie żołnierzy i *BTR-ów*. Po kilku sekundach zawisła nad nimi szara mgła, unosząc się wysoko w górę i gęstniejąc u podstawy, gdzie coraz więcej pocisków zaczęło rozrywać ziemię. Kapitan Victor Mares StM obok otwartych drzwi swojego *BTR60* i patrzył na południe, wyężdżając wzrok, żeby dostrzec coś przez zasłonę dymną. Nic. Nic oprócz szarej masy wzgórza. Niech to cholera! Dym spowodował, że jego wyrzutnie rakiet *Sagger* były teraz bezużyteczne. Kierowana za pomocą kabla rakietą musiała przelecieć co najmniej trzysta metrów, zanim operator mógł zacząć nią sterować. W obłokach dymu widzialność spadła do stu metrów, miejscami jeszcze bardziej. Chwycił mikrofon i nacisnął przycisk nadawania.

- Do wszystkich jednostek. Złożyć kolejno raporty. W słuchawkach rozległy się głosy dowódców plutonów rozlokowanych wzdłuż całej linii, negatywnie oceniających sytuację. Nikt nie mógł dostrzec niczego przez chmury dymu ani usłyszeć żadnych odgłosów przez łoskot wybuchów. Mares aż podskoczył. Nie był to wystrzał moździerza. Był to dźwięk innego rodzaju. Ustawiony w środku linii *BTR* zamienił się nagle w pomarańczowo-czerwoną kulę ognia, oślepiającą wszystkich wokół nawet przez zasłonę dymną. Czarny tłusty dym palącej się ropy wzbił się w powietrze.

- Nadchodzą! - W słuchawkach rozległy się spanikowane okrzyki, gdy południowoafrykańskie *Elandy 90* i *Rooikaty 76* uzbrojone w armaty kalibru 90 mm i 76 mm wypadły zza zasłony dymnej, strzelając nieustannie. Wybuchły kolejne trzy *BTR* rozerwane pociskami z ich dział, które łatwo przebijały cienki pancierz zdolny jedynie do zatrzymywania odłamków i pocisków z broni strzeleckiej. Ogień karabinów maszynowych prześliznął się po bliskich zaroślach i kamieniach, ścinając gałęzie, odbijając się rykoszetem od skał i rażąc schowanych za nimi żołnierzy. Kubańczycy padali jeden po drugim, niektórzy nie zdążywszy wydać nawet jęku, inni wrzeszcząc i wijąc się w śmiertelnych drgawkach. Pokazały się pierwsze hełmy południowoafrykańskich żołnierzy, który posuwali się naprzód szybkimi skokami, strzelając w biegu z karabinków szturmowych. W tyle pojawiły się opancerzone wozy transportowe, uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe i 20-milimetrowe automatyczne działa. Mares Stał nieruchomo, zaskoczony siłą ataku nieprzyjaciela. Śmierć zbierała obfite żniwo; gdziekolwiek spojrzął, leżały ciała kubańskich żołnierzy. Obok niego przemknął *BTR*. sypiąc piaskiem spod kół. Otwarte klapy łomotały głucho o metalowy pancierz. Maresowi przypominało to odgłos pozgonnych werbli. Pozostałe wozy również uciekały ze swoich pozycji bojowych, które

stały się miejscem masakry. 8. Batalion Piechoty Zmotoryzowanej był w rozsypce.

### • **Wysunięty punkt dowodzenia 20. Pułku Strzelców Przyłękowych**

Wóz dowodzenia Henrika Krugera zahamował gwałtownie, uderzając przednimi kołami o gład nie zauważony przez kierowcę. *Kommandant* przytrzymał się otwartej kłapy włazu, aby spojrzeć na porośnięte krzakami, strome zbocze. Sto metrów przed nim jechały trzy *Ratele* - rozciągając się szybko w szeroki klin. jeszcze dalej dostrzegł więcej transporterów, które znajdowały się już w dolinie i znikwały w dymie. jedynie krótkie rozbłyski pokazywały kierunek ich ostrzału, a migocące, rozlewające się, pomarańczowe ognie oznaczały trafienia. W radiu rozległ się zniekształcony przez szumy głos. Kruger zdjął rękę z pokrywy włazu i przycisnął mocniej do ucha słuchawki. Nie ustający hałas strzelających dział, terkoczących karabinów maszynowych, głuche kłaśnięcia moździerzy i krzyki żołnierzy utrudniały odbiór.

- *Echo Cztery, powtórz jeszcze raz!*

- *Tango Oscar jeden, dranie uciekają! powtarzam, wieją przed nami!* - Usłyszał tym razem wyraźnie podniecony głos majora Daana Vissera. - *Podejmuję pościg! Co takiego?* Kruger poczuł lodowaty dreszcz. Mając przewagę prędkości, wozy Vissera szybko oddalały się od reszty batalionu. Znaczyło to, że piechota pozostanie bez niezbędnej osłony, podczas gdy *Rooikaty* i *Elandy* będą poruszały się przez znajdujący się w rękach nieprzyjaciela nie rozpoznany teren. Włączył nadawanie.

- *Echo Cztery, nie zezwalam. Zaczekajcie na piechotę. Nie podejmuj pościgu na własną rękę!* - Puścił przycisk, czekając na odpowiedź. Nie otrzymał żadnej.

### • **Szwadron Rozpoznawczy, 20. Pułk Strzelców Przyłękowych**

Osiem *Rooikatów* z rykiem silników przedzierało się w pełnym pędzie przez wąską dolinę. Niskie drzewa i zarośla były albo odrzucane, albo rozjeżdżane przez szerokie radialne opony wozów. Major Daan Visser stał w otwartym włazie wieży prowadzącego *Rooikata*. przyciemnione gogle i trzepocąca na wietrze pomarańczowa chustka chroniły jego oczy i usta od piasku i kwaśnego dymu. Obok niego obracał się, na skutek szybkiej jazdy, umocowany na wysięgniku karabin maszynowy. Przez moment Visser i załoga jego wozu byli sami na polu bitwy. Wirujący dym i kurz tak zmniejszyły widzialność, że siedem pozostałych *Rooikatów* i *Elandów* jego oddziału znajdowało się poza zasięgiem wzroku. Zostawili za sobą także piechotę. Sądząc po dobiegających go odgłosach, nadal zajmowała się oczyszczeniem pola bitwy z resztek rozsypanych sił nieprzyjaciela. Visser uśmiechnął się pod chustką. Niech te dupki Krugera martwią się, jak zdjąć każdego snajpera. On i jego chłopcy pokażą im, jak sięgać po zwycięstwo. Zrobić wyrwę w liniach SWAPO, przebić się przez nią i popędzić niedobitków do piekła. Tak się powinno zwyciężać. To była jedyna droga prowadząca do chwały. Czterdzieści metrów przed nimi, w chmurze dymu pojawił się uciekający *BTR-60*.

- *Działonowy, cel na pierwszej godzinie! Wieża zapiszczała, obracając się o trzydzieści stopni w prawo.* - *Potwierdzam!* - Głos działonowego był równie podniecony jak jego dowódcy. Nie było nic łatwiejszego niż strzelanie do ludzi, którzy nie mogli czy nie chcieli się bronić.

- *Ognia!* - Wieża zamortyzowała odrzut działa. 76-milimetrowy pocisk przeciwpancerny przeorał na wylot pojazd wroga, trafiając w zbiornik paliwa. Siła wybuchu rozrzuciła w promieniu kilku metrów rozpalone do białości kawałki metalu. Kilka sekund później *Rooikat* mijał tak blisko rozwalone, płonące szczątki, że Visser poczuł na twarzy ciepły powiew wypełnionego ogniem powietrza. Następna zdobycz. W gęstej kępie krzewów po lewej stronie coś się poruszyło. Obrócił się, szukając wozu wroga, który mógłby stać się ich kolejnym celem. Nie było żadnego wozu. Z płataniny krzaków podniósł się szybko żołnierz - z gotowym do strzału *RPG-7*. Czas jakby nagle zwolnił swój bieg. Visser zauważył coś dziwnego. Mężczyzna miał lekko ciemną skórę, ale nie był czarny. Zakończona granatem rura *RPG* przesunęła się w lewo, w ślad za jadącym *Rooikatem*. O Boże! Visser czuł, że dotychczasowe podniecenie zamienia się w lodowaty strach. Gorączkowo chwycił

zamocowany obok karabin maszynowy. Jeśli tylko zdąży go obrócić, przetnie tę świnie na pół... Żołnierz wystrzelił, gdy wóz znajdował się dokładnie naprzeciw niego. 88-milimetrowy pocisk kumulacyjny, ciągnąc za sobą smugę płomienia, trafił *Rooikata* w sam środek wieży i eksplodował. W pewnym sensie majorowi Daanowi Visserowi szczęście towarzyszyło do końca. Zginął natychmiast. Pozostała załoga spaliła się żywcem w ogniu, który błyskawicznie ogarnął rozbitą wóz.

## • 20. Pułk Strzelców Przylądkowych

*Kommandant* Kruger patrzył na zdewastowaną, niegościnną dolinę. Pole bitwy zasłane było płonącymi wrakami, z których wydobywały się kłęby czarnego dymu. Niektóre stały pojedynczo, inne grupkami. Wokół wraków leżały trupy żołnierzy. Na zboczach trzaskały suche krzewy podpalone przez salwy z moździerzy i paliwo z eksplodujących zbiorników, a co jakiś czas dawały się słyszeć ostre i głuchoe detonacje, gdy płomienie docierały do pojemników z amunicją. Drużyny medyczne przeczesywały dolinę w poszukiwaniu rannych. Zatłoczone ambulansy kierowały się na południe w stronę batalionowego punktu opatrunkowego - skąd odwożono ciężiej rannych do szpitala w Rehoboth. Część z nich miała nawet szansę na przeżycie sześćdziesięciokilometrowej przeprawy. Technicy skupili się przy uszkodzonych pojazdach, przygotowując do ewakuacji wszystko, co można było jeszcze naprawić. Inni żołnierze z kwatermistrzostwa wyszukiwali sprawną broń porzuconą przez obie strony. Na południe, w kierunku tyłów, eskortowano małe grupki kubańskich jeńców. Prowadzeni pod lufami karabinów szli, potykając się i ciężko powłócząc nogami, z rękami podniesionymi do góry. Kruger zamyslił się. Obecność kubańskiej jednostki zmechanizowanej tłumaczyła opór, jaki napotkali jego żołnierze, ale jednocześnie nasuwała kilka nieprzyjemnych pytań. Południowoafrykańskie służby wywiadowcze twierdziły, że brak środków transportowych uniemożliwi Kubańczykom ingerowanie w operację NIMROD. Nie potrzeba było geniusza, żeby się przekonać, jak mylne były te oceny sytuacji. Pytanie brzmiało: ilu Kubańczyków było już w Namibii i w jakim tempie napływają posiłki? Usłyszał za sobą chrzęst kroków na piasku. Obrócił się wolno i zobaczył niskiego, przysadzistego oficera o ponurej twarzy, który zastąpił Vissera.

- Tak, kapitanie?

Mężczyzna z trudem zdobył się na słowa, jakby wciąż nie chcąc uwierzyć w to, co musiał zameldować.

- Do dalszej drogi gotowa jest niecała połowa szwadronu. Dwa *Rooikaty* i *Banda* można spisać na straty. Dwa inne wymagają poważnych napraw. Kruger przyjął to do wiadomości. Ocena strat zgadzała się z jego przewidywaniami. Kretański atak Vissera zadał ciężkie straty nieprzyjacielowi, ale jednocześnie poważnie nadwątlił ich własne siły. Jeśli dodać do tego straty poniesione przez kompanię B, oznaczało to, że 20. Batalion Strzelców Przylądkowych jest w poważnych tarapatach. Udało im się odepchnąć Kubańczyków o kilka kilometrów, ale zwycięstwo kosztowało zbyt wiele. Dołączone do batalionu jednostki pancerne potrzebowały czasu na naprawy i odpoczynek. Piechota była wycieńczona i wymagała szybkich uzupełnień. Najgorsza jednak była wiadomość, że ciężkie moździerze Hennie Muldera nie mają już prawie wcale amunicji. Kruger obrócił się na północ, przyglądając się wąskiej wstążce asfaltowej szosy, która wznosiła się coraz wyżej, pomiędzy poszarpane szczyty Gór Auas. Instynkt żołnierza podpowiadał mu, że dni wojny błyskawicznej i łatwych zwycięstw właśnie się skończyły. Wystarczyła jedna poważniejsza bitwa, by przyhamować niepowstrzymany marsz południowoafrykańskiej maszyny wojennej. Zdeterminowani i dobrze uzbrojeni obrońcy mogli z łatwością utrzymać góry, odparowując ataki na coraz bardziej kurczącym się froncie. Wojna błyskawiczna zmieniła się w wojnę niemal pozycyjną - w wojnę, w której żołnierze będą oddawać życie za kilka kilometrów kwadratowych bezwartościowego gruntu. Jedno było pewne. Jeśli Pretoria chciała dostać Windhoek, będzie musiała zapłacić za to wysoką cenę. Henrik Kruger nie był pewien, czy jego kraj stać na to.

## • 8. Batalion Piechoty Zmechanizowanej

Sześć kilometrów w kierunku Windhoek, wysoko na pokrytym głazami wzgórzu, starszy kapitan Victor Mares siedział oparty o burtę swojego *BTR-60* w otoczeniu niedobitków własnej jednostki. Duża rdzawo brązowa plama na jego mundurze przypominała o śmierci radiowca przeciętego na pół przez południowoafrykański karabin maszynowy w czasie próby dostania się do transportera opancerzonego w końcowej fazie bitwy. Wszystko, co zostało z jego dwóch kompanii - pięć osmalonych *BTR-60* i grupka piechoty - strzegło obecnie drogi do Windhoek. Kapitan podejrzewał, że nie przetrwają nawet pięciu minut ponownego ataku Południowoafrykańczyków. 8. Batalion został dosłownie zdziesiątkowany. Dziwnym trafem nieprzyjaciel nie usiłował wykorzystać swojej przewagi. Może ponieśli większe straty, niż przypuszczał Mares. Może nie czuli się zbyt pewni. Może wycofali się, żeby spróbować innego przejścia przez góry. Mares był zbyt zmęczony, wyczerpany bitwą i strachem, żeby się tym przejmować.

- Kapitanie!

Mares wyprostował się i spojrzał na młodego porucznika wdrapującego się pospiesznie na wzgórze.

- Kapitanie! Nadchodzą! Nadchodzą! Cholera! Skoczył na równe nogi, czując jak w miejsce znużenia pojawia się desperacja. Za kilka minut on i jego ludzie będą martwi lub umierający. Zaś przekłęci Południowoafrykańczycy pojedą dalej, żeby zająć Windhoek. Nagle Mares uświadomił sobie, że porucznik wskazuje na północ, nie na południe. Na północ, w stronę długiej kolumny transporterów opancerzonych i ciężarówek ciągnących działa przeciwpancerne. Na cienkiej antenie samochodu terenowego *GAZ-69*, prowadzącego konwój, powiewała kubańska flaga. Poświęcenie jego batalionu nie poszło na marne. Droga do . namibijskiej stolicy została zamknięta.

#### • 24 sierpnia - lotnisko w Windhoek. Namibia

Potężne, wielosilnikowe transportowce krążyły wolno nad pojedynczym pasem startowym lotniska, czekając na swoją kolejkę do lądowania. Samoloty znajdujące się już na ziemi kołowały w stronę stanowisk obsługi naziemnej i cystern z paliwem.

Tylko cztery osoby, spośród ponad stu znajdujących się na lotnisku, były w cywilnych ubraniach. Kilku kubańskich żołnierzy i dwóch oficerów eskortowało francuskiego dziennikarza i jego ekipę, szukając w panującym wokół chaosie odpowiedniego miejsca do przeprowadzenia obiecanej wywiadu. Zatrzymywali się co chwila tylko po to, żeby przy pierwszym zniechęconym kręceniu głowy dźwiękowca ruszyć dalej - wypędzani przez oszałamiającą mieszaninę wycia wiatru i huku silników odrzutowych, która uniemożliwiłaby rozpoznanie ludzkich głosów. W końcu znaleźli osłonięte miejsce z niezłym widokiem na pas startowy. Francuz stanął naprzeciw kamery. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, któremu lata spędzone na obsłudze kolejnych punktów zapalnych i wojen lokalnych porały ogorzałą twarz zmarszczkami. Jeden z kubańskich oficerów stanął obok niego.

- Dobra. Spróbujmy to zrobić za pierwszym razem, okay? Pozostali mężczyźni skwapliwie Przytaknęli, mając już dosyć wiatru i hałasu. Kamerzysta włączył nagrywanie.

- Zaczynamy.

- Jesteśmy na lotnisku w Windhoek. Zwykłe małe lotnisko obsługujące stolicę najmłodszego państwa świata stało się ostatnio centrum olbrzymiej operacji wojskowej. Oddziały wojsk południowoafrykańskich znajdują się zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów od miasta, ale kubańskie oraz angolskie uzupełnienia są dostarczane w naprawdę szalonym tempie. Dokładne liczby stanowią tajemnicę wojskową, jednak każdy z tych wielkich *IŁÓW-76*, które państwo mogą zobaczyć za mną, zabiera na pokład stu pięćdziesięciu żołnierzy lub dwa bojowe wozy piechoty. Dziennikarz przerwał na chwilę, czekając aż odrzutowiec wyląduje.

- Samoloty lądują w tym tempie od dwóch dni. Jest tu ze mną pułkownik Xavier Farrales z armii kubańskiej. Pułkownik był niskim mężczyzną w mundurze. Otrzymał wyraźne rozkazy i wiedział dokładnie, co ma powiedzieć. Uśmiechnął się promiennie do kamery i skinął głową. Francuz obrócił się do niego, wyciągając rękę z mikrofonem.

- Panie pułkowniku, zachodnie służby wywiadowcze twierdzą, że te duże samoloty transportowe nie należą do regularnego wyposażenia kubańskich Sił Powietrznych. Krążą też dotychczas nie potwierdzone pogłoski o nowoczesnych raketach typu ziemia-powietrze i innym sprzęcie wojskowym, który normalnie nie znajduje się na uzbrojeniu Kuby. Z pewnością wszystko to musi stanowić poważne obciążenie dla waszego kraju. Czy mógłby nam pan powiedzieć, do jak dużej finansowej i logistycznej po mocy zobowiązała się Rosja? Czy Moskwa zamierza przysłać tu własne wojska? Język angielski, którym posługiwał się pułkownik, miał hiszpański akcent. ale był zrozumiały.

- Kuba jest niedużym państwem. Nie mamy wiele do zaoferowania oprócz krwi naszych żołnierzy i wiele z tego co robimy nie byłoby możliwe bez wsparcia ze strony naszych braci. Oczywiście. otrzymujemy pomoc od naszych przyjaciół. ale nie mogę powiedzieć. jaki jest udział każdego z państw. Każdy wkład do tej walki o wolność zostanie doceniony bez względu na jego wielkość. Uśmiech kubańskiego oficera stał się trochę mniej szczery.

- Z radością przywitamy pomoc od tak zwanych zachodnich demokracji. Agresja RPA jest wydarzeniem, które powinno odbić się szerokim echem na świecie, przekraczając wszelkie bariery ideologiczne. Dziennikarz ukrył staranie grymas niezadowolenia. Polityczne aluzje potrafiły zepsuć najlepszy reportaż. Nie zamierzał jednak rezygnować.

- Jakie są jednak długofalowe plany waszego kraju względem Namibii? Co Kuba zyska na włączeniu się do tej wojny? Farrales wypiął pierś.

- Jedynym celem Kuby jest wypędzenie południowoafrykańskiego agresora z Namibii i zapewnienie podstaw jej niepodległości na przyszłość. Wszystkie nasze wysiłki, zarówno dyplomatyczne, jak i wojskowe zmierzają do tego celu. Nasze wojska przybyły do Windhoek, żeby odeprzeć zupełnie nieuzasadniony atak rasistowskich sił nasłanych przez Pretorię. Kuba wypełnia jedynie swój internacjonalistyczny obowiązek. Francuz pokiwał głową, orientując się po ostatnich słowach, że już niczego ciekawego nie usłyszy. W porządku. Z tych wypowiedzi pełnych nadętej retoryki doskonałego wywiadu nie będzie, ale przynajmniej będą mogli wykorzystać dramatyczne ujęcia masowej mobilizacji Kubańczyków. Cofnął się o krok i przejeżdżając ręką po gardle, dał znak kamerzyście, żeby przestał filmować.

- Dziękuję, pułkowniku. Bardzo pan nam pomógł. Farrales uściśniętą dłoń Francuza i odszedł zadowolony, że poszło mu tak łatwo. Zachodni dziennikarze byli zazwyczaj cyniczni i zaczepni. W każdym razie za godzinę dziennikarz ze swoją ekipą znajdą się w samolocie odlatującym do Luandy, a stamtąd wywiad zostanie przekazany na cały świat - pokazując całą potęgę Kuby. Tymczasowa kwatera generała Antonio Vegi znajdowała się w skrzydle terminalu lotniska i Farrales pospieszył tam, żeby złożyć raport. Radiooperator i adiutanci generała przepuścili go bez słowa; zastukał dwukrotnie i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Vega siedział przy stole zawalonym mapami, książkami i raportami. Pracował w skupieniu, obliczając coś na kalkulatorze. Musiało to być ważne, gdyż używał okularów, co czynił niezmiernie rzadko w obecności podwładnych. Farrales zasalutował.

- Meldujcie, pułkowniku. - Ton Vegi był niecierpliwy, ale generał nawet nie podniósł wzroku znad biurka. - Jak się powiodło? - Dobrze, towarzyszu generale. Podałem informację, którą chcieliśmy przekazać i przytarłem im nosa, wykazując tchórzostwo Zachodu. Vega spojrzał wreszcie na niego i uśmiechnął się. - Dobrze. Bardzo dobrze. - Kontynuował pracę.

- Ponieważ wywiad poszedł tak dobrze, zorientujcie się, czy moglibyśmy jeszcze zorganizować podobne. Dopóki zachodnie środki przekazu śpiewają na naszą nutę, możemy im w tym dopomóc. Nie zaszkodzi mieć ich dla odmiany po naszej stronie. Vega skończył obliczenia i zapisał wyniki na jednej z map. Wstał, przeciągając się z ulgą i zaczął zbierać notatki.

- Zawołajcie mojego adiutanta. Chcę się znaleźć w następnym samolocie lecącym do Karibib. Czterdzieści minut później francuski dziennikarz i jego ekipa znaleźli się na pokładzie samolotu An-26, angolskich linii lotniczych TMG. Samolot transportowy produkcji radzieckiej był używany także jako samolot pasażerski, ale żadna ilość farby nie była w stanie zamaskować jego wojskowego przeznaczenia. Zdradzały je także składane siedzenia wzdłuż kadłuba oraz rampa załadunkowa w ogonie. Kiedy An-26 wzbił się wysoko ponad pustynną ziemię namibijską, pilot skierował go nieco bardziej na wschód niż zwykle.

Obierając ten kurs, chciał mieć pewność, że pasażerowie nie zobaczą, nawet z daleka, małego miasteczka Karibib, które znajdowało się 140 kilometrów na północny zachód od Windhoek. Samolot Antonio Vegi, także *An-26*, tylko że należący do kubańskich Sił Powietrznych wystartował dziesięć minut później - eskortowany przez dwa *MiGi-29*. Zamiast lecieć prosto na północ w stronę Luandy, olbrzymi samolot skierował się na zachód- w stronę Karibib.

### • **Lotnisko Karibib. Namibia**

Dwadzieścia minut później *An-26* Vegi krążył wolno nad lotniskiem w Karibib. Oprócz niego na różnych wysokościach zataczało kręgi kilkanaście innych samolotów wojskowych różnego typu. Vega zdecydował się tym razem zrezygnować z przywilejów należnych jego randze, zgadzając się czekać na swoją kolejkę" lądowania. Nic nie powinno zakłócać porządku tej operacji, a zwłaszcza niepotrzebne ceremonie. Korzystając ze sposobności, Vega obserwował uważnie ruch na dole - sprawne i szybkie lądowanie i rozładowanie kolejnych samolotów. Olbrzymie *Ił-76*, mniejsze *Antonowy*, a nawet pasażerskie *Ił-62* musiały wylądować, zostać pospiesznie rozładowane, zatankowane i jak najszybciej wracać na pas startowy. Na lotnisku mieściły się jedynie trzy maszyny. Wyżej w powietrzu krążyły myśliwce, szukając na niebie zwiadowczych samolotów wroga. W oddali widać było rzędy namiotów i zaparkowanych wozów. Powinno być ich znacznie więcej. jednak nawet potężne radzieckie *Ił-76* mogły zabrać na pokład tylko dwa opancerzone transportery. W rezultacie musieli wykonać ponad trzydzieści przelotów w ciągu ostatnich trzech dni, przywożąc sprzęt dla wzmocnionego batalionu piechoty zmotoryzowanej. Vega zasepił się. Zbyt mała siła do tak poważnej misji. Wolałby posłać na to zadanie grupę taktyczną wielkości pułku, jednak nie było już czasu na ściąganie posiłków, a pojawiająca się przed nimi szansa musiała zostać jak najszybciej wykorzystana. jeśli będą mieli. odrobinę szczęścia i jego obliczenia są poprawne, to ryzyko nie powinno być zbyt wysokie. Szansa była tak duża, że był gotów je pominąć.

- *Antonow* jeden, macie zezwolenie na lądowanie. Kontroler lotów był tak potwornie zmęczony, że z najwyższym trudem wydobywał głos z zaciśniętego gardła - prawie siedemdziesiąt dwie godziny bezustannego kierowania lotami z małej przyczepy zaparkowanej przy pasie startowym lotniska.

- Kontrola, potwierdzam przyjęcie zezwolenia. Lądujemy. Vega obsunął się na siedzeniu, przytrzymywany przez pasy, gdy samolot zaczął podchodzić do lądowania lotem niemal nurkowym. Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła i ciężko przełknął ślinę, starając się zachować normalny wyraz twarzy. Generał armii kubańskiej nie może pochorować się przy swoich podwładnych. Wiedział zresztą, co się z nim dzieje - to jedynie jego organizm się buntował. Lądowanie było twarde, ale poprawne i gdy tylko podkołowali 'na stanowisko, obsługa naziemna zaczęła uzupełniać paliwo *Antonowa* z podstawionych cystern. Tylne rampa samolotu opadła, zanim jeszcze przestały się obracać śmigła. Pułkownik Carlos Pellervo czekał już z resztą sztabu batalionu, gdy Vega w otoczeniu adiutantów wysiadł z samolotu. Wymienili saluty, Pellervo pozostał w postawie na baczność. Vega, który nadal czuł lekkie mdłości po locie, z wyraźną dezaprobatą przyglądał się rozbieganym oczom pułkownika i jego niedopiętemu mundurowi. Zmarszczył brwi. Nie był formalistą, gdy chodziło o wygląd, ale zawsze istniały pewne granice tego, co był gotów zaakceptować. Pellervo, choć miał poważne poparcie polityczne, nigdy nie był faworytem generała. Tak się Jednak złożyło, że jego batalion był pierwszą jednostką, która mogła zostać wysłana ze zgrupowania pod Windhoek.

- Dobry wieczór, pułkowniku. - Vega odezwał się szorstko. Przypuszczam, że zostaliście powiadomieni o moim zamiarze inspekcji oddziału? Wiem na pewno, że dwie godziny temu została wysłana do was depesza. Czy przeszkodziłem może w sjeście? Pellervo zbladł.

- Nie, towarzyszu generale! - Zaczął się jąkać. - Zostałem wcześniej odwołany do rozwiązania pewnego problemu dotyczącego magazynowania amunicji. Dopiero skończyłem. Vega zmierzył go spojrzeniem od stóp do głowy.

- Towarzyszu pułkowniku. Nie powinniście pozwalać, żeby Jeden kłopot krzyżował wasze plany. Potrzebuję oficerów, którzy potrafią zachować zimną krew w zamieszaniu, którzy

potrafią improwizować i pokonywać trudności. Czy to jest jasne dla was? Pellervo momentalnie zbladł, co można było dostrzec mimo opalenizny i pokiwał kilkakrotnie głową. Vega zmienił temat, zadowolony, że reprimenda osiągnęła zamierzony skutek.

- Czy przygotowania przebiegają zgodnie z planem?

- *Si*, towarzyszu generale. Dokładnie. - Pellervo wskazał pulchną dłoń w stronę przepełnionego lotniska, zadowolony, że generał zostawił go w spokoju.

- Świetnie. - Vega odwrócił się. Atak, który miał się rozpocząć za pięć godzin, był wyjątkowo ryzykowny, ale kubański generał nie widział żadnej sensownej alternatywy. Rosyjskie samoloty mogły dowieźć wystarczającą liczbę ludzi, aby utrzymać północne tereny Namibii, opierając się siłom inwazyjnym RPA, ale nie mogły przetransportować większej ilości ciężkiej broni i artylerii. Niezbędne do kontrofensywy czołgi i działa dalekiego zasięgu mogły nadejść jedynie drogą morską. Tylko jeden port na wybrzeżu namibijskim mógł przyjąć znajdujące się już na morzu frachtowce i transportowce wojskowe. Tylko jeden. Vega spoglądał na południowy zachód w stronę nieprzyjaznej pustyni Namib. Dowództwo Armii RPA miało się wkrótce przekonać, że on także potrafi bawić się w strategiczną grę w chowanego.

## • 25 sierpnia - 5. Batalion Piechoty Zmechanizowanej, 75 kilometrów od Windhoek, droga 52

Na wschodzie niebo rozjaśniało się, zmieniając kolor z głęboko czarnego na różowo-szary; zbliżał się wschód słońca. Wschód słońca oznaczający kolejny dzień wojny. Długie cienie rzucane przez kilkanaście południowoafrykańskich wozów pancernych kładły się na piaszczystym pustkowiu pustyni Namib, pokrytym rzadkimi kępami wyschłej trawy. Na południu skalisty, poszarpany szczyt Gamsbergu wznosił się na wysokość dwóch tysięcy trzystu metrów, sięgając bezchmurnego nieba. Na tle pustyni góra przypominała olbrzymiego wieloryba wynurzającego się z wody, by nabrać powietrza. Za nią wyrastały inne, mniejsze góry, wszystkie błyszczące w czerwonym świetle poranka i wszystkie rozpościerające się w kierunku wschodnim, w stronę stolicy Namibii. Pułkownik George von Brandis siedział we władze *Ratela* dowodzenia, studiując rozłożoną na kolanach mapę. Von Brandis był wysokim, szczupłym, lekko łysiejącym mężczyzną. Nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego. Niezadowolony był zwłaszcza z pozycji, jaką zajmował jego batalion oraz z otrzymanych rozkazów. Jechali nieustannie na wschód od chwili opuszczenia Walvis Bay przed świtem 18 sierpnia - rozbijając po drodze kilka mniejszych posterunków granicznych i garnizon w sile kompanii, chroniący kopalnię uranu Rossing. Od tego czasu nie napotkali większego oporu i posunęli się daleko w głąb terytorium Namibii. Właściwie von Brandis powinien być zadowolony z osiągnięć swojego batalionu, a jednak często spoglądał z niepokojem przez lewe ramię w stronę olbrzymiego pustkowia na północy. Generał de Wet był głupcem, jeśli sądził, że Angola będzie się trzymać z dala od wojny w Namibii. Marksistowska Luanda miała zbyt wiele do stracenia, jeśli RPA udałoby się odzyskać dawną kolonię. Musieli interweniować w jakiś sposób. Jeśli nawet na północy nie było żadnych większych jednostek namibijskich, to nie było tam także wojsk południowoafrykańskich. Von Brandis spojrzął znów na mapę. Niepokoił się także o linię zaopatrzenia. Opuszczając Walvis Bay, zostawił za sobą jedynie mały oddział zabezpieczający. Garnizon portu miał wkrótce otrzymać posiłki, ale na razie był praktycznie bezbronny. Gdyby wróg zajął Walvis Bay, mógłby przeciąć jedyne połączenie batalionu z Afryką Południową. Niech to diabli! Pospiesznie złożył mapę i schował ją do kieszeni brązowej bluzy. Rozkazy nadesłane z Pretorii stawiały przed nim niemożliwy do rozwiązania dylemat. Przeczytał uważnie wiele razy ostrożne sformułowania, ale nie stały się przez to bardziej zrozumiałe. 5. Batalion Piechoty Zmotoryzowanej otrzymał rozkaz posuwania się tak szybko jak to tylko możliwe w stronę Windhoek, jednocześnie wiążąc w ustawicznych walkach siły obronne Namibii. Von Brandis i jego ludzie mieli zająć terytorium i rozbić oddziały wroga skupione wokół Windhoek, a zwłaszcza jedyną namibijską brygadę zmotoryzowaną. W pewnym sensie ich



zadanie polegało głównie na odciągnięciu uwagi nieprzyjaciela od silniejszej kolumny SADF, kierującej się w stronę Windhoek od Keetmanshoop. To było zrozumiałe. Prosta, choć może nieco niebezpieczna misja. Kłopoty nadeszły wraz z ostatnimi rozkazami, kiedy to Pretoria zdała sobie sprawę, że ograniczone możliwości Afryki Południowej nie pozwolą na szybkie wystanie uzupełnień do Walvis Bay. Tak więc sztab de Weta "rozwiązał" problem, rozkazując von Brandisowi być wszędzie jednocześnie. Brygada miała posuwać się agresywnie w kierunku Windhoek i w tym samym czasie zapewniać bezpieczeństwo Walvis Bay; rozbić większość ruchomych sił nieprzyjaciela, ale nie podejmować żadnych akcji ofensywnych, które narażałyby port. Innymi słowy, miał posuwać się szybko do przodu, zwalczając opór nieprzyjaciela i jednocześnie chronić setki kilometrów otwartych flank i zabezpieczać tyły. Świetnie. Pułkownik się skrzywił. Nie płacili mu za to, żeby unikał ryzyka. Najlepszym sposobem na zabezpieczenie flank było tak szybkie posuwanie się do przodu, żeby nieprzyjaciel nigdy nie wiedział, gdzie się te flanki właśnie znajdują. Hałasy dochodzące z ustawionych obok jego *Ratela* wozów świadczyły o tym, że batalion się już budzi. Rozejrzał się po obozie. Zamaskowane wozy pancerne nie były nawet w przybliżeniu tak liczne jak pokryte plandekami ciężarówki z paliwem i zapasami, zamykające kolumnę. Cały ten ogon był niezbędny nu tym pustkowiu. Pozbawione dużych zapasów amunicji, paliwa, żywności, a przede wszystkim wody jego wozy bojowe stałyby się bezużyteczne. Ziewnął i przeciągnął się; było wciąż chłodno. Uzupełnianie paliwa i amunicji zajęło całą noc. Załogi naprawcze były wyczerpane ciągłym reperowaniem łatwo psujących się maszyn w czasie nieprzerwanej i trudnej jazdy. Ponad dwadzieścia wozów bojowych *Elan*, transporterów opancerzonych *Ratel*, ciężarówek i ciągników artyleryjskich wymagało ich nieustannej opieki; każda kolejna awaria była więc komentowana serią wymyślnych przekleństw. Niewyspani ludzie zaczęli kręcić się po obozowisku, zapalając silniki, sprawdzając broń i gotując poranną herbatę, aby złagodzić chłód świtu. Było już dostatecznie jasno, aby rozróżnić szare sylwetki ludzi i wozów, gdy nad horyzontem pojawiła się oślepiająca czerwona pręga. Von Brandis zmrużył oczy i spojrzał pod słońce, szukając wojsk nieprzyjacielskich, które zamierzał rozbić przed podjęciem dalszego marszu na Windhoek. Resztki namibijskiego batalionu okopały się na linii niskich wzgórz rozciągających się z północy na południe. Pomyślał, że słowo "niedobitki" byłoby lepszym określeniem dla tego, co powinno obecnie zostać z oddziału SWAPO. Piąty Zmechanizowany rozbił poprzedniego dnia jedną kompanię piechoty namibijskiej, a wieczorem kolejną. Niestety, batalion nie zdążył w pełni wykorzystać zwycięstwa - stan większości pojazdów wymagał niezbędnych napraw. Tymczasem, pod osłoną nocy, Namibijczycy mieli czas na zebranie resztki swoich sił i ponowne zablokowanie zachodniej drogi do stolicy. Von Brandis wruszył ramionami. jeden szybki atak powinien załatwić sprawę. Rozwinął poplamioną olejem, pogniecioną mapę. Nigdy nie szkodziło sprawdzić plan stworzony nocą przy lampie.

- Dzień dobry, *kolonel*. - jego kierowca, Johann, podał mu kubek herbaty. Popijając gorący płyn, von Brandis studiował mapę i starał się nie zwracać uwagi na głośny, uciążliwy warkot silnika. Usiłował także zapomnieć o swoim niechlujnym wyglądzie i przykrym zapachu będącym wynikiem tygodnia spędzonego w drodze. Niektórzy jego ludzie przysięgali, że smród nie pranej bielizny, zaschnięty pot i kordyt są najlepszym środkiem odstrasającym węża. Nie miał co do tego wątpliwości. Żaden szanujący się gad nie zbliżyłby się nawet na pół kilometra do czegoś równie śmierdzącego. Mimo wszelkich niewygód pułkownik musiał przyznać, że lubi to obozowe życie. Odpowiadała mu ciężka praca, wynagrodzenie rosnące odpowiednio do rangi oraz wyzwanie, jakie stawiała przed nim konieczność pokonania wroga. Patrzył na mapę jak na szachownicę, starając się znaleźć rozwiązanie, które zmniejszyłoby jego własne straty i kompletnie zniszczyłoby namibijskie wojsko. Rzeczywistość rzadko kiedy zgadzała się z narysowanymi na papierze projektami, ale był zadowolony z obecnego planu. Jego realizacja powinna poważnie osłabić siły nieprzyjaciela kosztem niewielkich strat własnych w ludziach i sprzęcie. Mierzył właśnie odległości, gdy w słuchawkach rozległ się głos majora Hougaarda.

- Wszystkie kompanie *Foxtrot* gotowe do wymarszu. *Foxtrot Delta* już ruszyła. Odgłosy silników za jego plecami potwierdziły słowa jego zastępcy do spraw liniowych. Wspaniale. Von Brandis podążył wzrokiem wzdłuż naniesionego na mapie wąwozu. Biegł on na południe

równolegle do drogi 52, mijając niskie wzgórza przed nimi, by następnie skręcić na północ. Na rozkaz dowódcy zwiadowcy batalionu spędzili tam noc - sprawdzając wąż i likwidując śpiące strażę. Obecnie obserwowali Namibijczyków ze szczytu wąwozu i czekali na *Elandy* szwadronu D uzbrojone w armaty kalibru 90 mm *Elandy* razem z piechotą zaatakują SWAPO z flanki i wykurzą ich z nor. Von Brandis zamierzał dobić wroga ogniem zaporowym z ciężkich moździerzy i oczyścić pole przy użyciu piechoty i *Rateli*. Siła ogniowa była trochę za duża dla bandy niewykształconych *kaffirów*, ale dwadzieścia lat walk w Angoli i Namibii nauczyło go właściwie oceniać siłę okopanego przeciwnika. Miał także zamiar kompletnie rozbić batalion wroga tak, aby Namibijczycy musieli sięgnąć do rezerw. Wszystko, co odciągało SWAPO czy wojska kubańskie od Gór Auas, zwiększało przewagę południowoafrykańskiej kolumny prowadzącej natarcie od południa. Von Brandys wiedział, że w operacji NIMROD jego batalion odgrywał drugorzędną rolę, ale istniało wiele sposobów na wygranie wojny. Przyjrzał się nagim, brązowym zboczom dwa i pół kilometra dalej. Znajdowały się poza zasięgiem ognia ciężkich karabinów maszynowych. Cisza. Żadnych oznak życia. Puste i wrogie wzgórza przypominały krajobraz księżycowy. Von Brandis sprawdził czas i mapę - podążając w wyobraźni za natarciem szwadronu D. W tej chwili kompania powinna już znajdować się u wejścia do kamienistego, suchego wąwozu. Trzyście wozów pancernych z żołnierzami kompanii C u ich boku przedzierało się przez nierówny teren. Na szczęście, zwiadowcy osłaniali ich atak. Skierował lornetkę na lewo, a potem na prawo, sprawdzając pozycje pozostałych oddziałów batalionu. Uformowały się w szyku bojowym, schowane za niewielki mi wzniesieniami. *Rateli* kompanii A i B stały samotnie, ale żołnierze znajdowali się w pobliżu, gotowi do włączenia się do ostatecznego ataku. Robiło się coraz jaśniej i wyobraził sobie namibijskiego dowódcę dumnego z powstrzymania przez całą noc kolumny południowoafrykańskiej. Wraz ze wschodem słońca wzrastały także ludzkie nadzieje. Pajac ze SWAPO pewnie zastanawiał się, jak wzmocnić własną obronę, czy może wezwać posiłki, żeby podjąć kontratak na małą skalę...

- *Foxtrot Hotel jeden, tu Foxtrot Sierra jeden, ruch na pozycji nieprzyjaciela*. Słyszymy odgłosy silników Delt. - Kapitan zwiadowców wydawał się być znudzony - triumf treningu nad nerwami. Von Brandis wyprostował się. To był najgroźniejszy moment całej operacji. jeśli *Elandy* zostałyby złapane pomiędzy wąskimi ścianami wąwozu, stałyby się łatwym celem dla nieprzyjacielskich *RPG*. Gdyby to nastąpiło, był gotów przypuścić frontalny atak, żeby uratować szwadron wozów pancernych i piechotę. W normalnych warunkach taki krok byłby bardzo niebezpieczny, ale miałoby szansę dać sobie radę ze słabymi oddziałami SWAPO - zwłaszcza że i tak byłyby zajęte odpieraniem ataku na lewą flankę.

- *Hotel jeden, tu Sierra. Gotowi*. - Krótki raport od zwiadowcy mówił mu, że dywizjon zajął pozycję. Lada chwila powinien usłyszeć strzały. Po kilku sekundach von Brandis usłyszał trzask szybkostrzelnego działa, ale odgłos był głębszy, pełniejszy niż ten, jaki czyniły 90-milimetrowe działa *Elandów*. Pocisk zajęczał nad ich głowami i wybuchł sto metrów na prawo, niebezpiecznie blisko *Rateli* kompanii A.. Eksplozja wyrzuciła w powietrze chmurę dymu i rozbitych skał. Wśród żołnierzy wybuchło zamieszanie. Odgłosy włączanych silników i zamykanych włazów pojazdów zagłuszyły kolejne wystrzały dochodzące z linii namibijskich. jęk nadlatujących pocisków i grzmoty wybuchów zlały się w jeden nieustający hałas. Wszystkie wozy były dobrze ukryte, ale przeciwnik starał się ich jedynie przydusić do ziemi i dobrze mu się to udawało. Pułkownik zwalczył chęć schowania się w wozie i zaczął ponownie przyglądać się zajętemu przez nieprzyjaciela wzgórz. jego uwagę przykuł mały obłok dymu i pomarańczowy rozbłysk. Spojrzał w tę stronę. Tam! Strzał nadszedł z niewielkiego ciemnego wybrzuszenia poruszającego się w dół zbocza w stronę pozycji jego batalionu. Nagle, jakby jego oczy wiedziały czego szukać, uświadomił sobie, że patrzy na trzy... pięć... osiem, dziewięć, dziesięć strzelających pojazdów. Kompania czołgów!

Za czołgami szarzały małe kropki. Piechota starająca się ukryć za pancernem. Zniżył lornetkę. Mój Boże, Namibijczycy rozpoczęli kontratak! To było oszałamiające, niemal niewiarygodne. W łoskocie wystrzałów dało się wyróżnić nowe odgłosy. Ciężkie moździerze! Von Brandis ześliznął się do *Ratela* i zatrzasnął za sobą właz. Nie potrzebował dalszej zachęty. Pora zacząć działać. Spojrzał na mapę, starając się zapamiętać, skąd wieje wiatr. Dobrze. Poklepał po ramieniu młodego kaprała.

- Przekaż, żeby moździerze postawiły zasłonę dymną pięćset metrów przed naszą pozycją.

Ostrzeż jeepy przeciwczołgowe, żeby były gotowe, gdy czołgi wyjadą z zasłony. Oprócz *Elandów* batalion używał do zwalczania czołgów jeszcze starych rakiet *SS.11* produkcji francuskiej, zamontowanych na jeepach. Von Brandis nie mógł rozpoznać typu czołgów z tej odległości, ale musiały to być *T-54* lub *T-55*. Walczył już z nimi wielkie, powolne potwory z działami kalibru 100 mm i ciężkim pancerzem. Przypomniał sobie nagle, że Kubańczycy także włączyli się do walki. Kuba miała czołgi *T-62* z działami kalibru 115 mm i lepszymi celownikami. Jezu! jego *SS.11* nadawały się na *T-55*, ale nie wiedział, czy będą potrafiły przebić czołowy pancerz *T-62*. Miał nieprzyjemne przeczucie, że przekona się o tym wkrótce w czasie walki. Gdzie, u diabła, podziewał się szwadron D? Potrzebował teraz tych wozów do walki, a nie w jakiejś cholerniej dolinie. Zaczął nerwowo bawić się słuchawkami czekając, aż radiooperator przekaże jego instrukcje. Kaprał skończył mówić i pułkownik nacisnął przycisk nadawania.

- *Foxtrot Delta jeden, tu Foxtrot Hotel jeden. Gdzie jesteś? Odbiór.* Odgłos wystrzałów dział i karabinów maszynowych zlał się z głosem w słuchawkach.

- *Hotel jeden, tu Delta jeden. Zaangażowaliśmy piechotę wroga. Mamy tu także baterię ciężkich moździerzy. Atakujemy. Żadnych strat. Hotel, widzę ślady gąsiennic czołgowych. Powtarzam, widzę ślady wielu czołgów. Odbiór.* Dzięki za ostrzeżenie, pomyślał von Brandis, ale nic nie po wiedział. *Delta jeden, zostaw jeden oddział, żeby zajął się moździerzami i wracaj jak najszybciej z resztą na zachód. Atakuje nas kompania czołgów i nieznana liczba piechoty.* Prawie natychmiast usłyszał w słuchawkach zaszokowany głos dowódcy szwadronu *Elandów*- Przyjąłem. Zajmę się czołgami od zachodu. Koniec. Minęły prawie cztery minuty, wystarczająca ilość czasu żeby czołgi przejechały kilkaset metrów. Pułkownik wyjrzał przez małe wizjery z pancernego szkła. Niczego nie dostrzegł. Przeklinając cholerne wizjery, wciągnął powietrze. szybko otworzył właz i zaczął przyglądać się przez lornetkę zbliżającemu się nieprzyjacielowi. Wybuchy pocisków z moździerzy wysyłały w powietrze przed nacierającymi czołgami obłoczki biało-szarego dymu. Zasłona zdawała egzamin - rozwiewana przez lekki północno-zachodni wiatr w stronę zbliżającej się kompanii czołgów zmniejszała celność ich ostrzału. Wybuch pocisku moździerzowego w bliskiej odległości przypomniał mu, że kłopoty jeszcze się nie skończyły. Zaczął w myślach poganiać szwadron D batalion potrzebował osłony. Nieprzyjacielskie czołgi nadal strzelały, znikając powoli w zasłonie dymnej. Von Brandis zignorował je. Ogień z jadącego czołgu, szczególnie starszej konstrukcji, nigdy nie był celny. Jego ludzie czekali z otwarciem ognia, aż wróg znajdzie się w efektywnym zasięgu ostrzału. Wtedy zacznie się zabawa. Nieopodal spadły kolejne pociski. Zbliżał się ogień zaporowy. Pułkownik za późno zorientował się, że strzelający na oślep nieprzyjaciel koncentruje się na coraz to nowych punktach jego rozciągniętej pozycji; obecnie wybrał niewielką kotlinkę zajmowaną przez jego ośrodek dowodzenia. Nawet przy przypadkowym ostrzale skoncentrowany na tak małym obszarze ogień mógł się okazać skuteczny. Von Brandis zatrzasnął właz *Ratela*. gdy pocisk uderzył dwadzieścia metrów dalej. Transporter opancerzony zatrzęsł się cały. Po pancerzu zagrzechotał deszcz odłamków. Dowódca zniżył się, żeby obserwować rozwój wydarzeń przez wizjery. Nagle w bok *Ratela* wyrznęły dwa potężne uderzenia. Pierwszy wybuch przesunął osiemnastotonowy pojazd w bok, a po chwili drugi poderwał go i przewrócił. Von Brandis i reszta załogi zaczęli kotłować się we wnętrzu, starając się jednocześnie uniknąć zderzenia z ostrymi krawędziami. Naokoło nich latał nie umocowany ekwipunek. Co najgorsze, ktoś zostawił nie zabezpieczony karabin, który spadł z uchwytu, uderzył o ścianę i wystrzelił. Pocisk odbił się rykoszetem od ściany, zasypując wnętrze iskrami, zanim trafił w brzuch pomocnika kierowcy. Mężczyzna jęknął głośno i zwinął się na podłodze, trzymając zaciśnięte dłonie na otwartej ranie. Pułkownik walczył w tym czasie z rogiem stolika na mapy, rączką gaśnicy i kablem mikrofonu. Kiedy udało mu się w końcu uwolnić z plątaniny przedmiotów. stanął na pochylonym boku wozu, rzucił swój pakiet pierwszej pomocy rannemu kierowcy i otworzył właz. Schylił się i wyjrzał na zewnątrz, zanim zdecydował się wyczołgać z wozu. Wszyscy pochowali się przed ostrzałem moździerzy i bardziej celnymi strzałami zbliżających się czołgów. Spojrzał w stronę brzegu szarej, wolno toczącej się z wiatrem zasłony dymnej. ale nic w niej jeszcze nie było widać. Zgadza się. nieprzyjaciel był oddalony jeszcze o kilometr. Ostrzał moździerzy właśnie przesunął się na pusty skrawek pustyni. Świetnie. Przynajmniej na coś przydało się rozproszenie batalionu. Poryw wiatru przyniósł dym, który ograniczył

widzialność do kilkuset metrów i zmusił go do kaszlu. Robiło się cieplej, ale słońce nie mogło się przebić przez duszącą zasłonę. Niedogodnością wynikającą z rozproszenia sił było przemieszczanie się z miejsca na miejsce, szczególnie pod ciężkim ogniem. *Ratel* jego zastępcy znajdował się sto pięćdziesiąt metrów dalej. za małym wzniesieniem obok obozowiska. Nachylił się nad otwartym włazem.

- Idę do wozu majora Hougaarda! Frans, idziesz ze mną. Reszta zostaje na miejscu! Gdy tylko radiooperator wyczołgał się z przewróconego pojazdu, dwaj mężczyźni zaczęli biec kryjąc się instynktownie gdy w pobliżu wybuchały kolejne pociski. Takie zachowanie nie miało większego sensu, gdyż odłamki lecą szybciej. niż może zareagować człowiek. Mieli jedynie przedsmak tego, czym żyje każdy żołnierz piechoty, ale pułkownik pragnął już znaleźć się we względnie bezpiecznym transporterze opancerzonym. Bieganie przez ostrzeliwaną pustynię nie jest najlepszym sposobem na prowadzenie bitwy. Dobiegli do *Ratela* Hougaarda i von Brandis zastukał bagnetem w pancerz. Po pięciu nerwowych sekundach właz otworzył się i wśliznęli się pospiesznie do zatłoczonego wnętrza wozu. Dowódca przecisnął się do mężczyzny o okrągłej, zarosniętej twarzy i zwodniczo łagodnych rysach. Pułkownik. co się na Boga... - Major Jamie Hougaard przerwał w pół zdania. Gdy uświadomił sobie, że wóz dowódcy został trafiony. Opowiadanie o wypadku mogło poczekać. Jaka sytuacja? - von Brandis nie miał czasu na pogaduszki. stracił już kilka cennych minut, zmieniając punkt dowodzenia. Major przycisnął ręką słuchawki i wysłuchał nowego raportu.

- *Elandy* zajęły się tymi *verdomde* mózdzierzami. Powinno to zakończyć ten *blery* ogień zaporowy. Zabili także sporo piechoty. Pułkownik skinął zadowolony głową. Dobre wiadomości, ale nie o to teraz się martwił. Co z czołgami nieprzyjaciela? Powinny wkrótce znaleźć się na skraju zasłony dymnej. Na szczęście, jeden z wysuniętych obserwatorów jego własnej baterii mózdzierzy znajdował się w wozie Hougaarda. Zwrócił się do młodego oficera:- Strzelajcie tylko tyle, żeby podtrzymać zasłonę. Wmieszajcie w to kilka szrapneli tak, żeby wybuchły w powietrzu. Porucznik energicznie potwierdził przyjęcie rozkazu. Kilka pocisków wybuchających w powietrzu i zasypujących ziemię odłamkami powinno odepchnąć atakującą piechotę od czołgów. Major wręczył mu słuchawki. Von Brandis zdjął hełm i założył je na głowę w porę, aby usłyszeć głos Hougaarda.

- *Delta Jeden, powtórz jeszcze raz. Odbiór.* W głosie dowódcy szwadronu wozów bojowych słychać było wyraźnie podniecenie. Mimo iż połączenie było co chwila zagłuszane przez huk wystrzałów z działa *Ratela*, pułkownik zrozumiał raport.

- *Przyjąłem, Foxtrot Hotel Dwa. Rozwalamy czołgi od tyłu z odległości jednego kilometra. Trzy... nie, pięć załamanych! Trzymamy się ich. Atak nieprzyjaciela załamuje się.* Jego głos został na chwilę zagłuszony przez wybuch, gdy działko *Elanda* oddało kolejny strzał i do wnętrza wpadła łuska.

- *Przepraszam, Hotel, ale jesteśmy nieco zajęci. Koniec.* Von Brandis i Hougaard uśmiechnęli się do siebie. Wygrywali. Żadna siła nie wytrzyma długo takiego ostrzału. Pułkownik ponownie odwrócił się do porucznika artylerii.

- Zmieniam ostatni rozkaz. Przerwać stawianie zasłony i rozpocząć ogień zaporowy tysiąc pięćset metrów od naszych pozycji. Rozwalimy tych drani! Gdy tylko dym się rozwiął, von Brandis dojrzał płonące czołgi i rozrzucone na ziemi ciała w odległości kilometra od własnej linii. Na polu było jeszcze kilka sprawnych czołgów, ale gdy odwróciły się, żeby odpowiedzieć na ogień z tyłu, zamontowane na Jeepach rakiety batalionu szybko się z nimi rozprawiły. Wzdłuż linii nieprzyjaciela pojawiły się brudno-szare obłoczki, gdy mózdzierze zaczęły ostrzeliwać resztki namibijskiej piechoty. Atak nieprzyjaciela został odparty. Żołnierze uciekali we wszystkich kierunkach - niektórzy z podniesionymi rękami, kilku znieruchomiałych w szoku patrzyło pustym wzrokiem na pobojowisko. Von Brandis uśmiechnął się szeroko. Zwyciężył i teraz droga do Windhoek stała przed nimi otworem.

- Pułkowniku, wiadomość do pana na krótkich falach. - Każdy wóz dowodzenia miał jeden odbiornik fal krótkich i kilka odbiorników fal ultrakrótkich. Fale UKF były używane jedynie do przesyłania wiadomości na małą odległość w czasie walki. Fale krótkie służyły do dalekich połączeń i wiadomości zawsze były za kodowane. Von Brandis podniósł słuchawki.

- *Tu Foxtrot Hotel Jeden, odbiór.*

- *Jeden, tu Szachownica. Czekać na nowe rozkazy.* Pułkownik omal nie zagwizdał.

„Szachownica” oznaczała generała Adriaana de Weta, głównodowodzącego całej choleryjnej południowoafrykańskiej armii. Coś wielkiego wisiało w powietrzu. Von Brandis natychmiast rozpoznał głos generała. Nawet odległość tysiąca trzystu kilometrów nie zmieniała ugrzeczniejszego, jedwabistego tonu. Zakłócenia także nie mogły zamaskować wielkiego niepokoju generała.

- *Kolonel, nasz samolot zwiadowczy wypatrzył oddziały nieprzyjaciela zbliżające się do Swakopmund. Dziś rano znajdowały się jedynie sto kilometrów od miasta. Rozkazuję panu zawrócić batalion i rozbić nieprzyjaciela tak szybko jak to tylko możliwe. Co takiego?* Von Brandis milczał przez kilka chwil. Czuł, że chwieje się na nogach, starając się zrozumieć to, co właśnie usłyszał. Swakopmund było małym miasteczkiem na północ od Walvis Bay - bazy zaopatrzeniowej 5. Batalionu Piechoty Zmechanizowanej. Każdy litr paliwa, każdy nabój czy litr wody musiał przejść przez ten port. A teraz oddziały wroga zagrażały miastu? Dobry Boże! Poczuł nagłe dławienie w gardle.

- *Generale, o jakiej sile pan mówi?*

- *Wywiad sądzi, że to Kubańczycy w sile batalionu.* Pułkownik był zszokowany. Tym razem nie pójdzie im tak łatwo.

- *Dysponuje pan naszą największą siłą na tym obszarze* ciągnął de Wet. - *Ważne zadania natury logistycznej uniemożliwiają wykorzystanie innych kolumn do umocnienia Walvis Bay. Powtarzam, musi się pan cofnąć i rozbić Kubańczyków albo stracimy port. Wysyłamy już posiłki, ale zanim dotrą, nie zdołamy utrzymać miasta bez pomocy. Czy może pan to zrobić?* Istniała tylko jedna poprawna odpowiedź na to pytanie.

- *Tak jest, panie generale.* - Von Brandis nachylił się nad mapą i szybko skalkulował ilość amunicji i paliwa, jaka im została po dzisiejszej walce. - *Jedna sprawa, panie generale. Będziemy potrzebowali konwoju z paliwem i amunicją. Jedno i drugie jest już na wykończeniu.*

- *Zadbam, żeby pan je otrzymał, Foxtrot. Powodzenia. Proszę pamiętać, że liczymy na pana.* - Słyszał już tylko szumy i trzaski. Pretoria przerwała połączenie. Von Brandis z wściekłością zerwał z głowy słuchawki. Tym razem ci cholerni idioci naprawdę spieprzyli to na całego. Zostawili go na cholernie cienkim lodzie - i to wtedy, gdy ma w zasięgu ręki główny cel operacji. Teraz batalion będzie musiał podjąć szybką, niszczącą maszyną jazdę z powrotem na zachód drogą 52. Podróż, która miała się skończyć bitwą z równorzędnym przeciwnikiem. Powstrzymał się od rzucenia kilku ciężkich przekleństw i zaczął wydawać rozkazy.

## Ślepa uliczka

- **26 sierpnia - 5. Batalion Piechoty Zmechanizowanej, 150 kilometrów na wschód od Walvis Bay**

Na tle pustyni Namib wyraźnie rysowały się osmalone wraki i porzrzucone ciała żołnierzy ochraniających konwój z paliwem i amunicją. Zwiadowcy penetrowali teren w poszukiwaniu niedobitków, gdy wóz von Brandisa dojechał na miejsce i zatrzymał się. Wraki już ostygły, a ciała poczerniały od leżenia przez cały dzień na słońcu. Porucznik Griff, dowódca plutonu zwiadowców, podbiegł do wozu dowódcy i zawołał

- Nic nie nadaje się do użytku, *kolonel*. Nikt tego nie przeżył. Pułkownik rozglądał się wzdychając, gdy porucznik kontynuował raport. - Na pewno atak z powietrza. Nie ma żadnych łusek czy kolein. Wskazał ręką na pobojowisko.

- Znaleźliśmy jedenaście ciał i siedem spalonych pojazdów, wliczając w to trzy cysterny z paliwem i dwa wozy z amunicją. Ślady wskazują, że jeden z wozów zawrócił na zachód, ale nie wiadomo, ilu w nim było ludzi. Von Brandis skinął spokojnie głową, starając się dostosować wyraz twarzy do rzeczowego tonu porucznika. W ciągu ostatnich dni widzieli tyle trupów, że nie byli już w stanie przejąć się kilkoma więcej. Zniszczony ładunek stanowił o wiele poważniejszą stratę. Wyszedł z *Ratela* i zeskoczył na ziemię. Przeciągnął się mocno, żeby rozprostować zdrętwiałe po sześciu godzinach jazdy mięśnie. Wyruszyli dobrze przed świtem, jadąc szybko szutrową drogą numer 52, pełną wybojów i nierówności. Uśmiechnął się sardonicznie. Bez wątpienia przyjemniej byłoby jechać tędy BMW zaparkowanym teraz przed domem w Bloemfontein. Von Brandis podszedł wolno do rozrzuconych szczątków, trzymając się na dystans od batalionowych "grabarzy", którzy właśnie przystępowali do pracy. Nikt nie chciał zostawiać zmarłych na pastwę pustynnych szakali. Usłyszał, jak reszta batalionu zatrzymuje się z tyłu. Szczęk otwieranych włazów świadczył o tym, że żołnierze przyglądali się pobojowisku, cicho wymieniając między sobą uwagi. Oficerowie i żołnierze batalionu zdawali sobie sprawę z rozmiaru poniesionych strat. Obecnie musiał zapewnić im zdecydowane i odpowiedzialne dowództwo. Początkowo był całkowicie zaskoczony sytuacją, teraz myślał gorączkowo, jak z niej wybrnąć. Kierując się rozsądkiem i doświadczeniem, usiłował stworzyć sensowny plan dalszego działania. Konwój był jedynym sposobem uzupełnienia zapasów paliwa, amunicji i żywności. Powinno im jednak wystarczyć paliwa na dotarcie do Walvis Bay. Gorzej było z amunicją - wprawdzie wszystkie wozy bojowe batalionu i pojazdy piechoty wiozły pełen jej zapas, ale w czasie walki była zużywana bardzo szybko. Najlepiej było z racjami żywności i wodą, które powinny wystarczyć im na kilka dni. W porządku. Wiedział, że kubańska kolumna nadal kieruje się w stronę Walvis Bay. Von Brandis otrzymał rozkaz utrzymania portu. Efekt tego był łatwy do przewidzenia. Zwiad, pierwszy kontakt i cholernie ciężka walka. Jego wzrok zatrzymał się na horyzoncie, gdy w myślach szybko obliczał odległość i zużycie paliwa. Dobrze. Powinno się udać. 5. Batalion dotrze do portu z zapasem ropy i amunicji wystarczającym na jedną bitwę - bitwę, którą będą musieli wygrać. Pułkownik obrócił się i podszedł do zaparkowanego *Ratela*, obmyślając dalsze szczegóły planu. Jego oficerowie przewidzieli, że zwoła odprawę i zbrali się w cieniu jednego z wozów. Zorientował się, że grupa znużonych i brudnych żołnierzy patrzy na niego z nadzieją. Odetchnął głęboko i podszedł do nich pewnym krokiem. Musiał dodać tym ludziom otuchy i pokazać im nowy cel.

- W porządku, panowie. Mamy pewne kłopoty, ale mamy też szansę wykaraskać się z nich. Wskazał ręką na długą kolumnę.

- Zostawimy tu część ciężarówek, ściągnijcie z nich paliwo i zabierzcie wszystko, co ma

jakaś wartość. Przeciwlotnicze karabiny maszynowe, narzędzia - wszystko. Nie chcemy, żeby jacyś wędrujący czarni rabusie wzbogacili się naszym kosztem, no nie? Dowcip wywołał krótki, gardłowy śmiech. Dobrze. Nadal mieli w sobie trochę zapału. Von Brandis zwrócił się do Hougaardarda.

- Jamie, zrób to samo ze swoim *Ratelem*. Zostawimy sobie jeden wóz dowodzenia. Major skinął głową i zanotował coś w książce rozkazów.

- Aha, Jamie, zanim wyjedziemy, nadaj wiadomość na falach krótkich - otwartym tekstem. Powiedz Pretorii, że jesteśmy bez paliwa i będziemy tu czekać na następny transport. Następne uśmiechy powiedziały mu, że zrozumieli jego intencje. Von Brandis wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Zgadliście, panowie. Pozwólmy tym draniom Kubańczykom myśleć, że zatrzymali nas tutaj. - Założył ręce z tyłu. - Pokażemy im w Walvis Bay, jak bardzo się mylili. Pół godziny później poważnie uszczuplony batalion skierował się w tumanach kurzu i dymu na zachód.

## • 27 sierpnia - wysunięty punkt dowodzenia, Kubański Korpus Ekspedycyjny, Swakopmund, wybrzeże Namibii

Okna restauracji hotelu „Strand” wychodziły na spokojny krajobraz - szeroką, piaszczystą plażę i nie kończące się, leniwe fale z białymi grzywami. Patrząc na spokojnie jedzących śniadanie ludzi - wszystkie stoliki były zajęte - można było odnieść wrażenie, że jest to jeden ze zwykłych, sennych dni małego, nadmorskiego kurortu. Fakt, iż wszyscy goście hotelu ubrani byli w mundury armii kubańskiej, rozwiewał jednak szybko wszelkie iluzje. Przy stole z najlepszym widokiem na plażę siedział samotny mężczyzna. Na jego ramionach błyszcząły wypolerowane gwiazdki. Generał Antonio Vega dokładnie skalkulował ryzyko, jakie wiązało się z jego podróżą do Swakopmund. Właściwie, biorąc pod uwagę lot z Windhoek przestarzałym dwupłatowym *An-2*, było to ryzyko podwójne. Prawdziwą zagrywką było zostawienie głównego odcinka frontu, obrony stolicy, dla sprawdzenia postępu w przygotowaniach do "drugorzędnego ataku". Stare niemieckie miasteczko kolonialne Swakopmund formalnie należało do Namibii, jednak na samym początku wojny zostało zajęte przez kompanię rezerwistów z Południowoafrykańskiej Gwardii Narodowej. Od tego czasu ich oddział zadawał się siedzeniem na miejscu i wypoczywaniem na plaży przy lekkiej bryzie, podczas gdy pozostałe jednostki SADF przedzierały się przez pustynie i górskie pustkowia Namibii. To "wakacyjne" życie skończyło się poprzedniego dnia, kiedy na horyzoncie pojawiły się transportery opancerzone i czołgi *T-62* pułkownika Pellervo. Vega uśmiechnął się złośliwie. Według przedstawionych mu raportów, Afrykanerzy uciekli z miasta, nie oddając ani jednego strzału. Całkiem rozsądna decyzja, pomyślał, patrząc na jeden z dwóch czołgów, które pułkownik Pellervo zostawił dla ochrony kubańskiego garnizonu rozlokowanego w miasteczku. Po tym bezkrwawym zwycięstwie 21. Batalion Piechoty Zmotoryzowanej Pellervo spędził noc na odpoczynku i uzupełnianiu zapasów przed jazdą na południe, w stronę ich głównego celu.

- Walvis Bay. Vega żałował, że musieli zrobić tę przerwę, ale wiedział dobrze, że była konieczna. Dwustukilometrowa jazda od Karibib spowodowała, że ludzie byli głodni, spragnieni i niewyspani. Co ważniejsze, sporo maszyn wymagało doraźnych napraw. Długa jazda zawsze oznaczała znaczne obciążenie pojazdów, a zwłaszcza silników i gąsienic. Na szczęście, dziesięciogodzinny odpoczynek i pospieszne naprawy w obozie na południe od miasteczka przywróciły oddziałowi pełną sprawność bojową. Pellervo wykorzystał też szansę umocnienia miasta. Na mocy przepisów wprowadzonego stanu wojennego czarni obywatele, którzy z radością witali kubańskie wojsko, mogli spokojnie wrócić do swoich codziennych zajęć. Inaczej przedstawiała się sprawa z podejrzliwymi i wrogo nastawionymi białymi potomkami niemieckich kolonizatorów, którzy zostali zamknięci we własnych domach, żeby zapobiec przedostawaniu się wiadomości o sile i ruchach kubańskich wojsk do Południowoafrykańczyków broniących Walvis Bay. Ostrzeżono ich także, że każdy, kto zostanie złapany poza domem, może się spodziewać szybkiego wyroku sądu wojskowego i równie szybkiej egzekucji na piaszczystych wydmach otaczających miasto. Vega i jego sztab przybyli do miasta przed świtem i natychmiast zajęli najlepszy w nadmorskim kurorcie hotel "Strand". jedząc wczesne śniadanie, Vega czuł cały czas ironię sytuacji, w

której kubański generał mógł spożywać *bratwurst* i *sauerkraut*, walcząc jednocześnie z Południowoafrykańczykami. Vega wstał od stołu - najwyższy czas wrócić do czekających zadań. Jego kwatery została założona w jednej z większych sal konferencyjnych hotelu i wchodząc do niej, generał uśmiechnął się z zadowoleniem widząc, że wszyscy ludzie są zajęci pracą, a jednocześnie w pokoju panuje cisza. Stosując się do jego zarządzeń, jedynie stojący przy drzwiach wartownicy zaszalutowali na widok generała, podczas gdy pracujący w pokoju oficerowie nie przerywali pracy i tylko skinęli głowami na przywitanie. Przyjmując pozdrowienia od podwładnych, Vega podszedł energicznie do zawieszanej na ścianie dużej mapy sytuacyjnej. Pokazywała ona Swakopmund i oddalone o trzydzieści kilometrów Walvis Bay. Odległość tę można było pokonać w ciągu półgodziny samochodem, ale batalion z pełnym wyposażeniem bojowym potrzebował kilku godzin na dojechanie do portu. Oba miasta przypominały na mapie wyspy otoczone z trzech stron bezmiarem górzystych pustkowi, a z czwartej, z zachodu, Oceanem Atlantyckim. Tylko wąskie nitki dróg łączyły je z najbliższymi miejscowościami na północy i wschodzie, oddalonymi o setki kilometrów. Batalion dowodzony przez pułkownika Pellervo wyruszył o świcie i właśnie zbliżał się do południowoafrykańskiego portu. Samo miasto nie było duże. W zasadzie mała, brzydka miejscina znana bardziej ze względu na zakłady przetwórstwa rybnego niż cokolwiek innego. Jednak Walvis Bay posiadało jedyny port na namibijskim wybrzeżu zdolny do przyjmowania dużych statków. To właśnie czyniło z niego obiekt, o który warto było walczyć. Kiedy Namibia odzyskała niepodległość, sam port pozostał w rękach RPA. Zajęty w czasie pierwszej wojny światowej przez Anglików Walvis Bay nie został oddany pod mandat Ligi Narodów, obejmujący terytorium Afryki Południowo-Zachodniej, lecz przekazany bezpośrednio Afryce Południowej. W rezultacie zarządzenie ONZ z 1989 roku, które przywracało niezależność dawnej niemieckiej kolonii, nie uwzględniało portu w Walvis Bay. Vega pomyślał z ironią, że właśnie w ten sposób Zachód zawsze dzieli łupy, a Afryka Południowa może trzymać za gardło teoretycznie niezależne państwo. Pogodniejsza myśl starła niezadowolony z jego twarzy. Atakując Walvis Bay, jego wojska wkraczały na terytorium RPA. Zajęcie portu nie tylko pozbawi Pretorię ważnej bazy morskiej i centrum zaopatrzeniowego ich wojsk w Namibii, ale przede wszystkim zapewni Kubie i jej przyjacielom możliwość transportu drogą morską czołgów, dział, żołnierzy i sprzętu, niezbędnych do ostatecznego zniweczenia imperialistycznych knoń Afryki Południowej. Vega uważnie przyglądał się mapie. Strzałka pokazywała aktualną pozycję batalionu Pellervo, który zbliżał się do przedmieścia Walvis Bay. Inne strzałki wskazywały możliwe punkty oporu dwóch nieprzyjacielskich kompanii piechoty, broniących portu. Vega ponownie zaczął rozważać stosunek sił. Dwie okopane kompanie przeciw wzmocnionemu batalionowi. Południowoafrykańczycy lepiej znali ten teren, ale jego batalion dysponował wsparciem lotniczym. Generał uśmiechnął się. W tej bitwie miał sporą przewagę. Dyskretnie kaszlnięcie jednego z oficerów operacyjnych prze rwało te kalkulacje.

- Tak?

- Pułkownik Pellervo donosi o ostrzale dochodzącym prawdopodobnie z wysuniętych placówek nieprzyjaciela. Prosi o wsparcie artyleryjskie. Vega niecierpliwie potrząsnął głową.

- Powiedz mu, żeby posuwał się cały czas naprzód. Placówki szybko się poddadzą. 21. musi iść naprzód albo nasz atak lotniczy minie się z celem. Spojrzał na oficera łącznikowego z lotnictwa, który skomentował szybko ostatnie słowa.

- *MiGi* wystartowały zgodnie z planem, towarzyszu generale. Przewidywany czas przylotu za dziesięć minut. Vega jeszcze raz sprawdził mapę. Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Bitwa o Walvis Bay zacznie się od potężnego bombardowania z powietrza.

### • **Dowództwo 5. Batalionu Piechoty Zmechanizowanej, w pobliżu Walvis Bay**

Pułkownik George von Brandis przywarł mocno do zimnego, kamienistego gruntu, przyglądając się przez lornetkę zbliżającemu się w chmurze dymu nieprzyjacielowi. Nienawidził walki na odkrytej przestrzeni, gdy w pobliżu mógł znaleźć schronienie pomiędzy domami, zbudowanymi z blachy falistej fabrykami konserw i urządzeniami portowymi. Niestety, nie zdążył wprowadzić batalionu do miasta przed świtem. Wozy jechały na



ostatnich litrach paliwa, a ludzie byli krańcowo wyczerpani. Batalion spędził godziny przed świtem na wyszukiwaniu drózek i kryjówek wzdłuż drogi łączącej Swakopmund z Walvis Bay. Osłonięte miejsce, najlepiej nadające się do obrony, znajdowało się w pobliżu portu, gdzie linia kolejowa biegła równolegle do szosy - wysoki nasyp zapewniał doskonałe schronienie piechocie, jeepom z rakietami przeciwczołgowymi i *Elandom* uzbrojonym w działa kalibru 90 mm. Von Brandis ustawił ostrość lornetki i dojrzał w oddali przysadziste kształty, które wynurzały się powoli z brudnożółtych tumanów pyłu. Kubańczycy byli oddaleni najwyżej o pięć kilometrów. Pospieszcie się, dranie. Ruszajcie się! Dysponując tak małą ilością paliwa i amunicji, batalion miał tylko jedną możliwość: druzgocący atak na skrzydło kubańskiej kolumny. jeśli się im zniemacka porządnie dołoży, to komunistyczni dranie zwięją w podskokach do samej Luandy. Atak musiał być jednak całkowitym zaskoczeniem. Dwóch ochotników zostało w wozie dowodzenia Hougaarda, sto kilometrów dalej i co jakiś czas nadawało prośby o nadesłanie konwoju z zapasami. Podczas pospiesznej nocnej jazdy w kierunku portu oddziały zachowywały ciszę radiową. Nawet obrońcy Walvis Bay nie wiedzieli, że batalion znajduje się w pobliżu. Von Brandis zastanawiał się, czy nie wysłać posłańca, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Nawet najbardziej wysunięte pozycje obrońców miasta były od niego oddalone o dwa kilometry otwartego terenu. Za daleko. Pułkownik uśmiechnął się. Rezerwiści w porcie muszą się czuć tak jak brytyjscy żołnierze broniący sto lat temu Rorke Drift przed Zulusami - pozbawieni pomocy i dysponujący szczupłymi siłami. Oszaleją z radości, gdy tylko się pokażemy, pomyślał. Zresztą, garnizon w Walvis Bay wcale nie musiał wiedzieć, że 5. Zmechanizowany jest w pobliżu. Plan taktyczny był bardzo prosty. Kubańczycy mogli zbliżyć się do miasta tylko jedyną drogą prowadzącą od Swakopmund. Von Brandis ulokował swoich ludzi za nasypem, jakieś osiemset metrów na wschód od szosy, gotowych do otwarcia ognia tylko wtedy, gdy garnizon w porcie zacznie strzelać. jeśli będą mieli trochę szczęścia, Kubańczycy nie zorientują się, że dostali się w zasadzkę, dopóki *Elandy* i rakiety przeciwczołgowe nie zniszczą kilku celów. Było to ryzykowne i von Brandis wiedział, że będzie potrzebował każdej, nawet najmniejszej przewagi, aby wygrać. Zdecydował, że da rozkaz otwarcia ognia, gdy Kubańczycy będą w małej odległości, najwyżej o kilometr od jego pozycji. Aby nie ujawnić się za szybko, pozwom tylko jednemu człowiekowi z każdej kompanii na obserwowanie drogi i składanie raportów, podczas gdy reszta żołnierzy ukryła się za nasypem. Wyłączono także silniki wozów. Normalnie były włączone w czasie całej bitwy, żeby dostarczyć prąd konieczny do pracy dział, ale w tej sytuacji musieli zaoszczędzić resztki paliwa i zachować absolutną ciszę. Silniki zostaną włączone w ostatniej chwili. Kubańczycy nadal się zbliżali, obecnie oddaleni o jakieś trzy kilometry. Na czele kolumny jechały czołgi, rozciągnięte w jednej linii szczękające monstra o olbrzymich działach. Za nimi jechały liczne transportery opancerzone *BTR*. Czołgi były groźnym przeciwnikiem, ale *BTR* były jedynie pudełkami o słabym opancerzeniu. Można je było zniszczyć za pomocą pocisków mniejszego kalibru, rakiet czy nawet ciężkich karabinów maszynowych. Von Brandis westchnął ciężko. Mimo wszystko było ich jednak cholernie dużo. Kolumnę kubańską z obu stron ubezpieczały mniejsze wozy opancerzone oraz kilka samobieżnych poczwórnych dział przeciwlotniczych *ZSU-23-4*. Pułkownik usłyszał nagle wśród dochodzącego od północy hałasu nowy, szybko narastający dźwięk. Odrzutowce! Podniósł lornetkę i spojrzał na horyzont. Tam! Z chmury dymu wyłoniły się cztery uskrzydłone strzały, lecąc nisko parami nad drogą do Walvis Bay. Kiedy *MiGi* przemykały nad niskimi domkami i magazynami miasta, od ich skrzydeł oderwały się ciemne przedmioty i poleciały w dół, na port. *MiGi* przyspieszyły i kładąc się na prawe skrzydła, wyleciały rycząc nad morze. Tysiące wystraszonych ptaków zerwało się do szaleńczego lotu, zaciemniając niebo nad zatoką. Za odlatującymi odrzutowcami zasobniki bomb kasetowych rozpadły się na setki małych, ciemnych punktów. Po chwili Walvis Bay zniknęło - zasłonięte chmurą dymu i ognia, gdy niemal wszystkie rozproszone podpociski wybuchły jednocześnie. W dymie widać było małe, pomarańczowe i czerwone rozbłyski, którym towarzyszyły odgłosy serii wybuchów. Von Brandisowi skojarzyły się one z odgłosami sztucznych ogni wystrzeliwanych w czasie chińskich parad noworocznych. Każdy podpocisk zawierał dosyć materiału wybuchowego, żeby zniszczyć samolot czy pojazd i każdy wybuch rozrzucał wokoło dziesiątki rozpalonych odłamków uśmiercających wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Von Brandis mógł mieć jedynie nadzieję, że obrońcy miasta dobrze się okopali. Odgłos silników odrzutowców ucichł. Pułkownik odwrócił się w stronę wciąż zbliżającej się kolumny kubańskiej, która przejechała kolejnych kilkaset metrów. Czołgi znajdowały się dostatecznie blisko, by mógł rozpoznać kształt wież i dojrzeć masywne przedmuchiwacze pośrodku długich luf. T-62. Cholerne, olbrzymie T-62 o grubych pancerzach. Niech to diabli! Ponownie usłyszał odrzutowce i znów obrócił się, aby spojrzeć na miasto. *MiGi* musiały zawrócić nad morzem, gdyż tym razem zbliżały się od zachodu - lecąc tuż nad falami. Nosy samolotów zniknęły w migającym ogniem blasku - to działka pokładowe ostrzeliwały ukrytą w okopach obsadę garnizonu. Z płonących samochodów i domów wydobywały się kłęby oleistego, czarnego dymu. Von Brandis nie mógł dostrzec żadnych śladów obrony przeciwlotniczej. Stanowiska działek zostały rozwalone albo ich obsługa uciekła w popłochu. *MiGi* znowu przerwały atak, ale tym razem nie zawróciły nad miastem. Poleciały dalej, prosto na nich! Von Brandis krzyknął

- Kryć się! - i zsunął się w pośpiechu ze wzniesienia, dobrze wiedząc, że chowanie się i tak nie ma sensu. Batalion był zamaskowany od strony drogi, a nie od góry. Pustynia Namib nie stwarzała żadnych naturalnych kryjówek. Spojrzał do góry, gdy odrzutowce przeleciały z hukiem sto metrów nad nimi. Były wystarczająco nisko, żeby mógł dostrzec czerwono-niebieskie kubańskie oznakowanie, krótkie skrzydła o zmiennym skosie, trójkątny ogon i kwadratowe otwory wlotowe silników. Kubańskie *MiGi-23 Flogger*. *MiGi* przeleciały nad nimi i usłyszał strzały z karabinów maszynowych swoich żołnierzy. W porządku. Nie było sensu kryć się dłużej, a mieli szansę zestrzelić jeden z samolotów. Jeden z odrzutowców poderwał się do góry. Przez krótką chwilę von Brandis myślał, że samolot został trafiony, ale *MiG* zrobił zręczny zwrot i jeszcze raz przeleciał nad jego batalionem. Nie starał się ich atakować, a von Brandis usłyszał jedynie głośniejszy ryk silników, gdy samolot przyspieszył, lecąc wzdłuż ich linii. Niech to szlag! No i po zasadzce. Wdrapał się na wzgórze, wrzeszcząc do swojego radiooperatora, żeby podążył za nim. Obaj mężczyźni padli na ziemię na szczycie nasypu. Kubańskie czołgi i wozy bojowe były w odległości około dwóch kilometrów - nadal poza zasięgiem skutecznego ognia. Południowoafrykański pułkownik zrezygnowany pokręcił głową. - Poleć wszystkim oddziałom, żeby otworzyły ogień. Niech mierzą w transportery.

### • **Wysunięty punkt dowodzenia. Kubański Korpus Ekspedycyjny**

Oficer łącznikowy lotnictwa obrócił się zaszokowany do generała, jedną ręką przyciskając słuchawki do ucha.

- Towarzyszu generale, jeden z samolotów widział ludzi i samochody na wschód od drogi, koło nasypu kolejowego! Vega gwałtownie się wyprostował.

- Dowiedz się, w jakiej sile! Wstał zza biurka i ruszył pospiesznie do mapy. Ten cholerny nasyp! Powinien zażądać, żeby oddziały zwiadowcze Pellervego dokładniej sprawdziły teren. Podchodził właśnie do mapy, gdy kolejny radiowiec odwrócił się w jego stronę. Pułkownik Pellerve donosi, że ostrzeliwiają ich od wschodu. Vega ostatnimi kilka kroków do mapy dobiegł. Nie ma wątpliwości. Wpadli w zasadzkę. Jakiś Południowoafrykańczyk sprytnie to wszystko zaplanował. Tylko jak sprytnie? Odwrócił się do oficera łącznikowego.

- W jakiej sile jest nieprzyjaciel?

- Pilot mówi, że widział kilkanaście wozów. Więc to tak. Co najmniej kompania, chociaż pewnie więcej. Rąbnął zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. Powinien mieć trochę oleju w głowie i nie wierzyć w przechwycone przez nasłuch rozmowy radiowe. Nie ma czasu na wyrzuty. Zdecydował się błyskawicznie.

- Niech myśliwce ostrzelają tych afrykanerskich drani! Potem zobaczymy, jak szybko uda nam się zorganizować drugi nalot. Oficer posłusznie pokiwał głową i odwrócił się do nadajnika. - Dowódca *MiGów*, tu kontrola... Vega skoncentrował się na szybko rozwijającej się walce na ziemi. Wozy pancerne za nasypem stanowiły większe zagrożenie niż resztki garnizonu broniące miasta. Obecnie był to ich główny cel. Z drugiej strony, nawet kilka przestarzałych rakiet przeciwpancernych, wstrzelonych od strony miasta, mogło spowodować zamieszanie w odwróconych bokiem do linii zabudowań szeregach Pellervego. Garnizon musi zostać unieszkodliwiony. Rozejrzał się za oficerem artylerii.

- Rozkaż baterii położyć dym wzdłuż północnej granicy miasta! To powinno wyeliminować afrykanerskich sukinsynów. Niech sobie strzelają w pustynię, podczas gdy czołgi Pellervego załatwią kryjącego się za nasypem nieprzyjaciela. Vega skinął na oficera operacyjnego.
- W porządku, weźmy się do roboty. Powiedz Pellervemu, żeby skierował czołgi i piechotę w stronę nasypu i rozpoczął atak. Później zajmiemy się miastem. Oficerowie pospiesznie wzięli się do pracy.

## • 5. Batalion Piechoty Zmechanizowanej

Von Brandis wspiął się do *Ratela* i przez wizjery studiował zbliżającego się wroga. Jego kierowca, Johann, który obecnie obsługiwał ciężki karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, czekał niecierpliwie. *Ratel* nie miał innej broni poza karabinem maszynowym, którego pociski mogły jedynie podrażnić zbliżające się *T-62*, ale na pewno nie zaszkodzić im skutecznie. Zwiększając ostrość do maksimum, von Brandis ujrzał kilka płonących *BTR-60*, nad którymi unosiły się kłęby czarnego dymu. 90-milimetrowe działa jego *Elandów* nie mogły zniszczyć z odległości dwóch kilometrów czołgu, ale ich pociski rozrywały transportery jak kiepskie puszki. Burowie zawsze byli dobrymi strzelcami, pomyślał, a doświadczenie jest w tej chwili ich główną przewagą. Czołgi toczyły się teraz wolno i cała kolumna nieprzyjaciela obracała się w ich stronę. Za niecałą minutę batalion będzie miał naprzeciw siebie dziesięć czołgów. Nieprzyjaciel zatrzymał się. Dlaczego? Zobaczył, jak z *BTR-ów* wyskakuje piechota, a puste transportery opancerzone odjeżdżają pospiesznie z pola bitwy. Krzyknął w stronę zatłoczonego wnętrza wozu: - Formują atak piechoty. Położyć ogień moździerzowy tysiąc osiemset metrów przed nami i posuwać ogniem zaporowym do przodu! Oficerowie potwierdzili przyjęcie rozkazu i przekazali go do kompanii artylerii. Von Brandis nie był zadowolony z rozwoju sytuacji. Moździerze mogły zwolnić atak piechoty, ale z tej odległości nie zarysują nawet farby na czołgach. Wolno, bardzo wolno, czołgi ruszyły, wypuszczając z rur wydechowych gęste kłęby dymu, który w postaci szerokiego dywanu stanowił skuteczną osłonę dla kryjącej się za nimi piechoty. Pierwsza salwa moździerzy wzbiła w górę fontanny piasku tuż przed zbliżającą się pierwszą linią wroga. Pułkownik zeskoczył z wieży do wnętrza *Ratela*, żeby zrobić miejsce młodemu porucznikowi artylerii, który z tej pozycji miał kierować ogniem zaporowym. Starając się znaleźć jakieś wolne miejsce, von Brandis nadepnął komuś na nogę i zaraz potem uderzył kolanem w stolik z mapami. Cholera jasna! Kierowanie bitwą w tym metalowym pudle przypominało dyrygowanie orkiestrą symfoniczną w zatłoczonym podmiejskim pociągu. Rozeźlony chwycił słuchawki, otworzył jeden z włazów na dachu i wdrapał się na pancierz *Ratela*. Stąd mógł przynajmniej obserwować bezpośrednio akcję. Rozprzestrzeniające się szybko gęste smugi dymu uniemożliwiały mu dokładną ocenę skuteczności ognia. Wiadomo było tylko, że pociski padają bezpośrednio na tyłach czołgów. Teraz jednak trzeba było przerwać ostrzał, dopóki czołgi nie podejść bliżej. Z tak dużej odległości pociski moździerzowe nie mogły zagrozić pancierzom czołgowym *T-62*. Odgłosy działek przeciwlotniczych odwróciły jego uwagę od formacji czołgów. Samoloty wróciły! Von Brandis szybko zatrzaskał właz, zsunął się z wozu i przykucnął obok. Wyjrzał zza *Ratela* i zobaczył, że myśliwce uformowały się do ataku. Ze zgrozą stwierdził, że rozciągnięte w długiej linii wzdłuż nasypu, nie osłonięte niczym *Ratele* i *Elandy* były wyjątkowo łatwym celem. Odrzutowiec zniżył lot i jego działka pokładowe rozbłysły wystrzałami, przeszywając równym ściegiem wybuchów piasek wzdłuż całej formacji. Odezwało się działko przeciwlotnicze, ale atakowany pilot gwałtownie poderwał dziób maszyny, gdy tuż obok wykwitł obłoczek rozrywającego się pocisku, by zaraz potem zanurkować w stronę upatrzonego celu. Przypominało to polowanie. Polowanie, na którym pies gończy, najpierw z nosem skierowanym pod wiatr, węszy, aby następnie, z głową tuż przy ziemi, kierować się bezbłędnie w stronę tropionej zwierzyny. Tropioną zwierzyną okazał się tym razem *Ratel* von Brandisa. W jednej chwili rozszalało się piekło. Pociski orały wokół ziemię, a kilka trafiło w transporter, z którego zaczęły się wydobywać kłęby czarnego dymu. Rozległy się krzyki i jęki. Poparzeni i poranieni ludzie wyskakiwali z poharatanego pojazdu, w popłochu szukając jakiegokolwiek osłony.

- Cholera! Jeden wóz mniej - warknął ze złością von Brandis, który cudem uniknął skutków ataku. Usłyszał następny odrzutowiec i pomyślał z nadzieją, że bateria przeciwlotnicza

zestrzelili wreszcie drania. Spojrzał w tym kierunku. Podwójnie sprzężone działka kalibru 20 mm były nakierowywane ręcznie i nie posiadały celownika radarowego, ale zawsze były lepsze od zamontowanych na wozach karabinów maszynowych. Wzdłuż nasypu rozlokowano cztery takie działka. Serie pocisków smugowych skierowały się w stronę samolotu, przeleciały w pobliżu, ale żaden, niestety, nie był celny. Zamiast tego myśliwiec zniszczył *Elanda*, trafiając go w zbiornik paliwa. Wóz wyleciał w powietrze w pomarańczowoczerwonej aureoli. Von Brandis w zgiełku walki usłyszał nowy dźwięk i uświadomił sobie, że to jego *Elandy* otworzyły ogień. Wspiął się na wzniesienie i przywarł do szyn kolejowych, kierując lornetkę na czołgi. Znajdowały się w odległości kilometra. Pięćdziesiąt metrów od niego *Eland* oddał strzał, a von Brandis aż podskoczył z radości, gdy zobaczył celność strzału. Jednak 90-milimetrowy pocisk tylko się odbił od przedniego pancerza czołgu, zostawiając w miejscu trafienia jasną rysę. Z boku coś mignęło. Cienka, czarna smuga w nieprawdopodobnym tempie zbliżała się do innego celu. W powietrze wzbijała się chmura ognia i dymu. Jest! Nareszcie! *T-62* zatrzymał się raptownie. Z otwartych włazów buchał płomień. Nikt z załogi nie pokazał się jednak. Przynajmniej rakiety przeciwczołgowe są skuteczne, pomyślał von Brandis. Nad głową zaryczał kolejny odrzutowiec i gdy pułkownik odwrócił się, zobaczył płonącego *Ratela* i zniszczone działko przeciwlotnicze. Na ziemi leżeli martwi i ranni żołnierze. Niech to diabli! Te cholerne *MiGi* zmasakrują wszystkich. Gdzie nasze samoloty? Zaczynał mieć wątpliwości. Czy aby na pewno dobrze zrobił, nie powiadamiając Pretorii i działając przez zaskoczenie? Hałas zwiększał się nieustannie, gdy wraz ze zmniejszającą się odległością obie strony odpowiadały sobie nawzajem wzmożoną częstotliwością ognia. Patrzył, jak kolejne pociski *Elandów* odbijają się od pancerzy czołgów. Pocisk jednego z kubańskich czołgów wbił się w nasyp i obsypał go piaskiem. Najwyższy czas wycofać się. Von Brandis zsunął się z nasypu i podbiegł do *Ratela*, którego przeciwlotniczy karabin maszynowy na wieży strzelał nieustannie. Pułkownik instynktownie schował się za transporterem, gdy kolejny *MiG* przeleciał nad nimi. Schwycił zwisające słuchawki i założył je na głowę. Zwiększył głośność do maksimum i krzyknął: - *Foxtrot Delta Jeden, przesun się na południe! Musisz zejść czołgi z boku i otworzyć ogień! Odbiór!* Odpowiedź była ledwo słyszalna, ale dowódca szwadronu D mówił powoli.

- *Nie mogę się ruszyć. Nie mam paliwa. Dwa wozy puste. Ręcznie obracam wieżę. Próbuje trafić w gąsienice czołgów.* - Jego słowa przerwał odgłos wystrzału. Nad linią obrony przemknęły kolejne *MiGi*, siejąc spustoszenie. Każdy przelot oznaczał co najmniej jeden zniszczony wóz. Tymczasem *T-62* zbliżyły się na odległość strzału. Do tej pory przezorni Kubańczycy nie chcieli marnować amunicji na zbyt odległe, nieduże, a w dodatku osłonięte cele. Teraz otworzyli ogień jednocześnie z wszystkich czołgów i odgłosy wybuchów wstrząsnęły ziemią i powietrzem.

## • **Wysunięty punkt dowodzenia, Kubański Korpus Ekspedycyjny**

W wysokim głosie młodego oficera czuło się podniecenie.

- Towarzyszu generale! Pułkownik Pellervo donosi, że czołgi są w odległości pięciuset metrów od pozycji wroga! Vega skinął głową. Trzeba ich teraz szybko wykończyć

- W porządku, wycofaj samoloty i przesun ogień artyleryjski, jak planowaliśmy. Przez trzy minuty walić całą siłą w ich pozycje. Vega zaśmiał się w duchu, gdy jego rozkazy zostały przekazane dalej przez radio. Spędził całe lata na wymyślaniu najlepszego sposobu na zniszczenie południowoafrykańskiego batalionu, tworząc i odrzucając plan za planem. Teraz wszystko to odbywało się w rzeczywistości. Schowani za torami kolejowymi Południowoafrykańczycy nie mogli odpowiedzieć jego samolotom i artylerii równą siłą.

## • **5. Batalion Piechoty Zmechanizowanej**

Von Brandis zobaczył odlatujące samoloty i pomyślał, że jest to pierwszy promyk nadziei w coraz bardziej komplikującej się sytuacji. *MiGom* musiało się w końcu skończyć paliwo albo amunicja. Zaczął się zastanawiać, czy udałoby się przetransportować nie uszkodzone

do tej pory działka przeciwlotnicze na nasyp, zanim osiągną je Kubańscy. Szybkostrzelne działka mogły się przydać do ostrzeliwania piechoty. Nie zdążył. Kubańska piechota szybko się zbliżała pod osłoną czołgów, które pluły nieprzerwanym ogniem. Jego artyleria również nie próżnowała. Można było dostrzec trzy płonące T-62. Nagle nieprzyjacielskie czołgi zatrzymały się, przepuszczając ciągle posuwającą się szybkim truchtem piechotę. Von Brandis był zdumiony. Zniżył lornetkę, chcąc rozważyć dalsze posunięcia. Czyżby kubański dowódca popełnił właśnie pierwszy błąd? Powinien bezwzględnie trzymać piechotę i czołgi razem. Jego batalion nie wykaraskał się wprawdzie jeszcze z kłopotów, ale skoncentrowany ostrzał z broni maszynowej powinien powstrzymać atak piechoty. Nie musiał wystawiać wozów pancernych, czołgi były na razie nieszkodliwe. Nie mogły przecież strzelać do swoich. Nad polem bitwy unosiła się teraz czapa ciemnoszarego dymu z płonących wozów. Każda eksplozja wzbijała tumany ziemi i kurzu. Widzialność malała. Uśmiechnął się do siebie. Kubański dowódca popełnił właśnie pierwszy błąd. Powinien bezwzględnie trzymać piechotę i czołgi razem. W narastającym huku von Brandis nawet nie dosłyszał kilku pierwszych pocisków artyleryjskich, które z furkotem przeleciały nad batalionem.

### • **21. Batalion Piechoty Zmotoryzowanej, Kubański Korpus Ekspedycyjny**

Dołączona do batalionu pułkownika Pellervo bateria haubic kalibru 122 mm znajdowała się w odległości ośmiu kilometrów, ukryta wśród piaszczystych wydm nad samym morzem. Kierujący ogniem obserwator artylerii znajdował się w czołgu, obok pułkownika Pellervo. Znał się najwidoczniej na swojej robocie, gdyż potrzebował jedynie czterech próbnych strzałów, żeby wstrzelić się w cel. Pierwsze dwa pociski przeniosły za pozycje wroga, trzeci był trochę za krótki, ale czwarty wylądował prosto na torach.

- Utrzymać ogień! Każde działko D-3D mogło wystrzelić sześć pocisków kalibru 122 mm na minutę. Bateria składała się z sześciu haubic i na nie osłonięty południowoafrykański batalion spadał dwadzieścia cztery pociski na minutę. Kubańscy artylerzyści podtrzymywali ogień przez mordercze trzy minuty.

### • **5. Batalion Piechoty Zmechanizowanej**

Kiedy na ziemię spadła pierwsza salwa, von Brandis poczuł, jakby został mocno kopnięty w żołądek - każdy wybuch wstrząsał gwałtownie ziemią. Ogłuszony hukiem rozpląszczył się na brzuchu, wciskając twarz w kołyszącą się powierzchnię nasypu. Wybuchy wyrzucały w powietrze gejzery ziemi, czasami zmieszanej ze szczątkami ludzi i sprzętu. Wozy były rozrywane na strzępy. Smagające powietrze odłamki kaleczyły i zabijały nie okopanych żołnierzy. Von Brandis wiedział dobrze, co robią Kubańscy i zdawał sobie sprawę, że przegrał. Nie mógł jednak zaprzestać walki. Walvis Bay było zbyt ważne i musiał zrobić wszystko, żeby je ocalić. Zaczął się czołgać wzdłuż nasypu, wydając rozkazy oficerom:

- Cofnijcie ludzi cztery kilometry. Biegnijcie z tym, co macie. Przegrupujemy się i prześlizgniemy do miasta. Oszołomieni ludzie kiwali głowami. Inni patrzyli na niego pustym wzrokiem, zbyt zszokowani, żeby pojąć cokolwiek. Von Brandisowi udało się dotrzeć do dwóch oficerów i trzech podoficerów. W czasie poszukiwań następnych dosięgnął go pocisk artyleryjski. Niczego nawet nie poczuł.

### • **Wysunięty punkt dowodzenia. Kubański Korpus Ekspedycyjny**

Vega, patrząc z niecierpliwością na szefa sztabu, czekał na przekazanie najświeższych wiadomości. Wreszcie oficer zdjął słuchawki, szeroko się uśmiechnął i przeciągnął na krześle.

- Co tam się dzieje? - spytał Vega, ale wiedział już, że wiadomości są pomyślne.

- Towarzyszu generale, 21. Zmotoryzowany informuje o zniszczeniu pozycji wroga. Nie wycofali się. Vega skinął głową. Nigdy nie wątpił, że Afrykanerzy są odważnym ludźmi.

- A nasze straty? Kolejny uśmiech. Następne dobre wiadomości.

- Około piętnastu procent, towarzyszu generale. Pułkownik Pellervo twierdzi, że sporo jego czołgów jest uszkodzonych, ale dadzą się naprawić. Vega westchnął z ulgą. Straty były do przyjęcia. Zwłaszcza po tak poważnej bitwie. 21. Batalion nadal nadawał się do walki. Zwrócił się do radiowca.

- Wyślij wiadomość do ambasady w Windhoek: kontratak wroga pod Walvis Bay rozbity. Zajmiemy port przed zachodem słońca. Był już zupełnie opanowany, gdy wbiegli oficerowie sztabu z gratulacjami.

- Dziękuję, towarzysze. Jednak walka nie jest jeszcze zakończona. Powiedzcie Pellervo, żeby ruszył do miasta. Musimy być w Walvis Bay przed nocą. Afryka Południowa straciła cenny batalion, a Kuba zyska potrzebny jej port.

# 11

## Wojna domowa

### ■ 29 sierpnia - Uniwersytet Witwatersrand. Johannesburg

Uniwersytet Witwatersrand bardziej przypominał pole bitwy niż ośrodek nauczania. Zazwyczaj nienagannie czyste trawniki i alejki zalegały porwane plakaty, ręcznie malowane transparenty i flagi. Rozwiewające się obłoczki gazu łzawiącego snuły się pomiędzy szarymi budynkami pomazanymi hasłami. Przy każdym wejściu stały szeregi uzbrojonych policjantów z maskami przeciwgazowymi na twarzach. Policjanci towarzyszyli też ubranym na białe lekarzom, którzy dokonywali pobieżnych oględzin poszkodowanych w starciu, nie uzbrojonych demonstrantów. Lekko rannych podrywano na nogi i zapędzano w stronę kolumny prawie już wypełnionych, pokrytych płótnem ciężarówek. Obok stali "policijni ochotnicy" z AWB w brązowych koszulkach. Poważnie rannych układano na noszach i odnoszono do czekających karet. Zabitych układano w wydłużającym się rzędzie zakrytych kocami zwłok. Nikomu z Oddziału Bezpieczeństwa nie przyszło do głowy spojrzeć w stronę okien na drugim piętrze małego, ceglanego budynku znajdującego się po przeciwnej stronie alei Jana Smutsa.

- Mam to. - Sam Knowles wyłączył kamerę i cofnął się od okna.

- Świetnie. - Ian Sherfield przestał robić notatki, zamknął zeszyt i przyłączył się do schodzącego tylnymi schodami Knowlesa. Zostali poinformowani o tej antywojennej i anty-Vorsterowskiej demonstracji dostatecznie wcześniej, aby móc znaleźć dogodnie i w miarę bezpieczne miejsce do nakręcenia filmu. Wciśnięcie zwitka dwudziestorandowych banknotów w rękę tłustego dozorca domu umożliwiło im zajęcie pustego mieszkania. Przybyli tutaj z nadzieją sfilmowania dużej demonstracji studenckiej. Zdjęcia miały pokazać, że nie cała biała społeczność RPA popiera obecną politykę władz. Nie przypuszczali jednak, że uda im się nakręcić sceny masakry nie uzbrojonych białych studentów Witwatersrand, najczęściej pochodzenia angielskiego. Z zewnątrz dochodziły odgłosy strzałów przebijające się przez nieustanne, intensywne dźwięki sygnałów jeżdżących w tę i z powrotem karet. Ian nadal nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Kolor skóry przestał być głównym czynnikiem podczas brutalnych akcji policji. Zbiry

Vorstera rozprawiały się teraz z każdym, kto ośmielał się otwarcie krytykować politykę rządu. Ian zastanawiał się, jak zareaguje silna jedynie ekonomicznie mniejszość angielska na widok własnych synów i córek zastrzelonych przez policję. Zawsze ogarniało go przygnębienie podczas filmowania podobnych scen. Czuł się źle, stojąc tylko z boku i na chłodno rejestrując tragiczne wydarzenia. Ale na tym polegała jego praca. Dziennikarze, którzy tego nie przestrzegali, przestawali być godnymi zaufania reporterami. Zresztą, tak długo czekał na temat, który pozwoliłby mu wyjść z dotychczasowego dołka. Gdyby tylko udało się przeszmuglować ten przerażający kawałek, który właśnie skręcili. Oczywiście, to było wielkie gdyby... Ale jeśli by się udało, to dotrze swoim reportażem do opinii światowej. A to już było coś. Ian bacznie obserwował Knowlesa podmieniającego kasetę. Trefną włożył do niezauważalnie oznakowanego pudełka i wymieszał z czystymi. Do kamery natomiast włożył kasetę z filmem o Jo'burgu, nakręconym dzisiaj, parę godzin przed zamieszkami. W razie kontroli na ulicy wszystko musi grać. Skończywszy, mały kamerzysta podniósł się znad torby i pokręcił głową.

- Nadal nie wiem, jak uda nam się to przemycić. Oczywiście, nie ma problemu z zabraniem tego do studia. Nic prostszego.
- Wzruszył obciążonymi ramionami.
- Ale jak, u diabła, zamierzasz przesłać to przez satelitę, omijając cenzurę? Ian zaczął schodzić po schodach.
- To proste. Nie zamierzam wysłać tego satelitą. Knowles schodził za nim, klekocząc sprzętem.
- Ach, tak? Masz jakiegoś transatlantyckiego gołębia pocztowego, o którym nic nie wiem? Ian wyszczerzył w uśmiechu zęby i otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz.
- Nic z tych rzeczy.
- No więc co? Odczekał, aż wyjdą na ulicę i dojdą do samochodu. Za kierownicą małego Forda Escorta siedział Matthew Sibena, ich czarny kierowca, i grzał już silnik.
- No dalej, szefie. Nie każ mi czekać... masz jakiegoś asa w rękawie, co? Ian zachichotał.
- Co powiesz na torbę dyplomaty z naszej ambasady? Mam znajomego w dziale informacji, który zgodził się pomóc w tej sprawie. A on ma znajomego w Waszyngtonie, który zadba, żeby kaseca znalazła się jak najszybciej w samolocie do Nowego Jorku. Knowles cicho zagwizdał.
- Niezły numer. Zawsze wiedziałem, że musi być jakiś powód, dla którego wy, cudowni absolwenci dobrych uniwersytetów, dostajecie więcej forsy od zwykłego technika, takiego jak ja. Ian napuszył się jak paw. Pomysł był rzeczywiście bezbłędny. Nawet Południowoafrykańczycy nie zaryzykowałiby otwarcia bagażu z pieczęcią ambasady USA. Ich reportaż dotrze wszędzie, zanim służby bezpieczeństwa Vorstera zorientują się, co się stało. Musiał się jednak liczyć z tym, że zaraz potem rozpocznie się istne piekło. Zmarszczył brwi. On i Knowles zostaną na sto procent wyrzuceni z kraju za pogwałcenie nowego prawa prasowego. Niewielka strata. Gdyby nie Emily. Straci ją na zawsze. Ian westchnął. Wygląda na to, że już ją stracił. Od miesiąca nie widział jej i nie dostał od niej ani jednego słowa - żadnej kartki czy listu, czy choćby telefonu. Emily mogła nadal znajdować się w zamknięciu domowym lub też zapomniała o nim. Jeśli właśnie tak było, nie mógłby jej za to nawet winić. Ich znajomość nie była dla niej niczym więcej jak ciągłym pasmem kłopotów. Świat rodzin Afrykanerów skupiał się zawsze wokół mężczyzn. Wokół ich zachcianek, poleceń, przekonań. Jak mógł oczekiwać, że Emily przez dłuższy czas zdoła oprzeć się wściekłości własnego ojca? Knowles trącił go łokciem. Dotarli do końca alei. Sibena otworzył bagażnik i wyskoczył, żeby im pomóc w załadowaniu bagażu. Wyglądał na przestraszonego.
- Mat. coś nie w porządku? Południowoafrykańczyk gwałtownie zaprzeczył.
- Nie, *meneer*, eee, Ian. Kiedy usłyszałem strzały i syreny dochodzące z tej strony - machnął ręką w stronę uniwersytetu i ciężko przełknął ślinę - bałem się, co policja może zrobić, jak mnie tu znajdzie. Ian skinął współczująco głową. Nie mógł winić Sibeny za strach. Tak naprawdę to nawet oczekiwał, że chłopak da nogę. Siedzenie w wozie i czekanie, aż pojawi się oprych z AWB z pejczem czy pistoletem w ręce, nie mogło być łatwe. Przez ostatnich kilka tygodni młody kierowca aż nadto zapracował na swoją mizerną pensję. Wprawdzie był nadmiernie ugrzeczniony, znał jednak doskonale każdy skwer i boczne uliczki w Johannesburgu. Nawet sceptyczny Sam Knowles musiał przyznać, że te

skrótły zaoszczędziły im sporo czasu. jednak nigdy nie udało im się zdobyć jego zaufania. Bez względu na to, jak bardzo chcieli go upewnić o swojej przychylności, Sibena był nieodmiennie gotowy na przyjęcie ciosu czy przekleństwa. Kiedy zapakowali kamery i resztę sprzętu, Sam usiadł z przodu, obok kierowcy, a Ian wcisnął się na miejsce z tyłu. Ręce Południowoafrykańczyka zacisnęły się na kierownicy. - Dokąd teraz, *meneer* Sherfield? Nawyki całego życia okazywały się bardzo trudne do przełamania. Ian pochylił się do przodu.

- Mat, zawieź nas tylko do studia. Powoli i spokojnie. Nie chcę, żeby zainteresował się nami ktoś w mundurze, zanim schowamy bezpiecznie naszą małą paczkę. W porządku? Sibena energicznie pokiwał głową i ostrożnie włączył się w ruch, wymijając po drodze karetki, wojskowe ciężarówki i transportery opancerzone. jadący w przeciwną stronę policjanci przyglądali się uważnie małemu samochodowi, ale nikt nie starał się ich zatrzymać. Przynajmniej nie od razu. Dopóki nie znaleźli się o kilka minut od studia i względnego bezpieczeństwa. Ian pierwszy usłyszał wysokie dźwięki syren. Obrócił się na siedzeniu i spojrzał na jezdnię przez tylne okno. Cholera. Wóz policyjny z dużą prędkością jechał za nimi ulicą Market. Niebieskie światło na dachu pulsowało w takt wycia syreny.

- O Boże. - Sibena zjechał na bok i drżącymi rękoma wyłączył silnik. Wóz policyjny zatrzymał się za nimi. Ian pochylił się do przodu, starając się uspokoić kierowcę. - Matt, nie przejmuj się. jesteś z nami, w porządku? Nie zrobiłeś nic złego. - Chciał, aby jego głos brzmiał przekonująco. Sibena przełknął spazmatycznie ślinę i nerwowo skinął głową. Drzwi radiowozu otworzyły się i wysiadło trzech policjantów. Przez chwilę patrzyli na zderzak Forda, aż w końcu jeden z nich nachylił się do otwartego okna policyjnego wozu i powiedział coś przez mikrofon.

- Sprawdzają nasze numery - mruknął pod nosem Knowles. Ian zgodził się milcząco. jeden z rozpędzających demonstrację policjantów musiał coś zauważyć i złożył meldunek. Czy uda im się wymigać z tego? Co robić? - myślał gorączkowo. Skrzywił się. To stawało się śmieszne. Za każdym razem, gdy mieli jakiś dobry materiał, były problemy z siłami bezpieczeństwa. Policjant odłożył mikrofon i wskazał ręką w ich stronę. Dwóch pozostałych podeszło do Forda, teatralnym gestem opierając ręce na kaburach. Gapie, w pierwszej chwili zainteresowani jak zwykle ciekawym zdarzeniem, szybko doszli do wniosku, że lepiej trzymać się z dala od całej sprawy. Starszy z policjantów, siwy już mężczyzna o groźnym spojrzeniu, zastukał niecierpliwie w okno, od strony Iana, który opuścił je, powtarzając sobie cały czas, że musi zachować spokój bez względu na to, co się będzie działo i jak bardzo Południowoafrykańczyk będzie się starał ich sprowokować. Schowana w bagażniku kasetka była zbyt ważna, żeby ryzykować stracenie jej w efekcie bezsensownej kłótni z policją.

- Tak?

- Ty jesteś Sherfield? - Ostry, urywany akcent policjanta świadczył o tym, że jest Afrykanerem. Ian ostrożnie potwierdził skinieniem głowy. Usta policjanta zacisnęły się w nieprzyjemnym grymasie.

- Macie natychmiast wysiąść z samochodu! już! - Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że spodziewa się odmowy. Wspaniale. Następny południowoafrykański gliniarz spragniony dziennikarskiej krwi. Ian dostrzegł podniesione brwi Knowlesa i jego pytające spojrzenie. Wzruszył ramionami. Nie mieli żadnego wyjścia. Otworzył drzwi i wysiadł niezgrabnie z ciasnego samochodu. Knowles i Sibena poszli za jego przykładem. Na wystraszonej twarzy młodego Murzyna pojawiły się krople potu. Ian stanął przy drzwiach, założył ręce i starał się przyjąć nonszalancką pozę.

- Jakiś problem? Uśmiech Afrykanera stał się jeszcze bardziej nieprzyjemny.

- Pan i pańscy koledzy - podkreślił pogardliwie słowo „koledzy” - byliście widziani, jak filmujecie niewielką demonstrację na Uniwersytecie Witwatersrand. To poważne naruszenie naszego prawa. Niech to szlag. Któryś z policjantów musiał ich jednak zauważyć. Albo ktoś ich zdradził. Może przekupiony dozorca... Pokręcił energicznie głową.

- Obawiam się, że pańska informacja nie jest dokładna. Wracamy z przejażdżki po mieście, gdzie nagraliśmy kilka scen z życia ulicy. Nic kontrowersyjnego czy też zakazanego. Na pewno nic, czym można by się tak podniecać.

- W takim razie, *meneer*, nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że je sobie zabierzemy,



co? Ian ukrył uśmiech i z dużym wysiłkiem starał się wyglądać na zmartwionego.

- Jeśli pan nalega... Ale proszę pamiętać, że złożę skargę na pana do najwyższych czynników waszego rządu. - Odwrócił się do Knowlesa. - Sam, podaj tym... panom taśmę z kamery. Kamerzysta niechętnie otworzył bagażnik i ze złością podał podmienioną taśmę. Zaczął zamykać bagażnik.

- Stój! Knowles zamarł w pół ruchu. Afrykaner odsunął go ramieniem i schylił się, żeby zajrzeć do zawalonego sprzętem bagażnika. Przekopał się przez kilka toreb i zaczął mruzczyć z zadowoleniem, gdy znalazł torbę pełną nie oznaczonych kaset.

- A to, co to jest, *meneer* Sheffield? Ian starał się zachować spokój.

- Czyste kasety.

- Aha. - Policjant wolno skinął głową, a w jego oczach pojawił się chłód. - Myślę, że te także skonfiskujemy. Jeśli naprawdę są czyste, to zostaną panu zwrócone. Psiakrew. Następna historia i godziny pracy nad jej przygotowaniem poszły na marne. Starał się zignorować potok przekleństw płynący z ust Knowlesa.

- Nalegam na wydanie mi pokwitowania za nielegalnie zabraną własność - starał się nadać głosowi oficjalny ton.

- Ależ oczywiście. - Afrykaner wyglądał na rozbawionego. Skinął głową w stronę młodego mężczyzny, który trzymał się na uboczu, jakby nie chciał, żeby identyfikowano go z tą sceną. - Ten tam facet z chęcią wypisze wam każde pokwitowanie, jakie tylko sobie zażycycie. No nie, Harris? - rzucił pogardliwie. Ian z zainteresowaniem spojrzał na młodego policjanta. Co przeszkobał, żeby wywołać taką nienawiść u swoich kolegów? Może miał nieodpowiednie imię? Niektórzy Afrykanerzy nie starali się nawet ukryć swojej pogardy i uprzedzeń wobec potomków angielskich kolonistów. Anglicy najczęściej odwzajemniali to uczucie. Starszy mężczyzna tymczasem odwrócił się bez słowa i podszedł do wozu policyjnego, trzymając w wyciągniętej ręce torbę z kasetami, jakby były skażone. - Panie Sheffield? - Młody policjant wyglądał, jakby chciał go przeprosić za całą scenę. Ian spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem.

- Tak? Południowoafrykańczyk wyciągnął w jego stronę kawałek papieru.

- To jest pokwitowanie, o które pan prosił. Ian wziął je bez słowa i schował do kieszeni koszuli. Cudownie. Zamiast pierwszorzędnej historii mieli podpis młodszeo oficera policji na nic nie znaczącym kawałku papieru. Policjant odchrząknął i zbliżył się na krok do Iana, zniżając głos, żeby jego koledzy nie mogli go usłyszeć.

- Naprawdę przykro mi z powodu tego wszystkiego, panie Sheffield. Nie wszyscy z nas są zadowoleni z tego, co się dzieje w naszym kraju. Ale co możemy zrobić? Musimy trzymać się naszych przepisów bez względu na to, co o nich myślimy. Ian powstrzymał odruch sympatii. Osobiste tłumaczenia nie mogły wystarczyć w przypadku postępowania niezgodnego z sumieniem.

- Przepuszczam, że radzieccy policjanci używali tej samej wymówki. Tak samo hitlerowcy. Policjant zaczerwienił się i odwrócił od niego. Trzasnęły zamykane drzwi i wóz policyjny zjechał z krawężnika, włączając się gładko w ruch uliczny. Żaden z jego pasażerów nie obejrzał się do tyłu. Knowles patrzył przez dłuższą chwilę z nienawiścią na odjeżdżający wóz.

- Skurwysyny. Sibena stał w milczeniu, ze spojrzeniem wbitym w trotuar. Wreszcie Ian przerwał bezruch, zamykając bagażnik Forda i otwierając tylne drzwi.

- No chodźcie, chłopaki. Nie ma sensu tak stać i rozmyślać o tym. - Starał się ukryć dźwięczącą jeszcze w jego głosie wściekłość. - Cholera, przecież to nie pierwszy kawałek, jaki straciliśmy. Knowles spojrzał na niego.

- Nie, na pewno nie. - Wysunął szczękę. - Trochę dziwne, co? Gliniarze zawsze doskonale wiedzą, gdzie jesteśmy i co robimy. Zupełnie jakby cały czas nas obserwowali.

- Ciekawe tylko, jak to robią, co? Ian niepewnie potrząsnął głową, nie wiedząc, do czego jego kamerzysta zmierza. Nigdy nie widział żadnych śledzących ich patroli policyjnych. Podążył za nieruchomym i wymownym spojrzeniem Knowlesa. Patrzył prosto na schylone ramiona i spuszczoną głowę Matthew Sibeny.

- **30 sierpnia - biuro prezydenta, budynki Unii, Pretoria**

Spartański gust Karla Vorstera nie znalazł jeszcze odbicia w umeblowaniu biura prezydenta. Od czasu objęcia władzy Vorster był zbyt zajęty zewnętrznymi i wewnętrznymi problemami, żeby martwić się o zmianę dekoracji. I dzięki za to Bogu, pomyślał Erik Muller, siadając wygodnie na miękkim krześle naprzeciwko dębowego biurka Vorstera. Martwy Frederick Haymans mógł być głupcem o miękkim sercu, ale przynajmniej miał wyrobiony smak. Siedzący za biurkiem Vorster odchrząknął i złożył swój podpis pod ostatnim, z leżącego przed nim pliku, rozkazem. Czarna okładka teczki oznaczała, że jest to rozkaz egzekucji.

- Tak, następny drań z ANC zarobi kulkę w łeb. Dobrze. - Na twarzy Vorstera pojawił się złowieszczy uśmiech i szybko znikł. - Eriku, czy to już wszystko?

- Niezupełnie, panie prezydencie. Jest jeszcze jedna sprawa.

- No, to dalej z nią. - Twarde spojrzenie Vorstera prześliznęło się po stojącym na biurku zegarze i wróciło do Mullera. - Generał de Wet ma mnie zapoznać za kilka minut z najnowszą sytuacją na froncie. Muller zacisnął zęby. Prezydent poświęcał coraz więcej swojego czasu na usiłowanie uratowania beznadziejnej kampanii w Namibii. Podczas gdy Vorster przepinał na mapach nic nie znaczące szpilki, poważne problemy polityczne, ekonomiczne i dotyczące bezpieczeństwa wewnętrznego leżały odłogiem. Odchrząknął.

- Chodzi o zezwolenie na wyjazd Mantizimy, wodza Zulusów. Został zaproszony przez Kongres amerykański, by poparł ich nowy projekt sankcji wobec nas.

- Więc cóż? - W głosie Vorstera wyraźnie było słychać niecierpliwość. - Czemu przychodzi pan z tym do mnie? W tych sprawach decyzje podejmuje minister spraw zagranicznych. Muller potrząsnął niechętnie głową.

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, są to pierwszorzędne kwestie dotyczące racji stanu - zbyt ważne, żeby zostawić je panu ministrowi czy jego biurokratom. - Popchnął dokument w stronę Vorstera. Vorster podjął go z biurka i pospiesznie przebiegł wzrokiem zwięzłą prośbę o zezwolenie na wyjazd.

- Słucham.

- Jestem przekonany, że powinniśmy odmówić, panie prezydencie. Pod tym swoim miłym uśmiechem Gideon Mantizima jest takim samym czarnym intrygantem jak każdy inny czarny przywódca. Obawiam się, że może napytać nam jeszcze większej biedy w Waszyngtonie, jeśli go pan wypuści. - Zatrzymał się świadom, że przedobrzył. Prezydent był właśnie w nastroju do sprzeciwiania się. Vorster pogroził mu palcem.

- Nonsens, Muller. Znam tego człowieka. Ten Zulus współpracował z nami, wtedy gdy wszyscy inni czarni przeszli do komunistów. Nawet przeciwstawiał się zachodnim sankcjom. Przypuszczam, że mógłbym go nawet szanować. Pochodzi ze szczepu wojowników, a nie z tego wędrującego bydła jak cała reszta *karffirów*. - Wyprostował się w krześle i założył ręce na brzuchu. - Nie, Muller. Mantizima i jego ludzie nienawidzą ANC tak samo jak i my. Od lat są rywalami. Zresztą rzadko się wtrącamy do sposobów, w jaki Zulusi załatwiają swoje sprawy na swoim terytorium. Wódz nie ma powodów, żeby nam robić jakieś kłopoty. - Zabujał się na krześle i nachylił do przodu. - Pozwólmy mu odwiedzić Amerykę. Jego relacje jedynie wprowadzą ich w zakłopotanie i pokażą światu, że nie mamy czego się bać. Muller patrzył w milczeniu, jak jego przywódca składa zamaszty podpis na podaniu. Niepokoiła go skłonność Vorstera niedostrzegania wszystkiego, czego nie chciał widzieć. Mantizima przeciwstawiał się sankcjom, ponieważ uważał, że bardziej krzywdzą jego własnych ludzi niż białych - a nie na dowód przychylności wobec Pretorii. Przebiegły wódz Zulusów zwalczał ANC jako rywala do przyszłych rządów większościowych. Nie miało to nic wspólnego ze wspólnym frontem z białymi. Wziął w milczeniu podpisane przez Vorstera zezwolenie na wyjazd i wyszedł z pokoju. Dalsze upieranie się osłabiłoby jedynie jego pozycję. Może się okazać, że Gideon Mantizima będzie współpracował dalej z Pretorią, ale Muller nie wierzył w to zbyt mocno. Wódz Zulusów był wystarczająco spostrzegawczy, żeby bezbłędnie dostrzec ślepą uliczkę i dokonać trafnego wyboru. Dyrektor Specjalnych Operacji Służby Bezpieczeństwa podejrzewał, że Vorster wkrótce pożałuje swojej decyzji.

- **1 września – Johannesburg**

Dzwonek u drzwi zadzwonił kolejny raz, budząc w końcu Iana Sherfielda. Otworzył niechętnie oczy i zaczął macać blat stolika nocnego w poszukiwaniu przycisku lampy. Druga nad ranem. Kogo diabli niosą? W Johannesburgu, jak zresztą we wszystkich większych miastach w Afryce Południowej, od zmierzchu do świtu obowiązywała godzina policyjna. Ian wygramolił się z łóżka i z trudem wkładając dzinsy, skakał jednocześnie w stronę drzwi. Oprzytomniał, gdy w korytarzu rąbnął kolanem o róg sofy. Nie znał jeszcze na tyle dokładnie rozkładu mieszkania wynajętego wraz z umeblowaniem, żeby poruszać się w nim bez przeszkód po ciemku. Trzy przekleństwa pomogły wyładować się emocjonalnie, ale nadal kulał, gdy podszedł do drzwi. Otworzył je, gotów wylać swoją usprawiedliwioną złość na idiotę, który go obudził. Za drzwiami stała Emily. Nawet opatulona w zbyt obszerne długie futro chroniące ją przed chłodem zimowej nocy wyglądała pięknie. Obok niej stała walizka. Uśmiechnęła się skromnie, spojrzała za siebie i podniosła błyszczące oczy.

- Czy przypominam ducha? Ian uświadomił sobie, że stoi z rozdziawioną gębą jak wiosko wy głupek. Pospiesznie przyciągnął ją do siebie, obejmując mocno ramionami. Kiedy odsunęli się wreszcie od siebie, na jej twarzy pojawił się żartobliwy uśmiech.

- No cóż, panie, dziennikarzu, czy wpuści mnie pan do środka? Czy mam może nocować na wycieracze?

- Hmm. - Ian podrapał się w brodę, jakby zastanawiał się poważnie nad odpowiedzią. - Przypuszczam, że mógłbym ci pożyczyć poduszkę i parę koców, ale mogłabyś się tu zaziębić w nocy. Zresztą sąsiedzi zaczęliby narzekać. Chyba jednak muszę cię zaprosić do środka. Śmiejąc się, wpuścił ją do mieszkania. Emily zmarszczyła nos na widok koszarnej mieszaniny plastikowych kwiatów, ciemnych dywanów i mebli imitujących styl skandynawski. Knowles najlepiej nazwał mieszkanie: Studium Złego Smaku XX Wieku. Ian żałował, że nie chciał mu się pozmywać talerzy zalegających mały zlewozmywak. Jego kawalerski styl bycia często stawiał go w kłopotliwej sytuacji. Pogroziła mu palcem.

- Widzę, że nie nadajesz się do samotniczego życia. Ianie Sherfield, potrzebujesz porządnej kobiety, która by się tobą zaopiekowała. Wstęp był zbyt dobry, żeby go pominąć milczeniem.

- Szukałem jakiejś, ale znalazłem tylko ciebie. Uśmiechnęła się do niego.

- Tak, chyba masz rację.

- A co z twoim ojcem? Czy wie, że tu jesteś? - Nie mógł nie zadać tego pytania. W jej oczach pojawił się przelotny smutek i pokręciła przecząco głową.

- Ależ Emily, on...

- Ciii. - Położyła palec na jego ustach. - Mój ojciec nie był w domu od dwóch tygodni i nie będzie go znacznie dłużej. Spędza cały czas w Pretorii, organizując tę... masakrę. - Jej ucinane, zacięte słowa świadczyły o gniewie i Ian przypomniał sobie, że Emily studiowała na Uniwersytecie Witwatersrand. Wśród leżących na trawniku ciał widział zapewne jej kolegów czy nauczycieli zastrzelonych przez policjantów, którymi dowodził jej ojciec. Umilkła na chwilę i gdy się trochę uspokoiła, mówiła dalej.

- Powiedziałaś tej czarownicy Viljoen, że wracam do Kapsztadu i pomieszkam z moimi znajomymi. Poświadczą, że byłam u nich, gdyby ojciec pytał. Skinął głową poruszony jej determinacją. Emily zrzuciła z siebie ciężkie futro. Oboje usiedli.

- Zresztą, mam wiadomości, które nie mogą dłużej czekać. Są niewiarygodnie okropne! - Słowa goniły jedno drugie i gniew zamieniał się w podniecenie. Słuchał nie przerywając jej, ale gdy doszła do momentu podsłuchanej rozmowy na przyjęciu w Transwalu, wydawało mu się, że nadmiar emocji zaczyna go rozsadzać. Gdyby tylko mógł udowodnić, że Vorster wiedział o planowanym zamachu na Błękitny Pociąg... Mój Boże! To byłby temat na materiał do wiadomości w całym Stanach. Cholera, na całym świecie! Ale jak można by uzyskać jakikolwiek dowód w tej sprawie? Jakakolwiek podchwytliwa rozmowa z Vorsterem nie wchodziła w rachubę. Był zbyt inteligentny i ostrożny, żeby dać się podejść. Zmarszczył brwi. Ten facet, Muller, o którym wspomniała Emily, był kluczem w tej sprawie. Muller. Nazwisko wydawało się znajome. Nagle zaczęły napływać wspomnienia i układać się w

jedną całość. Muller był człowiekiem od specjalnych zadań. Zajmował jakieś stanowisko w Wywiadzie Wojskowym i chodziły pogłoski, że załatwiał wszelkie brudne roboty rządu: podsłuch, szantaż, a nawet zabójstwa. Dokładnie typ faceta, który według wszelkich oczekiwań mógł być ulubieńcem Vorstera. właśnie taki facet musiał też znać prawdę o Błękitnym Pociągu. Musiał znaleźć jakiś hak na tego Mullera. Musi istnieć sposób, by zmusić, czy przekonać faceta, żeby wszystko wyśpiewał. Nie będzie to łatwe...

- Cholera jasna! - Walnął nagle zaciśniętą pięścią w udo. - Co się stało? - spytała przejęta Emily.

- Zapomniałem, że nasza ekipa ma własnego szpiega, który w dodatku nie odstępował nas na krok.

Opowiedział jej o swoich podejrzeniach co do Matthew Sibeny.

- Osobiście myślę, że szczeniak został zmuszony do składania na nas donosów. Nie robi tego z własnej woli.

- W czym problem, pozbadźcie się go. Wywalcie i weźcie nowego kierowcę...

- Który przyjdzie z tego samego miejsca co Matthew. - Ian potrząsnął niechętnie głową. - Nie, myślę, że powinniśmy go zostawić. Wygląda na dobrego chłopaka i jestem przekonany, że nienawidzi Vorstera tak samo jak my. - Wzruszył ramionami. - Tyle że przyczyny, dla których Matt to robi, nie mają większego znaczenia. Faktem jest, że jak tylko zechcemy pokręcić się wokół Mullera, drań dowie się o tym, zanim jeszcze zaczniemy. A wtedy znajdziemy się na pokładzie następnego samolotu lecącego do Stanów.

Zapadło przygnębiające milczenie i po chwili Emily poklepała go lekko w kolano. Podniósł wzrok.

- Zapominasz o jednej sprawie, Ianie Sherfield. - Jej oczy zabłyśły złośliwie.

- Ach tak? O czym?

- O mnie! - przysunęła się bliżej do niego, nagle bardzo poważna. - Ja też mam dyplom z dziennikarstwa. Wiem, jak robić wywiad, jak sprawdzać źródła. Umiem też dojść prawdy. Jestem z Transwalu jak Erik Muller. - Potrząsnęła mocno jego ręką. - Pozwól mi dobrać się do tego faceta, a wy w tym czasie postarajcie się odwrócić uwagę Służby Bezpieczeństwa. Proszę. Ian spojrzał na ich splecione palce. Wszystko to brzmiało bardzo rozsądnie, ale...

- To może być niebezpieczne. Muller jest człowiekiem, który nie przebiera w środkach.

- Zgadza się. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Ale musisz pamiętać, że dla większości moich rodaków jestem tylko słabą kobietą. Dla żadnego Afrykanera nigdy nie będę nawet potencjalnym zagrożeniem. Miała sporo racji. Może jednak uda im się coś osiągnąć! Pochylił się, szukając kawałka papieru na zastawionym filizankami szklanym stoliku.

- W porządku, zrobimy to w ten sposób... Musimy najpierw zebrać więcej materiału. Najlepiej będzie zacząć od redakcji „stara”. Emily delikatnie wyjęła papier z ręki Iana. Dotknęła lekko jego policzka i spojrzała wzrokiem pełnym obietnic.

- Wydaje mi się, że najlepiej odłożyć te plany do rana, jak myślisz? Wstała i pociągnęła go lekko w stronę sypialni.

## • 2 września - biuro prezydenta, Pretoria

Karl Vorster patrzył uważnie na obraz telewizyjny, a na jego twarzy malowała się coraz większa wściekłość. Wywiad z Gideonem Manitzimą dla „Nightline” został nagrany poprzedniego dnia na kasetę wideo przez urzędnika ambasady RPA w Waszyngtonie I natychmiast wysłany pocztą lotniczą przez Londyn do Pretorii. Kasetę była następnie podrzucana jak gorący kartofel w całym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, by wreszcie wyładować na biurku Vorstera.

- Cholerny *kaffir* - wyzwiska padały z taką pasją, jakby wódz Zulusów stał obok rozwścieczonego prezydenta. Mantizima tymczasem, nieświadom rzuconych nań gromów, siedział przed kamerami w studiu w Nowym Jorku, całkowicie swobodnie, z godnością i bez jakiegokolwiek tremy, jak przystało na przywódcę Inkathy, jednej z największych organizacji politycznych czarnej ludności w południowej Afryce. Ubrany był modny, szyty na miarę

garnitur z Savile Row. Obok siedział dziennikarz prowadzący wywiad. W jego głosie wyraźnie wyczuwało się sceptycyzm.

Panie Mantizima, wielu przywódców ANC i innych organizacji antyapartheidowskich stwierdziło, że jest pan apologetą rasistowskiej polityki Pretorii. Czy pańskie konsekwentne przeciwstawianie się sankcjom wobec RPA i głośne potępienie ich nie jest tego dowodem?

Mantizima energicznie pokręcił głową. Mówił pięknym językiem, z akcentem nabytym podczas studiów w London School of Economics.

Prawdą jest, że byłem przeciwny sankcjom, ale tylko za prezydentury Haymansa. Sankcje ekonomiczne, a o nich mówimy, zawsze uderzają głównie w ludność najuboższą, co w naszym kraju jest tożsamy, niestety, wyłącznie z ludnością murzyńską. A chodziło wówczas o w miarę dobrą atmosferę, gdyż rozpoczynały się właśnie negocjacje między rządem a czarnymi przywódcami. Miałem nadzieję, że Haymans zrozumie to i doceni. Teraz jest zupełnie inaczej i nie mam żadnych złudzeń wobec nowych władz opanowanych przez zwykłych oprawców.

- Czy chce pan powiedzieć, że teraz popiera pan sankcje?

- Tak. Właśnie to chcę powiedzieć. Dokładnie taką wiadomość zamierzam przekazać waszemu Kongresowi i prezydentowi. Co więcej, obecnie jestem przekonany, że same sankcje ekonomiczne już nie wystarczą.

Jeden z najlepszych komentatorów "Nightline" wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.

Ale jakie inne...

Z twarzy Mantizimy znikł uśmiech.

Bezpośrednia interwencja. Jedynie użycie siły może położyć kres terrorystycznym rządóm Vorstera dążącego do wyniszczenia naszego narodu.

W studiu zapanowała martwa cisza. Gideon Mantizima uczynił to, co nie udało się jeszcze żadnemu politykowi: spowodował, że weteranowi "Nightline" odebrało mowę.

- Wyłączyć to! Natychmiast wyłączyć to *verdomde* urządzenie! No już! - Ryk Vorstera zagrział niczym wystrzał. Z rogu pokoju podniósł się blady, przerażony urzędnik i podbiegł do magnetowidu. Zebrani wokół telewizora ludzie pospiesznie wrócili na swoje miejsca. Vorster zerwał się tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się z hukiem.

- To zdrada! Zdrada tak wstrętna, że robi mi się niedobrze! - jego dłonie zacisnęły się w pięści. - A my przez lata traktowaliśmy tego, tego *skepsela* - użył afiykańskiego słowa oznaczającego kreaturę - jak człowieka. Nawet pozwoliliśmy mu zarządzać własnym plemieniem! I tak nam odpłacił! Odwrócił się do ministra spraw zagranicznych.

- Jaap, chcę, żeby Mantizimie odebrano paszport. Minister, jeszcze chudszy niż parę miesięcy temu, ubrany w gruby płaszcz, siedział wyraźnie zaniepokojony.

- Panie prezydencie, czy to rozsądna decyzja? Dlaczego poprostu nie zaarrestować go, gdy tylko przyjedzie? Vorster zdecydowanie odrzucił sugestię.

- Nie. Więzienie czy egzekucja uczyniłyby go w oczach Zulusów jedynie męczennikiem i bohaterem. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - jeśli natomiast odetniemy go od wyznawców, od jego narodu *kaffirów*, zrobimy z niego zwykłego, czarnego żebraka, którego nikt nie słucha. Zniknie ze sceny, nie stwarzając nam więcej problemów. Marius van der Heijden spojrzał na prezydenta z chytrym uśmieszkiem.

- Panie. prezydencie, a co z KwaZulu? Kogo pan wyznaczy na miejsce Mantizimy do rządzenia Zulusami? Dobre pytanie. Wszyscy zebrani jak jeden mąż spojrzeli na prezydenta. Obszar KwaZulu składał się z odrębnych kawałków terytorium porzucanego po całej prowincji Natalu - większość obszarów wzdłuż drogi i linii kolejowej łączącej prowincję z resztą Południowej Afryki. Z tego też powodu Pretoria nie mogła pozwolić na zamieszki na tych terenach. Ktoś będzie musiał szybko zająć miejsce po wygnanym już właściwie Mantizimie.

- Nikogo! Od tej chwili specjalny status KwaZulu zostaje cofnięty. Wszystkie sprawy administracyjne i policyjne zostają objęte ścisłą kontrolą naszych organów porządkowych. To tak zwane waleczne plemię nauczy się bać naszego bata, karabinu i słusznego gniewu,

tak jak to było w czasach naszych pradziadów. Zebrani ministrowi pospiesznie wyrazili swoje poparcie. Sześć milionów Zulusów zapłaci własną krwią za zdradę ich przywódcy.

#### • 4 września - okolice Zatoki Richardsa, prowincja Natal, RPA

Dom rodziny Uys leżał w małej dolince rozpościerającej się na południe od góry Drakensberg w stronę Oceanu Indyjskiego. Koło dużego, piętrowego kamiennego budynku z garażem i zagrodą wesoło szumiał płytki strumyk o kamienistym dnie. Po zboczach wzgórz okalających dolinę wędrowały owce, przechodząc powoli od jednej kępki wysokiej, soczystej trawy do drugiej. Obraz spokoju i pogody - prawdziwa uczta dla oka. Obraz był Jednak iluzją. Piet Uys trzymał przy uchu słuchawkę w stwardniałych od pracy, trzęsących się teraz dłoniach.

- Posterunek policji w Richards Bay. - Głos człowieka, który w końcu odebrał telefon, był suchy i urzędowy. Uys wciągnął powietrze.

- Mówi Piet Uys z 202 Freeling Road. *Chcę* złożyć doniesienie o dokonującej się właśnie kradzieży. Jakiej kradzieży, *meneer* Uys? - Głos wydawał się bardziej zadowolony.

- Widziałem kilku czarnych kręcących się koło zagród z owcami. *Chcą* ukraść moje owce! - W głosie starszego farmera słyhać było teraz strach. - Potrzebujemy tutaj policji tak szybko jak to możliwe. Proszę. Proszę się uspokoić. Za kilka minut wyślemy patrol. Proszę tylko zostać w domu i niczego nie robić na własną rękę. Sami filc zajmujemy tymi czarnuchami.

- Tak, tak, zostanę w domu. Pospieszcie się. - Uys odłożył słuchawkę i odsunął się od aparatu.

- Bardzo dobrze, panie Uys. Naprawdę świetnie. Bardzo nam pan pomógł. Farmer spojrzał w ironicznie uśmiechnięte oczy wysokiego, potężnie zbudowanego Zulusa, który stał oparty o stół kuchenny.

- Nie skrzywdzi nas pan teraz?... Obiecał pan. Czarny mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Oczywiście, że nie. Nie walczymy z kobietami, dziećmi i starcami - zostawiamy to waszemu rządowi. - Mężczyzna wyprostował się. - jednak policja to zupełnie inna sprawa. To jest uczciwa walka. - Poklepał trzymany w ręce karabin R4. - Piękna broń, panie Uys. jeszcze jeden powód, żebym był panu wdzięczny. Bardzo ułatwi nam zadanie. Uys załamała pomarszczone, zniszczone przez lata pracy ręce. Otrzymał broń tak jak wszyscy członkowie miejscowego komando - paramilitarnej jednostki obronnej. Komanda miały zabijać czarnych partyzantów, a nie uzbrajać ich. Zawiódł swój naród i swoich ludzi. Przywódca Zulusów patrzył przez chwilę na łkającego starca i odwrócił się z niesmakiem w stronę młodego, czarnego mężczyzny stojącego przy jęczącej żonie farmera.

- Uważaj na nich, ale nie zrób im krzywdy. Wiesz, kiedy wyjść? Młody mężczyzna skinął w milczeniu głową, ale w jego oczach wyraźnie widać było podniecenie.

- Dobrze. *Mayibuye Afrika!* Starszy Zulus podniósł do góry karabin i wyszedł przed dom do czekających na niego ludzi. Biała Afryka Południowa miała wkrótce przekonać się, że nie wszyscy Zulusi zapomnieli o swojej wojowniczej przeszłości.

#### • Patrol policyjny, okolice Zatoki Richardsa

Policyjny radiowóz, z migającym na dachu niebieskim światłem, zjechał z autostrady w lewo, podskakując na wyboistej polnej drodze prowadzącej do domu rodziny Uysów. W samochodzie siedziało czterech umundurowanych policjantów. Wszyscy byli rezerwistami w średnim wieku, powołanymi do policji, kiedy młodszy mężczyźni zostali wysłani do tłumienia rozruchów w miastach czarnych, na północy kraju.

- Stary, mówię ci, w Namibii jest teraz od cholery ciężkich walk. Mnóstwo chłopaków nie wróci do domu. Tak przynajmniej ludzie mówią. - Kierowca patrzył na drogę, ale jednocześnie przez cały czas prowadził z pasażerami zażartą dyskusję. jeden z siedzących z

tyłu mężczyzn zachnął się.

- A ja ci mówię, że gadasz brednie. Stary, też czytam gazety i nie widziałem ani słowa o jakichkolwiek stratach.

- No to co? Dziwisz się? Myślisz, że napiszą wszystko, co się tam dzieje? Tak, żeby jakiś komunistyczny szpieg mógł to przeczytać? - Kierowca uśmiechnął się, gdy jego wywód wywołał u słuchających chichoty. Spojrzał w lusterku na czerwoną z gniewu twarz swojego oponenta. - słuchaj, Hugo, tam musi być niezła strzelanina. Wiem, jak to wygląda. Byłem w Angoli w siedemdziesiątym piątym, gdy ci *verdomde* Kubańczycy zaczęli nas zarzucać pociskami 122 mm. Zupełnie jakby deszcz na nas spadł. Powiedziałem sobie, Manie...

Zgodne jęki pozostałych policjantów zagłuszyły setną powtórkę heroicznych przygód wojennych kierowcy. Radiowóz zatrząsł się i zakołysał na głębokich wybojach zostawionych przez ciężarówki, które odwoziły wełnę i owce Uysa na rynek. Najmłodszy z mężczyzn odwrócił się z trudem na wąskim przednim siedzeniu.

- Jak daleko do tego miejsca? Chce mi się łać jak cholera. Kierowca zaśmiał się.

- Wcale mnie to nie dziwił. Wypiłeś chyba z dziesięć filiżanek kawy po obiedzie. Nie wiesz, że kofeina jest szkodliwa? Któregoś dnia przekreścis się od niej. Gównu! Nadepnął ostro na hamulce i starał się z wysiłkiem utrzymać na drodze, aż zatrzymał się w żółtoszarej chmurze kurzu i żwiru. Od kabiny otwartej ciężarówki, która blokowała drogę, odbiły się wyrzucone przez koła kamyki.

- Jezu! Te cholerne czarnuchy mogły nas zabić przez swoją głupotę! - Kierowca wydawał się być rozżalony, że ktokolwiek mógłby pragnąć jego śmierci. - Hugo, wyjdź i zobacz, czy nie zostawili kluczyków. Inaczej będziemy musieli podjechać inną drogą. Tłusty policjant z tyłu samochodu sięgnął w stronę klamki. Nie zdążył jej jednak nacisnąć. Pociski rozbiły przednią szybę i przeszły przez cienką blachę karoserii, rozrywając ciała siedzących wewnątrz ludzi. Trzech policjantów zginęło natychmiast. Czwarty sięgnął po swój pistolet, ale osunął się po załanym krwią siedzeniu, zanim zdążył wyjąć go z kabury. Trzydzieści metrów dalej, na wzgórzu, przywódca Zulusów wyprostował się, sprawnie wymieniając magazynek w karabinie. Odwrócił się do grupki nie uzbrojonych mężczyzn kryjących się za nim.

- Zabierzcie broń i amunicję. Sprawdźcie, czy nie mają przenośnej radiostacji. Może nam się przydać. Patrzył w milczeniu, jak zbiegali po zboczu w stronę podziurawionego samochodu. Policyjne karabiny, strzelby i pistolety pozwolą na uzbrojenie części jego oddziału. Co ważniejsze, wieści o jego śmiałym czynie przyciągną młodych ludzi z wiosek i ulic miast - będą walczyć o powrót ich wygnanego wodza. Uśmiechnął się do siebie. Po ponad stuletnim okresie wymuszonego pokoju *impis*, oddziały wojenne Zulusów, znowu wezmą broń do ręki.

## • 6 września - Ministerstwo Prawa i Porządku

*Brigadier* Franz Diederichs siedział wyprostowany przed Mariusem van der Heijdenem. Szef Oddziału Bezpieczeństwa w Południowoafrykańskiej Policji był niskim, chudym mężczyzną, w którego wąskiej twarzy zwracały uwagę lodowato niebieskie oczy i pełne okrucieństwa, wąskie usta. Twarz ta doskonale odzwierciedlała jego charakter i temperament.

- Franz, czy rozumiesz znaczenie tego zdania? Diederichs potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, panie ministrze. Van der Heijden zrobił lekceważący gest. W jego przekonaniu podwładni nie potrafili zrozumieć niczego, co nie zostało powtórzone ładnych parę razy.

- Decyzja prezydenta o przekazaniu naszemu ministerstwu bezpośredniej kontroli nad KwaZulu jasno ukazuje, że jesteśmy w stanie sprostać temu zadaniu. Nic nie może zachwiać tego przekonania, jasne? Diederichs ponownie skinął głową, ukrywając zniecierpliwienie. Lekceważenie innych i zadufanie w sobie van der Heijdena były znane wszystkim jego współpracownikom.

- Dobrze. - Zastępca ministra prawa i porządku założył ręce na wydatnym brzuchu.

- Rozumiesz więc także mój nacisk, żeby to, pożałuj Boże, powstanie - prychnął pogardliwie - zostało jak najszybciej zduszone. Diederichs nachylił się do przodu.

- Czy dostanę dodatkowe siły policyjne albo wojskowe? Van der Heijden potrząsnął

przecząco głową.

- Nie. Mamy zbyt mało ludzi. Każdy wyszkolony mężczyzna jest niezbędny na namibijskim froncie albo przy utrzymywaniu porządku w miastach czarnych. Musisz dać sobie radę z tym, co masz. I musisz zrobić to dobrze, Franz, nawet gdybyś musiał wprowadzić terror! - Walnął pięścią w stół i wycelował wskazującym palcem w Diederichsa. - Tak. Terror musi być twoim głównym narzędziem. - Wyciągnięty palec zwrócił się w stronę wiszącego na ścianie portretu Vorstera. - Sam prezydent się zgadza z tym. To jego własne słowa! Powiedział, że chce stu zabitych Zulusów za każdego zamordowanego przez nich policjanta. Za każdą farmę, którą się ośmiela zaatakować, ma pan zniszczyć dziesięć *kraali*! Krew za krew! A ogień na ogień! Franz, ma pan nie okazywać litości tym zdradzieckim czarnuchom. - Van der Heijden zatrzymał się i przez chwilę ciężko oddychał. - Musisz skończyć z ich tchórzliwymi zasadzkami! Zabij wszystkich stawiających choćby cień oporu! Po raz pierwszy od czasu przekroczenia progu pokoju Diederichs pozwolił sobie na jeden krótki uśmiech.

## 12

# Ostrzeżenie przed burzą

## • 7 września - wiadomości CNN

Dramatyczne wydarzenia w Namibii zajęły główne miejsce w codziennym streszczeniu wiadomości CNN: W czasie wizyty mającej na celu pokazanie stopnia zaangażowania w walce o niepodległość Namibii prezydent Kuby, Fidel Castro wylądował dzisiaj w Walvis Bay. Na ekranie uśmiechnięty Castro z cygarem w ustach wyglądał zupełnie naturalnie wśród wojskowych mundurów. Jego ruchliwość miała zaprzeczyć pogłoskom o ciężkiej chorobie, ale jego gęsta, niegdyś ciemna broda była już zupełnie siwa. Kamera pokazała Castro z generałem Vegą u boku podczas obchodu zdobytego portu. Za nimi widać było kilka kubańskich statków handlowych, które pospiesznie wylądowywały czołgi, samoloty i działa na wybrzeże Walvis Bay. Wokół widać było rozstawione działa przeciwlotnicze, broniące południowoafrykańskiego portu przed południowoafrykańskimi samolotami. Obraz przesunął się, obejmując żołnierzy ustawionych na fortyfikacjach wokół miasta, którzy szaleńczo wymachiwali rękoma na widok Castro. Ujęcie skończyło się, pokazując radosnego Fidela tnumfalnie uderzającego pięścią w otwartą dłoń. Kubańczyk zniknął, zastąpiony obrazem ze studia CNN w Atlancie.

Pozostałe wiadomości dnia. Minister spraw zagranicznych Indii ponownie zażądał od Pakistanu zaprzestania udzielania pomocy...

## • **Wysunięty punkt dowodzenia, Kubański Korpus Ekspedycyjny, hotel „Strand”, Swakopmund, Namibia**

Nad namibijskim wybrzeżem zapadła noc. Trzydzieści kilometrów na północ od zapchanego statkami portu Walvis Bay wyżsi oficerowie kubańscy ponownie wypełnili salę bankietową hotelu „Strand”. Od sreber, kryształów i gwiazdek na naramiennikach odbijały się światła rzucane przez świece. Pomiędzy stołami przesuwali się czarni kelnerzy, chyba pierwszy raz prawdziwie zadowoleni ze swojej pracy. Biali zarządcy hotelu natomiast nie mieli żadnych powodów do radości. Stali w grupie, w pobliżu wejścia do kuchni, pilnowani przez uzbrojone strażę. Na zewnątrz narastał przyptyw. Białe grzywy fal biły w piaszczyste plaże Swakopmund. Oddziały piechoty okopały się powyżej linii przyptywu i bacznie obserwowały morze - ich karabiny maszynowe, moździerze i inna ciężka broń były cały czas



w pogotowiu. Zaparkowane na wydmach czołgi świeciły mocnymi reflektorami, omiatając co pewien czas morze snopami światła. Zebrani w sali oficerowie jedli kolację, plotkowali, wznosili toasty i ostrożnie spoglądali w stronę dwóch mężczyzn, którzy siedzieli samotnie u szczytu stołu. Generał Antonio Vega dziobał widelcem podane mu danie świadom, że siedzący obok niego prezydent, a właściwie dyktator Kuby, je głośno, cmokając ustami. Zawsze wolał skromniejsze pożywienie, jedzenie żołnierza - ryż i fasolę, czasami z wołowiną czy kurczakiem. Jedzenie, które zaspokajało głód, a nie zostawiało po sobie ogłupiającego uczucia znużenia. Takie jedzenie miał zawsze na Kubie - w domu. Gust wodza narodu był bardzo odmienny i Vega wiedział, jak poważnym błędem byłaby próba wprowadzenia w tej dziedzinie jakiegokolwiek zmiany. Zwłaszcza teraz, gdy zamierzał nalegać, aby Kuba podjęła największe w swojej historii ryzyko polityczne i wojskowe. Pociągnął łyk wina, przyglądając się znad oprawek okularów zatłoczonej sali. Widok był zdumiewający. W tym małym hotelu na prawie bezludnym wybrzeżu Afryki znajdowało się więcej starszych oficerów, niż zostało ich w Hawanie. Było ich tylu, że hotel "Strand" miał poważne kłopoty z rozmieszczeniem przynajmniej wszystkich ważniejszych oficerów. Vega z przyjemnością oddał swoje pokoje na kwatery Castro, ale ich oba sztaby wdały się w uważne szacowanie rang, zanim rozdzielono pozostałe pokoje. W końcu wyrzucono kilka zamożniejszych białych rodzin w Swakopmund z domów, które przekazano na kwatery niższych oficerów. Wieczorny posiłek został podany w dwóch turach. Najpierw w pośpiechu jedli niżsi oficerowie, aby pozwolić dowództwu na jedzenie o wygodnej porze, przed przejściem do ważniejszych spraw. Vega siedział w całkowitym skupieniu, mając na uwadze powagę sytuacji. Castro musi widzieć jedynie jego zewnętrzną powłokę - spokojnego, zimnego i całkowicie profesjonalnego człowieka. Szalejące w środku mieszane uczucia - podniecenie, zdenerwowanie i radość - musiały zostać ukryte. Jak przystało na prawdziwego marksistę, nie powinien dawać się ponieść sentymentom, osobistym ambicjom czy małym zawiściom.

- Wspaniale, Antonio. Świetne zakończenie doskonałego dnia. - Castro odsunął pusty talerz i z nawyku przeczesał palcami gęstą, teraz ubrudzoną jedzeniem brodę. Vega zniżył kielich i skłonił lekko głowę, przyjmując komplement. Castro zapalił cygaro. Spojrzał przenikliwymi oczami na Vegę.

- Generale, możecie nas zapoznać z sytuacją. Jest odpowiedni czas na medale i filmy propagandowe, ale teraz musimy rozważyć nasze następne posunięcia w tej wojnie. Jak mówi przysłowie, mądry człowiek zanim wyruszy w podróż, sprawdzi, czy jego buty są zawiązane. Vega uśmiechnął się. Jak zawsze Castro wiedział, w jaki sposób szybko przejść do sedna sprawy. Skinął na jednego z czekających w pobliżu oficerów sztabowych, który w odpowiedzi dał znak grupie stojących przy drzwiach poruczników. Grzecznie, ale stanowczo wyproszono kelnerów i innych pracowników hotelu na korytarz. Wszelkie rozmowy przy stołach ustały, gdy młodszy oficerowie wniesli statyw. Starszy oficer wywiadu wojskowego, pułkownik Jaime Vasquez, wystąpił na środek sali i stanął przy zwiniętej mapie. Vasquez, niski, szczupły mężczyzna z arystokratycznymi wysokimi kośćmi policzkowymi i długim nosem, wyglądał tego dnia, jakby szczególnie dużo uwagi poświęcił swojemu wyglądowi. Każdy cal jego munduru był nieskazitelnie gładki, a jego czarne buty aż lśniły. Jedynie mgiełka potu na czole niszczyła wrażenie absolutnej doskonałości. Generał czuł w tej chwili podziw dla zdenerwowanego pułkownika, który był w samym centrum wydarzeń istotnych dla wyniku tej wojny i przyszłości kilku państw. Oficer wywiadu czekał cierpliwie, aż zamkną się drzwi Sali odgradzając zebranych od młodszych oficerów i potencjalnych szpiegów. Vasquez ściągnął zasłonę ze stojaka, odsłaniając mapę przedstawiającą północną i centralną część Namibii. Czerwone linie i strzałki ukazywały rozwój sytuacji na froncie.

- *Señor presidente, Señor general*, linia frontu ustabilizowała się wzdłuż drogi łączącej Walvis Bay ze stolicą Namibii Windhoek, aż do małego miasteczka Gobabis. - Postukał w mapę, pokazując punkt niedaleko granicy Namibii z Botswaną. - Główne siły nieprzyjaciela są skoncentrowane wzdłuż dróg wiodących do Windhoek. Nasłuch radiowy, zeznania jeńców i zwiad lotniczy stwierdzają też obecność przynajmniej jednej zmechanizowanej brygady wroga w okolicy Rehoboth, miasteczka leżącego kawałek na południe od stolicy. Wypielęgowany palec Vasqueza przejechał po mapie wzdłuż drogi prowadzącej na północ od Rehoboth do małego punktu w Górach Auas.

- Tu najdalej docierają wojska południowoafrykańskie. Jeden batalion trzyma wioskę

Bergland. Wszystkie zebrane dowody świadczą, że Południowoafrykańscy okresowo przesuwały swoje wojska w to miejsce ze swojej bazy koło Rehoboth. Castro wyprostował się w krześle, jego gęste brwi uniosły się w grymasie zdziwienia.

- Dlaczego tylko jeden batalion? jeśli Windhoek, który jest w naszych rękach, jest rzeczywiście ich głównym celem, to dlaczego nie przerzucą większych sił w ten rejon? Vega zgodził się z zastrzeżeniem. Dobre pytanie. Czy odpowiedź pułkownika usatysfakcjonuje Castro? Oficer wywiadu zρέcznie przeszedł egzamin.

- *Señor presidente*, Południowoafrykańscy nie mogą wysłać więcej niż jeden batalion, ponieważ wąskie górskie drogi nie pomieszczą większych sił. Zapchanie ich żołnierzami i wozami jedynie ułatwiłoby robotę naszej artylerii i lotnictwu. Castro zachichotał i skinął na Vasqueza, żeby mówił dalej. Pułkownik przesunął rękę na zachód, aż dojechał do wybrzeża.

- Nasza pozycja w Walvis Bay jest podwójnie zabezpieczona. jedyne drogi do niej prowadzą albo z Windhoek, albo przez niedostępne góry, których pustynne doliny są równie niebezpieczne. Ktokolwiek będzie chciał zdobyć port, musi dostać się do niego tymi drogami lub morzem. Vasquez wzruszył ramionami.

- Wsparcie Rosjan gwarantuje nam bezpieczeństwo od strony morza i mamy bezsprzeczną przewagę lotniczą na tym odcinku frontu. Żaden oddział nieprzyjaciela nie może zbliżyć się do nas nie zauważony, a przy pierwszej próbie możemy ich zniszczyć. Vega ujrzał, jak uśmiech Castro rozszerza się i odpowiedział takim samym uśmiechem. Zniszczyć. Piękny obraz. Miał niemal nadzieję, że Pretoria okaże się aż na tyle bezmyślna, by wydać rozkaz atakowania Walvis Bay. Każda ofensywa, która ściągnie kolejne oddziały wroga na pustkowia Namibii, musi skończyć się tragicznie, co ułatwi im późniejsze zadania. Vasquez zwrócił uwagę słuchających na wschód kraju.

- Nasze oddziały broniące Gobabis są mniej bezpieczne, ponieważ miasto otacza sieć wiosek i dróg. Na szczęście wszystkie ważniejsze drogi prowadzące z Gobabis do Windhoek są w naszych rękach. - Zebrani pokiwali głowami. Nikt nie miał wątpliwości co do strategicznego znaczenia stolicy. Vasquez obrócił się i spojrzał na Vegę i Castro.

- Z każdego punktu widzenia, zamiar RPA zajęcia Namibii w błyskawicznej kampanii upadł. Ich żołnierze zajmują, co prawda, południową połowę kraju, ale my kontrolujemy obszary, na których mieszka dwie trzecie ludności i znajduje się większość bogactw naturalnych. W dodatku, nasze źródła podają, że straty nieprzyjaciela są znacznie wyższe od oczekiwanych. Vega zauważył, że Vasquez nie powiedział wszystkiego. Straty Kuby w tej wojnie także były bardzo duże. Castro strzepnął popiół z cygara na porcelanowy talerz.

- Czego, w takim razie, możemy oczekiwać po tym szaleńcu z Pretorii? Vasquez uśmiechnął się nieznacznie.

- Oprócz ataków mniejszych oddziałów każda większa ofensywa musi pójść Drogą Numer Jeden, prosto z Rehoboth i Bergland. W obecnej sytuacji nie widzę żadnych szans dla Południowoafrykańczyków. Mogą jedynie rozbijać się o nasze górskie umocnienia. Vega pozwolił sobie w duchu na gratulacje. Vasquez wykonał świetną robotę. Jasno, zwięźle i zgodnie z prawdą. Castro pokiwał z zadowoleniem głową i przez chwilę siedział w milczeniu, otoczony dymem z cygara. Wreszcie spojrzał na Vasqueza.

- Pułkowniku, jaka część sił nieprzyjaciela bierze udział w tej wojnie? Vasquez nawet nie spojrzał na swoje notatki.

- Udało nam się zidentyfikować jednostki należące do trzech brygad, *señor presidente* - połowa regularnej armii Afryki Południowej. Jeśli wliczyć w to rezerwy, jedna trzecia ich sił zbrojnych kraju.

- Ale Pretoria nie zmobilizowała jeszcze wszystkich rezerw?

- Zapytał od razu Castro. Vasquez schylił lekko głowę, zgadzając się z oceną.

- Wybrane jednostki są nadal powoływane, *señor presidente*. Castro zwrócił się do Vegi. Jego słowa były ostre, ale takt był rzadką cechą władców absolutnych.

- Tak więc, generale, Powstrzymaliście pierwszy atak, ale przeciwnik nie użył jeszcze wszystkich swoich sił. - Nachylił się bliżej, a jego wzrok stał się zimny i przeszywający. - Antonio, muszę wiedzieć, czy możesz powstrzymać drugą, znacznie silniejszą ofensywę? Vega czekał pa to pytanie. Świetnie.

- Mogę, *presidente*. Ucząc dwie brygady znajdujące się w Namibii, mogę zatrzymać nawet dwie południowoafrykańskie dywizje. Jak pan wie, obrońca ma przewagę trzy do jednego.

- Jednak według tej zasady potrzebowałyby pan więcej niż dywizję, żeby pokonać Południowoafrykańczyków. Vega stał się czujny. Ulubionym przezwiskiem Castro było „*El Artillerd*”, „Kanonier”. Prezydent nie stracił jeszcze swoich zdolności dowódczych. Generał wciągnął oddech pewien, że dopiero teraz zacznie się prawdziwa rozgrywka.

- To prawda. W tej chwili znajdujemy się w impasie. Możemy sprowadzić ponad dwie brygady, ale Pretoria także może zwiększyć swoje siły. Taki pat może trwać do czasu, aż jedna ze stron dostatecznie osłabnie. Vega dawno nie widział prezydenta w podobnym stanie. Od razu domyślił się dlaczego. Kuba była zbyt biedna, aby prowadzić w taki sposób wojnę. Nie miała nawet małej części bogactw naturalnych, które posiadała RPA. I nie miała tak wyposażonej armii. Koniec był łatwy do przewidzenia i musiał nastąpić szybko. Zdobycie Walvis Bay było wygraną bitwy, ale nie wojny. W sali zapanowała śmiertelna cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Ale zamiast spodziewanego wybuchu ujrzano na twarzy przywódcy głęboki namysł połączony z desperacją. A myśli były ponure: Wycofanie się było już niemożliwe, i to z paru powodów. Po pierwsze, za dużo ich kosztowało do tej pory całe przedsięwzięcie. A w Namibii były przecież zasoby bogactw naturalnych tak bardzo im potrzebne, to po drugie. A w końcu przez tę interwencję, rzekomo w obronie bezbronno małego kraju, zyskali odrobinę szacunku w oczach świata. To była jedna strona medalu. A druga? Zostać, znaczyło zaakceptować status quo, a to wiązało się jedynie z porażką. Sytuacja była właściwie bez wyjścia. A może jest jakiś cień szansy? Tak... Szybkie dozbrojenie. Ale... przy obecnym stanie rzeczy to była po prostu utopia. Przyjechali tu po łatwe zwycięstwo, a czeka ich sromotna klęska! Castro bezwiednie zaciskał pięści, a twarz stawała się na przemian blada i czerwona. Co ten Vega wymyśli? Spojrzał na salę. Gdyby wzrok umiał zabijać, to... Pułkownik w jednej chwili zrozumiał, że pierwszy musi zacząć mówić. To była teraz jego jedyna szansa. Musi zaryzykować.

- Mam pIan i jestem przekonany, że dobry, jednak wiąże się z nim pewne ryzyko - powiedział cicho, ale dobitnie, nie podnosząc głowy.

- Ryzyko klęski jest lepsze od pewnej klęski - usłyszał nagle prawie spokojny głos. Podniósł głowę. Spoglądały na niego oczy jeszcze gniewne, ale pytające, zniecierpliwione. - Antonio, mów, nie ma czasu do stracenia! Vega wstał wolno od stołu i podszedł do mapy.

- *Señor presidente*, jestem przekonany, że musimy spojrzeć poza walkę o Windhoek czy całą Namibię. Ta inwazja Afryki Południowej jest jedynie ostatnią z serii napaści na inne kraje. Pokazuje nam, że rasistowski rząd Pretorii nie jest zdolny do reform. Castro znowu wyglądał na wściekłego, ale opanował się. Trzeba poczekać, może to tylko taki wstęp, chociaż nie był to czas na oracje. Vega ciągnął dalej.

- Naszym internacjonalistycznym obowiązkiem jest walka przeciw kapitalistycznej agresji. jako lojalni komuniści przyjęliśmy ten obowiązek z zadowoleniem. jednak obecnie zwalczamy jedynie symptomy choroby. Nawet jeśli zwyciężymy w Namibii, nie zakończy to machinacji rasistów. Proponuję, żebyśmy podjęli akcję wymierzoną bezpośrednio w afrykanerskich imperialistów. Vega przerzucił mapę sytuacyjną Namibii przez stojak, odsłaniając inną, pokazującą południową część Afryki. Czerwone strzałki mierzyły prosto w Pretorię z trzech kierunków.

- Musimy zająć całą Afrykę Południową, zniszczyć jej skorumpowany, kapitalistyczny reżim i zbudować na jego miejsce socjalistyczne państwo! Vega oczekiwał gwałtownych reakcji. Zamiast tego jego słowa przyjęto całkowitym milczeniem. Wszystkie oczy skierowane były na mapę i Vega dał znak porucznikowi, który pospieszenie zaczął rozdawać kopie grubego dokumentu najpierw Castro, potem pozostałym zebranych. Prezydent Kuby spojrzął z niedowierzaniem na trzymany w ręce papier, a potem na Vegę.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem, generale. Proponuje pan, żebyśmy zaatakowali RPA? Vega skinął głową zdecydowanie, ale domyślał się, że wielu musi go uważać w tej chwili za pomyłonego.

- I składa pan propozycję rozszerzenia wojny, po tym jak jednoznacznie dał do zrozumienia, że nie możemy wygrać w Namibii? - Castro nie starał się ukryć sarkazmu i Vega lekko zadrżał. Złośliwość prezydenta zbyt łatwo przeradzała się w morderczą wściekłość.

- Tak. - Z trudem udało mu się ukryć zdenerwowanie. Castro w dalszym ciągu całym wysiłkiem woli starał się nie wybuchnąć. Vega miał reputację dzielnego i inteligentnego

żołnierza, a nie idioty.

- Proszę nam to wyjaśnić, generale.

- Jest to głównie kwestia tego, kto ma inicjatywę, *señor presidente*. - Vega musiał się cały czas kontrolować, aby okazywać wodzowi należyty szacunek. - Tak długo, jak walczyliśmy tylko w Namibii, jesteśmy w impasie. Wojna będzie się toczyła według określonych reguł matematycznych. Tyle a tyle wojska, czołgów i karabinów pochłonie tyle a tyle dochodu narodowego każdego z państw i spowoduje takie a takie straty. Przegramy wojnę tego typu. Zatrzymał się, gdy zebrani oficerowie potwierdzili jego ocenę pomrukami.

- Właśnie dlatego nie możemy prowadzić wojny w sposób, jakiego oczekuje Pretoria. Kuba musi przejąć inicjatywę. Kuba musi przenieść tę wojnę na nową arenę, na dalszy etap rewolucyjnych zmagania. Zbliżył się o krok do Castro.

- *Señor presidente*, Afrykanerzy są silni, gdy walczą na obcej ziemi. Jednak u siebie stanowią jedynie mniejszość, która utrzymuje się przy władzy dzięki swojej armii. W kraju mają przeciwko sobie ogromne masy czarnego proletariatu. Wystarczy tylko iskra. To nie rozproszona, słaba ludność Namibii. To potęga. Na twarzy Castro gniew zamienił się w wyraz zrozumienia. Prezydent powiedział cicho do siebie: - Proletariat czeka na wyzwolenie... Vega potwierdził.

- Dokładnie. Potężny ogień rewolucyjny, który możemy wzniecić jednym, niespodziewanym atakiem na terytorium Afryki Południowej. - Postukał w mapę. - Kiedy większa część ich zawodowej armii będzie związana w Namibii, narodowe powstanie rozbije rasistowski system na zawsze. Zdobyliśmy już olbrzymie poparcie międzynarodowe dla naszej walki w Namibii. Wyobraźcie sobie naszą pozycję, gdy rozbijemy agenta imperializmu w Afryce, ostatnią kolonialną potęgę na tym kontynencie. - Oczy Vega świeciły dziwnym blaskiem, a jego głos brzmiał czysto i donośnie. Ciągnął dalej, wyliczając zalety planu.

- Socjalistyczna Afryka Południowa dysponowałaby olbrzymimi zapasami bogactw naturalnych. Złoto, diamenty, uran i inne materiały strategiczne, o które zabiegają kapitaliści i po które przyszliby nawet na klęczkach. Przy naszej pomocy nowa Afryka Południowa mogłaby wyprowadzić wszystkie państwa kontynentu spod imperialistycznej dominacji. Moglibyśmy odrodzić ruch socjalistyczny na całym świecie! Twarz Castro rozciągnęła się teraz już otwarciem w drapieżnym uśmiechu. Po chwili jednak spoważniał.

- A co z Rosją? Jak przekonamy jej przywódców, żeby wsparli tak ryzykowny krok? Oczywiście, obietnicą wzbogacenia się, pomyślał Vega. Tylko to może ich teraz skusić. W ciągu ostatnich kilku lat Rosjanie przestali być godni miana prawdziwych komunistów. Jednak Castro nie to chciał usłyszeć.

- Musimy im przypomnieć ich własną historię, zaświecić im w oczy ich własną rewolucją! To będzie wojna o wyzwolenie, poparta nie tylko przez nas, ale przez cały postępowy świat i skierowana przeciwko ostatniej, najgorszej twierdzy zachodniego kolonializmu w Afryce! Vega przerwał dla nabrania oddechu i wtedy momentalnie rozległy się głośnie brawa na cześć zdobywcy Walvis Bay, najpierw Fidela Castro, a potem pozostałych uczestników zebrania. Sam bohater stał nieruchomo, uśmiechając się poważnie i czując rozpierającą dumę. Castro zaakceptował jego plan. Kuba przeniesie wojnę do RPA, do jej miast, wsi i... kopalni. Karl Vorster i jego bezczelni Afrykanerzy zbiorą owoce śmierci i zniszczenia, które sami zasiali.

## • 9 września - 20. Batalion Strzelców Przylądkowych, okolice Bergland, Namibia

Daleko, w ciemnościach jarzyły się wybuchające coraz rzadziej jaśniejszym płomieniem małe, nieregularnie rozrzucone punkty. Noc litościwie ukryła tragiczne ślady ostatniej walki: poszarpany wybuchami grunt, osmalone, dopalające się wraki, które jeszcze niedawno były pojazdami bojowymi i nagie, kamieniste wzgórza pokryte okopami i umocnionymi bunkrami. Nic. *Kommandant* Heník Kruger zrezygnowany opuścił lornetkę. Nie był w stanie dostrzec, czy ostatni strzał przyniósł jakieś wymierne efekty. Pewnie Kubańczycy byli zbyt dobrze zabezpieczeni. Westchnął i ześliznął się ze stoku do bunkra dowództwa. Grupki znużonych, niechlujnych żołnierzy wracały z niedużych kuchni polowych, trzymając w rękach kubki z gorącą herbatą czy na wpół puste miski z jedzeniem. Kruger zmuszał się do

uśmiechu, odpowiadając na saluty. Batalionowi nic nie pomoże, jeśli jego dowódca będzie wyglądał na przygnębionego. Trzy tygodnie ciężkiego marszu i morderczych walk, których końca nie było widać, nieubłagane wyniszczały fizycznie i psychicznie 20. Batalion Strzelców Przyłaskowych. Ludzie nadal atakowali z determinacją, ale byli już zmęczeni i zaczynało im brakować wiary. Odeszło zbyt wielu podoficerów i niższych oficerów - zginęli lub przebywali w szpitalach polowych. Ci, którzy przeżyli, byli krańcowo znużeni. Rzadkie chwile odpoczynku zakłócane były przez pogłoski o porażce i ciężkich stratach pod Walvis Bay, o studenckich manifestacjach i brutalnej reakcji policji, o rozszerzającej się w Natalu wojnie partyzanckiej i o załamującej się gospodarce. Kruger zacisnął zęby. Niech diabli wezmą tych cholernych idiotów: Vorstera, de Weta i pozostałych debilów! W ciągu niecałych trzech miesięcy zdołali pogрузić kraj w morzu problemów. Jaka kolejna katastrofa ich czeka? Nachmurzony, odsunął maskującą wejście zasłonę i wszedł do niskiego pomieszczenia oświetlonego lampami na baterie. Wszyscy byli zajęci pracą - uaktualniając mapy sytuacyjne walk na rozciągniętym froncie namibijskim. Zatrzymał się, żeby przejrzeć raporty.

- *Kommandant*? Kruger obrócił się do kapitana Pietera Meiringa. Szef sztabu zdążył sobie wyhodować bujną brodę.

- Dzwoniono z brygady, gdy był pan na wzgórzu. *Brigadier* chce pana widzieć możliwie jak najszybciej. - Zmęczony głos Meiringa nie okazywał żadnych emocji. Kruger z trudem powstrzymał się od przekleństwa. Niech to. Rehoboth było oddalone o sześćdziesiąt kilometrów. Co, do diabła, stary mógł chcieć, czego nie mógł powiedzieć przez radio czy telefon polowy? Spojrzał na zegarek. Prawie ósma.

- Są jakieś wiadomości od majora Forbesa?

- Nie, *kommandant*. Kolejna zagadka. Tego ranka wysłał swojego zastępcę do Rehoboth, żeby zajął się pogarszającą sytuacją aprowizacyjną batalionu. Amunicja, granaty i paliwo nie docierały dostatecznie szybko i w wystarczających ilościach. Kruger kazał Forbesowi trochę narozrabiać w sztabie. Ludzie mogli walczyć przez pewien czas bez dostatecznej ilości snu, ale nie bez naboju czy paliwa. Kruger potrząsnął z obrzydzeniem głową. Jeszcze jeden problem w rosnącej stercie spraw do załatwienia. Spojrzał na Meiringa.

- W porządku, Pieter. Niech mój *Ratel* będzie gotowy do drogi. Przywiozę ze sobą Forbesa. Będziemy z powrotem możliwie jak najszybciej. Przygotuj odprawę na... - zatrzymał się, żeby obliczyć czas podróży i dobrze znaną tendencję do długich przemów *brigadiera* Strydoma - niech będzie pierwsza w nocy. Powinno wystarczyć. Meiring zsalutował i wrócił do swoich zajęć. Kruger obrócił się, żeby rzucić okiem na mapę sytuacyjną i kiedy machinalnie potarł podbródek, uświadomił sobie po raz kolejny, że od kilku dni nie golił się.

- Andries!

- Tak? - jego ordynans natychmiast zareagował.

- Przynies mi brzytwę i miskę z gorącą wodą. - Uśmiechnął się. - Nie mogę wystraszyć naszych dzielnych wojaków na tyłach, co? Nie powinni myśleć, że tak błahe problemy, jak bomby mogą przeszkodzić nam w goleniu. Próba dowcipu się udała i w bunkrze rozległy się chichoty. Większość oficerów stanowili wprawdzie weterani, ale było też kilku rezerwistów, dla których oklepane dowcipy były nowością.

## • 82. Brygada Zmechanizowana, Rehoboth, Namibia

Rehoboth leżało pomiędzy wzgórzami, na południowym krańcu Gór Auas. Miasteczko było ośrodkiem konserwatywnej, wyjątkowo religijnej grupy mieszkańców, którzy dwa wieki temu uciekli z Kapsztadu przed prześladowaniami. Ich skromne, stare domy były świadectwem wiary i zarazem ubóstwa. Panujące tu ciemność i cisza przypominały o godzinie policyjnej. Za opłotkami małe stada krów i brązowych, czarnych i szarych owiec karakułowych wędrowały po dużych pastwiskach. Kilka krów zaciekawionych dźwiękiem przejeżdżającego transportera przerwało powolne przeżuwanie i podniosło głowy. Niewyraźne światło zaciemnionych reflektorów oświetliło je na chwilę, prześliznęło się po wzgórzu i zniknęło, gdy *Ratel* skierował się w stronę namiotów na przedmieściach Rehoboth. Przez kilka minut krowy ryczały żałośnie i znowu wróciły do jedzenia trawy. Namioty, parkingi, magazyny i warsztaty remontowe 82. Brygady Zmechanizowanej

rozciągały się na powierzchni ponad stu akrów. Patrolujące ten obszar wozy opancerzone chroniły brygadę przed atakiem z lądu, podczas gdy baterie rakiet przeciwlotniczych *Cactus* miały bronić przed atakiem z powietrza. Przez szczeliny w namiotach wydobywało się dosyć światła, żeby poznać, iż większość żołnierzy jeszcze nie spała. W dużym namiocie, mieszczącym sztab brygady, zapalone były wszystkie światła. *Kommandant* Kruger wygramolił się z bocznego wjazdu *Ratela* i stał chwilę, patrząc na rozgwieżdżone niebo. Oddychał głęboko, rozkoszując się wreszcie świeżym powietrzem po długim wdychaniu smrodu we wnętrzu transportera. Nie śpieszyło mu się specjalnie na spotkanie z *brigadierem* Strydomem. W ciągu ostatnich trzech tygodni respekt Krugera dla swojego bezpośredniego przełożonego zmalał do minimum. Strydom aż nazbyt chętnie przekazywał Pretorii nie to, co naprawdę się działo, tylko to, co chciała usłyszeć. Udowodnił także, że jest zdolny wydawać bezsensowne i sprzeczne rozkazy w czasie bitwy. W opinii Krugera, dowódca brygady powinien znajdować się w Bergland i sam zapoznać się z sytuacją, a nie dekować się głęboko na tyłach, słuchając jedynie relacji swojego sztabu. Napłynął chłodny, ostry powiew, przynosząc ze sobą nowy zapach. Wstrętny, słodki odór, który Kruger natychmiast rozpoznał. To był zapach gnijących ciał. Kruger wstrząsnął się. W Rehoboth nie było żadnych walk, skąd ten fetor? Obrócił się, szukając wyjaśnienia i znalazł je na stojących obok namiotu szubienicach. Dobry Boże! Wydawało mu się, że ma przywidzenia. Sześć ciał poruszało się w makabrycznym tańcu przy każdym silniejszym podmuchu wiatru. Żadne z nich nie miało munduru. Sami czarni. Dwa ciała wyglądały na kobiece. Kruger ciężko przełknął ślinę, czując jak coś rośnie mu w gardle. jakie szaleństwo zagnieździło się w brygadzie? Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Poprawił hełm na głowie i podszedł energicznym krokiem do dwóch wartowników stojących przy wejściu do namiotu. Jeden z nich sprawdził dokumenty, podczas gdy drugi oświetlał latarką twarz Krugera. Zauważył, że strażnicy starają się nie patrzeć w stronę szubienic. W środku znajdowało się ze dwudziestu oficerów i podoficerów, wszyscy zajęci pospieszną pracą przy uzupełnianiu napływających bez przerwy informacji. Z płóciennych ścian namiotu zwisały mapy z naniesionymi znakami. Więcej map wisiało na stojakach. Przy potężnych radiostacjach siedziało kilkunastu ludzi, prowadząc ściszym głosem rozmowy wśród szumów i trzasków dalekich połączeń. W kwaterze widać i słyszeć było wszelkie rutynowe oznaki przygotowywania się do kolejnej operacji. Rozejrzał się. Nigdzie nie było widać majora Forbesa. Gdzie on u diabła się podział? *Brigadier* Jakobus Strydom stał przy jednej z map w towarzystwie wysokiego, grubego mężczyzny. Obrócił się, gdy Kruger podszedł bliżej.

- Ah, Henrik... miło cię widzieć. Kruger skinął głową i zasalutował. Po wąskiej twarzy Strydoma przemknął lekki cień.. Wskazał ręką na grubasa o czerwonej twarzy.

- Nie sądzę, żebyś znał *kolonel* a Hertzoga.

- *Kolonel*. - Kruger zniżył nieznacznie głowę.

- *Kolonel* przyleciał z Pretorii, Henrik. Jest jednym z doradców samego prezydenta. Ach tak. Szpieg Vorstera. Kruger przyjrzał mu się uważniej i zdumiał się. Hertzog nosił przypiętą do munduru oznakę AWB.

- Czy coś pana niepokoi, pułkowniku Kruger? - Arogancki głos Hertzoga odpowiadał jego wyglądowi.

- Szubienice na zewnątrz... - Kruger zwrócił się do Strydoma.

- Uginają się pod zdrajcami, pułkowniku. Więźniami straconymi w słusznym odwecie za próby ataków na nasze konwoje - przerwał im Hertzog. - Mój pomysł, ale inspirowany zaleceniami naszego ukochanego prezydenta. Mam nadzieję, że nie ma pan zastrzeżeń. Kruger słuchał, nie wierząc własnym uszom. Więźniowie? Niewinni cywile wyciągnięci w nocy z łóżek i powieszeni, ponieważ żołnierze namibijscy atakowali konwoje? To było coś gorszego niż szaleństwo. To już była zbrodnia. Widział już martwych cywilów, mężczyzn, kobiety, nawet dzieci, ale zabitych przez bomby. W czasie wojny takie rzeczy zawsze się zdarzały. Jednak w tym przypadku było to coś zupełnie innego. Zwykła zbrodnia dokonana z zimną krwią. Strydom wziął go za ramię i odciągnął od Hertzoga.

- Henrik, nie zajmuj się metodami niezbędnymi dla zapewnienia bezpieczeństwa tyłom. Nie podlegają twojemu osądowi. - W głosie *brigadiera* słyszeć było ostrzeżenie.

Kruger zamknął usta i spojrzał na swojego przełożonego. Pod skórą policzka nieustannie drgał mu nerw. Dobry Boże! Facet był przerażony. Nieprzytomny ze strachu przed tym

krwawym bydlakiem Hertzogiem.

- Przejdźmy do tego, po co cię tu wezwałem... - Strach Strydoma jakby się jeszcze zwiększył. - Twój zastępca... Kruger przerwał mu.

- Właśnie, gdzie jest major Forbes?

- Major Forbes został aresztowany, *kommandant*. - Hertzog podszedł bliżej, a na jego twarzy pojawił się bezczelny uśmiech. - Znajduje się już w drodze do Pretorii, oczywiście pod strażą.

- Co takiego? - Ręce Krugera zacisnęły się w pięści. - Na miłość boską, za co?

- Za zdradę. - Uśmiech Hertzoga stał się jeszcze bardziej złośliwy. - Dziś po południu słyszałem, jak ten Anglik obraża szefa sztabu, a przede wszystkim naszego prezydenta. Oczywiście, aresztowałem go od razu. Nie można pozwolić, żeby takie rzeczy uchodziły komukolwiek płazem. Jestem pewien, że zgodzi się pan ze mną. - Hertzog obrócił się na pięcie i odszedł, nie czekając na odpowiedź. Kruger patrzył w milczeniu na jego plecy, walcząc z chęcią wyjęcia pistoletu. Był pewien, że Forbes powiedział kilka ostrzejszych słów, żeby wyrazić swoje niezadowolenie z ostatnich wypadków, ale na pewno nic takiego, co można by uznać za zdradę. Jeśli Vorster i jego szaleńcy uważali to za zdradę, to kto jeszcze mógł się czuć bezpieczny? Strydom stanął pomiędzy nim a Hertzogiem.

- Henrik, proszę cię, nic nie mów. Nie mogę stracić więcej moich najlepszych oficerów. Podprowadził Krugera do stolika z mapami. Kilku młodszych oficerów zeszło im przezornie z drogi. Strydom pochylił się nad mapą, wskazując palcem pozycje zajęte przez 20. Batalion Strzelców Przyładkowych.

- Widzę, że twój dzisiejszy atak był sukcesem.

- Sukcesem? - Kruger mógł ledwo mówić przez zaciśnięte zęby.

- Twój batalion zajął spory obszar, prawda? - *brigadier* spojrział ostrożnie przez ramię. Hertzog oparł się niedbale o ścianę namiotu i obserwował ich zimnymi oczami. Kruger walnął pięścią w stół, strasząc kilku młodszych oficerów.

- Ach tak, jasne, że zdobyliśmy teren. Trzysta *blery* metrów bezużytecznego pustkowia i jeden śmierdzący potok! Zajęcie tego pieprzonego obszaru kosztowało mnie dziesięciu zabitych i trzydziestu sześciu rannych! W tym tempie cała nasza *verdomde* ojczyzna zostanie bez jednego człowieka, zanim zdobędziemy Windhoek! Strydom złapał go za ramię i przysunął bliżej siebie.

- Kruger, zamknij się! - szepnął przerażonym głosem. Chcesz, żeby i ciebie aresztowano? Chcesz, żeby twoimi ludźmi dowodził ktoś taki? - Skinął głową w stronę Hertzoga.

Kruger potrząsnął przecząco głową. Rzezimieszek i polityczny łobuz na czele jego batalionu? Szaleństwo.

- Henrik, posłuchaj mnie uważnie. Twój dzisiejszy atak był sukcesem - tak, jak twój jutrzejszy atak będzie musiał być sukcesem. Pretoria nie chce słyszeć o jakichkolwiek niepowodzeniach, kłopotach z dostawami czy stratach. Rozumiesz? Kruger stał nieruchomo przez kilka chwil, które wydawały się wiecznością. To, co Strydom powiedział, kłóciło się z całym jego dotychczasowym postępowaniem jako oficera południowoafrykańskiej armii. W jaki sposób takim zbirom udało się dojść do władzy? Co się stało z jego narodem? Spojrzął jeszcze raz na cwana, zadowoloną z siebie twarz Hertzoga i pomimo wstydu i wzburzenia skinął posłusznie głową. Musi pogodzić się z tym na razie - ale tylko na razie. Tylko po to, żeby uratować choć część swoich ludzi.

## • 10 września : Kreml, Moskwa, Rosja

Po wewnętrznej stronie muru, na rozległym dziedzińcu stała główna budowla kompleksu, Wielki Pałac Kremłowski. Jego wnętrza zadziwiały bogactwem architektury, a stylowe meble, wspaniałe dywany i dzieła sztuki dopełniały całości. W jednej z mniejszych sal, wokół bogato rzeźbionego dębowego stołu siedzieli członkowie Rady Obrony Państwa. Przed nimi znajdowały się notatki i przybory do pisania. W rogu salki, przy niemieckim komputerze siedziała gotowa do podjęcia pracy protokolantka. Prezydent Rosji Milcyn zmęczonym wzrokiem wodził po zebranych, dokładnie obserwując każdą osobę. Przy nim

siedział zwalisty, niezgrabnie wyglądający nawet w szytym na miarę przez zachodnich krawców garniturze, minister obrony. Na jego piersiach mieniły się wieloma kolorami rzędy baretek. Prezydent uśmiechnął się ironicznie: które z medali były naprawdę zasłużone? Dalej sztywno tkwił dowódca Sztabu Generalnego, a szef KGB tuż obok, zgodnie z zasadą, że lepiej mieć na oku największego antagonistę. Naprzeciwko przystojny, zawsze elegancki minister spraw zagranicznych bawił się swoim Ballografem. Po jego lewej ręce młody, lekko speszony akademik, doradca do spraw ekonomii. Brakowało jednej osoby, starego ideologa Partii Komunistycznej. Był umierający. Prezydent współczuł mu bardzo, ale jednocześnie był zadowolony z jego nieobecności. Gdyby potrzebował wykładu z abstrakcyjnej filozofii marksistowskiej, zawsze mógł liczyć na żonę chorego. Dzisiaj, podczas podejmowania decyzji dotyczących bezpieczeństwa narodowego, potrzebni byli ludzie z trzeźwą oceną opartą o realia. Stojący przy ścianie XVIII-wieczny zegar wybił trzecią po południu, uświadamiając zebranych, że minęły właśnie trzy godziny bezowocnych dyskusji na temat dziwnej i niespodziewanej propozycji Castro, dotyczącej inwazji na RPA. Jedyne zaatakowanie szefa KGB za brak wcześniejszych informacji na temat zamiarów Kuby było jednomyślne.

- *Gospoda*, proszę, nigdy nie skończymy, jeśli będziemy się kłócić. Musimy skoncentrować się na najważniejszych sprawach. Trzeba wreszcie podjąć decyzję. - Prezydent westchnął w duchu. Przecież mógł autorytatywnie narzucić tym pięciu ludziom swoją wolę. Teoretycznie nie byli w stanie mu zagrozić. jednak lepiej było postępować dyplomatycznie. Pamiętał jeszcze nie tak dawne czasy, gdy silni, wydawałoby się, przywódcy narodu zmieniali się w figurantów, przegrywając w podstępnej, bezpardonowej walce ze swoimi współpracownikami. Teraz też, mimo pozornego podporządkowania, sprawy mogły przyjąć nieoczekiwany, niepomyślny dla niego obrót. Nie, potrzebował jednak poparcia tych ludzi. Propozycja Castro całkowicie ich zaskoczyła. jej przyjęcie oznaczałoby poważne zmiany w polityce bezpieczeństwa narodowego. Nikt nie wiedział tego równie dobrze jak on sam. Pod koniec lat osiemdziesiątych Związek Radziecki pod jego przewodnictwem skoncentrował się na sprawach wewnętrznych - nie zainteresowany kosztownymi "przygodami zagranicznymi". Zmiana nie była wynikiem jego dobrych zamiarów, ale stanowiła desperacką próbę zapobieżenia katastrofie ekonomicznej. Zmniejszając straty spowodowane polityką zagraniczną, Związek Radziecki mógł zmniejszyć wydatki na zbrojenie - uwalniając sporą część środków na produkcję coraz bardziej poszukiwanych przez obywateli dóbr konsumpcyjnych. Zasadniczym zmianom w polityce zagranicznej towarzyszyły również poważne zmiany wewnątrz kraju - zmiany określone terminami *glasnost'* i *pierestrojka*. Jednak zarówno *glasnost'* jak i *pierestrojka* nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Wiele republik podjęło zwińczoną sukcesem walkę o pełną suwerenność. Wiele reform ekonomicznych stale umierało śmiercią naturalną w potężnym systemie niezmiennej biurokracji, która nie była w stanie tolerować prywatnej inicjatywy i własności. Prezydent zrezygnowany pokręcił głową. Teraz Kuba, która odrzuciła ich drogę reform, i która kosztowała *Rodinę* miliardy rubli pomocy wojskowej, chciała wplątać ich w wojnę na końcu świata! Najłatwiej, oczywiście, byłoby odrzucić propozycję Castro. Jednak istniały pewne przesłanki... Ugrzeczniony, modulowany głos ministra spraw zagranicznych przerwał jego rozmyślenia.

- Mówię wam, *gospoda*, plan Castro jest zbyt kosztowny. Widziałem raporty. Już teraz zaopatrywanie armii kubańskiej w Namibii pozbawia nas twardej waluty i angażuje znaczącą część naszych samolotów i statków transportowych. Nie możemy sobie pozwolić na zwiększenie naszego zaangażowania w ten konflikt.

- Nie zgadzam się, Aleksieju Pietrowiczu. - Szef KGB pochylił się w krześle, jego pozornie zawsze łagodna twarz była teraz zacięta.

- Dzięki pomocy Namibijczykom zyskaliśmy bardzo ważne poparcie międzynarodowe, poparcie, które może oznaczać nowe porozumienia handlowe. Prezydent wiedział, że jest to mało prawdopodobne. Dobra wola i słowa pochwały nie kosztują zbyt wiele. Porozumienia handlowe są kosztowne. Jak dotąd zachodni przywódcy okazali się wyjątkowo zdolni w unikaniu jakichkolwiek poważniejszych zobowiązań. Oczywiście, że było przyjemnie znaleźć się dla odmiany wśród państw walczących o wolność i postęp, ale miłe słówka nie mogły zastąpić pomocy materialnej, której kraj koniecznie potrzebował do



ożywienia rozpadającej się gospodarki i starzejącej się struktury przemysłowej. Minister spraw zagranicznych poprawił się w krześle i spojrzał na oponenta.

- Te porozumienia, o których pan tak pięknie mówi, nie zmaterializują się po naszej ewentualnej klęsce, panie przewodniczący! A właśnie tego spodziewam się, jeżeli poprzemy kubańską propozycję. - Spojrzał w stronę ministra obrony. - Dimitrij, czy nie jest prawdą, że armia południowoafrykańska jest najsilniejsza na afrykańskim kontynencie - mimo impasu w Namibii?

- Prawda. Według mnie, a mam dosyć duże doświadczenie w tej dziedzinie, plan Castro jest skazany na niepowodzenie. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia dyskusji marszałek Kamienin, szef Sztabu Generalnego, poruszył się. Prezydent spojrzał na niego z zaciekawieniem. W przeciwieństwie do swojego przełożonego, ministra obrony, Kamienin brał udział w walkach zarówno w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, jak i w Afganistanie.

- Tak, panie marszałku? Chce pan coś dodać? Kamienin wolno skinął głową.

- Tak, panie prezydencie. Zgadzam się, że wojska południowoafrykańskie wydają się posiadać olbrzymią przewagę. Jednak pozory mogą być mylące. Prezydent wydawał się zaintrygowany.

- Słuchamy.

- Plan Castro nie jest tak nierealny, jakby się w pierwszej chwili wydawało. Armia Pretorii w dużej części została wprowadzona do kraju, ale wszyscy wiemy, że jest i tak nieliczna w porównaniu z rzeszą czarnych. Jeżeli Castro zwiąże ją walką z armią kubańską, natychmiast wykorzystają to Murzyni. I w takim przypadku Castro może być górą.

- Ale jakim kosztem? - odparował minister spraw zagranicznych. - Czy chcemy sprowokować interwencję Amerykanów? Czy chcemy konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi? Teraz? Właśnie to może być rezultatem udzielenia pomocy Kubie!

- Aleksieju Pietrowiczu, proszę się uspokoić. - Przewodniczący KGB uśmiechnął się sardonicznie. - Waszyngton nigdy nie odważyłby się pomóc rasistowskiemu reżimowi Pretorii. Takie posunięcie rozwścieczyłoby jego własnych obywateli, przyjaciół w innych krajach i wszystkie "demokratyczne" kraje na świecie. Zresztą, gdyby nawet Amerykanie okazali się na tyle głupi, żeby angażować się w tę wojnę, kubański plan nie zakłada bezpośredniego udziału naszych wojsk czy samolotów, a jedynie wsparcie polityczne i logistyczne. Ryzyko bezpośredniego udziału w walkach jest minimalne! Twarz ministra spraw zagranicznych przybrała czerwony odcień. - Nie mamy tam nic do zyskania, a za to wiele do stracenia! Prezydent spojrzał w tym kierunku.

- Czy chce pan coś powiedzieć, profesorze Bucharian? Jego doradca ekonomiczny skinął głową.

- Tak, panie prezydencie. - Zwrócił się teraz do ministra spraw zagranicznych. - Pańskie dywagacje są mylne. Orientuje się pan chyba, że Afryka Południowa i Rosja mają łącznie dużą część światowych zasobów minerałów strategicznych.

- Znam te dane - ostro odparł minister. Bucharian układnie skinął głową.

- *Gospoda*, mój tok myślenia jest następujący. Poprzedni rząd RPA zaproponował nam wejście do światowego kartelu złota. Propozycja była raczej korzystna. Może nowo utworzony rząd, który powstanie po pokonaniu Południowych Afrykańczyków i który na pewno będzie do nas w związku z tym ustosunkowany bardzo przyjaźnie, pójdzie dalej i będzie chciał rozszerzyć kartel o minerały strategiczne. Jest to całkiem prawdopodobne. Czy w tym przypadku nasza pomoc ma za dużą cenę? To, co mówił ten młody mężczyzna, brzmiało bardzo rozsądnie. Prezydent potarł w zamyśleniu podbródek. Rzeczywista kontrola nad zasobami Afryki Południowej dałaby Rosji tak potrzebną przewagę w rozmowach z Zachodem. Rosyjskie przedsiębiorstwa handlowe mogłyby dopasować swoje ceny do każdej ceny podwyższonej przez nowy "rewolucyjny rząd", zwiększając napływ do kraju niezbędnej twardej waluty. Chytre uśmiechy na twarzach trzech uczestników narady przekonały go, że myślą podobnie. Jedyne ministrowie obrony i spraw zagranicznych nie wyglądali na przekonanych. Prezydent zmarszczył brwi. Nie będzie miał pełnego poparcia. Bardzo dobrze, może wystarczy, jeśli zaoferuje im pozwalający zachować twarz kompromis. Postukał ołówkiem w blat stołu.

- *Gospoda*, myślę, że dostatecznie długo dyskutowaliśmy nad tą kwestią. Proponuję następujące rozwiązanie: poprzemy wstępne przygotowania Kuby, powstrzymując

jednocześnie ostateczną zgodę na samą inwazję. Z tym można poczekać, aż wyklaruje się rozwój wypadków w Namibii i Afryce Południowej. jednocześnie będziemy nalegali na zachowanie absolutnej tajemnicy w kwestii naszej ewentualnej przyszłej pomocy. W ten sposób zostawimy sobie otwartą furtkę. Spojrzał na ministra spraw zagranicznych.

- Jeśli nawet do tego nie dojdzie, to znaczniejsza pomoc w Namibii zagwarantuje nam jako stronie silniejszą pozycję w końcowej fazie konfliktu, podczas ostatecznych negocjacji.

Minister schylił lekko głowę, przyjmując argument.

- Dobrze. Zakładam, że osiągnęliśmy porozumienie w tej sprawie. Powiadomimy Castro, że może przystąpić do realizacji swojego planu, uwzględniając jednak nasze warunki.

Zebrani pokiwali głowami, niektórzy z entuzjazmem, inni z widoczną niechęcią. Za nimi słychać było stukanie klawiszy, gdy protokolantka notowała końcowe decyzje. Fidel Castro dostanie statki, samoloty, czołgi i resztę sprzętu niezbędnego do przygotowania ofensywy wymierzonej w Pretorię.

## 13

### Karuzela

#### • 15 września - zebranie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Biały Dom

W podziemiach Białego Domu, gdzie, niezależnie od panującego na zewnątrz upału, zawsze było przyjemnie i chłodno, tym razem, jak na ironię, atmosfera była wyjątkowo gorąca. Mimo pozorowanej swobody na twarzach i w zachowaniu zebranych tu osób widać było starannie maskowane obawy. Tematem rozmowy miała być tylko jedna sprawa: sytuacja w południowej części Afryki. Zapowiedź poważnego kryzysu znalazła swoje odzwierciedlenie w nazwiskach i rangach zebranych osób. Z wyjątkiem sekretarza stanu i obrony wszyscy główni członkowie Rady przybyli na spotkanie osobiście i w towarzystwie grupy doradców. Sekretarz stanu przebywał w Europie, na konsultacjach z członkami NATO w sprawie Afryki południowej. Sekretarz obrony miał bardziej prozaiczne zajęcie: wizytował na Zachodnim Wybrzeżu bazy wojskowe, które były przeznaczone do likwidacji. Ściąganie któregośkolwiek z nich na sesję wzbudziłoby jedynie niepożądane zainteresowanie środków masowego przekazu. Ciche szmery rozmów zamarty, gdy wiceprezydent James Malcolm Forrester, minawszy dwóch strażników, wszedł do pokoju. Pospiesznie zajął swoje miejsce i od razu wyjął grubą teczkę ze skórzanej walizeczki.

- Przepraszam za spóźnienie, ale właśnie otrzymałem dodatkowe wskazówki od prezydenta w sprawie wojny namibijskiej i naszej na nią reakcji. - Zwrócił się do siedzącego po drugiej stronie stołu niskiego mężczyzny z gęstą brodą. - Ed, zapoznaj nas, proszę, z dotychczasowym rozwojem sytuacji.

- Oczywiście. - Doradca sekretarza stanu, Edward Hurley, podniósł się i włączył projektor. Forrester zignorował zawiedzione spojrzenie zastępcy sekretarza stanu. Whitworth był bezpośrednim przełożonym Hurleya, ale tylko mgliście orientował się w omawianym obecnie zagadnieniu. Poza tym Forrester od dawna podejrzewał go o rozsiewanie nieprzyjaznych, a nawet szkodliwych plotek na swój temat w całym Departamencie Stanu. Pomocnik przy drzwiach przyciemnił światła. Hurley włożył pierwszy slajd.

- To przeźrocze pokazuje schemat najważniejszych wydarzeń, które miały miejsce od naszego ostatniego zebrania tydzień temu. Jak widać, tylko trzy z czternastu punktów dotyczą wojny w Namibii. Pozostałe to wydarzenia polityczne, ataki partyzantów i zamieszki wśród ludności cywilnej. Jezu! Forrester przejrzał spis, w czasie gdy Hurley komentował w

skrótce każde wydarzenie. Na pierwszy rzut oka, wojna w Namibii była sprawą niemal drugorzędną w porównaniu z wydarzeniami rozgrywającymi się w samej Afryce Południowej. Społeczeństwo RPA najwyraźniej stało w obliczu wojny domowej. W wyniku bombowych zamachów partyzantów, walk o władzę pomiędzy czarnymi i wprowadzania zaostrożonych "środków bezpieczeństwa" każdego tygodnia ginęły setki ludzi. Hurley włożył następną slajd z mapą oznaczoną napisem "ściśle tajne".

- Według wszelkich dostępnych źródeł, tak wygląda obecne położenie sił kubańskich i południowoafrykańskich w Namibii. W zasadzie, cały czas trwa impas. Od kilku tygodni nie było żadnych poważniejszych przesunięć na linii frontu, nic, poza ciągłym ostrzałem artyleryjskim i małymi, lecz kosztownymi atakami piechoty. Forrester skinął w zamyśleniu głową. Widział już zestaw strat armii RPA, sporządzony przez DIA. Czterdziestu pięciu zabitych i stu pięćdziesięciu rannych w ciągu ostatniego tygodnia. Nie wyglądało to na poważną wojnę, jeśli nie brało się pod uwagę ogólnej liczby białych w Afryce Południowej. Porównanie proporcjonalne do stanu ludności w USA dawało dopiero prawdziwy obraz strat. W tym układzie Stany straciłyby ponad 2.000 ludzi, a rannych byłoby ponad 7.000. Patrzyć uważnie na rozmieszczenie jednostek na mapie. Zmechanizowane i zmotoryzowane bataliony RPA były prawie unieruchomione i zmuszone do przebywania w jednym miejscu, podczas gdy niewydajny system zaopatrzenia starał się pospiesznie zebrać zapas paliwa na kolejną ofensywę. Tymczasem obie strony ścigały posiłki. Siły Afryki Południowej wzrosły w ostatnim czasie o jedną brygadę. Kuba sprostała wyzwaniu i Castro z ogromną brawurą, bez jakichkolwiek obaw przerzucał coraz więcej jednostek do walk w tym rejonie. Hurley pokazał kolejny slajd z chronologicznym biegiem wypadków.

- Tutaj mamy wydarzenia w regionie, które pośrednio wpływają na wojnę w Namibii. Wszystkie państwa graniczne: Mozambik, Zimbabwe i Botswana, są zmuszone do radzenia sobie ze stale zwiększającą się aktywnością partyzantów. Większość z nich to ugrupowania wspierane przez Pretorię. - Wskazał na nagówek. - UNITA także jest ostatnio bardzo aktywna, niemal na pewno na żądanie Afryki Południowej. Partyzanci UNITY atakują głównie linie kolejowe i mosty w Angoli, starając się przyhamować napływ kubańskich uzupełnień do Namibii. Forrester zmarszczył brwi i coś zanotował. Poparcie UNITY dla RPA było dosyć śliską sprawą dla rządu Stanów Zjednoczonych. Tak się niepomyślnie składało, że antykomunistyczny ruch angolańskich partyzantów był popierany zarówno przez Waszyngton, jak i przez Pretorię. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie, ku wielkiemu niezadowoleniu Stanów, interesy obu państw się pokrywały. Gotowość UNITY do pokrzyżowania planów Castro była zrozumiała. Partyzanci całkiem słusznie uważali Kubańczyków za regularnych okupantów. jednocześnie jednak pożytywane to było jako pomoc dla rasistowskiej Pretorii. A to gmatwało i tak niełatwą sprawę. Zwłaszcza w obecnej sytuacji. W Kongresie odzywały się już głosy nawołujące do zaprzestania pomocy partyzantom. Forrester zachnął się. A czym by się to skończyło? Całkowitym podporządkowaniem osamotnionej UNITY Afryce Południowej. przez cały czas CIA usiłowała przekonywać angolańskich partyzantów, aby nie włączali się w konflikt namibijski. jak dotąd jednak wszystkie wysiłki spęły na niczym, gdyż kubańskie czołgi i transportery były zbyt łakomym kąskiem dla UNITY. Czwarty i ostatni slajd Hurleya przedstawiał Karla Vorstera na zebraniu AWB. Całe tło było wypełnione sztandarami z trójramienną swastyką - symbolem organizacji.

- Vorster kontynuuje wprowadzanie członków AWB i innych, skrajnie prawicowych grup do struktur rządowych. Nie mamy dokładnych danych, ale ostatnio miała miejsce olbrzymia liczba zmian personalnych na wszystkich szczeblach władzy. Rezultaty są już widoczne. Vorster zdobył absolutną kontrolę nad rządem, to znaczy, że nie musi się już niczego obawiać. - Ostatnie zdanie było przepełnione ironią. Światła zapaliły się, Hurley wyłączył projektor i wrócił na swoje miejsce. Forrester skinął w podziękowaniu głową.

- Cała ta sprawa zabija nas politycznie w Stanach. Nasi obywatele chcą, żebyśmy działali. Są przekonani, że jeśli Administracja nie może powstrzymać gwałtów w RPA, to jest to nasza wina. Każdy, kto ma jakąś siekiere, wywija nią teraz swobodnie nad naszymi głowami. Inni członkowie RBN pokiwali zgodnie głowami. Członkowie Kongresu, tacy jak senator Travers, komentatorzy prasowi i inni specjaliści typu "a nie mówiłem?" znajdowali się bez przerwy w telewizji lub radiu - wszyscy rzucali gromy na brak zdecydowania

Administracji. Teoretycznie rada nie zajmowała się problemami polityki zagranicznej. Jednak w praktyce zbyt często było to powiązane z kwestiami bezpieczeństwa narodowego. Forrester pochylił się do przodu.

- Już sam ten fakt nie jest dla nas korzystny. Co gorsza, Kuba i jej sojusznicy zdobywają poparcie w środkach przekazu za ich pomoc dla Namibii. Mogą więc swobodnie rozszerzać swoje zaangażowanie w tym rejonie. Skoncentrował się na niedużej grupce ubranych w ciemne garnitury reprezentantów agencji wywiadowczych i umundurowanych oficerów siedzących przy końcu stołu.

- Prezydent chce dokładnie wiedzieć, jak bardzo sytuacja może się jeszcze pogorszyć? Czy są jakieś oznaki, że wojna w Namibii wkroczy w nową fazę działań?

- Panie wiceprezydencie, mam pewne nowe informacje w tej sprawie. Forrester spojrzał na dyrektora CIA, Christophera Nicholsona, który jak zawsze wyglądał na pewnego siebie i opanowanego.

- Tak, Chris? Nicholson skinął na podwładnego, który zaczął rozdawać kopie dwustronicowego dokumentu.

- Pierwsza strona zawiera raport naszych ludzi w Izraelu. Donoszą nam, że z lotniska Hatzor, bazy transportowej Izraelskich Sił Powietrznych, zniknęło kilka samolotów typu C-130 *Hercules*. Dostaliśmy także informacje, że Żydzi robią właśnie ciche rozpoznanie w innych krajach posiadających C-130, sprawdzając czy nie mogliby zaopatrzyć się u nich w części zamienne lub nawet nowe samoloty. Oferują zapłatę w złocie. Wszyscy zebrani doskonale wiedzieli, skąd pochodzi to złoto - z centralnego banku w Pretorii. Afryka Południowa i Izrael od dawna współpracowały ze sobą przy badaniach nad nową bronią, a handel prowadzony nią obustronnie kwitł. Żadne z tych państw nie darzyło szczególną sympatią swojego partnera, ale współpracowały ze sobą w oparciu o zasadę "wróg mojego wroga Jest moim przyjacielem". Forrester potrząsnął niechętnie głową. Zamienianie złota na broń było zupełnie sensowne, ale jednocześnie zmniejszało rezerwy tego kruszcu w Afryce Południowej. Wskazywało to na rosnącą desperację Pretorii.

- RPA nie jest jedynym państwem, które szuka pomocy. Kuba także uaktywniła się na rynku handlu bronią. - Nicholson odwrócił kartkę. - Dane znajdujące się na drugiej stronie pochodzą ze zdjęć satelitarnych zrobionych nad Libią. Nasza grupa nasłuchu SIGINT we Włoszech odbierała ostatnio sygnały o zwiększonej aktywności w libijskich bazach lotniczych i obecnie widzimy jedynie część samolotów transportowych, które tam zazwyczaj stacjonują. Nicholson zaczął się kiwać w krzesło, a na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Oczywiście, bardzo nas to zainteresowało. Rozkazałem przesunąć orbitę satelity nad obszar, gdzie Libijczycy przechowują sprzęt, zwłaszcza na południowy zachód od Tripolisu. Kadafi zawsze miał więcej sprzętu niż ludzi, którzy mogliby go obsługiwać; sprzętu, który trzymał w ukryciu na pustyni. Dyrektor CIA postukał palcem w stół.

- Analizowanie zdjęć potwierdziło, że sprzęt z całą pewnością znika z tych miejsc. Obecnie staramy się poznać szczegółowe liczby i rodzaj, ale zdaje się, że jest tego całkiem sporo. Forrester westchnął. W jakiś dziwny sposób pułkownik Kadafi zawsze zdołał wepchnąć swój nos w każde miejsce na ziemi, gdzie coś się działo. Naloty bombowe, zamachy, dyplomatyczna izolacja - nic nie potrafiło powstrzymać tego drania.

- A może Libijczycy po prostu pozbywają się starego sprzętu? Nicholson zaprzeczył zdecydowanie.

- Mało prawdopodobne. Kadafi jest psychopata, ale nie jest rozrzutnikiem. Prędzej sprzedałby ten stary sprzęt lub wysłałby go tam, gdzie mógłby przysporzyć największych kłopotów.

- Na przykład do Namibii? Nicholson potwierdził.

- Oczywiście. Z tego, co udało nam się dotychczas dowiedzieć, znikający sprzęt to głównie przestarzała broń: czołgi *T-62*, transportery *BTR-60* i tym podobne. Dokładnie ten rodzaj sprzętu, jakiego Kubańczycy używają w Namibii. Na twarzy Forrestera pojawił się grymas.

- Cudownie. Tak więc Południowoafrykańczycy i Kubańczycy mają nowych przyjaciół. Czy ktoś jeszcze włącza się do zabawy? Nicholson był zakłopotany. Rzadko zdarzało się, aby szef agencji tracił pewność siebie.

- Nie ma nic pewnego...

- Ale ma pan jakieś informacje?
- Udało nam się zidentyfikować inne prawdopodobne dostawy broni, panie wiceprezydencie, ale uzyskane informacje nie są precyzyjne. Wolałbym teraz nie mówić, dopóki nie zbierzemy pewniejszych danych, bo możemy popełnić błąd. Forrester spojrzał mu prosto w oczy.
- Zapamiętam tę uwagę, ale wydaje mi się, że powinniśmy usłyszeć o wszelkich podejrzeniach.
- Informacje są bardzo mętne i nie możemy stwierdzić, czy w ogóle są związane z kryzysem namibijskim. - Nicholson wiercił się w krześle, wyraźnie niezadowolony z faktu, że musi mówić o tak mglistych przypuszczeniach. Zawsze lubił przedstawiać potwierdzone i dokładnie poszeregowane informacje. Nie cierpiał także popełniać pomyłek.
- Przejrzystość danych nie jest w tej chwili najważniejszą kwestią. Proszę nam je przedstawić! - Mimo iż Forrester użył słowa "proszę", jego ostry ton wskazywał, iż wydaje polecenie. Kilku członków Rady zakasłało lekko lub odwróciło spojrzenia, ukrywając złośliwe uśmiechy. Postawa Nicholsona wzbudzała często tego rodzaju reakcje u kolegów. Dyrektor CIA dobrze wiedział, kiedy popełniał błąd. Obrócił się na miejscu i wziął od swojego pomocnika teczkę z czerwono-białymi pasami na brzegach. Trzymał ją w sposób, który unie możliwiał odczytanie naklejki na okładce. Otworzył teczkę i przez chwilę studiował pierwszą stronę. - Nasze stacje nasłuchowe i agenci terenowi na Dalekim Wschodzie i Północnym Pacyfiku zauważył znaczne ożywienie w handlu bronią. Oczywiście, zawsze staramy się dowiedzieć, kto sprzedaje i kto kupuje, ale to cholernie trudne zadanie. Zbyt wielu pośredników. Zbyt duże pieniądze i zbyt wiele rządów kryjących działania handlarzy. Forrester skinął głową i dał znak dyrektorowi, aby mówił dalej. - Korea Północna i Chiny wysyłają ostatnio większą liczbę czołgów, artylerii i rakiet klasy ziemia-ziemia. Zamówienia musiały być złożone w ciągu ostatnich tygodni. Niby nie jest to takie dziwne. Większość broni jest tego samego typu, co sprzedawana wcześniej stałym klientom, takim jak Iran i Irak. Północna Korea i Chiny były biednymi krajami, zawsze gotowymi sprzedać broń każdemu, kto mógł za nią zapłacić. Nicholson wzruszył ramionami.
- Problem polega na tym, że... nie udało nam się potwierdzić, że sprzęt dotarł do któregośkolwiek ze znanych punktów przeładunkowych. - Zamknął teczkę i spojrzał na zebranych. - Oczywiście, sprzęt może nadal być na morzu lub znajdować się w jakimś kraju, dopóki warunki transportu nie zostaną uzgodnione.
- Ale jest także możliwe, że te czołgi i rakiety powędrowały na Kubę lub do Angoli.
- Nie możemy tego wykluczyć, panie wiceprezydencie - przyznał Nicholson. Pięknie. Castro widocznie nie zamierzał oprzeć się wyłącznie na rosyjskiej pomocy. Rozszerzając krąg zaopatrzeniowców, zmniejszył tym samym wpływ Moskwy na swoje poczynania w Afryce. Odwrócił się do siedzącego dwa krzesła dalej chudego mężczyzny o ostro zarysowanej szczęce. Hamilton Reid, sekretarz handlu, miał zawsze pewny siebie wyraz twarzy, który często towarzyszył ludziom od początku odnoszącym sukcesy w biznesie.
- Prezydent jest także zainteresowany możliwymi skutkami ekonomicznymi tego konfliktu, Hamilton.
- I całkiem słusznie. - Reid nie potrafił się kłaniać w pas i nawet nie próbował. - Ceny metali strategicznych, jak mangan, chrom, platyna i inne, wykazują stałe tendencje zwykłe. Jak dotychczas czynniki są głównie natury psychologicznej. Produkcja RPA nie zmalała po rozpoczęciu wojny w Namibii. Ściślej rzecz biorąc, Pretoria sprzedaje teraz więcej niż poprzednio, żeby mieć pieniądze na zakup broni, o której mówił dyrektor. Jednak społeczność finansistów nie postępuje racjonalnie. Kilka osób roześmiało się cicho. Wszyscy znali opinię na temat funkcjonowania giełdy. Nie udało się prawie nigdy, analizując logicznie, przewidzieć jej reakcji. Była to raczej gra losowa. Sekretarz handlu odpowiedział na chichoty lekkim uśmiechem.
- Współpracujemy z innymi znaczącymi państwami na światowym rynku, zwłaszcza Brytyjczykami i japończykami i robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zmniejszyć dynamikę wzrostu cen. Między innymi zamykamy nawet okresowo giełdy, gdy ceny zaczynają zbyt szybko rosnać. Jego uśmiech przygasał.
- Rezultaty nie są zachwycające. W tej chwili jeszcze giełdy dają sobie radę z wyższymi cenami metali, ale lada chwila może się to skończyć. Forrester pokiwał ze zrozumieniem

głową. W ciągu ostatniego miesiąca ceny metali strategicznych wzrosły o ponad trzydzieści procent. jeśli się nie uda tego zahamować, może nastąpić paniczne wykupywanie akcji, co z kolei wpłynie na jeszcze szybszy wzrost cen. Zaistniała w takim przypadku sytuacja byłaby katastrofalna dla Stanów Zjednoczonych i każdego wysoko uprzemysłowionego państwa na świecie. Dostarczane przez Afrykę Południową, Rosję i kilka innych państw kluczowe metale są wykorzystywane do wytwarzania artykułów w prawie każdej gałęzi przemysłu. Wzrost kosztów produkcji będzie automatycznie rzutował na ceny innych produktów. W konsekwencji może to mieć nieobliczalne skutki: ogromny spadek popytu i związane z tym, oczywiście, bezrobocie. Zmarszczył brwi. Większość Amerykanów nie zdawała sobie sprawy, że dobrobyt w kraju uzależniony jest między innymi od ciągłego dopływu tanich surowców z innych krajów. Liczby mówiły same za siebie: dziewięćdziesiąt osiem procent manganu, dziewięćdziesiąt dwa procent chromu i dziewięćdziesiąt jeden procent platyny używanej przez amerykański przemysł pochodziło z importu. Stany Zjednoczone były uzależnione od dostaw dwudziestu dwóch z trzydziestu surowców, które pIaniści rządowi uznali za niezbędne dla rozwoju przemysłu i potrzeb obrony. Sprzymierzeńcy Ameryki nie byli zresztą w lepszej sytuacji. Wstępne obliczenia wykazywały, że deficyt budżetowy i stopa inflacji zaczęły znowu powoli wzrastać. Forrester spojrzął na pozostałych członków Rady i zaniepokoiły go wyjątkowo ponure spojrzenia.

- W porządku. Znajdujemy się w gospodarczej pułapce. Ale nie my jedni mamy kłopoty. właśnie dlatego poprosiłem Hamiltona o przygotowanie sprawozdania na temat ekonomicznej sytuacji RPA. Reid nie bawił się w prezentowanie dokumentacji.

- Ujmując sprawę jak najprościej, gospodarka Afryki Południowej nie ma szansy przetrwać obecnej sytuacji. Pretoria znalazła się między młotem a kowadłem; stale, i to szybko, wzrastają wydatki na prowadzenie coraz intensywniejszych działań wojennych. Jednocześnie gwałtownie spada produkcja, co jest spowodowane brakiem pieniędzy i dużym niedoborem siły roboczej. Związane jest to nie tylko z Namibią, ale również z coraz bardziej skomplikowaną sytuacją wewnętrzną. jest to błędne koło. Tylko natychmiastowe wycofanie się z Namibii może przyhamować ten proces. Sekretarz handlu patrzył spokojnie na siedzących przy stole. - jeśli warunki nie zmienią się, możemy oczekiwać kompletnego załamania gospodarczego najdalej w ciągu roku. Nawet najostrzejsze środki zapobiegawcze nie są w stanie opóźnić tego. Przedstawiciel Szefostwa Sztabów Połączonych, generał Sił Powietrznych, Walter Hickman, nie zabierał do tej pory głosu. Kiedy Reid skończył mówić, generał odezwał się.

- Panie wiceprezydencie, myślę, że ta ocena może być zbyt krańcowa. Pamiętam jeszcze bardzo dobrze rok 1980 i początek wojny irańsko-irackiej, a także następnych osiem lat jej trwania. Już od początku, analizując sytuację w Iranie, zakładaliśmy, że Jego gospodarka załamie się w krótkim czasie. Nic takiego nie nastąpiło. Owszem, była galopująca inflacja, bezrobocie, ale do całkowitego upadku nigdy nie doszło. Reid nie dał się wyprowadzić z równowagi uwagą Hickmana.

- Różnica, panie generale, polega na tym, że naród Iranu bezwzględnie popierał wojnę z Irakiem, a fanatyzm religijny był potężnym bodźcem i jednocześnie straszną bronią. Sytuacja w RPA jest diametralnie różna. Nie tylko są tu podziały rasowe, ale i między białymi narosły konflikty po dojściu do władzy Vorstera. Nic nie jest w stanie skonsolidować tego społeczeństwa. Hurley włączył się do rozmowy.

- Co pan rozumie przez słowo "załamanie". Reid?

- Zmniejszona produkcja z narastającymi brakami żywności i paliwa. Na początku dotknie jedynie najuboższych grup ludności: Murzynów i innych „kolorowych”. Jednak biali szybko sami odczują te niedobory. Kiedy sprawy zaczną przybierać naprawdę zły obrót, nastąpi masowa ucieczka z kraju, która pozbawi Afrykę Południową wykształconych ludzi. - Na twarzy Reida pojawił się wyraz konsternacji. - W ostatniej fazie możemy oczekiwać potężnych zamieszek i napadów, z dużą liczbą zabitych, która będzie przewyższała wszystko, co do tej pory miało miejsce. Należy jeszcze uwzględnić jeden czynnik: nie ma ani Jednego kraju, który byłby gotów udzielić pomocy RPA. Mój Boże! Forrester skrzywił się na myśl o okropnych prognozach, które przedstawiał sekretarz handlu. Opuszczone fabryki i sklepy. Płonące domy. Rzeka uchodźców opuszczających miasta. Zwłoki zalegające ulice. Zabójstwa. Wojna rasowa. W jego umyśle pojawiło się nagle odpowiednie określenie,

Armageddon. Obrócił się do Hickmana.

- Panie generale, czy ta cholerna wojna może potrwać jeszcze przez rok. dwa lata? Hickman potwierdził niechętnie.

- Tak, sir, jest to możliwe. jeśli się wykluczy załamanie RPA czy Kuby. Żadna ze stron nie ma zdecydowanej przewagi. Kubańczycy też mają problemy: z dostawami są ogromne kłopoty, a ich logistyka pozostawia dużo do życzenia. Cholera! Przecież nawet my mielibyśmy tam kłopoty! - Popatrzył uważnie na mapę, jakby chciał tam znaleźć jakieś potwierdzenie, a potem zwrócił się w stronę Forrestera. - Tak, panie wiceprezydencie. Ci ludzie mogą się wzajemnie zabijać aż do sądnego dnia, bez zasadniczego posuwania spraw do przodu. - Hurley dolał do tego kielicha ostatnią kroplę goryczy.

- W dodatku ani Vorster, ani Castro nie pójdą na żaden kompromis. Pomijając ich bardzo podobne osobowości, obaj mają za dużo do stracenia, a interesy obu państw są całkowicie sprzeczne. Forrester zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Zanosilo się na bardzo długi konflikt, który jak wirus zaczynał atakować inne państwa regionu. Stany Zjednoczone nie mogły pozwolić na taki rozwój wydarzeń. W grę przecież wchodziły nie tylko kwestie ekonomiczne, ale również, tak ważne dla opinii publicznej, sprawy czysto ludzkie. Z dramataми i tragediami wszystkich bezpośrednio i pośrednio uczestniczących w tej ohydnej wojnie. Trzeba więc będzie interweniować i to szybko, żeby nie być oskarżonym o indolencję. Postukał nerwowo ołówkiem w notatnik.

- Dobrze, co możemy zrobić w tej sytuacji? Prezydent oczekuje szczegółowych zaleceń. Pierwszy odezwał się Nicholson.

- Głównym problemem jest inwazja na Namibię. Jeśli zatrzyma się wojnę, inne kłopoty same automatycznie znikną. Hurley przeciwstawił mu się.

- To bardzo dobry pomysł, ale co dokładnie pan proponuje, żeby osiągnąć szybkie efekty? Zajęło nam osiem lat, żeby odciągnąć Irańczyków i Irakijszczyków od siebie. Nie mamy tyle czasu. Generał Hickman zachnął się.

- Kluczem do rozwiązania sytuacji jest ten drań, Vorster. To on zaczął wojnę w Namibii. Musimy znaleźć sposób, żeby go zmusić do wycofania się.

- Prędzej zdołałbym nauczyć mojego kota stepowania. - Hurley założył okulary.

- Poczekaj, Ed. Generał może mieć rację. - Forrester wyprostował się w krześle. - Vorster to uparty drań, ale może posłucha głosu rozsądku, jak rzucimy go na kołana. Wiemy, że armia jest w niezłym stanie, ale Afryka Południowa nie będzie mogła walczyć, jeśli jej gospodarka zacznie się rozpadać.

- Chce pan powiedzieć, że biali w RPA nie będą zainteresowani wojną, jeśli nie będą mieli co jeść? - zapytał Hurley. Forrester zawahał się przez chwilę i skinął głową. - właśnie to mam na myśli. Przyspieszmy ten proces. Wydawało się co najmniej dziwne rozważanie zapobieżenia Jednej katastrofie za pomocą spowodowania innej. Ale w tym przypadku trzeba było wybierać mniejsze zło. Obrócił się do sekretarza handlu.

- Hamilton, chciałbym, żeby twoi ludzie przygotowali analizę najsłabszych punktów Pretorii. Gdzie moglibyśmy ją najbardziej zranić? W ciągu najbliższego tygodnia muszę coś pokazać prezydentowi. Na początek możemy zaproponować mu zamrożenie znajdujących się u nas aktywów RPA. Sekretarz handlu czułby się bardziej na miejscu, gdyby po wierzone mu ratowanie gospodarki, a nie jej rozkładanie, ale posłusznie robił notatki. Forrester odczekał chwilę, a potem kontynuował: - Panowie, nie mówimy już o zwykłych ostrzegawczych sankcjach. Potrzebujemy haka, na którym moglibyśmy zawiesić samego Vorstera. Myślę, że najlepsze byłoby zagrożenie ze strony jego własnych wyborców. Zwrócił się teraz do Nicholsona.

- Chris, może będziemy musieli rozważyć użycie twoich ludzi. Wykorzystaj na początek listę Hamiltona, ale niech twoi agenci sami też ruszą głowami. Także i w tym przypadku chcemy mieć wyniki możliwie jak najszybciej. Czoło dyrektora CIA zmarszczyło się. Podczas przeprowadzania tajnych operacji trzeba być zawsze przygotowanym na różne przykre niespodzianki, a to może być brzemiennie w skutki dla kierującego, szczególnie gdy w grę wchodzi również jego ambicje polityczne. Niezadowoleni politycy i dziennikarze uwielbiali wytykać głośno każde potknięcie i wystawiać delikwenta na pośmiewisko w Kongresie. Jego głos był jednak pewny i spokojny, gdy odpowiedział:

- Proponowałbym dodatkowe konsultacje w tej kwestii z naszymi sprzymierzeńcami.

Zwłaszcza z Wielką Brytanią. Anglicy są poważnie zaangażowani wojskowo i ekonomicznie w tym regionie. Rzucił spojrzenie Nicholsonowi. - Mają także świetną służbę wywiadowczą. Może nawet posiadają brakujące nam dane. Szef CIA niezbyt chętnie, ale zgodził się z tą propozycją. Forrester uniósł rękę.

- Ed, poczekajmy z tym jakiś tydzień czy dwa. Wolałbym dostać najpierw jakąś odpowiedź od prezydenta. - Przebiegł spojrzeniem po zebranych. - Ktoś ma jeszcze jakieś pomysły?

Generał Hickman odchrząknął i pochylił się nad stołem.

- Chciałbym ustalić jedną rzecz. Wygląda na to, że sprawy przyjmą zdecydowanie zły obrót w Afryce Południowej, czy tak?

- Tak.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli wycofywać wszystkich obywateli amerykańskich z tego regionu. Tak szybko, jak to możliwe, bo nie będziemy mogli swobodnie podjąć bezpośredniej akcji przeciw tym draniom.

Na sali zapadła cisza. Bezpośrednia akcja. Nikt nie odważył się zapytać, co przedstawiciel połączonych sztabów miał na myśli. Forrester był ciekaw, czy Pentagon skończył już przygotowywać plan, o który prosił. Będzie musiał spytać o to później, gdy w pobliżu nie będzie zbyt wiele ciekawskich uszu. Hurley nie wyglądał na zadowolonego.

- Mogą być trudności w przekonywaniu naszych turystów i biznesmenów do trzymania się z dala od Afryki Południowej. Wydaliśmy już zalecenia dla podróżujących. Wyraźny zakaz wyjazdu czy ewakuacja stamtąd wymagałyby zatwierdzenia przez Kongres. Forrester także nie był zadowolony. Zakaz był całkiem sensowny z wojskowego punktu widzenia, ale mógł spowodować wybuch hysterii na giełdzie. Obrócił się do Hickmana.

- Pomysł jest całkiem słuszny. Na pewno nie chcemy, żeby nasi ludzie znaleźli się pod ogniem. Umówmy się, że porozmawiam o tym z prezydentem, jak tylko go zobaczę. Zgoda? Hickman wzruszył tylko ramionami. Nie oczekiwał natychmiastowej zgody.

- W porządku. Czy ktoś jeszcze chce zabrać głos? Cisza.

- Dobrze. - Forrester otworzył mały kalendarz i przez chwilę przeglądał strony. - Spotkamy się za tydzień, chyba że rozwój wypadków zmieni nasze plany. Tymczasem proszę informować mnie na bieżąco o ważniejszych wydarzeniach. A teraz do roboty! Prezydent oczekuje od nas szybko konkretnych. - Spojrzał na ponure, niepewne twarze. Pora na optymistyczny akcent. Rozluźnijcie się trochę. Zgadzam się, że sytuacja w RPA jest bardzo niepokojąca, ale przynajmniej wiemy, co się tam szykuje. Nie wiedział nawet, jak bardzo się myli.

### • 17 września - Sztab Główny Armii Mozambickiej, Avenida Samora Machel, Maputo, Mozambik

Siedziba Sztabu Głównego Armii Mozambickiej znajdowała się w starej, kamiennej fortecy zbudowanej przez Portugalczyków, dawnych kolonialnych władców Mozambiku. Bastiony fortecy były nieustannie pilnowane przez wartowników z karabinkami szturmowymi AK-47, które niezbyt pasowały do zabytkowych murów. Kapitan Jorge de Sousa pospiesznie zaskutkował, mijając strażę i wszedł do mrocznego wnętrza fortecy. Był to trzydziestoparoletni, niski mężczyzna. Piętnaście lat bezustannej walki z Portugalczykami, a obecnie z RENAMO dały mu się porządnie we znaki. Wezwanie do stawienia się w Sztabie nie było zaskoczeniem. Kończył się jego okres rekonwalescencji, a doświadczeni oficerowie byli cały czas potrzebni. Oczekiwał jednak rozmowy z którymś z oficerów sztabowych Dowództwa Oficerskiego, biura odpowiedzialnego za wyznaczanie służby oficerom liniowym, a nie z samym generałem Cuellarem. De Sousa nie wiedział, co o tym myśleć. Jego rana odniesiona w nieudanej zasadzce przynosiła mu chwałę i nie przychodziły mu na myśl żadne powody do reprimendy. Mimo iż armia mozambicka była uboga, biuro szefa sztabu było bogato wyposażone. De Sousa nie widział w tym nic zdrożnego. Generał sprawował niemal nieograniczoną władzę nad armią i ta władza musiała nieść ze sobą pewne przywileje. Cuellar miał gościa. Przy wypolerowanym na połysk tekowym biurku - pozostałość po ostatnim kolonialnym gubernatorze stał jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu. Był wysoki, o ciemnym kolorze skóry i gęstych wąsach, a jego wyprostowana



sylwetka wskazywała, że jest wojskowym. De Sousa zasalutował i generał skinieniem głowy zaprosił go do środka.

- Cieszę się, Jorge, że znowu jesteś w służbie. Jesteś już zdrowy, co?

- Całkowicie, towarzyszu generale. - De Sousa kłamał, ale to była jedyna odpowiedź, jaką mógł dać. Lewa noga bolała go w czasie opadów, a w Mozambiku padało prawie bez przerwy. Cuellar podniósł brwi w uśmiechu grzecznego niedowierzania, a następnie wskazał na stojącego przy biurku mężczyznę.

- To jest pułkownik Jose Suarez z Kubańskiej Armii Ludowej. Kubańczyk? Ciekawe. De Sousa zrobił krok do przodu i wymienił z nim uścisk dłoni. Był szczerze zadowolony, że spotkał kubańskiego oficera. Przeciwdziałanie się Afryce Południowej i zachodniemu imperializmowi przez Castro czyniło z niego bohatera w krajach, gdzie cenzura ukrywała nieprzyjemne prawdy o życiu codziennym na Kubie. Suarez także sprawiał wrażenie zadowolonego ze spotkania. Obaj mężczyźni mieli tylko chwilę czasu na wymianę grzeczności. Cuellar odchrząknął, wskazał im dwa stojące przed biurkiem skórzane fotele i odezwał się: - Kapitanie De Sousa, podczas waszego pobytu w szpitalu rząd kubański zwrócił się z propozycją, która może diametralnie zmienić naszą strategię wobec RENAMO. - Spojrzał na pułkownika Suareza. - Nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że propozycja ta została pozytywnie rozpatrzona przez nasze najwyższe władze. Suarez skinął głową, a na jego twarzy pojawił się nic nie znaczący uśmiech. Cuellar złożył ręce.

- Ostatnie zwycięstwa Kuby w Namibii spowodowały, że chcielibyśmy wysłuchać tej propozycji, zaś kolejne ataki wspieranych przez RPA band RENAMO skłoniły nas do przyjęcia planu prezydenta Castro. - Po chwili wymownej przerwy podjął z emfazą. - Całość sprowadza się do tego, że wraz z innymi państwami zamierzamy wspomóc Kubę w jej ataku na Afrykę Południową. Wkroczyliśmy na jej terytorium, zdobędziemy stolicę i przejdziemy Vorstera. Zaskoczony de Sousa wyprostował się w fotelu, ignorując ostry ból w nodze. Armia znajdowała się w opłakanym stanie i nie była zdolna do niczego więcej, niż sporadyczne ataki na pozycje RENAMO. Pomysł napaści na RPA z takimi siłami byłby nierealny, jak podjęcie wojny przeciw Stanom Zjednoczonym. Pułkownik Suarez dostrzegł jego reakcję i pospieszył z wyjaśnieniami.

- Do ataku zostaną użyte tylko wojska kubańskie, panie kapitanie. Pańscy ludzie są potrzebni tu, na miejscu. Jednak potrzebujemy współpracy z waszej strony. Dotyczy to głównie baz, transportu, wywiadu i zapewnienia bezpieczeństwa naszym ludziom tu, w Mozambiku. W zamian ofiarujemy sprzęt i kadry niezbędne do wyszkolenia waszego wojska. Co więcej, Castro obiecał, że Mozambik otrzyma korzystne propozycje handlowe od nowego rządu południowoafrykańskiego - jak tylko umożliwimy mu objęcie władzy. De Sousa, nie wierząc własnym uszom, przenosił wzrok to na jednego, to na drugiego. Głos Cuellara znowu nabrał nowego brzmienia, tym razem bardziej władczego.

- Kapitanie, decyzja została podjęta przez prezydenta i kierownictwo partii. Mam nadzieję, że nie zamierzacie jej kwestionować?

- Oczywiście że nie, towarzyszu generale. - De Sousa potrząsnął skwapliwie głową. Powątpiewanie w słuszność rozkazów było najlepszym sposobem na wypadnięcie z gry, nawet dla weterana wielu bitew. Cuellar uśmiechnął się.

- Dobrze. - Wskazał na Suareza. - Będziecie oficerem łącznikowym pomiędzy pułkownikiem a naszymi siłami. Musimy zapewnić transport i bezpieczeństwo dla kubańskich wojsk, które niedługo zaczną przybywać do naszego kraju. To będzie bardzo duża operacja, kapitanie. Cięży na nas wielka odpowiedzialność. De Sousa, mimo swoich wątpliwości, słuchał z zainteresowaniem. Nigdy sobie nawet nie wyobrażał możliwości, jakie stwarzała obecna sytuacja. Generał ciągnął dalej.

- Na razie nasza armia nic nie będzie wiedziała o tych poczynaniach. Wojsko zostanie poinformowane, że siły kubańskie przybywają w celu wspomoczenia nas przeciwko bandom RENAMO. Musimy rozpuścić także odpowiednie pogłoski w celu dezorientowania obcych agentów. - Cuellar nie ukrywał swojej pogardy, wymawiając te słowa. Generał nie dostrzegał różnicy pomiędzy dyplomatami, dziennikarzami, biznesmenami a szpiegami.

- Mam dla was, kapitanie, jeszcze jedno, bardzo delikatne zadanie. - Cuellar poprawił się w fotelu. - Konieczność utrzymania tajemnicy wymaga, aby wyjechali z naszego kraju obcy doradcy wojskowi. Będziemy wysyłali odpowiednie zawiadomienia przez normalne kanały

dyplomatyczne, ale chcę, żebyście porozmawiali osobiście z tymi ludźmi i skierowali ich podejrzenia w inną stronę. jasne? Generał patrzył pytająco na kapitana i gdy ten potwierdził przyjęcie rozkazu, kontynuował, mówiąc już swobodniejszym tonem:- Jorge, masz dobre wykształcenie i wykazałeś się w walkach. Udowodniłeś, że potrafisz pracować z obcymi oficerami i nie ma wątpliwości co do twojego poświęcenia wobec naszej rewolucji. Uznaliśmy, że świetnie będziesz się nadawał do tej pracy. Cuellar wziął grubą teczkę i popchnął ją w stronę kapitana. - To jest plan operacyjny, przygotowany w Hawanie. Przeczytaj go uważnie. Twoje nowe biuro jest o dwa pokoje od mojego. Przypuszczając, że to koniec rozmowy, de Sousa zaczął podnosić się z fotela, ale Cuellar powstrzymał go gestem dłoni.

- Jeszcze jedna sprawa. To zadanie jest zbyt ważne, żeby powierzyć je kapitanowi. Od dzisiaj jesteś majorem. Moje gratulacje. Major? Uważając, żeby nie zdradzić swoich emocji, de Sousa uściśnął ręce obu mężczyznom, zsalutował generałowi i wyszedł szybko.

## 14

### Śledztwo

#### • 18 września - Johannesburg, RPA

Emily van der Heijden nie ukrywała zazdrości, patrząc na salę redakcji. Powinna być przecież częścią tego hałaśliwego, podniecającego rozgardiaszu. Pracownicy „Johannesburg Star” po morderczej harówce byli gotowi do zamknięcia ostatniego wydania gazety. Wymęczeni reporterzy i spoceni redaktorzy torowali sobie drogę pomiędzy biurkami, szatkami i przepelnionymi koszami na śmiecie. Bieganina. głośne krzyki, dzwonki telefonów. stukot maszyn do pisania łączyły się w jeden bezładny chór.

- Wygląda niemal jak prawdziwa gazeta. co? - powiedział z goryczą Brian Pakenham. Emily spojrzała na stojącego przy jej boku wysokiego, chudego i już łysiejącego mężczyznę. Kiedy chodzili razem do szkoły, z Pakenhama pokpiwano sobie jak z naiwnej i niewinnej duszyczki. Nigdy nie widać w nim było nawet śladów cynizmu tak niezbędnego w pracy dziennikarskiej. Cztery lata pracy w gazecie, pod restrykcjami prasowymi rządu, zmieniły go nie do poznania.

- Przecież "Star" to świetna gazeta, Brian.

- Mylisz się - zaprzeczył Pakenham - to była świetna gazeta. Obecnie jedynie wycinamy i wklejamy oficjalne oświadczenia rządu. w których jest tyle zwykłego gówna, że muszę sięgać po papier toaletowy, kiedy czytam któreś z nich. Wskazał głową na pochmurnego mężczyznę siedzącego samotnie w końcu pokoju.

- A to krwawy cerber, który pilnuje, żeby nic, co przypomina prawdę. nie przedostało się do naszych czytelników. Emily podążyła za jego gniewnym spojrzeniem.

- Agent bezpieczeństwa?

- Uhmm. Jeden z inteligentniejszych łobuzów twojego ojca.

- Pakenham spostrzegł, jak bardzo dotknęła ją ta uwaga i zaczerwienił się lekko. - Hej, Em, przepraszam za głupi dowcip. To nie było sprawiedliwe. Wiem, że nie ponosisz żadnej winy za ten burdel. Zmusiła się do uśmiechu.

- Nikt sobie nie wybiera rodziców, prawda?

- Zgadza się. - Wziął ją za ramię i poprowadził przez zatłoczony pokój. Sekretarka podała mu w przejściu kilka wiadomości telefonicznych na różowych kartkach. Hałas zmniejszył się znacznie, gdy Pakenham zamknął za nimi szklane drzwi. Idąc długim, wąskim korytarzem w

stronę klatki schodowej z wyraźnym, czerwonym napisem na ścianie TYLKO DLA PRACOWNIKÓW; spojrzał na Emily.

- Mogę cię zaprowadzić do archiwum, ale muszę zaraz wracać do pracy. - Zawahał się. - Emily, czy mogę ci w czymś pomóc? Jakiego rodzaju materiałów szukasz? Przez krótką chwilę Emily czuła pokusę, żeby powiedzieć mu prawdę. Archiwum „Johannesburg Star” było olbrzymie, przepełnione szafkami z wycinkami gazet, starymi zdjęciami i teczkami zawierającymi wycinki z gazet całego świata. Prowadzenie na własną rękę poszukiwań informacji o szefie bezpieczeństwa Eriku Mullerze może jej zająć wiele godzin, nawet dni. Zawsze też istniała szansa, że przeoczy coś ważnego. Pomoc Pakenhama mogła jej ułatwić bardzo robotę, jednak nie byłoby to rozsądne. Ian miał rację. Im mniej ludzi będzie wiedziało o sprawie, tym mniejsze będzie ryzyko.

- Dziękuję ci za dobre chęci, Brian, ale, w tym, co robię, nie ma nic specjalnego. Trochę badań historycznych... dotyczących mojej rodziny. - Była zadowolona, że wchodzenie po wąskich schodach uniemożliwiało Pakenhamowi patrzenie jej w oczy. Nigdy nie była dobrym kłamcą.

- Badania historyczne. Och, oczywiście. - Tylko zwykła grzeczność kryła jego niedowierzanie. Westchnął i wzruszył ramionami. - No cóż, przypuszczam, że to i tak nie ma znaczenia. Nie, sądzę, żebym długo tu jeszcze został. Emily zatrzymała się.

- O co chodzi, Brian? Masz jakieś kłopoty?

- Nic specjalnego. - Pakenham zaśmiał się gorzko. - Nie większe niż każdy biały mężczyzna w tym kraju.

- Powołali cię? Jeszcze nie, ale niedługo to zrobią. Przy tej liczbie zabitych jestem zdziwiony, że jeszcze do mnie nie dotarli. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. - Vorster i jego *broeders* nie chcą widzieć zbyt wielu angielskich *rooineks* biegających z bronią. Pójdiesz?

- Tak. - Tym razem Pakenham odwrócił wzrok. - Nie jestem bohaterem. Niełatwo mi przychodzi widzieć siebie w charakterze nieudanego żołnierza, ale już zupełnie nie wyobrażam sobie siebie w roli więźnia jednego z ich specjalnych obozów. Archiwum zajmowało pozabawiony okien pokój w podziemiach budynku. Dwie starsze, siwe panie zajęte były uzupełnianiem teczek z wycinkami i roczników czasopism.

Pakenham przedstawił jej Emily.

- Pani Cook, nasz najprawdziwszy geniusz. Pomoże ci ze wszystkim, czego szukasz. - Odwrócił się, żeby odejść. Emily położyła rękę na jego ramieniu.

- Powodzenia, Brian. Dziękuję za pomoc i uważaj na siebie.

Kolejny ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta i szybko zniknął. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Mam tylko nadzieję, że poślą mnie do Namibii, a nie gdzieś indziej. Wolę już strzelać do Kubańczyków niż do czarnych czy studentów. - Wyprostował się. - Hej, kto wie, może spotkam tam twojego byłego narzeczonego. On jest żołnierzem, tak? Emily skinęła głową.

- Tak. Niewykluczone, że go spotkasz. - Zdumiała ją, że nawet wspomnienie Henrika Krugera nadal było dla niej bolesne. Nie dlatego, żeby coś jej zrobił. Wręcz przeciwnie. Bolało ją wspomnienie cierpień, jakich mu przysporzyła. Był dobrym, szlachetnym człowiekiem, tyle że nieodpowiednim dla niej. Patrzyła, jak Pakenham pokonuje po dwa stopnie naraz. Gdy zniknął na górze, odwróciła się do pani Cook. Czas zabrać się do roboty.

Emily van der Heijden wyprostowała bolący kręgosłup i przetarła łzawiące oczy. Niski, nieustanny szum i białe światło lamp fluorescencyjnych przyprawiły ją o ból głowy, który zwiększał się z każdą godziną spędzoną na przeglądaniu wyblakłych wycinków. Jak dotąd nie znalazła nic naprawdę ciekawego. Na przykład, data urodzenia Erika Mullera. Mogła ją równie dobrze otrzymać gdzie indziej. Muller był jedynakiem. Raczej rzadkie w normalnej wiejskiej rodzinie, ale też nic nadzwyczajnego. Czy też odkrycie, że jego ojciec zginął w wypadku samochodowym, gdy Erik miał siedem lat. Znowu nic sensacyjnego. We wczesnych latach -pięćdziesiątych drogi północnego Transwalu znajdowały się dopiero w stanie rozwoju i wypadki samochodowe były na porządku dziennym. Zmieniła to dopiero ekspansja wojskowa w ostatnich kilku dekadach. Obecnie prowincję pokrywała gęsta sieć autostrad i było ich dużo więcej, niż położone na wysokim stepie wioski i miasteczka mogły potrzebować. Niektórzy cynicy sugerowali, że zaplanowano je na wypadek wojny jako

zapasowe pasy startowe dla odrzutowców. Była w tym spora doza prawdy. Emily potarła oczy. Jej zmęczony umysł powędrował za daleko. Muller. Erick- Muller. To on był jej celem. Odsunęła ostatni skrawek gazety i oparła się o poręcz prostego, drewnianego krzesła.

- Panno van der Heijden? Otworzyła oczy. Pani Cook stała przed stołem z plikiem wycinków. Archiwistka okazała się pełnym entuzjazmu, nieocenionym pomocnikiem. Wydawało się w dodatku, że posiada niewyczerpaną i niezawodną pamięć.

- Pomyślałam, że może to panią zainteresować. Jako dodatkowy materiał do pani pracy. - Pani Cook rozłożyła wycinki na stole. - Żaden z nich nie wymienia Mullera po imieniu, ale wszystkie opisują wydarzenia w jego rodzinnym miasteczku, kiedy mieszkał tam z matką. - Jej wąskie usta zacisnęły się.

- Wygląda na to, że w tym małym miasteczku miały miejsce bardzo dziwne sprawy. Zaintrygowana Emily wyprostowała się w krześle.

- Dziwne sprawy, pani Cook? Co pani ma na myśli?

- Niech pani sama zobaczy, panno van der Heijden. - Archiwistka postukała palcem w pierwszy wycinek. Emily szybko przebiegła wzrokiem, wyszukując jedynie istotne informacje. Później będzie czas na szczegóły. Pastor Holenderskiego Kościoła Zreformowanego w miasteczku został pozbawiony święceń za coś, co zostało nazwane "szokującym zachowaniem". Nie podano żadnych szczegółów. Znaczyło to, że złe zachowanie duchownego miało coś wspólnego z seksem. Emily omal się nie uśmiechnęła. Nic bardziej nie wprawiało prawdziwego Afrykanera w zakłopotanie, niż najbliższe nawet wspomnienie o seksie. Zwłaszcza jeśli dotyczyło to duchownego. Sprawdziła rok wydania. Muller musiał mieć wtedy jedenaście lat. Jak na razie, żadnego związku. Jednak wyrzucenie z jego rodzinnego kościoła pastora, *Dominee*, musiało wywrzeć na chłopcu spore wrażenie. Zrobiła krótką notatkę i przeszła do drugiego artykułu. Morderstwo! To było znacznie bardziej interesujące. Czarny chłopiec, Gabriel Tswane, został znaleziony martwy na polach okalających rodzinne miasteczko Mullera. Także i w tym wypadku sprawa była tylko zasygnalizowana, ale czytając między wierszami, Emily odniosła wrażenie, że chłopiec zmarł w wyniku pobicia. Dziennikarz nie starał się ukryć, że Tswane został zamordowany przez "czarnych bandziorów i złodziei bydła", ale musiał w końcu przyznać, że "policja nadal prowadzi śledztwo". Emily spojrzała na datę. 22 października. Zaledwie dwa tygodnie po upadku *Dominee*. Czy istniał jakiś związek między sprawami? Jeśli tak, to jakiego rodzaju? Poczowała ucisk w skroniach i odłożyła wycinek na małą stertę artykułów do dokładniejszego przebadania. Stare historie były ciekawą lekturą, ale nie zbliżały jej do celu: zdobycia informacji o roli Mullera w napadzie na Błękitny Pociąg.

- Czy przydały się pani na coś te artykuły, panno van der Heijden? Emily podniosła wzrok i spojrzała w pytające oczy archiwistki. Uśmiechnęła się.

- Są bardzo pomocne, pani Cook. Naprawdę. - Zerknęła na zegarek. - Może jednak przejdziemy do wczesnych dni *männer* Mullera w służbie bezpieczeństwa? Czy udało się pani...? - Zatrzymała się nagle. Spora sterta wypchanych teczek, którą położyła na jej stole, była odpowiedzią na nie dokończone pytanie. Emily zdusiła w sobie jęk rozpaczy, zamieniając go zrećcznie w lekki uśmiech. Kto powiedział, że życie dziennikarza jest takie cudowne?

## • 24 września – Johannesburg

Olde English Pub Shelby'ego nie był bardzo stary i na pewno nie był angielski. Chromowane urządzenia i twarde, plastikowe stoliki przypominały Ianowi bezosobowe bary na lotniskach w Stanach. Pub spełniał jednak wszystkie warunki niezbędne do odbycia zakonspirowanego spotkania: był źle oświetlony, wypełniony dymem, hałaśliwy i bardzo zatłoczony. Nowe ograniczenia rządowe dotyczące godzin, w których można było podawać trunki, nie zmniejszyły w niczym spożycia alkoholu w kraju. Zmusiły jedynie ludzi do szybszego picia. Klasyczny przykład prawa nie zamierzonych konsekwencji, pomyślał kwaśno Ian, popijając ciepłe piwo. Przyszedł tutaj, żeby porozmawiać po kryjomu na temat pewnych swoich podejrzeń wywołanych wzmiankami w rozmowie telefonicznej z rezydentem CIA w ambasadzie USA "Doradca polityczny" Frank Price nie potwierdził jego podejrzeń co do wtyczki południowoafrykańskich sił bezpieczeństwa wewnątrz władz ANC.

Zwrócił jednak uwagę Iana na operację, która mogła na to wskazywać: niemal chirurgicznie dokładny napad oddziału SADF na Zimbabwe w maju tego roku. Mimo iż Price nie chciał powiedzieć nic więcej na ten temat, wspomnienie ataku na Gawambę wprowadziło Iana na odpowiedni trop. Ostatnich kilka dni spędził na przygotowywaniu spotkania z człowiekiem, który mógł go, miał taką nadzieję, jeszcze bardziej przybliżyć do prawdy. Drzwi baru otworzyły się, wpuszczając wraz z wejściem nowego gościa powiew świeżego, wieczornego powietrza. Ian patrzył przez przymrużone oczy, jak mężczyzna toruje sobie drogę pomiędzy korpulentnymi biznesmenami i hałaśliwymi żołnierzami. Nowo przybyły rozglądał się po sali. Ian poczekał, aż spojrzenie mężczyzny spocznie na nim i lekko poklepał siedzenie obok siebie. Kapitan Michael Henshaw, ocierając spocone czoło, wśliznął się za stół i szybko spytał: - Czy jesteśmy tu bezpieczni? Nikt za panem nie szedł? Ian niecierpliwie potrząsnął głową. Podjął wszelkie niezbędne środki, żeby zgubić ewentualny ogon. Czuł się przy tym dziwnie głupio. Najpierw Sam Knowles zabrał ich kierowcę i donosiciela, Matthew Sibena, na całodniową wyprawę po Johannesburgu. Obaj mieli nagrywać większą ilość scen ulicznych do późniejszego wykorzystania przy robieniu reportażu. Ian miał nadzieję, że Sibena nie ma pojęcia, iż studio posiada więcej taśm z tego typu scenami, niż mogłoby wykorzystać przez następnych dziesięć lat. Kiedy Knowles i Sibena odjechali, Ian wymknął się po cichu ze studia i wybrał wyjątkowo okrężną drogę do pubu, mając na celu zgubienie każdego, kto zechciałby za nim podążać. Nie zapomniał o nagłych zmianach kierunku, szybkim przesiadaniu się z taksówki do taksówki, a nawet o przejściu przez dom handlowy wypełniony kupującymi. Cholera! Użył chyba każdej sztuczki, o jakiej kiedykolwiek przeczytał w książkach szpiegowskich. Ani razu nie zauważył oznak, że ktoś go śledzi. Dał ręką znak w stronę baru.

- Poproszę o piwo dla mojego przyjaciela. Henshaw patrzył w milczeniu, jak ubrany na biało barman ustawia przed nim wąską szkiankę. Gdy mężczyzna oddalił się na bezpieczną odległość, Henshaw odsunął szkiankę i nachylił się w stronę Iana.

- Więc jak, przyniósł to pan?

- Tak. - Ian zaryzykował krótkie spojrzenie po zasnutym dymem pomieszczeniu. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Przesunął kopertę w stronę Henshawa i odwrócił się, gdy Południowoafrykańczyk rozerwał ją i przeliczył znajdujące się w niej banknoty. Suma była odpowiednikiem pięciuset brytyjskich funtów. Henshaw był jednym z tych ludzi, którzy byli gotowi spełniać dobre uczynki, ale tylko za odpowiednim wynagrodzeniem. Ian zmarszczył brwi. Nienawidził płacenia za informacje. Przekupywanie kogoś miało w sobie coś poniżającego. Zmusił się do uśmiechu.

- Usatysfakcjonowany? Oficer skinął energicznie głową i schował kopertę do kieszeni. - Może pan zadawać pytania, panie Sheffield. Odpowiem najlepiej, jak potrafię.

- Czy zaryzykował pan sprawdzenie informacji, o których panu wspomniałem?

- Na temat napadu na siedzibę ANC w Zimbabwe? Tak. Henshaw pociągnął łyk piwa. - Bardzo starannie przygotowana operacja typu uderzyć i zabić. Wykonana na medal. Ian skrzywił się.

- Nie prosiłem pana o jej ocenę. - Zniżył głos. - Chciałbym wiedzieć, czy w tym napadzie było coś, co zwróciło pańską uwagę? Coś niezwykłego? Henshaw zawahał się i szybko rozejrzał po sali.

- Znalazłem trzy takie rzeczy. - Mówiąc rysował na stole cyfry palcem. - Po pierwsze, biorący udział w operacji spadochroniarze przed atakiem mieli wszelkie informacje o celu, sile wroga i planie budynku. Wszystko. Zupełnie, jakby mieli kogoś, kto tam pracował. Rozumie pan? Ian pokiwał głową.

- Po drugie, w akcji brali udział me tylko spadochroniarze.

- Głos Henshawa jeszcze bardziej się zniżył. - Widziałem rozkazy operacyjne zadania. Wymieniono w nich specjalny oddział wywiadu. Coraz ciekawsze.

- Dla kogo pracują? Henshaw wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego. Pociągnął jeszcze jeden, tym razem większy łyk piwa. Znowu się nachylił.

- Dla gościa o nazwisku Erik Muller. Słyszał pan o nim? Jest szefem Wywiadu Wojskowego. Strzał w dziesiątkę. Ian ponownie skinął głową, machinalnie, jakby informacja nie miała dla niego większego znaczenia.

- Dobra. Co jeszcze?

- Coś bardzo dziwnego. Góra mówi, że napad był wielkim sukcesem. Rozdano medale spadochroniarzom. Wymieniono oddział w rozkazach dziennych. Cała ta zabawa, wie pan.

- Więc co? Henshaw potrząsnął głową.

- Więc gdzie są te wszystkie zdobyte dokumenty? Moja sekcja nic nie otrzymała. Nawet skrawka papieru! Ian wzruszył ramionami.

- Może żołnierze nie znaleźli nic wartościowego? Południowoafrykański oficer wyglądał na rozgniewanego.

- Nie... nie, nic pan nie rozumie! Tego typu operacji nie przygotowuje się, żeby zabić kilku partyzantów. Są na to lepsze sposoby! Na przykład za pomocą bomb. - Odsunął piwo. - Powód, dla którego wysła się spadochroniarzy, jest jeden: mają zająć budynek i przeszukać go, żeby znaleźć dokumenty! Ian wyprostował się, zaczynając rozumieć powód zdziwienia Henshawa. Napad na Gawambę miał na celu zdobycie dokumentów. Dowództwo uznało atak za oszałamiający sukces. Jednak nic, co znaleźli chłopcy Mullera, nie przeszło dalej normalnymi kanałami. Więc jakiego rodzaju informacje tam zdobyto? I gdzie się znajdowały? Siedział nieruchomo przez długą chwilę, aż Południowoafrykańczyk opuścił bar. Muller odegrał jakąś rolę w napadzie na . Błękitny Pociąg. Miał co do tego absolutną pewność. Każdy szczegół wskazywał na tego właśnie człowieka. Niestety, zebrane przez niego poszlaki mogły być uznane na razie tylko za przypuszczenia, złośliwe pogłoski i kawiarniane ploty. Nic ponadto. Ich zamiana na namacalne dowody będzie ciężkim zadaniem, nawet cholernie ciężkim. Na nieszczęście, Ian nie miał żadnego pomysłu, od czego zacząć swoje śledztwo.

## 15

# Rozszerzające się płomienie

- **1 października - Rada Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria**

Pęki czerwonych szpilek zdobiących mapę topograficzną Natalu mówiły same za siebie. Mimo coraz ostrzejszych środków zapobiegawczych, podejmowanych przez Franza Diederichsa, bunt Zulusów rozszerzał się, przybierając na sile każdego dnia. Rebelia, choć na mniejszą skalę, objęła także sąsiednią prowincję, Kraj Przylądkowy. W Kapsztadzie niemal codziennie odbywały się protesty studentów. Coraz większa liczba młodych ludzi w wieku poborowym odmawiała stawiania się w punktach werbunkowych. Nadchodziły raporty o rosnącej opozycji wobec wojny w Namibii ze strony przedsiębiorców i przywódców związkowych. Co gorsza, dały się słyszeć nieprzyjemne pogłoski mówiące, że część stacjonujących w Kapsztadzie oddziałów policji i wojska coraz niechętniej wprowadza w życie środki bezpieczeństwa narzucane przez rząd. Gniewny głos Karla Vorstera grzmiał w pokoju:- Marius, ta sytuacja jest nie do zniesienia! Przysięgałeś, że grupy zdrajców i malkontentów zostaną zniszczone! Zamiast tego przychodzisz teraz, żeby oznajmić mi, że sytuacja jeszcze się pogorszyła? Erik Muller ukrył uśmiech zadowolenia patrząc, jak Marius van der Heijden wije się pod smagającymi niczym bicz oskarżeniami Vorstera. Jego najgroźniejszy rywal w gabinecie wyraźnie ugryzł więcej, niż mógł połknąć. Przypomniał sobie, z jaką dumą van der Heijden recytował liczbę spalonych wiosek murzyńskich i zastrzelonych Zulusów. Ten człowiek i jego niezdarńi podwładni nie mieli najmniejszego pojęcia, jak rozegrać tę partię, żadnego wyczucia. Śmieszne! Seria dobrze zaplanowanych

zabójstw i porwań przyniosłaby znacznie lepsze rezultaty. Vorster odwrócił się do mapy.

- No i cóż, Marius? Co teraz nam zasugerujesz? Van der Heijden odchrząknął.

- Panie prezydencie, Franz Diederichs i jego ludzie zrobili wszystko, co było w ich mocy. Jednak mają za mało ludzi do patrolowania całej prowincji. Zulusi okazali się trudniejszym przeciwnikiem, niż oczekiwaliśmy. - Spojrzał w stronę wysokiego, siwego generała siedzącego przy końcu stołu. - Moglibyśmy ich przywołać do porządku, gdyby tylko generał de Wet zechciał przekazać nam ze trzy bataliony piechoty zmechanizowanej. Diederichs zapewnia mnie, że dodatkowi ludzie umożliwiliby mu stworzenie wystarczającej liczby grup pościgowych, żeby zagnać bandytów do ich nor i tam ich rozbić. De Wet zeszytniał.

- To niemożliwe. Armia i ta część Gwardii Narodowej, która znajduje się w Namibii, są niezbędne do prowadzenia kampanii. Nie możemy poświęcić ani jednego oddziału na coś, co powinno być prostą robotą policyjną. Coraz lepiej. Muller tylko z trudem hamował się przed parsknięciem śmiechem. Dwie najbardziej znieawidzone przez niego frakcje w gabinecie właśnie rzuciły się sobie do gardeł.

- Więc zmobilizujcie więcej żołnierzy! Nadal macie bataliony Gwardii Narodowej, których nie wysłał się na front. Możemy zrobić z nich użytek w domu! - zripostował van der Heijden. Vorster podniósł rękę, przerywając kłótnię.

- Dosyć. - Zwrócił spojrzenie swoich ponurych, podkrążonych oczu na generała.

- Co z tymi ludźmi, o których mówi Marius? Tylko szczerze. De Wet zawahał się przez chwilę.

- Potrzebujemy żołnierzy Gwardii Narodowej do zastąpienia regularnych żołnierzy na froncie. Niektóre z naszych najlepszych oddziałów poniosły poważne straty, które muszą zostać uzupełnione.

- Ale nie potrzebujecie ich wszystkich? - Głos Vorstera zniżył się niemal do warknięcia. Prezydent nie lubił się powtarzać. Generał spuścił oczy.

- Nie, panie prezydencie. Teraz nie. - Wskazał głową na mapę Namibii wiszącą na ścianie. - Nasze możliwości zaopatrzeniowe są i tak bliskie załamania.

- Rozumiem. - Vorster walnął pięścią w stół i odwrócił się do van der Heijdena.

- Dobrze, Marius. Dostaniesz swoje trzy bataliony. Ministerstwo Obrony zdecyduje, które oddziały rezerwistów zostaną powołane. - Spojrzenie Vorstera nabrało ostrości. - Ale ostrzegam cię, *meneer*. Nie zawieź mnie tym razem. Oczekuję, że zgnieciesz tę zdradziecką rebelię w ciągu miesiąca. Czy to jest dostatecznie jasne? Van der Heijden skinął wolno głową, a jego zazwyczaj rumiana twarz stała się biała, niemal popielata. Muller czuł się zawiedziony. Oczekiwał większej awantury. Spojrzał ukradkiem na siedzącego po jego prawej stronie mężczyznę, Helmoeda Malherbe, ministra przemysłu i handlu, który siedział sztywno i nie zabierał głosu. Niedobrze. Oczekiwał, że Malherbe zaprotestuje przeciwko nowemu uszczupleniu fachowych kadr w gospodarce. Każdy batalion powołanych rezerwistów oznaczał o tysiąc mniej wykwalifikowanych białych robotników i zarządców w fabrykach i kopalniach. Jednak Malherbe zapamiętał udzieloną mu lekcję. Wyrażanie sprzeciwu wobec pomysłów Vorstera było naj szybszym sposobem na zakończenie obiecującej kariery i minister trzymał język za zębami. Usta Mullera wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu. Następnym lizus w gabinecie. Bywały chwile, że ci ludzie przyprawiali go o mdłości, ale tacy byli przydatni i dlatego władza potrafiła im to wynagradzać. Władza. Samo słowo rozbudziło w nim dawno tłumione żądze, wywołując dreszcze w jego ciele. Zmienił pozycję w krześle. Był już październik. Musi wkrótce odbyć kolejną tajną podróż, własną pielgrzymkę. już niedługo.

## • 5 października - 20. Batalion Strzelców Przyłaskowych, Rehoboth, Namibia

Pułkownik Henrik Kruger nigdy jeszcze nie był dumniejszy ze swoich ludzi. Mimo iż wrócili z linii frontu zaledwie dzień wcześniej, zrobili wszystko, żeby jak najlepiej przygotować się na ostatnią inspekcję dowódcy brygady. Wynaleźli gdzieś wodę, umyli się i ogolili. Podarte, poplamione i wygniecione przez tygodnie spędzone w okopach mundury zostały wyczyszczone i doprowadzone do porządku. Także oblepione błotem i smarem pojazdy lśniły teraz jak nowe. Jednak wszystkie porządki nie potrafiły ukryć faktu, że tygodnie

bezwolnych walk zmieniły batalion w cień normalnego oddziału. Sierżanci prowadzili plutony piechoty odpowiadające liczebnością drużynom, a dwie jego kompanie były dowodzone przez świeżo upieczonych poruczników. Może połowa żołnierzy, których przywiózł do Namibii, nadawała się jeszcze do walki. Nie kończące się bombardowania, potyczki i zmasowane ataki zdziesiątkowały batalion. Henrik Kruger nie miał żadnych wątpliwości. 20. Batalion Strzelców Przyładkowych nie nadawał się do dalszych walk. Teraz wracali do domu. Do Afryki Południowej. Na odpoczynek. Na ich miejsce mieli przyjąć nowych ludzi, rezerwistów, zarówno chętnych do walki, jak i tych opornych. Tylko moździerze i wozy bojowe zostaną w Namibii.

- Henrik, jestem pod wrażeniem. Naprawdę. Twoi ludzie są chwałą naszej ojczyzny. To prawdziwy honor dowodzić nimi. Kruger odwrócił głowę, uświadamiając sobie, że idzie zamyślony obok *brigadiera* Strydoma. Nie spał zbyt wiele w ciągu ostatnich kilku tygodni. Sen był prawdziwym luksusem w czasie walk. Z wysiłkiem zebrał myśli.

- Dziękuję. Przekażę im pańską pochwałę. Jestem pewien, że batalion doceni pańską opinię. Strydom skinął głową.

- Dobrze. - Przyjrzał się uważnie twarzy Krugera i w jego oczach pojawiło się z troskaniem. - *Kommandant*, może pan zwolnić ludzi. Kruger stanął na baczność i zsalutował, trzymając rękę przy czapce, dopóki *brigadier* nie oddał mu salutu. Następnie obrócił się i zmęczonymi, podkrążonymi oczami spojrzał na stojących przed nim oficerów.

- Kapitanie Meiring! Wydać rozkaz rozejścia się!

- Tak jest! - Brodaty oficer, który zastąpił Forbesa, wyszedł przed szczyk, wyprostował się i obrócił, wykrzykując rozkazy batalionowi. Oddział rozsypał się i ludzie ruszyli w stronę namiotów. Kruger zauważył pomiędzy swoimi ludźmi znajomą i już zniechęconą twarz. Jego usta wykrzywił grymas wstrętu. Więc ten cholerny fanatyk z AWB, Hertzog, jeszcze tu jest? Wciąż krążył niczym sęp szukający łatwej ofiary; bezbronnych cywilów lub oficerów zbyt zmęczonych, żeby trzymać język za zębami. Pogłoski obozowe mówiły o masowych egzekucjach i nocnych aresztowaniach. Nieświadom tego, co robi, Kruger ruszył za Hertzogiem.

- Daj spokój, Henrik. - Strydom złapał go za ramię. - Nie możesz wygrać z tym człowiekiem. Hertzog ma zbyt wielu przyjaciół, zbyt wielu potężnych przyjaciół. Uwierz mi.

- Westchnął. Kruger patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Strydom pokręcił głową.

- Wracaj do domu, Henrik. Wracaj do domu i przebuduj swój batalion. Zajmij się tylko tym. Jesteś żołnierzem, a nie politykiem. Żołnierzem? Może. Kruger nie wiedział, jak długo to jeszcze potrwa. W którym momencie człowiek przestaje być jedynie słuchającym rozkazów żołnierzem, a staje się czymś gorszym, czymś znacznie wstrętniejszym, współnikiem zbrodni? Zmarszczył brwi. Czytał historie o niemieckich żołnierzach, którzy znaleźli się w podobnej pułapce, zmuszeni wybierać pomiędzy patriotyzmem a honorem. Nigdy jednak nie przypuszczał, że sam będzie kiedyś musiał dokonywać takiego wyboru. Nigdy. Henrik Kruger obrócił się wolno i ruszył w stronę własnego namiotu, modląc się o tyle rozsądku i siły, by wybrać odpowiednią drogę, gdy okaże się to konieczne.

## • 6 października - Strefa bezpieczeństwa portu, Maputo, Mozambik

Ostre białe światła rozblęły nad portem Maputo – zamieniając noc w dziwny, pozbawiony cieni dzień. W ich nieruchomym świetle kilkudziesięciu tragarzy kręciło się wokół długiego, pokrytego rdzą rosyjskiego frachtowca "Czieriepowiec". Zniekształcone obrazy odbijały się w pokrytej olejem wodzie basenu portowego. Wysoko nad wodą zakołysały się potężne haki i zanurzyły w otwartych lukach towarowych frachtowca, by po chwili wydobyć z ich wnętrza olbrzymie skrzynie i załadowane palety. Ładunek był zakryty brezentem lub schowany w skrzyniach, które były dostatecznie duże, żeby pomieścić rozłożony samolot. Większa część ładunku powędrowała do specjalnego, dwudziestowagonowego pociągu czekającego przy nabrzeżu. Pozostałe skrzynie złożono w magazynach. Ładunek zostawiony w porcie zawierał amunicję, mniejsze działa i sprzęt łącznościowy; pierwszą część dostawy broni przeznaczoną do ochrony największego portu i linii kolejowej Mozambiku. Wzdłuż siatki



odgradzającej port od ciemnych ulic Maputo chodzili uzbrojeni wartownicy. Inni żołnierze obsługiwali stanowiska wielkokalibrowych karabinów maszynowych i lekkich działek przeciwlotniczych, które pilnowały wyznaczonych sektorów nieba. Przy lokomotywie można było dojrzeć żarzące się papierosy, świadectwo obecności kolejnych posterunków. Krótki rozbłysk zapalniczki ukazał oliwkowe twarze i obce mundury. Kubańscy dowódcy najwidoczniej nie chcieli powierzyć opieki nad cennym sprzętem zaniedbanemu wojsku Mozambiku. Kubańscy żołnierze mieli pilnować pociągu w czasie całej jego tajnej podróży na północ do rejonu ześrodkowania w Zimbabwie. W porcie rozległy się ostre gwizdki, przynaglając robotników do szybszej pracy. "Czieriepowiec" nie był jedynym rosyjskim statkiem zdążającym do Maputo.

## • 10 października - Centrala Wywiadu Wojskowego, Pretoria

ROSJA I MOZAMBIK PODPISUJĄ NOWE POROZUMIENIE HANDLOWE MAPUTO (8 PAŹDZIERNIKA) UPI - Rzecznik prasowy rządu Mozambiku oznajmił dzisiaj o podpisaniu nowego, trzyletniego porozumienia handlowego z Rosją. W ramach umowy, która ma przybliżoną wartość 40 miliardów metecai, czyli około 88 milionów dolarów, Mozambik będzie wymieniał swoje produkty rolne na rosyjskie towary przemysłowe. Rzecznik prasowy był zmuszony do przyznania, że znaczna część dostaw będzie dotyczyła sprzętu wojskowego. Zachodnie źródła dyplomatyczne nie wyrażają żadnego zdziwienia wobec tego oświadczenia. Źle wyszkolone i słabo wyposażone wojsko Mozambiku od dziesięciu lat prowadzi wojnę z popieranymi przez Afrykę Południową powstańcami. Rosyjski sprzęt i wojskowi doradcy są, według rządzącej partii, jedynym sposobem na zmianę pogarszającej się sytuacji wojskowej.

- Tu jest część łamigłówki, której szukaliśmy, *kolonel*. - Major Willem Metje zapukał we framugę otwartych drzwi pokoju swojego przełożonego. Pułkownik Magnus Heerden spojrzał z irytacją na przybysza. Był odpowiedzialny za skoordynowanie operacji zbierania materiałów wywiadowczych w Mozambiku, Zimbabwie i Botswanie. Praca, która jeszcze niedawno była jedynie czasochłonna i pełna stresów, obecnie była nie do wykonania. Poprzednio miał do dyspozycji pięciu ludzi, z których czterech było świetnymi analitykami. Obecnie czterech ludzi zostało mu zabranych - przeniesionych do analizowania materiałów zdobytych przez wywiad w Namibii. Został sam - i jeszcze Metje. Major z podnieceniem pomachał kawałkiem papieru i położył go na biurku Heerdena, zasłaniając fragment mapy Zimbabwie.

- To wszystko wyjaśnia, pułkowniku. Właśnie czegoś takiego oczekiwałem. Raporty, które pana tak zaniepokoiły, są jedynie odzwierciedleniem nowego porozumienia handlowego pomiędzy Mozambikiem a Rosjanami. Pułkownik przejrzał depeszę UPI i pokręcił przecząco głową. - Majorze, nie widzę, w jaki sposób ten układ może wyjaśnić wszystkie dziwne ruchy wojsk w Mozambiku i - położył nacisk na tym słowie - w Zimbabwie. - Jeszcze raz spojrzał na raport prasowy.

- Co ważniejsze, sprzęt, o którym nam doniesiono, musi być wart co najmniej dwa razy więcej! Na szczupłej twarzy Metje pojawił się wyniosły grymas.

- Panie pułkowniku. Uważam, że nasi agenci zawyżają liczbę sprzętu.

- Czy chce pan powiedzieć, że nie potrafia liczyć? - Heerden podniósł teczkę z biurka i otworzył ją. - Proszę tu spojrzeć na przykład. WINDMILL. podaje, że zaobserwował trzydzieści T-62 i sto opancerzonych wozów transportowych zaparkowanych w dżungli koło Moarnaba, praktycznie przy naszej granicy. Są strzeżone przez brygadę mozambickich żołnierzy! Metje wzruszył ramionami.

- Z jakiej odległości WINDMILL. je obserwował, jeśli rzeczywiście są tak dobrze strzeżone? I czy ten *kaffir* odróżniłby w ogóle T-62 od T-55 czy T-72? - Potrząsnął pogardliwie głową. - Ten głupiec pewnie natknął się na konwój Czerwonego Krzyża z dziesięcioma czy dwudziestoma wozami eskorty. Ewentualnie zaobserwował małą grupę czołgów zaparkowanych w dżungli i czekających, aż mozambickie wojsko nauczy się je obsługiwać. Uśmiechnął się. - Panie pułkowniku, przecież nie będziemy opierać naszych analiz na halucynacjach kilku głupich czarnuchów. Potężne ręce Heerdena zacisnęły się na teczce.

- Niczego podobnego nie proponuję. Sugeruję jedynie, że otrzymaliśmy zbyt wiele niepokojących raportów z Mozambiku i Zimbabwe. Raportów, których nie można tak łatwo wyjaśnić, jak pan usiłuje to zrobić. - Wskazał palcem na teleks. - Nocne loty do Harare i Maputo, służba bezpieczeństwa pilnująca portów, zwiększona aktywność wojsk...

- *Kolonel*, prezydent wie o tym wszystkim. Jest przekonany, że te ruchy są spowodowane ich walkami z partyzantką. Kraje te zostały zmuszone do proszenia o pomoc zagraniczną i dostają sprzęt, który inaczej poszedłby dla Kubańczyków w Namibii! Nawet jeśli te raporty są zgodne z prawdą, to są one świadectwem naszego sukcesu! - Bezcelność Metjego Heerden musiał tolerować. Jako aktywny członek AWB, czym Heerden pogardzał, major miał dojść do politycznego przywództwa. Heerden siedział przez chwilę nieruchomo zastanawiając się, czy optymistyczna analiza Metjego może być słuszna. Na pewno przedstawiała fakty, tak jak je chciał widzieć rząd. Pokręcił niechętnie głową. Największe pomyłki zdarzały się, gdy analitycy przyjmowali swoje pobożne życzenia za fakty. Na nieszczęście nie miał dosyć dowodów. Kilka raportów od płatnych agentów. Kilka przechwyconych transmisji radiowych i radarowych. Za mało danych. Pułkownik zmarszczył brwi. Potrzebował zdjęć lotniczych, które dobitnie by ujawniły koncentracje wojsk przy północnych i wschodnich granicach Afryki Południowej. Prosił wiele razy o wysłanie *Mirage III RZ* w lot zwiadowczy nad Zimbabwe i Mozambikiem. Zawsze mu odmawiano. Dywizjon samolotów zwiadowczych Sił Powietrznych był całkowicie zajęty kontrolą ruchów wojsk kubańskich w Namibii. Metje przyglądał mu się uważnie i wreszcie nachylił się, by podnieść z biurka depezę UPI.

- No cóż, *kolonel*, czy udało się panu znaleźć inne wytłumaczenie tych dostaw broni od Rosjan? - Po jego tonie można było poznać, iż wie, że Heerden nie może tego zrobić. - W takim razie proponuję, żebyśmy wysłali ten raport o umowie handlowej naszemu dowództwu. Pozwala on w najlepszy sposób wytłumaczyć zwiększoną aktywność wojsk w Mozambiku. Jestem pewien, że prezydent będzie zadowolony z wiadomości, że jego strategia okazała się słuszna. Powiedział to niemal protekcyjnym tonem i Heerden tylko z trudnością zapanował nad sobą. Metje był głupcem, ale głupcem o dużych znajomościach. W końcu Heerden skinął głową. Nawet gdyby zdecydował się przedstawić inną, bardziej pesymistyczną analizę, major dotarłby do wyższych władz innymi kanałami. Pułkownik nie miał żadnych wątpliwości co do tego, czyjej opinii Karl Vorster chętniej by wysłuchał.

### • **30. Pułk Piechoty Zmechanizowanej, Główne Zgrupowanie, okolice Rutengi, Zimbabwe**

Kilkadziesiąt akrów nieużytków okalających miasto Rutenga zostało pokrytych siatką maskującą, otoczonych drutem kolczastym i polami minowymi. Codziennie przyjeżdżały pociągi z południa z wagonami wypełnionymi kubańskimi czołgami, wozami pancernymi i działami. Z każdym dniem rósł także park sprzętowy wokół Rutengi. Wyszkoleni przez Północnych Koreańczyków żołnierze piątej brygady patrolowali ulice miasta i stację kolejową, szukając południowoafrykańskich szpiegów, którzy mogli się przedostać do miasta. Podróżni byli zatrzymywani i badani przez miejscowych śledczych lub odsyłani na północ do stolicy w celu dokładniejszego sprawdzenia. Wokół miasta rozlokowane były baterie dział przeciwlotniczych, gotowe w każdej chwili do odparcia ataku lotniczego. Zarówno Kuba, jak i Zimbabwe były w pełni przygotowane, aby zapobiec ujawnieniu koncentracji wojsk. Jednak ich działania nie były wcale konieczne. Przywódcy Afryki południowej nawet nie spoglądali w tym kierunku.

- **11 października - sztab Kubańskiego Korpusu Ekspedycyjnego, Windhoek, Namibia**

Pułkownik Julio Suarez, szef sztabu generała Antonio Vegi, wyglądał na bardzo zmęczonego. Trzy dni lotów samolotami, rujnujące żołądek loty śmigłowcami i tajne podróże po całej południowej Afryce wykończyły go zupełnie. Najbardziej męczące było nieustanne składanie drobiazgowych sprawozdań Vedze. Generał żądał tego za każdym razem i dobrze, że Suarez z góry wiedział, czego oczekiwać. Vega zdawał sobie sprawę, że bezustanne sprawdzanie szczegółów świadczy o jego niepewności i niepokoju. Musiał czuwać nad wieloma sprawami naraz. Przede wszystkim odwrócić uwagę wrogów od Mozambiku i Zimbabwe, pozorując intensywne przygotowania do następnej ofensywy w Namibii. Czasami gubił się już i wydawało mu się, że przestaje ogarniać całość, a przecież jeden fałszywy krok mógł zniweczyć cały misterny plan Castro. Wiadomo, czym by się to dla niego skończyło. Suarez zdał raport i usiadł. Napięcie opadło i czuł się teraz jeszcze gorzej. Vega skinął głową. Pułkownik był jednym z najlepszych jego oficerów. Potrafił zwięźle relacjonować wszystkie swoje poczynania i spostrzeżenia. Suarez zauważył satysfakcję w oczach generała i zdecydował się na zadanie pytania.

- Towarzyszu generale, czy Rosjanie zdecydowali się przedyskutować datę rozpoczęcia naszej operacji? Vedze natychmiast pogorszył się nastrój.

- Nie, jeszcze nie. Na ostatnie zapytania Castro odpowiedziano w ten sam sposób, co poprzednio, że musimy czekać na "bardziej korzystną korelację sir". - Gdyby nie to, że znajdowali się w pomieszczeniu, Vega najchętniej splunąłby ze wzdargą. - Nasi żołnierze giną, a ci bezmyślni Rosjanie czekają na najodpowiedniejszy moment, żeby zaofiarować nam swoje wsparcie. - Vega wstał z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Ostatnio często mu się to zdarzało. Złe samopoczucie wiązało się z otrzymywanymi ciągle danymi o liczbach zabitych i obciążeniem spowodowanym prowadzeniem jednej kampanii i jednoczesnym planowaniem poważniejszej wojny. Czuł, że jego nerwy zaczynają zawodzić. Nagle pokój wydał mu się zbyt mały i duszny. Potrzebował świeżego powietrza i otwartego nieba.

- Pułkowniku, proszę mi towarzyszyć. Suarez wstał i razem wyszli z kwatery - standardowego budynku, który kiedyś mieścił wypożyczalnię samochodów i małą drukarnię. Obecnie w budynku kwatrowało ponad stu oficerów odpowiedzialnych za przygotowanie największej na tym kontynencie operacji. Oddział uzbrojonej straży, stojącej przy wejściu do budynku, zaszalutował energicznie na ich widok. Na dworze odetchnęli przyjemnym, chłodnym, wieczornym powietrzem i Vega skierował się do małego parku po drugiej stronie ulicy, pełnego ciszy i spokoju. Zignorował grupę strażników pilnujących parku. Straże, tak jak gwiazdki na ramionach, zawsze były przy nim.

- Jose, Rosjanie nas wykorzystują, tak jak zawsze to robili. Suarez ponuro skinął głową, najwidoczniej dzieląc rozczarowanie swojego dowódcy. Wielu wyższych oficerów i przywódców partyjnych odnosiło podobne wrażenie. Przez długi czas patrzyli na Związek Radziecki jako na źródło inspiracji, ale ostatnie reformatorskie posunięcia Moskwy i postępujący rozpad imperium zachwiały ich wiarę. Polityczni przywódcy z Kremla coraz częściej byli uznawani za skorumpowanych biurokratów, niedzielnych socjalistów, a nie za dynamicznych przywódców zdolnych do aktywnego wpływania na politykę międzynarodową. Sytuacja militarna w Afryce Południowej jedynie pogłębiała istniejące różnice. Rosjanie wydawali się zadowoleni z bezpiecznego przyglądania się i czerpania korzyści, jakie przynosiła krwawa walka kubańskich żołnierzy. To było nie do zniesienia. Po kilku minutach milczenia Vega znowu się odezwał.

- Nasza koncentracja powinna się zakończyć w połowie listopada. Zgadza się? Suarez potwierdził. Wszyscy żołnierze, sprzęt i zapasy powinny znajdować się w tym czasie na miejscu - rozlokowane w odległości stu kilometrów od granic wroga.

- Dobrze. jeśli Rosjanie nie wyrażą zgody na udzielenie nam pełnego wsparcia, zaatakujemy bez nich. Suarez chciał zaprotestować, ale Vega uciszył go.

- Pułkowniku, nie rozpoczniemy operacji zupełnie sami. Uzyskaliśmy obietnice dodatkowej pomocy zarówno od Libii, jak i Korei Północnej; jeśli okaże się konieczne, skorzystamy z niej. Zredukujemy także liczbę kolumn uderzeniowych z trzech do dwóch. - Przerwał i

zaczął intensywnie kalkulować. Suarez jak zwykle od razu zorientował się, o co chodzi. Zaplanowali zebranie zapasów amunicji, paliwa i żywności na jeden miesiąc działań. Zredukowanie liczby żołnierzy biorących udział w inwazji pozwoli im na korzystanie z tych zapasów przez sześć tygodni. Twarz Vega rozjaśniła się entuzjazmem.

- Pułkowniku, tylko o tym pomyślcie! Pomyślcie, jakie miny będą mieli Rosjanie, gdy Kuba pokaże im, na co ją stać! A kiedy wygramy, nasz kraj otrzyma lwią część zysków - a nie jedynie okruchy ze stołu naszych tak zwanych braci! Suarez przez kilka sekund patrzył w zamyśleniu na ziemię.

- Taki atak jest możliwy do wykonania, ale podejmiemy ogromne ryzyko.

- Większe niż dotychczas? Julio, tu chodzi o bardzo wysokie stawki, ale ja znam tę grę. Uderzymy na nich z taką szybkością i siłą, że zajmiemy Pretorię, zanim ci cholerni Afrykanerzy spostrzegą, co się stało! I zrobimy to, zanim zniszczy nas ostrożność Moskwy. Vega uśmiechnął się. Wojna w Afryce Południowej rozpocznie się bez względu na to, czy Rosja tego sobie życzy, czy nie.

### • **Kwatera główna CIA Langley Wirginia**

Christopher Nicholson starał się zrozumieć leżącą przed nim notatkę. Obserwatorzy w Libii donosili o czołgach, wozach pancernych i działach zabieranych ze składów broni i ładowanych na statki. Wymieniane liczby robiły wrażenie - ilość broni wystarczająca dla całej armii. Jednak gdzie tę broń wysyłano? Ostatnie doniesienia mówiły o nasilonej wymianie korespondencji dyplomatycznej pomiędzy Mozambikiem, Zimbabwe a Kubą. Nicholson musiał wiedzieć, czego dotyczyła. Kolejna część do łamigłówki, której elementy leżały na jego biurku. Tylko czy to ta sama łamigłówka? Może było ich więcej? A jeśli wróg podsuwał im jakieś fałszywe informacje? Szef CIA jeszcze przez godzinę dopasowywał fakty do siebie i w końcu schował dokumenty do teczki, czekając na następne części.

# 16

## **Pełna odsłona**

### • **12 października - kantyna żeńskiego personelu pomocniczego, Ministerstwo Prawa i Porządku. Pretoria**

Zdesperowana Emily van der Heijden odwróciła wzrok od siedzącej po drugiej stronie stołu dziewczyny, starając się jednocześnie ukryć oznaki maksymalnego znudzenia. Niestety, otoczenie w niczym nie odbiegało od nastroju, jaki tu panował. Odpowiedzialni za wystrój żeńskiej kantyny architekci i dekoratorzy wewnątrz stworzyli okaz monotonnego instytucjonalizmu. Wyblakłe, białe ściany pasowały jak ulał do wyblakłej biało-czarnej mozaiki na podłodze. Wąskie i brudne okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec zamieniony dawno temu na parking. Większość sekretarek, maszynistek i innych pracownic nosiła identyczne białe koszule i czarne lub szare spódnice do kolan.

- Panno van der Heijden, jestem tak szczęśliwa, że zechciała pani ze mną usiąść. To taki zaszczyt. Niech pani sobie tylko wyobrazi, ja, Irene Roussouw, jem obiad z córką ministra. To fantastyczne! Emily skoncentrowała się na rozmowie. Uśmiechała się słodko do siedzącej naprzeciw niej młodej, rudowłosej dziewczyny.

- Irene, daj spokój. Żadnych nonsensów z "panną van der Heijden". Czuję się stara, gdy tak mnie nazywasz. Mam na imię [mily, dobrze? - Miała nadzieję, że potrafi ukryć swoje prawdziwe uczucia. Pochlebstwa były nieprzyjemne same w sobie, ale zbieranie ich za to, że jest córką swojego ojca, było bez porównania gorsze.

- Ależ oczywiście... Emily. - Roussouw nadal była podniecona i mówiła jak trzpiotowata, bezmyślna uczennica, a takich Emily konsekwentnie starała się unikać. Teraz nie było to możliwe. Ian, Sam Knowles i ona grali o wysoką stawkę, która zmuszała ją do tolerowania ładnych, lecz głupich dziewcząt w typie Roussouw. Skinęła głową

- Właśnie tak, Irene. Powinniśmy przecież zostać przyjaciółkami, prawda? Może niedługo będziemy nawet razem pracować. Roussouw wyglądała na zaskoczoną.

- Ale nie rozumiem... Emily. Dlaczego miałybyś w ogóle pracować? Emily spuściła oczy i niemal zazgrzytała zębami. Aby ukryć swoją irytację, pociągnęła łyk wody mineralnej. Kiedy podniosła głowę, na jej twarz powrócił uśmiech.

- Och, oczywiście, że nie muszę pracować. Ale to... to jest mój wkład... coś, co powinnam zrobić dla ojczyzny. Roussouw skinęła głową, a w jej oczach widać było podziw. Teraz najtrudniejsza część, pomyślała Emily. Nachyliła się i zniżyła konspiracyjnie głos.

- Zresztą myślę, że to nieuczciwe, żebyście miały tylko dla siebie tych wszystkich wspaniałych mężczyzn. Druga kobieta także się nachyliła i zniżyła głos, naśladując Emily.

- Och, żeby to tylko była prawda. Nie ma tu zbyt wiele wolnych okazji. Najlepsi poszli na wojnę, żeby ryzykować swoim życiem w naszej obronie, i ojczyzny, oczywiście. - Westchnęła teatralnie. Emily skrzywiła się w myślach. Od początku podejrzewała, że idea patriotyzmu Roussouw pochodzi z romantycznych czytań. przybrała minę pełną niedowierzania.

- Daj spokój. Wszyscy nie mogli pójść do wojska. Musiało zostać kilku przystojnych młodych ludzi, zgadza się? - Postukała lekko palcem w stół. - Co powiesz o tym majorze Karlsenie, o którym tak wiele słyszałam? Czy nie dla niego właśnie pracujesz?

- Ależ skąd! - Roussouw potrząsnęła głową, śmiejąc się głośno. - Major Karlsen jest bardzo miłym człowiekiem, jestem tego pewna... ale nie pracuję dla niego. Jestem osobistą sekretarką dyrektora. Rozejrzała się na strony, zanim dumnie dodała: - Pracuję dla Erika Mullera. Słyszałaś może o nim? Kieruje specjalnymi operacjami. - Po sposobie, w jaki to powiedziała, Emily zorientowała się, że Roussouw nie ma pojęcia, czego te "specjalne operacje" dotyczą. Udała zdziwioną.

- Erik Muller? Pracujesz dla niego? - Pogroziła jej palcem.

- Teraz już wiem, kogo przede mną ukrywałaś! Słyszałam, że jest bardzo przystojny i że jest kawalerem. Roussouw zarumieniła się.

- No cóż, jest całkiem do rzeczy. - Nagle jej spojrzenie straciło sporo pewności siebie. - Ale myślę, że jest jednym z tych ludzi, którzy nie widzą niczego poza własną pracą, wiesz, co mam na myśli? Nigdy nie wygląda na zainteresowanego... - jej głos się załamał i jeszcze bardziej się zarumieniła, zawstydzona, że wyjawiała nieudane próby nawiązania flirtu z przełożonym.

- No cóż, jestem pewna, że jest po prostu bardzo zajęty. Wierz mi, znam tych pracusiów, na przykład, mój ojciec. Praca, praca i tylko praca. Tylko to ich obchodzi!

- No właśnie! - Zachęcona jej poufałym tonem Roussouw odzyskała równowagę. Nachyliła się jeszcze bardziej. - Gdyby nie te małe eskapady pomyślałabym, że *meneer* Muller jest zupełnie odporny na kobiety. Zupełnie jak pastor. Instynkt doradził Emily, żeby ukryła swoją ciekawość.

- Podróże? Ach, masz na myśli polowania czy coś w tym rodzaju? - powiedziała lekceważąco. Nie, nie. Żadne polowania! - Roussouw potrząsnęła niecierpliwie głową. jej głos był teraz niewiele głośniejszy od szeptu. Dyrektor od czasu do czasu wybiera się do Sun City! Wiem o tym dobrze, gdyż to ja załatwiam mu rezerwacje. Tym razem Emily nie ukrywała już kompletnego zaskoczenia. Sun City? To małe miasteczko w Botswanie? Czego miałby tam szukać taki świętoszkowaty rasista jak Muller? Botswana, granicząca z RPA od południa, była krajem czarnych, zamieszкана głównie przez plemiona Bantu i przez nich rządzona. Nie istniała tam żadna segregacja rasowa. A samo Sun City, leżące około dwóch godzin jazdy od Pretorii, zyskało sobie w republice i często poza nią wątpliwą sławę jako

centrum erotycznej rozrywki, dostępnej w równym stopniu dla wszystkich, niezależnie od koloru skóry. Było to chyba ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałby przebywać człowiek pokroju Mullera... Chyba że... Dobry Boże! Było to wymarzone miejsce na tajne spotkanie przyjmując, że ich teoria o podwójnym agencie w ANC była poprawna. Czarni mogli swobodnie spotykać się z białymi, bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Miasto było wypełnione tłumami turystów i nie było zbyt wiele policji czy tajnych agentów, których Muller i jego człowiek musieliby się obawiać. Sun City? Nie, nie wierzę w to. Nikt z jego pozycją nie ryzykowałby czegoś tak grzesznego. Twarz Irene Roussouw zmarszczyła się w grymasie irytacji. Mówię ci, że to prawda! jedzie tam znowu za niecałe dwa tygodnie. Sama rezerwowała mu hotel. Na sobotę, w "Cascades" W sobotę, za niecałe dwa tygodnie? Mają dziesięć dni na przygotowanie się. Dwudziesty drugi. Ta data coś jej mówiła. Tylko co? Opanuj się! Zbeształa samą siebie. Teraz są ważniejsze sprawy na głowie.

- Może jedzie tam w jakichś sprawach służbowych? Roussouw zagryzła dolną wargę. Najwyraźniej nie pomyślała o takiej możliwości. W końcu jednak potrząsnęła głową, odrzucając gęstwinę włosów na plecy.

- To tylko taka wymówka. Naprawdę jedzie tam dla kart, alkoholu... i tych brudnych rozrywek. - Wyprostowała się. - Całe szczęście, że jestem wobec niego lojalna. Inaczej mogłabym narobić mu niezłych kłopotów, gdybym tylko chciała. Emily zakasłała, starają się nie okazywać emocji. Irene Roussouw nie miała zielonego pojęcia, dla jakiego człowieka pracuje. Muller był mordercą i zdrajcą. Prędzej zabiłby tę ładną dziewczynę, niż próbował się usprawiedliwiać. Lepiej będzie, jeśli odciągnie teraz jej uwagę od szefa. Wzruszyła ramionami.

- No cóż, jeśli *meneer* Muller jest poza zasięgiem, to co powiesz o Janie du Toit? Nie jest żonaty, prawda? Emily roześmiała się i pogroziła jej palcem.

- Och nie, Emily. Jan du Toit odpada. Widzisz...

Emily nachyliła się, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia. Była gotowa dalej praktykować cnotę grzeszności i cierpliwości. Wewnątrz czuła narastające podniecenie. Udało się jej! Miała informację, o którą chodziło Ianowi. Miała wskazówkę, która mogła ich zaprowadzić do prawdy o napadzie na Błękitny Pociąg i zdradzie Karla Vorstera. jeśli odsłonią tajemnicę, Vorster upadnie. Może także cały rząd. Żaden Afrykaner nie zniósłby więcej jego władzy.

### • 13 października – Johannesburg

Białe światło księżyca oświetlało stalowo-szklane drapacze chmur w centrum Johannesburga. Wszystkie okna w wieżowcach były ciemne. Wyłączenie prądu i godzina policyjna stały się normalnym zjawiskiem pod rządami Vorstera. Ian Sheffield odwrócił się od okna i spojrzał uważnie na Emily van der Heijden i Sama Knowlesa, siedzących na przeciwnych końcach kanapy. O mój Boże! Pomyślał ze zgrozą. Ale konspiratorzy! Dobrali się jak w korcu maku! jeden kiepski dziennikarz, który od kilku miesięcy nie zdołał przygotować sensownego programu. Kamerzysta i technik w jednej osobie, tyle że mniejszy od własnego sprzętu. Wreszcie bardzo piękna kobieta, która ryzykowała najwięcej ze wszystkich. Wolniutko przysunął krzesło do kanapy i usiadł, obserwując rozemocjonowanych przyjaciół i zastanawiając się cały czas, co i jak ma powiedzieć.

- Myślę, że powinniśmy zacząć od ustalenia, na jakim gruncie dokładnie stoimy. Musimy zdecydować, czy będziemy to kontynuować, czy też raczej powinniśmy dać sobie spokój, zanim zajdziemy za daleko. Knowles wyglądał na zaskoczonego.

- Co masz na myśli, szefie? Po co w ogóle myśleć o zrezygnowaniu? Wiemy dokładnie, czego szukamy i od kogo to można wy dostać. Moim zdaniem, musimy kontynuować, aż dopadniemy drania. To chyba jasne?

- To wcale nie jest takie proste - wtrąciła się Emily, patrząc na zatroskaną twarz Iana. - Ian chce powiedzieć, że do tej pory była to niewinna, bezpieczna gra, która teraz może zacząć przypominać zabawę małych dzieci zapałkami.

- No i co? - Knowles wzruszył ramionami.

- To, że możemy się boleśnie poparzyć. Wystarczy jeden nieostrożny krok i ktoś się może trochę wkurzyć o to, co robimy

- Odpowiedział mu zirytowany Ian. Sam Knowles nie był zazwyczaj tak głupi. Knowles uśmiechnął się promieniście, pozwalając Ianowi poznać, że wpadł w kolejną pułapkę niskiego człowieka.
- Nie chrzań, Sherlocku. - przybrał poważną minę. - słuchaj, Ian, polujemy na grubą zwierzynę... może całą bandę zabójców, poczynając od Vorstera. To raczej normalne, że zabawa jest niebezpieczna. Ale chyba się opłaca. - Wzruszył ramionami. Pewnie, jeśli coś schrzanimy, to nas załatwią albo, w najlepszym wypadku, wpakują do więzienia. Gdybym chciał żyć bezpiecznie, to bym posłuchał mojej mamy i został księgowym. - Wziął głęboki oddech i usiadł wygodnie na kanapie, czerwieniąc się z lekka pod wpływem zdziwionych spojrzeń. Ani Emily, ani Ian nie słyszeli, żeby kiedykolwiek tyle powiedział za jednym razem.
- Dobra, ja już powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Według mnie kontynuujemy. Ian skinął głową i odwrócił się do Emily. To o nią martwił się przede wszystkim. Dla Knowlesa i niego była to po prostu praca, którą przecież sami wybrali. Emily nie pobierała żadnej pensji, żeby ryzykować głową dla sieci telewizyjnej. Poza tym znaczyła dla niego zbyt wiele. Emily musiała odczytać jego myśli z twarzy, gdyż zmarszczyła brwi.
- Ja też uważam, że powinniśmy to ciągnąć i idę z wami. Ian nie krył już zdenerwowania.
- Sami możemy to poprowadzić dalej. Naprowadziłaś nas na odpowiedni trop i teraz...
- I co teraz? Odstawicie mnie jak jakąś porceIanową laleczkę, zbyt kruchą, żeby sprostać prawdziwemu życiu? Czy to chciałeś powiedzieć? - W jej oczach pojawił się błysk, a głos drżał niebezpiecznie. Ian skrzywił się. Emily zawsze ostrzegała go, że ma wybuchowy temperament, ale nigdy jeszcze nie zwracała się przeciw niemu. Kłopot polegał na tym, że jej podejrzenia były słuszne.
- To mój kraj i mój naród. Także i mój ojciec jest zamieszany w tę aferę. - Złość ustąpiła miejsca smutkowi. - Ian, muszę wziąć w tym udział. Rozumiesz mnie? Proszę. - Uśmiechnęła się sprytnie. jej uśmiech dziwnie kontrastował z napływającymi do oczu łzami.
- Poza tym wiem, dokąd się udajecie. jeśli nawet nie weźmiecie mnie ze sobą, to i tak pojedę za wami.
- Ma rację - wtrącił się Knowles. - Uważam, że panna Van der Heijden powinna pojechać z nami, czy ci się to podoba, czy nie. - Uśmiechnął się. Wyglądało na to, że Emily zyskała właśnie u niego wysoką ocenę. Ian bezradnie pokręcił głową.
- Dobra, poddam się. jedziemy wszyscy. I niech Bóg nam pomoże, bo nikt inny tego nie zrobi. Knowles i Emily wymienili znaczące spojrzenia, które zmusiły Iana do zapytania się w duchu, ile razy powtarzali wspólnie swoje role. Musieli wiedzieć, że będzie się starał ją zostawić. Czy aż tak łatwo można przejrzeć jego intencje? Lepiej nie wiedzieć. Ian przystawił krzesło do stolika.
- Czy któryś z obecnych tu geniuszy pomyślał, jak przyłapiemy Mullera i jego informatora z ANC w czasie spotkania? Teraz oboje mieli niewyraźne miny. Dobrze. Tym razem on był górą. Emily przygryzła wargę i odwróciła się do Iana.
- Myślę, że powinniśmy pojechać za Mullerem do Sun City i zobaczyć, z kim się spotka... - Umilkła, widząc gest zaprzeczenia.
- Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Pamiętajmy, że Muller jest zawodowcem i w dodatku szefem bezpieczeństwa. Na pewno spostrzegłby, że ktoś go śledzi. - Ian lekko zastukał palcami po szklanym blacie stolika do kawy. - Zresztą, nigdy nie zdołalibyśmy zbliżyć się do nich z kamerą na taką odległość, żeby nakręcić jakiś sensowny materiał, a bez tego ani rusz.
- Więc chcesz powiedzieć, że nie mamy szans? - Emily wyglądała na rozdrażnioną. Sam Knowles zamyślił się.
- Nie. - Ian założył ręce na kark i mówił z rozmyślną swobodą. - Chcę powiedzieć, że wcale nie musimy śledzić *meneer* Mullera. przecież wiemy, gdzie się udaje. Musimy się jedynie dostać tam przed nim. Rozumiecie? Twarz Knowlesa rozjaśniła się.
- Tak. Dźwięk i wizja na miejscu. Łatwizna.
- Nie mam pojęcia, o czym mówicie. - Emily patrzyła to na jednego, to na drugiego. Ian starał się tłumaczyć jasno i precyzyjnie. Przez chwilę siedziała w milczeniu, przyswajając sobie nowe terminy i nie znaną jej technikę. Wreszcie przytaknęła.
- Jeśli mówisz, że to możliwe, to sam wiesz najlepiej. Ale co z tym całym sprzętem, którego

potrzebujemy? Czy macie go tutaj? Knowles oderwał wzrok od kartki, na której coś pospiesznie notował.

- Nie wszystko. Ale wiem, gdzie mogę dostać brakujące nam rzeczy. - Odwrócił się do Iana. - Muszę ściągnąć Fed Expressem ze Stanów kilka części. Będzie to kosztowało od cholery... Ian wzruszył ramionami.

- No to zapłacimy. Jak wszystko się powiedzie, nikt nie będzie nam wypominał pieniędzy. Jak nam się powinie noga, to sieć może zastawić nasze hipoteki, zgadza się? Knowles cmoknął aprobująco.

- Podoba mi się sposób, w jaki do tego podchodzisz, szefie.

- Nagle spochmurniał. - Nadal jednak mamy nie załatwiony problem... Ian skinął głową.- Sibena. Zastanawiał się ostatnio sporo nad sprawą ich kierowcy i zarazem policyjnego donosiciela. Nawet jeśli chłopak współpracował z policją wbrew swej woli, to musieli znaleźć odpowiedni sposób potrąśnięcia nim, aby stanął po ich stronie.

- No i? jak zamierzasz zająć się Mullerem z Mattem u naszego boku? - Niezadowolenie kamerzysty zwiększyło się. - Cholera, wystarczy, że podniesie słuchawkę telefonu i siedzimy po uszy w gównie!

- Zgadza się. Mam jednak kilka pomysłów, jak dobrać się do naszego przyjaciela, Matthew Sibeny. - Ian pochylił się nad stolikiem i dopisał dwa punkty do listy sprzętu Knowlesa. Następnie naszkicował swój plan. Knowles aż zagwizdał. - Jesteś pewny, że nie powinieneś pracować dla CIA chłopie? Dokładnie takich podstępnych drani tam szukają. Ian przeniósł wzrok z Knowlesa na Emilię i roześmiał się.

- Wygląda na to, że jesteśmy dobraną trójcą, zgadza się?

- Spalę się ze wstydu - parsknęła Emily, a Knowles zawtórował jej głośnym rechotem.

## • 18 października - okolice murzyńskiego szpitala Hillbrow. Johannesburg

Johannesburg był pokryty żółto-brązowo-szarą warstwą spalin samochodowych i dymów fabrycznych. Smog tworzył się od kilku dni, uwięziony nad miastem przez front wysokiego ciśnienia, który odpychał wiatry na północ i południe od miasta. Ian Sheffield siedział z tyłu. Matthew Sibena prowadził samochód ulicą Edith Cavell, jak zawsze starając się nie przekraczać dozwolonej szybkości. Chłopak nalegał na zablokowanie wszystkich drzwi samochodu przed wjechaniem do dzielnicy Hillbrow i nietrudno było dostrzec powody jego ostrożności. Mimo iż Hillbrow była oficjalnie dzielnicą białych, dawno temu stała się wielorasowym ośrodkiem - pełnym małych kafejek, tanich mieszkań i nocnych klubów jazzowych. Reżim Vorstera i powrót do ściśle przestrzeganego apartheidu zrobił swoje. Popękane chodniki, wypełnione śmieciami alejki i pozasłaniane dyktą okna kontrastowały z ogrodzonymi rezydencjami, basenami i ogrodami bogatych białych na północy miasta. Na ulicach było niewiele ludzi. Większość znajdowała się w pracy, rządowych obozach lub w nielegalnie zajętych mieszkaniach. a, którzy wyszli na ulicę, wygrażali lub pluli na widok białych ludzi w Escorcie. Sibena nerwowo potrząsnął głową.

- Mówię panu, *meneer* Ian, to złe i niebezpieczne miejsce. Może pan i Sam mogliby znaleźć lepsze miejsce na robienie zdjęć? Ian pochylił się do przodu.

- Spokojnie, Matt. Wszystko będzie w porządku. Mamy informację, że dziś będzie jakaś nielegalna demonstracja pod szpitalem. To zbyt dobre, żeby sobie odpuścić, co, Sam? Knowles mrugnął do niego i następnie poklepał w ramię, wskazując pomazaną sprayem budkę telefoniczną. Ian skinął głową. Czas działać. Czuł, jak serce bije mu coraz szybciej. Wiele zależało od tego, co stanie się w ciągu następnych kilku minut. jeśli nie uda im się przekabacić Sibeny, będą musieli zrezygnować z dobrania się do Mullera. Ian wskazał budkę Sibenie.

- Matt, zatrzymaj się tutaj. Tych kilka kroków możemy przejść na piechotę. Pójdziemy bocznymi alejkami, żeby uniknąć gliniarzy. Wysiedli, gdy Ford wjechał na krawężnik. Ian założył swój ulubiony blezer, a Knowles wyjął sprzęt z bagażnika. Schylając się ostatni raz do bagażnika, Sam nastawił coś, mocno zatrzęsając klapę i skinął głową Ianowi. Wszystko gotowe. Ian zignorował przestraszoną minę kierowcy i ruszył w stronę budki telefonicznej, szukając w kieszeniach drobnych. Knowles podążył za nim, przewieszając minikamerę przez



ramię. Gdy znaleźli się w środku, Ian poczekał, aż Sam go zasłoni. Następnie szybko podniósł słuchawkę i odkręcił jej dolną część. W środku znajdował się mały, metalowy dysk -mikrofon, zamieniający fale dźwiękowe na impulsy elektryczne. Wydłubał go i pospiesznie schował do kieszeni.

- Pospiesz się. Nie mogę stać cały dzień, blokując drzwi - zamruczał Knowles, dając znać, że on też jest zdenerwowany.

- Prawie gotowe. - Ian przytrzymał słuchawkę pomiędzy ramieniem a uchem udając, że rozmawia. Z drugiej kieszeni wyjął mikrofon wyglądający jak ten, który właśnie usunął. Nowy mikrofon miał jednak pewną ważną cechę. Na małą odległość działał także jako nadajnik. Każda rozmowa prowadzona przez ten telefon zostanie odebrana przez odbiornik i nagrana na magnetofon schowany w bagażniku Forda. Ian włożył mikrofon i zakręcił obudowę słuchawki. Na czole pojawiły mu się krople potu. Gotowe. Wycofali się z budki i pomachali patrzącemu na nich z niepokojem Matthew Sibenie. Następnie ruszyli w stronę najbliższej bocznej ulicy, omijając sterty gnijących śmieci. Wkrótce zniknęli za rogiem.

Uliczka wychodziła na Klein Street, obok niedużego, zaniedbanego kościółka. Na murze powypisywano białą farbą hasła antyvorsterowskie.

- Tędy. - Knowles wskazał na prawo. - Z tyłu jest uliczka prowadząca do głównej ulicy. Minutę później przykucnęli koło nocnego klubu, który został zamknięty przez policję. Z tego miejsca mogli widzieć budkę telefoniczną. Matthew Sibena był w budce. Rozmawiał z kimś, gestykując gwałtownie i jednocześnie rozglądając się nerwowo na boki.

- Niech mnie diabli. Twój pIan wypalił! - Knowles potrząsnął głową. - Dał się złapać. Stary, jesteś cholernym szpiegowskim geniuszem!

- Mhm.

- Już wyszedł! Ian zaryzykował spojrzenie na ulicę. Budka telefoniczna była pusta. Kierowca był już pewnie w samochodzie, czekając niecierpliwie na ich powrót, z tym samym przyjacielskim uśmiechem, który zawsze miał na twarzy. Ian wierzył, że jego chęć pomocy jest szczerą. Spojrzał na Knowlesa.

- Dobra, niech się tam pogotuje jeszcze kilka minut i wracamy, udając zawiedzionych... jakby cała wyprawa była straconym dniem. Następnie wejdę do budki i zamienię mikrofony. W porządku?

- Jasne. - Sam przysiadł na ziemi. - Kiedy chcesz puścić mu tę taśmę? Ian przykucnął obok niego, zastanawiając się.

- Później. W studiu. Chciałbym mu najpierw pokazać kilka fragmentów filmów - żeby odpowiednio go nastawić. Wiesz, o co mi chodzi? Knowles uśmiechnął się i zamruczał pod nosem. Ian nie zrozumiał wszystkiego - tylko słowa "podstępny drań". Matthew Sibena siedział niewygodnie na składanym metalowym krzeselku, patrząc w napięciu na szybko zmieniające się sceny na ekranie. Wojsko strzelające do uczestników pokojowych demonstracji. Policja bijąca pałkami i rozwścieczone psy. Fragmenty przepełnionych nienawiścią wystąpień Vorstera. Urywki pokazujące czarną swastykę na czerwonym tle i śpiewających mężczyzn w brązowych koszulkach. Wszystkie obrazy szybko pojawiały się i zniknęły na ekranie. Taśma kończyła się, pokazując uciekającą przed policją małą, czarną dziewczynkę z krwawiącą raną na czole. Kamera ujęła jej przerażoną twarz i obraz zniknął. Ian wstał i wyłączył magnetowid. Obrócił się i uważnie studiował zaIaną łzami twarz Sibeny.

- Przerażające, co, Matt? Młody Murzyn odchrząknął, otarł łzy i spuścił wzrok.

- To straszne, *meneer*. Chciałbym, żeby tak nie było.

- Chciałbyś? - Ian udał zdziwionego. Nacisnął guzik przewijania na pilocie i patrzył na cofający się licznik. W rzeczywistości jego oczy przyglądały się odbiciu twarzy Sibeny w pustym ekranie monitora. - Powiedz mi, Matt, czy zrobiłeś coś kiedyś dla ANC lub jakiegoś innego ugrupowania opozycyjnego? Młody mężczyzna wolno potrząsnął głową, nie podnosząc wzroku z podłogi.

- Nigdy nie zajmowałem się polityką. - Nagle załamał mu się głos. - Musi pan zrozumieć. Życie w mieście jest bardzo trudne dla czarnych, niewyobrażalnie trudne. Strasznie ciężko dostać pracę, żeby mieć coś do jedzenia. - Spojrzał na swoje dłonie. - Nigdy nie miałem czasu robić coś dla wolności. Wstydzę się tego. Przez moment Ian miał ochotę dać temu wszystkiemu spokój. Przypieranie Sibeny do ściany było równie nieprzyjemne jak szantażowanie dziecka. Jako biały i średnio zamożny Amerykanin Ian zdawał sobie sprawę,

że nigdy nie był nawet w niewielkiej części poddany naciskom, jakich doznawali czarni mieszkańcy Afryki Południowej. Spojrzenie na leżący przy magnetowidzie magnetofon przywróciło mu siły. Pewnych cnót powinno się oczekiwać od każdego: uczciwości i lojalności wobec przyjaciół. Czas przypomnieć o tym Matthew Sibenie. Odchrząknął.

- Matt? Sibena podniósł wzrok.

- Chciałbym, żebyś jeszcze czegoś posłuchał. Może będziesz potrafił mi to wyjaśnić. Dobrze? Młody mężczyzna skinął wolno głową, niepewny, co Amerykanin ma na myśli. Ian nacisnął przycisk i cofnął się o krok, patrząc na zdziwioną twarz Sibeny, gdy z głośnika dobiegły szумы i trzaski. Przez szum przedarł się nagle ostry dźwięk wykręcania numeru. Sygnał odezwał się dwukrotnie, zanim telefon został odebrany. Na linii odezwał się nieprzyjemny głos.

- Stacja odbiorcza. Kto tam? Ian spostrzegł, jak z twarzy Sibeny odpływa krew: słuchał własnego głosu.

- Sibena. Cztery osiem pięć.

- Złóż raport, *kaffirze*.

- Dziennikarze amerykańscy są koło szpitala HiIlbrow, na rogu Cavell i Kapteijn. Przyjechali sprawdzić pogłoski o nielegalnej demonstracji. Pauza. Znowu odezwał się mężczyzna na drugim końcu linii.

- Nie mamy na ten temat żadnych wiadomości. Zadzwoń, jeśli odbędzie się jakaś demonstracja lub jeśli Amerykanie nakręcą Interesujące nas zdjęcia. Pamiętaj, nie zawieź nas. Wiesz, co by dr: czekało, *kaffirze!* Głos Sibeny zniżył się do szeptu.

- Pamiętam, *baas*. No to uważaj. - Połączenie zostało przerwane. Ian wyłączył magnetofon i obrócił się. Młody mężczyzna siedział skulony na krześle, chowając twarz w dłoniach. Jego ramiona trzęsły się i co chwila słychać było jęki i chlipnięcia. Ian poczuł mdłości. Ukłękł koło Sibeny.

- Dlaczego, Matt? Powiedz mi, dlaczego pracujesz dla tych ludzi? Wiem, że ich nienawidzisz. Co cię przy nich trzyma? Powoli, bardzo powoli Ian zdołał wyciągnąć z niego całą hi storię. Jak większość rodzin zamieszkujących slumsy Soweto ojciec i matka Sibeny nie mieli pieniędzy, żeby zapłacić za jego edukację. W rezultacie Matt poszedł do pracy po ukończeniu czternastu lat, podejmując się każdej roboty, jeśli tylko jakaś mu się nadarzyła. Żadna z tych prac nie trwała zbyt długo i nie zapewniała pieniędzy na przeżycie. Kiedy gospodarka RPA zaczęła podupadać, Sibena miał coraz większe kłopoty ze znalezieniem jakiegokolwiek zajęcia. Nie posiadał też żadnych umiejętności, poza prowadzeniem samochodu, czytaniem, pisanem i obsługiwaniem kasy. Był także zbyt mały i słaby, żeby go przyjęto do pracy w kopalniach złota w Witwatersrandzie. Skończyło się na tym, że pozbawiony pracy zaczął kraść. Nie były to żadne poważne napady. Ot, ukradł coś z nie pilnowanego pokoju w hotelu czy ze schowka w samochodzie. Przez kilka miesięcy udało mu się uniknąć zarówno policji, jak i zorganizowanych gangów Soweto. Pewnego razu przyłapano go podczas próby włamania do samochodu. Policjanci nie postawili go jednak przed sądem. Zamiast tego zbito go do nieprzytomności i postawiono wobec alternatywy: albo zdecyduje się współpracować z policją jako płatny donosiciel, albo zostanie zesłany na Robben Island, do pracy w kamieniołomach, która zabijała nawet najsilniejszych. Matthew Sibena zdecydował się zostać donosicielem. Jego pierwszą pracą było pilnowanie Iana i Sama Knowlesa. Ian stał, patrząc na niego i zastanawiał się nad swoim kolejnym posunięciem. Opowieść Sibeny nie była przyjemna, ale właśnie czegoś takiego oczekiwał. Siły policyjne Afryki Południowej były znane z podobnych metod.

- Co teraz ze mną zrobicie, kiedy już wszystko wiecie? - głos Sibeny drżał. Ian poczuł nagłą gwałtowną wściekłość, myśląc o ludziach, którzy zmienili tego młodego mężczyznę w słabego tchórza. Potrząsnął niecierpliwie głową, starając się ukryć gniew. Dzieciak mógł pomyśleć, że to o niego chodzi. Spojrzał Mattowi w oczy.

- Nic, Matt. Nic ci nie zrobimy.

- Naprawdę? Ian skinął głową.

- Naprawdę. Zatrzymał się zastanawiając, w jaki sposób przedstawić propozycję. W końcu przysunął sobie metalowe krzesło i usiadł naprzeciw Sibeny.

- Chciałbym jednak, żebyś podjął pewną decyzję. Trudną decyzję. Młody mężczyzna skulił się. Pamiętał propozycje, jakie składali mu biali ludzie. Ian zobaczył panikę w jego oczach i

pokręcił głową.

- Nie, Matt. To nie będzie to, co zrobili ci cholerni gliniarze.

- Jezu, mam nadzieję, że to prawda, pomyślał. Zaczerpnął powietrza, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że właśnie ryzykuje swoim życiem.

- Matt, chcę tylko poprosić cię o pomoc, tak jak mężczyzna prosi kobietę. Jeśli nie chcesz zrobić tego, o co cię poproszę, to tylko mi powiedz. Zrezygnuję z tego, co p[lanowaliśmy] i będziesz mógł dalej swobodnie składać raporty policji. - Wyprostował się, nie spuszczać wzroku z twarzy Sibeny. - Mogę ci jednak powiedzieć, że jesteśmy na progu ujawnienia naprawdę ważnej historii. Historii, która może potrząsnąć całym tym wschodnim krajem i obalić rząd Vorstera. Sibena patrzył na niego w milczeniu. Ian zniżył głos, mówiąc niemal szeptem.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Matt. Potrzebujemy, żebyś trzymał służby bezpieczeństwa z dala od nas, gdy będziemy zajmowali się tą sprawą. - Spojrzał na podłogę i szybko podniósł wzrok. - Nie będę cię okłamywał. Nie obiecuję ci, że nam się powiedzie. Nie mogę nawet obiecać, że to, co zrobimy, naprawdę zmieni życie w tym kraju. Musisz też wiedzieć, że jeśli coś pójdzie źle, to nie będziemy mogli ochronić cię przed policją. Milczenie. Cisza, jaka zapadła, wydawała się trwać godziny, mimo iż minęło tylko kilka sekund. W końcu Sibena wyprostował się w krześle. Jego oczy były zaczerwienione, ale pojawiła się w nich determinacja.

- Spróbuję, *meneer*, spróbuję. Niech Bóg mi pomoże, gdyż jestem słabym człowiekiem.

## • 22 października - hotel „Cascades”, Sun City, Botswana

Sun City, w porównaniu z resztą kraju, było oazą przepychu i nieustannej rozrywki. Wokół miasteczka rozciągały się nieprzyjazne, nieurodzajne cierniste sawanny, które zresztą stanowiły większą część Botswany, jednego z najuboższych państw na kontynencie. Tym bardziej szokowało bogactwo tej, w sumie niedużej, miejscowości. Kompleks, składający się z hotelu i kasyna, otaczało sztuczne jezioro o krystalicznie czystej wodzie. W mocnym, letnim słońcu lśniły setki okien wychodzących na zielone tarasy z kwitającymi fioletowo drzewami jacaranda. Na zewnątrz hotelu systemy nawadniające spryskiwały wypielęgnowane trawniki, wysokie palmy i pole golfowe. Wewnątrz hotelu panowała teraz nietypowa cisza; kompleks wydawał się opuszczony. Większość młodych ludzi z Afryki Południowej, która przybywała tu wydawać pieniądze na gry hazardowe, walczyła w Namibii, Natalu czy w którymś z innych, ogarniętych wojną miejsc. Ian i Emily siedzieli niecierpliwie w małym barze głównego budynku hotelu. Na stole przed nimi stały nietknięte kieliszki z białym winem. Ian z trudnością powstrzymywał się od setnego już sprawdzenia zegarka. Muller spóźniał się. Czy coś się stało? Czy szef służby bezpieczeństwa odwołał wyjazd, czy tylko się spóźnia? Ian poczuł pot spływający mu po czole. Mieli tylko jedną szansę zorganizowania takiej zasadzki i jeśli Muller nie przybędzie tego wieczoru, będą musieli zacząć wszystko od początku. Odwrócił się, żeby spojrzeć na hol. Nic. Ani śladu drania. Automatyczne drzwi wejściowe otworzyły się bezszelestnie, wpuściły powiew gorącego powietrza i zamknęły się za szczerłym mężczyzną z torbą na ramieniu. Ian wyprostował się w krześle. Oglądał kilka dostępnych zdjęć tego człowieka dostatecznie wnikliwie, żeby rozpoznać wąską, arogancką twarz i wodniste, niebieskie oczy dyrektora Wydziału Operacyjnego służb Bezpieczeństwa. Erik Muller jednak przyjechał do Sun City. Afrykaner przeszedł pewnie przez hol i stanął przy recepcji. Kilka sekund później drzwi hotelu znowu się otworzyły, do środka wszedł Sam Knowles i stanął w kolejce za Mullerem, zakotyłał się niecierpliwie na palcach, spojrzął na zegarek i zaczął cicho pogwizdywać. Ian wstrzymał oddech, gdy Muller odwrócił się, aby spojrzeć na źródło drażniącego dźwięku. Jednak Południowoafrykańczyk prześliznął się jedynie swoim zimnym spojrzeniem po niskim mężczyźnie, jego zielonej, sportowej koszulce, powypychanych na kołnierzach spodniach i białych butach. Na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci i odwrócił się do recepcjonisty, żeby podać swoje dane. Muller najwidoczniej uznał Amerykanina za zwykłego bufona, za którego Knowles zresztą chciał uchodzić. Afrykaner skinął szybko głową urzędnikowi i wziął od niego klucze od pokoju, zrezygnował z usług boya hotelowego i skierował w stronę wind, nie oglądając się za siebie. Ian odetchnął ulgą, gdy Sam wpisał swoje dane do księgi

hotelowej i leniwie podszedł do baru. Knowles opadł ciężko na krzesło obok Iana.

- Cwaniak wpisał się jako Hans Meinert i dali mu pokój 335. My dostaliśmy pokój 337, tuż obok - zachichotał rubasznie, kładąc na stoliku klucz. Ian natychmiast przykrył go ręką. - Mówiłeś coś o cwaniaku? A ty? Jak ci się to udało? Knowles wzruszył ramionami.

- W ten sam sposób, w jaki załatwia się wszystko w tego typu hotelu; miłe słówko i sto randów włożonych do formularza hotelowego. Ian, nie wypuszczając już klucza z ręki, zerwał się i klepnął przyjaciela w ramię. - Idziemy. Byli gotowi do akcji. Okna pokoju 337 wychodziły na sztuczne jezioro i basen. Kilka starszych par przechadzało się leniwie po wysadzanych drzewami alejkach wzdłuż jeziora, oddychając świeżym, wieczornym powietrzem. Ian odwrócił się i spojrzał na dwóch, bardzo różnych mężczyzn. Matthew Sibena siedział wyprostowany w fotelu, naprzeciw małego biurka, jego twarz była sumą nerwów i strachu. W przeciwieństwie do niego Sam Knowles wydawał się zupełnie zrelaksowany; leżał w swobodnej pozycji na królewskim łożu i czytał. Nagle podniósł wzrok znad trzymanej w ręce książki.

- Zdajecie sobie sprawę, że wyjdziemy na głupców, jeśli ten gość z ANC pójdzie bezpośrednio do pokoju Mullera? Ian skinął głową, nic nie mówiąc. Musieli podjąć takie ryzyko. Osobiście nie wierzył, aby do tego doszło. Muller był zawodowcem i nie pozwoliłby na to, nie upewniwszy się wcześniej, czy nikt go nie śledzi. Nie, Afrykaner musi wyjść z pokoju, żeby zainicjować spotkanie i wrócić razem dopiero wtedy, gdy upewni się, że jest bezpieczny. Ian był także przekonany, że rozmowa odbędzie się w pokoju hotelowym. Kasyna były zbyt hałaśliwe, a aleje zbyt niebezpieczne na tajne spotkanie. Odgłos otwieranych i zaraz zamykanych drzwi obok poderwał ich na równe nogi. Muller wyszedł. Ian podszedł do telefonu i czekał. Ręce drżały mu lekko. Jedna za drugą mijały sekundy i zamieniały się w minuty. No, dalej. W końcu telefon zadzwonił. Złapał słuchawkę.

- Tak?

- Wyszedł. Idzie w stronę centrum rozrywkowego. - Emily ledwo mogła złapać oddech, przestraszona i jednocześnie podniecona swoim zadaniem.

- Świetnie. Wiesz, co robić, gdybyś zobaczyła, że wraca?

- Tak. - Emily zaczęła mówić szeptem. - Uważaj na siebie. Proszę, bądź bardzo ostrożny. Ian przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Będziemy uważali. I nie wchodzić mu w drogę... dobrze? Począł, aż mu odpowie i odwiesił słuchawkę. Knowles i Sibena stali już przy drzwiach. Ian minął ich. Rozejrzał się po długim korytarzu. Pusto. Kilkoma szybkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od pokoju 335. Sibena szedł obok. Knowles, z walizką w ręce, zamknął drzwi od ich pokoju. Ian zapukał raz, czując w skroniach pulsowanie, a w gardle suchość. Z pokoju nie dochodziły żadne odgłosy. Odstąpił o krok i przepuścił Sibenę. Młody mężczyzna włożył twardą plastikową kartę w szczelinę pomiędzy drzwiami a zamkiem i zaczął nią przesuwając w dół i górę, starając się odsunąć rygiel. Jego usta poruszały się lekko w czasie pracy. Sibena modlił się lub też przeklinał. Ian znowu sprawdził korytarz, ponagłając w duchu chłopaka. Nie wiedział, jak w Botswanie karze się za włamanie i nie zamierzał się tego dowiadywać... Trzask. Nagły dźwięk wydał się wyjątkowo głośny w ciszy korytarza, zakłóconej jedynie delikatnym szumem klimatyzacji. Sibena schował drżącą ręką kartę do kieszeni i otworzył drzwi. Weszli szybko do środka. Dzięki Bogu. Apartament miał identyczny rozkład jak ich, umeblowanie też było takie samo, luksusowe i bardzo funkcjonalne. Podobnie jak we wszystkich hotelach tej kategorii na świecie. W pokoju było ciemno. Okna były ściśle zasłonięte. Paranoiczny drań boi się własnego cienia, pomyślał Ian. Tymczasem Sam podszedł szybko do stolika i zapalił małą lampkę nocną. Następnie, poruszając się cicho jak skradający się kot, stanął przy ścianie dzielącej ich pokoje i systematycznie zaczął ją opukiwać zgiętym palcem, szukając spoin.

- Jest! - Odwrócił się, mierzając wzrokiem pokój. - Tu będzie dobrze - szepnął, wyciągając rękę w stronę Iana, który podał mu natychmiast małą wiertarkę. Cichy warkot mieszał się z dźwiękiem padających na podłogę okruchów muru. Powstały otwór był prawie niewidoczny, ale wystarczający, żeby przepchnąć rurkę światłowodową, podłączoną do kamery. Ian spojrzał na zegarek. Nie do wiary! Upłynęły dopiero trzy minuty, a wydawało się, że sterczą tu całą wieczność. Knowles wyjął wiertło z dziury i przeszedł z wiertarką bliżej drzwi, znowu ostukując ścianę. Ian spojrzał na niego zdziwiony.

- Potrzebujemy jeszcze jednego podglądu? Kamerzysta skinął głową, nie przestając opukiwać ścian.

- Uhm. Możesz być pewien jednej rzeczy: jeśli masz tylko jedno ujęcie, zawsze jakiś głupi drań będzie patrzył w inną stronę. Tu! No to jedziemy. - Przystawił wiertarkę do ściany. - To pozwoli nam objąć cały pokój, oprócz łazienki. Na dywan posypało się więcej tynku i Ian, starając się opanować nerwy, zaczął zbierać co większe okruchy, a pył wcierać w dywan. Przy odrobinie szczęścia Muller wcale ich nie zauważy, a jeśli nawet coś spostrzeże, to pomyśli, że to wina obsługi. Pięć i pół minuty. Sibena przestępował z nogi na nogę, zbyt wystraszony, żeby chodzić i zbyt zdenerwowany, żeby stać spokojnie. Ian przyjrzał się ścianie, starając się ocenić, jak bardzo widoczne są otwory. Miał kłopoty z ich dostrzeżeniem. W końcu Knowles skończył wiercić i odszedł, żeby ocenić rezultaty.

- Wszystko gotowe, szefie. - Schował wiertarkę do torby.

- Świetnie. - Ian zerwał się na równe nogi, strzepnął pył z kolan i ruszył w stronę drzwi. Kurczę. Idiota. Zatrzymał się tak gwałtownie, że Knowles i Sibena wpadli na niego.

- Co jest, ku... - Mały kamerzysta urwał w połowie słowa.

- Zapomniałem coś zrobić. - Ian wyminął ich i podszedł do łoża. Pociągnął za końce poszewek, układając je równo i wygładzając. Wreszcie wyjął dwie czekoladki miętowe z kieszeni koszuli i położył je na poduszce. Tym razem Knowles miał zdziwioną minę.

- Pomysł Emily. - Ian wskazał na drzwi. - Na wypadek, gdyby Muller zastawił jakąś pułapkę, żeby złapać ewentualnych nieproszonych gości. Wiesz, nitka przyklepiona do drzwi czy coś takiego. Knowles uśmiechnął się.

- Więc teraz będzie przekonany, że odwiedziła go pokojówka i zmieniła pościel. Nieźle. Bardzo sprytnie. - Sam roześmiał się. - Nic dziwnego, że panna van der Heijden i ty tworzycie taką dobraną parę. Jesteście oboje tak podstępni. że aż czuję się dumny z takiej znajomości. Ian odwzajemnił uśmiech i wypchnął go za drzwi.

- Przygadywał kocioł garnkowi. A zresztą zostawmy komplementy na później. Sam. Mamy jeszcze sporo roboty do wykonania. zanim Muller wróci tu ze swoim przyjacielem z ANC. Pół godziny później byli gotowi. W dwóch rogach ich pokoju stały monitory - każdy z nich ukazujący inny widok na pokój Mullera. Mimo iż obraz przekazywany przez światłowody był szary i niewyraźny. można było zobaczyć, co się dzieje w pokoju. Studyjny komputer mógł z łatwością wyczyścić zakłócenia i rozjaśnić zbyt ciemne miejsca. Bez ponownego włamania się do pokoju Mullera Knowles nie mógł sprawdzić jakości dźwięku, ale był przekonany, że będą w stanie dosyć czysto odbierać rozmowę. jeśli zajdzie taka potrzeba, komputer będzie mógł także oczyścić głosy. Ian krążył po pokoju. spoglądając od czasu do czasu na monitory. Gdzie jest Muller? Czyżby zdecydował się jednak na odbycie spotkania w mieście? Zadzwoił telefon. Przeskoczył przez płataninę kabli i podniósł słuchawkę.

- Hallo? Usłyszał miękki głos Emily.

- Wraca. I nie jest sam. Idzie z nim czarny chłopak. Hura! Ian nie mógł się powstrzymać od wybuchu radości. Miał rację.

- Poczekaj. aż wsiądą do windy i następną jedź na górę. Nie możesz tego stracić.

- Z pewnością. - W jej głosie słychać było nutkę wątpliwości.

- Ten chłopak jest zbyt młody, żeby mieć wysoką rangę w ANC. Ian wzruszył ramionami, zanim zorientował się, że przecież nie może go widzieć.

- Słyszałem, że niektórzy partyzanci zaczynają naukę w ANC w wieku lat czternastu. Niektórzy z tych, co rzucają kamieniami w Soweto. są nawet młodsi.

- Może... - Umilkła na chwilę. - Wsiadli do windy, jadę na górę. Odłożyła słuchawkę. Ian odwrócił się do swoich towarzyszy.

- Czas na przedstawienie. koledzy. Knowles przykucnął przy swoim sprzęcie, sprawdzając wszystko po raz ostatni. Sibena usiadł ostrożnie na krześle przed jednym z monitorów, znacznie spokojniejszy i zafascynowany łatwością, z jaką Amerykanin obchodził się ze sprzętem. Ruch na jednym z monitorów zwrócił jego uwagę i podniósł rękę. Do sąsiedniego pokoju wszedł Muller, a za nim wśliznął się niski i bardzo chudy chłopak. Mimo swojej wcześniejszej pewności Ian, który stał tuż za Sibeną. był zdziwiony. Nawet na migającym i szarym obrazie można było odgadnąć, że chłopak ma nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Usłyszał lekkie pukanie do drzwi i podbiegł je otworzyć. Emily weszła do

pokoju, pocałowała go szybko, cały czas patrząc na scenę rozgrywającą się w sąsiednim pokoju. Muller stał przy szafie, odliczając kawałki papieru i wkładając je do otwartej ręki chłopaka. Ian nachylił się, starając się rozróżnić szczegóły na migającym lekko ekranie. Czy były to pieniądze? Możliwe. Afrykaner płacił pewnie za kolejne informacje. Jednak nie podobał mu się wyraz twarzy Mullera - mieszanina pogardy, wstrętu i czegoś jeszcze. Czegoś bardzo dziwnego. Oczekiwanie? Najwidoczniej zadowolony chłopak skinął głową i schował gruby plik randów do kieszeni. Zamruczał coś niezrozumiałego. Muller odezwał się pierwszy.

- Ani słowa, *kaffirze!* Cholera! Ian nachylił się, nagle niespokojny. Czyżby szef wywiadu zauważył któryś z otworów w ścianie? W momencie, gdy chciał już odwrócić się do Knowlesa, pięść Mullera z niesłychaną siłą rąbnęła Murzyna w żołądek. Gdy dzieciak zwinął się z bólu, Afrykaner poprawił sierpem od dołu w szczękę. Następny cios powalił chłopaka, który zwinął się, jęcząc, a z jego rozbitego nosa i rozciętej wargi popłynęła krew na dywan. Przez ułamek sekundy Ian siedział jak sparaliżowany. Po chwili zerwał się na równe nogi i ruszył biegiem w stronę drzwi. Nie tego oczekiwał i niech go diabli, jeśli będzie siedział bezczynnie, pozwalając draniowi zakatować chłopaka. Do diabła z rolą nieangażowania się przez dziennikarzy! Sam Knowles rzucił się za nim. Jednak Emily zablokowała sobą drzwi. Jej twarz była śmiertelnie blada, ale zdecydowana.

- Przepuść mnie, Em. - Ian czuł, jak krew zaczyna tętnić mu w skroniach.

- Nie. - Potrząsnęła pewnie głową. - Za daleko zaszliśmy, żeby dla rycerskiej zachcianki stracić taką okazję. Udzielenie pomocy temu biednemu chłopcu skończy się naszym uwięzieniem i śmiercią. Wiesz dobrze, że Muller nie jest tylko zwykłym rzezimieszkiem. Musimy trzymać się planu.

- A przy tym chłopak jest tylko czarnym, co? - Po raz pierwszy Ian zastanowił się, ile przesądów rasowych mogło drzemać w Emily. Zaczerwieniła się ze złości.

- To niesprawiedliwe! I dobrze o tym wiesz! Knowles odchrząknął.

- Myślę, stary, że ona ma rację. Gramy o bardzo wysoką stawkę. Większą nawet niż życie jednostki. A poza tym dobrze, że ściany są dźwiękochłonne i wymyślacie sobie w miarę cicho.

- O Boże... - Zszokowany szept Matthew Sibeny przyciągnął ich do monitorów. Bicie skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Czarny chłopak w dalszym ciągu leżał, jęcząc żałośnie. jedno oko i usta zaczęły już puchnąć. Muller, który przed chwilą jeszcze ział nienawiścią, przyklęknął przy nim, troskliwie gładząc posiniaczoną twarz! Ian poczuł, jak żołądek buntuje mu się, gdy Afrykaner nachylił się i pocałował opuchnięte usta młodzieńca, rozmazując sobie krew na twarzy. Przebiegły go dreszcze. To nie mogła być prawda! Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w monitor. Muller ułożył właśnie pobitego chłopca na łóżku i zaczął rozpinać guziki swojej koszuli. Tymczasem Emily mówiła jakby do siebie: - To jest dla niego jak rytuał... 22 października... Ekskomunikowany pastor. Morderstwo Gabriela Tswane. Tak, to musiał być on. Ale co dalej? Muller tymczasem rozebrał się już do naga.

- Chryste! - Ian odwrócił się od ekranu, czując narastające mdłości. - Wyłącz to, Sam! Nie można tego oglądać!

- Nie! Zostaw! - Głos Emily był teraz syczący. - Ten człowiek i jego pan, Vorster. Oni musieli znać wcześniej plany ANC. Nie ma innego wytłumaczenia. Tak na pewno musiało być. Ale jak... Zgoda. - Ian rozłożył ręce. - Ale skąd mogli wiedzieć? Od kogo? Kiedy? Emily zapatrzyła się w przestrzeń. jej zaciśnięte usta stanowiły teraz cienką kreskę, a ręce bezwładnie opuściła wzdłuż ciała. Mężczyźni przyglądali się jej w osłupieniu. Nagle poblądła, uniosła do góry rękę, strzeliła palcami, głęboko wciągnęła powietrze, sztywno przeszła parę kroków i raptownie, jakby nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa, usiadła na łóżku.

-Wiem - szepnęła dramatycznie. - Mam! Ależ ze mnie idiotka! Cały czas wiedziałam! Chyba strach i to - wskazała ręką monitor - przywróciły mi zdolność logicznego myślenia! Gawamba! Atak naszych komandosów! Tam leży rozwiązanie! Ian spoglądał na nią najpierw z niedowierzaniem, potem z lekkim szokiem, a następnie już z całkowitym zrozumieniem.

- Gawamba? - zapytał, przeciągając litery. - Oczywiście! - poczuł narastający wstyd i jednocześnie podniecenie. Dlaczego sam na to wcześniej nie wpadł? To było takie proste!

Rozwiązanie cały czas leżało w zasięgu jego ręki. Wiedział przecież, że baza ANC w Zimbabwie była ważnym ośrodkiem dowodzenia, planującym na pewno wszystkie istotne operacje dotyczące RPA I tam też musiały się znajdować dokumenty związane z zamachem na rząd republiki. Spadochroniarze, przeczesując to miejsce, musieli je znaleźć i omijając normalną służbową drogę, przekazać je bezpośrednio Vorsterowi. Ale dlaczego Kongres, wiedząc o tym, nie odwołał całej akcji? Nie. Musieli nie wiedzieć. Są przecież sposoby. Zrobiono pewnie kopie, a oryginały zostawiono w stanie nienaruszonym. I to by wszystko tłumaczyło. Zerknął na pozostałą trójkę. Knowles i Sibena nie odzywali się. Rozgrywająca się przed nimi scena była niezwykła i podniecająca. Obaj nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, ale domyślali się, że to bardzo ważne dla nich wszystkich. Emily usiłowała coś powiedzieć, ale Ian nie pozwolił jej dojść do słowa:- Wszystko już rozumiem. Powiązałem wszystkie fakty w całość. Ale jak to udowodnić? Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy nam bez namacalnych dowodów. A ci, którzy byli w to zamieszani, nie puszcza pary z ust. - jego emocje jakby nagle opadły. A potem, niespodziewanie, dodał z pasją:- A my, zamiast się nad tym zastanawiać, uganiamy się niepotrzebnie za jakimś nędznym pedałem! Emily wstała, podeszła do niego i wyciągając rękę, boleśnie ścisnęła mu ramię:- Potrzebnie, Ian. Właśnie ten nędzny pedał, jak go nazwałeś, wszystko nam będzie musiał wyśpiewać. To jest ważne ogniwo prowadzące do Vorstera. Musimy go tylko porządnie przycisnąć i odpowiednio postraszyć. Jestem pewna, że ma jeszcze kopie dokumentów. Ubezpieczenie na wypadek, gdyby Vorster znalazł nowego faworyta. - W jej głosie pojawiła się pogarda. - To proste. Użyjemy tych kaset, żeby zmusić go do przekazania nam dokumentów. Szantaż. Wstrętne słowo i jeszcze obrzydliwszy pomysł. Nie po to został dziennikarzem, żeby wykorzystywać słabości ludzi przeciw nim samym. Złapanie Erika Mullera na rozmowie z wtyczką ANC to jedna rzecz. Jednak wykorzystywanie dziwnych upodobań seksualnych to coś zupełnie innego. Spojrzał na Emily. Dziewczyna była nieprzejeđnana. - Nienawidzę tego pomysłu tak samo jak i ty, Ian. Ale musimy to zrobić. Nie mamy innego wyjścia. - Przez moment straciła samokontrolę i jej głos zadrżał. - Proszę... Widzę, jak cały mój naród jest niszczone. Tysiące ludzi już zginęło, a to dopiero początek. I wszystko przez takich potworów jak ten! - Wskazała trzęsącym się palcem na ekran. - Jej głos przeszedł do miękkiego szeptu. - Ian, czy mamy jakikolwiek wybór? Dostaliśmy narzędzie, które może położyć kres temu szaleństwu. Czy nie mamy obowiązku go użyć? - Po jej policzkach pociekły łzy. - Bez względu na to, jak bardzo to nas zabolę. Nie zastanawiając się, Ian objął ją i przytulił mocno do siebie, głaszcząc jej delikatne, pachnące włosy, gdy łkała na jego ramieniu. Ponad jej głową dostrzegł ciała wijące się na łóżku w sąsiednim pokoju. Miała rację. Nie mieli innego wyboru. Patrzył ponuro na ekran monitora. Bardzo dobrze. Przekonają się, jak ten drań zareaguje na groźbę wyjawienia jego zбочzonych praktyk.

## Odwet

### • 24 października - Centrala Wywiadu Wojskowego, Pretoria

Erik Muller patrzył z przerażeniem na ekran telewizora. To, co wydawało mu się tak naturalne i podniecające w pokoju hotelowym w Sun City, wyglądało tak wstrętne na taśmie wideo. Nie mógł opanować drżenia, czując bijące na twarz gorąco na przemian z lodowatym chłodem. Najgorsze zmyły nocne ożyły, ukazując swoje oblicza w świetle dnia. Taśma została godzinę temu dostarczona do jego biura w kopercie z napisanym na maszynie tekstem, że sprawa jest "osobista i poufna". Głupia sekretarka nie pamiętała niczego poza faktem, że kopertę przyniósł chłopak z jednej z miejscowych firm kurierskich. Słabo oświetlone czarno-białe obrazy zniknęły i pojawił się regularny wzór oznaczający koniec taśmy. Muller siedział nieruchomo przez kilka minut, czując mdłości i nie mogąc zebrać sił, żeby wstać i wyjąć kasetę. Myślami błądził w odległej przeszłości, wracając do czasu, kiedy poddanie się żądaniom własnego ciała uczyniło z niego cel zdradzieckich ataków. Kto mógł wtedy przypuszczać? I czego oni chcieli - jego śmierci i hańby czy czegoś zupełnie innego? Zadzwoił telefon i Muller sięgnął po słuchawkę.

- Tak?

- Telefon do pana, panie dyrektorze. Ktoś w sprawie taśmy... Chciał zaczerpnąć powietrza i nie udało mu się. Potwory ciemności i krwi, których bał się tak długo i tak długo wypierał, przyszły po swoją zapłatę. Potwory, które sam stworzył. A teraz śmierć albo coś gorszego spoglądało mu prosto w oczy.

- Dyrektorze? Ogarnął go zwierzęcy strach. Przez szum w uszach ledwie usłyszał swój ostry głos.

- Połącz mnie. Na linii pojawił się nowy głos. Kobieta mówiąca płynnym *afrikaans*.

- Dyrektor Muller?

- Czego chcecie?

- Kopii dokumentów zdobytych przez specjalny oddział wywiadu podczas akcji w Gawambie. - Kobieta umilkła na chwilę. - Dokumentów ujawniających plany ANC ataku na pociąg prezydenta. Błękitny Pociąg? Muller nie sądził, że coś jeszcze może go zaskoczyć. Zrozumiał, że się mylił. Śmiertelnie się mylił. Analizując mimo grozy sytacji wypowiedź nieznaną, stwierdził, że jest ona prawdopodobnie wykształconą Afrykanerką. Starał się grać na zwłokę.

- Nie wiem, o jakich dokumentach pani mówi. Nic takiego nie istnieje.

- To wielka szkoda, *meneer* Muller - odpowiedziała lodowato kobieta. - Obawiam się, że w tej sytuacji taśma ukazująca pańską "niedyspozycję" znajdzie się w rękach pańskich przełożonych. Ścisnął mocniej słuchawkę, czując zawroty głowy. Czas! Musi mieć więcej czasu, żeby rozważyć możliwości. Odebrała mu tę nadzieję.

- Ma pan dziesięć sekund, *meneer*. Jeśli w tym czasie niczego od pana nie usłyszę, to odłożę słuchawkę i sprawa znajdzie się poza moim zasięgiem Dziwka! Muller opadł na krzesło. Kimkolwiek byli szantażyści, udało im się go dopaść. Nie miał złudzeń co do tego, jak Vorster zareaguje na widok swojego szefa wywiadu w objęciach Murzyna. Przełknął ślinę i wymamrotał.

- W porządku. Niech cię diabli. Zgadzam się. Dostaniecie te papiery.

- Bardzo rozsądna decyzja - zgodziła się kobieta. - Wymiana zostanie dokonana w następujący sposób. O dziesiątej wieczór przyjedzie pan sam... Muller zapisał instrukcje trzęsącą się ręką i siedział nieruchomo przez kilka minut po odłożeniu słuchawki. Jego myśli biegały we wszystkich kierunkach. Nie widział żadnego wyjścia, które pozwoliłoby na uniknięcie katastrofy. Albo zdradzi swojego przywódcę albo zdradzi siebie. Chyba że...



Muller spojrział na notatki. Mimo zimnego i spokojnego tonu zawodowca, jakim mówiła kobieta, wybór miejsca na spotkanie i jej instrukcje wskazywały na amatorszczyznę. Podjął szybko decyzję i wybrał trzycyfrowy numer wewnętrzny. Nawet najmniejsza szansa wygrania jest lepsza od żadnej. Cztery osoby zapełniały szczelnie klitkę, która służyła Ianowi za biurko. Emily van der Heijden i Sam Knowles siedzieli na krzesłach naprzeciw biurka, a Matthew Sibena stał za nimi, nadal zdziwiony tym, że kamerzysta zaproponował mu swoje krzesło. Myśl, że jakkolwiek biały człowiek może go uznać za równego sobie, nadal wydawała mu się niemożliwa do przyjęcia. Ian spojrział na zegarek. Jeszcze dwie godziny do spotkania z Erikiem Mullerem. Sprzęt stał gotowy obok jego biurka. Dwa radiotelefony, lornetka, taśma wideo, mała latarka i kluczyki od samochodu, który Emily wynajęła wczoraj wieczorem na fałszywe nazwisko. Niezbyt wiele, żeby rzucać wyzwanie szefowi służby bezpieczeństwa. Rozłożył na biurku pIan Johannesburga i okolic.

- W porządku, oto moje propozycje. Wy troje pojedziecie za mną do umówionego miejsca. Trzymajcie się kilkaset metrów z tyłu i nie pokazujcie się. - Zakreślił obszar na mapie. - Prawdopodobnie gdzieś tutaj, koło skrzyżowania z N3. Z tego miejsca będziecie mogli łatwo wymknąć się na autostradę lub Lombardy Unk, jeśli coś się nie powiedzie. Wskazał na walkie-talkie.

- Będziemy cały czas w kontakcie. Widzicie jakieś problemy? Knowles odpowiedział natychmiast.

- Pewnie, że tak. Jeden, ale za to duży. Nie możesz się osobiście skontaktować z Mullerem.

- Dlaczego nie, do cholery? - Ian o mało się nie roześmiał, słysząc zawiedziony ton swojego głosu. Granie posłusznego dzieciaka nie było najlepszym sposobem na Wygranie z Emily i Samem. Kamerzysta wycelował palcem w jego twarz.

- Twoja buzia jest odpowiedzią, synu. Ty stoisz po drugiej stronie kamery i założę się, że drań mógł widzieć kilka twoich ocenzurowanych wystąpień. Wystarczy, że się pokażesz dzisiaj w nocy i - kłaśnięcie podkreśliło słowa - wszyscy idziemy do pudła, czekając na kulkę w głowę czy kark. Emily przyłączyła się do niego.

- Ian, Sam ma rację. Ja pójdę zamiast ciebie. Zresztą Muller słyszał już mój głos. Knowles pokręcił głową.

- Nie, to też nie będzie dobrze. Głos dziewczyny zabrzmiał, jak skarga dziecka, któremu odebrano ukochaną zabawkę.

- Dlaczego nie, panie Knowles. Kamerzysta uśmiechnął się złośliwie.

- Ponieważ nasz chłoptaş musiał widzieć także i pani zdjęcia. Twój tatuś jest jego wrogiem numer jeden w rządzie, zgadza się? Emily przytaknęła niechętnie.

- Tak więc jest tylko jedna osoba, która może to zrobić... ja sam. - Knowles postukał się w pierś. Sibena odchrząknął i odezwał się, wyglądając nadal na wystraszonego, ale jednocześnie zdecydowanego.

- To nie jest dokładnie tak, jak mówisz, Sam. Ja mogę pójść. Knowles obrócił się na krześle, żeby spojrzeć w twarz młodemu Murzynowi.

- Obawiam się, że nie, Matt. Muller to nie tylko drań i rzezimieszek, ale i rasista. Wątpię, żeby się zgodził przekazać ci coś ważnego. Cholera! Ian zacisnął dłonie pod biurkiem. Nie chciał tego przyznać, ale Sam miał rację. Był jedyną osobą, która miała jakieś szanse przeprowadzenia transakcji. Poza tym, Muller widział już Knowlesa w charakterze nieznośnego turysty w hotelu "Cascades". jeśli zobaczy go ponownie, nie wystawi to ich na zbędne ryzyko. Zaklął cicho i spojrział na przyjaciela.

- Dobra, Sam, wygrałeś. Ty odbierzesz nagrodę.

## • Wysypisko miejskie Madderfontein, Johannesburg

Wysypisko miejskie Madderfontein otoczone było drucianą siatką, za którą widać było góry połamanych mebli, rdzewiejących puszek, starych opon i innych odpadów cywilizacji. Na północnym wschodzie rozciągała się równina, na której w oddali widoczne były jedynie zbiorniki i kominy Fabryki Produktów Organicznych w Klipfontein. Na zachodzie ciągnęła się Autostrada N3, biegnąc równolegle do wysypiska. Na wschodzie stało kilka domów Madderfontein, z których sączyło się przytłumione światło zza zaciągniętych zasłon. Na

ulicach przedmieścia paliło się tylko kilka lamp ulicznych, zostawiając spore obszary cienia wzdłuż ulicy. W jednej z takich oaz mroku stał odrapany Ford Escort - zaparkowany w pobliżu kilku rdzewiejących chat pracowników wysypiska. Obok niego stali kobieta i mężczyzna; ich uwaga skoncentrowała się na samochodzie zaparkowanym dwieście metrów dalej. Ian nastawił ostrość lornetki, starając się dostrzec coś więcej oprócz metalicznego połysku wypożyczonego Mercedesa stojącego pod jedną z włączonych lamp. Nic, cholera. Droga biegnąca wzdłuż wysypiska była zbyt ciemna. Emily drgnęła, gdy w radiotelefonie odezwał się głos.

- Hej tam, uważajcie. Zdaje się, że mamy towarzystwo. Zjeżdża z autostrady... Ian obrócił lornetkę w prawo, patrząc na wjazd na ulicę. Jest. Dostrzegł światła drugiego samochodu najpierw jadącego dość szybko, a potem coraz wolniej. Skinął głową. To musi być Muller. Emily nacisnęła przycisk nadawania.

- Widzimy go, Sam. Jesteśmy gotowi. Gotowi! jak cholera, pomyślał Ian. Miał dwie godziny, żeby zastanowić się nad wszystkim, co mogło się nie udać w czasie wymiany. Dwie godziny, żeby zdać sobie sprawę, w jakich opałach się znajdują, jeśli Muller nie przyjął ich warunków i nie będzie działać, jak mu kazali. Drugi samochód, jaguar, skręcił w lewo i zatrzymał się przy Mercedesie Sama. Walkie-talkie znowu się odezwało.

- To on. Widzę go przez szybę. - Knowles mówił dość spokojnie i tylko urywane końcówki słów świadczyły o podnieceniu. - Otwiera okno. Bądźcie w pogotowiu. Ian nie odrywał wzroku od miejsca wymiany. Niedobrze. Nadal nie widział niczego poza sylwetkami dwóch zaparkowanych samochodów. Mijały sekundy zamieniając się w minutę, potem drugą. Słyszał, jak Emily szepce coś, co mogło być tylko modlitwą.

- Jestem. Brakowało wam mnie? - Beztroski ton skrywał wyraźną ulgę w głosie Knowlesa.

- Transakcja dokonana. Jak dotąd wszystko w porządku. Dzięki Bogu. Ian czuł, jak mięśnie karku i pleców zaczynają się rozluźniać. Jaguar Mullera skręcił w lewo i odjechał w kierunku nieoświetlonej Lombardy Unk - kierując się w stronę wyjazdu na autostradę. Ian śledził go wzrokiem, dopóki nie zniknął wśród innych samochodów jadących na północ w stronę Pretorii. Dał znak Emily, aby przekazała wiadomość.

- Wszystko w porządku, Sam.

- Dobra! Wracam. Przygotujcie szampana, gdyż wygląda na to, że pan Knowles trafił tym razem w dziesiątkę! Nazwiska. Dany. Wszystko! Ian roześmiał się, zarażony entuzjazmem kolegi. Stojący dwieście metrów dalej Mercedes zawrócił i ruszył w ich stronę. Ian schylił się do otwartego okna kierowcy.

- Już wracamy do domu, Matt. Jak widzisz, żadnych kłopotów. Sibena uśmiechnął się do niego zza kierownicy. Nagle Mercedes zahamował. Emily włączyła nadawanie.

- Sam, co się stało? Dlaczego stanąłeś? W głosie Knowlesa słychać było zdziwienie.

- Nie jestem pewien. Wydawało mi się, że słyszałem jakiś dziwny stukot z tyłu... Mercedes nagle eksplodował, zamieniając się w ryczącą kulę ognia, wyrzucającą w powietrze kawałki szkła, metalu i gumy. Na ułamek sekundy eksplozja zmieniła noc w dzień. Gwałtowny podmuch gorącego powietrza zwałił z nóg Iana, ciskając nim o samochód. Dobięł go krzyk przerażenia Emily, która też została rzucona na ziemię. Naokoło nich spadały szczątki samochodu Sama, odbijając się od maski Escorta i tłukąc przednią szybę. Odgłos eksplozji ucichł nagle. Słyszeli już tylko trzask palącego się Mercedesa. Ian i Emily stali niepewnie na nogach, patrząc w oszołomieniu na płomień buchające w niebo. Sam Knowles zginął, a wraz z nim przepadły dowody zdrady Vorstera.

### • **Autostrada N3, na północ od Johannesburga**

Erik Muller zjechał na pobocze i ostro zahamował. Wysunął się zza kierownicy jaguara i stał patrząc z satysfakcją na płonący z tyłu samochód. Dobra robota. Ogłupiający strach, który towarzyszył mu od momentu, gdy dostał kasetę, zaczął zniknąć. Z autostrady zjechał samochód i zaparkował dziesięć metrów dalej. Wysiadł z niego potężny mężczyzna. Przez chwilę przyglądał się łunie barwiącej niebo na południu i zaraz podszedł do Mullera.

- Bardzo dobra robota, Reynders. Moje gratulacje. Będę pamiętał, żebyś otrzymał nagrodę za dzisiejszą noc. - Muller powstrzymał chęć poklepania wysokiego mężczyzny po ramieniu. Agent Paul Reynders przyjął komplement krótkim, niemal znudzonym kiwnięciem głowy.

Tak naprawdę, nie było to ani szczególnie trudne, ani nawet ciekawe zadanie. Góry śmieci zapewniły mu kilkanaście dobrych kryjówek w niedużej odległości od samochodu, w którym - według słów jego szefa - miał być człowiek z ANC.

- A co z pozostałymi? Czy znajdowali się tam, gdzie podejrzewałem?

- Jeden samochód, dyrektorze, z dwoma czy trzema pasażerami. Nic więcej. - Wzruszył ramionami. - Z pewnością amatorzy. Nie widziałem nikogo więcej. Spojrzał na ogień.

- Dobrałem siłę ładunku wybuchowego tak, żeby eksplozja załatwiła też drugi samochód. Nie powinniśmy mieć więcej kłopotów z tymi szpiegami. - Powiedział to tonem świadczącym o absolutnej pewności siebie. Na nieszczęście dla Erika Mullera, Reynders nie mógł się bardziej mylić.

## • Studio Sieci, Johannesburg

Biura, pracownie i studia sieci były pogrążone w ciszy i ciemności, opustoszałe o tej porze. Grupa Amerykanów zmniejszała się zresztą ustawicznie. Nawet południowoafrykańscy strażnicy, którzy zazwyczaj pilnowali w nocy wartościowego sprzętu, znajdowali się teraz w łózkach w domu. W głównym pokoju edycyjnym paliło się światło, obejmując Jasnym kręgiem półki z magnetowidami, monitorami i białymi obudowami komputerowego systemu przetwarzania obrazu. Ian zamknął drzwi na korytarz i oparł się o ścianę.

- Jesteśmy wolni. Emily spojrzała na niego, na jej policzkach widać było ślady łez. - jak na razie.

- Tak. jak na razie. - Ian otarł ze złością zabrudzoną twarz. Rozpamiętywał wciąż katastrofę, jaka się wydarzyła tej nocy.

- Jednak gdy policja zidentyfikuje ciało Sama i jego samochód, ruszą za nami jak sfora wściekłych psów. Obraz wybuchającego Mercedesa i odjeżdżającego samochodu Muli era przemknęły przed jego oczami. Walnął pięścią w ścianę. Emily i Sibena aż podskoczyli.

- Cholera jasna! Powinienem to przewidzieć! Powinienem wiedzieć, że drań zbyt łatwo się nie podda! Wciągnął głęboko powietrze, starając się zapanować nad nerwami.

- Mamy dzień albo dwa, zanim wszystko się zacznie. Sam nie miał dziś ze sobą żadnych dokumentów. - Spojrzał poważnie na nich. - Zadzwoń do przyjaciela w ambasadzie. Powinien załatwić nam jakieś tymczasowe papiery dla was obojga. jeśli będziemy mieli szczęście, to znajdziemy się w samolocie, zanim się do nas dobiorą. Murzyn skinął z wdzięcznością głową, ale dziewczyna tylko odwróciła się, nie mówiąc ani słowa. Podeszła do konsoli, gdzie Sam spędzał mnóstwo czasu, montując materiały filmowe. Ian podążył za nią wzrokiem modląc się, aby jej afrykanerska przekora i upór nie odezwały się w tym momencie. Zaryzykowali i przegrali. Czas uciekać, zanim ktoś jeszcze straci życie. Kurczowo zacisnął dłoń w pięści. Niech to szlag! Nie chciał wyjeżdżać. Chciał dostać Mullera w swoje ręce i obdrzeć go żywcem ze skóry. Jednak istniała kolosalna różnica pomiędzy chęcią a możliwością jej zrealizowania.

- Ian! - Podniecony głos Emily przerwał ponure myśli. Spójrz na to! Wyciągnęła w jego stronę kartkę.

- Znalazłam to tutaj. - Wskazała na kasety wideo ułożone na komputerze. Rozpoznał niechlujne, niemal nieczytelne pismo Knowiesa. ...Kilka dodatkowych kopii spotkania w hotelu... na wypadek. gdyby drań nie grał czysto. Dostańcie go za mnie". Łzy przesłoniły mu oczy i zamrugał powiekami. Mały kamerzysta wiedział, że może nie wrócić, a jednak podjął się tego zadania. Emily dotknęła jego ramienia.

- Ian, nie możemy tego zostawić. Byłoby to tak, jakby śmierć Sama była daremna. Wziął ją za rękę i spojrzał w oczy.

- Wierz mi, że nie chcę zrezygnować. Po prostu nie widzę żadnego sposobu na wydobycie tych dokumentów. Chciała już przytaknąć ze smutkiem. gdy nagle zaświtała jej nowa myśl, a oczy rozbłysły podnieceniem. Ian znał już to jej spojrzenie.

- Masz jakiś pomysł?

Emily pociągnęła go w stronę rozłożonego planu Johannesburga. Wskazała Madderfontein.

- Powiedz mi, co tu było nie w porządku? Niechętnie Ian zaczął po raz kolejny przebiegać

myślami wypadki wieczoru. Jak zwykle spojrzenie z dystansu pozwalało dostrzec wszystkie błędy. Te miejsce było zbyt puste i odległe. Myśleliśmy, że to będzie nam sprzyjać, a jedynie pozwoliło Mullerowi obserwować nas bez kłopotów. Emily spojrzała na niego poważnie i wskazała inne miejsce na planie.

- Tak więc, jeśli spróbujemy jeszcze raz, tylko że teraz...

- Umilkła znacząco. Ian podążył wzrokiem za jej palcem i zrozumiał, co ma na myśli.

Emily skinęła na Matthew Sibene. Od tej chwili musi być ich partnerem.

- Powinniśmy to zrobić w następujący sposób... Obaj mężczyźni słuchali z rosnącym podziwem i szacunkiem, gdy przedstawiała im sposób zabrania dokumentów z Gawamby sprzed nosa Mullera.

## • 25 października - Centrala Wywiadu Wojskowego, Pretoria

Poranny telefon zniszczył tak pięknie zapowiadający się dzień. *Meneer*, pańska podła zdrada nie zdała się na nic. Muller ścisnął słuchawkę tak mocno, że krew odpłynęła z jego palców. Ten sam zimny, arogancki głos kobiety! Niech diabli porwą tego idiotę Reyndersa! Zawiódł go. Kilku moich przyjaciół chciało natychmiast wysłać taśmę prezydentowi, pańskim kolegom z gabinetu i innym zainteresowanym. Muller zadrżał, wyobrażając sobie reakcję swoich wrogów i nienawiść swoich sprzymierzeńców po obejrzeniu tej taśmy. oblizał wyschnięte wargi.

- I?

- Jest pan szczęściarzem, panie Muller. - Jej sarkazm był wyjątkowo bolesny. - Przekonałam ich, żeby dali panu jeszcze jedną szansę. Poczuli przypływ nadziei. Głupcy dadzą mu jeszcze jedną szansę! Przyciągnął do siebie plan miasta i ołówki.

- Gdzie? Instrukcje kobiety były równie jasne, cyniczne i dokładne, jak jej głos. Muller poważnie się zaniepokoił. Kimkolwiek byli ci ludzie, nauczyli się czegoś po wczorajszej porażce. Tym razem nie będzie tak łatwo. Odchrząknął.

- A co z taśmą? Kiedy dostanę od was oryginał?

- Dostanie pan taśmę dopiero wtedy, gdy będziemy przekonani, że nie oszukał nas pan i dostarczył oryginalne dokumenty. Nie wcześniej. Drwiący ton dyrektora miał zamaskować narastający strach.

- A skąd mogę wiedzieć, czy mam wam ufać? Tym razem kobieta nie starała się nawet ukryć swojej pogardy i nienawiści.

- Nie może pan wiedzieć, *meneer*. To proste. - Jej głos stał się twardy. - Nie próbuj nas więcej oszukać, cioto. Nie zyskasz trzeciej szansy na uratowanie głowy. Usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

## • Dworzec kolejowy w Johannesburgu

Perony dworca wypełniało morze zirytowanych, spieszących się ludzi. Mimo wzmożonych represji wprowadzonych przez rząd Vorstera, ścisła segregacja rasowa okazała się niemożliwa do utrzymania w przeciążonym systemie komunikacji miejskiej - zwłaszcza w godzinach szczytu. Tłum dziesiątków tysięcy czarnych dozorców, pomocników sklepowych i innych robotników wracających do Soweto mieszał się z potokiem tysięcy białych urzędników i ich zamożnych, znudzonych żon wracających do swoich rezydencji w lepszych dzielnicach miasta. Cały dworzec przypominał istny dom wariatów. Potok ludzi uniemożliwiał oddziałom policjantów i żołnierzy utrzymanie porządku. Wykrywano jedynie poważniejsze przestępstwa. Policja nie była odpowiednio przeszkolona i wyposażona, aby móc prowadzić tajny nadzór. Erik Muller wyglądał ponuro z okna biura zawiadowcy na drugim piętrze, wychodzącego na perony i myślał, że jego ludzie na nic się nie przydadzą w tych warunkach. Odchylił nieco żaluzje, żeby mieć lepszy widok na główny peron stacji. Widok gęstniejącego tłumu wywołał grymas wściekłości na jego twarzy. Sześciu agentów, których umieścił w hali, będzie miało spore trudności z obserwowaniem skrytki. Podniósł lornetkę do oczu i wycelował ją w kosz na śmieci, obok słupa peronowego. Dokumenty nadal się tam znajdowały, wciśnięte pomiędzy pojemnik a słup, podtrzymywane jedynie gumką. Kobieta,

która podała instrukcje, nalegała na taki sposób ich doręczenia, żeby zabezpieczyć się przed materiałami wybuchowymi lub sygnalizatorami. Muller zaklął, gdy kolejna grupa czarnych robotników, kierujących się do nadjeżdżającego pociągu, zasłoniła skrytkę. Zniżył lornetkę, czekając aż miną to miejsce. Kiedy spojrzął ponownie, dokumenty zniknęły. Przez chwilę stał nieruchomo. Następnie obrócił się, spoglądając za Murzynami, którzy właśnie minęli to miejsce. Znajdowali się kilka metrów dalej, przepychając się przez tłum, żeby wsiąść do czekającego pociągu. Muller zaklął ciężko. Każdy czarny miał jakąś torbę z jedzeniem czy zakupami - świetne miejsce na ukrycie dokumentów. Grupa Murzynów zmieszała się z białymi, którzy szli w przeciwną stronę. Muller opuścił lornetkę i schwycił nadajnik.

- Kapitanie, niech pan rozkaże swoim ludziom zatrzymać czarnych, którzy wsiadają do pociągu na drugim peronie! Ukrywają skradzione dokumenty państwowe! Przenikliwie gwizdki przedarły się przez hałas dworca i na betonie rozległ się stukot ciężkich butów, gdy pluton żołnierzy przebił się przez tłum i ustawił wzdłuż peronu. Zajęli pozycję w ciągu sekundy - obszukując ludzi i sprawdzając torby z mechaniczną, profesjonalną sprawnością. Muller uśmiechnął się złośliwie. Więc i czarni byli zamieszani w tę konspirację, co? Tym lepiej. Wiedział, jak wydobywać informacje od Murzynów. Pół godziny badania w pokoju śledczym I będzie miał wszystkie nazwiska innych konspiratorów. Przy odrobinie szczęścia pozbędzie się ich, zanim zdążą wysłać tę cholerną taśmę. Jednak uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy przeszukiwanie zaczęło się przeciągać bez żadnych oznak sukcesu. Dwoje ludzi wyszło głównym wyjściem dworca. Było już późne popołudnie i słońce świeciło im w oczy. Modnie ubrana kobieta niosła pod pachą skórzaną teczkę. Młody Murzyn podążający kilka kroków za nią uginał się pod ciężkim ładunkiem torby i pudła będące najpewniej owocem całodziennych zakupów. Kobieta obejrzała się na budynek dworca i podeszła pewnym krokiem do czekającego na nią samochodu - obdrapanego Forda Escorta. Czarny szofer pospieszył, aby otworzyć jej drzwi. Wśliznęła się zręcznie na tylne siedzenie i pocałowała czekającego na nią mężczyznę. Ian Sheffield zwolnił uścisk i spytał: - Macie je? Emily van der Heijden uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła plik papierów ze skórzanej teczki. Mieli w rękach ostatni fragment łamigłówek. Muller i jego pan, Karl Vorster, zostaną zdemaskowani jako ludzie, którzy zdradzili swój naród, walcząc o władzę.

## • Studio Sieci

Ian skończył kopiowanie i odłożył ostatni dokument.

- Wszystko gotowe. Emily spojrzała na niego znad trzymanej w ręce kartki. Założyła niesforny kosmyk włosów za ucho i z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Mój Boże, spodziewałam się, czegoś takiego, ale nadal nie mogę w to uwierzyć! Wiedzieli dokładnie o wszystkim. Czas. Miejsce. Nawet rodzaj broni i sygnały. Wszystko! Ian ponuro skinął głową i zaczął wkładać kopie dokumentów wraz z kasetą wideo do plastikowej teczki.

- To twoje nagranie? - Emily wskazała taśmę.

- Tak. Tylko zarys. Sam miał zamiar... - Głos uwiązał mu w gardle. - Sam miał zamiar zrobić końcowy montaż, ale będę musiał zostawić to ludziom w Nowym Jorku. Włożył marynarkę i wziął teczkę.

- Lepiej będzie, jeśli podrzucę te papiery do ambasady, żeby mój znajomy mógł wysłać je jutro pocztą dyplomatyczną. Wziął jedną z dwóch ostatnich kaset z nagraniem z Sun City.

- Podrzucę też taśmę temu draniowi. Oczywiście Emily zwięziły się.

- Dlaczego chcesz mu to oddać? Zamordował Sama i nas też by zabił, gdyby tylko miał okazję. Ian westchnął.

- Wiem. Ale zawarłem z nim umowę... a umowa jest umową, nawet jeśli targujesz się z samym diabłem. - Pomachał taśmą. - Zresztą, dostaliśmy to, czego chcieliśmy. Niech mnie diabli. jeśli kiedykolwiek miałbym poniżyć się do posłużenia się czymś podobnym, nawet przeciw takiemu draniowi, jak Muller. Dziewczyna nie odpowiedziała. Ian nachylił się, aby ją pocałować i wyszedł z pokoju. Siedziała przez kilka minut nieruchomo, zastanawiając się nad czymś. Ian był dobrym człowiekiem. Może nawet zbyt dobrym. Poczucie honoru nie pozwoliłoby mu zniżyć się do szukania zemsty - nawet na człowieku, który zabił jego najlepszego przyjaciela. Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu na myśl o Samie Knowlesie i jego zawsze pogodnej twarzy. Emily zagryzła wargi, podejmując decyzję. Wzięła do ręki

ostatnią kopię kasety. Zdrada Mullera nie może ujść mu na sucho. Otworzyła książkę telefoniczną. Jedna z agencji kurierskich dostarczy wkrótce jeszcze jedną zapieczętowaną paczkę do Ministerstwa Prawa i Porządku.

**18**

## Koniec i początek

- **27 października - Centrala Wywiadu Wojskowego, Wydział Operacyjny Służb Bezpieczeństwa, Pretoria**

W pokoju było zimno. chociaż klimatyzacja była wyłączona. Erik Muller patrzył z niedowierzaniem na leżący przed nim raport policyjny. Połączenie orzeczenia lekarza sądowego i wyników pracy kilku detektywów przyniosło w końcu rezultaty pozwalając zidentyfikować zwłoki w zniszczonym bombą Mercedesie. Samuel Knowles. Lat 37. Obywatelstwo: amerykańskie. Zawód: kamerzysta. Mój Boże! Rozmiary katastrofy były oszałamiające. Już gorzej być nie mogło. Przekazał dokumenty przechwycone w Gawambie amerykańskim dziennikarzom! I mieli je od czterdziestu ośmiu godzin - wystarczająco długo, żeby przeszmuglować papiery do Stanów. To klęska. Nawet biali obywatele Afryki Południowej byli coraz bardziej niezadowoleni i rozczarowani polityką rządu Vorstera. Kosztowna wojna. krwawe rozruchy wewnątrz kraju i upadająca gospodarka miały poważny wpływ na spadek jego popularności. Dotychczas biała opozycja ograniczała się jedynie do gniewnego szemrania i okazjonalnych wystąpień studentów. które łatwo można było stłumić. Wszystko się jednak zmieni po ujawnieniu prawdy o napadzie na Błękitny Pociąg. Muller uśmiechnął się nienawistnie. Większość Afrykanerów była gotowa wybaczyć swojemu przywódcy niemal każde okrucieństwo wymierzone przeciw kolorowym. Zdrada białej części społeczeństwa nie ujdzie mu płazem. Odsunął na bok raport policyjny i pospiesznie zaczął przerzucać papiery w szufladach biurka. Nie interesował go teraz zbliżający się kryzys w kraju. a tylko własny los. Musi znaleźć się kilka tysięcy kilometrów stąd, zanim amerykańska telewizja ujawni całą historię. Muller rozłożył na biurku kolekcję fałszywych kart kredytowych, paszportów i czeków podróжных - wystarczająco dużo dokumentów, aby zmienić się w trzy lub cztery różne osoby, jeśli będzie musiał się ukrywać. Schował to wszystko do teczki. Nie ma sensu zwlekać. Wiadomość o dokumentach, które właśnie przekazał, rozejdzie się po świecie jak błyskawica. Wstał, włożył marynarkę, wziął do ręki teczkę i wyszedł szybkim krokiem z pokoju. Rudowłosa Irene Roussouw spojrzała zdziwiona znad dyktafonu. Muller poklepał teczkę.

- Kończę dzisiaj wcześniej. Mam kilka spraw osobistych do załatwienia. Niech pani zadzwoni do garażu, żeby mój samochód był gotowy. Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. Jeśli się pośpieszy, zdąży jeszcze na wieczorny samolot do Londynu. Jutro rano zniknie w którymś z miast w Europie. Zajęty własnymi myślami nie zauważył, jak sekretarka niechętnie sięga po telefon. Muller zbiegł po schodach do garażu. Oddychał teraz swobodnie. Lepiej być bogatym wygnańcem w Europie niż nieboszczykiem w nie oznaczonym grobie w Afryce Południowej. Już uśmiechnięty wchodził do garażu zarezerwowanego dla ważniejszych urzędników ministerstwa. Uśmiech ten znikł, gdy spostrzegł czterech ludzi stojących przy Jaguarze, a wśród nich ministra prawa i porządku, Mariusa van der Heijdena. Mężczyźni obrzucili go zimnym spojrzeniem i najwyraźniej uznali, że nie przedstawia większego zagrożenia.

- Wybierasz się gdzieś, Eriku? - Van der Heijden wskazał na wypchaną teczkę. Muller czuł powracający strach.

- Biorę trochę pracy do domu, panie ministrze. Przepraszam.

- Zrobił krok w stronę samochodu. Na ledwo zauważalny znak van der Heijdena dwóch ponurych mężczyzn zablokowało mu drogę. Trzeci stał obok ministra. Van der Heijden pokręcił przecząco głową.

- Obawiam się, że nie możesz nas jeszcze opuścić, Eriku. Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Jest pewna sprawa, którą prezydent chciał, żebym... hmm, powiedzmy, przedyskutował z tobą. Muller uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce i starał się to ukryć, chowając je za siebie.

- Tak? Uśmiech na twarzy van der Heijdena zamienił się w szyderyczy grymas.

- Chodzi o jedną niewinną taśmę wideo. Taśmę pokazującą ciebie z czarnuchem. Wiedzieli! Ci dranie z Ameryki okłamali go! Zdradzili go. Żołądek mu się skurczył i Muller z trudem przełknął ślinę, żeby nie wymiotować. O Boże! Wiedzieli... Kolana ugięły się pod nim i pochylił się do przodu. Teczka wypadła ze zdrtwiałych rąk, uderzając o betonową podłogę garażu. W osłupieniu patrzył na wysypujące się z niej fałszywe paszporty i czeki podróżne. Agenci van der Heijdena chwycili go za ramiona. Starszy mężczyzna spojrzał badawczo na dokumenty i pieniądze, a potem na przerażoną twarz Mullera. No, no, Eriku. Twoja praca jest równie niezwykła jak twoje nawyki seksualne. Można by pomyśleć, że chciałeś uciec z naszego kochanego kraju. - Uśmiech znikł, zastąpiony grymasem pogardy. - Zabierzcie tę świnię. Muszę mu zadać kilka pytań w bardziej odosobnionym miejscu. Nie! Muller czuł, że krew zamiera mu w żyłach. Wiedział, co van der Heijden ma na myśli. Tortury. Doprowadzające do szaleństwa tortury. Kolana znowu się pod nim ugięły. Ból był czymś, co można było zadawać innym osobom, ale nie cierpieć samemu! Dobry Boże, modlił się pierwszy raz od lat, ześlij mi szybką śmierć. Wszystko, tylko nie to... Marius, poczekaj! Proszę! - Wyteżył siły, chcąc wyrwać się z uchwytu dwóch goryli. - Nie musisz tego robić! Powiem ci wszystko! Wszystko! Przysięgam! Van der Heijden skinął głową na swoich ludzi. Jeden z nich zacisnął dłoń na szyi Mullera, dławiąc dalsze słowa. Minister nachylił się i wziął w łudząco delikatne ręce zalaną łzami twarz Mullera. Och, Eriku, wiem, że będziesz mówić. Wiem to dobrze. Jednak nie możesz odbierać nam tej odrobiny przyjemności. Pokręcił głową w kpiącym żalu. - W każdym razie, prezydent wybrał już sposób twojej śmierci. Nie masz się o co targować, wkrótce nie będziesz miał nawet czym się targować. Odsunął się o krok i patrzył, jak jego ludzie ciągną szarpiącego się Mullera do samochodu. Były dyrektor Wydziału Operacyjnego miał się wkrótce przekonać, co to znaczy znaleźć się w rękach bezlitosnego wroga.

## • Studio Sieci – Johannesburg

Maszyna kserograficzna błyskała co chwilę, oświetlając rytmicznie pełną napięcia twarz Emily van der Heijden. Stała przy kopiarce patrząc, jak wydobyte od Mullera dokumenty zostają wciągane kartka po kartce do maszyny, kopiowane i wyrzucane na zewnątrz. Po jednej stronie stołu rosła sterta kompletnych kopii. Ian stanął za nią.

- Nie jestem pewien, czy to konieczne. A nawet rozsądne. Chodzi mi o to, że historia ujrzała już światło dzienne. - Spojrzał na zegarek. - Za kilka godzin ludzie na całym świecie dowiedzą się, co się stało z Błękitnym Pociągiem i twoim rządem. Vorster nie może już tego powstrzymać. Emily odgarnęła włosy z czoła i nachyliła się, żeby sprawdzić licznik. Dwadzieścia kopii już jest gotowych. Trzeba odbić jeszcze dwadzieścia. Odwróciła się do Iana.

- Vorster nie będzie już mógł przeszkodzić w tym, by reszta świata poznała prawdę, ale może z łatwością wpłynąć na obieg informacji w tym kraju. Spojrzał na nią bez przekonania. Czy jakkolwiek cenzura była w stanie powstrzymać przecieki o prawdzie przez nich odkrytej? Zbyt wielu ludzi posiadało odbiorniki radiowe, które mogły odbierać wiadomości z całego świata. Powiedział to Emily.

- Zgadza się. - Wyjęła następną partię jeszcze ciepłych odbitek z koparki. - Dużo ludzi usłyszy wiadomości... ale ilu w to uwierzy? Wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że zbyt wielu moich rodaków nauczyło się nie wierzyć zagranicznym przekazom. - Dziewczyna położyła dłoń na nierównym pliku skopiowanych dokumentów.

- Mam nazwiska i adresy wpływowych ludzi, którzy mogliby poprowadzić innych przeciw

rządowi. Oni jednak będą chcieli zobaczyć dowody zdrady Vorstera na własne oczy - właśnie te dowody. Podeszła bliżej i wzięła go za rękę.

- Ian, proszę cię, pomóż mi zrobić to, co powinnam. Patrzył przez chwilę na jej poważną twarz, a następnie na stos papierów ułożonych na stole. Emily dokładnie zdawała sobie sprawę, o co go prosi. Jeśli pomoże jej rozesłać dowody potencjalnym buntownikom, przekroczy linię dzielącą relacjonowanie faktów od ich tworzenia. Czy chciał zająć tak daleko? Czy mógł zająć tak daleko? Przypomniał sobie płonący samochód przyjaciela. I cały rząd, zamordowany przez żądnych władzy bandytów. Vorster rozpoczął wojnę i skazał na śmierć tysiące ludzi. Śmierć Sama była tragedią, ale na pewno nie największą ze zbrodni Vorstera. Widział to coraz wyraźniej. Właściwie to już przekroczył tę linię. Zrobił to wtedy, gdy uświadomił sobie, co zrobił Karl Vorster, by zagarnąć władzę. Tysiące, może już dziesiątki tysięcy ludzi zginęło, żeby zaspokoić osobiste ambicje tego człowieka. Naród, starający się otrząsnąć z haniebnego przeszłości, został wepchnięty w koszmar rasizmu i tyranii. Ian podjął decyzję. Może inni dziennikarze potrafią zacisnąć zęby i jedynie "obserwować" wypadki w tym niespokojnym kraju. On już nie mógł. To, co się działo tutaj, dotyczyło także jego. Przytulił do siebie Emily i trzymał ją mocno, zanim wyszeptał: - Dobrze, wchodzę w to. - Pomoże jej rozproszyc dokumenty, które zaczną krwawą wojnę domową. Wróci do swojej roli niezaangażowanego obserwatora, gdy Karl Vorster i jego szaleni poplecznicy znajdą się tam, gdzie jest ich miejsce: wśród martwych albo za kratkami.

## • 28 października - wiadomości BBC

Zamilkł odgłos dzwonów Big Bena; spiker sympatycznym głosem powitał słuchaczy:

*Dobry wieczór państwu. Oto wiadomości. Doniesienia amerykańskich stacji telewizyjnych, podających, że południowoafrykańskie służby bezpieczeństwa miały wcześniejsze informacje o planowanym zamachu na prezydenta Fredericka Haymansa i innych członków jego rządu, nadal wzbudzają sensację na całym świecie. Mimo iż raporty, które zostały podane po raz pierwszy we wczorajszych wiadomościach, nie zostały jeszcze potwierdzone, spowodowały jednak zwołanie spotkań na najwyższym szczeblu w Londynie i innych stolicach europejskich oraz w Waszyngtonie. Stosunki pomiędzy demokratycznymi państwami a RPA są poważnie napięte z powodu inwazji na Namibię i przywrócenia przez rząd Karla Vorstera całkowitego apartheidu. Potwierdzenie wiadomości, że Karl Vorster wiedział wcześniej o planowanym przez ANC zamachu na prezydenta Haymansa i nic w tej sprawie nie zrobił, może spowodować poddanie w wątpliwość legalności obecnego rządu południowoafrykańskiego. Rzecznik prasowy w Pretorii odmówił komentowania tych informacji, nazywając je "inspirowaną przez komunistów propagandą".*

Głos spikera zniżył się o jeden ton.

*Pozostałe wiadomości z Afryki. Prezydent Kuby, Fidel Castro, oznajmił o wysłaniu dodatkowej dywizji piechoty zmechanizowanej do Namibii. Castro potwierdził to w czasie trzygodzinnego przemówienia na kongresie Związku Młodzieży Komunistycznej, twierdząc, że dodatkowe siły pomogą jego wojskom rozbić inwazyjną armię południowoafrykańską w "ostatecznej bitwie o wolność". Zachodni obserwatorzy wojskowi potwierdzają, że Kuba szykuje się do kolejnej ofensywy przeciw siłom południowoafrykańskim, zajmującym pozycje wzdłuż południowego pasma Gór Auas - niecałe czterdzieści kilometrów od stolicy Namibii, Windhoek...*



## Korkociąg

- **31 października - wiadomości CNN**

Burza rozpętana przez reportaż Iana Sherfielda nawet po czterech dniach nie zamierzała ucichnąć. Wydarzenia w RPA nadal zajmowały pierwsze strony gazet i główne wydania dzienników telewizyjnych. Po czołówce wiadomości CNN na ekranach oprócz dobrze znanej, poważnej twarzy spikera, pojawiła się w prawym górnym rogu mapa RPA.

*Wiadomości z ostatnich godzin. Rząd niemiecki odważył swojego ambasadora w Afryce Południowej na "konsultacje". Tak więc już osiem państw odważyło swoich przedstawicieli dyplomatycznych z Pretorii. Kilka państw europejskich, w tym Francja i Holandia, posunęło się do całkowitego zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem Vorstera i zamknięcia ambasad. Zachodnie rządy mają nadzieję, że ostatnie posunięcia dyplomatyczne zachęcą ich obywateli żyjących i pracujących w Afryce Południowej do opuszczenia tego kraju, zanim sytuacja pogorszy się. W przeciwnym razie może być już za późno.*

Mapa powiększyła się, obejmując cały ekran.

*Mimo całkowitej blokady informacyjnej, docierają do nas przekazy o zamieszkach w Kapsztadzie, Port Elizabeth, Dumanie i wielu innych miastach. Nie ma możliwości uzyskania dokładnej liczby zabitych i rannych, ale główni przywódcy podzielonej opozycji politycznej twierdzą, że w ciągu ostatnich trzech dni w starciach z policją zginęły setki ludzi.*

Na mapie pojawiły się czerwone krzyżyki, oznaczające każdy wspomniany rejon. Afryka Południowa wyglądała jak obrębiona, całe wybrzeże pokryte było ściegiem jaskrawoczerwonych punktów oznaczających miejsca zamieszek. Białe wnętrze kraju oznaczało względny spokój. Kamera pokazała twarz spikera prowadzącego wiadomości i fotografię Iana Sherfielda.

*Wiadomość przekazana przez amerykańskiego dziennikarza Iana Sherfielda, który obecnie ukrywa się w RPA została częściowo potwierdzona przez źródła wewnątrz ANC i w południowoafrykańskich służbach bezpieczeństwa. CNN otrzymało także wiadomość, że przedstawiciele rządu Stanów Zjednoczonych otrzymali kopie dokumentów w celu sprawdzenia ich autentyczności. W Pretorii rząd Vorstera odmawia skomentowania oskarżenia, że nie przeszkodził w planowanym ataku ANC na Błękitny Pociąg. Jak dotąd jedynie czarna opozycja prowadziła kampanię przeciw rządowi Vorstera, ale otrzymaliśmy pierwsze raporty świadczące o tym, że biała część społeczeństwa także odwraca się od swojego rządu. Negatywną opinię o prezydencie wyraża także wiele ugrupowań prawicy wych, które były dotąd uważane za polityczną podporę rządu.*

Obok dziennikarza, na ekranie pojawiło się zdjęcie Karla Vorstera.

*Prezydent Vorster zapowiedział wygłoszenie przemówienia do narodu jutro o jedenastej rano czasu wschodniego. CNN przeprowadzi bezpośrednią transmisję.*

Zdjęcie Vorstera znikło, zastąpione rysunkiem sztabki złota z umieszczoną obok, pnącą się do góry, strzałką.

*Pogarszająca się sytuacja polityczna, wojskowa i gospodarcza wewnątrz RPA w dalszym ciągu*

wpływa na tendencje na światowych rynkach walutowych. Na nowojorskiej giełdzie złoto osiągnęło dzisiaj cenę 600 dolarów za uncję i oczekuje się, że cena ta będzie rosła jutro po otwarciu giełdy. Wzrostowi ceny złota towarzyszy wzrost cen innych surowców strategicznych eksportowanych przez Afrykę Południową. W wiadomościach za pół godziny będziemy omawiali szczegółowo skutki wzrostu cen dla zwykłych obywateli. Przechodzimy teraz do wiadomości z kraju. Policja w San Francisco odmówiła komentarzy na temat podłożonej obok budynku federalnego bomby i ewentualnego związku tego faktu z serią zamachów przygotowanych przez radykalne grupy Zielonych...

## • 1 listopada - Johannesburg

Ian, Emily i Matthew Sibena siedzieli obok siebie na sofie, patrząc uważnie w telewizor. Słońce uczyniło z malutkiego mieszkania prawdziwą saunę, mimo zasłonięcia wszystkich okien. Ian otarł pot z czoła i powstrzymał się od narzekania na upał i brak wentylacji. Podejrzewał, że przysłowie, które mówiło, aby nie zaglądać w zęby darowanemu koniowi, odnosiło się także do odstąpionych mieszkań - zwłaszcza, jeśli ktoś ukrywał się przed policją. I tak mieli szczęście, że kolega Emily i zarazem niechętny poborowy Brian Pakenham zgodził się dać im klucze bez zadawania zbędnych pytań. Mieli prawdziwe szczęście. Ian nie miał wątpliwości, że policja pilnowała nie tylko jego mieszkania, ale też studia i pewnie także amerykańskiej ambasady w Pretorii. Był także pewien, że jego zdjęcie zostało przekazane każdemu policjantowi patrolującemu drogi wokół Johannesburga. Żaden szef południowoafrykańskiej policji nie pozwoliłby umknąć cudzoziemcowi, który tak obraził Jego prezydenta. Jednak po spędzeniu dziewięćdziesięciu sześciu godzin w zamknięciu Ian był gotów zaryzykować wyjście na zatłoczone ulice Johannesburga. Wszystko było lepsze od pozostawania w tej przerażającej izolacji. Na samą myśl, że do głowy zaczynają przychodzić mu tak samobójcze pomysły, aż się wzdrygnął i postarał się skoncentrować na angielskim przekładzie przemowy Vorstera. Może po reakcji prezydenta uda mu się zorientować, co się dzieje na świecie. ...Wiem, że moje słowa dotrą nie tylko do moich rodaków, ale także do wielu innych ludzi na całym świecie. Z przyjemnością zaadresuję swoje słowa także do obcokrajowców, do tych wszystkich, którzy mają wiele wspólnego z ogarniającym nas kryzysem. Kamera, cofając się, zmieniła obraz, zamiast zbliżenia twarzy Vorstera ukazując całą jego postać stojącą dumnie na tle olbrzymiej niebiesko-białopomarańczowej flagi RPA.

*Wielu z tych ograniczonych cudzoziemców przeciwstawiało się naszemu prawu budowania Afryki Południowej na naszych własnych zasadach. Sprzeciwiali się naszej walce z marksizmem i terroryzmem, zmierzającymi do osłabienia i upadku naszej ojczyzny. Nie rozumieją i nie chcą zrozumieć warunków panujących w naszym kraju. Wielu z nich nawet nigdy nie było tutaj, nigdy nie odwiedziło naszej ukochanej ojczyzny! Ludzie ci ignorują chaos i korupcję, które ogarnęły tak zwaną Czarną Afrykę! Zamiast zastanowić się nad tym, ośmielają się pokrzykiwać na nas. Na nas! Ośmielają się szydzić z ludu Przymierza! Z mężczyzn i kobiet, którzy walczyli i umierali, żeby zatrzymać ten kraj przy Bogu i dla cywilizacji!*

Kamera znowu pokazała zbliżenie czerwonej z gniewu twarzy Vorstera, który właśnie walił pięścią w mównicę. Ian zadrżał. Mój Boże, ten człowiek jest psychopatą! Nawet nie rozumiejąc *afrikaans*, odczuwał siłę głosu Vorstera i potęgę jego retoryki. Spojrzał na Emily, która siedziała obok niego. Czy i ona to czuła? Skierował wzrok ku jej zaciśniętym dłoniom, z których odpłynęła cała krew. Tak, czuła to - ten zwrot ku wspólnej przeszłości i wspólnemu poświęceniu i cierpieniu. Instynktowną chęć stworzenia wspólnego obozu - utworzenia kręgu z wozów pionierskich - wobec atakujących obcych sił. Znowu spojrzął na ekran. Vorster nadal mówił, dobierając uważnie słowa, ale teraz już łagodniejszym, spokojnym tonem, dziwnie kontrastującym z jego krwawym przesłaniem.

*No cóż, możemy odpowiedzieć tym ograniczonym cudzoziemcom. Żadna walka nie jest nigdy pożądana. Jednak ta walka jest koniecznością. Walczymy o przetrwanie całego społeczeństwa, naszego narodu. Nie poddamy się. Nigdy nie zrezygnujemy z naszej walki, dopóki ostatni przeciwnik, ostatni komunista, ostatni zbuntowany Murzyn żyje i zagraża naszym żonom i dzieciom. Wielu z nas słyszało zagraniczne oskarżenia, że mój rząd doszedł do władzy nielegalnie. Nielegalnie! Co to znaczy? Co to może oznaczać w warunkach, w jakich znajdował się mój kraj, gdy*

*przejmowałem władzę?*

Ian aż się poderwał, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał przed chwilą. Jednak następne słowa Vorstera potwierdziły poprzednie.

*Doskonale. Przyznaję się do podjęcia nadzwyczajnych środków użytych do zapobieżenia niebezpiecznej sytuacji politycznej. Poprzednia administracja znajdowała się na drodze, która mogła prowadzić jedynie do upadku Afryki Południowej. Moi przyjaciele i ja działaliśmy jak patrioci dążący do ustanowienia mocnego i słusznego rządu. Poza konstytucją? Tak, jednak w ramach konieczności narodowej. Nasze wysiłki nie skończyły się jeszcze i nie skończą, dopóki nie będziemy mogli zagwarantować bezpieczeństwa każdemu praworządному obywatelowi Afryki Południowej. Nie będziemy szczydzić wysiłków, aby osiągnąć ten cel.*

Vorster rzucił wściekłe spojrzenie w stronę kamery.

*Jeśli ktoś nie jest z nami, jest przeciw nam. Wreszcie, co do Stanów Zjednoczonych i innych ignorantów, którzy mówią nam, co mamy robić i co myśleć. Możecie nie wtrącać się do naszych spraw dopóty, dopóki nie zdecydujecie się zaakceptować nas na naszych własnych warunkach. Gdybyśmy powiedzieli tylko jedną dziesiątą kłamstw o waszych krajach tak, jak wy mówicie o nas, wasi dyplomaci natychmiast podnieśliby krzyk protestu. No cóż, my nie zamierzamy pokrzykiwać, my działamy. Wasi ambasadorzy mogą zostać w domu, dopóki nie zaczniecie mówić rozsądnie i nie pozwolicie nam załatwiać własnych spraw po swojemu. Pamiętajcie jednak, że to wy nas potrzebujecie, a nie odwrotnie. Potrzebujecie naszego złota, naszych diamentów i wszystkich minerałów, które pozwalają wam utrzymać produkcję. Co więcej, potrzebujecie nas jako przykładu czegoś, czego nigdy nie osiągnie żaden kraj rządzony przez czarnych: trwałej i prosperującej cywilizacji na afrykańskim kontynencie.*

Kamera zatrzymała się, pokazując jego nieubłaganą twarz i trzymała obraz przez czas, który wydawał się wiecznością. Po chwili przerwy połączono się ze studiem. Nawet spiker dyżurny rządowej sieci telewizyjnej wydawał się być wstrząśnięty. Ian wyłączył odbiornik. Potrzebował ciszy i spokoju, aby przemyśleć tę sprawę. Vorster nie starał się nawet zaprzeczyć swojemu udziałowi w masakrze Błękitnego Pociągu. Zamiast tego rzucił rękawicę, wyzywając każdego, kto by się ośmielił ją podnieść. Pytanie brzmiało, czy znajdzie się ktoś taki.

## • 2 listopada - Durban, RPA

Z powietrza Durban wyglądał jak miasto olbrzymich kontrastów: pięknie położone, ogarnięte handlową krzątaniną i... falami krwawych zamieszek. Na północnym wschodzie słońce odbijało się od jasnoniebieskich wód Oceanu Indyjskiego, rozciągającego się połyskliwie do samego horyzontu. Długie, spienione fale rozbijały się o ostre, poszarpane skały lub ścigały się z sykiem do piaszczystego wybrzeża. W porcie - największym w kraju - było wiele statków. Na redzie stały tankowce, kontenerowce, zbiornikowce - wszy stkie czekały na swoją kolej podejścia do wypełnionego dźwigami nabrzeża. Zamieszki miały miejsce wyłącznie na lądzie. Wieżowce w centrum miasta i całe ulice spowite były grubą warstwą oleistego dymu. Płomienie lizały zdemolowane budynki i podziurawione kulami samochody. W wielu miejscach widać było zwłoki. Powtarzające się wciąż błyski i odgłosy strzałów z broni maszynowej świadczyły o tym, że uzbrojeni demonstranci nadal bronią się przed policją i wojskiem.

- Jeszcze raz. - *Brigadier* Franz Diederichs poklepał pilota po ramieniu i zatoczył palcem kółko. Malutki śmigłowiec *Alouette III* ostro zakręcił i rozpoczął kolejny przelot nad miastem zamienionym w pole bitwy. Franz Diederichs spojrział z wściekłością na dym i płomienie. Został zaskoczony i nie było to miłe uczucie. Jego sieć donosicieli i szpiegów informowała go wprawdzie o wzrastającym niezadowoleniu wśród hinduskiej części społeczeństwa - ale nic nie zapowiadało wybuchu prawdziwej rebelii i zbrojnego oporu. W ciągu pierwszej godziny rewolty uzbrojeni w karabiny i pistolety Hindusi i Zulusi zaatakowali ratusz, zabarykadowaną komendę główną policji i ufortyfikowany arsenał SADF. W spokojnych czasach społeczności Zulusów i Hindusów pały większą

nienawiściądo siebie niż do rządzącej białej mniejszość. Diederichs uśmiechnął się ponuro. jego niezdarni przełożeni zdołali zjednoczyć wszystkie zwalczające się frakcje w jedną grupę opozycyjną! *Alouette* wyprostowała lot i ukazało się płonące miasto. Widok zmazał uśmiech z wąskiej twarzy Diederichsa. Większość rebeliantów została szybko odepchnięta, ale obie strony poniosły poważne straty. jego ludzie od wielu godzin starali się zapanować nad sytuacją w mieście, które zupełnie oszałało. Nie uzbrojone kobiety i dzieci rzucały się na opancerzone wozy bojowe - blokując drogi, dopóki ich nie zastrzelono. Kiedy żołnierze starali się ominąć te ludzkie barykady, snajperzy ukryci w biurach, kościołach i sklepach zabijali ich jednego po drugim opóźniając akcję. Ogień używanej przez wojsko broni maszynowej powodował ogromne straty wśród ludności cywilnej. Opór zaczął w końcu słabnąć, złamany przewagą broni, wyszkolenia i zdeterminowania ludzi Franza Diederichsa. jednak nawet najbardziej optymistyczne oceny wskazywały na to, że wprowadzenie całkowitego porządku zajmie jeszcze kilka dni. Diederichsa podrzuciło na siedzeniu, gdy *Alouette* została wyniesiona przez prąd rozgrzanego powietrza. Śmigłowiec wzleciał w górę i zaraz opadł ku wodzie. Dopiero po chwili pilot zapanował nad sterami. *Brigadier* spojrzął w lewo, gdzie wysokie na ponad sto metrów pomarańczowo-czerwone płomienie oznaczały największą katastrofę tego dnia - zniszczenie głównych zbiorników rafinerii Shell Oil. Na początku walki kilka niecelnych strzałów z moździerzy trafiło w zbiorniki, które eksplodowały natychmiast. Wybuch spowodował śmierć co najmniej pięćdziesięciu osób i stratę zapasów ropy naftowej wartości dziesiątków milionów randów. Kilka godzin później ogień nadal się rozprzestrzeniał, mimo szeregu zapór ziemnych i heroicznego wysiłków wszystkich strażaków z Durbanu. Franz Diederichs patrzył na szalejące pod nim piekło świadom, Jak niewiele brakowało do całkowitej katastrofy. Sam Shell dostarczał prawie czterdzieści procent produktów ropopochodnych: benzyny i oleju napędowego. Zniszczona ropa mogła zostać wydobyta w ciągu kilku dni, ale sama rafineria była praktycznie nie do zastąpienia. Żaden rząd - a zwłaszcza rząd Karla Vorstera - nie patrzyłby przychylnie na osoby, choćby w najmniejszym stopniu związane z taką katastrofą. Spojrzął w stronę miasta. Walczyli tam jego najlepsi żołnierze, torując sobie drogę w samym środku dzielnicy handlowej Hindusów. Z wielu sklepów i domów, podpalonych przez rebeliantów lub pociski moździerzy, unosiły się obłoki dymu. Diederichs wykrzywił pogardliwie usta. Wielki meczet na Grey Street był uznany za największą świątynię islamu w południowej Afryce. Południowoafrykańscy muzułmanie budowali go przez wiele lat - własną pracą i za własne pieniądze. On i jego żołnierze pokazali tym *koelietjies* - tym nędznym kolorowym - jak łatwo klika pocisków może go zburzyć. Wśród gruzów i na poszarpanych wybuchami alejkach leżały setki zabitych lub ciężko rannych mężczyzn, kobiet i dzieci. *Brigadier* Franz Diederichs patrzył z mściwą satysfakcją na rzeź. Czarnuchom i Hindusom udało się raz go zaskoczyć. Więcej tego nie zrobią - już on się o to postara. Będą zbyt zajęci liczeniem i oplakiwaniem zabitych, aby niepokoić Afrykę Południową przez następne pokolenia. Przez całą noc ogień karabinów maszynowych triumfował na zasłanych trupami ulicach Durbanu.

- **4 listopada - posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Waszyngton**

Zimny deszcz padał na oleisto śliskie ulice, strącając z drzew martwe liście. Latarnie włączyły się samoczynnie, uruchomione przez proste urządzenie, które reagowało na mrok ponurego dnia jak na początek nocy. W Pokoju Sytuacyjnym, dwa piętra pod Białym Domem, jedynym świadectwem pogarszającej się pogody była zmiana szklanek z mrożoną lemoniadą na kubki z gorącą kawą. Istniały jeszcze inne różnice. Pokój Sytuacyjny nie zmieniał się mimo mijających pór roku, ale doskonale odzwierciedlał zmiany polityczne. Mapa południa Afryki na jednej ze ścian zastąpiła mapę byłego Związku Radzieckiego. Twarze siedzących wokół stołu osób były równie ponure, jak pogoda na zewnątrz. Rozbawienie spowodowane wysłuchaniem powtórki przemówienia Vorstera zgasło szybko, gdy sekretarz handlu przypomniał, że prezydent RPA może być wprawdzie szaleńcem, ale jego polityka dokładnie rozkłada gospodarkę uprzemysłowionych krajów zachodnich. Genie na przystojnej twarzy Hamilitona Reida świadczyły o zmęczeniu i trosce.

- Ceny minerałów strategicznych ciągle wzrastają i to szybciej, niż oczekiwaliśmy. - Westchnął ciężko. - Mówiąc między nami, spodziewam się, że do końca miesiąca ceny chromu, platyny i pozostałych surowców potroją się. Psiakrew! Wiceprezydent James Malcolm Forrester zmusił się do zachowania spokoju. Wszystkie te surowce były niezbędne dla bardzo dużej części przemysłu i drastyczna podwyżka cen oznaczała inflację na całym świecie. Świadomość, że już wcześniej to przewidziano, nie była żadnym pocieszeniem. Dla gospodarki narodowej była to prawdziwa katastrofa. Edward Hurley oparł się o poręcz krzesła i w jego grubych szklach odbiło się światło żarówek.

- Panie wiceprezydencie, obawiam się, że będzie jeszcze gorzej. Wszyscy widzieliśmy przeschumowane kasety wideo. Afryka Południowa rozpada się szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. - Wzruszył ramionami. - Vorster może bardzo łatwo stracić panowanie nad wszystkimi portami w kraju. Równanie jest dosyć proste: brak portów oznacza brak eksportu. Brak dostaw minerałów z tego kraju oznacza z kolei paniczne wykupywanie zapasów na giełdach, gdy przedsiębiorstwa i państwa zaczną walczyć o pozostałe resztki. Forrester skinął głową i spojrzał na siwowłosego mężczyznę siedzącego po przeciwnej stronie stołu.

- Chris, możesz nam rozjaśnić nieco sytuację? Christopher Nicholson, dyrektor CIA, pokręcił niechętnie głową - niezadowolony, że został przyłapany na niewiedzy w obecności swoich kolegów. Jego podwładni zakładali się, czyje głowy polecą z tego powodu.

- Panie wiceprezydencie, obawiam się, że wypadki wyprzedziły zebrane przez nas dane. Moi ludzie właśnie starali się potwierdzić historię z napadem na Błękitny Pociąg, gdy Vorster powiedział całemu światu, że zrobił to i wcale tego nie żałuje. Dyrektor zrobił pauzę i przesunął w stronę Forreстера dwie teczki z dokumentami.

- Mamy jedynie zweryfikowaną listę dostaw broni dla obu stron konfliktu namibijskiego i biografię tego Sherfielida, który ujawnił całą historię. - Zaambarasowany ton Nicholsona mówił wyraźnie, że nie uważa tych informacji za istotne. Forrester oparł się wygodnie o poręcz krzesła, przejrzał papiery, a następnie odłożył je na biurko.

- Ktoś ma jeszcze jakieś informacje o tym SherfieIdzie? Nicholson pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Sądzymy, że nie został ujęty przez policję, ponieważ nadal obstawiona jest nasza ambasada w Pretorii. Przypuszczamy, że ukrywa się gdzieś w Johannesburgu.

- Możemy mu pomóc wydostać się stamtąd? Nicholson już otworzył usta, gdy Hurley zabrał głos.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. - Niski, brodaty doradca sekretarza stanu postukał długopisem w oprawkę okularów, myśląc na głos. - służby bezpieczeństwa Vorstera pilnują wszystkich naszych ośrodków wywiadowczych w Afryce Południowej. Jeśli zauważą, że staramy się zbliżyć do tego Sherfielida, mogą oskarżyć go o szpiegostwo.

- Proponujecie więc, żeby zostawić go tam samemu sobie? Hurley potwierdził.

- Nie widzę innego wyjścia, sir. Nie możemy mu pomóc, a jeśli spróbujemy go znaleźć, może to tylko naprowadzić ludzi Vorstera na trop. Dobrze. - Forrester spuścił oczy spoglądając na swoje dłonie. Poczł się nagle zmęczony i stary. Jak zwykle nic nie można było zarzucić rozumowaniu Hurleya, ale wcale nie ułatwiało to podjęcia decyzji. No cóż, niech i tak będzie. Mimo iż większość naprawdę kłopotliwych spraw trafiała na biurko prezydenta, część z nich zatrzymywała się u niego. Podejmowanie niepopularnych decyzji wiązało się z jego pozycją. Forrester uśmiechnął się w duchu, przypominając sobie beztrudne dni w Senacie. Tylko kongresmeni mogli sobie pozwolić na mówienie i czynienie sprzecznych rzeczy. Prezydent oczekiwał od nich konkretnych rozwiązań i to szybko. Forrester spojrzał na zebranych.

- Dobrze. Weźmy się za ważniejsze problemy: co u diabła możemy zrobić z tym bałaganem? Cisza była jedyną odpowiedzią. Wiceprezydent zniecierpliwiał się.

- No, co jest? Nasi obywatele nie płacą nam za siedzenie na darmo. - Wskazał na mapę. - To, co wiemy o sytuacji w RPA, wskazuje, że możemy dostać porządne cięgi. No więc, co możemy z tym zrobić? Ed? Hurley zdjął okulary, oczyścił szkła i znów je założył - najwi- doczniej starając się zyskać na czasie. W końcu wzruszył ramionami.

- Nasi ludzie mogliby przedłożyć prezydentowi do podpisu oświadczenie, które domagałoby się ustąpienia Vorstera i rozpisania nowych wyborów w zgodzie z ich konstytucją. Forrester

z trudem ukrył swoje rozczarowanie. Oczekiwał po Hurleyu czegoś bardziej konstruktywnego. Sugestia mimo to była warta rozpatrzenia jako pierwszy krok.

- Vorster zignoruje to - sprzeciwił się Hamilton Reid.

- Wiem o tym! - odparł Hurley. - Ale musimy oznajmić światu nasze zdanie, zanim podejmiemy następne kroki. Racja, pomyślał Forrester. Zdecydowane zażądanie ustąpienia Vorstera może także zmniejszyć nieco krytykę Administracji w kraju. Co ważniejsze, zmusi rząd Stanów Zjednoczonych do znalezienia sposobu pozbycia się Vorstera. Podzielił się tymi myślami z zebranymi. Reid nie ustępował.

- Być może, ale co tak naprawdę możemy zrobić? Bezpośrednie wtrącanie się w wewnętrzne sprawy prawomocnego rządu... - Sekretarz handlu umilkł, zaskoczony nagłym skojarzeniem. - Mój Boże, to przecież nie jest legalny rząd. Dorwali się do władzy nie legalnie! Nicholson podjął jego myśl.

- W dodatku Vorster ułatwił nam zadanie, mówiąc to wszystkim w telewizji. - Odwrócił się do Forrestera. - Panie wiceprezydencie, sądzę, że prezydent powinien odmówić uznania rządu południowoafrykańskiego, dopóki obywatele tego kraju nie wybiorą nowych przywódców w zgodzie z własną konstytucją. Forrester poczuł przypływ nadziei i uśmiechnął się.

- Możemy zmienić w tym kilka sformułowań, ale myślę, że powinniśmy uznać rząd Vorstera za nielegalny i zerwać z nim stosunki. Nachylił się do przodu i zniżył głos.

- Jednak nie zapominajmy o realiach. Wszyscy wiemy, że Vorster nie odda władzy tylko dlatego, że mu tak powiemy. Możliwe, że damy mu jedynie więcej amunicji dla domowej propagandy. Prezydent chce wiedzieć, jak możemy sukinsyna zrzucić ze stołka?

Sekretarz handlu podniósł niepewnie rękę.

- Nadal uważam, że gospodarka Afryki Południowej umożliwi nam najwygodniejszy sposób zaatakowania Vorstera. Jeśli wystarczająco wielu białych, popierających go do tej pory, zorientuje się, że ich wygodny byt jest zagrożony, a interesy idą coraz gorzej, sami spróbują się go pozbyć. Zresztą, nie sądzę, abyśmy mogli doprowadzić RPA do upadku szybciej, niż wojna w Namibii i zamieszki wewnątrz kraju. Forresterowi to nie wystarczało.

- A gdybyśmy tak użyli szerszej gamy środków?

- Jak szerokiej? - spytał Reid. Forrester zobaczył, że pozostali także oczekują dokładniejszego określenia. Nikt nie zamierzał wyrywać się z pomysłami, nie znając intencji prezydenta. Całkiem słusznie. Pora podrzucić małą bombę, pomyślał Forrester.

- Prezydent zezwolił nam na rozważanie wszystkiego oprócz wojny. Przez pełną zdumienia ciszę przedarł się bas z końca stołu. - Wobec tego, powinna to być blokada. Forrester spojrzał na wysokiego mężczyznę w mundurze Sił Powietrznych z licznymi baretkami odznaczeń bojowych na piersi.

- Blokada, generale? Generał Walter Hickman, przewodniczący Szefów Połączonych Sztabów, potwierdził poważnym spokojnym głosem.

- Możemy wysłać lotniskowcową grupę uderzeniową na Ocean Indyjski i całkowicie odciąć morskie połączenia handlowe RPA i resztą świata. Nicholson był zdumiony i nie ukrywał tego. Mamy użyć wojska? To szaleństwo! Blokada Afryki Południowej spowoduje ogromny skok cen surowców! A właśnie tego staramy się unikać. Kilka osób poparło szefa CIA. Forrester podniósł rękę, prosząc o ciszę. Kiedy umilkli, wskazał na raport Reida. Chris, nie wydaje mi się, żebyśmy mogli w jakikolwiek sposób powstrzymać wzrost cen. Dopóki ci dranie w Pretorii są przy władzy, dopóty będziemy mieli kłopoty. Może warto narazić się na krótkotrwały ból, żeby unikać poważniejszej choroby? Nicholson zmienił taktykę.

- Co zrobimy, jeśli Vorster zdecyduje się użyć siły przeciw naszym obywatelom w RPA?

- Mało prawdopodobne, panie dyrektorze. - Edward Hurley włączył się do gry. - Vorster prowadzi już wojnę z Kubańczykami, Namibijczykami i co najmniej czterema piątymi własnego społeczeństwa. Wątpię, żeby chciał dodać do tego Stany Zjednoczone. Brodaty urzędnik Departamentu Stanu zdjął okulary i kontynuował.

- I tak w Afryce Południowej nie zostało wielu naszych obywateli. Nie więcej, niż trzystu, czterystu ludzi. - Otworzył swój notes na ostatniej stronie. - Sprawdzamy te liczby codziennie. Większość turystów opuściła kraj po wydaniu przez nas zaleceń dla podróżnych. Także nasze przedsiębiorstwa od tygodni wysyłają personel do kraju. W ambasadzie zostali jedynie najbardziej niezbędni urzędnicy.

- Dobrze. Co jednak zrobimy, gdy ich marynarka będzie usiłowała nas zatrzymać? - Nicholson wyszukiwał przyczyny mogące udaremnić proponowaną operację. Hickman prychnął pogardliwie.

- Marynarka RPA posiada jedynie kilka ścigaczy i trzy przestarzałe okręty podwodne. Na morzu zupełnie się nie liczą. Uśmiechnął się przekornie.

- Nawet Libia stanowiłaby większe zagrożenie! Nasze okręty mogą spokojnie patrolować rejon - poza ich zasięgiem - i zatrzymywać wszystkie statki handlowe idące do ich portów lub próbujące wypłynąć. Nicholson zaczerwienił się.

- Generale, nie wątpię ani przez chwilę, że moglibyśmy utrzymać taką blokadę. Nie o to mi jednak chodzi. - Odwrócił się do Forrestera. - Najważniejsze jest pytanie, czy w ogóle powinniśmy rozpocząć taką akcję?

- Chris, masz jakieś inne rozwiązania? - spytał Forrester ciekaw, co dyrektor CIA ma na myśli. Nicholson zrezygnowany nie odpowiedział.

- Nie twierdzę, że blokada zmusi Afrykanerów do rozsądku i wywalenia Vorstera - wyjaśnił Hickman - ale wywrze dodatkową presję na ich gospodarkę.

- Jak dużą? - Forrester skierował pytanie do ciągle oszołomionego Reida. Sekretarz handlu potarł nos.

- Silną, panie wiceprezydencie. Afryka Południowa mogłaby nadal wywozić swoje towary drogą powietrzną i lądową, ale to byłoby rzeczywiście "wąskie gardło" dla większości ich produktów. - Wskazał na mapę. - Niektóre importowane produkty, zwłaszcza ropa, mogą być transportowane jedynie drogą morską. Transport ropy to ich pięta Achillesowa. To w zasadzie jedyne bogactwo, którego RPA nie ma w nadmiarze. Hurley zmarszczył brwi.

- Nie jestem tego taki pewien, panie sekretarzu. Kiedy sprawdzałem ostatnio dane, mieli pięcioletni zapas ropy.

- Pięcioletni zapas na czas pokoju - podkreślił generał Hickman. - Ale teraz prowadzą wojnę, a w czasie wojny ropa idzie cholernie szybko. Forrester potwierdził.

- Racja. Skutki blokady wywołałyby tak dużą krytykę Vorstera wewnątrz kraju, że nie mógłby już dłużej jej ignorować. - Uśmiechnął się lekko. Już samo rozważanie konkretnych akcji przeciw RPA poprawiało mu nastrój. Spojrzał na Hickmana.

- Jak szybko uderzeniowa grupa lotniskowcowa mogłaby się znaleźć na wodach terytorialnych Afryki Południowej?

- Możemy mieć tam lotniskowiec, eskortę i osiemdziesiąt sześć samolotów w ciągu ośmiu dni.

- Nadal uważam, że wysyłanie Marynarki nie jest najlepszym rozwiązaniem. - Nicholson wydawał się zatroskany, niemal wystraszony tym pomysłem. - Użycie wojska będzie jedynie podżeganiem...

- A czyją opinię, według pana, będziemy podburzać? - Hurley nie starał się ukryć sarkazmu. - Południowoafrykańczyków? Cholera, mam nadzieję, że tak. Przecież to główny cel tej zabawy. Europy? Wątpię w to. Jeśli już, to Europejczycy są jeszcze bardziej oburzeni postępowaniem Vorstera niż my. Forrester przyznał po cichu rację Hurleyowi. Jego ocena stanowiska Europy zdawała się trafiać w sedno sprawy. Na przykład, pani premier Wielkiej Brytanii była przeciwnikiem stosowania nieograniczonych sankcji gospodarczych. Po ujawnieniu udziału Vorstera w zamachu na rząd Fredericka Haymansa pani premier wraz z całym gabinetem, diametralnie zmieniła zdanie. W ciągu ostatnich dwóch dni dwukrotnie rozmawiała z prezydentem Stanów Zjednoczonych, namawiając go do podjęcia zdecydowanych kroków przeciw "zdradliwej klice Vorstera". Hurley spojrzał na wiceprezydenta.

- Myślę, że propozycja generała Hickmana ma wiele zalet. Oskarżają nas, że nic nie robimy. Niech nas dla odmiany przeklinają za coś konstruktywnego. Wszyscy siedzący przy stole pokiwali głowami, z mniejszym lub większym entuzjazmem. jedynie Nicholson był nadal niezadowolony. Forrester podejrzewał, że szef CIA bardziej był wściekły z powodu utraty twarzy, niż niezgody z obroną polityką. Spojrzał na zegar ścienny. W porządku, panowie. Mam spotkanie z prezydentem za pół godziny i przekażę mu nasze propozycje. Ustaliliśmy, że wyślemy lotniskowcową grupę uderzeniową z ewentualną możliwością stworzenia blokady morskiej wszystkich portów Afryki Południowej. - Uśmiechnął się ironicznie. - Jestem przekonany, że w obecnych warunkach prezydent przyjmie ten plan z zadowoleniem. Wszyscy wiedzieli aż nazbyt dobrze, że prezydent

znalazł się pod ostrzałem ze strony Senatu i środków masowego przekazu za brak działania. przy braku gospodarczych i dyplomatycznych opcji, ostrożnie sformułowane oświadczenia Administracji były ostro krytykowane przez przeciwników. jedynie działanie tworzyło w oczach opinii publicznej pozytywny wizerunek prezydenta. Forrester zerknął do rozkładu dnia. Została jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Spojrzał na zebranych.

- Prezydent poprosił mnie o wyłonienie spośród nas grupy kryzysowej, która kontrolowałaby na bieżąco rozwój wypadków w RPA i naszych inicjatyw w tym rejonie.

Tym razem wszyscy poparli pomysł. Ustanowienie grupy kryzysowej - zespołu niższych rangą członków NRB - było logicznym posunięciem. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wypadki w Afryce Południowej rozwijają się zbyt szybko, żeby normalne procedury rządowe mogły być efektywne. Urzędnicy wchodzący w skład Narodowej Rady Bezpieczeństwa byli zbyt zajęci innymi sprawami, aby poświęcić cały czas jednemu kryzysowi - bez względu na to, jak był poważny i niebezpieczny. Forrester spojrzął na zebranych, zatrzymując się na czerwonej twarzy Nicholsona. Szef CIA okazał się wyjątkowo niechętny w popieraniu propozycji innych członków grupy doradczej prezydenta. Czas pokazać mu, kto trzyma wodze.

- Zaproponowałem, żeby Ed Hurley objął przewodnictwo grupy i prezydent zgodził się z tym wyborem. Chciałbym, żeby przedstawiciele wszystkich departamentów zostali wyznaczeni jeszcze dzisiaj. Forrester spostrzegł kilka źle ukrywanych, zdziwionych spojrzeń. Najwidoczniej niektórzy oczekiwali, że wybierze jakiegoś wojskowego, tym bardziej że kryzys nabierał takiego charakteru. Pomylili się jednak. Hurley miał wystarczająco dużo inteligencji i dostatecznie dobrze znał temat, aby poprowadzić taką grupę. Pokazał także, że jest odważny i ma zmysł polityczny niezbędny do wpływania na stojących wyżej od niego w administracji. Forrester oczekiwał, że w niedługim czasie Hurley zajmie znacznie wyższe stanowisko. Co ważniejsze, Hurley nadal znajdował się na tyle nisko w hierarchii, aby zdawać sobie sprawę z konieczności częstych konsultacji. Ani prezydent, ani Forrester nie zamierzali zrezygnować ze swojej władzy nad kształtowaniem polityki Stanów Zjednoczonych wobec Pretorii. Sytuacja w południowej Afryce była zbyt poważna, żeby zostawić ją w rękach urzędników.

## • 6 listopada - USS „Carl Vinson” na południe od Malediwów

Amerykańskie okręty rozciągały się na szerokości stu mil kwadratowych oceanu. Wokół lotniskowca klasy *Nimitz* znajdowało się osiem jednostek: dwa krążowniki, dwa rakietowe niszczyciele, dwa niszczyciele do zwalczania okrętów podwodnych i dwa statki z ładunkiem paliwa, amunicji i żywności. Przed grupą uderzeniową znajdowały się jeszcze dwa okręty podwodne klasy *Los Angeles*. Ich nowoczesne komputery nieustannie analizowały odgłosy Oceanu Indyjskiego, starając się wyłapać dźwięki silnika, świadczące o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nad grupą uderzeniową krążyły różne rodzaje samolotów, patrolując cały obszar. Potężne, dwusilnikowe *F-14 Tomcat* przeprowadzały bojowe loty patrolowe. Dwusilnikowe *E-2C Hawkeye* stanowiły system wczesnego ostrzegania przed samolotami czy rakietami. Krępe *S-3 Viking* leciały nisko nad wodą, kontrolując linię pasywnych sonarów, które zostały zrzucone przed grupą uderzeniową. Na lotniskowcu kamery wideo przekazywały obraz pełnego ruchu pokładu startowego do dźwiękoszczelnej kabiny dowodzenia. Obok konsoli kontrolnych znajdowały się urządzenia łącznościowe, które przekazywały rozmowy prowadzone pomiędzy dowódcą skrzydła a znajdującymi się w powietrzu, startującymi lub lądującymi pilotami. Monitory komputerów wskazywały pozycję każdej jednostki w formacji. Kontradmiral Andrew Douglas Stewart, nie zważając na ciągły hałas, skoncentrował się na otrzymanej przed chwilą wiadomości. Czytając, kołysał się na piętach - nadal sprawny i zadbany jak wtedy, gdy zarabiał na życie jako pilot bojowy nad Wietnamem Północnym. Jego zimne, szare oczy rozszerzyły się na moment ze zdziwienia, gdy przeczytał nagłówek świadczący, że rozkaz został wydany przez Szefów Połączonych Sztabów - a swój początek miał prawdopodobnie gdzieś w Białym Domu. Najważniejszy był drugi paragraf.

...Podążycie, najszybciej jak to tylko możliwe do...



Kontradmiral spojrział na najbliższą elektroniczną mapę. Długość i szerokość geograficzna podana w rozkazie wskazywała na punkt oddalony o czterysta mil od Durbanu.

Po przybyciu przygotujcie się do podjęcia ewentualnej operacji na wybrzeżu Afryki Południowej. Przeczytał drugi raz, nie dowierzając własnym oczom. Ewentualne operacje na wybrzeżu Afryki Południowej. Zagwizdał i za raz zaklął pod nosem: - Co za pieprzony skurwiel!

- Kłopoty, panie admirale? - Po drugiej stronie stołu pojawił się jego szef sztabu. Stewart podał mu kartkę z rozkazem i obserwował jego reakcję. Młodszy mężczyzna podrapał się po łysiejącej głowie.

- Nie rozumiem. O jaką operację tu może chodzić?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem, Tom. - Stewart wzruszył ramionami. W codziennych raportach wywiadu czytał o sytuacji wojskowej w RPA, ale te streszczenia były równie mało przydatne, jak stare tygodniki przywożone przez samoloty transportowe. Nic z tego, co czytał, z pewnością nie wskazywało na konieczność militarnego angażowania się Stanów Zjednoczonych. Uśmiechnął się w duchu. Czy możliwe, żeby szefowie sztabów i polityczni przywódcy w Waszyngtonie zaczęli wreszcie patrzeć w przyszłość i przewidywać? Wątpił w to, ale w swojej trzydziestoletniej karierze widział już dziwniejsze rzeczy. Wrócił myślami do chwili obecnej. Mieli sporo do zrobienia i bardzo mało czasu. Nawet przy użyciu najnowocześniejszych urządzeń do bezpośredniej łączności i komputerowej nawigacji, lotniskowcowa grupa uderzeniowa nie mogła zawrócić jak samochód.

- Tom, weź się za swoich chłopaków. Chcę być gotowy do zwrotu za pół godziny. Sprawdź rozkład treningowy i upewnij się, czy pozostaje nam wystarczająca liczba samolotów do kontroli obszaru. - Stewart spojrział na szereg zegarów pokazujących czasy w różnych miejscach na świecie. - Tymczasem połączę się bezpieczną linią z Waszyngtonem. - Spojrział na rozkaz nadal trzymany przez podwładnego. - Chciałbym, żeby ktoś w stolicy powiedział mi, o co tu chodzi. Młodszy oficer skinął głową i ruszył zbierać sztab - zastanawiając się jednocześnie nad wybraniem sposobu, który umożliwiłby prowadzenie lotów treningowych, kiedy USS "Carl Vinson" będzie kierować się ku Durbanowi. Po raz pierwszy w historii siły wojskowe Stanów Zjednoczonych kierowały się przeciw Afryce Południowej.

## 20

### **Wojna domowa**

- **9 listopada - Rada Bezpieczeństwa Stanu. Pretoria**

Karl Vorster i członkowie jego gabinetu spotkali się w pozbawionym okien pomieszczeniu, po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Rząd - złapany w kleszcze krwawej, patowej wojny w Namibii i wzrastającego chaosu w kraju - zaczynał się rozsypywać. Kilka krzesel było opuszczonych przez osoby, które złożyły rezygnacje nie mogąc znieść poczynań Vorstera lub obawiając się, że zostaną pociągnięte do odpowiedzialności przez nowy rząd. Marius van der Heijden zamrugał oczami, które łzawiły w wypełnionym dymem pokoju. Kolejny dowód, że grzeszny nawyk potrafił zapanować nad dobrymi intencjami słabych ludzi, pomyślał zirytowany. Słabeusze w rodzaju Erika Mullera, tyle że na mniejszą skalę. Błada, przerażona twarz Mullera, pojawiła się na chwilę w jego pamięci i van der

Heijden otrząsnął się z odrazą. Wypełniona bólem śmierć szefa bezpieczeństwa była słuszną karą, ale niezbyt miłym wspomnieniem. Odsunął od siebie wspomnienia o Mullerze, koncentrując się na mapach sytuacyjnych zawieszonych na ścianach. Grupki kolorowych szpilek pokazywały jedynie zarys katastrofy rozprzestrzeniającej się z gwałtownością pożaru lasu. W Durbanie zduszono bunt, ale w Natalu nie udało się poradzić sobie z rebelią. W wiernych jeszcze niedawno prowincjach Wolnego Stanu Granii i Transwalu szerzyły się ruchy secesjonistyczne. W Kapsztadzie zaaresztowano całą radę miejską pod zarzutem zdrady. Mógł wyliczać tak dalej, a każda nowa wiadomość była jeszcze gorsza od poprzedniej.

- Mówię wam, przyjaciele, nie możemy tego dłużej ciągnąć. Nie tylko przez następny miesiąc, ale nawet przez najbliższy tydzień. Musimy znaleźć sposób na osiągnięcie pokoju, zanim cały naród zostanie zniszczony przez wojnę! Van der Heijden niechętnie zwrócił uwagę na mówcę, Helmoeda Malherbe, ministra przemysłu i handlu. Malherbe wskazał na arkusze z danymi dotyczącymi handlu i statystykami gospodarczymi, które wcześniej rozdał zebranym.

- Już teraz gospodarka leży niemal w gruzach. Inflacja osiągnęła czterdzieści procent i nadal ostro rośnie. Eksport spadł do połowy poziomu z zeszłego roku... - Wyglądało na to, że ma zamiar kontynuować wykład przez kilka godzin. Van der Heijden miał kwaśną minę. Nienawidził Helmoeda Malherbe. Ten człowiek był tylko zwykłym mięczakiem i stękającym liczykrupą, zawsze nastawionym pesymistycznie. Spojrzał w stronę szczytu stołu mając nadzieję, że ich przywódca usadzi w końcu tego tchórza. Jednak Karl Vorster siedział w milczeniu, z głową opartą na dłoniach i słuchał, jak Malherbe recytuje wszystkie dowody upadku gospodarczego. Van der Heijden niecierpliwił się coraz bardziej. Od czasu aresztowania i egzekucji Mullera Vorster był coraz cichszy i mniej zdolny do prowadzenia zwoływanych przez siebie porad. Co gorsza, nie wyznaczył jeszcze następcy ławo odwołanego dyrektora Wydziału Operacyjnego Bezpieczeństwa. To już poważny błąd. Muller był wstrętym pedałem, ale jednocześnie zdolnym specjalistą od tajnych operacji. Całe jego biuro, pozbawione kierownictwa, dryfowało niebezpiecznie niezdolne do planowania, organizowania i wykonywania akcji, które mogły stłumić niektóre rebelie w zarodku.

- Wszystkie te problemy jedynie się potęgują, gdy policja i siły bezpieczeństwa działają zbyt pochopnie i ostro, jak to miało miejsce, na przykład, w Durbanie. - Malherbe wskazał ręką na van der Heijdena. Co takiego? Minister prawa i porządku oprzytomniał w jednej chwili. Spojrzał z wściekłością na Malherbe.

- Brigadier Diederichs i jego oddziały wykonali to, co do nich należało, przywracając porządek. Czy sugeruje pan, że powinniśmy pozwolić tym rebeliantom opanować miasto?

- Nic podobnego - zachnął się Malherbe. - Nie jestem jednak pewien, czy dobrze rozumiem, co pan uważa za "porządek". Większa część przemysłu Durbanu jest unieruchomiona. Port został niemal całkowicie sparaliżowany. Więzienia są przepełnione. Także kostnice są pełne zwłok i wie pan co? Spoczywa w nich wielu Afrykanerów. Inżynierowie z rafinerii, zarządcy fabryk, urzędnicy, zwykli biali obywatele - ludzie, których umiejętności są nam wręcz niezbędne. Zwrócił się do Vorstera.

- Panie prezydencie, według wszelkich oznak nasz naród jest u kresu wytrzymałości. Nawet biali obywatele zwracają się przeciw nam. Musimy podjąć kroki zmierzające do odzyskania ich poparcia albo zostaniemy pozbawieni wszelkiej władzy. Po raz pierwszy od godziny Vorster podniósł głowę.

- Bzdura, Helmoed! Dopóki mamy armię i siły bezpieczeństwa po naszej stronie, władza jest w naszych rękach. Vorster wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Biali, którzy zginęli w zamieszkach, zostali oszukani przez kłamliwą prasę i komunistycznych agitatorów. - Wzruszył ramionami. - Zgadza się, że ich śmierć jest tragicznym wypadkiem, ale zostaną pomszczeni. Powiódł spojrzeniem po członkach gabinetu.

- Wiem dobrze, czego niektórzy z was oczekują ode mnie. Chcecie, żebym zakończył wojnę przeciw komunistom w Namibii i podporządkował się żądaniom komunistów w naszym kraju. Chcecie ode mnie rzeczy, przeciw którym burzy się cała moja natura. Mówię wam, że nigdy tego nie zrobię! Nigdy! Nigdy! - Potężne pięści Vorstera podkreślały każde „nigdy”

walnięciem w stół. jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. - To jest godzina kryzysu, kiedy niebezpieczeństwo jest największe. jeśli będziemy potrafili przetrwać tę próbę, jeśli przeżyjemy ten ogień czyścica, to wyjdziemy jako silny i czysty naród! Głos Vorstera stał się silniejszy i bardziej gniewny.

- Niektórzy z was chcą nawet, żebym ustąpił. Chcecie, bym wrócił do swojego domu w Transwalu, żebym zniknął zupełnie, abyście mogli zająć lepsze miejsca w waszej walce o władzę! Jego szorstki, wściekły głos grzmiał w całym pomieszczeniu. - No cóż, moi przyjaciele, to nie nastąpi. Nie zrezygnuję. Nie zrzucę z siebie tego ciężaru i nie zostawię obowiązku, do którego Bóg mnie wezwał! Tylko ja posiadam wizję, jak zbawić nasz ukochany kraj. Nie opuszczę mojego ludu! Skończył mówić i stał wzburzony, patrząc na nich, w nagłej ciszy jaka zapadła po jego tyradzie. Van der Heijden dojrzał, jak kilku ministrów dyskretnie wymienia zdumione spojrzenia i postanowił zwiększyć nadzór nad nimi. Ostatnie wypadki pokazywały dobitnie, że nie wszyscy wrogowie byli czarni, kolorowi lub pochodzili z innych państw. Malherbe, blady i najwidoczniej wstrząśnięty słowami Vorstera, odważył się w końcu zapytać: - A jeśli naród opuści pana? Nawet Afrykanerzy odmawiają uznania pana autorytetu. Nie pan mi będzie mówił, kto mnie akceptuje, a kto nie! Vorster wysunął oskarżycielsko palec w stronę ministra przemysłu, a jego głos znowu nabrał mocy. Umilkł na chwilę i zaraz przemówił spokojniejszym tonem. Gdy tylko będzie to możliwe, zwrócę się z apelem do wszystkich Afrykanerów. Przemówię do nich i wyjaśnię im, co się zdarzyło. Gdy tylko usłyszą mnie ci, którzy pozwolili oszukać się komunistycznym kłamstwom, to wrócą niezwłocznie w nasze otwarte ramiona! Następni ministrowie otworzyli ze zdziwienia usta i równie szybko je zamknęli. Wszyscy nauczyli się, że lepiej nie powątpiewać w wyśnione przez Vorstera iluzje. Tymczasem przyjaciele, musimy rozpędzić tę burzę kłamstw i zdradzieckich ataków za pomocą dostępnych nam środków. - Zwrócił się do Frederika Pienaara, niskiego, wychudzonego ministra informacji. - Niech pan przygotuje wszystko do wystąpienia w telewizji na jutro. Zamierzam wprowadzić jeszcze ściślejsze zarządzenia stanu wyjątkowego. Zabronimy jakichkolwiek zebrań aż do czasu ustąpienia kryzysu. Siły bezpieczeństwa dopilnują całonocnej godziny policyjnej. Zatrzymał się, zastanawiając się nad czymś. Heitman. Minister obrony spojrzał nie pewnie na zdecydowanego prezydenta. Tak, panie prezydencie? Ma pan zwiększyć pobór rezerwistów. Chcę, żeby każdy przeszkolony mężczyzna w Afryce Południowej został umundurowany tak szybko, jak to tylko będzie możliwe! Niech pan użyje nowych żołnierzy do zaprowadzenia porządku i zbuduje więcej obozów - tak wiele, jak będzie trzeba. Malherbe aż poderwał się z miejsc!! Panie prezydencie, nie możemy sobie pozwolić na coś takiego! Całkowita mobilizacja zniszczy bezpowrotnie naszą gospodarkę. jeśli będzie pan nalegał, to dojdzie do olbrzymiego kryzysu i przegramy wojnę w Namibii! Vorster wpadł w furję. Nie pozwolę, aby pańskie negatywne oceny paraliżowały nasz rząd! Ministrze Malherbe, jest pan zwolniony ze swoich obowiązków! Van der Heijden poczuł uniesienie. Najpierw Erik Muller, a teraz Helmoed Malherbe. Kolejny przeciwnik ukręcił bicz na własną skórę - tym razem tylko w przenośni. jednak podniecenie zgasło gdy odezwał się w nim, pełen obaw, głos rozsądku. Minister przemysłu świetnie orientował się w sprawach gospodarki. Co będzie, jeśli przepowiednie Malherbego sprawdzą się? Vorster warknął do zaszokowanego urzędnika.

- Tylko pamięć twoich zasług powstrzymuje mnie przed wydaniem nakazu aresztowania. - W jego głosie słychać było pogardę. - Helmoed, wróć do domu i odpocznij sobie. Nie jesteś w stanie sprostać zadaniu, które mis czeka, ale to nie twoja wina. To nie jest zadanie dla zwykłych ludzi. Blady i trzęsący się Malherbe, wstał i opuścił pokój, nie oglądając się za siebie. Vorster zignorował jego wyjście. Już z uśmiechem zwrócił się do pozostałych, siedzących nadal w osłupieniu przy stole.

- Panowie, zajmijmy się czymś przyjemniejszym. Wierzę, że wszyscy słyszeliście o propozycji Frederika, żeby uczynić z *afrikaans*, naszego świętego języka, jedyny język urzędowy... Kurier wojskowy z kopertą z dużym stemplem "tajne" zamierzał właśnie otworzyć drzwi do gabinetu, gdy zatrzymał go ponury adiutant.

- Może pan zostawić wiadomość u mnie, panie kapitanie. Dostarczę ją później. Oficer pokręcił przecząco głową.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Mam rozkaz dostarczyć ją osobiście prezydentowi. Adiutant wzruszył ramionami.

- Wobec tego będzie pan musiał poczekać. Prezydent zostawił mi wyraźne polecenie, aby nie wpuszczać nikogo do gabinetu przed końcem zebrania. - Założył ręce i patrzył obojętnie na ścianę.

- A kiedy to nastąpi? Adiutant spojrzął na zegarek.

- jeszcze godzina? Może dwie? Kto to może wiedzieć. Skończą, kiedy skończą. - Znowu wyciągnął rękę. - Kapitanie, niech pan zostawi to u mnie i zajmie się innymi sprawami. Nie ma sensu stać tutaj bezczynnie.

- Nic pan nie rozumie! To wyjątkowo ważna wiadomość! - Oficer rozejrzał się wokół i zniżył głos. - Dotarły do nas pogłoski, że żołnierze garnizonu w Kapsztadzie mogą się zbuntować!

- Pogłoski? - Adiutant uśmiechnął się pobłaźliwie. - Wątpię, żeby to był dostateczny powód do przerywania posiedzenia gabinetu. W każdym razie, prezydent powiedział, że nie chce więcej słyszeć złych wiadomości. Będzie pan musiał poczekać do końca posiedzenia.

- Ale...

- Nic na to nie mogę poradzić. - Adiutant stanął przy drzwiach, zagrządzając mu drogę. Klnąc pod nosem, kapitan odsunął się. Niżsi urzędnicy rządowi szybko się uczyli ignorować kłopotliwą rzeczywistość w taki sam sposób, jak ich przełożeni.

- **11 listopada - Dowództwo, 16. Batalionu Piechoty, Zamek Dobrej Nadziei, Kapsztad, RPA**

Bastiony i parapety z czerwonej cegły oraz wykładane kamienną kostką dziedzińce wyraźnie wskazywały na siedemnastowieczne pochodzenie Zamku Dobrej Nadziei. Klomby purpurowych, różowych, białych i żółtych kwiatów, szmaragdowozielone trawniki oraz muzeum pełne cennych obrazów, sreber i delikatnej wschodniej porcelany nadawały twierdzy charakter centrum kultury i sztuki. jedynie porozstawiane po dziedzińcach wozy pancerne, otoczone workami z piaskiem karabiny maszynowe oraz umundurowane sylwetki żołnierzy - ujawniały wojskowe przeznaczenie budowli. W zwykłych czasach major Chris Taylor znajdował wiele przyjemności w oglądaniu wypielęgnowanych trawników i klombów. Dawały mu poczucie sensu i porządku, którego tak bardzo brakowało na niespokojnych ulicach Kapsztadu. Jednak dzisiaj było inaczej. Tego dnia stwierdził, że nienawidzi zimnych murów fortecy, swojej pracy, a zwłaszcza nowego dowódcy, pułkownika Jurgena Reitza. Szedł wydłużonym krokiem przez korytarz w stronę swojego biura, czując jak twarz płonie mu od ledwo hamowanej wściekłości. Właśnie opuścili pokój Reitza z nowymi rozkazami, które były jeszcze bardziej kretyńskie niż poprzednie. Taylor był dobrze zbudowanym, niezbyt wysokim mężczyzną o jasnych włosach i pociągłej twarzy. Mimo czterdziestki na karku, wciąż był bardzo sprawny. Wpłynęły na to zwłaszcza długie lata fizycznej pracy w rodzinnej winnicy. Idąc, kręcił głową na wszystkie strony, starając się rozluźnić skurczone mięśnie karku. Uspokój się, pomyślał, nie pozwól, żeby ten pieprzony Afrykaner tak działał ci na nerwy. Każde spotkanie z Reitzem doprowadzało go do wściekłości. Oddział Gwardii Narodowej pod dowództwem Taylora został powołany w sierpniu i wysłany do Kapsztadu w celu utrzymania porządku - co umożliwiło wysłanie stacjonującego tu dotychczas batalionu do Namibii. Praca nie była lekka. Idiotyczna polityka rządu spowodowała tyle zamieszek w mieście, że każdy rezerwista miał po miesiącu doświadczenia weterana. Codziennie patrolowali znane punkty zapalne buntu jak Uniwersytet Kapsztadzki lub tłumili zamieszki w dzielnicach czarnych. jednak niepokój w mieście cały czas narastał, a politycy w Pretorii starali się jedynie zrzucić winę na kogoś innego. Minister obrony znalazł kozła ofiarnego w osobie poprzedniego dowódcy batalionu, pułkownika Fergusona. Taylor dobrze go wspominał. Niestety, dwa tygodnie temu Ferguson został zastąpiony przez Afrykanera, Reitza, który twierdził, że zlecono mu dowództwo ze względu na jego "doświadczenie w sprawach bezpieczeństwa". Reitz był wprost nie do zniesienia, raczej ze względu na swoją postawę, niż rozkazy. Rozmawiał jedynie w *afrikaans*, mimo iż znał angielski, a większość żołnierzy batalionu była pochodzenia angielskiego. Każdy rozkaz wydany w Pretorii był dla niego niczym Ewangelia i miał być wykonany "energicznie", jak sam to określał. jednak co żołnierze mieli zrobić, kiedy rozkaz mówił, że należy "zapobiec burzliwemu zgromadzeniu"? jeśli spytało się Reitza o wyjaśnienie, gotów był osobiście urwać pytającemu głowę. Mimo to oficerowie batalionu coraz częściej potrzebowali wyjaśniania rozkazów. Po przyjeździe do

Kapsztadu zostali odkomenderowani do utrzymywania porządku w dzielnicach czarnych. Obecnie coraz częściej wysyłano ich do dzielnic białych, żeby radzili sobie ze stale przybierającymi na sile protestami politycznymi, obrzucaniem policji kamieniami i innymi objawami agitacji "antypaństwowej" - najczęściej małymi grupkami ludzi, którzy odważyli się zrywać propagandowe plakaty rządowe. Żołnierzom coraz mniej się to wszystko podobało. Bicie pałkami nie uzbrojonych czarnych już było dostatecznie złe, a używanie tych samych środków przeciw białym pozostawiało uczucie niesmaku. Atmosfera ostatnich dni była szczególnie napięta. Najpierw rozeszły się pogłoski o udziale Vorstera w zamachu na Fredericka Haymansa. Potem nieoczekiwanie zaarrestowano radę miejską, wprowadzając w ciągu kilku godzin rządy policji i wojska. Taylor słyszał wiele rozmów - swoich żołnierzy i młodszych oficerów - nacechowanych rosnącym niezadowoleniem - skrycie sympatyzował z ich opiniami. Jeśli Karl Vorster naprawdę przejął władzę nielegalnie, pozwalając na zabicie Haymansa i innych, nie miał prawa do prezydentury. Także ci, którzy za nim podążali, czynili to nielegalnie. Jednak co można było zrobić w tej sprawie? Taylor wzdrygnął się na myśl o oczywistych odpowiedziach. Reitz odmawiał jakiegokolwiek dyskusji na te tematy. To było niepokojące. Taylor nie czuł się szczególnie związany z poprzednim dowódcą, ale uważał, że szef sztabu powinien rozumieć intencje swojego przełożonego. Przypomniał sobie długie rozmowy z Fergusonem, podczas których omawiali sprawy batalionu. Ich stosunek ograniczał się wprawdzie do płaszczyzny zawodowej, lecz oparty był na wzajemnym szacunku. Z Reitzem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Afrykaner traktował go jak idiotę, dziecko lub nawet wroga. Bardzo rzadko można było usłyszeć od niego coś dobrego o batalionie. Nie, tu nie chodziło jedynie o różnice w podejściu do spraw wojskowych. Reitz okazywał im najzwyklejszą pogardę. Taylor szedł nadal, wściekając się coraz bardziej na głupotę dowódcy, rządu i ostatnich rozkazów. Godzina policyjna obowiązująca wszystkich? Żadnych wyjątków dla karettek pogotowia? Żadnych zebrań? Nawet dwie osoby idące razem ulicą mogły zostać uznane za nielegalną demonstrację. Takie zarządzenia były nie tylko kretyńskie, ale całkowicie niemożliwe do wprowadzenia. Zatrzymał się nagle, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia mijających go oficerów. Nie może dłużej się na to zgadzać. Owszem, jest rezerwistą, ale przede wszystkim jest profesjonalistą, oficerem mającym za sobą dziesięć lat czynnej służby, z odznaczeniami i nie pozwoli, żeby byle kto starał się go zastraszyć... Taylor obrócił się gwałtownie i ruszył jeszcze szybszym krokiem w stronę pokoju pułkownika. Zapukał raz do drzwi, ignorując bladego dyżurnego, który patrzył na niego ze zdziwieniem - zanim zdecydował, że lepiej będzie skoncentrować się na pisaniu na maszynie. Usłyszał krótkie *kom* i wszedł do środka, powtarzając sobie w myślach zwroty w *afrikaans*, które zamierzał użyć. Wydawał mu się to nieco absurdalne, ale miał wrażenie, że Reitz specjalnie mówi tak szybko, aby nie można go było zrozumieć. Już miał wszystko wygarnąć, ale Reitz rozmawiał przez telefon. Pułkownik zrobił wściekłą minę na jego widok, ale gestem kazał mu wejść i dalej wykrzykiwał do słuchawki.

- Nie obchodzi mnie, co oni robią, kapitanie! Według mnie łamią prawo! Niech ich pan rozpędzi i to szybko. Jest pan za to osobiście odpowiedzialny! Reitz trzasnął słuchawką o widełki i spojrzał na Taylora.

- Kapitan Hastings pozwolił, żeby sytuacja na stadionie Greek Point wymknęła się spod kontroli. Niewątpliwie kolejna demonstracja komunistyczna. Nie troszcząc się o dalsze wyjaśnienia, pułkownik ruszył w stronę drzwi, zapinając po drodze pas z kaburą i biorąc z wieszaka czapkę. Taylor automatycznie podążył za nim. Reitz zatrzymał się na chwilę przy biurku tłustego kaprała, który natychmiast poderwał się na baczność.

- Znajdź kapitana Kloofa i przekaż mu, aby zaraz stawił się ze swoją kompanią na stadionie. Ma się zgłosić do mnie, jak tylko przyjadą.

- Tak jest, *kolonel!* - Kaprał podniósł słuchawkę. W obecności pułkownika nikt nie ośmielał się czekać z wykonaniem rozkazu. Reitz obrócił się i spojrzał na Taylora.

- Kolejny mój oficer nie potrafi niczego sam zrobić! Jedźcie pan ze mną, majorze.

Osobisty Land Rover pułkownika stał zaparkowany koło głównej bramy twierdzy. Na antenie był zawieszony proporczyk dowódcy. Reitz usiadł za kierownicą, a Taylor wskoczył na siedzenie obok, wiedząc, że pułkownik nie będzie na niego czekał. Major czuł, że ogarnia go coraz większa wściekłość. Reitz kontynuował wykład.

- Chcę, żeby pan przypatrzył się uważnie, jak radzę sobie z tym buntem. Od dwóch tygodni staram się, żeby pan i inni oficerowie w batalionie zrozumieli moje rozkazy. Jeśli nie jest pan w stanie ich pojąć, to nie jest to moja wina, ale będę dokładał wysiłków, aby się to udało albo znajdę bardziej odpowiednich ludzi. Gdyby moje rozkazy wykonywano z większą energią i bez zbędnych dyskusji, Kapsztad byłby teraz spokojnym miastem. Taylor skinął głową, gardząc sobą w duchu za to, że się zgadza w czymkolwiek z pułkownikiem. Zamek Dobrej Nadziei położony był w pobliżu centrum, naprzeciw głównego dworca. Ulice były zapchane samochodami i pieszymi, którzy spieszyli na obiad czy zakupy. Reitz ze złością włączył syrenę. Samochód przyspieszył, wymijając inne pojazdy. Po kilku minutach mknęli wzdłuż Western Boulevard w kierunku Green Point - terenów wysuniętych na północ w stronę Atlantyku. Nad boiskami, klubami golfowymi, plażami i stadionem Green Point wznosiła się skalista góra zwana Signal Hill. W normalnych warunkach cały obszar byłby wypełniony ludźmi cieszącymi się ładną wiosenną pogodą, ale barykady, pojazdy policji i opancerzone wozy transportowe SADF blokowały każdą drogę. Większość mieszkańców Kapsztadu rozsądnie wolała więc omijać Green Point szerokim łukiem.

Kiedy Land Rover minął dwa budynki szpitalne na wschodniej granicy Green Point, widzieli już szeroką, zieloną równinę. Taylor trzymał się mocno uchwytu, kiedy Reitz ostro zawrócił na rondzie i wjechał w boczną drogę. Przed nimi rozpościerał się stadion, otoczony ludźmi, pojazdami i białymi chmurkami gazu łzawiącego. Wokół panował ogromny hałas. Od strony stadionu dobiegał wzmocniony przez megafony głos, ale nie mogli jeszcze rozróżnić słów. jakiś bezsensowny i naiwny agitator, który wierzył, że rząd Vorstera nadal dba o opinię publiczną, pomyślał zimno Taylor. W miarę zbliżania się mogli już wyraźnie usłyszeć odgłosy tłuczonego szkła, krzyki pomieszane z głuchymi strzałami wyrzutni pocisków gazowych i wycie syren nadjeżdżających karet. Reitz zatrzymał wóz przy blokadzie drogowej, pilnowanej przez oddział uzbrojonych żołnierzy. Musiał krzyczeć, żeby go usłyszano.

- Sierżancie, gdzie jest kapitan? Sierżant wyprostował się na widok dwóch najstarszych stopniem oficerów batalionu i wskazał na ośrodek dowodzenia kompanii, ustawiony na kawałku otwartego terenu na północ od stadionu. Kapitan John Hastings stał w cieniu opancerzonego wozu transportowego *Buffel*, w towarzystwie kilku poruczników i sierżantów. Patrząc na plan miasta, ustalał dalsze działania. Wyglądał na zmęczonego, a jeden z sierżantów miał zabandażowane ramię. Do ich przepoconych mundurów przyłgnał wstrętny, kwaśny zapach gazu łzawiącego. Reitz wyskoczył z Land Rovera i podszedł dużymi krokami do grupy.

- Co się tu, do cholery, dzieje? - krzyknął. Hastings i podoficerowie obrócili się zaskoczeni. Stanęli na baczność i zaszalutowali.

- Grupa dowódcza, sir. - Hastings zdjął niebieski beret i przecesał nerwowo niesforne, rude włosy. - Staramy się znaleźć najlepszy sposób na opróżnienie stadionu. Do grupy podjechał kolejny *Buffel*. Wyskoczył z niego Andries Kloof, szczupły, ciemnowłosy oficer i podbiegł do Reitza. Nadjeżdżające kolejno transportery opancerzone zatrzymywały się przy pierwszym pojeździe. Włączone silniki jeszcze zwiększały panującą wrzawę.

- Kapitan Kloof z Kompanią C melduje się na rozkaz, pułkownik. Taylor ledwo się powstrzymał od drwiącego uśmiechu. Nie znajdowali się na paradzie. Reitz z precyzją oddał salut młodszemu oficerowi.

- Dobrze, że jesteś, Kloof. Poczekaj chwilę. Młodszy oficer zbliżył się do grupki i zaczął studiować mapę. Reitz zwrócił się niecierpliwie do Hastingsa.

- No i cóż, kapitanie? Co to za bałagan pan tutaj zrobił? Taylor spostrzegł, że Hastings pobałdł i zacisnął szczęki, usiłując zachować spokój.

- Oceniamy, że na stadionie znajduje się jakieś dwa, trzy tysiące ludzi. Większość to biali studenci, ale jest także wielu czarnych. Wskazał na mapę.

- Zamknęliśmy wszystkie wyjścia i drogi prowadzące do stadionu... Taylor słuchał uważnie. Hastings i jego ludzie stosowali się do standardowych procedur kontroli zamieszek, mających na celu zminimalizowanie wypadków wśród cywilów i własnych strat. Do rozbicia grup demonstrantów użyto gazu łzawiącego na zewnątrz stadionu. Po rozpędzeniu uczestników demonstracji wkraczały oddziały wojska uzbrojona w plastikowe tarcze i pałki, które zapędzały uciekających do przygotowanych wozów. Niestety, był to żmudny i

długotrwały proces. Obładowanym sprzętem żołnierzom z trudnością udawało się złapać więcej niż kilku protestujących przy każdym ataku. Większość cywilów zdołała uciec i przegrupować się, ale w krótkim czasie była znów rozpędzana nowymi salwami granatów gazowych. Wydawało się, że takie działanie nie ma końca.

- A co z samym stadionem? - spytał Reitz. Hastings pokręcił głową.

- Nie chciałem używać gazu z powodu paniki, jaką by to wywołało. Zbyt wielu ludzi mogłoby zostać stratowanych. Używamy głośników, żeby nakazać im rozejście się, jeśli chcą uniknąć aresztowania.

- A gdy im się w końcu zechce wyjść, to ich pan aresztuje? - Reitz mówił z sarkazmem. - Pańska troska o tych chuliganów jest wzruszająca, ale nie na miejscu. Ci ludzie łamią prawo i powinni być odpowiednio potraktowani. Niech pan mnie posłucha, kapitanie! Nie pozwolę, żeby pan - Reitz podniósł głos - czy ktokolwiek inny w moim batalionie rozpieszczał buntowników. Stuknęła palcem w mapę.

- Niech pańscy ludzie złączą ostrzeliwać stadion granatami z gazem łzawiącym. Reszta niech stworzy kordon. Kiedy gaz zacznie działać, przeczeszcie tę stronę stadionu. Aresztujcie każdego, a jeśli ktoś będzie próbował uciekać, zastrzelcie go! Zaszokowany Hastings spojrzął na Reitza i zaraz się opanował. Przeniósł wzrok na Taylora, ale i on usiłował ukryć swoje prawdziwe uczucia pod maską obojętności. Reitz uśmiechnął się złowieszczo.

- Zobaczycie, panowie, jak łatwo kilka kul przekona tych bandziorów, że muszą się poddać.

Przez chwilę Taylor miał zamiar zaprotestować przeciw rozkazowi otwarcia ognia. Byłby to jednak daremny gest. W tym kraju nawet w spokojnych czasach wprowadzanie prawa w życie nie było łagodnym procesem. Poza tym, tą operacją dowodził Reitz.

Nie znaczyło to wcale, że Taylorowi podoba się ta sytuacja. Pamiętał, że pułkownik Ferguson nigdy nie uznał za konieczne strzelania do nie uzbrojonych cywilów. Reitz groźnym głosem zwrócił się do podwładnych: - No więc? Porucznicy i sierżanci Kompanii A rozbiegli się do pododdziałów. Pułkownik zwrócił się do gorliwego kapitana Kompanii C.

- Kloof, weźmiesz swoich ludzi na drugą stronę stadionu i pozbędziecie się tych komunistów. Aresztować każdego, kto się zatrzyma i zastrzelić każdego, kto ucieka. Kloof zsalutował i podbiegł do czekającego wozu. Taylor usłyszał, jak wykrzykuje podnieconym głosem rozkazy. Reitz podszedł do Taylora. Jego głos był miły, niemal swobodny.

- Tak właśnie wygląda energiczne wykonywanie moich rozkazów, majorze. Spojrzął na zegarek.

- Oczekuję, że ten mały bałagan zostanie doprowadzony do porządku w ciągu najbliższej godziny. - Jego głos ponownie nabrał twardości. - Kiedy wrócimy do biura, przygotuje pan papiery niezbędne do postawienia Hastingsa przed sądem wojskowym. Jest w sposób oczywisty niekompetentny i podejrzewam, że sympatyzuje z tymi wichrzycielami. Nasz prezydent powiedział wyraźnie, że musimy używać ostrzejszych środków do utrzymania porządku i prawa w kraju. Taylor powiedział spokojnie: - Nasz prezydent powiedział także wyraźnie, że przejął władzę nie legalnie.

- Dosyć tego, majorze! - wrzasnął rozwścieczony Reitz. - Nie pozwolę panu kwestionować ani władzy naszego rządu, ani mojej. Ma pan jedynie wykonywać swoją pracę, co jest dostateczną lekcją pokory. Tylko sąd polowy może pana jej nauczyć w wystarczającym stopniu. Taylor usłyszał, jak Kloof wydaje komendę i odwrócił się, aby zobaczyć trzy plutony Kompanii C tworzące klin. Z karabinami ustawionymi jak do ataku na bagnety ruszyli w stronę drugiego wyjścia owalnego stadionu. Ciężko dyszący kapral podbiegł do Taylora i zsalutował.

- Panie majorze, kapitan Hastings mówi, że jego ludzie zajęli pozycje i są gotowi do otwarcia ognia. Taylor otworzył usta, żeby odpowiedzieć, gdy Reitz przerwał mu. - No więc czego chce od nas? Na co czeka? Powiedz temu niekompetentnemu głupcowi, żeby strzelał. Ruszaj! Mój Boże! Ten afrykanerski drań obrażał swoich oficerów w obecności żołnierzy! Gniew stłumiony ostatnimi pogroźkami pułkownika, ogarnął Taylora ze zdwojoną siłą. Kapral, wystraszony wybuchem złości dowódcy, wycofał się i pobiegł przekazać rozkaz Hastingsowi. Pułkownik patrząc za nim, mruknął pod nosem.

- Szkoda, że to nie jest gaz paraliżujący. Powinniśmy ukatrupić tych wszystkich drani.

Kompania A stała pięćdziesiąt metrów dalej, naprzeciw stadionu. Długa linia żołnierzy, z

opuszczonymi na twarze przyłbicami kasków, przyklęknęła na jedno kolano. Byli uzbrojeni w ręczne karabiny i pałki. Czterej ludzie z granatnikami ustawili się za nimi.

Hastings i jego podoficerowie stanęli obok granatników. Taylor widział, jak kapral podbiega do grupy - Hastings odwrócił się najpierw do niego, a potem w stronę swoich żołnierzy. Ramię kapitana podniosło się i szybko opadło. Granaty poszybowały w powietrze i opadły łukiem na stadion. Białe obłoczki gazu zaczęły podnosić się znad trawy, porywane lekkim wiatrem. Żołnierze wstali i zaczęli biec w kierunku stadionu. Reitz mało nie dostał ataku wściekłości.

- Cztery granaty? Mój Boże, to stadion, a nie toaleta publiczna! - Stara się ich ostrzec i dać szansę na wycofanie bez wzbudzania paniki.

- Niech to diabli, właśnie chcę, żeby wpadli w panikę! - wrzasnął Reitz. - Chcę, żeby się bali, zwłaszcza nas! Nie przestając kląć, pułkownik pobiegł za kompanią i gdy znalazł się w zasięgu głosu, zaczął krzyżeć: - Więcej granatów! Strzelać! Krzyk i odgłosy wydawane przez dławiących się i wymiotujących ludzi zagłuszyły niewyraźne słowa płynące z głośnika. Słyszając Reitza, Hastings ze złością obejrzał się przez ramię i wydał rozkaz czterem żołnierzom z granatnikami. Kolejna salwa i cztery granaty spadły na zatłoczoną murawę. Pułkownik złapał kapitana za ramię i obrócił do siebie.

- Niech ci ludzie wystrzelają wszystkie granaty! Gdy się skończą, poinformuj mnie pan o tym, a ja im dostarczę nowy zapas! jasne? Hastings skinął w milczeniu głową i zsalutował. Reitz odwrócił się i ruszył za żołnierzami. Kolejne granaty wleciały wysoko w powietrze, spadając w rosnącą zasłonę dymną. Kilka z nich wyleciało za ogrodzenie, ale większość trafiła w cel. Taylor zauważył, że głos płynący z głośników umilkł, narastały za to krzyki i zdławione jęki. Małe grupki demonstrantów zaczęły w zamieszaniu kłębić się wokół wyjść ze stadionu - nadal niepewne co do zamiarów wojska. Nagle krzyki przeniosły się na zewnątrz stadionu. Ludzie zaczęli się przedzierać przez bramę w pobliżu oddziału Hastingsa. Inni demonstranci cisnęli się do pozostałych wyjść, chcąc uciec z chaosu ogarniającego wypełniony dymem stadion. Hastings skinął na sierżanta, który podniósł pałkę i krzyknął w *afrikaans*, a następnie po angielsku przez tubę.

- Stójcie i podajcie się! jeśli spróbujecie uciekać, zostanieie zastrzeleni! - jakby dla dodania znaczenia jego groźbom, z drugiej strony stadionu doszły ich odgłosy strzałów. Ten drań Kloof otworzył ogień do ludzi! Tłum zignorował ostrzeżenie sierżanta. Nawet demonstranci znajdujący się blisko niego, którzy słyszeli jego słowa, biegli dalej. Taylor widział kilka osób z zakrwawionymi rękami i głowami, najwidoczniej zranionych przy próbie przecisnięcia się przez wąskie wyjścia. Zasłona gazu łzawiącego zamieniła tłum ludzi w rozszałą ze strachu dzicz. W stronę żołnierzy poleciało kilka kamieni i butelek. W ten sposób któryś z bardziej bojowych demonstrantów chciał im się odwdziżyć. Żaden z rzutów nie był celny. Reitz patrzył na to i uśmiechał się nieprzyjemnie.

- Jest tylko jeden sposób na zakończenie tego widowiska. Oddajcie dla ostrzeżenia salwę nad ich głowami. Zaciskając usta, Hastings skinął głową i wydał rozkaz. Jego ludzie podnieśli karabiny i wystrzelili w powietrze. Rzucający kamieniami mężczyźni uciekli, ale tłum nadal pędził przed siebie, byle znaleźć się jak najdalej od żołnierzy. Reitz krzyknął wściekle: - Strzelajcie do cholery jeszcze raz. Tym razem celować w tłum! Co? Jak dotąd, Taylor miał nadzieję, że pogróżki pułkownika były jedynie oznaką pyszałkowatości i zwykłymi przechwałkami. Zbyt późno zrozumiał, że Reitz nie rzucał słów na wiatr. Zrobił krok do przodu, żeby powstrzymać żołnierzy... Tym razem wystrzeliło ponad sto karabinów wycelowanych w tłum ludzi, falujący przy wyjściu ze stadionu. Prawie każda kula trafiła w cel - przebijając płuca, roztrzaskując kości czy kalecząc ręce i nogi. Taylor zobaczył, jak kilkanaście osób trafionych pociskami runęło na ziemię. Setki innych także padły, bezskutecznie próbując znaleźć osłonę na otwartym terenie. Kilka osób nadal biegło, ale większość stała oszołomiona tym, co się stało. W zapadłej nagle niesamowitej ciszy nadal słyszeli złowieszcze strzały po drugiej stronie stadionu. Taylor patrzył na Reitza, na zakrwawione ciała leżące na trawie i znowu na pułkownika. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, ale Afrykaner uśmiechał się z zadowoleniem. Dosyć tego! Stanął przed Reitzem i krzyknął do żołnierzy: - Wstrzymać ogień! - Hastings powtórzył natychmiast jego rozkaz.

- Pułkowniku, ci ludzie nie przedstawiają już dla nas czy kogokolwiek innego żadnego



zagrożenia. - Taylor wymówił rangę przez zaciśnięte zęby. - Rozkażę żołnierzom, żeby rozpoczęli aresztowania. - Odwrócił się do Hastingsa, żeby wydać rozkazy, gdy pułkownik chwycił go za ramię. Twarz Reitza była' purpurowa z gniewu.

- *Rooinek* świnia! Nikt nie będzie przeciwstawiał się moim rozkazom! Ty i Hastings jesteście aresztowani! Zameldujcie się natychmiast w dowództwie i czekajcie tam, aż będę miał czas zająć się wami! Wrzeszczał coraz głośniej.

- Ponieważ tak bardzo kochacie tych ludzi, pójdziecie razem z nimi do więzienia! Sam obejmuję dowództwo nad kompanią i zamierzam zrobić to, czego wy nie chcieliście lub nie potrafiliście zrobić - położę kres łamaniu prawa! Taylor patrzył na niego w zdumieniu. Czyżby ten człowiek oszalał?

- Jakiemu łamaniu prawa? - Wskazał na pokrwawione trawniki i ścieżki. - To koniec! Skończone! Mój Boże, czy nie widzi pan tego? Reitz nadal się gotował z gniewu.

- Majorze, nie chcę słyszeć od pana ani słowa! Nie wie pan, jak postępować z tymi przestępcami i nie chce się pan niczego nauczyć. Niech pan odejdzie i zabierze tego tchórza Hastingsa ze sobą! Gdy się wami zajmę, to możecie mówić o szczęściu, jeśli nie zawiśniecie! Taylor patrzył przez chwilę na dowódcę, zanim nawyki wojskowego wzięły górę. Zasalutował, odwrócił się i ruszył w stronę ośrodka dowodzenia z Hastingsem idącym w milczeniu przy jego boku. Wszystkie emocje wypaliły się, pozostawiając dziwną pustkę wewnętrzną. Był wstrząśnięty masakrą, której był świadkiem, sam nie był pewien, czy powinien odczuwać jeszcze skutki szoku, gniew na Reitza, czy też wstyd. Nie, na pewno nie wstyd. Nie zrobił absolutnie niczego złego. Demonstranci zaczęli się z wolna podnosić. Wiele osób klęczało, oplakując zabitych lub umierających przyjaciół. Inni siedzieli zszokowani, niezdolni się poruszyć. Kilka osób pełzło, starając się znaleźć jakąś kryjówkę. Ludzie nadal usiłowali wydostać się ze stadionu, ale ci z przodu, którzy widzieli tragedię, cofali się do środka. Lepiej być oślepionym gazem, niż zastrzelonym. Długa linia żołnierzy ponuro patrzyła na dokonaną masakrę, starając się pogodzić popełnione czyny z sumieniem. Żołnierze byli przyzwyczajeni do walki z wrogiem, ale nie do mordowania bezbronnych ludzi. Porucznicy i podoficerowie spoglądali -niepewnie jeden na drugiego, zdezorientowani klótnią swoich przełożonych. Taylor był jednym z nich - kolegą rezerwistą i sąsiadem w czasach pokoju. Reitz ogarnął ich lodowatym spojrzeniem. Wszyscy mieli wzrok skierowany przed siebie. Zawołał zdecydowanym głosem:

- Kompania A, ognia! Taylor odwrócił się z przerażeniem. Reitz jeszcze nie miał dosyć krwi. Zamierzał dalej zabijać. Posłuszni rozkazom żołnierze podnieśli karabiny, mierząc w tłum, ale gdy tylko jeden z poruczników kompanii powtórzył rozkaz pułkownika, zamiast trzech, jak to było w zwyczaju znowu je opuścili, patrząc na swoich oficerów. Reitz podszedł bliżej do linii. Wyjął pistolet, odbezpieczył go i wycelował w górę.

- Dałem, do cholery, rozkaz i zastrzelę każdego, kto mnie nie będzie słuchać! Ognia!

- Nie! - ryknął Taylor. Rzucił się w stronę pułkownika. Do diabła z dyscypliną i jego własnym losem. Dyscyplina oznacza wypełnianie praworządnych rozkazów, a nie mordowanie ludzi z zimną krwią na życzenie szaleńca. Dzieliło go dziesięć metrów od Reitza, gdy ten odwrócił się i zobaczył nadbiegającego. Na twarzy Afrykanera pojawiła się straszna nienawiść i skierował pistolet w stronę Taylora. Taylor sięgnął bez zastanowienia po swój pistolet, gdy Reitz wystrzelił, odruchowo padł na ziemię, a jego kciuk odciągnął bezpiecznik pistoletu. Błysk wystrzału i smagnięcie kuli nad jego głową dotarły do niego prawie w tej samej chwili. Kątem oka dostrzegł, jak Hastings pędzi w ich stronę i jak pułkownik obraca się celując do niego. Nie! Taylor pociągnął spust. Reitz zachwiał się na nogach, twarz skurczyła mu się z bólu, a na piersi wykwitła czerwona plama. Starał się wycelować w biegnącego Hastingsa, ale mu się nie udało. Nogi ugięły się pod nim i runął na trawę. Jedną ręką sięgnęła ku niebu i bezwładnie opadła. Hastings ukląkł przy leżącym Afrykanerze. Taylor podniósł się na jedno kolano, oszołomiony szybkością, z jaką z oficera zmienił się w więźnia, a następnie w buntownika. Chciał zatrzymać się i zastanowić nad tym, co się stało, ale nie było na to czasu. Zerwał się na nogi i podbiegł do Reitza, krzyżąc: - Sprowadźcie karetkę! Nagle wydało mu się dziwne, że nikt nie wołał o pomoc dla postrzelonych demonstrantów, ale zranienie pułkownika pobudziło go do działania. Hastings opuścił głowę dowódcy na murawę.

- Nie potrzebujemy karetki, majorze. Taylor dostrzegł niewidzące, otwarte oczy Reitza i

zadrzał. Nie czuł ani wstydu ani żalu. Zabijał już wcześniej, w walce i nie czuł teraz żadnej różnicy. Reitz chciał mordować nieuzbrojonych cywili nie ze względu na to, co zrobili, ale ze względu na to, kim byli. Podniósł wzrok i zobaczył, że większość żołnierzy i wszyscy oficerowie kompanii otoczyli go. jeden z poruczników, Kenhardt, powiedział:

- Obejmuje pan dowództwo, majorze. jakie są pańskie rozkazy? Pozostali oficerowie i żołnierze potwierdzili jego słowa. Taylor znowu miał dziwne uczucie, że jest popychany przez wypadki zamiast kierować nimi. Czy rzeczywiście dowodził? Mimo zastrzelenia własnego pułkownika? Pokręcił głową, starając się to uporządkować. Ktoś musi objąć dowództwo. W tym wypadku powinien to być kapitan, ale był nim Kloof. Odgłosy automatycznej broni zwróciły jego uwagę na drugą stronę stadionu. Kloof i jego żołnierze nadal strzelali do ludzi. Racja, najpierw to, co najważniejsze. Złapał za ramię pierwsze go z brzegu szeregowca.

- Powiedz kapitanowi Kloofowi, żeby wstrzymał ogień i natychmiast zgłosił się do mnie. Nic więcej, rozumiesz? Żołnierz skinął głową i pobiegł. Hastings wyglądał na zakłopotanego.

- Chris, ten cholerny Afrykaner każe nas aresztować. jeśli ci ludzie zechcą nam w ogóle urządzić proces, to zostaniemy rozstrzelani. - Młodszy oficerowie potwierdzili kiwnięciem głową. Taylor myślał pospiesznie. "Ci ludzie", powiedział z pogardą Hastings. Tak, jakby ludzie w Pretorii nie zasługiwali na posłuszeństwo. Ale czy właśnie tak nie było? Vorster, jego przyjaciele w rządzie i głupi generałowie nie byli rządem i armią, którym ślubował posłuszeństwo. Potarł ręką czoło. Hastings miał rację. Fanatycy Vorstera zabiją jego, Hastingsa i każdego, kto im stanie na drodze. Szaleństwo będzie się dalej pleniło, a oni będą zabijać w nieskończoność. Dobrze. Powstrzymał Reitza. Teraz zobaczy, czy uda mu się powstrzymać innych szaleńców. A może zacznie inne? Przekroczenie linii dzielącej osobiste nieposłuszeństwo od zbrojnej rebelii nie mogło być bezkrwawe. Może jednak ten krok powinien zostać wykonany już dawno temu, pomyślał, przypominając sobie niepotrzebne gwałty i śmierć, którym przyglądał się w ostatnich miesiącach.

Zaczerpnął powietrza i powiedział do kapitana:- Zbierz swoich ludzi, Johnnie. Mam dla nich nowe rozkazy. Kloof pojawił się w momencie, gdy dwóch żołnierzy odnosiło Reitza na bok, a Kompania A formowała się w plutony obok transporterów opancerzonych. Lekarze z sąsiedniego szpitala poruszali się wolno między leżącymi ciałami, oddzielając rannych od zabitych oraz tych, którzy mieli szansę przeżyć od tych, którzy na pewno umrą. Kloof podbiegł ostatnie dwadzieścia metrów do miejsca, gdzie stał Taylor.

- Rany boskie! Majorze, co się stało z pułkownikiem? Taylor po raz pierwszy widział, że kapitan zapomniał zaszalutować. Major skinął głową Hastingsowi, który w milczeniu odszedł do czekających żołnierzy. Prowadząc Kloofa pod rękę, major skierował się w przeciwną stronę.

- Kapitanie, pułkownik Reitz został zastrzelony, kiedy usiłował dokonać morderstwa. Zaskoczony Kloof cofnął się o krok, zdolny jedynie wykrzyknąć:- Co?! Taylor nadał swojemu głosowi kategorię ton chcąc, żeby Afrykaner nie dopatrywał się w nim słabości czy strachu.

- Reitz rozkazał strzelać do demonstrantów, którzy już się poddali. Sprzeciwiłem się bezprawnemu rozkazowi, a kiedy usiłował zastrzelić kapitana Hastingsa i mnie, zabiłem go w samoobronie. Kloof spojrzał na jego kaburę, a następnie w oczy Taylora. - Majorze, nie ma nic nielegalnego w strzelaniu do demonstrantów, którzy próbują uciec przed aresztowaniem. - Oczy Afrykanera zwęziły się. - Słyszałem, jak pułkownik rozmawiał z panem i wiem, że kazał mi tu przyjechać, ponieważ nie ufał Hastingsowi i jego ludziom. Kloof podszedł bliżej.

- Majorze, wiem także, że zamierzał aresztować was obu za zaniedbanie obowiązków i nieposłuszeństwo. Dlatego aresztuję pana za zamordowanie pułkownika Reitza. - Kapitan sięgnął po swój pistolet, ale zatrzymał się widząc, jak Taylor wolno kręci głową. Zmarszczył brwi i wyjął pistolet z kabury. Major stał spokojny i niemal obojętny, spoglądając przed siebie. Po chwili skinął głową i powiedział

- Nie sądzę, kapitanie. Proponuję, żeby rzucił pan broń i wolno się obrócił. Bardzo wolno. Kloof usłyszał kilka metalicznych trzasków za plecami. Zbladł. Znał ten dźwięk aż nazbyt dobrze. Odgłos odbezpieczanej broni. Upuścił pistolet i obrócił się. W jego pierś mierzyło kilkanaście karabinów. Afrykaner zbladł momentalnie.

- Czy to jest pluton egzekucyjny, majorze? Taylor zaprzeczył, niemal rozbawiony. Nie miał wątpliwości, że to byłby pluton egzekucyjny, gdyby Kloof objął dowództwo.
- Nie, to tylko straż. Zaprowadzamy pewne zmiany, Andries. Ty i kilku myślących podobnie ludzi pójdziecie do więzienia. Wypuścimy. jednocześnie legalnie wybranych członków rady miasta, aby stworzyli nowy rząd.
- Co takiego? Tę bandę zdrajców?
- Tak, kapitanie Kloof, dokładnie tak. Ta banda "zdrajców" i moja banda "zdrajców" i wielu innych "zdrajców" zamierza przywrócić rozsądek w tym kraju, zaczynając od Kapsztadu. Skinął na strażników.
- Zabierzcie go. Kiedy straż odprowadzała Kloofa, Taylor rozkazał Hastingsowi i dowódcom plutonów przyprowadzić plutony z Kompanii C. Albo się przyłączą do nich, albo zostaną aresztowani. Był pewien dwóch poruczników Kompanii C i przypuszczał, że trzeci także do nich dołączy. Następnie. mając dwie kompanie piechoty, zobaczą, ile jeszcze oddziałów garnizonu i policji opowie się za nimi i za obaleniem dyktatury Pretorii. Spojrzał na zegarek. Była już pierwsza trzydzieści, a on miał jeszcze wiele do zrobienia przez zmrokiem.

### • **Gabinet Rady Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria**

Posłańcy przynosili nowe raporty z Kapsztadu i żadna z wiadomości nie była dobra. Stacje radiowe przerwały nadawanie. Nie było kontaktu z lotniskiem międzynarodowym. Unie telefoniczne przecięte. Wiadomości zawsze dotyczyły jakiejś nowej części miasta, nad którą rząd tracił panowanie. Pokój wypełniali urzędnicy rządowi. wojskowi i oficerowie policji. Na ścianach wisiały mapy Kapsztadu i całego Kraju Przylądkowego, a czerwone kółka pokazywały zasięg rewolty. Vorster i jego cywilni ministrowie siedzieli przy jednym końcu stołu, podczas gdy generał de Wet i jego adiutanci starali się zebrać resztki sił pod swoją kontrolą. Widać było wyraźnie, że siły te szybko topnieją. Tylko 16. Batalion Piechoty otwarcie przeszedł na stronę buntowników, ale raporty dowódców dwóch innych batalionów z okolic Kapsztadu wskazywały, że ich oddziały nie są w pełni godne zaufania. W mieście i okolicznych miasteczkach powstawały komanda, które sympatyzowały z buntownikami. Siły prorządowe zgrupowały się w okolicy Góry Stołowej, szczytu o wysokości tysiąca metrów, który górował nad miastem i półwyspem Cape. Pełna jaskiń i bunkrów góra została wcześniej wyznaczona na ostatni punkt oporu sił broniących Kapsztadu. Wiadomo. było, że kompanie piechoty lokują się właśnie na jej szczycie. Marius van der Heijden spostrzegł, że zaciska dłonie, niczym w modlitwie. słuchając kolejnych złych. wiadomości. Rozłożył ręce i spojrzał na koniec stołu, gdzie siedział nieruchomy i blady Karl Vorster. Jego oczy, kiedyś chłodne i jasne. teraz były zaczerwienione i podkrążone po zbyt wielu nieprzespanych nocach. Van der Heijden zaniepokoił się. Ostatnio, gdy ludzie z najbliższego otoczenia pozwalali sobie coraz częściej na podważanie jego autorytetu, prezydent zamykał się w sobie - jak gdyby chciał odsunąć się od wydarzeń, których był bezpośrednim sprawcą. Nie był to dobry znak. Kiedy adiutant przyniósł wieści o nowych katastrofach, Vorster poruszył się i zapytał

- No i jak, generale? Możemy utrzymać miasto? De Wet przełknął ślinę.
- Panie prezydencie, jeśli nie będziemy mieli więcej wojska, obawiam się, że nie.
- Mamy za mało żołnierzy? De Wet niechętnie skinął głową.
- Zgadza się, panie prezydencie. Wszystkie nasze siły są związane wojną w Namibii, zamieszkami w Natalu i w innych miastach.
- Zatem może nadszedł już czas, aby się wycofać z Namibii, panie generale. - Frederik Pienaar cieszył się nadal zaufaniem prezydenta, więc mówił bez ogródek. Minister informacji nigdy nie lubił de Weta i jego planów.
- To byłaby klęska! - De Wet zwrócił się do samego Vorstera. - Raporty wywiadu wskazują, że Kubańczycy szykują się w najbliższych dniach do nowej ofensywy. Zostawienie naszych umocnień byłoby sprzeczne z wszelką logiką wojskową!
- Więc co pan sugeruje, generale? Mamy siedzieć tu beczynnym i patrzeć jak republika rozpada się na naszych oczach? Czy to ma sens z punktu widzenia logiki wojskowej? De Wet poczerwieniał, słysząc sarkastyczne słowa Pienara.
- Nie, panie ministrze. - Wciągnął głęboko powietrze i znowu zwrócił się do milczącego,

zamyślonego Vorstera. - Proponuję, abyśmy się jedynie wstrzymali, to wszystko. Przeciwstawmy się kubańskiej ofensywie, pozwólmy im się wykrwawić w bezskutecznych atakach na nasze okopy i pola minowe - i pogońmy ich do Windhoek. Następnie możemy bezpiecznie wycofać nasze siły z Namibii i rozprawić się ze zdrajcami w kraju! Van der Heijden pomyślał, że tym razem wyjątkowo de Wet ma rację. Vorster machnął niecierpliwie swoją masywną dłoń.

- Dobrze, de Wet. - Spojrzał groźnie na generała. - Ale nie zawieź mnie, jak wielu innych to zrobiło. Nie wybaczę zdrady czy nieudolności. De Wet zbladł, wymamrotał coś pod nosem i odwrócił się do swoich adiutantów. Vorster patrzył na pozostałych członków gabinetu, przesuwając spojrzenie od twarzy do twarzy, aż spoczęło na van der Heijdenie.

- Marius.

- Tak, panie prezydencie?

- Czy złapaliście już tę amerykańską świnię? Minister prawa i porządku poczuł, że robi mu się niedobrze. Ze względów osobistych niezbyt pilnie poszukiwał Sherfielda. Wyznania wydobyte z Erika Mullera wskazywały, że jego piękna i uparta córka została w jakiś sposób zmuszona do pomagania amerykańskiemu dziennikarzowi. Ze względu na nią trzymał detektywów z dala od kilku obiecujących dróg śledztwa, mając nadzieję, że Emily ucieknie z kraju, zanim będzie zmuszony do działania. Wyglądało na to, że czas ten właśnie nadszedł. Pokręcił przecząco głową.

- Jeszcze nie, panie prezydencie. Jesteśmy jednak na tropie tego człowieka. Oczekuję wiadomości o aresztowaniu dosłownie w każdej chwili.

- Dobrze. - Vorster potarł podbródek. - Kiedy go pojmiecie, twoi ludzie będą potrafili go "przekonać", żeby odwołał wszystkie kłamstwa - zgadza się? Van der Heijden skinął niechętnie głową. Ten Ian Sherfield był w końcu tylko dziennikarzem. Kilka godzin śledztwa powinno nakłonić go do współpracy.

- Świetnie, Marius. - Uśmiechnął się do pełnych niepewności ministrów. - Właśnie o to chodzi, moi przyjaciele. Wkrótce ten Amerykanin przyzna, że cała ta historia nie jest niczym więcej, niż komunistycznym usiłowaniem wprowadzenia zamieszania w naszym kraju. Od tej chwili wszelkie kłopoty znikną, jak zły sen, którym naprawdę są. Nasi bracia w Wolnej Oranii i Transwalu przyjdą błagać o wybaczenie. Uśmiech Vorstera stał się niemal wstrętny.

- Zaś ci *rooineks* z Kapsztadu i *kaffirs* z Natalu będą płakać do sądnego dnia, że ośmielili się przeciwstawić naszej władzy! Van der Heijden i pozostali ministrowie patrzyli z niedowierzaniem. Jak ich przywódca mógł wierzyć, że można tak łatwo wszystko zmienić? Same słowa nie mogły ugasić ognia rewolty, który płonął w niemal każdym zakątku Afryki Południowej. Jak rozsądny człowieku mógł wierzyć, że uda się powstrzymać Armageddon?

### • **Dowództwo Sił Wojskowych Tymczasowego Rządu w Kapsztadzie, w pobliżu budynków Parlamentu**

Major Chris Taylor przykucnął przy poranym pociskami *Buffelu*, studiując w pośpiechu naniesione na pian miasta znaki. Pochylił prędko głowę, kiedy pocisk moździerzowy wybuchł sto metrów dalej, rozwalając stary dąb i obsypując odłamkami podziurawione drzwi i okna Parlamentu. Nad ulicą wirował i wznosił się w powietrze dym z płonących domów i samochodów, łącząc się w górze z dymami szalejących w całym mieście pożarów. Taylor zakaszał, kwaśne powietrze drażniło gardło. Zsunął hełm na tył głowy i spojrzał na swojego zastępcę, Johna Hastingsa.

- Johnny, jesteś tego pewien? Może to tylko nowe pogłoski? Hastings przecząco pokręcił głową.

- Rozmawiałem osobiście z dowódcą bazy. To pewne. Simonstown przeszło na naszą stronę! Obaj mężczyźni uskoczyli za wóz, gdy kolejny pocisk rozerwał się w pobliskim ogrodzie botanicznym, zasypując ich ziemią i trawą. Hastings wypluł kurz i mówił dalej.

- Chłopcy z Marynarki mówią, że pozbyli się kilku zatwardziałych stronników Vorstera i mają teraz wszystko pod kontrolą.

- Jakież straty?

- Tylko kilka pożarów, ale żadnych zniszczeń w porcie czy na okrętach. Dobre wiadomości.

Taylor liczył po cichu na pomoc ze strony Marynarki, która zawsze była najbardziej "angielska" ze wszystkich służb wojskowych. Mimo iż w skład jej sił wchodziło jedynie kilka przestarzałych okrętów, utrzymanie głównego portu RPA pozwoli rządowi tymczasowemu domagać się uznania niepodległości prowincji. Złożył mapę i wysunął się z transporterem opancerzonym, szukając lepszego punktu do obserwacji toczących się przed nim walk. Hastings podążył za nim. Kapsztad, jedno z najpiękniejszych miast na całym kontynencie, przypominał teraz zniszczony wojną Berlin. Ślady walk widoczne były na całej Government Avenue i na terenie przylegającego do niej ogrodu botanicznego. Budynki były podziurawione kulami, pociskami moździerzowymi i odłamkami granatów. Na ulicy leżały porzucane bezładnie zwłoki - niektóre skulone na środku jezdni czy chodnika, inne przewieszane przez krzaki różane i parkowe ławki. Wśród zabitych byli zarówno cywile, jak i żołnierze. Na przedramionach walczących z dyktaturą Pretorii powiewały kawałki białego płótna. Część alei była zablokowana przez rozbity wóz pancerny, z którego baków strzelały w niebo czerwone płomienie. Z włazu zwisało zwęglone ciało. Taylor odwrócił oczy i z trudem przełknął ślinę, czując smak żółci. Był przygnębiony widokiem otaczającej go śmierci i zniszczenia. Mimo wielkich strat, jego ludzie zwyciężali. Błyski karabinów automatycznych i maszynowych, znaczących linię walk, oddaliły się od kiedy spoglądał ostatnio w tamtą stronę. Mógł dostrzec jadącego wolno *Elanda*, zatrzymującego się od czasu do czasu, żeby ostrzelać jakiś budynek. Wokół pojazdu poruszały się małe figurki ludzi, chowając się chwilami za nim, lecz przez cały czas posuwając się do przodu. Lojaliści Vorstera oddawali teren, wycofując się na południe, w stronę Góry Stołowej. Taylor podniósł na nią wzrok. Spłaszczony wierzchołek górował nad najwyższymi drapaczami chmur Kapsztadu - olbrzymia masa poszarpanych skał zasnutych kłębamii białych obłoków. Powtarzające się serie czerwonych i pomarańczowych błysków na szczycie przypominały mu, że nie są to chmury, tylko efekt ostrzału artyleryjskiego. Zastanawiał się nad sytuacją. Jego artyleria strzelała ze wszystkiego, czym tylko dysponowała w stronę jaskiń i bunkrów znajdujących się w rękach wojsk rządowych, usiłując unieszkodliwić umieszczone tam śmiertelne armato-haubice G-5. Wysiłek ten wydawał się daremny. Umocnienia były zbyt silne, żeby zniszczyć je mogło nawet długotrwałe bombardowanie. Będą musieli wziąć górę szturmem. W kolejnych atakach zginie na pewno wielu ludzi. Problem był poważny. Z jednej strony, Taylor miał dosyć ludzi, żeby oczyścić miasto z wojsk Vorstera. Z drugiej, miał za mało piechoty, wozów pancernych i dział, żeby zdobyć Górę Stołową. Bitwa utknęła w martwym punkcie. On i jego wojsko mogą opanować Kapsztad, lecz artyleria lojalistów będzie kontrolowała z góry port i lotnisko. Taylor przypadł do ziemi - coraz więcej pocisków spadało na ogród, rozrywając drzewa i niszcząc szklarnie. W ciągu kilku sekund pył i dym, przyniesione wiatrem, ograniczyły widzialność do kilku metrów. Wycofał się szybko za wóz opancerzony i sięgnął po radiotelefon. Góra Stołowa będzie musiała poczekać. Miał teraz ważniejsze problemy na głowie. Zachodzące słońce zaczęło chować się za horyzontem. Nad ogarniętą wojną domową Afryką Południową zapadała noc.

## Ucieczka

- **11 listopada - Dowództwo 20. Batalionu Strzelców Przyłaskowych, Obóz Wojskowy Voortrekker Heights, okolice Pretorii**

Białe oślepiające światło lamp łukowych otaczało cały obóz wojskowy Voortrekker Heights. Wokół niego nie było drzew, krzaków czy choćby wysokiej trawy, które złagodziłyby ostre kontury nierównych wzgórz, czy pozwoliłyby ukryć się nadchodzącemu nieprzyjacielowi. Oślepiające reflektory i czyste pole ostrzału uniemożliwiały zaskoczenie głównej bazy wojskowej w Afryce Południowej. Jaskrawy blask przyćmiewał chłodne migotanie gwiazd na czystym niebie i ciepłą, złocistą poświatę lamp ulicznych i domów Pretorii. *Kommandant* Henrik Kruger odczuwał brak tego wszystkiego. Każda oznaka zwykłego codziennego życia byłaby miłą odmianą. Od czasu powrotu z frontu namibijskiego, ponad miesiąc temu, jego wyniszczony batalion został zamknięty w barakach położonych wśród pól ćwiczebnych, warsztatów naprawczych i parkingów obozu Voortrekker Heights. Jakiś wysoko postawiony idiota w Ministerstwie Obrony zakazał żołnierzom i podoficerom opuszczania bazy. On i jego oficerowie pozostali ze swoimi podwładnymi, by utrzymać więzy zaufania i przyjaźni, zawiązane w walce. Musiał jednak przyznać uczciwie, że miał także osobiste powody, żeby unikać Pretorii czy pobliskiego Johannesburga. Bał się, że sam widok tętniących życiem ulic, sklepów i restauracji może obudzić w nim bolesne wspomnienia krótkiego, lecz szczęśliwego okresu, jaki spędził razem z Emily Van der Heijden trzy lata temu. Zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że ich zaręczyny były głównie pomysłem ojca, ale miał wtedy nadzieję, że uda mu się przekonać ją do wspólnego życia. Teraz widział wyraźnie, jak naiwne były jego oczekiwania. Dzieląca ich różnica wieku, poglądów i zainteresowań była zbyt duża Kruger uśmiechnął się do siebie. Żył samotnie przez większą część dorosłego życia - zadowolony z przebywania w typowo męskim, zamkniętym świecie zawodowego wojska. Wydawało mu się ironią losu, że znalazł jedyną kobietę swojego życia - tylko po to, aby się przekonać, iż w jej sercu nie ma dla niego miejsca. Zacisnął dłonie na drewnianej poręczy werandy, aż pobiełały mu kostki. Tylko z wielkim wysiłkiem udało mu się przestać myśleć o dziewczynie i wrócić do spraw zawodowych. A teraz jeszcze ten kretyński pomysł zamknięcia ich w obozie. Najwidoczniej Vorster i jego poplecznicy muszą się bardzo obawiać, że zetknięcie się z polityczną opozycją i kłopotami ekonomicznymi może skłonić żołnierzy do przejścia na stronę przeciwnika. I w ten sposób wracających z wojny zmęczonych żołnierzy pozbawiono urlopów, przepustek na weekend czy choćby możliwości opuszczenia na krótko bazy, z jej wszystkimi rygorami życia wojskowego. Kruger puścił poręcz i wyprostował zdrętwiałe palce. Każdy, kto miał choć trochę więcej rozumu niż skretyniali urzędnicy Ministerstwa Obrony, mógł łatwo przewidzieć rezultaty takiego postępowania. Tygodnie krwawych walk i kolejne tygodnie ogłupiającej rutyny: musztry, ćwiczeń, musztry, drobiazgowych inspekcji i znowu musztry, spowodowały, że batalion niemal kipiał z niezadowolenia i ledwo skrywanej złości. Już kilkunastu weteranów zamknięto w areszcie za niesubordynację czy pijaństwo na służbie. Kruger ze złością walnął pięścią w poręcz. Wolałby już raczej, żeby kilku ludzi zdezerterowało, niż przyglądać się powolnemu rozkładowi tej, niegdyś tak dumnej, jednostki. Batalion przedstawiał obecnie mniejszą wartość bojową, niż pod koniec walk w

Namibii. Uzupelnienia dokonywały się niezmiernie wolno. a większości rezerwistów brakowało przeszkolenia, doświadczenia i ducha walki. Spoglądał na wzgórza, myśląc z coraz większą troską o sytuacji. Jego kompanie potrzebowały także ciężkiej broni i pojazdów. Wszystko, co ocalało z ich starego sprzętu, zostawili luzującemu ich w Namibii batalionowi. Żołnierzom obiecano możliwość wyboru nowych opancerzonych wozów transportowych, moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych. które podobno schodziły już z linii produkcyjnych zakładów zbrojeniowych ARMSCOR. Jak dotąd, niewiele mieli do wybierania. Strajki i brak wykwalifikowanych robotników zmniejszyły produkcję poniżej niezbędnego minimum. Na transporterach opancerzonych, którymi dysponował, mógłby przewieźć najwyżej trzy kompanie piechoty. Dwie pozostałe musiały jechać ciężarówkami lub iść pieszo. Wesołe śmiechy dochodzące z kwater oficerów zmieniły jego zatroskanie w narastający gniew. Mogło brakować czołgów, dział, wozów pancernych czy wyrzutni rakietowych, wszystkiego, oprócz dobrze ustosunkowanych młodszych oficerów. Przybywali do obozu całymi stadami, wtrącając się do wszystkiego. Sztab batalionu, któremu brakowało żołnierzy i broni, miał rozmiary bardziej odpowiednie dla sztabu brygady. Kruger nie miał wątpliwości, dlaczego Ministerstwo Obrony starało się nasłać mu aż tylu fanatyków. Mieli go pilnować - upewnić się, że on czy jego oficerowie nie zamierzają poprowadzić żołnierzy do rebeliantów. Myślał o nich z niechęcią. Nie przejmował się wcale ich szpiegowaniem - z tym mógł dać sobie radę. jednak nadmiar niedoświadczonych, tępych i aroganckich Afrykanerów był powodem konfliktów w batalionie. "Ulubieńcy Vorstera", jak ich nazywano, traktowali żołnierzy - z których większość pochodziła z Kraju Przylądkowego - jako potencjalnych zdrajców. Może się i zbyt nie mylili, pomyślał złośliwie, pamiętając wiadomości przekazane mu przez przyjaciół w ministerstwie. Były wręcz niewiarygodne. Cały Kapsztad płonął w ogniu buntu, który z szybkością pożaru rozprzestrzenił się na prowincję. Natal ogarnęła wojna partyzancka. Antyrządowe komanda przemierzały swobodnie Wolny Stan Orania i Transwal. W ciągu zaledwie kilku miesięcy zbrodnicza głupota Karla Vorstera zdołała rozerwać Afrykę Południową na strzępy. Podniósł spojrzenie do góry, przyglądając się nocnemu niebu nad niskimi wzgórzami na północy. Starał się dostrzec za nimi jakieś światła miasta. Nic. jedynie rażące wzrok lampy i patrolujące obszar wozy pancerne rzucające długie cienie. jednak nawet z tej odległości zauważył, że niektóre wozy mają wieże zwrócone w stronę baraków i magazynów z bronią. Uśmiechnął się ponuro. Lojaliści Vorstera nie chcieli ryzykować. Mieli rację. Kruger zaczął chodzić po ciemnej werandzie tam i z powrotem. Wielu jego przyjaciół przyłączyło się już do sił przeciwstawiających się władzy Vorstera. Wkrótce nadejdzie jego kolej. Już niedługo.

## • Johannesburg

Nieoznakowana furgonetka policyjna stała zaparkowana w wąskiej, bocznej uliczce, pomiędzy metaliczną Astrą i niebieską półciężarówką Toyota. Dwóch umundurowanych policjantów siedziało na przednich siedzeniach, rozluźniwszy krawaty i porozpinawszy kołnierzyki. jeden z nich, potężny mężczyzna o rzadkich, jasnoblonde włosach pił wolno kawę z plastikowego kubka. jego kolega, niższy i ciemnowłosy, westchnął i zgasił papierosa w popielniczce. Obaj mężczyźni ciężko przeklinali los, który obarczył ich tak beznadziejnym zadaniem.

- Mówię ci, stary, kapitan zwyczajnie zawziął się na nas. - Potężny mężczyzna machnął ręką, w której trzymał kubek i kilka kropel kawy prysnęło na kierownicę. - Co to za zadanie? jedziemy tu. jedziemy tam. Potem siedzimy całymi cholernymi godzinami. I po co to wszystko? Sam odpowiedział sobie na pytanie.

- Żeby jakiś cwany porucznik przyszedł i powiedział nam, że mamy jechać znowu gdzie indziej, właśnie po to. Niższy mężczyzna wyprostował się.

- Cholera, wywołałeś wilka z lasu! Baumann idzie. - Otworzył okno, obok którego stanął właśnie znacznie od nich młodszy, zarozumiały oficer w szaroniebieskim mundurze.

Porucznik pochylił się nad otwartym oknem.

- To właśnie to miejsce, chłopaki. jestem tego pewien. - Połowa z adresów została już skreślona z listy. - Rozmawiałem z sąsiadami, którzy mówią, że ktoś tam mieszka.

Wieczorem pali się światło. Zapach gotowania. Ktoś wyrzuca śmieci. Duchów nie ma, ktoś tam musi być. Wyższy policjant zastanawiał się. Nachylił się i sprawdził nazwisko zapisane koło adresu.

- Czy to nie może być ten drań Pakenham... poruczniku? Oficer zachnął się, ale po chwili się opanował i uśmiechnął. - Niemożliwe, Kowie. *Rooinek* od tygodni jest na służbie w Namibii. Sprawdziłem dziś rano. Niższy policjant szturchnął kolegę łokciem, aby się uciszył.

- To świetnie. - Wyprostował się i sprawdził pistolet. - Zgarniemy ich od razu?

- Tak będzie najlepiej. - Baumann cofnął się o krok i patrzył, jak wychodzą na chodnik, zdrętwiali po zbyt wielu godzinach siedzenia. - Z tego, co wiem, Pretorii bardzo zależy na tym facecie. Kowie przeczesał palcami rzadkie włosy i założył czapkę. - W porządku, poruczniku, niech pan zostawi to nam. Wyciągniemy tę świnię bez żadnych kłopotów. Zgadza się, Arrie? Jego kolega mruknął potakująco i upewnił się, czy pałka jest na swoim miejscu

\*\*\*

W mieszkaniu Briana Pakenhama stołowa lampka oświetlała dwoje ludzi siedzących na wytartej sofie. Ian Sherfield obejmował ramieniem Emily i czytał po raz szósty czy siódmy tę samą książkę. Emily wymamrotała coś niezrozumiałego i mocniej się do niego przytuliła. Pocałował ją w czoło i przewrócił kartkę, tłumiąc ziewnięcie. Cholera! jak zwykle, bohater powieści pominął najważniejsze wskazówki, nawet tego nie zauważając. Odłożył książkę i oparł głowę o sofę. To bardzo przyzwoite ze strony dawnego przyjaciela Emily, że zechciał odstąpić im swoje mieszkanie, ale wielka szkoda, że facet tak mało czytał. Na półce było pięć marnych powieści kryminalnych, przewodnik turystyczny i trzy szkolne podręczniki o polityce. Emily miała więcej szczęścia. Mogła od czasu do czasu wyjść choć na chwilę na dwór, żeby zrobić dla nich zakupy. On i Mathew Sibena byli uwięzieni w tym malutkim mieszkaniu - nie mogąc nawet pokazać się na ulicy - ryzyko rozpoznania było zbyt duże. Wiadomości, jakie Emily przynosiła z wypraw do pobliskich sklepów wskazywały, że nadal są na czele listy najbardziej poszukiwanych. Ciche chrapanie dochodzące przez otwarte drzwi jedynej sypialni wskazywało, że Sibena znowu zapadł w głęboki sen. Ian uśmiechnął się lekko. Młody Murzyn zaskoczył ich zdolnością spania w każdych okolicznościach i o każdej porze. Nie przeszkadzało mu ani poranne krzątanie, ani duszne popołudnia czy nawet podejrzenie cichej nocy. Amerykanin zazdrościł mu tego.

- Och! - Emily poderwała się, wystraszona.

- Zły sen? - Poglądził ją po ramieniu. Potrząsnęła głową.

- Nie, to nie to. - Nasłuchiwała przez chwilę. - Wydawało mi się, że coś właśnie słyszałam. Ostrożne kroki pod naszymi drzwiami. Podniósł głowę i słuchał przez chwilę.

- Nie wiem. Nic nie słyszę, Em... Potężny kopniak wyważył drzwi, które zawisły na jednych, wygiętych zawiasach. Na ułamek sekundy Ian poczuł, jak serce przestaje mu bić. Siedział nieruchomo, całkowicie zaskoczony.

- Policja! Policja! Nie ruszać się! Nikt się nie rusza! Mężczyźni w niebiesko-szarych mundurach wpadli do pokoju. Dwóch przebiegło koło sofy i rozdzieliło się, żeby przeszukać pozostałe pomieszczenia. Trzeci policjant zatrzymał się przed nimi, celując z *Browninga* między oczy Iana.

- Nie próbuj się ruszyć, bo rozwalę ci twój *blery* mózg. - Pistolet nawet nie zadrżał. - Ty jesteś amerykańskim dziennikarzem, Ianem Sherfieldem, czy tak? Ian nie mógł wykrztusić ani słowa, potwierdził tylko kiwnięciem głowy.

- Wobec tego aresztuję cię pod zarzutem szpiegostwa i złamania prawa stanu wyjątkowego.

- Mężczyzna nie krył triumfu. Ian zaczerwienił się, załamany, że dał się tak łatwo i szybko pojmać.

- Poruczniku! - jeden z policjantów wyszedł z sypialni, popychając przed sobą Matta Sibenę. Młody Murzyn wyglądał na oszołomionego, przerażonego i kompletnie zdezorientowanego. - Niech pan zobaczy, kogo znalazłem! Oficer spojrzął w tę stronę.

- Czarnuch? - Spojrzął z ukosa na Iana i Emily. Pewnie z ANC, co? Może wasz łącznik? Sibena wił się w mocnym uścisku potężnego mężczyzny.

- Nie! Nie jestem z ANC! Przysięgam, *baas!*

- Zamknij się *kaffirze* - Porucznik nadal mierzył w Iana. - No i co, jankesie? Ian spojrzął na



Emily, Sibenę i znowu na pistolet, pospiesznie oceniając szanse ratunku. W tej chwili nie mieli żadnej możliwości wyrwania się z tego cholernego potrzasku. Policjanci byli zbyt ostrożni i gotowi do działania. Przewaga, jaką dawała mu znajomość sztuk walki, które kiedyś trenował dla nabrania sprawności fizycznej, nie zda się na nic, jeśli policja uzna go za niebezpiecznego. Musiał odwrócić ich uwagę od siebie udając, że jest przerażony i niezdolny do działania. Wykrzywił twarz w grymasie pozornego lęku i płaczącym

głosem wyjącał: - Ma pan rację. To partyzant ANC. Mieli nas wyciągnąć z kraju. Emily wciągnęła mocno powietrze, ale nie powiedziała ani słowa. Sprytna dziewczyna, pomyślał. Zna mnie zbyt dobrze, żeby podejrzewać, że tak łatwo dałem się złamać. Rzucił oskarżycielskie spojrzenie oszołomionemu Mattowi

- Twoi ludzie zawiedli nas, towarzyszu! Niech mnie diabli porwą, jeśli pozwolę się zamknąć za nich! - Uważaj, Ian, powiedział sobie w myślach. Tylko nie przesadz.

- Dosyć tego. - Porucznik uśmiechał się usatysfakcjonowany. Później złożysz zeznania. Na razie siedź cicho. Trzeci policjant wrócił do pokoju.

- Mieszkanie jest czyste, poruczniku. Nikogo więcej tu nie ma. - Dobrze. - Oficer skinął pistoletem na aresztowanych. Podnieśli się ostrożnie. Sherfield nadal trzymał rękę na ramieniu drżącej dziewczyny. Ucisnął ją lekko, starając się dodać jej nieco otuchy. jeszcze nie wszystko stracone.

- Zabierzcie tych troje na posterunek. ja zostanę i poszukam dokumentów. - Porucznik schował pistolet i odsunął się o krok, gdy wyższy policjant popchnął Sibenę w stronę drzwi.

- I uważajcie na tego *kaffira*. Prawdopodobnie dobrze go wyszkolono. Wychodząc, z podniesionymi rękami, za Emily na korytarz, Ian uśmiechnął się skrycie. Został im jeszcze cień szansy. Może. tych dwóch policjantów nie będzie patrzeć w odpowiednią stronę w odpowiedniej chwili.

### • **Market Street, okolice John Vorster Square, Johannesburg**

Wnętrze policyjnej furgonetki zostało zaprojektowane z myślą o maksymalnej użyteczności, a nie o wygodzie pasażerów. Niższy z policjantów zajął miejsce za kierownicą, oddzielony od swojego partnera i więźniów przednim siedzeniem. Matthew Sibena siedział po prawej stronie, zaraz za kierowcą, chwiejąc się na boki, gdy samochód brał zakręty. Kajdanki krępowały mu ręce na plecach. Zwalisty policjant obok Murzyna nieustannie obserwował aresztantów. Na kolanach trzymał śrutówkę. Ian siedział naprzeciw strażnika, a Emily obok niego, po lewej stronie. Podobnie, jak Sibena, miał skute ręce, ale policjant nie skrępował rąk dziewczynie. Ian zastanawiał się, czy dlatego że policjant uznał ją za "bezbronną" kobietę, czy też ze względu na stanowisko jej ojca w rządzie. W każdym razie zwiększało to szansę ucieczki. Dotychczas jednak nie nadarzyła się ku temu żadna sposobność. O tej porze nocy ruch na ulicach miasta był nieduży, a prowadzący wóz policjant okazał się świetnym kierowcą. Bez błędnie udawało mu się zdążyć na każde światła, tak że wóz ani raz nie musiał się zatrzymywać. Ian czuł, jak zimny pot zrasza mu czoło i spływa po plecach. Czas uciekał nieubłaganie. Za pięć, najwyżej sześć minut znajdą się w silnie strzeżonej komendzie policji. Ian nie miał żadnych złudzeń co do przyjęcia, jakie tam ich spotka. Człowiek, który z zimną krwią kazał strzelać do swoich rodaków, nie okaże żadnej litości cudzoziemcowi, Murzynowi i oskarżonej o zdradę stanu kobiecie. W tych okolicznościach nawet ojciec Emily nie będzie w stanie jej ocalić. Ian wiedział, że ich pobyt w pokoju przesłuchań będzie wypełniony cierpieniem i zakończy się śmiercią. Jezu! Sama myśl, że Emily może zostać poddana torturom, była nie do zniesienia. Naprężył się, gotowy skoczyć na policjanta nawet w tej chwili. Może lepiej będzie zginąć w walce, niż dać się zaprowadzić bez oporu do tej rzeźni. Furgonetka ostro zahamowała. Nie mogąc podeprzeć się rękami, Sibena zatoczył się na przednie siedzenie, a potem do tyłu. Pozostali musieli wyczerpać siły, żeby nie pójść w jego ślady.

- Cholera, mamy tu małe kłopoty. - Kierowca był zdenerwowany. - Chyba jakaś *verdomde* manifestacja. Z zewnątrz dobiegało skandowanie, które przybierało z każdą chwilą na sile. Ian skręcił głowę, usiłując coś dostrzec przez przednią szybę. Ruch na Market Street został

zupełnie wstrzymany. Przed nimi uformował się potężny korek. Tysiące gniewnych demonstrantów kłębiło się przed posterunkiem policji. Nad tłumem powiewało kilkanaście sztandarów i plakatów, wznosząc się i opadając w rytm okrzyków.

- A niech to szlag! - Potężny policjant, trzymając w rękach strzelbę, podniósł się i stał pochylony, wyglądając przez okno. - Nigdy nie przedrzemy się przez ten burdel. Musimy spróbować cofnąć się... Ian spostrzegł upragnioną szansę. Poderwał się z ławki, starając się trafić głową w wystający podbródek strażnika tak, aby trzasnąć głową Afrykanera o metalowy sufit samochodu. Widział kiedyś coś takiego na filmie. Jedyne kłopot polegał na tym, że w rzeczywistości wymagało to doskonałego zsynchronizowania ruchów. Ian zbyt późno stwierdził, że źle obliczył dystans i czas. Wydawało się, że czas płynie wolniej. Policjant zauważył nagły ruch więźnia i szarpnął głową do tyłu, odsuwając się od niego; w tym samym momencie zatoczył śrutówką mały łuk. Ian wyrzucił głowę w metalową kolbę zamiast w podbródek. Oszołomiła go biała eksplozja bólu. Jezu! Potknął się o ławkę. Strażnik obrócił się w prawo, zamierzając uderzyć napastnika kolbą w odsłonięty żołądek. Zareaguj! Szybciej! Wyćwiczony refleks wyręczył spowolnione myśli. Wszystko wokół niego było zamglone i nieruchome, jak zatrzymany na siatkówce obraz pomiędzy mrugnięciami powiek. Przeciwnik, odchylając się w prawo z bronią cofniętą do uderzenia, oparł cały ciężar ciała na wyprostowanej lewej nodze. Doskonale. W jakimś zakątku umysłu Ian przypomniał sobie suchy, akademicki ton, mówiący: - Ludzkie kolano, panie Sherfield, jest niezwykle delikatnym mechanizmem. Energia kinetyczna i odpowiednie przyłożenie siły mogą wyeliminować z walki każdego człowieka, bez względu na to, jak jest duży i silny. Bez namysłu odchylił się raptownie do tyłu na lewej nodze, obracając się jednocześnie w lewo i unosząc zgiętą prawą nogę. Teraz! Kopnął z całej siły w dół. Prawa stopa trafiła kilka centymetrów powyżej kolana przeciwnika i pchnęła je w dół. Wyprostowana noga policjanta trzasnęła jak suchy kij. Potężny mężczyzna upadł na ławkę, wyjąc z bólu. Ian po zadaniu ciosu stracił równowagę wciąż ogłuszony bólem, przewracając się na tylne drzwi furgonetki. Widział jednocześnie, jak drugi policjant sięga po pistolet. Nie! Starł się obrócić wiedząc, że jest już za późno. Emily rzuciła się do przodu. Schwyciła upuszczoną przez policjanta strzelbę, przesunęła bezpiecznik i wycelowała broń w twarz kierowcy, zanim ten zdołał całkowicie wyciągnąć pistolet z kabury. Czas wrócił do swojego normalnego tempa.

- Niech pan mnie nie kusi, *meneer*. - Głos Emily był spokojny i lodowaty. - Nie zawaham się użyć tego. Kierowca zbladł i upuścił pistolet, jakby go parzył w rękę. Ian, posypany z bólu rozsadzającego mu głowę, odwrócił się do leżącego na podłodze strażnika. Nie sprawi już żadnych kłopotów. Afrykaner leżał zwinięty z bólu, ściskając rękami złamaną nogę. Matthew Sibena oparł mocno stopę na gardle policjanta, gotowy przycisnąć mocniej, w razie potrzeby. Sherfield poczuł, że tętno wraca mu do normy. Uśmiechnął się do dziewczyny i zaczerpnął powietrza.

- Jezu! Przypominaj mi, żeby nigdy cię nie denerwował podczas randki! Spojrzała na trzymaną kurczowo w rękach śrutówkę i jej twarz rozjaśnił nieco zawstydzony uśmiech.

- Mój ojciec nalegał, żeby zapoznała się z bronią, gdy jeszcze byłam dziewczynką. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że przyda mi się to do czegoś. Ian roześmiał się. Był pewien, że Marius van der Heijden nie byłby najszczęśliwszy wiedząc, w jaki sposób córka wykorzystała jego lekcje.

## • Kino dla zmotoryzowanych "Top Star", Johannesburg

Furgonetka stała samotnie w samym środku potężnej metropolii. Wokół rozciągał się na ponad sto metrów pusty obszar poplamionego olejem żwiru, jeśli nie liczyć rzędów drewnianych palików z przymocowanymi głośnikami. Olbrzymie ekrany kinowe i wysoki płot zasłaniały widoczność od strony najbliższych domów. Co ważniejsze, pociągi przejeżdżające po biegnących na południu torach i samochody jadące położoną na północy autostradą będą zagłuszały wszelkie hałasy czynione przez zamkniętych w furgonetce ludzi. Ian zatrasnął tylne drzwi wozu, ignorując przepełnione nienawiścią spojrzenie niższego policjanta. Drugi

leżał nieruchomo, nieprzytomny z bólu.

- Masz wszystko? Matthew Sibena skinął głową i pokazał zabrane policjantom pieniądze i karty identyfikacyjne. Amerykanin zauważył, że ręce młodego Murzyna nadal się trzęsą. No cóż, pomyślał, moje też.

- A ich broń? Matt wskazał na rdzewiejące pojemniki na śmieci ustawione obok kina dla zmotoryzowanych.

- Dobrze. - Sherfield sprzeciwił się zabraniu ze sobą pistoletów i strzelby, kiedy okazało się, że żaden z mundurów nie będzie na niego pasował. I tak będą wyglądali podejrzenie, nawet bez broni.

- Ian! Chodź, spójrz na to! Podszedł do niej. Emily stała w otwartych drzwiach szoferki, wskazując na kawałek papieru koło kierownicy.

- Mój Boże! Więc w ten sposób nas znaleźli!

- Hmm? - Ian spojrzał nad jej ramieniem na listę wypełnioną adresami i nazwiskami.

- Mój ojciec musiał im to przekazać. To wykaz wszystkich moich najbliższych przyjaciół. - Była poważnie zaniepokojona. Sądzisz, że mogą mieć jakieś kłopoty? Zamknął drzwi i odciągnął ją od furgonetki. Zajmijmy się na razie sobą. W jaki sposób możemy uniknąć kolejnego aresztowania? - Spojrzał uważnie na zegarek, starając się w ciemnościach odczytać godzinę. - Lada chwila zaczną szukać tego samochodu i znajdą go w ciągu kilku godzin, nawet gdy będziemy mieli szczęście. Sibena przyłączył się do nich. Wszystko gotowe. Drzwi są zablokowane i - pokazał zęby w uśmiechu, wskazując na klucze - pozostaną zamknięte jeszcze przez pewien czas. Sherfield poklepał go po ramieniu. Dobra robota, Matt. - Zawahał się i spojrzał na nich poważnie. Więc gdzie teraz? Sibena uśmiechnął się nieśmiało. - Może do Ameryki? Dowcip! Młody Murzyn właśnie powiedział dowcip! Ian zdumiał się. Zaledwie trzy miesiące przebywania z 'ludźmi, którzy traktowali go jak człowieka, a nie narzędzie na dwóch nogach i oto Matt był zdolny do żartów w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Szkoda, że Sam Knowles nie może tego zobaczyć. Klepnął Matta przyjacielsko w ramię.

- Może na razie powinniśmy wybrać coś bliższego. Oczywiście, tylko tymczasowo. Emily nerwowo kręciła na palcu kosmyk włosów.

- Myślę, że jest pewna osoba, która mogłaby nam pomóc w tej sytuacji. - Rzuciła Ianowi krótkie spojrzenie. - To może być jednak ryzykowne.

- Poczekaj chwilę. - Sherfield był ostrożny. - Pamiętasz listę swojego ojca? Nie możemy kontaktować się z żadnymi z twoich znajomych. To byłoby zbyt niebezpieczne dla nich i dla nas. Pokręciła głową, ale w ciemnościach nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy.

- Nie, Ian. Nazwiska człowieka, o którym mówię, nie ma na tej liście. - Jej głos zniżył się do szeptu. - Wcale też nie jestem pewna, czy zechce przyjść, kiedy do niego zadzwonię. Musiał się tym zadowolić, gdyż dziewczyna nie zamierzała powiedzieć niczego więcej.

## • 12 listopada - Cmentarz Braamfontein. Johannesburg

Słońce wznosiło się coraz wyżej. barwiąc atramentowo-czarne niebo na wschodzie mieszaniną bladej szarości i różu oraz ogrzewając powietrze i ziemię. Na cmentarzu Braamfontein wysokie drzewa, nagrobki i przysadziste krypty, które dotąd były jedynie ciemnymi cieniami w pomarańczowej poświacie miasta, zaczęły nabierać formy i koloru w miarę jak noc ustępowała dniu. Ian nie mógł powstrzymać ziewnięcia, wstał i rozprostował bolące stawy. Szybko rozejrzał się wokół. wypatrując oznak ruchu tam, gdzie go nie powinno być. Emily i Matt sprzeciwiali się wyborowi tego miejsca. Jednak przesady działały w obie strony. Któż by szukał żywych w królestwie zmarłych? Obrócił się, przyglądając się jeszcze raz uważnie terenowi przed sobą. Nagle zamarł. Samochód z włączonymi światłami jechał wolno biegnącą obok cmentarza drogą. Ian przypadł do ziemi, nasłuchując. Dźwięk silnika narastał. Emily przysunęła się do niego i wyszeptowała: - Myślę, że to człowiek, na którego czekamy. Kto inny mógłby przyjść tutaj tak wcześnie? Policja? Może właściciel zakładu pogrzebowego? -Ian wzruszył ramionami. - Niechęć Emily do wymienienia nazwiska tej tajemniczej postaci irytowała go i intrygowała zarazem. Zaryzykował wychylenie głowy. Samochód był tak blisko. że mógł rozróżnić szczegóły. Land Rover w oliwkowozielonym kolorze. Dziwne. Wóz zatrzymał się przy kutej bramie cmentarza. Emily

nie pewnie wstała. To on. To nie może być nikt inny. - Mężczyźni zaczęli się podnosić, ale kazała im się schować. - Wyjdziecie, kiedy wam powiem... nie wcześniej. Zgoda? Skinęli głowami i patrzyli, jak schodzi ostrożnie ze wzgórza. Ian poczuł, że znowu się poci z emocji. A jeśli zostali zdradzeni? Przyglądał się Land Roverowi zmrużonymi oczami, gotowy pobiec na ratunek, gdyby obawy miały się spełnić. Drzwi wozu otworzyły się i wysiadł wysoki, szczupły człowiek. Mężczyzna w mundurze wojskowym. Ian zeszytywniał, wstrzymując oddech. Emily nie uciekała jednak w panice - przynajmniej na razie. Podeszła do wysokiego na metr murku, który oddzielał cmentarz od ulicy i stanęła nieruchomo. Żołnierz zbliżył się do niej. Emily powiedziała coś, zbyt cicho, żeby mogli usłyszeć z tej odległości, a nieznajomy nachylił się i zaraz wyprostował. Ian zacisnął dłonie w pięści. Przez chwilę wydawało mu się, że nieznajomy zamierza objąć ją. O co tu, do diabła, chodziło? Kim był ten facet? Część jego umysłu drwiła z okazywanej właśnie zazdrości. To szaleństwo zważać na coś takiego, kiedy szuka ich połowa policji. Jednak głębsza, bardziej prymitywna strona jego psychiki pragnęła zejść na dół i stłuc na kwaśne jabłko tego cholernego żołnierza. Dokładnie. Ja Ian, ty Emily - moja kobieta. przypuszczalnie jednak ona nie byłaby zadowolona z tak jaskiniowego podejścia do miłości i wierności. Sygnał! - Sibena pociągnął go za rękaw. Ian spojrział w stronę bramy. Emily przywoływała ich, machając niecierpliwie ręką. Mimo podświadomej zazdrości, pierwsze wrażenie było całkiem pozytywne. Południowoafrykańczyk miał ostro zarysowaną szczękę, ogorzałą otwartą twarz i szare, inteligentne oczy. Ian przyspieszył kroku świadom, że idzie zbyt wyprostowany i nie wygląda to naturalnie. Zatrzymał się naprzeciw żołnierzowi - Ian i Matt, to *kommandant* Henrik Kruger. - Głos Emily zadrżał lekko, jakby chciała jeszcze coś dodać i nie znalazła sposobu na odpowiednie wyrażenie tego. Opanowała się po chwili. - Henrik, to moi dwaj przyjaciele, Ian Sheffield i Matthew Sibena. Przyjaciele? Ian skinął sztywno głową, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Kruger oddał ukłon. Żaden z nich nie wyciągnął ręki.

- Pan jest tym amerykańskim dziennikarzem, którego poszukuje policja? - Głos Krugera był głęboki, niemal melodyjny mimo afrykanerskiego akcentu. Taki głos łatwo można usłyszeć w bitewnym zgiełku, pomyślał Ian.

- Zgadza się. Południowoafrykańczyk zasepił się.

- Więc może powie mi pan, dlaczego miałbym ryzykować karierę i życie, żeby wam pomóc. Pani van der Heijden jest tej samej narodowości co ja - wystarczający powód, żeby udzielić jej pomocy... nawet gdyby nie było innych przyczyn. Kruger spojrział na Murzyna.

- Jednak ten człowiek jest moim wrogiem... a pan jest tylko

wtrącającym się w nie swoje sprawy *uitlanderem*. Dlaczego miałbym cokolwiek dla was robić? Ian zobaczył, że Emily drgnęła i położył rękę na jej ramieniu. To jego walka. Spojrzął Krugerowi prosto w oczy.

- Nie ma żadnego powodu, żeby pan to robił, *kommandant*. Absolutnie żadnego powodu. - Usłyszał westchnienie zdumionej dziewczyny. - Matt i ja postaramy się dać sobie radę sami. jednak musi mi pan obiecać, że ukryje pan Emily lub wydobędzie ją z kraju. Gniew uczynił jego głos ostrzejszym i nadał mu szorstkie brzmienie.

- Ale jeśli kiedykolwiek usłyszę, że złamał pan słowo lub ją skrzywdził, to dostanę pana w swoje ręce. Czy to jest jasne, *kommandant*? - Zamilkł, przestraszony, że zagalopował się za daleko. Nie mógł narażać życia Emily. Jednak na opalonej twarzy Krugera pojawił się wolno lekki uśmiech - rozciągając się od mocno zarysowanych ust do otoczonych siecią zmarszczek oczu.

- Wyraża się pan niezwykle jasno, *meneer* Sheffield. Oficer wyciągnął rękę.

- Wszyscy możecie liczyć na moją pomoc. - Pokręcił głową, jakby rozbawiony dowcipem zrozumiałym tylko dla niego. Niech Bóg dopomoże, ale mam widocznie słabość do romantycznych idiotów. Ian uściśnął wyciągniętą rękę, a Matt, po krótkim wahaniu, poszedł za jego przykładem.

- Co teraz? Kruger pomógł dziewczynie przeskoczyć murek i odsunął się na krok, umożliwiając im przejście. Położył dłoń na otwartych drzwiach Land Rovera.

- Teraz, *meneer*, znajdziemy dla was jakieś bezpieczne miejsce. Policja i szpiegzy Vorstera nie pomyślą nawet, żeby was tam szukać.

- A gdzie to będzie, sir? Twarz Krugera rozpromienił uśmiech. Jak to gdzie? W największej

## Zielone światło

- **12 listopada - Baza Zaopatrzeniowa nr 5, wzgórze w okolicy Pessene, prowincja Caza, Mozambik**

Zwłoki ułożono w równym rzędzie. Nawet ubrania zostały uporządkowane, ale nie sposób było zakryć miejsc poszarpanych przez pociski. Major Jorge de Sousa był wyraźnie poruszony. Widział wprawdzie nieraz zwłoki - całe setki, przeważnie zwykłych chłopów. Ci zabici nie zostali jednak zastrzeleni przez partyzantów RENAMO, lecz przez "sojuszników" - strzegących kubańskich zapasów, pomyślał rozgoryczony oficer. Zbudowano cztery takie składy zaopatrzeniowe, każdy schowany wśród porośniętych gęstymi krzewami wzgórz otaczających Pessene. W każdym z nich znajdowała się spora część żywności, paliwa i amunicji potrzebnych zmechanizowanym oddziałom piechoty i artylerii oraz kubańskim czołgom, napływającym od czterech tygodni do Mozambiku. Każdy skład był strzeżony przez pluton żołnierzy, składający się z Kubańczyków i Libijczyków. Oba wojska stacjonowały obok siebie, żeby stworzyć "braterską świadomość socjalistyczną". Przynajmniej tak twierdzili dowódcy. No cóż, chłodno pomyślał de Sousa, ci ludzie na pewno nie przypominali braci. Nawet teraz, gdy major de Sousa i porucznik Kofi usiłowali wyjaśnić przebieg wypadków, żołnierze rozdzielili się na wyraźne grupy narodowościowe. Na ziemi leżało pięć ciał: dwóch mężczyzn, dwie kobiety i kilkunastoletni chłopiec. Wszyscy wydawali się chorobliwie wychudzeni, niemal same szkielety odziane w szmaty zastępujące ubranie. Zostali zastrzeleni za próbę kradzieży pięćdziesięciokilogramowego worka z ryżem. Worek, podobny do setki innych, ułożonych w wysokie sterty w całej bazie, leżał teraz koło nich jako dowód przestępstwa. Najwidoczniej trzeba było aż pięciu osób, żeby go unieść. Kolejne świadectwo panującego głodu. Zajmujący się sprawą kubański porucznik wyjaśnił W nocy usłyszeliśmy hałas i wystrzeliliśmy racę. Wtedy dostrzeżliśmy tych złodziei, jak uciekają z ryżem i zaraz ich aresztowaliśmy. Potem ich rozstrzelaliśmy. - Uśmiechając się, wskazał na ciała, ale ręka szybko mu opadła, gdy de Sousa nie pospieszył z pochwałami ich sprawności. Major odwrócił się i podszedł do stojących w pobliżu Libijczyków. Ich mundury miały ten sam kolor khaki, ale inny krój i nosili czapki z daszkiem zamiast miękkich, obwisłych beretów Kubańczyków. Obie grupy żołnierzy były uzbrojone w karabinki AK-47. Ich przywódca, jeśli de Sousa dobrze odczytał libijskie dystynkcje, miał rangę sierżanta. Na jego ciemnej twarzy wiecznie malował się wyraz niezadowolenia. Nie mówiąc ani słowa, przyjrzał się krytycznie podchodzącemu do niego majorowi. W końcu, zmuszony ostrym spojrzeniem mozambickiego oficera, stanął na baczność i zaszalutował tak niedbale, że można go było oskarżyć o niesubordynację. De Sousa spróbował porozumieć się po portugalsku, następnie angielsku, nawet w języku Tsonga, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Jako muzułmanin z jednej z północnych prowincji Mozambiku, Kofi miał więcej szczęścia ze swoim arabskim. Sierżant zaczął odpowiadać na pytania porucznika. Kofi obrócił się do de Sousy.

Mówi, że ma rozkaz zastrzelić każdego, kto będzie próbował dokonać kradzieży. De Sousa westchnął ciężko. On sam rozkazał używać siły tylko wtedy, gdy będzie to konieczne. Ktoś musiał uzupełnić te rozkazy. Kiedy uczyniono go odpowiedzialnym za kubańskie zapasy, był pewien, że będzie ich bronić przed atakami partyzantów RENAMO, a nie swoich rodaków. Jednak wystraszeni uzbrojoną ochroną partyzanci trzymali się na bezpieczną odległość. Zamiast nich ściągały grupy przymierających głodem okolicznych wieśniaków przywabionych pogłoskami o olbrzymich zapasach jedzenia. W Mozambiku panował głód. Gdyby próbowano odpędzić wieśniaków, szybko wróciliby ich dwukrotnie więcej. Z kolei aresztując biedaków, trzeba byłoby ich żywić, korzystając z zapasów, których należało właśnie strzec przed zużyciem. Jeśli zaś wzięłoby się jedzenie z zapasów, kubańska kolumna mogłaby nie osiągnąć zamierzonego celu. Amerykanin na pewno nazwałby tę sytuację paragrafem 22, pomyślał de Sousa. Wzruszył ramionami. Amerykanie zawsze uważali, że każdy problem ma rozwiązanie. Jako Mozambijczyk wiedział, że jest to dalekie od prawdy. Ludzie w Maputo przyłączyli się do wielkiej, strategicznej rozgrywki Kuby. Oznaczało to, że każda ciężarówka, każdy wagon i każdy samolot przybywający do kraju przywozi zapasy dla kubańskich żołnierzy, a nie żywność dla ludności. Wieśniacy będą głodować, dopóki Kuba nie ukończy koncentracji wojsk i nie rozpocznie ofensywy. De Sousa rozkazał przekazać ciała do najbliższej wioski, wiedząc dobrze, że strażnicy kubańscy i libijscy najchętniej wyrzuciliby je gdzieś w krzaki poza zasięg wzroku i powonienia. Ta masakra była już trzecim takim incydentem. De Sousa chciał, aby także ostatnim, ale wątpił w to szczerze. Mógł tylko liczyć, że Vega wkrótce rozpocznie ofensywę, nie tylko po to, żeby pokonać Afrykę Południową, ale także po to, żeby zabrać głodującym wieśniakom całą tę żywność sprzed oczu. Jego spojrzenie powędrowało w stronę długich rzędów worków z żywnością, beczek z ropą, skrzynek z amunicją i stert pocisków artyleryjskich. Ukryta wśród okolicznych wzgórz Grupa Taktyczna Kubańskiej Brygady musi być już niemal gotowa. Jego przyjaciele w Maputo donosili mu, że napływ rosyjskich statków i samolotów transportowych wyraźnie zmalał w ostatnich dniach. Zwiększyły się za to inspekcje wysokich rangą oficerów - pewny znak zbliżających się działań. Dobrze, pomyślał, oddając salut strażnikowi, im prędzej ci "socjalistyczni bracia" się stąd wyniosą, tym szybciej odzyskamy nasz kraj dla siebie. Wsiadając do jeepa, który miał go zawieźć do kwatery głównej, de Sousa zastanawiał się, czy to kubańskie "lekarstwo" nie okaże się równie szkodliwe jak południowoafrykańska "choroba".

## • Wieczne wiadomości CNN

Reportaż z Windhoek przekazany przez satelitę miał wszystkie cechy dobrego programu dla głównych wiadomości: dogłębną analizę sytuacji wojskowej w Namibii, dokonaną przez doświadczonego dziennikarza, obraz zniszczonej wojną stolicy, a nawet ponury widok olbrzymiego czołgu T-62. Miliony widzów otrzymały realistyczny przekaz sytuacji, którą komentator nazwał „jednym z najdziwniejszych konfliktów wojskowych naszego stulecia”. Korespondent CNN w polowej kurtce koloru khaki, z zawieszoną na piersi plaketką identyfikacyjną, bardziej przypominał wojskowego niż zaciekawiona kubańska załoga T-62, usadowiona na szczycie wieży czołgu.

*Po tygodniach względnie otwartego współdziałania z zachodnimi środkami przekazu, armia Castro zaczęła ostatnio wykazywać oznaki nieufności. W portach i na lotniskach namibijskich znacznie wzmocniono kontrole. Wszystkie zezwolenia na przekazywanie wiadomości z pierwszej linii frontu zostały nagle cofnięte. Dowódca stale powiększającej się armii kubańskiej, generał Antonio Vega, stał się zupełnie nieosiągalny. Źródła zbliżone do*

*namibijskiego rządu podają, że generał znajduje się w swojej głównej kwaterze polowej gdzieś w otaczających stolicę górach.*

Reporter wskazał na stojący za nim czołg produkcji radzieckiej.

*Inne źródła donoszą o długich kolumnach czołgów, takich jak ten T 62, jadących na południe Namibii lub zaparkowanych w dobrze chronionych punktach zbornych. W stolicy każdy mieszkaniec zdążył już przywyknąć do ciągłego ryku olbrzymich rosyjskich samolotów transportowych, przywożących kolejne oddziały żołnierzy i większe ilości sprzętu do tego małego afrykańskiego kraju. Jedna rzecz wydaje się być pewna: przygotowania do długo oczekiwanej kontrofensywy kubańskiej są już w końcowym stadium. Mimo iż tylko Fidel Castro i jego generałowie znają dokładny dzień i godzinę, nikt nie wątpi, że żołnierze wkrótce pomaszczą na południe, starając się wyrzucić siły RPA z tego zniszczonego i krwawiącego kraju.*

Wypracowany przez Vegę plan zamydlenia oczu działał bez zarzutu. Zachodnie środki przekazu, jak i wywiad Afryki Południowej widziały to, co chciano im pokazać.

### • **Punkt Zborny nr 1, okolice Brakwater, Namibia**

Punkt Zborny nr 1 leżał schowany w szerokiej dolinie pomiędzy nagimi, skalistymi wzgórzami. Wokół ciągnęły się pola opuszczone przez właścicieli na rozkaz kubańskich sił bezpieczeństwa. Na zboczach niskich wzgórz rosnęły jedynie kilka wysuszonych karłowatych drzewek. Ciężki w tych warunkach był nieosiągalnym marzeniem. Przez obóz przebiegała autostrada łącząca Windhoek z Angolą. Cały obóz otoczony był wysokim na dwa metry ogrodzeniem z drutu kolczastego, z jedną bramą w miejscu, gdzie boczna droga łączyła się z autostradą. Za ogrodzeniem widać było szeregi namiotów i pojazdów pancernych. Pułkownik José Suarez, szef sztabu Kubańskiego Korpusu Ekspedycyjnego, siedział wolno wzdłuż obozu, a za nim podążała grupa podenerwowanych oficerów. Pułkownik był tak zmęczony, że zmuszał się do zrobienia każdego kolejnego kroku. Był na nogach od piątej rano, a poprzedniej nocy też nie spał więcej niż cztery godziny. Zarządzanie namibijską kampanią pod nieobecność Vegi, nawet na relatywnie spokojnym odcinku frontu, okazało się zadaniem więcej niż wyczerpującym. Pole bitwy i raporty wywiadu; spotkania sztabu, podejmowanie decyzji za decyzją. Jeszcze inspekcje takie, jak ta. Wszystko to pozbawiało go energii, nie dając żadnej szansy na odpoczynek. Suarez zamyslił się. Jeśli tak się czuł zaledwie po tygodniu tymczasowego dowodzenia, to jak Vega dawał sobie radę z obowiązkami o wiele poważniejszymi? Skąd ten starszy człowiek brał, zdawało się, niewyczerpane siły? Dziwiąc się nadal, pomyślał, że pewnie nigdy się tego nie dowie. Generał, jak większość dobrych dowódców, był skryty - nawet wobec najbliższych przyjaciół i podwładnych. Pułkownik przypomniał sobie, że musi skoncentrować się na własnych obowiązkach. Wyprostował się, wracając do prowadzonej inspekcji. Park maszynowy rozciągał się na powierzchni kilku akrów. Szeregi kanciastych pojazdów w kolorach piaskowych stały nieruchomo, a ich wygląd nawet z tej odległości był bez zarzutu. Suarez był zadowolony z tak udanych działań pozorujących. Podeszedł bliżej, żeby przyjrzeć się czemuś, co przypominało BTR-60. Kształt i wymiary zgadzały się z rzeczywistymi, ale kiedy stuknął palcem w pokrywę, okazało się, iż została wykonana z tworzywa sztucznego. Mimo iż makieta nie miała włazów czy wizjerów, z odległości stu metrów łatwo mogła ujść za BTR-60. Osiem kół zostało wykonanych z pomalowanych cementowych cylindrów, które zapobiegały zdmuchnięciu konstrukcji przez silny wiatr wiejący w dolinie. Suarez ruszył dalej, mijając kolejne rzędy plastikowych transporterów opancerzonych, czołgów T-62, dział, a nawet ciężarówek. Wszystkie makiety zostały wykonane w miejscowej

fabryce. Przywożone po trzy, cztery każdej nocy, miały stanowić dowód na to, że Kuba koncentrowała swoje siły na północ od Windhoek, co zaobserwowały amerykańskie satelity zwiadowcze i samoloty wywiadu Afryki Południowej. W górach wokół stolicy znajdowało się jeszcze sześć fałszywych punktów koncentracji i dwa prawdziwe. Ich zabezpieczenie było na tyle silne, na ile to było możliwe przy ograniczonych środkach przeznaczonych na ten cel. Powody były oczywiste. Gdyby Południowoafrykańczycy dowiedzieli się, że koncentracja wojsk kubańskich w Namibii obejmuje tylko jedną czwartą sił, zaczęliby zastanawiać się, gdzie się te wszystkie czołgi, żołnierze i działa naprawdę podziały. To mogłoby doprowadzić do katastrofy. Suarez miał nadzieję, że jego przywódcy polityczni wkrótce się zdecydują na podjęcie działań. Każdy dzień zwłoki zwiększał szansę na to, że nieprzyjaciel zorientuje się, jak bardzo go oszukano.

- **Bunkier Dowództwa Bezpieczeństwa Narodowego, przedmieścia Hawany, Kuba**

RAPORT DCI- POŁUDNIOWA AFRYKA #846 (POPRAWIONY)  
ŚCIŚLE TAJNE

STRESZCZENIE: otwarta rebelia wewnątrz południowoafrykańskich sił wojskowych, w połączeniu z reakcyjnym postępowaniem rządu i nieuniknioną dezintegracją polityczną, daje Kubie i jej sprzymierzeńcom znaczącą przewagę sił. W dodatku, wszelkie informacje potwierdzają sukces naszego planu dezinformacji aparatu wywiadowczego nieprzyjaciela...

Fidel Castro przerzucał strony raportu przygotowanego przez jego siatkę szpiegowską, mrużąc oczy w jaskrawym świetle lamp jarzeniowych. Wnioski, do których doszedł, potwierdzały jego najgłębsze przekonania. Biały reżim w Pretorii znajdował się na krawędzi przepaści. Nadszedł czas, żeby zadać mu ostateczny cios. Co jakiś czas podnosił wzrok na rząd zegarów zawieszonych wysoko na wzmocnionych, betonowych ścianach bunkra. Pierwszy z nich wskazywał czas lokalny, drugi czas w Moskwie, trzeci zaś został nastawiony na aktualny czas w Południowej Afryce. Wskazówki wszystkich zegarów pokazywały, że upłynęła kolejna godzina. Ciągłe nic! Łączący go z Moskwą teleks milczał. oficerowie sztabowi zebrani wokół stołu także milczeli. Castro przybrał groźną minę, ukrywając zadowolenie na widok reakcji swoich generałów, którzy w tym momencie szybko odwrócili spojrzenia - obawiając się, że absolutny władca Kuby zechce wyładowywać na nich swoją złość. Ustąpiło ono jednak szybko, gdy mijały kolejne minuty, a odpowiedź nie nadchodziła. Castro był coraz bardziej rozdrażniony przedłużającym się oczekiwaniem. Zaciśnął usta. Nieprzyjemny był już sam fakt, że musiał czekać na odpowiedź, jak jakiś żebrak. Otrzymanie policzka będzie jeszcze gorsze. Zagryzł nie zapalone cygaro, które zwisało mu z kącika ust. Ci głupcy na Kremlu stracili już niemal wszystko. Czy odrzucają teraz wspaniałą szansę odbudowania swojej ekonomicznej i politycznej potęgi? Wydawało się to niemożliwe. Oczywiście, wiele z tego, co się zdarzyło w ciągu ostatnich lat, wydawało się kiedyś niemożliwe. Teleks zaczął nagle pracować, wystukując wiersz po wierszu zakodowaną przed sekundami w Moskwie wiadomość i teraz dekodowaną za pomocą techniki komputerowej "pożyczanej" od Amerykanów. Castro powstrzymał z trudem chęć podejścia do maszyny. To nie byłoby właściwe. Siedział nieruchomo zmuszając się do cierpliwości, gdy kartka z wiadomością była przekazywana z rąk do rąk, według rosnącej rangi, aż w końcu trafiła na jego biurko. Przywódca Kuby przebiegł wzrokiem odpowiedzi i po chwili przeczytał ją jeszcze raz, bardzo uważnie. W bunkrze umilkły wszelkie rozmowy i spekulacje. Słysząc było jedynie szum wentylacji. W końcu Castro podniósł wzrok znad kartki, rozglądając się za oficerem łączności.



- Czy macie bezpośrednie połączenie z kwaterą generała Vegi? - Tak jest, panie prezydencie.
- Dobrze. - Castro przysunął do siebie notatnik, przełożył cygaro z jednego kącika ust do drugiego i zaczął pisać. Szybko skończył, wyrwał kartkę i trzymając ją w grubych palcach, podał oficerowi.
- Zakodujcie to i wyślijcie natychmiast. Po tygodniach zwlekań i niepewności Moskwa w końcu dała zielone światło planowanej przez Vegę ofensywie. Południowoafrykańscy biali kapitaliści poznają wkrótce bezwzględna wojnę.

### • **Kubański Korpus Ekspedycyjny, Rutenga, południowe Zimbabwe**

Kilkudziesięciu oficerów tłoczyło się w parnym i rozgrzanym namiocie sztabu. Reprezentowali różne rodzaje służb: siły operacyjne, powietrzne i lądowe, zaopatrzenie, wywiad, wydział polityczny, inżynierię wojskową i inne. Większość z nich stanowili Kubańczycy, ale można też było dostrzec kilka mundurów libijskich, zimbabwejskich i dowódców ANC.

- Baczość! Generał Antonio Vega wszedł do namiotu i zbliżył się szybkim krokiem do małego podium na jego końcu. Na ścianie za nim wisiała olbrzymia mapa południowej Afryki. Przez kilka chwil przyglądał się zebranym oficerom, wreszcie zabrał głos.

- Towarzysze, nie będę tracił czasu na niepotrzebne przemówienia. Rosja wyraziła zgodę na ofensywę i obiecała dalsze wsparcie. Rozpoczynamy jutro o świcie.. Podniecone szepty obiegły cały namiot. Większość uczestników narady nie wierzyła, że otrzymają zezwolenie na wprowadzenie w życie tego ambitnego i śmiałego planu. Vega podniósł rękę i wszystkie głosy ucichły. Nie mam zamiaru zapomnieć, ile kubańskiej krwi zostało przelane przez zwłokę Rosjan. Teraz jednak są z nami - podobnie, jak nasi libijscy i afrykańscy przyjaciele. Pójdziemy razem do walki, jako prawdziwi towarzysze broni. Wskazał dłonią na mapę. Zaatakujemy według planu. Nie ma więcej mowy o zmianach, opóźnieniach czy pomyłkach. Porozumiałem się już z pułkownikiem Suarezem. O godzinie pierwszej w nocy nasze siły w Namibii zwiążą w walce trzykrotnie silniejszą od nich armię południowoafrykańską. Zrobią to, żeby dać nam czas na tym froncie. Naszym zadaniem jest sprawić, aby ich poświęcenie nie poszło na marne. Głos Vegi nabrał mocy. Wszyscy widzieliście raporty wywiadu. Zbrodniarze w Pretorii są atakowani przez opozycję oraz skłóćeni między sobą. Nie powinniście mieć więcej wątpliwości. Ci aroganccy Afrykanerzy będą dla nas łatwym łupem. Nasi towarzysze z ANC są gotowi poprowadzić swoich braci do walki o wolność. Afryka Południowa dojrzała do oswobodzenia. Stoimy na progu zwycięstwa. Zwycięstwa dla Kuby. Zwycięstwa dla wszystkich uciskanych ludzi na całym świecie. Zwycięstwa socjalizmu! Z głęboką satysfakcją patrzył, jak jego słowa dodają dumy i pewności siebie zebranym w namiocie podwładnym, przejętym poczuciem ważności tej chwili. Lata wyrzeczeń i wątpliwości niemal zniszczyły Kubę i jej sprzymierzeńców. Jednak to wszystko pójdzie w niepamięć, gdy jego czołgi triumfalnie wjadą do Pretorii.

### • **Grupa Taktyczna Pierwszej Brygady, okolice Bubi, Zimbabwe**

Grupa Taktyczna Pierwszej Brygady była ulokowana w kilku zamaskowanych obozach otaczających małe miasteczko Bubi sześćdziesiąt kilometrów na południe od Rutengi i sześćdziesiąt kilometrów na północ od Beitbridge, miasta położonego nad rzeką Umpopo. Potężna, szarozielona i zamulona Umpopo tworzyła granicę pomiędzy Zimbabwe i RPA. Tysiące żołnierzy i setki pojazdów ruszały właśnie z kryjówek - małych zagajników, płytkich okopów przykrytych wyschłymi gałęziami i siatkami

maskującymi oraz zarekwirowanych budynków. Włączone silniki ryknęły przez chwilę pełną mocą, gdy kierowcy dodali gazu i zaraz wróciły do normalnego warkotu. Sprawnie wypełniając wykrzykiwane rozkazy, piechota formowała szyki i czekała cierpliwie, aż będzie mogła zająć miejsca w transporterach opancerzonych. Spod maskujących siatek wytoczono kilka helikopterów *Mi-24 Hind*, które z głośnym wyciem turbin czekały na start. Cysterny z oblanymi olejem napędowym obłymi bokami podjeżdżały od jednostki do jednostki i napełniały baki potężnych czołgów *T-72*, transporterów opancerzonych *BTR-60* i bojowych wozów piechoty *BMP-1*. Za cysternami podążały ciężarówki z amunicją. Załogi czołgów krzątały się koło kolosów, sprawdzając oprzyrządowanie, silniki i gaśnice. Inżynierowie i personel medyczny także dokonywali ostatniego przeglądu sprzętu. Żołnierze brygady błyskawicznie otrząsnęli się z letargu spowodowanego tygodniami zamknięcia i bezruchu. Ostatnie rozkazy wyprowadziły grupę taktyczną na drogę i setki wozów zaczęły tworzyć wielokilometrowy konwój poruszający się wolno na południe, w stronę przeprawy przez Umpopo. Pierwsza z sił uderzeniowych Vegi zostawiła za sobą jedynie opuszczone obozowiska, rdzewiejące druty kolczaste i porwane gaśnicami pola.

- **Grupa Taktyczna Drugiej Brygady. okolice Pessene. Mozambik**

Chmury pyłu mieniące się czerwienią w promieniach zachodzącego słońca wisiały nisko nad wzgórzami, tworząc gęstą smugę nad biegnącą na zachód drogą. Odgłosy silników odbijały się echem od wzgórz, jak nie kończący się grzmot burzy. Major Jorge de Sousa stał na poboczu drogi, patrząc z podziwem na setki kubańskich czołgów, ciężarówek i innych pojazdów kierujących się w stronę Afryki Południowej. Nigdy jeszcze nie widział tak potężnych sił skoncentrowanych w jednym miejscu. Od czasu do czasu nad kolumną przelatywało kilka śmigłowców, potęgując ogłuszający hałas. Major stanął na baczność, gdy mijał go *T-72* z dowódcą, pułkownikiem porucznikiem, salutującym niczym na paradzie na Placu Rewolucji w Hawanie. Za nim jechały kolejne czołgi. Dziesięć. Dwadzieścia. Trzydzieści. De Sousa stracił rachubę. Zaraz za nimi wozy jednostek inżynierskich przewoziły specjalne konstrukcje mostów pontonowych i sprzętu do oczyszczania pól minowych. Następnie transportery opancerzone z piechotą, samobieżne działa przeciwlotnicze *ZSU-23-4* i ciężarówki z amunicją, żywnością i paliwem. Major był w euforii. Wszystko wydawało się dziwnie nierealne, jak we śnie. Nie przypuszczał nawet przez chwilę, że jego poranne wrażenie spełni się tak szybko. Wszystkie podejrzenia co do prawdziwych zamiarów Kuby i jej możliwości zniknęły, kiedy patrzył na ten pokaz siły.

- **Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady. okolice Bulawayo. Zimbabwe**

Jeszcze nigdy tory stacji kolejowej w Bulawayo nie były tak zatłoczone. Setki lor, wagonów pasażerskich i transportowych, ciągniętych przez kilkadziesiąt lokomotyw przejeżdżały wolno obok nieczynnych zakładów mięsnych, fabryk samochodów, tkalni. W regularnych odstępach ze stacji odjeżdżały kolejne składy i kierowały się na południowy zachód w stronę neutralnej Bostwany, jadąc ze stałą prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Kanciaste kształty wozów pancernych i dział załadowanych na otwarte wagony okryte były płótnem maskującym. Kubańscy żołnierze wypełniali każde wolne miejsce w wagonach pasażerskich. Na dachach wagonów towarowych zajęły stanowiska załogi karabinów maszynowych i dział przeciwlotniczych. Zwiadowcy i grupy komandosów zajęli już wyznaczone miejsca.. wzdłuż granicy z Botswaną. Jeśli okaże się to konieczne, przy użyciu siły zabezpieczą

swobodny przejazd pociągów wiozących Grupę Taktyczną Trzeciej Brygady na północno-zachodnią flankę w RPA. Było to jednak mało prawdopodobne. Na małą armię Bostwany składało się tylko kilka oddziałów policji. Trzecia kubańska grupa uderzeniowa znajdowała się w drodze.

### • Dowództwo Kubańskiego Korpusu Ekspedycyjnego

Generał Antonio Vega stał obok stołu z mapami w namiocie dowodzenia i słuchał przez radio raportów od swoich trzech grup taktycznych. Niżsi oficerowie krzżeli się po namiocie, zajęci nanoszeniem na mapę pozycji każdej kolumny. Na papierze każda grupa taktyczna miała rozmiary brygady z trzema batalionami piechoty zmechanizowanej, batalionemczołgów i batalionem artylerii. jednak dołączone do nich oddziały obrony przeciwlotniczej, zwiadowcze i zaopatrzeniowe czyniły z nich małe dywizje. Wedze udało się zająć Walvis Bay przy użyciu grupy taktycznej o rozmiarach batalionu. Obecnie planował użycie trzech sił, każdej z nich pięciokrotnie większej od batalionu, do zaatakowania Afryki Południowej. Uśmiechnął się zadowolony, patrząc na mapę. Ponad pięćdziesiąt tysięcy Kubańczyków i sprzymierzonych zbliżało się do praktycznie nie osłoniętych granic RPA Jasne było, że wszystkie jego poczynania nie mogły zostać nie zauważone.

### • Dowództwo Wywiadu Wojskowego Afryki Południowej, Pretoria

DWN WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI  
ŚCIŚLE TAJNE

CZAS: 210112 Listopad OD: DWN Północ DO: DWN Pretoria

1. Agent N13 donosi, że dziś rano około godziny 0900 czasu lokalnego widział generała Antonio Vegę w Rutendze, Zimbabwe, w czasie lustracji miejscowego garnizonu. Agent donosi także o zwiększonej aktywności, w tym o zaobserwowaniu żołnierzy w nie znanych agentowi mundurach. Według opisu, żołnierze ci mogą pochodzić z krajów arabskich.

2. Zrobiony przez agenta film zostanie dostarczony nie później niż o godzinie 1800, 13 listopada.

3. Agent otrzymał polecenie dalszej obserwacji.

Major Willem Metje stał w drzwiach, blokując je swoją osobą i uniemożliwiając przełożonemu opuszczenie gabinetu.

- *Kolonel*, nie mogę pozwolić panu na pokazanie tej wiadomości generałowi de Wetowi. To niemożliwe! To zbyt nieprawdopodobne, żeby w to uwierzyć!

- Nie może mi pan pozwolić, majorze? - powtórzył pułkownik Magnus Heerden z pogardą. W jego głosie mieszało się krańcowe zdumienie i narastająca wściekłość. - ja jestem szefem tej sekcji. Czy mam panu przypomnieć o rangach wojskowych w Siłach Obrony? Metje milcząc, pokręcił nieustępliwie głową.

- Majorze, ma pan prawo do swojego zdania. Przyznaję też, że zawsze jest miejsce na różne opinie w pracy wywiadu, ale zapomina pan, że ja tu dowodzę. Nawet jeśli pańska ocena tych raportów jest słuszna, w co wątpię, to nasi przełożeni mają prawo się z nimi zapoznać. - Heerden spojrział na kilka przekazów, które otrzymał zaledwie dziesięć minut wcześniej.- Proszę posłuchać tego: wywiadowcy RENAMO donoszą o kolumnie wozów pancernych jadących w stronę naszej granicy z Mozambikiem. Kolumnie składającej się z co najmniej pięćdziesięciu pojazdów, wliczając w to czołgi i działa przeciwlotnicze! i jeszcze to! - Heerden przewrócił kolejną stronę. - jeden z naszych agentów widział generała Vegę w Zimbabwe. Co on tam może robić w przededniu planowanej olbrzymiej ofensywy w Namibii? - Pokręcił głową.

- Mówię ci, Willem, te raporty mogą oznaczać tylko jedno. Castro planuje wielką ofensywę, ale na nasze granice z Mozambikiem i Zimbabwe, a nie w Namibii. Jesteśmy w zagrożeniu.

- Pułkownik... Prezydent i generał de Wet są przekonani, że kubańska ofensywa będzie miała miejsce w najbliższym czasie w Namibii. Oficjalne oceny naszego sztabu przewidują atak w sile dywizji od strony Windhoek. - Wskazał z pogardą na trzymane przez Heerdena papiery. - Te raporty muszą się odnosić do ataków dywersyjnych wroga. Młodszy mężczyzna nie krył swojego protekcjonalnego tonu i Heerden poczuł, że krew się w nim burzy.

- Niech to diabli, wiem w jaki sposób powstają "oficjalne oceny" de Weta, nawet jeśli sztab pominął moje raporty przy ich tworzeniu. jednak nie oznacza to, że powinniśmy lekceważyć nowe doniesienia. Metje pokręcił głową z widocznym współczuciem. Obawiam się pułkownikowi, że sztab ignoruje pańskie oceny, ponieważ uznano, że został pan zwiedziony przez kubański plan dezinformacji. Heerden zaniemówił ze zdziwienia. Major kontynuował bezlitośnie. W rezultacie, generał de Wet i jego sztab używali innych źródeł w ostatnim czasie. Zdecydowano, że jest pan... - zawahał się na chwilę - niewiarygodny. Heerdena nurtowało mnóstwo pytań. Pierwsze z nich odzwierciedlało zawodową ciekawość oficera wywiadu. Więc skąd biorą swoje oceny sytuacji? Metje uśmiechnął się skromnie. Ode mnie. Pułkownik patrzył na niego w milczeniu, całkowicie zaskoczony tą szczerością. Metje mówił dalej- jak pan widzi, pułkowniku, już oceniłem te raporty, które pan uznał za tak ważne. - Machnął lekceważąco ręką. - Nie są niczym innym niż kolejną dezinformacją ze strony Kubańczyków. Heerden przysiadł ciężko na brzegu biurka.

- Kiedy je pan widział?

- Jakąś godzinę temu.

- Rozumiem. - Pułkownik przygarbił się z rezygnacją. - Więc już nie mam tu nic do roboty.

- Nie... raczej nie. - Metje znacząco zrezygnował z wymieniania jego rangi. Heerden podjął szybką decyzję i rzucił raporty na biurko. Westchnął ciężko, najwidoczniej wyczerpany i sięgnął po swoją czapkę.

- W takim razie, myślę, że pójdę do domu, majorze - powiedział znużonym głosem. Metje skinął głową i cofnął się o krok.

- Jestem przekonany, że to bardzo rozsądna decyzja - powiedział lekceważąco i triumfalnie wyszedł z pokoju. Heerden przyglądał mu się spod zmrużonych powiek. Następnie rozejrzał się po pokoju, czy czegoś nie będzie potrzebował. Nie zauważył niczego. Zamknął drzwi, włożył czapkę pod pachę i ruszył w przeciwnym kierunku niż Metje. Nie było sensu iść do domu. Nie ułatwi roboty tym draniom w brązowych koszulach z *Brandwag Vorstera*. Będzie musiał zadzwonić do żony i dzieci z budki. Mogą się spotkać w jakimś rzucającym się w oczy miejscu, na przykład koło pomnika Bothy w parku przy Church Street. Kiedy rozkaz jego aresztowania zostanie przekazany w odpowiednie ręce, on i jego rodzina będą już w drodze do Kapsztadu. Zaczął w pamięci robić listę rzeczy, które Greta ma zabrać z domu. Ubranie cywilne dla niego i wszystkie mapy. Będzie także musiała zatankować samochód do pełna i wziąć zapasowy kanister. Uśmiechnął się. Na szczęście, pozycja oficera uprawniała go do dodatkowych przydziałów benzyny. Wyszedł z budynku w pogodny wieczór. Orzeźwiło go chłodne powietrze, a widok ulicy i jej odgłosy sprowadziły nowe myśli. Idąc do budki telefonicznej na rogu, zastanawiał się, czy podjął słuszną decyzję. Jego kariera w armii była skończona. Wykończyli go politycy w brązowych koszulach. Ale czy usprawiedliwiało to czyn, który większość ludzi nazwałaby zdradą? Czy powinien się przyłączyć do wojny domowej po - przegrywającej być może - stronie? Czy nie powinien zostawić rodziny tutaj, z dala od niebezpieczeństwa? Nic by im tu nie groziło. Siły bezpieczeństwa Vorstera szukałyby tylko jego. Zatrzymał się z ręką na

telefonie, nagle niezdecydowany. Pokręcił gniewnie głową. Jego rodzina nie byłaby wcale bezpieczna. Nawet jeśli de Wet i ci głupcy mu nie wierzą, wiedział dobrze, co się musi stać. Widział dowody, które jedynie idiota czy ślepiec albo Willem Metje mógł zignorować. Co najmniej dwie kolumny w sile brygady zbliżały się od północy i wschodu - celując w samo serce kraju - w centrum administracyjne i przemysłowe. A Afryka Południowa nie miała praktycznie żadnych możliwości, żeby powstrzymać ten atak. Każdy żołnierz wart tej nazwy znajdował się w górach na południe od Windhoek lub rozbijał głowy demonstrantom w miastach lub - Heerden przypomniał sobie nagle - przyłączył się do rebelii przeciw rządowi, który zamierzał doprowadzić do zguby własny naród. Podniósł słuchawkę i wykręcił domowy numer. Kiedy usłyszał głos żony, powiedział szybko:- Greta, słuchaj uważnie. Nie mogę długo mówić... Na dziesięć godzin przed przekroczeniem granicy przez czołgi Vegi Afryka Południowa straciła szefa wywiadu wojskowego.

## 23

### Afrykanerski koszmar

- **13 listopada, Dowództwo SADF, Pretoria, RPA**

Zaskoczenie wroga jest pierwszym celem każdej operacji wojskowej. Przy dostatecznie wczesnym ostrzeżeniu, dobrze przygotowana armia może się obronić nawet przed kilkakrotnie silniejszym przeciwnikiem. Gotowy do walki obrońca będzie miał czas na odpowiednie przemieszczenie swoich sił, powołanie rezerwistów czy zmianę taktyki walki. Zaskoczenie uniemożliwia to wszystko, wykluczając zorganizowaną obronę. Daje atakującemu inicjatywę, pozwalając mu wybrać miejsce i tempo walki oraz zmuszając ofiarę do reagowania - często w sposób dający się przewidzieć. Jeśli jednak reakcje strony broniącej się są niemożliwe do przewidzenia - wówczas może ona przejąć inicjatywę i cały cykl zaczyna się od początku. Zaskoczenie zapewnia także jeszcze jeden efekt. Kiedy dowódca staje wobec niespodziewanej sytuacji, potrzebuje więcej czasu na podjęcie decyzji, ale musi wtedy odrzucić wszelkie uprzedzenia, wszelkie błędne oceny, które spowodowały, że w ogóle dał się zaskoczyć. Jeśli będzie zwlekał zbyt długo, przeciwnik zaatakuje zdeorganizowane i pozbawione przywództwa siły - stawiając dowódcę wobec nowych problemów, zanim udało się rozwiązać stare. W rezultacie następuje paraliż dowódczy, coś w rodzaju szoku i poczucia beznadziejności poczynań, który spowodował przegranie wielu bitew i wojen. Najlepsi dowódcy, "wielcy kapitanowie" historii to ci, którzy "zachowali głowy, kiedy wszyscy inni je potracili". Nowo promowany *kommandant* Willem Metje z trudem powstrzymał się od ziewnięcia, przyglądając się swoim oficerom sztabowym nanoszącym ruchy wojsk na mapę Namibii. Migotliwe światło lamp jarzeniowych nad

głową i brak snu przyprawiły go o ból głowy, którego nawet radosne poczucie triumfu nie mogło przewyciężyć. Sztab główny de Weta pracował od północy, zasypywany sprzecznymi ze sobą i niepełnymi raportami o partyzantach ANC i oddziałach komandosów kubańskich atakujących w Namibii i wzdłuż całej północnej granicy RPA. Kilka mniejszych incydentów - granat rzucony na posterunek policji i tajemnicze przecięcie linii telefonicznych z Voortrekker Heights - spowodowały pierwszą zdecydowaną reakcję de Weta: powołanie większej liczby żołnierzy do ochrony kwatery głównej. Metje pomyślał z niezadowoleniem, że jak na tak mizerne rezultaty, to wszystko wymaga zbyt wiele wysiłku. Przynajmniej w Namibii sprawy rozwijały się szybko. Dowódcy na froncie donosili o ciężkich atakach z powietrza, ostrzale artyleryjskim i atakach piechoty - wszystko koncentrowało się w okolicy miasteczka Dordabis. Mimo iż wysunięte bataliony południowoafrykańskie zużywały olbrzymie ilości amunicji, z dużą łatwością utrzymywały swoje pozycje. Potężna ofensywa Castro załamywała się. Wysoki, siwy Adriaan de Wet podszedł bliżej i klepnął silnie Metje po ramieniu.

- Moje gratulacje Willem. Kubańczycy postępują dokładnie jak, jak przewidziałeś. Młodszy mężczyzna uśmiechnął się lekko, powstrzymując się od rozmasowania ramienia. Wszelkie wyrzuty sumienia, jakie mógł mieć w związku z przygotowaniem upadku pułkownika Heerdena, zniknęły bez śladu pod wpływem tej pochwały. De Wet podprowadził go do leżącej na stole mapy.

- Teraz pozwolimy nieprzyjacielowi, żeby jeszcze trochę porozbijał głowę o nasze zapory, co? Metje skinął głową. Generał chciał mieć pewność, że jego podwładni całkowicie się z nim zgadzają. De Wet nachylił się nad stołem. A kiedy się już porządnie wykrwawia, uderzymy na nich! I to wszystkimi siłami! Oficerowie znajdujący się w pobliżu pokiwali głowami z niezachwianym entuzjazmem. Oczy de Weta świeciły się z podniecenia, kiedy wskazywał jednostkę ustawioną przy głównej drodze wiodącej do Windhoek. 81. Brygada pancerna powinna przebić się przez ich linię w ciągu kilku najbliższych godzin! Po laniu, jakie Kubańczycy otrzymują pod Dordabis, nie mogą mieć więcej czołgów, żeby nas powstrzymać! Wszyscy skinęli głowami. 81. Brygada świetnie nadawała się do takiej roboty. Jej dwa pancerne i dwa zmechanizowane bataliony posiadały niemal wszystkie czołgi *Olifant* znajdujące się w uzbrojeniu armii. Czołgi i transportery opancerzone zostaną podczas ataku wsparte ogniem z ponad pięćdziesięciu haubic G-S i G-6 kalibru 155 mm. Osłabione siły Kuby nie będą mieć żadnych szans oparcia się takiemu uderzeniu. Długa wojna w Namibii może zostać zakończona w ciągu kilku tygodni. De Wet i jego sztab opracowywali już plan kontrataku, promieniejąc chwałą oczekiwanego zwycięstwa.

- **Przejście graniczne Komatipoon, dolina rzeki Crocodile, na zachód od granicy Mozambiku**

Na lesistych równinach oddzielających Południową Afrykę od Mozambiku wiosenne dni zawsze były wyjątkowo gorące i parne. Także i ten dzień, mimo iż dopiero się rozpoczynał, zapowiadał się niezwykle upalnie. Nad sadami cytrusowymi, plantacjami trzciny cukrowej i leniwie toczącymi się na wschód wodami rzeki Crocodile zawisła gęsta, wilgotna mgiełka. Autostrada nr 4 łącząca Johannesburg z Maputo była pusta, jak okiem sięgnąć. Wysoko nad głowami, w nieruchomym, ciepłym powietrzu krążyły leniwie ptaki, rozpościerając skrzydła, żeby wykorzystać najsłabszy prąd wstępujący powietrza. Jedyne ruch można było zaobserwować obok małego, drewnianego budynku leżącego przy autostradzie, jakieś pięćdziesiąt metrów od słupa granicznego. Łopaty i kilofy wznosiły się do góry i opadały w jednostajnym rytmie, gdy mężczyźni w pełnym ekwipunku bojowym kopali rowy strzeleckie. W kraju tak niespokojnym, jak Afryka Południowa, strażnicy graniczni nie byli znudzonymi

policjantami szukającymi kontrabandy, ale prawdziwymi żołnierzami. Dowódca posterunku granicznego Komatipoort, siwowłosa sierżant Uwe Boshof, odłożył łopatę na bok i dysząc ciężko, opadł na krawędź wykopanego właśnie okopu. Jego koszula w kolorze khaki z krótkimi rękawami była mokra od potu - ciemne plamy widniały pod pachami i na szerokich plecach. Sierżant był wysokim, grubokościstym mężczyzną ze sporą nadwagą. No cóż, w czasie ostatnich kilku godzin trochę jej się pozbył, pomyślał z rozbawieniem. Boshof otarł chustką pot z czoła i spojrzał spod przymrużonych powiek w stronę wstającego słońca - olbrzymiej, pomarańczowoczerwonej kuli, zniekształconej przez leżącą nisko mgłę. Mimo iż słońce miało przynieść ze sobą męczący, lepki upał, był zadowolony, że nadszedł wreszcie dzień. Podczas ostatniej nocy, pełnej zamieszania i hałasu, nie miał czasu na choćby godzinę snu. Najpierw ten idiota szeregowiec Krom obudził go po usłyszeniu radiowych raportów o jakimś wielkim ataku partyzantów na północ od Limpopo. Kiedy raport nie został powtórzony w codziennym przekazie Korpusu Obrony Pogranicza, Boshof wrócił do łóżka, wcześniej jednak klnąc Kroma w żywy kamień za głupotę. Ledwo zdążył zasnąć, gdy zadzwonił pierwszy telefon - z samego Dowództwa Armii na Wschodni Transwal. Jakiś oficerek sztabowy chciał wiedzieć, czy spostrzegli "podejrzane ruchy". Przez sekundę Boshof chciał wspomnieć o parze antylop, które widział wczesnym wieczorem. Jednak tylko przez sekundę. Oficerów sztabowych cechował brak poczucia humoru. Później zdążył złapać zaledwie parę minut spokojnego snu, gdy zaczęło się znowu coś dziać. O drugiej nad ranem przybyły posiłki - sześciu ludzi przywiezionych ciężarówką, która objeżdżała każdy posterunek na tym odcinku granicy. Pospiesznie telefonując do dowództwa, dowiedział się jedynie, że zarówno kapitan, jak i porucznik są nieosiągalni. Boshof pomyślał z irytacją, że pewnie smacznie śpią. Jednak nowi ludzie przywieźli ze sobą podejrzane opowieści: cała baza została postawiona na nogi, wszystkie przepustki wstrzymano, a kwatermistrzostwo biegło w popłochu, wydając racje polowe i zapas amunicji każdemu żołnierzowi. Byli pewni, że zanoszą coś poważnego. Racja. Sierżant zachnął się, przypominając sobie nocne zdarzenia. Niech go Bóg chroni przed głupimi rekrutami, którzy nie potrafią odróżnić prawdziwej wojny od *blery* ćwiczeń. Oczywiście, nikt nie zobaczy, że sierżant Uwe Boshof siedzi z założonymi rękami. Po próbnym alarmie zawsze następowała Inspekcja. Zresztą, kto wie? Alarm może być prawdziwy. Może "góra" została uprzedzona o zagrożeniu atakiem ANC lub jakiś farmer zauważył oddział buntowników w okolicy? Mimo iż osobiście nie przypuszczał, aby cokolwiek mogło się wydarzyć w Komatipoort, zawsze był zdania, że należy przygotować się na najgorsze. Właśnie dlatego zebrał swój dwunastoosobowy oddział i kazał im kopać rowy strzeleckie obok posterunku granicznego. Jeśli ci cholerni dranie z ANC wytkną gdzieś nosa, to im go utrzą na drobny mak. Wiedział dobrze, że jego ludzie są w stanie tego dokonać. Oprócz karabinków szturmowych *R4*, mieli jeszcze ciężki karabin maszynowy *Vickers*, granaty a nawet lekki ręczny moździerz 60 mm. Jego załoga mogła spokojnie sprostać *kaffirom* bez względu na to, w jakiej sile się pojawią. Gdyby pokazali się przypadkiem biali rebelianci, to również potrafi policzyć się i z tymi zdrajcami. Sierżant miał za sobą dwadzieścia pięć lat służby w siłach SADF i wiedział dobrze, jak wypełniać rozkazy, nawet jeśli były wydawane przez głupców. Ziewnął potężnie dwa razy. Jego żołądek przypominał o sobie i sierżant pomyślał, że w najbliższym czasie nie będzie miał okazji przekąsić czegokolwiek, gdyż wozy z żywnością nie przyjadą w czasie stanu podwyższonej gotowości. Czy powinien pozwolić ludziom naruszyć wydzielone racje? A może szefostwo wkrótce odwoła to przedstawienie? Boshof wzruszył ramionami. Jego przełożeni powiedzą mu, co się dzieje, dopiero wtedy gdy wstaną z łóżek. Spojrzał w stronę strażnicy, mając nadzieję, że może zadzwoni telefon.

- Sierżancie! Boshof odwrócił się. Zobaczył chudą postać ześlizgującą się z drzewa

stojącego koło zapory granicznej. Szeregowy Krom spędził tam noc, obserwując przez lornetkę mozambicką stronę granicy. Była to kara za wygłupy z radiem. Teraz schodził pospiesznie na dół, machając ręką, by zwrócić uwagę dowódcy. Co znowu, u diabła? Niechętnie wstał i otrzepał spodnie z kurzu. Zawiesił karabin na ramieniu i ruszył w stronę granicy. Krom podbiegł na jego spotkanie.

- Sierzancie! Widziałem ruch na autostradzie! Dziesiątki wozów! Boshof aż jęknął ze złości. Kolejne wygłupy tego cholernego dowcipnisa.

- Bzdury.

- Nie, naprawdę je widziałem. Przysięgam! - Chłopak z przejściem wskazał na wschód, skąd przybiegł. - Widziałem, jak przejeżdżały pomiędzy tymi dwoma wzgórzami. Cały konwój. Nie mogą być dalej, niż pięć kilometrów stąd. Co takiego? Boshof nadal wolał podejrzewać, że chłopak zwyczajnie zgłupiał, ale może lepiej się upewnić co do tego, zanim go ukarze powtórnie. Skierował lornetkę w stronę wskazanego przez Kroma miejsca i skrzywił się. Słońce uniemożliwiało zobaczenie czegokolwiek. Jeśli oślepnę, pomyślał, to zatłukę tego małego skur... Zacisnął dłonie na lornetce. Dostrzegł promień słońca odbijający się od metalu. Krom nie miał jednak halucynacji. Droga jechały jakieś pojazdy, kierując się w ich stronę. To mogło oznaczać kłopoty - poważne kłopoty. jedno było pewne, Uwe Boshof nie został sierżantem za podejmowanie zbędnego ryzyka. Obrócił się i ryknął na całe gardło:

- Hej, tam! Każdy do swojego okopu! Szybko! Przez ułamek sekundy oddział stał nieruchomo, zaskoczony nagłym rozkazem.

- Ruszać się! - Boshof biegł już w stronę własnego stanowiska, a Krom za nim jego ludzie porzucili narzędzia, chwycili karabiny i rozpląszczyli się w płytkich rowach strzeleckich. Chwilę później Boshof i Krom zrobili to samo. Zdażyli w samą porę. Leżąc na brzuchu z lornetką przy oczach, sierżant najpierw usłyszał charakterystyczny łoskot łopat wirników i wyjący dźwięk silników, a w chwilę później zobaczył dwa śmigłowce wynurzające się zza niskiego wzgórza. Leciały na zachód, tuż nad wierzchołkami drzew. Początkowo helikoptery wyglądały jak małe kropki na tle wschodzącego słońca, ale ich sylwetki szybko się powiększały, aż w końcu mógł rozpoznać, że są to *Mi-24 Hind* produkcji radzieckiej. Potężne, groźne i brzydkie, pomyślał. Nigdy jeszcze nie widział ich z bliska, ale oglądał dosyć zdjęć i rysunków, by je rozpoznać. Dziwne. Armia Mozambicka nie miała przecież takiej broni w uzbrojeniu. Co te helikoptery mogły robić tak blisko granicy? Nie, cholera! Co zamierzały zrobić, kiedy już się znajdą na granicy? Rozkazy dowództwa były wyraźne. Dopóki Mozambijczycy pozostawali po swojej stronie linii granicznej, mogli robić, co im się podoba. Zauważył, że jego ludzie celują do helikopterów ze wszelkiej posiadanej broni. Miał tylko nadzieję, że żaden z podnieconych żołnierzy nie otworzy ognia bez rozkazu. Nie miał zamiaru zginąć, trafiony przez jakiegoś przekłętą pilota, który chciał popisać się swoimi nowymi zabawkami. *Hindy* zbliżały się w ich stronę, lecąc jakieś dziesięć metrów nad ziemią z prędkością dwustu kilometrów na godzinę i nie zmieniały przy tym ani kursu, ani prędkości. Rozkazy rozkazami, ale Boshof wiedział, że nie może dłużej czekać. Za kilka sekund przekroczą granicę. Zaczął się podnosić, gotów dać rozkaz do otwarcia ognia... Nagle *Hindy* zwolniły i po chwili zawisły dwadzieścia metrów nad ziemią, o sto metrów od nich, nadal nad terytorium Mozambiku. Boshof uważnie przyglądał się śmigłowcom, czując jak serce bije mu głośno ze zmęczenia i emocji. Ich wąskie kadłuby były z przodu niemal całe oszklone. Odróżniał wyraźnie umieszczone schodkowo jedna za drugą kabiny załogi: przednią strzelca pokładowego i tylną pilota, obydwie osłonięte płaskimi taflami pancernego szkła. Oba śmigłowce szturmowe wisiały nieruchomo nad granicą, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Sierżant był zaniepokojony i rozeźlony. O co tym diabelnym *kaffirom* chodzi? Skierował lornetkę na kabinę strzelca w lewym helikopterze spostrzegając, że zamontowany w wieżyczce pod kadłubem wielolufowy



obrotowy karabin maszynowy kierował się zgodnie z ruchami głowy strzelca. Ciekawe i jednocześnie przerażające. Helikopter bardziej przypominał żywego drapieżnika, niż zwykłą maszynę. Minęło kilka sekund, zanim sierżant zorientował się, że strzelec i pilot Są biali. Skierował lornetkę w stronę drugiego *Hinda*. Jego załoga także była biała. Doradcy? Najemnicy? Wątpliwości Boshofa zostały rozwiane szybciej, niż mógłby sobie tego życzyć. Znajdujący się z lewej strony *Mi-24* skręcił, przelatując jednocześnie nad granicą. Sierżant natychmiast rozpoznał znaki umieszczone na jego boku. Granatowe koło z czerwonym trójkątem i białą gwiazdą w środku. Jezu! Przecież to śmigłowiec Kubańskich Sił Powietrznych! Opuścił lornetkę i chwycił karabin.

- Ognia! Ognia! Ognia! Krzyk Boshofa pobudził sparaliżowanych żołnierzy do działania. Wokół niego odezwały się karabiny. Sekundę później ciężki karabin maszynowy *Vickers* zaczął strzelać z hałaśliwym terkotem, obsypując pociskami zbliżający się helikopter. Z tak bliskiej odległości karabiny maszynowe nie mogły chybić. Z kadłubów i łopat wirników *Hindów* posypały się iskry świadczące, że ogień był celny. Wszystko jednak na próżno. *Mi-24* były zbyt silnie opancerzone. Chwilę później oba śmigłowce wyrwały się naprzód i odpowiedziały na ogień, przeorując płytkie wgłębienia otaczające posterunek graniczny tysiącami pocisków. Kłęby wirującego pyłu i piasku wzbiły się w powietrze, zasłaniając scenę rzezi. Sierżant Uwe Boshof i jego ludzie zostali rozerwani na Strzępy zanim zdążyli pojąć, jak bezsensowną była próba zestrzelenia opancerzonego śmigłowca z broni przeznaczonej do zwalczania piechoty.

- **Wysunięty Punkt Dowodzenia, Kubański Korpus Ekspedycyjny, na północ od Messiny, RPA**

Nierówne brzegi rzeki Limpopo łączyły dwa mosty, wznosząc się nad wysokimi, skalnymi ścianami, progami wystającymi ze spienionej i szumiącej wody, huczącymi wodospadami osłoniętymi mgiełką opalizującą w promieniach słońca. Stalowy most kolejowy był pusty. Przez drugi, betonowy, ciągnęła nie kończąca się kolumna kubańskich czołgów, transporterów opancerzonych i ciężarówek, jadących na południe południowoafrykańską Autostradą N1. Po obu stronach wąwozu ustawiono kilkanaście wyrzutni rakiet ziemia-powietrze i dział przeciwlotniczych *ZSU-23-4*, których radary szukały na niebie samolotów wroga. Na północy promienie słońca odbijały się od obwieszonych rakietami skrzydeł *MiCów-29*, które zataczały wolno kręgi, patrolując okolicę. Generał Antonio Vega przyglądał się, jak Grupa Taktyczna Pierwszej Brygady wkracza głębiej na terytorium wroga. Od czasu do czasu odwracał się i obserwował południowy horyzont. Wznoszące się tam słupy czarnego dymu ze spalonych budynków na przedmieściach górniczego miasta Messiny były rezultatem krótkiego i beznadziejnego oporu, jaki stawiały siły południowoafrykańskich rezerwistów i policjantów.

- Wspaniały dzień, nieprawdaż, towarzyszu generale? Vega obrócił się do niskiego, czarnego mężczyzny.

- Zgadza się, pułkowniku. Vega z trudem opanował irytację, jaką w nim wywoływał widok tego człowieka. Pułkownik Sese Luthuli, dowódca zbrojnego ramienia ANC *Umkhonto we Sizwe*, miał na sobie panterkę, niebieski beret, skórzany pas z kaburą i przewieszony przez ramię, ozdobiony bagnetem *Ak-47*. Dla Vegi całe to przebranie było teatralnie śmieszne. Obecność Luthuli przypominała mu także o niezbyt miłych ograniczeniach politycznych, jakie nałożyły na niego Hawana i Moskwa. Przywódcy obu państw domagali się, aby armia Kuby była uznana za oswobodzicieli zarówno przez czarną ludność Afryki Południowej, jak i międzynarodową opinię publiczną. Na-

legali zatem, aby każdej z jego grup taktycznych towarzyszyły oddziały partyzantów ANC. Vega wzdrygnął się na samą myśl o nich. Większość partyzantów nie znała dyscypliny, była źle dowodzona i nie przygotowana do konwencjonalnej wojny. Co gorsza, zajmowali ciężarówki i sprzęt, których potrzebował dla bardziej wyszkolonych oddziałów kubańskich. Luthuli nie dostrzegł złego nastroju generała i uśmiechnął się.

- Oczekuję chwili, kiedy będę mógł poprowadzić moich żołnierzy do walki. u boku waszych oddziałów. Jestem pewien, że razem możemy rozbić tych białych faszystów raz na zawsze. Nisko nad nimi z rykiem silników przeleciały dwa samoloty szturmowe *Su-25*, zaoszczędzając Vedze konieczności udzielenia odpowiedzi przez nagle zaciśnięte zęby. Pięćdziesiąt metrów dalej długa kolumna czołgów i transporterów opancerzonych jechała autostradą wiodącą na południe - wolno mijając swojego wysokiego i wyraźnie niezadowolonego dowódcę.

### • **Zwiad Grupy Taktycznej Pierwszej Brygady, Autostrada N I, na południe od Messiny**

Z włazu *BTR-60* wychylił się do przodu kapitan Victor Mares, jakby mógł w ten sposób zmusić wóz dowodzenia do szybszej jazdy. Mimo iż jego ludzie poruszali się naprzód w szybkim tempie, w tej sytuacji nawet samolot odrzutowy wydawałby się zbyt powolny. Wiedział, że wcześniej czy później ci debile w Pretorii ockną się. jak dotąd ich głupota kosztowała Afrykę Południową ponad dwadzieścia kilometrów własnego terytorium. Nawet jeśli będą mieli szczęście, pod koniec dnia będzie ich ona kosztować o wiele więcej. jednak ta spokojna przejażdżka musi się kiedyś skończyć. Kiedy to nastąpi, Victor Mares chciał znajdować się tak głęboko wewnątrz terytorium wroga, jak to tylko możliwe.

- Zwiadowcy dostrzegli ludzi pracujących przy drodze, pięć kilometrów dalej. - jego radiowiec wystawił głowę przez właz, zadowolony, że ma okazję zaczerpnąć łyk świeżego powietrza.

- Może szykują jakąś barykadę? Mares zaczął pospiesznie kalkulować. Wozy zwiadowcze *BRDM* były lekko opancerzone, a nie miał pojęcia, jaką bronią dysponują Południowoafrykańczycy. Rozsądniej będzie wycofać zwiadowców i rozprawić się z wrogiem przy pomocy wozów *BTR* i *BMP*. Nie. Na przegrupowanie kompanii prowadzącej do pospiesznego ataku potrzebowałby co najmniej pół godziny. W tym czasie Afrykanerzy mogliby skończyć swoje przygotowania. Czas jest najważniejszy. już samo powstrzymanie kubańskiej kolumny byłoby dla wroga sukcesem. Gdyby Vega dowiedział się o czymś takim, obdarłby go ze skóry.

- Przekaż zwiadowcom kontrolę nad kluczami Axe i Dogger szturmowców *Su-25*. Niech atakują, gdy tylko *Su-25* wykonają jeden nalot. I powiedz *Hindom*, żeby ich wspomogły. jasne?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. - Radiowiec schował się do wozu. Dwie minuty później, dwa szturmowe *Su-25 Frogfoot* przele dały z rykiem nad konwojem, kierując się w stronę pozycji nieprzyjaciela. Lecąc, pomachały skrzydłami kolumnie.

- Cholerni akrobaci - zamruczał pod nosem Mares. Nie miał Jednak nic przeciwko odrobinie popisów, jeśli będą tylko potrafili przegonić Afrykanerów, zanim zdążą umocnić pozycje. Powietrze wypełnił długi, brzęczący łoskot, zagłuszając ryk dieslowskich silników jego wozów. Samoloty właśnie bombardowały pozycje nieprzyjaciela. Nad pustą równiną przetoczyły się echem odgłosy wybuchów.

- Zwiadowcy zaatakowali, towarzyszu kapitanie. Donoszą o silnym oporze. Pewnie, pomyślał Mares. Gdy siedzi się w blaszanej puszcze z małym karabinem na szczycie, to nawet kilku farmerów z dubeltówkami stawiać będzie silny opór. Minęło pięć minut denerwującej ciszy. No dalej! Mares chciał Już ponaglić dowódcę zwiadowców, gdy

radiowiec wyjrzał na zewnątrz.

- Porucznik Morales mówi, że Burowie uciekają. Nasze śmigłowce podjęły pościg. Mares pokiwał głową. Silnie uzbrojony helikopter *Mi-24 Hind* świetnie nadawał się do tego celu.

- Bardzo dobrze. Przekaż zwiadowcom, że chcę dostać jeńców, jeśli to tylko możliwe. Dwadzieścia pięć minut później wozy pancerne Maresa minęły rozbitą barykadę - stos opon, kilka starych samochodów i maszyn rolniczych. Na workach z piaskiem leżały porozrywane kulami zwłoki żołnierzy w południowoafrykańskich mundurach. Porucznik Morales podbiegł do wozu Maresa i zaszalutował.

- Wzięliśmy dwóch jeńców, kapitanie i zabiliśmy dziesięciu Afrykanerów. - jego uśmiech znikł nagle. - Straciłem jednak trzech ludzi: jeden zabity i dwóch rannych. Mares rozumiał. Strata ludzi w bitwie nigdy nie jest rzeczą przyjemną. Nie da się jednak tego uniknąć. Postarał się, by jego głos miał suche, obojętne brzmienie. Niska cena za umożliwienie brygadzie dalszego marszu, poruczniku. Czy *Su-25* dobrze się spisały? Morales uśmiechnął się na wspomnienie ataku. Po prostu zdmuchnęły tych drani z drogi. Później musieliśmy tylko wziąć szczotki i posprzątać. Mares zachichotał cicho. Wojna dopiero się rozpoczęła. Niech chłopcy mają trochę zabawy. Wkrótce zacznie się prawdziwa walka. Pochylił się do przodu. Bardzo dobrze, Miguel. Sprzątnijcie więc ten śmietnik tak szybko, jak możecie i dołączcie do nas. Potrzebujemy was na paradę, gdy będziemy wkraczać do Pretorii. Porucznik roześmiał się i pobiegł do swoich ludzi. Mares odezwał się do mikrofonu.

- Drugi pluton, zajmijcie miejsce. Wszystkie jednostki, ruszamy. Spojrzał z pogardą na zniszczoną barykadę. Potrzeba czegoś więcej, żeby zatrzymać armię kubańską.

#### • **Kwatera główna SADF, Pretoria**

*Kommandant* Willem Metje prznosił wzrok z trzymany w ręku raportów na mapę północnego Transwalu wiszącą na ścianie i z powrotem. Coś tu się nie zgadzało. Coś cholernie było nie w porządku. Oczekiwał, że Kubańczycy rozpoczną serię dokładnie zaplanowanych ataków dywersyjnych. Z punktu widzenia taktyki wojskowej jedynie to miało jakiś sens. Dobrze przygotowane ataki związałyby południowoafrykańskich żołnierzy potrzebnych w Namibii. Planiści Vegi mogli mieć także nadzieję, że odwrócą w ten sposób uwagę od prawdziwego celu natarcia. Udany napad mógł nawet przynieść wymierne szkody, zmuszając Afrykę Południową do czasochłonnych i kosztownych napraw zniszczonych Stacji radiolokacyjnych czy magazynów armii. Jednak Kubańczycy wkładali zbyt dużo wysiłku w ataki, które miały służyć jedynie odwróceniu uwagi. Więcej wysiłku, niż to było potrzebne czy nawet możliwe. Metje zbliżył się do mapy z uczuciem ogarniającej go paniki. Kontakt z nieprzyjacielem znaczący kolorowe szpilki. Żółty sygnalizował zaobserwowanie wroga. Pomarańczowy oznaczał niewielką potyczkę - nie więcej niż wymianę ognia. Czerwone szpilki oznaczały zdecydowany atak z użyciem ciężkiej broni. Mała kartka, dołączona do każdej szpilki, określała miejsce i czas kontaktu. Obecnie, po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia kubańskiej ofensywy krótko po północy, zaczął dostrzegać regularny wzór wyłaniający się z raportów o atakach "dywersyjnych". Wyjątkowo niebezpieczny wzór. Mimo iż otrzymywali doniesienia o atakach wroga na całej granicy, poważniejsze potyczki koncentrowały się w dwóch sektorach, w których leżały główne drogi prowadzące do Pretorii i Johannesburga. W tych miejscach czerwone szpilki pojawiały się z przerażającą regularnością. Metje zdawało się, że te dwie czerwone linie kierowały się stronę administracyjnej stolicy i centrum przemysłowego jego kraju. Spojrzał na kartki z raportami nadchodzącymi od Wojskowego Dowództwa Wschodniego Transwalu (MILCOM). Wszystkie potwierdzały jego obawy.

0615 13 Listopad - WSCHODNI TRANSWAL MILCOM - Stracono kontakt z posterunkiem granicznym Komatipoort o godzinie 041 O. Żadnych wiadomości od oddziału wsparcia wysianego o 0625.

0815 13 Listopad - PÓŁNOCNY TRANSWAL MILCOM - Przerwany meldunek telefoniczny ze Sztabu w Messinie informuje o ataku pojazdów pancernych i nie zidentyfikowanych samolotów wroga. Raport nie został potwierdzony. Nie udało się ponownie nawiązać kontaktu z Messiną.

Pod tekstem wiadomości ktoś dopisał: Prawdopodobnie przecięto linie. Odwracał kartkę za kartką, a z każdego raportu wynikało, że siły nieprzyjaciela posuwają się w głąb terytorium Afryki Południowej. *Kommandant?* Zaskoczony Metje spojrzął na ponurą twarz jednego ze swoich oficerów. Mężczyzna wręczył mu dwa kolejne raporty. Myślę, że powinien je pan przeczytać.

1015 13 Listopad - PÓŁNOCNY TRANSWAL MILCOM - Wspomagane przez helikoptery oddziały piechoty atakują Wyllie Poort. Piechota została rozpoznana jako kubańska. Powtarzam, kubańska.

1016 13 Listopad - PÓŁNOCNY TRANSWAL MILCOM - Silny atak lotniczy na bazę lotniczą Louis Trichardt Straty nieznanne.

Mój Boże... - Głos Metje załamał się. Wyllie Poort, ponad osiemdziesiąt kilometrów w głębi terytorium Afryki Południowej, był wąskim przesmykiem przez Soutpansberge - łańcuch porośniętych drzewami gór i pokrytych mchami skał na północ od Louis Trichardt i tamtejszej bazy wojskowej. Dwa tunele, każdy o długości kilkuset metrów, przecinały w tym miejscu góry, przeprowadzając przez nie Autostradę N1. Ktokolwiek miał w rękach to przejście, miał także klucz do całego północnego Transwalu. Wydaje mi się, że generał de Wet powinien się o tym dowiedzieć, *kommandant*. Co? Powiedzieć de Wetowi? Ale cały sztab był zajęty odbieraniem raportów o szybkich postępach na froncie namibijskim. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na cokolwiek, poza liniami frontu zbliżającymi się do Windhoek. Metje oderwał się od rozważań nad całkowitą i nieodwołalną klęską.

- Sam się tym zajmę, kapitanie. Proszę wrócić do swojej pracy. Odmaszerować. Młodszy oficer odwrócił się bez słowa - urażony i zły. Metje nie zwrócił na to uwagi. Miał własne problemy. Był zdruzgotany. Najpierw drżał z zimna, a moment później oblewał się potem. Bez względu na to, jak bardzo starał się ułożyć kawałki łamigłówek w jakiś mniej przerażający wzór, dochodził do jednej konkluzji: pułkownik Heerden miał rację od samego początku. Kubańczycy zaatakowali ich od północy i wschodu, kierując się w stronę bezbronnego centrum kraju. Metje widział teraz wszystko wyraźnie. Zdawał też sobie sprawę, że jego kariera wojskowa i ambicje polityczne legły w gruzach. Otarł dłonią spocone czoło. To niesprawiedliwe. De Wet i inni generałowie będą szukali kozła ofiarnego, a on najlepiej się do tego nadawał. Sąd wojenny podjąłby tylko jedną decyzję i wydał jedyny możliwy wyrok. Przez moment, ale tylko przez moment, Metje miał zamiar wziąć udział w tej farsie do samego końca. Wykonywanie swoich obowiązków było jedynym honorowym wyjściem, ale pozostanie na stanowisku nie złagodziłoby wyroku. *Kommandant* rzucił kartki z meldunkami na biurko i wyszedł z pokoju. Jego podwładni patrzyli za nim w milczeniu. Pewnie myśleli, że udaje się złożyć raport de Wetowi. Bardzo dobrze. Zyska w ten sposób na czasie potrzebnym mu na opuszczenie kwatery głównej i Pretorii. Metje nagle zrozumiał, co musiał czuć Heerden, gdy opuszczał ten budynek. Czasami dobrze jest pójść za instynktem. De Wet i inni potrzebowali godziny, by zorientować się, że szef wywiadu wojskowego zniknął. W ciągu następnych kilku minut zdano sobie sprawę z rozmiarów katastrofy ogarniającej kraj. Przez cały ranek kubańskie oddziały, nie

napotykać oporu, posuwały się w głąb terytorium RPA.

- **Transwalski Batalion Piechoty, Autostrada N4, okolice Hectorspruit, RPA**

*Kommandant* Neils Bergen stał na niskim wzgórzu wznoszącym się nad jasnozielonymi polami trzciny cukrowej i plantacjami drzew pomarańczowych. Po prawej stronie miał rzekę Crocodile skręcającą na wschód w kierunku Mozambiku. Cień Bergena, wydłużony przez zachodzące słońce, także padał na wschód. Pułkownik podniósł lornetkę i spojrzał na znajdujący się u podnóża wzniesienia oddział saperów, którzy w pośpiechu układali miny i budowali proste barykady w poprzek czteropasmowej autostrady biegnącej ze wschodu na zachód. Wraz z równoległą do niej linią kolejową Autostrada N4 świetnie nadawała się do przerzucania żołnierzy z miejsca na miejsce. Kiedy wkroczy na nią kubańska armia, droga zacznie przypominać sztylet wymierzony prosto w serce Afryki Południowej. Bergen nadal nie mógł uwierzyć w zbieg okoliczności, który spowodował, że znalazł się właśnie w tym miejscu. Jego batalion Gwardii Narodowej został powołany do czynnej służby zaledwie kilka dni temu, kiedy zaczęły rozprzestrzeniać się bunt i wzrosła liczba dezercji. Otrzymane rozkazy zmusiły rezerwistów do ścigania partyzantów ANC i oddziałów rebeliantów. Bergenowi wcale się to nie podobało. Służba polegająca na strzelaniu czy dokonywaniu aresztowań Południowoafrykańczyków była przykrym obowiązkiem. Niestety, nieustanna obecność specjalnych oddziałów "brązowych koszul", *Brandwag*, ograniczała i tak niewielkie pole manewru. I tak omal nie pozbawiono go dowództwa za odmowę rozstrzelania kilku białych więźniów skazanych przez "sąd polowy" - ludzi z AWB. Kiedy nadeszły specjalne rozkazy z Wojskowego Dowództwa Wschodniego Transwalu (MILCOM), jego trzy plutony piechoty były rozrzucone na obszarze ponad stu kilometrów kwadratowych, podzielone na patrole i mniejsze jednostki. Zebranie jednej kompanii zajęło mu większą część dnia. Pozostała część batalionu okopywała się czterdzieści kilometrów dalej - wśród poszarpanych skał podnóża Great Escarpment. Malutki oddział Bergena miał za zadanie zdobycie dla nich I ,lasu koniecznego na umocnienie okopów, powstrzymując oddziały Kubańczyków do chwili przybycia posiłków z Pretorii. Pewnie. Pułkownik przypomniał sobie beznadziejną walkę królu Leonidasasa i jego trzystu Spartan i pomyślał z goryczą, że czeka Ich podobny los. Nie miał nawet żadnej przewagi w terenie. Przy Idealnych warunkach dobrze okopana i uzbrojona kompania miała szansę powstrzymać na krótki czas brygadę pancerną. Z naciskiem na słowo "krótko". jednak warunki były dalekie od idealnych: oddział był za mały, źle zaopatrzony i zbyt słabo uzbrojony. Mój Boże, przecież miał tylko moździerz przeciw kubańskim działom i karabiny maszynowe przeciw samolotom. Z ponurych rozważań wyrwał go niespodziewany dźwięk - potracony kamień spadając obijał się o skaliste podłoże. Ktoś nadchodził. Bergen odwrócił się i zobaczył starszego mężczyznę w dżinsach i białej koszuli wspinającego się na wzgórze. Najwidoczniej zmęczony wspinaczką zatrzymał się na chwilę. poprawił przewieszony przez ramię karabin R4, po czym wszedł na szczyt ostatkiem sił.

- Andries Kaal z komando Hectorspruit zgłasza się na rozkaz. Starszy mężczyzna nie zasalutował. ale stanął na baczność, uśmiechając się pogodnie. Bergen nie był zaskoczony widokiem tego człowieka. Tradycja tworzenia komand przez Burów czyli oddziałów. lokalnej policji, była jedną z podstaw *Afrikanerdom*. Mimo wszystko przez chwilę przyglądał się obcemu dość chłodno. Potrzebował doświadczonych i pewnych żołnierzy. a nie tłustych farmerów. którzy uciekną w panice przy pierwszych strzałach. Czy w tym wypadku komando Hectorspruit będzie pomocą. czy też przeszkodą? Zachowanie tego człowieka wskazywało. że jest weteranem. Bergen podjął decyzję.

- Ilu ludzi liczy pańskie komando?

- Pięćdziesięciu. ale ciągle przybywają nowi. - Kaal uśmiechnął się. pokazując rząd wyjątkowo popsutych zębów. - Posiadamy karabiny. ale nie wszystkie są tak nowe. jak ten. - Poklepał swój R4 z prawdziwą dumą. Pięćdziesięciu ludzi. pomyślał zawiedziony Bergen. Przydałoby mu się pięć tysięcy. Ponieważ większość białych mężczyzn w wieku poborowym była już w mundurach. komando Kaala musiało się składać ze starców i wyrostków. Wzruszył ramionami. To zresztą i tak nie ma znaczenia przy walce pozycyjnej. Wszystko. co mieli zrobić. to strzelać celnie. I umrzeć. Wskazał na pokrytą brezentem ciężarówkę. która była jednocześnie punktem dowodzenia.

- Niech pan zgłosi się do mojego zastępcy i przekaze mu, że kazałem umieścić pańskich ludzi na lewej flance. Kaal skinął posłusznie głową i zaczął ześlizgiwać się powoli ze zbocza. Bergen podniósł lornetkę i spojrzał na wschód. Kubańczycy byli gdzieś za wzgórzami i szybko się zbliżali. Obraz był rozmazany - nic dziwnego. ręce latały mu jak w febrze. Naprężył mięśnie. starając się choć na chwilę opanować drżenie. Minutę później dobiegł go cichy. dudniący odgłos łopat wirnika. Mały helikopter *Alouette III* leciał tuż nad ziemią w stronę jego pozycji. Bergen zbiegł na dół do swojego punktu dowodzenia, mijając po drodze Kaala powoli zmierzającego w tym samym kierunku. Znajdował się w połowie drogi. gdy *Alouette* wylądowała. wzbijając tuman piasku i pyłu. Silnik zwolnił obroty i po chwili łopaty znieruchomiały. Z kabiny wyskoczył młody, bardzo chudy mężczyzna o jasnobłond włosach i podbiegł na jego spotkanie. Czysty, wyprasowany kombinezon pilota mocno kontrastował wymiętym i ubrudzonym mundurem Bergena. Porucznik Bankkop melduje się na służbie. Skąd się pan, u diabła, tu wziął? - spytał Bergen, kiedy oddał już salut i wyciągnął rękę na powitanie. Bankkop uśmiechnął się smutno. Zazwyczaj jestem odkomenderowany do VIP-ów. ale *brigadier* zdecydował, że mogę się panu przydać. Bergen skinął głową. Chociaż raz miał rację. Jest pan jedynym zwiadem. Jaki dysponuję na tej pozycji. Rozumie pan? Pilot pokiwał głową. Dobrze. Niech pan poleci wzdłuż drogi na wschód. Proszę spróbować zlokalizować kolumnę nieprzyjaciela. Muszę wiedzieć. ile czasu mi zostało. Bankkop ustalił częstotliwości radiowe, zabrał mapę i pobiegł do helikoptera. Minutę później, gdy *Alouette* była już w powietrzu, dał się słyszeć wysoki dźwięk zwiększającego obroty silnika. Po chwili mknęła tuż nad ziemią, omijając niczym olbrzymi owad każdą wyższą przeszkodę. Bergen wdrapał się do ciężarówki i znalazł sobie wolne miejsce, gdzie mógł prowadzić nasłuch radiowy, nie przeszkadzając innym. Rozsądny dowódca nie miesza się do pracy swojego sztabu bez powodu. Chciał jednak osobiście odbierać meldunki Bankkopa. Musiał koniecznie poznać pozycję kubańskiej kolumny i jej przybliżoną siłę oparł się o płócienną ścianę ciężarówki i zamknął oczy. Przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę *Alouette* powinna dotrzeć do Kubańczyków w kilka minut. Każda minuta lotu oznaczała co najmniej dwadzieścia minut nie zakłóconej plaży dla jego ludzi. Usłyszał głos porucznika o wiele wcześniej, niż się spodziewał. Widzę grupę wozów zwiadowczych. Jakieś dziesięć kilometrów od naszej pozycji. Chyba mnie nie zauważyli. Lecę dalej na wschód. Odbiór. Bergen nie otwierał oczu. ale jego umysł pracował w pośpiechu. Zwiad kubański wyprzedza kolumnę przynajmniej o kilka kilometrów. Starał się obliczyć, jak szybko usłyszał młodego pilota. Nawet przy wolniejszym locie nie powinno to być więcej niż kilka sekund. Przypomniał sobie, że śmigłowiec nie mógł oczywiście lecieć w linii prostej na nieprzyjaciela. jak każdy zwiadowca na zajęтым przez wroga terenie, Bankkop musiał poruszać się od jednego osłoniętego miejsca do następnego, szukając schronienia zanim zmieni pozycję. Głośnik zachrobotał urywanymi dźwiękami wśród ciągłych szumów.

- ...oznaki... brak ognia... naprzód. - Bergen usiłował wyłowić słowa z powodzi trzasków. Zakłócenia w transmisji były zwykłym problemem przy lotach na niskiej

wysokości. Wzgórza, drzewa, a - przy większych odległościach - nawet samo zakrzywienie Ziemi mogło zniekształcić sygnał na krótkich falach. Będą musieli poczekać na powrót helikoptera, by uzyskać dalsze informacje. Poczuli, że w ciężarówce jest okropnie duszno i gorąco. Wyszedł na zewnątrz. Zapalając papierosa, przyglądał się wzgórzom na wschodzie. Nagle usłyszał okrzyk jednego z poruczników, wskazującego coś ręką. Podniósł do oczu lornetkę. Tam! Nad linią kolejową unosił się obłoczek kurzu, częściowo zasłonięty przez nasyp. Szukając uważnie, dostrzegł drugi obłoczek. To kubańscy zwiadowcy, których Bankkop wcześniej zauważył. Co jeszcze widział pilot *Alouette*? Bergen sprawdził swoje pozycje. Saperzy w pośpiechu budowali przeszkody na drodze. Za jakieś pięć, dziesięć minut znajdą się pod ostrzałem. Czy ustawienie większej ilości min w ciągu tych kilku minut warto było życia? Wydał rozkaz, aby się wycofali. Ktoś zawołał z wnętrza ciężarówki.

- *Kommandant!* - Podbiegł do wozu i szybko wdrapał się do środka. W głośniku rozległ się głos Bankkopa, tym razem czysty i bez zakłóceń, ale pilot najwyraźniej spieszył się.

- ...wshedłem na wyższy pułap, żeby przebić się przez zakłócenia. Pozycja głównej kolumny: Romeo trzy sześć, Yankee jeden pięć. Ponad trzydzieści czołgów, duża ilość transporterów opancerzonych, samobieżne działa i baterie rakiet ziemia-powietrze. - Odgłos zwiększającego moc silnika zagłuszył na chwilę jego głos. - W obszarze są samoloty wroga. Wracam na pozycję. Koniec. Bergen był wdzięczny pilotowi za informacje i odwagę. Wznosząc się odzyskał kontakt radiowy, ale jednocześnie naraził się na to, że zostanie wypatrzony przez wroga. Pułkownik i większość jego sztabu wyszli na zewnątrz. Wiedział, że śmigłowiec powinien znaleźć się lada chwila w zasięgu wzroku. Jego zastępca przekazywał właśnie oddziałom, by nie- otwierały ognia. Wszyscy czekali z napięciem, wpatrując się w niebo na wschodzie Malutki śmigłowiec Bankkopa wyskoczył zza wzgórza, kilka kilometrów dalej obok drogi. Leciał bardzo szybko, nabierając dodatkowo rozpędu w płytkim locie nurkowym. W małej odległości za *Alouette* pojawiły się dwie nieduże plamki, zamieniając się miejscami w szyku w śmiertelnej pogoni. Kiedy Bergen i jego ludzie patrzyli z przerażeniem na ten taniec, od jednej ze ścigających plamek oderwał się obłok białego dymu i szybko pogonił za uciekającym helikopterem. Podniósł lornetkę wystarczająco szybko, żeby zobaczyć, jak rakietka mija *Alouette*. Jezu, niewiele brakowało! Bergen wrócił wzrokiem do dwóch nieprzyjacielskich maszyn szybko zbliżających się do południowoafrykańskiego zwiadowcy. Rozpoznał helikoptery szturmowe *Mi-24 Hind*. To odebrało mu resztę nadziei. Mniejsza, wolniejsza i nie uzbrojona *Alouette* nie miała najmniej szans. Bankkop zanurkował, starając się znaleźć schronienie za kępą drzew pomarańczowych. Dwie kolejne rakietki wyleciały spod skrzydełek uzbrojenia drugiego *Hinda*. W ciągu kilku sekund osiągnęły cel. Jedna z nich minęła rzucającą się na wszystkie strony *Alouette*. Druga rakietka, kierująca się w ślad za gorącymi spalinami helikoptera, trafiła i zmieniła się w pomarańczową kulę ognia - odrywając ogon malutkiej *Alouette*. Kabina, stery i wirniki zaczęły opadać oddzielnie, migocząc w promieniach słońca, zanim po kilku sekundach nie roztrzaskały się o ziemię. Dwa *Hindy* zręcznie zawróciły uważając, żeby zostać poza zasięgiem karabinów maszynowych. Kiedy zniknęły za wzgórzami, Bergen usłyszał wyjący dźwięk spadającego pocisku. Cholera! Padnij! Rzucił się do wąskiego rowu obok zaparkowanej ciężarówki. Naokoło nich zaczęły spadać pociski artyleryjskie. Potężne wybuchy wyrzucały w górę fontanny ziemi. Duży kaliber, 152 mm i 122 mm, pomyślał pułkownik. Oznaczało to, że kubańską kolumnę wspierają co najmniej dwie baterie, a prawdopodobnie trzy. Jedna z nich strzelała, gdy dwie pozostałe przenosiły się na nowe miejsce. Większość zapalników była ustawiona na wybuch w powietrzu - pociski rozrywały się nad głowami piechoty, zasypując ją zabójczymi odłamkami. Ponieważ tylko część żołnierzy miała czas na zbudowanie osłon,

mógł spodziewać się poważnych strat. Unosząc nieco głowę, dostrzegł nieprzyjacielski samolot zwiadowczy, odlatujący na wschód. Kiedy ten ogień zaporowy ustanie, nadlecą silnie uzbrojone szturmowe helikoptery. Wiedział dobrze, do czego *Frogfooty* i *Hindy* są zdolne i zdawał sobie sprawę, że jego karabiny maszynowe miały jedną szansę na sto, żeby przebić ich pancierz. Potem mógł już tylko oczekiwać ataku naziemnego, z batalionem czołgów i piechotą w natarciu. Nie mieli najmniejszej szansy.

### • Punkt kontrolny, Autostrada N 1, okolice Ventersburga

Reflektory oświetlały obie strony autostrady, wyławiając z mroku kolumnę samochodów i ciężarówek. Pojazdy stały z wyłączonymi silnikami, gdyż ich kierowcy czekali na swoją kolejkę do punktu kontroli. Po lewej stronie autostrady zatrzymały się dwie ciężarówki, Jeep dowódcy i wóz pancerny *Hippo*. Obok wozów stały małe grupki rozmawiających żołnierzy w ekwipunku bojowym, najwidoczniej znudzonych rutynową pracą. Niewielu z nich zwracało też uwagę na czerwoną Astrę, która stała przed barykadą. *Kommandant* Willem Metje znowu się pocił. Był zmęczony, głodny i wystraszony. Nawet trzysta kilometrów od Pretorii nadal czuł, że jest zbyt blisko kubańskiej ofensywy i swoich kolegów z rządu. Udało mu się przedostać przez dwa posterunki kontrolne, używając do tego celu kombinacji złożonej ze swojego stopnia wojskowego, odznaki AWB i rozkazującego tonu. Nie był zbyt dobrym aktorem. Tym razem sprawa wyglądała znacznie poważniej. Spojrzał przez otwarte okno na młodego, ponurego oficera, który odmówił przepuszczenia go, jeśli nie okaże zezwolenia czy książeczki wojskowej.

- Słuchajcie, poruczniku, obaj jesteśmy bardzo zajęci. Zresztą mamy wojnę. Musimy pogodzić się, że takie małe niedociągnięcia będą się zdarzać. Niech mnie pan przepuści. a ja postaram się jak najszybciej dostarczyć zezwolenie. Zgoda? Twarz oficera pociemniała z gniewu. Metje zdrzął, zdając sobie sprawę, że nie rozegrał tego najlepiej. Zamierzał użyć swojego najbardziej serdecznego tonu, z jakim starszy rangą oficer zwraca się do młodszego oficera. A tymczasem to co powiedział zabrzmiało jak bełkot panikarza. Powtarzam panu, *kommandant*, że mam swoje rozkazy. Nie mogę pana przepuścić bez potwierdzenia pana tożsamości. Oczywiście porucznika zwęziły się, gdy cofnął się o krok. - Proszę mi dać swój dowód tożsamości... *kommandant*. Metje spostrzegł, że ręka oficera kieruje się w stronę kabury. Jego serce zatrzymało się na chwilę, a na czoło wystąpił lodowaty pot. Głośny trzask powiedział mu, że jeden z żołnierzy odbezpieczył karabin. Skapitulował i trzęsącą się ręką wręczył porucznikowi dowód przez okno. Dziękuję, *kommandant*. - Młodszy oficer włożył dowód do kieszeni bluzy. - Proszę zaparkować przy drodze, a ja sprawdzę pańską tożsamość. Wystraszony Metje posłusznie wypełnił rozkaz. Zawrócił Astrę i zjechał na żwirowe pobocze. zatrzymując się przed potężnym *Hippo*. Serce w nim zamarło, gdy spostrzegł, że oficer podchodzi do Jeepa i podnosi słuchawkę radiotelefonu, stając tyłem do niego. Rozważał w pośpiechu pozostające mu ewentualności, wymyślając je i odrzucając niemal w tej samej chwili. Czekanie nie było żadnym rozwiązaniem. Ministerstwo Obrony musiało już powiadomić posterunki o jego ucieczce. Stawianie oporu było równoznaczne z samobójstwem - strzelał kiepsko, a miał przeciw sobie uzbrojony oddział żołnierzy. Zaś ucieczka... Metje zastanawiał się. Astra była szybkim samochodem. Gdyby tylko udało mu się wyminąć ciężarówkę stojącą na drodze, mógłby uzyskać wystarczającą przewagę i umknąć pościgowi. Musi spróbować. Drżącą ręką sięgnął po kluczyk. Zerknął we wsteczne lustro. Młody porucznik odwrócił się właśnie, patrząc na niego z wściekłością. Boże! Już wie... Metje włączył silnik! Opony zabuksowały na żwirze. Szybciej! Astra wystrzeliła przed siebie w chmurze dymu i żwiru. szybko nabierając prędkości. Przez



ułamek sekundy poczuł napływ niesamowitego podniecenia. Udało mu się... Z ciemności wystrzeliły płomienie - błyski z luf wycelowanych w niego karabinów. Przednia szyba Astry rozsypała się w drobny mak, rozwalona pociskami, które podziurawiły także opony. Nagłe szarpnięcie rzuciło go na kierownicę. Zanim oprzytomniał, wyciągnięto go z samochodu. Dwóch żołnierzy przytrzymało go za ramiona, podczas gdy trzeci wyciągnął mu pistolet z kabury. Kiedy skuto mu ręce na plecach, porucznik podszedł bliżej spoglądając na więźnia z wyraźną pogardą.

- Sprawdziłem w kwaterze głównej, *Kommandant* Metje. Poinformowano mnie, że jest pan oskarżony o zaniedbanie obowiązków i dezercję! Zarzuty zostały potwierdzone przez samego generała de Weta! Metje chciał zaprotestować, ale gniewny ton porucznika uciszył go.

- Zachowaj kłamstwa dla siebie! Za późno na usprawiedliwienia! Porucznik wskazał palcem w mrok nocy.

- Zabrać go. Dwóch potężnych żołnierzy wzięło go pod ręce i poprowadziło w stronę *Hippo*. Dygocząc ze strachu, usiłował zebrać myśli, aby przygotować jakieś wyjaśnienia dla sądu wojskowego. Jednak żołnierze minęli wóz transportowy i skierowali się ku niedużemu drzewu, dwadzieścia metrów dalej. Zdezorientowany Metje rozejrzał się dookoła, jeszcze nie pojmując niczego. Porucznik i dwaj inni żołnierze szli za nim. Metje został zawleczony do drzewa i brutalnie odwrócony, tak iż teraz stał przodem do transportera opancerzonego. Zdjęto mu kajdanki z jednej ręki i złączywszy jego ręce za cienkim pniem, ponownie je zapięto. O, Boże... Porucznik skinął na swoich żołnierzy i podszedł do wijącego się przy drzewie więźnia.

- Nie mamy czasu na bezsensowne formalności sądu wojennego. Otrzymałem wyraźne rozkazy w pańskiej sprawie. Wyrok zostanie wykonany natychmiast. Odwrócił się, żeby odejść, lecz zmienił zamiar. Patrząc w oczy zielonemu ze strachu oficerowi, bez słowa zdarł odznakę AWB z munduru Metje. Następnie podszedł do grupy czterech żołnierzy. Nie tracąc nawet czasu na ustawienie ich w jedną linię, oficer warknął: - Cel! Cztery karabiny uniosły się, mierząc prosto w Metje. Skazaniec patrzył z dzikim przerażeniem na lufy karabinów. Kolana ugięły się pod nim i zawisł na trzymających go przy pniu kajdankach. Zaczął płakać.

- Neeee! Nie możecie! Jestem Afrykane...

- Pal! Pięć kul przedziurawiło głowę, piersi i brzuch Metje. Zmarł natychmiast. Jego krajowi nie była pisana równie łatwa śmierć.

# 24

## Zobowiązanie

### • 14 listopada - Biały Dom, Waszyngton

Parująca jeszcze niedawno filiżanka kawy na biurku prezydenta była już zupełnie zimna, a jeden z niecierpliwych gestów ręką omal nie wylał jej zawartości na plik

ważnych teleksów, raportów i map. *Oczywiście. pani premier. Ma pani rację. Sytuacja jest absolutnie nie do zniesienia.* Wiceprezydent James Forrester postawił swoją filiżankę kawy na niskim stoliku obok fotela i pochylił się do przodu. Nagłe przejście prezydenta do formalnego tonu oznaczało, że godzinna rozmowa telefoniczna z panią premier Wielkiej Brytanii dobiega końca. Do tej pory oboje rozmówców zwracało się do siebie po imieniu. *Dokładnie. Moi ludzie spotykają się za godzinę.* - Prezydent spojrział pytająco na Forrestera, czekając na potwierdzenie skinął głową. Większość głównych członków Narodowej Rady bezpieczeństwa znajdowała się już na stanowiskach od dwudziestu czterech godzin - od czasu, gdy do Waszyngtonu dotarły pierwsze raporty o nowej kubańskiej ofensywie. Na trawniku przed Białym Domem stał helikopter piechoty morskiej, gotowy w każdej chwili przenieść prezydenta przez Potomak do Pentagonu. -Tak, pani premier. *Zadzwoń do pani, gdy tylko będę miał bardziej szczegółowe informacje. Tak. Dziękuję pani, dla pani także.* Prezydent położył słuchawkę z niechętną miną. Forrester nie mógł dłużej hamować swojej ciekawości. *Więc?* Prezydent podniósł na niego wzrok. *Wchodzimy w to, Jimmy. Brytyjczycy też się przyłączają. -Nagle wydał się znacznie starszy. - Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba. Ale nie widzę żadnego innego rozwiązania, które miałyby sens.* Forrester poczuł szybsze bicie serca. Podniósł się z krzesła. W takim razie, panie prezydencie, lepiej będzie, jeśli zabiorę się do roboty. Grupa Hurleya już czeka na mnie. Wychodząc z Gabinetu Ovalnego, obejrzał się. Prezydent siedział nieruchomo przy biurku, patrząc smutno w jakiś pusty kąt pokoju. Forrester nie po raz pierwszy stwierdził, że łatwiej jest wykonywać rozkazy, niż je wydawać.

### • **Gabinet Kryzysowy, Pentagon**

Na polecenie prezydenta Grupa Kryzysowa ds. Afryki Południowej NRB przeniosła się ze swoimi codziennymi zadaniami do Pentagonu. Gabinet w podziemiach kompleksu budynków był znacznie większy i lepiej wyposażony. Najnowocześniejsze komputery i urządzenia łączności umożliwiały dostęp do najświeższych danych wywiadu i szybkie ich opracowanie. Poza tym, Pentagon miał więcej parkingów i wejść niż Biały Dom. Pozwalało to na przygotowanie serii ważnych spotkań bez narażania się na zebranie tłumu dziennikarzy przed budynkiem. Reporterzy obsługujący Biały Dom nauczyli się bezbłędnie liczyć i rozpoznawać parkujące samochody. Gabinet Kryzysowy bardziej przypominał doskonale wyposażone centrum dowodzenia, niż skromny Pokój Sytuacyjny w Białym Domu. W jedną ze ścian wmontowane były wielkie monitory komputerowe; większość z nich była jeszcze wyłączona. Na środku pokoju znajdował się długi stół w kształcie litery T; wojskowi siedzieli przy dłuższym ramieniu, a członkowie Grupy Kryzysowej przy krótszym. Przed każdym uczestnikiem zebrania stał mikrofon. W głębi sali znajdowało się podium z najnowocześniejszym sprzętem audiowizualnym, który pozwalał na szybkie zapoznanie grupy z rozwojem sytuacji. W Gabiniecie Kryzysowym panowała atmosfera nerwowego pośpiechu. Grupa Kryzysowa opracowywała właśnie nowe posunięcia przeciwko RPA gdy nieoczekiwana inwazja kubańska zmieniła całkowicie sytuację. Zmusiło to członków grupy do natychmiastowego podjęcia nowych decyzji, aby nadążyć za rozwojem wypadków. Oficerowie i członkowie personelu ze wszystkich czterech rodzajów służb wojskowych dokonywali ostatnich zmian i poprawek, przygotowując sprzęt, materiały i programy do obrad. Szczególne kłopoty miała obsługa techniczna komputerów oraz zabiegani pracownicy cywilni. Na twardych dyskach posiadano wszystkie mapy południowej Afryki, ale nie zostały one jeszcze przetworzone na nowy format komputerowy Pentagonu. Kapitan Sił Powietrznych stojący przy drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju wywiadu odbierał przynieszone ostatnie, ściśle tajne raporty.

Sprawdzał już tylko tytuły i numery każdego z nich, choć zazwyczaj przeliczał także strony, aby upewnić się, czy czegoś nie brakuje. Jednak warunki były dalekie od normalnych. Ciche gwizdnięcie zatrzymało cały ruch. Technicy, oficerowie i żołnierze odwrócili się do niskiego sierżanta, który wskazał ręką na drzwi. Panowie, rozpoczyna się spotkanie. Wychodząc z pomieszczenia, każdy zostawił narzędzia i notatki na swoim miejscu. Kiedy politycy skończą obrady, wszystko to będzie potrzebne do dalszej pracy. Forrester wszedł szybkim krokiem do gabinetu w towarzystwie dwóch wojskowych. Poprawiając włosy rozwiane po pośpiesznym lądowaniu helikoptera przed budynkiem Pentagonu, podszedł do swojego miejsca przy stole konferencyjnym. Siadając, skinął głową Edwardowi Hurleyowi. Przy stole umilkły wszelkie rozmowy. Wiceprezydent rozejrzał się po zebranych, nie dziwiąc się chwile, że w ciągu ostatnich godzin do grupy dołączyli: Szef Połączonych Sztabów, dyrektor CIA, sekretarze obrony, skarbu i handlu oraz kilku ich wyższych rangą asystentów. Międzynarodowe kryzysy przyciągały przywódców politycznych i wojskowych niczym płomień ćmy. Postukał palcem w stół. Postaram się zwięźle przedstawić sytuację. Spotkałem się rano z prezydentem. Każdy z zebranych przygotował się do notowania. Wskazówki prezydenta mogą ułatwić im zadanie. Forrester zatrzymał się na chwilę i zaraz kontynuował. Prezydent zgodził się na bezpośrednią interwencję Stanów Zjednoczonych w Południowej Afryce. Bezpośrednią wojskową interwencję. Rozległy się szmery zdziwienia i pierwsze komentarze, więc podniósł głos: Mamy trzy główne cele: po pierwsze, odsunięcie Vorstera i jego popleczników od władzy; po drugie, uniemożliwienie Kubię zdobycia kontroli nad zasobami strategicznymi Afryki Południowej; po trzecie i najważniejsze. zapewnienie dostępu do ich bogactw - nam i pozostałym krajom - przez wprowadzenie zarządu cywilnego w RPA - Spojrzał na zegar pokazujący czas miejscowy. Była już 10.45. - Prezydent zwołuje posiedzenie gabinetu na dziesiętnastą. Chce, żebyśmy do tego czasu przedstawili nasze propozycje i wstępny plan. Dobry Boże! - Christopher Nicholson, wciąż nerwowo kręcąc długopisem, pierwszy przerwał milczenie. - Panie wiceprezycie, nadal zbieramy informacje o kubańskiej inwazji, o ich zamiarach i możliwościach. Nie wiemy, jakie siły biorą w tym udział, nie znamy ich lokalizacji. Nie możemy podjąć działań bez lepszego rozeznania...

- Przykro mi, Chrńs, ale nie możemy czekać, aż przedstawiś nam pełne raporty wywiadu. - Ton Forrestera świadczył o niecierpliwości. - Po prostu nie mamy czasu, żeby postawić kropkę nad każdym i. Cholera, chyba wszyscy widzieli dzisiejsze sprawozdania z giełdy. Większość uczestników zebrania pokiwała ponuro głowami. Światowe giełdy finansowe ogarnęła panika. Ceny południowoafrykańskich metali osiągały niebotyczne notowania. Złoto sprzedawano już po tysiąc dolarów za uncję. Giełdy w Nowym Jorku, Tokio i Londynie były bliskie krachu. Niektóre rządy pozamykały swoje giełdy, chroniąc je w ten sposób przed załamaniem. Komentatorzy i eksperci ekonomiczni otwarcie przepowiadali okres światowej recesji. Inni mówili o depresji. Forrester przyjrzał się uważnie zdziwionym twarzom członków grupy.

- Nie mamy żadnego wyboru. Prezydent oczekuje od nas porządnego planu, który jutro rano mógłby przedstawić narodowi. - Wskazał dłonią na jeden z monitorów, na którym wyświetlono mapę ukazującą strefy objęte wojną w Namibii i Afryce Południowej. - Świat jest za mały na tego typu zabawę. Nikt z zebranych nie potrzebował więcej przypomnień, że koniec zimnej wojny nie sprowadził automatycznie na świat powszechnego pokoju i pomyślności. Forrester zwrócił się do generała Sił Powietrznych.

- Walt, prezydent chce, żeby mu odpowiedzieć jak najszybciej na jedno pytanie. Czy bez naszej interwencji Kubańczycy mogą wygrać? Szef Połączonych Sztabów nie wahał się ani chwili.

- Tak. Zebrani przy stole cywile byli najwyraźniej zaskoczeni pewnością Hickmana.

Wyżsi rangą wojskowi, podobnie jak ich cywilni odpowiednicy, zazwyczaj unikali zdecydowanych sądów. Nicholson pierwszy zabrał głos.

- Skąd ta pewność, generale? Moi analitycy oceniają, że siły kubańskie są nadal mniejsze niż cała armia RPA. Przewaga wynosi co najmniej dwa do jednego. W jaki sposób Castro ma zamiar pokonać tak silnego przeciwnika? Hickman niecierpliwie pomachał dłonią. Dyrektorze, w tym wypadku, liczby nie mają żadnego znaczenia. Ważna jest koncentracja sił na linii frontu. W tej chwili front jest w Afryce Południowej, a nie w Namibii. Kuba ma tu przewagę, mniej więcej jak dziesięć do jednego. Wstał od stołu konferencyjnego i podszedł do monitora. Proszę spojrzeć tutaj. Połowa sił Vorstera znajduje się w Namibii - ponad tysiąc kilometrów od miejsca, gdzie rozgrywa się prawdziwa akcja. Większość pozostałych sił jest rozproszona po całym kraju, ścigając czarnych partyzantów i buntowników. - Spojrzał na Forrestera. - Pytanie brzmi: czy Pretoria może dostatecznie szybko przerzucić swoją ciężką broń i piechotę z Namibii do kraju? Hickman pokręcił przecząco głową, odpowiadając na własne pytanie. - Wątpię. - Wskazał palcem na sieć czarnych i czerwonych linii. - Sieć kolejowa i drogowa Południowej Afryki jest zbyt mało rozwinięta, jak na taką operację. Musimy do tego dodać, że kubańskie *MiGi* mają decydującą przewagę w powietrzu. Mogą dokładnie rozbić każdy transport i każdy konwój poruszający się w ciągu dnia. Więc? Więc wojska południowoafrykańskie posuwać się będą nocami. Na pewno uda im się zwolnić marsz Kubańczyków, może nawet poważnie, ale nie mają żadnych szans zatrzymać ich całkowicie. Z pewnością nie przed Pretorią. W dodatku zostaną zdziesiątkowane w czasie walk. Hickman wrócił na swoje miejsce. W gabinecie zapadła cisza. Nicholson odchrząknął. Nadal jestem przekonany, że powinniśmy przedstawić prezydentowi jakieś inne wyjście, niż złe pojęte i jednostronne „zaangażowanie” wojsk amerykańskich. Chwileczkę, Chris, Brytyjczycy też zgodzili się wysłać swoje wojska. Czy ci żołnierze powstrzymają każdą kubańską i południowoafrykańską kulę, panie wiceprezydencie? - odparował Nicholson. Mówimy o wojnie z państwem, które ma stutysięczną armię i walczy Już z Kubą i swoim społeczeństwem To nie będzie przechadzka przez park. Lista naszych ofiar może sięgnąć tysięcy. Forrester zmrużył oczy na tak podstępne zagrywki, ale pohamował się. Mimo swojej buńczuczności, dyrektor CiA reprezentował poglądy sporej frakcji w gabinecie i Kongresie oraz opinii publicznej. Nikt nie chciał się wplątać w kolejną krwawą wojnę nie do wygrania, jak w przypadku Wietnamu. Alternatywą do akcji wojskowej jest kolejny wielki kryzys, dziesiątkami tysięcy bezrobotnych, głodem i zamieszkami. Pa nie dyrektorze, ani prezydent, ani ja nie jesteśmy nieomylni. Czy widzi pan jakieś inne wyjścia, które przeoczyliśmy?

- Tak. Dlaczego nie zmusić Rady Bezpieczeństwa ONZ, żeby wydała rezolucję wzywającą obie strony do zawieszenia broni... Po raz pierwszy w czasie spotkania Edward Hurley zabrał głos.

- Obawiam się, że nie ma na to szans. Rosjanie zablokują od razu każdą rezolucję, o tak! - Strzelił palcami dla podkreślenia wagi swoich słów. Sekretarz handlu poparł go.

- To prawda. Dla Moskwy jest to prestiżowa kwestia - zbyt wielkie środki zaangażowała po stronie kubańskiej, aby pozwolić sobie na interwencję ONZ. Członkowie rady zgodzili się z nim bez słowa. Zwycięstwo Kuby oznaczałoby de facto jej kontrolę nad bogactwami Afryki Południowej. A wtedy Zachód musiałby płacić najwyższe ceny za minerały strategiczne. Po raz pierwszy od dziesięcioleci Kuba nie byłaby zależna od miliardowej radzieckiej pomocy. Co ważniejsze, z punktu widzenia Moskwy ceny płacone za rosyjski chrom, tytan i złoto oraz inne minerały także wzrosłyby dramatycznie - zapewniając dopływ tak potrzebnej twardej waluty do skarbu państwa. Gdyby zaś te wyższe ceny przyniosły za sobą załamanie się światowej gospodarki, tym lepiej dla Rosjan. Depresja ekonomiczna w krajach zachodnich wyrównałaby szanse byłego Związku Radzieckiego. Potęga jest czymś

relatywnym, a nie absolutnym. Po raz kolejny od końca zimnej wojny, strategiczne interesy Rosji i Zachodu były przeciwstawne. Nicholson spróbował zaatakować z innej pozycji.

- Dlaczego więc nie zablokujemy samej Kuby? Jeśli odciąlibyśmy wojska Castro od dostaw z kraju, zakończylibyśmy wojnę.

- Z tej prostej przyczyny, że dostawy nie pochodzą z Kuby. Powinien pan to wiedzieć, dyrektorze. - Forrester okazał w końcu otwarcie swoją irytację. - Przypuszczam, że nie proponuje nam pan uwikłania się w jeszcze większy konflikt przez zablokowanie rosyjskich statków handlowych? Nicholson wolał nie odpowiedzieć na to pytanie.

- W każdym razie, nawet gdybyśmy zmusili Kubę do wycofania się, nadal mielibyśmy otwartą kwestię tego drania Vorstera. - Forrester skrzywił się. - Prezydent jest przekonany, że nie możemy zagwarantować wolnego przepływu surowców i stabilnej międzynarodowej gospodarki, bez narzucenia RPA jakiejś demokratycznej formy rządów. Spojrzał niechętnie w stronę szefa CIA. Próbowaliśmy już dyplomatycznych nacisków. Nie powiodły się. Próbowaliśmy także nacisków ekonomicznych. Także zawiodły. Teraz grozi nam sytuacja, w której mogą ulec załamaniu gospodarki wielu krajów na świecie. Dyrektorze Nicholson, pytam pana jeszcze raz: jakie inne opcje nam zostają? Cisza. Zgadza się. Żadne. - Forrester przeniósł wzrok na ludzi w mundurach. Panowie, myślę, że nadszedł czas, abyśmy poważnie zaczęli rozmawiać o użyciu wojska. Znacnie trzy cele prezydenta. Chcę wiedzieć jakich rodzajów wojsk i sprzętu musimy użyć, aby je osiągnąć. Pytanie wywołało pewne zamieszanie wśród szefów sztabów, którzy przez chwilę naradzali się pomiędzy sobą. W końcu generał Hickman pochylił się nad stołem. Panie wiceprezydencie, jedna rzecz jest pewna - grupa lotniskowcowa, która pilnuje wybrzeży RPA, nie da sobie sama rady z tym zadaniem. Forrester skinął głową wiedząc, że Hickman i pozostali szefowie rozważali już ten problem. Generał spojrzął na swoich kolegów, a potem na Forrestera. Nawet wysłanie drugiego lotniskowca nie załatwi sprawy będziemy potrzebowali czegoś więcej niż samej przewagi na morzu i w powietrzu, żeby narzucić swoją wolę. Aby przedsięwzięcie się powiodło, potrzeba będzie piechoty i to dużo.

### • **Drugi Korpus Ekspedycyjny Piechoty Morskiej, Camp Lejune, Północna Karolina**

Generał porucznik Jerry Craig niecierpliwie kręcił się w fotelu, słuchając sprawozdania. Oficer wywiadu, pułkownik George Slocomb, przygotował bardzo dobre omówienie sytuacji wojskowej w Południowej Afryce, ale w obecnej wojnie nie chodziło o prostą kampanię. W zasadzie toczono trzy wojny, z których każda szybko rozwijała się w prawdziwie niebezpieczny konflikt. Rzetelne dane o wszystkich operacjach wojennych były wyjątkowo trudne do zdobycia. Slocomb usiłował wypełnić luki przez skoncentrowanie się na skomplikowanej sytuacji politycznej RPA, ale Craig nie był zadowolony z takiej formy przedstawiania spraw. Był zawodowcem, który z przyjemnością zostawiał politykę "ludziom w krawatach" z Waszyngtonu. Generał zmienił pozycję, przeczesując palcami krótko obcięte, rude włosy. To niegrzeczne zasnąć w czasie sprawozdania, które samemu się zamówiło. Poza tym, Afryka Południowa była teraz najważniejszym miejscem na ziemi i dobrze było wiedzieć, co się tam dzieje.

- Generale? - szepnął jeden z adiutantów.

- O co chodzi?

- Waszyngton na linii. Zirytowany przerwą Craig wstał i podszedł do stolika, na którym stał telefon. Zapaliły się światła i w pokoju dały się słyszeć rozmowy. Zdenerwowanie generała minęło, gdy tylko usłyszał głos po drugiej stronie linii.

- Jerry, mówi Wes Masters. - Craig znał doskonale głos Wesleya, starszego o dwa lata kolegi z Akademii. Razem też walczyli w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej w Wietnamie i w kilku innych gorących miejscach na świecie. Masters był jednym z niewielu ludzi w Piechocie Morskiej starszych od niego rangą w rzeczywistości dowodził nią. Craig wyprostował się.
  - Tak jest, komendancie. Co mogę dla pana zrobić? Kiedy sztab usłyszał słowa dowódcy, wszystkie rozmowy ucichły, jak ucięte nożem. Każdy chciał słyszeć tę część rozmowy.
  - Tak jest, sir, jesteśmy gotowi, jak zawsze. Przygotowujemy się do operacji ZŁOTY ORZEŁ w przyszłym miesiącu, ale...
  - Tak, tak, sir. Rozumiem. - Craig pokręcił głową. Jezu Chryste! Czy dobrze usłyszał?
  - Będę tam tak szybko, jak tylko zdołam. Przekażę do Andrews przez radio przewidywany czas przybycia. Do widzenia, sir. Generał odłożył słuchawkę i odwrócił się do zaniepokojonego sztabu.
  - Słuchajcie, chłopaki. Zostawcie wszystko, co na dziś zaplanowaliście. Cofnijcie wszystkie przepustki i zabierzcie się do przygotowywania zaokrętowania. Wszystkim zrzedły miny. Doskonale wiedział, co czują. Odwrócił się do swojego szefa sztabu.
  - Terry, połącz się z bazą lotniczą. Chcę mieć *Horneta* gotowego do lotu za dwadzieścia minut. Muszę błyskawicznie dostać się do Waszyngtonu.
- Craig lekko podniósł głos, żeby każdy w pokoju mógł wyraźnie usłyszeć.
- Kiedy wrócę, chcę mieć przygotowane spotkanie ze wszystkimi oficerami sztabu. Wszystkimi. Przygotujcie listę spraw, które mogłyby przeszkodzić w zaokrętowaniu. Uśmiechnął się do nich, ale w jego głosie słychać było ponurą nutę.
  - I niech to będzie raczej bardzo krótka lista.

- **Baza Sił Powietrznych Piechoty Morskiej, Cherry Point, Północna Karolina**

Craig prawie nie zwracał uwagi na drogę do lotniska. Przez cały czas udawał, że jest zajęty robotą papierkową. Czytanie i podpisywanie nudnych dokumentów pomagało mu ukryć wir myśli i wrażeń. Piechota Morska, a zwłaszcza jej generałowie, nie powinna zachowywać się jak podnieceni uczniacy. Od czasu rozmowy z dowódcą starał się panować nad emocjami. Rozkaz zaokrętowania nie mógł zostać wydany pochopnie. Takie rozkazy wydawano jedynie w przypadku poważnych kryzysów, kiedy szanse na inne rozwiązania tak się zmniejszyły, że użycie wojska było nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne. Musiało chodzić o Afrykę Południową. Było jeszcze kilka innych gorących miejsc na świecie, ale tylko tam toczyła się prawdziwa wojna. Masters zaś kazał mu przygotować cały korpus ekspedycyjny! Nie jeden czy dwa bataliony, ale dwie brygady. Walka w Afryce. Zastanawiał się nad tym. W czasie swojej kariery w Piechocie Morskiej miał już niejedną okazję prowadzić walkę, zawsze w jakichś zapomnianych przez Boga i ludzi miejscach, gdzie nikt normalny nie chciałby mieszkać, a co dopiero o nie walczyć. Jednak nigdy nie miał okazji dowodzić tak wieloma żołnierzami w czasie walki. W pełnej sile Korpus Ekspedycyjny Piechoty Morskiej liczył czterdzieści tysięcy marynarzy i żołnierzy piechoty, dwieście samolotów bojowych, ponad czterysta śmigłowców oraz setki czołgów, lekkich wozów pancernych i dział. Z punktu widzenia Craiga, było to najdoskonalsze na świecie połączenie zdolności strategicznej, siły ognia i ogromnych możliwości. Sama myśl o prowadzeniu tych wszystkich ludzi do walki mogła przyprawić o zawrót głowy, pomyślał Craig. Nie można przecież rzucić tych wszystkich żołnierzy do zwykłego szturm. Trzeba było wiedzieć, jak połączyć siły powietrzne, lądowe i wodne w jedną całość. Czuł jednak, że jest gotów na to - gotów na wszystko. Przynajmniej tak mu

się wydawało. W czasie swojej długiej i zasłużonej kariery miał wiele okazji do pracy w sztabie. Każdy oficer Piechoty Morskiej, nawet najhardziej wojowniczy, musiał spędzić sporo czasu za biurkiem. Podczas służby w Pentagonie udowodnił, że jest dobrym strategiem - rozsądnym żołnierzem, który nigdy nie traci z oczu krótszej i lepszej drogi prowadzącej do celu. Mimo wszystkich przeciwności Craig szybko wspinał się po drabinie hierarchii wojskowej. Teraz osiągnął szczyt swojej kariery - pozycję oficera dowodzącego Drugim Korpusem Ekspedycyjnym Piechoty Morskiej. Generał wyjrzał przez okno, gdy przejechali potężną bramę bazy w Cherry Point. Zaczął pakować papiery do teczki. Kiedy znaleźli się na terenie bazy, potrzebowali jeszcze kilku minut, żeby dotrzeć do płyty lotniska, wzdłuż której stały rzędy hangarów. Słychać było nieustanny ryk potężnych silników. Z jednych pasów startowały kolejne samoloty transportowe z ładunkami dla znajdujących się w morzu lotniskowców. Na innych piloci myśliwców ćwiczyli lądowanie i start. Nad wszystkim zawisł przenikliwy, kwaśny zapach wysokooktanowego paliwa do odrzutowców. Kiedy samochód się zatrzymał obok gotowego do startu dwumiejscowego myśliwca *F/A 18 Hornet*, mała grupka ludzi w mundurach stanęła na baczność. Zasalutowali na widok Craiga. Craig zostawił teczkę i resztę swoich rzeczy kierowcy, oddał salut i podszedł szybkim krokiem do starszego stopniem oficera.

- Dobry wieczór, generale. Jestem Steve Walker, dowódca dywizjonu. - Wskazała na gotowego do lotu porucznika w ekwipunku. - To Tom Lyles, pański pilot. Lyles był niskim mężczyzną o szczerej, wzbudzającej zaufanie twarzy. Do grupy podbiegł żołnierz z ekwipunkiem dla Craiga i pomógł mu się ubrać w kombinezon, kamizelkę ratunkową i hełm. Kiedy zapinał mu kamizelkę, Craig zapytał:

- Ile czasu zajmie lot do Andrews?

- Jakies dwadzieścia minut, sir. - Młody pilot uśmiechnął się na widok jego zdumionego spojrzenia. - Kiedy tylko wejdziemy na odpowiednią wysokość, będziemy lecieli z prędkością prawie dwóch machów, Craig był pod wrażeniem, choć starał się to ukryć. Sama jazda z bazy Andrews do Pentagonu przez Waszyngton zajmie dwa razy tyle czasu. Podbiegł jego kierowca.

- Pański bagaż jest w schowku bagażowym, generale.

- Świetnie. - Craig poprawił hełm na głowie. - Przekaż czas

przylotu dowódcy. Po spotkaniu muszę szybko wracać do jednostki.

- Tak, sir. Dziesięć minut później *Hornet* oderwał się od pasa, szybko wspinając się do góry. Na wysokości sześciu tysięcy metrów nad zalesioną Karoliną Lyles wyrównał lot. Jednak nadal przesuwiał manetkę gazu do przodu. Większość pilotów spędzała czas na obliczaniu charakterystyk lotów, które pozwoliłyby im jak najdłużej przebywać w powietrzu. Lyles najwidoczniej zamierzał wykorzystać okazję, że może lecieć tak szybko, jak mu się tylko podoba. *Hornet* pomknął z ogromną prędkością, robiąc istną dziurę w powietrzu.

## • Pentagon

Craig wszedł energicznie do Pentagonu po szerokich schodach od strony Potomaku, witany salutami oficerów wchodzących i opuszczających budynek.

Na jego spotkanie wyszedł major Piechoty Morskiej.

- Generale? Proszę tędy, sir. Już czekają na pana na dole. Craig oczekiwał, że zaprowadzą go prosto do biura dowódcy w nowym budynku Marynarki, ale zamiast tego znalazł się na długim i słabo oświetlonym korytarzu w podziemiach głównego budynku. Nigdy tu jeszcze nie był. Jego przewodnik zatrzymał się przed nie oznaczonymi metalowymi drzwiami.

- To tu, generale. Major wystukał czterocyfrowy kod na płycie z przyciskami i pociągnął drzwi. Craig wszedł do dużego pokoju konferencyjnego, urządzonego

nowocześnie i funkcjonalnie. Pierwsze spojrzenie na zebranych błyskawicznie zniwelowało wrażenie, jakie wywarł na nim wystrój pokoju. Oczekiwał spotkania z Wesem Mastersem, ale na pewno nie z pozostałymi szefami sztabów, sekretarzem obrony i wiceprezydentem. Zatrzymał się w drzwiach. Wchodź, Jerry. Rozgość się. - Masters obszedł stół i uściśnął mu rękę. Zaraz potem poprowadził go do pustego krzesła. Mimo iż w miarę wspinania się po szczeblach hierarchii wojskowej część blasku bijącego od wysoko postawionych osób przygasła w jego oczach, jednak teraz Craig czuł się mocno oszołomiony takim towarzystwem. Był oficerem dowodzącym całym korpusem ekspedycyjnym - absolutnym panem prawie czterdziestu tysięcy ludzi - a jednak nadal był najniższy rangą wśród tych ludzi. Nie był przyzwyczajony do czegoś podobnego. Jakich rozkazów powinien się spodziewać? Stare powiedzenie mówiło, że im wyższa ranga, tym cięższe zadanie. Skinął na powitanie zebranych i usiadł na swoim miejscu. Masters usiadł obok niego i spojrzał na stojącego pod ścianą oficera Lotnictwa. W porządku, pułkowniku. Z sufitu wysunął się ekran projekcyjny i przygasły światła. Przez następnych dwadzieścia minut Craig musiał wysłuchiwać kolejnego raportu dotyczącego Afryki Południowej - wprawdzie krótszego, ale zawierającego dokładniejsze dane. Craig zapamiętał jednak, żeby powiedzieć Slocombowi, że się wcale tak wiele nie pomylił. Światła zapaliły się i generał Masters spojrzał na niego.

- Jerry, chcemy, żebyś zabrał Drugi Korpus Piechoty Morskiej do RPA. Bingo! jego wcześniejsze przypuszczenia trafiły w dziesiątkę. - Nasi ludzie nadal przygotowują plan, ale obecnie przewidujemy lądowanie w Kapsztadzie i uderzenia: w głąb lądu i na wschód wzdłuż wybrzeża. Po dwóch omówieniach sytuacji Craig doskonale zdawał sobie sprawę, co to wszystko oznacza. Kapsztad był oddalony o niemal czternaście tysięcy kilometrów od bazy morskiej w Camp Lejeune, co było olbrzymią odległością dla tego typu operacji. Spojrzał na mapę wyświetlaną na monitorze. Masters przewidział jego pytanie.

- Jerry, rozumiemy problemy związane z odległością. Jednak jest kilka czynników, które przemawiają na naszą korzyść. Po pierwsze, południowoafrykańska marynarka praktycznie nie istnieje, więc nie musimy się martwić transportem. - Dowódca Piechoty Morskiej spojrzał porozumiewawczo na siedzącego po drugiej stronie stołu admirała i powiedział: - Marynarka obiecała nam szybką podróż.

- Po drugie, wydaje nam się, że powinna ci wystarczyć jedna brygada. Kapsztad znajduje się w sporej odległości od kierunków kubańskiej inwazji, a nasze kontakty wśród zbuntowanych oddziałów wskazują, że amerykańska interwencja będzie mile witana jako czynnik stabilizujący. Świetnie. Craig skrzywił się na myśl o dowodzeniu ludźmi, których nie znał i którzy w dodatku już raz złamali przysięgę.

- Jerry, to poważna operacja. Żeby wykonać robotę, będziemy potrzebowali twoich chłopców, 7. Dywizji Piechoty Lekkiej, 101. Powietrzno-Desantowej i 24. Zmechanizowanej. Wesprzemy cię dwoma lub trzema lotniskowcowymi grupami uderzeniowymi i wszystkimi dywizjonami taktycznymi Sił Powietrznych. Craig przełknął ślinę. Master mówił o prawie ćwierćmilionowej armii. Jezu Chryste! Zdaje się, że jeszcze nie ogarnął, jak "duża" jest ta operacja. Spróbował zażartować.

- To już wszystko, sir? Masters uśmiechnął się do niego i spojrzał na wiceprezydenta.

- Niezupełnie. Oczekujemy, że przyłączą się do nas Brytyjczycy. Craig poczuł, że wszyscy patrzą na niego. Zdawał sobie sprawę i tego, że jest świadkiem historycznej chwili, ale nie przychodziły mu do głowy żadne gładkie sentencje, które mogłyby zachować dla potomności.

- Moi chłopcy są gotowi. Kiedy mamy wyruszyć?

- Tak szybko, jak to będzie możliwe. Mamy bardzo mało czasu na zmontowanie tej operacji, jerry - odparł Masters.

- Kto będzie dowodził? - Musiał wiedzieć, pod kim będzie służył. Pewnie jakiś nadęty



facet. Może nawet ktoś, kogo zna. Przez krótką chwilę Masters przypominał sławnego kota z Cheshire Lewisa Carrolla - ukazując w uśmiechu same zęby.

- Ty dowodzisz. Na razie musisz zostać jeszcze z trzema Rwiadkami, ale przygotowujemy już papiery na czwartą. Będziesz potrzebował... Głos Mastersa zanikł na chwilę; Craig poczuł nagle pustkę i oszołomienie. On? Na czele połączonej operacji? Mój Boże, ofiarowali mu pozycję odpowiadającą dowództwu korpusu - nie, lepiej - dowództwu grupy operacyjnej. Będzie dowodził Armią, Marynarką i Siłami Powietrznymi Stanów Zjednoczonych i siłami co najmniej jednego obcego państwa w wojnie na drugim końcu świata. Poczuł nagle, że zapuszcza się w dzikie spekulacje i że zabawa w kadeta wobec szefów sztabów nie jest najlepszym pomysłem. Może poważnie zmniejszyć jego szansę na awans, zażartował w myślach, co uświadomiło mu, jak bardzo jest podniecony.

- ...operacją morską, więc Piechota Morska powinna mieć całkowite dowództwo. Masz opinię człowieka pełnego energii i w odpowiednim stopniu agresywnego. Na pewno będziesz potrzebował zarówno jednego, jak i drugiego. Prezydent wygłosi przemówienie telewizyjne jutro wieczorem, więc od samego początku będziemy w to oficjalnie zaangażowani. Możesz oczekiwać sporego zainteresowania ze strony środków przekazu, nam jest bardzo potrzebna przychylność prasy. Masters pochylił się ku niemu. Wiemy, że potrafisz walczyć. Czy możesz dać sobie radę z tym zadaniem? Tylko tu obecni wiedzą, że zwróciliśmy się do ciebie z taką propozycją. - Komendant skinął głową w stronę zebranych wokół stołu ludzi. - jeśli odrzucisz tę ofertę, nadal będziesz dowodził Drugim Korpusem Piechoty Morskiej w Afryce. Oczywiście, będziemy rozczarowani, gdyż myślimy, że najlepiej się nadajesz do tego zadania. To nie jest rozkaz, tylko pytanie. Czy zgodzisz się objąć dowództwo całej grupy? Nie rozkaz, pomyślał Craig. W tego typu wypadkach nigdy nie wydaje się rozkazów. Zawsze ma szansę odmówić i wyjść z honorem. Oczywiście, gdyby się teraz wycofał, mógłby pożegnać się z nadziejami na dalsze awanse. Nie miałyby żadnych szans zajęcia miejsca Wesa, kiedy ten przejdzie na emeryturę. Jednak w teorii miało to sens. Niektórzy ludzie woleliby przegrać swoją karierę, niż całą wojnę. Craig siedział w milczeniu przez kilka sekund, starając się myśleć obiektywnie. Chciał oszacować swoje siły i ograniczenia. Jednak znał już odpowiedź. Nie mógł powiedzieć: nie. Powrót do domu wydał się jeszcze szybszy niż lot na północ. Usadowiony na tylnym siedzeniu *Hometa* zdołał tylko otworzyć teczkę z omówieniem sytuacji, którą mu dano przed wylotem. Przejrzał jednak podsumowanie sił, którymi dysponował i ostateczny raport wywiadu. Wszystko to przekonało go, że zadanie jest wykonalne. Następnie przeszedł do grubego dodatku zatytułowanego „Aspekty polityczne”. Po raz pierwszy od czasu przyjęcia dowództwa generał porucznik Jerry Craig zaczął mieć wątpliwości.

### • 15 listopada - 3. Brygada Komandosów, Królewska Piechota Morska, Devonport, Anglia

Brygadier Neil Pascoe spał mocno, kiedy zadzwonił telefon na jego nocnym stoliku. Ostry dźwięk sześć razy rozdarł ciszę nocną, zanim zaspana ręka znalazła słuchawkę.

- O co, do cholery, chodzi? Dyżurny oficer brygady był należycie skruszony.

- Major generał Vaughn na linii, sir. Pascoe natychmiast oprzytomniał. Dowódca Sił Powietrzno Desantowych Wielkiej Brytanii nie budził podwładnych bez powodów. Zwłaszcza o drugiej trzydziści nad ranem. Usłyszał w słuchawce trzask przelącanego telefonu.

- Pascoe?

- Tak jest, sir. Vaughn od razu przeszedł do sprawy.

- Obawiam się, że wypadki w Afryce Południowej przyjęły

bardzo zły obrót. Właśnie rozmawiałem z panią premier, która poprosiła, żebyśmy przygotowali się do wyruszenia w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od otrzymania rozkazu...

- **Poranne wiadomości CNN**

Dziennikarz stał naprzeciw głównej bramy bazy Marynarki Stanów Zjednoczonych w Little Creek, w stanie Wirginia. Za jego plecami przed wejściem do bazy kłębił się tłum ludzi - pracownicy wchodzili i wychodzili, entuzjaści machali flagami amerykańskimi, a nieduże grupki protestujących obnosiły się z plakatami. Połączone siły żandarmerii i żołnierzy miejscowego garnizonu rozdzielały od siebie obie grupy - trzymając skinheadów i członków Ku-Klux-Klanu po jednej stronie, a lewicowców i starzejących się członków Ligi Młodych "Spartakus" po drugiej. Widać było często przejeżdżające przez bramę ciężarówki wojskowe. Wszystko to tworzyło odpowiednie tło dla narracji.

*...zmuszeni do pospiesznych poczynań przez wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. W Unie Creek, Wirginia, gdzie mieśd się Drugi Korpus Ekspedycyjny Piechoty Morskiej, zagotowało się, kiedy marynarze otrzymali rozkaz zaokrętowania na każdy dostępny okręt i kilka statków handlowych zapewnionych przez Dowództwo Wojskowe Floty. Kontenerowiec Gulf Galaxy" i kilka olbrzymich masowców są jedynie pierwszymi z wielu statków niezbędnych do przetransportowania żołnierzy i ich sprzętu przez Atlantyk do Afryki Południowej. Ta scena powtarza się w wielu portach Marynarki i cywilnych wzdłuż całego wybrzeża, a także w Southampton, w Anglii, gdzie Królewska Piechota Morska przeprowadza własne zaokrętowanie.*

Na ekranach ukazał się widok Wilmington z lotu ptaka. Wejście do Chesapeake Bay zawsze było pełne statków handlowych i okrętów, udających się do jednej z dwóch baz morskich. Obecnie było wręcz zapchane kilkudziesięcioma jednostkami. Zbliżenie obrazu pokazało samą bazę marynarki ze stalowoszarymi okrętami zacumowanymi przy nabrzeżu. Wszędzie można było dostrzec pospieszny ruch. Oficjalne źródła podają, że statki będą przewozić "pierwsze pododdziały zjednoczonych sił pokojowych". Żołnierze, z którymi rozmawiałem, używali terminu „zwiad bojowy”.

## 25

### **Piorun**

- **18 listopada - wysunięty punkt dowodzenia, Kubański Korpus Ekspedycyjny, Baza Lotnicza Louis Trichardt, RPA**

Stopień zniszczenia południowoafrykańskiej bazy lotniczej świadczył o zaciętej, aczkolwiek beznadziejnej obronie i o sile miażdżącego ataku. Długie, betonowe pasy startowe były gęsto podziurawione przez ciężkie pociski artyleryjskie. Wieże kontrolne, hangary i magazyny zostały zamienione przez bomby w bezkształtne masy stopionego aluminium, powyginanych stalowych wsporników i rozbitych ścian. Nad

wszystkim unosił się przejmujący i mdlący zapach śmierci, gnicia i tysięcy ton paliwa, które zostało rozlane lub spalone. Baza Lotnicza Louis Trichardt została rozbita w drobny mak, ale jej nowi właściciele już byli zajęci pospieszną reperacją. Wzdłuż głównego pasa startowego ustawiono cztery samobieżne wyrzutnie rakiet ziemi-powietrze *Romb* w kodzie NATO nazywane *SA-8 Gecko*, montowane na lekkich, sześciokołowych transporterach opancerzonych. Nad każdym z nich nieustannie obracały się anteny radarów, omiatając niebo w poszukiwaniu samolotów nieprzyjacielskich. Baterie SAM miały wsparcie w postaci ośmiu stanowisk *ZU-23*, holowanych podwójnie sprzężonych 23-milimetrowych dział przeciwlotniczych rozmieszczonych na terenie całego lotniska. Ich długie lufy były wycelowane w niebo, gotowe ostrzelać każdy atakujący samolot. Pod osłoną baterii SAM i dział przeciwlotniczych, saperzy kubańscy nadzorowali pracę czarnych robotników, którzy wypełniali kraterę betonem i ręcznie oczyszczali rumowisko. Robotnicy byli czarnymi Południowoafrykańczykami, "ochotnikami" na służbie u swoich oswobodzicieli. Inni Murzyni zajmowali się usuwaniem zwłok Mrykanerów - wrzucano je do zbiorowego grobu w pobliżu pasa startowego. Generał Antonio Vega przyglądał się krytycznie pracującym Murzynom. Na jego wąskiej, surowej twarzy utrzymywał się lekki grymas niezadowolenia. Było mniej prawdziwych ochotników, niż na to liczył. Oficer polityczny i oficer łącznikowy z ANC składali winę za brak siły roboczej na straty wśród ludności cywilnej, spowodowane kubańskimi bombami i pociskami ostrzeliwującymi pozycje SADF w otaczających bazę miastach czarnych. No cóż, może mieli rację. Generał wzruszył ramionami. Czy ci Murzyni oczekiwali, że zdobędą wolność i władzę polityczną bez strat? jeśli tak, to bardzo się zawiodą. Wojny i rewolucje zawsze były czymś okrutnym i krwawym, pomyślał. On sam wie o tym najlepiej. Przez trzydzieści lat służby wojskowej w kraju rządzonego przez Fidela Castro brał udział w wielu wojnach i rewolucjach. Oficerowie ANC donosili, że niektórzy Murzyni uważali Kubańczyków za prawie takich samych rasistów, jak Południowoafrykańczyków. A dlaczego? Ponieważ jego armia wyzwoleńcza potrzebowała silnych rąk. Vega zacisnął zęby. Rasiści! Co za bzdury. Przecież miał czarnych oficerów w swoim sztabie. Dzielnych i kompetentnych ludzi. A że używał południowoafrykańskich Murzynów tylko do prac fizycznych, to co z tego? Karol Marks powiedział przecież wyraźnie: "Od każdego według jego zdolności, każdemu według potrzeb". Przestał myśleć o takich błahostkach. Niech znajdujący się na tyłach komisarze martwią się takimi sprawami. On miał wojnę do wygrania. Vega obrócił się do grubego i wąsatego pułkownika saperów: No i co, Luis? jak szybko nasze samoloty będą mogły tu lądować? Za jakieś dwadzieścia cztery godziny, towarzyszu generale. W głosie pułkownika nie słychać było wątpliwości, której Vega nigdy nie tolerował. - Ciężki sprzęt powinien przybyć przed świtem, a wtedy... - Machnął ręką w stronę wraków oraz stert gruzu, jakby chodziło o łatwy do sprzątnięcia kurz. Vega poklepał go po ramieniu i spojrzał na oficera Sił Powietrznych z jego sztabu. Słyszysz, Rico. Dwadzieścia cztery godziny. Dobra wiadomość, co? Tak jest. - Major lotnictwa wskazał na pracujących ludzi. Kiedy tylko oczyszczą główny pas startowy, możemy przerzucić tu podstawowe jednostki brygady. A wtedy możemy przywrócić bazie pełną zdolność operacyjną w ciągu niecałego dnia. Vega był zadowolony; ich szanse rosły. Poza tym, kubańskie myśliwce i transportowce, jak wszystkie samoloty produkcji radzieckiej, były przystosowane do wykorzystywania zdobytego sprzętu naprawczego, tankującego i uzbrojenia - Afryka Południowa używała standardowego sprzętu NATO. Jak rozsądnie z ich strony, pomyślał Vega. Spojrzał nad pasem lotniska w stronę biegnącej na południe autostrady. Pietersburg - ważny ośrodek przemysłowy i węzeł komunikacyjny - był oddalony tylko o sto dwadzieścia kilome. trów, a stąd jeszcze dwieście osiemdziesiąt kilometrów na południe ku stolicy wroga, Pretorii. Unoszący się nad horyzontem żółty kurz i biało-

szary dym wskazywały pozycję Grupy Taktycznej Pierwszej Brygady. Pokonując rosnący opór południowoafrykański, kubańskie czołgi, wozy bojowe piechoty i transporterzy opancerzone posuwały się naprzód. Vega był dumny, spełniały się jego plany. Zajęcie bazy lotniczej umożliwi lepsze rozwinięcie całej ofensywy. Niezbędne zapasy i sprzęt będzie można dostarczać samolotami, zamiast przewozić ciężarówkami z Zimbabwe. Co ważniejsze, kubańskie myśliwce będą oddalone tylko o kilka minut lotu od frontu - co pozwoli im przeznaczyć więcej czasu na wyszukiwanie celów w powietrzu i na ziemi. Wszystko to oznaczało, że Pretoria będzie musiała poświęcić jeszcze większą liczbę żołnierzy do walki na tym froncie, przerzucając oddziały z innych części kraju. Vega uśmiechnął się. Karl Vorster i jego generałowie będą mieli okazję wziąć niezbyt przyjemną lekcję z logistyki, dokładnego planowania dyslokacji siły powietrznej i naziemnej. Kubański generał podszedł do wozu dowodzenia. Małe zwycięstwa tylko wtedy miały znaczenie, kiedy zapowiadały całkowite zwycięstwo. Czas przyjrzeć się ogólnej sytuacji.

### • Grupa Taktyczna Pierwszej Brygady, okolice Bandelierkop, RPA

Ponad dwadzieścia kubańskich wozów pancernych, kołowych i gąsienicowych, jechało szeroką transwalską równiną, łamiąc ogrodzenia pastwisk i tratując łąki i pola uprawne. Po ich przejeździe nie unosiły się obłoki pyłu, które mogłyby zdradzić pozycję oddziału. Wczesnym rankiem przeszła pierwsza porządna wiosenna burza - przesuając się na zachód wśród błysków piorunów i potoków deszczu. Pocisk uderzył w ziemię dwieście metrów przed kubańską kolumną. Nowo promowany major Victor Mares odruchowo schylił się we włączkę swojego *BTR-60*. Nacisnął przycisk mikrofonu.

- Poruczniku, widzi pan jakieś oznaki działań wroga?

- Jeszcze nie, towarzyszu majorze. - W słuchawkach rozległ się głos dowódcy oddziału zwiadowców. Mares znowu schował się za stalową klapę, klnąc porządnie. Gdy kolejny pocisk wrył się w ziemię po jego lewej stronie. Tym razem znacznie bliżej. Nad głową zaświstały mu odłamki. Cholerni Afrykanerzy - chyba mieli dobrego obserwatora i mapy. Tylko gdzie oni są?

- Chyba ich znaleźliśmy, majorze! - Podniecony głos porucznika brzmiał niemal chłopięco. - Zbliżamy się do farmy, jakieś trzy kilometry przed wami. - Sprawdzimy ją. Mares opuścił mikrofon, który zawisł na kablu i podniósł do oczu lornetkę. Niskie wzgórze. Ciemne, pokryte chmurami niebo. Powiększony obraz oddalonych o kilka metrów wozów i znowu ciemne niebo. Cholera! Trzęsący się i kołyszący *BTR* uniemożliwiał skoncentrowanie się na jednym punkcie dłużej niż sekundę. Wsparł się mocno o włączkę i spróbował jechać na transporterze opancerzonym, jak gdyby to był rączy wierzchowiec. Na zakazanych i często zagłuszanych filmach "TV Martii", nadającej z USA, widział kiedyś, jak to robili amerykańscy kowboje. Podniósł znów lornetkę i spojrzał na wzgórze. Tak, teraz lepiej. W szklach pojawił się nagle mały, pomalowany na biało dom. Mares spojrzał na lewo i z powrotem na prawo. Za farmą wznosił się wysoki, cylindryczny silos na ziarno. Po jednej stronie stały dwie stodoły otoczone wybiegiem dla zwierząt. Wzdłuż wschodniej ściany domu rósł rząd smukłych drzew. Małe, przyjemne miejsce, pomyślał. Farma wyglądała na o wiele bardziej zamożnie, niż kołchozy na Kubie. Zniżył trochę lornetkę, szukając krępych kształtów wozów zwiadowczych *BRDM-2* swojego plutonu. Znajdowały się jakieś pięćset metrów przed farmą, rozciągnięte w formację klina. Szybko parły do przodu. Może nawet za szybko. Dom mógł być przecież czymś więcej niż tylko punktem obserwacyjnym artylerii. Kamiennie ściany świetnie się nadały na punkt obrony dla piechoty. Takie miejsce było zbyt dobre, aby jakkolwiek południowoafrykański dowódca je przeoczył, pomyślał Mares. Pierwsze dni kubańskiej ofensywy były

*blizkriegiem*, w czasie którego bez najmniejszego kłopotu rozbijali słabo uzbrojone komanda Afrykanerów. jednak taka sytuacja nie mogła się ciągnąć w nieskończoność. Pretoria musiała w końcu zacząć pospiesznie ściągać swoje siły z Namibii. Pięćdziesiąt metrów przed kolumną rozerwał się kolejny pocisk. Mares schował się i szybko podjął decyzję. jeśli Południowoafrykańczycy posiadali artylerię, musieli mieć także piechotę z transporterami opancerzonymi i wozami bojowymi. Podniósł mikrofon, żeby wycofać zwiadowców. Za późno! Nagły rozbłysk koło farmy, po którym nastąpiła oślepiająca eksplozja. W powietrze wzbiła się kolumna czarnego dymu. Prowadzący *BRDM* leżał na boku, zniszczony i ogarnięty płomieniami. Dwa towarzyszące mu wozy starały się wycofać w pośpiechu. Mares skoncentrował się na farmie. A niech to szlag! Samochód pancerny *Eland* z 90-milimetrowym działem. Zbyt wiele tych wozów strzelało do niego w Namibii, żeby mógł się pomylić. Oczywiście, nie był sam - zza stodoły wychyliła się krótka, brzydka lufa drugiego *Elanda*. Małe figurki zajęły pospiesznie pozycje w drzwiach i oknach domu. U wylotu lufy pierwszego *Elanda* pojawił się kolejny rozbłysk. Sekundy później rozprysło się błoto tuż obok uciekającego wozu zwiadowczego, który lawirował, skręcając gwałtownie na boki i jadąc w pełnym pędzie na północ. Mares stanął we włązie, obserwując drogi prowadzące do południowoafrykańskiej farmy. Nie wyglądało to najlepiej. Dom zajmował strategiczną pozycję i stał na samym szczycie niskiego wzgórza otoczonego otwartymi polami. Żadnych sadów. Żadnych pagórków umożliwiających schronienie. Nic, oprócz otwartej równiny, która świetnie nadawała się na pole ostrzału. Zaklął pod nosem. jeśli Południowoafrykańczycy dobrze obsadzili dom i budynki gospodarcze, jego ludzi czekała długa i krwawa walka. Dowódca brygady nie będzie zadowolony. Trudno, im wcześniej zaczną, tym wcześniej z tym skończą. Mares zeskoczył do ciasnego wnętrza wozu. Stuknął palcem młodego radiowca.

- Połącz mnie z dowództwem brygady! Kapral mruknął potakująco i zaczął zmieniać częstotliwości na dużej, radzieckiej radiostacji. Mares obrócił się do reszty swojego sztabu - kapitana, dwóch młodych poruczników i mrukliwego sierżanta.

- Będziemy musieli wykurzyć tych drani. Rozkażcie kolumnie przeformować się w tyralierę. Przypomnijcie im, żeby zachowali odległość co najmniej pięćdziesięciu metrów pomiędzy pojazdami. Nie chcę, żeby jak dumie zbijali się w stada, niczym owce. Kolejny wybuch zakołysał transporterem, jakby dla podkreślenia jego słów. Pokiwali poważnie głowami. Rozproszenie własnych pojazdów w czasie ostrzału artyleryjskiego było zawsze rozsądną decyzją. Każdy metr wolnej przestrzeni skutecznie przeciwdziałał wstrzeleniu się przez nieprzyjaciela. Niestety, wielu żołnierzy traciło wtedy rozsądek na rzecz wrodzonego instynktu, który mówił, że "w niebezpieczeństwie należy się łączyć". Majorze, mam brygadę na linii. Wziął do ręki słuchawkę. *Tango Golf jeden, tu Alfa Dwa Trzy. Słyszę cię, Dwa Trzy.* - Mares rozpoznał suchy głos szefa sztabu brygady. Dobrze. Facet nie był zbyt sympatyczny, ale doskonale znał się na swojej robocie. Major przedstawił sytuację w kilku zwięzłych słowach. *Wasze propozycje?* Mares nacisnął przycisk nadawania.

*Mogę zaatakować za dwadzieścia minut, ale będziemy potrzebowali lotnictwa, żeby zmiękczyć nieco grunt. Niemożliwe.* - Oficer operacyjny nie bawił się w żadne prośbiny. Fakty były faktami i grzeczność nic tu nie mogła zmienić. - Siły Powietrzne donoszą o nadciągającym froncie atmosferycznym z burzami. Sądzą, że myśliwce będą unieruchomione do Jutrzejszego świtu. Niech to diabli. Mares żałował, że Kuba nie posiada samolotów szturmowych, które mogą latać w każdą pogodę jak amerykańskie. Szukał pospiesznie innego wyjścia. *A co z artylerią?* Suchy głos zniweczył tę nadzieję *Nasze baterie będą rozlokowane dopiero za trzy godziny.*

Nie możecie spróbować szybkiego ataku? *Niemożliwe, Tango jeden.* - Mares aż wzдрыgnął się na taką myśl. Szturm na to odkryte wzgórze bez wsparcia

powietrznego czy artyleryjskiego byłby prawdziwą katastrofą. Po takim ataku niewiele by zostało z jego wozów i ludzi. Spojrzał na podaną mu przez sierżanta mapę. *Spróbujemy znaleźć inną drogę, ale mamy na to małe szanse. Zbyt otwarty teren. Będziemy jednak chyba potrzebowali tych dział, które jeszcze są w kolumnie. Zrozumiałem, Dwa Trzy. Tango Gold jeden, koniec odbioru.* Mares wrócił do mapy. Nie potrafił znaleźć żadnej drogi, po której jego dwa wozy zwiadowcze mogłyby się zbliżyć do farmy i nic zostać przy tym zauważone. Afrykanerzy mieli zbyt dobry widok na wszystko wokół wzgórza. Miał też poważne wątpliwości, czy posiada dostateczne siły, żeby zająć wzgórze - nawet przy wsparciu artyleryjskim. Chyba będzie potrzebował czołgów i kilku oddziałów piechoty, które także znajdowały się w nadjeżdżającej kolumnie. Był pewien tylko jednej rzeczy. Łatwy pochód Grupy Taktycznej Pierwszej Brygady przez północny Transwał dobiegł już końca. Teraz będą musieli płacić krwią za każdy kilometr na drodze do Pretorii.

- **19 listopada - Grupa Taktyczna Drugiej Brygady, okolice Przełęczu Mpageni, RPA**

Spokój nocy zakłócił nagły ogień karabinów maszynowych, odbijając się echem od wysokich, kamiennych ścian i łącząc z łoskotem spadającej wody. Tysiąc metrów nad przełęczą za błysła flara i rozżarzona do białości zaczęła wolno opadać na spadochronie. Białe światło racy rzucało niesamowite cienie wśród wysokich drzew i olbrzymich paproci pokrywających gęsto dno wąwozu. Kiedy spadła niżej, zapaliła małą kępkę aloesów i ciernistych krzewów, porastających wysokie skały. Stado dzikich pawianów, wystraszonych przez odgłosy strzelaniny i słodkawy, mdlący zapach wybuchających pocisków, uciekło w popłochu wyżej na skały, szukając schronienia przed dziwnym i przerażająco jasnym słońcem wstającym w ciemnościach nocy. Pięćset metrów dalej w dół wijącej się drogi ludzie, którzy bezskutecznie starali się zasnąć za zakamuflowanymi czołgami *T-62*, transporterami *BTR* i działami artyleryjskimi, wyszli z namiotów i patrzyli na zachód, w stronę wolno spadającej racy. Czy strzały i sygnał świetlny oznaczały oczekiwany atak Południowoafrykańczyków? Mniej doświadczeni żołnierze chwycili karabiny lub zaczęli wskakiwać do pojazdów. Inni, starsi i z większą praktyką, zwrócili uwagę na brak krzątania wokół oświetlonego lampą namiotu sztabowego brygady, zakleli ciężko i położyli się na ziemi, żeby przespać się choć kilka godzin.

- Przyjąłem, kapitanie. Proszę mnie informować o rozwoju sytuacji. Koniec. - Pułkownik Raoul Valladares zdjął słuchawki z głowy i rzucił je ziewającemu radiowcowi.

- No więc? - Generał Carlos Herrera, który właśnie zapinał mundur, spojrzał na swojego eleganckiego oficera. Niestety, nawet najlepszy krawiec nie potrafiłby skroić munduru, w którym generał nie wyglądałby na mocno otyłego. Sterczące na wszystkie strony czarne włosy świadczyły, że Herrera spał, kiedy rozpoczęła się strzelanina.

- To tylko wysunięte posterunki, towarzyszu generale. - Valladares przeczesał palcami zmierzwiłone włosy. - jeden z wartowników myślał, że zobaczył ruch i otworzył ogień. Herrera chrząknął i zostawił kołnierzyk niedopięty. W czasie pierwszych czterech dni ofensywy Vegi Grupa Taktyczna Drugiej Brygady posunęła się daleko w głąb terytorium wschodniego Transwalu, zajmując ponad sto kilometrów równiny z sadami drzew pomarańczowych i plantacjami bananów. jednak ostatniego dnia postęp był już bardzo powolny i trudny. Czołgi i piechota brygady musiały w walce torować sobie drogę, wspinając się na strome wzgórza i przedzierając przez skaliste wąwozy. Front często miał szerokość zaledwie kilkunastu metrów. Pułkownik pokręcił w zatroskaniu głową. Planowali przebicie się przez wysokie na sześćset

metrów wzgórza oddzielające równinę od wyżej położonego płaskowyżu, zanim południowoafrykańskie wojska przygotowują skuteczną obronę. Doświadczenia dzisiejszego dnia pokazywały wyraźnie, jak bardzo optymistyczni byli w swoich ocenach. Nawet niewielka grupa pełnych desperacji obrońców może skutecznie powstrzymać nieprzyjaciela przedzierającego się przez niegościnniej teren. A Południowoafrykańczycy byli wyjątkowo zdesperowani. Niepokoili i nękali posuwając się kubańską kolumnę na wszelkie możliwe sposoby. Zasadzka w jednym miejscu. Barykada w innym. Żadnych większych bitew, które pozwoliłyby brygadzie użyć swojej siły ogniowej. jedynie nie kończąca się seria potyczek, w których ginęło po parę osób, kilka było rannych, a jeden czy dwa wozy stawały w płomieniach. Wszystko to powodowało, że kolumna posuwała się do przodu w iście żółwym tempie. Valladares wiedział, że generał Vega jest nadal zadowolony z rezultatów. Mimo iż codzienna trasa mogła być teraz liczona w kilometrach, a nie w dziesiątkach kilometrów, jak na początku, grupa Taktyczna Drugiej Brygady nadal posuwała się naprzód, zmuszając Pretorię do ściągania żołnierzy z innych frontów. Spojrzenie pułkownika padło na czerwoną strzałkę, która na mapie oznaczała trzecią kolumnę Vegi. Przewieziona koleją przez neutralną Botswanę Trzecia Brygada wkroczyła na terytorium Afryki Południowej trzy dni później, niż dwie pozostałe i poruszała się szybko na wschód. Stojąc wobec bezpośredniego zagrożenia ważnych kompleksów górniczych w północnym i wschodnim Transwalu, Pretoria ogołociła granicę z Botswaną z niemal każdego mężczyzny zdolnych do noszenia broni. Dokładnie tak, jak planował generał Vega.

- **20 listopada - Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady, okolice Bodenstein, RPA**

Kilkadziesiąt kubańskich wozów bojowych, transporterów opancerzonych i dział samobieżnych jechało wolno dwupasmową autostradą na wschód. Słońce stało wysoko nad głowami, niemiłosiernie paląc wysokie trawy, które zaledwie kilka dni temu zmieniły kolor z żółtobrazowego na soczystozielony. Smugi białych chmur na horyzoncie zapowiadały kolejne deszcze przed wieczorem na czele kolumny jechały cztery wozy zwiadowcze *BRDM-2*, a ich wieże obracały się na wszystkie strony, szukając potencjalnych celów. Nieuważni zwiadowcy nie żyją zbyt długo. Kiedy jadący w pierwszym wozie porucznik zobaczył ruch w kępie krzewów przy drodze, nie wahał się przed ostrzeżeniem pozostałych wozów. Ciężki karabin maszynowy z wieży wozu natychmiast zasypał gęste krzewy ponad setką 14,5-milimetrowych pocisków. Wozy zwiadowcze szybko przejechały koło chmury kurzu i posiekanych roślin. Dziesięć minut później minął to miejsce pierwszy transporter opancerzony *BTR-60*. Kubańscy żołnierze, stojący w otwartych włazach, z ciekawością przyglądali się nieudanej pułapce. Dwóch starszych mężczyzn odzianych w stare mundury leżało nieruchomo w kałuży krwi. Koło nich spoczywała szara, metalowa rura - *Bazooka*, pancernica pamiętająca jeszcze czasy II wojny światowej. Droga prowadząca do małego miasteczka rolniczego Bodenstein stała otworem. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady znajdowała się zaledwie o sto siedemdziesiąt kilometrów od Johannesburga.

- **21 listopada - Rada Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria**

Strach ma specyficzny zapach - stęchły odór potu wywołanego przyprawiającym o mdłości przerażeniem, a nie ciężkim wysiłkiem fizycznym. Marius van der Heijden bardzo dobrze znał ten smród. Jako młody policjant, a później starszy oficer, często czuł go w pokojach śledczych. Był świadkiem mąk, jakie przeżywali ludzie w celach,

czekając na wykonanie wyroku. Jednak teraz rozpoznawał ten zapach w pokoju przywódców Afryki Południowej. Siedzący wokół Karla Vorstera ludzie najwidoczniej tracili rozum z przerażenia. Linie i strzałki naniesione na mapę wyjaśniały ich panikę.

- Podsumowując, panie prezydencie, z wojskowego punktu widzenia stoimy na straconej pozycji. - Generał Adriaan de Wet wyglądał na wyczerpanego. Przez ostatnie dni wyraźnie się postarzał. - Po prostu nie mamy dosyć ludzi i sprzętu, żeby utrzymać się w Namibii, stłumić rebelię w kraju i rozbić kubańską ofensywę. To jest fizycznie niemożliwe. - Jego dłonie trzymające wskaźnik, wyraźnie drżały. Van der Heijden poczuł, że serce mu zamiera. Wycofane z Namibii bataliony i rzucone przeciw Kubańczykom zbliżającym się do Pietersburga i Nelspruit walczyły dzielnie i opóźniały marsz wroga. Jednak same szybko topniały w tej walce. Wysyłane im wsparcie było niewystarczające już po kilku godzinach walk. Co gorsza, SADF nie posiadała prawie żadnych sił, żeby przedstawić je trzeciej kubańskiej kolumnie, która była oddalona o zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od Johannesburga. Wielu Afrykanerów, którzy zbuntowali się przeciw rządowi, wróciło, by walczyć z najeźdźcą. Jednak było ich o wiele za mało. Pospiesznie tworzone kompanie piechoty i źle uzbrojone komanda były dziesiątkowane lub wręcz rozbijane w puch. Afryka Południowa stała otworem przed wrogami. De Wet skończył omawianie sytuacji i odsunął się od mapy. Wszystkie głowy obróciły się w stronę siedzącego przy końcu stołu człowieka. Jak zwykle ostatnio Karl Vorster siedział milczący i nieprzystępny. W pokoju zapanowała nieprzyjemna cisza. De Wet nerwowo przekładał wskaźnik z ręki do ręki. W końcu Frederik Pienaar, minister informacji, wskazał chudym palcem na mapę. A co z naszymi żołnierzami stacjonującymi w Voortrekker Heights i innych bazach? Czy nie można by ich użyć przeciw tej trzeciej kolumnie kubańskiej? De Wet pokręcił głową. Większość z tych batalionów sama cierpi na brak ludzi. Poza tym są potrzebni do bronięcia żywotnych obiektów wokół Pretorii przed potencjalnymi atakami partyzantów. Nie możemy użyć wszystkich sił do gaszenia jednego pożaru i pozwolić wrogowi rozpaść inne. Zebrani przy stole pospiesznie pokiwali głowami. Definicja żywotnych obiektów obejmowała także ich domy i urzędy. Pienaar poczerwieniał. Bardzo dobrze, generale. Co jednak z resztą naszej armii? Co z czołgami i żołnierzami, których pan zostawił w Namibii? De Wet również poczerwieniał: strach został przytłumiony gniewem. Przenosimy nasze siły tak szybko, jak tylko możemy, panie ministrze. jednak nasze zdolności transportu drogowego, kolejowego i powietrznego są napięte do granic możliwości. Po prostu nie możemy wycofać z Namibii więcej żołnierzy, sprzętu i zapasów!

- A czyja to jest wina...

- Dosyć! - Karl Vorster walnął pięścią w stół. - Dosyć tego płacznego pojękiwania! Spojrzał przekrwionymi, wściekłymi oczami na gabinet.

- Zaczynjcie działać jak mężczyźni, a nie dzieci czy, co gorsza, tchórzliwe *kaffiry*. Śmiertelna obelga wyprostowała wszystkie grzbiety w pokoju. Vorster odsunął gwałtownie krzesło i wstał z miejsca, górując nad zebranymi. Podeszedł do mapy, odpychając po drodze zdziwionego de Weta.

- Patrzycie na mapy, na kawałki papieru i widzicie koniec świata. - Walnął zaciśniętą dłońią w mapę, niemal wywracając ją wraz ze stojakiem. - ja patrzę na ten sam papier, na te same linie, ale nie widzę porażki i katastrofy! Widzę nasze ostateczne zwycięstwo! Marius van der Heijden zadrżał. Czy człowiek, za którym szedł ślepo przez te wszystkie lata, stracił teraz rozum? Inni zebrani kręcili się na krzesłach, przejęci tą samą obawą. Vorster pogroził im palcem jak ojciec karzący niesforne dzieci. - Posłuchajcie mnie, przyjaciele. Czy nie dostrzegacie Boskiej ręki w tym wszystkim? Nie był to już głos polityka, ale kaznodziei.

- Jak starożytni Izraelici stoimy otoczeni wrogami, którzy są od nas pozornie potężniejsi. Ale, jak Bóg wyniósł Dawida, aby ten pokonał Goliata, tak teraz dał nam



broń do pokonania naszych wrogów. Broń o przerażającej sile. Obrócił się do mapy i wskazał małą kropkę na mapie, w okolicy Pretorii.

- Broń, która czeka tylko na nasze rozkazy, przyjaciele. Jego palec spoczął na wzgórzu zwanym Pelindaba - "Miejsce spotkania".

### • **Kompleks Badawczy Pelindaba**

Centrum badań atomowych, zwane Pelindaba, rozłożyło się wysoko nad urwiskiem, górując nad płataniną wijących się na południe od Pretorii wąwozów i niskich wzgórz. Zielone trawniki i wypielęgnowane ogrody nadawały laboratorium, pomieszczeniom mieszkalnym i budynkom administracji ze stali i szkła wygląd miasteczka uniwersyteckiego. W tym otoczeniu niski pozbawiony *okien* budynek, w którym mieściły się urządzenia do wzbogacania uranu, oraz *wysokie* kominy elektrowni węglowej sprawiały wrażenie czegoś nie na swoim miejscu, przypominając o wrogiej maszynie przemysłowej, która wdarła się w spokojny świat akademicki. W centrum administracyjnym pułkownik Frans Peiper wyglądał przez okno z pokoju na piętrze, starając się ukryć swoją irytację przed młodą sekretarką. W szybie odbijała się twarz w zimnych, niebieskich oczach, prostym, ostro zakończonym nosie i wąskich, zaciśniętych ustach. Założył ręce na plecy, żeby uniknąć nerwowego spoglądania na zegarek. Jak zawsze cywilny dyrektor ośrodka spóźniał się na umówione spotkanie. Jak na tak wykształconego człowieka, myślał z niechęcią Peiper, doktor Jakobus Schumann miał wyjątkowo nieprecyzyjne pojęcie czasu. Odwrócił się, gdy okrągły, siwy dyrektor administracyjny wszedł z uśmiechem do pokoju, przepaszając już od drzwi. Bardzo mi przykro, pułkowniku. Dałem się zaplątać w mały problem ze skraplaniem w laboratorium. Peiper sztywno skinął głową niepewny, czy "mały problem". Schumanna dotyczy wzbogacania uranu, czy też pędzącego bimber laboranta. Ale w końcu jestem, prawda? - Starszy pan wpuścił go do swojego gabinetu. - Co w takim razie mogę zrobić dla szacownego dowódcy naszego garnizonu? Peiper wyprostował się. Wiadomości wymagały pewnej dozy normalności. Chodzi tu raczej o to, co pan dla mnie musi zrobić, dyrektorze. Otrzymałem nowe rozkazy z Pretorii. - Zatrzymał się, parząc uważnie na twarz Schumanna. - Dowództwo powiadomiło mnie, że Rada Bezpieczeństwa Stanu wydała rozkaz przygotowawczy dla specjalnej broni. Schumann zbladł. Czy jest pan tego pewien, pułkowniku? To by oznaczało... Dokładnie, dyrektorze. - Peiper uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. - Wszyscy naukowcy, inżynierowie i pozostały personel Pelindaby przechodzi od teraz pod moje osobiste rozkazy. Dalej centrum jest od tej chwili w stanie pogotowia wojennego. Nikt nie może opuścić terenu bez mojej zgody. Wyjrzał ponad ramieniem Schumanna przez okno i dostrzegł żołnierzy rozbiegających się po ośrodku. Dobrze. Oczywiście, nie oczekiwał żadnych kłopotów. Wszyscy pracujący tu naukowcy i technicy byli wybrani spośród najbardziej lojalnych Afrykanerów. Nie należało jednak podejmować zbędnego ryzyka.

- Czy ma pan jakieś pytania? Schumann oblizał wyschnięte usta.

- Tylko jedno, pułkowniku. Czy poinformowano pana, ile bomb zostanie zabranych i gdzie będą użyte?

- Nie. - Peiper spojrzał na zdenerwowanego starca, napawając się poczuciem władzy i kontroli. - Nie pytałem o to. Takie pytania wykraczają poza nasze kompetencje. Dotknął palcami oznaki AWB, którą zawsze nosił w klapie.

- Zostaje jeszcze jedna kwestia, dyrektorze. Pańscy Żydowski naukowcy...

- Nie są moi, pułkowniku. Są gośćmi naszego rządu. - Jeśli już, było to lekkie niedomówienie. Od wielu lat programy atomowe Izraela i RPA były ze sobą ściśle powiązane. Było to przy mierze podyktowane bardziej wygodą niż zaufaniem. Izrael miał naukowe i techniczne doświadczenia, podczas gdy Afryka Południowa

dysponowała olbrzymimi pustynnymi terenami potrzebnymi do testów. Peiper machnął niedbale ręką.

- Chcę dostać ich nazwiska, zdjęcia i akta osobowe. Proszę je dostarczyć jak najszybciej kapitanowi Wittowi. Schumann otworzył szeroko oczy.

- Mój Boże, nie zamierza pan ich przecież uwięzić?

- Właśnie tak. - Peiper miał określone zdanie w tej sprawie.

- Nie mogę wypuścić tych Żydów, żeby poinformowali świat o naszych planach. Będą pod ścisłą kontrolą, dopóki Pretoria nie zadecyduje o ich losie. Tymczasem mamy do wykonania własną pracę. - Nachylił się nad dyrektorem. - Za godzinę przybędzie specjalna jednostka Sił Powietrznych i oczekuję, że pańscy technicy udzielą im wszelkiej niezbędnej pomocy. Czy to jest dostatecznie jasne? Starszy mężczyzna pokiwał głową. Peiper spojrzał z pogardą na zatroskaną twarz Shumanna. - Niech pan się trochę rozluźni, dyrektorze. Pan i pańscy koledzy pracowaliście ciężko przez wiele lat, aby umożliwić taką chwilę. Powinien pan być szczęśliwy, że dożył tego momentu. Sprężystym krokiem wyszedł z pokoju, rozbawiony nagłym załamaniem dyrektora. Akademicy! Żyli tak daleko od prawdziwego świata. Dla Peipera nie istniały żadne wątpliwości. Komuniści i buntownicy zagrażali istnieniu Południowej Afryki i dominacji białych. Jednak Południowa Afryka posiadała broń nuklearną. A broń jest po to, żeby jej używać.

## 26

### **Bezpieczna gra**

- **22 listopada - Biały Dom, Waszyngton**

Jesienny poranek był chłodny, wietrzny i dżdżysty. Ciężkie, ołowiane chmury wisiały nisko, przepuszczając niewielką ilość światła. Ogrody różane Białego Domu sprawiały wrażenie dojmującego smutku i opuszczenia. Ogołoczone z liści krzewy chwiały się żałośnie, miotane podmuchami ostrego wiatru., Z okien Gabinetu Ovalnego co pewien czas można było dostrzec przechodzące pary policjantów lub agentów Tajnej Służby. Ludzie podnosili kołnierze i przyspieszali kroku, broniąc się przed przenikliwym zimnem i wilgocią. Zgadzam się z panem, panie premierze. Tak, to bardzo niepomyślny zbieg okoliczności. Wiceprezydent James Malcolm Forrester, patrząc w okno, słuchał rozmowy za pomocą dodatkowej słuchawki podłączonej do tego samego aparatu. Prezydent, wysoki i szczupły mężczyzna, siedział sztywno przy biurku, stukając nerwowo palcami w blat. Głos prezydenta nie przypominał dziś w niczym mieszaniny nosowego akcentu Nowej Anglii z dzieciństwa i leniwego zaciągania które przyjął w późniejszym okresie życia. Każde, dokładnie dobrane słowo wydawało się zawisać w powietrzu, przekazując wrażenie kontrolowanego gniewu. Forrester słuchał głosu dobiegającego ze słuchawki - krystalicznie czystego, mimo iż najpierw był szyfrowany następnie przekazywany przez satelitę, a później deszyfrowany. Izraelski premier wydawał się zakłopotany, nadzwyczaj łagodny i

najwyraźniej świadomy tego, że jego wiadomości nie zaskarbiają mu życzliwości w ośrodkach władzy Ameryki.

- Rozumiem. Tak, wyślemy ludzi do tego pańskiego naukowca.

- Prezydent stuknął palcem adiutanta, który słuchał rozmowy przez trzecią słuchawkę. Mężczyzna skinął głową i zaraz zaczął czynić odpowiednie przygotowania, korzystając z własnego telefonu. No to chyba wszystko. co mamy teraz do omówienia, panie Premierze.

- Prezydent obrócił się wraz z fotelem i spojrzał przez okno na ponury ogród. - Przekażę tę informację do Londynu i Paryża tak szybko, jak to możliwe. Do widzenia, panie premierze. - Odłożył słuchawkę nieco mocniej, niż było potrzeba do zakończenia rozmowy. Forrester także odłożył słuchawkę i podszedł do fotela przy biurku. Prezydent przetarł zaczerwienione oczy.

- No i co myślisz o tej małej rewelacji?

- Okazuje się, że mamy więcej kłopotów, niż myśleliśmy powiedział spokojnie Forrester. - CIA zawsze twierdziła, że RPA ma broń atomową w Pelindabie, więc przygotowaliśmy plany do jej ewentualnej eliminacji. Jednak dopiero teraz mamy pewność, że posiadają tę broń i to w dodatku dziesięć 20-kilotonowych bomb, czyli o pięć, sześć więcej, niż przypuszczaliśmy. Prezydent potwierdził.

- Cholera, zrzućcie nawet jednej to potworna katastrofa... Patrzył przez chwilę w przestrzeń, najwidoczniej przypominając sobie zdjęcia z Hiroshimy i Nagasaki. Tak więc Karl Vorster i inni szaleńcy w Pretorii posiadali broń zdolną wyrządzić takie zniszczenia. A to było groźne. Fakt, że międzynarodowy korpus ekspedycyjny znajdował się już na morzu, płynąc w stronę Kapsztadu, czynił sytuację jeszcze bardziej niebezpieczną. Forrester zakasłał lekko, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Szczerze mówiąc, bardziej mnie niepokoi niespodziewanie przerwany kontakt Tel Awiwu ze swoimi ludźmi w Pelindabie.

- Tak. - Twarz prezydenta była równie posępna jak widok ogrodu za oknem. - Taki brak kontaktu oznaczałby... Forrester skończył za niego.

- ...że Pretoria zamierza użyć jednej z tych cholernych bomb. Prezydent ponownie podniósł słuchawkę.

- Marge, połącz mnie szybko z generałem Hickmanem. Spojrzał na wiceprezydenta. - Jimmy, mam nadzieję, że się mylimy w tej sprawie, ale lepiej przygotujmy się na najgorsze. Forrester zgodził się z nim bez słowa. Każde kolejne wydarzenie związane z RPA czyniło sytuację ze złej - coraz gorszą. Rangersi szykujący się do ewentualnego ataku na Pelindabę otrzymają szybko zielone światło.

### • **Batalion, 75. Pułk Rangersów, Baza Lotnicza Armii Hunter, Georgia**

Łoskot helikopterów oraz huk ćwiczących lądowanie i start samolotów transportowych wdzierał się do zatłoczonego, wypełnionego dymem papierosowym pokoju odpraw. Na składanych, metalowych krzesłkach siedziało ponad czterdziestu oficerów Rangersów, oglądając uważnie czarno-białe zdjęcia satelitarne przypięte do tablicy za plecami niskiej, barczystej postaci ich tymczasowego dowódcy. Mimo swobodnego zachowania nietrudno było wyczuć panujące w pokoju napięcie. Major Robert O'Connell przeczesał palcami gęste, ciemne włosy, zbyt krótko obcięte, żeby mogły się ułożyć; uświadomił sobie, co robi i przyglądał je na bok. Objął dowództwo nad 1. Batalionem, ponieważ ich dowódca, pułkownik Shaw, nadal znajdował się ze złamaną nogą w szpitalu. Właściwie nie powinno to przedstawiać żadnego problemu

dla zebranych oficerów. Jako zastępca ds. liniowych miał już okazję dowodzić batalionem pod nieobecność Shawa. Jednak nadzorowanie zwykłych ćwiczeń różniło się znacznie od poprowadzenia jednej z najbardziej niebezpiecznych operacji w historii Rangersów. Zwłaszcza że operacja ta dla większości tu zebranych mogła się okazać podróżą w jedną stronę. Może nawet dla wszystkich. Nie wątpił ani przez chwilę w to, że potrafi poprowadzić batalion do walki. W rodzinie O'Connellów, wiara we własne siły stała, zaraz obok lenistwa, na liście siedmiu grzechów głównych. Jako piąte spośród sześciorga dzieci swoich rodziców, wcześniej się przekonał, że aby dostać cokolwiek, nie można na to czekać z założonymi rękami. Trzeba ciężko pracować, a czasami nawet walczyć. Wynikająca z takiego wychowania mieszanina determinacji, upartej dumy i niemałych zdolności pozwoliła mu użyć stypendium na West Point. Po ukończeniu akademii widział tylko jedną możliwą dla niego drogę kariery. Rangersi byli uważani za elitę armii, a Robert O'Connell zawsze chciał być najlepszym z najlepszych. Teraz miał okazję pokazać, ile naprawdę jest wart. Przez jego twarz przemknął przelotny uśmiech. Byłoby nieźle, gdyby ta okazja dawała choć trochę większe szanse przeżycia. Na papierze cała misja wydawała się zupełnie niemożliwa do wykonania. Przewieźć w samolotach trzy kompanie Rangersów przez ponad dziesięć tysięcy kilometrów nad Atlantykiem i terytorium wroga, nie będąc przy tym zauważonym. Następnie zaatakować z powietrza batalion najlepszych południowoafrykańskich żołnierzy. Wreszcie utrzymać się dostatecznie długo, żeby zabrać każdą znalezionej tam bombę. Nic prostszego. Ukrył głęboko wszelkie wątpliwości i podszedł do brzegu podium. - Panowie, rozkazy są oficjalne i mamy zezwolenie na rozpoczęcie tej operacji. Skierowane ku niemu twarze przybrały wyraz napięcia

- Wywiad potwierdza istnienie bomb atomowych w Afryce Południowej. Znamy także ich lokalizację. - O'Connell wskazał na zdjęcia satelitarne, ukazujące sieć lotnisk wojskowych, baz zaopatrzeniowych oraz koszar w okolicy Pretorii. Wszystko to było rozmieszczone na wysokim wzgórzu zwanym Pelindaba. Czerwone kółka oznaczały rozpoznane bunkry i gniazda karabinów maszynowych, otaczające budynki zakładu wzbogacania uranu i przypuszczalny magazyn bomb.

- Dla operacji tej przyjęliśmy kryptonim DZIELNA FORTUNA.

- A zakończy się jako "Cholerne Ianie", - Typowe dla Teksasu nosowe zaciąganie wywołało nerwowe śmiechy. O'Connell uśmiechnął się. Kapitan Carrerra zawsze potrafił powiedzieć to, co wszyscy mieli właśnie na myśli. Dowódca Kompanii Alfa był doskonałym fachowcem od zasadzek, ataków i taktyk zwiadowczych. Swoje umiejętności zdobył jeszcze jako szeregowiec w Wietnamie i oficer podczas akcji na Grenadzie i w Panamie. Jednak Mike Carrerra nigdy nie cieszył się opinii szczególnie taktownego. Dowcip kapitana otworzył usta pozostałym.

- Mike ma rację, majorze. Wcale nie uważam, że powinno się unikać ryzyka, żeby wykonać zadanie, ale ta misja to samo ryzyko. - Dowódca Kompanii Charlie, kapitan Tom Keller, pokręcił z niezadowoleniem głową. - Dlaczego Siły Powietrzne nie mogą po prostu zrównać tego miejsca z ziemią kilkoma celnymi bombami? Albo przywalić im kilkoma *Tomahawkami*?

- Dobre pytanie, Tom. - O'Connell pamiętał, że zgłaszał identyczne obiekcje, kiedy trzy dni temu powiedziano mu o tym zwariowanym pomysle. Wydawało się, że od tamtego czasu minęła cała wieczność. - Niestety, nasi zwierzchnicy mają słuszne powody, żeby nalegać na nasze specjalne usługi. Oczywiście, nit. Wspominając już o tym, że wspaniale wyglądamy w naszych czarnych beretach. Wszyscy się roześmiali. Podszedł bliżej do tablicy ze zdjęciami i wskazał na grupę niskich, zakamuflowanych bunkrów, oznaczonych literami MAG. BRONI (A).

- W obecnej chwili Afryka Południowa ma dziesięć bomb atomowych schowanych w tych bunkrach, chronionych przez kilka metrów ziemi, betonu i stali. Samoloty

Marynarki czy Sił Powietrznych mogłyby bez trudu rozbić to miejsce. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Problem polega na tym, że nigdy byśmy nie wiedzieli, czy wszystkie z tych bomb zostały zniszczone, czy też jedynie zagrzebane w ziemi. O'Connell pozwolił, żeby oficerowie przemyśleli to przez chwilę. Kiedy umilkły szepty, mówił dalej. Na tym polega cały dowcip. Jak długo istnieje choćby najmniejsza szansa, że Pretoria posiada przynajmniej jedną bombę, nasze okręty z Piechotą Morską nie mogą zbliżyć się do ich wybrzeży. Gdyby trafili nas tylko jedną, zatopiliby z dziesięć czy dwadzieścia naszych statków i zginęłyby tysiące ludzi. Postukał palcem w zdjęcie. Trudna rada, panowie. Istnieje tylko jeden sposób, żeby mieć stuprocentową pewność, iż ci dranie nie mają więcej żadnych bomb. - Przerwał na chwilę. - Musimy je dostać w swoje ręce i zabrać do domu. Zgadza się?

Wszyscy potakująco skinęli głowami i, mimo że nikt nie wyglądał na pewniejszego siebie, udzielił się im nastrój determinacji. Jeden z młodszych poruczników podniósł niepewnie rękę do góry. A co ze wsparciem z powietrza? W czasie całej operacji lądowej będą nas wspierały *F-14 Tomcat*. Do tego Marynarka planuje podjąć kilka lotniczych ataków dywersyjnych na większe bazy w całej Afryce Południowej, kiedy będziemy w Pelindabie. - O'Connell wskazał palcem na obwiedzione czarnymi kółkami miejsca, wśród których znajdowała się także Baza Wojskowa Voortrekker Heights. To Jeszcze nie wszystko. Izraelczycy ofiarowali nam usługi jednego ze swoich najlepszych atomistów. - Spojrzał na trzymaną w rece kartkę. - Profesor Esher Levi jest wybitnym specjalistą od produkcji, użycia i bezpiecznego posługiwania się bombami, które mamy stamtąd zabrać. O'Connell poszukał twarzy dowódcy plutonu wspierającego.

- Harry, profesor zajmie się przeszkoleniem twojego oddziału. Kapitan skinął głową. Najważniejsze, że ten Levi pracował w Pelindabie przez ponad

Dwa lata. Wyciśnijcie z niego wszystko, co tylko wie. Dowiedzcie się przede wszystkim, gdzie są słabe miejsca ośrodka, dobrze? Kontakt z kimś, kto znał dokładnie budynki i procedury bezpieczeństwa w Pelindabie, ułatwi planowanie ataku. Zdjęcia satelitarne i przestarzałe mapy były jedynie miernym substytutem wiadomości z pierwszej ręki. O'Connell przyjrzał się siedzącym przed nim młodym ludziom o poważnych twarzach. Nikt nie wyglądał na wyjątkowo uszczęśliwionego tą akcją, ale wykonanie zadania nie wymagało optymizmu a tylko doświadczenia i odwagi. Chyba udało mu się osiągnąć wszystko, co zamierzał w czasie tej odprawy. Teraz nadszedł czas na dokładne przygotowanie tej szaleńczej misji. DZIELNA FORTUNA istniała dotychczas jedynie w postaci ogólnego zarysu, a więc oficerowie wraz z żołnierzami 1. Batalionu będą mieć teraz jeszcze sporo pracy. Musieli przeprowadzić symulacje komputerowe różnych wersji ataku i działania pozorowane na pełnowymiarowych makietach budowanych już przez wojska inżynieryjne. Będą też musieli odbyć wiele narad ze współdziałającymi z nimi oddziałami Marynarki i Sił Powietrznych, żeby upewnić się, iż każda jednostka zna dokładnie swoje zadania. Podszedł do brzegu podium.

- No cóż, panowie. Na razie to wszystko. Podniósł rękę, żeby jeszcze na chwilę uciszyć rozmowy.

- DZIELNA FORTUNA została wyznaczona na 6 grudnia. Mamy niecałe dwa tygodnie, żeby dopracować plan i doprowadzić Rangersów do formy. To nie jest dużo. Nie marnujcie tego czasu. Gotowy do odejścia Carrerra skinął poważnie głową.

- **20. Pułk Strzelców Przyłaskowych, Obóz Wojskowy Voortrekker Heights, okolice Pretorii**

*Kommandant* Henrik Kruger miał ostatnio sporo kłopotów. Wcześniej przypuszczał, że ukrycie na pewien czas Emily, amerykańskiego dziennikarza i jego czarnego kierowcy w bazie, zanim nie znajdzie im bezpieczniejszej kryjówki, nie będzie szczególnie trudne. Nieoczekiwana napaść Kuby pokrzyżowała ten plan. Voortrekker Heights znajdowało się w ciągłym pogotowiu, a więc jego troje gości znalazło się w pułapce. Z Emily nie było żadnego problemu. Bez trudu uczynił z niej swoją nową sekretarkę, pannę der Horst. Ponieważ w Afryce Południowej nikt nie zapamiętałby twarzy czarnego zajętego pracą fizyczną, Sibena stał się jego służącym. Jednak Sherfield sprawiał prawdziwy kłopot. Kruger zmuszony był trzymać go przez ostatnich dziewięć dni zamkniętego w swojej kwaterze i wysyłać do sypialni, gdy przychodzili młodszy oficerowie. *Kommandant* uśmiechnął się przelotnie. Był ciekaw, kto pierwszy dostanie fioła - Amerykanin czy on. Ich podświadoma rywalizacja o Emily była dostatecznie nieprzyjemna, a różnice zdań, opinii i nawyków jedynie pogarszały całą sprawę. Żaden z nich nie był przyzwyczajony do innego życia niż kawalerskie, zdecydował Kruger - świadom jednak, że Emily ma zupełnie inne plany wobec Sherfielda. Postanowił nie myśleć o tym więcej. Zazdrość bardzo przypominała chorobę. Lepiej skoncentrować się na konkretnych sprawach wojskowych. Kubańska inwazja położyła kres nie tylko planom ucieczki zbiegów, ale zmusiła go do zrezygnowania z zamiarów buntu przynajmniej na razie. Mimo wszystkich zbrodni Vorstera i jego rządu żaden prawdziwy Afrykaner nie opuściłby swoich rodaków, zostawiając ich bezbronnych na pastwę komunistów. Właśnie dlatego nie mógł obecnie zrozumieć, dlaczego jego oddział nie został jeszcze wysłany na front. Batalion liczył nadal zbyt mało ludzi i brakowało mu sprzętu, ale pokazali już, że potrafią walczyć. A przecież Afryka Południowa potrzebowała każdego żołnierza, każdego karabinu i każdego pojazdu. Propaganda Vorstera twierdziła, że Kubańczycy uciekają w popłochu. Kruger jednak znał prawdę. Jego przyjaciel w sztabie De Weta *brigadier Deneys Coetzee*, informował go na bieżąco o rozwoju sytuacji. Kubańskie kolumny, mimo iż powstrzymywane na północy i wschodzie, zbliżały się wciąż do Pretorii i kopalń Transwalu. Dlaczego nie wysłano Strzelców Przyłaskowych i innych batalionów ulokowanych wokół stolicy na front, zanim będzie za późno? Nie mieli wprawdzie szans na zatrzymanie kubańskiej armii, ale mogli zapewnić czas na ściągnięcie wojsk Namibii. Co Vorster planował? Czyżby ten człowiek stracił już nadzieję i zdrowy rozsądek? Patrzył na coraz ciemniejsze niebo na wschodzie. W bazie lotniczej Swartkop, po przeciwnej stronie wielopasmowej autostrady Bena Schoemanna, która łączyła Pretorię z Johannesburgiem, działało coś bardzo dziwnego. Potężne reflektory oświetlały cały obszar bazy i wieczorne niebo. Wzdłuż autostrady rozlokowano *Ratele* i uzbrojone, w działa *Rooikaty*. Kruger rozpoznał godła jednostki namalowane na burtach wozów - skradające się leopardy 61. Batalionu Strzelców Transwalskich Fransa Peipera. Mimowolnie zacisnął usta. Nie lubił Peipera. Pułkownik był fanatycznym zwolennikiem AWB i w dodatku okrutnym mordercą nawet połowa opowieści o jego zbrodniach w Namibii jest prawdziwa. Kruger wyprostował się, gdy na autostradzie pojawiły się cztery ciężarówki jadące wolno na południe. Co? Całe to przedstawienie dla czterech ciężarówek? Przypomniał sobie nagle, gdzie stacjonuje batalion Peipera i przeszedł go zimny dreszcz. Ciężarówki skręciły w lewo i wjechały przez główną bramę Bazy Swartkop. Dwie południowoafrykańskie bomby atomowe opuściły bunkry w Pelindabie.

## Czwarty jeździec

- **23 listopada - Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady, droga nr 47,**

Ku żalowi kubańskich i libijskich żołnierzy chłodna pustynna noc miała wkrótce ustąpić gorącemu dniu. Dzień oznaczał piekielną - długą jazdę w gęstym, duszącym pyłe, osiadającym wszędzie przez niemal pozbawiony wody teren. Na płaskowyżu panowała pełnia lata i w ciągu dnia temperatura przekraczała 35° C - szybko spadając w nocy do 15°C. Libijczycy byli bardziej przyzwyczajeni do takich warunków niż Kubańczycy, ale żołnierze nie mieli zbyt wielu okazji, żeby podzielić się swoimi doświadczeniami - dzieliła ich zbyt wielka bariera językowa i kulturowa. Kubańscy i libijscy oficerowie polityczni wyklócali się ze sobą o wszystko, począwszy od dystrybucji zapasów, a skończywszy na doktrynie marksistowsko-leninowskiej. W rezultacie oddziały kontaktowały się jedynie przez oficerów łącznikowych - tworząc socjalistyczną odmianę apartheidu. Wszystko to zmniejszało skuteczność jednostek. Jednak brygada nie musiała być wyjątkowo sprawna, lecz jedynie poruszać się naprzód. Afrykanerom nie udało się jeszcze zebrać sił, żeby przeciwstawić się ich pochodowi na Johannesburg. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady składała się z pięciu batalionów i dużej liczby mniejszych jednostek specjalistycznych. Trzy bataliony, w tym jeden libijski, były zmechanizowanymi oddziałami piechoty. Czwarty batalion był batalionem czołgów, a piąty - 122-milimetrowych haubic samobieżnych. Kiedy brygada zatrzymywała się na noc, każdy batalion obozował oddzielnie, wystawiając straże ze wszystkich stron. Obecnie pozycje batalionów rozciągały się wzdłuż drogi, niczym długi łańcuch koralu, każdy o kilkusetmetrowej średnicy. Dwustu-trzystumetrowe przerwy pomiędzy obozowiskami uniemożliwiały nieprzyjacielowi zaatakowanie jednego batalionu bez ryzyka znalezienia się pod ostrzałem drugiego. Ten sam wzór podziału obozowiska powtarzał się na mniejszą skalę wewnątrz każdego batalionu. Każda kompania piechoty czy czołgów tworzyła obóz obronny, czyli *laager*, ustawiając swoje pojazdy w oddzielnych formacjach. Ironią było, że słowo *lager* pochodziło z *afrikaans* i prześliznęło się do języka wojskowego w czasie drugiej wojny światowej, kiedy południowoafrykańskie wojska posłużyły się starą taktyką obronną Burów. W każdym *laagerze* czołgi i wozy pancerne ze skierowanymi do zewnątrz lufami tworzyły duży owal, wewnątrz którego spali ludzie. Kiedy zaparkowano pojazdy, nie było już problemu z wykopaniem stanowisk strzeleckich. Tak przynajmniej głosiła teoria. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady znajdowała się na wysoko położonym płaskowyżu. Teren, pokryty niskimi krzakami i kępami trawy, był wyschnięty. Kamienista ziemia sprawiała duże trudności przy okopywaniu się, ale przynajmniej stanowiska nie były błotniste. Także oddziały zaopatrzeniowe i naprawcze obozowały wewnątrz *laagerów*, co zapewniało im ochronę. Baterie rakiet ziemia-powietrze i dział przeciwlotniczych rozlokowano wokół całego obozowiska. Podczas gdy większość żołnierzy mogła odpocząć w ciągu kilkugodzinnego snu, operatorzy radarów baterii SAM musieli czuwać, wpatrując się zaczerwienionymi oczami w monitory. Nocne naloty stały się już częścią, ich wojennego życia i mogli mieć pewność, że zostaną zaatakowani przed świtem.

- **Eskadra Jerycho, na południowy zachód od Pretorii**

Cztery odrzutowce *Mirage* leciały na zachód, tysiąc metrów nad uśpionymi wioskami, kierując się na kubańską Grupę Taktyczną trzeciej Brygady. Kapitan Jon Heersfeld pilotował prowadzący samolot. Czuł wyraźnie, że jest zdenerwowany. No cóż, pomyślał, kto by nie był podczas takiej akcji? Heersfeld był zawodowcem. Latał nad Angolą w czasie długiej, nigdy nie wypowiedzianej wojny. W ciągu ostatnich miesięcy walczył nad Namibią, a w ciągu ostatnich tygodni kilkanaście razy latał przeciw Kubańczykom w Transwalu. Znał swoją robotę nie gorzej niż każdy inny weteran Sił Powietrznych. Właśnie dlatego został wybrany do tego zadania. Tylko czy szefowie Sił Powietrznych musieli robić wokół tego tyle szumu? Najpierw odsunięto go od wszelkich operacji i kazano mu się wyspać, nie podając przy tym żadnych wyjaśnień. Następnie dowódca dywizjonu osobiście przekazał mu rozkaz ataku. Na dodatek jeszcze ta odprawa. Jezu! Każdy wyższy oficer z bazy, nawet sam de Wet oklaskiwali go, gdy wchodził do Sali. Czyżby dowództwo nie miało już nic lepszego do roboty? Heersfeld niecierpliwił się na samo wspomnienie o tym. Dobrze, że od razu wystartowali, gdyż szanse na utrzymanie tajemnicy były równe zeru. Nawet sam sprawdzian przed lotem był zdumiewający. Stary *Mirage*, który często miał sprawne tylko podstawowe instrumenty nawigacyjne, został dokładnie wyremontowany, skontrolowany, a nawet wyczyszczony, aż lśnił jak nowy. Technicy pracowali cały dzień, instalując instrumenty kontrolne dla „specjalnej” broni. Dowódca dywizjonu, szef mechaników i jeden z rządowych fanatyków w brązowej koszuli nie odstępowali go na krok, gdy obchodził samolot, szukając jakichś usterek. Na szczęście nie było żadnych. Sam sprawdził broń, chociaż obejrzenie jej niewiele mu dało. Bomba została podczepiona dokładnie pośrodku, pod kadłubem. Dodatkowo zawieszono dwa odrzucane zbiorniki paliwa i dwie rakiety *Kukri*. Rakiety dodano z przyzwyczajenia, gdyż jego eskorta zapewniała, że nie będzie miał okazji zrobić z nich użytku. I tak nie ważyły wiele, a na końcach skrzydeł niczego innego nie można było umocować. Zresztą Heersfeld nienawidził latać bez uzbrojenia. Miał już na swoim koncie jednego *MiGa-23* i myślał o następnych. „Specjalna” broń miała wygląd standardowej bomby, może była trochę większa, ale na pewno nie cięższa. Jej gładka, stalowa powierzchnia miała tylko kilka ciemnych plamek koło nosa i stateczników. Zupełnie nie rzucała się w oczy i Heersfeld zaufał technikom, że jest uzbrojona. Jego skrzydłowy przeszedł przez podobną odprawę. *Mirage* Muldera przynosił drugą bombę na wypadek, gdyby samolot Heersfelda został zestrzelony. Heersfeld niemal oczekiwał orkiestry wojskowej, kiedy wspinał się do kabiny, ale zamiast tego wszyscy majorowie, pułkownicy i generałowie przyszli obejrzeć, jak zapina pasy, podłącza przewody i uruchamia silnik *Mirage*. Start miał, na szczęście, czysty i gdy wzbili się w powietrze uciekając od zamieszania bazy, miał zamiar potraktować ten lot jak każdy inny. Szybko okazało się to niemożliwe. Po prostu nie mógł przestać myśleć o swoim ładunku. Nikt go nie pytał, czy uważa, że tego rodzaju broń powinna być użyta. Fakt, że ma to nastąpić na terytorium RPA zadziwił niejednego z obecnych na odprawie. Na szczęście, najbliższe miasto było o ponad dziesięć kilometrów, a wiatr wiał w przeciwną stronę. Heersfeld, wciąż zastanawiając się nad tym wszystkim, sprawdził Instrumenty pokładowe. Z wojskowego punktu widzenia RPA nie miała większego wyboru. Jego dywizjon stracił jedną trzecią samolotów i pilotów. nieznacznie tylko zwalniając pochód Kubańczyków. Pogłoski mówiły, że siły lądowe dostawały jeszcze większe lanie. Jaki wybór miał jego naród? Czy ktokolwiek mógłby wyjaśnić powód budowania tej broni. a później przegranie wojny, ponieważ obawiano się jej użycia? Nie. w tym konflikcie Afryka Południowa musi korzystać z wszelkiej dostępnej broni i wszystkich sposobów, aby się ocalić. Zbyt wiele można było stracić. Heersfeld



przyjrzał się nocnemu niebu za nim. Tam! Na tle usianego gwiazdami nieba dostrzegł kształt myśliwca *Mirage III F1*. CZ uzbrojonego jedynie w rakiety. Drugi samolot eskorty leciał kilkaset metrów w ślad za Mulderem. Eskorta miała bronić ich maszyny przed każdym atakiem wroga, a chociaż tak naprawdę żadnego się nie spodziewano. Jak dotychczas Kubańczycy nie okazali się zbyt chętni do nocnych walk powietrznych. Poza tym, dalej na północ podjęto kilka ataków lotniczych na pozycje wroga. żeby powstrzymać jakiegokolwiek myśliwce, które mogłyby im ewentualnie zagrozić. Wczesnym wieczorem nad kubańską kolumną przeleciały dwa samoloty zwiadowcze. dane o celu były więc dokładne. Heersfeld ponownie sprawdził przyrządy. W tej części kraju było niewiele naturalnych punktów orientacyjnych. które byłyby widoczne w nocy. Przyglądając się mapie. mógł jedynie sterować tak dobrze, jak pozwalały na to przestarzałe instrumenty nawigacyjne. Samolot nie był wyposażony w komputerowe mapy czy inercyjne celowniki. Embargo nałożone przez Zachód na dostawy sprzętu wojskowego przyniosło oczekiwane efekty. Dziesięć minut do celu. Heersfeld leciał wzdłuż drogi numer 47 kierując się nią jak kompasem. Spojrzał w dół i zobaczył długi sznur świateł biegnących na zachód. Mimo iż małe miasto Ventersdorp było normalnie zaciemnione po zapadnięciu zmroku, siły bezpieczeństwa włączyły lampy uliczne wzdłuż głównej drogi, żeby ułatwić mu orientację. Włączył nadawanie. Springbok. tu dowódca Jerycho. jestem nad punktem początkowym Heersfeld nacisnął przycisk na drążku kontrolnym. Odrzucając zbiorniki. Dwa lekkie szarpnięcia potwierdziły, że zbiorniki odleciały. Kiedy *Mirage* wyrównał lot, powoli przesunął manetkę sterowania silnikiem maksymalnie do przodu i włączył dopalacz. Samolot przyspieszył gwałtownie. Dwa pstryknięcia w słuchawkach oznaczały, że Mulder i eskorta zawracają, rozpoczynając zataczanie pierwszego z kół. Nie zbliżą się bardziej do celu, chyba żeby coś się stało z jego samolotem. W tej chwili syreny powinny ostrzegać mieszkańców miasteczek położonych w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, zmuszając ich do ukrycia się. Zaczął powoli wspinać się do góry, szybko obliczając współrzędne w pamięci. Najważniejsza była prędkość i wysokość w chwili uwolnienia bomby. Wczorajsze próbne loty pomogły mu nabrać nieco zaufania do tej misji, ale przekonały go także o znaczeniu precyzji.

### • Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady

Sierżant Jorge Jimenez wpatrywał się w ekran radaru. Zawsze traktował swoją pracę poważnie. Oczekiwał z utęsknieniem świtu, kiedy kolumna ruszy w dalszą drogę i będzie mógł się wreszcie położyć spać. Jimenez pełnił służbę w jednej z czterech samobieżnych wy rzutni rakiet przeciwlotniczych *Romb*. Lekko opancerzony transporter był wyposażony w cztery rakiety ziemia-powietrze *SA-8 Gecko* i radar kontroli obszaru o nazwie kodowej NATO *Land Roll*. Każdy pojazd był samowystarczającym stanowiskiem bojowym i cztery wozy, ustawione w kwadracie, zapewniały całkowitą ochronę brygadzie. Na krawędzi monitora pojawiła się plamka i mimo jej oczywistego znaczenia sierżant poczuł ulgę. W końcu coś się będzie działo. Włączył interkom.

- Towarzyszu poruczniku, mam cel w odległości trzydziestu kilometrów. Żadnej odpowiedzi na identyfikatorze swój-obcy" *IFF*. Wygląda to na cztery samoloty, chyba myśliwce. Zastępca dowódcy baterii otrząsnął się ze snu i pochylił nad jego ramieniem.

- Jaka jest ich prędkość i wysokość?

- Naddźwiękowa. Pułap... - Jimenez zmienił ustawienie pokręteł. - ...tysiąc dwieście metrów.

- Szybko lecą! Dobra. Nie ma czasu na zabawę. Włącz radar śledzący i przygotuj rakiety. Kiedy Jimenez potwierdził przyjęcie rozkazu, porucznik zaalarmował dowódcę

baterii i pozostałe pojazdy SAM. Uważajcie na swoje sektory. To może być pozorowana akcja mająca na celu odwrócenie naszej uwagi od prawdziwego ataku. Na zewnątrz rozległy się okrzyki: Alarm lotniczy! Jimenez przypomniał sobie poprzedni atak. Mimo iż dali z siebie wszystko, południowoafrykańskie samoloty zwiadowcze uciekły nie ponosząc żadnych szkód. Tym razem muszą mieć więcej szczęścia. Zobaczył, że układ punktów na monitorze się zmienia. Towarzyszu poruczniku, rozdzielili się! Dwa samoloty zwracają. - Dwa punkty zbliżały się nieustannie. - Prędkość ponad tysiąc kilometrów na godzinę. Pułap cztery tysiące metrów. Pewnie to kolejny lot zwiadowczy z maksymalną prędkością. Może to jednak nie jest atak - zastanawiał się porucznik. Jimenez wzruszył ramionami. Nie miało to żadnego znaczenia. I tak zestrzelał tych drani. Na sąsiednim monitorze pokazywały długie kolumny liczb. Komputer mówi, że zasięg efektywny wynosi osiem i pół kilometra. Strzelaj, jak tylko znajdą się w zasięgu.

### • Prowadzący Jerycho

Heersfeld musiał przeprowadzać jednocześnie kilka obliczeń. Prędkość i wysokość powinny być utrzymane dokładnie w ustalonym przedziale i musiał trzymać się idealnie na kursie. Zdawał sobie sprawę, że jest na pułapie, na którym może go zobaczyć każdy Kubańczyk, aż do Hawany. Niemal czuł, jak promienie radarów SAM-a prześlizgują się po kadłubie *Mirage'a*. Zazwyczaj ataki przeprowadzano z pułapu stu, dwustu metrów. Piloci korzystali z wzniesień terenu do maskowania swojej pozycji i uciekali się do szaleńczych manewrów, aby zmylić obronę przeciwlotniczą. Taki spokojny lot mógł każdego przyprawić o dreszcze. No cóż, eskortujący go samolot miał zająć się rakietami, można mieć tylko nadzieję, że pilot ma oczy otwarte i ostrzeże go na czas. Heersfeld spojrzał znów na przyrządy i włączył specjalną konsolę bomby. Wszystkie wskaźniki zaświeciły się na zielono. Dobrze. Patrząc na nie, wystukał pięciocyfrowy kod. Zapaliły się nowe światełka. Broń była uzbrojona. Minął dwudziesty kilometr. Był na odpowiedniej wysokości, ale leciał nieco za szybko, więc trochę zmniejszył prędkość. już tylko kilometr - włączył nadawanie.

- Springbok, tu dowódca Jerycho. jestem w punkcie Alfa. Spojrzał w prawo - zauważył, że eskortujący go samolot błyska światłami pozycyjnymi i ostro skręca w prawo. Kiedy myśli wiec zawracał, Heersfeld zobaczył jasny błysk w jego dyszach. Pilot starał się odsunąć możliwie jak najdalej. Całkiem rozsądnie, pomyślał.

*Mirage* zadrżał lekko, gdy wpadł w wir powietrzny i Heersfeld ponownie sprawdził instrumenty. Miał dobrą prędkość i był na właściwym kursie. Poprawił pasy i usiadł wygodnie w fotelu. Sięgając do panelu kontroli uzbrojenia, wybrał przycisk oznaczony jako "środkowy" i przyjrzał się wskaźnikom. Teraz! Wprawnym ruchem pociągnął drążek na siebie i samolot rozpoczął pętlę. Nos *Mirage* wycelował ostro w górę. Wskazówka wysokościomierza zaczęła szybko się przesuwac, gdy myśliwlc' leciał prosto w nocne niebo. Na wysokości siedmiu tysięcy siedmuset metrów, przy prędkości tysiąca stu kilometrów na godzinę, kursie dwa siedem pięć i przy kącie czterdziestu pięciu stopni, Heersfeld nacisnął guzik na drążku sterowym. Poczł szarpnięcie, gdy bomba uwolniła się - miał nadzieję, że czysto. Misja była praktycznie zakończona i musiał się teraz szybko zająć własną skórą. Popchnął manetkę przepustnicy do przodu, aby zwiększyć prędkość do maksimum i jeszcze mocniej ściągnął drążek na siebie. *M;rage*, odwracając się na plecy, zataczał półpętlę. Na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nos samolotu wzbił się nad horyzont i nadal się wznosił. Heersfeld wisiał teraz w pasach i patrzył na ciemną ziemię „nad” nim. Szybko wrócił do normalnej pozycji, patrząc, jak wskazówki szybkościomierza cały czas wędruje do góry. Leciał już z prędkością ponad jednego macha i zamierzał

wycisnąć wszystko, co tylko było możliwe z tego starego grata. Tymczasem bomba leciała wzdłuż własnej krzywej balistycznej.

### • Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady

Sierżant Jimenez odliczał, patrząc na zbliżający się pojedynczy samolot. - Czternaście kilometrów. Dwanaście kilometrów. Dziesięć kilometrów. Dziesięć kilometrów! - Wyprostował się, patrząc na ekran. - Zawraca! Odległość wynosi dwanaście kilometrów. Drugi samolot także zawraca! Jego spojrzenie podążało za mrugającymi punktami, które kierowały się ku górze ekranu. Wyglądało, że Południowoafrykańczycy nie spróbują przetestować dokładności kubańskich rakiet przynajmniej nie tej nocy. Jimenez nigdy jeszcze nie widział takiego sposobu zrzucania bomby. Nigdy też nie miała mu się nadarzyć podobna okazja. Bomba wzleciała łukiem na wysokość dwunastu tysięcy metrów i dopiero wtedy zaczęła opadać ku ziemi. Po zażartej debacie Południowoafrykańczycy zdecydowali się wybrać na cel kubańską kolumnę czołgów T-62. W normalnych warunkach bomba atomowa tej mocy mogłaby zniszczyć całkowicie dwa bataliony, które znalazłyby się w wewnętrznym kręgu rażenia. Jednak czołgi stanowiły większą część siły ogniowej brygady. Planiści postanowili, że lepiej zdecydować się na mniejsze straty na tyłach kolumny, ale wyeliminować wszystkie wozy pancerne Grupy Taktycznej Trzeciej Brygady. Lecąc ku ziemi, bomba minęła wysokość tysiąca metrów, następnie zareagowały zapalniki ciśnieniowe i zamknęły obwód. Ułamek sekundy później dwudziestokilotonowa bomba atomowa, takiej samej mocy rażenia, jak te zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki, wybuchła nad południowoafrykańskim płaskowyżem. Licząc odległość poziomą i pionową, bomba przeleciała prawie szesnaście kilometrów, całkowicie niekierowana. Podczas gdy moment jej zwolnienia mieścił się w ustalonej normie, wiatry na dużej wysokości zmieniły nieco tor lotu. W rezultacie bomba spadła trzysta metrów na prawo od środka celu. Nastawiona na wybuch w powietrzu, detonowała nad północnym końcem obozowiska czołgów. Oślepiająca, biała kula ognista dwustumetrowej średnicy rozświetliła noc, zamieniając ją na kilka śmiertelnych sekund w nienaturalnie jasny dzień. Każdy, kto widział wybuch z bliska, zginął natychmiast. Kula ognista rozchodziła się z prędkością bliską prędkości światła.

W promieniu pięciuset metrów od epicentrum ludzie doznali oparzeń trzeciego stopnia, kiedy najpierw ich ubrania i włosy, a potem oni sami zapłonęli żywym ogniem. Pół sekundy później nadciągnęła z potwornym hukiem fala uderzeniowa, kończąc ich cierpienia. Twarda jak stal masa powietrza rozrywała płuca i wyrzucała ludzi w górę. Nawet pancerze czołgów nie stanowiły żadnej osłony dla załóg - większość żołnierzy zginęła na miejscu. Same czołgi nie poddały się tak łatwo, zdolne wytrzymać potężne uderzenia, zanim ich pancerze popękały. Jednak okropny żar detonował zbiorniki z paliwem, a także amunicję znajdującą się wewnątrz pojazdów. Palące się wozy bojowe wybuchały jeden po drugim. Te, które stały bokiem do wybuchu, zostały przewrócone przez falę uderzeniową. Sierżant Jimenez siedział w wozie baterii SAM, pięćset metrów od Punktu Zero. Jego pojazd był o wiele łatwiejszy do zniszczenia niż czołg. Najpierw impuls elektromagnetyczny zepsuł wszelkie urządzenia w wozie, obsypując Jimeneza, porucznika i pozostałych ludzi snopami iskier. W tym samym czasie rakiety SA-8 zaczęły się topić w wyrzutniach. Zanim eksplodowały, nadeszła fala uderzeniowa. Ściana sprężonego powietrza zmiażdżyła stalowy pancerz pojazdu, rozrywając kruche radary i wyrzutnie rakiet na strzępy. W tym czasie Jimenez i pozostali już nie żyli. Fala uderzeniowa rozchodziła się coraz dalej, siejąc po drodze zniszczenie. W promieniu tysiąca trzystu metrów od Punktu Zero zginęła ponad połowa ludzi. Czołgi T-62 były niskie, przysadziste i potężnie opancerzone. Duże, słabo opancerzone transportery BTR-60 najbliższego batalionu,

oddalone od wybuchu o tysiąc metrów, zostały poszarpane i wyrzucone w powietrze niczym dziecinne zabawki. Następny batalion był oddalony o dalszych pięćset metrów, ale ten dystans wystarczył już, by osłabić falę uderzeniową o połowę. Kilka ciężkich wozów saperskich przetrwało wybuch, ale transportery opancerzone i piechota zostały niemal zdmuchnięte z powierzchni ziemi. Jeszcze dalej stała kubańska artyleria i trzy baterie 122-milimetrowych dział samobieżnych. Podmuch powywracał haubice, wozy dowodzenia i ciężarówki z amunicją, która zaczęła eksplodować. Jedyne żołnierze ostatniego batalionu mieli jakąś szansę na przeżycie. Śpiący w transporterach oraz ci, którzy okopali się trochę głębiej, zostali osłonięci przed falą ciepłą i promieniowaniem. Jednak każdy, kto nie rzucił się do kryjówki, widząc rozbłyskującą kulę, został poważnie poparzony, a następnie zabity przez falę uderzeniową, która nadal rozchodziła się z siłą zdolną zniszczyć piętrowy dom. Na bezbronnych Libijczyków zaczęły spadać odłamki, kawałki skał, drzewa i metalu. Dwa wysunięte bataliony Grupy Taktycznej Trzeciej Brygady zostały doszczętnie zniszczone w ciągu ułamka sekundy. Dwa środkowe bataliony zginęły pięć sekund później. Po dziesięciu sekundach od wybuchu piąty i ostatni batalion leżał zdziesiątkowany i zasypany odłamkami. Pośród setek zniszczonych pojazdów, na ziemi leżały tysiące zabitych i umierających ludzi. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady generała Antonio Vegi została unicestwiona.

#### • **Centrum Wykrywania. Północnoamerykańskie Dowództwo Obrony Powietrznej**

Major Bill O'Malley z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych siedział wygodnie w fotelu, gdy zadzwonił jeden z czerwonych telefonów. Odkładając plan zajęć na stół, chwycił słuchawkę. Oficer dyżurny. Sir, mówi sierżant Ohira. Mamy błysk bomby atomowej. Wybuch miał miejsce nad Afryką Południową. O'Malley pochylił się nad rzędem monitorów. Spoglądając z podwyższonego stanowiska oficera dyżurnego dostrzegł, jak sierżant kiwa na niego ręką, stojąc koło stanowiska na poziomie operacyjnym, piętro niżej. Już schodzę. - Odłożył słuchawkę i zbiegł schodami w dół. Monitor Ohiry wyświetlał mapę świata z naniesionymi na nią pozycjami satelitów wczesnego ostrzegania DSP. Obraz był generowany przez komputer, który mógł według potrzeb powiększać i przesuwac mapę. Obecnie monitor ukazywał południe Afryki. Na środku ekranu pulsowało kółko z kilkoma symbolami obok. Sprawdźmy liczby - rozkazał O'Malley. Ohira zastąpił mapę wydrukiem liczb. Czujniki satelity wiszące nad Oceanem Indyjskim wyczuły promieniowanie podczerwone wybuchu atomowego. Informacje zostały natychmiast przekazane do komputerów NORAD - Północnoamerykańskiego Dowództwa Obrony Powietrznej, które po przetworzeniu danych oceniło, że wybuch mieścił się w klasie bomb o niewielkiej mocy do dwudziestu kiloton. Inne liczby wskazywały współrzędne geograficzne wybuchu. Z tego, co widział O'Malley, ostrzeżenie było prawdziwe. Ohira wyświetlił kolejne dane, tym razem przekazane przez stacje sejsmiczne na świecie, potwierdzające poprzednie. Pokaż mi mapę. - Na ekranie ukazały się drogi i miasta z zaznaczonym miejscem wybuchu. Trzy koncentryczne kręgi otaczające punkt wybuchu ukazywały straty całkowite, ciężkie i lekkie - Strzałki wskazywały kierunek wiatru. Cholera, naprawdę to zrobili. Niech mnie diabli, zrobili to. - Dlaczego Rosjanie mieliby bombardować Afrykę Południową? - Spytał Ohira.

- To Południowoafrykańczycy, sierżancie. Użyli pieprzonej bomby atomowej na swoim pieprzonym terytorium. - Zdając sobie sprawę, że jest zdenerwowany, powstrzymał dalszy potok przekleństw. Ohira miał zdziwioną minę.

- Nie widzę w tym żadnego sensu, majorze. - Zainteresowania sierżanta koncentrowały się głównie wokół powieści detektywistycznych i gier komputerowych.

Nie miał pojęcia, co się dzieje na świecie. O'Malley westchnął ciężko. Musiał sprawdzić jeszcze kilka rzeczy i odbyć parę rozmów telefonicznych. Jedynym powodem, dla którego pozwolił sobie na opóźnienie procedury, był fakt że wybuch nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych. Poza tym jego przełożeni będą chcieli wiedzieć coś więcej niż moc i czas wybuchu. Wróciwszy do swojego pokoju, major podniósł słuchawkę z aparatu oznaczonego JCS". Od razu usłyszał głos po drugiej stronie:- Pułkownik Howard, oficer dyżurny.

- Sir, mówi major O'Malley z Cheyenne Mountain. Zaobserwowaliśmy wybuch atomowy...

### • Specjalne wiadomości CNN

Program CNN, w którym właśnie omawiano wydarzenia sportowe, został przerwany w pół zdania. Prowadzący studio dziennikarz przerwał swoje rozważania na temat problemów podatkowych gwiazd sportu i odwrócił się od kamery. Podano mu kartkę. Dziennikarz przeczytał ją szybko i jego maska niezmaconej pewności zniknęła, ukazując pełne niedowierzania oblicze. Ponownie spojrzął za kamerę, szukając potwierdzenia i z widocznym wysiłkiem powrócił do zawodowej swobody.

*Właśnie otrzymaliśmy bardzo ważne informacje. Po raz trzeci w historii świata użyto broni atomowej. Godzinę temu kubańscy żołnierze w Afryce Południowej zostali zaatakowani przez południowoafrykańskie samoloty, które zrzuciły bombę atomową na własne terytorium. Źródła w Departamencie Obrony donoszą, że odebrano potwierdzenie wybuchu atomowego w RPA, który został określony jako .nieduży. Kubański minister spraw zagranicznych wprawdzie nie potwierdził jednoznacznie tej informacji, jednak zdecydowanie potępił użycie broni jądrowej jako "akt barbarzyństwa", który "odślania prawdziwości naturę faszystowskiego i rasistowskiego reżimu w Pretorii", Rzecznik Białego Domu stwierdził, że prezydent jest .głęboko poruszony jęty ostatnimi wydarzeniami", lecz oczekuje definitywnego potwierdzenia, zanim wyda oficjalne oświadczenie. RPA właśnie przyznała się do użycia broni jądrowej. Poniższy cytat pochodzi z oświadczenia nadanego przez Południowoafrykańską Korporację Radiową: .Afryka Południowa będzie używała swojej specjalnej broni w miejscach i w czasie, które sama wybierze - nie zwracając uwagi na pełne hipokryzji narzekania innych państw".*

Ekran podzielił się: jedna połówka nadal pokazywała studio w Atlancie, druga - tłumek dziennikarzy oblegających podium udekorowane flagami.

*Przekazujemy głos naszemu korespondentowi w Pentagonie, który bierze udział w konferencji prasowej rzecznika Departamentu Obrony...*

## Zemsta

- **24 listopada - Kubański Korpus Ekspedycyjny, Pietersburg, RPA**

Szerokie ulice Pietersburga wypełniała kolumna wojska. Wozy z żołnierzami mijały wypalone domy, podziurawione bombami trawniki, roztrzaskane drzewa jaracanda. Znajdujące się na czele kolumny oddziały zajęły mały dwupiętrowy budynek, przeznaczając go na kwaterę główną Vegi. Pułkownik Jose Suarez minął właśnie sterty gruzu i połamanych mebli leżące przed budynkiem i wszedł do środka. Biura zostały zajęte na sekcje zaopatrzenia, łączności i od działów pomocniczych. Oficerowie sztabowi usiłowali w pośpiechu opracować plan dalszych działań dwóch pozostałych kubańskich kolumn. Niektórzy byli jeszcze zbyt zszokowani wiadomościami o katastrofie, jaka spotkała Grupę Taktyczną Trzeciej Brygady, żeby skoncentrować się na pracy. Suarez wiedział, że na tyłach nie istniejącej już brygady musi panować o wiele większy chaos. Oddziały zaopatrzeniowe, naprawcze, medyczne i inne musiały desperacko walczyć o życie z miejscowymi komandami. jednocześnie musiały ratować oszołomionych niedobitków. których rano znaleziono wracających drogą. Suarez pomyślał ze smutkiem, że następnego dnia lik doczeka już żaden z tych ludzi. Upał, brak wody i Burowie wy kończą ich równie skutecznie jak bomba atomowa. Podszedł do zamkniętych drzwi i cicho zapukał. Żadnej odpowiedzi. Uchylił lekko drzwi i zajrzał do środka. Generał Antonio Vega, wyzwoliciel Walvis Bay, zwycięzca kilkudziesięciu bitew, siedział nieruchomo. patrząc na mapę. W rękach trzymał kilka zdjęć zrobionych przez zwiad lotniczy w miejscu katastrofy. Suarez już je widział. Dwie godziny temu przekazał je wraz z raportem o stratach dziennych generałowi. W świetle dnia wyraźnie widać było krater o średnicy stu metrów i głębokości ponad pięćdziesięciu metrów w miejscu, gdzie znajdował się wcześniej batalion czołgów. Powierzchniaścian i dna krateru, powstała w wyniku stopienia piasku i skał pod wpływem ogromnej temperatury, wyglądała jak brudne szkło. Widok ten bardziej przypominał krajobraz Księżyca niż Ziemi. W promieniu kilkuset metrów od gigantycznego leja można było dostrzec pogruchotane i wypalone wraki pojazdów. Osmalona ziemia usiana była szczątkami ludzkimi. Zmiażdżonymi częściami sprzętu i pogiętymi kawałkami blachy. Większość pożarów Już zgasła, ale dopalające się trawy, krzewy i nieliczne drzewa zasnuły słońce dymem. Wśród pierwszych czterech batalionów znaleziono jedynie kilkudziesięciu żywych ludzi na wysuniętych posterunkach. Wszyscy byli poranieni i znajdowali się w szoku. Piąty batalion Libijczyków stracił dziewięćdziesiąt procent sprzętu i trzy czwarte ludzi. jedynie batalion zaopatrzeniowy, który znajdował się pięćdziesiąt kilometrów z tyłu. przetrwał jako jednostka. Straty łączne wynosiły ponad trzy tysiące zabitych i tysięcy ciężko rannych, którym nie dawano szansy na przeżycie następnego tygodnia. Południowo-wschodnie wiatry przesuwają chmurę radioaktywną na kilkanaście małych miasteczek i wiosek. rozrzuconych na płaskowyżu. Miasto Lichtenburg zostanie skażone w największym stopniu. Pewnie będą musieli je ewakuować, pomyślał ponuro. Jak ci dranie

Afrykanerzy to zrobią, nie jest już jego kłopotem, ale jeżeli się nie pośpieszą, wielu ludzi umrze powolną śmiercią na chorobę popromienną. Część radioaktywnego pyłu spadnie na Bophuthatswanę i w końcu rozproszy się na nie zamieszkanym pustkowiu. Naukowcy będą mogli się zająć studiowaniem skutków kolejnego wybuchu nuklearnego, pomyślał ponuro. Stał już kilka minut w drzwiach czekając, aż generał go zauważy i zdarzało się to już wcześniej, gdy Vega był bardzo zapracowany i Suarez wiedział, że równie dobrze może stać tak cały dzień. - Towarzyszu generale... - powiedział cicho, jakby budził Vegę. Vega nawet na niego nie spojrział.

- Pułkowniku, jestem głupcem. Mówiliście mi, że Afryka Południowa posiada broń atomową. Widziałem ich gotowość do walki. Dlatego więc sądziłem, że jej nie użyją? Przypuszczaliście, że nie odważą się użyć tej broni na własnym terytorium - odparł Suarez. - Oczekiwał pan także, że zamieszanie w rządzie i brak stabilności wewnętrznej zredukują szanse posłużenia się bronią atomową.

- José, to tylko słowa, które mają usprawiedliwić pobożne życzenia. Ci ludzie są gotowi zrobić absolutnie wszystko, żeby nas powstrzymać - nawet jeśli zniszczą przy tym własny kraj jestem tego pewien. Vega wstał, z trudem kryjąc konsternację.

- Stoją przed nami dwa poważne problemy, pułkowniku. Po pierwsze, w jaki sposób będziemy kontynuować walkę z dwiema trzecimi naszych sił? Po drugie, jak możemy uniknąć kolejnego ataku jądrowego? Suarez spojrział nie pewnie na swojego dowódcę.

- Może wzmocniona obrona przeciwlotnicza...

- To nie wystarczy. - Vega zdecydowanie pokręcił głową. Nawet wszystkie baterie SAM na świecie nie zagwarantują zniszczenia każdego samolotu. Nie, pułkowniku, potrzebujemy bardziej agresywnych środków. Suarez patrzył na niego ze zdziwieniem.

- Proszę to przeczytać. - Vega wyciągnął kartkę z trzymanego w ręce pliku i podał Suarezowi. Szef sztabu przeczytał:

*Prezydent Castro dzieli z wami, generale, gniew i oburzenie. Afryka Południowa przyłączyła się do swojego zbankrutowanego przywódcy, Stanów Zjednoczonych, które jako jedyne państwo na świecie użyło broni atomowej przeciwko ludziom. Proszę użyć wszelkich dostępnych środków, żeby zetrzeć ten faszystowski reżim z powierzchni ziemi.*

Suarez był jeszcze bardziej zdumiony. Po usunięciu retorycznych ozdobników rozkaz Castro mówił jedynie, żeby walczyć z większą zaciętością.

- Co możemy zrobić, czego jeszcze nie zrobiliśmy?

- Kiedy pan się zajmował tym chaosem, rozmawiałem z naszymi socjalistycznymi towarzyszami. - W głosie Vegi pojawiły się twardsze tony. - Lecą do nas już dwa samoloty, jeden z Libii a drugi z Korei Północnej. Spodziewam się, że pod koniec dnia będę mieć dosyć gazu paraliżującego w 152-milimetrowych pociskach artyleryjskich i bombach lotniczych, żeby zniszczyć większą część południowoafrykańskiej armii. Od tej chwili broń chemiczna jest naszą odpowiedzią na atak nuklearny. Suareza nurtowały liczne pytania. Podobnie jak wojska radzieckie, Kubańscy byli przeszkoleni w posługiwaniu się bronią chemiczną - ale tylko do pewnego punktu. jednak, jak dotąd rzadko posługiwali się nią w walce. Broń chemiczna stwarzała niemal tyle samo problemów dla atakującego, co broniącego się. Potrzebne były specjalne kombinezony ochronne, środki odkażania terenu, odpowiednie wozy zwiadowcze... Wiem o czym myślisz, José - powiedział Vega. - Nie martw się. Użyjemy szybko rozkładających się środków paraliżująco-drgawkowych. Afrykanerzy praktycznie nie mają odpowiedniego przygotowania i bardzo mało sprzętu. Suarez zaczął mówić bardzo wolno, nadal pełen wątpliwości, mimo zapewnień generała. Ale to jedynie przyspieszy rozwój wypadków, towarzyszu generale. Nawet jeśli ta broń

okaże się skuteczna, jej użycie jedynie rozwścieczy wroga. Mogą podjąć kolejne próby zniszczenia nas bronią atomową. Pomyślałem o tym, towarzyszu pułkowniku. Suarez nigdy nie słyszał takiego chłodu i twardości w głosie Vegi. Właśnie dlatego chcę, żeby natychmiast przeniesiono każdą bazę i sztab. Zawiesimy nasze flagi w samych centrach południowoafrykańskich miast. - Vega położył nacisk na ostatnie słowo. I chcę także, żeby zebrano kilka tysięcy cywilów - samych białych, gdyż oni nie dbają o czarnych - jako tarcze dla każdej kwatery powyżej kompanii. Twarz generała pociemniała z gniewu. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wyślemy temu szaleńcowi Vorsterowi zdjęcia. Niech nas wtedy atakuje. jeśli zamierzają wymordować dziesiątki tysięcy własnych kobiet i dzieci, to im to ułatwimy. Ta wojna się zmieniła. pułkowniku. Na każdą groźbę odpowiemy groźbą. Na każdą eskalację - jeszcze większą eskalacją. Suarez nie był przekonany. - Te środki mogą zabezpieczyć nasze oddziały, jeśli Vorster nie jest całkowicie szalony. jednak nadal mam wątpliwości co do broni chemicznej. Nie jesteśmy przygotowani do takiej walki i nasze własne straty mogą być wysokie. - Tyrn razem mamy trochę szczęścia, pułkowniku. - Vega uśmiechnął się drapieżnie. - Nasi libijscy towarzysze mają więcej doświadczenia z tą bronią i to oni poprowadzą atak. Suarez musiał przyznać rację Vedze. Libijczycy często posługiwali się gazem w czasie nieudanej próby podboju Czadu. - Oba samoloty mają na swoich pokładach techników i specjalny sprzęt ochronny. - Vega spojrzął na swojego szefa sztabu. Przekonasz się, José, ta broń pozwoli nam zniszczyć ostatnie ośrodki oporu Afrykanerów. Zastąpi nam straconą brygadę. Przy odrobinie szczęścia zniszczymy afrykanerską armię w ich okopach!

- Miejmy nadzieję, towarzyszu generale. Vega patrzył na niego nie wiedząc, czy suchy ton podwładnego oznacza nadal wahanie, czy też rosnące zaufanie. Podszedł do mapy.
- Samoloty przylecą po południu. Niech pan dopilnuje, żeby na wieży byli nasi najlepsi ludzie. Nie możemy sobie pozwolić na wypadek przy lądowaniu. - Spojrzął groźnie. - Chcę, żeby w nocy dostarczono środki chemiczne do naszych oddziałów. Musi być zapewnione bezpieczeństwo na ziemi i w powietrzu jasne? Suarez potwierdził w milczeniu przyjęcie rozkazu.
- Dobrze. jutro o świcie użyjemy tej broni przeciwko głównej linii oporu wroga. - Vega wskazał na punkt leżący na południu. od ich pozycji, przy Autostradzie N1. - Tutaj.

## • 1. Batalion Rangersów, Baza Lotnicza Armii Hunter, USA

Major Robert O'Connell przewracał z niezadowoloną miną kartki raportu. Symulacje komputerowe nie mogły przewidzieć rezultatów prawdziwej bitwy z absolutną dokładnością, ale były użytecznymi narzędziami. Odpowiednio przygotowane umożliwiały znalezienie słabych punktów planów, a czasami pozwalały także przewidzieć reakcje wroga. jednak w tym wypadku wyniki były przygnębiające. Wszystkie trzy symulowane plany ataku skończyły się całkowitą klęską batalionu. Straty sięgały siedemdziesięciu pięciu procent, nie przechwycono celów i utracono kontrolę nad bitwą. Lista niepomysłnych rezultatów ciągnęła się przez cztery strony. Pokręcił ze złością głową. Było jasne, że ośrodek dowódczy batalionu musi gruntownie przemyśleć plan operacyjny DZIELNEJ FORTUNY od chwili lądowania do zabrania bomb. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść. Kapitan Peter Klocek, oficer operacyjny batalionu, wetknął głowę przez uchylone drzwi.
- Właśnie dostałem telefon z Cheyenne Mountain, majorze. Potwierdzają wiadomość nadaną w telewizji. Ci dranie już używają bomb, które mamy



przechwycić.

- Jezu! - Od chwili, gdy usłyszał wczorajsze wiadomości. O'Connell modlił się, żeby to nie była prawda.

- Myślę, że ucieszy się pan na wiadomość, że całe społeczeństwo jest wzburzone.

- Klocek nie ukrywał swojego cynizmu. W telewizji mówią o protestach, demonstracjach pokojowych i groźbach dalszych nieokreślonych sankcji. Cudownie. Po prostu cudownie - jęknął O'Connell. Sankcje, demonstracje i cała ta reszta nie miały żadnego znaczenia. Zwłaszcza kiedy Afrykanerzy zdecydowali się rozpocząć wojnę nuklearną, a jedynym sposobem usadzenia tych szaleńców w Pretorii było zabranie im niebezpiecznych zabawek. Spojrzał na zalegające biurko raporty. W obecnej chwili to rozwiązanie znajdowało się w sferze pobożnych życzeń.

## • 25 listopada - Potgietersrus, RPA

Rozbite resztki kilku południowoafrykańskich batalionów trzymały się miasta Potgietersrus niczym tonący brzytwy. Nic było ono wprawdzie ostatnim bastionem przed Pretorią, ale przy Autostradzie N1 trudno byłoby znaleźć więcej takich miejsc. Ten ważny ośrodek górniczy miał strategiczne połączenia drogowe oraz warunki naturalne umożliwiające skuteczną obronę. Położone na suchej, kamienistej równinie miasto nie było duże i wcześniej liczyło trzydzieści tysięcy mieszkańców, z czego dziesięć tysięcy stanowili biali, piętnaście czarni, a resztę Hindusi i mieszańcy. Biali zamieszkiwali, oczywiście, zamożne centrum i zarządzali kopalniami i przedsiębiorstwami, które zatrudniały czarnych i utrzymywały miasto. Domy białych, położone w pełnych zieleni dzielnicach, były wygodne, dostatnio i nowocześnie urządzone. Pozostali mieszkańcy miasta żyli w zupełnie innych warunkach. Większość czarnych stanowili samotni mężczyźni, którzy mieszkali w ustawionych koło kopalni barakach. Pracowali tu przez cały rok w ramach kontraktu, który pozwalał im raz do roku odwiedzić swoje rodziny w kraju, a nawet Zimbabwe czy Mozambiku. Odwiedziny były krótkie i pracownicy szybko wracali do kopalni, która oferowała im jedyną pracę, na jaką mogli w życiu liczyć. Niektórzy szczęściarze mogli sobie pozwolić na sprowadzenie do siebie rodzin, które żyły z nimi w slumsach, jakie otaczały każde miasto w Afryce Południowej. Teoretycznie, czarni nie mieli prawa posiadać ziemi, czy choćby żyć w pobliżu białych, jednak często konieczność zmuszała ich do osiedlania się gdzie popadło. Użycie słowa "miasto czarnych" w stosunku do slumsów Potgietersrus było ogromnym nieporozumieniem, delikatnie mówiąc. Blaszane i drewniane chatki, w których żyła większość robotników, nigdy nie będą miały nawet elektryczności, wody czy kanalizacji. Potgietersrus było ważnym centrum wydobywczym - w jego pobliżu znajdowały się bogate pokłady niklu, cyny, miedzi i platyny. Kubańczycy mogli twierdzić, że walczą o wolność czarnych braci, ale to kopalnie były ich prawdziwym celem. Ich zdobycie pozbawiłoby także Pretorię dopływu niezmiernie potrzebnych surowców. Mobilizacja zmniejszyła już wydobycie w kopalniach przez powołanie do wojska większości białych nadzorców i wykwalifikowanych robotników. Większość białych mieszkańców opuściła miasto, zanim jeszcze zbliżyły się do niego kubańskie wojska. Czarni robotnicy zostali, gdyż nie mieli dokąd się udać. Po szychcie byli obecnie pilnowani przez uzbrojone straże i trzymanych w zamkniętych bil rakach. Ponieważ w kopalniach pracowało wielu ludzi z sąsiednich krajów, *Brandwag* uznała, że mogą stanowić potencjalne zagrożenie. Sądząc po sposobie ich traktowania, obawy te mogły szybko się urzeczywistnić. Tak więc, mimo iż kubańska kolumna znajdowała się trzydzieści kilometrów od miasta, kopalnie jeszcze pracowały. Potężne ciężarówki wywoziły szlachetne metale na południe, do Pretorii. Vega rozkazał, aby starano się unikać ostrzału kopalń i ośrodków przetwórczych. Zresztą Kubańczykom nie brakowało celów dla swojej

artylerii. Potgietersrus leżało u stóp skalistej, wznoszącej się na ponad dwa tysiące metrów góry i ludność miasta była zajęta od kilku dni pospiesznym Wznoszeniem nowej linii obrony. Południowoafrykański garnizon stacjonujący w mieście składał się z kilku batalionów piechoty, personelu bazy lotniczej w Pietersburgu, która uciekła przed Kubańczykami i lokalnego komanda. Pobici na północy przez wojska kubańskie, zebrali się w mieście. Wszyscy przeżyli już co najmniej jedną bitwę i ucieczkę po przegranej. Tym razem byli jednak doskonale okopani Tym razem na pewno powstrzymają Kubańczyków.

- **Potgietersrus, dowództwo obrony**

*Brigadier* Piet Boerson opuścił SADF wiele lat temu, ale pełni., mobilizacja zmusiła go do powrotu do czynnej służby- stawiając go. na czele obrony rodzinnego miasta. Nic dziwnego - był dobrym organizatorem, cieszył się powszechnym szacunkiem, a lata ciężkiej pracy uczyniły go odpornym na trudności. Ten krzepki i żylasty mężczyzna nie miał już wielkich marzeń, ale potrafił się cieszyć tym, co do tej pory osiągnął. Naprawdę był szczęśliwy jako zarządca jednej z najlepiej prosperujących kopalni miedzi. Teraz miał walczyć o swoje miasto, pracę i życie. Na szczęście, żona i dzieci wyjechały do jego siostry w Pretorii. No cóż, jeśli nie uda się im powstrzymać Kubańczyków, wkrótce w kraju nie będzie żadnego bezpiecznego miejsca. Boerson spojrzął na mapę i westchnął. Pociągnął łyk letniej kawy. Powinien być zadowolony. Biorąc pod uwagę katastrofalną sytuację strategiczną kraju i tak miał wiele szczęścia. Od czasu upadku Pietersburga on i jego ludzie odparli trzy kubańskie ataki i był pewien, że uda im się jeszcze przez jakiś czas powstrzymać wroga. Był Jednak pewien, że Kubańczycy wkrótce znowu zaatakują, i to niedługo. Pewnie jeszcze przed świtem. Wkrótce po północy do miasta przybyły posiłki, nie wiadomo skąd wyszperane. *Brigadier* mruknął coś zgryźliwie na ich wspomnienie. Posiłki. Bateria pamiętających drugą wojnę światową dział i dwie kompanie nastolatków, którzy ledwo mogli utrzymać karabin. Jego oddziały straciły więcej ludzi w czasie wczorajszych walk, niż wynosiły te całe posiłki. Musiał jednak wysłać te „dzieciaki na linię frontu. Nawet chłopcy z karabinami byli teraz przydatni. Jak dotąd "składana" brygada Boersona przetrwała naloty, ostrzał artyleryjski i ataki zwiadowców. Ostatnie, względnie spokojne, dwadzieścia cztery godziny pozwoliły ludziom odpocząć i posunąć prace nad umocnieniami. Udało im się nawet rozmieścić materiały wybuchowe z kopalni jako improwizowane pola minowe *Brigadier* nachylił się po raz setny nad mapą. Czy mógł zrobić więcej? Jego piechota była porządnie okopana w kamienistej ziemi na łuku okalającym miasto od północy i zachodu. Najłatwiejsza droga do ich pozycji była zagrodzona przez pola minowe i zasieki z drutu. Jedyna bateria dział 155-milimetrowych została ulokowana na niskim wzgórzu, obok linii okopów. Z tego miejsca pociski mogły niemal sięgnąć Pietersburga. Bateria była strzeżona przez dwie wyrzutnie przeciwlotnicze, każda z trzema raketami *Cactus* Odwodowa bateria dział produkcji brytyjskiej, które były dwa razy mniejsze i dwa razy starsze od G-5, osłaniała samo wzgórze. I wreszcie członkowie komand, służący za zwiadowców i strzelców wyborowych. Ludzie znali ten teren jak własną kieszeń i Boerson zamierzał tę wiedzę wykorzystać. Tak, mogli się tu utrzymać, ale nie mieli szans obronić tych głupców w Pretorii, pomyślał Boerson. Wpakowali nas w to bagno i jeśli uda nam się obronić, to ci idioci pierwsi pójdą pod ścianę z brązowymi koszulami *Brandwag* Vorstera w pierwszym szeregu. Boerson odwrócił się do znajdujących się w pokoju oficerów. Pułkownicy, którzy dowodzili trzema batalionami, dyskutowali właśnie szczegóły rozmieszczenia wojsk i artylerii, podczas gdy oficer *Brandwag* słuchał z pełną podejrzliwości uwagą każdego ich słowa, jakby któryś z nich miał nagle wstać i zakrzyknąć: "Niech żyje ANC!" Groote Kempe,

dowódca miejscowego komando, siedział w milczeniu przy końcu stołu. Jego ludzie nie mieli nadajników czy ciężkiej broni poza starymi karabinami maszynowymi Lewisa. Ich zadanie było niezmiernie proste: mieli strzelać z ukrycia tak długo, jak to będzie możliwe, a następnie wycofać się do głównej linii. Daleki pogłos artylerii służył jako ciągłe tło ich rozmowy. Ogień utrzymywał się od dwudziestu czterech godzin - krótkie salwy mające za cel zatrzymanie Południowoafrykańczyków na ich pozycjach, zadanie niewielkich strat i zmuszenie ich do bezsenności. W pewnym momencie tempo ostrzału zaczęło się zwiększać - spadały teraz po trzy, cztery pociski na minutę. Południowoafrykańscy oficerowie przerwali dyskusję i podnieśli wzrok znad map. Boerson spojrzął na zegarek. 04:27. Trochę za wcześnie, po myślał, ale Kubańczycy pewnie zamierzają wycisnąć z nas ostatnie poty przed atakiem.

- Wszyscy wracają do swoich jednostek. Powiedzcie chłopu kom, żeby nie marnowali ani jednego naboju - rozkazał. Chwycił hełm i latarkę i wybiegł na dwór. Za nim podążyli pozostali oficerowie, rozbiegając się do swoich oddziałów. Dowództwo obrony zajmowało piętrowy budynek zbudowany w pobliżu wierzchołka góry. W czasie dnia bez trudu obejmował wzrokiem całą linię obrony. W pogodny dzień można było zobaczyć na północnym wschodzie zajęty przez Kubańczyków Pietersburg jako lekką mgiełkę na horyzoncie. W dole leżało miasto. Oficerowie sztabowi narzekali, że wybrał miejsce zbyt bliskie linii frontu, ale Boerson lubił dopatrzeć każdej rzeczy, za którą był odpowiedzialny. Noc właśnie zaczynała blednąć i na wschodzie pojawiła się cienka linia jasnego różu. Mógł już rozróżnić poszarpane kształty skał na zboczu. Pozycje piechoty były jeszcze niewidoczne, ale znał na pamięć ich dyslokację. Niebo rozjaśniało się rozbłyskami: kubańskie pociski rozrywały się nad ziemią. Kubańscy artylerzyści nastavili zapalniki na wybuch w powietrzu, co było zupełnie rozsądne z ich strony. Pociski nastavione na wybuch przy uderzeniu o ziemię nie były skuteczne przeciwko okopanym ludziom, chyba że spadały w okopy. Natomiast gdy pociski wybuchły dwadzieścia metrów nad ziemią, zasypywały obrońców odłamkami, zmuszając ich do pozostania pod osłoną umożliwiając atak własnym wozom bojowym. Było już dostatecznie jasno i Boerson sięgnął po lornetkę, żeby przyjrzeć się terenowi pomiędzy Pietersburgiem a jego własną pozycją. Tak, wróg zbliżał się. Czarna chmara kropek posuwających się w ich kierunku. Czas otworzyć ogień z własnych dział. Wróciwszy do kwatery rozkazał. Przekażcie baterii jeden pięć pięć, żeby otworzyła ogień do nieprzyjaciela. Niech także nastavią zapalniki na wybuch w powietrzu. - Niech te świny też posmakują, jakie to przyjemne, pomyślał. Nie zaszkodzi to czołgom, ale rozproszy całą formację i musi ich do ostrożności. Czekał, aż radiowiec połączy się z rozlokowaną osiemset metrów dalej baterią, ale żołnierz jedynie kręcił bezskutecznie pokrętłami. Nikt nie odpowiada. Co takiego? Boerson wyszedł na zewnątrz i przyjrzał się przez lornetkę baterii dział. Zacisnął zęby. Tak, oni też znajdowali się pod ostrzałem i to gęstym. No i diabli wzięli żmudne maskowanie Kubańczycy wiedzieli, gdzie się znajdują działa. Jednak centrum kontrolne baterii powinno być ukryte. Czyżby jakiś pocisk zniszczył linię? Patrząc na ogień zaporowy, zauważył coś dziwnego. Wybuchy były teraz znacznie mniejsze. Może mózdzierze? Jeśli tak, to kiedy Kubańczycy użyją cięższych dział? Każdy wybuch wyrzucał w powietrze olbrzymie ilości czerwonego dymu. Dziwne. Mieszanie dymu z materiałem wybuchowym było normalną praktyką, ale nie przeciw artylerii. Jego radiowiec pojawił się w drzwiach. *Brigadierze, kommandant* Salter jest na linii! - W jego głosie słychać było panikę. - Mówi, że jego ludzie umierają. *Brigadier* rzucił się do radiostacji. - Boerson. - To gaz... pociski z gazem trującym! Mój Boże! Gaz. Oczywiście! To wyjaśniało niezbyt głośne wybuchy i czerwoną mgłę. Każdy pocisk zawierał tylko tyle materiału wybuchowego, żeby rozproszyć gaz na dużym obszarze.

- Prawie nikt nie ma masek, ale i one nic nie pomagają! Większość moich żołnierzy zginęła! Mam maskę na twarzy, ale jak otworzę wąż, zginę od kontaktu powierzchniowego! - Salter nie krył przerażenia.

- George, wycofaj się. Ocal siebie i tych, których możesz. - Rozkaz był rozsądny, ale jego konsekwencje przerażające. Wycofanie się oznaczało oddanie miasta komunistom. W słuchawce nagle zapadła cisza. Boerson stał jak wmurowany w ziemię, a jednak wydawało mu się, że wszystko wiruje mu przed oczami. Co ma zrobić? Batalion piechoty Saltera i najlepsza artyleria były stracone. Jaką część brygady dosięgnął gaz? Usłyszał nad głową stłumiony odgłos wybuchu i zaraz kilka następnych. Serce mu na chwilę zamarło i po raz pierwszy w życiu pragnął, aby to był normalny ogień artyleryjski. Zobaczył przez okno czerwoną mgłę niesioną przez wiatr w stronę domu. Boerson obrócił się do pobielającego ze strachu radiowca.

- Przekaż rozkaz całkowitego odwrotu! Było już za późno. Czerwonawa chmura osiadła wolno na budynku dowództwa i wzdłuż całej linii obrony. Nie był to prawdziwy gaz, ale aerozol, rozpylone kropelki stworzone przez zawarte w pocisku ładunki. Wybuch pocisku artyleryjskiego nie był tak efektywny i jednolity jak rozpylacz, ale wykonywał swoje zadanie. Środek chemiczny znany był jako GB albo sarin. Skomplikowana substancja pochodzenia organicznego była już dostępna w czasie drugiej wojny światowej. W przeciwieństwie do chloru, który atakuje system oddechowy, czy gazu musztardowego, który powoduje poparzenia, sarin oddziałuje na system nerwowy. Chlor musi być wciągnięty do płuc, żeby zabić, a gaz musztardowy musiał zetknąć się z większą powierzchnią skóry, żeby spowodować zgon. Wystarczy jednak kontakt skóry z jedną dziesiątą grama sarinu, by spowodować śmierć. Żołnierze z odpowiednim przeszkoleniem musieli nosić respiratory i specjalne gumowe skafandry. Każdy sprzęt, na który opadł gaz, musiał być dokładnie obmyty wodą, żeby można go bezpiecznie dotknąć. Jednak kombinezony były ciężkie i niewygodne. Nawet w umiarkowanym klimacie noszenie ich zmniejszało efektywność żołnierzy o połowę już po kilku godzinach. W lecie używanie Gumowanego kombinezonu w pełnym słońcu prowadziło do porażenia słonecznego, a nie zwykłej utraty sił. Południowoafrykańska armia nigdy nie przejmowała się możliwością ataku chemicznego. Wobec ciągłego braku funduszy i niezmiernie małego zagrożenia skoncentrowano się na innych rodzajach zagrożeń. SADF miały sporo doświadczenia głównie w posługiwaniu się gazem łzawiącym, a nie w obronie przed znacznie groźniejszymi gazami bojowymi. Wojsko potrafiło się posługiwać wyłącznie maskami gazowymi, a komanda i inne oddziały nie posiadały nawet takiego sprzętu. Ludzie broniący Potgietersrus nie mieli zresztą okazji narzekać na to zaniedbanie. Kiedy wybuchły pierwsze pociski z gazem, nieliczni żołnierze założyli maski gazowe, ale gdy obrócili się, żeby walczyć z wrogiem, sarin już ich zabijał. Gaz paraliżująco-drgawkowy działa przez ingerowanie w pracę układu nerwowego, powodując zatrzymywanie bodźców, ich amplifikowanie i całkowite pomieszenie. W ciągu kilku sekund umarły setki ludzi - potykając się, przewracając w rowach i zrywając maski, żeby odetchnąć powietrzem. Brygada zginęła w niecałe pięć minut. Boerson wiedział, co się z nim dzieje, ale nie mógł opanować ogarniającej go paniki. Zbliżała się śmierć. Uciekł do środka, szukając w oszalałym popłochu pokoju z zamkniętymi oknami. Gaz dopadł go w piwnicy, kiedy starał się zalepić taśmą nieuszczelne drzwi. Poczł nagle zawrót głowy, a jego ciało pokryło się warstwą potu. Zbierało mu się na wymioty. Ręce ciążyły mu niczym kamienie młyńskie, gdy walczył z taśmą. Podniósł je znowu resztkami sił, ale wtedy stracił równowagę i upadł na podłogę. Ręce i nogi zatrzepotały w agonii. Czuł, że pękają mu płuca. Nie mógł oddychać. Potrzebował powietrza. Świeżego powietrza. Zwymiotował na podłogę. Przenikały go na wskroś najróżniejsze rodzaje bólu, czuł jednocześnie zimno, gorąco i ruch. Każdy nerw w jego ciele oszalał. Piet Boerson miał tylko tyle sił, żeby przewrócić się na brzuch.

Ostatnim drgnieniem ręki trafił na taśmę, ale sarin dostał się już mózgu. Stracił przytomność. Kilka sekund później mózg przestał wysyłać sygnały do serca. Agonia trwała zaledwie trzydzieści sekund.

### • **Libijski batalion piechoty zmechanizowanej**

Pułkownik Hassan Mahmoud stał w wieży opancerzonego transportera dowodzenia, szacując odległość dzielącą jego batalion od przednich straży południowoafrykańskiej linii obrony. Około tysiąca metrów, stwierdził. Czas ruszać.

Podniósł mikrofon.

- Do wszystkich jednostek. Ustawić się w szyku. Ruszamy. W słuchawkach rozległy się zadowolone głosy potwierdzające odebranie rozkazu. Mahmoud zaklął pod nosem. Młodzi idioci. Zachowywali się, jakby to była przejażdżka na piknik. Na szczęście, nie zostało wielu Afrykanerów, żeby zastąpić im drogę. Ogień dochodzący od strony miasta był bardzo słaby. Wyglądało na to, że gaz spełnił swoje zadanie. W tym upale powinien działać jeszcze przez jakieś dziesięć minut, a następnie rozłożyć się na nieszkodliwe składniki. Inne gazy, jak soman, czy GD, pozostawałyby aktywne przez wiele dni. Vega wybrał sarin właśnie dlatego, że tak szybko się rozkładał. Przy zachowaniu ostrożności batalion Mahmouda powinien zająć miasto, nie ponosząc żadnych strat własnych. Libijski pułkownik był pełen optymizmu. Afrykanerzy zostali całkowicie zaskoczeni. Nawet wiatr działał na korzyść libijskich oddziałów. Lekki podmuch powinien zepchnąć gazową mgłę z drogi jego ludzi.

### • **Potgietersrus**

Wiatr wiejący z północnego wschodu z prędkością dziesięciu, piętnastu kilometrów na godzinę w ciągu piętnastu minut, kiedy sarin był aktywny, przesunął go o jakieś trzy kilometry. Nad miastem utworzyła się zabójcza chmura. Część pozostałej w mieście białej społeczności schowała się w schronach, kiedy tylko usłyszała kubański ogień artyleryjski odbijający się echem od góry. Jednak większość pozostała na zewnątrz. Trzy dni ciągłego ostrzału uczyniły zeń rutynowe zjawisko. Znajdujący się na świeżym powietrzu ludzie - zwłaszcza ci, którzy pracowali fizycznie - zostali najszybciej i najmocniej zaatakowani. Mieszkańcy slumsów, którzy najczęściej nie mieli szyb w oknach, mogli równie dobrze znajdować się na dworze. Nie istniały schrony bombowe dla czarnych. Gaz zaczynał się już rozkładać i nie był tak zabójczy. Jedynie dzieci i starsze osoby oraz ci, którzy mieli kłopoty z układem oddechowym, byli nadal narażeni. Nawet osłabiony, sarin nadal mógł spowodować paraliż lub osłepić swoje ofiary. Zniszczonego systemu nerwowego nie daje się wyleczyć.

\* \* \*

Sześcioletnia Alice Naxula mieszkała w jednym pomieszczeniu z matką, babką i wujkiem. Była typowym murzyńskim dzieckiem. Właśnie miała wyjść na dwór, żeby pobawić się i poszukać czegoś do zjedzenia. Wojenny chaos opróżnił dokładnie półki sklepów, tak więc Alice i jej matka rozdzielały się, żeby szukać pożywienia w różnych częściach miasta, podczas gdy wujek pracował w kopalni. Babka spędzała cały dzień, siedząc na jedynym w mieszkaniu krześle i oddawała się wspomnieniom. Wuj był już na nogach, gotowy wyjść, żeby złapać o piątej autobus jadący do kopalni. Wszyscy wstawali wcześniej rano, aby wspólnie zjeść śniadanie, które najczęściej było resztkami kolacji. W ciemnościach nie widzieli, jak gaz przedostaje się wszelkimi szczelinami w ich dziurawym, blaszanym domku. Pierwsze oznaki kłopotów przyszły, gdy babka zaczęła niepowstrzymanie kaszleć. Miała bronchit, powszechną chorobę wśród wielu starszych ludzi, którzy mieszkali całe życie w nie ogrzewanych

mieszkaniach. Nagle kobieta zawyła z bólu i padła na ziemię wijąc się i jęcząc.

Alice czuła, że jej oczy łzawią. Matka także zaczęła krzyczeć. Dziewczynka instynktownie zanurkowała pod stertę koców w jednym końcu pokoju i leżała nieruchomo. Odruch ten wyrobił się po latach policyjnych najść na dom i Alice traktowała prowizoryczne łóżko jako kryjówkę. Nauczyła ją tego dawno temu matka.

Czekała w przerażeniu, słysząc w pokoju jęki i dziwny, głuchy stukot o podłogę, ale wiedziała, że nic jej tu nie grozi. Policja nigdy jej jeszcze nie znalazła wśród śmierdzących szmat. W końcu krzyki ustały. Alice chciała wyjść i zobaczyć, co się stało ale przypomniała sobie pouczenia matki. Miała zaśpiewać trzy razy tę głupią piosenkę o małpce i nosorożcu. Dziewczynka odśpiewała po cichutku trzy razy długą piosenkę ciesząc się gdy małpce udało się oszukać nosorożca. Skończyła i wydrapała się spod pościeli. Matka leżała na podłodze koło babki, a wujek nieco dalej, blisko drzwi. Kiedy zaczęła potrząsać matką, ta jęknęła ciężko. Alice pobiegła po wodę. Kiedy policja raz pobiła matkę, która później leżała na podłodze cała zakrwawiona, wujek kazał wtedy przynieść wody. To pomogło. *Znajdowała* się w połowie drogi do pompy, gdy usłyszała krzyk matki: Nic nie widzę! Nic nie widzę! Alice pobiegła pędem do domu i starała się podnieść babkę, a następnie wujka, ale oboje już nie żyli. Wiedziała, jak sprawdzić i odpowiadała matce na pytania o ich wygląd. Żadne z nich nie odniosło ran, ale ich wytrzeszczone, przerażone oczy świadczyły o tym, że zmarli w bólach.

- Mama, co mam zrobić? Nie było odpowiedzi. Kilka tysięcy mieszkańców miasta - zarówno czarnych, jak i białych leżało martwych lub umierało na ulicach Potgietersrus.

## • 25 listopada - Kubański Korpus Ekspedycyjny, Pietersburg

Jonathan Sasolo służył jako oficer łącznikowy pomiędzy generałem Antonio Vegą a Afrykańskim Kongresem Narodowym. Zaklasyfikowany przez południowoafrykańskie prawa jako mieszaniec, był potężnie zbudowanym mężczyzną o wielkich dłoniach i tubalnym głosie. W *Umkhonto we Sizwe* miał rangę majora i teoretycznie zachował ją w sztabie generała. Sztab Vegi nie okazywał jednak należnego jego stopniowi szacunku, co tylko potęgowało jego gniew.

- Więc w ten sposób nas oswobadzacie? Połowę ludzi wybijecie, a resztę zagłodzicie! Vega starał się mówić dyplomatycznie, a Suarez i Vasquez stanęli po jego stronie, podpowiadając argumenty.

- Majorze Sasolo, zechciejcie mnie zrozumieć. Nie mamy kontroli nad wiatrem.

- Jednak znał pan jego siłę i kierunek. Zwyczajnie zlekceważył pan możliwe rezultaty ataku gazowego! - Sasolo nachylił się nad biurkiem i podnosił głos na Vegę w sposób, w jaki nikt inny na świecie nie pozwoliłby sobie na to. - Ponad tysiąc zabitych i tysiące okaleczonych. Jest tylu zabitych, że nie mieliśmy jeszcze czasu wszystkich policzyć! Co to za zwycięstwo?

- Bardzo ważne - odparł gniewnie Vega. - Nasze siły, wśród których są także pańscy żołnierze, straciły tylko czterestu żołnierzy i trzydziestu siedmiu rannych, likwidując przy tym całą brygadę wroga. Vasquez potwierdził skwapliwie.

- Niech pan pomyśli o szoku, jaki przeżywają teraz w Pretorii, towarzyszu majorze. Niech pan pomyśli, o ile zbliża to nas do całkowitego zwycięstwa. Sasolo był coraz bardziej zły.

- Zwycięstwa? Mogę panu powiedzieć, że nie będzie zbyt wielu ludzi do świętowania tego zwycięstwa, jeśli dalej będziecie tak postępować. Zwłaszcza jeśli pańscy żołnierze będą konfiskować całą żywność! Jak moi ludzie mają żyć? Wzięliśmy żywność tylko ze sklepów w białych dzielnicach, majorze. - Suarez mówił spokojnie. Jedyne *blery* jedzenie jest w białych dzielnicach, ty draniu! Nigdzie indziej go nie ma!

Vega zaczynał tracić cierpliwość. Wkrótce nadejdą oddziały z zapasami, majorze. Nasze tyły mają ciężką robotę przez naloty i ataki komand. Pierwszeństwo ma teraz paliwo i amunicja. właśnie dlatego kazaliśmy zarekwirować jedzenie. Pozwalając ludziom głodować. Vega przybrał ostrzejszy ton. Majorze, interesuje mnie jedynie szybki i skuteczny postęp moich wojsk. Moi ludzie walczą i umierają, żeby oswobodzić wasz lud od faszystowskiego reżimu. Przykro mi z powodu ostatnich wypadków. Musi pan zdać sobie sprawę, że zginie jeszcze wielu ludzi, zanim osiągniemy cel. Jednak ich śmierć nie pójdzie na marne. Sasolo nie zamierzał ustępować. Takie przemowy nie zmieniają nastawienia mas, generale. Ludzie widzieli Burów, a teraz widzą was i pytają "co za różnica?" Major ANC odsunął się od biurka. - Rozmawiałem na ten temat komitetem wykonawczym... Vega wiedział o tym. Vasquez poinformował go o kilku zakodowanych rozmowach pomiędzy kwaterą główną ANC w Lusace a Sasolo Kubańczykom nie udało się jeszcze złamać szyfru. Major ciągnął dalej. Jestem przekonany, że powinniśmy wycofać się z tego związku. Musimy wybrać własną drogę ku oswobodzeniu Afryki Południowej. Posługujecie się nami tak, jak... jak Rosjanie posłużyli się kiedyś wami. Vasquez podszedł do drzwi. Dostyc tego, majorze. Sasolo odwrócił się i zobaczył, że dwóch kubańskich żołnierzy mierzących do niego z karabinów. Vega wskazał na partyzanta ANC. Aresztować go. Zdziwione protesty Sasolo szybko ucichły, kiedy żołnierze wywlekli go z pokoju. Vasquez niechętnie zdobył się na parę słów prawdy. On nie jest sam, towarzyszu generale. Wielu żołnierzy ANC zaczyna narzekać i szemrać. Możemy mieć z nimi kłopoty. Wiem, Vasquez, widziałem raporty. - Vega westchnął. - Mięczaki. Nie potrafiaj dostrzec konieczności ofiar. Prawdziwy socjalizm nie przychodzi łatwo. Trzeba na niego zapracować walką i własną krwią. Generał wstał i spojrzał na Suareza.

- W porządku, towarzyszu pułkowniku. Proszę rozbroić i uwięzić każdą grupę partyzantów, którą podejrzewacie o brak lojalności. Twarz pociemniała mu z gniewu.
- Nie będę tolerował zdrady wśród moich wojsk. Zwłaszcza teraz, gdy stoimy u progu zwycięstwa. To wszystko. Jesteście wolni. Stał przy stole czekając, aż oficerowie wyjdą z pokoju. Zdrada Sasolo zostawiła przykre wrażenie.

### • **USS "Mount Whitney". pomiędzy Wyspą Wniebowstąpienia a Kapsztadem**

Długa kolumna stalowoszarych okrętów płynęła pełną parą. W ciemnościach kilwater połyskiwał bladoniebieskim światłem. Na ich pokładach były tysiące amerykańskich i brytyjskich żołnierzy. Część ludzi wykonywała obowiązki służbowe, pozostali odpoczywali, grali w karty lub rozmawiali, dyskutując o sporcie, kobietach i na każdy inny temat, oprócz Afryki Południowej. Oficerowie nie mogli sobie pozwolić na taki luksus.

- Generał Craig? - Żołnierz starał się wywołać go z grupy oficerów, którzy stali w pokoju dowodzenia. W wypełnionym wrzawą, zatłoczonym pokoju trudno było zwrócić na siebie uwagę, ale w końcu generał usłyszał go i odwrócił się. Kapral zbliżył się i podał mu kartkę papieru. Następnie zaszalutował i wyszedł. Craig w roztargnieniu oddał mu salut i szybko przeczytał wiadomość. Widać było, że jest zaskoczony, ale szybko się opanował. Zwrócił się do brygadiera Clayтона Mauera, który był odpowiedzialny za operacje grupy inwazyjnej.

- Clay, zmień plan szkoleniowy. Chcę, żebyście poświęcili przynajmniej jeden dzień na szkolenie w zakresie obrony przeciwchemicznej. Ćwiczenia, kombinezony ochronne i wszystko, co potrzeba. Mauer aż zagwizdał.

- Chce pan powiedzieć...

- Tak. Kubańczycy zagazowali miasto na północ od Pretorii, które stawiało mocny opór. Dokładnie nie wiadomo, czego użyli, ale straty wynoszą kilka tysięcy ofiar.

Zdaje się, że sporo cywilów.

- O psia! - Mauer aż jęknął przysiadając ciężko na krześle. - Najpierw ćwiczenia na wypadek ataku nuklearnego, a teraz to. Sir, ludzie będą mieli bardzo negatywne nastawienie do tej operacji - Uśmiechnął się, starając się ukryć obawy, ale spostrzeżenie było słuszne. Craig ponuro skinął głową, ale jego myśli powędrowały tysiące mil dalej. Mauer nie wiedział o planowanym napadzie oddziału Rangersów na Pelindabę. jedynie pięciu oficerów, w tym także Craig, zostało poinformowanych o przygotowaniach. Jego sztab otrzymał informacje o operacji DZIELNA FORTUNA, kiedy ta już się rozpocznie. Klasyfikacja dostępu do informacji nie przewidywała specjalnej kategorii dla tych, którzy powinni zostać pokrzepieni na duchu. Zresztą szczegóły tej prawie samobójczej operacji nie uszczęśliwiłyby jego żołnierzy. Craig mógł się tylko modlić, aby ten szalony atak Rangersów skończył się sukcesem. Nigdy jeszcze nie widział amerykańskiej siły operacyjnej tych rozmiarów, która zawróciłaby przed celem i zaczęła uciekać. jednak musieliby to zrobić, gdyby Południowoafrykańczyki mogli im zagrozić bronią atomową.

## 29

### Odliczanie

- **25 listopada - 1. Batalion 75. Pułku Rangersów, Baza Lotnicza Armii Hunter, Georgia, USA**

Major Robert O'Connell rozmawiał przez bezpieczną linię z Waszyngtonem, słuchając z ponurą miną, jak dowódca pułku, pułkownik Paul Geller, przekreśla rezultaty dziesięciu dni wytężonego planowania akcji. Fakt, że oczekiwał tego telefonu od chwili, gdy usłyszał wiadomość o ataku nuklearnym Pretorii, nic był w tej chwili żadnym pocieszeniem. Promień słońca, wpadający właśnie przez okno nie poprawił mu nastroju. Gdyby choć raz dostał telefon z Pentagonu z jakimiś dobrymi wiadomościami. Wydawało się, że marzenia te mają małe szanse powodzenia.

- Nie, sir, rozumiem. Tak jest, sir. To rzeczywiście beznadziejny sposób na przeprowadzenie akcji. Spotkamy się jutro. Do widzenia. - Powstrzymał się od powiedzenia czegoś nie przemyślanego i odłożył słuchawkę. przez chwilę siedział w milczeniu, patrząc przez okno. - Kłopoty? O'Connell odwrócił głowę i spojrzał na szczupłą, opaloną twarz kapitana Petera Klocka, oficera operacyjnego batalionu.

- Można tak to określić, Pete. - Skinął głową w stronę czerwonego telefonu. - Właśnie straciliśmy tydzień. Teraz jest D minus cztery. Waszyngton chce, żebyśmy ruszyli 29 listopada zamiast 6 grudnia. Zmienił nam też plan. Szefowie sztabów chcą, żebyśmy zajęli także ośrodek wzbogacania uranu w Pelindabie. Nie chcą zostawić im żadnej szansy na przygotowanie kolejnej bomby przed przybyciem naszej piechoty do Kapsztadu.

- Jezu! - Kapitan nie ukrywał wzburzenia. Przesunięcie terminu operacji oznaczało zrezygnowanie z kilku próbnymi atakami na makietach celu, które dotąd istniały jedynie na papierze i jako komputerowe symulacje. Co gorsza, zmiana planów



spowoduje jeszcze większe rozproszenie sił batalionu. - Jak, do cholery, mamy to zrobić? O'Connell wzruszył ramionami. Po prostu musimy. Pojutrze przenosimy się na Wyspę Wniebowstąpienia. Załatwili nas. - Klocek wyglądał, jakby go mdliło. przygotowanie takiej operacji wymagało szczegółowego planowania i ćwiczeń Ograniczając jedno i drugie, można było jedynie zmniejszyć i tak nikłe szanse na sukces i doprowadzić do masakry. Na to wygląda. Jednak właśnie za taką robotę nam płacą. O'Connell starał się mówić pewnym tonem. Klocek wskazał na telefon. Czy pułkownik nadal ma zamiar skakać z nami? Tak. - O'Connell powiedział to spokojnym tonem niepewny, co ma właściwie sądzić o nowej sytuacji. Dowódca pułku podjął tę decyzję kilka dni temu. Teoretycznie miał jedynie wspomagać ich "radami", ale O'Connell nie miał żadnych złudzeń co do sposobu, w jaki obecność pułkownika wpłynie na jego dowództwo. Geller praktycznie będzie dyrygował całym przedstawieniem, a on stanie się statystą. Tak naprawdę jednak nie mógł winić pułkownika za pakowanie się do akcji batalionu. Oficerowie, w których teczkach personalnych znajdował się magiczny zwrot "dowodził oddziałem w walce", mogli zawsze liczyć na szybszy awans. Żaden ambitny oficer, jak Geller, nie przepuściłby okazji, jaką dawała akcja typu DZIELNA FORTUNA. O'Connell nadal uważał, że to nie jest w porządku. Zirytowany, że traci czas na rozmyślania o sprawach, nad którymi nie ma żadnej kontroli, zmarszczył brwi i spojrzał na kapitana. Musisz pogonić chłopaków, Pete. Chcę mieć u siebie wszystkich dowódców kompanii o 13:00. Powiedz też profesorowi Levi, żeby natychmiast zgłosił się do mnie. Klocek zasalutował i pospiesznie opuścił pokój. Profesor Esher Levi patrzył z troską na niskiego, ciemnowłosego amerykańskiego oficera. Odkąd przyjechał do bazy przed dwoma dniami, widział O'Connella zaledwie kilka razy - w czasie posiłków i raz po ciężkiej sesji z Rangersami, których ćwiczył w bezpiecznym obchodzeniu się z bronią atomową. Za każdym razem wyczuwał w oficerze dwa walczące ze sobą uczucia: wdzięczność za pomoc i wściekłość, że izraelski udział w południowoafrykańskim projekcie jądrowym wywołał takie skutki. Nit' wpływało to korzystnie na ich wzajemne relacje. Chciał mnie pan widzieć, majorze? Tak. Z dwóch powodów. - O'Connell popchnął w jego stronę zdjęcie satelitarne i obserwował, jak Levi je ogląda. Zdjęcie ukazywało niski, kwadratowy budynek w centrum kompleksu badawczego w Pelindabie. - Rozpoznaje pan to? Levi bez słowa skinął głową. Spędził prawie dwa lata w ośrodku wzbogacania uranu - newralgicznym punkcie ściśle tajnego południowoafrykańskiego programu nuklearnego. U-235 - izotop uranu niezbędny do produkcji bomby atomowej - stanowi zaledwie siedem dziesiątych procenta czystej rudy uranowej. Pozostałe ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent to U-238. Oddzielenie dwóch izotopów od siebie w celu otrzymania wzbogaconego U-235 jest procesem niezwykle kosztownym, trudnym, czasochłonnym i możliwym tylko dzięki temu, że U-235 waży nieco mniej niż U-238. W ośrodku wzbogacania heksafluor uranu - gazowa mieszanina fluoru i uranu - jest odwirowywany w długich wirówkach. Niewielka część cięższego U-238 jest odrzucona do zewnętrznej części wirującej tuby i usunięta. Pozostały gaz, z nieco większą koncentracją U-235, jest ponownie odwirowywany, aż pozostanie dziewięćdziesiąt procent czystego U-235. Levi uśmiechnął się do swoich myśli. W pewnej mierze wzbogacanie uranu przypominało sławną przypowieść o nieskończonej ilości małp, które przez nieskończenie długi czas stukają bezmyślnie w nieskończoną liczbę maszyn do pisania, tworząc w końcu wszystkie dzieła Williama Shakespeare'a. Otrzymanie nadających się do wykorzystania przy produkcji bomby ilości czystego U-235 wymagało olbrzymiej liczby maszyn pracujących przez bardzo długi czas. Przyjrzał się uważnie budynkowi na fotografii, zaskoczony techniczną doskonałością zdjęcia. Wyglądało tak, jakby zrobiono je z odległości kilku metrów, mimo że wykonał je satelita znajdujący się kilkaset kilometrów nad Ziemią. Mógł dostrzec dobrze strzeżone drzwi do budynku i

szczegóły urządzeń wentylacyjnych na dachu. jednak nawet najlepsze zdjęcie nie potrafiło pokazać wewnętrznej struktury budynku. Większa część ośrodka znajdowała się głęboko pod ziemią - co, między innymi, ułatwiało utrzymanie wewnątrz stałej temperatury. Główna hala mieściła ponad dwadzieścia tysięcy urządzeń odwirowujących - każde z nich o szerokości trzydziestu centymetrów i długości siedmiu metrów - ustawionych w szeregi i podzielonych na dziewięćdziesiąt kolejnych stopni w procesie wzbogacania. Przez ośrodek przebiegały dziesiątki kilometrów rur doprowadzających świeży heksafluor uranu, odprowadzających U-238 i przesyłających partie coraz bogatszego uranu do kolejnych wirówek. Profesor zwrócił zdjęcie O'Connellowi. Czy chce się pan czegoś dowiedzieć o ośrodku, pułkowniku? Niezupełnie. - Amerykanin był zdecydowany. - Muszę znaleźć sposób na szybkie i dokładne zniszczenie tego cholernego miejsca. Levi nie zdziwił się. Był to zupełnie logiczny krok. Przechwycenie samych bomb nie miało większego sensu na dłuższą metę. Co dałoby zabranie kilku pocisków, a zarazem zostawienie całej fabryki broni w rękach Południowoafrykańczyków? Złożył swoje długie, zgrabne dłonie - które jego eks-żona uznała za odpowiednie bardziej dla chirurga, a nie fizyka jądrowego tak iż rozwarłe palce stykały się ze sobą. To był ciekawy problem. jaki byłby najlepszy sposób na zniszczenie ośrodka? umieszczenie konwencjonalnych ładunków oznaczało konieczność zdobycia budynku, a następnie stratę czasu na ich podłożenie i połączenie ze sobą. Poza tym potrzebna byłaby olbrzymia ilość materiałów wybuchowych, aby zniszczyć wszystko. Zasilanie. Chyba tak, to niezły pomysł. Levi wyprostował się i spojrzał na O'Connella. Istnieje względnie prosty sposób na zniszczenie budynku. Zaczął wystukiwać palcami szybki rytm o blat biurka. - jednak potrzebowałbym odrobiny czasu na przygotowanie szczegółów. O'Connell zgodził się szybko. Dobrze. Odrobina czasu to wszystko, czym dysponujemy. - Zwężyły mu się oczy. - To prowadzi do drugiej kwestii, dla której chciałem pana widzieć. Czy może pan przygotować specjalny oddział kapitana Vaughna na dwudziestego dziewiątego? Niemożliwe. - Levi nie wahał się ani chwili. - Pańscy Rangersi są pojętnymi uczniami, ale nawet oni nie mogą nauczyć się wszystkiego w niecały tydzień. Rozumiem. - Amerykański oficer nie wyglądał na szczególnie zawiedzionego czy zaskoczonego. Spojrzał na leżącą przed nim teczkę. Levi dostrzegł własne nazwisko na okładce. - jest pan, profesorze, rezerwistą armii Izraela, czy tak? Zgadza się. Tak jak każdy mężczyzna w moim kraju. - Levi spojrzał z zaciekawieniem na teczkę. Czyżby Jerozolima przesłała Amerykanom wszelkie informacje o nim? Spadochroniarz? Levi uśmiechnął się i zaprzeczył. Nic aż tak rycerskiego, pułkowniku. jako naukowiec jestem zwolniony teraz od obowiązku czynnej służby, ale jako student nie miałem tyle szczęścia i musiałem spędzić kilka miesięcy w piechocie. Czemu pan pyta? O'Connell przesunął w jego stronę teleks.

- Ponieważ pański rząd powołał pana z powrotem do czynnej służby, profesorze. jutro od 06:00 jest pan przydzielony do mojego batalionu. Levi patrzył w osłupieniu na teleks.

- Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. Teraz O'Connell uśmiechnął się promiennie.

- To całkiem proste, szeregowy Levi. Waszyngton zmienił rozkład jazdy. Lecimy do Pelindaby 29 listopada - tydzień wcześniej, niż Planowaliśmy. ja z kolei potrzebuję eksperta do poprowadzenia specjalnego oddziału. Niestety, sam pan przyznał, że moi żołnierze nie będą gotowi tak szybko do wykonania zadania. Pan będzie moim ekspertem. Levi na chwilę zaniemówił. Rozbawiony oficer wyciągnął do niego rękę.

- Witamy wśród Rangersów, profesorze. - Śmiał się coraz serdeczniej. - Ma pan szczęście, że nauka skakania ze spadochronem nie jest tak skomplikowana, jak nauka składania i rozkładania bomb atomowych.

- **26 listopada - Rada Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria**

Karl Vorster patrzył z wściekłością na bladego ze strachu oficera Sił Powietrznych, który stał przed nim w postawie na baczność.

- Nie jestem zainteresowany pańskim technicznym bełkotem, generale! Chcę wiedzieć, kiedy będziecie gotowi do ponownego ataku! Nic więcej mnie nie interesuje! Oficer wciągnął powietrze i spróbował jeszcze raz wyjaśnić.

- Broń i samoloty mogą być gotowe w ciągu kilku godzin, panie prezydencie. Wybranie celu nie jest już tak prostą sprawą. Oczy Vorstera rzucały błyskawice, ogarniała go furia. Generał Adriaan de Wet rozpoznał niebezpieczeństwo i przyszedł z pomocą swojemu koledze po fachu.

- Panie prezydencie, generał Roefs stara się powiedzieć, że Kubańczycy podejmują kroki mające nam uniemożliwić użycie kolejnej bomby.

- Jakie kroki? - Głos Vorstera był niebezpiecznie spokojny.

- Pozostałe oddziały trzymają się naszych linii obrony tak blisko, jak to tylko możliwe. Ich jednostki pomocnicze pozostają w zdobytych przez nich miastach.

- Więc? De Wet starał się opanować narastające zniecierpliwienie. Trzy z kilku pustych krzeseł w tym pokoju należały kiedyś do osób, które rozgniewały Vorstera w nieodpowiednim momencie. W tej sytuacji nie możemy zaatakować komunistów, nie zabijając przy tym tysięcy naszych ludzi. Nie zyskalibyśmy poza tym żadnej przewagi militarnej. Vorster machnął tylko dłonią i siedział w milczeniu przy końcu stołu. Od czasu do czasu ponurym wzrokiem spoglądał na wiszącą na ścianie mapę sytuacyjną. Nawet gdyby było to technicznie możliwe, nie możemy więcej używać tej broni. - Chudy Frederik Pienaar, minister informacji, odważył się w końcu odezwać. Widział zdjęcia pokazujące rezultaty użycia gazu bojowego przez Kubańczyków. Castro mógłby odpowiedzieć ponownym atakiem chemicznym... może tym razem przeciw naszym miastom. Propaganda i proklamacje nadchodzącego zwycięstwa okazały się daleko odbiegające od rzeczywistości. Vorster zachnął się. Co z tego? Niech komuniści rozpylają swój gaz na miasta pełne *kaffirów*, kulisów i *rooinek* zdrajców! Nasze wojska są rozproszone na płaskowyżu, bezpieczne dzięki odległości. - Wzruszył ramionami. - jeśli nawet niektórzy z nich zginą, to co z tego. Walczymy o przetrwanie całego narodu - a nie o kilka jednostek. Wstał z krzesła i podszedł do de Weta. Ma pan trzy dni, generale, na wybranie odpowiednich celów dla pozostałych bomb. Jeśli nie może ich pan znaleźć w Afryce południowej, to niech pan poszuka gdzie indziej. jeśli nie możemy trzasnąć wroga w twarz, to podetnijmy mu nogi. - Podszedł do mapy i wskazał na port w Maputo, stolicy Mozambiku oraz, lotniska wokół Bulwayo, drugiego co do wielkości miasta w Zimbabwie. Siedzący w pokoju ludzie pobladli. W Maputo było sporo rosyjskich statków, a na pasach startowych Bulwayo znajdowały się rosyjskie samoloty. Zrzucenie bomby na któreś z tych miast oznaczało zabicie setek Rosjan i tysięcy albo dziesiątek tysięcy Murzynów. Vorster uciszył ich gestem ręki. Uderzymy 30 listopada. Tym razem dwie bomby. Następnego dnia cztery bomby. - Ponownie poczerwieniał, walnął pięścią w stół i wrzasnął: - Będziemy grzmocili tych komuchów, aż zaczną uciekać w popłochu z naszego kraju!

## • 27 listopada - lotnisko Wideawake, Wyspa Wniebowstąpienia

Profesor Esher Levi wyszedł, mrużąc oczy, z ciemnego wnętrza amerykańskiego C-141 *Starlifter* w pełne słońce. Przez chwilę patrzył na dziki, niegościnnie krajobraz, zanim zaczął sztywno i niezręcznie schodzić po rampie. Jego pierwsze wrażenia z powietrza potwierdziły się: Wyspa Wniebowstąpienia okazała się: kawałkiem piekła o powierzchni sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych, położonym pośrodku

Atlantyku. Cała wyspa była pokryta poszarpanymi, czarnymi lub szarymi skałami wulkanicznymi i popiołem. jedyną miłą odmianą był mały las tropikalny na szczycie góry wznoszącej się nad lotniskiem. Zewsząd dochodził nieustanny szum i łoskot długich fal rozbijających się o skaliste wybrzeże. Potworny huk lądującego samolotu zagłuszył dźwięk fal. Levi obrócił się i patrzył, jak kolejny C-141 podchodzi do lądowania, opada na płytę w kłębach czarnego dymu spod kół i mija ich z rykiem silników. Starlifter zakręcił na boczny pas i stanął obok pozostałych dziewięciu samolotów. Zespoły mechaników i cysterny z paliwem już spieszyły spotkanie kolejnego przybysza. jedyne bogactwo wyspy - lotnisko z pasem startowym o długości 3.800 metrów - znowu wykazało swoją przydatność. Wyspa była wykorzystywana przez Brytyjczyków jako obszar ostatecznych przygotowań do wojny o Falklandy. Obecnie miała służyć w podobnym celu Rangersów przed atakiem na Pelindabę.

- Uwaga profesorze, niebezpieczny ładunek. Odsunął się na bok, gdy grupa ciężko obciążonych Rangersów zaczęła schodzić, kierując się do hangarów wyznaczonych na tymczasowe kwatery dla batalionu. W czarnych beretach i z olbrzymimi tobołami na plecach - z bronią osobistą, amunicją, granatami, dodatkowymi ładownicami z amunicją do karabinków szturmowych, apteczkami osobistymi, manierkami i wszystkim, co kwatermistrzostwo uznało za niezbędne w walce - wyglądali jak obciążone muły. Zmęczeni całonocnymi i nocnymi ćwiczeniami Rangersi wyglądali na wykończonych przez dziesięciogodzinny lot w ciasnych samolotach. Patrząc na ich zatroskane, umęczone twarze, Levi zrozumiał, dlaczego major O'Connell domagał się, aby komandosi spędzili cały dzień na wyspie tylko odpoczywając. Obolałe mięśnie i siniaki nie pozwalały izraelskiemu naukowcowi zapomnieć o ostatnich dwóch dniach wypełnionych ćwiczeniami. Instruktor skoków batalionu dał mu bezlitosny, przyśpieszony kurs skakania ze spadochronem. Major O'Connell zgodził się jednak na próbę skoku z prawdziwego samolotu obawiając się, że profesor może doznać obrażeń. Nawet zwichnięta kostka wykluczyłaby go z akcji. Levi wzdrygnął się. Skakanie z samolotu w biały dzień wydawało się dostatecznie niebezpieczne. Skakanie w nocy, bez prawdziwych ćwiczeń, przypominało skok samobójcy. Nauczyciel nie okazał mu należytego współczucia.

- Musi pan znać to wszystko na pamięć, panie Levi - powiedział mu na kursie sierżant - ponieważ ekspert, który skręci sobie kark w czasie skoku, nie jest więcej ekspertem i nie ma z niego pożytku. - No cóż, miał facet cholerną rację, pomyślał kwaśno. Amerykanom zależało, żeby przynajmniej mógł zidentyfikować bomby i przygotować je do wysyłki, dlatego musiał przeżyć choć początek akcji. Spostrzegł O'Connena idącego ze swoim przełożonym w stronę wieży kontrolnej. Amerykański oficer skinął głową, zgadzając się najwidoczniej z opinią dowódcy, ale jego twarz miała niepokojący wyraz. Levi pomyślał, że starszy mężczyzna musi być tym pułkownikiem Gellerem, o którym tyle słyszał. Więc to jest ich dowódca pułku. Zrozumiał nagle, dlaczego O'Connell kontroluje swoje uczucia. Mimo iż to właśnie on spędził całe tygodnie na przygotowaniu batalionu, Geller miał widocznie zamiar objąć dowództwo i osobiście poprowadzić całą akcję. Levi zdziwił się, nie po raz pierwszy zresztą. Amerykańskie podejście do kwestii dowodzenia było zupełnie odmienne. W Izraelu prowadzenie ważnej operacji zawsze było zostawiane w rękach dowódcy oddziału. Była to najlepsza gwarancja zwycięstwa w zamieszaniu bitewnym. W armii amerykańskiej niektórzy oficerowie traktowali bitwę jako najlepszą drogę do robienia dalszej kariery. Walka była czymś, co należało kiedyś przejść i szybko o tym zapomnieć. Wzruszył ramionami. Izraelskie wojsko też miało swoje słabości. Na szczęście, nie one zagrażają jego życiu w najbliższych czasach. Pokrzepiony tą myślą Levi podniósł swój niewielki bagaż i ruszył w stronę hangaru, który miał być jego domem przez następny dzień. Mimo ogromnego zmęczenia miał wrażenie, że nie

udałoby mu się teraz zasnąć. Z budynku przylotów wyszedł mocno opalony mężczyzna w tropikalnym ubraniu i ruszył na jego spotkanie. Profesor Levi? Levi zatrzymał się. Rozpoznał akcent mężczyzny i odpowiedział po hebrajsku. Zgadza się. Moje nazwisko Eisner. Jestem pracownikiem naszej ambasady w Waszyngtonie. Mam panu do przekazania kilka rutynowych wiadomości z domu. Czy możemy porozmawiać na osobności? Rutynowe wiadomości? Levi nie dał się nabrać ani przez chwilę. Widział zbyt wielu ludzi patrzących tak przenikliwie, jak ten mężczyzna, żeby ich nie rozpoznać. Dyplomaci nigdy nie byli w tak doskonałej kondycji fizycznej i tak wyraźnie pozbawieni humoru. Jednak co Mossad, wywiad Izraela. mógł chcieć od niego? Miał wrażenie, że odpowiedź nie przypadnie mu do gustu.

### • **USS „Carl Vinson”, Ocean Indyjski**

Normalny gwar rozmów, dowcipów i plotek ucichł jak ucięty nożem. Do pokoju wszedł kontradmirał Andrew Douglas Stewart. Nawet lotnicy nie ośmielali się zignorować admirała. Stewart skinął głową i zajął miejsce na podium. Rzucił spojrzenie na rzędy nagle poważnych twarzy, a młodzi ludzie mogli udawać, że niczym się nie przejmują, ale każdy z nich wiedział, co się szykuje. Wszystkie oznaki na to wskazywały. Przede wszystkim, fakt, że "Vinson" i jego eskorta stali od dwóch tygodni o niecałe dwieście mil od wybrzeży Afryki Południowej. Po drugie. Żołnierze przeszli w tym czasie serię coraz trudniejszych i bardziej realistycznych ćwiczeń. W końcu, wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym były dokładnie kontrolowane. Wniosek mógł być tylko jeden: Waszyngton musiał już podjąć decyzję o skierowaniu okrętu do walki. Mieli włączyć się do wojny, w której jedna strona bez najmniejszych skrupułów użyła już broni jądrowej.

- Dobry wieczór, panowie. - Stewart zwracał się do znajdujących się w pokoju pilotów i oficerów lotnictwa wiedząc, że kamery przekażą obraz pozostałym żołnierzom znajdującym się w różnych pomieszczeniach na olbrzymim lotniskowcu. - Postaram się przejść od razu do sedna sprawy. Dowódcy dywizjonów i oficerowie operacyjni wyjaśnią później wszelkie szczegóły. Dał znak szefowi sztabu i od razu przygasły światła.

- Mam was zapoznać z ważnymi zadaniami podczas ataku na ośrodek nuklearny w RPA. W pomieszczeniu znowu dały się słyszeć podniecone szepty rozmów, jeden z adiutantów włożył zdjęcie z mapą do przygotowanego epidiaskopu. Widać było na niej mnóstwo czerwonych linii koncentrujących się na Pretorii. Większość z nich wybiegała u z małego punktu oznaczającego pozycję "Vinsona". Jednak jedna z linii przechodziła przez całą Afrykę Południową - rozpoczynając się z punktu na Atlantyku. Napis w ramce oznaczał, że jest to droga lotu transportowców Sił Powietrznych wiozących 1 Batalion Rangersów i część 160. Pułku Kawalerii Powietrznej. Do rozpoczęcia DZIELNEJ FORTUNY brakowało trzydziestu czterech godzin.

### • **61. Batalion Strzelców Transwalskich, Pelindaba**

Pułkownik Frans Peiper stał nieruchomo przez kilka chwil, obserwując wznoszące się i opadające łopaty. Jego żołnierze przyjęli prawdziwie szaleńcze tempo, żeby dokończyć budowę fortyfikacji ośrodka. Od czasu wyznaczenia Pelindaby na ośrodek badań jądrowych i magazyn bomb atomowych teren był otoczony zasiekami drutu i gęsto rozstawionymi posterunkami. Obecnie ośrodek przypominał fortecę. Okopy - trzydzieści metrów od granicy drutu kolczastego - otaczały całe centrum badawcze, łącząc ze sobą dwadzieścia dwa betonowe bunkry. Każdy z bunkrów mógł pomieścić wzmocniony pluton piechoty i z łatwością wytrzymać ostrzał z moździerzy. Na zewnątrz zasieków tworzono w pośpiechu pola minowe. Miały one skierować

atakujących Kubańczyków na odpowiednio wybrane pola ostrzału. znajdujące się w zasięgu karabinów maszynowych i moździerzy batalionu. Na przedpolu drutów kolczastych ustawiono także wozy bojowe. Głównie Rooikaty. Na wschodnim końcu ogrodzonego terenu gęstsze rzędy drutu otaczały zakamuflowane wzgórki - bunkry. w których składowano bomby, Z północy na południe biegł dodatkowy okop, wzmacniając obronę magazynów broni jądrowej i oddzielając je od głównego kompleksu budynków wraz z pasem ogrodów skalnych. Ten otwarty teren na zachód od okopu, znajdował się pod ostrzałem stanowisk 120- milimetrowych i 60- milimetrowych moździerzy. Wśród skałek ogrodów i drzew widać było wysokie ściany worków z piaskiem które chroniły cztery wyrzutnie przeciwlotnicze Cactus. Pułkownik, przywieziono sprzęt ochrony przeciwgazowej. Peiper odwrócił się. jego adiutant, kapitan van Daalen, wskazał Kolumnę pięciotonowych ciężarówek, które podjeżdżały do budynku dowództwa. Doskonale. kapitanie. Kiedy kompanie wrócą z robót, niech każda pobierze swój przydział. Proszę poinformować dowódców, planuję pierwsze ćwiczenia w obronie przeciwchemicznej na dziś wieczór. Van Daalen zsalutował i pospieszył wykonać rozkaz. Peiper patrzył na niego jeszcze przez chwilę wiedząc. że rozkaz ten będzie przyjęty z powszechnym niezadowoleniem. Maski gazowe, kaptury, rękawice, kombinezony i buty potrzebne do ochrony były niewygodne, ciężkie i okropnie krępowały ruchy. Co gorsza, uwięzione w nich ciało pociło się nieznośnie nawet przy niskiej temperaturze. Pułkownik nie przejmował się tym, co myślą i czują jego żołnierze. Uczyla się tylko jedna rzecz: odrzucenie nieuniknionego kubańskiego ataku na południowoafrykańskie magazyny broni atomowej. Peiper odwrócił się i ruszył w stronę chłodnego bunkra dowodzenia. Kubańczycy mogli teraz zaatakować niemal w każdej chwili. jednak sługusy Castro z pewnością najpierw zechce, ostrzelać ośrodek pociskami chemicznymi. No cóż, jego ludzie są gotowi do walki. Pułkownik uśmiechnął się zjadliwie. Kiedy komuniści i ich zdradzieccy pomocnicy zaatakują wzgórze spodziewając się, że większość obrońców jest martwa lub niezdolna do walki, znajdą się pod ciężkim ostrzałem z karabinów maszynowych i moździerzy. Zwycięstwo nie będzie trudne. Zszedł po schodach do wnętrza obszernego bunkra. już nawet nie próbował skrywać coraz większej nienawiści pod maską zimnego uśmiechu.

## • 28 listopada - lotnisko Wideawake, Wyspa Wniebowstąpienia

W hangarze było około tysiąca ludzi. Zielona szminka kamuflująca zamazała indywidualne cechy twarzy, ale nie potrafiła ukryć nastroju niecierpliwego oczekiwania. Major Robert O'Connell, stojący na niskiej platformie, zauważył ruch przy drzwiach wejściowych. Widocznie Geller już wracał z ośrodka łączności. Wyprostował się, czując dreszcz emocji i podał komendę: - Baaaczność! Pułkownik szybko przeszedł przez ich szeregi i wszedł na podium. Oczy błyszczały mu podnieceniem, gdy skinął majorowi głową. Odwrócił się do batalionu.

- Spocznij! Przez hangar przeszedł szmer. Pułkownik Geller wyjął z kieszeni niedużą kartkę i podniósł ją tak, aby zobaczyć ją każdy żołnierz.

- Sygnał nadszedł z Waszyngtonu pięć minut temu. DZIELNA FORTUNA otrzymała zielone światło. Wyruszamy w nocy - zgodnie z planem. O'Connell poczuł, że napięcie stopniowo ustępuje, gdy akcja stała się już nieodwołalną rzeczywistością. Nikt nie był pewny, czy Waszyngton rzeczywiście zdecyduje się na tę akcję, a niepewność była najgorszym elementem oczekiwania. Od tej chwili los każdego żołnierza nie znajdował się już w rękach nie znanych polityków i generałów, ale zależał od przypadku i umiejętności bojowych każdego z nich. W tej formie było to łatwiejsze do zaakceptowania. Geller zniżył rękę i patrzył na setki pomazanych szminką twarzy. Zanim major O'Connell przejdzie do rozkazów operacyjnych, chcę wam powiedzieć

tylko jedną rzecz. Chcę wam powiedzieć, że jestem dumny, iż mogę walczyć z wami. Cholernie dumny. - Zasalutował wszystkim Rangersom w hangarze. Pułkownik opuścił rękę i odwrócił się do swego zastępcy. Majorze, należą do pana. Zgadza się. Przynajmniej dopóki nie wylądujemy, pomyślał O'Connell. Podeszedł do brzegu platformy. Dwóch żołnierzy ustawiło za nim olbrzymią mapę. Kółka, strzałki i kropkowane linie oznaczały strefy zrzutu, cele i linie podejść. Obrócił się do mapy, czując na sobie spojrzenie tysiąca par oczu. Jutro o 01:00, kompanie Alfa, Bravo i Charlie zaatakują kolejne cele w Republice Południowej Afryki... O'Connell wiedział, że wszyscy jego ludzie znają na pamięć plan operacyjny. Niektórzy pewnie mogliby powtórzyć całość słowo w słowo. Nie zaszkodzi jednak przypomnieć wszystko dla pewności. Desant spadochronowy w nocy był uosobieniem chaosu: serie z pociskami smugowymi, eksplozje i martwi Rangersi zaplątani w linki spadochronów. W takim zamieszaniu było niezmiernie ważne, aby każdy z nich wiedział, co ma robić w danej chwili. Skończywszy szybciej, niż oczekiwał, O'Connell opuścił ostatnią mapę i odwrócił się do batalionu. To wszystko, panowie. Ciężko wszyscy pracowaliśmy nad tą operacją. Teraz jesteście dobrze przygotowani. Zniżył głos tak, aby każdy żołnierz musiał słuchać uważnie. To nie będzie łatwe zadanie. Możecie też być pewni, że nie będzie to bezkrwawa przejażdżka. Musicie jednak pamiętać, że ta operacja ma strategiczne znaczenie. Kiedy skończymy, ci afrykanerscy dranie będą długo pamiętać, kto ich tak urządził. Zdjął beret z głowy i podniósł go do góry, jego głos nabrał mocy

- Kto to będzie? Odpowiedź zagrziała echem po hangarze, wykrzyczana przez tysiąc gardeł.

- Rangersi! Rangersi! Rangersi! O'Connell uśmiechnął się. Pozwolił im krzyczeć jeszcze przez kilka sekund i następnie podniósł rękę, uciszając wszystkich.

- Pierwszy batalion siedemdziesiątego piątego pułku, załadować się do samolotów! W ciągu kilku sekund kompanie i plutony zmieniły się w kolumny - każda kierująca się do jednego z dziesięciu samolotów transportowych C-141, które czekały na stojankach. DZIELNA FORTUNA rozpoczęła się.

## **30**

### **Dzielna Fortuna**

- **28 listopada - na pokładzie Sierra Jeden Zero nad Południowym Atlantykiem, niedaleko wybrzeży Angoli**

*MC-141 Starlifter* Sierra Jeden Zero, leciał w kierunku Afryki Południowej na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, wśród s/tucznej konstelacji mrugających światel pozycyjnych. Te przed nim i nieco wyżej należały do czterech potężnych tankowców *KC-10*. Światła za nim i po obu bokach należały do czterech towarzyszy Sierra Jeden Zero.

- Pompowanie skończone - odezwał się głos z tankowca. Przyjąłem. - Pilot samolotu, pułkownik Sił Powietrznych, spojrzął na przyrządy.
- Powodzenia i dajcie im popalić! Bez odbioru. Akcja wprawdzie miała się odbywać w warunkach ścisłej ciszy radiowej, ale odłączony właśnie wąż doprowadzający paliwo pozwalał także na bezpośrednie połączenie interkomem. Pułkownik delikatnie zmniejszył prędkość i patrzył, jak olbrzymi tankowiec się oddala. Zadowolony z manewru rozdzielenia się skierował łagodnie *MC-141* w prawo i zajął miejsce na czele formacji. Przesunął manetkę do przodu słysząc, jak ryk czterech silników samolotu natężył się. Wrócili do normalnej prędkości tysiąca kilometrów. W czasie tankowania obowiązywała prędkość sześciuset kilometrów. Pięć transportowców leciało w zwartej formacji, z *MC-141* Specjalnych Operacji na przedzie i czterema standardowymi *Starlifterami* z tyłu. *MC-141*, wykorzystywane do misji penetracyjnych i dalekim zasięgu, miały na swoich pokładach niemal cały sprzęt elektroniczny używany w lotnictwie: specjalne radary do śledzenia rzeźby terenu przy lotach na niskich wysokościach, podczerwone kamery i systemy zagłuszające pracę radarów przeciwnika. Jeśli będą miały trochę szczęścia, powinny doprowadzić skromniej wyposażone *C-141* do Pelindaby. Tankowce zmieniły kurs i zawróciły, lecąc w stronę Wyspy Wniebowstąpienia, prawie tysiąc sześćset kilometrów na zachód, gdzie same będą mogły uzupełnić paliwo. Pilot nacisnął guzik interkomu.
- Majorze?
- Tak, pułkowniku? - Major Robert O'Connell odpowiedział natychmiast ze swojego miejsca w załoczonej ładowni.
- Nabraliśmy paliwa i lecimy dalej. Za dwadzieścia minut znajdziemy się nad wybrzeżem.
- Dziękuję, przekażę dalej. Pułkownik Sił Powietrznych słyszał napięcie w głosie dowódcy batalionu Rangersów. Pięć *C-141* leciało dalej na wschód, wysoko nad grubą warstwą chmur. Kilka kilometrów za nimi podobną operację przeprowadzało pozostałe pięć *Starlifterów* z 2. Batalionem Rangersów na pokładzie.

### • **USS "Carl Vinson", Ocean Indyjski**

- Kontradmirał Andrew Douglas Stewart stał na mostku i patrzył, jak katapulty wyrzucają w noc samolot za samolotem. *F-14 Tomcat*, bombowce *A-6 Intruder*, myśliwsko-szturmowe *F/A-18 Hornet* i samoloty przeciwdziałania elektronicznego *EA-6B Prowler* wzbijały się w powietrze i po chwili w ciemnościach widać było jedynie ich pomarańczowo płonące dysze. Inne samoloty czekały na bocznym pasie na swoją kolejkę. Wysoko świeciły światła nawigacyjne samolotu kontroli obszaru.
- Admirale? Stewart obrócił się do czekającego porucznika. - Tak.
  - Waszyngton na bezpiecznej linii, sir. Stewart minął go i wszedł do pomieszczenia nawigacyjnego. Prawie wszyscy oficerowie pochylali się nad stołem i tylko kilku najbliższych skinęło głowami. Podszedł do czerwonego telefonu i wziął słuchawkę z rąk oficera łączności.
  - Stewart, słucham. Mimo faktu, że jego głos był najpierw kodowany w komputerze, następnie przekształcony w sygnał radiowy, wysłany do satelity i w końcu, po zdekodowaniu w kolejnym komputerze, odebrany w Pentagonie, nie było wyczuwalnych opóźnień w rozmowie. Usłyszał delikatne zaciąganie generała Hickmana. Polecenie przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów było wyjątkowo zwięzłe.
  - Oddział Sierra osiągnął punkt Yankee. Wykonać Fazę Drugą. Stewart także nie przeciągał rozmowy.
  - Przyjąłem. Koniec odbioru. - Odłożył słuchawkę. Jego wyobraźnia powędrowała ku oddziałowi Sierra – samolotom *C-141*, które transportowały Rangersów do Pelindaby.



Punkt Yankee był miejscem nad kotłnią na Pustyni Kalahari, gdzie formacja sił powietrznych miała rozpocząć ostre zejście z korytarza rosyjskich samolotów transportowych. Poniżej wysokości dwustu metrów i znacznie poniżej strefy działania południowoafrykańskich naziemnych stacji radarowych C-141 zwrócić się na południowy wschód, w stronę ośrodka badań atomowych w Pelindabie. Admirał podniósł słuchawkę telefonu okrętowego.

- Grupa Lotnicza Lotniskowca? Mówi Stewart. Wykonać Przyszpilenie. - W słuchawce usłyszał, jak dowódca dywizjonu wydaje polecenie pilotowi prowadzącemu grupę uderzeniową, która znajdowała się już w powietrzu. Włączyli się do akcji.

- **29 listopada – na pokładzie Sierra Jeden Zero, na północ od Rustenburga, RPA**

Pilot Sierry Jeden Zero nieustannie przenosił wzrok z monitora radaru śledzącego rzeźbę terenu na instrumenty pokładowe, następnie na migające nisko pod samolotem wzgórza i łąki. Jego ręce spoczywały na drążku sterowym. Mimo wentylacji po czole pilota ściekały strużki potu. Pilotowanie potężnego, czterosilnikowego odrzutowca zaledwie sto metrów nad ziemią wymagało nieustannej maksymalnej koncentracji. Jedna chwila nieuwagi mogła skończyć się tragicznie dla stu pięćdziesięciu żołnierzy na pokładzie.

- Punkt Zulu. - Drugi pilot podniósł wzrok znad mapy komputerowej.

- Zrozumiałem. - Pułkownik zmniejszył prędkość, mając nadzieję, że lecący za nim piloci pozostałych czterech samolotów zwracają uwagę na miejsce w szyku.

- Powiadom naszych pasażerów. Drugi pilot Sierry Jeden Zero nacisnął guzik interkomu. Nad tylną rampą *Starliftera* rozbłysła czerwona żarówka. Major Robert O'Connell wstał ze swojego miejsca w chwili, gdy zarządzający skokami oficer krzyknął na całe gardło:- Pięć minut! Wstać i umocować zaczepy! Rangersi z Kompanii Bravo wstali i podczepili zaczepy do linki biegnącej przez całe pomieszczenie pasażerskie. Błady na twarzy profesor Levi poszedł w ich ślady. O'Connell i kilku innych oficerów szło wzdłuż szeregu żołnierzy, sprawdzając zaczepienia. Ogłuszający ryk silników *Starliftera* zaczął słabnąć; samolot zwolnił do prędkości odpowiedniej dla skoków.

- **Północny sektor obrony przeciwlotniczej, na wschód od Johannesburga**

Sierżant Południowoafrykańskich Sił Powietrznych ziewnął kilka razy żałując, że nie może wyrwać się na kubek kawy i papierosa. Nocna służba przy radarze była zawsze śmiertelną nudą. W ostatnich czasach ani Kubańczycy, ani jego własne dowództwo nie mieli ochoty na nocne akcje. Obie strony straciły już zbyt wiele maszyn w nalotach na strategiczne i taktyczne cele nieprzyjaciela. Pochylił się, żeby przyrzeć się ekranowi radaru i jego twarz przybrała zielonkawy kolor od poświaty monitora. Jedynie na obrzeżu widać było kilka świecących punktów, które oznaczały rosyjskie samoloty transportowe, przewożące ludzi i sprzęt do Zimbabwe i Mozambiku. Mniejsza liczba punktów bliżej centrum oznaczała południowoafrykańskie samoloty transportujące żołnierzy z frontu w Namibii. Sierżant zdecydował, że i tak ma szczęście, że coś się dzieje. Południowoafrykańska sieć radarowa, która już przed wojną była przestarzała, teraz znajdowała się w opłakanym stanie. Mafikeng, miejsce jednej z trzech stałych stacji przekaźnikowych, został zajęty przez Kubańczyków. Ellisras, stacja położona najdalej na północ, miała małe szanse na utrzymanie się przez następne dni. Na ekranie pokazał się nagle duży

punkt - blisko centrum, tuż obok Pretorii - i znikł równie szybko, jak się pojawił. Co do cholery? Czyżby jakiś ustalony lot, o którym zapomniał? Może sprzęt zaczyna płać figle? Sierżant zaczął szybko wertować dziennik raportów, patrząc jednym okiem w monitor. Nagle pojawiły się kolejne punkty, tym razem nadlatujące ze wschodu. Samoloty leciały z dużą prędkością. Wyteżył wzrok, starając się je policzyć. Pięć. Dziesięć. Ponad dwadzieścia samolotów pojawiło się znikąd! jego oczy rozszerzyły się. Odwrócił gwałtownie krzesło.

- Poruczniku!

- **prowadzący EA-6B Prowler, na południowy wschód od Johannesburga**

Szesnaście kilometrów za dywizjonami bojowymi A-6 i F-18 samolot przeznaczony do walki elektronicznej EA-58 Prowler skakał do góry i opadał, podrzucany zawirowaniami powietrza. Z ciemności wyłaniały się krawędzie pasm górskich i dolin by zaraz ponownie zniknąć w mroku. Lot na niskiej wysokości z prędkością tysięcy kilometrów na godzinę nie zostawiał czasu na podziwianie krajobrazów, jeden z dwóch oficerów siedzących za plecami pilota i nawigatora słuchał serii tonów i jednocześnie obserwował wskazówkę wskaźnika sygnału przesuwającą się do góry. Oficer odezwał się do interkomu:- Curt, namierzył nas radar.

- Zgadza się. - Pilot przerwał ciszę radiową. - Prowadzący Tiger, tu prowadzący Prowler. Wiedzą, gdzie jesteście. Wkraczamy do akcji. Przełączył się na interkom.

- Dobra, chłopaki, bierzemy się do roboty. Wyłączcie tych drani. Dwóch oficerów dotknęło przełączników, uruchamiając system AIQ 99 umieszczony w zasobniku pod kadłubem, w celu zagłuszenia południowoafrykańskiego radaru kontroli przestrzeni.

- **Północny sektor obrony przeciwlotniczej**

- A niech to szlag! - Punkty na ekranie radaru znikły w chaosie jasnozielonych plam i szerokich linii zakłóceń. Sierżant zaczął pospiesznie przełączać się na inne częstotliwości, ale bez skutku. Wszędzie to samo. Po kilku nieudanych próbach przestał zmieniać częstotliwości i spróbował zmniejszyć zasięg radaru. Ponownie zaklął. Diabły znajdowały się poza zmniejszonym zasięgiem radaru. Wiedział, że nad Afryką Południową lecą Wrogie samoloty, ale nie mógł określić, ile ich jest, gdzie się znajdują i co ważniejsze, dokąd się kierują. Patrzący mu przez ramię porucznik zbladł i sięgnął po czerwony telefon stojący koło konsoli radaru.

- Połączcie mnie natychmiast z Trzecim Dywizjonem!

- **Na pokładzie Sierra Jeden Zero, nad Pelindabą**

Major Robert O'Connell wziął głęboki oddech, zatrzymał na chwilę powietrze w płucach i wypuścił, starając się opanować w tej ostatniej minucie lotu. Dosłownie ostatniej, pomyślał, Do strefy zrzutu na pewno nie pozostało więcej czasu.

Strefa zrzutu była jednym z poważniejszych problemów. Wymóg całkowitego zaskoczenia nie pozwalał na użycie reflektorów do jej oznaczenia. W rezultacie, samolot transportujący żołnierzy musiał polegać jedynie na danych przekazywanych Przez satelity systemu nawigacyjnego NAVSTAR. Fachowcy twierdzili, że NAVSTAR działa z dokładnością do jednego metra i O'Connell miał cholerną nadzieję, że się nie mylą. Zachwiał się i oparł o ścianę, gdy MC-141 zaczął się ostro wznosić do góry. Samolot musiał wejść na pułap dwustu pięćdziesięciu metrów, żeby mogli

skakać. Teraz to już tylko sekundy. O'Connell zauważył, że powtarza modlitwę zapamiętaną z dzieciństwa: "Święta Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą..... Samolot wyrównał i otworzyła się rampa w tyle kadłuba. Do wnętrza wdarło się chłodne nocne powietrze i ryk silników. Kolorowe światełka na niebie wskazywały pozycję innych samolotów. Czerwona lampa nad drzwiami zamrugała i zmieniła barwę na zieloną.

- Skakać! Skakać! Skakać! Automatyczne reakcje, wyrobione przez tysiące godzin ćwiczeń i przygotowań, zastąpiły świadome działanie. Rangersi wybiegali przez rampę i rzucali się w ciemność. Pięć samolotów C-141 zrzuciło nad Pelindabą setki spadochroniarzy.

- **Bunkier dowodzenia. 61. Batalion Strzelców Transwalskich. Pelindaba**

Pułkownik Frans Peiper przewrócił filiżankę z kawą, pospiesznie sięgając po słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Dowódca Pelindaby. Nie rozpoznał spanikowanego głosu na drugim końcu linii.

- Alarm przeciwlotniczy! To nalot!

- Co takiego? Ryk silników olbrzymiego samolotu, który przelatywał im nad głową, zagłuszył odpowiedź. Peiper rzucił słuchawkę i podbiegł do jednego z otworów strzelniczych bunkra, wysilając wzrok, żeby dostrzec samoloty. Tam! Nad bunkrem przeleciało coś wielkiego i czarnego - bardziej cień niż wyraźny kształt. Samolot zniknął za wschodnim końcem wzgórza. Jezu! Zaatakowano nas! Obrócił się i drżącą ręką nacisnął guzik alarmowy. Nad kompleksem Pelindaby rozległy się przeraźliwe jęki syren, które mogłyby obudzić nawet zmarłych. W tym wypadku chodziło raczej o dwie trzecie batalionu, które spokojnie spało w barakach. Jednocześnie potężne reflektory skierowały w niebo ostre smugi, uniemożliwiając bombowcom znalezienie łatwego celu.

- **1. Batalion Rangersów**

Ponad pięciuset żołnierzy z dwóch kompanii oraz oficerowie sztabu opadali wolno na ośrodek badań jądrowych i bunkry, w których składowano bomby. Dla niektórych akcja właśnie się 'skończyła i to tragicznie. Trzej Rangersi, którzy pierwsi wyskoczyli z prowadzącego samolotu, wylądowali zbyt daleko na zachód - dokładnie na polu minowym. Jeden dosięgnął ziemi tuż przy minie i przeturlał się po niej, ginąc na miejscu. Dwaj pozostali poranieni ciężko odłamkami leżeli teraz nieprzytomni tuż obok nieprzyjacielskich pozycji. Wielu opadło na ogrody skalne ośrodka, doznając poważnych obrażeń. Sierżant kompanii Charlie opadł koło jednego z budynków siłowni i uderzył głową o stalowy słup trakcyjny. Siła uderzenia złamała mu kark i jego ciało zawisło 12 metrów nad ziemią. Inne grupy Rangersów nie miały również szczęścia. Sześciu ludzi wylądowało na otwartym terenie - mniej niż .1. dziewięć metrów od pozycji mózdzierza. Wypłatywali się z linek, gdy zasypał ich grad pocisków z broni automatycznej. Czterej inni znaleźli się w samym środku drużyny południowoafrykańskiej piechoty, która patrolowała okolicę. W ciemnościach rozległy się strzały karabinków R4 i M16. Po chwili wszyscy Amerykanie i trzech południowoafrykańskich żołnierzy byli martwi. Jeden z Rangersów nosił na kieszeni munduru srebrne insygnia pułkownika. Paul Geller, dowódca 75. Pułku rangersów, wykonał ostatni skok w życiu. Major Robert O'Connell dotknął ziemi na zgiętych nogach i przetoczył się na plecy. Jego ręce szukały pospiesznie zamka uwalniającego go od uprząży spadochronu. Lekki wiatr szarpał jego spadochronem, grożąc ściąganiem go na otwarty teren przed bunkrami, w których zmagazynowano

bomby. Udało się! Otworzył klamrę i uwolnił się z pasów podtrzymujących spadochron. Podniósł się na kołana i usiłował zorientować się, gdzie jest. Większa część wzgórze znajdowała się w ciemnościach, ale było dostatecznie jasno, żeby rozpoznać linię okopów biegnącą mniej niż dwadzieścia metrów od niego. Dobrze. Rów strzelecki był doskonałą ochroną, jeśli tylko udałoby mu się dostać do niego nie zauważonym. Rów biegł z północy na południe, oddzielając obszar bunkrów-magazynów od reszty ośrodka. Niedaleko lądowali kolejni żołnierze. Z bliskiej odległości rozległy się strzały ręcznych karabinów maszynowych, wyrывая kępki trawy i piachu. Dwóch Rangersów, którzy właśnie usiłowali się wydostać z płataniny spadochronów, padło z jękiem. O'Connell rzucił się na ziemię. Jego żołnierze potrzebowali osłony - jakiegokolwiek osłony - albo zostaną zmasakrowani. Wyrwał granat dymny z pasa. wyszarpnął zawleczkę i rzucił go w kierunku najbliższego bunkra. Inni żołnierze, którym również udało się bezpiecznie wylądować, poszli w jego ślady. Szybkie użycie zasłony dymnej mogło ocalić życie wielu żołnierzy. Każdemu Rangersowi polecono na odprawie, że w razie zdemaskowania powinien zaraz po wylądowaniu rzucić granat dymny. Im więcej dymu, tym więcej zamieszania. im więcej zamieszania, tym lepiej dla spadochroniarzy. Białe smugi dymu zaczęły wirować i unosić się w górę, tworząc lekką mgłę, która szybko gęstniała. w miarę jak coraz więcej żołnierzy rzucało granaty. Pociski karabinów maszynowych Południowoafrykańczyków przesywały na chybił trafił zasłonę dymną i coraz więcej Rangersów było rannych lub ginęło na miejscu.

- Cholera! - O'Connell zaczął się czołgać w stronę okopu, trzymając w rękach *M16*. Spadochroniarze, którzy wylądowali obok niego, podążyli za nim, niektórzy ciągnąc rannych kolegów. Wyglądało na to, że jego batalion tracił ludzi. zanim jeszcze rozpoczęła walkę.

#### • **Bunkier dowodzenia, 61. Batalion Strzelców Transwalskich**

Peiper patrzył przez wąskie szczeliny otworów strzelniczych, starając się zorientować w rozwoju sytuacji. O co tu, do cholery, chodzi? jeśli to był nalot. to dlaczego nie zrzucają bomb? Jeśli nie ma nalotu. to po co, u diabła. strzelają jego żołnierze? Zobaczył za laboratoriami i zakładem wzbogacania uranu pierwsze smugi białego-szarego dymu unoszącego się nad ziemią, które pomału zbliżały się do jego bunkra. Peiper oczekiwał kubańskiego ataku i tego, że Kubańczycy użyją broni chemicznej. Cofnął się o krok i potrząsnął młodą, zaspaną porucznikiem.

- Ogłosić alarm przeciwgazowy!

- Przeciwgazowy? Peiper odepchnął oficera i podbiegł do kontrolki alarmowej.

Nacisnął odpowiedni klawisz i rzucił się w poszukiwaniu własnego kombinezonu.

Syreny oznajmiające alarm przeciwlotniczy umilkły, a w ich miejsce usłyszano wysokie dźwięki alarmu przeciwgazowego. W drewnianych barakach, rozrzuconych po całym wzgórzu, kilkuset właśnie obudzonych żołnierzy porzuciło karabiny i hełmy.

które chwycili po usłyszeniu alarmu przeciwlotniczego i zaczęło przywdziewać stroje ochronne. Zanim będą mogli się przyłączyć do bitwy, miną co najmniej dwie, trzy minuty. Pułkownik Frans Peiper właśnie ofiarował Rangersom tak potrzebny im czas.

#### • **Punkt dowodzenia, 1. Batalion Rangersów**

O'Connell przykucnął przy ścianie okopu i patrzył na grupkę zdyszanych i zdenerwowanych żołnierzy. Wyglądało, że lądowanie przeżyło więcej ludzi, niż sądził na początku. Nawet profesor Levi wyszedł z tego jedynie ze zwicniętą kostką. Weisman! Radiooperator precyzyjnie się między żołnierzami. O'Connell wyjął od niego

słuchawkę. Sierra jeden Zero, tu Rover Jeden - Jeden. ATLAS, powtarzam ATLAS. - Krążące wysoko *MC-141* przekażą dalej wiadomość, że Rangersi znajdują się na ziemi i przystępują do ataku. Czekaający na wiadomości ludzie w Białym Domu i Pentagonie będą mogli umieścić kilka nowych szpilek na mapach. Oddał radiooperatorowi słuchawkę i przez chwilę słuchał odgłosów walki. Wokół słychać było karabinki szturmowe *M16* i karabiny maszynowe *M60*, których charakterystyczne terkotanie zaczynało się mieszać z głośniejszym warkotem południowoafrykańskich karabinów. Rangersi na całego wkraczali do walki.

- **Wóz dowodzenia baterii rakiet ziemia-powietrze *Cactus*, Pelindaba**

Przerażony alarmem przeciwigazowym kapral, który samotnie kontrolował zagłuszony i bezużyteczny radar, zerwał słuchawki i wstał, krzesła. Swoją kombinezon ochronny zostawił w baraku. Ruszył w stronę tylnych drzwi pojazdu. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył sięgnąć do klamki. Kapral patrzył ze zdziwieniem na sylwetki żołnierzy na tle nocnego nieba. Dziwne, nigdy nie widział takich mundurów... Trzy pociski z *M16* rzuciły go na konsolę. Stojący na zewnątrz sierżant Rangersów opuścił karabin i wyciągnął zawleczkę z granatu. Wrzucił granat do wnętrza i szybko zatrzasnął drzwi. Wóz dowodzenia baterii *Cactus* zatrzęsł się od przytłumionego wybuchu i zaraz uspokoił. Znajdująca się na dachu czasza anteny radarowej znieruchomiała. Nisko schylony sierżant przebiegł przez trawnik obok głównego laboratorium. Powietrze smagane było pociskami wystrzeliwanymi z karabinu umieszczonego w bunkrze, na północnym krańcu wzgórza. Dopadł rzędu modych drzewek i rzucił się na ziemię, obok pięciu innych Rangersów. Na głowy posypały im się ścięte przez pociski liście i gałązki. Dwóch komandosów obsługiwało granatnik bezodrzutowy *Carl Gustaf M3*, o kalibrze 84 mm.

- Dostaliście ich?

- Tak. - Żołnierz poklepał z uczuciem rurę granatnika. Nieźle im przyłożyliśmy. Sierżant podniósł głowę, ryzykując szybkie spojrzenie na plac. Trzy samobieżne wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze *Cactus* pło nęły mocnym ogniem, zasłonięte kłębami dymu. Jedna z wyrzutni wybuchła oślepiającym pomarańczowym światłem. Któraś z rakiet musiała eksplodować, pomyślał sierżant. Czas złożyć raport. Odszukał swojego radiooperatora.

- Rover Jeden Jeden, tu Bravo Dwa Cztery. Diabło Jeden, Dwa, Trzy i Diabło Czasza są już historią.

- **Koszary Kompanii B. 61. Batalion Strzelców Transwalskich**

Czerwona poświata z płonących budynków i pojazdów oświetlała scenę kompletnego rozgardiaszu w barakach. Na pół ubrani południowoafrykańscy żołnierze w szaleńczym pośpiechu przywdziewali wydane im wczoraj kombinezony. Inni bardziej doświadczeni i sprawni usiłovali niezdarnie załadować karabiny opatulonymi w gumowe rękawice dłońmi. Porucznicy i sierżanci starali się uformować żołnierzy w plutony. Kapitan van Daalen, zastępca dowódcy batalionu, czuł się w kombinezonie ochronnym bardziej jak kosmonauta niż żołnierz. Gumowe ubranie było ciężkie, a maska gazowa ograniczała widzialność. Zaklął ciężko. Włączenie się do bitwy, kiedy niczego się nie widzi i nie słyszy, nie wydawało mu się rozsądnym pomysłem, ale myśl o gazie paraliżująco-drgawkowym kazała mu sprawdzić szczelność kombinezonu. Wychylił się przez otwarte okno, usiłując wybrać najbezpieczniejszą drogę do bunkra dowodzenia. Można się było tam dostać jedynie pokonując dwustupięćdziesięciometrowy pas otwartego terenu. Może lepiej dowodzić oddziałem

z koszar? - pomyślni van Daalen. Nie było większego sensu narażać się na ogień karabinów maszynowych. Jakiś dziwny widok na zewnątrz przykuł jego uwagę. Pięćdziesiąt metrów od baraku żołnierze, dobrze widoczni na tle płoną cych wyrzutni rakiet, rozciągali się w tyralierę. Po utworzeniu linii padli na ziemię głowami w stronę baraku. Van Daalen wstał. Dziwne. Zupełnie jakby chcieli zaatakować baraki... Rozwalcie drani! Ognia! Ognia! Ognia! - Krzyk z zewnątrz przedarł się przez terkot karabinów i odgłosy wybuchów granatów. Van Daalen zamarł w miejscu. Okrzyk był w języku angielskim, a nie *afrikaans*. Zaczął się odwracać... Kilkanaście rakiet wyrzeczonych z linii nieprzyjaciela, przebiło drewniane ściany i wybuchło wewnątrz - rozpryskując odłamki i kawałki drewna wśród tłumu południowoafrykańskich żołnierzy. Za raketami posypały się pociski z karabinków *M16* i karabinów maszynowych, powodując masakrę. Kapitan Edouard van Daalen chwycił się poszarpanych brzegów ramy okna, żeby utrzymać równowagę. Nogi odmówiły mu jednak posłuszeństwa i upadł na podłogę, przyciskając dłonie do dziur w kombinezonie ochronnym, przez które sączyła się krew. Amerykanie nie przerywali ognia.

- **Punkt dowodzenia. 1. Batalion Rangersów**

Major O'Connell odbierał z rosnącą satysfakcją napływające raporty. Bateria wyrzutni rakietowych *Cactus* została wyłączona z akcji. Poddawał się barak za barakiem, zniszczony lub podpalony lekkimi raketami przeciwczołgowymi, pociskami burzącymi granatników bezodrzutowych i skoncentrowanym ostrzałem z broni ręcznej. Resztki 1. plutonu Kompanii Bravo zdobyły pozycję 120-milimetrowych moździerzy. DZIELNA FORTUNA zaczynała rozwijać się zgodnie z planem. Jednak straty batalionu były duże i rosły z minuty na minutę. Nikt nie widział pułkownika Gellera od czasu skoku. Zginęło trzech dowódców plutonów. Nie chciał nawet myśleć, ilu podoficerów i żołnierzy poległo w zasiękach, skalnych ogrodach, budynkach i na otwartej przestrzeni. Zanurkował do okopu w chwili, gdy niedaleko rozerwał się granat, zasypując wszystkich ziemią i odłamkami. Jeden z żołnierzy koło niego krzyknął z bólu i upadł na ziemię. Na twarz O'Connella trysnęła krew. Inni żołnierze już się pozbierali i teraz strzelali w oświetloną płomieniami ciemność.

-Sanitariusz!! Rangersi odciągnęli postrzelonego do tymczasowego punktu opatrunkowego. O'Connell wyrwał słuchawkę z ręki radiooperatora. Muszą ru szać dalej. Najwyższy czas przejść do jednego z dwóch głównych celów operacji.

- Bravo Dwa jeden i Charlie Dwa jeden, tu Rover jeden jeden. Przejść do fazy Thor i Erector.

- **2. Pluton, Kompania Bravo, I. Batalion Rangersów, okolice elektrowni**

Nieduża elektrownia węglowa została zbudowana w prostym stylu, który podkreślał jej funkcjonalność. Spalony węgiel podgrzewał kotły z wodą, a wytwarzana para napędzała turbiny. Prąd służył do zasilania zakładu wzbogacania uranu, laboratoriów i pozostałych budynków Pelindaby. Sto metrów na południe od elektrowni dwóch Rangersów leżało na otwartym terenie obok poszarpanego pociskami ciała sierżanta. Kapral Mitch Wójcik obserwował teren przez noktowizyjny celownik granatnika bezodrzutowego. Na zewnątrz budynku rozciągała się plątanina rur zamkniętego obwodu wodnego elektrowni. Przez wysoki komin wydostawał się dym ze spalnego węgla. Wójcik przesunął granatnik *Carl Gustaf* w prawo, szukając celu. Bingo! Godziny spędzone na studiowaniu każdego dostępnego zdjęcia elektrowni przyniosły teraz rezultaty.

- Załaduj HEAT. Żołnierz wepchnął trzykilogramowy przeciwpancerny pocisk kumulacyjny do rury wyrzutni i klepnął kaprała w hełm.  
- Gotowe. Wójcik nacisnął spust. Pocisk HEAT trafił w płataninę rur i eksplodował, rozsądając je, jakby były z cienkiej blachy. W górę buchnął strumień wody, otoczony kłębamii pary. Po kilku sekundach kotły i turbiny przestały pracować. Główne źródło zasilania w prąd Pelindaby zostało wyeliminowane.

- **2. Pluton, Kompania Charlie, I. Batalion Rangersów, zastępcze źródło zasilania Pelindaby**

Stojące co trzysta metrów stalowe słupy trakcyjne doprowadzały do Pelindaby linie wysokiego napięcia, łącząc ośrodek z siecią energetyczną Pretorii. Jeden z trzydziestometrowych słupów stał przy drodze pomiędzy bunkrami-magazynami i resztą ośrodka. Po drugiej stronie drogi znajdował się parking z rzędami ciężarówek i samochodów osobowych. Niektóre z nich płonęły już od dłuższego czasu. Jezu! - Podporucznik Frank Miller rzucił się na ziemię, gdy powietrze nad głową rozcięła seria pocisków. Na jego hełm posypały się iskry ze stalowej konstrukcji słupa. Spojrzał przez ramię na resztki pierwszego plutonu - pięciu ludzi. Pozostali leżeli na drodze martwi lub ranni. Hernandez, osłoń mnie ogniem, cholera! Odezwała się broń automatyczna. Rangersi starali się przydusić do ziemi południowoafrykańską piechotę zajmującą oddalony o sto metrów bunkier. Szanse na trafienie wroga były niewielkie, ich odbijające się od ścian bunkra pociski zmuszały Południowoafrykańczyków do odstąpienia od stanowisk strzeleckich. Jeden z rangersów rzucił w stronę bunkra granat dymny. Miller podniósł się na kolana i przyjrzał swojej robocie. Potrzebował jeszcze jednego ładunku w odpowiednim miejscu. Wyciągnął rękę. Steve, więcej C4. Nic było żadnej odpowiedzi. Oficer odwrócił się i zobaczył kaprała Lewisa leżącego na plecach z rozrzuconymi rękami i dziurą w czole. Miller przełknął z trudem ślinę i wziął z ręki martwego ostatnią paczkę plastikowego materiału wybuchowego. Musiał się pospieszyć. Umocował pakiet C4 do jednego ze stalowych wsporników słupa i włożył do miękkiego materiału detonator. Zadowolony ze swojej roboty zaczął się odczołgiwać, ostrożnie rozwijając lont. Jedyne schronienie ofiarował biegnący wzdłuż drogi płytki rów. Miller obliczył odległość i kąt i zaklął ciężko. Znajdował się w minimalnej bezpiecznej odległości koniecznej do odpalenia C4 i nie miał czasu, żeby cofnąć się dalej. Wysunął głowę z rowu. Rozbłyskujące w ciemnościach świetlne linie dowodziły, że jego ludzie nadal ostrzeliwują bunkier. Pierwszy pluton! Przerwać ogień i biegiem do mnie! Jeden po drugim Rangersi przestawali strzelać i pędzili w stronę rowu. Któryś nagle zawył z bólu i upadł z przestrzeloną nogą. Dwóch innych żołnierzy chwyciło go pod ramiona i pociągnęło w bezpieczniejsze miejsce. Gdy wszyscy jego ludzie znaleźli się przy nim, Miller wziął głęboki oddech i wyjął z kieszeni zapalniczkę. Wszyscy kryć się! Rangersi przypadli twarzami do ziemi. Miller pstryknął zapalniczką. Tak staroświecki sposób odpalania ładunku wydawał się nie na miejscu, ale w pobliżu linii wysokiego napięcia nie można było używać detonatorów elektrycznych. Istniało zbyt duże ryzyko, że silne pole elektromagnetyczne włączy zapalnik zanim ten, kto zakładał ładunki, zdąży się oddalić. Miller przytknął płomyk do lontu. Syczący żar powędrował wzdłuż lontu i szybko zniknął w ciemnościach, a wtedy oficer ukrył twarz w błotnistej ziemi. Wydawało się, że sekundy rozciągają się w całe godziny. Trzy wybuchy rozświetliły noc, rozrzucając wysoko w powietrze stalowe fragmenty wspornikowe słupa wysokiego napięcia. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej stalowa konstrukcja zaczęła się pochylać. Klamry i śruby pękały, wyskakując z obręczy. Nagle wszystkie umocowania puściły i wśród zgrzytu zginającej się i łamiącej stali słup opadł na ziemię. Przerwane przewody elektryczne tryskały iskrami

i wily się po ziemi niczym świecące niebieskim światłem węże. Zapasowe źródło zasilania ośrodka zostało doszczętnie zniszczone.

- **Zakład wzbogacania uranu. Pelindaba**

Obojętni wobec zewnętrznego świata południowoafrykańscy inżynierowie, nadzorujący pracę dwudziestu tysięcy wirówek, przebywali we własnym świecie nieustannego hałasu. Żaden z pracowników nie słyszał dźwięku syren alarmowych i nikt w garnizonie nie miał czasu ostrzec ich o ataku. Nagle zgasły światła. Katastrofa nastąpiła w chwilę później. Inżynierowie i naukowcy, którzy zaprojektowali zakład wzbogacania uranu, podjęli niezbędne środki zabezpieczające przed przypadkową utratą jednego z dwóch niezależnych źródeł prądu. Automatyczne przełączniki potrafiły natychmiast przejść od zasilania z własnej elektrowni do zasilania z linii wysokiego napięcia. Na szczęście, budowniczy nie przewidzieli możliwości celowego zniszczenia obu źródeł prądu. Esher Levi znalazł piętę achillesową Pelindaby. Jak każde nowoczesne, wyrafinowane urządzenie ośrodek wzbogacania uranu może łatwo stać się siłą samoniszczącą. W celu oddzielenia rozszczepialnego U-235 od nierozszczepialnego U-238 każdy z wykonanych z włókna węglowego wirników musi się nieustannie obracać z prędkością 35.000 obrotów na minutę. Powstające przy tym prędkości liniowe sięgają pięciuset metrów na sekundę. Osiągnięcie takich prędkości jest dosyć skomplikowanym zadaniem. W miarę jak wirnik obraca się coraz szybciej, musi być poddany dokładnej kontroli i wyważony tak, aby mógł przejść prędkości krytyczne, kiedy dostaje niebezpiecznych drgań. Specjalne amortyzatory mogą zlikwidować takie drgania, ale są trudne do kontrolowania, kiedy wirówki są już wypełnione gazem uranowym. W momencie przerwy w dostawie prądu wszystkie centryfugi były pełne heksafluoru uranu. W ciągu ułamka sekundy zadziałały potężne siły odśrodkowe. Wirniki obracały się coraz wolniej i zaczęły się wyginać, zniekształcane przez uwięziony w nich gaz. Większość z dwudziestu tysięcy centryfug roztrzaskała się w tym samym momencie z hukiem odpowiadającym wystrzałowi karabinowemu, rozrzucając przy tym odłamki z włókna węglowego po otaczających je obudowach ochronnych. Niektóre nie wytrzymały uderzenia i część maszyn zwała się na podłogę, rozrywając przewody odprowadzające uran z centryfug. Hala zaczęła się natychmiast wypełniać żółtym, wysoce żrącym gazem wydobywającym się z wirówek i z wiszących wysoko nad głowami pracowników rur doprowadzających heksafluor uranu. W temperaturze pokojowej gaz szybko zaczął przechodzić w stan stały. Kilku inżynierów i naukowców, którzy znajdowali się w pobliżu przewodów doprowadzających uran, doznało ciężkich poparzeń i biegło z krzykiem do wyjść awaryjnych. Inni pracownicy ośrodka zginęli przegnieceni roztrzaskanymi urządzeniami. Południowoafrykański ośrodek wzbogacania uranu przestał istnieć.

- **Kompania Alfa. 2. Batalion Rangersów. okolice wieży kontroli lotów Lotniska Wojskowego Swartkop**

Lotnisko Swartkop, oddalone o mniej niż kilometr na południe od Pelindaby, także znajdowało się pod ostrzałem. Wszystkie okna w wieży kontrolnej były rozbite pociskami, a granaty spowodowały kilka pożarów, które gwałtownie rozszerzały się na cały budynek, wypełniając pokoje i korytarze obłokami dymu. Podłogi korytarzy i klatki schodowe zasłane były trupami. Większość ciał miała na sobie niebieskie mundury Południowoafrykańskich Sił Powietrznych. Kapitan Mike Carrera wybiegł z wieży, trzymając w jednej ręce M16, a drugą przytrzymując hełm. Za nim biegli żołnierze i radiooperator. Kątem oka spoglądali na pobojuwisko. Na końcu pasa



startowego płonęły trzy samoloty transportowe i cysterna z paliwem. Blżej, zniszczone pociskami samochody i ciężarówki barykadowały drogę dojazdową i oświetlały płomieniami parking. Silny wiatr podrywał i unosił w powietrze porzucone przez Rangersów spadochrony. Poszarpane kulami i jeszcze dymiące worki z piaskiem oznaczały zdobyte przez Rangersów pozycje obrony południowoafrykańskich żołnierzy. Baza Swartkop przedstawiała okropny widok. Ale, mimo to. Gwardia Narodowa w dalszym ciągu nie dawała za wygraną.

- Kapitanie, Sierra Jeden Zero na linii. - Radiooperator przypadł do ziemi, gdy na płycie lotniska za nimi rozerwał się pocisk z moździerza. Kapitan wziął z jego rąk słuchawkę.

- *Słyszę cię, Sierra Zero Jeden.*

- *Masz już ten pas startowy?* - Carrera rozpoznał głos pułkownika pilotującego prowadzący MC-141. Pięć transportowców zataczało koła nad Pretorią, oczekując zgody na lądowanie.

- *Nie. Zero Jeden. Będziemy cię mogli ściągnąć za pięć minut. Powiadomię cię. Koniec.* Sto metrów za nimi kolejny pocisk wyrwał kępę trawy. Carrera skinął na swojego starszego sierżanta.

- Ike, znajdź mi Sammy'ego i powiedz mu, żeby oczyścił w te pędy pieprzone stanowiska moździerzy. Jasne? Sierżant bez słowa skinął głową i pobiegł szukać porucznika dowodzącego trzecim plutonem kompanii. Carrera przez chwilę przyglądał się swoim ludziom. Przywiózł tu sześćdziesiąt osób, ale wielu nie mógł się już doliczyć. Nie był to jednak czas na smutne rozmyślenia. Kompania Alfa była w dalszym ciągu potrzebna. Walka przecież jeszcze trwała. Dał znak i biegiem ruszyli w stronę hangarów.

### • **Wyrzutnia pocisków ziemia-powietrze CACTUS, Lotnisko Wojskowe Swartkop**

Ostatnia ocalała wyrzutnia rakiet przeciwlotniczych stała nieruchomo na niewielkim wzgórzu nad lotniskiem. Brązowo-czarna siatka maskująca wyraźnie zmiękczała ostre, kanciaste kształty pojazdu, który teraz bardziej przypominał olbrzymi głaz czy kępę wyschłych krzaków niż wyrzutnię rakiet przeciwlotniczych. W oświetlonym czerwoną żarówką malutkim pomieszczeniu kontrolnym pojazdu znajdowało się trzech południowoafrykańskich żołnierzy.

- No i? Oficer obsługujący urządzenia naprowadzające przesunął ostatni przełącznik i niechętnie pokręcił głową. Nic, poruczniku. Nie dostaję żadnych danych od *Cactus* cztery. Albo zginęli, albo kable zostały przerwane. Niech to szlag! - Drugi z oficerów, dowódca, walnął z wściekłością w konsolę. Musiał jednak przejść od standardowych procedur. Doorn, przełącz na optyczne naprowadzanie. Tak jest. - Palce Doorna szybko poruszały się po konsoli przełączając odpowiednie przyciski. Podłączony do zamocowań na dachu kamery monitor rozjaśnił się, pokazując szerokokątne ujęcie rozgwieżdżonego nieba. Jakiś ciemny kształt przesunął się na tle gwiazd. Doorn nacisnął przycisk i na monitorze pokazał się dobrze widoczny w tej chwili obiekt, który okazał się potężnym czterosilnikowym transportowcem kołującym właśnie nad miastem. Obiekt namierzony, poruczniku! Dowódca przez chwilę przyglądał się transportowcowi. RPA z pewnością nie posiadała tego typu samolotów. Drań musi należeć do Amerykanów. Ognia! Pojazd zatrząsł się odrzucony siłą silnika startowego jednej z rakiet, która szybko zaczęła się wznosić w białych płomieniach ognia. Po chwili, rakietę osiągnęła maksymalną prędkość 2.3 macha i nakierowana drążkiem sterowym przez Doorna skręciła w kierunku samolotu. System optycznego naprowadzania pozwalał obsługującemu wyrzutnię żołnierzowi zaatakować wrogi

samolot. nawet gdy nie działały radary. Urządzenie przypominało zwykły komputerowy joystick używany przez dzieci do gier wideo. Operator siedzący w wozie, śledząc ekran monitora. za pomocą joysticka naprowadzając raketę na cel. Co najważniejsze. naprowadzane optycznie pociski nie mogły zostać zagłuszone i były nieczułe na wystrzelwane przez uciekający samolot flary czy paski folii. System nie miał jednak szansy w spotkaniu z superszybkimi myśliwcami, które leciały prosto na wyrzutnie czy dokonywały ostrych skrętów w powietrzu. Ludzkie reakcje były wtedy zbyt wolne, żeby mierzyć się z prędkościami sięgającymi dwóch tysięcy kilometrów na godzinę. Jednak *C-141*, znany jako Sierra Jeden Cztery, był tylko olbrzymią, nieruchawą maszyną, która krążyła nad miastem z prędkością sześciuset kilometrów na godzinę. Dwieście metrów niżej stojący na zboczu wzgórza dowódca oddziału Rangersów zobaczył wystrzelwaną raketę. Kryć się! - krzyknął i przywarł twarzą do ziemi. Żołnierze porzucili kabel, wzdłuż którego wspinali się na wzgórze i poszli w jego ślady. Ciągąca za sobą ogień i kłęby dymu rakietą przeleciała nisko nad ich głowami. Wypluwając piasek z trawą, dowódca podniósł się na kolana.

- Załatwcie drani! Jeden z ludzi skinął głową. Z zawziętą miną nacisnął spust wyrzutni *LAW*. 66-milimetrowy pocisk przeciwczołgowy przedarł się przez siatkę maskującą, rozerwał lekki pancerz wyrzutni i wybuchł w postaci potężnej, pomarańczowoczerwonej kuli ognia. Oficer Doorn i pozostali południowoafrykańscy żołnierze zginęli w jednej chwili, jednak było już za późno, żeby uratować Sierra Jeden Cztery.

### • **Sierra Jeden Cztery, nad Pretorią**

Południowoafrykański pocisk eksplodował pięćdziesiąt metrów za *C-141*. Odłamki przebiły kadłub samolotu na poziomie skrzydeł, dziurawiąc zbiorniki paliwa i instalacje hydrauliczne. Z silnika buchnęły płomienie, rozświetlając ciemności wokół samolotu. W kabinie pilotów rozbłysły czerwone światła alarmowe.

- Jezu! - Pilot Sierry jeden Cztery starał się zapanować nad sterami, utrzymać samolot na kursie i szybko oddalić się znad miasta. Kiedy płomienie objęły skrzydło, *C-141* wypadł z formacji. Przez chwilę utrzymywał swoją poziomą pozycję jakby zdecydowany lecieć dalej mimo śmiertelnych ran. jednak po chwili potężny transportowiec pochylił się nosem w dół i zaczął opadać na miasto z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę. *Starlifter* spadł na przedmieścia Pretorii, niszcząc kilka drewnianych domów, które w jednej chwili zamieniły się w płonące pochodnie. Wiekowe dęby i drzewa jaracanda zostały wyrwane z korzeniami, a obok nich leżało kilka rozgniecionych samochodów wyglądających jak nowoczesne rzeźby z metalu, szkła i stopionej gumy. Pod szczątkami zginęło ponad stu Południowoafrykańczyków. Wybuch zbiorników paliwa wywołał pożary na przestrzeni pół kilometra i oświetlił miasto pomarańczową łuną.

### • **Kompania Alfa, 2. Batalion Rangersów, Swartkop**

Kapitan Mike Carrera przyklęknął koło radiooperatora, przyglądając się czterem *C-141*, które lądowały jeden po drugim i kołowały na pas postojowy, po czym zawracały i ustawiały się nosami do głównego pasa startowego, gotowe do natychmiastowego wzbicia się w powietrze. Kilku Rangersów z przewieszonymi przez plecy M 16 podbiegło z drewnianymi klinami i zablokowało koła. Po chwili z jękiem otworzyła się rampa ostatniego samolotu, opadając na płytę lotniska i z jego wnętrza wynurzyła się załoga, popychając przed sobą dwa małe śmigłowce wielozadaniowe *McDonnell Douglas MH-8*, należące do wyposażenia 160. Pułku Kawalerii Powietrznej.

Nawet przy pełnym ładunku bojowym, w skład którego wchodziły cztery rakiety przeciwczołgowe *TOW* i wielolufowy obrotowy karabin maszynowy *Minigun* kalibru 7,62 mm, każdy z helikopterów ważył zaledwie półtorej tony. Przy maszynach kręcili się już zespoły mechaników, przygotowując je pospiesznie do lotu. Po niecałych siedmiu minutach śmigłowce powinny być gotowe do startu. Carrera miał nadzieję, że tym razem nie potrwa to dłużej. O'Connell i czterystu Rangersów walczących nadal w Pelindabie będą szybko potrzebowali ochrony podczas drogi powrotnej z ładunkiem na lotnisko. Nacisnął guzik nadawania. Rover jeden jeden, tu Alfa jeden Zero. Icarus. Powtarzam, Ikarus Lotnisko Swartkop było w rękach Amerykanów. On i jego żołnierze mieli w swoich rękach drogę do domu. przynajmniej na razie.

### • Punkt dowodzenia, 1. Batalion Rangersów

O'Connell wcisnął pełny magazynek do swojego *M16* i spojrzał na otaczających go żołnierzy.

- Dobra. Słyszeliście, co mówił Carrera. Musimy teraz dostać te cholerne atomówki. - Spojrzał na radiooperatora. - Żadnych wiadomości od Bravo Trzy? Weisman pokręcił przecząco głową. Radiowiec miał pociągłą, smutną twarz, która nawet w najlepszych czasach wyglądała ponuro. Teraz miał minę, jakby spodziewał się ataku serca. O'Connell podjął szybko decyzję. Rangersi z trzeciego plutonu kompanii Bravo mieli lądować na terenie bunkrów-magazynów i bunkrów z ochroną. Brak kontaktu pozwalał sądzić, że zostali albo wybici do nogi, albo wszystkie ich radiostacje przestały działać jak by nie było, trzeba teraz pofatygować się tam osobiście sprawdzić, co się dzieje. Bomby atomowe były ich głównym celem - ich jedyną nagrodą. jeśli im się nie uda, wszystkie poniesione straty pójdą na marne. O'Connell zaczął wydawać rozkazy.

- Fitz i Brady, zostajecie z doktorem i rannymi. Uważajcie, żeby ktoś nie zaszedł was od tyłu. - Kilka bunkrów na północnym krańcu wzgórza nadal znajdowało się w rękach Południowoafrykańczyków, a okop zapewniał najlepsze schronienie. Sierżant Fitzsimmons, potężny Ranger z Kolorado, skinął posłusznie głową i ruszył okopem z gotowym do strzału *M16*. Brady, niższy od niego Murzyn, który rozkoszował się mówieniem ledwo zrozumiałym, zaciągającym ślaniem z Południa, podążył za nim. Wyglądało, że tylko czeka, aby wypróbować swojego *M16* na jednym z Afrykanerów.

O'Connell spoglądał przez chwilę za nimi i odwrócił się do reszty swoich żołnierzy. Nie było ich wielu. Policzył szybko. Siedmiu oficerów i dwudziestu Rangersów z dwoma tylko *M60*. Trudno.

- Okay, idziemy okopem zobaczyć, co, u licha, zatrzymało Bravo Trzy. - Dostrzegł niespokojne spojrzenie Eshera Leviego. - Może pan iść ze zwichniętą kostką, profesorze? - Urazy przy skoku zawsze były bolesne i podejrzewał, że kostka profesora musiała już porządnie spuchnąć. Ku jego zdziwieniu Levi się uśmiechnął, pokazując białe, równe zęby. Oparł się o *M16*, który wziął od ciężko rannego żołnierza.

- Mam kulę, majorze. Chyba uda mi się dokuśtykać razem z wami. O'Connell doszedł do wniosku, że lubi tego człowieka. Levi był o wiele twardszy, niż na to wyglądał. Poczucie humoru było ostatnią rzeczą, jakiej można się było spodziewać po człowieku, dla którego wszystko dookoła było nieznane i straszne. Odwrócił się do Weismana.

- Poinformuj pozostałych, że idziemy po bomby. Sprawdził czas. Piloci marynarki powinni lada chwila włączyć się do zabawy.

- Wszystko gotowe, majorze. - Weisman nadal nie wyglądał na szczęśliwego. O'Connell poklepał karabin przewieszony przez ramię radiooperatora.

- Dave, uśmiechnij się. Kto wie, może będziesz miał okazję użyć tej zabawki. Na

twarzą Weismana pojawiło się coś, co tylko przy dobrych chęciach można było wziąć za uśmiech. O'Connell ścisnął w rękach broń i wysunął się na czoło oddziału. W pobliżu rozległy się strzały zmieszane z wybuchami granatów. Plutony kompanii Bravo I Charlie zajęte były ostrzeliwaniem baraków i oczyszczaniem bunkrów. Na zachodzie i północy niebo było znacznie jaśniejsze, oświetlone ogniem płonących budynków i pojazdów. Spojrzał za siebie. Spod hełmów z kevlaru patrzyły na niego niespokojne oczy mężczyzn o pomalowanych szminką, napiętych twarzach. W porządku. Idziemy. Rangersi ruszyli rowem strzeleckim z profesorem Levi pośrodku. Idąc usłyszeli nad głową przetaczający się grzmot. Samoloty z lotniskowca "Carl Vinson" wkraczały do akcji.

- **Tiger Cztery, nad Lotniskiem Wojskowym Waterkloof, RPA, okolice Pretorii**

*F/A.18 Homet* pojawił się na niebie, lecąc na wysokości zaledwie sześciuset metrów nad przedmieściami Pretorii, z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Przed nosem przyspieszającego samolotu pojawiły się długie na kilka kilometrów, szeroko rozstawione światła. Pilot *Homet*, porucznik Pete "Pazur" Gerrard, włączył mikrofon i usłyszał: *Do prowadzącego. Pas oświetlony. Przyjąłem. Bez odbioru.* Skoncentrował się na pilotowaniu, wyrównując i przygotowując samolot do sprawnego, chyba jak zwykle, ataku. Ale dzisiejszy pokaz nie miał na celu zdobycia kolejnego trofeum dla dywizjonu. Pod skrzydłami *Tiger Cztery* wisiało sześć specjalnych bomb *Durandal*, przeznaczonych do niszczenia pasów startowych największej bazy lotniczej RPA *F/A-18* skręcił w lewo o pół stopnia, ustawiając się w sposób, który według obliczeń komputera musiał przynieść najlepsze rezultaty. Gerard zauważył ruch na pasie startowym po prawej stronie. Dwa samoloty toczyły się po płycie lotniska, nabierając prędkości Południowoafrykańczycy usiłowali wprowadzić swoje maszyny do walki. Za późno, mi *amigos*, pomyślał, używając ulicznego hiszpańskiego, którego nauczył się jako chłopiec, mieszkając w południowej Kalifornii. W dolnym lewym rogu wskaźnika przeziernego *HUD* zapaliło się słowo ZWOLNIC. Lata treningu i instynkt pozwoliły mu niemal w tym samym czasie dwukrotnie nacisnąć przycisk zwalniający bomby i poderwać gwałtownie samolot do góry. Dwa szarpnięcia wstrząsnęły samolotem, gdy *Durandale* oderwały się od skrzydeł i zaczęły opadać na lotnisko. Stęknął, kiedy siła odśrodkowa wcisnęła go w fotel, ale precyzyjnie wprowadził myśliwiec w ostrą pętlę. Odwrócił głowę najdalej jak mógł, żeby zobaczyć, co się stanie, gdy wybuchną bomby *Durandale* opadały z początku w miarę wolno, na wyhamowujących szybkość małych spadochronikach. Na odpowiedniej wysokości włączyły się automatycznie silniczki rakietowe i teraz już z dużym przyspieszeniem bomby pognały do celu, wbijając się głęboko w betonowe podłoże. W chwilę potem na głównym pasie rozkwitło sześć ognistych pióropuszy. W miejscach wybuchów utworzył się poprzeczny, głęboki, z poszarpanymi brzegami, rów, a wokół leżały ogromne odłamki betonu. Jeden ze startujących południowoafrykańskich samolotów wpadł w płonący krater z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Nos myśliwca trafił w krawędź wyrwy i samolot, rozsypując powódź iskier, złamał się, a po chwili wybuchł. Gerrard krzyknął z radości w maskę tlenową. Załatwił jednego *Mirage'a!* Jednak drugi myśliwiec wysunął się zza ściany dymu nie uszkodzony. Bomby wybuchły za nim, nie powodując widocznie żadnej szkody. Przyspieszając *Mirage F.1 CZ* oderwał się od płyty lotniska i zaczął nabierać wysokości. Gerrard nacisnął guzik mikrofonu.

- Prowadzący *Tiger*, jeden wrogi samolot w powietrzu. Zajmuję się nim. Przesunął manetkę sterowania ciągiem do przodu, włączył dopalacz i zmusił *Homet* do niemal pionowego wzbicia się w górę, rękę jęcząc, kiedy wskazówka sił przeciążenia minęła siedem g. Przełączył *HUD* na tryb powietrze-powietrze. Pośrodku wskaźnika zapaliły

się dwa częściowo zachodzące na siebie okręgi celownika i znacznika celu, obejmujące fragment przestrzeni przed samolotem. jeżeli pola nałożą się na siebie, czujniki *Horneta* będą mogły naprowadzić raketę na nieprzyjaciela. Niebo i ziemia zawirowały i zamieniły się miejscami, gdy Gerrard odwrócił myśliwiec na plecy. jeszcze trochę. Prawie już. Wzbijający się w niebo *Mirage* pojawił się w górnym lewym rogu wskaźnika *HUD*. Wokół niewyraźnego kształtu południowoafrykańskiego odrzutowca wyświetlił się mały okrąg znacznika celu. Gerrard odwrócił samolot i przyspieszył. *Homet* pognął za swoją ofiarą. W miarę jak *F/A-18* zbliżał się do celu, otaczający wrogi samolot okrąg przesuwiał się wolno w kierunku środka wskaźnika. Gerrard położył palec na umieszczonym na drążku sterowniczym spuście. No dalej, draniu, ustaw się! Obrzucanie wyzwiskami obwodów scalonych w jednej z dwóch rakiet *AIM-9L Sidewinder*, w które wyposażony był samolot, nie miało większego sensu, ale Gerrard poczuł się znacznie lepiej, kiedy to zrobił. Zaćwierkotało w słuchawkach. To czujnik podczerwieni w końcu namierzył cel. Gerrard nacisnął przycisk spustu na drążku i poczuł wstrząs, gdy podczepiona do skrzydła rakiet *Sidewinder* odpaliła. Przez niebo przemknął czerwony płomień. Kierująca się na strumień gorących gazów, wydobywających się z dysz samolotu, rakiet dotarła do *Mirage* w pięć sekund i eksplodowała. Południowoafrykański myśliwiec dosłownie się rozpadł. Płonące kawałki metalu zaczęły opadać na ziemię w gęstej chmurze gęstego, czarnego dymu. Gerrard był przekonany, że pilot *Mirage* nawet nie wiedział, że został zaatakowany. Nie było w tym nic dziwnego. Większość zestrzeleń ma miejsce, kiedy ofiara nie podejrzewa, że ktoś jej siedzi na ogonie. Najczęściej zdarza się to tuż po starcie i dlatego piloci najbardziej boją się tego momentu. Nacisnął guzik mikrofonu. Prowadzący Tiger, tu Tiger Cztery. Skreślcie następnego *Mirage*'' Pas jest wyłączony z akcji. W słuchawkach rozległ się lakoniczny głos dowódcy jednostki. Przyjąłem, Cztery. Dobra robota. Ile masz jeszcze paliwa? Gerrard rzucił okiem na wskaźnik poziomu paliwa. Zbliżyłem się do rezerwy. - *Homet* był cholemię dobrym mymyśliwcem szturmowym - znacznie lepszym od *F-4 Phantom*, czy *Corsaira*. jednak *F/A-18* nie nadawał się do dalekich lotów. Pretoria, oddalona o sześćset kilometrów od lotniskowca, znajdowała się obecnie na granicy jego zasięgu. - Okay, Cztery. Kieruj się na dywizjon Gascan w Punkcie Tango. Gerrard dwukrotnie nacisnął przycisk mikrofonu dla potwierdzenia, przyjęcia rozkazu i zawrócił na południowy wschód, lecąc w kierunku miejsca spotkania z samolotami-cysternami *KA-6D*, które miały zaopatrzyć go w nową porcję paliwa. Za nim pozostałe samoloty "Vinsona" wkraczały właśnie do akcji.

### • **Oboz Wojskowy Voortrekker Heights. okolice Pretorii**

Seria czterech trzystukilogramowych bomb spadła dwieście metrów od małego służbowego domku pułkownika Henrika Krugera Wybuchły z oślepiającym błyskiem i w jednej chwili fala uderzeniowa rozbiła wszystkie szyby i niczym huragan przemknęła przez mieszkanie, wywracając półki z książkami i zrzucając obrazy ze ścian. Ian Sherfield zanurkował za sofę, gdy roztrzaskujące się szkło zasypywało pokój. Leżał nieruchomo, dopóki podłoga nie przestała falować. Wreszcie odważył się podnieść głowę. W powietrzu wirował tynk i kurz zdmuchnięty ze ścian i sufitu. Podłoga usłana była ostrymi odłamkami szkła, płatami tynku i kawałkami drewna ze zniszczonych ram okiennych. W ścianie za nim spostrzegł kilka większych odprysków szyby, wbitych głęboko w tynk. Zadrżał, uświadamiając sobie, że musiały przelecieć o kilka centymetrów od jego głowy. Kolejny wybuch, tym razem gdzieś bliżej, zakołysał całym domkiem. Ian błyskawicznie dopadł drzwi. Musiał się natychmiast wydostać z budynku i dotrzeć do schronu. Każda następna sekunda przebywania tutaj groziła

śmiercią. Co za ironia losu. Został u Krugera, gdy usłyszał wycie syren alarmowych. Pomyślał, że bezpieczniej będzie przeczekać tu kolejne, jak sądził, ćwiczenia wojska i policji, podczas których wielokrotnie zwiększało się prawdopodobieństwo zdemaskowania go. Teraz już wiedział, że jego wybór nie był zbyt fortunny. Nalot okazał tym razem się prawdziwy. Teraz wybuchy następowały jeden po drugim. Ian bez namysłu otworzył frontowe drzwi i aż się cofnął. Ujrzał scenę, która mogła być żywcem przeniesiona z "Piekle" Dantego. Nad bazą wisiała gruba zasłona dymu z płonących domów. W jego kłębach ledwo można było dostrzec cokolwiek. Czuł, że brakuje mu powietrza. Jedna z bomb trafiła w pobliskie baraki i wybuchła, zostawiając dymiące szkielety. Inne bomby posypały się na teren bazy. Zbrojownia, warsztaty naprawcze i budki wartownicze były dokładnie zniszczone. Pośrodku placu ćwiczeń leżał wywrócony osiemnastotonowy wóz pancerny *Ratel*, zgnieciony, jakby ścisnęła go jakaś potężna prasa i porzuciła w tym miejscu. Teraz nie było już czasu do stracenia. Biegając w stronę zbawczych bunkrów, myślał z przerażeniem o Emily. Czy przeżyła nalot? Czy jest ranna? A może jest już w bezpiecznym miejscu? Jednak część jego umysłu automatycznie, zawodowo rejestrowała każdy szczegół. Jezu! Chyba rzeczywiście oszalał. To nie był odpowiedni czas na przygotowywanie reportażu wojennego. Ale to było silniejsze od niego. Mimo tych wszystkich zniszczeń nie dostrzegał wielu zwłok. Dziesięć minut, jakie minęły od chwili ogłoszenia alarmu do momentu, gdy spadły pierwsze bomby, pozwoliło prawie wszystkim ukryć się w schronach. Wszystkim, oprócz niego. Ominął palącą się pięciotonową ciężarówkę, która nadal toczyła się po drodze z martwym kierowcą zwisającym z siedzenia. Kolejna seria bomb spadła na baraki po drugiej stronie placu ćwiczeń, wybuchając oślepiającymi rozbłyskami. Fal uderzeniowych pozbawiła go powietrza. Ian przyspieszył, kierując się w stronę kwater, przed którymi zbudowano schrony. Tam! Na wydeptanej murawie placu ćwiczeń dostrzegł ciemny otwór. Nie zwalniając rzucił się do wejścia i wpadł do niskiego schronu. Leżał nieruchomo, twarzą do ziemi, zadowolony, że jednak mu się udało. Ian! Żyjesz! - Usłyszał jak przez mgłę znajomy głos. Po chwili niewysoka postać znalazła się przy nim, uklękła i objęła go ramionami, pomagając się podnieść. Ponad jej głową dojrzał uśmiechniętą twarz Matthew Sibeny i obok surową Henrika Krugera. Spojrzał na dziewczynę. Kochanie! Bogu dzięki, że jesteś cała, że jesteś ze mną... Głos odmówił Ianowi posłuszeństwa. Już bez słowa zanurzył usta w kasztanowych włosach i przytulił ją do siebie. Po chwili podniósł wzrok, dostrzegł ironicznie uśmiechnięte oczy Krugera. Kiepska noc, nieprawdaż *meneer* Sherfield? Wybuch wstrząsnął schronem. Przez szczeliny w stropie posypała się ziemia i pył. Ian zauważył, że Krugerowi nawet nie drgnęła powieka. Facet musi być prawdziwym twardzielem, pomyślał. Pokiwał Głową. Może trochę za głośna, *kommandant*. Ku Jego zdziwieniu Kruger uśmiechnął się. To jest największy kłopot z wojną, przyjacielu. Zawsze najbardziej szkodzi uszom. Emily i Matt przyglądali im się otwartymi szeroko oczyma, przekonani, że obaj całkowicie oszaleli. Nad nimi krążyły myśliwce, ostrzeliwując każdy cel, który można było jeszcze dostrzec w kłębach dymu. Dwa południowoafrykańskie bataliony piechoty nie były w stanie opuścić schronów. Garnizon Pelindaba nie mógł liczyć na żadną pomoc.

- **Punkt dowodzenia Kompanii B, 1. Batalion Rangersów, okolice magazynów broni atomowej, Pelindaba**

Jezu! - Major O'ConneIl schował błyskawicznie głowę, gdy seria z karabinu maszynowego przeleciała w pobliżu. Cholerni Południowoafrykańczycy byli zbyt czujni. Nieprzyjaciel miał ciężki karabin maszynowy *Vickers*, umieszczony we wzmocnionym betonowym bunkrze, mniej niż trzysta metrów na północ od bunkrów-magazynów. Karabin pokrywał ogniem każde dojskie wzdłuż zachodniego zbocza

wzgórza. Inne bunkry broniły wschodniego stoku. Trzeci pluton Kompanii Bravo przekonał się na własnej skórze o skuteczności tej obrony. Na otwartym terenie, pomiędzy okopem a zasiekami ogradzającymi bunkry-magazyny, leżały ciała Rangersów. Większość z nich poległa w pobliżu okopu; skosił ich ogień karabinu zaraz po wyjściu z ukrycia. Kilka ciał wisało na drutach kolczastych. Pomiedzy bunkrami także widać było kilka pokrwawionych, zaplątanych w spadochrony ciał. O'Connell poczuł mdłości. Zginęło wielu z jego najlepszych ludzi. Poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. W milczeniu skinął na podoficerów i żołnierzy, żeby zebrali się koło niego. Później będzie czas na żale. Teraz muszą znaleźć sposób na zniszczenie bunkra. Dopóki tego nie załatwią, nikt nie będzie w stanie zbliżyć się do bunkrów-magazynów.

- Ktoś ma jakieś dobre pomysły? - O'Connell przyjrzał się uważnie posępnym twarzom. Jego zastępca, kapitan Peter Klocek, zacisnął usta i zsunął hełm na tył głowy.

- Nie moglibyśmy ściągnąć tu *Gustafa*?

- Nie ma na to czasu. - O'Connell pokręcił niechętnie głową. Drużyny z granatnikami były rozrzucone po całym wzgórzu, zajęte oczyszczaniem bunkrów i baraków. Żołnierze z wyrzutnią *Carl Gustaf*, przydzieleni do Bravo Trzy, zginęli. Prawdopodobnie leżeli wśród trupów zaścielających teren przed okopem.

- A co z samolotami Marynarki? Może by tak dokopać skurwielom kilkoma A-6? O'Connell rozważał przez sekundę propozycję. Była kusząca, zbyt kusząca. Mogła im przysporzyć więcej kłopotów niż pożytku. Znowu pokręcił głową.

- Bunkier jest zbyt blisko miejsca składowania bomb. jeden niecelny pocisk i będziemy musieli wykopać bomby atomowe własnymi rękami.

- Wobec tego musimy załatwić to po swojemu - powiedział ostro sierżant Walter Johnson, podnosząc *M16* w potężnej dłoni. Karabinek wydawał się dziecinną zabawką w jego ręce. O'Connell postukał nerwowo palcami w kolbę własnej broni. Johnson nigdy nie bawił się w wymyślanie finezyjnych taktyk. Miał twarz i postawę zwykłego rozrabiaki, ale tym razem nie mylił się. Muszą odrzucić subtelne rozgrywki. Major skrzywił się. Był to moment, którego obawiał się każdy dowódca prowadzący oddział do walki. Moment, kiedy trzeba było spojrzeć w twarz okrutnej prawdy o bitwie. Taktyczne zagrania i przewaga siły ogniowej były ważne w każdej wojnie, ale zawsze nadchodził czas, kiedy pozostawało jedyne rozwiązanie: podjęcie decyzji o wysłaniu ludzi na pewną śmierć. O'Connell przykucnął. Reszta żołnierzy poszła za jego przykładem. W porządku, słuchajcie. Zrobimy to w ten sposób... - Szybko narysował palcem na ziemi swój plan. Dwie minuty później O'Connell z czterema Rangersami przykucnął koło nasypu okopu. Dwóch innych żołnierzy stanęło z tyłu, tworząc z rąk rodzaj katapulty, żeby wyrzucić pięciu Rangersów jak najdalej do przodu. Druga grupa sześciu żołnierzy, prowadzona przez sierżanta Johnsona, czekała sto metrów dalej. Pozostałych trzynastu oficerów i żołnierze rozlokowali się co pięć metrów pomiędzy dwiema grupami atakującymi. Peter Klocek zbliżył się do majora na odległość szeptu. Rob, jesteśmy gotowi. O'Connell skinął głową. Wiedział, że Klocek uważał go za szalonego ponieważ zdecydował się sam poprowadzić atak. Jednak zbyt długo w tej operacji musiał działać jak rzymski centurion, który tylko rozkazywał żołnierzom, gdzie mają atakować. Dosyć tego. Atak na bunkier miał prawdopodobnie przesądzić o losie DZIELNEJ FORTUNY. W takiej chwili batalion miał prawo zobaczyć go na czele idących do walki ludzi. Dosyć rozmyślań, powiedział sobie. Uczyła się każda sekunda. Zacerpnął głęboko powietrza i wrzasnął na całe gardło. Ognia! Ognia! Ognia! Wzdłuż całego rowu zaterkotały karabiny, ostrzeliwując ledwo widoczny bunkier. Usłyszał głucho wystrzały z granatników *M203*, zamocowanych pod lufami karabinków *M16*. Po chwili doszedł go drugi wybuch i zaraz trzeci. 40-milimetrowe granaty dymne rozerwały się przed samym bunkrem. W gęstniejącym

dymie dostrzegł jasne rozbłyski. Południowoafrykańczycy ostrzeliwali obszar, którego nie mogli już dojrzeć przez zasłonę dymną. O'Connell ścisnął karabin.

- Ruszamy! Nie czekając dłużej, stanął przed dwoma najsilniejszymi Rangersami i przykucnął na ich złożonych rękach. Momentalnie poczuł jak leci w powietrzu. Został dosłownie wyrzucony z rowu. Wylądował w gęstej trawie, przetoczył się i natychmiast poderwał, już biegnąc. Skierował się w stronę północnej ściany bunkra. Czterej Rangersi, którzy podobnie jak on zostali katapultowani, biegli przez chwilę niedaleko za nim, po czym zaczęli się rozpraszać, chcąc uniknąć sytuacji, w której pojedyncza seria mogła ich wszystkich skosić. To zadanie i tak można było wykonać tylko w pojedynkę. Płonące budynki i pojazdy rozjaśniały niebo niesamowitą, pomarańczową łuną i rzucały dziwne, migające cienie na pokryte ciałami wzgórze. O'Connell biegł co sił w nogach pomiędzy poskręcanyymi zwłokami, rozrzuconym sprzętem i popalonymi spadochronami. Czuł w sobie jakąś nadludzką siłę. Wszystkie zmysły były wyostrzone niemal do granic możliwości. Dysząc ciężko, spojrzął na ledwo widoczny bunkier. Jeszcze dwieście metrów. Kątem oka dostrzegł daleko po prawej stronie ruch. To sierżant Johnson zachodził bunkier od drugiej strony. Przyspieszył kroku. Sto pięćdziesiąt metrów. Sto. O'Connell poczuł dławiące bicie serca. Dobry Boże, pomyślał w podnieceniu, może jednak im się uda! Niemal w tej samej chwili wydało mu się, że grunt wybucha pod jego stopami. Obsypała go ziemia wyrzucona w powietrze serią z ciężkiego karabinu maszynowego. Jeden z pocisków uderzył i wyrwał mu z ręki *M16*, który łukiem poszybował do tyłu. Drugi drasnął go w ramię, drąc rękaw i zostawiając pręgę zdartej skóry. O'Connell rozpląszczył się na ziemi i dopiero po pierwszym szoku mógł stwierdzić, że właściwie nic mu się nie stało. Rozpaczliwe jęki śmiertelnie rannych, które przedarły się przez łoskot wystrzałów i wybuchy granatów, uświadomiły mu, że reszta jego ludzi nie miała tyle szczęścia co on. Wykręcił głowę, żeby spojrzeć na pole. Czterej Rangersi, którzy biegli za nim, zniknęli za tumanem wzbitego przez pociski kurzu. Kiedy ziemia i pył opadły, kolejna seria z południowoafrykańskich karabinów prześliznęła się po ciałach. Nikt się nie poruszył czy jęknął. Był sam. Z obawy, że pociski mogą dosięgnąć któregoś z leżących na linii strzału kolegów, umilkły nawet karabiny komandosów w okopach. Posypały się tylko w stronę bunkra kolejne granaty dymne. O'Connell zacisnął kurczowo zęby, starając się jednocześnie jak najmocniej wtulić w ziemię, gdy pociski znowu zaświstały mu nad głową. Głucho zastukały o hełm kamyki i grudki ziemi. Po chwili ogień przesunął się na prawo, w stronę okopów. Załoga bunkra powróciła do ostrzeliwania pozycji komandosów. O'Connell zaczął się ostrożnie cofać po karabin. Minęło trochę czasu, nim go odnalazł. Kurwa mać! Trzymał w ręce bezużyteczną kupę złomu. Pocisk, wytrącając mu broń, zniszczył zamek. Odruchowo sięgnął do pasa sprawdzając, czy ma pozostałą broń. Uspokoił się, gdy namacał granaty, nóż i 9-milimetrowy pistolet *Beretta*. Była też paczka plastiku w przytroczonej małej torbie. Materiał wybuchowy był teraz najważniejszy, bo jako jedyny nadawał się do tego typu operacji. Zamknął torbę i zaczął się czołgać w stronę celu, który rozpoznawał jedynie po błyskach wystrzałów. Wydawało się, że przebycie około stumetrowej odległości nigdy się nie skończy. Czołgał się etapami. Przez długie chwile leżał nieruchomo, gdy nasilał się ogień wroga. Potem szybkimi rzutami ciała przesunął się parę metrów do przodu. Gdy wreszcie w odległości pięciu metrów wyłoniła się betonowa konstrukcja, był już całkowicie mokry od potu i nieprawdopodobnie usmarowany ziemią i rozgniecioną trawą. Dysząc jak miech kowalski, lustrował każdy najmniejszy Szczegół. Budowla przypominała niskie, szerokie wzniesienie, które - wystawało ponad ziemię mniej więcej na metr. Wzmocnione ściany i strop zapewniały całkowitą osłonę przed każdym rodzajem broni, oprócz najcięższych pocisków artyleryjskich. Wąskie otwory strzelnicze rozmieszczone były na wszystkich ścianach bunkra. Trudno było dostać się blisko niezauważonym. Ponownie zaterkotał karabin



maszynowy. Na szczęście, z zachodniego skrzydła. O'Connell zdecydował się przebyć ostatni etap za jednym zamachem. Najwyższy czas. Wyjął z kabury pistolet i odbezpieczył go. Bardzo powoli uniósł głowę i jeszcze raz przyjrzał się otworowi. Nie było broni, nie dostrzegł też żadnego ruchu. Jazda! Poderwał się z ziemi, kilkoma susami dopadł bunkra i z rozpędu wskoczył na dach. Przypadł do betonu i chwilę nasłuchiwał. Cisza. Rany boskie! Udało się! Teraz, gdyby któryś z wrogów chciał go dopaść, musiałby wyjść na zewnątrz. Był jednak przekonany, że nikt nawet się nie domyśla jego obecności. Położył pistolet i rozpoczął ostatnie przygotowania. Jedną ręką sięgnął po materiał wybuchowy, podczas gdy drugą wyjął z kieszeni na piersi zapalniki i przewody. Granaty, które miał przy sobie, nie mogły mu pomóc, a wręcz przeciwnie, tylko zdemaskowałyby go. Bunkier posiadał bowiem na pewno osadnik, czyli mały otwór w podłodze, otoczony workami z piaskiem, zapobiegającymi rozrzutowi odłamków. Wystarczyło, by po wrzuceniu do środka ktokolwiek z załogi odrzucił granat do wewnątrz osadnika, a wszyscy położyli się na podłodze. Wybuch mógł co najwyżej zranić jedną lub dwie osoby. Reszta od razu zajęłaby się intruzem. Nie mógł więc ryzykować. Major uśmiechnął się zjadliwie. Miał przecież lepszy pomysł. Wyjął małą minę *Claymor* i przymocował przewody do znajdujących się na górze końcówek. Rozwinięcie przewodu i podłączenie go do detonatora zajęło mu kilka sekund. Gotowe. Znowu odezwał się karabin maszynowy. W łoskocie broni słyszał wykrzykiwane rozkazy w *afrikaans*. Dranie. Jeden... Dwa... Trzy... O'Connell wychylił się nad krawędzią bunkra, wcisnął ładunek jednym ruchem do północnego otworu strzelniczego i w tej samej chwili się cofnął. Teraz! Przytulił twarz do chłodnego betonu i nacisnął przycisk. Materiał eksplodował z ogłuszającym hukiem. Wyrzucone w powietrze potężnym ładunkiem C-4 setki stalowych kulek zasypały dokładnie wnętrze bunkra. Żaden ze znajdujących się w środku żołnierzy nie miał żadnych szans. O'Connell usiadł, nadal oszołomiony siłą wybuchu. Przez szczeliny wydobywały się pasma żółtego, kwaśnego dymu i wstrętny odór spalonych ciał. Ostatni punkt obrony miejsca składowania broni atomowej został zdobyty.

### • **Bunkier dowodzenia, 61. Batalion Strzelców Transwalskich**

Pułkownik Frans Peiper patrzył na mapę z pozycjami bojowymi jego batalionu, które nie zostały jeszcze zdobyte przez nieprzyjaciela. Bunkier za bunkrem i barak za barakiem były skreślane z mapy, w miarę jak nowe raporty donosiły o zniszczeniach. Trudno było się nawet połapać. Ale jedno na pewno było od razu widoczne: 61. Batalion Strzelców Transwalskich był dziesiątkowany. Peiper oddychał ciężko przez maskę przeciwgazową i klął, kiedy plastikowe szybki zachodziły parą. Te pieprzone kombinezony ochronne praktycznie uniemożliwiały wykonanie nawet najprostszych czynności! Wziął leżący koło mapy ołówek i ponownie zaklął, gdy wyśliznął mu się z rąk. Stojący przy jego boku młody oficer szybko go podniósł i podał mu. Pułkownik stał jeszcze chwilę nieruchomo przed mapą. Co dalej? Powinien zaatakować. Powinien zebrać resztki batalionu i sformować z nich grupę uderzeniową, a nie miał zielonego pojęcia, jak się za to zabrać. Oddziały wroga zajmowały teraz kluczowe pozycje na całym wzgórzu. Wyglądało to beznadziejnie.

- Pułkowniku, kapitan Karel prosi o instrukcje.

- Powiedz mu, do cholery, żeby poczekał! - Peiper spojrzał wściekłym wzrokiem na sierżanta, który kierował sekcją łącznościową bunkra. Mężczyzna nie ugiął się pod jego spojrzeniem. Niech to diabli! Później będzie mógł ukarać tego człowieka za niesubordynację. Zakładając, że będzie jakieś później. Nieporadnie zaczął zakreślać kółka wokół bunkra i okopów, które znajdowały się w rękach Kompanii A. Ludzie kompanii Karela osłaniali północno-zachodni koniec wzgórza i byli zbyt oddaleni od głównej drogi czy miejsca składowania bomb, aby mogli się do czegoś przydać. Rzucił

ołówkę na stół i podszedł do telefonu.

- Będę z nim rozmawiał osobiście. Sierżant podał mu słuchawkę.

- Karel? Tu Peiper. - Znowu poczuł, że dławi go wściekłość. Ledwo mógł coś usłyszeć w tym cholernym kombinezonie. - słuchaj uważnie. Chcę, żebyś zaczął kontratak... Krzyk jednego z żołnierzy, pilnujących południowej strony bunkra, przerwał mu rozmowę.

- Pułkowniku, ruch na drodze dojazdowej! Ciężarówki! Dziesięć albo dwanaście! Peiper rzucił słuchawkę i podbiegł do szczeliny strzelniczej. Na drodze łączącej sektor wojskowy z cywilnym widać było niewyraźne kształty na tle płonących budynków. Od razu rozpoznał zarys pokrytej brezentem ciężarówki *Samil*, którą produkowano jedynie w Afryce Południowej. Czyżby posiłki z Voortrekker Heights? Chyba tak. Podniósł lornetkę i ostrożnie nastawił ostrość. Zobaczył wyraźnie żołnierzy na ciężarówkach. Dziwne. Ich hełmy miały nietypowe kształty przypominające hełmy noszone przez Wehrmacht w czasie drugiej wojny światowej. Peiper poczuł zimne dreszcze. To był nieprzyjaciel. W dodatku kierował się prosto ku miejscu składowania bomb. Nie zdążył nawet zareagować, gdy granat trafił w otwór strzelniczy, zaledwie dwadzieścia centymetrów od jego twarzy.

### • **Punkt dowodzenia Kompanii B, 1 Batalion Rangersów, magazyny broni atomowej, Pelindaba**

Stojąc przy pięciu bunkrach-magazynach, profesor Esher Levi z rosnącą satysfakcją przyglądał się uwijającym się jak w ukro pie żołnierzom. Po wyjątkowo niepomyślnym i krwawym początku Amerykanie w końcu zdołali skierować DZIELNĄ FORTUJNĘ ku zwycięstwu. Budynek zakładu wzbogacania uranu został doszczętnie zniszczony. Jego rodacy uwolnieni. A co najistotniejsze, resztki oddziałów Rangersów były zajęte pospiesznym załadowywaniem ciężarówek zabranych z parkingu Pelindaby. Wąskie, metalowe cylindry, każdy niesiony przez dziesięciu żołnierzy, były ostrożnie układane na ciężarówkach.

- Otworzyliśmy ostatni bunkier, profesorze. Major prosił, żeby pan przyszedł do niego. Levi odwrócił się. Szczupła, opalona twarz kapitana Petera Klocka była usmarowana potem i sadzą.

- Są w nich bomby? Kłosek westchnął.

- Tak. Dwie ostatnie. Major chciałby, żeby się pan osobiście upewnił.

- Oczywiście. Levi pokuśtykał za młodym Amerykaninem. Do bunkra trzeba było zejść po kilku schodkach. Na dole zwisały wygięte drzwi wyrwane z zawiasów materiałem wybuchowym. Dwaj mężczyźni schylili się i weszli do środka. Kilka lamp awaryjnych na baterie oświetlało pojedyncze pomieszczenie, szerokie na sześć metrów i długie na piętnaście. Wzdłuż ścian stały stalowe stojaki, na których leżały cztery połówki cylindrów. Dwudziestokilatonowe bomby rozdzielono po to, aby zapobiec czemuś, co technicy określali jako "przedwczesne uzyskanie masy krytycznej broni". Levi uśmiechnął się, przypominając sobie swoją reakcję na ten bełkot techniczny, który niezdarnie opisywał nie kontrolowaną reakcję łańcuchową - przerażające piekło superwysokich temperatur i śmiertelności promieniowania gamma. Podszedł do O'Connella, który z respektem przyglądał się jednej z połówek bomby. Major wydawał się padać ze zmęczenia. Był posiniaczony, a zakrwawiony mundur zwisał mu w strzępach. Izraelski naukowiec spoglądał na niego z narastającym podziwem. Ale jednocześnie czuł się nie w porządku wobec tego człowieka, ponieważ, zgodnie z rozkazami rządu, miał go za chwilę okłamać. Na szczęście nie w sprawie bomb.

- Czy to już na pewno wszystkie, profesorze? - W głosie O'Connella wyczuwało się

ogromne znużenie. Levi skinął twierdząco głową.

- Wraz z tymi dwiema mamy dziewięć bomb. To wszystko, jakie zostały Afryce Południowej. - Nachylił się nad jedną z połówek i uważnie przeczytał przyklejoną z tyłu kartkę. - Wydaje się, że przybyliśmy w samą porę.

- Tak? Levi wskazał na kartkę.

- Te kody wskazują, że broń została ostatecznie przetestowana, uznana za gotową do detonacji i przygotowana do transportu w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. O'Connell wzdrygnął się.

- Więc ci dranie zamierzali zrzucić kolejną bombę? Levi ponownie skinął głową i poklepał środek cylindra – gładki kawałek ciemnego metalu o rozmiarach połowy grejpfruta.

- Trudno uwierzyć, że taka mała bryła metalu może zabić tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy ludzi, nieprawdaż? Proszę mi uwierzyć, tych kilka kilogramów wzbogaconego uranu i odpowiednie ustawienie paru kilogramów materiału wybuchowego w zupełności do tego wystarczą. O'Connell machinalnie cofnął się. - Jezu! To jest U-235? Levi skrzywił się z dezaprobatą. Jak większość laików major miał zupełnie błędne pojęcie o broni jądrowej. Był także zbyt zajęty planowaniem samej akcji, żeby wysłuchać choć jednego wykładu profesora Levi dla Rangersów. Jak każdy naukowiec nie mógł się oprzeć pokusie udzielenia krótkiej lekcji.

- W postaci metalicznej U-235 nie jest radioaktywny. W zasadzie emituje jedynie cząstki alfa i nawet pańska skóra może je powstrzymać. - Przesunął dłonią po ciemnej powierzchni metalu. - Mógłby pan to trzymać przez cały miesiąc na kolanach i nie doznałby pan żadnych obrażeń. O'Connell przyjął z wdziękiem to naukowe tłumaczenie. Uśmiech na jego twarzy spowodował, że major przez chwilę wyglądał bardzo młodo.

- Niech to diabli, profesorze, zgadzam się spać z każdą z tych cholernych bomb przez cały rok, jeśli tylko udałoby się w ten sposób wydostać je bezpiecznie z tego zwariowanego kraju. Do bunkra weszło dziesięciu Rangersów z plutonu pomocniczego. Dowódca plutonu zwrócił się do O'Connella.

- Możemy już je zabrać stąd, majorze?

- Pewnie, Harry. I pospieszcie się trochę. - O'Connell ruszył w stronę wyjścia. Izraelski naukowiec spojrział na zegarek. Powinno wystarczyć. Pomógł Rangersom znaleźć i zdobyć arsenał nuklearny. Teraz musi spróbować wypełnić najtrudniejszą część misji, którą przyjął w tajemnicy przed Amerykanami. Odchrząknął.

- Pańscy żołnierze kontrolują większą część wzgórze, prawda? - Tak. - Nieduże grupki południowoafrykańskich żołnierzy nadal trzymały kilka odcinków rowów strzeleckich, ale większa część broniącego Pelindaby batalionu została wyeliminowana z walki. O'Connell zatrzymał się przy wyjściu i odwrócił do profesora.

- Dlaczego pan pyta? Levi przełknął z trudem ślinę.

- Chciałbym pana prosić o zezwolenie na przeszukanie centrum administracyjnego ośrodka. Chodzi o pewne dokumenty naukowe, które mogą mieć znaczenie dla obu naszych rządów. Między innymi dane dotyczące eksperymentów jądrowych i plany. - Spojrzął na żołnierzy, którzy pospiesznie przenosili rannych, zbierali broń i sprawdzali ciała zabitych. Z oddali dochodziły odgłosy bombardowania przez amerykańskie lotnictwo baz wojskowych w okolicy Pretorii. - Potrzebuję na to jedynie kilku minut. Najwyżej pięciu. O'Connell ruszył dalej, nie odpowiadając. Jego twarz miała teraz nieprzyjemny wyraz. Levi pokuśtykał za nim.

- Proszę, to ważne. Amerykanin zatrzymał się i odwrócił.

- Zgadzam się, profesorze. Ale pańska obecność tam nie jest konieczna. Oddział kapitana Kelly'ego już przeszukuje budynek administracji. Wiedzą, czego szukać. Potrzebujemy pana tutaj, przy bombach. Levi zamarł. Amerykanie byli przed nim? Spróbował jeszcze raz. - Jednak moja wiedza techniczna może być im bardzo po-

mocna. Powinienem tam być...

- Żeby mógł pan zniszczyć wszelkie dokumenty mówiące o liczbie i miejscu składowania broni jądrowej w pańskim kraju? Nie sędzę, profesorze. Leviemu opadła szczęka. O'Connell uśmiechnął się krzywo.

- Pan i pańscy przełożeni powinni znać nas trochę lepiej. Amerykanie są czasami naiwni, ale nie są głupcami. Oczywiście, jesteśmy wdzięczni za pomoc, jakiej udzielił nam pański kraj, ale nie znaczy to, że zamykamy na wszystko oczy i uszy. - Pokręcił wolno głową. - Obawiam się, że jerozolima będzie musiała się pogodzić z myślą, że niektóre z jej najściślej strzeżonych tajemnic przestały być tajemnicami. Levi patrzył na niego przez chwilę szeroko otwartymi oczami, a wreszcie wruszył ramionami, przyjmując porażkę. To by było na tyle, jeśli chodzi o plan Mossadu. Waszyngton wkrótce będzie wiedział, ile wzbogaconego uranu otrzymał Izrael z ośrodka w Pelindabie. To pozwoli z łatwością obliczyć, ile bomb atomowych zdołał wyprodukować jego kraj. No cóż, osobiście nie zależało mu tak bardzo na oszukiwaniu Amerykanów.

- W takim razie, panie majorze, w czym jeszcze mógłbym panu pomóc? Pańscy ludzie wkrótce załadują pozostałe bomby, ale jest jeszcze wielu rannych do zabrania. Ponieważ w czasie służby przeszedłem podstawowy kurs pierwszej pomocy, może mógłbym pomóc waszym lekarzom? Zmęczone oczy O'Connella zabłyśły wdzięcznością.

- Bardzo chętnie. Moi ludzie docenią pańskie poświęcenie. Proszę... - Przerwał nagle, gdy jego wzrok spoczął na żołnierzach pochylających się nad zabitymi i sprawdzających ich plakietki Identyfikacyjne. Przez dłuższą chwilę kompletnie przybity nic nie mówił. Potem odezwał się łamiącym głosem: - Spodziewałem się strat, ale nigdy nie sądziłem, że będą aż tak duże. Levi próbował go pocieszyć.

- Jednak wygrał pan, majorze. Poświęcenie pańskiego batalionu może oszczędzić życie tysiącom ludzi.

- Jeszcze nie wygraliśmy. Mamy przed sobą drogę do lotniska Swartkop i załadowanie tych cholernych bomb na samoloty. Levi odwrócił wzrok na pomarańczowoczerwony horyzont oświetlony dziesiątkami pożarów. Nisko nad Pretorią ciągle przemykały myśliwce, szukając nowych celów. Rozłożył ręce w geście zdziwienia.

- Czy zostało coś Afryce Południowej, czego mogłaby teraz użyć przeciwko nam?

- Nie wiem, Esher. Nadal jest możliwe, że mają coś, co może nas wszystkich wykończyć. - Podniósł głos. - Weisman! Radiowiec podbiegł do nich.

- Majorze? Powiadom wszystkich dowódców, że wyruszamy za pięć minut. Niech każda wolna ciężarówka jedzie do głównej bramy. Musimy zabrać wielu rannych. Powiedz Carrerze, że już jesteśmy w drodze. jasne? Weisman skinął żywo głową, już w myślach wybierając zakodowane zwroty, których musiał użyć, żeby przekazać rozkazy majora. O'Connell dodał: - jak już wszystko załatwisz, połącz mnie z eskadrami Night Stalker i Tiger. Potrzebuję porządnej ochrony w drodze na lotnisko. Levi rozejrzał się za lekarzem, któremu mógłby zaoferować swoją pomoc. Zły nastrój dowódcy najwyraźniej minął. Skupił się na pracy, która ich jeszcze czekała. Małe grupki Rangersów pospiesznie wykonywały rozkazy. jedni pomagali rannym wsiąść do zdobytych ciężarówek, inni wynosili skrzynki z dokumentami z budynku administracyjnego i umieszczali w stojących przed nim samochodach. W północnej części kompleksu żołnierze nadal ostrzeliwali kilka ostatnich południowoafrykańskich pozycji obronnych. W końcu zaczęli opuszczać stanowiska, przyłączając się do formujących się przy głównej bramie plutonów. Rangersi byli gotowi do opuszczenia ogarniętego ogniem ośrodka Pelindaby.

- **Rooikat Dwa Jeden, Autostrada im. Bena Schoemana, okolice Pelindaby**

Na południe od pelindaby pojedynczy wóz bojowy znalazł wreszcie odpowiednią kryjówkę przy drodze. Kierowca zwolnił obroty silnika. Wyschłe gałązki zatrzeszczały, a następnie ustąpiły, gdy długa lufa 76-milimetrowego działka *Rooikata* wysunęła się z gęstwiny. Kapitan Martin van Vuuren wychylił się z wieżyczki.

- Stać! Wypowiedziany głośnym szeptem rozkaz spowodował, że silnik zamarł w jednej chwili i wóz stanął. Południowoafrykański kapitan rozejrzał się dookoła, sprawdzając otaczający ich teren. Na jego ustach pojawił się blady uśmiech zadowolenia. Doskonale. *Rooikat* ukrył się w małej, gęstej kępie karłowatych drzewek i krzaków, które porastały zbocze przy Autostradzie im. Bena Shoemana. Droga szybkiego ruchu łączyła Pretorię z Johannesburgiem, a także Ośrodek Badań Atomowych w Pelindabie z lotniskiem Swartkop. Kapitan spojrzał na płataninę gałęzi nad głową pomyślał z zadowoleniem, że znaleźli doskonałe schronienie przed latającymi nad Pretorią kubańskimi myśliwcami. Van Vuuren nadal jednak nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Jego oddział odbywał rutynowy patrol, kiedy rozpoczął się nalot. Nieprzyjacielskie samoloty zataczały szerokie koła nad bazą wojskową Voortekker Heights i Pelindabą. Radostacja w jego wozie nie działała, zagłuszana na wszystkich pasmach przez wrogie samoloty. Stracił także dwa *Rooikaty*. Pierwszy z nich zmienił się w kulę ognia, trafiony z działka pokładowego ataku Jącego myśliwca. Drugi zniknął im w pewnej chwili z oczu, gdy uciekali w popłochu przed atakującymi samolotami. Ślady pozostawione na wieży *Rooikata* Dwa jeden przez odłamki pocisków pokazywały, jak zacięty był pościg. Pałce van Vuurena prześliznęły się delikatnie po przedzie na lewym policzku. Skrzywił się, przypominając sobie potężne uderzenie, które rzuciło go na komputer balistyczny i ekran laserowego dalmierza. Bomba musiała wybuchnąć nie dalej niż trzydzieści, czterdzieści metrów od wozu. Czuł wyraźne zadowolenie, że udało im się ukryć i jednocześnie odsunąć od linii ognia. Zduszone pokasywanie dochodzące z wnętrza wozu przypominało mu o załodze. Zniżył się do zatłoczonego, oświetlonego niewyraźnym, czerwonym światłem wnętrza wozu. Patrzący na niego zaniepokojone twarze. Kręgi wokół oczu celowniczego kaprała Meitjensa, efekt bezustannego przyciskania twarzy do celownika, upodabniały go do szopa pracza.

- Poczekamy. - Van Vuuren sam nie czuł się najpewniej, ale starał się mówić jak najbardziej zdecydowanym tonem. - A ty nie odrywaj oczu od tego cholernego celownika! Meitjens nie ociągał się z wykonaniem rozkazu. Wolno mijały minuty. Van Vuuren zostawił otwarte klapy. Po półgodzinnej jeździe we wnętrzu było gorąco. Chłodne nocne powietrze, dostające się teraz do środka, przynosiło lekką ulgę. Z daleka dochodziły odgłosy walki i południowoafrykański oficer, siedząc nieruchomo z zamkniętymi oczyma, zastanawiał się, co robić. Od czasu do czasu przelatywały nad nimi z potężnym rykiem wrogie myśliwce, szukając nowych obiektów ataku. Z czasem bombardowanie zaczęło tracić na sile. Dranie nie mają pewnie już do czego strzelać, pomyślał van Vuuren. Od północy doszedł terkot ręcznej broni automatycznej. Dowódca wozu pancernego wyprostował się nagle. Ręczna broń? Czyżby garnizon broniący Pelindaby usiłował zestrzelić któryś z wrogich samolotów, używając karabinków? jeśli tak, to żołnierze mieli więcej odwagi niż rozumu.

- Kapitanie! Jakież ciężarówka jadą na południe autostradą! Po głosie Meitjensa można było poznać, że jest kompletnie zaskoczony. Kapitan jednym ruchem odsunął kaprała na bok i przycisnął I warz do urządzenia termowizyjnego. Na zielonym tle zobaczył wyraźne kształty. Rany boskie! To rzeczywiście ciężarówka. Co za idiota zdecydował się na wysłanie konwoju główną drogą, nadktórą bez przerwy latają nieprzyjacielskie samoloty, pomyślał równie zdezorientowany. Zaczął liczyć na głos.

- Dziesięć, jedenaście, dwanaście... osiemnaście, dziewiętnaście... - Przerwał liczenie. Drogą jechało ponad dwadzieścia ciężarówek z prędkością dwudziestu kilometrów na

godzinę. Nawet w normalnych warunkach był to olbrzymi konwój. A przecież trwał nalot nieprzyjaciela. Czegoś tu nie rozumiał. Dlaczego te wozy nie zostały jeszcze rozwalone przez nieprzyjacielskie samoloty? Mgliste podejrzenia nagle zmieniły się w pewność. Tam również był nieprzyjaciel! I dlatego samoloty nie atakowały! Nie mógł tylko zrozumieć, w jaki sposób Kubańcy mogli znaleźć się tak szybko w okolicach Pretorii! W tej chwili ważne było jednak to, że ma przed sobą swojego wozu kolumnę komunistycznych ciężarówek.

- Cel! Pięćset metrów! Załaduj działą! - W zasadzie powinien pozwolić Meitjensowi nastawić przyrządy celownicze, ale nie mógł się oprzeć pokusie zrobienia tego samemu. W ciągu ostatniego czasu, kiedy wokół szalało piekło, czuł przeraźliwy strach. Teraz postanowił osobiście zrewanżować się *uitlanders* za to okropne uczucie. Zresztą nie przedstawiało to żadnego problemu - Amerykanie nazwaliby taki strzał "polowaniem na siedzącą kaczkę". Dwa lub trzy z przodu i dwa z tyłu powinny unieruchomić cały konwój, wystawiając pozostałe wozy pod ostrzał. Na tym pustym odcinku autostrady wróg pozostawił setki trupów. Van Vuuren chwycił urządzenie celownicze z działą i obrócił wieżę w prawo. Na zielonym tle pojawił się zarys prowadzącego wozu, a na nim biały krzyżyk celownika. Nacisnął kciukiem klawisz laserowego dalmierza i na ekranie pojawiły się cyfry: 382 metry. Zignorował dochodzące z tyłu niechętnie pomruki Meitjensa. Celowniczy będzie musiał się nauczyć, że z rangą wiąże się pewne przywileje.

- Ognia! - Van Vuuren nacisnął przycisk. Biały rozbłysk rozjaśnił lufę i wozem rzuciło do tyłu. W powietrzu zawirował pył wzbity przez wystrzał działą. Kapitan usiłował zobaczyć efekt, ale nic nie było widać przez zasłonę kurzu. No, szybciej! Opadaj! Nic nie widać! Wreszcie! Jest! A niech to szlag! Van Vuuren z wściekłością wpatrywał się w wizjer. Ciężarówka, do której strzelał, nadal jechała, a obłok dymu na oddalonym o dwieście metrów od drogi wzgórz pokazywał, gdzie trafił pocisk. Albo spudłował, albo pocisk przebił płócienną boki ciężarówki, nie trafiając w nic dostatecznie twardego do uruchomienia zapalnika.

- Następny! Działą było już załadowane. Van Vuuren znowu skierował je na prawo, naprowadzając biały krzyżyk na ciężarówkę. Tym razem cię załatwię, obiecał sobie w myślach. Nacisnął klawisz dalmierza. W pierwszej chwili na ekranie pojawiły się liczby, ale wszystko coraz bardziej blakło, aż zupełnie zniknęło. Van Vuuren patrzył na ciemny ekran i niczego nie rozumiał. Nie działał ani komputer balistyczny, ani termowizja. Jedną część Jego spanikowanego umysłu zachowała dosyć rozsądkiem, żeby domyślić się przyczyny. Wybuch, który zarysował wieżę *Rooikala*, uszkodził także delikatną elektronikę wozu.

- Meitjens! - Wygrzebał się szybko z siedzenia. Tylko celowniczy miał dostateczne doświadczenie, żeby ponownie uruchomić komputer. Zaklął głośno, kiedy zderzył się z kapralem, który właśnie szykował się do zajęcia miejsca. Próba pokierowania ostrzałem przez van Vuurena była stratą Clasu, którego w tej sytuacji nie mieli za dużo.

- **Prowadzący Night Stalker, 160. Pułk Kawalerii Powietrznej nad Pelindabą**

Pięćdziesiąt metrów nad autostradą helikopter szturmowy *McDonnell Douglas MH-8*, zwany Night Stalker, zniżył lot, wykonując jednocześnie ostry skręt. Noszone przez członków załogi gogle noktowizyjne *AVS-6* upodabniały ich do jakichś ogromnych i niesamowitych owadów. Specjalny hełm pozwalał na prowadzenie obserwacji w nocy, przy kącie widzenia 40°, z nie spotykaną wcześniej precyzją. Zdolność nocnego widzenia i długie lata treningu uczyniły ze 160 Pułku wyjątkowo sprawną jednostkę. Ich motto: "Śmierć czeka w ciemnościach" było jak najbardziej uzasadnione.

Helikoptery pułku udowodniły swoją przydatność w walkach nad Panamą i Zatoką Perską. Teraz miały się wykazać nad Afryką Południową. Pilot prowadzącego Night Stalkera, major armii USA, wyrównał lot na pułapie piętnastu metrów nad ziemią.

Dan, widziałeś, skąd padł strzał?

- Szukam. - Drugi pilot, a zarazem strzelec, podoficer w średnim wieku, który przedwcześnie zaczął siwieć, przeszukiwał uważnym wzrokiem każde miejsce, każdy zakamarek. Obraz widziany przez gogle był niemal jak z komiksów science fiction-Tam! Cel na trzeciej godzinie! Pilot zobaczył cel niemal w tej samej chwili; wyraźny zarys wozu pancernego, prawie niewidocznego w gęstwinie drzew na wzgórzu około drogi. Zwolnił, żeby umożliwić strzelcowi namiar.

- Załatw drania!

- Już się robi! - Na widocznym w monitorze celu pojawił się krzyżyk.

- Namierzony! Pilot śmigłowca opuścił nos maszyny.

- Strzelam! Ostatnia rakietą przeciwczołgowa *TOW* wystrzeliła i skierowała się w stronę obiektu, ciągnąc za sobą supercienki kabel. W ciągu kilku sekund przemierzyła 600-metrową odległość dzieląc pojazd od helikoptera i wybuchła. trafiając w wieżę wozu. Jednoczesna eksplozja paliwa i amunicji dosłownie rozerwała *Rooikata*, a płonące szczątki jak meteory z niesłychaną prędkością poszybowały w różnych kierunkach. Po chwili całe wzgórze usiane było dopalającymi się fragmentami maszyny. Rakietą prowadzącego Night Stalkera zniszczyła ostatnią przeszkodę na drodze DZIELNEJ FORTUNY. 1. Batalion Rangersów miał otwartą drogę na lotnisko Swartkop.

### • **Batalion Rangersów. lotnisko wojskowe Swartkop.**

Lotnisko Swartkop było prawie wymarłe. Zbombardowane magazyny i hangary jeszcze się tliły. Na zniszczonej miejscami płycie lądowej w słońcu ogromne plamy oleju. Wszędzie widać było zmasakrowane ciała. Jedyne ruch panował przy końcu pasów startowych. Z boku stał potężny samolot transportowy *C-141*. Przy otwartej rampie luku bagażowego dwaj oficerowie ponaglali żołnierzy wnoszących nosze z rannymi. Mimo widocznego pośpiechu ich ruchy wyrażały ogromne zmęczenie. Część Rangersów leżała wokół maszyny, bacznie obserwując otoczenie z bronią gotową do strzału. Trzy pozostałe *Starlifter*y kołowały właśnie na pas startowy. Pierwszy z nich dotarł już na miejsce i na chwilę się zatrzymał. Ziemia zdrząła od ogłuszającego, narastającego huku, gdy ruszył, nabierając prędkości. Po chwili wyprysnął w powietrze. Major Robert O'Connell przyglądał się temu z niewyobrażalną ulgą. Bomby atomowe znajdowały się już prawie poza zasięgiem Południowoafrykańczyków. Minutę później wzbił się kolejny samolot, a trzeci poszedł zaraz w jego ślady. Wszystkie skierowały się do amerykańskiej bazy Diego Garcia, pierwszego etapu długiej drogi do Stanów.

- Rob, udało się! Teraz my wynosimy się z tego cholernego miejsca! O'Connell odwrócił się. Kapitan Mike Carrera z 2. Batalionu Rangersów wskazywał na puste ciężarówki. Wszyscy ranni znajdowali się już na pokładzie ostatniego *C-141*. Skinął głową.

- Koniec, Mike. Pakuj swoich ludzi do samolotu!

- Dobra. - Carrera odwrócił się na pięcie i krzyknął przez złożone dłonie: - Alfa Dwa, zwijamy się! Rangersi z 2. plutonu Kompanii Alfa podnosili się drużynami z płyty lotniska i biegli do samolotu. Kiedy ostatni żołnierze zniknęli w środku, Carrera dał znak dowódcy personelu pokładowego, który czekał niecierpliwie przy kontrolkach rampy.

- Zamykamy! Odwrócił się do O'Connella z szerokim uśmiechem na twarzy. - Niech mnie szlag trafi, panie majorze! Mogę się teraz przyznać. Nigdy nie sądziłem, iż uda

nam się wykonać to pieprzone zadanie. Moje gratulacje. O'Connell ze smutnym uśmiechem spojrzął do wnętrza wypełnionego luku towarowego. Kilkudziesięciu żołnierzy owiniętych w pokrwawione bandaże leżało pod prawą burtą. Inni siedzieli w milczeniu pod ścianami, ściskając w trzęsących się rękach *M16*. Pierwsze raporty podawały, że straty sięgały ponad pięćdziesiąt procent. Batalion Rangersów został prawie całkowicie zniszczony. ale wykonał zadanie. Spojrzął w zmęczone, ale błyszczące oczy Carrery.

- Tak. Udało się. Mam tylko cholerną nadzieję, że nasza ofiara była tego warta. Carrera rzucił zimne spojrzenie na wznoszące się na zachodzie i północy słupy dymu i płomieni.

- Jedna rzecz jest zupełnie pewna. Dranie na długo nas zapamiętają. O'Connell skinął w milczeniu głową. Tylne rampy zamknęły się z jękiem. *C-141* kierował się w stronę pasa startowego. Karl Vorster stracił właśnie broń jądrową.

## 31

### Przyczółek

- **7 grudnia - Baza Morska Simonstown. Kapsztad**

- Jest śmigłowiec. - Generał Chris Taylor, dowódca Niezależnych Sił Obronnych Prowincji Kraj Przylądkowy, wskazał na morze. Z początku śmigłowiec był widoczny jedynie jako ciemna plama unosząca się nad niskimi, białymi grzywami fal. jedynie łoskot łopaty wirnika nadawał realności punktowi oświetlonemu promieniami księżyca. Helikopter kierował się w stronę mola w bazie marynarki Simonstown. Ta część miasta była kontrolowana przez żołnierzy Taylora, ale jednocześnie znajdowała się w zasięgu artylerii garnizonu Góry Stołowej. W zasadzie cały Kapsztad narażony był na ostrzał z potężnych dział i to stanowiło poważny problem. Ulokowani na górze żołnierze Vorstera uniemożliwiali całkowite oswobodzenie miasta, ponieważ każda oznaka większej aktywności ściągała natychmiast na siebie ogień artyleryjski. Od ponad trzech tygodni miasto było systematycznie niszczone. Mieszkańcy starali się wychodzić jedynie w nocy, nie używając świateł i starając się nie robić hałasu. Większość białych obywateli uciekła na wieś, ale Murzyni nie mieli takiej możliwości. Ich życie związane było z miastem. Transport miejski był ściśle kontrolowany, a wojsko Taylora zajmowało się utrzymywaniem porządku. Ci, którzy nie byli zajęci ściganiem plądrujących miasto złodziei czy eskortowaniem transportów żywności, tworzyli kordon wokół góry, ostrzegając przed ostrzałem ze strony wojsk rządowych. Wojsko Vorstera rozlokowało się w sieci ufortyfikowanych jaskiń i tuneli, wykutych w litej skale. Dysponując jedynie batalionem piechoty i artylerią, z łatwością odparli dwa ataki o wiele silniejszych oddziałów Taylora, który stracił podczas natarcia tak wielu żołnierzy, że całkowicie zrezygnował z zajęcia góry siłą. Klasyczne oblężenie było zbyt kosztowne i długotrwałe. Generał nie znał dokładnie danych dotyczących punktów obrony, ale wszyscy w armii wiedzieli, że na górze zmagazynowano zapasy żywności i amunicji wystarczające na kilka miesięcy. Po codziennym ostrzale można było zorientować się, że obleżeni mają wielkie zapasy amunicji, w tym pocisków do



haubic G-5. Ciężkie, 155-milimetrowe działa o czterdziestokilometrowym zasięgu stanowiły ich podstawową broń. No cóż, pomyślał Taylor, jeśli będą mieli trochę szczęścia, zakończą tę walkę z pomocą Amerykanów. Taylor, jego zastępca Adriaan Spier i zastępca gubernatora Fraser właśnie udawali się na spotkanie z dowódcą amerykańskiej floty inwazyjnej, która zbliżała się do Kapsztadu. Upewniwszy się, że promień latarki jest niewidoczny dla ludzi na lądzie, jeden z eskortujących żołnierzy skierował go w stronę nadlatującego śmigłowca. Jakby dla sprawdzenia, czy jest to rzeczywiście uzgodniony sygnał, śmigłowiec zawisł nad wodą, pięćdziesiąt metrów od nich. Fosforyzująca piana tworzyła się w miejscu, gdzie potężny podmuch powietrza wzburzał niskie fale. Helikopter wisiał nieruchomo, aż południowoafrykański sygnalista wskazał odpowiedni fragment mola. Wtedy powoli ześlizgiwał się na prawo i wylądował. Betonowe molo miało w tym miejscu dziesięć metrów szerokości. Kiedyś Simonstown było bazą morską Holendrów, " później brytyjskiej Royal Navy. Obecnie służyło resztkę floty południowoafrykańskiej, a dokładniej kilku ścigaczom patrolowym. Większość jednostek została zniszczona w czasie walk, a nieliczne, którym udało się przetrwać, ukryto w portach wzdłuż wybrzeża, czekając na lepsze czasy. Niewielkie okręty nie nadawały się do walki z artylerią Góry Stołowej. Gdy tylko helikopter wylądował, Taylor uściśnił ręce kilku towarzyszącym mu do tej pory osobom, przyjął życzenia pomyślnego załatwienia spraw i ruszył w stronę maszyny, schylając się pod wolno obracającymi się łopatami wirnika. Za nim szli Spier i Fraser. Z pomocą amerykańskich żołnierzy trzej mężczyźni szybko weszli na pokład. Wnętrze helikoptera oświetlała czerwona lampa. jeden z członków załogi, o niewidocznej pod szybą hełmu lotniczego twarzy, pomógł im zapiąć pasy. Helikopter nie zdążył jeszcze nabrać wysokości, gdy ciemności nocy rozjaśnił błysk wybuchu i w górę wzbija się fontanna wody. Taylor poczuł, jak maszyna zadygotała. Siedzący obok niego Spier pochylił się gwałtownie do przodu.

- To strzał namiarowy. Musieli coś zauważyć. Pewnie tak. Nawet najmniejszy ruch mógł zwrócić uwagę obserwatorów artylerii ukrytej w tunelach Góry Stołowej. Drugi pocisk spadł jeszcze bliżej mola. Taylor zaklął cicho. Nawet niezbyt celny strzał mógł spowodować katastrofę. Usłyszał narastający ryk silników, gdy pilot przesunął manetkę sterowania obrotami maksymalnie do przodu. Helikopter ślizgał się nad falami, nabierając ciągle prędkości. Trzeci pocisk trafił dokładnie w miejsce niedawnego postoju maszyny, a Taylor miał nadzieję, że i jego eskorta nie czekała na kolejne strzały. Helikopter służył do transportu wojska; była to wersja *Sikorskiego UH-60*, o nazwie *Nighthawk*, wyposażona w sprzęt do nocnych lotów. Trzej afrykanerscy pasażerowie rozglądali się z ciekawością. Po chwili wręczono im słuchawki interkomu. Taylor zdjął beret i gdy tylko włożył słuchawki, usłyszał: - Dzień dobry, panom. Podpułkownik Haigler, Korpus Piechoty Morskiej USA, do waszej dyspozycji. Pułkownicy zazwyczaj nie pilotowali helikopterów.

- Dzień dobry... pułkowniku - odpowiedział Taylor, który nadal myślał o sobie jako majorze i chciał się w pierwszej chwili zwrócić do Haiglera per "sir". Awansował na podpułkownika, pułkownika, a w końcu na generała już po rozłamie w armii, w trakcie ostatnich walk. Nowe wojska Kapsztadu potrzebowały bowiem dowódców. Jego zastępca z porucznika w krótkim czasie został mianowany pułkownikiem.

- Jak daleko do pańskiej floty, pułkowniku? - spytał Fraser. Dobitny głos pilota odezwał się w słuchawkach.

- Jakies sześćdziesiąt mil - morskich mil. Oczekiwany czas przybycia na okręt wynosi czterdzieści minut. Taylor obejrzał się za siebie. Wybrzeże zniknęło w ciemnościach, a helikopter leciał zaledwie trzydzieści metrów nad falami. Nie było żadnych znaków nawigacyjnych. Mimo wszystko ufał zdolnościom pilota. Musiał. Po trzydziestu minutach helikopter zaczął się wznosić. Wtedy usłyszeli głos Haiglera.

- Myślę, że warto pooglądać widoki, są rzeczywiście wspaniałe. - Wyjrżeli przez okno.

Na wschodzie jaśniała poranna zorza. Morze, jeszcze przed chwilą ciemne, zaczęło mienić się różnymi odcieniami złota i czerwieni. Taylor musiał w pewnym momencie przerwać obserwację, ponieważ zupełnie ogłuchł. Usiłował zapobiec temu, gwałtownie przełykając ślinę. Rzeczywiście trochę pomogło. Od razu pomyślał o żujących gumę amerykańskich pilotach. Wiedział już teraz dlaczego. Zerknął znowu w dół. Widok, który ujrzał, zaparł mu dech w piersiach. Woda roiała się od okrętów. Zastanawiał się przez chwilę, co miał na myśli amerykański pułkownik, proponując im piękne widoki. Czy naprawdę chodziło o wschód słońca? Intensywnie wpatrywał się w olbrzymią liczbę większych i mniejszych jednostek. Wiedział, że płyną w szyku, mimo że na pierwszy rzut oka wydawało się, że we flocie panuje chaos. Od razu zwrócił uwagę na charakterystyczną sylwetkę lotniskowca. Był przekonany, że tam właśnie lecą. Nagle stosunkowo blisko ich maszyny mignęły z ogłuszającym hukiem srebrzyste, smukłe sylwetki. To były dwa myśliwce *F-14*. Teraz już był pewny, że widowisko było z góry zaplanowane, a efekt łatwy do przewidzenia. Doskonale uwidoczniła się potęga zbliżających się do ich wybrzeży wojsk. *Nighthawk* lekko zarzuciło, gdy po łagodnym łuku skierował się w dół. Taylor ze zdziwieniem zobaczył, że nie kierują się na lotniskowiec, tylko na płynącą trochę dalej monstrualnie dużą jednostkę. Oglądał zdjęcia i czytał o pancernikach amerykańskich, ale żadna lektura nie dawała wyobrażenia o ich ogromie. Trzeba to było zobaczyć na własne oczy. Co było najdziwniejsze, pancernik był przy tym proporcjonalny i zgrabny. Zaśmiał się w duchu na to określenie pasujące raczej do filigranowej kobiety, a nie masy metalu o wyporności prawie pięćdziesięciu tysięcy ton. Gdy helikopter usiadł na pokładzie, po jego obu stronach ustawiły się dwa rzędy żołnierzy Piechoty Morskiej w mundurach polowych. Pierwszy wysiadł Fraser, za nim Taylor, a na końcu Spier. Gdy rozległy się gwizdki bosmanów, zatrzymali się na chwilę, a oba rzędy żołnierzy zaprezentowały broń. Taylor i jego towarzysze podeszli do grupy oficerów. Generał major Jerry Craig uważnie obserwował zbliżających się Południowoafrykańczyków. Byli jego potencjalnymi sprzymierzeńcami, ale wiedział, że to przymierze było tymczasowe. Taylor spodobał mu się od pierwszego wejrzenia. Był wysokim, młodym człowiekiem, o twarzy wzbudzającej zaufanie. Ale jego spojrzenie było jakby odległe, zatroskane, a zarazem czujne. Z takim wyrazem oczu spotykał się w Wietnamie u tych, którzy oglądali i ocierali się o śmierć, poznali okrucieństwo wojny, a często też jej bezsens. Spier był podobny do swojego przełożonego, tylko bardziej spontaniczny. Widać było, że nie w pełni zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności. W przeciwieństwie do Taylora, który wydawał się nią przytłoczony. Fraser był zupełnie inny. Wyglądem przypominał mu polityków amerykańskich. Postawny, dobrze odżywiony, pewny siebie, o twarzy inteligentnej, ale też przebiegłej. A Craig nie znosił polityków. Nastąpiła teraz ogólna prezentacja i raporty. jako pierwszy meldował kapitan USS "Wisconsin", a po nim dowódcy Korpusu Ekspedycyjnego Piechoty Morskiej i inni. Czas na dalsze uroczystości, pomyślał z przekąsem Craig po wysłuchaniu ostatniego raportu. jako starszy oficer pełnił honory "domu".

- Czy zechcieliby panowie towarzyszyć nam do kwater oficerskich? Jesteśmy przekonani, że śniadanie będzie bardzo dobrym wstępem do rozmów. Po krótkim, typowo amerykańskim lunchu przeszli do zwiedzania okrętu, Taylor był przytłoczony jego ogromem i wręcz zaszokowany wyposażeniem. A czekała ich jeszcze największa atrakcja. Demonstracja uzbrojenia pancernika. Mimo że miały to być rutynowe ćwiczenia, Taylor dobrze wiedział, że chodzi o zademonstrowanie im siły ogniowej. Nie miał jednak nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, z niecierpliwością czekał na pokaz. Na razie jednak Craig i kapitan Thomas Malloy omawiali kwestie techniczne, więc południowoafrykański generał wdychał czyste morskie powietrze. Był to jego pierwszy spokojny dzień od chwili rozpoczęcia wojny domowej w jego kraju.

- Panowie, proszę za mną. W czasie ćwiczeń musimy schronić się na mostku -

usłyszał po chwili głos Creiga. Niechętnie opuszczał pokład, ale Craig wiedział, co robi. Gdy tylko weszli do środka, kilku marynarzy podbiegło, żeby zamknąć za nimi opancerzone drzwi. Już w czasie pobieżnego zwiedzania okrętu Taylor zauważył ciężkie, stalowe framugi i osadzone w nich potężne drzwi. Malloy nazwał mostek "cytadelą pancerną" okrętu. Termin wydawał się doskonale pasować do tego, co Taylor teraz widział: stalowy szkielet grubości dwudziestu centymetrów, oszklony pancernymi szybami. Na rozkaz Malloya "Wisconsin" zmienił kurs. Rozbrzmiał przenikliwy dźwięk syren, który ostrzegał wszystkich o niebezpieczeństwie przebywania w pobliżu wież artyleryjskich. Lufy potężnych dział wysunęły się złowieszczo nad sterburtę, nakierowując się na cel. Craig wyjaśnił, że załogi dział dostały namiary i muszą dokładnie trafić w oddalone o dwadzieścia mil wyznaczone punkty.

- Gotowe! Pal! - padła do słuchawki komenda Malloya. Po niej rozległy się dwa przenikliwe gwizdki, a potem... przeraźliwy grzmot ogłuszył wszystkich. Szyby na mostku niebezpiecznie zadrżały, a cały okręt zakołysał się i jakby cofnął, gdy dziewięć szesnastocalowych pocisków, o wadze tony każdy, wystrzelonych z ogromną siłą, w chmurze dymu i ognia pognało w kierunku niewidocznych gołym okiem celów. Taylor bez sprawdzania wiedział, że wszystkie strzały były precyzyjne. W ciszy, która zapadła po salwie, młody generał oszołomiony odwrócił się do generała Piechoty Morskiej i skinął głową.

- Sądzę, że to powinno załatwić sprawę.

### • **Kajuty oficerów, USS "Wisconsin"**

Generał Jerry Craig miał ochotę ostentacyjnie wstać i wyjść. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem. Fraser nie przestawał mówić.

- Generale Craig, nalegam na oświadczenie, że pański rząd uznał legalność naszego rządu, podejmując nas na tym okręcie. Doceniam to i pragnę jedynie otrzymać formalne potwierdzenie, zanim przejdziemy do bezpośredniego planowania waszej interwencji wojskowej. Fraser potrzebował aż dwóch godzin, posługując się przepisami prawa międzynarodowego, Biblią i własną retoryką, żeby ustalić jedną kwestię: prowincja Kraj Przylądkowy ma być od tej pory niezależnym państwem. Craig chciał rozmawiać o zupełnie innych problemach: wsparciu logistycznym, łączności radiowej, danych wywiadu na temat sił i pozycji nieprzyjaciela. Obcesowe naleganie Frasera na oddzielenie się prowincji od reszty kraju było dla niego kompletnym zaskoczeniem. Południowoafrykański polityk domagał się spowodowania oficjalnego uznania nowych władz Kraju Przylądkowego przez pozostałe prowincje oraz inne kraje i podporządkowania się nowym zaleceniom tych władz. Aby to uprawomocnić, Craig miał go zapewnić, że władze USA swój konsulat w Kapsztadzie podniosą do rangi ambasady. Teraz natomiast, przed rozpoczęciem jakichkolwiek działań, Craig miał podpisać traktat o wzajemnej pomocy, w tym, oczywiście, wojskowej. Generał czuł, że wszystko zaczyna się w nim gotować. Fraser zwyczajnie przystawiał im pistolet do głowy. jeśli mają ocalić cokolwiek w Afryce Południowej, jego wojska muszą jak najszybciej znaleźć się na lądzie. jednak władze Kapsztadu były zainteresowane jedynie własną przyszłością polityczną. Fraser nawet nie starał się tego ukryć.

- Kraj Przylądkowy różni się pod względem kultury i politycznej filozofii od innych prowincji. Nie jesteśmy tępogłowymi Burami. W tej chwili pojawiła się historyczna szansa, żeby zdecydować o losie naszego kraju. Chcemy być wolni od zewnętrznej kontroli i rozwijać się zgodnie z naszym przeznaczeniem. Muszę panu powiedzieć, generale, że u nas apartheid jest już historią. To mogła być prawda, ale Craig nie zamierzał dać się wplątać w politykę. Widział na własne oczy dane dotyczące Afryki Południowej w czasie spotkania w Pentagonie. Afrykanerzy od lat usiłowali zorganizować własne społeczeństwo według starej zasady: dziel i rządź. To naturalne,

że mieszkańcy Kapsztadu, którzy byli w większości pochodzenia angielskiego, chcieli oderwać się od reszty kraju. Fakty rzadko kiedy zgadzają się z pobożnymi życzeniami, pomyślał. Gospodarka całej republiki była zbyt silnie powiązana ze sobą, by poszczególne prowincje mogły istnieć samodzielnie. Cicha, pozbawiona emocji tyrada Fräsera wydawała się nie mieć końca. Jak dotąd Taylor i Spier nie zabierali głosu. W pewnym momencie Craig spytał generała o jego pogląd na całą sprawę. Fräser wtrącił się, zanim jeszcze ten zdążył otworzyć usta. - Mamy pełne poparcie naszego wojska, generale. Racja. Craig przypomniał sobie grubą teczkę, którą Spier niósł pod pachą i która teraz leżała na stole, obok łokcia Taylora. Starał się nie spoglądać w jej kierunku, ale miał pewność, że zawiera wszystko, czego potrzebuje. Czuł wyraźnie, że dwaj południowoafrykańscy oficerowie chcieliby przejść do omawiania konkretnych spraw, ale uzgodnili wcześniej, iż Fräser najpierw załatwi swoją. Craig odchrząknął.

- Niech pan posłucha, wszystkie te punkty może pan uzgodnić później z naszym Departamentem Stanu. Obecnie muszę porozmawiać z generałem Taylorem i pułkownikiem Spierem na temat koordynacji działań naszych sił i o wojskowych aspektach całej operacji. Fräser nie miał zamiaru ustąpić.

- Nalegam, panie generale, żeby wcześniej zadeklarował się pan, komu właściwie zamierza pan pomóc i w czym. Craigiem aż podrzuciło. Co ten facet sobie, u diabła, wyobraża? - Nie posiadam uprawnień do uznawania niepodległości jakiegokolwiek kraju, panie Fräser.

- Jednak już pan to zrobił, przyjmując nas jako oficjalnych przedstawicieli prowincji Kraj Przylądkowy. Craig zmusił się do spokoju i szybko rzucił: - Przepraszam, panowie. Wrócę za minutę. - Wstał i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju. Na korytarzu spotkał szefa sztabu, generała Georga Skilesa. Skiles w randze generała brygady należał do sztabu połączonych sił, którym kierował Craig. Skiles był znakomitym administratorem i zdjął z jego ramion masę papierkowej roboty.

- Jakie wiadomości?

- Właśnie odebrałem telefon z Departamentu Stanu. Twierdzą, że nie posiadają żadnych informacji o niezależnym rządzie Kraju Przylądkowego i mają zaufanie do pańskich zdolności podejmowania słusznych decyzji. Cholera! Dwadzieścia pięć lat służby i kiedy pierwszy raz potrzebował wsparcia, cwaniacy z Waszyngtonu zostawiali go na lodzie. Pokręcił ze złością głową. Mógł być pewien dwóch rzeczy. Pojawią się znowu, jak tylko zawrze jakiś układ. jeśli coś spieprzy, to tylko jego powieszają za jaja.

- W porządku. - Craig ruszył do swojej kabiny. Pomyślał chwilę, potem obmył twarz zimną wodą, zaczerpnął parę głębokich oddechów i wreszcie wezwał Skilesa.

- Wyciągnij Taylora z kabiny, ale samego, i przyprowadź go na mostek.

- Fräserowi nie spodoba się, że chcesz go wyłączyć. Craig zmarszczył brwi.

- Mało mnie to obchodzi. Powiedz Taylorowi, że dzwoni jego żona. Wymyśl coś. W tym czasie zajmij czymś tego... zastępcę gubernatora. To nie potrwa długo. Skiles skinął głową i wyszedł. Craig wspiał się na mostek. Nie czekał długo. Usłyszał metaliczny odgłos kroków i Południowoafrykańczyk stanął koło niego. Głos Taylora był chłodny i czysto formalny.

- Przyszedłem, ponieważ prosił mnie pan o to, nie zamierzam jednak negocjować na osobności. Pan Fräser jest naszym przedstawicielem podczas tych rozmów. Craig skinął nieznacznie głową.

- Rozumiem.

- Zresztą, nawet gdybym zawarł z panem jakieś oddzielne porozumienie, to i tak nie mam uprawnień, żeby je narzucić naszym władzom cywilnym.

- Jest pan tego pewien, generale? - spytał Craig. - To pan dowodzi siłami wojskowymi prowincji.

- Nie użyję po raz drugi tych sił do przeciwstawienia się władzy. - Jego ton stał się

trochę konspiracyjny. - jestem przekonany, że obaj tak samo nie lubimy polityków. - Kąciki ust drgnęły mu lekko. - jednak to oni trzymają wodzę, a każde przeciwstawienie się temu doprowadzi do powiększenia i tak już niebezpiecznego chaosu. Craig uśmiechnął się ugodowo.

- Zgadza się z panem. Poprosiłem pana tylko po to. Żeby zrozumiał pan moją sytuację. Chciałbym przekazać panu informacje, które może docenić jedynie wojskowy. Taylor uniósł brwi. Craig mówił wolno, uważnie wybierając drogę przez to słowne pole minowe. Chciał, żeby ten człowiek był jego sprzymierzeńcem, a nie wrogiem, do którego będzie musiał strzelać.

- Mam do swojej dyspozycji olbrzymią siłę: dywizję Piechoty Morskiej, samoloty i artylerię. W Stanach czekają kolejne dwie dywizje na informacje, że lotnisko D.F. Malan jest otwarte. Ci ludzie przybędą w ciągu dwudziestu czterech godzin od momentu wydania przeze mnie rozkazu. Taylor skinął ostrożnie głową. Wszyscy znali olbrzymie możliwości Armii Stanów Zjednoczonych. Generał kontynuował: - Wie pan także, że mamy bardzo ścisły i napięty rozkład zadań. Ten rozkład został przygotowany w oparciu o nasze możliwości, a nie potrzeby "niezależnej prowincji Kraj Przylądkowy" czy nawet całej RPA. W tej chwili tracimy bezcenny czas. Taylor znowu skinął głową. Kubańczycy zajęli już setki kilometrów Transwalu, jeśli Craig i jego wojska nie wkroczą szybko do akcji, dwie kolumny Castro zajmą przed nimi Pretorię, Johannesburg i kompleks górniczy Witwatersrand. Craig zawahał się. Teraz najgorsze.

- Będę z panem zupełnie szczery, generale. Zna pan siłę i możliwości moich wojsk. Widział je pan na własne oczy. Pragnę, aby nasze oddziały walczyły ramię w ramię, ale jeśli nie będziemy w stanie zawrzeć szybkiego porozumienia, wysadzę wojsko bez waszej zgody i podejmiemy walkę sami.

- Musielibyśmy wtedy walczyć z wami.

- Tak. Zarówno pan, jak i ja stracilibyśmy ludzi i czas, który będzie później kosztował o wiele więcej ludzkich istnień; a ja wygram. Taylor wiedział, że generał ma rację. Wojsko Kapsztadu, któremu brakowało dosłownie wszystkiego, nie miało szans powstrzymać Amerykanów. Mogło zwołać ich atak, zmusić do walki o każdy dom i zadać poważne straty, ale z jakim skutkiem? Kapsztad był jedną z najładniejszych metropolii Afryki Południowej. Nienawidził wojsk na Górze Stołowej za zniszczenia, jakie spowodowały w mieście, jednak te szkody byłyby niczym w porównaniu z pełną inwazją. Przed oczami przemknęły mu obrazy zniszczeń, jakie mogły przynieść pociski "Wisconsin". Craig stał oparty o barierkę. Odwrócił się teraz do Taylora.

- Jedyne powód, dla którego zgodziłem się słuchać chrzanienia Frasera to ten, że chcę uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Nie mogę jednak czekać w nieskończoność. Dochodzimy do punktu, gdzie stracony czas jest ważniejszy od ludzkiego życia. - Taylor patrzył na niego nieruchomym spojrzeniem. - Potrzebuję jedynie lotniska i nie muszę dbać o to, w jakim stanie będzie reszta miasta - przerwał, chcąc wzmocnić efekt. - To brzmi okrutnie, ale wszystko inne jest jeszcze gorsze, generale. Jest pan zawodowcem, a ja szanuję zawodowców, bez względu na ich pochodzenie. Zna pan swoje możliwości i swoje obowiązki. Nie mogę tracić więcej czasu. Craig odwrócił się w stronę morza. Na jego twarzy widać było poruszenie i Taylor starał się znaleźć odpowiednie słowa. W końcu nie odpowiedział, odwrócił się i wolnym krokiem ruszył do pokoju obrad. Kilka sekund po odejściu Taylora w drzwiach pojawił się Skiles. - Generale, potrzebuje pan czegoś?

- Poproś o chwilę przerwy. Zostawimy Południowoafrykańczyków samych na piętnaście minut i zaczynamy od początku. Craig wrócił po piętnastu minutach. W pomieszczeniu czuło się napięcie, jego ludzie byli wyraźnie zmęczeni rozmowami, ale pełni nadziei, że Craig znajdzie w końcu rozwiązanie. Taylor i Spier byli niespokojni, a Fraser wydawał się rozwścieczony, ale ze zrećznością wytrawnego polityka ukrywał

to pod maską spokoju. Od razu też zabrał głos. Tym razem uważnie dobierał słowa.

- Generale Craig, rozważaliśmy kwestię niezależności naszej prowincji. Mimo iż jest to bardzo ważna dla nas kwestia. nie zamierzamy więcej opóźniać pańskich operacji wojskowych. Czy zechciałby pan przynajmniej stwierdzić, że nie jest pan przeciwny idei jej niepodległości? Craig był już gotowy zgodzić się dla świętego spokoju, ale rozżłościła go myśl. że polityk usiłuje go cały czas wciągać w jakieś zobowiązania.
- Panie Fraser, stwierdzę tylko, że polityczny status Kraju Przylądkowego nie jest moją sprawą. - Pochylił się w kierunku Frasera. - Moja jedyna odpowiedzialność dotyczy powierzonych mi ludzi i wykonania wyznaczonego mi zadania. - Wyprostował się w krześle. - jak tylko znajdziemy się na brzegu, Departament Stanu przystąpi do negocjacji z wami. - Zauważył błysk w oczach Południowoafrykańczyka. Fraser skinął głową.
- Bardzo dobrze. W takim razie doszliśmy do porozumienia. W pokoju zrobił się nagły ruch. Skiles podsunął generałowi program rozmów, a Craig zauważył, że Spier wręczył Taylorowi grubą teczkę. Czas zabrać się do właściwej roboty.

### • **8 grudnia - działo C, garnizon Góry Stołowej**

Po pierwszych dniach buntu w Kapsztadzie wojska lojalne wobec Vorstera wycofały się na bardzo korzystne pod względem strategicznym, pobliskie skaliste wzniesienie, Górę Stołową. Dzięki temu mogły kontrolować sytuację w całym mieście, skutecznie atakować i kontratakować. Jaskinie i rozgałęzione skalne korytarze z zainstalowaną aparaturą wentylacyjną stanowiły doskonałe schronienie i osłonę przed ostrzałem, a także kapryśną aurą. Były też swoistymi sypialniami dla załogi. Sierżant Franz Skuner spał koło swojego działka. Nie wynikało to bynajmniej z ogromnego przywiązania; po tygodniach walk miał cichą nadzieję, że to cholerne działko wreszcie trafi szlag. Przyczyna była całkiem prozaiczna. Duża liczba żołnierzy powodowała, że przy ciągłych alarmach bieganie ciasnymi korytarzami na stanowisko było coraz bardziej uciążliwe. Skuner poruszył się, reagując na nagły hałas. Nie obudził się wprawdzie całkowicie, ale dotarło do niego, że to tylko Langfor i Hiller dokonują rutynowej kontroli jego sprzętu. Stukot narzędzi i podniesione głosy powinny go w zasadzie dobudzić, ale ciągłe niedosypianie i coraz większe zmęczenie powodowały, że nawet na tej gołej skale spał jak zabity. Od trzech tygodni on i jego koledzy z obsługi pozostałych pięciu armat nie mieli chwili spokoju. Byli nieustannie podrywani alarmami, nalotami, bombardowaniami i wykonywaniem zadań specjalnych. Działka obsługiwane przez nich były unowocześnioną wersją haubicy G-5 kalibru 155 mm. Haubice G-5 budowane przez południowoafrykański koncern ARMSCOR należały do najlepszych dział na świecie w swojej klasie. Po zastosowaniu specjalnych pocisków, których konstrukcje "podpatrzono" u Amerykanów, haubica miała fenomenalną dokładność trafień i olbrzymi zasięg. Niektóre G-5 potrafiły trafić pierwszym pociskiem obiekt oddalony o czterdzieści kilometrów. Umieszczono je na stałe w jaskiniach, odjęto koła i ustawiono na szynach biegnących od wylotu w głąb korytarzy. Centralny komputer sterował nimi za pomocą rozmieszczonych wokół wzniesienia laserowych dalmierzy i radarów kontrolnych. Skuteczność i precyzja strzałów były dzięki temu prawie stuprocentowe. Amunicję dostarczano specjalnymi taśmociągami. Podczas prowadzenia ognia panczerze osłony dział jak tarcze zasłaniały otwory wejściowe. Po walce cofano działka, a wejścia zamykano potężnymi, stalowymi wrotami. Skuner uśmiechnął się przez sen, otulając szczelniej kocami. Tak, okrążono ich, ale z tym, co widział w magazynach, mogli wytrwać na stanowisku całe miesiące. On i jego towarzysze mieli więcej żywności niż ludzie w mieście. W dotychczasowych atakach nie poniesiono dużych strat, a Skuner wiedział, że jak tylko Kubańczycy zostaną przepędzeni z kraju, wojska Vorstera szybko rozprawią się z buntownikami.

Musieli jedynie do tego czasu utrzymać swoje pozycje. Ogłuszający dzwonek rozbrzmiał w tunelu, odbijając się echem od skalnych ścian i budząc śpiących ludzi. Na szczęście, piekielny hałas nie trwał długo. Skuner potrzebował trochę czasu, żeby oprzytomnieć. Zdrętwiałe ciało długo dawało mu się we znaki. Przeciągnął się. Kanonierzy Langford i Hiller pospiesznie kończyli swoją pracę, gdy załoga dobiegła do stanowisk. Działo toczyło się powoli w kierunku otworu. Skuner założył słuchawki: - Zgłasza się obsługa dział C.

- Na dole jest małe ożywienie, sierżancie. - W głosie porucznika Daasena można było wyczuć podniecenie, a nawet przerażenie. - Zbliżają się amerykańskie okręty. Amerykanie! A więc pogłoski były prawdziwe. Dojeżdżając do wylotu tunelu, dział C nacisnęło ukryty mechanizm otwierający wrota i potężna kłapa odchyliła się, wpuszczając do wnętrza poranne światło. Skuner z rozkoszą wciągnął głęboko do płuc świeże, chłodne powietrze. Kiedy zacznie się kanonada, wentylatory nie będą w stanie nadażyć z wypompowywaniem dymu z tunelu. Dwie trzecie lufy wysunęło się na zewnątrz i wylot tunelu ponownie został zasłonięty, tym razem przez płytę pancerną. Sierżant usłyszał trzask zawiasów.

- Dział C na pozycji strzeleckiej - zameldował. - Gotowi do otwarcia ognia.

### • **USS "Wisconsin"**

Kapitan Thomas Malloy usiłował przekonać Craiga do opuszczenia okrętu wraz z Południowoafrykańczykami. Większość jego sztabu znajdowała się już na USS "Mount Whitney". Ostateczna decyzja należała jednak do generała, który stanowczo odmówił. Uparł się, że zostanie na pancerniku podczas walki i to w dodatku w pobliżu urządzeń celowniczych. W czasie akcji było to jednak niemożliwe, ponieważ obsługa musiała mieć całkowitą swobodę podczas namiarów. Na razie z dużym zainteresowaniem obserwował przygotowania i podziwiał po raz kolejny precyzyjną aparaturę *Mk40*.

- Dwadzieścia siedem mil do Zielonego Punktu, maksymalnego zasięgu dział - oznajmił, w głównej mierze na użytek Craiga, pierwszy oficer.

- Bardzo dobrze, ogłoś alarm bojowy. - Ostry dźwięk dzwonka nie wywołał wielkiego poruszenia, gdyż ostrzeżona wcześniej o zbliżającym się strzelaniu załoga znajdowała się w większości na swoich stanowiskach. Technicy działowi spędzili dużą część nocy na kontroli urządzeń. Bosman podał Malloyowi hełm, maskę i rękawice, które podczas strzelania skutecznie chroniły płuca i skórę przed trującymi wylotami. Dlatego też każdy bez zmruczenia oka zakładał ten niewygodny ekwipunek. Maski zasłaniała całą twarz, a na hełmie, jako znak rozpoznawczy, wypisana była funkcja właściciela, jak "Sternik" czy "Nawigator". Na hełmie Malloya widniał napis "Kapitan". Craig dostał zapasowy komplet i przy pomocy bosmana zaczął go zakładać. Ktoś podał mu hełm pomalowany maskującymi farbami i ozdobiony czterema plastikowymi gwiazdkami oraz insygniami Korpusu Piechoty Morskiej. Wszyscy przyglądali się z zainteresowaniem, jak niski, przysadzisty generał z uśmiechem zakłada hełm, potrząsając głową. Malloy wysłuchiwał raportu o stanie przygotowań do walki.

- Urządzenia informujące o uszkodzeniach uruchomione. Mechanicy zgłaszają gotowość wszystkich kotłów. Działowi zgłaszają, że obsługa znajduje się przy wieżach i wszystkie działa są ustawione na tryb automatyczny. - Ton mówiącego był spokojny, chłodny i klarowny. - Wywiad elektroniczny wykrył emisję radaru na paśmie J, niemiecki na zero dziewięć pięć. Pewnie radar kontroli ognia dział Góry Stołowej, pomyślał Malloy. No cóż, nie oczekiwał zaskoczenia wroga w czasie drzemki. Następny raport brzmiał: - Wszystkie stanowiska w gotowości bojowej. Kontrola uszkodzeń zgłasza stan Zebra na całym okręcie. - Malloy spojrzął na zegarek. Trzy i pół minuty po

ogłoszeniu alarmu bojowego. W porządku. Byli gotowi do walki. Przygotowanie do akcji zajmowało zazwyczaj pięć minut. Najwyraźniej załoga okrętu popisuje się przed Craigiem. Malloy musiał teraz zająć się sterowaniem okrętem.

- Tu kapitan. Okręt gotowy do akcji. Nawigator, jaka odległość do Zielonego Punktu?

- Dwadzieścia pięć i cztery dziesiąte mili do Zielonego Punktu sir, dwadzieścia osiem i dwie dziesiąte do Góry Stołowej. Najdogodniejszy kurs trzy stopnie w prawo do zero dziewięć siedem.

- Sternik, skręt w prawo do zero dziewięć siedem. - Malloy odwrócił się do interkomu 21MC i nacisnął przycisk łączący go z Bojowym Centrum Informacji. - Harry, przekaż eskortie, żeby się rozdzieliła zgodnie z planem. Eskorta "Wisconsin" składała się z trzech fregat i dwóch niszczycieli, które w normalnych warunkach otaczały pancernik, osłaniając go przed atakiem z powietrza i spod wody. Przy tej robocie nie były potrzebne, a niektóre z jednostek nie dotrzymałyby nawet "Wisconsinowi" kroku, kiedy płynął pełną parą. Kiedy eskorta zawróciła, Malloy rozkazał: - Cała naprzód. Cztery silniki pancernika klasy *Iowa* mogły teoretycznie wyciągnąć trzydzieści trzy węzły, ale mechanicy obiecali trzydzieści pięć. Malloy nie miał podstaw, by im nie wierzyć. Zamierzał zbliżyć się do Góry Stołowej z maksymalną prędkością i otworzyć ogień, jak tylko się znajdzie w zasięgu ich dział. W tej walce zwlekanie nie miało sensu. Malloy chciał jak najszybciej dopłynąć, przyłożyć Burom i mieć to z głowy. Nawet pogoda im sprzyjała. Morze było niemal gładkie. Fale dochodziły najwyżej do półtora metra, a wiatr wiał z prędkością piętnastu węzłów - w marynarce określało się takie warunki jako stan Morza Trzeci. Malloy wyszedł na mostek i spojrzał w stronę rufy. Cztery okręty, niezbyt imponujące w porównaniu z jego jednostką, oddalały się pospiesznie. U boku "Wisconsin" został tylko jeden okręt, USS "Scott", niszczyciel rakietowy klasy *Kidd*, który zajmie pozycję za ich rufą i będzie osłaniał przed atakiem z powietrza. "Scott" został wybrany ze względu na swoją prędkość, gdyż jego pięciocalowe działa nie miały szans dosięgnąć Góry Stołowej z tej odległości. Nawigator zgłosił: - Odległość do Zielonego Punktu wynosi dwadzieścia jeden i dwie dziesiąte mili. Na kursie. Góra Stołowa znajdowała się trzy mile od Zielonego Punktu I punkt został oznaczony na radarze, co ułatwiało wykreślanie pozycji statku. Jeśli raporty wywiadu były ścisłe, to działa na Górze Stołowej miały zasięg dwadzieścia jeden i pięć dziesiątych mili. "Wisconsin" kierował się dziobem na wzgórze i działa na rufie, jedna trzecia siły ogniowej okrętu, były w tej sytuacji bezużyteczne. Malloy planował obrócić okręt o trzydzieści stopni i wprowadzić działa na rufie do akcji, gdy dostatecznie się zbliżą. W razie zbyt niebezpiecznego ostrzału będzie mógł szybko obrócić okręt z powrotem o trzydzieści stopni i halsować wzdłuż głównego kursu. Z lewej burty wybuchła fontanna białoszarej piany, niemal zagłuszając równoczesny raport nawigatora.

- Zasięg dwadzieścia jeden i pięć dziesiątych mili. Jak na jego gust, pocisk trafił zdecydowanie za blisko, nie więcej niż sto metrów od pancernika. Cholerny świat, pomyślał Malloy. Znajdował się w doprowadzającej go do szału sytuacji, kiedy działa przeciwnika na brzegu miały większy zasięg niż jego baterie. Czas utrudnić im robotę.

- Ster lewo na burt. Kurs zero osiem osiem. Płynący z prędkością ponad trzydziestu węzłów niemal trzystumetrowy okręt bardzo sprawnie i szybko wykonał zwrot. Nie dorównywał wprawdzie mniejszym i zwinniejszym jednostkom, ale obecnie wystarczało to Malloyowi do osiągnięcia zamierzonego celu. A taktyka była chytra i prosta, trudna jednak do przewidzenia, miał w każdym razie taką nadzieję. Nowy, niespodziewany kurs okrętu, dokładnie na miejsce chybionego wystrzału, powinien całkowicie dezorientować wroga. A płynięcie prawie niewidocznymi zygzakami miało utrudnić precyzyjne namierzanie. Teraz kapitan z niecierpliwością i w skupieniu czekał na efekt swoich posunięć. Ponieważ czas lotu pocisku wynosił przy tej



odległości prawie minutę, można było dokładnie przewidzieć jego kierunek. Drugi pocisk wybuchł tym razem po prawej stronie burty. Malloy odczekał dwadzieścia sekund i zakomenderował.

- Ster prawo na burt, kurs jeden dwa sześć. Masywny okręt przechylił się przy ostrym zwrocie i zaraz wyprostował na nowym kursie. Pół minuty później daleko od lewej burty w górę wystrzeliły fontanny wody, gdy salwa pocisków trafiła w ocean. O dranie będą musieli bardziej się napracować, jeśli chcą go dopaść. Malloy czuł się, jak gdyby brał udział w meczu koszykówki i prowadził pojedynek z rozgrywającym. Spojrzał na Craiga, który jedynie skinął głową, a próbując widocznie jego działania. Przez umieszczony nad nimi głośnik usłyszał głos oficera ogniowego.

- Osiągnęliśmy optymalny zasięg. Namiary sprawdzone. Wszystkie działa gotowe. Proszę o zezwolenie na otwarcie ognia. Malloy nacisnął guzik interkomu. - Baterie ognia! Dziewięć potężnych dział kalibru 406 mm wystrzeliło jednocześnie. Malloy z lornetką przy twarzy uważnie obserwował skuteczność salw. Zdażył tylko dostrzec błyski płomieni i chmury dymów na zboczu, pod szczytem, gdy sto metrów za rufą Okrętu wystrzeliły w niebo gejzery wody. Natychmiast cofnął się i wydał odpowiednie rozkazy. Pancernik zmienił kurs na zero trzy trzy i zredukował prędkość do trzydziestu węzłów. To powinno ich zmylić, pomyślał kapitan. Znajdująca się na rufie wieża artyleryjska obróciła się, przenosząc lufy dział na prawą burtę. W środku załoga w pośpiechu ładowała pociski i worki materiału miotającego. Przy obsłudze trzech dział pracowało ponad stu ludzi. Malloy usłyszał przez głośnik odgłos zamykanego zamka działa i ponownie stanął z lornetką przyoknie. Wierzchołek wysokiej na 1.100 metrów Góry Stołowej błyszczał w promieniach słońca. Jej nagie, szare ściany wyłaniały się majestatycznie z morza. Przeniósł szybko wzrok wyżej. Szczytu już nie było widać, zniknął w ciemnych, unoszących się do góry kłębach. Kiwnął głową i spokojnie opuścił lornetkę. Na mostku rozległy się okrzyki radości. Malloy odwrócił się gwałtownie.

- Panowie! Naprawdę myśleliście, że możemy nie trafić w górę? - Starał się mówić żartobliwym tonem, ale wszyscy słyszeli przebijające jeszcze w nim napięcie. Na mostku rozległy się ostre dźwięki dzwonka i Malloy oparł się o stół gotów na następną salwę. Działa wystrzeliły, wstrząsając okrętem. Malloy miał nadzieję, że pociski robią odpowiednie wrażenie na Południowoafrykańczykach. Najwyższy czas zmienić kurs, pomyślał.

#### • **Góra Stołowa**

Po raz pierwszy od rozpoczęcia oblężenia sierżant Skuller zaczął się bać. Udało im się przetrwać bombardowanie artyleryjskie, ataki piechoty, nawet naloty samolotów. Garnizon Wytrzymał wszystko - czasami z łatwością. Nigdy jednak nie zmierzyli się z czymś takim. W czasie pokoju ćwiczyli na ruchomych celach, ale były to tylko jakieś wraki wolno ciągnięte przez holowniki. Natomiast ten kolos Potrafił manewrować, wymykać się, i, co gorsza, sam również strzelał i to bardzo celnie. W dodatku jakimi pociskami! W ciągu pięciu minut walki przyjęli siedem salw. Porucznik Daasen podał, że trafiają ich szesnastocalowe pociski! Sierżant spojrział na swoje działko, próbując sobie wyobrazić rozmiar potrzebnej do tego celu lufy. Otworzył szeroko oczy, gdy dotarło do niego, jak potężną bronią dysponują Amerykanie. Otrząsnął się z przerażających rozmyślań i skoncentrował na pracy. jego G-5 mogło strzelać dwa razy szybciej od nieprzyjaciela, a w tej walce częstotliwość strzałów miała duże znaczenie. Skuller był pewien, że wystarczą im dwa trafienia.

- **USS "Wisconsin"**

W ciągu dziesięciu minut pancernik zbliżył się do brzegu o następnych sześć mil, zmniejszając teraz odległość do trzynastu i pół mili. Malloy pozostawił załogę działania związane z ostrzałem, a sam skoncentrował się na manewrowaniu zapewniającym optymalną pozycję strzelecką i pozwalającym jednocześnie unikać coraz celniejszych salw nieprzyjaciela. Sekret tych zabiegów polegał na skrętach przez dziób, ustawiających okręt na przemian prawą i lewą burtą w stronę wroga. Pozwalało to artylerzystom na spokojniejsze repetowanie, a zarazem krótsze przerwy między poszczególnymi salwami. Kolejna salwa z lądu wzburzyła wodę tuż przy lewej burcie. Okręt gwałtownie zadygotał. Dowódca prawie automatycznie nakazał zmianę kursu i w mgnieniu oka znalazł się przyoknie. Na razie nic nie mógł dojrzeć. Wiedział tylko, że jeden ze strzałów był celny, bo na pokładzie, przed wieżą A, kłębił się dym i błyskały płomienie. Jakby w odpowiedzi odezwały się trzy działa "Wisconsin", jednak Malloy był w tej chwili zainteresowany i zaniepokojony stanem własnej jednostki. Czekał niecierpliwie, aż rozwieje się czarna zasłona. Po chwili mógł już ocenić uszkodzenia. W grubym na osiem centymetrów, stalowym, górnym pokładzie ziała dosyć duża dziura. Dla tak potężnej jednostki mającej trzy opancerzone pokłady nie było to duże uszkodzenie, ale kapitan pomyślał ze strachem o towarzyszącym im, dużo mniejszym i gorzej zabezpieczonym niszczycielu. Jednak i na tym kolosie znajdowały się czułe miejsca. Trzeba było mieć tylko nadzieję, że był to jedyny celny strzał.

- **Góra Stołowa**

Sierżant Skuller słuchał wiadomości z rosnącym niedowierzaniem. Działo A trafione w podstawę. Siła uderzenia popchnęła trzynastotonową armatę dwadzieścia pięć metrów w głąb tunelu, zabijając załogę i zasypując jej ciała rozbitym żelastwem i skalnymi odłamkami. Kolejna salwa z pancernika wstrząsnęła tunelem C. Na szczęście, góra mogła wiele wytrzymać.

- Wzywam obsługę działa O Wszystko w porządku? - Porucznik Daasen był wyraźnie wystraszony. Skuner odczekał, aż Hiller naciśnie spust działa. Nawet przy słuchawkach ochronnych huk wybuchu był ogłuszający.

- U nas tak. A u innych?

- Działo D zostało wyeliminowane z akcji. Pocisk z ostatniej salwy zawalił tunel. Stanowisko działa D sąsiadowało z ich tunelem. Skuller rzucił spojrzenie na skalny sufit. Sklepienie pokryte było elektrycznymi kablami i rurami doprowadzającymi wodę i powietrze. Uważnie szukał śladów pęknięć. Kolejna salwa Amerykanów spowodowała następne wstrząsy. Sierżant był zbyt zajęty repetowaniem haubicy, by móc zauważyć drobną siatkę pęknięć, pojawiającą się na powierzchni sklepienia nad nim. Zamknięci w skalnej pułapce ludzie nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje na zewnątrz. Lakoniczne informacje Daasena o kolejnych trzech celnych trafieniach nie zrobiły już na nich wrażenia. Wiedzieli tylko, że ta pływająca forteca była prawdziwą potęgą przekraczającą ich możliwości bojowe. Ich sytuacja była coraz gorsza. Kolejny wstrząs. Skuller usłyszał krzyk w słuchawkach.

- Straciliśmy działą E. - Daasen nie musiał mówić nic więcej. Szczeliny w skale były już widoczne gołym okiem, ale Skuner w ferworze walki zapomniał o sprawdzeniu. Czterdzieści sekund później w zbocze góry trafiło dziewięć następnych pocisków. Każdy wbijał się w granit na dziewięć metrów i dopiero potem wybuchął. Niezwykle silne fale wstrząsu przebiegały przez skalne ściany. Jeden z pocisków trafił parę

metrów powyżej tunelu C. Efekt wybuchu był straszny. Ludzie powpadali na ściany, a potężne działo przesuwano się w tę i z powrotem z przeraźliwym zgrzytem, zanim stalowe blokady utrzymały je na szynach. Po chwili wstrząsy ustały, a załoga jakby nieświadoma zagrożenia rzuciła się do sprawdzania rozmiaru zniszczeń. Dopiero mały skalny odłamek, który trafił pochylonego nad urządzeniem celowniczym Skunera, uświadomił mu grozę sytuacji. Gdy podnosił głowę, następny okrucieństwo odbił się od lufy. W ułamku sekundy spadł jeszcze jeden. Spanikowany Skuner chwycił mikrofon:

- Uciekać! Wszyscy uciekać! - wrzeszczał przeraźliwie, obserwując skalne sklepienie, które powoli zaczęło się obniżać. Rozdygotany zrzucił słuchawki i skoczył w stronę wyjścia. Zdążył zrobić kilka kroków, gdy potężny blok się obsunął. Jedynie kanonier Hiller był wystarczająco blisko wyjścia.

### • **USS "Wisconsin"**

- Sir, oficer działowy przekazuje, że od pięciu minut Góra Stołowa milczy.
- Przerwać ogień. - W tej samej chwili rozległa się salwa ze wszystkich dziewięciu dział. Ostatnie smugi dymu rozwiewały się leniwie na wietrze, jednak jego ostry zapach nie zniknął. Malloy odwrócił się od okna mostka i rzucił do telefonu:
- Podać kurs na górę.
- Zero osiem trzy, sir.
- Sternik, kurs zero osiem trzy. Pełną parą. Celowniczy, skierować baterię jeden i dwa na cel. - Malloy nie zamierzał pozwolić, żeby go zaskoczono. Podejdzie szybko i ustawi okręt dziesięć tysięcy metrów od plaży. Jeśli jakieś działa wroga znowu otworzą ogień, zniszczy je z bliskiej odległości. Podniósł wzrok znad przyrządów i zerknął na Craiga obserwującego wzgórze. Pył i dym pożarów nadal przysłaniały większą część okaleczonego zbocza. Kapitan podszedł do niego i również podniósł do oczu lornetkę. U podnóża dostrzegł ciężarówki, które wolno wspinały się po stromych ścieżkach. To piechota Taylora przypuszczała właśnie atak na ostatnie pozycje broniących się ludzi Vorstera. Wojsko Kraju Przylądkowego posuwało się wolno, zatrzymywane co pewien czas przez ogień karabinów maszynowych. Nawet bez wsparcia artylerii Góra Stołowa była ciężkim orzechem do zgryzienia.
- Sir, obserwator donosi o samolotach zbliżających się od rufy. Craig i Malloy wyszli na zewnątrz. Na horyzoncie widać było dużą grupę samolotów. Kiedy maszyny się zbliżyły, rozpoznali w nich *Ospreye* Piechoty Morskiej. Lotniskowiec desantowy USS „Saipan” wysłał dwa tuziny samolotów, które transportowały dwie kompanie żołnierzy. Samoloty pionowego startu leciały prosto na Górę Stołową. Przed nimi mknęły cztery pionowzloty *AV-8B Harrier*. Obładowane bombami maszyny miały za cel zniszczenie ostatnich punktów obrony i osłonięcie miejsca lądowania Piechoty Morskiej. Malloy uśmiechnął się do Craiga. Złapani pomiędzy dwie atakujące siły, działa "Wisconsin" i atak samolotów, południowoafrykańscy żołnierze będą musieli się podać lub zginąć. Praktycznie bitwa o Kapsztad była skończona.

### • **10 grudnia - obóz przejściowy, 101. Dywizja, okolice Międzynarodowego Lotniska Malan, Kapsztad**

Helikopter w barwach Piechoty Morskiej dotknął ziemi, wzbijając tumany kurzu. Łopaty jeszcze się obracały, gdy generał major Jerry Craig wyskoczył z maszyny, a za nim szef sztabu i oficer wywiadu. Grupa podeszła szybko do ludzi czekających koło drucianej siatki. Craig spostrzegł, że na spotkanie przybyli oficerowie amerykańscy i Południowoafrykańczycy. Miał nadzieję, że to dobry znak.

- Dzień dobry, sir. - Starszy oficer w randze pułkownika armii zsalutował. Craig, nie

przerywając marszu, oddał salut. Szczupły pułkownik, z gładko uczesаныmi włosami i blizną na podbródku, ruszył za nim. Przed nimi rozciągały się rzędy namiotów, których ciągle przybywało. Oprócz namiotów wznoszono w pośpiechu hangary i punkty napraw dla helikopterów 101. Dywizji. Żołnierze wzdłuż linii ogrodzeń zakładali stanowiska dział i ciężkich karabinów maszynowych.

- Tutaj, sir. - Grupa podeszła do miejsca, gdzie w siatce widniała półtorametrowa dziura. Po jednej stronie leżały ciała przykryte zielonym brezentem. Na widok Craiga stojący koło ogrodzenia młody szeregowiec stanął na baczność i zasalutował. Pułkownik skinął głową w jego kierunku.

- To jest szeregowiec Moffett, generale. - Odwrócił się do żołnierza. - Spocznij, Moffett. Powiedźcie generałowi o wypadkach ostatniej nocy. Wyraźnie zdenerwowany rangami oficerów Moffett starał się jak najlepiej złożyć raport.

- Sir! Zostałem wyznaczony na wartę od północy, wczoraj, dziewiątego grudnia. Nagle zauważyłem obcych ludzi za ogrodzeniem. Kiedy kazałem im się zatrzymać, otworzyli do mnie nieupoważniony ogień z broni ręcznej. No, więc musiałem odpowiedzieć ogniem i od razu wezwałem kaprała. Craig z trudem powstrzymał się od uśmiechu. "Nieupoważniony ogień z broni ręcznej"? Będzie musiał to sobie zapamiętać.

- Dobra robota, synu. Zrobiłeś dokładnie to, co do ciebie należało. Byłeś zdenerwowany? Szeregowiec uspokoił się nieco i odpowiedział z podnieceniem.

- Zdenerwowany, sir? Mało się nie zesrałem ze strachu! - Nagie zorientował się, do kogo mówi, wyprężył się i czerwony jak burak dokończył, lekko się zacinając. - O kurwa! Chciałem powiedzieć, przepraszam, sir! Craig roześmiał się.

- Nie przejmuj się, Moffett. Doceniamy i potrzebujemy ludzi, którzy potrafią wykonać swoją robotę, nawet gdy się boją. - Spojrzał na stojącego przy nim oficera. - Myślę, że tym razem możemy wybaczyć szeregowcowi Moffettowi jego słownictwo. Prawda, pułkowniku?

- Absolutnie, sir. - Oficer skinął lekko głową Moffettowi, który najwidoczniej zrozumiał znak, gdyż zasalutował i odszedł na bok zadowolony, że nie oberwał. Craig spojrział na zabitych. Na ziemi leżały cztery ciała. Wystające spod brezentu stopy wskazywały, że wszyscy byli Murzynami. Żołnierze odsłoniли brezent, ukazując czterech młodych mężczyzn. Oficer wyjaśnił, że Moffett zabił trzech, a czwartego trafił inny strażnik, kiedy tamten próbował uciekać.

- Wszyscy nasi strażnicy posiadają noktowizory, generale. Nie sądzę, żeby ci ludzie byli na to przygotowani. Craig najwyraźniej też nie był przygotowany na to, co zobaczył.

- Kim oni są? - spytał. - I co tu robili? Pułkownik wzruszył ramionami.

- Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, ale jeden z nich nosił odznakę ANC. Oprócz tego nie mamy żadnych wskazówek. - Spojrzał niechętnie na zwłoki. - Czego tu chcieli? No cóż, mieli trzy *Ak-47*, jedną wyrzutnię *RPG-7* i jakieś ładunki wybuchowe domowej roboty. Za tą częścią ogrodzenia znajdują się nasze helikoptery. Najlepszy cel dla sabotażystów. Craig niechętnie skinął głową.

- Podwoić strażę. Nie wszyscy mogą mieć refleks szeregowego Moffetta. Odwrócił się do oficera sztabowego.

- Zwiększyć strażę we wszystkich obozach. Nie chcę jakichś pieprzonych rozrób w pobliżu naszych oddziałów. Jasne? Oficer z powagą skinął głową. Nikt w amerykańskim wojsku nie lekceważył ataków terrorystycznych. Craig zwrócił się do pułkownika.

- Niech pan wyśle jak najszybciej zwiad. Może dowiedzą się czegoś bliższego o tych facetach: skąd pochodzą i czy mają jakichś wspólników. - Zwrócił się do całej grupy.

- Nie jesteśmy tutaj, żeby ścigać ludzi z ANC, ale niech mnie diabli, jeśli nie będę chronił swoich. Odwrócił się i ruszył do śmigłowca. Idąc, mruknął pod nosem: - Niezły

początek, niech to cholera. Kolejna komplikacja. Kiedy helikopter leciał na "Mount Whitney", generał klął swojego pecha. Kapsztad był teraz podobno najbezpieczniejszym miejscem, gdzie jego ludzie mogli przygotować się do dalszej walki. A tu taka niespodzianka. Mimo iż głównym celem wojsk USA nie było "wyswobodzenie czarnej części społeczeństwa", ale fakt, iż przyszli wykopać Vorstera, powinien raczej ucieszyć Murzynów. Czy ci partyzanci pracowali dla Kubańczyków, czy też walczyli z każdym obcym, który pojawił się z bronią w ich kraju? W Kapsztadzie ciągle lądowały nowe oddziały jego wojsk i wszędzie powstawały coraz to nowe obozy. Każde lotnisko w okolicy było tak zatłoczone samolotami, że mimo protestów majora Brunswicka wysłano specjalistów do rozbudowy jednego z nich. Craig na chwilę zamknął oczy. Samo dowodzenie taką liczbą wojska było wyczerpujące. A jeszcze w dodatku ten nowy problem.

## • 12 grudnia - główne wiadomości CNN

Trzydziestoletni spiker siedział przed aż nazbyt często pokazywaną teraz mapą południa Afryki.

*Amerykańskie siły zbrojne nadal przybywają do RPA mimo narastającej krytyki zarówno w kraju, jak i za granicą. Powodowani różnymi względami senator Steven Travers z Newady i rosyjski minister spraw zagranicznych Aleksiej Tumanski potępilli dzisiaj zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w konflikt w Afryce Południowej.*

Pokazano teraz ujęcie, w którym Tumanski stoi przed gmachem ONZ w otoczeniu doradców i dziennikarzy. Ubrany w elegancki płaszcz minister starał się być jak najbardziej przekonujący

*Nasza rezolucja ma za cel zwrócenie uwagi opinii światowej na zbrojne Wsparcie, jakiego Zachód udziela rządowi utworzonemu po przewrocie w RPA przez białych. i to tylko Afrykanerów.*

Scena ponownie się zmieniła, pokazując stojącego na podium senatora Traversa. Przed nim klębił się tłum klaszczących ludzi. Komentator powiedział:

*W czasie śniadania, przeznaczonych na zbieranie funduszy na rzecz Trans Afryki, senator Travers potępill Administrację za wplątywanie Stanów Zjednoczonych w „niebezpieczną zagraniczną awanturę”.*

Dał się słyszeć głos przemawiającego Traversa.

*Zamiast rozpoczynać naszą prywatną wojnę, powinniśmy wspomóc wszystkie siły południowoafrykańskie, które walczą już od dłuższego czasu z rządem Vorstera. Jeśli prezydent nie potrafi przyzwyczać się do idei współdziałania z Rosjanami we wspólnym celu, to może nadszedł czas na nowe przywództwo w Białym Domu. Zimna wojna należy już przecież do przeszłości.*

Jego słowa zostały przywitane okrzykami i brawami. Na ekranie pojawiła się teraz spokojna twarz spikera, który beznamytnym głosem przeczytał oświadczenie brytyjskiego ministra spraw zagranicznych.

*Wielka Brytania bierze udział w interwencji w Afryce Południowej w celu ochrony swoich szeroko pojętych interesów w tym regionie oraz w celu zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi, przez poparcie dla nowego demokratycznego rządu.*

Podnosząc wzrok znad materiałów, spiker pozwolił sobie na odrobinę sceptycyzmu

w głosie.

*Tymczasem do Afryki Południowej przybywają nowe wojska.*

**32**

## Żelazna rękawica

### • 17 grudnia - obóz wojskowy Vortrekker Heights

Bungalow pułkownika Henrika Krugera nadal nosił ślady zniszczeń, jakich doznał w czasie amerykańskiego ataku na Pelindabę. Świeży tynk zasłaniał dziury w ścianach, a w puste ramy okienne wprawiono plastikowe szyby. Także standardowe meble nie były w lepszym stanie. Na małej sofie i trzech wysokich krzesłach, których pokrycia zostały podarte przez kawałki szkła, leżały płachty brezentu. *Brigadier* Deneys Coetzee zatrzymał się w drzwiach i z przesadną uwagą przyjrzał wnętrzu.

- Henrik, co to za chlew! Wygodniej już by chyba było w namiocie czy twoim *Ratelu*.

- Może i masz rację. - Kruger uśmiechnął się i spojrzał przez ramię Coetzee. Dobrze, że żaden z jego ‚prawomyślnych‘ młodszych oficerów nie znajdował się na szczęście w pobliżu. Wprowadził przyjaciela do pokoju i zamknął drzwi. W tym czasie *brigadier* zdążył już wygodnie usiąść na najbliższym krześle.

- Jesteśmy sami? - spytał.

- Tak. - Kruger czuł, że lepiej będzie nie wspominać o obecności lana Sherfielda, który siedział zamknięty w pokoju obok. Lepiej, żeby Deneys o niczym nie wiedział, gdyby przypadkiem dobrały się do niego służby bezpieczeństwa. Jak zawsze, *brigadier* przystąpił od razu do rzeczy.

- Masz otrzymać nowe rozkazy. Dokładnie rozkaz wymarszu. Kruger nic nie powiedział. Oczekiwał tego już od dłuższego czasu. Nadal brakowało im wprawdzie wozów pancernych i ciężkiej broni, ale odnosiło się to do każdej jednostki w armii. Afryka Południowa była atakowana z każdej możliwej strony i trzymanie batalionu w koszarach miało każdego dnia coraz mniejszy sens. Był raczej zdziwiony, że de Wetowi i jego niekompetentnym pomagierom zajęło tyle czasu podjęcie decyzji. Coetzee spojrzał mu prosto w oczy.

- Jutro zostaniecie wysłani na północ. Do walki z Kubańczykami.

- Rozumiem. - Tym także nie był zdziwiony. On i większość jego żołnierzy pochodzili z prowincji Kraj Przylądkowy. Nawet Karl Vorster nie był taki głupi. żeby posyłać

ludzi do tłumienia rebelii w ich rodzinnych stronach. Coetzee pokręcił smutno głową.

- Nie, Henrik, nie rozumiesz. Ty i twój batalion nie zostaliście oczyszczeni z podejrzeń. Niektórzy ludzie w ministerstwie są przekonani, że zawiedliście w czasie ataku na Pelindabę... Krugera poniosła złość.

- A co niby do cholery miałem zrobić? Wyprowadzić moich ludzi na otwarty teren, by zostali rozwaleni przez bomby? Cały czas byliśmy atakowani z powietrza! Czy te marionetki de Weta byłyby usatysfakcjonowane dopiero wtedy, gdybyśmy dali się wybić jak 61. Peipera? Jego przyjaciel uśmiechnął się cynicznie.

- Chyba tak. Nie zapominaj, że Peiper został uznany za bohatera. Może niezbyt kompetentnego bohatera, ale zawsze bohatera.

- Rany boskie! - Kruger usiłował opanować gniew. Tygodnie i miesiące frustracji mogły doprowadzić w każdej chwili do wybuchu. Odezwał się przez lekko zaciśnięte zęby.

- Jeśli jesteśmy o coś podejrzewani, to dlaczego okazują nam zaufanie, wysyłając do walki?

- Nikt ci nie zamierza ufać, człowieku. Chcą się tobą jedynie posłużyć. - Coetzee otworzył teczkę i podał mu dwie fotokopie rozkazów. - Przeczytaj to. Kruger zaczął wertować papiery, jeden z nich był adresowany do szefa Wysuniętego Północnego Dowództwa Wojskowego. Drugi rozkaz został wysłany do oficera dowodzącego oddziałem logistycznym SADF. Rozkazy były podpisane przez samego De Weta i bez najmniejszej wątpliwości skazywały jego siedmiuset oficerów i żołnierzy na śmierć. De Wet zamierzał zniszczyć 20. Batalion Strzelców Przyłaskowych, ale chciał osiągnąć przy tym pewne korzyści. W zasadzie batalion miał być rzucony na kubańską kolumnę jako mięso armatnie. Dowódcy brygad na północnym froncie mieli go skierować do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych zadań w najbardziej odsłoniętych pozycjach obronnych, wysyłając do samobójczych ataków. Co gorsza, znajdował się na samym końcu listy jednostek, którym przysługiwał sprzęt ochronny w przypadku ataku chemicznego. De Wet oznajmiał, że sprzęt ma być przydzielony przede wszystkim tym batalionom, które "wykazały się lojalnością". Naturalnie, poczyniono wyjątki dla pewnych młodszych oficerów, członków AWB. Kruger z uwagą przeczytał ich listę i skrzywił się złośliwie. To ładnie ze strony de Weta, że dostarczył mu nazwiska tych ludzi. Podniósł dokument.

- Mogę to zatrzymać? Chciałbym go pokazać kilku zaufanym kolegom.

- Tak. Ale nie pozwól, żeby cię z tym przyłapano. Muszę trochę oszczędzać własną skórę, no nie? - *Brigadier* zamknął teczkę i wstał. - Co zamierzasz zrobić? Kruger zastanawiał się przez chwilę. Mimo iż od miesiąca rozważał możliwość zbuntowania się przeciw nielegalnemu rządowi Vorstera, w dalszym ciągu czuł się nieswojo przed podjęciem takiej decyzji. Pomaganie Emily i jej przyjaciółom było jego osobistą sprawą i tylko on ponosił konsekwencje, jednak wciągnięcie w to całego batalionu mogło oznaczać postawienie kilkuset ludzi przed plutonem egzekucyjnym. Jaki miał jednak wybór? Rząd Vorstera już i tak osądził ich i skazał, a główną przyczyną było niewłaściwe pochodzenie. Spojrzał na trzymane w zaciśniętej dłoni papiery i podjął decyzję. Poprowadzi 20. Pułk Strzelców Przyłaskowych przeciw Vorsterowi. Coetzee dostrzegł wyraz ogromnej determinacji na jego twarzy i skinął głową.

- Kiedy nadejdzie czas, będziesz musiał szybko działać. Żadnego ociągania. Żadnych wątpliwości. Przede wszystkim zaś żadnych względów wobec drani, którzy będą próbowali was zdradzić.

- Masz rację, jak mówi afrykańskie przysłowie, gdy zobaczysz węża, to go zabij. - Spojrzał na Coetzee. - Deneys, chodź z nami. Wydostań się z tego, póki jeszcze możesz. Coetzee pokręcił przecząco głową.

- Jeszcze nie teraz, Henrik, jeszcze nie teraz. - Odchrząknął.

- Widzisz, ja nie straciłem zupełnie nadziei. Jest kilku ludzi w armii, dosłownie kilku.

którzy potrafią odróżnić dobro od zła. Może uda nam się uratować coś z tej katastrofy. Wyjął z kieszeni długopis i notes.

- Jeśli z jakichkolwiek powodów będziesz chciał się ze mną skontaktować, to możesz złapać mnie pod jednym z tych telefonów. - Napisał dwa numery w Pretorii. - Żaden z nich nie jest na podsłuchu i możesz swobodnie rozmawiać z osobą, która odbierze telefon. Kruger wziął od niego złożoną kartkę i schował do kieszeni.

- Deneys, dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Nikt nie ma lepszego przyjaciela. Coetzee uściśnął mocno wyciągniętą dłoń i cofnął się o krok.

- Henrik, to piekielnie niebezpieczne przedsięwzięcie. I tobie, i twoim ludziom potrzeba będzie dużo szczęścia. Życzę go wam z całego serca. Kruger zamrugnął powiekami, czując wilgoć zbierającą się w kąciakach oczu. Żołnierz nie powinien płakać. Wyprostował się i zasalutował. Coetzee w milczeniu oddał salut. Obaj mężczyźni wiedzieli, że pułkownik Henrik Kruger ostatni raz oddał honory jakimkolwiek oficerowi tej armii.

- **18 grudnia - 20. Batalion Strzelców Przyłądkowych, Autostrada N I, na północ od Pretorii**

Ponad pięćdziesiąt ciężarówek, jeepów, transporterów opancerzonych i wozów bojowych jechało drogą na północ - rozciągając się w ponad kilometrową kolumnę. Siedząca w otwartych włazach obsługa karabinów maszynowych nieustannie obserwowała niebo. Oddalili się już o czterdzieści kilometrów od przedmieść Pretorii, ale kubańskie *MiGi* latały ostatnio nad całym Transwalem. Ian Sheffield siedział skulony w kabinie pięcotonowej ciężarówki, która jechała bezpośrednio za *Ratelem* Krugera. Czuł się wyjątkowo dziwnie w nowym mundurze południowoafrykańskiej armii. Emily van der Heijden i Matthew Sibena jechali z tyłu, schowani pomiędzy skrzynkami z amunicją, puszkami z żywnością i pojemnikami z wodą. Jak dotąd kierowca ciężarówki, małomówny sierżant jakby ignorował obecność trzech niezwykle pasażerów. Ian zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie powstrzymywał swoją oczywistą ciekawość. Dotknął palcem naramienników, na których miał przyszyte belki kaprała. Co, u diabła, Kruger zamierzał? Czy Afrykaner naprawdę sądził, że Ian będzie mógł udawać południowoafrykańskiego żołnierza? Zwłaszcza kiedy mieli walczyć z Kubańczykami? Jeśli tak, to cały pomysł był od samego początku do kitu. Zdawał sobie sprawę, że jak tylko otworzy usta, każdy z ła przedniego dnia ze swoimi oficerami. Ian schował się w sypialni, gdy oficerowie, przemykając się pojedynczo, spotkali się potajemnie w kwaterze Krugera. Zebrani mówili jedynie w *afrikaans*, z którego mógł zrozumieć zaledwie kilka słów. Jednak z łatwością wyczuł ich zmieniające się z każdą chwilą nastroje. Z początku pełne szoku niedowierzanie, które szybko zamieniło się w niepokohamowany gniew. Ian wyprostował się. Poranny pośpiech przy załadunku przed wyruszeniem w drogę nie pozwolił mu znaleźć czasu na spokojne zastanowienie się, ale teraz doszedł do wniosku, że wczorajsze spotkanie musiało być bardzo ważne. Kruger i jego ludzie najwidoczniej podjęli jakąś znaczącą decyzję. Ale jaką? Wstrzymał oddech, gdy przez umysł przemknęło mu pierwsze podejrzenie. Dobry Boże, czyżby mieli zamiar...? Jego rozmyślenia zostały przerwane piskiem opon. Wyjrzał przez przednią szybę. Prowadzący *Ratel* zjechał na lewe pobocze i wszystkie pozostałe wozy podążyły posłusznie za jego przykładem. W powietrzu zawirował kurz, gdy koła wjechały na miękkie pobocze. Sierżant zahamował metr od wozu Krugera i wyłączył silnik. Następnie otworzył boczne okno, rzucił szybkie spojrzenie na zdziwionego pasażera i wyjrzał na zewnątrz. Wyraz twarzy sierżanta był przez cały czas nieodgadniony. Ian rozglądał się ze zdziwieniem i niepokojem na wszystkie strony. Czemu zatrzymali się właśnie teraz? Batalion znajdował się w drodze dopiero od



godziny. Przyjrzał się otaczającemu ich krajobrazowi. Wokół rozciągała się jak okiem sięgnąć pusta równina. Trzysta metrów przed nimi autostradę przecinała droga wiodąca do formalnie niepodległej Botswany. Autostrada biegła przez płaskowyż prosto na północ, niknąc na horyzoncie, wśród fal rozgrzanego powietrza. Ze stojącego przed nimi *Ratela* wyskoczył młody porucznik i ruszył wzdłuż kolumny wykrzykując: - Dowódcy plutonów i kompanii zgłoszą się za dziesięć minut na naradę! Minutę później z wozu wyszedł Kruger, a za nim wysoki, brodaty oficer, w którym Ian rozpoznał kapitana Pietera Meiringa, zastępcę dowódcy. Obaj mężczyźni wydawali się spięci. Wokół nich zaczęli się zbierać oficerowie, którzy automatycznie dzielili się na dwie grupy. Większość z nich w starych, pomiętych i wyblakłych mundurach witała się z Krugerem po przyjacielsku. Nieduża grupa młodych i dziwnie ponurych oficerów wymieniała oficjalne pozdrowienia. Ich nienagannie utrzymane, nowe mundury wskazywały na częstsze przebywanie w koszarach niż na polu walki. Ian czuł przez skórę, że nie można im ufać. Kruger przyklęknął i rozłożył dużą mapę. Oficerowie stanęli wokół niego półkolem, uważnie słuchając. Ian zauważył coś dziwnego i wstrzymał oddech. Każdy z oficerów-weteranów stanął obok jednego z młodych służbistów. Wychylił się przez okno zastanawiając się, czy nie powinien wyjść z wozu...

- Proszę zostać na miejscu, *meneer* Sheffield. To rozkaz dowódcy. - Siedzący za kierownicą sierżant nawet nie odwrócił głowy. Jego lewa ręka spoczywała nadal na kierownicy, ale w drugiej trzymał karabin. Ian zeszywniał. Ten człowiek znał jego nazwisko! Czyżby Kruger zamierzał oddać ich jednak w ręce policji mimo składanych Ernily obietnic? Sierżant chyba coś wyczuł, bo odwrócił się, uśmiechnął i poklepał karabin.

- Proszę się uspokoić, *meneer*. To nie o pana chodzi. Mamy tu prawdziwych nieprzyjaciół. Widzi pan? - puścił kierownicę i wskazał palcem przez okno. Ian otworzył ze zdumienia oczy. Kruger już się podniósł i teraz patrzył z zimnym uśmiechem, jak koledzy sprawnie rozbrajają kilku młodszych oficerów. Wzdłuż kolumny pojazdów szło kilkunastu żołnierzy, prowadząc pod bagnietami swoich niedawnych "towarzyszy". Sierżant uśmiechnął się z satysfakcją.

- W ten sposób pozbyliśmy się trochę tego śmiecia z AWB. Właśnie o to dowódcy chodziło. O rany, pomyślał Ian, wciąż zaskoczony sprawnością, z jaką Kruger rozprawił się ze szpiclami Vorstera. Więźniom zabierano broń, pozbawiano dystynkcji i zapędzono do jednej z ciężarówek. Uzbrojeni w karabiny *R4* żołnierze zajęli miejsca w otwartych włazach *Rateli*, które miały jechać za i przed ciężarówką i pilnować więźniów. Pozostali oficerowie wracali pospiesznie do swoich wozów. Rozległ się warkot silników. Kolumna była gotowa do dalszej drogi. Przy bocznym oknie ciężarówki pojawił się Kruger z Ernily. Dziewczyna mrużyła oczy w ostrym świetle dnia.

- Mam nadzieję, że znajdziecie miejsce dla jeszcze jednego pasażera? Ian uśmiechnął się lekko zastanawiając, co sądzić o człowieku, który tak szybko potrafił przejść od zimnego i beznamiętnego postępowania do normalnych uczuć przyjaźni. Otworzył drzwi i przesunął się na środkowe siedzenie.

- Oczywiście, pułkowniku. Kruger pomógł Ernily wspiąć się do kabiny i zatrzasnął drzwi. Następnie stanął przed otwartym oknem.

- Od tej chwili oboje możecie poruszać się zupełnie swobodnie. Nie sądzę, żeby zostali wśród nas jacyś szpiczki Pretorii. Mój batalion odmówił posłuszeństwa wobec nielegalnego rządu Vorstera.

- A Matthew Sibena? - spytała Ernily. - Co z nim? Kruger spojrzał na nią zdziwiony. Wyglądało, że zupełnie zapomniał o młodym Murzynie.

- On także może wyjść z ukrycia. -Zawahał się chwilę zastanawiając, jak najlepiej oddać swoje myśli. - Dobrze by jednak było, gdyby nie zwracał na siebie szczególnej

uwagi. Moi ludzie mogą nie przepadać za fanatykami z AWB, ale to jeszcze nie czyni z nich liberałów, przynajmniej jeśli chodzi o poglądy rasowe. Emily pokiwała głową.

- Rozumiemy. Dziękujemy ci za pomoc, Henrik. Ian poczuł jej delikatną dłoń w swojej i rozluźnił się nieco. Spojrzał uważnie na spokojną, opaloną twarz pułkownika.

- Jak się domyślam, nie jedziemy do Transwalu, racja? Kruger wskazał na wąską dróżkę ciągnącą się przed *Ratelem*.

- Pojedziemy tą drogą na zachód, a następnie skręcimy na południowy zachód. Czekają nas długa droga do Kraju Przylądkowego. Zamierzali przedostać się do zbuntowanej prowincji? Ian aż gwizdnął z podniecenia. Niezła droga! Ostatnie raporty mówiły, że najbliższe siły buntowników są w Beaufort West - ponad tysiąc kilometrów stąd.

- Zakładając, że nam się powiedzie, pułkowniku, co zrobimy po dotarciu tam?

- Kto to może wiedzieć? Przyłączymy się do nowego rządu? Może poddamy się amerykańskiej armii? A może rozejdziemy się do domów. - Kruger wzruszył ramionami. - Przyznam się, że nie mam pojęcia.

- A co z waszymi więźniami? Co ma pan zamiar z nimi zrobić? - spytał Ian.

- Musimy ich na razie zabrać ze sobą. Każdy z tych zdrajców z największą przyjemnością zastrzeliłby mnie czy pana. Zwłaszcza pana, *meneer* Sheffield. Jeśli ich wypuścimy, zdradzą pozycję batalionu.

- Ale chyba nie będziemy ich ciągnąć do końca? - spytała Emily.

- Nie, nie chcę mieć tych szakali przy sobie. Nie mogę ich jednak teraz wypuścić na wolność. Za kilka dni nasza ucieczka i tak zostanie zauważona, wtedy będzie można ich wysadzić w jakimś mijanym miasteczku, gdzie będziemy musieli zaopatrzyć się w paliwo. Jeśli przetniemy tam linie telefoniczne, to nie powinno być z nimi większych kłopotów. Spojrzał na wschód, w stronę Pretorii.

- Poza tym, wcale nie jestem pewien, czy uda nam się prze trwać aż tak długo, żeby się o to martwić. Nikt nie zapytał, co ma na myśli. Po chwili Kruger uśmiechnął się niewesoło.

- Na szczęście, mamy parę godzin przewagi nad tymi psami gończymi. Zamierzam je jak najlepiej wykorzystać. Odwrócił się i podszedł pewnym krokiem do swojego wozu. W ciągu kilku minut kolumna ruszyła. Trzysta metrów dalej wóz za wozem skręcały na szutrową drogę prowadzącą w stronę prowincji Kraj Przylądkowy.

## • 19 grudnia - Rada Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria

Koło długiego stołu zarzuconego mapami stało piętnastu ludzi, w tym połowa w mundurach. Małe, kolorowe chorągiewki i ponumerowane klocki z drewna oznaczały jednostki wojskowe porzucane po całej RPA. Ich pozycje były wyznaczane z największą dokładnością. Marius van der Heijden starał się ukryć zmęczenie i rosnącą irytację. Dzisiejsze poranne spotkanie Rady Bezpieczeństwa znowu pewnie przeciągnie się do późnego popołudnia. Rzucił zirytowane spojrzenie na wysokiego mężczyznę pochylonego nad mapą. To on był główną przyczyną tych kretyńskich opóźnień. Wraz z pogarszającą się sytuacją wojskową kraju Karl Vorster przykładął coraz większą wagę do szczegółów. Niezadowolony z ogólnego obrazu sytuacji wykazywał coraz większą obsesję wobec trzeciorzędnych informacji: raportów od poszczególnych kompanii i dywizjonów czołgów, danych o zapasach paliwa i naprawach każdego samolotu, a nawet nie potwierdzonych jeszcze wiadomości od oddziałów zwiadowczych. Nie mamy już prezydenta, pomyślał z niesmakiem van der Heijden, ale kolejnego niekompetentnego dowódcę brygady. Skrzywił się. Podczas

gdy Vorster zabawiał się przestawianiem chorągiewek, za jego plecami członkowie rządu prowadzili osobiste rozgrywki i międzyresortowe potyczki. W tym samym czasie Kuba i jej sprzymierzeńcy oraz Stany Zjednoczone i Wielka Brytania rozszarpały ostatnie kawałki republiki. Nawet na terenach lojalnych wobec rządu przemysł praktycznie przestał funkcjonować, w tym, tak niezbędny teraz, przemysł zbrojeniowy. Brak paliwa paraliżował cywilny transport. W kraju zaczynało brakować żywności. Mimo iż van der Heijdenowi nie było łatwo się do tego przyznać, jego własne ministerstwo także odzwierciedlało cały ten chaos. Setki, może nawet tysiące policjantów i ludzi ze służb bezpieczeństwa przeszły na stronę buntowników. Setki innych znajdowały się na zajęętym przez wroga terytorium, zabici, pojmieni lub pozostający w ukryciu. Łączność z resztą kraju była tak utrudniona, że komendanci policji działali na swoich terenach według własnego uznania, uniemożliwiając przeprowadzanie jakichkolwiek zorganizowanych akcji.

- Co? Co to ma znaczyć, że zniknęli?! jak to możliwe? Jak może zniknąć cały batalion?

Van der Heijden spojrzał na Vorstera, którego wściekły ton przerwał jego rozmyślenia. Co zniknęło? Prezydent stał wyprostowany, patrząc pełnym nienawiści wzrokiem na generała Adriaana de Weta. W dłoni ścisnął z całych sił drewniany klocek. Van der Heijden usiłował odczytać napis. Udało mu się rozpoznać dwie cyfry i dwie litery. Klocek przedstawiał jednostkę oznaczoną symbolem 20SP. O którą mogło chodzić? Zastanawiał się. De Wet otworzył usta, żeby coś powiedzieć i zmieszany je zamknął.

- Zadałem panu proste pytanie, generale. Oczekuję od pana równie prostej odpowiedzi. Natychmiast! - Głos Vorstera przeszedł od podniesionego tonu do zwykłego ryku. De Wet zbladł.

- Nie wiem, jak odpowiedzieć, panie prezydencie. *Kommandant* Kruger i jego batalion mieli się zgłosić do Wysuniętego Północnego Dowództwa Wojskowego. jednak nie dotarli tam zeszłej nocy, jak oczekiwaliśmy. Nie odpowiadają też na nasze wezwania przez radio... - Generał zamilkł, bojąc się dalej mówić. Słucham! - wściekle warknął Vorster. Mój sztab jest przekonany, że batalion Krugera nie mógł paść ofiarą jakiegokolwiek akcji nieprzyjaciela, panie prezydencie. Wobec tego pański Kruger po prostu wyparował? A może zwyczajnie nas zdradził, czy tak? - Głos Vorstera był niebezpiecznie spokojny. De Wet skinął z przestachem głową.

- To jest jedyne możliwe wytłumaczenie, panie prezydencie. Kruger i jego oficerowie byli od pewnego czasu pod obserwacją...

- Tyle że niedostatecznie ścisłą, do cholery! - Pięść Vorstera trafiła w stół, podrzucając chorągiewki i klocki. Dwóch oficerów sztabowych zaczęło je pospiesznie ustawiać na swoich miejscach. Van der Heijden czuł wewnętrzne drżenie. Najpierw jego córka zdradziła rodzinę i swój kraj. Teraz zaś człowiek, którego kiedyś sam wybrał na zięcia, przeszedł na stronę wroga. jeśli przeciwnicy w rządzie dowiedzą się o jego dawnych zamiarach, z największą radością wykorzystają ten fakt przeciwko niemu. Minister prawa i porządku zadrżał. Nie może do tego dopuścić. Nikt nie może się dowiedzieć, że uważał kiedyś Henrika Krugera za przyjaciela. Vorster otworzył zaciśniętą pięść i na stół wypadł klocek oznaczający 20. Batalion Strzelców Przyłądkowych. Kiedy odezwał się po chwili, jego głos był opanowany.

- Niech pan mnie uważnie posłucha, generale. Chcę, żeby ta jednostka została odnaleziona i zniszczona. Nie chcę słyszeć o żadnych renegatach, o nikim, kto mógłby chwalić się swoją zdradą. Czy to jest jasne?

Ku zdziwieniu wszystkich de Wet pokręcił głową.

- Rozumiem pański słuszny gniew, panie prezydencie, ale nie sądzę, żeby było rozsądne tracenie sił na poszukiwanie tych ludzi. Mamy o wiele ważniejszych wrogów do pokonania. Killkuset zdrajców nie może nam przysporzyć większych kłopotów...

Van der Heijden w myślach zgodził się z generałem. W sytuacji, gdy Amerykanie

szukowali nowe uderzenie na wybrzeże Afryki Południowej, a Kubańczycy zbliżali się do Pretorii, nie mogli sobie pozwolić na jeszcze większe osłabienie armii w celu zemścić się na paru zdrajcach. Vorster był widocznie innego zdania.

- Niech pan nawet nie próbuje się ze mną sprzeczać w tej sprawie, generale de Wet. Pańskie oceny i przewidywania od dłuższego czasu nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. - Spojrzał na zebranych wokół stołu ministrów i oficerów. - Nigdy nie zapominajcie, że nie ukarana rebelia to rebelia, która będzie się rozprzestrzeniać. właśnie dlatego każdy, kto zdradzi naszą ukochaną ojczyznę, musi zapłacić za to najwyższą cenę. Wskazał swoim grubym palcem na klocek oznaczający zbiegły batalion.

- Kruger i jego batalion mają zostać zlikwidowani, zanim ich przykład pociągnie za sobą innych tchórzy. - Przez chwilę wodził gniewnym spojrzeniem po zebranych. Wszyscy spuścili oczy, chcąc ukryć swoje myśli. - jeszcze jedno słowo, generale. - Vorster zwrócił się do pobladłego de Weta. - Nie będę tolerował więcej żadnej porażki. Generał sztywno skinął głową.

- Może pan na mnie polegać, panie prezydencie. 20. Batalion Strzelców Przyładkowych zostanie unicestwiony. - Założył ręce z tyłu, starając się ukryć ich drżenie. Marius van der Heijden nie podnosił wzroku znad mapy. Kubańczycy i Amerykanie nie muszą się szczególnie przykładać do walki, skoro prezydent Afryki Południowej swoimi posunięciami bardzo ułatwia im zadanie.

#### • **44. Brygada Spadochronowa, okolice Viljoensdrif, na południe od Johannesburga**

Zachodzące słońce rzucało długie cienie na drzewa pomarańczowe i starannie przystrzyżone trawniki otaczające biały, dwupiętrowy dom Jana Bode. Po bezchmurnym niebie, nad pobliską rzeką krążyły stada ptaków. Ich świergot rozbrzmiewał również w przybrzeżnych zaroślach. Piękno krajobrazu trochę zakłócały widoczne na horyzoncie dymiące kominy huty stali Vanderbiljpark. Jednak w tej chwili i sama farma przedstawiała widok niezbyt sielankowy. Przy stojących na trawnikach szesnastu śmigłowcach kręciło się ponad trzystu południowoafrykańskich spadochroniarzy w ekwipunku bojowym. Pod brązowo-zielonymi siatkami maskującymi, które zakrywały każdy helikopter, ustawiono karabiny maszynowe, skrzynki z amunicją i beczki z paliwem. Przy kilku maszynach krzatali się mechanicy w wytłuszczonych kombinezonach roboczych, dokonując rutynowych kontroli śmigłowców *Puma* i *Super Frelon*. Major Rolf Bekker zatrzymał się na chwilę w drzwiach domu czekając, aż oczy przywykną do oślepiającego blasku słońca. Po chwili dostrzegł większość oddziału żołnierzy, odpoczywającą w cieniu maszyn i drzew. Mruknął z zadowoleniem. Jak większość zaprawionych w bojach żołnierzy wiedział, jak cenną rzeczą są rzadkie w czasie walk chwile snu. Nie wszyscy jednak mogli sobie pozwolić na odpoczynek. Podczas każdego postoju grupy naprawcze miały pełne ręce roboty, ale najbardziej zajęci byli dowódcy. Wydawało się, że nigdy nie śpią. Major wyszedł na trawnik i nagle skrzywił się, kiedy poczuł gwałtowny ból w nodze. Lekarze zapewnili go, że już w pełni wyzdrowiał po ranach, które odniósł w czasie bitwy o lotnisko Keetmanshoop. Głupie dranie na niczym się nie znają. Bekker zobaczył człowieka, którego szukał i natychmiast zapomniał o bólu i ranach.

- Sierżancie! Sierżant sztabowy Roost zostawił skrzynki z zapasami, które właśnie sprawdzał i podbiegł do niego.

- Tak, majorze?

- Znajdź mi kapitanów Reebecka i der Merwe i powiedz im, że chcę ich widzieć za piętnaście minut u siebie.

- Tak jest. - Niski sierżant odwrócił się, żeby wykonać rozkaz, ale zatrzymał się. Spojrzał przez ramię na Bekkera. - Szykujemy się do jakiejś akcji, panie majorze? Bekker skinął głową. Roost uśmiechnął się. Był to właściwie grymas.

- Kogo tym razem będziemy rąbać: Amerykanów czy Kubańczyków? "

- Ani jednych, ani drugich, sierżancie. - Bekker pokręcił głową. - Tym razem polujemy na naszych. Jeśli myśl, że ma zabijać swoich rodaków, nie przypadła sierżantowi do gustu, to nie pokazał tego po sobie. Dotknął szybko palcami beretu i pobiegł wykonać rozkaz. Bekker stał nieruchomo, obserwując oddalającego się sierżanta. Pomyślał, że choć jeden raz rozkazy Pretorii są zupełnie oczywiste i zwięzłe. Jego ludzie mieli znaleźć i wybić do nogi. zdradziecki 20. Batalion Strzelców Przyłaskowych pułkownika Krugera. A major Rolf Bekker zawsze sumiennie wypełniał rozkazy.

## 33

### Inwazja

- **12 grudnia - Kubański Korpus Ekspedycyjny, Potgietersrus**

Generał Antonio Vega starał się nie okazywać bezsilnej wściekłości. Jego sztab powinien sądzić, że całkowicie panuje nad sytuacją, ale w środku Vega toczył zaciętą wojnę z samym sobą. Cholera jasna, muszę coś zrobić, żeby ruszyć naprzód. Na biurku leżała najświeższa wiadomość, niemiłe przypomnienie ich rzeczywistych osiągnięć. Treść była wyjątkowo zachęcająca "Obecność zachodnich imperialistów wskazuje, że Południowoafrykańczycy walczą ostatecznie i potrzebują pomocy swoich protektorów. Proszę szybko dążyć do Zwycięstwa! Kuba całkowicie wam ufa i pokłada w was wszystkie nadzieje." Z czym ma dążyć do tego zwycięstwa? Mimo olbrzymiego sukcesu pod Potgietersrusem dwa tygodnie wcześniej jego ofensywa utknęła w miejscu. Afrykanerzy stawiali wciąż wyjątkowo zacięty opór, a własne problemy powiększały się z dnia na dzień. Grupa Taktyczna Pierwszej Brygady "zakosztowała smaku zwycięstwa" już w pierwszych godzinach po ataku na Potgietersrus, Kiedy libijski batalion piechoty zmechanizowanej pułkownika Mahmouda wkroczył do miasta, źle szkoleni i kiepsko opłacani żołnierze znaleźli prawdziwe skarby. Setki domów i sklepów, opuszczonych przez właścicieli, stało się ich łupem. Nawet przy pomocy kubańskich żołnierzy Mahmoud stracił kilka cennych godzin na doprowadzenie do porządku grabiących miasto oddziałów. Kiedy kolumna ruszyła dalej na południe, spotkali się po krótkim czasie ze spieszącymi na północ oddziałami wroga - pierwszymi większymi transportami czołgów i artylerii, ściąganyymi z frontu namibijskiego. Wywiązała się zacięta walka, która trwała trzy dni i przyniosła obu stronom poważne straty. Najgorsze było to, że w czasie walki grupa taktyczna straciła sporą część zapasów amunicji i paliwa. Właśnie, zapasy. Vega potarł palcami skronie, czując nadchodzący ból głowy. Od początku zdawał sobie sprawę, że zaopatrzenie będzie

największym kłopotem podczas kampanii - zwłaszcza zaopatrzenie Grupy Taktycznej Pierwszej Brygady. Miał do dyspozycji lotnisko w Pietersburgu, ale samoloty transportowe nie były w stanie przewieźć olbrzymich ilości paliwa, amunicji i części zamiennych, niezbędnych do prowadzenia wojny przez nowoczesną, zmechanizowaną armię. Większa część zapasów musiała być dostarczana morzem do Maputo, następnie koleją na północ do Rutengi i dopiero stąd na południe do jego wojsk. Sama długość drogi lądowej wynosiła ponad tysiąc kilometrów, co stawiało oficerów zaopatrzeniowych wobec problemu praktycznie nie do rozwiązania. Sytuacji nie polepszały nieustanne ataki na konwoje ciężarówek i pociągi. Co gorsza, do napadów ze strony białych komand doszły ostatnio ataki partyzantów ANC i innych czarnych ugrupowań. Vega przypominał sobie pierwsze dni ofensywy, kiedy jego wojska były witane przez okoliczną ludność radosnymi okrzykami, posiłkami i piwem i zaśmiał się ponuro. Obecnie, jeśli mieli . szczęście, byli obrzucani kamieniami, jeśli nie, strzelano do nich z ukrycia. Nachmurzył się. Czy mu się to podoba czy nie, dni łatwych zwycięstw i szybkiego marszu naprzód skończyły się definitywnie. Zapasy, niezbędne do rozpoczęcia kolejnej ofensywy, docierały do nich zbyt wolno. Dopóki nie będzie miał odpowiednich ilości paliwa i amunicji, kolumna będzie musiała ograniczać się do niewielkich potyczek - w rodzaju ataków oddziałów w sile, kompanii na linię obrony Afrykanerów koło Naboomspruit, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Potgietersrusu. Dalej na południowy wschód Grupa Taktyczna Drugiej Brygady znajdowała się w podobnej sytuacji. Dzięki położeniu bliżej Maputo jej kłopoty z zaopatrzeniem nie były aż tak duże, ale kolumna musiała prowadzić walkę w górach, głównie na przełęczach zwanych Wielkim Stokiem. Często posuwali się naprzód tylko o kilkaset metrów w ciągu całego dnia. Z kolei Trzecia Grupa... Ból głowy odezwał się z całą mocą. Zniszczenie trzeciej kolumny okazało się bardziej tragiczne w skutkach, niż przypuszczał na początku. Grupa Taktyczna Trzeciej Brygady była kolumną, która miała go wspierać na tyłach wroga. Pozbawiony tej pomocy mógł teraz jedynie atakować pozycje nieprzyjaciela od frontu. Była to idealna recepta na przegranie wojny. Tylko zręczny fortel mógł doprowadzić ich do zwycięstwa, ale nie było żadnych jednostek, żeby przeprowadzić jakikolwiek poważny manewr. Wszystko, co posiadał w odwodzie, to dwie kompanie piechoty, jedna czołgów i bateria dział samobieżnych. Pozbawiony możliwości ruchu i taktycznej elastyczności generał liczył bardzo na broń chemiczną, która mogła przełamać impas, w którym się znalazł. Od czasu bowiem zwycięstwa w Potgietersrusie nie mógł pochwalić się nawet dużo mniejszym osiągnięciem. Bał się jednak, że pragnienia się nie spełnią. A przyczyn było kilka. Po pierwsze, podczas zwycięskiego ataku zużyli większość zapasów Sarinu, a dostawa następnej partii okazała się bardzo trudna i czasochłonna. Po drugie. opinia światowa powodowała, że nawet Castro niechętnie patrzył na broń chemiczną. Do tych kłopotów dołączyły się problemy czysto techniczne. Przede wszystkim nie sprzyjała im pogoda. W celu zminimalizowania własnych strat potrzebowali wiatru wiejącego z północnego wschodu, w stronę linii nieprzyjaciela. jednocześnie Vega zdawał sobie sprawę, że Afrykanerzy szybko się nauczyli przetrzymywać atak chemiczny. jego wywiad donosił, że jednostkom na froncie wydano ubrania i sprzęt ochronny. Generał skrzywił się. Braki w zaopatrzeniu i partyzanckie ataki wzbudzały obawę, że jego ofensywa może się załamać. Wszystko wyglądało fatalnie, z którejkolwiek strony by nie patrzeć. Na dodatek, musiał się jeszcze przejmować tymi cholernymi zachodnimi sojusznikami - Amerykanami i Brytyjczykami. W obecnej sytuacji nie miał najmniejszej choćby możliwości przeszkodzenia w koncentracji amerykańskich wojsk koło Kapsztadu. Zresztą nigdy nawet nie planował prowadzenia wojny tak daleko od północno-wschodnich granic Afryki Południowej. Od samego początku przyjął strategię, według której mieli szybko opanować centrum administracyjne i dopiero potem zmusić pozostałe prowincje, aby się poddały. W tej chwili liczyło się, że nadal ma w swoim

zasięgu bardzo ważne obszary. Kraj Przylądkowy słynął z produkcji win i wełny, ale on się zadowoli diamentami i złotem Oranii i Transwalu. Niech Waszyngton i Londyn biją się o resztki.

- Pułkownikowi Suarez! - Szef sztabu, który siedział w sąsiednim pokoju, pojawił się w drzwiach.

- Wyślecie wiadomość do Hawany - rozkazał Vega. - "Obecność zachodnich sił oznacza, że musimy pogodzić się z ograniczonym, choć nadal bardzo ważnym zwycięstwem - oswobodzeniem Transwalu i zajęciem Oranii. Jestem przekonany, że zrozumiecie, towarzyszu, konieczność takiej decyzji". Vega zatrzymał się zastanawiając, czy przypadkiem nie zapomniał czegoś. Nic mu nie przychodziło do głowy.

-Wyślijcie to. Proszę też zwołać posiedzenie sztabu za piętnaście minut. Musimy w końcu ruszyć z tą ofensywą.

- **15 grudnia - USS "Mount Whitney", Baza Morska Simonstown, Kapsztad**

Tysiąc kilometrów na zachód od Durbanu kilkunastu oficerów sztabowychapełniało pokój konferencyjny na "Mount Whitney". Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zapewniły sobie oparcie w prowincji Kraj Przylądkowy, ale Kapsztad nigdy nie był uważany za coś więcej niż przyczółek w walce o polityczne i przemysłowe centra Afryki Południowej: Pretorię i Johannesburg. Dotarcie do nich drogą lądową zabrałoby zbyt wiele cennego czasu. Zaatakowanie od strony morza oznaczałoby z kolei następne lądowanie, połączone tym razem z walką ze znacznymi siłami nieprzyjaciela. Droga morska została uwzględniona w planach ataku, ale obecnie wydawało się, że także ona byłaby zbyt czasochłonna.

- Nie mam pojęcia, generale, w jaki sposób moglibyśmy zdążyć na czas. Inwazja jest już i tak porządnie opóźniona. - Generał brygady i szef sztabu Craiga, George Skiles, był nieugięty. Skiles był typem przykładającego się do pracy służbisty i widać było, że jego zawodowa duma cierpi z powodu konieczności przyznania się do porażki. Generał porucznik Jerry Craig siedział z ponurą miną przy stole, najwyraźniej nie zadowolony z otrzymanych informacji. Opóźnienia w dostawach, zła pogoda na Atlantyku i przemęczenie załóg samolotów transportowych opóźniły już jego plan inwazji o trzy dni. Oczywiście, nie mógł zapominać, że w jego stronę zdążyło kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i tony ciężkiego sprzętu. Jednak to wszystko nie wystarczało. Ani Kubańczycy, ani wojska Vorstera nie trzymały się przewidywanego w Waszyngtonie planu. Zdjęcia zrobione z samolotów zwiadowczych nad miastem Potgietersrus pokazywały koncentrację kubańskich wojsk. Było jasne, że Vega zamierza niedługo wszcząć przerwana ofensywę. W tym samym czasie Afrykanerzy umacniali pospiesznie linie obrony wzdłuż wybrzeża Natalu, przygotowując się do morskiego ataku Amerykanów. Craig zacisnął zęby. Jego własny plan wylądowania w Durbanie wydawał mu się z każdym dniem coraz mniej realny. Według początkowych zamierzeń, lądowanie w Durbanie miało się odbyć w sile dywizji Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych i jednostki do zadań specjalnych Królewskiej Piechoty Morskiej, przy wsparciu z powietrza batalionu, który miał zniszczyć obronę Lotniska Luisa Bothy. Po zajęciu lotniska do akcji miały wkroczyć dwie dywizje - 82. i 101. Powietrzno-Desantowa. Jednostki pancerne, które znajdowały się jeszcze na Atlantyku, miały skierować się w stronę Oceanu Indyjskiego, do Durbanu, jak tylko wojsko zajmie port. Operacja została bardzo dokładnie zaplanowana i trudno byłoby wprowadzić zmiany, gdy wojsko znajdowało się już w drodze. Craig przypomniał sobie, jak w Waszyngtonie uważnie wybierali datę lądowania. Przy opracowywaniu

strategii należało wziąć pod uwagę: przyływy, odpływy i pogodę, jak dalece uda się przygotować jednostki amerykańskie do walki i jak szybko mogą się w tym czasie Kubańczycy posunąć do przodu. W celu zapewnienia sobie pewnej swobody ruchów nakazał przygotowanie planów awaryjnych. Zakładały one zmianę daty lądowania o dzień w przód lub w tył. jednak 24 grudnia, który był planowanym dniem D, Vega może już popijać sobie wino w Pretorii, spoglądając na siły zachodnie z Budynków Unii. Craig spuścił głowę, rozważając sytuację. jak każdy dobry sztab jego ludzie starali się być przede wszystkim ostrożni i przewidujący. Przy planowaniu operacji często posługiwano się starą zasadą: oblicz, jak dużej siły ogniowej będziesz potrzebował przy ataku, a następnie pomnóż ją przez dwa. Reguła ta często okazywała się najlepsza ze wszystkich. Lądowanie na bronionym przez wroga brzegu było niewątpliwie jedną z najmniejbezpiecznych operacji wojskowych. Trzeba było wziąć pod uwagę, że spotkają się z silniejszym oporem, niż przewidywali i wysłać odpowiednio większą liczbę ludzi. jednak co będzie, jeśli inwazja nie zdąży na czas? Czasami trzeba podjąć pewne ryzyko. Tak jak w tej sytuacji. Podniósł wzrok.

- W porządku, rozegramy to w następujący sposób. Ładujemy w Durbanie 20 grudnia, ale tylko jednostką do zadań specjalnych, a następnie dwiema brygadami. Trzecia brygada dołączy później. - Spojrzał na zaszokowanych oficerów. - Słuchajcie, panowie, za trzy dni ruszamy do Durbanu, więc lepiej zaczniście się pakować.

### • **17 grudnia - Kubański Korpus Ekspedycyjny, Potgietersrus**

- Wszystkie dane wskazują, że imperialiści zamierzają wylądować w Durbanie, towarzyszu generale. - Major Vasquez wskazał na mapę. - Durban posiada najlepsze w całej Afryce Południowej urządzenia portowe i najdogodniejsze plaże do lądowania. W dodatku wiemy, że Burowie zajęci są zamieszkami w mieście i atakami partyzantów w okolicy. Zatrzymał się na chwilę, starając się nadać odpowiednią formę swoim słowom.

- Durban jest zbyt oddalony od naszych linii, żebyśmy mogli w jakikolwiek sposób przeszkodzić w tej inwazji.

- Zgadza się, majorze. - Vega wyglądał na zdegustowanego. - Czy może mi pan jeszcze powiedzieć, co w ogóle możemy zrobić w tej sytuacji? Do tej pory wojna była prowadzona na lądzie i w powietrzu. Decydując się na atak od strony morza, połączone siły wroga będą miały swobodę, na jaką ani Kuba, ani RPA nie mogły sobie pozwolić. Operując praktycznie bez przeszkód, mogą zadawać poważne straty obu walczącym stronom. Nawet rosyjska marynarka nie odważyłaby się zaatakować amerykańskich okrętów operujących u wybrzeży Natalu. Zresztą Rosjanie nie mieli zamiaru ryzykować otwartej wojny z USA. Mogli wydać parę rubli na przestarzały sprzęt, ale bezpośrednie zaangażowanie nie wchodziło w rachubę. Niechęć do angażowania się w wojnę na morzu, z daleka od swoich macierzystych baz, spowodowana była również brakiem możliwości wsparcia lotniczego, a to praktycznie wykluczało pokonanie dwóch amerykańskich grup lotniskowcowych. Vega był pewien, że Castro nawet się nie trudził prosić Rosjan o wsparcie. Całkiem słusznie. I tak by odmówili. Vega zacisnął zęby.

- Cały problem polega na tym, majorze, że nie mam pojęcia jak przeszkodzić Amerykanom. Vasquez zrozumiał, że generał prosi o poradę.

- Uderzenie zjednoczonych sił na Durban spowodowałoby wycofanie pewnej liczby południowoafrykańskich wojsk, które stoją na naszej drodze... Generał skinął głową i uderzył otwartą dłońią w biurko. - Racja! Nie możemy powstrzymać tej inwazji... ale możemy wykorzystać ją do własnych celów. Odłóżmy w takim razie nasz atak do czasu, aż Amerykanie i Brytyjczycy wylądują. - Roześmiał się złośliwie. - Niech teraz



kapitałiści powojują trochę z Afrykanerami. jak tylko znajdą się na brzegu, rozbijemy stojące przed nami siły w Naboomspruit i ruszymy ostro na Pretorię. - Zauważył niepewny uśmiech Vasqueza. - Coś was martwi, panie majorze? - Niestety, tak. - Vasquez wskazał na południowo-wschodnie wybrzeże RPA. - Rosyjskie zdjęcia satelitarne pokazują, że amerykański rykański lotniskowiec USS Independence opuścił już Kapsztad, żeby przyłączyć się do lotniskowca USS "Carl Vinson". Niedługo ich samoloty znajdą się w odległości bojowej od Durbanu, Pretorii i naszych własnych linii. jeśli zbliżymy się do Pretorii, mogą nas zaatakować. - Zdaje się, że nie mamy innego wyjścia. Możemy jedynie nacierać z całą siłą, a wszystko pozostałe zostawić losowi. - Ton Vegi wskazywał, że generał uważa sprawę za zamkniętą.

### • 18 grudnia - Dowództwo Wojskowe Natalu, Durban, RPA

Po korytarzach ufortyfikowanej Kwatery Głównej Policji w Durbanie biegali zaaferowani mężczyźni w wojskowych mundurach. W biurach dzwoniły telefony, nanoszono poprawki na mapy i zmieniano plany działań. Lojaliści Vorstera, którzy ukrywali się w Kraju Przylądkowym, potwierdzili ich najgorsze obawy - amerykańskie lotniskowce kierowały się na Ocean Indyjski, szykując się do lądowania gdzieś na wschodnim wybrzeżu Afryki Południowej. *Brigadier* Franz Diederichs stał koło swojego biurka, patrząc z pogardą, jak jego podwładni usiłują zapobiec czemuś, czemu nie można było przeciwdziałać. Wywiad donosił, że Amerykanie i Brytyjczycy zamierzają wylądować w sile co najmniej dywizji Piechoty Morskiej, wspomaganą dwustoma samolotami z lotniskowca i potężnymi działami kilkunastu okrętów. On sam dysponował pięcioma kompaniami policji, trzema bateriami dział G-5 i G-6 i wreszcie trzema osłabionymi batalionami piechoty, które miały za sobą miesiące wojny z partyzantami plemienia Zulusów i krwawe walki uliczne w czasie listopadowych zamieszek. Wszystkim oddziałom brakowało ludzi i ciężkiej broni. *Brigadier* skrzywił się. Zwykły rozsądek powinien podpowiedzieć tym głupcom, że nie mają żadnej szansy. Przekonany był, że wróg kieruje się na Durban. Port i lotnisko idealnie nadawały się na desant. Stąd też prowadziła najlepsza droga na północ, do Pretorii i Johannesburga. W zasadzie miasto było jedynym możliwym miejscem na wschodnim, a właściwie na całym wybrzeżu RPA, nadającym się do rozpoczęcia ofensywy, w stronę najbardziej newralgicznej części republiki. jako duży port oceaniczny Durban mógł również zapewnić stałe, regularne dostawy sprzętu i żywności, które były niezbędne podczas ofensywy lądowej. Tak. Na pewno rozumował słusznie. Tylko co z tego. Myślał ponuro. Nagle aż sapnął z radości. Wydawało się, że Amerykanie dysponują wszystkim, ale, jak przy każdej tego typu operacji, jednym z najważniejszych czynników był czas. jego żołnierze nie mogli powstrzymać inwazji, ale mogli pozbawić nieprzyjaciela łatwego zwycięstwa. Nachylił się nad biurkiem, studiując kolejny raz plany portu. Od ponad tygodnia jego saperzy i oddziały czarnych robotników zgodnie z odgórnymi rozkazami, które dotyczyły wszystkich możliwych miejsc desantu nieprzyjaciela, pracowali dzień i noc, niszcząc urządzenia portowe. Przy użyciu materiałów wybuchowych przewrócili olbrzymie dźwigi obsługujące statki. Kilka oddziałów saperów czekało tylko na rozkaz, aby zatopić stojące na redzie i w porcie statki, blokując w ten sposób wejście do portu. Jak tylko pierwsza fala wojsk sprzymierzonych wyląduje na brzegu, musi wycofać swój niewielki garnizon do otaczających centrum miasta umocnień. Nawet przy tak dużej przewadze liczebnej i ogniowej *uitlanders* będą potrzebowali całych dni do wyparcia jego wojsk z ufortyfikowanych drapaczy chmur, nadbrzeżnych hoteli i

bunkrów. Dopóki tego nie zrobią, nie będą mogli rozpocząć napraw urządzeń portowych. W tym samym czasie jego artyleria ukryje się na zalesionych wzgórzach, w pobliżu Lotniska Luisa Bothy. Zapora ogniowa z potężnych dział skutecznie uniemożliwi Amerykanom lądowanie samolotów transportowych. Przy odrobinie szczęścia wyruszenie na Pretorię zostanie poważnie opóźnione przez brak żywności, paliwa i amunicji. *Brigadier* uśmiechnął się do swoich myśli. Bez względu na wynik bitwy on sam nie zobaczy jej rezultatów. Zamierzał zginąć, walcząc u boku swoich żołnierzy. Wycofanie się z miasta było niemożliwe. Nie miał najmniejszych złudzeń co do sposobu, w jaki rząd będzie traktował oficerów, którzy zawiedli jego oczekiwania. Człowieka, który zostawiłby Durban na pastwę wroga, mógł czekać jedynie pluton egzekucyjny. Poddanie się Amerykanom czy Brytyjczykom było również nie do pomyślenia. Nie miał zamiaru pojawić się przed sądem za tak zwaną zdradę narodu. Wolał już raczej zginąć z własnej ręki. Cienkie usta południowoafrykańskiego *brigadiera* wygięły się w pogardliwym grymasie. Również znacznie lepiej jest pozbawić się życia, niż stanąć w kajdankach przed nadętymi zdobywcami. Diederichs wyprostował się dumnie i ruszył wprowadzać w życie swój plan. Barykady, zasieki i ufortyfikowane budynki uczynią z Durbanu coś więcej niż tylko cmentarz jego marzeń i ambicji. Pozbawią także wroga nadziei na szybkie i bezkrwawe zakończenie wojny w jego ojczyźnie.

- **19 grudnia - Zespół 1. FOK Marynarki USA, na pokładzie HMS "Unseen"**

Bosman pierwszej klasy Joe Gordon z Marynarki USA dokładnie zamknął klapę wjazdu okrętu podwodnego HMS "Unseen". Wokół niego tańczyły bąbelki wydychanego powietrza. Wreszcie był w swoim żywiole. Pobyt na brytyjskim okręcie podwodnym był dla niego prawdziwą torturą. Pływał już na różnych jednostkach, ale zdecydowanie ten wariant odpowiadał mu najmniej. Kiedyś był przekonany, że w amerykańskich okrętach jest ciasno, ale dopiero teraz zrozumiał, co to naprawdę znaczy. Wolał już metro w godzinach szczytu. A do tego to obrzydliwe jedzenie, w dodatku z domieszką zapachu ropy. Brr! Tylko specyficzne angielskie poczucie humoru załogi i komandosów z SBS pozwoliło mu jakoś przetrwać. Na wspomnienie ich żartów roześmiał się bezgłośnie. Mimo niemiłych wspomnień Gordon zdawał sobie sprawę, że tylko tak nieduża jednostka, jak "Unseen" mogła ich wysadzić dostatecznie blisko lądu. Amerykański atomowy okręt podwodny klasy *Sturgeon*, którym tu dysponowali, nie dowiozłby ich tak blisko, nie mógł bowiem manewrować w wodach płytszych niż sto metrów. Przez chwilę wyteżał wzrok, żeby coś dojrzeć w mętnej wodzie. Jest! Z daleka błysnęło mdłe, pojedyncze światelko; nurkowie z zespołu FOK, którzy przed nim opuścili łódź, dawali mu znaki. Odbił się nogami od wjazdu i rozgarniając energicznymi ruchami wodę, popłynął w ich stronę. Po chwili był na miejscu. Przyjrzał się wszystkim. Nikogo nie brakowało. Mimo zasłaniających twarze aparatów tlenowych bez trudu rozpoznawał poszczególne osoby. Znał doskonale każdego swojego podwładnego i wiedział też, że żaden nie zawiedzie. Nieraz już przecież wykonywali razem podobne zadania. Czas naglił. Odwrócił się w stronę "Unseena". Daleko, obok niewyraźnej, zamazującej się sylwetki, z trudem dojrzał małe, poruszające się punkciki. Mogli ruszać. Drugi zespół FOK i Brytyjska jednostka Morska służby Specjalnej, SBS, też były gotowe. Gordon sprawdził kierunek na kompasie i dał znak pozostałym trzem kolegom. Płynąc miarowo, ruszyli w stronę niewidocznego jeszcze lądu. Według zapewnień kapitana brytyjskiego okrętu, mieli do przebycia dwa kilometry. Zważywszy ich sprawność, nie było to tak daleko, ale bosman zdawał sobie sprawę, że muszą być bardzo ostrożni. W tych

wodach roiło się od rekinów, a sama myśl o nich wywoływała nieprzyjemne dreszcze. Byle szybko dotrzeć do brzegu. Tam można stawić czoła niebezpieczeństwu, które znał i umiał mu przeciwdziałać. Zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka. Czasu było niewiele. Na łądzie mieli być o północy. Wypłynął na powierzchnię i spojrzał w stronę brzegu. Był już teraz dobrze widoczny w świetle księżyca, a plaża wydawała się pusta. To był dobry znak. Wróg nie spodziewał się ich. Gordon zapomniał o rekinach. Czekają ich za chwilę ważne zadanie. Zawsze jako pierwsi docierali na miejsce akcji i przecierali szlaki dla głównego desantu. Lubił duże ryzyko i to właśnie odpowiadało mu najbardziej. Zanurkował w stronę wybrzeża.

- **Drugi Korpus Ekspedycyjny Piechoty Morskiej, flota desantowa, wybrzeże RPA na wysokości Durbanu**

Pięćdziesiąt mil od brzegów Natalu potężne zgrupowanie floty amerykańskiej i brytyjskiej majaczyło w ciemnościach nocy. Masywne okręty desantowe, z opuszczonymi rampami, spuszczały na wodę mniejsze jednostki przewożące czołgi i amfibie, *LVIP-7*. Z tyłu krzątały się niszczyciele i fregaty, osłaniając formację przed atakiem z powietrza i wody. Marines i marynarze pracowali całą noc, szykując sprzęt, sprawdzając samoloty, helikoptery i czołgi.

- **Zespół 1. FOK, koło Międzynarodowego Lotniska Luisa Bothy, na południe od Durbanu**

Bosman Gordon wynurzył ostrożnie głowę z wody. Linia brzegowa przybrała w tym miejscu kształt płaskiej, piaszczystej plaży, która wspaniale nadawała się do ataku amfibii, ale nie dla oddziału FOK. Rozejrzał się dookoła. Chyba ich nie zniosło? Tam, na prawo. Skały Reunion, skupisko potężnych głazów wchodzących w morze, potwierdziły wcześniejsze obliczenia. Sygnalizując po cichu trzem towarzyszom kierunek, Gordon zanurzył się i podpłynął prosto do miejsca, gdzie nieduży strumień wpadał do Oceanu Indyjskiego. Jego trzech podwładni byli tuż za nim. Dno było w tym miejscu płytkie i mogli się łatwo rozebrać ze skafandrów. Noc była ciepła, ale wszyscy mieli na sobie czarne stroje maskujące. Nagle ciszę nocną rozdarło wycie i Gordonowi przemknęła myśl, że zostali odkryci. Rzucili się na ziemię, zdejmując pośpiesznie osłony z karabinów i zastanawiając się, co mogło ich zdradzić. Po chwili bosman rozpoznał dźwięk. Oczywiście, nie był to odgłos pocisku, a jedynie ryk silników odrzutowych samolotu startującego z leżącego przed nimi lotniska. Ich cel- pasy startowe i wieża kontrolna - oddzielone były od plaży rzędem przemysłowych budynków. O tej porze magazyny i budynki fabryczne były puste i powinny zapewnić im osłonę przed strażami lotniska. Gdy Gordon był informowany o ogólnych założeniach inwazji, nie podano mu żadnych bliższych danych. Oddziały FOK jak zwykle musiały wykazać swoją inicjatywę i doświadczenie, które Ich zresztą do tej pory nie zawiodły. Wiadomo było, że do desantu wyznaczono plaże na południe od Durbanu. Zebrane na pokładzie "Mount Whitney" dowództwo Piechoty Morskiej i Marynarki wybrało tę część miasta, żeby znaleźć się jak najbliżej lotniska oddalonego o dziesięć kilometrów od centrum. Pierwsze oddziały Piechoty Morskiej, które dotrą do plaży, będą musiały zabezpieczyć przyczółki, osłaniając lądowanie pozostałych wojsk. W tym czasie inne oddziały zaatakują samo lotnisko, dokonując desantu z powietrza. Dopiero potem wojsko ruszy do ataku. Zdjęcia zrobione z samolotów zwiadowczych pokazywały, że sam port został już zablokowany zatopionymi statkami. Lotnisko nadal jednak było czynne. Nie służyło teraz wprawdzie jako międzynarodowy port lotniczy, ale ciągle lądowały na nim i startowały samoloty

wojskowe i transportowe. Gordon "pojrzał na zegarek i uśmiechnął się. Za godzinę odrzutowce *F 14* Marynarki rozpoczną atak. Jak dotąd samoloty znajdujące się na pokładzie lotniskowca trzymały się z daleka od portu lotniczego Durbanu. Sprzymierzone dowództwo nie chciało dopuścić, żeby Afrykanerzy pod wpływem paniki zniszczyli pasy startowe, wieżę kontrolną i urządzenia do tankowania samolotów. Zadanie zespołu Gordona było jasne. W ciągu kilku godzin, do czasu lądowania Piechoty Morskiej, zespół FOK miał odszukać i rozbroić umieszczone na lotnisku ładunki wybuchowe. jedyna trudność polegała na tym, że musieli to zrobić niezauważalnie. Afrykanerzy powinni do ostatniej chwili sądzić, że zdążą jeszcze zniszczyć lotnisko. Bosman uśmiechnął się sardonicznie. Wrogi garnizon nawet nil' podejrzewa, jak bardzo urozmaicona czeka ich noc.

- **Commanche Cztery, na pokładzie USS „Carl Vinson”**

Commanche Cztery oderwał się od pokładu. Nawet przy pełnym ładunku paliwa i bomb katapulta "Vinsona" bez trudu wyrzuciła bombowiec *A-6E* w powietrze. Porucznik Mark Hammond zniżył nos odrzutowca, polegając głównie na swoim instynkcie. Sprawny start zależał tylko od niego. Hammond wyprostował lot i rozejrzał się za resztą eskadry. Trzy inne *Intrudery* zostały wyrzucone z pokładu lotniskowca kilka minut przed Commanche Cztery. Przeszukał szybko ciemne niebo. Są! Nisko nad wodą pojawiły się światła pozycyjne samolotów. Ostatecznym ich celem był oddalony o sześćdziesiąt mil na zachód Durban. Na razie jednak nie zmierzały jeszcze w stronę miasta. Dowódcy na pokładach lotniskowców "Carl Vinson" i "Independence" planowali skoordynowany atak Alfa na główne cele wojskowe w całym Durbanie. Eskadra Commanche *A-6E* miała krążyć nad wyznaczonym punktem czekając, aż wszystkie samoloty znajdą się w powietrzu. Oba lotniskowce miały wysłać w powietrze ponad sto dwadzieścia samolotów. Eskadra szybko osiągnęła punkt Sierra Dwanaście i zaczęła zataczać duże kręgi na niskim pułapie. Grupowy lot nocny zmuszał Hammonda do pełnej koncentracji, ale pilot zdawał sobie sprawę, że Rob Wallace, jego bombardier i nawigator w jednej osobie, jest jeszcze bardziej zajęty przy skomplikowanym wyposażeniu elektronicznym *Intrudera*. Nawet przy samotestujących programach nadzorowanie sprzętu było wyjątkowo trudne.

- Overlord. Wykonać. - Rozkaz wyruszenia do ataku przyszedł po kilku minutach krążenia. Obserwując samolot dowódcy, Hammond automatycznie wykonywał jego polecenia, nie używając radia. Cztery bombowce, które krążyły na wysokości sześciuset metrów, szykując się do ataku, zeszły na wysokość pięćdziesięciu metrów. Hammond czuł bicie serca. To był jego pierwszy prawdziwy lot bojowy. Ich zadanie polegało na wyeliminowaniu działek przeciwlotniczych broniących Lotniska Luisa Bothy. Trzydzieści kilometrów od miasta kamery na podczerwień, które umożliwiały lot w całkowitych ciemnościach, zaczęły pokazywać budynki i inne źródła ciepła. Lecąc nad plażą, Hammond zobaczył na swoim ekranie jasne, rozżarzone plamy. Ognie? Tak. To chyba pożary. Pewnie wywołane wcześniejszymi atakami. Nagle zorientował się, że pożary są zbyt rozległe, żeby mogły być spowodowane niedawnymi wybuchami. Miasto płonęło już od dłuższego czasu. Wyglądało na to, że mają ułatwione zadanie.

- **USS "Mount Whitney"**

Generał Jerry Craig oparł się o reling i obserwował przez lornetkę widoczne już dobrze w promieniach wschodzącego słońca, przepływające obok okręty. Helikoptery

i samoloty wzbijały się w powietrze i leciały nisko nad wodą. Silny wiatr wiejący od brzegu świstał pomiędzy antenami i talerzami satelitarnymi okrętu. Generał w zasadzie powinien znajdować się teraz w wygodnym pokoju Centrum Dowodzenia Flotą, przed olbrzymim ekranem komputera. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie rzucenia ostatniego spojrzenia na znajdującą się pod jego dowództwem flotę.

- Sir? Craig odwrócił się do oficera Marynarki. - Tak, poruczniku?

- Generał Skiles przekazuje, że otrzymaliśmy wiadomość z "Vinsona". Wstępne ataki lotnictwa zakończyły się pomyślnie. Młody oficer Marynarki uśmiechnął się nieznacznie. Zdaje się, że rozwaliliśmy ich w drobny mak, sir. Craig skinął głową.

- Wspaniale. - Skierował się w stronę schodni prowadzącej do centrum dowodzenia. - Dajcie znak wszystkim okrętom. Rozpoczynamy desant.

### • **USS „Saipan”**

Szeregi ciężko uzbrojonych żołnierzy Piechoty Morskiej wchodziły właśnie na pokłady samolotów, gdy nadszedł rozkaz startu. Sierżanci i oficerowie, których komendy zmieszane z przekleństwami ledwo było słychać przez ryk silników, zaczęli popędzać żołnierzy, którzy w oka mgnieniu zajęli miejsca w siedmiu czekających *Ospreyach*. Kiedy tylko zamknięto rampy, ciężkie transportowce ruszyły naprzód i po bardzo krótkim rozbiegu oderwały się od pokładu. Niemal w tej samej chwili, gdy pierwsza grupa wzbijała się w powietrze, windy "Saipana" wwoziły kolejne samoloty, które szybko zajmowały pozycję startową. Równie szybko grupy żołnierzy ruszały do zajmujących pozycję maszyn. Dokładnie te same czynności powtarzane były na USS "Wasp" i USS "Inchon". Chmury myśliwców osłaniały start samolotów transportowych i wkrótce dwadzieścia jeden *Ospreyów* skierowało się w stronę miasta. Lecąc nisko nad falami z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę, formacja skręciła w stronę zasnutej czarnym dymem plaży. Mimo zapiętych pasów siedzący w lukach towarowych żołnierze musieli mocno trzymać się siedzeń, kiedy *Ospreye* podskakiwały na wietrze. Wyżej leciały eskortujące ich myśliwce. W normalnych warunkach, kiedy wojsko było przewożone helikopterami, myśliwce musiały zataczać duże koła nad wolniejszymi maszynami. *Ospreye* łączące cechy samolotów i śmigłowców były na szczęście dostatecznie szybkie, co pozwalało na zachowanie szyku i większe poczucie bezpieczeństwa, a także oznaczało, że będą mniej narażone na pociski obrony przeciwlotniczej. Po piętnastu minutach lotu, z czego pięć zajęło tworzenie formacji, samoloty osiągnęły Lotnisko Luisa Bothy. W chwilę po wylądowaniu otworzyły się rampy i na płytę lotniska zaczęli wybiegać żołnierze. Rozwinęli się natychmiast w tyralierę, przygotowani na ewentualny atak, ale wokół panował spokój. Nikt do nich nie strzelał. Baterie przeciwlotnicze nieprzyjaciela zostały wcześniej doszczętnie zniszczone. Półtonowe bomby zrzucone z *Intruderów* zamieniły stanowiska artylerii w kraterzy zasypane piaskiem z rozerwanymi worków i zawalone połamanymi fragmentami dział. Wysoko w powietrzu krążyły *AH-1 Sea Cobra* i *Harriery*, wypatrujące wroga, ale wszędzie widać było jedynie kłęby czarnego dymu wzbijającego się w powietrze. Mimo wielogodzinnego ostrzału lotnisko na szczęście nie zostało zniszczone i wojska inwazyjne mogły z niego korzystać. Puste *Ospreye* wzbily się pionowo w powietrze i lecąc nisko nad budynkami fabrycznymi, skierowały się nad ocean po następne grupy żołnierzy.

### • **USS "Mount Whitney"**

Craig patrzył na monitor komputera żałując, że nie jest to obraz przekazywany przez kamerę. Najchętniej wróciłby teraz na pokład, ale wtedy nie mógłby kierować

uderzeniem. Statek był wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia łącznościowe i systemy komputerowe, które umożliwiały kontrolowanie wszystkich jednostek - zarówno tych na brzegu, jak i czekających na okrętach.

- Jak ciężki jest ostrzał? - spytał Skilesa.

- Hayes donosi, że jego ludzie zostali dokładnie przygwożdżeni. Straty są poważne. Uważa, że strefa lądowania jest zbyt niebezpieczna, żeby wysłać drugą falę.

- Zgadzam się z tym. - Craig skinął głową. - Zatrzymaj drugi rzut dwadzieścia mil od SL i zobacz, co możemy zrobić z artylerią.

- Nie możemy niczego podsłuchać na falach radiowych. Nie mamy więc pojęcia, gdzie ulokowali działa i obserwatorów. Skiles zakreślił koło o promieniu czterdziestu kilometrów od centrum lotniska. Craig westchnął. Cholerna artyleria może się znajdować w dwóch trzecich drogi do Pietermaritzburga. Teren jest wyjątkowo pofałdowany i zbyt duży, by go można dokładnie przeczesać. Zastanawiając się na głos, Skiles powiedział: - Muszą przecież używać linii telefonicznej. W tak dużym mieście na pewno jest sprawny i rozległy system łączności.

- W czasie wstępnego bombardowania planowaliśmy zniszczenie central telefonicznych i stacji radiowych. Wszystkie wyznaczone cele zostały zrównane z ziemią.

- Craig zdjął czapkę i potarł w zamyśleniu czoło.

- Niech to diabli! Rozwalmy jeszcze raz wszystkie obiekty, jakie mamy na liście - rozkazał. - Załatwmy to możliwie jak najszybciej.

### • **Eskadra Navaho, nad wybrzeżem Nasalu**

- Navaho Jeden, tu Overlord... - Wezwanie radiowe z "Carla Vlnsona" niezmiernie podekscytowało i ucieszyło zniecierpliwionego Johna "Buntownika" Lee i pozostałych pilotów z Eskadry Navaho, jednej z sześciu wyznaczonych do akcji. Ponieważ przygotowanie samolotów i lot nad cele były czasochłonne, myśliwce wysyłano wcześniej, aby były blisko miejsca ataku w każdej chwili gotowe do uderzenia. Krążącemu przez dłuższy czas czterdzieści mil od brzegu Lee wydawało się, że tylko oni nie włączyli się jeszcze do walki. Teraz nadeszła ich kolej. Dokładnie zanotował współrzędne celu i przez chwilę słuchał rozkazów wydawanych innym eskadrom. Nacisnął guzik mikrofonu.

- Overlord, tu dowódca Navaho. Dostałem współrzędne, podaj rodzaj celu. Odbiór. Celem jest budynek centrali telefonicznej. Powtórz wszystkie dane. Odbiór. Lee powtórzył, wprowadzając jednocześnie współrzędne celu do komputera. Przyjąłem, Navaho. Zadanie jest pilne. Załatwcie to szybko. Bez odbioru. "Buntownik" Lee nacisnął klawisz Enter i na wskaźniku HUD pojawił się wykres kursu, generowany przez komputer. Następnie sprawdził przełączniki uzbrojenia, które składało się z dwóch rakiet *Sidewinder* i ośmiu półtonowych bomb, podwieszonych pod skrzydłami jego F/A-18 *Hornet*. Na komputerowej mapie miasta pojawił się cel. Wyraźne linie pokazywały kolejne etapy. Lee zagwizdał. Trasa była wręcz podła. Na szczęście, ostrzał z południowoafrykańskich dział przeciwlotniczych był niewielki, a w powietrzu nie było żadnych wrogich samolotów. Nacisnął guzik mikrofonu.

- Pantera, kieruję się na pierwszy etap. Usłyszał potwierdzenie. Spojrzał na prawo i zobaczył skrzydłowego "Panterę" Lewisa, który przeszedł teraz z prawego skrzydła do tyłu, gotowy do ataku.

### • **USS "Mount Whitney"**

- Oficer operacyjny podaje, że myśliwce za chwilę zaatakują cel- przekazał

informację Skiles. Zmarszczył brwi. - Martwię się jednak o drugą grupę uderzeniową, sir. Za kilka minut skończy się im paliwo i będziemy wtedy musieli zawrócić je na okręt, aby zatankowały i ponownie wysłać. Craig pokręcił niechętnie głową.

- Cholera, George, jeśli to zrobimy, możemy opóźnić całą operację. - Spojrzał ze złością na mapę. - Ale zgoda. Nie możemy wysadzić więcej ludzi na brzeg, dopóki nie rozprawimy się z tymi haubicami. - Generał wyobraził sobie nagle płonące transportowce trafione podczas schodzenia do lądowania. Odwrócił się w stronę admirała dowodzącego lotniskowcami. - Steve, musimy szybko z tym skończyć. Podprowadź natychmiast swoje jednostki bliżej lądu. Jeśli *Ospreye* nie będą tracić czasu na przeloty, zaoszczędzimy ładnych kilka minut. Admirał sięgnął po słuchawkę, a Craig dodał jeszcze:- Przypilnuj też, aby samoloty zaraz po wylądowaniu były na nowo uzbrajane. Potrzebujemy wszystkich maszyn.

### • Eskadra Navaho

- Pantera, podchodzę do wskazanej pozycji. Zwalniam do pięciuset kilometrów. Lee usłyszał w słuchawkach potwierdzenie i skierował *Horneta* na cel. Zmniejszając ciąg, wysunął jednocześnie hamulce aerodynamiczne i obserwował uważnie ruch wskazówki szybkościomierza. W normalnych warunkach *FI A-18* latały z prędkością ośmiuset do tysiąca kilometrów na godzinę. Nad miastem należało jednak zwolnić, bo nawet przy połowie prędkości domy migąły w zawrotnym tempie. Dopiero po dokładnym namierzeniu celu, tuż przed atakiem, pilot zwiększał prędkość, aby po wykonaniu zadania szybko wycofać się spod ewentualnego ostrzału obrony przeciwlotniczej. Lee przełączył *HUD* na tryb celowania powietrze-ziemia i upewnił się, czy przygotowane są bomby. Od czasu swojej największej wpadki zawsze kilkakrotnie sprawdzał panel kontrolny uzbrojenia tuż przed atakiem. Wtedy całą akcję przeprowadził idealnie, tyle że Zamiast bomb zrzucił nad celem podwieszony zbiornik z paliwem. *HUD* Wyświetlił odległość od celu i Lee skoncentrował się teraz na utrzymaniu kursu, obserwując jednocześnie teren, aby przy niskiej Wysokości nie zahaczyć o coś maszyną. Zbliżali się do wyznaczonego punktu, ale kwadrat znacznika celu zdawał się obejmować jedynie chmurę dymu Wzbijającą się wysoko w powietrze. Nagle na wyświetlaczu ukazał się obiekt w całej okazałości. Lee Wytrzeszczył oczy. Nie oczekiwał czegoś podobnego. W centrum kwadratu znajdował się zupełnie zniszczony budynek, kompletna ruina. A właściwie tylko gruz i powyginany stalowy szkielet. Współrzędne nie mogły być jednak błędne. Miał przed sobą wyznaczony cel. Podczas przelotu nad nim mignęły mu też ułożone przed domem naprzeciwko worki z Piaskiem i stojące przed wejściem grupy ludzi. Sprawdził ponownie pozycję Lewisa, który dawał mu znaki ręką.

- Jaki plan, szefie? - usłyszał jednocześnie w słuchawkach.

- Chyba atakujemy zgodnie z rozkazem. Pantera miał wątpliwości.

- Tam nie zostało Wiele do zniszczenia.

- Nie Wiem dokładnie, o co chodzi, ale trzymamy się planu A. Samoloty oddaliły się na odpowiednią odległość. Lee nacisnął guzik mikrofonu.

- Wracamy! Skręt w lewo! Już! Oba *Hornety* pochylały się na lewe skrzydła i zgrabnie wykonały manewr. Lee wyrównał lot za LeWisem, który teraz prowadził atak, i przesunął manetkę do Przodu, gdy skrzydłowy przyspieszył. Dachy domów zaczęły znowu migać pod nimi w szaleńczym tempie.

### • Główna Centrala Telefoniczna, West Street

Żołnierze broniący budynku Centrali obserwowali z niepokojem pędzące na nich

amerykańskie myśliwce. Przy takiej prędkości zdołali jedynie dojrzeć Ostre nosy i szare, ścięte skrzydła, zanim samoloty przemknęły z ogłuszającym rykiem nad ich głowami. Myśliwce wroga były niebezpieczne, ale ich cele wydawały się przypadkowo wybrane. Niecałe dwie godziny wcześniej inne maszyny zbombardowały i całkowicie zniszczyły budynek po drugiej stronie ulicy, zostawiając centralę nie naruszoną. Jeden z żołnierzy zasugerował, że w zbombardowanym budynku prowadzono pewnie jakieś tajne prace wojskowe. W końcu wśród wybuchów śmiechu doszli do wniosku, że Amerykanie są kiepskimi strzelcami. Nie zdawali sobie zupełnie sprawy, że mieli po prostu dużo szczęścia.

- **Eskadra Navaho**

„Buntownik” Lee dzielił uwagę między obserwowanie dachów, informacje wyświetlane na wskaźniku HUD i utrzymanie pozycji za skrzydłowym, który był o półtora kilometra przed nim. Plan ataku polegał na wykonaniu jednego szybkiego podejścia, zanim ochrona budynku będzie miała czas wkroczyć do akcji. Na wprost twarzy Lee HUD pokazywał dokładne namiary i pozostałe dane. Kwadrat znacznika celu był naprowadzony na wybrany budynek, ale sam cel był jeszcze zasłonięty przez inne domy. *Hornet* „Pantery” podskoczył w powietrzu i Lee przestraszył się, że coś zmusiło skrzydłowego do zmiany kursu. W tym samym czasie, gdy przemknęła mu ta myśl, prowadzący samolot wyrównał lot i gwałtownie zanurkował. Lee zobaczył odrywające się bomby i jednocześnie smugi pocisków sunących z ziemi w stronę samolotu skrzydłowego. Na szczęście były niecelne. Prawdopodobnie karabin maszynowy w domu po drugiej stronie ulicy, stwierdził Lee. Ułamek sekundy później bomby wybuchły i Lee spojrzął w celownik. Pantera trafił w sam środek budynku. Gówno! - pomyślał nagle Lee. Obiekt jest wprawdzie dokładnie rozwalony, ale ktoś strzelał do mojego skrzydłowego. Niemal automatycznie, w okamgnieniu podjął decyzję. Pochylił nos myśliwca.

- **Główna Centrala Telefoniczna, West Street**

Żołnierze znowu mogli sobie pogratulować. Amerykańskie samoloty po raz drugi ominęły centralę telefoniczną, bombardując z uporem ruiny po przeciwnej stronie. Ale tym razem szczęście trwało krótko. Nisko nad dachem przemknął z rykiem inny samolot. Zrzucone bomby trafiły prosto w budynek centrali. Nikt nawet nie zdążył pomyśleć o ucieczce. Wszyscy zginęli pod gruzami.

- **Międzynarodowe Lotnisko Luisa Bothy**

Ogień artyleryjski zelżał na chwilę i sierżant Jim Cooper rozejrzał się po lotnisku. Większa część oddziału znajdowała się u jego boku, w hangarze, kryjąc się przed ogniem zaporowym południowoafrykańskich dział. Jednak czterech jego ludzi zostało na płycie lotniska. Z tej odległości nie potrafił dostrzec, czy któryś jeszcze żyje. Zawahał się przez chwilę, jeśli wybiegnie i zostanie dostrzeżony przez południowoafrykańskich obserwatorów, może ściągnąć na resztę żołnierzy ogień wroga, a aluminiowe ściany hangaru nie stanowiły dostatecznego zabezpieczenia przed pociskami. Z drugiej strony, nie mógł przecież zostawić kolegów potrzebujących natychmiastowej pomocy. Doszedł do wniosku, że to niemożliwe. Gdy się pospieszy, być może uda mu się przenieść ich w bezpieczne miejsce. Odczekał na odpowiedni moment i kiedy ogień zaporowy umilkł na chwilę, ze ściśniętym ze strachu żołądkiem wyskoczył na zewnątrz. W rekordowym tempie pokonał odległość



kilkudziesięciu metrów dzielących go od leżących postaci. Zatrzymał się przy najbliższym. Szeregowiec Oliver nie żył. W jego karku widniała dziura wielkości pięści. Następnym dwóch też nie żyło. Ale ostatni, szeregowiec Ford, był tylko nieprzytomny. Cooper bez namysłu przykucnął i zarzucił rannego na plecy. Następnie przygarbiony, klucząc pobiegł w stronę zbawczego hangaru. W każdej chwili spodziewał się strzałów. I faktycznie, rozpoczęła się kanonada, ale pociski spadały daleko od nich, w pobliże miejsc poprzednich ataków. Po co marnują naboje? Co się dzieje, u diabła? - pomyślał zaskoczony. jednak teraz nie było czasu na marudzenie. jeszcze miał do przebycia kilkanaście metrów. Ale jego umysł pracował gorączkowo i gdy dotarł bez przeszkód na miejsce, już wiedział. Zaraz przy wejściu wyciągnęło się po nieprzytomnego kolegę kilkanaście rąk. Ostrożnie zdjęli go i ułożyli na prowizorycznym pośłaniu, a sierżant, już znowu w biegu, nie oglądając się za siebie, krzyknął:- Pędź do porucznika z ważną wiadomością! jak wrócę, macie być gotowi do akcji! Czeka nas dużo roboty.

### • **USS „Mount Whitney”**

Generał Skiles nie ukrywał podniecenia.

- Sir, pułkownik Hayes donosi, że ogień nieprzyjaciela skierowany jest daleko od SL i nikt go chyba nie koryguje. Craig nie ukrywał radości.

- Zdaje się, że atak naszych myśliwców załatwił sprawę. Wyszliśmy drugi rzut na brzeg, zanim ci dranie zorientują się, co się dzieje. Wracamy do roboty. Po kilku minutach, w czasie których otrzymywali coraz pomyślniejsze wiadomości z lądu, Skiles poinformował:- Drugi rzut znajduje się na brzegu, generale. Żadnych strat. Craig z satysfakcją kiwnął głową. Mieli teraz pod całkowitą kontrolą cały obszar miasta i okolic. Kontrolowali również wszystkie częstotliwości radiowe, co teraz, po zniszczeniu linii telefonicznych, znacznie ułatwiło wyśledzenie punktów obrony nieprzyjaciela. Wystarczyło tylko przechwycić wymianę informacji między obsługą dział a obserwatorami, aby sprzęt namierzający szybko naprowadził bombowce i pozwolił im wyeliminować je z walki. Tymczasem pierwsze *LVTP-7* samoloty transportowe zbliżały się do brzegu. Z lotniska otrzymali raport, że najdalej za pół godziny pasy startowe będą oczyszczone. Część oddziałów pierwszego rzutu zabezpieczała już wzgórza wznoszące się nad plażą oraz drogi prowadzące do miasta. Craig z uczuciem dumy wpatrywał się w monitor komputera. jego wojsko zwyciężało na całej linii. Do pełnego triumfu było, oczywiście, jeszcze daleko i trzeba było się spodziewać zaciętych walk przez następny dzień czy dwa. jednak już teraz mógł być spokojny o rezultat tych walk. Zamierzał rozgromić broniące się oddziały, zdając sobie sprawę, że pozbawienie wroga możliwości komunikacji wewnętrznej znacznie ułatwiło mu to zadanie. Rozluźnił się zupełnie. jego wojsko zdobyło już drugi ważny punkt w Afryce Południowej.

## Zwolnienie działań

- **20 grudnia - Kubański Korpus Ekspedycyjny, koło Potgietersrusu, RPA**

Kilkadziesiąt czołgów *T-72* transporterów opancerzonych *BTR* i bojowych wozów piechoty *BMP* oraz 152-milimetrowe działa samobieżne nieruchomo tkwiły pod bezchmurnym niebem. Zmęczeni upałem żołnierze wolno się poruszali przy sprzęcie, czyszcząc broń i naprawiając uszkodzone pojazdy. Pozostali po prostu odpoczywali po męczącym dniu. Wyczerpana tygodniami nieustannych walk i znajdująca się na samym końcu coraz bardziej niepewnej linii zaopatrzenia Grupa Taktyczna Pierwszej Brygady zmuszona została do tymczasowego postoju na przełęczy, na południe od górniczego miasta Potgietersrus. Generał Antonio Vega stał samotnie, obserwując przez lornetkę okoliczne tereny. Vasquez i pozostali oficerowie czekali niecierpliwie w pobliżu kilku wozów dowodzenia *BIR-60* i wozów terenowych *GAZ-69*. Generał usłyszał ich niespokojne szepty i uśmiechnął się do siebie. Sztab cały czas niepokoił się jego, według ich oceny, lekkomyślnym narażaniem życia. Kilku oficerów dostało już nawet wrzodów obawiając się, że głównodowodzący może zostać zastrzelony przez snajpera w czasie wizytowania linii frontu. Jednak Vega lubił znajdować się na pierwszej linii. Żołnierze potrzebowali otuchy i większego poczucia bezpieczeństwa. Wiedział, że nic nie zapewni im tego bardziej niż widok dowódcy na polu walki. A dla niego samego bezpośrednia obserwacja była cenniejsza niż suche raporty dowódców jednostek. Dzisiejszy sprawdzian okazał się pokrzepiający. Mimo ciężkich strat i narastającego zmęczenia jego ludzie zachowali pewność siebie i przekonanie o nadchodzącym zwycięstwie. Co prawda, niewielu z nich wiedziało o imperialistycznej interwencji Zachodu, jeszcze mniej żołnierzy martwiło się malejącym poparciem czarnej społeczności RPA dla kubańskich "wyzwolicielskich" sił. Wojsko wiedziało, że Pretoria oddalona jest zaledwie o dwieście kilometrów i było gotowe do ataku. Vega ustawił ostrość lornetki i przesunął wzrokiem po porośniętej rzadkimi, karłowatymi drzewkami równinie, głównie pastwiskach i plantacjach tytoniu. Jak okiem sięgnąć, ani śladu człowieka. Vega wiedział, że tak właśnie było. Od kilku dni kubański zwiad przeczesywał te tereny. Poza kilkoma punktami obserwacji artyleryjskiej, wojska Vorstera wycofały się do obrony skrzyżowania dróg koło Naboomspruit, zamożnego miasta rolniczego i przemysłowego, pięćdziesiąt kilometrów od Potgietersrusu. Podniósł głowę, przyglądając się horyzontowi. Purpurowa plama na horyzoncie, to właśnie Naboomspruit. Według ich rozeznania, miasto stanowiło ostatni poważny punkt oporu na drodze do Pretorii, Johannesburga i wręcz niewyobrażalnych bogactw naturalnych Witwatersrandu. Vega zmarszczył brwi. Naboomspruit nie będzie łatwym orzechem do zgryzienia. Rozległe mokradła i trzęsawiska rozciągały się na wschód od autostrady, aż do bronionego przez Afrykanerów miasta, uniemożliwiając przeprowadzenie jakiegokolwiek ataku z flanki przez wozy bojowe i czołgi. Tereny na północ i zachód od miejscowości też nie wyglądały zachęcająco. Wznosiły się tam

góry Waterberg, a ich strzelające wysoko w niebo, poszarpane, prawie pionowe ściany sprawiały wrażenie niedostępnych. Co gorsza, zwiad donosił, że na górze Naboomspruit, parę kilometrów od miasta, okopały się nieprzyjacielskie kompanie piechoty i artyleria. Naboomspruit było jednym z nielicznych wzniesień z łagodniej opadającymi zboczami. Wszystko razem zapowiadało kolejny krwawy i wyniszczający czołgowy atak na wzmocnione linie obrony wroga. jednostki Vega będą musiały wyprzeć obronę ze wzniesienia, przebyć nieosłoniętą równinę i dopiero uderzyć na miasto. Pokręcił niechętnie głową. Pretoria i Johannesburg, czyli polityczne i przemysłowe centrum Afryki Południowej, znajdowały się w jego zasięgu. jednak zbyt wielu żołnierzy będzie musiało umrzeć, zanim je dostanie w swoje ręce.

- Towarzyszu generale! Vega odwrócił się do Vasqueza.

- O co chodzi? Pułkownik wyciągnął notatnik.

- Nasłuch radiowy potwierdza, że Amerykanie wylądowali! W Durbanie, dokładnie jak oczekiwaliśmy! Vega starał się ukryć sprzeczne uczucia. Kapitałiści nie przedstawiali większego zagrożenia dla jego planów, kiedy byli zajęci pacyfikowaniem Kapsztadu. Zajmując wybrzeże Natalu, wojska sprzymierzone zmieniały całą sytuację. Obecnie będą walczyć o to samo, o najbardziej zasobne tereny republiki. A wygrać może tylko jedna strona. Na razie jednak trzeba maksymalnie wykorzystać szansę, jaką daje inwazja w Natalu. Vorster zmuszony był przerzucić tam dużą część wojsk skutecznie utrudniających do tej pory Kubańczykom dalszy marsz na południe. Vega był przekonany, że Afrykanerzy, chcąc powstrzymać Amerykanów i Brytyjczyków, będą musieli wycofać tam następne oddziały. Usta wygięły mu się w triumfalnym uśmiechu. Ostatnie dwa tygodnie spędził, przygotowując się na taką ewentualność. W czasie gdy południowoafrykańskie służby wywiadowcze były zajęte śledzeniem floty inwazyjnej, Vega po cichu przeniósł większą część ciężkiej broni i oddziałów piechoty z drugiej do pierwszej grupy taktycznej. Od tej chwili druga grupa, która nadal walczyła w górach, bliżej Mozambiku, miała za zadanie ograniczyć swoje operacje do niewielkich potyczek i hałaśliwych podjazdów, wiążąc południowoafrykańskie siły. Prawdziwe uderzenie, ostateczna kubańska ofensywa, miało nastąpić od północy. Vega podniósł wzrok na czekającego pułkownika.

- Poinformujcie wszystkich dowódców. Rozpoczynamy atak 22 grudnia o godzinie 04:00. Generał Antonio Vega zamierzał poczekać jeszcze dwadzieścia cztery godziny na wycofanie większej liczby oddziałów wroga z linii frontu.

### • **Transwalskie komando "Goetke". Thorndale. Autostrada N 1**

Pokolenia ciężko pracujących farmerów i hodowców bydła znaly Thorndale jeszcze jako miasto - centrum handlu i kultury. jednak z biegiem lat miejscowość zaczęła podupadać. Ludzie uciekali do oddalonego o czterdzieści kilometrów rozkwitającego Pietersburga leżącego przy Autostradzie N1. Kiedy do Thorndale zbliżyły się kubańskie wojska, zamieszkiwali je tylko bardzo młodzi i całkiem starzy ludzie. Niemal wszyscy pozostali biali opuścili je w poszukiwaniu pracy i rozrywki, jakie zapewniały duże miasta. Jak wiele miasteczek, znajdujących się w podobnej sytuacji, Thorndale umierało powolną śmiercią. Teraz przyszli Kubańczycy. Z początku wyglądało to niegroźnie. Ale szybko najeźdźcy pokazali prawdziwe oblicze. Wprowadzono całodobową godzinę policyjną. nowo wybrukowane ulice i żyzne pola zostały zorane gąsienicami czołgów, zaczynało brakować żywności. Zmieniło się na gorsze jeszcze bardziej, gdy do miejscowości przybyły jednostki tyłowe. Ogołocono sklepy, zabrano całą żywność i sterroryzowano mieszkańców. Większość mężczyzn zdążyła uciec wcześniej do lokalnych komand, które nękały kubańskie linie zaopatrzenia i zabijały samotnych żołnierzy. Pozostała część mieszkańców wołała się schronić w pobliskich wioskach, niż pozostać na łasce wroga. Okazało się też szybko.

że ci, co pozostali w mieście, popełnili poważny błąd. Ludzie miejscowego komando stali się zbyt niebezpieczni dla Kubańczyków, którzy postanowili wziąć odwet na ich bliskich. Pewnej nocy w ramach kary za „akty terrorizmu” trzy baterie artylerii ostrzelały Thorndale pociskami z gazem paraliżującym i białym fosforem. Pięć minut bombardowania zmieniło miasteczko w stertę gruzów usłanych zwłokami. Czternastoletni Jaime Steers leżał ukryty w ruinach własnego domu, podglądając rozpalone przez wroga ogniska obozowe. Czekał tak od kilku godzin. schowany za rozwalonymi meblami i przykryty plastikową płachtą. Mimo ciemności od czasu do czasu mógł zobaczyć poruszające się postacie i oświetlone ogniem twarze. Kubański konwój zaopatrzeniowy obozował na dawnym głównym rynku miasta. Dziesięć ciężarówek, eskortowanych przez tyle samo wozów bojowych i transporterów opancerzonych, wjechało do Thorndale przed zmrokiem. Ruiny miasta świetnie nadawały się na miejsce odpoczynku po całodniowej podróży z punktu zbiorczego w Bulawayo w Zimbabwie. W ciągu ostatnich czterech dni był to już czwarty kubański konwój, który tutaj stacjonował. Południowoafrykańskie komando, dowodzone przez Erasmusa Goetke, planowało odplacić Kubańczykom za wszystkie krzywdy. W spokojnych czasach Goetke był zamożnym farmerem, który według opinii sąsiadów potrafił wyhodować pszenicę nawet na piasku. Kiedy Kubańczycy zburzyli mu dom i ukradli plony, zaprzysiągł zemstę. Był to pobożny człowiek znający na pamięć wersety z afrykanerskiej wersji Biblii i jego gniew przybrał iście biblijne rozmiary. Goetke włączył do swojego komando również wszystkich starców i zdolnych unieść broń nastolatków. Młodsze kobiety zostały szpiegami. Dzieci ukryto na wzgórzach, jednak Jaime Steers był już dostatecznie duży, żeby wziąć udział w walce. Zresztą uważał to za punkt honoru i swój obowiązek. Wspomnienia o heroicznych walkach przodków były głęboko wryte w sercu każdego Bura. Dlatego też w razie najmniejszego zagrożenia podejmowali natychmiast wyzwanie. Jaime nie odrywał oczu od podarowanej mu przez ojca lornetki, przyglądając się ludziom których komendant Goetke zamierzał zabić. Kubańczycy wydawali się pewni siebie, myszkując w ruinach miasta. Większość z nich siedziała teraz przy ogniskach, podgrzewając jedzenie i pijąc kawę. Kilku zabawiało się siusianiem na zbiorowy grób mieszkańców zabitych w czasie bombardowania. Na ten widok oczy chłopca zaszyły łzami. W grobie spoczywała jego rodzina: wujek, ciotka i trzech młodzi kuzyni. Dłonie same zacisnęły mu się w pięści. Gdyby to było możliwe, zabiłby każdego z tych drani po kilkakroć. Wciągając głęboko powietrze poczuł, że drży. Przez głowę przelatywały mu różne myśli. Spokojnie. Tylko spokojnie. Nie pozwól, żeby cię usłyszeli. Nie mogą cię usłyszeć, jeszcze nie teraz. Jaime zakrztusił się i zacisnął usta, jego płuca wypełniał dym, który unosił się nad gruzowiskiem. Leżał nieruchomo, usiłując wyrobić w sobie postawę prawdziwego żołnierza. Spojrzał na świecące wskazówki zegarka. Była ósma dziesiąta. Wszyscy powinni znajdować się już na swoich pozycjach, ale właśnie jemu przypadł zaszczyt oddania pierwszego strzału. Odłożył lornetkę i sięgnął po stary angielski karabin *Enfield* kalibru 0.303 cala, z celownikiem optycznym. Ojciec i jego przyja ciele uważali go za świetnego strzelca, co wśród Burów oznaczało, że jest naprawdę dobry. Chłód gładkiej, drewnianej kolby na policzku dodawał mu pewności siebie i był niczym obietnica zemsty. Mając taką broń w ręku i wroga przed sobą, nie czuł się już bezsilny. Przyjrzał się uważnie postaciom przy ognisku. Pamiętając nauki ojca, wybrał na cel wysokiego mężczyznę o ciemnych włosach, którego mundur był w lepszym stanie niż ubrania pozostałych żołnierzy. Jaime nie znał hiszpańskiego i znajdował się zbyt daleko, żeby cokolwiek usłyszeć, ale od razu widać było, że ten mężczyzna dowodzi, a inni go słuchają. Musiał to być oficer. W powietrzu zatrzepotały kawałki spalonych papierów, uniesione przez nagły podmuch zimnego wiatru. Wiatr wiał na linii strzału, co nie było wygodne, ale przynajmniej uniemożliwiało strażom usłyszenie skradających się ludzi, między

którymi był tata Jaime. Nagłe dobiegło go ćwierkanie nocnego ptaka, ledwo słyszalne wśród ostrych świstów wiatru. Sygnał. Uważnie i bardzo powoli podniósł karabin i przerzucił przez ramię pas. Przycisnął oko do okularu celownika i położył palec na spuście. Przez jedną chwilę, w której stanęło mu serce, myślał, że zgubił swój cel. Po sekundzie znalazł Kubańczyka siedzącego teraz samotnie przy małym ognisku i pijącego kawę z blaszanego kubka. Jaime dostrzegł gładko ogoloną, zadowoloną twarz. Po kręgosłupie chłopca przebiegł nagły dreszcz. Polował często z ojcem na zwierzynę i raz nawet pełnił straż w domu, gdy ojciec obawiał się napadu zbuntowanych Murzynów. Nigdy jednak nie zabił człowieka. Przypomniał sobie rodzinę wujka i przekonał sam siebie, że nie będzie to wcale takie trudne. Sprawdził jeszcze raz kierunek wiatru i mocniej ścisnął karabin. Patrząc na kubańskiego oficera, wciągnął powietrze i szybko je wypuścił. Jeszcze jeden płytki oddech. Krzyż celownika spoczął na piersi żołnierza. Nacisnął spust. *Enfield* gruchnął, ogłuszając go na chwilę. Kubański oficer właśnie podnosił wzrok, gdy trafiła go kula. Pochylił się do przodu, a potem upadł na twarz. Młody Afrykaner widział żołnierzy patrzących z przerażeniem i zaskoczeniem na leżącego dowódcę. Większość z nich zastygła w miejscu. W ciszy nocy zagrzmiały kolejne wystrzały. Jaime wiedział, że wśród strzelających jest także jego młodszy brat Johann i przyjaciele. Goetke ustawił snajperów wokół obozowiska. Wszyscy wykonywali zalecenia komendanta Goetke, który mówił przed walką: „Nie strzelajcie, dopóki nie znajdziecie celu. Nie potrzebuję palby karabinowej, a tylko śmiertelne strzały”. Taktyka dowódcy dawała teraz dobre rezultaty. Część Kubańczyków znalazła osłonę, ale Jaime, z prawdziwym instynktem myśliwego, skierował karabin w stronę jednego z wozów bojowych. Załoga znajdowała się jeszcze na zewnątrz, jednak Jaime wiedział, że będą próbowali przekraść się do pojazdu. Nie musiał długo czekać. Zza koła wysunęła się wolno głowa, a następnie ręce. Ktoś usiłował wejść do *BTR-60* przez otwarty właz. Jaime pozwolił żołnierzowi odsłonić większą część ciała i strzelił, celując w serce. Ciało zawisło na masce wozu. Rozejrzał się za następnymi ofiarami. Z lewej strony dobiegł go krzyk, a kiedy odwrócił głowę, zobaczył kulę ognia spadającą na „jego” *BTR*. Powietrzem wstrząsnął potężny wybuch i ciemności rozjaśniło oślepiające białe światło. Od razu na wozy bojowe i grupki kubańskich żołnierzy zaczęły spadać następne pociski. Wybuchom wtórowały przerażające krzyki rannych i poparzonych. Chłopiec westchnął głęboko. Cały oddział ruszył do natarcia. Kiedy on i jego młodzi przyjaciele przydusili strażę celnymi strzałami, starsi mężczyźni podkradli się na pięćdziesiąt metrów do obozu i obrzucili go „piorunami”. Patrząc na płonący obóz, chłopak pomyślał, że „piorun” był odpowiednią nazwą dla bomb domowego wyrobu. Sam pomagał je robić. Recepta była zresztą bardzo prosta: do szklanych i plastikowych pojemników nalewało się mieszaninę benzyny i płatków mydlanych, które rozpuszczone w paliwie tworzyły śmierdzącą, płynną maź. Ojciec powiedział mu, że działa to podobnie jak napalm, ale nic mu to nie mówiło aż do tej chwili. Jako zapalnik każdy „piorun” miał przymocowany jeden z nielicznych granatów, jakie posiadało komando. Goetke powiedział, że tak spreparowany materiał wybuchowy zapali każdy, choćby najpotężniejszy wóz pancerny. Jak zawsze, pomyślał Jaime, komendant miał rację. Przyglądał się bitwie, pragnąc włączyć się do walki i zastrzelić jak najwięcej uciekających Kubańczyków. Jednak polecenia ojca były bardzo wyraźne i Jaime wiedział, że nie wolno mu strzelać, kiedy starsi rzucili już bomby. Teraz mieli wkroczyć do obozu i dokończyć roboty. Krzyki i jęki mieszały się ze strzałami z broni automatycznej. Co jakiś czas nocne niebo rozjaśniało się od wybuchających zapasów amunicji lub zbiorników z paliwem. Po minucie ciemny, tłusty dym zasłonił całą scenę. Strzały zaczęły wreszcie ucichać i dochodziło go coraz mniej krzyków. Wreszcie Jaime słyszał tylko syk płomieni palących się pojazdów. Cekał jednak cierpliwie na swoim miejscu, starając się dojrzeć cokolwiek przez lornetkę. Czując

dłoń na ramieniu, poderwał się nagle i obrócił, żeby chwycić karabin. Głos ojca przywrócił mu spokój.

- Dobrze się spisałeś, synu. Widzieliśmy, jak położyłeś oficera. To był kapitan. Chłopiec zarumienił się z dumy.

- Wszystko w porządku, tatusiu? - Widział, że ojciec jest cały i zdrowy, ale wolał to usłyszeć od niego samego.

- Jak najbardziej. - Ojciec wyciągnął osmaloną ogniem rękę. - Trochę za bardzo zbliżyłem się do jednego z „piorunów”, ale poza tym nic mi nie jest. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Straciliśmy jednak dwóch ludzi i mamy trzech rannych.

- Zobaczył rozpacz na twarzy Jaime i szybko dodał. - To jest koszt walki, synu. Ci, którzy przeżyją, muszą ponieść dalej pamięć o tych, co zginęli. Twarz starego Steersa przybrała zacięty wyraz.

- Wróg drogo zapłacił za śmierć naszych ludzi. Zabiliśmy wszystkich Kubańczyków. - Wskazał kciukiem na pobojujowsko. - Wszystkie wozy spalone. Nie uciekł ani jeden wróg. Nikt nie przeżył. Wszyscy poszli do piekła. Jaime spojrzał na palące się obozowisko. Słyszał pogłoski, że Kubańczycy poprzysięgli sobie zdobycie jego ojczyzny lub dokładne jej zniszczenie. Na twarzy pojawił mu się taki sam zacięty wyraz jak u ojca. No cóż, pomyślał, komuniści dowiedzą się, że istnieje wiele sposobów na odwet za zniszczenie kraju.

## • 22 grudnia - 20. Batalion Strzelców Przyłaskowych, okolice Ganyesa, na terytorium Botswany

Czerwona kula słońca oświetlała coraz mocniej rozległy płaskowyż, szybko usuwając cień w stronę oceanu. Na północy rozjaśniła ubogą w zieleń półpustynną Kotlinę Kalahari, a na południu błysnęła w nagich szczytach łańcucha górskiego Langberge. Maleńkie miasteczko Ganyesa, leżące na południowym obrzeżu Kalahari, budziło się ze snu. Promienie odbijały się od blaszanych dachów jednoizbowych chat skupionych przy skrzyżowaniu głównej drogi z piaszczystą ścieżką. Niewielkie stada wychudzonych krów i owiec wyruszały na poszukiwanie trawy. Z zagród dochodziło szczekanie psów, a po chwili dołączyło się pianie koguta. Nadchodzący dzień nie był podobny do innych. W nocy do miasteczka przybyło wojsko i pomiędzy kępami karłowatych drzewek widać było siatki maskujące, które skrywały prawie czterdzieści ciężarówek, jeepów i transporterów opancerzonych. Po obu stronach miasteczka stali wartownicy w południowoafrykańskich mundurach. Inni żołnierze kręcili się koło centralnego budynku z kamienia, który był jednocześnie urzędem pocztowym, centralą telefoniczną i posterunkiem policji. Ian Sherfield siedział ze skrzyżowanymi nogami, oparty o oponę pięciotonowej ciężarówki. Wysoki wóz zapewniał mu cień. Od czasu do czasu podnosił wzrok od notatnika leżącego na kolanach i patrzył w czyste niebo, jakby szukał w nim brakujących słów i zwrotów. Starał się nie zmieniać zbyt często pozycji, żeby nie obudzić Emily, która spała przy nim na wojskowym kocu. Matthew Sibena i kierowca ciężarówki leżeli pod wozem, chrapiąc lekko przez sen. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie spali żołnierze zmęczeni całonocną jazdą. W siatkach maskujących leniwie bzykały muchy. Ian ziewnął potężnie. Nie chciał jednak spać, dopóki nie zapisze kilku uwag o wydarzeniach ostatniej nocy. Emily zasugerowała mu, żeby prowadził dziennik ich długiej ucieczki z Pretorii do Kapsztadu. Ian musiał przyznać, że pomysł był wyjątkowo dobry. Odyseja oddziału Krugera świetnie nadawała się na reportaż, oczywiście, zakładając, że przeżyją. Zupełnie przypadkowo nasunęło mu się porównanie z „Anabezą”, opowieścią z IV wieku p.n.e. Była to, według niego, świetna analogia. Miał tylko nadzieję, że Kruger, czyli ówczesny Cyrus Młodszy, nie zginie. On sam utożsamiał się

z Ksenofontem, autorem dzieła, a jednocześnie jednym z najemnych greckich żołnierzy Cyrusa. 20. Batalion Strzelców Przylądkowych kojarzył mu się natomiast z całym dziesięcioletnim wojskiem Cyrusa, które po ucieczce z Persji dotarło po długich trudach do Morza Czarnego. Wojska Vorstera grały rolę Persów, a afrykańskie komanda mogły występować jako dzikie plemiona Anatolii. Ian trochę rozbawiony tymi porównaniami zastanawiał się, czy innym też by się to podobało. Wszystkim przydałaby się odrobina odprężenia. Afrykański dowódca zmusił w ciągu ostatnich dni swoich ludzi do olbrzymiego wysiłku, usiłując jak najbardziej oddalić się od Pretorii. jechali jedynie nocą, unikając głównych dróg i większych miast, w których musieliby się niechybnie natknąć na szpiegów i lojalistów z AWB. Zepsute wozy ogołocali z każdej potrzebnej im części oraz paliwa, po czym zostawiali przy drodze. Kiedy kwatermistrz batalionu nie mógł kupić paliwa, kradziono je. Każde ich działanie opierało się na niezmiennym zasadzie: bez przerwy posuwaj się naprzód. Nie pozwól, żeby myśliwi Vorstera mieli łatwy cel. Nie wdawaj się w niepotrzebną walkę. Ostatnia noc była najgorsza ze wszystkich. Ostrzeżeni przez zwiadowców o silnym garnizonie rządowym, broniącym skrzyżowania dróg koło Vryburga, skręcili na północny-zachód, z trudem pokonując wąskie dukty wzniesień. Stracili dzięki temu dużo cennych godzin i sił. Jak dotąd nacisk, jaki Kruger położył na szybkość i ostrożność, przynosił rezultaty. Udało im się przebyć czterysta kilometrów, nie napotykając przy tym żadnej blokady dróg i nie tracąc czasu na walkę. Całkiem nieźle, pomyślał Ian. Nagle przypomniał sobie mapę. Nadal byli oddaleni o jakieś siedemset kilometrów od najbliższych jednostek amerykańskich lub rebeliantów w Kapsztadzie. Cały szmat drogi, na której mogli zginąć. Leżąca obok Emily wymamrotała coś przez sen i obróciła się na brzuch. Odłożył na chwilę długopis i delikatnie zaczął ją głaskać po głowie. Westchnęła, przysuwając się bliżej. W tej samej chwili, jakby podświadomie, zaczął się modlić: Proszę, Boże, ochroń ją, bez względu na to, co się stanie ze mną. Dziwne, nigdy nie był specjalnie religijny. Jednak w tej chwili nic innego nie wydawało mu się równie ważne. Przez jego ambicje zginął Sam Knowles. Nie może pozwolić, żeby teraz kosztowały życie Emily czy jej wolność. Chrząknięcie ostrzegło go, że ma towarzystwo. Podniósł wzrok i zobaczył Krugera. Jego szare oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, *meneer*? - Kruger mówił cicho, nie chcąc obudzić dziewczyny. Ian wyczuł w jego głosie zazdrość. Mój Boże, facet nadal jest w niej zakochany, uprzytomnił sobie i zakłopotany odsunął rękę od jej głowy. Nie może ranić człowieka, który tyle dla nich zrobił. Pokręcił przecząco głową i wskazał ręką wolne miejsce na kocu.

- Proszę usiąść, *kommandant*.

- Dziękuję. - Kruger nie podszedł jednak bliżej, tylko przykucnął w miejscu, tyłem do oślepiającego słońca.

- Widzę, że pańscy towarzysze nadal odpoczywają? - Mówił teraz prawie szeptem. Ian niespodziewanie dla siebie z trudem powstrzymał się od oschłej odpowiedzi. Zrozumiał, że jest zazdrosny o przeszłość Emily. Opanował się jednak i kontynuował normalnym tonem.

- Tak. Niech nabierają sił, bo będą im bardzo potrzebne. Nagle spod ciężarówki rozległo się głośne chrapnięcie. Ian spojrzął w tym kierunku i uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

- Co za szkoda, że to jest jedyny moment bezkonfliktowego współżycia dużej części ludzi w waszym kraju - machnął ręką w stronę Sibeny i południowoafrykańskiego sierżanta. Kruger uśmiechnął się smutno.

- To prawda. Ale może dzięki tej cholernej wojnie coś zrozumieją. Może poczują wreszcie znużenie ciągłymi konfliktami i bezsensownym przelewaniem krwi.- Wzruszył ramionami. A może to tylko moje pobożne życzenia? - Przez chwilę zamyślił

się i dokończył już normalnym, zdecydowanym głosem.

- Te rzeczy i tak nie leżą w naszej mocy. Teraz zresztą mu simy się skoncentrować na tym, aby w ogóle przeżyć. Ian zmuszony był przyznać mu rację. Chociaż czasami wolał zapomnieć o ich obecnym położeniu. Dlatego też burknął tylko coś pod nosem. Nie zrażony tym Kruger stwierdził:- Chciałem pana wprowadzić w szczegółowy plan dalszej podróży. - Nagle szeroko się uśmiechnął. - Nie mogę przecież pozwolić, żeby mój kronikarz nie znał sytuacji. Ian mimo woli roześmiał się również. Trudno było nie lubić tego człowieka, który zręcznie potrafił iść za ciosem i to w dodatku dowcipnie. Wiadomości, jakie przekazał mu Kruger, szybko starły uśmiech z twarzy. Kończyło się paliwo. Droga okrężna wyczerpała wszystkie zapasy, a jedyna stacja benzynowa w Ganyesa nie miała potrzebnych im tysięcy litrów ropy. Batalion został zmuszony do zatrzymania się niemal w szczerym polu.

- Jezu! No więc co robimy dalej? Kruger zmarszczył brwi.

- Jedyną rzecz, jaka nam została do zrobienia. Wysyłam patrole do pobliskich miasteczek i wiosek. Jeśli będziemy mieli szczęście, zdobędziemy dosyć paliwa, żeby ruszyć w dalszą drogę. Rozłożył ręce.

- W tym czasie musimy się tu okopać, czekać... i modlić się. Ian poczuł, jak przenika go chłód. Jak dotąd batalion przetrwał, ponieważ był nieustannie w ruchu. Teraz stracili swoją jedyną przewagę nad ścigającymi ich siłmni. Jego ręka podświadomie spoczęła znowu na głowie Emily. Henrik Kruger patrzył na nich w milczeniu.

- **23 grudnia - 44. Batalion Brygady Spadochronowej, Kimberley, RPA**

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe od Ganyesa śmigłowce krążyły nad kopalniami, fabrykami i domami miasta znanego w Afryce Południowej jako "diamentowe miasto". Inne śmi główce ćwiczyły pozorowane ataki na stadionie piłkarskim, który służył majorowi Rolfowi Bekkerowi i jego komandosom za tymczasową kwaterę główną. Większość helikopterów transportowych *Puma* i *Super Frelon* znajdowała się na ziemi. W ich pobliżu czekały grupki uzbrojonych żołnierzy. Ściany namiotu Bekkera były obwieszane mapami. Każda z nich pokazywała inny fragment, o powierzchni 2.500 kilometrów kwadratowych, północno-wschodniej części Kraju Przylądkowego. Naniesione ołówkiem znaki ukazywały pozycję poszczególnych oddziałów wiernych rządowi, które w tej okolicy pilnowały ważniejszych miast i skrzyżowań dróg. Każda droga wiodąca na południe czy zachód była obsadzona garnizonem - każda, poza jedną. W kącie namiotu dał się słyszeć trzask radiodbiornika i odezwał się głos.

- Przyjąłem, Zebra Cztery Cztery. Dobra robota. - Dwudziestopięcioletni kapitan Kas der Merwe zerwał słuchawki z uszu. Jego oczy błyszczały z podniecenia. - Mamy ich, majorze! Zwiadowcy donoszą o małych oddziałach wroga. Tu. Tu. I tu. - Wskażał kilka wiosek położonych w pobliżu miasteczka Ganyesa. Wszystkie oddziały starają się zebrać jak najwięcej ropy. Bekker pokiwał w zamyśleniu głową.

- Paliwo. Wiedziałem, że będzie to pięta achillesowa Krugera. Nie mają więcej paliwa.

- Stuknął palcem w mapę, wskazując Ganyesę. - Dwudziesty musi być gdzieś w okolicy. Młodszy oficer nacisnął guzik mikrofonu, który trzymał w ręce.

- Kazać ludziom szykować się do drogi? - Oceniał odległość na mapie wprawnym okiem. - Możemy być na miejscu za niecałą godzinę. Bekker roześmiał się.

- Nie, kapitanie, wszystko pan pomylił. To nie jest polowanie na zająca. Jest nas zbyt mało i poza tym - uśmiechnął się nieprzyjemnie - nie jestem do końca przekonany o zdolności bojowej wszystkich naszych ludzi. Nie, musimy dobrze zaplanować tę operację, bo to będzie polowanie na grubego zwierza. Oddział Gwardii Narodowej i



miejscowe komanda będą służyły za naganiaczy, kierując tych zdrajców na południe... w nasze ręce. Kiedy uderzymy na Krugera i jego ludzi, chcę żeby to było na terenie, który sami wybierzemy. Tutaj. - Zakreślił kółko wokół punktu oznaczonego jako *Skorpionenpunkt* - Punkt Skorpiona. Der Merwe miał wątpliwości. - Ale skąd będziemy wiedzieli, że przyjdą? Może nie uda im się zebrać wystarczającej ilości ropy. Bekker pokręcił głową. - Słyszałem o tym Krugerze. To twardy zawodnik. Prawdziwy Bur. Nie musisz się martwić, znajdzie sposób, żeby przeprowadzić swoich ludzi na południe. - Przystojna twarz majora wykrzywiła się w nieprzyjemnym, złośliwym uśmiechu. - A my już będziemy tam na nich czekać. Rolf Bekker analizował swój plan z rosnącą satysfakcją. W najbliższym czasie zamierzał walczyć na własną rękę i dla własnej satysfakcji. Szybko rozpadające się królestwo Vorstera musi zadbać samo o siebie.

## • 24 grudnia – Naboomspruit

Zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na straszliwy obraz pobojuwiska. Generał Antonio Vega przyglądał się z pokładu helikoptera *Mi-24 Hind* dymiącym ruinom Naboomspruit. Niemal wszędzie widać było wypalone pojazdy i zmasakrowane zwłoki. Ciągąca się na południe autostrada była tak podziurawiona wybuchami, że przypominała powierzchnię Księżyca. Wojska kubańskie zniszczyły linie obrony i zajęły Naboomspruit. Lepiej późno niż wcale, pomyślał ze złością Vega. Braki paliwa i amunicji, spowodowane atakami burskich komand na transporty zaopatrzeniowe, zmusiły go do przesunięcia terminu ataku na miasto. Musiał także wysłać kilka cennych oddziałów na północ do najprawdopodobniej bezskutecznego poszukiwania wrogich komand. Jego wojsko walczyło przez wiele godzin z obrońcami miasta, ale rezultat był znany od samego początku. Siły Burów były znaczne, ale ich linia obrony krucha i kiedy kubańskie wojska ją przełamały, Burowie nie mieli żadnych oddziałów w odwodzie, żeby poprowadzić przeciwuderzenie. Vega także musiał walczyć bez rezerw. Ale nie miał wyboru. Pierwsza kolumna poniosła bowiem zbyt duże straty w czasie sześciu tygodni kampanii w Afryce Południowej. *Hind* wylądował na północnym krańcu miasta, koło małej grupki oficerów. Vega wysiadł, nie zwracając większej uwagi na chóralne powitania i saluty. Podszedł bezpośrednio do Vasqueza, który stał nieco z boku.

- Rzućmy okiem na tę ich tajną broń. Z Vasquezem u boku i resztą oficerów idących z tyłu Vega przeszedł sto metrów w stronę niewielkiego pagórka. Wzniesienie miało regularny owalny kształt. Kiedy okrążyli je, żeby podejść od przodu, Vega zobaczył długą lufę 155-milimetrowej haubico-artymaty G-5, która wystawała z niewielkiej szczeliny. Vasquez wskazał na pagórek.

- Każde stanowisko dział jest dokładnie zamaskowane od góry, towarzyszu generale, a tu, po bokach są stanowiska strzelnicze. Burowie wiedzieli, że możemy atakować jedynie od północnego wschodu i broń jest teraz ustawiona tylko w tę stronę. Vega skinął głową na znak, że rozumie. Tak ustawione i osłonięte G-5 było potężną bronią przeciwczołgową. Vasquez podszedł bliżej i położył rękę na lufie.

- Tak jak podejrzewaliście, towarzyszu generale, Burom brakowało amunicji. Chcieli mieć pewność, że każdy pocisk znajdzie cel. jednak haubico-artymaty nie są przeznaczone do walki zczołgami, mają oddzielnie ładowane pociski i ładunki miotające. - Pokazał ręką na otoczone workami z piaskiem magazyny amunicji. - Dlatego mają niższą szybkostrzelność. Zresztą nie zawsze 155-milimetrowy pocisk zatrzyma od razuczołg. Jednak wystarczająco często, pomyślał niechętnie Vega, spoglądając na rozrzucone po polu, rozbite *T-72* i *BTR-60*. Tak więc decyzja użycia dział G-5 jako broni przeciwczołgowej wyjaśniała brak ostrzału artyleryjskiego ze strony Afrykanerów. Wskazywała także na ich rosnącą desperację. Odwrócił się do

Suareza.

- Jakie są nasze straty? Pułkownik zerknął do notatnika.

- Straciliśmy dwadzieścia osiem pojazdów - dziesięć z nich może uda się naprawić. - Odchrząknął. - Oprócz tego zginęło dwustu pięćdziesięciu ludzi i mamy dwustu ciężko rannych. Wiemy, że straty nieprzyjaciela były znacznie wyższe, dwukrotnie większe niż nasze. Vega westchnął. Wygrał kolejną bitwę i to całkiem rozsądnym kosztem. jednak w sytuacji, gdy brakowało im sprzętu i ludzi, cena była zbyt wysoka. Spojrzał na południe zastanawiając się, czy amerykańska Piechota Morska lepiej sobie radzi w ofensywie pod Durbanem.

## 35

### **Krwawe wzgórze, krwawy las**

- **25 grudnia - Korpus Ekspedycyjny Sprzymierzonych.  
Durban**

Otoczony grupą żołnierzy generał Jerry Craig przedzierał się przez rumowisko zalegające nabrzeże portu. Widok nie był pokrzepiający. Morska bryza rozwiała już wstrętny, trupi zapach, ale nie ukryła śladów zniszczeń spowodowanych zaciętymi walkami oraz sabotażami. Pokryte ropą fale leniwie odbijały się od rdzewiejących kadłubów zatopionych statków. Bliżej brzegu wystające z wody wraki mniejszych jednostek przywalone zostały poskręcanymi szkieletami dźwigów portowych. Sterty gruzów ze zburzonych pociskami artyleryjskimi i bombami domów barykadowały ulice i linie kolejowe prowadzące do miasta. Craig wiedział, że dziewięciuset saperów usiłowało usunąć zniszczenia za pomocą buldożerów, pił łańcuchowych i palników acetylenowych. Były to prace niemal syzyfowe. Dwa dni po przełamaniu południowoafrykańskiej linii obrony największy port oceaniczny Afryki Południowej nadal był zamknięty dla okrętów sprzymierzonych. Zanim doki i szosy dojazdowe nie zostaną uporządkowane, oddziały Craiga muszą polegać na zapasach dostarczanych powietrzem. Z tego też powodu większość czołgów i ciężkich dział nadal czekała na pokładach okrętów transportowych, stojących na redzie. Craig zmarszczył brwi. Wprawdzie kilka wozów pancernych zostało przewiezionych na brzeg przy użyciu specjalnych poduszkowców transportowych Marynarki, ale nie była to wystarczająca liczba, która by się liczyła w walce. Pojazdy jedynie zwiększyły obciążenie kwatermistrzostwa, które musiało dbać o zaopatrzenie w paliwo, amunicję i żywność. W rezultacie ofensywa lądowa na Pretorię była prowadzona przez kilka batalionów piechoty, wspieranych przez lekkie oddziały pancerne, artylerię i samoloty operujące z dwóch lotniskowców. Craig przyspieszył kroku, omijając trzy kraterzy na drodze wzdłuż nabrzeża. Jego ludzie nie szczydzili sił, ale każda godzina opóźnienia otwarcia portu umożliwiała Vorsterowi wysłanie kolejnych oddziałów w góry Drakensberg - pasmo wysokich szczytów i zalesionych przełęczy, które oddzielało równiny Natalu od płaskowyżu Oranii. Puciołowaty i jasnowłosy pułkownik, dowodzący oddziałem saperów, zobaczył zbliżającego się Craiga i podbiegł do niego.

- Sir. - Zasalutował zmęczonym ruchem ręki. Plamy potu pod pachami i ciemne kręgi

pod oczami wskazywały, że pracował na pewno od dwóch dni bez przerwy.

- Pułkownika. - Craig oddał salut i wskazał otaczające ich rumowiska. - Jim, potrzebuję twojej oceny. Ile minie jeszcze czasu, zanim będziemy mogli wyładować tu nasz sprzęt? Młody mężczyzna patrzył na ruiny, jakby zobaczył je pierwszy raz.

- Trzy dni. Może cztery. - Jego ramiona opadły. - Moi ludzie są u kresu wytrzymałości, generale. Niektórzy są tak zmęczeni, że ładują się na miny, które spostrzegłoby pięcioletnie dziecko. Craig skinął głową. Czytał raporty o wypadkach. W ciągu ostatnich dwóch dni batalion saperów stracił dziesięciu ludzi i miał czterdziestu ciężko rannych. Snajperzy, miny i wypadki spowodowane zmęczeniem niszczyły batalion. Generał podniósł głos, starając się przekrzyczeć przejeżdżający obok buldożer, który właśnie spychał z drogi spalony pojazd.

- Przyślemy ci nieco pomocy z Kapsztadu. Coś w rodzaju prezentu gwiazdkowego. Jeden Zero Jeden ładuje właśnie swoich saperów na *C-141*. Powinni być tutaj pod koniec dnia. Pułkownik potrzebował kilku sekund, żeby wiadomość dotarła do niego. Skinął z wdzięcznością głową. Saperzy dywizji powietrzno-desantowej pewnie nie będą mieli ze sobą sprzętu, ale może nimi zastąpić własnych ludzi, co pozwoliłoby skrócić oczyszczanie portu o całą dobę. Dowódca batalionu zasalutował ponownie, tym razem o wiele energiczniej.

- Otworzymy te cholerne doki możliwie jak najszybciej, generale. Może mi pan zaufać.

- Już to zrobiłem, Jim. Jak tylko się pojawią chłopcy z armii, masz odpocząć, jasne? - Craig poklepał oficera po ramieniu.

- Potrzebuję twardego i przytomnego oficera na czele tej operacji, a nie jakiegoś lunatyka.

- Tak jest, sir. Craig odwrócił się i ruszył w kierunku czekającego helikoptera. Przyleciał na nabrzeże osobiście, żeby uświadomić ludziom, jak ważna jest ich praca, a nie żeby nadzorować robotę. Według jego zasad, najlepiej było znaleźć odpowiedniego człowieka do odpowiedniej pracy, dać mu niezbędne środki i zejść jak najszybciej z drogi.

Kiedy zbliżył się do pomalowanego w maskujące barwy helikoptera *UH-50 Blackhawk*, który służył mu za ruchomy ośrodek dowodzenia, na jego spotkanie wyskoczył z maszyny adiutant - schylony pod obracającymi się łopatami.

- Generale! Dowództwo Szóstej Brygady melduje, że nasi ludzie koło Pietermaritzburga znaleźli się pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim! Craig złapał kapitana za ramię i obrócił w miejscu. Psiakrew! Ich spokojny marsz dobiegł końca. Generałowie Vorstera zdołali ściągnąć posiłki i zastąpić jego ludziom drogę. Trzymając jedną ręką hełm na głowie, Craig podbiegł do helikoptera i wskoczył na siedzenie. Wyznaczeni do ochrony żołnierze pobiegli za nim. Pół minuty później helikopter uniósł się w powietrze i lecąc nisko nad portem, skierował się z prędkością dwustu kilometrów na godzinę ku Lotnisku Luisa Bothy. Craig słuchał w słuchawkach raportów o walkach. Większość jego amerykańskich i brytyjskich oddziałów była jeszcze poza zagrożeniem, ale Afrykanerzy dali właśnie znać, że zbliża się prawdziwa walka.

### • **3. Batalion, 6. Brygada Piechoty Morskiej, na południowy wschód od Pietermaritzburga, RPA**

Wiktoriańskie domy i ciche uliczki stolicy prowincji Natal, Pietermaritzburga, rozciągały się aż na strome stoki otaczających miasto ze wszystkich stron zalesionych wzgórz. Na szerokiej Autostradzie N3 nie widać było żadnych samochodów. Także

wąskie dróżki prowadzące do farm i domów na wzgórzach były puste. Na miasto rzucały cienie chmury, które leniwie przesuwają się ze wschodu na zachód. Zegar na wysokiej wieży z czerwonej cegły, wznoszącej się przy budynku rady miejskiej, wybił majestatycznie godzinę. Melodyjne tony odbijały się echem od budynków, aż zamarły wśród drzew akacjowych, porastających zbocza wzgórz. Zaciągnięte zasłony i pozamykane okiennice sprawiały wrażenie, jakby Pietermaritzburg był wymarłym miastem. Była to tylko iluzja. Tysiąc metrów na południe od zielonej murawy toru wyścigowego Scottsville widać było żołnierzy z plecakami i karabinami M16 w rękach, którzy maszerowali autostradą na północ. Amerykańska Piechota Morska wkraczała do Pietermaritzburga. Osłaniane przez cztery samochody pancerne LAV-25 trzy plutony piechoty Kompanii Bravo maszerowały w dwóch długich kolumnach oboma stronami szosy. Nie licząc czteroosobowego oddziału zwiadowczego, kompania stanowiła straż przednią całego korpusu ekspedycyjnego sprzymierzonych - stu zwiadowców przeczesywało i oczyszczało teren dla olbrzymiego kontyngentu wojsk lądowych, morskich i powietrznych, które liczyły już pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Wszyscy jak jeden mąż zareagowali na wysoki jęk spadającego pocisku. Szosa opustoszała, a ludzie w jednej chwili przypadli do ziemi na obu poboczach. LAV wykonały gwałtowny zwrot i skryły się pod mijanym przed chwilą krótkim wiaduktem. Rozpoczęła się kanonada. Płomienie, dym i kawałki asfaltu poszybowały w górę. Drobnymi kamyczkami uderzały o hełmy i plecaki leżących. Gdy kapitan Jon Ziss podniósł ostrożnie głowę, dostrzegł, że nie wszyscy zdążyli uciec. Przez huk wystrzałów dobiegły go jęki trzech rannych żołnierzy leżących na drodze. Nie mógł im w tej chwili pomóc. Wiedział, że trzeba najpierw poszukać lepszego schronienia. Omiótł szybko wzrokiem cały najbliższy obszar. Na zachodzie stał rząd jednopiętrowych budynków, które jako jedyne nadawały się do tego. Lekko pofałdowany, trawiasty teren pola golfowego na wschodzie nie wchodził w rachubę. To samo dotyczyło pustej przestrzeni za nimi. Pozostawał tylko zachód. Kolejna salwa rozdarła powietrze, lądując tym razem daleko z tyłu. 155-milimetrowy pocisk trafił prosto w jeden niedokładnie ukryty LAV i rozerwał go na strzępy. W powietrzu zaświstały kawałki stali. Jezu! Ziss, niezdolny się poruszyć, patrzył w przerażeniu przez kilka sekund na wrak. Wreszcie odezwał się rozsądek: Afrykanerzy musieli mieć jakiś ukryty PO, punkt obserwacyjny, który kierował ogniem. Jeśli ludzie szybko nie zmienią miejsca, zostaną tu wymordowani. Poderwał się na nogi, krzycząc na całe gardło: - Ruszać się, ludzie! Do tych budynków! Biegiem! - Wskazał ręką. Leżący wzdłuż drogi żołnierze podrywali się i co sił w nogach biegli w stronę domków, każdy mocno pochylony, jakby przyginał go silny wiatr. Kolejny pocisk trafił w drogę i kilku ludzi jak podciętych padło na ziemię. Ziss biegł ramieniem w ramię z radiooperatorem, kapralem Pittsem. Złapał w biegu podane mu słuchawki.

- Mike jeden Dwa, tu Bravo Sześć Sześć, odbiór.

- Słyszę cię Sześć Sześć. - Ziss rozpoznał południowy akcent dowódcy batalionu. - Opisz sytuację.

- Poczekaj chwilę! Tymczasem wpadli przez otwartą furtkę do ogródka i zatrzymali się przed domem. Za nimi wbiegali zdyszani żołnierze pierwszego i drugiego plutonu. Ogień zaporowy urwał się, pozostawiając po sobie dziwną ciszę, w której słychać było tylko jęki leżących na drodze rannych. Ziss przykucnął koło krzewów róż, które stanowiły zywopłot. Nacisnął guzik mikrofonu i stwierdził ze zdziwieniem, że trzęsą mu się ręce.

- Jeden Dwa, dostaliśmy się pod ogień artyleryjski. Duży kaliber. Mają ukrytych obserwatorów i działa skierowane na N3.

- Chcesz wsparcia z myśliwców? Odbiór. - Marynarka miała w powietrzu kilka załadowanych bombami F/A-18 i A-6. Niezła pokusa, żeby rozprawić się z południowoafrykańskimi działami. Kapitan w pierwszej chwili pokręcił tylko przecząco

głową, ale zaraz zorientował się, co robi, nacisnął guzik mikrofonu i krzyknął: - Nie, jeden Dwa! Nie mamy żadnych ustalonych celów! Najpierw musimy znaleźć te cholerne PO.

- Zrozumiałem. - Dowódca batalionu umilkł. Po chwili znowu był na linii. - Marynarka twierdzi, że lotnicy nie spostrzegli żadnych strzelających dział. Cholera! Południowoafrykańska bateria znajdowała się pewnie czterdzieści kilometrów dalej, dobrze ukryta wśród wąskich, zalesionych wąwozów Drakensberg. Samolot musiałby przelecieć dokładnie nad strzelającym działem, żeby cokolwiek zauważyć. Zresztą, obsługa dział pewnie przesuwiała je z jednej zakamuflowanej pozycji strzeleckiej na drugą zgodnie ze znaną taktyką: "strzelaj i zmykaj". Ziss pokręcił ze złością głową. Potrzebowaliby specjalnego radaru *MAF*, żeby znaleźć baterie wroga, a wszystkie *MAF* pilnowały Lotniska im. Luisa Bothy. Kompanii pozostawało jedno wyjście: będą musieli przeczesać każdy centymetr miasta i otaczających je wzgórz w poszukiwaniu punktu obserwacyjnego. Poszukiwania te mogły się okazać daremne, jednak bez zlikwidowania go południowoafrykańskie działa będą skutecznie broniły Autostrady N3, prowadzącej do Pretorii. Ciężkie czołgi miały wprawdzie szansę przedrzeć się przez ogień zaporowy, ale cysterny z paliwem i wozy transportowe z wojskiem nie miałyby żadnych szans. Kapitan wyprostował się, starając zlustrować obszar wokół leżącego przed nimi miasta oraz widoczną część samej miejscowości. Za grupką domków i torem wyścigowym teren opadał ku niewielkiemu strumieniowi. Dalej rozpoczynało się właściwe miasto. Na tle wzgórz widać było wieżyczki kościoła i spiczaste kopuły meczetu. Psiakrew! Cudownie! Kompania strzelecka nie miała nawet co myśleć o przeczesaniu całego terenu.

- Będziemy potrzebowali wsparcia, Jeden Dwa.

- Zrozumiałem. - Nastąpiła kolejna krótka przerwa, w czasie której oficer dowodzący batalionem usiłował rozwikłać ten skomplikowany problem. - Kompanie Alfa i Charlie zbliżają się do waszej pozycji. Brygada wysłała pluton *LAV* i kilka karabinów maszynowych *M60* dla wsparcia. Przesuwam punkt dowodzenia, więc się postarajcie tylko utrzymać.

- Da się zrobić. - Ziss zobaczył biegnącego ku drodze sanitariusza z opatrunkami w ręce. O cholera! Niemal zapomniało rannych żołnierzach. - Potrzebuję helikoptera-sanitarki. Mam kilku rannych do natychmiastowej ewakuacji.

- Przyjąłem. Helikoptery ratunkowe są już w drodze. Oczekiwanie pięć minut. jon, trzymaj się tam. już przybywamy. Koniec odbioru - dodał cieplejszym tonem.

Ziss potwierdził i odmeldował się. Przez chwilę nie był pewien, które z dwóch walczących ze sobą uczuć jest silniejsze: ulga, że przybywa wsparcie, czy też irytacja, że potraktowano go jak spanikowanego smarkacza. Oddał radiowcowi słuchawki i ruszył w poszukiwaniu dowódców plutonów. Musieli zastanowić się nad kilkoma sprawami.

- Kapitanie! - Nie zrobił jeszcze pięciu kroków, gdy podbiegł Pitts. - Rover Trzy jeden zaobserwował wrogie oddziały na zachodnich zboczach wzgórza Signal. - Rover Trzy jeden był nazwą jednego z oddziałów zwiadowczych, badających teren przed kompanią. Wzgórze Signal? Gdzie to jest, do cholery? Otworzył mapnik z poszarpaną mapą topograficzną. jest. Gęsto zalesione wzgórze o wysokości trzystu metrów, położone na zachód od miasta. Niemal się uśmiechnął. Afrykanerzy sami się odkryli. Fajnie. Czas się nimi zająć. Złapał mikrofon.

- Mike jeden Dwa, tu Bravo... Nagły, głośny trzask zmusił go do podniesienia wzroku w chwili, gdy posypało się szkło szyby z najbliższego domu. Ziss odskoczył i przypadł do ziemi.

- Snajper! Padnij! Przeturlał się do krzewów różanych, słuchając terkotania *M16*, które strzelały ze wszystkich stron. Pociski leciały w stronę miasta. Po chwili dołączyły do nich karabiny maszynowe *M60*, których kule dziurawiły ściany i dachy

domów, szukając ewentualnych kryjówek Afrykanerów. Zaparkowane na ulicach samochody wybuchały w kłębach płomieni. Kapitan Jon Ziss zacisnął zęby i sprawdził magazynek w karabinie. Zapowiadał się cholerny dzień.

- **27 grudnia - Korpus Ekspedycyjny Sprzymierzonych, wzgórze Town, na północ od Pietermaritzburga**

Wzgórze Town wznosiło się trzysta metrów nad równinami Natalu i dziewięćdziesiąt metrów nad Pietermaritzburgiem. Od lat najzamożniejsze w mieście rodziny budowały domy na jego zboczach, przyciągane wspaniałymi widokami i bezpośrednim dostępem do autostrady Durban-Johannesburg. Obecnie te same względy spowodowały, że na zboczach ulokowano Sztab Korpusu Ekspedycyjnego Sprzymierzonych. Na środku ulicy, przy której jeszcze niedawno parkowały Mercedesy i inne luksusowe samochody, w ciasnym półkolu stały cztery zamaskowane wozy dowodzenia. Nad nimi rozciągnięto brezent, tworząc w ten sposób olbrzymi namiot, w którym zebrali się oficerowie sztabowi wszystkich rodzajów wojsk obu państw biorących udział w inwazji. Mimo przestronności namiotu oficerowie bez przerwy wchodzili sobie w drogę, przyjmując raporty od rozmieszczonych po Afryce Południowej oddziałów i planując operacje na następny dzień. Generał Jerry Craig z ponurą, zamyśloną twarzą stał na zewnątrz, ignorując całe zamieszanie. Patrzył przez lornetkę na N3, która wiała się wąską doliną na północny zachód i przypominała teraz bardziej olbrzymi, zatłoczony parking niż wygodną szosę. Wzdłuż drogi stały długie kolumny ciężarówek, transporterów opancerzonych i innych pojazdów, zmuszone do postoju przez toczące się przed nimi walki. Kolejna zasadzka? Ostrzał Afrykanerów? A może blokada drogowa? Craig wzruszył ramionami. Nie miało to znaczenia. Uczyło się jedynie, że jego wojsko posuwało się naprzód w coraz bardziej żółtym tempie. Samo zdobycie Pietermaritzburga zajęło im pełny dzień i wymagało użycia trzech batalionów piechoty, myśliwców i artylerii. Starał się nie myśleć o kilkudziesięciu rannych. Od tego czasu jego ludzie musieli walczyć o każdy kilometr jedynej drogi łączącej Natal z Pretorią. Ten sam schemat powtarzał się za każdym razem. jadące drogą jednostki były atakowane przez ukrytych nieprzyjacielskich żołnierzy. Amerykanie wzywali samoloty lub artylerię, która ostrzeliwała pozycję wroga, a następnie wysyłano kilka plutonów lub kompanii do całkowitego oczyszczenia terenu. Craig opuścił lornetkę i pokręcił ze złością głową. Drakensberg były pokryte siecią wąskich drózek, które umożliwiały małym afrykanerskim oddziałom swobodne operowanie na flankach jego kolumny. Jego wojsko, chcąc dotrzeć do Pretorii i Johannesburga, musiało poruszać się tylko Autostradą N3. Nisko nad głowami przemknęły z rykiem dwa odrzutowce *AV-8B Harrier*. kierując się w stronę miejsca potyczki. Pod krótkimi skrzydłami widać było pękate bomby. Craig w myślach ponaglał pilotów. No dalej, chłopaki, rozwalcie tych drani. tylko zróbcie to szybko. Czas był jego naj gorszym wrogiem. Co prawda, oficerowie wywiadu twierdzili, że Kubańczycy wcale nie robią większych postępów, ale wojska kubańskie były 160 kilometrów od stolicy Afryki Południowej i bogatego zagłębia Transwalu. jego wojska miały do pokonania ponad 500 kilometrów. Nie trzeba być geniuszem matematycznym, żeby zrozumieć, że mają marne szanse na wygranie tego wyścigu. Pisk hamulców odwrócił jego uwagę od ponurych przewidywań. Odwrócił się. Przed namiotem zatrzymał się właśnie *Hummvee* Armii USA, jedyny pasażer, przystojny, szpakowaty mężczyzna, wyskoczył z pojazdu i skierował się w jego stronę. Craig obiecał sobie, że będzie cierpliwy i wyrozumiały. Zjednoczone dowództwo czasami domagało się schlebiana i priorytetu dla różnych frakcji wszystkich rodzajów broni. Oddał salut.

- Cześć, Sam.

- Witam, generale. No, no, formalny ton niemal równego stopniem oficera zapowiadał kłopoty.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Generał major Samuel Weber, dowódca 24. Dywizji Piechoty Zmechanizowanej, starał się pohamować gniew. Nie udało mu się.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego okręty z moimi czołgami nadal stoją przed wejściem do tego cholernego portu? Mam sto pięćdziesiąt *M1* - wszystkie gotowe zjechać na brzeg i kopnąć w dupę tych zasranych Burów. Mam także załogi do tych czołgów, które wylegują się w Kapsztadzie i czekają tylko na przelot. O co chodzi? Craig powstrzymał pierwsze słowa, jakie mu się nasunęły. Traktowanie dwugwiazdkowego generała jak nieposłusznego porucznika nie byłoby najlepszym sposobem na poprawienie współpracy. Wciągnął powietrze i wolno je wypuścił.

- Sam, saperzy oczyścili na razie jeden dok, który, jak się domyślasz, może przyjąć do rozładunku tylko jeden okręt naraz. A obecnie potrzebuję go, żeby rozładować ważniejszy sprzęt.

- Ważniejszy? - Weber skinął głową w stronę kolumny pojazdów stojących na drodze.

- Jezu! Jerry! Potrzebujesz przecież czołgów, żeby przełamać ten impas. W przeciwnym wypadku dogrzebiemy się do Pretorii na Święto Niepodległości. Craig pokręcił zdecydowanie głową.

- Twoje *M-1* niewiele by nam tu pomogły, Sam. - Wskazał ręką na poszarpane grzbiety górskie i lasy, otaczające miasto aż po horyzont. - Musimy przebrnąć jeszcze sto kilometrów, zanim znajdziemy się na terenie odpowiednim dla czołgów.

- Cholera! - Weber kopnął ziemię wypolerowanym wojskowym butem. Podniósł wzrok. - Powiem ci coś, Jerry. Obaj wiemy, że Burowie nie mają nic, co mogłoby choćby zadrapać farbę na moich czołgach. Wysadź moje *M-1* na brzeg, a ja ruszę tą pieprzoną autostradą i znajdę się w Jo'burgu, zanim Vorster zdąży zrobić poranne siusiu. Craig zachichotał, zadowolony z agresywnego zachowania generała. Przez krótką chwilę czuł pokusę, żeby zezwolić mu na ten pancerny atak "kawaleryjski". Rozsądek przypomniał mu jednak o kilku mało przyjemnych faktach. Weber miał tylko w połowie słuszność. Jego czołgi mogły przełamać południowoafrykańską linię obrony bez większych kłopotów i strat własnych. Jednak samo przebicie się przez liczne zasadzki i ogień artyleryjski nie ułatwiało jeszcze sprawy. Czołgi wymagały wsparcia piechoty, żeby zająć zdobyty obszar, a także paliwa. Żeby posuwać się dalej. Wozy z żołnierzami i łatwo zapalne cysterny z paliwem nie miały czego szukać w tych okolicach. Dopóki jego wysunięte brygady nie zabezpieczą każdego wzgórza i przełęczą w pobliżu N3. Craig wzruszył ramionami, nie widząc żadnej sensownej alternatywy dla powolnego, wyniszczającego marszu przez góry. Jego oddziały bardziej obecnie potrzebowały paliwa, amunicji i artylerii niż czołgów. *M-1* Webera będą mogły wejść do akcji. Kiedy tylko dotrą do otwartych równin płaskowyżu. Wzdłuż autostrady rozległ się odgłos dalekiego grzmotu. Ciężka artyleria. Obaj oficerowie odwrócili się i pobiegli do namiotu. Spór musiał zostać odłożony, dopóki nie poradzą sobie z kolejnym afrykańskim atakiem.

- **29 grudnia - Kompania A, 3. Batalion Spadochroniarzy, na wschód od Rosetta, RPA**

Zachodzące słońce zdawało się rozpalać ogień na szczytach gór Drakensberg, ale wąskie doliny i zalesione kotlinki pogrążały się coraz bardziej w cieniu. Dziesięć kilometrów na południe od rzeki Mooi prawdziwy ogień rozświetlał mrok zbliżającej się nocy. Były to rozpalone między drzewami akacjowymi ogniska, przy których siedzieli żołnierze w czerwonych beretach i zielonobrazowych mundurach, popijając gorącą, mocno przesłodzoną herbatę. Ludzie urodzeni i wychowani w Londynie na gwałnym East Endzie, w odizolowanym West Country, na uprzemysłowionej północy

czy bogatych farmach południowej Anglii wszyscy wspólnie dyskutowali i żartowali, a ich podniesione i rozbawione głosy rozbrzmiewały donośnie w panującej teraz wokół obozowiska ciszy. Kompania A zebrała się na ostatni posiłek przed snem. Od drogi dochodziły stłumione odgłosy silników przejeżdżających konwojów ciężarówek, które przewoziły zapasy z oddalonego o dziewięćdziesiąt kilometrów Durbanu. Od czasu do czasu słychać było także głośniejsze wybuchy pocisków moździerzowych, spadających gdzieś dalej, za nimi. Prawdopodobnie tylne oddziały atakowane były od czasu do czasu przez burskie wojsko. Większość ludzi nie zwracała uwagi na hałas. Tygodniowe walki w górach Drakensberg nauczyły ich nie zwracać uwagi na odgłosy dalekich strzałów. Major Brian Farwell, wysoki mężczyzna, który dowodził Kompanią A szedł od ogniska do ogniska, zbierając oficerów i starszych podoficerów na naradę. Jego radiowiec szedł kilka kroków za nim, widoczny z daleka dzięki wystającej nad głową antenie radiostacji. Na widok dowódcy żołnierze zabrali się szybko do sprawdzania broni, szepcząc równocześnie między sobą. Odprawa na pewno musiała oznaczać akcję. Przewidywania komandosów okazały się słuszne. Sześciuset żołnierzy kompanii A miało wyruszyć na nocny atak. Pięć minut później Farwell zebrał dowódców plutonów i sierżantów w małą grupkę koło drogi. Przyglądał się przez chwilę twarzom oświetlonym blaskiem płomieni. Niektórzy żołnierze byli wyraźnie podnieceni perspektywą nocnej walki. Inni, bardziej doświadczeni czy też rozsądniejsi, mieli mniej optymistyczne i zacięte twarze. Ale dla trzydziestopięcioletniego dowódcy wszyscy wyglądali na jednakowo młodych szczeniaków. Rozłożył mapę, ustawiając się tak, aby padało na nią światło z ognisk.

- Dobra, chłopaki. Mamy następujące zadanie... - Mówił pospiesznie i z pewnością siebie, której w rzeczywistości mu brakowało. Przedstawił ogólny plan ataku, jaki został mu przekazany przez Sztab. Dwie godziny wcześniej oddział Kompanii D, który był specjalną jednostką zwiadowczą batalionu spadochroniarzy, natknął się na afrykańską piechotę w sile kompanii, okopującą się właśnie na wzgórzach oddzielających siły sprzymierzonych od szerokiej doliny rzeki Mooi. Potyczka przyniosła ciężkie straty Kompanii D, która nie była w stanie zmusić wroga do wycofania się. Trzeba więc było działać szybko, bo do świtu umocnienia wroga mogą być już na tyle silne, że zatrzymają pochód korpusu ekspedycyjnego na kilka godzin - na co siły sprzymierzone nie mogły sobie pozwolić. Brytyjscy komandosowie mieli zaatakować natychmiast. Dowództwo było gotowe pogodzić się z ryzykiem strat wynikłych z walki w nocy, byle tylko uniemożliwić wrogowi zbudowanie okopów i pozycji strzeleckich. W celu zmniejszenia ryzyka sztab batalionu opracował pospiesznie prosty plan: po krótkim ostrzale artyleryjskim kompania Farwella zaatakuje wzniesienie na wschód od drogi. W tym samym czasie Kompania B podejmie szturm na wzgórze, po zachodniej stronie autostrady. Oddziały ciężkich karabinów maszynowych i *Milanów* kompanii wsparcia ulokują się wzdłuż Unii Początkowej, aby ewentualnie wesprzeć nacierające wojska. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinni rozgromić Burów i odblokować drogę przed świtem.

- Kompania C pozostanie w odwodzie... W tym miejscu. Farwell wskazał palcem na mały strumyk wijący się u podnóża zajętego przez wroga wzniesienia. - To pozwoli na wsparcie tej strony, która będzie potrzebować ich wątpliwej pomocy. Zgodnie z zamierzeniem komentarz wywołał kilka nerwowych uśmiechów. Kompanie A i C prowadziły od dawna przyjacielską rywalizację. Farwell usiadł na ziemi i przyglądał się swoim podwładnym. - No i cóż, panowie? Są jakieś pytania?

- Tak jest, majorze. - Piegowaty porucznik drugiego plutonu miał zatroskaną minę. - Dlaczego nie użyć Kompanii D do przeprowadzenia ataku od flanki? To znaczy, atak prosto na wzgórzewydaje się być lekko ryzykowny. Farwell skinął głową. Pytanie miało sens. Wskazał palcem na płataninę wawozów i jarów, które przecinały pasmo wzgórz po obu stronach autostrady.



- Obawiam się, że nie mamy czasu na takie subtelności, Jack. Kompania D potrzebowałaby wielu godzin, żeby dostać się na pozycje. - Pokręcił głową. - Nie możemy być pewni, że ci cholerni Burowie nie czekaliby już tam na nich. Porucznik skinął niechętnie głową. Nikt więcej nie zabiera głosu. Farwell odczekał kilka sekund i wstał. Pozostali poszli za jego przykładem.

- W porządku, panowie. Znaczący rozkazy. Możecie teraz wtajemniczyć wasze plutony.

- Uśmiechnął się szeroko. - Postarajcie się jednak, żeby nie zajęło to więcej niż pięć minut. Za dziesięć minut ruszamy. Przed rozejściem się Farwell uściśnął ręce kilku dowódców, poklepując ich po plecach dla dodania otuchy. Nic więcej nie mógł zrobić. Zdawał sobie dobrze sprawę, że rano większość tych młodych ludzi nie będzie już żyła. Ponieważ zamierzał osobiście poprowadzić atak, on sam miał nie większe szanse niż pozostali.

- **Komando Brygady Północnego Natalu. grzbiet górski na południe od doliny rzeki Mooi**

Na zalesionym wzgórzu wrzała praca. Stanowiska ogniowe i ziemianki były budowane na wyczucie, a wszelkie rozkazy przekazywano sobie ściszymi głosami. Sto metrów na wschód od miejsca, gdzie N3 przecinała wzgórze, sierżant Gerrit Meer wbił z trudem szpadel w kamienistą ziemię i wyprostował zdrętwiałe mięśnie grzbietu. Cholera! - pomyślał z rosnącą złością, cały ten kretyński pomysł mógł się zrodzić jedynie w umyśle jakiegoś debila sztabowego. Sierżant nie miał na myśli walki z *uitlanders*, wręcz przeciwnie. Meer pochodził z miasteczka Moorivier i nie pałał chęcią oglądania bandy czamucholubów w swoim rodzinnym mieście. Nie podobał mu się jedynie ten samobójczy pomysł dowódców. Sierżant spędził sześć lat, broniąc granic republiki, zanim wrócił do rodzinnej farmy. Wiedział więc, że ich pozycje na wzgórzu to masowy grób. Te same drzewa, które zapewniały im osłonę przed samolotami zwiadowczymi, mogą zostać wykorzystane przez podchodzącego z boczem nieprzyjaciela. Co gorsza, otwarta przestrzeń doliny rzeki uniemożliwiała ukrycie się, jeśli zostaną zmuszeni do ucieczki. Sierżant zdawał sobie także sprawę z tego, że nie mają dostatecznej liczby ludzi, żeby powstrzymać na długo atak wroga. W punkcie zbiorczym nie pojawiła się nawet połowa jego komanda. Meer splunął z obrzydzeniem. Zdradzieckie *rooinek* świnie. Wiedział dobrze, że jego angielscy sąsiedzi nienawidzili czarnuchów równie mocno jak on. Co jednak zrobili, gdy nadeszła chwila próby? Uciekli, żeby ratować własne tyłki. Jego wściekłość narastała. Kiedy skończą wojnę, policzą się z tymi tchórzami. Podniósł łopatę i ze zdwojoną energią wrócił do pracy, wbijając ostrze w twardą ziemię potężnymi uderzeniami. Jedynie dobra osłona mogła utrzymać go tak długo przy życiu, żeby zdążył jeszcze zabić paru wrogów. Nagły rozbłysk rozjaśnił zbocze pod nimi. Ziemia zatrzęsa się. Przez ułamek sekundy Meer stał znieruchomiał i zaraz rzucił się na ziemię.

- Padnij! Wszyscy kryć się! Kolejne wybuchy wstrząsały wierzchołkami drzew, zarzucając żołnierzy deszczem igliwia, liści, połamanych gałęzi, a przede wszystkim stalowych odłamków. Niektórzy padli natychmiast bez słowa. Wszędzie rozlegały się jęki i krzyki rannych. Co bardziej doświadczeni żołnierze wskoczyli natychmiast do wykopanych rowów, chcąc przeczekać atak. Wśród nich znalazł się Gerrit Meer.

- **Kompania A. 3. Batalion Spadochroniarzy**

Major Brian Farwell przykucnął obok swojego radiowca, dziesięć metrów z tyłu za 2. plutonem. Wszystkie oczy były zwrócone na ciemny masyw wznoszącego się przed nimi wzgórza. Kilkadziesiąt błysków wybuchów oświetliło wzgórze. Z kłębamii dymu

zmieszały się wyrzucane w górę kawałki sprzętu, szczątki ludzkie i grudy stwardniałej ziemi. Trzy baterie 155-milimetrowych dział waliły salwę za salwą w pozycje obronne Afrykanerów. W pewnym momencie wybuchy ustały równie nagle, jak się zaczęły. Zaległa martwa cisza. Farwell sprawdził czas. 23:15. Przerwano ogień zaporowy. Poderwał się na równe nogi, dając jedną ręką znaki swoim ludziom, podczas gdy w drugiej ścisnął karabin szturmowy *Enfield L85A1*.

- Naprzód, chłopcy! Na nich! Do ataku! - wrzasnął, a dowódcy plutonów zawtórowali mu prawie w tym samym momencie, przekazując rozkaz dalej. Kompania, już biegnąc, zaczęła się rozwijać w tyralierę. Farwell biegł za nimi, wspinając się po coraz bardziej stromym zboczu. Kiedy dotarł do linii drzew, otoczyła go ciemność. Nie widział niczego na dziesięć metrów przed sobą, ale ze wszystkich stron dochodziły go zdyszane oddechy, przekleństwa i odgłosy butów ślizgających się po twardym, nierównym gruncie. Jezu, pomyślał, to pieprzone wzgórze jest dwa razy wyższe, niż wygląda na mapie. Wśród odgłosów wspinania usłyszał ostry syk wzlatającej w powietrze flary, która wystrzeliła wysoko nad ich głowami, zalewając wszystko niesamowitym, białym światłem. Cholera! Ogień zaporowy nie wybił jednak wszystkich Burów. Byli tam na górze gotowi do walki. Farwell przyspieszył kroku jeśli chcą przeżyć, to muszą się spieszyć. Jeden za drugim trzy wybuchy wstrząsnęły lasem za wspinającymi się brytyjskimi żołnierzami. Moździerze! Farwell zacisnął zęby. Będą potrzebowali osłony artylerii. Skręcił do radiowca i chwycił podany mikrofon.

- Czerwony Rover jeden, tu Alfa Cztery... Kolejna salwa moździerzy była celniejsza. jeden z 60-milimetrowych pocisków spadł pięć metrów przed nim. Przed oczami błysnęły mu złote fajerwerki, ogłuszył go rozsadzający czaszkę huk i nagle Farwell poczuł, że leci rzucony w powietrze niczym szmaciana lalka. Stracił przytomność. Ocknął się po kilku sekundach czując, że leży oparty o drzewo. Zakrwawiona bluza i piekący ból w boku dowodziły, że odłamki musiały poranić mu żebra. Nie miał przy sobie karabinka, podmuch wyrwał mu go z ręki i rzucił gdzieś między drzewa. Spróbował wstać, a kiedy mu się nie udało, spojrzał na nogi. O Boże! jego radiowiec musiał przyjąć na siebie cały impet uderzenia. Zmasakrowane ciało młodego mężczyzny ugniatało mu kolana. Odsunął zwłoki na bok i stanął niepewnie. Następne pociski spadły na stok, oświetlając wszystko serią krótkich, zabójczych rozbłysków. Ranni i zabici komandosi leżeli wszędzie. O, którzy przeżyli, pochowali się za zwalone drzewa i wystające z ziemi głazy. Część żołnierzy strzelała na oślep w stronę szczytu wzgórza. Farwell zaklął ciężko. Atak załamał się. Musi poderwać swoich ludzi albo wszyscy tu zginą od ognia moździerzy ze szczytu. Zapominając o bólu w piersiach, zaczął kuśtykać w górę.

- Kompania A, naprzód! Zbliżyć się do tych drani! Biegiem! Zza rozszczepionego pnia drzewa wynurzył się mężczyzna i złapał go za ramię.

- Wszystko w porządku, majorze? Farwell rozpoznał podoficera 2. plutonu i krzyknął:

- Nic mi nie jest, sierzancie! - Padł na ziemię, gdy w ich pobliżu rozerwał się następny pocisk. - Gdzie jest Slater?!

- Nie żyje. Przed oczami pojawiła mu się piegowata twarz młodego porucznika. Przypomniał sobie od razu jego matkę, która była tak dumna ze swojego przystojnego żołnierzyka. Odsunął od siebie wspomnienia. Później będzie miał na to czas. Jeśli przeżyje. Przysunął usta do ucha sierżanta.

- Musimy ruszyć naszych ludzi. Rozumiesz? Sierżant skinął energicznie głową. Komandosi musieli zbliżyć się do pozycji nieprzyjaciela albo jak najszybciej wycofać się ze wzgórza.

- Poprowadźcie... swój pluton sierzancie. - Farwell opuścił głowę, starając się ukryć nagły ból. - Rusz ich, Bates. Idę za tobą z resztą chłopaków. Nowy dowódca 2. plutonu podniósł się i zaczął biec zakosami, oświetlony kolejną salwą z moździerzy.

jego potężny głos słycać było nawet przez odgłosy kanonady.

- Drugi pluton do ataku! Naprzód! Dołożyć tym pieprzonym Burom! Po dwóch, po trzech komandos zrywali się do biegu za sierżantem. Z obu stron dały się słyszeć krzyki powtarzające wezwanie Batesa. Farwell przyklęknął na chwilę przy jednym z zabitych komandosów, wyrwał mu z rąk karabin i ruszył za swoimi.

### • Komando Brygady Północnego Nasalu

Dwadzieścia metrów poniżej poszarpanej grani wzgórza sierżant Gerrit Meer leżał płasko na ziemi, spoglądając przez celownik karabinu *R-1*. Już za chwilę, pomyślał z gwałtowną zaciętością, ci *verdomde* Anglicy zbliżą się do szczytu. Jednak najpierw przez kilka sekund staną się wyraźnie widoczni na tle nieba i wtedy będą łatwym celem. Palec sierżanta zacisnął się na spuście. On i reszta jego ludzi poszatkują tych *roineks* na kawałki. Jeden z rannych, którego nie zdążono zabrać po bombardowaniu, jęknął za jego plecami. Cicho! - Meer wypatrywał w ciemności oczy. Kolejna flara zapaliła się wysoko nad górą, zamieniając noc w dzień i wolno opadając w dół na spadochronie. Zobaczył kątem oka, jak mały, ciemny przedmiot leci łukiem i spada koło jego stanowiska ogniowego. Przedmiot sturlał się w dół i zatrzymał przy wyrwanym z ziemi drzewie. Serce Meera przestało bić na chwilę.

- Granat! Wcisnął twarz w ziemię. Usłyszał stłumiony wybuch, a następnie odłamki śmignęły mu nad głową. Wzdłuż wzgórza rozległy się kolejne wybuchy. Afrykaner podniósł ostrożnie głowę i spojrzał w stronę szarej mgły, która wirowała w powietrzu po wybuchach. Obliznął spieczoną wargę, starając się przez zasłonę dymną wypatrzeć jakiś ruch. O wiele lepiej słyszał teraz wszystkie odgłosy. Wydawało się, że czas zwolnił swój bieg i w końcu się zatrzymał. Cholera! Gdzie oni są? Meer poczuł bicie serca, które waliło, jakby chciało się wyrwać z piersi. Tam! Z wyciem i okrzykami bojowymi niewyraźne postaci wynurzały się z dymu, z bagnetami na lufach pochylonych karabinów. Nagle tuż przed sobą ujrzał wroga biegnącego wprost na niego. Boże! Strzelił raz, znowu i jeszcze raz. Mężczyzna potknął się, zwinął wpół i upadł twarzą w piasek. Meer poczuł, że już się nie boi. Roześmiał się z podniecenia, podniósł na kolana i obrócił, szukając kolejnych celów. Z dymu wyleciał kolejny mały przedmiot i spadł za jego plecami. Wybuch rzucił go do przodu na krawędź okopu i przez chwilę sierżant leżał na ziemi ogłuszony. Instynkt kazał mu się nie ruszać z miejsca, pogodzić z porażką. Nie! Nigdy! Meer wypluł ziemię z poranionych ust i dźwignął się na kolana. Przed załzawionymi oczami poruszały się niewyraźne kształty. Jego ręka sięgnęła po karabin. Nie zobaczył nawet, kto wyłonił się z krzykiem z dymu. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, był gwałtowny, rozrywający ból w piersiach, gdy bagnet Brytyjczyka wbił mu się w serce. Bez jęku upadł do tyłu. Nie poczuł strzału, który komandos oddał, żeby uwolnić bagnet. Południowoafrykański sierżant nie żył. Jego szeroko otwarte, nie widzące już oczy utkwione były w zasnutym dymem niebie. Wzgórze broniące dostępu do doliny rzeki Mooi zostało zdobyte.

## Ostatnia prosta

- **31 grudnia – Natal**

Zadania przydzielane jednostkom specjalnym armii były zawsze wyzwaniem dla Jeffa Hawkinsa. W porównaniu z bardziej znanymi i powszechnymi, konwencjonalnymi działaniami bojowymi nowe operacje "niekonwencjonalne", których się podejmował, za każdym razem potrafiły go zaskoczyć swoją wprost nieograniczoną różnorodnością. Hawkins był wysokim, szczupłym, ale dobrze umięśnionym mężczyzną, o pociągłej twarzy. Mundur Armii USA prezentował się na nim świetnie. Ze swoją posturą dużo bardziej nadawał się do przydzielonych zadań niż jego zwalisty podwładny, sierżant Griffith. Poruszał się swobodnie i zwinnie mimo dużej liczby sprzętu, jakim był teraz obwieszony. Większość stanowiły manierki z zapasem wody nieodzownej w tym klimacie. Kapitan Hawkins był dowódcą oddziału A Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Wraz z trzynastoma ludźmi, którzy przybyli do Durbanu z wojskami sprzymierzonymi, działał poza liniami nieprzyjaciela, wspomagając murzyński ruch oporu. Skóra Jeffa była jedynie odrobinę jaśniejsza od skóry jego afrykańskich kolegów. Zawsze uważał siebie za amerykańskiego Murzyna, ale w tym uczulonym na kolory kraju zostałby zaklasyfikowany jako kolorowy, ponieważ miał czarnych i białych przodków. Patrząc na członków plemion Sutów i Zulu zdecydował, że najlepiej będzie pasował do niego termin Afro-Amerykanin. Oddziały sił specjalnych miały za zadanie wspieranie lokalnych grup oporu wiedzą techniczną, informacjami wywiadu i koordynowaniem operacji z amerykańskimi "konwencjonalnymi" siłami. Poza porucznikiem Dworskim i nim samym oddział składał się z doświadczonych sierżantów, którzy mieli za sobą lata służby, jednak współpraca z ludźmi o tak różnej kulturze i obyczajach wymagała delikatności i polegała raczej na doradzaniu, niż wydawaniu rozkazów. Duży problem stanowiły też odwieczne antagonizmy międzyplemienne. Wracali właśnie z dwudniowego patrolu. Jeff poprowadził porucznika Dworskiego i sierżantów Griffitha i Lamasa na zwiad techniczny do mostu na rzece Tugela. Była to jedna z ewentualnych dróg, którą miała przejść główna kolumna wojsk sprzymierzonych. Otrzymali rozkaz sprawdzenia, czy udałoby się zdobyć i utrzymać most do czasu jej przybycia. Jeff dawno już się nauczył, kiedy lepiej zrezygnować z pośmiertnego medalu za bohaterstwo i to był właśnie taki moment. Przy silnej obronie i posterunkach straży rozstawionych w promieniu dwudziestu kilometrów już samo podejście do mostu było nie lada wyczynem. Dowództwo będzie musiało znaleźć inną drogę przez Drakensberg. Te góry zaczęły dla niego symbolizować siłę południowoafrykańskiego oporu. Poczucie zawodu z powodu nie spełnionej misji mieszało się u Hawkinsa z uczuciem niesmaku, który pozostał po incydencie z partyzantami. Ci ludzie powinni być ich sprzymierzeńcami. Zawsze myślał o sprzymierzeńcach jako tych, którzy strzelają do wspólnego wroga, a nie do siebie nawzajem. Taka definicja mogła czasami prowadzić do całkiem dziwnych sojuszków, ale przynajmniej sojusze te trwały na czas walk. W tym wypadku było zupełnie inaczej. Hawkins i jego trzej towarzysze spotkali się w nocy z miejscowym oddziałem byłych partyzantów ANC, którzy opowiedzieli się po stronie wojsk sprzymierzonych. Każde nocne spotkanie, szczególnie na terytorium wroga,

było wielką niewiadomą i nawet po dwóch tygodniach walki w Afryce Południowej Jeff miał sporo wątpliwości. Zbliżali się właśnie do gęstego zagajnika, w którym przed chwilą zniknął ich zwiadowca, Ephraim Betalizu, idący pięćdziesiąt metrów przed nimi. Po kilku minutach usłyszeli jego okrzyk w języku Zulu: - Wszystko w porządku. Spokojny już Jeff skinął na kolegów, ale zdążyli zrobić tylko parę kroków, gdy z zarośli dobiegły ich krzyki, stukot metalu i stłumiony wystrzał. Ruszyli biegiem w tamtą stronę. Ich oczom ukazał się groźny widok. Na małej polance leżał Betalizu, a nad nim stało trzech również czarnych mężczyzn. Czwarty leżał dalej twarzą do ziemi. Jeden z Murzynów trzymał nad zwiadowcą broń gotową do strzału. Cholera! - pomyślał Jeff, pora się włączyć.

- Co tu się, kurwa, dzieje? Podszedł bliżej do trzech Murzynów.

- Który z was jest naszym kontaktem? - Mówiąc, taksował ich groźnym wzrokiem, ale starał się jednocześnie kontrolować narosły w nim gniew. Jeden z partyzantów opuścił karabin i spojrzał na Jeffa. Hawkins miał na sobie amerykański mundur i zielony beret z czarnymi insygniami oficerskimi. Mimo iż nie posiadał pełnego ekwipunku bojowego, w porównaniu z nimi wyglądał jak wzorowy żołnierz. Afrykanin nosił maskujące spodnie, podartą koszulę i sandały. Był to potężny mężczyzna z krótką brodą i przetykanymi siwizną włosami.

- Jestem Goerge Nconganwe, dowódca tej komórki. Wyglądasz jak Amerykanin, którego oczekujemy. - Wskazał na Betalizu. - Przyprawdziliście ze sobą wroga. Jeff teraz już naprawdę z trudem starał się opanować.

- Jeśli przyszedł ze mną, to znaczy, że nie jest wrogiem.

- Skandował każdy wyraz. Usłyszał za plecami szelest liści. To zbliżali się jego ludzie. Wskazał na nich ręką.

- Za każdego z nich ręczę. Wiedział, że ryzykuje. Przyznanie się do współpracy z Zulu sami mogło różnie się skończyć. Byli bowiem na terenach wrogich im plemion, na których nie byli do końca pewni własnej pozycji. Miał jednak cichą nadzieję, że Kapsztad i Durban uczyniły z nich w odczuciach Murzynów sprzymierzeńców, a nie potencjalnych wrogów. W słabym świetle księżyca Jeff zobaczył, jak oczy Nconganwe zatrzymują się na kimś za jego plecami. Odwrócił głowę i zorientował się, że partyzant nieprzyjaźnie i bojaźliwie patrzy na Dworskiego, a następnie na Lamasa. Uzbrojeni biali mężczyźni, a przede wszystkim Zulus wzbudzali w Nconganwe duże podejrzenia i niepokój. Odezwały się w nim narosłe przez wieki uprzedzenia. A w dodatku jeden z białych przypominał mu wyglądem obecnych wrogów, Kubańczyków. Jeff kłął siebie za głupotę. Większa część rozbitego ANC składała się z członków plemienia Xhosa, podczas gdy ruch *Inkatha* w dziewięćdziesięciu procentach był opanowany przez Zulusów. *Inkatha* była partią konserwatywną, a ANC miało powiązania z ugrupowaniami socjalistycznymi i komunistycznymi. Czarni Południowoafrykańczycy nie mieli większego pojęcia o dialogu politycznym. Różnica opinii najczęściej kończyła się ucieczką do przemocy. Czym zresztą niewiele się różnili od Afrykanerów. Biały rząd zawsze wykorzystywał ten fakt do podsycania walk międzyplemiennych. Tak więc nawet wtedy, kiedy czarni mieli przed sobą śmiertelnego wroga, nadal nie potrafili zapomnieć dawnych urazów w stosunku do własnych braci. Dworski i Grtffith zajęli się czwartym partyzantem, który na szczęście był tylko nieprzytomny z powodu uderzenia kolbą. Jeff tymczasem usiłował przekonać Nconganwe, żeby zaufał im i pomógł w powierzonym zadaniu. Wiedział doskonale, że bez pomocy partyzantów, świetnie znających te tereny, on i jego ludzie niewiele wskórają. Wreszcie Nconganwe z trudem dał się namówić do współpracy. Na tym zresztą nie skończyły się problemy. Na zwiad musiał wysłać tylko dwóch partyzantów, ponieważ wolał, aby nie doszło do bezpośredniej konfrontacji między Zulusami a Xhose. Ryzykował trochę, ale nie miał innego wyjścia. Pozostali koledzy nie wchodzili w tym przypadku w rachubę. Byli potrzebni do ważniejszych zadań i

musiał ich mieć przy sobie. Tuż przed wyruszeniem doszło do nowego konfliktu. Żadna z grup nie chciała zamykać tyłów. Czując się jak szkolny nauczyciel, Jeff rozkazał utworzyć im dwa równoległe szeregi. Pozostała część misji okazała się nieustającym pasmem kompromisów. Dopiero kiedy Betalizu i lamas poszli obserwować, dowódca partyzantów powiedział coś dobrego o Zulusie. Pierwszą noc spędzili w kryjówce oddalonej o pięć kilometrów od mostu. Zanim położyli się spać, Nconganwe i Hawkins rozmawiali o walkach w Afryce Południowej, a następnie o wielorasowym społeczeństwie Ameryki. Nconganwe miał wiele kłopotów ze zrozumieniem zasad, jakimi kierowało się amerykańskie społeczeństwo. Jeff starał się wyjaśnić wszystko na przykładzie własnego dzieciństwa i okresu dorastania. W ciągu swojego życia widział sporo przykładów dyskryminacji, jednak nigdy, nawet w najmniejszym stopniu, nie przypominała ona apartheidu. Najważniejsze było, że amerykańskie społeczeństwo jako całość było przekonane o słuszności idei, że wszystkie rasy mają równe prawa. Niewielu Południowoafrykańczyków, czarnych czy białych, znało te pojęcia. Nconganwe mógł z trudem uwierzyć, że jest to prawda. W afrykańskiej kulturze rodzina była niemal wszystkim. Lojalność wobec rodu czy klanu była daleko ważniejsza niż jakiegokolwiek poczucie wspólnej narodowości. Ameryka sama stworzyła własne granice, podczas gdy Afryka Południowa została stworzona przez europejskich kolonizatorów, którzy nie przejmowali się miejscową ludnością. Dla Jeffa rodzina była bardzo ważna, ale myślał o sobie przede wszystkim jako o Amerykaninie, a nie członku rodu Hawkinsów. Amerykańska wiara w jedno prawo dla wszystkich była podstawą jego najgłębszych przekonań i czuł lojalność wobec kraju, który uosabiał te ideały. Z jakim narodem powinni czuć się związani członkowie plemion Xhosa czy Zulu? Rząd był ich oficjalnym wrogiem, a społeczeństwo składało się z grup ludzi trzymanyh w izolacji i wzajemnej wrogości. Nie istniały pojęcia społeczeństwa pluralistycznego. Apartheid zakorzenił się we wszystkich swoich ofiarach. Rozmawiał z Nconganwe ponad godzinę i w większości wypadków Południowoafrykańczyk godził się przyjąć pewne prawdy na wiarę, ale inne musiałyby najpierw zobaczyć na własne oczy. Jeff miał poczucie, że osiągnął wszystko, co w tej sytuacji było możliwe. Następnego dnia wracali do domu przez znajdujące się w rękach wroga terytorium. Widać było, że Burowie stopniowo tracą nad nim panowanie. Obszary te, położone u stóp pasma gór Drakensberg, nie były gościnne. Strome ścieżki pięły się brudnymi wzgórzami pokrywanymi się zielenią jedynie w pobliżu niewielkich rzek i strumyków. Oddział rozlokował się w Tlali, dużej wiosce, której wódz był zachwycony obecnością amerykańskich żołnierzy, którzy stwarzali poczucie bezpieczeństwa, bo stanowili ochronę przed uzbrojonymi bandami buszującymi w okolicy. Mieszkańcy wioski należeli do plemienia Sotho, które nie było tak antagonistyczne wobec Zulusów. Plemię Sotho stanowiło rdzenną ludność królestwa Lesotho, enklawy na terenach RPA. Mieszkańcy Tlali, należącej formalnie do RPA, byli silnie związani emocjonalnie i kulturowo z tym małym niepodległym państwem. Wioska, malowniczo położona u podnóża niewielkiego wzniesienia, składała się ze schludnych chat, wokół których rosła na niewielkich poletkach kukurydza. Jeff spoglądał na nią z ogromnym wzruszeniem. Miał wrażenie, że po długim czasie wrócił wreszcie do domu. Poczł nagle ogromną więź łączącą go z nieznanymi przodkami.

- **1 stycznia – Tlali**

Hawkins obudził się gwałtownie - jeszcze obolały po dwudniowym marszu. Nawet w zupełnie bezpiecznej kwaterze podczas snu cały czas był czujny. Sięgał już w stronę pistoletu, gdy zobaczył nad sobą sierżanta Grtffitha. Uspokoił się i spojrzął na zegarek. Czwarta rano.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość, Mike - powiedział. - Nawet bardzo dobra, kapitanie. - Dobry nastrój Griffitha zaciekał Hawkinsa. Wstał szybko, ubrał się i wyszedł w chłód późnej nocy. Pomiędzy domkami paliło się małe ognisko i Jeff zobaczył kilka osób siedzących na ziemi. Był tam Nconganwe, a także Betalizu i Dworski, który opowiadał właśnie o swoim dzieciństwie w polskiej dzielnicy w Filadelfii. Nconganwe pozdrowił Jeffa.

- Sam chciałem przekazać panu tę wiadomość. Nie rozumiem jej w całości, ale człowiek, który mi to powiedział zapewnił, że będziecie wiedzieli, o co -chodzi. Jeff usiadł przy ognisku.

- Dziękuję, że się pofatygowałeś. Jestem pewien, że informacja okaże się ważna.

- Miałem panu powiedzieć, że Burom zepsuł się radar nadzorujący Ladysmith. Zawiódł system przekaźnikowo-odbiorczy i mają kłopoty ze znalezieniem zastępczego. Kontynuują nasłuch, ale nic nie widzą na ekranie. Znam człowieka, który podsłuchał tę wiadomość. Widziano także, jak część garnizonu opuszcza miasto, kierując się na północ. Jeff poczuł ogarniające go podniecenie. To może być ten punkt zwrotny, na który czekała ich armia. Ladysmith było strategicznym miastem na pogórzu pasma Drakensberg. Jeśli ich linie obrony były osłabione... Nconganwe ciągnął dalej.

- Pamiętam, co powiedział pan wczoraj. Xhosa zawsze pomagają swoim przyjacielom.

- Zmarszczył brwi. - Zulu nie są naszymi przyjacielami, ale ponieważ przyszli tu z panem, będziemy traktowali ich jak sprzymierzeńców. Do podniecenia Jeffa dołączyło się poczucie ulgi i nadziei. - Obiecuję ci, że postaram się zasłużyć na przyjaźń waszego plemienia. To niezmiernie cenna informacja, George. Nasze wojska będą wdzięczne, gdyż może to ocalić wiele ludzkich istnień.

- Mam nadzieję, że nie Burów. - Partyzant uśmiechnął się na pożegnanie i szybko odszedł. Musiał jeszcze przed świtem przejść wiele kilometrów. Dworski i Griffith spojrzeli w stronę niknącej w ciemnościach sylwetki. Ich uśmiechy mówiły o niekłamanym podziwieniu.

- Znajdźcie mi posłańca - rozkazał Jeff. - Muszę wysłać wiadomość do Mantizimy. Później pójdziemy do punktu łącznościowego. Mam pilną wiadomość do wysłania.

## • **USS "Mount Whitney", port Durban - godzina 17:00**

Craig i jego sztab przyglądali się mapie Natalu. Ladysmith było starym miastem, które leżało w środkowej części górnego biegu rzeki Tugela, po jej północnej stronie. Tędy prowadziła najlepsza droga do Pretorii. "Najlepsza" było w tym przypadku pojęciem względnym. Wojsko poniosło duże straty w ludziach i zmarnowało mnóstwo czasu podczas przepraw przez rzeki. Craig zastanawiał się wcześniej, czy nie przegrają całej kampanii w tych cholernych górach. Ladysmith mogło odwrócić ich złą kartę. Miasto leżało wśród niskich wzniesień. Dalej rozciągała się równina, świetnie nadająca się do ataku nowoczesnej, zmotoryzowanej armii. Wiadomo było, że miejscowość stanowi centrum zaopatrzenia rozrzuconych po okolicy sił południowoafrykańskich i jedną z ważniejszych blokad na drodze do Pretorii. Południowoafrykańscy trzymali tu silny garnizon wraz z potężną siecią obrony przeciwlotniczej. Integralną częścią tej sieci był radar systemu wczesnego ostrzegania. Ustawiony na pobliskim wzgórzu ostrzegał baterie dział przeciwlotniczych i rakiet ziemia-powietrze o zbliżaniu się wrogich samolotów. Myśliwce USA atakowały ten system kilkakrotnie, zawsze bez skutku. Jak każdy radar taktyczny, sprzęt mógł być szybko przenoszony z miejsca na miejsce. Zajęcie

Ladysmith zamieniłoby Drakensberg z fortecy Afrykanerów w ich więzienie. Planowany wcześniej atak na Ladysmith miał być przeprowadzany stopniowo. Jednak możliwość wzięcia miasta szturmem oszczędziłaby im co najmniej tydzień w wyścigu z Kubańczykami. W normalnych warunkach wysłanie helikopterów przeciw mocnej obronie przeciwlotniczej byłoby zwykłym samobójstwem. Jeśli jednak radar jest uszkodzony, szybka grupa uderzeniowa może zaatakować, nim obrońcy zorientują się, o co chodzi. Craig odwrócił się do zebranych dowódców jednostek dywizji. - Greg, jaka część Sto Pierwszej została rozładowana?

- Jedna brygada i batalion, sir. Pododdziały drugiej brygad właśnie schodzą na ląd. Saperzy cały czas oczyszczają port. Już teraz można rozładowywać kilka okrętów naraz. Zniszczenia jednak były tak ogromne, że praca w dalszym ciągu posuwała się bardzo powoli. 101. Dywizja Powietrzno-Desantowa do transportu ludzi używała helikopterów. Samoloty bardziej się do tego nadawały, ale zajmowały dużo miejsca i wymagały wielu okrętów do ich przewiezienia. Znajdujące się już na brzegu wojska dysponowały olbrzymią siłą ogniową. Kombinowana formacja, składająca się z jednej trzeciej sił dywizji, mogła posłużyć się ponad dziewięćdziesięcioma śmigłowcami, które przenosiły dwa i pół tysiąca ludzi. Łatwe do zniszczenia helikoptery transportowe miały być ochraniające przez maszyny zwiadowcze *Kiowa* i szturmowe *Apache*. Craig po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że atak całą dywizją nie jest konieczny, jeżeli nastąpi szybko, z całkowitego zaskoczenia. Ostatnie posunięcia Południowoafrykańczyków utwierdziły go w słuszności podjętej decyzji. Przejrzał na wylot ich zamiary. Nikt nie spodziewał się tak szybkiego marszu armii sojuszniczej przez Drakensberg i część wojsk południowoafrykańskich przerzucona została z powrotem na północ, w tym również niektóre oddziały z Ladysmith. Strategowie Vorstera byli pewnie przekonani, że zdążą rozprawić się z Kubańczykami i szybko cofnąć na poprzednie pozycje. Nawet nie podejrzewają, jak bardzo się mylili.

- Greg, chcę, żebyś lądował w Ladysmith jutro wczesnym rankiem. - Na twarzy rozmówcy widać było zaskoczenie. Zbierz wszystko, co masz i nie czekaj na żaden dodatkowy sprzęt z okrętów. Dowódca potwierdził przyjęcie rozkazu skinieniem głowy. Zrób to tak, jak uważasz za słuszne, ale chcę, żebyś zajął Ladysmith i utrzymał do czasu nadciągnięcia wojsk lądowych. Dowódca 101. Dywizji, szczupły, mocno opalony mężczyzna, zasalutował i powiedział: - W takim razie, sir, pozwolę sobie odmeldować się. Mamy przed sobą ciężką noc. Craig oddał salut.

- Dzięki, Greg. Zabieramy ci trochę snu, ale zaoszczędzi nam to sporo czasu.

## • 2 stycznia - świt, okolice Durbanu

Sto Pierwsza miała bazę na północ od miasta. Na wybrzeżu każdy metr kwadratowy powierzchni był cenny, ale helikopter nie potrzebuje dużo miejsca, żeby unieść się w powietrze. Część dwupasmowej szosy została zamieniona w pas startowy, podczas gdy pola i chatki po obu stronach drogi zrównano z ziemią w celu zapewnienia miejsca helikopterom w kamuflażu pustynnym. Usunięci ze swoich domów Murzyni zostali umieszczeni w prefabrykowanych domkach, które przewidujący Amerykanie przywieźli ze sobą. "Obóz Zulu", zajmujący już teraz dużą przestrzeń, został ogrodzony, doprowadzono wszędzie elektryczność i sieć kanalizacyjną oraz wyposażono go we wszystkie inne niezbędne udogodnienia. Dlatego ludzie byli zawiedzeni, że tak szybko przyszedł rozkaz przygotowania się do odlotu. Mechanicy pracowali całą noc. Zamieszanie na prowizorycznym lotnisku powiększyło się, gdy przyleciały śmigłowce Marynarki mające wzmocnić dywizję. Piloci szybko zostali wtajemniczeni przez swoich „jądowych” kolegów we wszystkie niezbędne procedury i informacje. W czasie gdy helikoptery były przygotowywane do walki, dowódcy poszczególnych jednostek opracowywali w równie dużym pośpiechu założenia natarcia z powietrza. Nawet przy,



wydawało się, prostym locie na cel i ataku trzeba było rozpatrzyć wiele szczegółów, od których zależało życie żołnierzy. Generał major Greg Garrick, dowódca dywizji, jeszcze w czasie lotu helikopterem z "Mount Whitney" przygotował ogólny zarys planu operacyjnego. Dowódca brygady, generał Tom Stewart, czekał na niego w bazie z resztą sztabu. Rozpoczęła się pospieszna narada. Gdy przygotowano już część planów, wszedł niespodziewanie oficer dowodzący sekcją napraw z wiadomością, że można już transportować czwarty batalion. Było to bardzo pomyslnie, ale trzeba było na gwałt przerabiać niektóre dane. O północy jednak wszystko dokładnie uzgodniono. Zadbano o każdy szczegół operacji, uwzględniając ostatnie dane wywiadu. Trzeba też było przygotować się na wszelkie ewentualności. Wezwano teraz dowódców batalionów i w czasie dwugodzinnego spotkania zapoznano z zadaniami. W ostatnim momencie przypomniano sobie o kryptonimie. Ktoś zaproponował nazwę JUTRZEJSZY ATAK. Garrick w końcu zgodził się na POWIETRZNY EKSPRES. Dowódcy batalionów przyjęli rozkazy i o trzeciej nad ranem wezwali dowódców kompanii. O czwartej rozkazy zostały przekazane dowódcom plutonów, a pół godziny później dowódcom drużyn. O piątej wystartowały helikoptery. Hałas i zamieszanie w bazie zwróciły uwagę okolicznych mieszkańców, którzy zebrali się wzdłuż ogrodzenia i w milczeniu przyglądali wylatującym maszynom. Dla wielu ten pokaz siły i nowoczesnej techniki był wręcz przerażający. Czego chcieli ci potężnie uzbrojeni cudzoziemcy? Stojący obok pasa startowego generał Garrick zobaczył nieproszonych widzów i zdenerwował się. Nawet dziecko zorientowałoby się od razu, że właśnie rozpoczynają atak. Miał jednak nadzieję, że desant dotrze do Ladysmith przed raportami wysłanymi tam przez ewentualnych szpiegów. Patrząc, jak od ziemi odrywa się formacja helikopterów, jako najwolniejsze pierwsze wzniosły się śmigłowce transportowe, *Uh-60 Blackhawk* i *CH-47 Chinook*, które miały nadawać tempo pozostałym maszynom. Wolno nabierały prędkości na pasie, aby tego rodzaju startem zrównoważyć ciężar i majestatycznie unosiły się w powietrze. Gdy tylko jedna grupa wystartowała, następne śmigłowce zajmowały ich miejsce na pasie startowym. Huk setek turbin i łoskot wirników uniemożliwiał generałowi skoncentrowanie się mimo ochraniaczy na uszach. Widzowie przy płocie zaczęli się cofać. Gorące poddmuchy wiatru niosły ze sobą tumany kurzu i zapach rozgrzanego metalu. Od pasa oderwał się ostatni helikopter transportowy i na ich miejsce wytoczyły się śmigłowce zwiadowcze i szturmowe. Krępe *OH-58* kontrastowały z długimi, kanciastymi *Apache*. Szybsze maszyny powinny dogonić znajdujące się już w powietrzu transportowce i zająć miejsce na skrzydłach formacji.

- Już czas, sir. - Adiutant Garricka w stopniu kapitana odprowadził go do czekającego *Blackhawk*. Przy drzwiach rozlokowali się dwaj operatorzy *Minigunów*. Ich twarze zakrywały częściowo hełmy i specjalne okulary. Podczas gdy generał Stewart kierował bitwą ze sztabu, Garrick zamierzał kontrolować wszystko osobiście z powietrza. jako dowódca dywizji w normalnych warunkach musiałyby z kwatery koordynować działania trzech brygad, ale że w operacji brała udział tylko jedna, miał rzadką możliwość przyjrzenia się wszystkiemu osobiście. Utrzymał połączenie radiowe ze Stewartem i sztabem dywizji. Założył pasy i podczas gdy sprawdzał podłączenie słuchawek, helikopter oderwał się od ziemi. O wiele szybszy od obciążonych śmigłowców transportowych mógł je teraz z łatwością dogonić. Garrick przesunął się do przodu i spojrzał przez przednią szybę. Przed nimi leciała cała brygada rozciągnięta w powietrzu niczym chmara ptaków. Zbliżali się z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę do celu. Lecieli na zachód. Gdy helikopter dowodzenia dotarł do pozostałych maszyn, błyszczących w promieniach słońca, Garrick z zadowoleniem zauważył, że ostatni maruderzy znaleźli się już w szyku. Cztery transportowce, każdy z plutonem żołnierzy na pokładzie, utworzyły specyficzną formację; oddalone od siebie o sto metrów leciały na różnych

wysokościach. Duże *Chinooki* wiozły ciężką broń i zapasy. Po obu stronach leciały helikoptery zwiadowcze, mające za zadanie zaatakowanie umocnień naziemnych. W przedniej części formacji zajęły miejsca w szyku śmi głowce szturmowe, które miały ostrzelać wroga i zapewnić osłonę w czasie lądowania. Garrick wiedział, że przed nimi lecą jeszcze samoloty. *AV-8B Harrier* Marynarki i *F-16 Falcon* Sił Powietrznych miały wcześniej zbombardować cel, a *F-15 Eagle* miały osłaniać brygadę przed atakami południowoafrykańskich myśliwców. Z lewej strony ukazały się góry wyznaczające granice Lesotho. Strome urwiska wznosiły się miejscami ponad trzy kilometry nad poziom morza i Garrick poczuł podziw dla piechoty. Jeśli udało im się zwyciężyć na takim terenie, to muszą wygrać całą wojnę. Chłodne powietrze poranka zmniejszyło szansę niebezpiecznych prądów zstępujących na niskich wysokościach i siła uderzeniowa skierowała się wzdłuż rzeki na północny zachód. Za pół godziny skręcają na prawo i dotrą nad miasto.

- **Ladysmith - 06:45**

Pułkownik Worster leżał na ziemi pod wozem radarowym, obserwując kolejną falę myśliwców przemykających z rykiem nad jego głową. Amerykanie już wcześniej atakowali miasto, ale dzisiaj byli o wiele bardziej zdeterminowani. Czy mogli wiedzieć o radarze? Pułkownik był odpowiedzialny za obronę przeciwlotniczą miasta. Oprócz wyrzutni raketowych *Cactus* miał także kilka zdobytych na wrogu radzieckich dział przeciwlotniczych i dwie baterie południowoafrykańskich dwudziesto i czterdziestomilimetrowych działek. jedynie wyrzutnie SAM były naprowadzane radarem. Worster przeprowadzał inspekcję wozu radarowego, rozmawiając z technikami, którzy usiłowali wszelkimi sposobami zmusić sprzęt do działania. Urządzenia nie były najnowsze i sprawiały kłopoty nawet w normalnych warunkach.

Ich rozmowa została przerwana przez potężny wybuch niedaleko za nimi. Wóz zakołysał się, a na dach spadł grad odłamków, dziurawiąc go w wielu miejscach i niszcząc parę urządzeń. Jeden z techników został ranny. Na szczęście pozostała załoga zdążyła się schronić w okopach. Korster jeszcze przez chwilę przyglądał się smętnie zwisającej z dachu antenie. Urządzenie było teraz zupełnie zniszczone, ale nie przejmował się tym specjalnie, ponieważ i tak już wcześniej nie działał radar wczesnego ostrzegania. Chyba Amerykanie musieli o tym wiedzieć. Ich rakietka antyradarowa bez trudu dokonała reszty. Radar był dokładnie zamaskowany na niewielkim wzgórzu, którego wierzchołek stanowił dobrą osłonę. Wzniesienie stanowiło też świetny punkt obserwacyjny. Ze wszystkich stron pojawiły się jednocześnie, w parach i czwórkach, myśliwce, atakując miasto w kilku sekundowych odstępach, biorąc na cel głównie pozycje dział przeciwlotniczych, a wyrzutnie raketowe były chyba na czele ich listy. Obrońcy zdążyli jeszcze wysłać w stronę samolotów dwie ręcznie sterowane rakietki, ale bez skutku. Następnym nie byli już w stanie wystrzelić. Atak trwał piętnaście minut. Korster dla pewności odczekał jeszcze chwilę, ale naloty się nie powtórzyły. Akcja została zakończona. Ostrożnie wyszedł z okopu i spojrzał w dół, na miasto. Nad kilkoma dzielnicami zawisła nieruchoma, ciemnoszara mgła. W wielu miejscach paliły się domy. Odwrócił wzrok i w tym momencie przykuło jego uwagę zamieszanie przy dwóch wyrzutniach. To oszołomieni żołnierze kręcili się bezradnie przy rozbitym sprzęcie. Trzeba koniecznie sprawdzić uszkodzenia, może da się coś uratować, pomyślał z rozpaczą. W tej chwili jednak najważniejsza była jego własna załoga. Odwrócił się w stronę wozu i z uczuciem ulgi zauważył, że ranny technik siedzi o własnych siłach, opatrywany przez kolegów. Nikt więcej nie odniósł obrażeń. W momencie gdy ruszył w ich kierunku, dobiegł go z południowego wschodu narastający warkot. Automatycznie skręcił do okopu. jasny gwint, znowu bombardowanie! stwierdził z przerażeniem. Nagle usłyszał jednego z żołnierzy.

Szeregowiec wrzeszczał jak opętany i wymachując rękami, wskazywał na niebo.

- **Nad Ladysmith**

Helikopter dowodzenia znajdował się na wysokości dwóch tysięcy metrów i oddalony był o trzy kilometry od miejsca ataku. Generał Garrick obserwował akcję przez lornetkę. Z tej odległości można było dostrzec nawet pojedyncze osoby. jednocześnie przez radio nastawione na odpowiednią częstotliwość odbierał raporty o aktualnej sytuacji. Informacje jak do tej pory były bardzo pomyślne. jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, minutę po odlocie myśliwców uderzą śmigłowce szturmowe. I tak też się stało. Nisko lecące *Apache* skierowały się prosto do rozpoznanych wcześniej na zdjęciach lotniczych celów. jednak Południowoafrykańczycy prędko się pozbiali po pierwszym ataku, bo natychmiast niebo rozdarły smugi pocisków, zmuszając helikoptery do gwałtownych uników. jedna z maszyn nie była dość szybka i po trafieniu w wirnik okręciła się wokół własnej osi dwa razy, a następnie runęła w dół jak kamień. Wybuch wstrząsnął ziemią i powietrzem, a w miejscu upadku wyrósł ognisty grzyb. Na szczęście była to jedyna strata, bo natychmiast zlokalizowano i unieszkodliwiono wrogie pozycje. Walka była krótka. Po niedługim czasie Garrick z uczuciem ulgi odebrał raport o zakończeniu pierwszego etapu operacji. *Apache* i śmigłowce zwiadowcze wycofały się na pozycje obserwacyjne i osłaniające strefę lądowania, nad którą po chwili pojawiły się potężne helikoptery transportowe.

- Generale, kończy się paliwo. - Głos w słuchawkach zmusił Garricka do oderwania wzroku od lądujących maszyn. Helikopter nie mógł pozostawać w nieskończoność w powietrzu, a pilot miał jeszcze długą drogę do przebycia.

- Jasne. Zabierz mnie do wysuniętego punktu dowodzenia. - Garrick rozluźnił się trochę i rozsiadł wygodniej. No cóż, jego ludzie i tak znajdowali się już na ziemi i z powietrza nie było wiele do oglądania.

- **Ladysmith - 08:30**

Worster obserwował z przerażeniem lądowanie sił sprzymierzonych. Na szczęście wzgórze nie było w tej chwili obiektem zainteresowań wroga. jakby zapomniano o jego istnieniu. A Korster wolał o tym nie przypominać. Dlatego nakazał swoim ludziom całkowity spokój. Zdawał sobie sprawę, że i tak trzy karabiny *R4* i jego pistolet stanowiące całe ich obecne uzbrojenie nie są w stanie zmienić losów tej bitwy. Mała grupka przywarła do ziemi i w milczeniu obserwowała lądujące fala za falą helikoptery, z których wybiegali żołnierze i wynoszono sprzęt. Niemal natychmiast rozpoczęła się strzelanina w mieście. Korster słyszał w telefonie polowym rozkazy dowódcy garnizonu, który nakazywał ludziom okopywać się i bronić do końca. Południowoafrykańczycy dysponowali tylko batalionem żołnierzy, ale dobrze znali miasto, a poza tym byli tak zdeterminowani, że woleli zginąć na swoich posterunkach, niż się poddać. Worster wyobrażał sobie Amerykanów idących Poorte Street, nie cały czas miał jakąś irracjonalną nadzieję, że obrońcom uda się jednak utrzymać miasto. Dopiero gdy usłyszał decyzję swojego pułkownika o ewakuacji hotelu "Royal", wiedział już na pewno, że muszą przegrać. Bez namysłu poderwał się z ziemi i krzyknął: - Chodźcie, czeka nas praca. Technicy patrzyli, nic nie rozumiejąc. Wszyscy widzieli natarcie amerykańskich żołnierzy. Co pułkownik chciał jeszcze zwojować?

- W pierwszej kolejności musimy opatrzyć do końca sierżanta. a potem spalimy wóz i wszystkie dokumenty. Amerykanie nie dostaną ich w swoje ręce. - Wiedział już. co potrafią zrobić z jego krajem. Dla Worstera walka była skończona.

## Śmiertelna pułapka

- **1 stycznia - 44. Brygada Spadochronowa, okolice Skorpionenpunkt**

Major Rolf Bekker wsunął się głębiej pod maskującą zasłonę, którą umocował nad okopaną pozycją strzelecką i leżał nieruchomo. Każda zmiana pozycji oznaczała pocenie się, czyli utratę wody. A woda oznaczała w tych okolicach życie. Alarm zegarka wydał piskliwy dźwięk. Czas się napić. Otworzył trzecią manierkę i wziął ostrożnie głębszy łyk wody, płucząc usta, zanim przełknął. Mimo że ciepła i z posmakiem metalu, wydawała mu się pyszna. Zwłaszcza kiedy zwilżała wyschnięte usta i gardło. Z żalem zakręcił wieczko i przytroczył naczynie z powrotem do pasa. Nadal spragniony ułożył się na rozgrzanej ziemi. Ich sytuacja zakrawała na ironię. Podczas gdy on i jego trzystu spadochroniarzy odmierzało sobie łyki wody, Oranje, jedna z dwóch najważniejszych południowoafrykańskich rzek, leżała osiem kilometrów dalej. Jedynie osiem kilometrów na południe od ich pozycji. Nie więcej niż dwie godziny szybkiego spaceru, może nawet mniej. W obecnej sytuacji jednak rzeka mogła równie dobrze znajdować się na Księżycu. Posłuszni jego rozkazom ludzie nie śmieli poruszyć się na swoich ukrytych stanowiskach. Bekker miał wystarczające powody, żeby wydać takie rozkazy. Wysunięte najdalej na północ posterunki doniosły o zaobserwowanym tumanie kurzu na horyzoncie. Zbuntowany batalion Henrika Krugera nadciągał od północy jedyną bezpieczną, jak im się pewnie wydawało, drogą prowadzącą do Kapsztadu. W rzeczywistości ludzi 20. Batalionu Strzelców Przyłaskowych czekała śmiertelna pułapka. Afrykanerski major przyjrzał się jeszcze raz wybranemu polu bitwy. Brązowa, naga dolina wydawała się jeszcze bardziej nadawać do jego celów, niż to pokazywała mapa. Zamknięta stromymi zboczami gór Langberge od wschodu i niemal równie stromym i poszarpanym pasmem wzniesień od zachodu dolina opadała łagodnie od niecki Kalahari i później ostro przechodziła w dolinę rzeki Oranje. Wzdłuż wschodniej krawędzi doliny biegła gruntowa droga, obok której wznosiło się długie i niskie wzgórze porośnięte rzadkimi krzakami i pojedynczymi, karłowatymi drzewkami. Dobrze zamaskowane dwie kompanie Bekkera rozmieszczone zostały na wzgórzu. Aby wzmocnić siłę pierwszego uderzenia, przydzielono im po jednej 84-milimetrowej bezodrzutowej wyrzutni rakiet typu *Carl Gustaf*. Nieduży obszar pod nimi zaminowano. Tuż za wzgórzem ustawiono dwa 81-milimetrowe moździerz przygotowane do pośredniego ostrzału. Parę kilometrów dalej czekały w odwodzie dwa śmigłowce szturmowe *Puma*. Plan wydawał się prosty. Za pomocą moździerzy zatrzymają i zniszczą wozy bojowe i piechotę, a transportery opancerzone zostaną unicestwione rakietami. W razie potrzeby do akcji wkroczą helikoptery. Z ewentualnymi niedobitkami batalionu dadzą sobie radę komandosi, wykańczając ich z ręcznej broni automatycznej. Na tę myśl Bekker uśmiechnął się zjadliwie. Założenia były nie tylko proste, ale na pewno wyjątkowo skuteczne. Takiej taktyki nauczyło go doświadczenie wielu walk. Najlepiej sprawdzały się zawsze najprostsze pomysły. Skomplikowane plany dobrze przedstawiały się na papierze. ale

najłatwiej mogły wykończyć ich szczęśliwego twórcę. Obok niego cicho odezwało się radio.

- *Rover Foxtrot jeden, tu Tango Zebra Trzy.* - Zgłaszał się jego północny punkt obserwacyjny. Kapral de Vries podał majorowi słuchawki.

- *Słucham cię, Trzy.*

- *W polu widzenia zwiad nieprzyjaciela. Cztery Land Roversy jadące przed główną kolumną.* Bekker wysunął się z okopu i podniósł do oczu lornetkę polową. Zobaczył prowadzącego, poobijanego Land Rovera. Na trójnogu umocowany był ciężki karabin maszynowy. W wozie znajdowało się czterech ludzi w południowoafrykańskich mundurach: kierowca, strzelec i dwóch zwiadowców. Zniżył lornetkę i nacisnął przycisk mikrofonu.

- *Trzy, schowajcie się. Pozwólcie im przejechać.*

- *Przyjąłem, Rover jeden. właśnie nas mijają.* Bekker poczuł, jak zaczyna się pocić. Następne minuty będą decydujące. Miał nadzieję, że zwiad Krugera nie spostrzeże dobrze przygotowanej pułapki. W normalnych warunkach nie poszedłby na takie ryzyko. Czujny dowódca zwiadu z pewnością posłałby żołnierzy, żeby sprawdzili ciągnące się wzdłuż drogi wzgórza. Jednak ludzie Krugera uciekali już od dwóch tygodni, podróżując całymi dniami przez półpustynne tereny i bezludne wzgórza. Rolf Bekker był przekonany, że stracili sporo ze swojej normalnej czujności.

#### • **Ratel dowodzenia, 20. Batalion Strzelców Przylądkowych, na północ od Skorpionenpunkt**

Nawet przy otwartych włazach i wentylatorach zatłoczone wnętrze *Ratela* było nieznośnie gorące. Ian Sherfield siedział przy wąskim, składanym stole przyglądając się, jak pułkownik Henrik Kruger wytycza trasę. Jego opanowane ruchy i spokojna, beznamiętna twarz wprawiały Iana w podziw, uświadamiając mu własne odczucia i reakcje. Ocierając brudnym rękawem twarz, czuł jednocześnie strużki potu ściekające mu po plecach i pod pachami. *Ratel* podskakiwał na wybojach, a przy pokonywaniu większej nierówności Ian musiał trzymać się uchwyty, a właściwie prawie na nim wisić. I to ma być droga drugiej klasy, myślał z niesmakiem. Za którymś razem z satysfakcją zobaczył, jak ołówek dowódcy kreśli jakieś esy-floresy na plastikowej ramce mapy. A już myślał, że na pułkownika nic nie jest w stanie podziałać. Emily i Matt tłoczyli się w kącie wozu, między wiszącą bronią, workami z żywnością i pojemnikami z wodą. Ian wskazał dziewczynie miejsce przy stole, ale Emily uśmiechnęła się tylko przepaszająco i lekko wzruszyła ramionami. Od razu domyślił się, o co chodzi. Przez pewien czas razem opracowywali wszystkie dalsze posunięcia, ale szybko się zorientowali, że Krugera dziwnie krępuje jej bliskość. Zaczęli teraz obserwować pozostałych pasażerów. Trzech młodych oficerów sztabowych siedziało na składanych krzeselkach, koło dowódcy. Jeden stał za siedzącym w wieży celowniczym obsługującym ciężki karabin maszynowy i trzymał przy uchu słuchawki, przekazując raporty od zwiadowców. Wszyscy wyglądali na krańcowo zmęczonych. Przez otwory strzelnicze, po cztery z każdego boku, wpadały ostre promienie porannego słońca. Kruger skończył pracę i przeciągnął się. Podniósł głos, żeby słycać go było przez warkot potężnego silnika wozu. Mamy dzisiaj nie zły czas. - Wskazał punkt na mapie. - Do południa powinniśmy przekroczyć Oranje. Ian skinął głową. - Co dalej?

- W zależności od tego, co jest przed nami, skierujemy się do Kenhardt lub Brandvlei. Co później? - Kruger wzruszył ramionami. - Powinniśmy o tym porozmawiać. Południowoafrykańczyk wskazał ołówkiem na miasteczko Brandvlei. Ian zmierzył na oko odległość do Kapsztadu - niecałych pięćset kilometrów. Może dwa dni jazdy przy ich obecnym tempie.

- W czym problem?

- Pańscy rodacy mają bazę lotniczą w Kapsztadzie, zgadza się? Ian potwierdził ruchem głowy. Udało im się złapać kilka razy audycje Głosu Ameryki, dzięki którym mogli śledzić rozwój działań wojennych. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nadal utrzymywały swoje siły i jednostki powietrzne w Kapsztadzie. W pewnej chwili zrozumiał, że Kruger jest tym faktem zaniepokojony. I zrozumiał dlaczego. Co zrobiłby każdy amerykański pilot, gdyby zaobserwował zbliżający się do miasta nieprzyjacielski batalion? Oczywiście, zbombardowałby kolumnę. Ian spojrzał na pułkownika.

- Chce pan na pewno powiedzieć, że możemy łatwo stać się siedzącą kaczką dla myśliwców?

- Kaczką? - Kruger zawahał się, zdziwiony. Po chwili jego twarz rozjaśniła się, gdy przetłumaczył sobie ten zwrot na *afrikaans*. - Dokładnie. Nie możemy wyruszać poza Brandvlei, zanim nie uda się nam nawiązać kontaktu z siłami amerykańskimi bądź naszym rządem tymczasowym.

- Jakie mogłyby być kłopoty...? Prowadzący nasłuch porucznik przerwał mu.

- Przepraszam, sir, ale oddział zwiadowczy podaje, że zbliżają się do Oranje. Nie napotkali żadnych śladów wroga.

#### • **44. Brygada Spadochronowa**

Major Rolf Bekker wstrzymał oddech, gdy długa kolumna ciężarówek i transporterów opancerzonych wjechała do wybranej przez niego strefy ostrzału. Koło majora leżało radio kaprala de Vriesa, z długą anteną wystającą z siatki maskującej nad ich głowami. Nacisnął przycisk mikrofonu.

- Wszystkie jednostki, tu Rover Foxtrot jeden. Przygotować się. Nie strzelać. Czekać na mój rozkaz. Prowadzący *Ratel* minął popękany głaz, który leżał na jednej linii z pozycją strzelecką Bekkera. W dwudziestometrowych odstępach jechało za nim pięćdziesiąt pojazdów. Wszystkie znajdowały się w zasięgu broni oddziału Bekkera.

- Teraz! Ognia! Ognia! Ognia! Trafiona pociskiem pięciotonowa ciężarówka zakreśliła, wjechała na głaz i wyróciła się. Oszołomieni żołnierze wyczołgivali się z wraku, ostrzeliwani cały czas z ręcznej broni automatycznej. przy końcu kolumny wybuchł transporter opancerzony, który, trafiony pociskami z *Carla Gustafa*, w jednej chwili zamienił się w płonącą kulę. Ludzie, którzy zdążyli się z niego wydostać, wyglądali jak żywe pochodnie i z przeraźliwym wyciem tarzali się po ziemi lub biegali w kółko, dopóki nie dobiły ich strzały komandosów. Ludzie Bekkera spędzili większą część poprzedniego dnia na ustawianiu celowników. Ich wysiłek przynosił teraz rezultaty.

- *Papa Charlie jeden, tu Rover jeden. Ognia! Strzelaj do odwołania!* Po kilku sekundach osiem pocisków moździerzowych trafiło w pobocze drogi, zasypując odłamkami ciężarówki i transportery. Kilka pojazdów już płonęło, podczas gdy inne jeszcze jechały. Niektóre wozy były wyrócone, a ich kierowcy leżeli obok zabici lub ranni. Bekker wykrzywił twarz w dzikim grymasie. Zasadzka była doskonała. Zdradziecki batalion Krugera był dosłownie dziesiątkowany.

#### • ***Ratel* dowodzenia**

Pobliski wybuch zatrząsł *Ratelem*, wywracając stolik. Od pancerza wozu odbiły się odłamki pocisku.

- Jezu! - Henrik Kruger przedarł się do radiooperatora i wyrwał mu z rąk słuchawki. Dobięły go spanikowane głosy oficerów.

- *Strzelają do nas ze wzgórza... Arrie trafiony! Mój Boże, trafili nas!... Musimy wyskakiwać... Cztery, może pięć dział...*

Kolejny pocisk wybuchł na drodze przed nimi. Kruger usłyszał przekleństwa kierowcy, który zjechał na pobocze, żeby ominąć płonący wóz. Kiedy mijali pojazd, dotarł do nich gorący podmuch. *Kommandant* obrócił się, starając rozeznac w sytuacji przez wąskie szczeliny obserwacyjne. Wokół paliły się wozy i zalegały ziemie zwłoki. Nieprzyjaciel masakrował batalion! Nacisnął guzik mikrofonu.

- *Tu Kruger. Skręćcie w lewo i rzućcie granaty dymne! Róbcie zasłonę dymną!* *Ratel* zakołysał się, wykonując ostry skręt w lewo. Kiedy pojazd ustawił się przodem do wzgórza, celowniczy wystrzelił. Jednocześnie z czterech wyrzutni granatów dymnych, umocowanych na wieży. Wyrzutnie kaszlnęły, wyrzucając cztery granaty dymne na odległość pięćdziesięciu metrów. Inne *Ratele* poszły za jego przykładem, tworząc gęstą zasłonę dymną, w której mogli się ukryć. Po prawej stronie najbliższego transportera piach wzbił się w powietrze, gdy kolejny pocisk trafił w pobocze. Kruger skrzywił się. Zasłona dymna pozwalała im się skryć przed bezpośrednim ogniem, ale te cholerne moździerze nie musiały widzieć obiektów, żeby w nie trafiać. Wystarczyło, że załoga dział celowała w wyznaczony odcinek drogi. Świadom upływu cennych sekund rozejrzał się po najbliższym otoczeniu. Nic. Żadnej kryjówki. jedynie nagie skały i porośnięta kępami trawy ziemia. Będą musieli wyrwać się z zasadzki, podejmując walkę. Włączył mikrofon.

- Wszystkie jednostki! Atakować! Atakować natychmiast! Celem jest wzgórze! *Ratel* ruszył do przodu, przedzierając się przez gęsty dym. Od pozostałych przy życiu dowódców kompanii i plutonów zaczęły napływać potwierdzenia przyjęcia rozkazu. 20. Batalion Strzelców Przyłaskowych podjął atak na wzgórze, szybko zbliżając się do nieprzyjaciela.

#### • 44. Brygada Spadochronowa

Bekker zacisnął ze złości zęby, widząc gęste kłęby w dole wzniesienia. Oddziały wyrzutni rakiet będą miały kłopot z odnalezieniem w tym paskudztwie obiektów ataku. Kolejna salwa pocisków moździerzowych przeczesła drogę, unieruchamiając na krótki czas oddział Krugera. W szarocznym dymie widać było jaskrawe rozbłyski. Nagle Bekker usłyszał krzyk:

- Majorze! Tam! - De Vries złapał go kurczowo za ramię, wskazując jednocześnie podnóże wzgórza. Z dymu jak zjawy zaczęły się wyłaniać złowrogie kształty. *Ratele*, *Buffele*, a nawet ciężarówki z dużą szybkością jechały w stronę jego pozycji. Na krótką chwilę Bekker stracił pewność siebie. *Kommandant* robił to, co on sam zrobiłby w podobnej sytuacji, tylko że tamten robił to o wiele szybciej i pewniej. Poderwał się z ziemi: - Strzelać! Do jasnej cholery, nie spać! Jeden z nadjeżdżających transporterów trafiony z *Carla Gustafa* zakołysał się i gwałtownie zatrzymał. Z olbrzymiej dziury wyrwanej w cienkim panczerze zaczęły wydobywać się płomienie. Nikt nie otworzył jednak włazów. Smuga czarnego dymu w momencie wystrzału ujawniła pozycję atakującego. Zanim obsługa *Carla Gustafa* ponownie załadowała pocisk, karabiny maszynowe *Ratela* skierowały się na niego i ostrzelały. Bekker zdążył tylko dostrzec chmurę piasku i dymu, która zasłoniła wyrzutnię. Kilka pojazdów zostało trafionych w czasie podejścia w górę, ale pozostałe szybko się zbliżyły, a karabiny maszynowe *Rateli* strzelały nieustannie, przenosząc ogień z prawej strony na lewą i przyduszały wroga gradem kul. Bekker ześliznął się na dno okopu, gdy nad jego głową zaczęły świstać pociski. Kapral de Vries nie był równie szybki. Pocisk trafił radiowca w szyję i urwał mu głowę. Okaleczone ciało poleciało w dół, rozpryskując po płytkich ścianach okopu strumienie krwi. Bekker schwycił karabin *R4* i odblokował bezpiecznik. Cholera! Gdzie są jego helikoptery? jedynie one mogły ich jeszcze uratować.

## • Śmigłowiec *Puma*

Kapitan Harry Kersten wyprowadził helikopter z doliny Oranje i skierował nos maszyny w dół, by nabrać prędkości. Lecąca z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę *Puma* szybko zbliżała się do pola bitwy. Kapitan wyteżył wzrok, usiłując w gęstych tumanach znaleźć jakiś cel. Z płonących ciężarówek i transporterów opancerzonych unosiły się kłęby czarnego dymu. Dostrzegł kilka leżących na boku wozów porzuconych przez załogę. Sądząc po ich liczbie, zasadzka musiała być udana. W tej samej chwili zobaczył wspinające się na wzgórze pojazdy. Resztki batalionu zbliżały się do pozycji spadochroniarzy Bekkera. Jak miał w tym zamieszaniu znaleźć jakiś dogodny cel? Kersten odezwał się do interkomu.

- *Roef, jesteś tam?*

- *Jasne, kapitanie.* - Znajdujący się przy drzwiach strzelec musiał krzyczeć, żeby można go było usłyszeć przez gwizd wiatru wdzierającego się przez otwarte drzwi.

- Dobra. Słuchaj. Podejdę na niskim pułapie, żebyś widział, do czego strzelać, jasne? Celuj tylko w pojazdy. Zrozumiałem. Świetnie. - Odwrócił głowę i dostrzegł drugi helikopter, który leciał tuż za nimi. Hennie, słyszałeś? Pilot potwierdził. Kersten zaczerpnął głęboko powietrza i wykręcił maszynę lekkim łukiem nad samą ziemię. Przelecieli nad polem bitwy, nakierowując umocowane w drzwiach 30-milimetrowe działka szybkostrzelne. Helikopter wyszedł ze skrzywienia i ponownie zniżył nos. Zaczęli nabierać prędkości i po kilku chwilach osiągnęli dwieście trzydzieści kilometrów na godzinę. Druga maszyna ustawiła się za nimi. Tym razem polecili w stronę wzgórze. Pole bitwy zaczęło gwałtownie się przybliżać i odległe punkty zamieniały się w pojedyncze pojazdy. *Ratela* z charakterystycznymi wieżami, otwarte *Buffele* wypełnione żołnierzami, którzy spod hełmów spoglądali na zbliżające się śmigłowce. Nawet kilka ciężarówek zupełnie nie na miejscu wśród strzelających pojazdów bojowych. Działko pokładowe *Pumy* zaczęło strzelać z ogłuszającym terkotem. Kersten poderwał się nad wzgórzem. Na chwilę stracili widzialność przez czarny, tłusty dym wznoszący się z płonącego samochodu. Helikopterem zarzuciło, gdy wpadli w słup rozgrzanego powietrza. Ale zaraz minęli niebezpieczeństwo, wyrównali lot i znaleźli się po drugiej stronie wzgórze.

- Dwa! Załatwiłem dwóch drani! - krzyknął podniecony strzelec przez interkom. - Wybuchli! Dostałem ich, kapitanie!

- Świetnie, Hennie. - Kersten zawrócił *Pumę*. - Uważaj teraz. Wracamy. Dwa południowoafrykańskie helikoptery szturmowe skierowały się na południe i później na zachód, wracając nad wzgórze.

## • *Ratel* Jeden Sześć

Kapral Mike Villiers schował głowę, gdy pocisk moździerzowy wybuchł kilkanaście metrów od transportera. Od pancerza i jego hełmu odbiło się kilka mniejszych odłamków i kamieni. Podniósł głowę i mocniej ścisnął uchwyt obracanego karabinu maszynowego. Jezu! Nienawidził jazdy, kiedy musiał siedzieć tyłem i wystawiać połowę ciała z wieży na cel snajperów. Jednak ktoś musiał to zrobić. Zdziesiątkowany batalion Krugera potrzebował każdego karabinu maszynowego. Świadczyły o tym trzy płonące wozy po ich lewej stronie. Zostały dosłownie rozerwane przez 30-milimetrowe pociski. Z włazów zwiślały płonące jeszcze zwłoki żołnierzy. Villiers nie chciał zginąć jak ci biedacy i jeszcze uważniej obserwował niebo. Jego spojrzenie przykuł szybko poruszający się punkt na horyzoncie.

- Wracają! Nisko na trzeciej godzinie! Nacisnął kurczowo spust czując, jak karabin kopie go w ramię. Widział wyraźnie ślady pocisków smugowych. Z pobliskiego *Ratela* też strzelano, kierując lufy w stronę prowadzącego helikoptera, który leciał na



wysokości zaledwie stu metrów. Trafienie w cel lecący z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę, z podskakującej, skręcającej platformy, która jedzie z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę, graniczyło z nieprawdopodobieństwem. Nawet przy możliwości wystrzelenia z karabinu setek pocisków na minutę szanse na sukces były znikome. Jednak czasami trzeba liczyć na szczęście. Kapral Mike Villiers miał to szczęście.

- **Prowadzący helikopter *Puma***

Cztery 7,62-milimetrowe pociski trafiły prowadzącą *Pumę*. Trzy zrobiły jedynie nieszkodliwe dziury w kadłubie i wyleciały drugą stroną. Czwarty jednak był skuteczny. Przebił silnik i dziurawiąc przewód paliwa, trafił w turbinę. Jedna z łopatek rozpadła się, rozrzucając szczątki na wszystkie strony. Silnik zamarł na chwilę i nagle eksplodował. Kapitan Harry Kersten zdążył tylko zauważyć płonące światło kontrolki przeciwpożarowej, gdy stracił panowanie nad maszyną, która zanurkowała i wbiła się nosem w ziemię. *Pumę* przerzuciło dwukrotnie, zanim wybuchła, zalewając wszystko wokół płonącym paliwem i zarzucając ostrymi odłamkami. Drugi śmigłowiec ominął w ostatniej chwili płonącą pochodnię i zniknął za wzgórzem. Po chwili pojawił się daleko na południowym wschodzie. Kiedy zginał Kersten, a oddziały wroga starty się już w bezpośredniej walce z komandosami Bekkera, załoga drugiego śmigłowca musiała uznać, że nie ma sensu przyłączać się do walki. Major Rolf Bekker stracił ostatnią szansę na ratunek.

- **44. Brygada Spadochronowa**

Komandosi 44. Brygady Spadochronowej walczyli zaciekle. Zabijali, ale sami też ginęli. Karabiny automatyczne i maszynowe nie mogły się mierzyć z 20-milimetrowymi działkami wozów pancernych i sprzężonymi karabinami maszynowymi. Wprawdzie bezodrzutowa wyrzutnia rakiet mogła zniszczyć każdy opancerzony wóz, ale załogi obsługujące wyrzutnie *Carl Gustaf* zdążyły wystrzelić tylko raz, zanim zostały spostrzeżone i ostrzelane. Płonące transportery i ciężarówki usłały cały stok wzgórza, ale wystarczająca ich liczba przedarła się przez linie Bekkera. Kiedy dotarli do pozycji obronnych, rozpoczęła się masakra. Spadochroniarze wybijani byli w swoich okopach przez broń *Rateli* lub przez postępującą za wozami piechotę, która obrzucała pozycje Rranatami i dobijała komandosów ogniem z broni automatycznej.

- ***Ratel* dowodzenia**

Przestraszony Ian Sheffield trzymał się kurczowo pasów siedzenia. podrzucany na wszystkie strony, gdy *Ratel* wspinał się po stoku z prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Nic nie słyszał, ogłuszony nieustannym terkotem karabinu maszynowego i odbijających się od pancerza pocisków. Dymiące łuski spadały na podłogę z tyłu wozu. Oficerowie sztabowi stali przy bocznych otworach strzelniczych, gotowi otworzyć ogień ze swoich *R4*, gdy tylko znajdą cel. Emily i Sibena siedzieli na swoich miejscach równie przerażeni. Przd *Ratela* pochylał się do przodu, gdy wóz przejeżdżał przez krawędź wzgórza. I wtedy jakby rozpadł się na kawałki. W pierwszej chwili oślepił Iana błysk, a zaraz potem uderzenie potężnej fali gorącego powietrza pozbawiło go oddechu. Czuł jeszcze, jak *Ratel* unosi się lekko, zastyga, aby po momencie runąć na bok. Kiedy oprzytomniał, leżał na stercie połamanego sprzętu. Przez otwory wciskał się gryzący dym. Wokół leżeli ludzie, kaszląc, jęcząc i obmacując obolałe miejsca. Emily! Ian wstrząsnął głową. żeby dojść do siebie i

syknał. Musiał uderzyć się podczas wywrotki. Przebiegł wzrokiem wewnątrz. Tam! Emily oszołomiona siedziała na stercie broni. Na szczęście nic poważnego się nie stało. Usiłował wstać.

- Jesteś cały? - Kruger krzychał mu do ucha. Afrykanerski oficer miał rozcięty policzek. ale nie był poza tym ranny.

- Nie! Ale co się stało?

- Trafiliśmy na minę. - Kruger zaniósł się kaszlem. a zaraz potem wrzasnął. - Czuję palący się olej! Musimy natychmiast uciekać!

- Cholera! - Ian. odrzucając na boki różne połamane rzeczy ruszył w stronę Emily. Kruger w tym czasie ponaglał swoich.

- Ian, dzięki Bogu... - złapała go kurczowo za rękę, gdy pomagał jej wstać. Trzymając ją w pół, odwrócił się do Sibeny.

- Matt, dobrze, że nic ci się nie stało. Odblokuj prędko zabezpieczenia wjazdu - wskazał tylne wyjście.

- Już się robi. - Sibena przez chwilę mocował się z klapą. a następnie otworzył ją na oścież. Ian uściśnął lekko dziewczynę, puścił ją i ruszył w stronę otworu. Ktoś szarpnął go za ramię.

- Moi ludzie wyjdą pierwsi. Tam jest niebezpiecznie - zawołał Kruger. Miał przewieszony przez ramię karabin. Za nim stała reszta załogi. Żołnierze wyskakiwali jeden za drugim, a następnie, biegnąc pochyleni, otaczali wóz. Przy wyjściu został jeden z oficerów. Gęstniejący dym i niesiony wiatrem kurz zamazywały kontury. Ian zatrzymał się niepewnie w otworze wjazdu. Zaczął wreszcie prawie normalnie słyszeć i przez moment zastanawiał się, co go bardziej przeraża, terkot karabinów maszynowych czy trzask płomieni ogarniających pojazdy.

- Rusz się, człowieku! Pozwól wysiąść następnym! - usłyszał niecierpliwy głos porucznika. Cofnął się, przepuścił Emily i pomógł jej wydostać się na zewnątrz. a sam odwrócił do Sibeny. Wtedy, gdzieś zupełnie blisko. odezwał się karabin maszynowy. Kilka pocisków odbiło się o klapę i bok *Ratela*. Ian zamarł, gdy usłyszał krzyk. Po sekundzie znalazł się przy wyjściu. W pierwszym momencie nic nie widział, ale po chwili... Serce podskoczyło mu do gardła. Obok pojazdu leżeli nieruchomo Emily i młody porucznik. Wokół nich rosła plama krwi.

- Nie!!! - Ian tygrysim skokiem rzucił się w ich stronę. Przyklęknął przy ciałach. jeden rzut oka wystarczył. Odetchnął głęboko z ulgą. Emily żyła, była tylko ranna w ramię. Niestety, młodemu oficerowi nic już nie mogło pomóc. Właściwie to on przyjął na siebie całą serię. Ian bez zastanowienia gorączkowo zaczął przeszukiwać ekwipunek zabitego w poszukiwaniu opatrunku osobistego. Musiał za wszelką cenę znaleźć bandażę, żeby zatrzymać coraz mocniejsze krwawienie z rany dziewczyny. Dziesięć metrów dalej sierżant sztabowy Gerrit Roost podniósł się z płytkiego okopu, trzymając w rękach karabin automatyczny R4. Wyrzucił pusty magazynek i włożył na jego miejsce pełny. Tym razem cel mu nie umknie. Podniósł karabin. celując w pierś klęczącego mężczyzny. Trzy potężne uderzenia zwały go z nóg. Zdziwiony Roost podniósł z wysiłkiem głowę i spojrzał zamglonym wzrokiem w stronę. z której dosięgły go strzały. Otworzył usta. *Kaffir!* Zabił go pieprzony czarny! Sierżant Roost umarł z otwartymi oczami, w których zastygło niedowierzanie. Matthew Sibena opuścił karabin i odrzucił go daleko. Odwrócił się i pobiegł pomóc Ianowi.

### • Punkt opatrunkowy, na wzgórzu koło Skorpionenpunkt

To, co widział teraz Henrik Kruger, przypominało najgorsze koszmary senne. Wraki ciężarówek i transporterów. z których. większość jeszcze się dopalała. zalegały całe wzgórza. zasnuwa jąc niebo ciemnymi, oleistymi, skłębionymi chmurami. Wszędzie, a szczególnie przy pojazdach i pod samym szczytem leżały zmasakrowane zwłoki.

Sanitariusze biegali po pobojowisku, szukając rannych i przenosząc ich do punktu opatrunkowego. "Punkt opatrunkowy". Czy można w ogóle tak nazwać kawałek brezentu rozłożonego na ziemi? pomyślał z goryczą. Leżało tam w tej chwili kilkudziesięciu ciężko rannych. Jeden lekarz i kilku sanitariuszy nie mogli uratować ich wszystkich. Na razie byli zajęci obrzydliwą czynnością. Trzeba było dokonać wyboru między tymi, którym nie byli już w stanie pomóc, a rannymi mającymi jeszcze jakieś szanse, biorąc oczywiście pod uwagę ograniczone zapasy lekarstw i środków opatrunkowych. Kruger bezradny starał się nie słyszeć jęków. Po policzkach potoczyły mu się palące łzy. To nie jest pole bitwy, pomyślał, to zwykła rzeźnia. Dla obu stron.

- *Kommandant!* Kilku ludzi stojących przy okopach obok spalonego *Ratela* machało do niego rękami. Westchnął, otarł twarz rękawem i ruszył w ich stronę. Okazało się, że znaleźli dowódcę spadochroniarzy. Major Rolf Bekker leżał zwinięty w pół na dnie okopu - ranny i nieprzytomny, ale żywy. Kruger przyjrzał mu się uważnie. Wyglądało na to, że oficer został trafiony odłamkiem granatu, postrzelony i uznany w pierwszej chwili za martwego. Kruger poczuł narastającą w nim wściekłą nienawiść. Ten drań był odpowiedzialny za wymordowanie jego batalionu. Jego żołnierze postrzelili Emily. Palce Krugera dotknęły kabury. Zemsta byłaby taka łatwa. Zbyt łatwa. Pokręcił głową. Dostyc zabijania. Wyprostował się.

- Zabierzcie go do punktu opatrunkowego, niech go tam poskładają. Chcę, żeby ten skurwiel przeżył. Odwrócił się i ruszył do małej grupki oficerów czekających na dalsze rozkazy. Rozkazy. Jakie rozkazy mógł im wydać? Ian Sherfield wybiegł mu naprzeciw. Wysoki Amerykanin wyglądał na zupełnie wyczerpanego.

- Henrik, potrzebuję jednego z twoich Land Roverów i kierowcę. - Machinalnie zwrócił się do niego po imieniu. Kruger patrzył przez chwilę, zaskoczony żądaniem. Westchnął i skinął głową.

- Rozumiem... Ian. Przy odrobinie szczęścia ty i Emily możecie jeszcze dostać się do Kapsztadu. - Wskazał na wzgórze. - Chyba jest zupełnie jasne, że my już dalej nie pojedziemy. Każę wam wydać trochę zapasów i dodatkowy bak z benzyną. - Niczego nie rozumiesz! - Zdesperowany Ian pokręcił głową. - Chcę dotrzeć do najbliższego miasta z telefonem. Najwyższy czas, żebyśmy wezwali pomoc. - Umilkł na chwilę, kiedy dobiegł Ich przerażający jęk operowanego żołnierza. - Bóg jeden widzi, Henrik, że potrzebujemy każdej pomocy, jaką możemy dostać.

### • **Centrum Operacyjne, lotnisko Malan, Kapsztad**

Kilkunastu techników i operatorów radaru tłoczyło się w zaciemnionym pomieszczeniu. Ciszę przerywały opanowane głosy ludzi kierujących lądowaniem i startem *C-5* i *C-141*, załadowanych żołnierzami, sprzętem i zapasami.

- Majorze? Zdenerwowany, że mu przeszkadzają, oficer dyżurny Centrum Operacyjnego przerwał dyskusję na temat zapasów paliwa lotniczego JP-4 i JP-5.

- Tak? O co chodzi? Siedzący przy telefonie żołnierz zasłonił słuchawkę.

- Mam dziwny telefon, sir. Jakiś reporter o nazwisku Sherfield chce rozmawiać z oficerem dyżurnym. Kolejny dziennikarz, cholera! Major sapnął ze złości.

- Powiedz temu cwaniaczkowi, żeby zwrócił się do Wydziału Prasowego... - Zatrzymał się w pół zdania. Sherfield? To nazwisko coś mu mówiło. Nagle sobie przypomniał. Sherfield był dziennikarzem, którego historia rozpętała burzę. Facet, którego szukano. Major aż gwizdnał.

- Niech mnie diabli. - Podeszedł do mężczyzny przy telefonie. Daj mi słuchawkę.

### • **2 stycznia - punkt ewakuacyjny na drodze numer 64, okolice rzeki Oranje**

Emily van der Heijden i Ian Sherfield stali obok siebie, przyglądając się ciężkiemu C-130 *Herkules*, który zniżył się i wylądował dokładnie pośrodku drogi. Samolot podkołował z piskiem hamulców i zatrzymał się. W górze widać było jeszcze dwa turbośmigłowce, które zataczały kręgi, czekając na swoją kolejkę do lądowania. Z samolotu wyskoczyło kilku oficerów, mrugając oczami w ostrym słońcu. Podeszli grupą do Henrika Krugera, który stał nieruchomo na poboczu. Mimo silnego bólu i zabandażowanego ramienia Emily odmówiła położenia się na noszach. Ian, mogę bez kłopotu chodzić i dobrze o tym wiesz. - Jej spojrzenie złagodniało. - Zresztą jest tylu ciężko rannych, którzy powinni być zabrani w pierwszej kolejności.

Ian nie nalegał.

- Dobrze, ale przynajmniej pozwól mi pomóc sobie. Chcę zaspokoić męską dumę, zgoda? Uśmiechnęła się do niego.

- Zgoda. - Podniosła wzrok. - Henrik nas woła. Kruger nalegał wcześniej na samotne spotkanie z Amerykanami. Chce zakończyć swój udział w wojnie z honorem, pomyślała smutno Emily. Mimo że zbuntował się przeciw Pretorii wcześniej, obecne postępowanie traktował jako podanie się. Emily miała nadzieję, że będzie potrafił się z tym pogodzić. Zeszli ze wzgórza i podeszli do niedużej grupki amerykańskich i południowoafrykańskich oficerów. Kruger przedstawił ich bezbarwnym głosem pułkownikowi Packardowi. Packard zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę. Jego twarz była rozpromieniona. Mówił donośnym, tubalnym głosem.

- Panie Sherfield, bardzo się cieszę, że mogłem pana poznać! - Zniżył głos. - Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, ale pozwoliłem sobie przygotować małą konferencję prasową na lotnisku. Chyba nie muszę panu mówić, że będzie to wielkie wydarzenie w Stanach! Emily uśmiechnęła się, gdy Ian przytulił ją i wyszeptał do ucha.

- O mój Boże. Konferencja prasowa. Dopiero teraz mamy kłopoty.

## Ostatnia przeszkoda

- **2 stycznia - Dowództwo Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego, Durban, RPA**

Mimo że przyjmowanie polityków należało do jego obowiązków, generał Craig z trudem ukrywał pogardę. Niedługo po tym, jak siły amerykańskie zdobyły Durban i przebiły się Przez góry Drakensberg, w jego kwaterze głównej zaczęły się pojawiać grupy amerykańskich kongresmenów, oficjalnych osobistości, a nawet urzędników stanowych, którzy wizytowali republikę w celu "zapoznania się z faktami". Oczywiście fakt, że w Waszyngtonie panowała zima, a w Afryce Południowej było wspaniałe lato, nie miał z tymi wizytami nic wspólnego. Kilku było jednak uczciwymi gośćmi i łatwo ich było rozpoznać. Zнали sytuację, zapoznali się z rodzajami wojsk biorących udział w inwazji i nawet poświęcili czas na przestudiowanie mapy. Pozostali byli zwykłymi głupcami. Całe ich przygotowanie merytoryczne ograniczało się do obejrzenia filmu "Zulus Czaka". Craig żałował czasu zmarnowanego na odpowiadanie na głupie pytania i spacerowanie po plaży Durbanu oraz wycieczki na Górę Stołową. Chodzili za nim po zbombardowanym wzgórzu, jakby to był skansen z czasów Wojny Secesyjnej. Jeden nawet spytał, czemu nigdzie nie ma ławek parkowych! Craig wytrzymał i to. Miał dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, Iż ludzie ci dysponują prawdziwą władzą w Kongresie i będą pamiętali o wizycie podczas następnej sesji dotyczącej budżetu wojskowego. Rozumiał coraz bardziej, dlaczego tak nienawidzi polityków i polityki. Większość grupy zdecydowała się poświęcić popołudnie na załatwianie "spraw osobistych", co oznaczało opalanie się i uprawianie surfingu na plaży Złota Miła. Dwóch uczestników spotkania poprosiło go jednak o pokazanie Ladysmith. Craig już wcześniej uznał ich za odpowiedzialnych facetów i postanowił osobiście im towarzyszyć. Bitwa o Ladysmith odbyła się znacznie później niż zdobywa nie Góry Stołowej i widać to było po zniszczonych pojazdach na ulicach miasta i wypalonych domach. Nawet przy pełnym zaskoczeniu przeciwnika 101. Dywizja poniosła straty sięgające piętnastu procent w przypadku prowadzącego batalionu i dziesięciu procent w skali całej jednostki. Helikopter generała podążał tą samą trasą, co siła uderzeniowa, a gotowe do akcji *Miniguny* w drzwiach dały kongresmenom posmak uczestniczenia w "prawdziwej" akcji bojowej. Tego właśnie Craig sobie życzył. Pilot posadził maszynę na lądowisku brygady. Craig poprowadził kongresmenów przez miasto, pokazując im nową bazę wojskową i szpital polowy, gdzie zajmowano się rannymi podczas kampanii w Drakensberg. Uprzedził wcześniej personel szpitala o wizycie i lekarze odszukali nawet pacjentów pochodzących z tych samych stanów, co dwaj politycy. Fotograf wojskowy zrobił zdjęcia kongresmenów ze swoimi wyborcami. Generał uśmiechnął się mimo woli. Nie miał nic przeciwko temu, by tym dwóm facetom nieco pomóc. Chciał zobaczyć miny reszty, kiedy dowiedzą się, że stracili okazję na dobrą reklamę. Przed powrotem goście zjedli obiad, próbując po raz pierwszy PGZ. "Posiłki Gotowe do Zjedzenia" były zapakowanymi metodą próżniową gotowymi porcjami przygotowanymi dla żołnierzy na froncie. Craig dodał, że są zdecydowanie lepsze od starego prowiantu w puszkach, ale żołnierze i tak nazywają je "Posiłkami Gównem Zalatującymi". Pozwolił też uczestniczyć obu cywilom w

codziennym, rutynowym omawianiu raportów wywiadu. W ten sposób będą mieli lepszy wgląd w sytuację i poczucie, że zostali wyróżnieni. Wiedział też, że uzyskane informacje nie zostaną przekazane nikomu z zewnątrz, ponieważ politycy często brali udział w różnych naradach i orientowali się świetnie, że są one tajne. Spotkania zawsze odbywały się w jednym z pokoi konferencyjnych w "Durban Hilton". Pomieszczenia hotelu zostały z łatwością przerobione na kwaterę główną, a personel hotelowy traktował wojskowych jak uczestników kolejnego kongresu. Na jednej ze ścian pokoju wisiała dokładna mapa RPA. Zaznaczono na niej pozycję każdej dywizji i brygady, a także wykonane w ciągu ostatnich dwóch dni zadania i cele na następny dzień. Przekazano także informacje o ruchach nieprzyjacielskich wojsk, ale nie były tak dokładne jak w przypadku własnych oddziałów. Mimo wszystko mapa pozwalała ocenić szybkość posuwania się i zasięg wojsk sprzymierzonych. Gdy przestudiowano mapę, zajęto miejsca, a J-2, czyli oficer wywiadu, przedstawił najnowsze dane o sytuacji na wszystkich frontach: Kubańczycy umacniali się w Naboomspruit, dokąd ciągle ściągali posiłki. Ostatnio odparli słaby atak Burów. Prawdopodobnie Afrykanerzy wysłali naprędce kilka oddziałów i próbowali wyprzeć Kubańczyków okopujących się wokół miasta. Jednostki wojsk Vorstera rozrzucone były po całym kraju, jednak największa koncentracja nastąpiła w Transwalu. Jedną linią obrony, utworzoną na północ od Pretorii, miała na celu ochronę stolicy przed armią kubańską. Druga biegła na południe od Johannesburga i usytuowana była między Breeningiem a pasmem wzgórz ciągnącym się na wschód od niego. Jej zadaniem było odparcie sił sprzymierzonych. Część oddziałów południowoafrykańskich ścigała buntowników i strzegła ważnych obiektów przemysłowych. Na koniec odprawy J-2 omówił sprawę komand operujących na tyłach wojsk sojuszniczych i nękających je ciągłymi napadami. Likwidowanie ich nastęrczało dużo trudności, ponieważ okoliczna ludność nie kwapiła się z udzielaniem informacji. J-2 podsumował sytuację.

- Mimo że połączone siły USA, Wielkiej Brytanii i zbuntowanych oddziałów południowoafrykańskich mają w swoich rękach ważniejsze porty, czyli praktycznie całe wybrzeże RPA, spora część wnętrza kraju jest kontrolowana przez Vorstera i jego popleczników z AWB. Północ to źródło politycznej siły rządu, większa część tamtejszego społeczeństwa popiera Vorstera. Co gorsza, kubańskie siły inwazyjne zajęły dwa ważniejsze kompleksy wydobywcze Afryki Południowej i są bliżej Pretorii i Johannesburga niż my. J-2 wskazał na mapę.

- Najbliższe oddziały kubańskie są oddalone o sto dziesięć kilometrów od Pretorii. Sądząc po zdjęciach zwiadu powietrznego i doniesieniach z innych źródeł, nie będą gotowe do ataku przez co najmniej dwa dni. Ręka oficera przesunęła się po mapie na południe.

- Szpica 24. Dywizji, posuwając się Autostradą N3, dotarła dziś rano do Warden. Jest więc oddalona o sto osiemdziesiąt kilometrów od Johannesburga. Craig dopowiedział

- Aby się tam dostać, będziemy musieli ominąć tamę na rzece Vaal i przebić się przez linię obrony koło Vereeniging. Następnie czeka nas walka o miasto, walka z siłami rozmieszczonymi na obszarze Witwatersrandu i - westchnął - dopiero wtedy możemy skierować się na Pretorię. Obaj kongresmeni spojrzeli na niego pytająco.

- Więc nie możemy dotrzeć do Pretorii przed Kubańczykami?

- Spytał jeden z nich.

- Na pewno nie przy tym tempie, jakie osiągamy teraz, sir. - Craig uśmiechnął się ironicznie. - Vega zaczął trochę wcześniej niż my. Jeśli mielibyśmy czas, moglibyśmy z łatwością rozbudować nasze siły do rozmiarów, jakie byłyby potrzebne do zdobycia linii wroga przy minimalnych własnych stratach. Jednak moje linie zaopatrzenia są bardzo wydłużone i, jak sami widzieliście, niezupełnie pewne. W tych warunkach najważniejszy jest czas i musimy podejmować ryzyko jak w wypadku Ladysmith, żeby utrzymać ofensywę. Prosiłbym, abyście panowie o tym pamiętali, gdy zobaczycie po

powrocie do kraju dane o naszych stratach. Obaj politycy skinęli głowami, ale padło zaraz pytanie:- Jeśli nie może się pan dostać na czas do Pretorii, to jaki jest sens w podejmowaniu ryzykownych operacji?

- Ponieważ nadal chcę być w Pretorii tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie mam ochoty pozwolić Kubańczykom okopać się w mieście. - Przerwał, patrząc na mapę. - Zresztą, istnieje coś takiego, jak zmienne koleje losu.

- Tak więc, dopóki nie znajdzie się pan w Pretorii i nie przegoni Kubańczyków, ten kraj nie uwolni się od krwawych starć?

- Zna pan już całą sytuację w Afryce Południowej, panie senatorze.

### • **3 stycznia - gabinet prezydenta, Budynek Unii, Pretoria**

Skończyło się kolejne spotkanie. Ładne mi spotkanie, pomyślał zmęczony Karl Vorster. Kolejny raz musiał dawać wykład członkom gabinetu, którzy coraz bardziej przypominali mu stado wystraszonych owiec. Zły i przygnębiony zostawił diskutujących generałów i rżnię strów, po czym wrócił do gabinetu. Opadł na skórzany fotel, czując wyraźnie swoje lata. Żaden z tych głupców nie miał nic konstruktywnego do powiedzenia. Potrafili się jedynie wyklócać i przeszkadzać mu w podjęciu jakiegokolwiek politycznej czy wojskowej decyzji. Niektórzy z nich byli zwykłymi zdrajcami. Wiedział o tym dobrze. Kilku otwarcie sprzyjało nieprzyjaciołom, a inni byli gotowi bronić jedynie własnych interesów. Jednak największa część doradców była po prostu głupcami, którzy nie potrafili zrozumieć jego wizji. Wystraszeni chowali głowy w piasek i jęczeli, gdy kraj był niszczone od środka i od zewnątrz. Odcięta od zagranicznych rynków, najechna przez dwie obce armie i nękana przez buntowników i partyzantów Afryka Południowa była na krawędzi kompletnego załamania. Vorster zacisnął zęby i ciężko westchnął. Nie miał już żadnych sprzymierzeńców. Nawet jego najpewniejsi ludzie zaczęli wspominać o poddaniu się. On jednak ciągle miał nadzieję, że naród zdobędzie się na ostateczny zryw. Bezustanna walka i porażki były częścią ich dziedzictwa, a lud, twardzi burscy farmerzy, zawsze w końcu podnosił się z upadku i odnosił zwycięstwo. To właśnie farmer, człowiek najbardziej przywiązany do ziemi, zawsze ratował kraj. Kopalnie diamentów, złota i platyny były źródłem ich potęgi, lecz obecnie jedynie przyciągały hieny. Republika przypominała teraz ciężko rannego lwa, który jest otoczony padlinożercami. Lew może podjąć beznadziejną walkę, ale w końcu musi ulec. Spojrzał na małą mapę kraju wiszącą na ścianie. Pokazywała ona każdą drogę, miasto i centrum przemysłowe. Nie były na niej zaznaczone obszary zajęte przez wroga. Nie było to potrzebne. Unie te miał wyryte w pamięci. Kubańczycy, Amerykanie i Brytyjczycy dążyli do otoczenia i opanowania Witwatersrandu. Ręce Vorstera zacisnęły się w pięści. Jeśli on i jego ludzie mają zginąć, to niech wróg udławi się bogactwem kopalni. Bóg okaże się łaskawy i sprawi, że nieprzyjaciel sam się wykrwawi, a z terenów złotonośnych zostanie jedynie pustynia... Vorster zatrzymał się uderzony pewną myślą, której śmiałość zaparła mu dech w piersiach. Los Afryki Południowej wydawał się już przypieczętowany. Jednak on dostrzegł nową drogę. Drogę, która godziła w samo sedno nieprzyjacielskich knowań.

### • **Gabinet Rady Bezpieczeństwa Stanu, Pretoria**

Spotkania gabinetu zawsze rozpoczynały się spokojnie. Także i ta popołudniowa sesja nie różniła się od innych. Oficer wywiadu w randze majora przedstawiał zebrany najnowsze, znowu złe wiadomości, jakby podświadomie przyjmując postawę gotową do ucieczki. Vorster słyszał ze swoich wybuchów gniewu i nawet starannie przesłane wiadomości często doprowadzały go do wściekłości. Jednak tego

dnia siedział spokojnie, wręcz cicho. Wydawał się skoncentrowany jedynie na trzymanym w ręce dokumencie i zu pełnie nie zainteresowany nowymi przegranymi bitwami. Skinął głową, gdy major skończył. Następnie podniósł wzrok na zebranych. Na jego wynędzniałej twarzy pojawił się niesamowity uśmiech.

- Przynoszę wam dobre wiadomości, przyjaciele. Sam Bóg wskazał mi drogę, jak pokonać wrogów i ocalić nasz kraj. Co takiego? Oszalał, pomyślał generał Adriaan de Wet i szybko przyjrzał się pozostałym członkom gabinetu. Współpraca z Vorsterem uczyła ludzi zachować zawsze twarz pokerzysty, ale on potrafił wyczytać myśli z ich oczu. Marius van der Heijden wyglądał na niespokojnego, ale trzymał się najlepiej ze wszystkich. Minister prawa i porządku udawał nawet, że wierzy słowom prezydenta. Pozostali nie potrafili ukryć swojego zdziwienia. Wielu wojskowych wbiło wzrok w mapę, udając nagle nią zainteresowanie.

- Rozwiązanie naszej obecnej sytuacji jest oczywiste, jeśli cofniemy się do początku, do przyczyn. Nasi wrogowie nie zaatakowali nas z powodów politycznych, lecz ekonomicznych. - Vorster wstał, górując nad wszystkimi. - Zachód znosił nasze istnienie przez czterdzieści lat. Komuniści atakowali nas słowami i wysyłali przeciwko nam partyzantów, ale nie podejmowali otwartej wojny. Nawet Rosjanie chcieli zawrzeć z nami po cichu porozumienie o współpracy w handlu złotem i diamentami. De Wet i pozostali pokiwali niecierpliwie głowami.

- Tak długo, jak w wydobywaniu platyny, złota, chromu i innych dóbr naturalnych panowała stabilizacja, świat był zadowolony. Kiedy jednak zauważono pierwsze kłopoty z tym związane, natychmiast nastąpiła reakcja. Dwie naj potężniejsze na świecie siły polityczne zaatakowały nasz kraj, przepychając się w biegu po nasze bogactwo. Vorster ponownie się uśmiechnął jeszcze bardziej ponuro niż za pierwszym razem.

- Jest zupełnie jasne, co powinniśmy zrobić. Musimy zagrozić, że zniszczymy obiekt ich pożądan. Wyślemy ultimatum do obu stron grożąc, że zburzymy wszystkie kopalnie, jeśli nie opuszczą natychmiast naszej ziemi. De Wet był do tego .stopnia zaszokowany, że nie potrafił ukryć swoich uczuć. Nie udało się to także innym osobom siedzącym przy stole. Głos Vorstera nabrał mocy, przepełniony podnieceniem.

- Czy widzicie to, co ja? Pomyślcie! Światowe rynki finansowe zostały zachwlane samą możliwością czasowych przerw w dostawach. Pomyślcie, jakich nacisków na swoje rządy użyją ban klerzy, gdy dowiedzą się, że dostawy mogą zostać wstrzymane na zawsze. De Wet nie mógł powstrzymać się od pytania.

- Ale w jaki sposób mamy to zrobić? Możemy wysadzić niektóre kopalnie, ale później trudno je będzie odbudować. Większość z nich to olbrzymie tereny odkrywkowe, których nawet nie można zburzyć. Vorster skinął głową.

- Zgadza się, generale. jednak nie posłużymy się dynamitem. Użyjemy materiałów radioaktywnych, odpadów z reaktorów. jeśli Vorster dostrzegł przerażenie na ich twarzach, to nie dał tego po sobie poznać.

- Nasza groźba będzie prosta, ale i wiarygodna. jeśli nieprzyjaciele nie wstrzymają ognia i nie wycofają się z naszego terytorium, rozrzucimy materiał radioaktywny w każdej kopalni. De Wet był wyraźnie zaintrygowany pomysłem. To mogło przynieść oczekiwany skutek. Wiadomo przecież, że odpady radioaktywne z dwóch reaktorów mogą skazić wszystkie kopalnie na setki, nawet tysiące lat, a usunięcie skutków jest właściwie nieopłacalne. Tak więc groźba Vorstera powinna powstrzymać wrogów. Miał jednak pewne wątpliwości.

- Panie prezydencie, a co zrobimy, jeśli się zorientują, że to bluff? Vorster spojrzał na niego, jakby nie rozumiał pytania, ale po chwili twarz mu poczerwieniała i wrzasnął:

- To nie jest żaden bluff! jeśli nie posłuchają nas, zniszczymy kopalnie! - Uspokoił się, a jego głos stał się jakby proszący.



- Czy naprawdę tego nie widzicie? Nigdy nie potrzebowaliśmy tego bogactwa, żeby przetrwać jako społeczeństwo. To jedynie źródło nieustających kłopotów, spekulacji obcokrajowców i buntów Murzynów. Nasz naród zbudowali hodowcy bydła i farmerzy. Kiedy pozbędziemy się tych kopalni, zostaną nam nasze farmy. W pokoju zapanowała martwa cisza, a ogłupiały de Wet starał się zebrać myśli. Pomału docierały do niego słowa Vorstera. Afryka Południowa i tak już umierała. Może lepiej pozbać wroga owoców zwycięstwa, niż poddać się, padając na kolana. Uświadomił sobie nagle, że Vorster do niego mówi.

- Generale, potrzebuję każdego pańskiego sapersa i listę wszystkich kopalni znajdujących się w naszym posiadaniu. De Wet skinął posłusznie głową, odwrócił się do swoich adiutantów i zaczął wydawać rozkazy. RPA szykowała się do popełnienia gospodarczego samobójstwa.

## 39

### Przyspieszenie

- **6 stycznia - Korpus Ekspedycyjny Sprzymierzonych, Durban**

Generał Jerry Craig trzymał w ręce dwie kartki z wiadomościami. jedna z nich zawierała następującą treść:

*Jesteśmy przekonani, że Vorster nie posiada wystarczającej władzy politycznej ani środków, żeby zrealizować swoje groźby. Proponujemy kontynuowanie ofensywy.*

Druga depesza informowała:

*Techniczni konsultanci twierdzą, że groźba Vorstera jest realna. Sugerujemy wstrzymanie działań i poświęcenie czasu na skonsolidowanie sił, aż nie zostaną znalezione sensowne sposoby oczyszczenia kopalni ze zniszczeń.*

Pierwsza wiadomość pochodziła z CIA druga z Departamentu Stanu. Trzecia wiadomość przekazana mu tego dnia była tą, na którą najbardziej liczył i pochodziła od szefa Połączonych Sztabów, który wyrażał opinię samego prezydenta. Po dziesięciu minutach twardej rozmowy usłyszał: "Ufamy pańskiej ocenie sytuacji i poprzemy każdą opcję, jaką pan wybierze". No cóż, czułby urazę, gdyby postanowili inaczej, ale w ten sposób stanął samotnie w blasku reflektorów. Do sali odpraw poproszono wszystkich oficerów sztabowych z dowództwa Sił Sprzymierzonych. Craig, wchodząc na podwyższenie, spojrzął na gęstniejący tłum. Jezu, pomyślał, przecież ja nie znam nawet połowy tych ludzi. Problemem każdego dowódcy większej jednostki była konieczność polegania na zdolnościach ludzi, których znał jedynie z ich funkcji. Oficerowie wciąż jeszcze napływali i Craig usiadł, żeby porozmawiać ze Skilesem i dowódcami dywizji. Zawsze były jakieś kwestie do omówienia i generał tak się zagłębił w problemy logistyczne 24. Dywizji, że nie poczuł lekkiego stuknięcia w ramię. sierżant Boume nachylił się nad nim. Był to wysoki, o potężnych barach

mężczyzna, w każdym calu żołnierz Piechoty Morskiej. Sir, już czas. Craig spojrzął na zegarek. - Dziękuję, sierżancie. Przez chwilę słuchał niemal ogłuszającego gwaru. Wiedział, o czym wszyscy rozmawiali. Ostatnia groźba Vorstera podziałała lak kij wsadzony w mrowisko. Niektóre z pogłosek o planowanych akcjach sił specjalnych były nawet całkiem ciekawe, inne były zupełnie bezsensowne.

- Dobrze, zaczynamy

Bourne skinął głową i podszedł do brzegu podium. Ignorując mikrofon, krzyknął niczym na paradzie: - Baaaczność!

Rozmowy ucichły jak ucięte nożem, rozległo się szuranie krzeseł, stukot setek butów uderzających w podłogę. Craig wstał i przeszedł parę kroków do przodu.

- Proszę zająć miejsca. - Odczekał chwilę, a kiedy zaczął mówić, starał się nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie: - Wszyscy na pewno słyszeliście o groźbie Vorstera. Wiecie też, że w związku z tym żąda naszego niezwłocznego wycofania się z RPA - Przerwał na chwilę i kontynuował już łżejszym tonem: - Z bólem serca stwierdzam, że tym razem zmuszeni jesteśmy, niestety, potraktować go poważnie, chociaż wiem, że nie będzie to łatwe. Na sali rozległy się śmiechy. Vorster nosił w sztabie przezwisko "Gonzo". Ostatnia wypowiedź przyniosła oczekiwany skutek. Atmosfera na sali wydawała mu się do tej pory zbyt ponura. Odczekał, aż się uciszy. Chciał, żeby następne słowa dotarły do wszystkich. A teraz poważnie. Nie zamierzam pozwolić draniowi manipulować nami. Nie zamierzam zahamować naszej ofensywy, ,I wręcz przeciwnie, przyspieszę ją. jeżeli stracimy rozpęd, trudno będzie nam odzyskać inicjatywę. Co, oczywiście, wiąże się z ogromną stratą czasu i dodatkową dużą liczbą ofiar. Na pewno do tego nie dopuszczę. Twarze zebranych stały się poważne i zdeterminowane. Mówiąc szczerze, sytuacja polityczna Vorstera jest tak niestabilna, że nie jesteśmy pewni, czy potrafi jeszcze przekonać. armię, żeby poparła jego szantaż. Ale czasami podczas wojny pojawiają się tendencje do niedoceniań sił nieprzyjaciela. No cóż, w tym wypadku nie chcę się pomylić. Zobaczył, że ludzie kiwają głowami.

- Tak więc będziemy przeprowadzali intensywne rozpoznanie kopalni i innych kluczowych zakładów przemysłowych. Chcę, żeby wszyscy dowódcy oddziałów upewnili się, że ludzie znają na pamięć procedury przy zagrożeniu skażeniem ABC. Widział po ich twarzach, że go zrozumieli. Przy wczesnym ostrzeżeniu i użyciu odpowiedniego sprzętu ludzie mogli przeżyć i walczyć w warunkach skażenia atomowego, biologicznego czy chemicznego. jednak, aby sprzęt był należycie wykorzystany, trzeba było przeprowadzać nieustanne treningi.

- Nikt chyba nie ma wątpliwości, że nasze zadanie stało się jeszcze trudniejsze i bardziej skomplikowane. - Uśmiechnął się ponuro. - Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Niestety, we współczesnym świecie nikt już nie walczy jedynie na otwartych polach bitew. Musimy brać wrogów takimi, jacy są. jedna rzecz jest pewna. - Ciągnął urywanym z emocji głosem. - Vorster i jego fanatycy stają się nieobliczalni. Dowodzi tego ostatni szantaż. Zwyczajnie chwieją się na nogach. Postarajmy się zapędzić ich do narożnika i znokautować. - Zdecydował się na zwrot bokserki, ponieważ brytyjscy oficerowie mogli nie złapać aluzji do amerykańskiego futbolu. - To wszystko. Dziękuję państwu. Skinął na Bourne'a.

- Baczność! - Sztab podniósł się niczym jedna osoba. Kiedy Craig schodził z podium, sierżant szepnął mu do ucha. - Pańska konferencja prasowa została przygotowana w Pokoju Londyńskim, sir. Generał westchnął. Żał mu było straconego czasu, ale musiał rzucić prasie jakąś kość do ogryzienia. Dziennikarze nie cierpieli próżni i jeśli nie mieli oficjalnych danych do reportaży, wykorzystywali plotki. Każda pogłoska, jaka powstała w jego sztabie, zostałaby rozdmuchana do granic możliwości.

- Proszę im powiedzieć, że będę za pięć minut. Niech pan także poinformuje generała Skilesa, żeby zebrał wyższych oficerów sztabowych za pół godziny. Craig spojrzął na

Skilesa i oficerów, którzy stali oparci o stoły. - W porządku, panowie, udało mi się wcisnąć nieco kitu sztabowi i rozcieńczoną dawkę tego samego prasia. Co innego zresztą mogłem im powiedzieć? Nikomu nawet nie przyszła do głowy propozycja zwolnienia czy zatrzymania ofensywy. Wszyscy wiedzieli, że dowódca pragnie jak najszybciej skończyć tę wojnę. J-2 odchrząknął. - Nie znam wszystkich danych, generale, ale mam trochę więcej informacji od szefostwa Połączonych Sztabów. Udało im się ściągnąć paru facetów, fachowców od spraw nuklearnych i górniczych. Wygląda na to, że groźba Vorstera jest wykonalna. Craig skinął głową. Potwierdzało to jedynie jego wstępną ocenę sytuacji. Zawsze jest łatwiej coś zniszczyć, niż zbudować, a Vorster udowodnił wszystkim, że jest prawdziwym ekspertem w tej branży. Skiles rozważał coś w myślach, a następnie zwrócił się do

generała: - Wziąłem pod uwagę związany z tą operacją czynnik czasu, generale. Nie sądzę, żeby Pretoria zdecydowała się na pogroźki, gdyby już nie mieli zaminowanych kilku kopalni.

- To jest prawdopodobne. Skiles, podliczając coś w pośpiechu, kontynuował - Posadziłem kilku naszych fizyków nuklearnych, kilku ekspertów górniczych i parę doświadczonych osób z transportu, aby nad tym popracowali. Doszli do wspólnego wniosku, biorąc pod uwagę ogólną liczbę kopalni Witwatersrandu i obecne szacunkowe możliwości transportowe RPA że ludzie Vorstera nie zdołają zakończyć roboty przed ósmym albo dziewiątym stycznia. Może nawet trochę później, ale na pewno nie wcześniej. - Podniósł wzrok znad notatnika. - jest to chyba kolejny powód, żeby przyspieszyć naszą operację. Im prędzej i mocniej przyciśniemy Pretorię, tym mniej żołnierzy będą mogli użyć do tej roboty.

- Wobec tego dokręcimy śrubę - powiedział Craig. - Nie zapominajmy jednak o faktach. Nawet przy czterdziestu kilku kilometrach dziennie nie zdążymy się zbliżyć do kopalni przed ich skażeniem. Oficer Sił Powietrznych nachylił się nad stołem.

Cholera! Panujemy w powietrzu. Dlaczego nie możemy załatwić tych kopalni w jednym ataku lotnictwa jak w przypadku Ladysmith? Mamy dosyć helikopterów i ludzi do takiego zadania. Craig pokręcił głową. Lubił, kiedy jego oficerowie byli tak zdecydowani i pełni zapału. jednak rozsądne planowanie musiało opierać się na rzeczywistości. Obawiam się, że to nie przejdzie. A oficer wywiadu wyjaśnił John, w Witwatersrandzie są dosłownie setki kopalni i szybów. Musielibyśmy uderzyć na każdą z nich z zaskoczenia i to we wszystkie naraz. To nierealne. Tak. Rozumiem - entuzjazm oficera przygasł w jednej chwili. Na twarzach zebranych malowała się taka sama frustracja. Craig przerwał ciszę po paru sekundach. Pochylił się nieco nad stołem.

- Panowie, patrzymy na tę sprawę od złej strony. Patrzyliśmy z dołu na górę zamiast odwrotnie. jak możemy zająć kopalnie? jak możemy zablokować wszystkie ich kanały łączności? jak możemy powstrzymać oddziały niszczyielskie? - Pokręcił głową. - Nasz problem nie jest problemem taktycznym, ale strategicznym. Musimy celować w głowę, a nie w nogi i tułów. Skiles pierwszy pojął o co chodzi.

- Ma pan ma myśli Vorstera?

- Zgadza się - odparł chłodno Craig. - Kiedy Vorster wyda rozkaz, nie możemy już nic zrobić. Musimy go zdjąć przedtem.

## • 7 stycznia - Międzynarodowy Port Lotniczy im. Luisa Bothy, Durban

Dwóch mężczyzn w południowoafrykańskich mundurach wyszło z samolotu *C-141 Starlifter* Sił Powietrznych USA i skierowało się do budynku terminalu. Wartownicy, żołnierze Sił Powietrznych wyprostowali się zdziwieni widokiem czerwono-biało-niebieskich emblematów świadczących o przynależności do wojsk prowincji Kraj

Przyłądkowy. Obaj oficerowie posiadali także przepustki podpisane przez dowódcę sił sprzymierzonych w Kapsztadzie. Strażnicy ochłonęli ze zdziwienia, kiedy oficerowie spytali o budynek Sił Specjalnych. Wszyscy wiedzieli, że Rangersi i SAS utrzymywali kontakty z najdziwniejszymi osobnikami. Pułkownik Robert O'Connell siedział przy biurku z rękami złożonymi na blacie. Z zadowoleniem spostrzegł, że jego dłonie przestały już drżeć. Przymusowy tydzień wypoczynku na kapsztadzkiej plaży okazał się dobrym pomysłem. Resztki 1. Batalionu Rangersów O'Connella znajdowały się w Stanach na zasłużonym urlopie. Pentagon awansował go na pułkownika i powierzył mu dowództwo całego pułku Rangersów. Oczekiwali, że będzie kierował operacją w kraju, ale on wolał zgłosić się na ochotnika do służby w Afryce Południowej. Pomyślał, że u podstaw tej decyzji leżała częściowo przekora, a częściowo zwykła głupota. Jednak głównie chodziło o zawodową dumę. Żaden porządny dowódca pułku Rangersów nie mógł siedzieć na tyłku w domu, gdy jego żołnierze szli do akcji. O'Connell uśmiechnął się lekko, przypominając sobie własną złość na pułkownika Paula Gellera, kiedy mówił mu to samo o sobie. Geller miał rację. Wszystko wygląda inaczej, kiedy się siedzi po tej stronie biurka. Chrząknięcie jednego z gości zmusiło go do powrotu do rzeczywistości. Spojrzał na trzech ludzi stojących przed nim. Od chwili przyjazdu do Kapsztadu zdołał poznać już generała Chrisa Taylora. Major Oliver Cain był natomiast dowódcą brytyjskiej jednostki Special Air Service, którą dołączono do wojsk sprzymierzonych, a także zastępcą O'Connella w Dowództwa Sił Specjalnych, które koordynowało działania oddziałów Rangersów, Zielonych Beretów, SAS i SBS. Trzeci mężczyzna znany mu był jednak tylko z opowieści. Przeprowadzenie batalionu pułkownika Henrika Krugera przez połowę RPA odbiła się szerokim echem w mediach na całym świecie. O'Connell wyprostował się.

- Więc jest pan pewien tego Coetzee? A może facet się wystraszy i wycofa w ostatniej chwili? Kruger pokręcił zdecydowanie głową.

- Zawierzyłbym Deneysowi Coetzee samego siebie. Zrobi to, co obiecuje. Uśmiechnął się. - W rzeczywistości, pułkowniku O'Connell, jestem gotów powierzyć mu swoje życie, bez żadnej przerośni. Proszę mnie zabrać na tę operację, jeśli zostanie zaaprobowana. Jeśli nas zdradzi, to zastrzeli mnie pan. O'Connell przyjrzał się uważnie Południowoafrykańcykowi. Z drugiej strony, jakie inne wyjście im pozostawało? Generał Craig miał całkowitą rację. Musieli dostać Vorstera i to szybko. Siły powietrzne chciały zbombardować Budynek Unii, ale to pociągało za sobą ogromną liczbę ofiar. Zresztą, nie dawało to nigdy stuprocentowej gwarancji. Wzruszył ramionami. Pomysł Krugera był tak zwariowany, że mógł się udać. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Bill? Połącz mnie z biurem szefa sztabu. Chcę rozmawiać z samym Skilesem, jasne?

- Odczekał kilka minut, bębniąc nerwowo palcami po stole. W końcu usłyszał znajomy głos. Skiles spieszył się, ale był przyjacielski.

- Rob, miło, że dzwonisz. Co mogę dla ciebie zrobić? O'Connell usiadł prosto.

- Muszę spotkać się z generałem Craigiem, sir. Skiles miał wątpliwości.

- Może uda mi się wcisnąć cię na popołudnie... Cholera! O'Connell ścisnął mocniej słuchawkę.

Nie, sir, nie rozumie pan. Muszę zobaczyć generała zaraz.

## • **Kubański Korpus Ekspedycyjny, Naboomspruit**

Generał Antonio Vega kłął w żywy kamień Afrykanerów i ich fanatyzm. Byli gotowi zniszczyć całą gospodarkę kraju. Wiedział, co Vorster i pozostali Burowie mają na myśli. Chcieli wrócić do podstaw, do zwykłego życia farmerów, swoich przodków. Co za cholerni głupcy. Kuba przez pół wieku usiłowała wydostać się z pułapki, w którą oni się właśnie pakowali. Pułkownik Suarez zastukał w otwarte drzwi.

- Towarzyszu generale, wasz samochód będzie gotowy za pięć minut. Vega ciężko skinął głową. Czas udać się na inspekcję resztek Grupy Taktycznej Pierwszej Brygady, która obozowała osiemdziesiąt kilometrów na południe od Warmbad i jedynie sto kilometrów od Pretorii. Ostateczna ofensywa była zaplanowana na następny dzień i Vega zamierzał zgodnie ze swoim zwyczajem powiedzieć żołnierzom kilka pokrzepiających słów. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Wierzył w ostateczne zwycięstwo Kuby, ale też zdawał sobie sprawę, że może nie być to takie łatwe. Jego przewidywania, niestety, zaczęły się sprawdzać. Jeśli Afrykanerzy wykonają swoją groźbę, zabiorą im owoce zwycięstwa. Znowu zaczął przeklinać Vorstera, ale jednocześnie zastanawiał się, czy nie postąpiłby podobnie. Pokusa pogwałcenia wroga mogła być zbyt silna. Wstał zza biurka i ruszył za Suarezem. Jego wojsko miało tylko jedno wyjście: zaatakować Pretorię i liczyć na to, że zdążą jeszcze coś uratować. Właśnie takie zalecenia otrzymał z Hawany i Moskwy. Rosjanie obiecywali nawet zwiększyć dostawy sprzętu, ale za późno. Jak by nie było, jutro rano jego wojska podejmą ostateczne uderzenie. Karl Vorster przekonał się, że jego szantaż nie przestraszy Antonio Vegi. Przywódcy Afryki Południowej popełnili podstawowy błąd w swoich kalkulacjach. Założyli, że Kuba i Stany Zjednoczone będą wolały raczej się poddać, niż ryzykować utratę bogactw tego kraju. Vega nie miał pojęcia, co zdecyduje Craig, ale on nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości. Jeśli uda mu się zająć Pretorię i uratować kopalnię, to wygrał. Afrykański reżim zostanie zniszczony, a Zachód straci swoje strategiczne surowce. Jeśli natomiast zostaną skażone, stracą na tym wprawdzie Kuba i jej sprzymierzeńcy, ale jeszcze bardziej Zachód. Dla Vegi był to wystarczający powód, żeby nie przerywać walki.

### • 8 stycznia – Durban

Sesja ciągnęła się od śniadania. Resztki posiłku zalegały stół. Ze względów bezpieczeństwa nie wpuszczano do pokoju cywilnego personelu, a Craig sprzeciwił się zatrudnieniu szeregowców jako kelnerów.

- Szefostwo Połączonych Sztabów potwierdziło otrzymanie dziś rano kolejnego ultimatum od rządu Vorstera. Wszystko jest opisane: materiały, sposób, co wskazuje na to, że mogą wykonać groźbę. - Szef wywiadu wydawał się pewny otrzymanych informacji. Tak więc teraz mieli pewność, chociaż i wcześniej nie było wiele wątpliwości. Craig miał nadzieję, że Afrykanerzy blefują. Jednak cuda rzadko się zdarzają, szczególnie na wojnie. Pułkownik mówił dalej: - Szefostwo zmieniło ocenę czasu. Wiadomo, że zaminowali już co najmniej połowę kopalni i jeszcze dzisiaj skończą z pozostałymi. - Zauważył pytające spojrzenie Craiga i wyjaśnił

- Biorąc pod uwagę dotychczas otrzymane informacje założyliśmy, że ładunki są rozmieszczane w poszczególnych kopalniach i podłączane do centralnego detonatora. I najprawdopodobniej tylko jeden ładunek spuszcza się na kable do szybów poszczególnych kopalni, przy których zostawiają dwóch lub trzech ludzi do kontroli. Craig pokręcił ze zrozumieniem głową. Jeden pojemnik wysoce radioaktywnych odpadów w zupełności wystarczał do zanieczyszczenia kopalni na dziesiątki, może nawet setki lat. Rozmowa została przerwana, gdy do pokoju wszedł sierżant z plikiem zdjęć i papierów w rękach. Podał materiał pułkownikowi i dodał:

- Kubańczycy przeszli do natarcia. - Ludzie niespokojnie poruszyli się na swoich miejscach. Wiadomość była na wprost oczekiwana, ale wszyscy się jej obawiali. Craig zaklął pod nosem. J-2 oczyścił jedną ręką stół i rozłożył zdjęcia. Studiował je przez chwilę.

- Zdjęcia zostały zrobione dziś rano przez samolot zwiadowczy z USS "Vinson". - Wykonane przez najnowocześniejszy aparat i wzmocnione na komputerze były bardzo wyraźne. Każda droga na południe od Warmbad zatłoczona była długimi kolu-

mnami transporterów opancerzonych i czołgów. Jedno ze zdjęć pokazywało potyczkę pomiędzy Burami a Kubańczykami. Poszczególne pojazdy zajmowały każdy kawałek drogi, a smugi dymu mogły pochodzić z palących się wozów lub wybuchów pocisków artyleryjskich. Wyglądało na to, że Afrykanerzy nie poddawali się, ale Craig i jego ludzie przewidywali rezultat tych walk. Kubańczycy mogli znaleźć się w Pretorii za trzy, najwyżej cztery dni. Przez kilka minut oglądali zdjęcia w milczeniu. Wreszcie głos zabrał Skiles, wyrażając opinię całego sztabu.

- Jeśli nie zrobimy czegoś i to szybko, generale, to jesteśmy załatwieni. Craig nie potrzebował przypomnień.

- Zgadza się. Kuba nie cofnie się przed niczym, bo nie ma wyboru i ten drań Vega dobrze o tym wie. Ale ponieważ miesza nam szyki, musimy go uciszyć. - Odwrócił się do dowódcy marynarki. - Admirale, niech pan przesunie "Independence" i "Vinsona". Proszę natychmiast wysłać myśliwce przeciw Kubańczykom. Jeśli siły południowoafrykańskie nie będą nam wchodziły w paradę, to niech pan ich nie atakuje. Musi pan jednak zestrzelić wszystko, co się znajdzie w powietrzu. Kontradmirał Andrew Douglas Stewart spojrział zdziwiony. - A co z Waszyngtonem, sir? Czy prezydent zaakceptuje taką eskalację wojny? Craig wskazał na zdjęcia.

- Przekazane mi polecenia zezwalają na zaatakowanie Kubańczyków, jeśli zajdzie taka potrzeba. Andy, nie martw się Waszyngtonem. Wystarczy, że rzuca okiem na te fotki i będą krzyczeli, żeby podjąć działania. Większość oficerów zgodziła się z nim, ale Skiles w dalszym ciągu wyglądał na zaniepokojonego.

- Generale, może wystarczy użyć jednego lotniskowca? Powstrzymałoby to trochę kubańską ofensywę, a my mielibyśmy drugi lotniskowiec tu, na miejscu. Osłona lotnicza jest wciąż zbyt słaba. Craig zaproponował.

- Nie, George, wyślemy je oba. Będziemy musieli na razie polegać na lotnictwie lądowym. Potrzeba będzie sporo siły, żeby powstrzymać Kubańczyków. - Skrzywił się.

- Nie podoba mi się to, bo wygląda tak, jakbyśmy bronili Afrykanerów. Jeśli jednak Kuba dostanie Pretorię, to koniec zabawy. Skończyłoby się na walce o zwłoki Vorstera i Afryki Południowej. Spojrzął przed siebie, kalkulując pospiesznie, jak bardzo lotniskowce mogą opóźnić kubańską armię. Doszedł do wniosku, że niewiele i z pewnością niewystarczająco, ale nie podzielił się swoimi wątpliwościami z nikim.

- W porządku, panowie. Nie ma innych sensownych rozwiązań. Czas zdecydować się na śmiałe posunięcie. Musimy zezwolić na operację "Quantum". Najpierw Skiles, a potem pozostali skinęli niechętnie głowami. Craig nacisnął zaprogramowany klawisz w telefonie. Telefon został odebrany po pierwszym sygnale.

- O'Connell.

- Rob, tu Jerry Craig. Słuchaj uważnie. Twoja operacja ma zielone światło. Macie czterdzieści osiem godzin.

## • Pretoria

W mieszkaniu *brigadiera* Deneysa Coetzee zadzwonił telefon. Nie była to normalna linia. Dzwonił bezpieczny telefon, który zainstalował potajemnie. Nie figurujący w książce telefonicznej numer był znany tylko kilku najbliższym przyjaciółom. Podbiegł i podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Deneys? Mówi Henrik. Coetzee usiadł gwałtownie. Kruger? To niemożliwe. Zachichotał nagle.

- Mój Boże, stary, ale mnie zaskoczyłeś! Kruger zawtórował mu.

- No, myślę. - jego głos stał się poważny. - Możemy rozmawiać swobodnie?

- Oczywiście. Co się stało? Kiedy Kruger mu wytłumaczył, Coetzee po raz pierwszy miał uczucie, że jego kraj ma jeszcze pewne szanse. Wbrew temu, czego go uczono,

ci Amerykanie i Brytyjczycy mieli jaja.

## 40

### Szach i mat

- **10 stycznia - Jednostka Uderzeniowa "Quantum", nad Lotniskiem Wojskowym Swartkop, Pretoria**

Z zewnątrz *C-130 Hercules* wyglądał tak samo jak trzy samoloty tego typu znajdujące się w wyposażeniu Afryki Południowej. Mechanicy Sił Powietrznych USA spędzili wiele godzin na przemalowywaniu maszyny. Jeden ze współników Deneysa Coetzee w Siłach Powietrznych RPA dał im nawet numery boczne jednego z afrykanerskich C-BO, który był obecnie reperowany na lotnisku wojskowym w Upington - ponad osiemset kilometrów od Pretorii. Ten *C-130* był znacznie bliżej Pretorii, jakieś dwie minuty lotu od Swartkop. Dziewięćdziesięciu mężczyzn znajdujących się w samolocie ubrano w południowoafrykańskie mundury i uzbrojono w oryginalną broń z magazynów wojskowych Kraju Przylądkowego. Pod mundurami kryli się żołnierze najprzeróżniejszych jednostek: wzmocniony pluton Rangersów, oddział żołnierzy SAS i kilku ochotników z 20. Batalionu Strzelców Przylądkowych Krugera. Wszyscy mieli jednak siłę fizyczną, nastawienie psychiczne, wybitne zdolności bojowe i absolutne zdecydowanie doprowadzenia misji do końca bez względu na konsekwencje. Te same cechy charakteryzowały ich dowódców. Siedzący przy tylnej rampie pułkownik Robert O'Connell sprawdził magazynek w swoim *R4* i odłożył go na miejsce. Jego ręce trzęsły się jednak trochę. Na szczęście, jeśli nie patrzyło się z bliska, można było nic nie zauważyć. Sprawdził resztę swojego sprzętu: pistolet z tłumikiem, sztylet i dwa granaty sygnalizacyjne. Uzbrojenie nie wydawało mu się wystarczające. Wzruszył ramionami. Nawet południowoafrykański oficer w mundurze polowym nie może spacerować po Pretorii niczym chodzący arsenał. Świadom, że jest całkowicie przygotowany, O'Connell spojrzał na siedzącego obok mężczyznę. Kapitan David Pryce, wysoki, wąsaty oficer SAS, którego wybrał na swojego zastępcę, kończył właśnie te same czynności. Major Cain, starszy oficer SAS w RPA wyklócał się, że to on powinien wybrać się na tę akcję. Jednak Craig sprzeciwił się twierdząc, że Połączone Oddziały Sił Specjalnych, które szkolono w Durbanie, potrzebują doświadczonego dowódcy. Jeśli "Quantum" się nie powiedzie, wszyscy pozostali w republice Rangersi i komandosi SAS potrzebni będą do przeprowadzenia ataków, z góry skazanych według O'Connella na przegraną, na zagrożone skażeniem radioaktywnym kopalnie. O'Connell wolał nawet nie myśleć, jakimi jatkami skończyłyby się te akcje. Ale jeśli do nich dojdzie, jego nie będzie już na pewno wśród żywych. Siedzący za nim Henrik Kruger miał na głowie słuchawki interkomu i słuchał rozmów, jakie były porucznik Sił Powietrznych RPA prowadził z naziemnymi kontrolerami lotu. Kiedy O'Connell

odwrócił się, Kruger zdjął słuchawki.

- Dostaliśmy pozwolenie na lądowanie. jedna minuta. Rozległ się jękliwy dźwięk wypuszczanego podwozia. O'Connell wyprostował się na siedzeniu, starając się w ostatniej minucie odprężyć i skoncentrować na czekającej ich misji, co być może pozwoli mu stłumić lęk. Dotknęli ziemi. Podchodzący szybko do lądowania C-130 odbił się od podziurawionego wybuchami pasa startowego, przyhamował i zaczął kołować w stronę grupy ciężarówek i samochodów zaparkowanych na końcu lotniska. Kiedy się znaleźli w pobliżu, samolot wyhamował tym razem ostrzej, wykonał zwrot o 180 stopni, ustawiając się nosem do tyłu pasa startowego. O'Connell odpiął pasy i wstał energicznie, trzymając karabin w rękach. Pozostali żołnierze poszli za jego przykładem. W miarę opuszczania się tylnej rampy w samolocie robiło się coraz jaśniej. Ściskając karabiny w dłoniach, oficer Rangersów i Kruger zeszli na płytę lotniska. Za nimi podążyli ustawieni czwórkami żołnierze. Na dole czekali trzej afrykanerscy oficerowie. Każdy przytrzymał czapkę na głowie, żeby nie została porwana podmuchem powietrza. Kruger podszedł prosto do niskiego mężczyzny I uściśnął mu rękę. Musiał krzyczeć, żeby można było go usłyszeć. Stary, cholernie się cieszył, że cię widzę! Oczekiwałeś może kogoś innego? - *Brigadier* Deneys Coetzee roześmiał się rubasznie. Na znak Krugera odwrócił się do O'Connella. Witam, pułkowniku. Miło mi poznać tak sławnego amerykańskiego dowódcę. O'Connell przyłożył rękę do czoła i uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Mam tu transport - Coetzee wskazał rząd ciężarówek i jeepów. - Proszę kazać swoim ludziom zająć przydzielone wozy, porozmawiamy po drodze. Padła krótka komenda i ustawieni już w drużyny żołnierze ruszyli biegiem w stronę pojazdów. Grupa sześciu oficerów - czterech Południowoafrykańczyków, O'Connell i Pryce - ruszyła w stronę stojącego na przedzie jeepa. Po drodze Amerykanin rozejrzał się wokoło. Kiedy ostatnio widział Swartkop, było ciemno i większa część lotniska stała w ogniu. Zauważył, że lotnisko nosi jeszcze ślady zniszczeń. Wieża kontrolna była wypalona i opuszczona. Z hangarów i warsztatów zostały jedynie poskręcane stalowe konstrukcje i połamane aluminiowe ściany. Kierowanie samolotami było prowadzone z grupy namiotów ustawionych koło wozu z radarem. O'Connell z przerażeniem zauważył, że wzdłuż pobocza pasa startowego jechały cysterny z paliwem i załogi naprawcze, kierując się do C-130. Cholera! *Hercules* mógł uchodzić za południowoafrykański samolot z większej odległości. Z bliska sprawa przedstawiała się trochę gorzej. Spojrzał na zegarek. Minęły już trzy minuty od lądowania. Gdzie były te F-15E, które obiecało im lotnictwo? Okazało się, że myśliwce zdążyły na czas. Na lotnisku rozległy się syreny alarmowe, ich jękliwe zawrodożenie rozległo się nad całą płytą i w ciągu kilku sekund cysterny zawróciły. jeden z oficerów Sił Powietrznych RPA biegł w stronę C-130.

- Nalot! Opuścić płytę! Startujcie! już! Obracające się śmigła zwiększyły obroty i C-130 ruszył po pasie, nabierając prędkości. Po chwili oderwał się od ziemi. Coetzee spojrzął na O'Connella i zobaczył na jego twarzy triumfalny uśmiech.

- Pański pomysł, pułkowniku?

- Aha. - O'Connell przyspieszył kroku. - Niech się pan pospieszy, *brigadierze*. Nasi chłopcy nie będą zbyt starannie celować. Południowoafrykańczyk zachichotał i wskoczył do Land Rovera, a za nim pozostali pasażerowie. Kiedy sadowili się na siedzeniach, kierowca wrzucił bieg i samochód z piskiem opon ruszył w kierunku drogi. Swartkop przypominało ul. Wszędzie widać było biegnących ludzi. O'Connell czuł dziwną mieszaninę strachu i satysfakcji. Trzeba jak najszybciej wydostać się z bazy. Ustawieni przy głównej bramie wartownicy tylko na nich machnęli, przepuszczając cały konwój. Nikt nie sprawdzał dokumentów. W czasie nalotu nie było czasu na formalności. Kiedy mała kolumna ciężarówek, jeepów i Land Roverów wyjechała na drogę wiodącą do miasta, z tyłu rozległy się wybuchy ciężkich bomb. Nad nimi



przelatywały myśliwce szturmowe o podwójnym usterzeniu. Nad lotniskiem niebo zaczęło się zaciemniać od dymu. W całym zamieszaniu siły bezpieczeństwa lotniska całkowicie zapomniały o małej grupie żołnierzy, która niedawno wylądowała. Grupa O'Connella minęła bezpiecznie pierwszą linię obrony.

### • **Zewnętrzny posterunek straży, Budynek Unii, Pretoria**

Kłopoty zaczęły się, kiedy znaleźli się zaledwie kilkaset metrów od celu. Posterunek straży, obsadzony brązowymi koszulami *Brandwag* blokował wysadzaną drzewami drogę prowadzącą do masywnego kompleksu budynków rządowych. Proszę o dokumenty... *Kaptein*. - Oficer *Brandwag* dodał w ostatniej chwili, i wyraźnie niechętnie, stopień Krugera. Oczywiście. - Henrik Kruger wręczył mu bez wahania papiery, które przygotował dla nich Coetzee. Dowódca straży zmienił swoje nastawienie na widok oficjalnych dokumentów. Kruger siedział koło kierowcy. O'Connell i potężny sierżant o nazwisku Nowak zajmowali miejsca z tyłu, uważnie obserwując pięciu strażników stojących koło budki i barykady. Za Land Roverem ustawiono się sześć ciężarówek osłoniętych brezentem i dwa jeepy. Brakowało tylko jednej osoby. Deneys Coetzee wysiadł przy Ministerstwie Obrony, żeby załatwić jeszcze kilka spraw, które mogły pomóc "Quantum". Papiery są w porządku. - Porucznik *Brandwag* pomachał kilkoma kartkami trzymanymi w ręce i spojrzał podejrzliwie na szereg wozów stojących na Church Street. - Dlaczego jednak nie zostałem powiadomiony o tych zmianach? Dlaczego generał de Wet zdecydował się na tak liczne uzupełnienia naszych sił? Kruger wzruszył ramionami. Skąd mogę wiedzieć, poruczniku? Może obawia się ataku wroga? Uśmiechnął się sztucznie. Uśmiech znikł po chwili. - Nie mam zresztą w zwyczaju kwestionować otrzymanych rozkazów. Porucznik nadal nie był przekonany.

- Będę musiał to sprawdzić u moich przełożonych, kapitanie.

- Oczywiście. - Kruger wykonał nonszalancki gest ręką. Kiedy oficer *Bramiwag* się odwrócił, O'Connell zmarszczył brwi. Nie rozumiał ani słowa w *afrikaans*, ale potrafił rozpoznać niebezpieczeństwo. Spojrzał przez zmrużone powieki za odchodzącym w stronę budki żołnierzem.

- Sierżancie, uwaga. Biorę na siebie dowódcę.

- Gotów. - Olbrzymi Ranger schylił się, sięgając po jaki przedmiot leżący na podłodze Land Rovera.

- Już. - 9-milimetrowy pistolet z tłumikiem wydał trzy stłumione dźwięki. Porucznik zachwiał się i upadł twarzą do ziemi. Na jego plecach rozkwitły trzy ciemnoczerwone plamy. W tej samej chwili sierżant Nowak uniósł się i otworzył ogień do pozostałych strażników. Jego *Heckler & Koch MP5*, również z tłumikiem, zaterkotał i zamilkł. Krótka seria dosłownie skosiła pięciu Afrykanerów. Kruger wyskoczył z samochodu i podbiegł otworzyć szlaban. Inni szybko odciągnęli zwłoki, chowając je w krzewach otaczających wartownię. Po chwili na jezdni widniało jedynie kilka plam krwi, szybko wysychając na słońcu.

- Zostawimy warty? - Kruger wskoczył do wozu.

- Nie. - O'Connell wyjął częściowo opróżniony magazynek i włożył na jego miejsce nowy. - Nie mieliby szans dołączyć do nas potem. jedziemy wszyscy razem. Pochylił się do kierowcy.

- Dobra, ruszamy. Land Rover przyspieszył, kierując się w stronę Budynku Unii.

Przestudiowane na odprawie mapy i plany nie oddawały w pełni ogromu budowli. Oczyszczenie labiryntu biur i korytarzy wymagałoby całego batalionu komandosów. a nie dziewięćdziesięciu ludzi. Na szczęście, grupa uderzeniowa miała konkretne zadanie i bardzo dokładne informacje. O'Connell wyskoczył z samochodu jeszcze podczas hamowania i wbiegł po schodach prowadzących do wejścia we wschodnim

skrzydle budynku. Za nim podążyli Kruger i Nowak, trzymając broń gotową do strzału. W chwilę później z podjeżdżających ciężarówek zaczęli się wysypywać żołnierze. Od tej chwili szybkość oznaczała życie. Dysząc ciężko, O'Connell wbiegł na szczyt schodów i ruszył do pary podwójnych, drewnianych, oszklonych drzwi widniejących za szerokim portykiem. Zbliżając się do nich, wyjął pistolet. Za sobą słyszał stukot butów na schodach. Oficer *Brandwag* w randze majora i z notatnikiem w ręce otworzył drzwi, odwrócony częściowo do kogoś w środku. Spojrzał ze zdumieniem na biegnących.

- Co na Boga...! O'Connell strzelił dwa razy i przeskoczył osuwające się na podłogę ciało. Ciężkie drzwi zamknęły się tuż przed nim i odbił się od nich z obolałym ramieniem. Sierżant Nowak, który był kilka kroków za nim, odsunął go lekko na bok, cofnął się parę kroków... Trzy strzały z wewnątrz odrzuciły go z ogromną siłą do tyłu. Posypało się drewno i szkło.

- Zrobić miejsce - rozległ się głośny okrzyk. Nadbiegający Kruger otworzył ogień w sam środek drewnianej, masywnej przeszkody. Ze środka dobiegły śmiertelne jęki, które zaraz umilkły. Wspólnymi siłami wyłamali nadwerężone już drzwi i z hukiem wpadli do wykładanego marmurem holu. Niedaleko wejścia leżały w nie naturalnych pozycjach pokrwawione ciała strażników. Na wypolerowanej podłodze rozległ się stukot ciężkich butów. Do pomieszczenia wbiegli amerykańscy i brytyjscy żołnierze. O'Connell rozejrzał się teraz dokładnie i nagle w drugim końcu holu dostrzegł szklaną kabinę, a w niej Afrykanera krzyczącego coś do trzymanej przy uchu słuchawki telefonicznej. Kilkoma susami dopadł do budki i w biegu strzelił. Dźwięk rozsypanyego się szkła wypełnił całe pomieszczenie, a oficer *Brandwag*, wypuszczając słuchawkę z rąk, z jękiem osunął się na podłogę. O'Connell z wściekłością przyglądał się dyndającemu na sznurze niczym wahadło przedmiotowi. Niech to diabli! Nici z zaskoczenia.

- **Główna wartownia, naprzeciwko gabinetu Rady Bezpieczeństwa Stanu**

Kapitan *Brandwag* rzucił słuchawkę na widełki. Na jego twarzy malowało się oburzenie, spod którego przebijał niepokój. Idiota. Coś nie w porządku? - jego podwładny podniósł wzrok znad gazety.

- Chyba nie. - Kapitan wzruszył ramionami. - Zresztą, nie wiem. - Przez kilka sekund przygryzał dolną wargę. - jeden z głupców na górze wrzeszczał, że w budynku są napastnicy, ale odwiesił słuchawkę, zanim zdążyłem zapytać o szczegóły.

Usłyszałem tylko jakiś trzask. Teraz nawet nie chce mu się odebrać cholernego telefonu. Może się zepsuł?

- Nie powinniśmy powiedzieć prezydentowi? Kapitan zachnął się.

- Zgłupiałeś? Przerwać naradę, ponieważ jakiś strażnik wystraszył się na widok czarnego portiera? - Wskazał ręką na gazety, ekspresy do kawy i wyściełane fotele. - Może tobie odpowiada przeniesienie na front, ale mnie jest tu dobrze. Sprawdź tylko, co się dzieje, żebyśmy nie wyszli na głupców. Weź Jaapa i Dirka. Dobrze im robi, jak zrzucą trochę tłuszczu. Tylko niech ci to nie zajmie całego dnia. Podwładny zachichotał, wstając z fotela i zapinając pas z kaburą na wydatnym brzuchu. Robił się otyły. Może tym razem wejść schodami...

- **Jednostka uderzeniowa "Quantum"**

- Pryce! Zastępca O'Connella podbiegł w oka mgnieniu.

- Jestem, pułkowniku.

- Wiedzą, że jesteśmy tutaj. Ustaw ośmiu ludzi przy drzwiach.  
Reszta idzie ze mną!

- Tak jest. - Kapitan SAS odwrócił się wołając:

- Jenkins! McRae! O'Connell zatrzymał się na chwilę, schował pistolet do kabury i zdjął z ramienia R4. Siła ogniowa była teraz ważniejsza niż ostrożność. Ruszył biegiem w stronę schodów, które Coetzee zaznaczył na mapie. Rangersi i żołnierze SAS pobiegli za nim. Po drodze dzielili się na drużyny, które po kolei zatrzymywały się przy bocznych korytarzach. Mieli za zadanie zablokować znajdujących się w tej części budynku strażników. Kiedy O'Connell dotarł do szczytu schodów, miał przy sobie dwudziestu ludzi. Zatrzymał się przy poręczy. - Granat. Kruger podał mu granat obronny, który zabrał najbliższemu żołnierzowi SAS. W korytarzu za nimi rozległy się strzały z broni automatycznej. Południowoafrykańczycy zaczęli na całego włączać się do walki. Rzucił szybkie spojrzenie w dół. Fatalnie. jakieś piętnaście stopni niżej schody ostro skręcały w prawo. Ale nie było wyjścia. O'Connell wziął głęboki oddech i trzymając się blisko prawej ściany, ruszył ostrożnie w dół. Dwóch żołnierzy osłaniało go z góry, gotowych rozwalić każdego, kto wyłoniłby się zza węgła. Reszta w pewnej odległości posuwała się za nim. Mimo chłodniejszego powietrza strużki potu ściekały mu z czoła, a mokra bluza przylepiła się do ciała. Każdy zmysł zadawał się być wyostrzony do granic możliwości. Za sobą słyszał oddech każdego żołnierza. Spostrzegał najdrobniejsze różnice światła przedzierającego się przez ażurową balustradę nad ich głowami. Czuł nawet specyficzny zapach krwi, niesiony przeciągiem. Za zakrętem odezwały się męskie głosy. Jezu! O'Connell zamarł w miejscu i wyciągnął zawleczkę granatu... Porucznik *Brandwag* zatrzymał się przed zakrętem. Co to za odgłosy dochodziły z góry? Strzały? Jego podejrzenia potwierdziła długa seria z pistoletu maszynowego. Odwrócił się, żeby ostrzec strażników. Coś zaklekotało na schodach, tocząc się do jego stóp. Ociężały porucznik zdążył tylko dostrzec wybuchający granat.

- Biegiem! Ruszać się! - Gdy zamilkło echo wybuchu. O'Connell, nie zważając na unoszący się w powietrzu, drapiący w gardło dym, zaczął zbiegać, przeskakując po dwa stopnie. Na podłodze zwijało się z bólu trzech ludzi trafionych odłamkami granatu. Rangersi i komandosi SAS minęli rannych i wbiegli na długi korytarz prowadzący do siedziby Rady Bezpieczeństwa Stanu. Z głębi rozległy się strzały z broni automatycznej. Od ścian i podłogi korytarza odbijały się kule. Kilku komandosów zwinęło się i runęło na podłogę. Inni biegli naprzód, strzelając nieustannie z biodra.

- Szybciej! - O'Connell jak huragan dopadł oddalonych o kilka metrów drzwi. Zobaczył rannego Afrykanera, który sięgał po karabin i strzelił. Żaden z pozostałych leżących na podłodze strażników się nie ruszał.

## • Gabinet Rady Bezpieczeństwa Stanu

Zamknięty w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu generał Adrluan de Wet stał obok Karla Vorstera, słuchając w milczeniu przechwałek prezydenta na temat jego wspaniale zaplanowanej i przygotowanej operacji zniszczenia bogactw naturalnych kraju. To już nie jest wojna, pomyślał, to zwykłe szaleństwo.

- Siedemdziesiąt procent... czy może pan w to uwierzyć, generale? Siedemdziesiąt procent kopalni jest przygotowanych do wysadzenia. - Vorster roześmiał się diabolicznie, nachylając nad mapą i wskazując na największe zagęszczenie kopalni. - Pozostałe zostaną zaminowane, zanim *uitlanders* zdążą się zbliżyć na odległość jednego dnia marszu do Witwatersrandu. Prezydent RPA wskazał lekceważącym gestem na stojący w rogu pokoju bezpieczny telefon. - Wtedy wystarczy jedno moje słowo i puff - strzelił palcami - cholerny Zachód i komuniści popatrzą, jak ich łup wojenny zamienia się w chmurę radioaktywną. De Wet ledwo mógł się pohamować.

Musi spróbować jeszcze raz, zanim będzie za późno.

- Panie prezydencie, wiemy, że samoloty z amerykańskiego lotniskowca zaatakowały siły kubańskie na drodze N1. Czy nie moglibyśmy spróbować dojść do jakiegoś porozumienia...? - Urwał, gdy Vorster poczerwieniał z wściekłości.

- Nie oczekiwałem, że usłyszę takie zdradzieckie słowa akurat od pana, generale de Wet. - W głosie Vorstera brzmiała groźba. - Wie pan chyba, że mam wielu oficerów, którzy byliby szczęśliwi, gdyby mogli zająć pańskie miejsce. Nagle drzwi zatrzęsły się, wibrując dosłownie od siły uderzeń. De Wet nie wierzył własnym uszom. Strzelanina? Tutaj? Drzwi ustąpiły, wyważone przez żołnierzy w porwanych i pokrwawionych mundurach, trzymających karabiny wycelowane w zebranych.

- Nie ruszać się! Nie ruszać się! Ręce do góry! Już! Jeden z adiutantów de Weta podniósł słuchawkę i zginął od serii pocisków. W niedużym pokoju hałas był ogłuszający. Ciało oficera osunęło się na podłogę. Mój Boże! De Wet podniósł ręce i pokazał otwarte dłonie. Pozostali uczestnicy zebrania poszli za jego przykładem. Wszyscy, oprócz jednego człowieka. Wszyscy, oprócz Karla Vorstera. Szef sił obronnych dojrzał kątem oka, jak Vorster szarpie kaburę pistoletu i odwrócił się, trzymając ręce w górze.

- Ty głupcze! Nie widzisz, że wszystko stracone? Żołnierze przedarli się przez grupę mężczyzn i wyciągnęli Vorstera, rzucając go na stół. Potężny kaprał wykręcił prezydentowi ręce do tyłu i skuł je kajdankami. Inni ustawili de Weta i pozostałych członków gabinetu pod ścianą. Pod generałem de Wetem ugięły się kolana. Czyżby mieli ich rozstrzelać tu, na miejscu? Przymknął na chwilę powieki, a kiedy je z powrotem uniósł, spojrzał prosto w zimne, czujne oczy wojskowego w randze kapitana.

- Gdzie jest minister prawa i porządku? Przez chwilę de Wet patrzył z niedowierzaniem. Przed nim stał Henrik Kruger. Kim więc byli pozostali ludzie? Kruger odbezpieczył broń.

- Zadałem panu pytanie... generale. - W swoim pokoju, na górze! - De Wet oblizał spieczone wargi. Przysięgam. Jest na górze! Kruger odwrócił się z pogardą, a następnie, mówiąc już po angielsku, z wyczuwalnym w głosie szacunkiem odezwał się do ciemnowłosego mężczyzny w mundurze sierżanta: - Potrzebuję kilku ludzi, pułkownika. Van der Heijden jest w swoim biurze.

- Są do pańskiej dyspozycji. - Wskazał palcem na jednego z żołnierzy. - Collins! Weźmiesz swoich ludzi i pójdziesz z *kommandantem*. De Wet patrzył na nich w oszołomieniu. Pułkownik? W mundurze sierżanta? W dodatku amerykański pułkownik, sądząc po akcencie? Poczuli, że zbiera mu się na wymioty. Dwóch żołnierzy poderwało Vorstera i trzymało go pod ramiona. W ciągu kilku sekund z absolutnego władcy RPA Vorster stał się nic nie znaczącym, załamany więźniem.

## • Biuro ministra prawa i porządku

Marius van der Heijden nie był zdziwiony, gdy zewnętrzne drzwi jego gabinetu otwały się z hukiem. Od kilku minut słyszał już strzały. Próba połączenia się z Ministerstwem Obrony czy jego własnymi siłami okazała się niemożliwa. Ktokolwiek ich zaatakował, musiał mieć współników w budynku, którzy poprzecinali połączenia telefoniczne. Wiedział, że próba ucieczki jest bezcelowa. Przez okno zdążył już zauważyć leżące w ogrodzie ciała ludzi w brązowych koszulach. Van der Heijden spojrzał na swoje krótkie nogi oraz wydatny brzuch i zaśmiał się gorzko, z całkowitą rezygnacją. Daleko by nie dobiegł. Zostało mu jedyne honorowe wyjście z tej sytuacji. Tylko Jedno. właśnie dlatego siedział za biurkiem z *Browningiem* w ręce i czekał na pierwszą osobę, która pojawi się w drzwiach.

- Marius? Zaskoczył go głos mówiącego. Kruger? Henrik Kruger? Pokręcił

głową. To chyba niemożliwe. Postanowił się nie odzywać.

- Marius, wchodzę. Nie chcę cię zranić, więc proszę, żebyś nie robił niczego głupiego. Zgoda? Van der Heijden odzyskał głos.

- Wejdz, Henrik. Tylko powoli, zrozumiałeś? Kruger nacisnął klamkę, trzymając w obu rękach karabin. W holu za nim widać było innych żołnierzy.

- Marius, przykro mi, ale przyszedłem cię aresztować.

- W czym imieniu? - Van der Heijden trzymał pistolet pod biurkiem. Kruger uśmiechnął się smutno.

- W imieniu Amerykanów i Brytyjczyków, stary przyjacielu. Ale przede wszystkim w imieniu tych, którzy przeciwstawili się tobie i twojemu nielegalnemu rządowi.

- Henrik, daleko się od nas odsunąłeś, obracasz się w dziwnym towarzystwie na pewno nie przynoszącym chluby prawdziwemu Afrykanerowi.

- Może. - Kruger trzymał karabin opuszczony. - Widziałem twoją córkę.

Van der Heijden nie okazał żadnych emocji. Widział przekazy telewizyjne z Ameryki i w głębi duszy dziękował Bogu, że jego córka żyje. Oczywiście, publicznie przez cały czas przeklinał ją, żeby nie wzbudzić podejrzeń Vorstera.

- Nic jej nie jest?

- Nic... - Kruger chciał coś dodać, ale powstrzymał się. - Poddaj się, a przekonasz się na własne oczy. Na krótką chwilę van der Heijden opuścił pistolet. To byłoby zbyt piękne. Gdyby mógł zobaczyć swoją córkę, mimo wszystkich złych słów, jakie sobie powiedzieli... Wyprostował się w fotelu. Nie może się poddać. Gdyby go uwięziono, jego nazwisko zawsze łączono by z nią. Nigdy by się już nie uwolniła od hańby. Nie, o wiele lepiej zostać szybko zapomnianym. Spojrzał z rozpaczą na Krugera. Wydawał się potwornie zmęczony i całkiem zrezygnowany.

- Przykro mi Henrik, ale nie mogę. Rozumiesz mnie? Kruger skinął wolno głową. jego twarz przybrała poważny wyraz i wyglądał teraz na o wiele starszego, niż był w rzeczywistości.

- Rozumiem.

- Powiedz jej, że ja... - Van der Heijden zająknął się na ostatnim słowie.

- Tak, wiem.

- Dziękuję ci, przyjacielu. - Minister prawa i porządku RPA podniósł wolno *Browninga* i wycelował w pierś Krugera. - Wobec tego oświadczam, że nie poddam się - odezwał się głosem pełnym desperacji. Kruger stał nieruchomo. Dla van der Heijdena było jasne, że jego stary przyjaciel i niedoszły zięć nie będzie w stanie zmusić się do zabicia człowieka, którego kiedyś szanował. Niech i tak będzie, pomyślał, zginiemy tu obaj. Nacisnął mocniej spust i... poczuł, jak kilka potężnych uderzeń zwała go z fotela. Przez długą chwilę patrzył w sufit, jakby zdziwiony, że to prawie wcale nie boli. Wreszcie głowa opadła mu na bok. Henrik Kruger westchnął i odwrócił się od zwłok starego człowieka. Stojący za nim sierżant Collins opuścił lufę karabinka automatycznego.

- Tak mi przykro, panie Kruger. Naprawdę. Nie chciałem go zabić, ale ten facet by pana zastrzelił. Kruger skinął głową.

- Nie martwcie się tym, sierżancie. Tego właśnie chciał.

### • **Jednostka uderzeniowa "Quantum"**

Pułkownik Robert O'Connell przykucnął przy oknie na parterze. Za nim leżał radiooperator, wysuwając antenę radiostacji za okno.

- X-Ray Tygrys Jeden, tu "Quantum" jeden. Przyłożenie. Powtarzam, Przyłożenie. Odbiór. "Przyłożenie" - termin z futbolu amerykańskiego - oznaczało, że udało im się pojmać Vorstera i byli gotowi do odlotu. Cokolwiek się teraz stanie, rozkaz skażenia kopalni nie zostanie nigdy wydany. O'Connell wiedział, że wiadomość zostanie

przekazana błyskawicznie do Waszyngtonu i że zaczną się Wiwaty i toasty. Oczywiście, on i jego ludzie musieli się najpierw wydostać z Pretorii. W radiu odezwał się głos.

- Przyjąłem, "Quantum" jeden. Zabieramy was. Szacowany czas przylotu pięć minut. Podaj sytuację w SL Odbiór. Nagła seria z karabinu automatycznego roztrzaskała ramę okna nad nimi. Na O'Connella posypało się szkło, drzazgi i kawałki marmuru. Nacisnął guzik mikrofonu.

- X-Ray Tygrys, W SL jest gorąco. Kurewsko gorąco. Wróg w sile plutonu trzyma obszar jakieś jeden pięć zero metrów na północ.

- Zrozumiałem. - Głos zamarł i po chwili odezwał się znowu. Już wylecieli. Będą za trzy minuty. Bez odbioru. O'Connell rzucił słuchawki radiowcowi i odczołgał się w głąb korytarza. Kruger i Pryce siedzieli koło więźniów.

- Są z nimi jakieś kłopoty?

- Żadnych. - Pryce uśmiechnął się na sekundę. - Powiedziałem draniom, że rozwalę każdego, który choćby spojrzy w złą stronę. Chyba wiedzą, że nie żartuję. O'Connell przyjrzał się otępiąłym ludziom siedzącym obok siebie na marmurowej podłodze. Oprócz Vorstera wszyscy mieli związane ręce i zaklejone usta. Szybko, tanio i wygodnie, pomyślał. Całe wojskowe i polityczne przywództwo RPA zapakowane w jedną, zgrabną paczkę. W głębi holu rozległy się strzały. Afrykanerzy na zewnątrz nie dawali za wygraną. Sprawdził zegarek. Jedna minuta. Odwrócił się do Krugera i Pryce.

- Uwaga! Za chwilę będziemy mieli towarzystwo. Skinęli głowami i zaczęli podrywać więźniów na nogi. Większość z nich była cały czas w szoku. Dobrze. Łatwiej będzie nimi kierować zakładając, że wszyscy przeżyją tę podróż. O'Connell podczołgał się do okna. Na horyzoncie pojawiło się kilka punktów, które powiększały się, zbliżając do Budynku Unii. Operator podał mu znowu słuchawki.

- "Quantum" Jeden, tu Czerwony SzeF Jeden. Jesteśmy na miejscu. Oznaczcie swoją pozycję. Żadnego pieprzenia się, pomyślał O'Connell. Nawet w budynku słychać było coraz wyraźniejszy łoskot wirników, przypominający pracę gigantycznych trzepaczek do jaj. Wyjął z kieszeni jeden z dwóch granatów sygnalizacyjnych.

- Czerwony SzeF Jeden, czerwony sygnał. - Wyszarpnął zawleczkę i wyrzucił granat przez otwarte okno. W kilkanaście sekund później na dziedzińcu przybierającym pomalą różowawy odcień poszybowała w górę rosnąca, purpurowa chmura.

- "Quantum" Jeden, widzę znak. Niedługo lądujemy. No, jeszcze ostatni, decydujący etap, pomyślał O'Connell, zdejmując słuchawki i zwracając się w stronę zmęczonych, ale lekko już podekscytowanych żołnierzy.

- Przygotować się do odlotu, ale nie tracić czujności. Jeszcze nie jesteśmy w domu. Jakby na potwierdzenie jego słów zza drzew, na końcu ogrodu wyskoczyły dwa *AH-64 Apache*, otwierając natychmiast ogień z wyrzutni rakiet. Wybuchy wstrząsnęły całym ogrodem, a pozycje południowoafrykańskich żołnierzy zniknęły w obłokach dymu i płomieni. Wyczulone uszy O'Connella wychwyciły w końcowej fazie ataku charakterystyczny, świdrujący terkot 30-milimetrowych działek łańcuchowych, z których każde mogło wystrzelić sześćset pocisków na minutę. Trzeba przyznać, że nie dali żadnych szans tym draniom z *Brandwag*, stwierdził w duchu usatysfakcjonowany pułkownik. *Apache* zniknęły równie szybko. Jak się pojawiły i nagle, nie zupełnie jeszcze uspokozone drzewa zaczęły gwałtownie uginać się, a z rozwiewającego dymu wyłoniły się z rykiem potężne, transportowe *UH-50 Blackhawk*, które kolejno podchodziły do lądowania niedaleko głównego wyjścia.

- Kruger! Pryce! Brać trzech ludzi, każdy jeńca i do maszyn! Szybko! Kruger poderwał na nogi Vorstera, Pryce de Weta, trzech pozostałych innych więźniów i biegiem skierowali się do wyjścia. Bez żadnych niespodzianek dotransportowali przerażonych i zdezorientowanych "podopiecznych" na pokład, a *Blackhawk* natychmiast oderwał

się od ziemi i nabierając prędkości, ruszył na południe. Helikopter za helikopterem lądowały i zabierały kolejne grupy komandosów. Gdy wydawało się, że wszystko pójdzie do końca gładko, za piątym podejściem do nie spodziewających się niczego ludzi z okien posypały się strzały. O'Connell stał jak skamieniały. Pewnie nie wszyscy z tych szubrawców włączyli się wcześniej do walki. Chryste! Co robić? Wiedział jednak, że jest w tej sytuacji bezsilny. Pozostała ich już za mała grupka, a zresztą wyłowienie snajperów z kilkuset okien było nierealne. Pomoc helikopterów też nie wchodziła w rachubę. Nie mógł narażać całej rzeszy niewinnych, cywilnych urzędników kryjących się teraz pewnie w przepastnych labiryntach budynku. Patrzył z rozpaczą, jak mała grupka niedobitków dobrnęła do maszyny, wlokąc dwóch rannych kolegów. Zrezygnowany odwrócił się od okna i stał, patrząc nic nie widzącym wzrokiem.

- Pułkowniku! Ostatni helikopter! - wyrwał go z odrętwienia głos jednego z żołnierzy, który musiał krzyczeć mu w ucho. Poza kilkoma żołnierzami SAS i Rangersami nikogo już nie było w holu.

- Jazda. - O'Connell poderwał się do drzwi. Ścisnął mocno karabin. Jeszcze kilka sekund. Ostatni śmigłowiec usiadł na ziemi kilkanaście metrów od wejścia. Teraz! O'Connell i jego ludzie rzucili się biegiem do otwartych drzwi maszyny. Po paru krokach padły strzały, a biegnący przed nim żołnierz jęknął i osunął się na ziemię. O'Connell i jeden z Rangersów nie zatrzymując się, złapali go pod ramiona i prawie niosąc, dopadli maszyny. Załoga w kamizelkach przeciwodłamkowych pomogła im wejść na pokład. *Blackhawk* uniósł się w powietrze i pomknął, przelatując tuż nad dachami domów.

### • **Ministerstwo Obrony, Pretoria**

*Brigadier* Deneys Coetzee patrzył przez okno na oddalające się ciemne punkty. Dobry Boże, udało się, pomyślał, spoglądając na ostatnie smugi szarego dymu, który unosił się nad Budynkiem Unii. Obrócił się na obrotowym fotelu i podniósł słuchawkę telefonu. - Pułkowniku Doome, tu Coetzee. Udało się. Wykonać natychmiast plan "Valkyrie". Tak, zgadza się. Natychmiast. Odwiesił słuchawkę i znów odwrócił się do okna. W ciągu najbliższej godziny żołnierze dowodzeni przez oficerów, którzy zdążyli całym sercem znienawidzić krwawy reżim Vorstera, zaczną przeczesywać stolicę. Za dwie godziny większość fanatyków AWB i oficerów *Brandwag* znajdzie się w więzieniu lub dwa metry pod ziemią. Jeszcze przed zapadnięciem nocy Deneys Coetzee stanie na czele tymczasowego rządu. Na świt 11 stycznia zaplanował przyspieszone negocjacje z generałem Jerryem Craigiem, podczas których miał zamiar uratować resztki honoru i niezależności swojego narodu.

### • 10 stycznia – Warmbad

Nawet w nocy naloty nie ustawały. Oprócz wzrastających strat nocne ataki pozbawiały żołnierzy kubańskich snu i możliwości dokonania niezbędnych napraw. Zbliżała się północ. Generał Antonio Vega spędził połowę nocy na wizytowaniu jednostek, zbierając informacje, wydając rozkazy i podnosząc na duchu zrezygnowanych żołnierzy. Weterani kilkudziesięciu południowoafrykańskich nalotów okazali się nie przygotowani na siłę amerykańskiego uderzenia. Zamiast czterech *Mirage*, z których każdy mógł zrzucić tonę bomb, użyto czterech *Intruderów*, które mogły przenosić nawet pięć razy tyle. Na dodatek naloty były poprzedzane atakami *Hometów* uzbrojonych w antyradarowe rakiety. Bombowce pojawiały się dopiero wtedy, gdy myśliwce rozprawiły się z działami i raketami przeciwlotniczymi. Pierwsze odrzutowce zjawiały się o świcie i powracały przez cały dzień. Przylatywały parami, czwórkami, a raz nawet całym dywizjonem. Ofensywa Vegi niemal całkowicie zatrzymała się w miejscu. Generał właśnie starał się zorientować, w jaki sposób mógłby znowu ruszyć grupę taktyczną. Obecnym celem wyprawy Vegi były baterie przeciwlotnicze. W ciemnościach jedynie kierowca Vegi zdawał się znać drogę. Mimo iż jechali bez świateł, dotarli bezpiecznie na miejsce. Bateria została ustawiona na otwartym terenie, w bezpiecznej odległości od innych celów, jakieś pięćset metrów na wschód od miasta. Pozwalało to jednocześnie celowniczym na swobodne dobranie kąta ostrzału. Inspekcja Vegi była nie zapowiedziana. Zanim wartownik zdążył nadbiec, Vega wysiadł już z gazika. Żołnierz wycelował w niego karabin, żądając hasła, a kiedy rozpoznał generała, zsalutował i krzykiem zawiadomił sierżanta. Vega skierował się w stronę dział, oddając po drodze salut.

Po kilku sekundach na jego spotkanie wybiegł krępy kapitan o haczykowatym nosie, ścierając pospiesznie smar z rąk. Zatrzymał się kilka kroków od Vegi i zsalutował.

- Kapitan Rudolfo Morona, dowodzący baterią B, zgłasza się, towarzyszu generale.  
- Generał spostrzegł na jego twarzy na wpół ironiczny uśmiech i z trudem powstrzymał się od reprimendy wiedząc, że nie jest to odpowiedni czas. A poza tym, ten człowiek wykonywał dobrze swoją pracę.

- Jaki jest stan, kapitanie?

- Cztery działa z sześciu są sprawne. Piąte jest właśnie naprawiane. Za godzinę powinno być w gotowości bojowej. Szóste niezdadne do użytku.

- Jak z radarem? - spytał generał. Morona pokręcił niechętnie głową.

- Nie ma szans. - Wskazał ręką. - Proszę tędy, generale. Możecie sami zobaczyć.

Zbliżyli się do radaru, który został ustawiony na skraju pozycji. Bateria składała się z 57-milimetrowych dział 5-60, które doskonale nadawały się do zwalczania samolotów lecących na niskiej i średniej wysokości. Był to starszy typ, który umieszczano na ciężarówkach. Rozstawione równomiernie działa były połączone kablem z radarem SON-9. Z wyglądu radar nie przedstawiał się skomplikowanie. Nieduża ciężarówka z zamocowaną na dachu anteną paraboliczną. Był to także starszy typ, którego używano jeszcze w Wietnamie. Z odległości ciężarówka wyglądała na nie



uszkodzoną. Zbliżywszy się, Vega stwierdził jednak, że metalowe boki pojazdu przypominają ser szwajcarski. Podniósł wzrok i ujrzał kilka nieregularnych dziur w talerzu anteny. Morona oświetlił bok wozu latarką, ukazując kilkanaście otworów wielkości pięści.

- Dach jest w takim samym stanie. Zostaliśmy trafieni rakietą antyradarową. Ekspłodowała jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów od radaru. Jeden z ludzi zobaczył rozbłysk światła. Większość zdołała jeszcze usłyszeć wybuch, zanim pojazd nie dostał tym. Kapitan podał Vedze garść kawałków żelaza. Były to małe sześciany, niektóre zdeformowane siłą uderzenia.

- Głowica rakiety była nimi wypełniona. Zasypały cały teren po wybuchu i później znaleźliśmy w wozie i w ciałach załogi ponad pięćdziesiąt kawałków. - Morona zatrzymał się. - Straciłem pięciu ludzi i mam siedmiu rannych. Pracujemy całą parą, żeby uruchomić optyczne nakierowywanie dział, ale nawet gdybym miał części, to bałbym się włączyć radar. Najpewniej ściągnęlibyśmy tylko na siebie kolejną raketę. Bateria B odnotowała tego dnia dwa strącenia, jedno w czasie ataku, podczas którego zostali trafieni rakietą. Vega pokręcił głową. Nie podobała mu się taka defetystyczna postawa. Nawet jeśli kapitan miał rację, nie powinien się tak łatwo poddawać. Tym bardziej że był to jednak dobry, odważny żołnierz Kapitanie, rozumiem pańską niechęć... przenikliwy dźwięk zagłuszył jego słowa i obaj mężczyźni zrozumieli w tej samej chwili, że zbliża się kolejny atak.

- Generale - krzyknął Morona, żeby przekrzyczyć syrenę alarmową. Musi pan wrócić do punktu dowodzenia. Vega pokręcił głową i także podniósł głos.

- Ich celem może być moja kwatera. - Została już raz zbombardowana, przesunięta i ponownie zbombardowana. - Zostanę tutaj. Proszę do okopu - rzucił prawie rozkazującym tonem Morona Obaj mężczyźni pobiegli. Także inni żołnierze ukrywali się pospiesznie, a załoga dział zajmowała swoje miejsca. Vega zobaczył, jak lufy unoszą się i obracają, kiedy celowniczy sprawdzali działanie mechanizmu. Dział, oficerowie wskoczyli do dwumetrowego dołu. Operator działonu krzyknął do Morony: - Co najmniej osiem samolotów, lecą ze wschodu! W normalnych okolicznościach raport podawałby wysokość i prędkość wrogich maszyn. Vega podejrzewał, że ostrzeżenie opierało się na obserwacji wzrokowej. Ruchomy radar wczesnego ostrzegania także został zniszczony w czasie wybuchu rakiety. Odcinało to załogę dział od informacji o wrogu i opóźniało alarm ostrzegawczy do ostatniej chwili. Myśliwce będą tu za chwilę, pomyślał. Morona włożył na głowę słuchawki i odebrał w skupieniu raporty, a następnie rozkazał: Ogień zaporowy, wysokość sto metrów. - Podniósł lornetkę przyjrzał się czarnemu niebu, szukając śladów samolotów i jednocześnie cały czas odbierając informacje. Bez radarów nie możemy celować w pojedyncze samoloty, towarzyszu generale, zwłaszcza w nocy. Zostaje nam jedynie ustawienie zapory na odpowiedniej wysokości i czekanie, czy przez nią przelecą - nie odrywając oczu od lornetki zwrócił się do Vegi. Dlaczego sto metrów? - spytał Vega. Ponieważ amerykańscy piloci lubią atakować na niskiej wysokości, a sto metrów to ich najniższy pułap. Kapitan lustrował niebo i w pewnej chwili wskazał ręką na południowy wschód.

- Pociski smugowe! Nasi strzelają do samolotów! - Naciskając przycisk mikrofonu, Morona podał namiary: - Centralny sektor jeden trzy pięć. Ogień zaporowy! Ognia! Sekundę później cztery działa zaczęły strzelać. Przez huk wystrzałów Vega słyszał jęk motorów, które obracały działa, a nawet wysokie dźwięki wyrzucanych łusek. Wykrzykiwane na cały głos rozkazy do podających amunicję ludzi wypełniły sekundy przerwy w kanonadzie. S-60 może wystrzelić siedemdziesiąt pocisków na minutę. Cztery działa wydawały się zasypywać niebo strumieniami pocisków. Sto metrów nad ziemią i kilometr od nich pociski zbiegały się, tworząc wyraźne linie, które miały przeciąć tor lotu myśliwców. Nawet przy kierowanym radarowo ostrzale potrzeba było

tysięcy pocisków, żeby zestrzelić jeden samolot. Vega mógł jedynie czekać i mieć nadzieję, że celowniczym dopisze szczęście.

- Jakie macie zapasy amunicji? - Spytał.

- Ponad dwa tysiące sztuk na każde działo – odpowiedział Morona, wychylając się z rowu w stronę dział. Vega żałował, że nie mają sześciu dział i sprawnego radaru. Uświadomił sobie nagle bezsens takich marzeń. Równie dobrze może marzyć, że zdobył Pretorię. Teraz pozostało mu tylko koncentrowanie się i rozpatrywanie obecnej sytuacji. Ponad huk dział przebił się wysoki jękliwy dźwięk i Vega dojrzał na południowym wschodzie jakieś kształty. Leciały nisko i można było dostrzec jedynie ich zarysy na tle rozjaśnionego trochę księżycem nieba. Były to z pewnością *Intrudery* albo *Hornety*. Miał złudzenie, że lecą wolno, mimo iż ich prędkość przekraczała na pewno tysiąc kilometrów na godzinę. Niech to szlag! Udało im się uniknąć ognia zaporowego. Lecą wprost na nasze pozycje. Po chwili mignęły tak szybko, że Vega nie zdążył ich nawet policzyć.

- Padnij! - Silne ręce chwyciły go za ramiona i pociągnęły na ziemię. Vega chciał zaprotestować, ale słowa zagłuszył bliski wybuch, który zakończył się rozdzierającym hukiem. Leżąc twarzą do ziemi usłyszał, jak w powietrzu świszczą odłamki. Gryzący dym wypełnił okop. Poczuł palący ból w lewej nodze. Potrząsając głową, żeby wytrząsnąć piach z włosów, spojrzał na Moronę, który w tym samym momencie podniósł wzrok.

- Zobaczyłem, jak nadlatują z północy, kiedy wszyscy patrzyli na pierwszą grupę. Dwa samoloty. Leciały wprost na nas. Kapitan zaczerpnął głęboko powietrza i skinął głową w stronę krawędzi okopu. - Myślę, że zbombardowali baterię. Generał zaczął się podnosić i nagle usiadł - noga odmówiła mu posłuszeństwa. Poczuł, że nie może nią ruszyć. Morona dopiero teraz się zorientował i bez namysłu krzyknął na całe gardło: - Lekarza! Generał jest ranny! Mimo bólu i potwornego osłabienia Vega chciał koniecznie zobaczyć, jakie straty poniosła bateria i ponownie usiłował wstać, ale nie udało się mu. Z jękiem opadł na ziemię. Gdy podniósł głowę, ujrzał pochylającego się nad nim lekarza, który właśnie rozcinał nogawkę spodni. Usiadł, żeby pomóc, ale zakręciło mu się w głowie. Zdażył jeszcze spojrzeć na ranę i ogarnęła Joto ciemność.

## • 11 stycznia - Warmbad, kwatera generała Vegi

Dowództwo zostało ulokowane w kilku sklepach stojących w rzędzie na jednej z bocznych uliczek. Łączność odbywała się za pośrednictwem posłańców i telefonów polowych. Na ulicy nie było więc dużego ruchu, który zdradza każdą kwaterę dowództwa. Utrudniało to pracę, ale dzięki temu jeszcze żyli. Vega wybrał na własną kwaterę małą księgarnię. Rozłożony na fotelu na kółkach, zabranym z jednego z biur na piętrze, trzymał nogę w górze.

- Rosjanie obiecali wymienić nasze zenitówki i przysłać nowsze rakiety, żeby wzmocnić osłonę przeciwlotniczą. - Suarez stanął przed nim z teleksem w ręce. Vega sięgnął po kartkę, ale w ostatniej chwili poczuł ból i machnął tylko ręką.

- Ile ich potrzebowalibyśmy, żeby obronić się przed samolotami z dwóch lotniskowców, pułkowniku? Kto zapewni szkolenie naszych ludzi na nowym sprzęcie?

- Mówił trochę agresywnym tonem. - Działa nam się przydadzą, ale poproście Rosjan, żeby nam raczej dostali generatory dymu i więcej makiet. Suarez skinął głową, uśmiechając się.

- To może załatwić nam dwie sprawy: Amerykanie i Południowoafrykańczycy będą mieli więcej celów do ostrzelania i nie będą wiedzieli, jakimi siłami dysponujemy. Vega pokręcił głową.

- Chciałbym, żeby nas nie doceniali. Jest zupełnie jasne, że RPA koncentruje przeciw nam swoje siły. - Możemy ich jednak pobić. jakie są dane o stratach na dziś?

- Około dziesięciu procent naszych wozów pancernych jest zniszczonych, kolejnych dziesięć procent uszkodzonych, ale nadających się do naprawy, zwłaszcza jeśli się weźmie części z wraków. Te liczby podwajają się u jednostek specjalistycznych; zwłaszcza artyleria i obrona przeciwlotnicza porządnie oberwały. Vega przypomniał sobie baterię B. W ostatnim nalocie stracili dwa kolejne działa i dwudziestu ludzi. Miał okazję osobiście przekonać się, że obecna statystyka Suareza jest zgodna z prawdą.

- Nasza obrona zestrzeliła siedem samolotów i trafiła kolejnych dziesięć - oznajmił Suarez. Tym razem Vega miał wątpliwości. Już dawno temu nauczył się nie ufać obliczeniom strat wroga.

- Ile wraków znaleziono?

- Trzy, towarzyszu generale. Cztery pozostałe paliły się, gdy opuszczały strefę ostrzału. Generał pokręcił głową.

- Bez względu na to, ile ich było, myślę, że ataki powinny teraz zelżeć. Musimy oczekiwać kolejnych nalotów, ale nie w takim nasileniu jak w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Od tej chwili będziemy przeprowadzali nocne ataki. Jeśli będziemy pamiętali o właściwym rozproszeniu i maskowaniu, powinniśmy oczekiwać minimalnych strat. Suarez nie był przekonany. Miał wątpliwości, ale głęboko to ukrył.

- Tak długo, jak nie zaatakują naszych lotnisk w Mozambiku i Zimbabwie, nie powstrzymają naszych dostaw.

- Amerykanie wcale nie muszą i nie chcą atakować lotnisk. Nasze linie zaopatrzeniowe są wystarczająco rozciągnięte i mogą je przeciąć jeszcze przed granicą. Dalej jest dla nich zbyt duże ryzyko, że trafią na Rosjan. Tak samo jak Rosjanie nie zdecydują się wysłać swoich samolotów tutaj z obawy, że stracą maszyny czy ludzi. - Vega pomyślał o lotnisku w Naboomspruit, które z łatwością mogło przyjmować samoloty transportowe. Rosjanie jednak nalegali na przyjmowanie ich samolotów na lotniskach tyłowych, które były oddalone o ponad sto kilometrów od jego brygady. Rozumiał powody, ale nie zwiększało to jego życzliwości dla sojuszników. Vega usiłował się wyprostować w fotelu, ale znowu zawiodły go siły. Brak snu i rana uda, do której zszycia potrzeba było trzydziestu szwów, nie mogły przejść bez echa. Suarez zrobił zatroskaną minę. Jeszcze przed wypadkiem generał dawał z siebie wszystko. Teraz był blady i wyraźnie na krawędzi wyczerpania. Zmęczony dowódca nie jest dobrym dowódcą. Przyśle panu lekarza i śniadanie, towarzyszu generale. Powinniście odpocząć. Podobnie jak cała armia - odparł Vega. Lekki środek przeciwbólowy i jedzenie pokrzepiły go. Szef sztabu pozwolił mu się przespać kilka godzin. Suarez miał trochę czasu, żeby zorganizować armię i zająć się liniami zaopatrzeniowymi. Kiedy Vega się obudził, mówił z większą energią i optymizmem, mimo iż nadal był blady. Podczas obiadu wydał kilka zarządzeń dotyczących amerykańskich nalotów i omówił problemy związane z nocną walką. Wyraźnie żałował straconego przedpołudnia. Suarez uśmiechnął się. Odżałowałby pół dnia udanego marszu, żeby tylko generał wrócił do kierowania brygadą. Po obiedzie grupa dowódców udała się na pozycje obserwacyjne. Wszędzie widać było ślady nocnych nalotów. Suarez był cały czas niespokojny, ale Vega nalegał, żeby osobiście obserwować pierwszy nocny atak. Tłumaczył, że nikt z nich nie ma doświadczenia w tej kwestii, a on sam musi się nauczyć więcej i szybciej niż ktokolwiek inny w armii. Gomez zaparkował gazik w małej zatoczce, gdzie wyschnięty strumyk wrzynał się w podnóże. W pobliżu rosło kilka małych zagajników. Grupa dowódców, w której skład wchodził Vega, Vasquez i Gomez, rozsiadła się wygodnie, czekając na pierwsze samoloty. Znajdujący się w kwaterze Suarez kierował bitwą. Vega rozleniwiony trochę beczynnością rozmyślał o tym, że Suarez kierujący bitwą daje sobie ze wszystkim świetnie radę. Kiedy będą odbywały się promocje na generałów, Suarez powinien znaleźć się na liście. Powinien nawet

dowodzić dywizją... Kilka wybuchów gwałtownie go otrzeźwiło.

- Boże! jak długo spałem?

- Jakieś pół godziny, towarzyszu generale. Nie działo się nic ciekawego, a potrzebowaliście odpoczynku. Artyleria właśnie otworzyła ogień zaporowy.

- Dobrze.- Poczuję ulgę, że nic nie straciłem z przedstawienia, ale jednocześnie byłem zirytowany. Czy wszyscy będą się bawili w pielęgniarzy? Sięgnął zamaszycie po lornetkę. Widzialność była zła. Księżyc i gwiazdy nie były w stanie przebić się przez gęste chmury. Widać było tylko zarysy niskiej roślinności na tle monotonnego krajobrazu. Po lewej stronie Vega dostrzegł rozbłyski i usłyszał dalekie wybuchy. W miejscach, gdzie spadły pociski, paliła się gdzieś tam wysuszona trawa. Miał cichą nadzieję, że były to pozycje Afrykanerów. Wydawało się, że płaski teren poprzecinany był rowami i wzniesieniami, które mogły nawet ukryć wozy pancerne. Jeśli wróg miał czas, mógł je okopać, pozostawiając nad ziemią jedynie wieże z lufami, tworząc w ten sposób doskonałe pozycje strzeleckie. Wolny marsz kubańskiej kolumny dawał Burom aż nadto czasu na przygotowania. Celem tej bitwy było odzyskanie inicjatywy. Południowoafrykańczycy przebudowali linię obrony i Vega musiał wykurzyć ich teraz z okopów. Mimo bolesnej rany generał poczuł przypływ energii. Wiedział dobrze, że może rozwalić Burów. Atak artyleryjski był pierwszym krokiem w tym kierunku. Ogień zaporowy ustał. Kilka kilometrów dalej załogi dział przenosiły je na nowe stanowiska. Bateria umilknie na pół godziny, ale lepsze to niż stracenie jej na zawsze. Vega leżał cierpliwie, cały czas obserwując pole bitwy. W ciemnościach rozległy się stłumione grzmoty dochodzące daleko z tyłu. Część jego wojsk była bombardowana. Vega miał nadzieję, że Suarez daje sobie radę z dodatkowym zamieszaniem. Druga faza ataku wyglądała na opóźnioną. Vega czuł, że ogarnia go niezwykle dla niego zdenerwowanie. Miał już sięgnąć po telefon, kiedy usłyszał odgłos wystrzałów z dział po lewej stronie. Nadal było ciemno i widział jedynie smugi ognia lecące w stronę południowoafrykańskiej obrony. T-62 miały niewielką szansę trafienia, ale zmuszą Burów do ostrożności i odwrócą ich uwagę. Nagle zobaczył płomyki zmierzające tym razem w stronę jego wojsk. Nie dostrzegł nawet, skąd zostały wystrzelone. Przeczesał szybko lornetką własne pozycje. Żadnego ognia, żadnych wybuchów. Całe szczęście. Od czasu przerwania ich ognia artyleryjskiego minęło już piętnaście minut, w czasie których generał liczył każdą sekundę, mając nadzieję, że bateria zostanie ustawiona przed czasem. Nieprzyjaciel nie dał im jednak tej szansy. Odgłos wybuchu był prawie jednoczesny z jasnym, migocącym światłem. Ich plan został przejrany. Dotychczas ukryte w mroku ukazały się nagle rzędy czołgów i transporterów opancerzonych, zbliżających się od prawej strony do linii Burów. Ktoś musiał coś usłyszeć i wystrzelił flary. Vega dobrze wiedział, że musi się to zdarzyć, ale żałował, że czołgi nie zdążyły podejść na zaplanowaną odległość. T-62 wybrano specjalnie, żeby głośna praca ich silników i wcześniejsze strzały zmyliły na dostateczny czas nieprzyjaciół. Tak się jednak nie stało. Teraz przyglądał się nadjeżdżającym wozom pancernym. Wyraźnie przyspieszyły, rezygnując z utrzymania szyku. Generał zdecydował się na złamanie standardowej zasady i zakazał strzelania, dopóki nie znajdą się na dogodnej i pewnej pozycji strzeleckiej. Czołgi były jakiś kilometr od umocnień wroga i lada chwila powinny otworzyć ogień. Nieprzyjaciel potrzebował tylko kilku sekund, żeby spostrzec nadciągający batalion pancerny i zorientować się w niebezpieczeństwie. Z okopów wystrzeliły strumienie pocisków smugowych. Vega dostrzegł kilka trafień, ale jego czołgi nie otwierały jeszcze ognia. Zaczął się podnosić, kiedy poczuł rękę Vasqueza na ramieniu. - Stąd najlepiej widać. A bliżej zwiększy się jedynie możliwość, że trafi nas odłamek, a tym razem możecie nie mieć tyle szczęścia. Generał usłyszał. Najlepszy punkt do śledzenia bitwy był właśnie tutaj, nawet jeśli było trochę ciemno. Pokręcił głową. Czy możliwe, żeby rana aż tak go osłabiła, że zmniejszyła jego

czujność? Postanowił bardziej panować nad odruchami. Ogień nasilił się i Vega pomyślał, że batalion jest już dostatecznie blisko pozycji wroga. Pociski nadlatywały teraz także z lewej strony i z centrum pola bitwy. Uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie zamieszanie wśród nieprzyjaciół; najpierw musieli wysłać oddziały na lewą flankę, następnie pospiesznie przenosić je na prawą, gdy zorientowali się, skąd nadchodzi główne uderzenie. Vega uwielbiał zamieszanie bitewne, ale pod warunkiem, że panowało wśród nieprzyjacielskich linii. Zbliżył się Gomez.

- Dowódca baterii zgłasza gotowość.

- Powiedz mu, żeby zaczynał zgodnie z planem - rozkazał, wpatrując się jednocześnie w miejsca swoich pozycji. Niektóre czołgi i wozy bojowe płonęły. Wiedział jednak, że to, co widzi, nie daje pełnego obrazu strat. Mając wieloletnie doświadczenie, orientował się, że przeciętnie zapala się co trzeci trafiony pojazd, a teraz w ciemnościach mógł dostrzec jedynie ogień. Pragnął z całego serca, aby ludziom udało się uciec z płonących pułapek. Co ważniejsze, miał nadzieję, że inni nie potracą w tym zabójczym zamieszaniu głów i będą atakować w odpowiednim kierunku. Wyjący ryk odezwał się za nimi i po chwili doszły ich odgłosy wybuchów. Jego artyleria bombardowała teraz Afrykanerów pociskami kładącymi zasłonę dymną. Dym odetnie jedną trzecią pola bitwy, zmniejszając znacznie skuteczność burskich działań i utrudniając dostęp do tego obszaru. Ogień artyleryjski na chwilę ustał, aby przenieść się na nowe miejsce. Taktyka była wymuszona przez siłę ognia wroga i jego przewagę powietrzną.

- Zastępca dowódcy batalionu uderzeniowego melduje, że czołgi przerwały linię i zwracają się w lewo! - Gomez niemal krzyczał z podniecenia i Vega był zadowolony, że ciemności skrywały jego własny szeroki uśmiech. Mając czołgi na swojej prawej flance, Południowoafrykańczycy będą musieli wycofać się w pośpiechu albo zostać i zginąć. Oby wybrali to drugie wyjście, pomyślał z mściwością Vega. Wyobraził sobie przerażonych Burów odwracających głowy i widzących wyłaniające się z dymu czołgi. Dowódca batalionu przestał się komunikować. Vega miał nadzieję, że jego problemy ograniczają się do zepsutego radionadajnika. Obecnie musieli zająć afrykanerskie pozycje i szybko okopać się przed porannym nalotem amerykańskich myśliwców. Kiedy Amerykanie zorientują się wreszcie, gdzie są Kubańczycy, oni będą już pod osłoną dział przeciwlotniczych. Vega wstał powolutku z ziemi. Znajdowali się tylko o jeden rzut kamieniem od Pretorii. Jego ludzie przetrwali atak atomowy, napady partyzantów, potężne amerykańskie uderzenie z powietrza. Dali sobie radę we wrogim terenie i z nie sprzyjającą pogodą. Nic ich już nie mogło zatrzymać.

## • 13 stycznia

Vega spał cały ranek, co było jak na niego niezwykle. Przyzwyczał się do wczesnego wstawania, ale tak było, nim został ranny i zanim wojsko zaczęło przeprowadzać nocne ataki. Jego pokój, uprzednio księgarnia, pogrążony był w ciemnościach. Gdy się obudził, ogarnęła go panika, że przespał cały dzień. Trzeba zorganizować kolejny nocny atak i musi zobaczyć Suareza... Z przylegającego pokoju doszły go głosy i zobaczył promienie słoneczne przedzierające się przez szczeliny w zamkniętych okiennicach. Spojrzał na zegarek i odetchnął z ulgą. Jedenasta rano. Spał osiem godzin i mimo że jego noga bolała jak cholera, czuł się lepiej niż w ciągu ostatnich tygodni. Czas zaplanować kolejną bitwę, zanim Południowoafrykańczycy będą mieli czas umocnić się na nowym miejscu. Vega ubrał się po cichu, uważając przy każdym ruchu na nogę. Brakowało mu Gomeza, ale kapral był potrzebny do wykonania Innych zadań w kwaterze. Prostując się, otworzył drzwi i pokuśtykał do pokoju zajmowanego przez sztab. Vasquez, Suarez i kilku oficerów wywiadu zawzięcie dyskutowali. Wszędzie leżały porozkładane książki i mapy. Byli tak po-

chłonięci rozmową, że nie zauważyli obecności Vegi, dopóki przy nich nie stanął. Vasquez pierwszy wyczuł obecność generała i odwrócił się. Pozostała część sztabu, zawstydzona i trochę wystraszona, stanęła na baczność. Generał odpowiedział na ich wymruczane pozdrowienia i usiadł na podsuniętym mu krześle. Za jego plecami wszczął się ruch i po chwili podano mu śniadanie składające się z chleba, dżemu, puszkowanego mięsa i mocnej kawy. Odbierając talerz, Vega przypomniał sobie śniadanie w hotelu „Strand”. Wydawało się, że całe wieki minęły od tamtego czasu, ale nadal pamiętał elegancką zastawę. Ale to śniadanie bardziej mu odpowiadało.

- Jaka jest sytuacja, pułkowniku? - spytał Vega, podnosząc filiżankę do ust.

- Opierając się na doniesieniach jeńców i innych źródłach, jesteśmy przekonani, że batalion, który pokonaliśmy zeszłej nocy, składał się z kilku zebranych naprędce oddziałów. Na podstawie policzonych zwłok i zniszczonych wozów wiemy, że ponieśli co najmniej dwudziestopięcioprocentowe straty. Nasze straty są zbliżone do piętnastu procent. Zginął też pułkownik Oliva - dodał Suarez. Vega ponuro skinął głową. Nocne akcje były przeprowadzane na niewielkim dystansie i kończyły się walką wręcz, co zwiększało straty. Jeśli będą mieli jednak szansę dostać się wreszcie do Pretorii, to jest w stanie zaakceptować te straty. Może duża bitwa zmusi Rosjan do skrócenia linii zaopatrzeniowych. Zdawał sobie sprawę, że wybiega myślami w przyszłość. Tymczasem Vasquez opisywał nową pozycję Burów, miasto Temba, a w zasadzie małą osadę górniczą. Przez miejscowość przebiegało skrzyżowanie dróg, a mała rzeczka dodatkowo utrudniała sprawę. Teren był zdradziecki... Vasquez wskazał na poznaną mapę.

- Sytuacja jest nieco skomplikowana, ale wysłałem zwiadowców. Mają zbadać strefy ostrzału i możliwe drogi podejścia. Powinni wrócić przed wieczorem. Próbujemy także przewidzieć plan bitwy, który będzie usiłował narzucić nieprzyjaciel, ale pułkownik zawahał się - mamy z tym pewne kłopoty. Vega skinął niecierpliwie głową. Informacje zwiadowców zawsze były niepewne, a amerykańskie naloty praktycznie uniemożliwiały jakiegokolwiek ruchy. Szanse na zwiad powietrzny były równe zeru, zwłaszcza że ostatnie dwa samoloty zwiadowcze zostały strącone przez amerykańskie myśliwce. Wszyscy znali ten beznadziejny prawie w obecnej sytuacji problem. Spojrzał na pułkownika.

- O co chodzi?

- Zaobserwowaliśmy duży ruch nie tylko w mieście, ale także na drogach dojazdowych.

- Powinniśmy tego oczekiwać - odparł Vega. - To niemal na pewno ostatnia pozycja obronna Burów, a poza tym jesteśmy już bardzo blisko stolicy. Zupełnie naturalne...

- Towarzyszu generale, w swoich najgorszych ocenach szacowałem ich siły na batalion pancerny, dwa osłabione bataliony piechoty i dwie baterie artylerii. - Wszyscy oficerowie skrzywili się. Tak mocne siły obronne uniemożliwiłyby im zajęcie Temby.

- Otrzymaliśmy informacje o dwóch batalionach pancernych, znacznie mocniejszych, niż mogliśmy przewidywać. Jeden z nich składa się wyłącznie z czołgów!

- Co takiego? - Vega nie ukrywał zaskoczenia. Cała południowoafrykańska armia nie zebrałaby batalionu czołgów.

- Straciliśmy kilka wozów zwiadowczych, zniszczonych rakietami przeciwczołgowymi z odległości ponad trzech kilometrów. Wyrzutnie są zamaskowane, ale muszą być rozmieszczone na obrzeżach miejscowości. Oficer ciągnął dalej.

- Widziano także nad miastem helikoptery. Zbliżają się dostatecznie blisko, żeby je zobaczyć, ale zwiadowcy nie mogą rozpoznać typu. Vega był coraz bardziej zaintrygowany.

- Jak myślicie, do czego mogą się szykować?

- Możemy tylko przypuszczać, że to ich ostatni zryw. Jesteśmy bliżej Pretorii niż

Amerykanie, a zresztą Burowie nam zawsze stawiali silniejszy opór. Od kilku dni na tamtym froncie panuje w większości spokój. Według mnie, przesunęli stamtąd wszystkie prawie jednostki przeciw nam, a po naszym wczorajszym zwycięstwie przysłali także oddziały broniące do tej pory Pretorii.

- Inne możliwości? - spytał generał.

- Nie widzę żadnych. Mieliśmy bardzo dokładne informacje o ich siłach jeszcze przed rozpoczęciem wojny i jestem pewien, że nie mają żadnych innych wojsk w całym kraju. Ta mieszana brygada jest ich ostatnią siłą zdolną do walki. Wobec tego weźmy się do przygotowań. Jeśli uda nam się zorganizować jeszcze jeden atak nocny, koncentrując się na jednym skrzydle, moglibyśmy rozprawić się z nimi w ten sam sposób jak wczoraj. - Głos Vega był pełen energii i podniósł na duchu zebranych oficerów. Mieli duże szanse rozgromić siły nieprzyjacielskie równe niemal ich własnym. Wszyscy jak jeden mąż pochylili się nad mapą, usiłując rozpracować ukształtowanie terenu, gdy nagle przerwał im radiooperator.

- Panie generale, jeden z wozów zwiadowczych donosi, że od Temby jedzie jeep z białą flagą. Vega zaangażowany w planowanie przyjął wiadomość dziwnie spokojnie. Czego Burowie mogli chcieć?

- Zatrzymajcie ich na granicy naszych pozycji, ale grzecznie rozkazał. Wziął czapkę i płaszcz.

- Chodźcie - powiedział - nie będę przyjmował Burów w tej norze. Spotkamy się z nimi na linii frontu. Grupa wsiadła do gazika i skierowała na południe. Ich eskorta w drugim gaziku ledwo nadążała za nimi. Droga biegnąca na południe od „miasta” przecinała niskie wzgórza, na których rozlokowały się kubańskie oddziały. Grupa zbliżyła się do punktu kontroli i Vega spostrzegł dziwny wóz zaparkowany pod jednym z drzew. Był to amerykański jeep I pomalowany na szarozielony kolor. W samochodzie siedziała mała grupka oficerów z wyjątkowo silną eskortą. Kiedy kubański wóz zbliżył się bardziej, ludzie powstawali i przez chwilę naradzali się. Wokół nich ustawili się żołnierze, jakby oczekiwali napaści. Grupa Vega była już dostatecznie blisko, żeby rozpoznać przybyszów. Na widok amerykańskiego i brytyjskiego oficera z twarzy generała zaczęła znikać maska stoickiego spokoju. Co oni, u diabła tu robią? Obserwatorzy? Odzyskując panowanie nad sobą, wysiadł i poczekał, aż staną koło niego pozostali oficerowie. Vasqueza wysłał przodem. Pułkownik mówił po angielsku i mógł być ich tłumaczem. Vega znał tylko hiszpański i rosyjski. Pułkownik podszedł prosto do Południowoafrykańczyka w stopniu generała brygady.

- Jestem pułkownik Jaime Vasquez z Kubańskich Sił Rewolucyjnych. Chciałbym przedstawić generała Antonio Vegę, głów nodowodzącego w południowej Afryce. - Na dźwięk swojego nazwiska Vega skinął głową. Południowoafrykańczyk odwzajemnił salut Vasqueza, ale udało mu się zrobić to w taki sposób, by pułkownik odczuł jego niechęć. Odezwał się głosem opanowanym i zimnym: - Jestem brygadier Deneys Coetzee, Szef Sztabu Południowoafrykańskich Sił Obronnych i tymczasowy szef południowoafrykańskiego rządu. Reakcja Vasqueza była tak jednoznaczna, że Coetzee uśmiechnął się w duchu. O niczym nie mieli pojęcia. Wieści o upadku Vorstera zostały dokładnie ukryte, co nie było takie trudne przy ściśle kontrolowanej prasie. Dało to Coetzee i Amerykanom czas niezbędny na zjednoczenie sił i przygotowanie przykrew niespodzianki dla Kubańczyków. Coetzee dał tylko tyle czasu Vasquezowi, ile było potrzeba na przetłumaczenie, po czym przedstawił innych.

- To jest generał major Samuel Weber z Armii Stanów Zjednoczonych, a to pułkownik Nigel Moore z Armii Brytyjskiej. Vega znał nazwisko amerykańskiego generała z raportów wywiadu. Weber dowodził 24. Dywizją Zmechanizowaną. Ostatnie doniesienia wywiadu informowały, że dywizja znajduje się na Autostradzie N3 i kieruje się na północ, w stronę Johannesburga. Vega poczuł zimne dreszcze

przebiegające mu po plecach. Coetzee znowu zabrał głos.

- Niech pan powie swojemu generałowi, że RPA zakończyła wojnę ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią i poprosiła je o pomoc w walce z komunistycznymi wojskami, które ją zaatakowały. Vasquez zjeżył się, ale przetłumaczył. Vega zachował nieprzenikniony spokój, ale reszta była wyraźnie wzburzona.

- Niech pan go spyta, co się stało z Vorsterem - spytał Vega. Vasquez przetłumaczył.

- Nie powinno to was interesować, ale ponieważ wiadomość zostanie wkrótce przekazana do publicznej wiadomości, mogę powiedzieć. Został aresztowany pod zarzutem morderstwa i czeka na rozprawę - odpowiedział Coetzee. Vega poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Vorster nigdy by nie zawarł przymierza z Amerykanami. Był gotów raczej zniszczyć własny kraj, jeśli Vorster został odsunięty, Amerykanie i Brytyjczycy mieli wolną rękę. Amerykański generał podszedł bliżej, patrząc Vasquezowi w oczy.

- Nie mam ochoty wdawać się w długą gadaninę. Jeśli wasz wywiad wykonuje swoją robotę, to wiecie, kim jestem. - Vasquez mechanicznie skinął głową. Wskazując kciukiem za siebie, Weber powiedział: - Rozstawiłem w tym mieście batalion czołgów *M-1* i ściągam dwa kolejne bataliony z jednej z moich brygad. Nie powiem wam, chłopcy, kiedy, ale możecie przygotować się na najgorsze. Pochylił się w stronę Vasqueza tak, że ich nosy niemal się stykały.

- Dwie kolejne brygady będą tu bardzo szybko. - Wskazał na brytyjskiego oficera. - Ten gentleman także ma ze sobą kilka oddziałów, a jest jeszcze paru innych oficerów, którzy nie mogli przybyć na to spotkanie... - Vasquez zauważył, że Brytyjczyk nosił czerwony beret, co oznaczało, że musi dowodzić batalionem komandosów. - Mówiąc krótko, pułkownik, powie pan swojemu generałowi, że zamiast mieć do czynienia z rozbitą południowoafrykańską armią, ma przed sobą połączone siły. Vasquez zaczął tłumaczyć, ale Weber mu przerwał.

- Niech pan też doda, że jesteśmy świeży jak wschodzące pierwiosniki. Walczyłem trochę z Południowoafrykańczykami, ale nie bardzo mi się to podobało. Teraz, gdy mamy już z głowy Vorstera, z radością skopię parę kubańskich dup. Z ledwością hamując gniew, Vasquez przetłumaczył okrojoną wersję przemowy Webera. Mimo iż Vega usłyszał tylko skrót, nie potrafił się powstrzymać i zrobił krok w stronę Amerykanina. Natychmiast wtrącił się Coetzee.

- Proponujemy następujące warunki: wycofacie się natychmiast z terytorium Południowej Afryki, używając tych samych dróg, którymi przybyliście. Będziecie eskortowani wzdłuż całej drogi, ale nikt was nie będzie zaczepiał. Gdy tylko dotrzecie do Mozambiku i Zimbabwe, ewakuujecie swoje siły z Afryki. Na froncie namibijskim ogłosimy natychmiastowe przerwanie ognia połączone z obustronnym wycofaniem wojsk w celu całkowitego przywrócenia niepodległości Namibii. - Macie dwie godziny, żeby się przygotować i rozpocząć odwrót. Jeśli nie będziecie respektować naszych warunków, rozbijemy was w drobny mak. Powrót do Warmbad przebiegał w absolutnej ciszy. Każdy z oficerów miał jakieś własne przemyślenia i koncepcje, ale gdyby generał chciał ich wysłuchać, to by o nie poprosił. Umysł Vega był jak w ogniu - rozważał, kalkulował i odrzucał kolejne pomysły. Nie miał najmniejszego zamiaru skulić pod siebie ogon wobec groźby Południowoafrykańczyków i ich zachodnich sojuszników. Vorster został odsunięty podobnie jak jego sympatycy, a lu dzie z nowego rządu byli jedynie kukiełkami poruszonymi przez Anglików i Amerykanów. Ale tak było zawsze, jeśli Amerykanie przerzucali swoje wojsko do Temby, to musieli zająć Pretorię. Vega zdawał sobie sprawę, że nie bali się już o kopalnie i tylko Kuba psuła im szyki. Generał usiłował rozważyć wszystko od początku. Czy miał jeszcze szansę odbić Pretorię? Mało prawdopodobne. Na pewno nie przy obecnym zaopatrzeniu w sprzęt. Czy mógł zaszkodzić Zachodowi? To było bardziej realne, zwłaszcza gdyby mógł dobrać się do kopalni i je zniszczyć. Musiał pamiętać, że przez sam pobyt w tym kraju zagraża gospodarkom państw zachodnich.



To był teraz jego jedyny cel. Gazik zatrzymał się przed drzwiami kwatery i Vega ostrożnie wysiadł z wozu, uważając na zranioną nogę.

- Wyślij wiadomość do Hawany. Przekaż im obraz nowej sytuacji i poproś o posiłki. Będziemy potrzebowali zwiększonej pomocy od Rosjan. Powiedz Castro, co następuje: "Kapitalistyczne siły zjednoczyły się przeciwko nam i najwyższy czas. Aby socjalistyczne siły odpowiedziały na wyzwanie. To będzie wielka i decydująca konfrontacja". Vasquez pobiegł przygotować wiadomość. Vega milczał. W końcu Suarez spytał

- W takim razie nie będziemy się wycofywać?

- Owszem, będziemy ale tylko do Warmbad. Proszę przekazać wszystkim dowódcom, że zajmujemy pozycje obronne w mieście. - Zobaczył spojrzenia swojego sztabu. - Zmieniamy taktykę. Do tej pory przy ciągłym posuwaniu się naprzód mogliśmy pokonywać jedynie słabsze siły wroga. jeśli teraz okopimy się w Warmbad i pozwolimy się im zaatakować, z łatwością damy sobie radę nawet z ich dywizją. Kiedy odeprzemy ich uderzenie, podejmiemy ograniczone kontrataki, koncentrując się na utrzymaniu terenu i uszczuplaniu ich oddziałów. Żadnych ruchów, żadnych ofensyw. Będą musieli przyjść po nas i drogo to ich będzie kosztować. Do czasu, kiedy zbiorą dostateczną liczbę wojsk, Hawana i Moskwa przyślą nam dodatkowe posiłki. Suarez skinął głową. Mimo że w zasadzie był to dobry plan, nie mógł się pozbyć wątpliwości.

- A co z amerykańskimi nalotami? Widzieliśmy już, do czego są zdolni.

- Możemy dać sobie z nimi radę, jeśli odpowiednio się przygotujemy. Zaczniemy ściągać naszych ludzi. jak tylko się tu znajdą, każcie im się okopać i umocnić.

#### • 14 stycznia - Spotkanie Rady Obrony, Kreml, Rosja

Wiadomość od Vegi z prośbą o wsparcie była zacięte dyskutowana. W zasadzie nie było niezgodności zdań w tej kwestii Vega dokonał niemożliwego i znajdował się o krok od celu. Pytanie brzmiało: jak dużej pomocy należało mu udzielić? Rada była także zgodna co do kubańskiej prośby o skrócenie linii zaopatrzeniowych. Została ona odrzucona bez dyskusji. Rosyjskie samoloty lądujące w Afryce Południowej musiałyby się liczyć z konfrontacją z Amerykanami. Kubańczycy będą musieli pogodzić się z dotychczasowym rozwiązaniem. Marszałek Kamienin, szef Sztabu Generalnego, wyglądał na zmęczonego po nocy spędzonej nad planami. Rada nie mogła odpowiedzieć na prośbę Vegi, nie dysponując dokładnymi danymi i jego zadanie polegało na ich wyszukaniu i dokładnym zbadaniu. Koncentrując się na najważniejszych zagadnieniach, Kamienin powiedział:

- Vega ma teraz do czynienia nie tylko z większymi siłami, ale z bez porównania lepiej uzbrojonymi. Jego czołgi *T-62* i rakiety *Sagger* będą musiały walczyć z *M-1* i raketami *Hellfire*, a także nowoczesnymi helikopterami bojowymi i myśliwcami. Mimo iż jedynie minister obrony i marszałek Kamienin byli wojskowymi, każdy potrafił zrozumieć przewagę najnowocześniejszego sprzętu nad dwudziestoletnimi czołgami wyciągniętymi z lamusa.

- Jest także oczywiste, że nie możemy już planować zdobycia stolicy RPA. Amerykanie i Brytyjczycy wygrali wyścig, instalując tam swój marionetkowy rząd. Musimy skoncentrować się na ekonomicznej stronie. jeśli kubańskim siłom uda się zająć Witwatersrand i okopać się tam, mogą się utrzymać w nieskończoność.

Adiutanci Kamienina zaczęli rozdawać gruby dokument każdemu członkowi zebrania.

- To jest lista sprzętu, jaki musimy wysłać Vedze, jeśli ma wykonać swój plan. Są to nowoczesne rakiety przeciwpancerne, działa, sprzęt obrony przeciwlotniczej i samoloty.

- Kiedy pan będzie gotowy do wysłania pierwszej partii? - zapytał prezydent.

- Przy odrobinie szczęścia możemy dostarczyć im pierwszą część sprzętu jutro wieczorem. Uzbrojenie wysłane statkami przybędzie trochę później. Prezydent skinął głową i przesunął wzrokiem po uczestnikach zebrania.
- Jak rozumiem, oznacza to zamianę wojny błyskawicznej na pozycyjną. Minister spraw zagranicznych odpowiedział:
- Tak, panie prezydencie. Wojna ta jednak mocno podkopie zachodnią gospodarkę. Nie ryzykujemy życiem naszych ludzi, a koszty, które będziemy musieli teraz ponieść, będą jeszcze większe później dla Zachodu.

## • Warmbad

Słońce coraz bardziej wychylało się zza horyzontu, gdy Vega przyglądał się bunkrowi, który został zbudowany w nocy przez grupę żołnierzy piechoty pod nadzorem saperów. Usytuowany w piwnicach zburzonego domu na przedmieściach miasta bunkier miał dwumetrowej grubości strop składający się z kilku warstw drewnianych belek i ziemi. Był dokładnie zamaskowany. Zadbano o każdy szczegół. Generał zgodził się nawet na ustawienie w innym miejscu makiety nadajnika w celu zmylenia wrogich samolotów. Nie przypuszczał, że będą mieli na to czas. Według wcześniejszych przewidywań, spodziewano się ataków nocnych, ale do późna, oprócz przelotu paru zwiadowczych samolotów, było spokojnie i Vega zaryzykował dokładniejsze przygotowania. Teraz, patrząc na efekt, zacierał ręce z radości. Cały korpus zrezygnował ze snu, szykując się na poranne przywitanie nieprzyjacielskich samolotów. Generał był dumny ze swoich ludzi. Wyczerpani ostatnimi 'nocnymi walkami, niedożywieni i słabo uzbrojeni żołnierze znaleźli jeszcze siły, żeby się porządnie umocnić. Vega nie zostawił całej pracy w rękach swoich ludzi. Zmusił wszystkich nadających się do pracy mieszkańców Warmbad do kopania rowów. Biali i czarni pracowali pod lufami karabinów aż do świtu. Duża część mieszkańców zdążyła jednak uciec. Trudno się im dziwić, pomyślał Vega. Nie trzeba wojskowego geniuszu, żeby domyślić się naszych zamiarów. Nadal sprawdzał zewnętrzne umocnienia schronu, kiedy zawołał go operator radiostacji.

- Kapitan Morona donosi o zbliżających się samolotach! Vega wbiegł do środka. Raz dał się zaskoczyć i nie chciał popełnić tego samego błędu. Założone linie telefoniczne pozwalały generałowi skontaktować się ze wszystkimi dowódcami batalionów, punktami kontrolnymi i stanowiskami obrony przeciwlotniczej. Ważniejsze kable głęboko zakopano, żeby uniknąć ich przerwania. Przez szczelne drzwi bunkra słychać było stłumiony pomruk. Vega przyłożył na chwilę rękę do ściany, która zaczynała drgać przy każdym dalekim wybuchu. Niezbyt zaniepokojony odwrócił się do zebranych ludzi. Raporty od wszystkich stanowisk - zażądał. Operator konsoli przekazał rozkaz dalej i przez chwilę słuchał odpowiedzi Dwudziesty piąty batalion donosi, że nie ma żadnych ataków. Ze swojego stanowiska widzą samoloty bombardujące miasto. Chcą spróbować zmasowanego ataku z karabinów maszynowych. Vega potwierdził słuszność decyzji. Już wcześniej zalecił ostrzał z całej broni przeciwlotniczej w razie pojawienia się jakichkolwiek samolotów. Trzy pozostałe bataliony nadesłały podobne raporty. Po kilku chwilach Vega zorientował się, że nieprzyjaciel koncentruje się na jego obronie przeciwlotniczej. Posterunek pięć donosi, że co najmniej sześć odrzutowców atakuje baterię B. - Operator usiłował skontaktować się z baterią. Żadnej odpowiedzi. Kolejne raporty potwierdzały przypuszczenia Vegi. Cały atak był skierowany przeciwko obronie przeciwlotniczej. Vega miał trzy baterie 57-milimetrowych dział i trzy baterie 23-milimetrowych sprzężonych działek, które zostały zamaskowane w nocy. Żadna osłona nic mogła jednak pomóc przy tak zmasowanym ataku. W normalnych warunkach samoloty usiłowały raczej ominąć działa, dążąc do zniszczenia głównych wojsk. Jednak jego główne siły

zostały pozostawione w spokoju. Po dwudziestu minutach bombardowania Vega zwrócił się do swojego sztabu. Miał już własne przypuszczenia, ale chciał usłyszeć inne opinie.

- Panowie, co planuje nieprzyjaciel? Vasquez pierwszy się zdecydował.

- Chyba chcą zniszczyć naszą obronę przeciwlotniczą, a dopiero potem skoncentrować się na głównych siłach. Suarez zgodził się z nim.

- Sądzę, że zdecydują się na nalot przed świtem i atak lądowy w ciągu dnia. Vega skinął w milczeniu głową. Po półgodzinnym bombardowaniu Vega wyczuł, że dzieje się coś niedobrego. Operator nie mógł się skontaktować z żadną z baterii, a posterunki straży donosiły o braku ruchu wśród stanowisk dział. Jeden z żołnierzy z punktu położonego niedaleko baterii B odważył się pobiec i sprawdzić, co się stało. Wiadomości były tragiczne. Większość dział została zniszczona. Vega musiał pogodzić się z myślą, że stracił całą obronę przeciwlotniczą.

- Posterunek trzeci donosi o samolotach zbliżających się od wschodu. Zirytowany Vega zażądał dokładniejszych informacji.

- Powiedz trójce, żeby się bardziej postarali. Potrzebujemy liczb, typów i pułapów. Operator przekazał jego słowa i kiedy słuchał odpowiedzi, otworzył szeroko oczy.

- Trójka mówi, że leci dziesięć bardzo dużych samolotów. Są na dużej wysokości i nie mogą rozpoznać typu.

- Ja mogę - powiedział Vega i złapał lornetkę. Otworzył drzwi i stał przez chwilę w przejściu, przyglądając się niebu. Pozostała część sztabu czekała w napięciu. Co Amerykanie zamierzali? Vega znał już odpowiedź. Był przecież kiedyś obserwatorem w Wietnamie. Podniósł lornetkę wyżej. Tam! Samoloty były prawie niewidoczne, ale nawet z tej odległości rozpoznał charakterystyczne kształty. Odwrócił się i z hukiem zatrzasnął drzwi.

- Amerykańskie bombowce *B-52*. Usiądźcie na ziemi i trzymajcie się czegoś solidnego, za chwilę będzie tu gorąco. Odłożył lornetkę, usiadł obok biurka i złapał je za nogi. Reszta ludzi w pośpiechu siadała gdzie popadnie, szukając jakichś uchwytów. Wewnątrz bunkra nie można było usłyszeć lecących wysoko samolotów. Usłyszeli dopiero spadające bomby. Pięć godzin wcześniej z lotniska na wyspie Diego Garcia wystartowały cztery eskadry po trzy *B-52G*. Rozkaz startu przyszedł jeszcze przed zapadnięciem nocy, ale kilka godzin zajęło uzupełnianie paliwa i załadowanie pięćdziesięciu jeden półtonowych bomb na każdy z olbrzymich samolotów. Bombowce nadleciały nad miasto w zwartym szyku, poprzedzane przez dywizjon *F-18* i *F-14*. Po tym jak trzy dywizjony myśliwców zbombardowały obronę naziemną, nie oczekiwano żadnego oporu. Bombowce zrzuciły swój ładunek równomiernie na całe Warmbad. Odgłos wybuchów narastał nieprawdopodobnie szybko. Odległe grzmoty w jednej chwili zmieniły się w szalejącą tuż nad głowami burzę. A potem już było piekło. Huk rozsadał czaszki, a nieustające wibracje przyprawiały o zawroty głowy. Wydawało się, że już nic gorszego nie może się zdarzyć, ale nagle bunkier zatrząsł się jak tekturowe pudełko, a wewnątrz zaczęło przypominać kabinę pojazdu kosmicznego. Ciężkie przedmioty fruwały w przepelnionym tumanami dymu i kurzu powietrzu. Ludzie jeszcze przez parę sekund automatycznie zaciskali palce na każdym możliwym do uchwycenia występie... Drgania nagle jeszcze się wzmogły, światło zgasło, a w pomieszczeniu rozległy się jęki i krzyki ludzi rozbijających się o ściany. Vega został wyrzucony ze swojego miejsca i w locie zderzył się z radiooperatorem. Oszołomiony i obolały nie usłyszał nawet, że bombardowanie się skończyło. Próbował wstać, ale uderzył głową o sufit. To go otrzeźwiło. Co się stało z bunkrem? Czyżby zostali przysypani? Gdzie są drzwi? Muszą się koniecznie stąd wydostać. Przez gęstą zasłonę pyłu nic nie było widać. W pewnej chwili dostrzegł sączące się przez szczelinę światło. Podpełzł w tym kierunku. Drewniane drzwi zostały wyrwane i zmiażdżone, a wyjście tarasował tylko stos maskujących je wcześniej belek. Na

szczęście łatwo dały się rozsunać i po chwili Vega znalazł się na zewnątrz. Powietrze było tu jedynie odrobinę czystsze. Próbując zaczerpnąć głębszego oddechu, Vega zakrztusił i zgięty wpół kaszlał przez chwilę spazmatycznie. Potem rozejrzał się. Miasto wyglądało na nie naruszone. Patrząc na nie, generał poczuł przypływ nadziei i obrócił się, żeby zobaczyć dwudziesty piąty batalion. Bunkier został ulokowany na przedmieściach Warmbadu, na północnym krańcu miasta. Vega rozmieścił bataliony w kole opasującym miasto. Każdy z czterech batalionów, okopany na płaskim, pozbawionym drzew, terenie zajmował dziewięćdziesięciostopniowy łuk. Nierówny teraz, porany teren nie zdradzał żadnych śladów życia. Wiatr unosił dym i kurz, pozwalając dostrzec kraterę po bombach. Były olbrzymie, każdy o średnicy kilkunastu metrów. Zauważył w pobliżu połamane szczątki Ak-47. Vega słyszał za sobą krzyki. To ludzie z jego sztabu wyszli ze schronu. Nie zwracając na nich uwagi, ruszył wolno w stronę najbliższego, odległego o kilkaset metrów punktu dowodzenia batalionu. Powietrze coraz bardziej się oczyszczało i wokół było widać coraz więcej przerażających szczegółów. Vega zrobił zaledwie kilka kroków, gdy potknął się o wystającą z gruzu nogę. Idąc dalej, natknął się na kolejne szczątki. Nie mógł rozpoznać, czy pochodzą z jednego, czy kilku ciał. Musiał uważać na każdym kroku. Teren był pokryty półmetrową warstwą sypkiej ziemi. Przypomniał sobie, jak w domu chodził po świeżo zaoranych polach. Ziemia miała tutaj tę samą konsystencję. Nastąpił na coś twardego. Nie miał pojęcia, czy to człowiek, czy jakiś sprzęt. Ruszył dalej, spoglądając pod nogi i omal nie wpadł na coś, co jeszcze niedawno było opancerzonym wozem transportowym. Leżący na boku pojazd wydawał się nie naruszony, ale niemal całkowicie pokryty był cienką warstwą ziemi. Vega pamiętał, że najbliższe wozy ustawiono jakieś pięćdziesiąt, sto metrów dalej. Sięgnął w stronę wjazdu, chcąc sprawdzić, czy ktoś z załogi nie przeżył, ale zaraz opuścił rękę. Nie miało to najmniejszego sensu. Jego sztab znalazł go w tym samym miejscu pięć minut później. Patrzył na zachód i nie odwrócił się, kiedy podeszli. Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu. Wreszcie Vega odezwał się.

- Wyślijcie parlamentariusza do Południowoafrykańczyków. Odwrócił się do nich.
- Wracamy do domu.

## 42

### Odwrót

- **14 stycznia - lot zwiadowczy, nad Autostradą N1**

„Sopel” Isaacs z trudem opanowywał zniecierpliwienie spowodowane monotonią lotu, ale zgodnie z rozkazem cały czas trzymał się autostrady. Chcąc na chwilę odwrócić uwagę, zerknął na samolot Spike Fabera i pomachał ręką. W odpowiedzi skrzydłowy uśmiechnął się i wykonał pełną beczkę. Ze zrozumiałych względów akrobacje podczas jakichkolwiek zadań były kategorycznie zabronione, ale „Sopel” powstrzymał się przed natarciem mu uszu. Ta misja nie przypominała bowiem żadnej

z tych, w jakich do tej pory brali udział. Spojrzał w dół. Tysiące uzbrojonych Kubańczyków mignęły pod samolotem i autostrada ponownie opustoszała. Poleciał dalej na północ, chcąc zwiększyć odległość przed wykonaniem zwrotu. Przy niskiej prędkości i z pułapu zaledwie stu metrów z łatwością mógł dostrzec każdy szczegół na ziemi. Ciężarówki, długie kolumny maszerujących ludzi i, co najważniejsze z jego punktu widzenia, żadnej broni wycelowanej w samolot. Isaacs pociągnął *Hometa* do góry łagodnym łukiem, radując się rozkoszą pilotowania tej maszyny. Nie był to wprawdzie zwrot, który wyciskał pięć g podczas walki powietrznej, ale obecnie nigdzie mu się nie spieszyło. Porucznik Isaacs czuł lekką ulgę, że wszystko układa się tak dobrze. Na odprawie poinformowano go, że Kubańczycy nie odważą się strzelać do nich, ale zawsze istniało prawdopodobieństwo, że Jakiegoś zapaleńca zaświerzbi palec na spuście. Uśmiechnął się. Może to przelot *Intruderów A-6*, które wcześniej minęły kolumnę na wysokości trzystu metrów, ostudził zapal maszerujących wojsaków. "Sopel" wyprowadził samolot z zakrętu i skierował go na drogę. Długie cienie powinny ułatwić pracę analitykom od zdjęć. Za kilka godzin dowództwo będzie miało dokładne dane o sile wycofujących się Kubańczyków. Włączył kamery i rozpoczął drugie podejście. Generał Vega spojrzął ze złością na myśliwce, które jakby kpiły sobie z nich. Pragnienie zestrzelenia wroga było niemal równie wielkie jak poczucie hańby, ale to by było zwykłe samobójstwo. Był wyjątkowo dumny ze swoich ludzi i jego jedynym celem było zapewnienie im bezpiecznego powrotu do domu. Myśl o Kubie pomagała mu iść naprzód, nawet jeśli od tyłu posuwały się za nim amerykańskie czołgi. Wróg okazał się wyjątkowo szlachetny. Pozwolono jego ludziom przez całe przedpołudnie ratować tych, którzy przeżyli bombardowanie. W południe rozpoczęli długą drogę do domu.

- **15 stycznia - Rada Obrony, Kreml, Rosja**

Marszałek Kamienin, trzymając w ręce kartkę z wiadomością, stał przed członkami rady z taką miną, jakby to była informacja o śmierci ukochanej osoby. Tumanski, minister spraw zagranicznych, spytał:

- Czy nie możemy niczego zrobić, niczego obiecać, żeby go zatrzymać? Kamienin pokręcił głową.

- Spotkałem kiedyś generała Vegę, a przez te wszystkie miesiące czytałem jego raporty. Znam go. Teraz został naprawdę pokonany. Przeczytał na głos: „Przewaga wroga jest zbyt duża. Nawet mając do dyspozycji wszystkie wojska Kuby, nie mógłbym pokonać zachodnich sił sprzymierzonych”. Kamienin podniósł wzrok znad kartki.

- Vega udziela nam nagany. Sugeruje, że choć on nie może przeciwstawić się Zachodowi, Rosja mogłaby to zrobić.

- Czy moglibyśmy? - Tumanski wyglądał na przejętego. Wcześniej nasz cel był bardzo wyraźnie określony. Siły socjalistyczne walczyły z prawdziwym wrogiem, z ostatnim kapitalistycznym ustrojem w Afryce. Mieliśmy po swojej stronie światową opinię.

- Co ważniejsze - wtrącił prezydent - mogliśmy założyć pętlę na szyje zachodnich państw, a jednocześnie nasza gospodarka korzystała na tym. - Zwrócił się do Kamienina. - jak to wygląda od strony militarnej? Marszałek westchnął.

- Jeśli chcielibyśmy przedłużyć wojnę, musielibyśmy wysłać co najmniej po jednej dywizji naszych wojsk do Mozambiku i Zimbabwe. Ludzie Vegi są wykończeni. Musielibyśmy sami przystąpić do walki. Po zdobyciu lotnisk posuwalibyśmy się na południe tymi samymi drogami co wojska Vegi. Minister spraw zagranicznych skinął głową.

- A może ten wysiłek wart jest podjęcia walki z Amerykanami? Prezydent i inni

członkowie rady nie wydawali się podzielać jego opinii. Ile by trzeba czasu na wykonanie takiego planu? Mógłbym wysłać pierwsze oddziały samolotami w ciągu dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin. - Niechętny ton wypowiedzi odpowiadał treści słów. - Dywizje kategorii A mogłyby zostać wzięte z rezerwy. Potrzeba dwóch tygodni na zebranie odpowiedniej siły na miejscu i kilku miesięcy, żeby dostać się do Pretorii. jeśli w ogóle byłoby to możliwe. Jakie są szanse na sukces? - spytał prezydent. Bardzo niewielkie. Amerykanie i Brytyjczycy zajęli już teren. Musimy założyć, że nasze wojska zostaną zbombardowane przez samoloty operujące z lotniskowców i z lądu, od razu po przybyciu na miejsce. Nie ma wątpliwości, że ściągnęliby więcej jednostek, które siłą dorównywałyby wysłanym przez nas. Nasza Interwencja mogłaby skłonić inne państwa do przyłączenia się do wojny. Walczylibyśmy z uzbrojonym i gotowym na nasz atak wrogiem na wybranym przez niego terenie i daleko od naszych granic. To mogłoby się przeciągnąć na całe lata. Tumanski dopowiedział: Długa wojna skończyłaby się dla nas tragedią. jeśli natomiast moglibyśmy przeprowadzić szybką kampanię i uprzędzić atak opinii światowej...? Kamienin przerwał mu. Rozsądny człowiek uważnie wybiera odpowiednią porę na walkę, panie ministrze. A to nie jest odpowiedni czas. Minister spraw zagranicznych nie odzywał się więcej. Są jeszcze jakieś inne rozwiązania? - Prezydent przebiegł wzrokiem po zebranych. Członkowie rady nie mieli nic do dodania.

- Panie prezydencie, zacznę przenoszenie kubańskich oddziałów do Luandy i stamtąd do Hawany. Prezydent westchnął.

- Zgadza się. - Minie sporo czasu, zanim ponownie zainwestujemy ruble w Afrykę.

### • **16 stycznia - Dowództwo Korpusu Ekspedycyjnego Sił Sprzymierzonych, Durban**

Delegat z Departamentu Stanu, w garniturze i krzykliwym krawacie, wydawał się zupełnie nie na miejscu wśród żołnierzy. Generał Craig oczekiwał jego przybycia z pewną obawą. W innych okolicznościach na wyzwolonym terytorium usta nowiono by zarząd wojskowy do momentu całkowitego przywrócenia porządku i wyboru nowego rządu cywilnego. Craig wiedział, że z takim zadaniem dałby sobie radę. Ale tutaj, w RPA, rząd cywilny już został powołany. Było też jasne, że Waszyngton będzie chciał utrzymać jak najściślejszą kontrolę nad obecną sytuacją. Westchnął. Mimo iż spędził wiele czasu w Pentagonie, nie udało mu się włączyć w jego życie. Waszyngton zechce mieć na miejscu swojego człowieka. Kiedy Departament Stanu wkroczy do akcji, jego zadanie zostanie zakończone. Co dalej? Praca w sztabie? Uśmiechnął się, przypominając sobie, w jakich okolicznościach otrzymał to zadanie. jeśli tylko udałoby mu się przechować go gdzieś przez kilka miesięcy, Bud odszedłby na emeryturę i zwolniłoby się stanowisko zastępcy szefa. Edward Hurley był specjalnym ambasadorem w Afryce Południowej, podlegającym bezpośrednio sekretarzowi stanu. Niski mężczyzna o typowym wyglądzie naukowca nosił akademicką, precyzyjnie przystrzyżoną bródkę, wąsy i okulary o szklach jak denka od butelek. Generał często słyszał jego nazwisko w czasie kryzysu i zawsze było związane z jakimiś pochwałami. Najwidoczniej dobrze się spisał i teraz odbierał nagrodę - świetne stanowisko dyplomatyczne. Craig pomyślał, że wygląda wyjątkowo młodo jak na takie zadanie - ambasador nie miał więcej niż trzydzieści kilka lat. Energia bez wątplenia przyda mu się w tej pracy, w której najczęstszą nagrodą jest ból głowy. Od kilku minut wymieniali zdawkowe uwagi i Craig zaczynał się już niecierpliwić. Pogoda i plotki z Waszyngtonu jedynie opóźniały to, co i tak było nieuniknione. Wreszcie Craig nie wytrzymał.

- Jestem wdzięczny, że Departament Stanu przysłał pana osobiście zamiast nowych

rozkazów.

- Chciałem się przedstawić i przekonać się, czy będziemy mogli pracować razem. - W głosie Hurleya słyhać było szacunek, czego generał się zupełnie nie spodziewał po tak wysokim urzędniku.

- Moją specjalnością jest przyjmowanie rozkazów, panie ambasadorze. Jestem pewien, że z tym nie będzie żadnych kłopotów. Hurley uśmiechnął się.

- Sądzę, że powinniśmy przebrnąć przez sprawy papierkowe, zanim przejdziemy do innych zadań, generale. - Sięgnął do teczki wyjął dużą kopertę. - Sądzę, że to powinno wyjaśnić nasze w, wzajemne stosunki. Craig wziął rozkazy z odrobiną rezygnacji. Każdy wojskowy czuje się nieswojo, kiedy otwiera kopertę. Zawsze może to być bomba-pułapka. Rozdarł kopertę i wyjął dwie kartki. obie od Kolegium Szefów Sztabów Na pierwszej stronie generał Jerome D. Craig otrzymywał nominację na wojskowego gubernatora Afryki Południowej, odpowiedzialnego za przywrócenie cywilnych rządów... Craig spojrział na Hurleya z niedowierzaniem. Więc ja mam tu zostać? Jako szef rządu wojskowego, dopóki Południowoafrykańczycy nie ustanowią własnego rządu. Przecież już istnieje rząd. Generał Coetzee.... który nie ma żadnej władzy, oprócz tej, jaką mu pan wyznaczy. Trzeba brać pod uwagę to, że zbyt wielu osobom w Waszyngtonie nie podoba się ten rząd, który za bardzo się im kojarzy z wojskową juntą. Będzie więc dużo do zdziałania, szczególnie że Trans-Afryka domaga się, żebyśmy przekazali władzę ANC, a konserwatyści w Kongresie żądają gwarancji, że nowy rząd nie będzie miał powiązań socjalistycznych i tak dalej.

- Hurley rozłożył ręce. - I niech mnie pan dobrze zrozumie. Departament Stanu chce mieć bardziej "bezpośredni udział w sprawach. - Hurley uśmiechnął się. - Co w tłumaczeniu oznaczało kierowanie wszystkim samemu. jednak wchodzi tu w grę bardzo ważny czynnik, z którym musimy się liczyć: opinia światowa. Każdy nasz ruch będzie pilnie śledzony i oceniany. Waszyngton zgodził się więc uznać tymczasowy rząd wojskowych jako apolityczny. Raczej nie znający się na polityce - jęknął Craig. Nie zamierzał sprzeciwiać się rozkazom, ale był nimi zdziwiony. - Na czym w takim razie polega pańska rola? To jest na następnej stronie - odpowiedział Hurley. Craig odwrócił kartkę. Specjalny ambasador Hurley został wyznaczony na politycznego doradcę gubernatora wojskowego i oficjalnego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych. Kiedy skończył czytać, Hurley dodał:

- Moje zadanie będzie polegało na załatwieniu kilku politycznych kwestii, panie generale. Pan jednak dowodzi wszystkim. Jest pan teraz bardzo popularny. Wygrał pan wojnę. Naprawdę pan sądził, że pańska praca tutaj jest zakończona?

- Panie ambasadorze, Kubańczycy zostali rozgromieni, a wojna domowa jest skończona.

- Nadal jednak istnieją bandy partyzantów, zarówno białych, jak i czarnych, generale. Niektóre z nich to bandy zwykłych rabusiów. Tych, których nie uda się namówić do złożenia broni, trzeba będzie... powstrzymać w inny sposób. Craig zauważył niechęć Hurleya wobec pomysłu ścigania partyzantów. Obaj pamiętali doświadczenia z Wietnamu. Ambasador uśmiechnął się do niego.

- Zresztą, generale, pańskie zdolności polityczne były mocno niedoceniane. Pańskie załatwienie kwestii prowincji Kraj Przylądkowy...

- Wszystko, co zrobiłem, to udzielenie wymijającej odpowiedzi...

- W taki właśnie sposób rozwiązuje się połowę kwestii politycznych i to raczej tych trudniejszych - podsumował Hurley. - Oprócz tego, sir, czy mógłby mi pan mówić Ed? Craig uśmiechnął się, starając nie okazywać całej swojej radości. Więc nie został odsunięty na boczny tor, jak przewidywali czym się cały czas zamartwiał. Przez chwilę delektował się otrzymanymi wiadomościami. jedna rzecz zmartwiła go i zaniepokoiła trochę. Teraz będzie miał do czynienia głównie z polityką, a nie sprawami wojskowymi, które dobrze znał i którymi zajmował się przez całe dorosłe życie.

Westchnął po cichu. Wiedział, że czeka go ciężka i niewdzięczna praca. Wyciągnął rękę do Hurleya.

- Witaj na pokładzie, Ed. - A następnie odwrócił się do stojącego w pobliżu Skilesa. - George, potrzebujemy pokoju dla ambasadora Hurleya. Najlepiej przylegającego do mojego. Skiles skinął głową i wyszedł.

- Ed, czy mógłbyś na wstępie zerknąć na spis najważniejszych, według mnie, posunięć w tej chwili? Chciałbym, żebyś je zaopiniował, zanim zrobię jakikolwiek krok. - Wręczył Hurleyowi plik papierów. Ambasador zaczął je przeglądać. - jeśli nie będziesz miał żadnych uwag, chciałbym je przesłać prawnikom wojskowym do dopracowania. Craig miał nadzieję, że tym sobie zjedna Hurleya. jednocześnie chciał sprawdzić, czy rzeczywiście będzie im się dobrze razem pracowało i czy będą się zgadzać w najistotniejszych kwestiach. A co najważniejsze, od razu przekona się, kto tu jest faktycznym szefem w sprawach politycznych. Hurley czytał na głos.

- Legalizacja wszystkich partii politycznych oprócz tych, które popierają apartheid. Usunięcie wszystkich członków AWB z życia publicznego. Uwolnienie więźniów politycznych. Wolność Prasy. Związki zawodowe. Integracja sił wojskowych. Reforma więziennictwa. Craig przebiegał w myślach całą listę. Hurley zatrzymał się na moment. Nic traci pan czasu, generale. Mów mi Jerry, Ed. Lubię szybkie posunięcia, szczególnie biorąc pod uwagę ważkość tych problemów. Da nam to trochę czasu w rozmowach z czarnymi grupami opozycyjnymi, a biali konserwatyści niech zrzucają całą winę na nas, a nie na nowy rząd. Hurley uśmiechnął się z podziwem. Jerry, widzę przed tobą wspaniałą karierę polityczną. - Wrócił do czytania listy. Craig był pewien, że ostatni punkt zaszokuje Hurleya. Całkowita wymiana sił policyjnych? - Głos Hurleya nie zdradzał żadnych uczuć, ale Craig wiedział, że kwestia wymaga pewnych wyjaśnień. Wojna domowa bardzo im zaszkodziła jako instytucji. Będą musieli ciężko pracować, żeby przełamać nieufność nawet wśród swoich, nie mówiąc o wrogim nastawieniu czarnej społeczności. Próbuje sformować oddziały i Brytyjczycy robią to samo. Mam już swoich ludzi od spraw cywilnych. Dopóki nie powstaną nowe siły policyjne, możemy wykonywać całą należącą do nich robotę. Ale nie na tym polega problem. - Craig pochylił się nad biurkiem. Chcę, żeby Południowoafrykańczycy, zarówno biali jak i czarni, mieli takie podejście do policji jak u nas, w Stanach: masz kłopoty, bez oporów wzywasz policjanta. Musimy koniecznie wymienić personel, dać im inne mundury i wpoić nowe zasady postępowania.

- Dobra, Jerry, rozumiem dobrze, o co ci chodzi i w pełni się z tobą zgadzam. Tylko jak to będzie wyglądało w praktyce? Czy zechcą coś z tego wprowadzić w życie?

- To już zależy od tej trudniejszej części zadania.

## • 21 stycznia - Autostrada N 1

Nxumalu Mchwenge pochodził z plemienia Xhosa. Był eksczłonkiem ANC, a ostatnio służył w oddziałach Vegi. Mchwenge z radością podjął się funkcji zwiadowcy dla Kubańczyków, którzy obiecali przepędzić Burów i ustanowić socjalistyczny raj, o którym zawsze marzył. Później przyszedł Potgietersrus. Tysiące niewinnych Murzynów zginęło podczas ataku gazowego. Wiadomości o katastrofie zaszokowały wszystkich czarnych współpracujących z Kubań czykami. Delegacja wysłana do szefa sztabu Vegi została wyrzucona, a bardziej protestujący zatrzymani i prawdopodobnie rozstrzelani. Mchwenge miał teraz kolejnego wroga. Jego ludzie uciekli z kubańskiego wojska i przyłączyli się do zwalczających je oddziałów partyzanckich. Jego armia nie miała nazwy, ale bezwzględnie atakowała nowych okupantów. Czasami współdziałali z białymi farmerami, ale były to raczej wyjątkowe sytuacje, a nie zasada. Oficjalnie Kubańczycy poddali się i wojna się skończyła, ale dla Mchwenge opuszczające kraj wojska nadal były wrogiem. Amerykanie i Brytyjczycy



także byli jego wrogami. Doszedł więc do wniosku, że jego wojsko w zasadzie nie ma sprzymierzeńców i muszą walczyć sami. Mchwenge leżał wśród skał, pięćdziesiąt metrów od drogi. Niewysoki, krępy Murzyn był przyzwyczajony do niewygód, szczególnie podczas tego typu misji. Od kilku dni śledził wycofującą się armię. W końcu znalazł odpowiednie miejsce. Leżał cierpliwie od świtu, z łatwością kryjąc się przed patrolami, które kontrolowały drogę. Ścisnął mocniej detonator. Długo już nie będzie musiał czekać. Brezentowa plandeka ciężarówki skutecznie ochraniała ulokowane w niej dowództwo. Generał Antonio Vega, "oswobodziciel Walvis Bay", siedział na składanym stołku, czytając raport z poprzedniego dnia. Jechali wolno, czekając na ponad tysiąc ludzi, którzy musieli iść pieszo. Pomiędzy człapiącymi piechurami poruszały się w żółwym tempie samochody z rannymi i resztkami zapasów żywności i wody. Na szczęście uratowały ich wozy dostawcze, które nie dotarły do miasta przed bombardowaniem. Cała bowiem kolumna transportowa została doszczętnie zniszczona podczas nalotu i nie byłoby nawet czym przewieźć rannych. Z jedzeniem też było krucho. Duża część została już zjedzona lub zepsuła się w panującym cały czas upale. Vega z ciężkim sercem spoglądał na wycieńczonych ludzi. Tydzień marszu zmusił najsłabszych do przeniesienia się na ciężarówki, ale nawet najbardziej odporni żołnierze z trudnością powłóczyli nogami w południowym słońcu i gęstym kurzu. Nieprzyjaciel przestał nękać linie zaopatrzeniowe i praktycznie dał wolną drogę kubańskiej kolumnie, o ile nadal maszerowała na północ. Przed nią jechała kompania amerykańskiej i brytyjskiej żandarmerii. Drugi oddział jechał z tyłu, wyłapując de czyków. Złapano już wielu "wybierających wolność", jak to nazywano na Zachodzie. Vega wściekał się, że nie wszyscy jego ludzie chcą wracać do domu. Nawet oczekując słusznego gniewu Castro, generał pragnął jedynie wrócić do ojczyzny. Jak dotąd żądania wydania uciekinierów spotykały się z odmową. Jego lewa noga przysparzała mu kłopotów, mundur był brudny i podarty. Bolały go wszystkie kości. Coraz więcej niezdolnych do marszu, pomyślał z goryczą. Wrócił do czytania raportów. Mimo zakończenia wojny przybywało poszkodowanych. Były wypadki porażenia słonecznego i paru z powodu opóźnionego refleksu zostało potrąconych przez samochody. Miał jednak nadzieję, że ludzie dotrą do momentu wejścia na pokłady samolotów czekających już w Zimbabwie. Amerykanie i Brytyjczycy sprzeciwili się lądowaniu rosyjskich samolotów w RPA. Nie pomogło tłumaczenie, że są to wprawdzie transportowe maszyny *Il-76* produkcji rosyjskiej, ale zakupione przez Kubańczyków. W ciągu następnych kilku dni powinni spotkać kolejny transport ciężarówek. Kiedy tylko cała kolumna zostanie załadowana to samochody, będą mogli jechać dziesięć razy szybciej i w krótkim czasie opuścić terytorium Afryki Południowej. Pozwolił swoim myślom wybiec w przyszłość. Nawet przy nieuniknionych opóźnieniach najdalej za tydzień powinni być w domu. Mchwenge wyczuł zbliżającą się kolumnę przez drżenie ziemi, jeszcze zanim zobaczył tumany kurzu. Po niecałej godzinie na horyzoncie pojawiło się jej czoło. Wojsko poruszało się bardzo wolno, dopasowując do marszu zmęczonej piechoty. Mimo iż właśnie to ślamazarne tempo umożliwiło mu śledzenie Kubańczyków i przygotowanie pułapki, Mchwenge ogarnął teraz wywołany zniecierpliwieniem gniew. Partyzant wziął do ręki detonator, odłożył go na miejsce i po chwili znowu podniósł, żeby sprawdzić mały skomplikowany mechanizm. Następnie niemal nim rzucił i przez chwilę kusiło go żeby znowu podnieść i sprawdzić, czy nie został uszkodzony. Opanował się jednak i znowu zajął się obserwacją. Skalne głązy piętrzyły się na wysokość metra. Mchwenge przebudował nieco swoją kryjówkę, żeby zapewniała mu także osłonę od góry. Zrobione w kilku miejscach otwory pozwalały obserwować drogę, a towarzysze zapewnili go poprzedniego dnia, że już z odległości metra otwory zlewają się ze skałą. Mchwenge leżał w nagrzanym powietrzu i niecierpliwie obserwował poruszającą się kolumnę. Początkowo zamierzał wychylać się tylko od

czasu do czasu, pozostając całkowicie w ukryciu. Kiedy jednak pojawiły się ciężarówki, nie miał siły, żeby oderwać oczy od otworu. Z odległości kilometra i tak nie mieli szans wypatrzeć szczeliny. W końcu znowu sięgnął po detonator. Z małego, czarnego pudełka wychodził jeden kabel. Mchwenge sprawdził uważnie połączenie i poczuł pokusę, żeby ponownie otworzyć pudełko i przejrzeć jego zawartość. Rano włożył do środka świeże baterie i teraz wystarczyło nacisnąć jeden przycisk kontrolny. Zapaliła się żółta żaróweczka i nie było już wątpliwości, że detonator działa poprawnie. Dwadzieścia metrów od wyznaczonego miejsca, na drodze leżał nieduży kamień i kiedy koła pierwszej ciężarówki minęły go, Mchwenge podniósł przykrywkę kontrolera i przesunął przełącznik do góry. Zapaliło się czerwonego światełko. Mechanizm został uruchomiony. Miejsce ukrycia ładunku nie było zbyt wyszukane, zresztą czemu Kubańczycy mieliby cokolwiek podejrzewać? Wojna się przecież skończyła. W jednym miejscu droga została uszkodzona przez gąsienicę czołgu. Szczelina nie była duża, ale w zupełności wystarczała do jego celów. Nie różniła się niczym od setek podobnych, ale wybrano właśnie ją z powodu stosunkowo niedużej, kilkumetrowej odległości od miejsca, gdzie rozbił się południowoafrykański samolot. Pilot zginął, ale ładunek ocalał. Jak ocenili eksperci, jedna z leżących niedaleko wraku bomb nadawała się do użytku. Wojsko, nie zwracając uwagi na niebezpieczną przeszkodę, maszerowało spokojnie dalej na północ. Kiedy prowadząca ciężarówka przejechała przez szczelinę w nawierzchni, Mchwenge nacisnął przycisk. Pułkownik Vasquez zobaczył wybuch z bliskiej odległości. Wysiadł wcześniej, żeby rozprostować nogi i pomyśleć spokojnie o własnej przyszłości, osobistej i zawodowej. Castro nie był tyranem, który kazał rozstrzeliwać ludzi bez powodu, ale wojsko zawiodło przywódcę i nie ulegało wątpliwości, że będzie szukać winnych. Jaki los ich czeka? Patrzył właśnie na siedzącego z tyłu ciężarówki generała, kiedy oślepił go błysk, a podmuch powietrza zwałił z nóg. W oczach miał obraz Vegi, który nie zdążył nawet podnieść wzroku znad czytanego dokumentu, kiedy ciężarówka zniknęła w płomieniach i kłębach dymu. Vasquez oprzytomniał chwilę później, gdy jeden z żołnierzy odciągnął go od buchających na wszystkie strony płomieni. Z resztek ciężkiego *ZIL-a* unosił się w niebo czarny, gęsty, tłusty obłok. Pułkownika ogarnęła panika i złapał za ramiona pomagającego mu wstać żołnierza. Spojrzał mu z przerażeniem w oczy. Czy ktoś się uratował? Gdzie jest generał? Zginął, towarzyszu pułkowniku. Nikt nie ocalał. Vasquez nie mógł się pogodzić ze śmiercią Vegi.

- Może wybuch wyrzucił kogoś na drogę?

- Nie, panie pułkowniku. Eksplozja była zbyt silna. Wszyscy zginęli na miejscu. Żołnierz nadal podtrzymywał pułkownika. Vasquez odepchnął go i stanął o własnych siłach. Jego mundur był porwany i osmalony od płomienia, w kilku miejscach nasiąkł krwią. Zrobił niepewny krok w stronę wraku i zobaczył, że z pojazdu został tylko metalowy, powyginany szkielet. Nie było nawet śladów zwłok. Vega zginął. Tak samo Suarez i Gomez, który prowadził pojazd. Jego smutek był połączony z lekkim uczuciem jakby zazdrości. Przynajmniej ci towarzysze nie będą musieli wracać do domu, żeby stawić czoła gniewowi Castro.

- Pułkowniku, co zrobimy? - Jeden z poruczników dowodzący plutonem czekał na rozkazy. Vasquez był teraz najstarszym oficerem w kolumnie. Spojrzał na stos pogrzebowy Vegi. Nigdy nie pragnął stanowiska głównodowodzącego. Porucznik powtórzył pytanie.

- Pułkowniku, co mamy teraz robić? Vasquez wskazał na drogę przed sobą. - Maszerujemy dalej.

## Porozumienie

- **15 stycznia - główne wiadomości CNN**

Obraz na ekranach telewizyjnych wystarczył za komentarz. Na kolumnadzie osłaniającej od frontu budynku parlamentu nadal widać było ślady po kulach. Brakowało części metalowego parkanu, które zostały zniszczone wybuchami pocisków. Większość stuletnich dębów, które ocieniały żwirowaną Government Avenue, została zniszczona w czasie walk i zastąpiona nowymi sadzonkami. Następnie kamera przeniosła się przed główne wejście. Zupełnie nietypowy dla RPA widok przedstawiali mężczyźni, którzy w garniturach i z teczkami w rękach przechodzili przez bramki służące do wykrywania metali i kierowali się do wnętrza. Uczestnicy obecnej sesji reprezentowali bowiem wszystkie rasy, grupy narodowościowe i etniczne republiki. Mimo widocznych różnic łączyło ich jedno: zdecydowane przeciwstawienie się reżimowi Vorstera mimo groźby więzienia czy nawet śmierci. Obecnie po raz pierwszy uczestniczyli w tego typu posiedzeniu.

*Mimo iż pozostały jeszcze bardzo ważne kwestie polityczne do uzgodnienia, jedna rzecz jest absolutnie pewna: apartheid w Republice Południowej Afryki należy do przeszłości. Kiedy tylu fanatyków po obu stronach barykady trafiło do więzienia, została otwarta droga, którą można będzie w końcu wspólnie poprowadzić ten zwaśniony przez wieki naród ku lepszej przyszłości: Polityczne uzgodnienia, które zapadną za zamkniętymi drzwiami tego zgromadzenia, nie muszą być doskonałe, ale będzie to pierwszy krok naprzód. Dla głównych wiadomości CNN mówił Tom Stavros z Kapsztadu, Afryka Południowa.*

Obraz ukazał teraz studio w Atlancie i prowadzącego wiadomości dziennikarza.

*Podajemy obecnie inne wiadomości związane z Afryką Południową. Raport stwierdzający, że wydobywanie w kopalniach Witwatersrandu wróciło do poziomu pięćdziesięciu procent sprzed wybuchu wojny, spowodował gwałtowny spadek cen surowców na giełdach światowych. Sekretarz handlu Reid przyjął to jako pewny sygnał, że nadwątlona gospodarka światowa wraca do normy.*

- **23 marca - Sprzymierzone Siły Pokojowe, Durban**

Zarówno generał Craig, jak i specjalny ambasador Edward Hurley nie rezydowali ani w Kapsztadzie, ani w Pretorii. Pozostali w Durbanie. Było to posunięcie typowo dyplomatyczne. W grę bowiem wchodziła sprawa bardzo ważna, a zarazem delikatna, bo natury politycznej. Obecność Amerykanów i Brytyjczyków w miejscach siedzib rządu i parlamentu RPA byłaby odebrana na pewno jako bezpośrednia ingerencja w sprawy wewnętrzne republiki. Częste podróże do obu miast stanowiły niezbyt wysoką

cenę za utrzymanie pozorów. Dla Craiga, jako gubernatora wojskowego, było to zresztą bardzo wygodne. Port w Durbanie już całkowicie odblokowany był głównym punktem docelowym zaopatrzenia dla jego wojsk.

- Jerry, ale bomba! Właśnie nadeszło faksem! To prawdziwie historyczny dokument! - Krzyczał już od progu podniecony Hurley. Rzucił plik papierów na biurko Craiga i, biorąc głęboki wydech, z uczuciem ogromnej ulgi opadł na najbliższy fotel. Wydawało się, że właśnie przebył maraton, a nie bieg z sąsiedniego pokoju. Zaskoczony w pierwszej chwili Craig spojrzął na niego pytającym wzrokiem, ale zaraz serce zabiło mu mocniej.

- Są już końcowe wyniki obrad?

- Chryste! Nie! Przypuszczam, że nanoszenie poprawek potrwa jeszcze kilka miesięcy. jednak tutaj - wskazał palcem na stos dokumentów - są zatwierdzone wszystkie wstępne uzgodnienia. Jednym ruchem Craig zgarnął kartki i zaczął je niecierpliwie przerzucać, czytając głośno same nagłówki:

- "Centralny rząd federalny o ograniczonych kompetencjach", "Duża samodzielność prowincji", "Równe prawa dla wszystkich" - oszołomiony, jakby nie dowierzając własnym oczom, spytał: - Czy to prawda? Hurley rozparł się wygodnie, wyciągnął nogi i uśmiechnął z triumfem.

- Tak! To sama kwintesencja. jeszcze może niedokładnie zasada: jeden człowiek jeden głos, ale zmierzają w tym kierunku. Na razie izba niższa będzie wybierana w wyborach powszechnych, a w wyższej każda grupa ma zagwarantowaną równą liczbę głosów. Chodzi o to, aby żadna partia, narodowość czy rasa nie dominowały. Craig roześmiał się cicho.

- Niech Bóg im pomoże to osiągnąć. Ambasador z całym przekonaniem przytaknął i wskazał na rozdział zatytułowany "Prawa Człowieka".

- A to jest najważniejsze ze wszystkiego: zagwarantowanie wolności wyznania i wszelkich zgromadzeń, zniesienie cenzury, wysokość wynagrodzeń niezależna od pochodzenia, równe szanse wykształcenia dla wszystkich i tak dalej, i tak dalej! - W jego głosie znowu narastał entuzjazm. - A teraz podsumowując. Wszystkie te uzgodnienia mają prowadzić w konsekwencji do przesunięcia sporej części władzy, czyli odpowiedzialności za państwo, na cały naród, niezależnie od koloru skóry czy przynależności narodowościowej.

- Żadnych śladów apartheidu?

- Najmniejszych. Nikt nawet nie mrugnął, kiedy zburzono ostatnie jego bastiony. Powiem szczerze, generale, po tym wszystkim możesz w każdej chwili przejść do Departamentu Stanu. Potrzebujemy dobrych dyplomatów. Craig uśmiechnął się powściągliwie. Wiedział, że powiedziane to było żartem. już na tyle poznał sposób bycia ambasadora.

- A co z socjalistyczną doktryną, którą ANC usiłował wcześniej narzucić? Nacjonalizacja podstawowych gałęzi przemysłu i cała ta reszta? Hurley roześmiał się głośno.

- Nawet o tym nie wspominali. Wydaje się, że ich doświadczenia z kubańskim bratnim socjalizmem zniechęciły większość z nich do Marksa i Lenina. Chyba w końcu zrozumieli, co stało się w Europie Wschodniej i Rosji. Wspominano nawet o sprywatyzowaniu kilku gałęzi przemysłu należących teraz do państwa. Craig odetchnął z ulgą. Może chaos i terror poprzednich miesięcy czegoś ich jednak nauczyły. Hurley mówił dalej.

- Zresztą nawet sam schemat polityczny, jaki zaakceptowali, praktycznie uniemożliwia wprowadzenie socjalizmu czy w ogóle jakiegokolwiek -izmu. Zmierzają w kierunku rządu federalnego, koordynującego tylko pracę rządów poszczególnych prowincji, w dużej mierze niezależnych. Będzie jedna federalna stolica: Johannesburg. - Uśmiechnął się ponownie. - Koniec z tymi bezsensownymi podróżami

Rady Ministrów z jednego miasta do drugiego. Czy wyobraża pan sobie nasz rząd przenoszący się co pół roku z Waszyngtonu do San Diego? Craig skrzywił się na taką myśl. Sprawy nie wyglądały najlepiej nawet wtedy, gdy rząd siedział cały czas w Waszyngtonie.

- Dlaczego Johannesburg? Hurley wzruszył ramionami.

- Mnóstwo powodów. Ze względów politycznych Pretoria budzi zbyt wiele złych wspomnień, a wybranie Kapsztadu przypominałoby cofnięcie się do czasów kolonializmu brytyjskiego Johannesburg nigdy nie był stolicą. A może Jeszcze względy rasowe? Ludność Jo'burga w swoim przekroju jest bardzo zbliżona do średniej krajowej. Kapsztad i Pretoria są zbyt „białe” Ambasador pokręcił głową.

- Jakby nie było, lokalizacja nie znaczy w tym przypadku zbyt wiele, ponieważ sam rząd federalny nie będzie miał tak dużego znaczenia. Po tych wszystkich przejściach z Vorsterem upłynie sporo wody w rzece, zanim ktokolwiek zgodzi się na wzmocnienie władzy rządu centralnego. Craig zmarszczył brwi.

- To może być jeszcze kiedyś przyczyną kłopotów. Mogą potrzebować silniejszego rządu, żeby narzucić reformy poszczególnym prowincjom, gdyby te usiłowały wrócić do apartheidu. Cholera, w końcu wiele naszych praw obywatelskich musiało być narzuconych siłą.

- Może i tak. Ale nasza rola polega jedynie na pomocy w zrobieniu pierwszego kroku.

- Hurley postukał palcem w dokument, który Craig wciąż przeglądał. - To zaś wcale nie jest zły początek.

- Tak. - Craig przewrócił stronę i zatrzymał się. - Co to jest, u diabła? - Pokazał ambasadorowi mapę z zaproponowanymi granicami dwóch "rezerwatów" - jeden z nich oznaczony jako "Oranjewerker Staat" a drugi „Anzaniańska Republika Ludowa". Hurley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To są dwie najbardziej szalone idee, jakie kiedykolwiek przed stawiono na poważnym zebraniu politycznym. - Pokręcił głową. - Co najdziwniejsze, te pomysły mogą nie być bezsensowne - przynajmniej w południowoafrykańskim znaczeniu tego słowa. Pomysł polega na stworzeniu specjalnych enklaw dla ekstremistów politycznych po obu stronach. Biali będą mogli wypróbować swój wymarzony styl żyda farmerskiego "tylko-dla-białych" w Oranje. Czarni separatyści mogą cieszyć się własnym towarzystwem w ARL W każdej enklawie będą mogli żyć według własnych praw. Poza nimi będą musieli stosować się do praw federalnych. Craig nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Jestem tylko ciekaw, jak długo to potrwa. Staruszkowie mogą sobie wierzyć w jedną czy drugą odmianę apartheidu, jednak ich dzieciaki będą ciekawe, co się dzieje w normalnej części kraju.

- Nie wszyscy fanatycy przeprowadzą się do tych "rezerwatów" - przypomniał mu Hurley. - Nikt w tym cholernym kraju nie zdaje sobie do końca sprawy, co to znaczy żyć bez podziałów rasowych. Radziecki komunizm utrzymał się przez ponad siedemdziesiąt lat. RPA może potrzebować więcej czasu, żeby dojść do siebie po tym bałaganie. Craig skinął głową. Hurley miał rację. Rasowe i polityczne problemy nie znikną w ciągu nocy czy nawet za życia jednego czy dwóch pokoleń. Ludzie nie mogą w jednej chwili nauczyć się kochać swoich bliźnich. Dużo jeszcze do tego brakuje. Najważniejsze, że normalni Południowoafrykańczycy mają uczciwą szansę zbudowania nowego, zjednoczonego kraju. To dużo więcej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać. Uśmiechnął się, patrząc na zarys konstytucji leżący na biurku. Przy takich założeniach wstępnych mieli nawet szansę na sukces.

## • 12 kwietnia - Tymczasowy Sąd Najwyższy, Federalna Republika Południowej Afryki, Johannesburg

Telewizja od tygodnia transmitowała na cały kraj i świat obszerne fragmenty rozprawy. Miliony ludzi oglądały odłamaną kawałek po kawałku historię niezdrowych ambicji i zaślepionej nienawiści, manii wielkości, zdrady i zbrodni. Mimo wcześniejszych zapowiedzi rozprawa odbywała się nie przed międzynarodowym trybunałem zbrodni wojennych, ale przed sądem południowoafrykańskim. Także zastosowane prawo było nowym prawem odrodzonej republiki. W pewnym sensie był to test dla obecnej, młodej władzy, jak radzi sobie w nowych warunkach. Zbliżał się koniec rozprawy. Wszystkie zebrane dowody wskazywały na jeden możliwy wyrok - winny wszystkich stawianych mu zarzutów.

- Oskarżony, proszę wstać. Z pomocą adwokata Karl Vorster podniósł się z ławki i stał,

lekko się chwiejąc. Niewielu ludzi rozpoznałoby w nim niedawnego absolutnego władcę. Pochylone ramiona i straconych kilka kilogramów sprawiały, że wydawał się mniejszy i starszy. Wrażenie to wzmacniała wychudzona twarz, trzęsące się ręce i podkrążone oczy. W ciągu kilku miesięcy Vorster postarzał się o dwadzieścia lat. Przewodniczący Sądu Najwyższego Afryki Południowej mówi głosem pozbawionym emocji.

- Karlu Adriaanie Vorsterze, zostałeś uznany winnym zdrady stanu, morderstw i udziału w spisku, w rezultacie którego zginął prawowity rząd RPA. Czy chcesz coś powiedzieć, zanim sąd wyda wyrok? Z widocznym wysiłkiem Vorster oderwał wzrok od stołu i starał się wyprostować ramiona. Wrogowie mieli go w swoich rękach, ale wkrótce jego przykład zainspiruje nowych, młodych ludzi do kontynuowania dzieła.

- Nie uznaję tego nielegalnego rządu i jego marionetkowego sądu. Możecie mnie zabić, jeśli chcecie. Jednak tylko Bóg może sądzić mnie i moje czyny. Przez rządy świadków i widzów przebiegł pomruk nienawiści. Sędzia Sądu Najwyższego czekał przez chwilę na ciszę.

- Wiedz tedy, Karlu Adriaanie Vorsterze, że sąd skazuje cię na dożywotnie ciężkie roboty. Będziesz miał czas przez resztę życia, jaką da ci Bóg, na przemyślenie swoich uczynków. - Skinął ręką na czekających policjantów - białego i Murzyna. - Wyprowadzić więźnia. Vorsterowi opadły ręce. Ostatni promyk nadziei zgasł. Stracił wszystko - nawet szansę na męczeńską śmierć.

## • 21 kwietnia – Pelindaba

Pułkownik Robert O'Connell stał nieruchomo, przyglądając się tłumowi wojskowych i cywilnych dygnitarzy idących przez wypielęgnowane trawniki Pelindaby. Ośrodek w niczym nie przypominał pobojowiska, jakie zapamiętał. Przez ostatnie miesiące liczne ekipy dzień i noc usuwały zniszczenia. W miejscu budynku zakładu wzbogacania uranu położono metalową płytę. Pozostawiono pięć bunkrów służących przedtem do magazynowania broni. Razem z granitową kolumną, ustawioną przed nimi, tworzyły jedyny w swoim rodzaju pomnik, który tego dnia poświęcono. Wysoko nad głowami łopotała na wietrze amerykańska flaga. O'Connell czytał w milczeniu wygrawerowany na monumencie napis:

FORTUNA SPRZYJA ODWAŻNYM. Ku czci bohaterskich żołnierzy Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. którzy tu polegli, aby inni mogli żyć w pokoju.

Jego spojrzenie powędrowało ku liście poległych. Kolumna nazwisk wydawała się nie mieć końca. Każde z nich przypominało znajomą twarz. Zamrugał szybko powiekami, gdy poczuł pod nimi niebezpieczną wilgoć. Na chwilę wrócił myślami do tamtych pamiętnych dni. Cena, jaką wtedy zapłacili za zwycięstwo, była bardzo wysoka. Opuścił wzrok na lewą stronę kurtki mundurowej, do której

przypięte były baretki. Jedna z nich była nowa. Wraz z kilkoma Rangersami otrzymał Kongresowy Medal Honoru. Cały batalion natomiast dostał specjalne podziękowania od prezydenta. Ceremonia wręczania miała bardzo uroczysty charakter. Pamięta dobrze wiwatujące tłumy, parady orkiestr wojskowych i uścisk ręki prezydenta. Ale dla niego pomnik wystawiony przez nowy rząd RPA znaczył dużo więcej niż wszystkie odznaczenia i uroczystości z tym związane. Dopóki będzie tu stał, polegli żołnierze nie zostaną zapomniani.

- Pułkowniku? O'Connell odwrócił się. Henrik Kruger, nowy szef Sztabu Armii RPA stał tuż za nim i uśmiechał się.

- Przepraszam, Henrik, zamyśliłem się. Wiesz, stary żołnierz zagrzebany w przeszłości. Kruger spojrzał przyjaznym, ciepłym wzrokiem.

- Wcale nie taki stary, mój przyjacielu i wcale nie tak bardzo zagrzebany. - Wskazał na stojący w pobliżu samochód sztabowy. - Chodźmy, mam u siebie butelkę starej, dobrej whisky. Wypijmy za tych wszystkich, których straciliśmy i za tych, których zyskaliśmy. To chyba sensowny toast, co? O'Connell odpowiedział uśmiechem.

- Amen, *brigadierze*. Żaden Ranger nie pozwoli marnować się dobremu trunkowi. Obaj ruszyli w stronę samochodu. Zachodzące słońce rzucało za, nimi długie cienie.

### • 1 maja - pokój redakcyjny „Johannesburg Star”

Emily van der Heijden wpatrywała się ponuro w ekran monitora. Znudzone ruchem nacisnęła klawisz kursora i zaczęła czytać tekst akapit po akapicie. To nie było złe. A nawet całkiem dobre. Oderwała wzrok od komputera. Skąd więc ten nastrój? pomyślała. Przecież to śmieszne. Ma wreszcie pracę, o której marzyła i szansę na zrobienie kariery w największej południowoafrykańskiej gazecie. Próbowała się otrząsnąć, ale było to zbyt trudne. Myślami cały czas wracała do wszystkich chwil spędzonych z Ianem. To był powód, że nic jej teraz nie cieszyło. Po zakończeniu wojny został wezwany przez zachwycone nim nagle szefostwo do kraju. Nie miała mu za złe, że pojechał. Zasłużył sobie na rekompensatę za to, co tu przeżył. Poza tym chciał zobaczyć się ze swoją rodziną. Jednak nie wrócił. Pisywali do siebie listy i kilka razy rozmawiali przez telefon, ale przerwy w korespondencji coraz bardziej się wydłużały. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie miała od niego żadnych wiadomości. Nie odpowiadał nawet na jej telefony. Emily potrząsnęła w rozdrażnieniu głową. Czego innego mogła oczekiwać? Pochodzili z dwóch zupełnie różnych światów i ich drogi się rozeszły. Teraz miał ogromną szansę na ponowną karierę, co wiązało się z podróżami i odłożeniem na daleki plan osobistych spraw, nawet jeśli kiedyś o tym myślał. Brak czasu nie pozwoli mu na pewno na przyjazd do RPA, stopniowo grzebiąc miłość pod stertą nowych wrażeń, znajomości, trosk i radości, których nie będą mogli już nigdy dzielić. Nacisnęła ze złością klawisz, kasując niechcący ostatni akapit. - Pani redaktor, mam nadzieję, że ubezpieczyła pani sprzęt? Chyba orientuje się pani, że jest bardzo drogi? Emily jak w transie, powolutku odwróciła się w krzesło. Przed nią stał, uśmiechający się szeroko, Ian Sheffield. Przez króciutką chwilę wpatrywała się w niego, jakby nie wierząc własnym oczom. Ale zjawą nie zniknęła. To był naprawdę on. Zerwała się z krzesła i z okrzykiem: - O Boże! Ian! To ty! - wpadła prosto w jego otwarte ramiona. Po dłuższej chwili Ian, nie wypuszczając z objęć, odsunął ją trochę: - Nie spytasz, co tu robię? Ponownie dotknęła jego ust.

- Nie zadawaj niemądrych pytań. Całujesz mnie.

- To prawda. I nie ma nic cudowniejszego. Ale oprócz tego miałem na myśli Jo'burg. Wtuliła się jeszcze bardziej.

- Powiedz koniecznie, proszę.

Usiadł na krzesło, trzymając ją na kolanach. Chcąc opowiedzieć jak najszybciej

wszystkie swoje przeżycia, mówił trochę chaotycznie. Po powrocie do Nowego Jorku szefowie z miejsca obsypali go wspaniałymi obietnicami. Miał dostać długi urlop, podwyżkę i to niebagatelną, oraz, co najważniejsze, stałą pracę przy Kongresie. Minęło kilka tygodni, zanim zrozumiał, że tam, na miejscu, jest tylko jeszcze jednym zdolnym dziennikarzem i że jego ambicje daleko wykraczają poza wspaniałą pensję i rutynową pracę. Dopiero w Afryce Południowej wierzył, że jego praca ma jakąś wartość. A najważniejsze, zrozumiał, ile dla niego znaczy Emily, i jaką pustkę czuł bez niej. W tym momencie dziewczyna przerwała mu. Dopiero po dłuższej chwili zdolny był kontynuować swoją historię.

- No więc powiedziałem facetom w Nowym Jorku, żeby wzięli sobie to stanowisko i... dali komuś innemu. - Uśmiechnął się.

- Moja rezygnacja została przyjęta kilka dni temu. więc złapałem pierwszy samolot lecący do Johannesburga. Emily była zaszokowana.

- Rzuciłeś pracę? Dla mnie?

- Przede wszystkim dla ciebie... ale nie tylko - zarumienił się lekko. - Zostaję wolnym strzelcem. Pogadałem z ludźmi z innych sieci telewizyjnych, którzy uważają, że mam w RPA wyrobioną pozycję. A w zasadzie w całej południowej Afryce. Są gotowi płacić mi dobrze za reportaże, a nawet filmy dokumentalne.

- Ależ to cudownie! Wprost fantastycznie! Będziesz nareszcie swoim własnym panem!

- Tak - przytulił ją mocniej. - Poza tym kiedyś chyba wspomniałaś o ewentualnej wspólnej pracy. - Pocałował ją. Z cudownego nastroju wyrwał ich znajomy głos:

- Hey, Ian! Słyszałem ważną wiadomość na policyjnej częstotliwości. jakiś szaleniec zagroził, że wysadzi siebie i pomnik Voortrekker, jeśli nie zostaną spełnione jego żądania. Pospiesz się, samochód czeka. Emily z niedowierzaniem spoglądała na Matthew Sibenę. Młody Murzyn stał w drzwiach pokoju, uginając się pod ciężarem kamer i innego sprzętu. Uśmiechnął się wstydliwie do Emily.

- Dzień dobry pani. Ian parsknął śmiechem.

- Czy nie uważasz, że potrzebny mi kamerzysta? - Na chwilę posmutniał, ale zaraz się otrząsnął. Emily delikatnie pogłaskała go po policzku.

- Wiem, co czujesz. Ja go też bardzo lubiłam. Ostrożnie zszedł ją z kolan i wstał.

- Niestety, muszę na trochę cię zostawić. Wydarzenia nie będą czekać. Nawet na tak zdolnego reportera...

- A może na reporterkę? - Emily lekko boksnęła go w pierś. Popatrzył na nią przeciągle.

- Chyba... muszę się poddać - podniósł ręce, jednocześnie śmiejąc się łobuzersko i przymrużając oko. - Pozwalam ci wziąć ten temat, ale... w zamian chcę ciebie. Uszczęśliwiona złapała notatnik, magnetofon oraz długopis i już będąc prawie przy drzwiach, odwróciła się i przesłała mu jeden ze swoich najbardziej uroczych uśmiechów.

- Nie bądź głuptasem, Ianie Sherfield. Przecież już dawno mnie masz.

**KONIEC**



# Słowniczek

**A-6E Intruder**- Dwusilnikowy, odrzutowy bombowiec pokładowy zdolny do operowania w każdych warunkach pogodowych, zarówno w dzień jak i nocą. Dwuosobowa załoga zajmuje w kabinie miejsca obok siebie. A-6 może przenosić ponad 8 ton uzbrojenia na odległość 1.600 km. Ze względu na dobre właściwości bojowe *Intrudery* od ponad 30 lat są używane przez lotnictwo Marynarki i Piechoty Morskiej.

**Afrikaans** - Drugi obok angielskiego urzędowy język w RPA. Powstał z połączenia holenderskiego, niemieckiego i francuskiego.

**Afrykaner (Bur)** - Nazwa jaką określają siebie zamieszkujący RPA potomkowie XVII- i XVIII-wiecznych osadników z Holandii, Niemiec i Francji. Osadnicy ci - wyznawcy radykalnych nurtów kalwinizmu, przez stulecia przekształcili się w odrębną narodowość.

**AH-64 Apache** - Nowoczesny śmigłowiec szturmowy. "latający czołg". Uzbrojenie *Apache* stanowią przeciwpancerne, kierowane pociski raketowe *Hellfire*, wyrzutnie niekierowanych pocisków raketowych i szybkostrzelne działko kalibru 30 mm. Pokładowe urządzenia nawigacyjne i termowizory pozwalają *Apache* na skuteczne działanie o każdej porze dnia i nocy. W boju dużą zaletą tego śmigłowca jest także silne opancerzenie.

**Ak-47** - Podstawowy radziecki karabinek automatyczny kalibru 7.62 mm. jest zasilany z 30-nabojowego magazynka, waży 4,3 kg. Wyprodukowany w wielu milionach egzemplarzy jest używany na całym świecie.

**Apartheid (separacja, segregacja)** - Doktryna segregacji rasowej wprowadzona w RPA w 1948 roku. Zakłada ścisłą segregację społeczeństwa według kryteriów rasowych. Czarna większość mieszkańców RPA zgodnie z zasadami apartheidu była pozbawiona praw obywatelskich i politycznych.

**AWB (Afrikaner Wurstandbeweging - Afrykanerski Ruch Oporu)** - Faszystująca organizacja polityczna w RPA, stawiająca sobie za cel utrzymanie dominacji białych. W jej skład wchodzi paramilitarne, uzbrojone bojówki.

**B-52 Stratofortress** - Zaprojektowany w latach 50. bombowiec strategiczny do lotów poddźwiękowych na dużych wysokościach. W ciągu kilkudziesięciu lat służby stosowany do najrozmaitszych zadań. Może zrzucić zarówno bomby jądrowe jak i konwencjonalne.

**BRDM** - Niewielki, lekko opancerzony, czterokołowy pojazd rozpoznawczy produkcji rosyjskiej, uzbrojony w wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 14,5 mm, a w niektórych wersjach także w raketowe pociski przeciwpancerne. Stosowany w armiach wielu krajów.

**Broderbond (Związek Braci)** - Tajne stowarzyszenie założone w 1918 roku zrzeszające Afrykanerów. Nacjonalistyczna organizacja zwolenników apartheidu.

**BTR-60**- Ośmiokołowy, rosyjski transporter opancerzony zabierający 14 żołnierzy desantu. Uzbrojony w 14,5-milimetrowy wielkokalibrowy karabin maszynowy w wieży. Słabo opancerzony.

**Buffel** - Południowoafrykański, kołowy, lekki transporter opancerzony uzbrojony w dwa karabiny maszynowe, zabiera 10 żołnierzy desantu. Specjalnej konstrukcji kadłub zabezpiecza załogę przed wybuchami min ziemnych - głównej broni murzyńskich partyzantów.

**C-130 Hercules** - Czterosilnikowy, turbośmigłowy samolot transportowy mogący zabierać na pokład 92 żołnierzy lub 20 ton ładunku.

**C-141 Starlifter**- Czterosilnikowy, odrzutowy samolot transportowy o bardzo dużym udźwigu - może przewozić 200 żołnierzy lub 40 ton ładunku. Wersja MC-141 jest

przystosowana do wykonywania zadań specjalnych, dzięki rozbudowanej awionice może operować w każdych warunkach pogodowych zarówno w dzień jak i nocą.

**Durandal**- Typ francuskich bomb z dodatkowym silnikiem raketowym, zrzucanych z niskiej wysokości i przeznaczonych do niszczenia celów opancerzonych i umocnień. Zrzucając seriami *Durandale* są szczególnie użyteczne przy "dziurawieniu" betonowych pasów startowych na lotniskach.

**EA-6B Prowler** - Wersja pokładowego bombowca Intruder bez uzbrojenia, z czteroosobową załogą. Zamiast bomb i rakiet *Powler* przenosi potężne zagłuszarki, uniemożliwiając pracę radarów i radiostacji przeciwnika.

**Eland** - Południowoafrykański samochód pancerny uzbrojony w 90-milimetrowe działo zamontowane w wieży. Pomimo braku nowoczesnych systemów kontroli ognia, dzięki swojej zwrotności może być groźnym przeciwnikiem dla starszych typów czołgów.

**F-14 Tomcat**- Duży, dwusilnikowy myśliwiec pokładowy. Jego zadaniem jest walka z samolotami przeciwnika na dużych odległościach, za pomocą kierowanych radarowo pocisków rakietowych *Phoenix* i *Sparrow*. Do walki na bliższą odległość *Tomcat* jest uzbrojony w pociski *S;dew;nder* i działko kalibru 20 mm. Załoga liczy 2 osoby.

**F/A-18 Hornet** - Dwusilnikowy, jednomiejscowy odrzutowiec lotnictwa morskiego, następca samolotu *A-1 Corsair II*. Przeznaczony do walki zarówno w charakterze myśliwca jak i samolotu szturmowego; bardzo zwinnie. Działa z lotniskowców.

**G-5**- Holowana haubico-armata kalibru 155 mm uważana powszechnie za najlepsze działo na świecie. Dzięki zastosowaniu specjalnych pocisków (wzorowanych na rozwiązaniach opracowanych w USA) może prowadzić celny ogień na odległość do 40 km. Budowana jest też wersja samobieżna na sześciokołowym podwoziu o nazwie *G-6*.

**HUD**- Skrót od angielskiej nazwy "Heads-Up Display", rodzaj wskaźnika w postaci przezroczystego ekranu umieszczonego przed przednią szybą osłony kabiny na poziomie oczu pilota. Wyświetlacz *HUD* umożliwia pilotowi kontrolowanie podstawowych danych dotyczących prędkości, pułapu lotu, systemów uzbrojenia, położenia celu i innych, bez konieczności opuszczania wzroku na tablicę przyrządów.

**IFF** - Skrót od angielskiej nazwy „Identification Friend or Foe”, identyfikator "swoj-obcy". System radarowy montowany w samolotach bojowych pozwala rozpoznać typ i przynależność państwową innych maszyn. Składa się ze specjalnej przystawki radarowej wysyłającej zakodowane impulsy w kierunku nadlatującej maszyny i odbierającej sygnał identyfikacyjny. W wypadku braku odpowiedzi wiadomo, że samolot należy do nieprzyjaciela.

**Inkatha** - Organizacja polityczna Zulusów działająca głównie na terenie prowincji Natal. *Inkatha* i ANC zwalczają się nawzajem, przyczyną konfliktu obok zasadniczych różnic politycznych jest wrogość międzyplemienna.

**M-1**- Nowoczesny czołg amerykański, bardzo szybki i dobrze opancerzony. Jego uzbrojenie stanowi działo kalibru 120 mm naprowadzane na cel za pomocą elektronicznego systemu kierowania ogniem. *M-1* jest uznawany za najlepszy czołg na świecie.

**M16**- Karabinek automatyczny kalibru 5,56 mm, podstawowa broń strzelecka w armii amerykańskiej. Waży niecałe 4 kg.

**Mi-24** - Rosyjski wielozadaniowy śmigłowiec bojowy w nomenklaturze NATO nazywany

*Hind*. Silnie uzbrojony i opancerzony w odróżnieniu od śmigłowców amerykańskich może dodatkowo przewozić desant 8 żołnierzy. Podstawowym uzbrojeniem strzeleckim *Mi-24* jest zamontowany w wieżyczce, pod nosową częścią kadłuba, czterolufowy szybkostrzelny karabin maszynowy kalibru 12,7 mm.

**MiG-23** - W nomenklaturze NATO znany jako *Flogger*. Rosyjski jednosilnikowy myśliwiec ze skrzydłami o zmiennej geometrii. Uzbrojony w 23-milimetrowe dwulufowe działko zabiera do 2 ton ładunku bojowego. Może być też wykorzystywany do atakowania celów naziemnych. Mało skuteczny w walce manewrowej.

**MiG-29**- W nomenklaturze NATO znany jako *Fulcrum*. Nowoczesny myśliwiec produkcji rosyjskiej, dorównujący osiągamiami amerykańskim maszynom *F/A-18 Hornet* i francuskim *Mirage 2000*. Uzbrojony w pociski powietrze-powietrze z naprowadzaniem radarowym i na podczerwień, a także w działko kalibru 30 mm i radar nowej generacji, skopiowany z wzorów amerykańskich.

**Mirage F.1** - Jednosilnikowy myśliwiec produkcji francuskiej eksportowany do wielu krajów świata. W Siłach Powietrznych RPA jest używany jako samolot myśliwsko-bombowy. Ze względu na ubogą awionikę *Mirage F.1* ustępuje większości nowoczesnych myśliwców.

**Olifant** - Opracowana w RPA modernizacja brytyjskiego czołgu *Centurion* zakupionego w latach 50. Użytkowanie przestarzałego sprzętu jest wynikiem embarga na dostawy broni do RPA. Południowoafrykański przemysł zbrojeniowy nie produkuje czołgów wychodząc z założenia, że w kraju o rozwiniętej sieci dróg bardziej przydatne są kołowe wozy bojowe.

**Osprey** - Następca śmigłowców Marynarki Wojennej USA CH-46 *Sea King*, samolot pionowego startu i lądowania z silnikami w obrotowych gondolach. Po starcie ze śmigłami w płaszczyźnie poziomej, *Osprey* odchyła je do pionu i przechodzi do normalnego lotu. *Osprey* odznacza się świetnymi osiągamiami, lecz z powodu trudności budżetowych i kosztów wciąż pozostaje w stadium prototypu.

**Puma**- Francuski śmigłowiec do transportu żołnierzy, zabiera 16 ludzi wraz z uzbrojeniem. Eksportowany do wielu krajów. W RPA używany też jako śmigłowiec szturmowy po zamontowaniu w drzwiach kabiny stałego działka kalibru 30 mm.

**R4** - Karabinek automatyczny kalibru 7,62 mm wzorowany na izraelskim karabinku *Gali*. Podstawowa broń strzelecka w armii RPA.

**Ratel**- Produkowany w wielu wersjach południowoafrykański bojowy wóz piechoty. W zależności od wersji może być uzbrojony w karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, działko kalibru 20 mm, moździerz kalibru 60 mm lub działko przeciwpancerne kalibru 90 mm.

**RENAMO** - Antykomunistyczna organizacja partyzancka w Mozambiku popierana przez RPA

**Rooikat**- Południowoafrykański lekki wóz bojowy uzbrojony w działko kalibru 76 mm. Dzięki elektronicznemu systemowi kontroli ognia i laserowym celownikom może skutecznie zwalczać czołgi starszego typu.

**SAM** - Skrót od angielskiej nazwy "Surface to Air Missile". rakiety ziemia-powietrze. Ogólne określenie wyrzutni rakiet przeciwlotniczych.

**T-62** - Starszy typ rosyjskiego czołgu. Uzbrojony w działko kalibru 115 mm i dobrze opancerzony. Ustępuje obecnie większości współczesnych czołgów.

**T-72** - Czołg rosyjski zaprojektowany w latach 70. Uzbrojony w działko kalibru 125 mm z laserowym celownikiem i lądowaniem automatycznym. Znacznie gorszy od czołgów Mi.

Podobnie .Jak T-62 eksportowany do wielu krajów świata.

**TOW** - Rurowa wyrzutnia raketowych pocisków przeciwpancernych z celownikiem optycznym i sterowaniem przewodowym. *TOW* należy do wyrzutni typu ciężkiego (w odróżnieniu np. od ręcznych granatników) i doczekała się wielu ulepszeń. Wyrzutnię montuje się na pojazdach lub na specjalnym trójnogu.

**UH-60** *Blackhawk* - Podstawowy typ śmigłowca transportowego w wojskach amerykańskich. Zabiera 11 żołnierzy i dzięki rozmaitym ulepszeniom jest stosunkowo mało wrażliwy na uszkodzenia na polu walki.

**ZSU-23-4** *Szyłka* - Gąsienicowy szybkostrzelny zestaw przeciwlotniczy produkcji rosyjskiej. Uzbrojony w poczwórnje sprzężone działko kalibru 23 mm w obrotowej wieży, naprowadzane radiolokatorem. Choć konstrukcja pochodzi z lat 60., zachowała duże walory bojowe.

**ZU-24** - Radzieckie podwójnie sprzężone działko przeciwlotnicze kalibru 23 mm montowane na podstawie kołowej. Pomimo braku radaru może być skutecznym środkiem obrony przeciwlotniczej (szczególnie przy dobrych warunkach pogodowych). Podobnie jak *ZSU-23-4* może być używane do zwalczania celów naziemnych.

Czy światu grozi trzecia wojna światowa?  
Jak zareagują Stany Zjednoczone  
na zagrożenie utraty stabilności w Afryce?  
Jakie cele przyświecają socjalistycznej Kubie?  
Co zrobią Rosjanie walczący o utrzymanie pozycji supermocarstwa?  
Odpowiedź na te pytania czytelnik znajdzie na kartach tej powieści.

Akcja rozpoczyna się w Afryce Południowej, wstrząsanej społecznymi niepokojami. Nasila się fala rasistowskiego terroru i dążenia do wywołania zaborczej wojny. Sprytna intryga doprowadza do gwałtownej zmiany rządów w RPA. Walki toczą się na pustynnych terenach Namibii i rejonach górskich RPA. Na ratunek uciśnionym robotniczym masom murzyńskim wyrusza socjalistyczna Kuba wspierana przez Rosję. Dochodzi do eskalacji użycia coraz potężniejszych broni. Cały świat z przerażeniem patrzy jak lokalny z początku konflikt może przerodzić się w trzecią wojnę światową.

**NA FIRMAMENCIE TECHNOTHRILLERÓW POJAWIA SIĘ NOWA GWIAZDA: LARRY BOND**

**POLECAM Z CZYSTYM SUMIENIEM.....**

Tom Clancy

**„O Larrym Bondzie** usłyszałem jako o autorze strategicznej gry komputerowej *Harpoon*. Okazała się niebywale przydatna przy konstruowaniu powieści *Polowanie na «Czerwony Październik»*. Nie minął rok, jak zabraliśmy się wspólnie do pisania powieści, tym razem opartej na kolejnej grze komputerowej Bonda, zatytułowanej *Konwój*. I tak powstał *Czerwony Sztorm...* Choć nazwisko Larry’ego nie widnieje na karcie tytułowej, książka jest naszym wspólnym dziełem”.

Tak w przedmowie do *Czerwonego Sztormu* napisał Tom Clancy.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat, a Larry Bond – były oficer Marynarki USA, który po przejściu do rezerwy pracował jako analityk w Pentagonie – nie wymaga już żadnej rekomendacji, nawet od tak uznanych mistrzów gatunku.

W pierwszych samodzielnych powieściach Bond zajął się najgroźniejszymi, z punktu widzenia globalnej polityki, ogniskami zapalnymi na świecie: Półwyspem Koreańskim – *Czerwony Feniks* i Afryką Południową – *Wir*. Dwie następne książki, *Złianacka* i *Dzień gniewu*, poświęcone zostały zagrożeniom ze strony międzynarodowego terroryzmu, zaś najnowsza powieść – *Obrońca*, jest wizją wojny XXI wieku, w której areną zmagania supermocarstw będzie przestrzeń kosmiczna.



Vortex  
11/1993  
2416

WYDAWNICTWO   
ADAMSKI I BIELIŃSKI

cena det. 39,80 zł

<http://www.nepo.pl/aib>